

**JOHN IRVING**

**REGULAMIN TŁOCZNI WIN**

Tytuł oryginału angielskiego The Cider House Rules

Przełożyła JOLANTA KOZAK

CZYTELNIK – WARSZAWA 1995

*Davidowi Calicchio*

Konwencjonalizm to nie to samo co moralność. Rygoryzm to  
nie to samo co religia. Atak na konwencjonalizm nie jest zamachem  
na religię.

– *Charlotte Bronte, 1847*

Dla celów praktycznych można zdefiniować aborcję jako  
przerwanie ciąży, zanim dziecko osiągnie zdolność samodzielnego  
przetrwania.

– *doktor H.J. Boldt, 1906*

# 1. Chłopiec, którego miejsce było w St. Cloud's

Szpital sierocińca w miejscowości St. Cloud's w stanie Maine zatrudniał na oddziale chłopców dwie pielęgniarki odpowiedzialne za nadawanie noworodkom imion i nazwisk oraz dogłębnie obrzezanych penisków. W tamtych czasach (rok 192-) obrzezaniu poddawano wszystkie niemowlęta płci męskiej urodzone w St. Cloud's, a to dlatego, że doktor z sierocińca miał przykre doświadczenia w związku z leczeniem tego i owego u nieobrzezanych żołnierzy podczas pierwszej wojny światowej. Doktor, a zarazem dyrektor oddziału chłopców, nie był religijny i nie traktował obrzezania w kategoriach rytualnych – pojmował je, jako rutynowy zabieg chirurgiczny, stosowany dla higieny pacjenta. Doktor nazywał się Wilbur Larch. Słyszając to nazwisko, – które w języku angielskim znaczy „modrzew” – jedna z sióstr zawsze wyobrażała sobie twardą solidność wspomnianego drzewa, zmaconą nieco wonią eteru, która zawsze towarzyszyła doktorowi. Ta sama pielęgniarka nienawidziła wprost komicznego imienia Wilbur: czuła się osobiście dotknięta bezmyślnością połączenia głupekowego słowa „Wilbur” z wzniosłą tężyzną strzelistego drzewa.

Druga pielęgniarka wyobrażała sobie, że się kocha w doktorze Larchu, więc kiedy wypadała jej kolej nazywania dzieci, nazywała je zazwyczaj John Larch, John Wilbur (jej ojciec miał na imię John) albo Wilbur Walsh (jej matka była z domu Walsh). Chociaż kochała się w doktorze Larchu, nazwisko Larch nie kojarzyło jej się z niczym – myśląc o doktorze, nigdy nie myślała o drzewach. Za to przepadała za Wilburem, gdyż nadawał się i na imię, i na nazwisko; a kiedy znudził jej się John albo koleżanka narzekała, że za dużo Johnów, potrafiła zdobyć się najwyżej na Roberta Larcha albo na Jacka Wilbura (zapewne nie wiedziała, biedactwo, że imieniem Jack bardzo często nazywają potocznie Johna).

Gdyby ta nudna, zakochana siostra wybierała mu imię i nazwisko, zostałyby pewnie jakimś Larchem czy Wilburem, a do tego Johnem, Jackiem albo Robertem, żeby było jeszcze nudniej. Ale wypadła właśnie kolej drugiej pielęgniarki, więc nazywał się Homer Wells.

Ojciec drugiej siostry trudnił się wierceniem studni – zajęciem ciężkim, solidnym, niebezpiecznym i wymagającym nie lada precyzji. Te właśnie cechy składały się w pamięci siostry na obraz ojca, przez co słowo *wells* – a *well to* po

angielsku „studnia” – miało dla niej swoistą głębię i przyziemną solidność. Imię Homer należało do jednego z rozlicznych kotów z jej rodzinnego domu.

Pielęgniarka ta – dla prawie wszystkich siostra Angela – bardzo rzadko powtarzała się w nazywaniu dzieci, za to biedna siostra Edna miała na swoim koncie już trzech Johnów Wilburów juniorów i dwóch Johnów Larchów Trzecich. Siostra Angela знаła mnóstwo praktycznych rzeczowników, którymi hojnie wzbogacała kolekcję nazwisk: Maple, Fields, Stone, Hill, Knot, Day, Waters, (że wymienimy tylko skromną garść przykładów) oraz nieco mniej imponującą liczbę imion, zapożyczonych z rodowej kartoteki nieżyjących już, lecz zachowanych w czułej pamięci ulubionych kotów (Felix, Fuzzy, Smoky, Sam, Snowy, Joe, Curly, Ed i tak dalej).

Dla większości sierot imiona i nazwiska nadane przez siostry były, naturalnie, tymczasowe. Oddział chłopięcy górował nad dziewczęcym w statystyce liczby dzieci umieszczonych w rodzinach zastępczych, zanim wyrosły z okresu niemowlęcego, a więc zanim zdążyły poznać imiona otrzymane od dobrych siostrzyczek. Większość maleństw nie pamiętała wcale siostry Angeli ani siostry Edny – pierwszych kobiet, które je pielęgnowały i hołubiły. Doktor Larch przestrzegał żelaznej zasady nieinformowania rodzin adopcyjnych o imionach i nazwiskach, które siostry z takim zaangażowaniem nadawały podopiecznym. Chodziło o to, aby dziecko, opuszczając sierociniec, zaznało radosnego uczucia, że życie rozpoczyna się na nowo – w praktyce jednak (zwłaszcza w odniesieniu do tych chłopców, którym trudno było znaleźć rodziny zastępcze i którzy w związku z tym długo pozostawali w St. Cloud's) siostrze Angeli i siostrze Ednie, a nawet doktorowi Larchowi, nie było łatwo pamiętać, że ich Johnowie Wilburowie i Johnowie Larchowie (a także Felixowie Hillowie, Curly'owie Maple'owie, Joe'owie Knotowie, Smoky'owie Watersowie) nie noszą swoich sierocych imion na zawsze.

Homer Wells pozostał przy swoim pierwszym imieniu i nazwisku, ponieważ po kolejnych niefortunnych adopcjach tyle razy wracał do St. Cloud's, że wreszcie sierociniec musiał uznać wolę Homera i stać się jego domem. Nikomu nie było łatwo się z tym pogodzić, ale i siostra Angela, i siostra Edna – i, po długich oporach, sam doktor Wilbur Larch – stwierdzili ostatecznie, że „miejsce Homera Wellsa jest w St. Cloud's”. Chłopak się uparł i dopiął swego: nie proponowano go już do adopcji.

Siostra Angela, miłośniczka kotów i sierot, doszła do wniosku, że Homer Wells musi wręcz ubóstwiać imię, które mu nadała, skoro tak zawzięcie walczył o jego utrzymanie.

Miejscowość St. Cloud's w stanie Maine była przez cały prawie wiek dziewiętnasty obozowiskiem drwali. Obóz z czasem rozrósł się w miasteczko. W dolinie rzeki, gdzie teren był płaski i dawał możliwość budowy pierwszych dróg i dostarczenia nimi ciężkiego sprzętu, urządzono warsztaty. Pierwszym budynkiem był tartak. Osiedlili się tam z początku francuscy Kanadyjczycy – leśnicy, drwale, pracownicy tartaku; potem ściągnęli wozacy i flisacy trudniący się transportem drewna; za nimi prostytutki, włóczędzy i złodzieje. Na ostatku pobudowano kościół. Pierwotny obóz drwali nazywał się zwyczajnie – Cloud's, czyli „chmury”, bo nad głęboką doliną chmury rozstępowały się bardzo niechętnie. Do późnych godzin przedpołudnia nad wartką rzeką wisiała gęsta mgła, a ryczące z odległości kilku kilometrów od obozu wodospady nieustannie rozpylały dokoła misterną mżawkę. Pierwszym drwalom w bezkarnym gwałceniu puszczy przeszkadzały jedynie gzy i komary: uciążliwe insekty przedkładały żywot pod rzadko unoszonym baldachimem chmur w słabo wentylowanych dolinach środkowego Maine nad ostre górskie powietrze okolicznych szczytów i suchy, słoneczny brzeg krystalicznego morza w tymże stanie.

Doktor Wilbur Larch był nie tylko lekarzem sierocińca i dyrektorem oddziału chłopięcego, (który zresztą założył), lecz również z własnej woli kronikarzem miasteczka. Zdaniem doktora Larcha, osada drwali zwana Cloud's przeistoczyła się w St. Cloud's z powodu „nieposkromionej skłonności prowincjonalnych katolików do stawiana przymiotnika „święty”, przed czym się tylko da – jak gdyby chcieli na siłę uszlachetnić to, co naturalną drogą nigdy nie dostąpiłoby szlachectwa. Nazwa St. Cloud's utrzymała się przez blisko pół wieku, dopóki ktoś nie wcisnął w nią apostrofu – musiał to zrobić ktoś nieświadomy genezy osady i jej miana. Jeszcze nim St. Cloud's stało się St. Cloud's, osada zmieniła charakter i z dawnego obozowiska drwali stała się miasteczkiem-papiernią. W promieniu wielu kilometrów lasy były już do cna wykarczowane; zamiast kłód tamujących nurt na rzece i obozowego rozgardiaszu, wśród którego kuśtykali inwalidzi okaleczeni wskutek upadku z drzewa albo przywalenia przez upadający pień, widziało się tam teraz schludne sterty świeżo przyciętych desek, schnące w otulonym mgiełką słoneczku. Wszędzie unosił się drzewny pył, niewidoczny dla oka, lecz objawiający się powszechnym kichaniem, świstami w oskrzelach, wiecznym katarem i kaszlem mieszkańców osady. Inwalidzi nowej generacji zamiast kul i lasek nosili szwy chirurgiczne i głębokie blizny (dokonywali cudów w rekompensowaniu sobie brakujących fragmentów ciała) po pilach mechanicznych, których w tartaku pracowała moc. Natarczywy wizg pił

panował tu nieprzerwanie, jak mgła i mżawka, która wilgotną płachtą wisi nad całym obszarem środkowego Maine – czy to mokrą, długą, śnieżną zimą, czy mokrym, dusznym, cieplarnianym latem – z rzadka tylko szarpana gwałtownymi burzami.

Te okolice Maine nie znają wiosny, chyba, że wiosną nazwiemy marcowo-kwietniowe roztopy, w czasie, których ciężkie maszyny drwali stały unieruchomione i praca w miasteczku zamierała. Nieprzejezdne drogi więziły ludzi po domach, a co do rzeki na wiosnę, to tak wzbierała i przyspieszała nurt, że nikt nie odważyłby się na nią wypłynąć. Wiosna była w St. Cloud's porą rozróby: kwitło pijaństwo, awanturnictwo, prostytutka i gwałty. Wiosną przychodził sezon na samobójstwa. Wiosną siało się gęsto ziarno dla sierocińca.

A jesień? Doktor Wilbur Larch pisał o jesieni w swojej kronice, a zarazem pamiętniku, gdzie codziennie notował, co zdarzyło się w sierocińcu. Każdy kolejny wpis rozpoczynał doktor Larch słowami: „U nas w St. Cloud's...” – wyjątkowo: „Wszędzie indziej na świecie...” O jesieni doktor Larch miał do powiedzenia, co następuje: „Wszędzie indziej na świecie jesień przeznaczona jest na żniwa: człowiek zbiera owoce wiosennych i letnich prac. Owoce te zapewnią mu utrzymanie na okres uśpienia wegetacji, zwany zimą. Ale u nas w St. Cloud's jesień trwa zaledwie pięć minut”.

Dziwne? A jaki klimat kojarzy się przeciętnemu człowiekowi z sierocińcem? Może uzdrowiskowy, co? I kto sobie wyobraża sierociniec kwitnący w mieście o nieposzlakowanej reputacji?

Pisząc swój dziennik, doktor Larch demonstracyjnie oszczędzał papier. Drobnią, ściśniętą kaligrafią zapępiał obie strony kartki. Nie należał do ludzi pozostawiających marginesy. „U nas w St. Cloud's – zgadnijcie, kto jest wrogiem lasów Maine, podłym ojcem niechcianych dzieci, przyczyną blokowania rzeki butwiejącym drewnem, jałowienia nieuprawianej, erodującej po powodziach gleby – któż to, któż, zgadnijcie, jest tym nienasyconym niszczycielem (najpierw drwała z pokiereszowanymi palcami, potem niewolnika ręcznego tartaku, o wysuszonych, spękanych dłoniach, przy których część palców jest tylko wspomnieniem); cóż to za żarłok nigdy nie ma dość świeżego drewna... zgadnijcie, kto to taki?”

Największym wrogiem doktora Larcha był papier – a ściślej mówiąc: wytwórnia papieru Ramses Paper Company. Dla drwali – rozumował doktor Larch – drewna w lesie zawsze wystarczy, ale nie wystarczy go na produkcję takiej ilości papieru, o jakiej zdaje się marzyć spółka Ramses Paper. Zwłaszcza, jeżeli się nie sadi nowych drzew. Gdy już dokładnie ogołoco z lasów okolice St. Cloud's, a drugi

porost (w postaci karłowatej sosny i, gdziekolwiek, innych zdeformowanych iglaków) rozprzestrzenił się dziko jak na bagnach, i gdy zabrakło wielkich kłód do spławiania rzeką z Wodospadu Trzy Mile do St. Cloud's – bo nic tam już nie rosło – wtedy spółka Ramses Paper zainaugurowała w stanie Maine dwudziesty wiek, zamykając nadrzeczną papiernię i tartak w St. Cloud's i przenosząc się z interesem dalej, z biegiem rzeki.

Co pozostało? Pogoda jak zawsze, drzewny pył, poharatany brzeg rzeki (tam, gdzie ciężkie kłody, wrzynając się w nabrzeże, wyszarpały nową jego linię na podobieństwo świeżej rany) i budynki: tartak, w którym ktoś wytłukł wszystkie szyby, hotelik dla prostytutek z tancbudą na dole, pokojem do gry w bingo na pieniądze, z okna, którego roztaczał się widok na krnąbrną rzekę; parę typowych domów mieszkalnych z grubych bali i kościoł – katolicki, bo służył kanadyjskim Francuzom – zdecydowanie zbyt czysty i mało zniszczony jak na St. Cloud's, bo nigdy nie mógł konkurować pod względem popularności z domem publicznym, tancbudą, a nawet z grą w bingo na pieniądze. (Doktor Larch zanotował w dzienniku: „Wszędzie indziej na świecie grywa się w tenisa lub w pokera, ale u nas w St. Cloud's gra się w bingo na pieniądze”.)

A kto został? Nikt ze spółki Ramses Paper, to jasne, ale jacyś ludzie przecież zostali: najstarsze i najbrzydsze prostytutki oraz ich pociechy. Z zaniedbywanych przez lud duszpasterzy kościoła katolickiego w St. Cloud's nie ostał się ani jeden: idąc za spółką Ramses Paper, zawsze mieli więcej duszyczek do zbawienia.

W *Krótkiej historii St. Cloud's* doktor Larch wspomina, że co najmniej jedna z pozostałych w miasteczku prostytutek umiała czytać i pisać. Ostatnią barką, która w ślad za spółką papierniczą Ramses Paper podążyła z biegiem rzeki na spotkanie nowej cywilizacji, ta w miarę piśmienna prostytutka wysłała list, adresowany DO DOWOLNEGO URZĘDNIKA W STANIE MAINE, KTÓREGO OBCHODZĄ SIEROTY!

O dziwo – list znalazł adresata. Wielokrotnie przekazywany z rąk do rąk (jako pismo tyleż kuriozalne, co pilne” – relacjonował w swej kronice doktor Larch), dotarł w końcu do stanowej komisji zdrowia. Najmłodszemu członkowi rzeczonoj komisji – „żółtodziobowi ledwo po studiach medycznych”, jak sam siebie scharakteryzował doktor Larch – wręczono list prostytutki dla kawału. W oczach reszty komisji Larch uchodził bowiem za „skrajnie naiwnego demokratę i liberała”. Oto treść listu: TU, CHOLERA, POTRZEBA DOKTORA I, CHOLERA, SZKOŁY I PRZYDAŁBY SIĘ JESZCZE, CHOLERA, POLICJANT I JAKIŚ, CHOLERA, ADWOKAT, TU U NAS, W



ST. CLOUD'S, BO WSZYSTKIE CHŁOPY, CHOLERA, OD NAS WYJECHAŁY (MAŁA STRATA), WIĘC NIECH KTOŚ POMOŻE SŁABYM KOBIECIOM I SIEROTOM!

Przewodniczący stanowej komisji zdrowia, emerytowany lekarz, uważał, że na świecie żyje dwóch ludzi, którzy nie wypadli sroce spod ogona: on sam i prezydent Teddy Roosevelt.

– A może byś tak zajrzał w ten bigos, Larch? – zaproponował naszemu doktorowi przewodniczący, któremu nawet w głowie nie postało, że z tak skromnego zaproszenia wyrosnie kiedyś solidna placówka państwowa – sierociniec! – którą z czasem zechce wesprzeć nie tylko fundusz federalny, ale nawet ci najbardziej kapryśni i zmienni dobroczyńcy – „sponsorzy prywatni”.

I tak, w roku 190-, gdy młodziutki, obiecujący wiek dwudziesty rozkwitał w całym świecie (nawet w stanie Maine), doktor Wilbur Larch rozpoczął swoją misję naprawiania krzywd w St. Cloud's. Praca ta była jak stworzona dla niego. Przez dwadzieścia bez mała następnych lat doktor Larch miał opuścić St. Cloud's tylko raz – dla pierwszej wojny światowej, która kto wie, czy potrzebowała go bardziej niż St. Cloud's. Czyż można wyobrazić sobie lepszą obsadę roli naprawiacza krzywd po spółce papierniczej Ramses Paper niż człowiek o nazwisku zapożyczonym od jednego z najpopularniejszych drzew? W swoim dzienniku, na jednej z pierwszych stron, doktor Larch zanotował: „U nas w St. Cloud's nastał najwyższy czas dla działań na rzecz dobra. Gdzież można lepiej doskonalić siebie, działając przy tym dla dobra innych ludzi, niż tam, gdzie zło tak jawnie się pleni, by nie powiedzieć: triumfuje?”

W roku 192-, kiedy Homer Wells przyszedł na świat, został obrzezany i otrzymał imię oraz nazwisko, siostra Edna (ta zakochana) i siostra Angela (ta niezakochana), mówiąc o założycielu sierocińca, lekarzu, kronikarzu, bohaterze wojennym (dostał nawet medal) i dyrektorze oddziału chłopięcego w jednej osobie, określały go obie tym samym przydomkiem.

„Święty Larch” – tak na niego mówiły. Dlaczego nie?

Zezwalając Homerowi Wellslowi na pozostanie w St. Cloud's tak długo, jak długo chłopiec czuł, że tam właśnie jest jego dom, doktor Wilbur Larch użył po prostu swego znacznego, i zasłużonego, autorytetu. W kwestii przynależności kogokolwiek do St. Cloud's, doktor Larch był autorytetem najwyższym. Święty Larch znalazł swoje miejsce w dwudziestym wieku – miejsce, gdzie, jak to mawiał, „może się przydać”. Tymi też słowy udzielił ogólnego wskazania Homerowi Wellslowi, akceptując z powagą jego wolę pozostania w St. Cloud's.

– W takim razie, Homerze – powiedział doktor Larch – mam nadzieję, że nam się przydasz.

Homer Wells nie robił nic innego, jak tylko się przydawał. Chęć przydawania się poznał dużo wcześniej niż wskazówkę doktora Larcha. Pierwsi rodzice adopcyjni zwrócili Homera Wellsa do St. Cloud's: uznali, że coś z nim jest nie w porządku, bo nigdy nie płakał. Wyznali, że są rozczarowani, bo przy Homerze budzą się w tej samej ciszy, która ich w ogóle skłoniła do adoptowania dziecka. Zrywali się, przerażeni, czemu dziecko ich nie budzi, pędzili do dziecinnego pokoju, pełni obaw, że malec nie żyje – a Homer Wells bezzębnymi usteczkami zagryzał wargę, czasem się skrzywił, ale nigdy głośno nie domagał się jedzenia albo suchej pieluszki. Pierwsi rodzice adopcyjni Homera podejrzewali go o to, że nigdy nie śpi, tylko dniem i nocą cierpi w milczeniu. Uznali to za nienormalne.

Doktor Larch wyjaśnił im, że niemowlęta z St. Cloud's są przyzwyczajone do długiego leżenia w łóżeczkach bez opieki. Siostra Angela i siostra Edna – jakkolwiek wielkie było ich oddanie – nie zdołałyby dobiec do każdego z dzieci, gdy tylko zapłacze, więc płacz nie na wiele się przydawał w St. Cloud's. Mówiąc to, doktor Larch w głębi serca dobrze wiedział, że Homer ma nadzwyczajną zdolność powstrzymywania płaczu, nawet jak na sierotę.

Doktor Larch wiedział z doświadczenia, że jeśli dwoje ludzi z tak błahych powodów rezygnuje z dziecka, to nie byłoby z nich dobrzy rodzice dla sieroty. Pierwsi rodzice adopcyjni Homera tak szybko doszli do wniosku, że wciśnięto im niepełnowartościowy egzemplarz – kretyna z uszkodzeniem mózgu, – że doktor Larch nie starał się ich specjalnie przekonywać, że Homer jest niemowlęciem absolutnie zdrowym i doskonale rokującym na długą przyszłość.

Drugie małżeństwo, które adoptowało Homera, przyjęło odmienną postawę wobec jego milkliwości, mężnej miny i odporności na niewygody życia. Druga para rodziców adopcyjnych bijła Homera, i to tak regularnie, że udało im się wydusić z niego odgłosy, które powinno wydawać szanujące się niemowlę. Płacz uratował Homerowi życie.

Za pierwszym razem udowodnił, że jest twardy i umie oprzeć się łzom. Teraz, skoro stwierdził, że łzy, piski i krzyki są właśnie tym, czego pragnie odeń rodzina zastępcza, nie szczędził wysiłku, by wykazać się przydatnością w nowej roli: wył z całego serca, najgłośniej jak umiał. Tak bardzo pragnął zadowolić otoczenie, że doktor

Larch, ku swemu najwyższemu zdumieniu, dowiedział się niebawem, iż wychowanek St. Cloud's zakłóca spokój w całym – na szczęście niedużym – pobliskim miasteczku Wodospad Trzy Mile. Całe szczęście, że Wodospad Trzy Mile był małym miasteczkiem, bo dzięki temu od paru tygodni wszyscy jego mieszkańcy rozprawiali tylko o wrzaskach Homera. I całe szczęście, że miasteczko Wodospad Trzy Mile leżało w pobliżu St. Cloud's, gdyż plotki stamtąd dotarły do sierocińca, tam zaś do siostry Angeli i siostry Edny, do których docierały wszystkie plotki obiegające okoliczne miasteczka wioślarzy, drwali i papierników. Gdy siostra Angela i siostra Edna usłyszały, jak to Homer Wells do późna w noc nie daje spać mieszkańcom Wodospadu Trzy Mile i jak ich budzi na nowo przed pierwszym brzaskiem, dobra pamięć podsunęła jednej i drugiej dręczące wątpliwości. Udały się wprost do Świętego Larcha.

– Mój Homer tak się nie zachowuje! – wołała siostra Angela.

– Płacz nie jest zgodny z jego naturą, Wilburze – wtórowała jej siostra Edna, zawsze korzystająca z okazji, aby wymówić głośno to drogie sercu imię: Wilbur! Irytowało to strasznie siostrę Angelę (to, że siostra Edna nie umiała się czasem oprzeć pokusie nazwania doktora Larcha Wilburem, nawet przy ludziach).

– Doktorze Larch – siostra Angela dobitnie podkreśliła tonem formalność zwrotu. – Jeżeli Homer Wells nie daje spać Wodospadowi Trzy Mile, to znaczy, że ludzie, którym go pan powierzył, przypalają dziecko papierosami.

Nie byli to ludzie tego pokroju. Ale przypalanie żywych istot papierosem było dla siostry Angeli kwintesencją okrucieństwa; nienawidziła palenia tytoniu – sam widok papierosa przyklejonego do czyichś ust przywodził jej na myśl Indianina, który kiedyś odwiedził ojca siostry Angeli i po francusku omawiał z nim drażnienie studni, po czym zdusił peta dokładnie między oczami jednego z domowych kotów, przypalając zwierzęciu nos! – bo kociak, a ściślej mówiąc, wytrzebiona kociczka o wyjątkowo serdecznym usposobieniu, nieopatrznie wskoczyła Indianinowi na kolana. Wabiła się Bandyta, a z pyszczką do złudzenia przypominała szopa. Siostra Angela żadnego z podopiecznych nie nazwała po Bandycie, gdyż imię Bandyta uważała za wybitnie żeńskie.

Małżeństwo z Wodospadu Trzy Mile nie kwalifikowało się do żadnej z potocznych odmian sadystów. Mąż był sporo starszy od żony, wychowywali dorastające dzieci z jego poprzedniego małżeństwa; młoda małżonka bezskutecznie marzyła o zajściu w ciążę. Cała rodzina zgodna była co do tego, że młodej kobiecie przydałoby się własne dziecko. Jednocześnie było coś, o czym nikt głośno nie

wspominał: jedna z dorosłych córek męża z poprzedniego małżeństwa powiła w domu niemowlę z nieprawego łoża, o które nie dbała należycie, przez co dziecko bez przerwy się darło. Ponieważ wszyscy skarżyli się, że dzieciak ryczy dzień i noc, córka męża z pierwszego małżeństwa pewnego pięknego dnia zwinęła manatki, zabrała dziecko i poszła z domu, zostawiając rodzinie kartkę tej oto treści:

MAM PO DZIURKI W NOSIE CIĄGLYCH NARZEKAŃ, ŻE MÓJ DZIECIAK PŁACZE. WYNOSZĘ SIĘ. NA PEWNO NIKT NIE BĘDZIE TĘSKNIŁ ZA RYKAMI MOJEGO DZIECIAKA ANI ZA MNĄ.

O dziwo – zatęsknili. Wszystkim w rodzinie brakowało cudownego, wrzaskliwego berbecia i ukochanej, ociężałej umysłowo córki i siostry, która uniosła go w świat.

– Fajnie by było znowu mieć malucha, który się drze całymi dniami – powiedział wreszcie ktoś z rodziny. Wtedy pojechali do St. Cloud's i wzięli sobie dziecko.

Niemowlę, które nie ma zwyczaju płakać, nie mogło trafić gorzej. Milkiwość Homera dogłębnie rozczarowała całą rodzinę; więcej – przyjęli ciszę jako osobisty afront. Cały dom wciągnął się we współzawodnictwo; najpierw o to, kto pierwszy wydusi z niemowlęcia głośny krzyk; potem – o najgłośniejszy wrzask; w końcowej fazie – o płacz ciągły na czas.

Z początku osiągali swój cel nie karmiąc dziecka, ale molestowane darło się o wiele lepiej. Najczęściej szczypali je i szturchali, chociaż ślady na ciałku dziecka świadczyły o tym, że było również bite. Najdłuższy płacz uzyskiwali straszaniem: stwierdzili empirycznie, że najskuteczniej jest straszyć zniecka. W kategoriach natężenia wrzasków i płaczu ciągłego na czas musieli osiągnąć nie lada mistrzostwo, skoro ryki Homera Wellsa przeszły do legendy w Wodospadzie Trzy Mile. W miasteczku tym bowiem trudno było usłyszeć cokolwiek – a jeszcze trudniej przekuć cokolwiek w legendę.

Miejscowy wodospad sam ryczał bez ustanku, i to tak przeraźliwie głośno, że każdy morderca uznałby Wodospad Trzy Mile za raj dla zbrodni: strzałów i krzyków na pewno nikt by tam nie usłyszał. Gdyby hipotetyczny morderca z Wodospadu Trzy Mile spuścił ciało ofiary w wodospad, nic by trupa nie zatrzymało (nawet o lekkim hamowaniu nie było mowy, nie wspominając o nedorzecznym pomysle znalezienia

zwłok) aż do miejscowości położonej o kilka kilometrów dalej z biegiem rzeki, a zwanej St. Cloud's. Jest więc rzeczą tym bardziej zdumiewającą, że wszyscy mieszkańcy miasteczka słyszeli wrzaski Homera.

Siostrę Angelę i siostrę Ednę kosztowało to prawie rok usilnych starań, aby Homer Wells przestał się zrywać z krzykiem w środku nocy i dostawać spazmów, ilekroć ktoś wszedł w jego pole widzenia, a także na każdy odgłos ludzki czy też mechaniczny, jak przesuwanie krzesła po podłodze, skrzypnięcie łóżka, zamknięcie okna, otwarcie drzwi. Każdy widok lub dźwięk kojarzący się z człowiekiem i choćby z minimalnym prawdopodobieństwem adresowany do Homera Wellsa, budził przenikliwy, spazmatyczny pisk, po którym następował szloch tak rozdzierający, że osoba przypadkiem zwiedzająca oddział chłopięcy musiałaby, słysząc go, dojść do wniosku, że bajki nie kłamią, bo sierociniec rzeczywiście jest miejscem tortur i koszmarnym więzieniem, w którym dręczy się maleństwa metodami przekraczającymi ludzkie pojęcie.

– No, Homer, Homer – mruczał kojąco doktor Larch w przerwach, gdy purpurowy na buzi malec musiał zaczerpnąć oddechu. – Bo wszyscy pójdziemy przez ciebie siedzieć za morderstwo. Wpakujesz nas do ciupy, Homer.

Biedna siostra Edna i biedna siostra Angela nigdy już – w przeciwieństwie do Homera Wellsa – nie wylizały się z blizn po rodzinie z Wodospadu Trzy Mile, a i doktor Larch, dobrotliwy, wspaniały Święty Larch, nie otrząsnął się całkowicie ze skutków incydentu. To przecież on rozmawiał przed adopcją z tą rodziną, z każdym jej członkiem oddzielnie przeprowadzał wywiad – i mimo to tak strasznie się pomylił. Widział ich także po wszystkim, w dniu, kiedy udał się do Wodospadu Trzy Mile po Homera Wellsa, żeby go zabrać z powrotem do St. Cloud's.

Do końca życia miał doktor Larch zapamiętać śmiertelne przerażenie malujące się na twarzach wszystkich bez wyjątku domowników, kiedy tam wszedł i wziął Homera na ręce. Ten wyraz skrajnego przerażenia prześladował go do ostatnich chwil życia, gdyż zawierała się w nim cała prawda o tym, czego dobry doktor nigdy nie potrafił pojąć: piramidalnej sprzeczności uczuć, które ludzie żywią do dzieci. Oto ciało człowiecze, bez wątplenia stworzone na to, aby chcieć potomstwa – a oto człowieczy umysł, jakże pełen wątpliwości na ten temat. Nieraz umysł człowieczy kategorycznie sprzeciwia się posiadaniu dziecka, ale bywa i tak, że umysł perwersyjny wymusza urodzenie dziecka na drugiej osobie, która tego bardzo nie chce. W imię czego tak się dzieje? – zastanawiał się doktor Larch. W imię czego lub kogo w niektórych umysłach rodzi się przymus powoływania na świat nawet tych najbardziej niechcianych dzieci?

Albo – jakie procesy przebiegają w umysłach tych ludzi, którzy, co prawda, deklarują chęć posiadania dzieci, ale potem nie umieją (może nie chcą) się nimi zajmować... co oni sobie myślą przedtem? Ilekroć doktor Larch zapędził się na manowce tych rozważań, napotykał tam obraz lęku wyniesiony z domu adopcyjnego w Wodospadzie Trzy Mile i legendarne wycie małego Homera Wellsa. Zbiorowy lęk tamtej rodziny odcisnął się w pamięci doktora na zawsze i co dzień na nowo utwierdzał Świętego Larcha w przekonaniu, że kto raz w życiu widział taki lęk, temu nigdy, przenigdy, nie wolno zmusić kobiety do urodzenia niechcianego dziecka, „NIKOMU!” – zanotował w dzienniku doktor Larch. „Nawet przedstawicielom spółki papierniczej Ramses!”

Nikt przy szczątkowo choćby zdrowych zmysłach nie ważył się poruszać w obecności doktora Wilbura Larcha tematu aborcji – chyba, że gotów był wysłuchać szczegółowej relacji o sześciotygodniowym pobycie Homera Wellsa w Wodospadzie Trzy Mile. Doktor Larch tylko w ten jeden sposób wypowiadał się w sprawie aborcji (bez dyskusji). Był położnikiem, ale na prośbę zainteresowanej – i tylko wtedy, gdy zabieg był bezpieczny – dokonywał usunięcia płodu.

Zanim Homer ukończył cztery lata, opuściły go te słynne sny, przez które kto żyw w St. Cloud's zrywał się z łóżka. Stróż nocny zrezygnował tymczasem z pracy („Jeszcze jedna noc z tym małym – powiedział odchodząc – a serce by mi pękło”), ale doktor Wilbur Larch przez wiele następnych lat, słysząc przez sen płacz dziecka, przewracał się z boku na bok i mamrotał: „Homer, Homer, no, już dobrze, Homer”.

W St. Cloud's zawsze jakieś dziecko płakało przez sen, ale żadne nie opanowało nocnego budzenia się z wrzaskiem do takiej perfekcji, jak Homer Wells.

– Jakby go dźgali nożem – szeptała ze zgrozą siostra Edna.

– Jakby go przypalali papierosem – stawiała swoją diagnozę siostra Angela.

I tylko jeden Wilbur Larch wiedział naprawdę, co odczuwa Homer Wells, kiedy gwałtownie, dramatycznie budzi w nocy siebie i innych: „Jak podczas obrzezania” – zapisał doktor Larch w dzienniku. „Jakby mu stale, po troszeczkę, oskubywali ten mały penisek.”

Trzecia rodzina adopcyjna, która się wzięła za Homera Wellsa, była tak wybitnie nienaganna i wzorowa, że sądzić rodzaj ludzki podług tej rodziny byłoby niedorzecznością. Lepszą rodzinę trudno sobie wyobrazić. Musieli być idealni, skoro

doktor Larch powierzył im Homera. Po doświadczeniach z Wodospadu Trzy Mile doktor Larch traktował Homera ze szczególną troską.

Profesorostwo Draper, małżeństwo od blisko czterdziestu lat, mieszkali w Waterville, w stanie Maine. W roku 193-, kiedy trafił tam Homer Wells, Waterville nie było może mekką intelektualistów, ale w porównaniu z takim St. Cloud's czy Wodospadem Trzy Mile plasowało się o parę szczebli wyżej na drabinie cywilizacji. Usytuowane było jeszcze w środkowym Maine, ale na wyższych terenach, w pobliżu gór, skąd roztaczały się dalekie widoki; luksus życia w górach (również na wybrzeżu, równinie i otwartej farmie) polega na rozległości horyzontu. Regularne spoglądanie na szeroki horyzont wzmacnia duszę człowieka i pobudza jego ekspansywną naturę – tak przynajmniej twierdził profesor Draper, który był urodzonym pedagogiem.

– Doliny, w których nie uprawia się ziemi – wywodził profesor – porastają niskim, gęstym lasem, zasłaniającym wszelki widok: w takich warunkach wszystko, co wzniosłe w człowieku, karleje, rozkwitają natomiast skłonności małostkowe i podłe.

– Trzeba ci wiedzieć, Homerze – pouczała Homera pani Draper, – że profesor jest urodzonym pedagogiem. Należy go traktować z przymrużeniem oka.

Na panią Draper wszyscy mówili Mamcia. Na profesora nikt (nawet jego własne dorosłe dzieci ani wnuki) nie mówił inaczej niż Profesor. Nawet doktor Larch nie dowiedział się, jak profesor ma na imię. Mimo belferskiego, chwilami nawet wyniosłego tonu, profesor wiódł życie skromne, regularne i uporządkowane, a z natury był zrównoważony i jowialny.

– Mokre obuwie – pouczał Homera – to w Maine niekwestionowany fakt. Aksjomat. Twoja metoda, Homerze: wystawianie mokrego obuwia na parapet, aby schło w słabowitych i rzadko nas nawiedzających promieniach słońca, godna jest podziwu dla swego aspektu pozytywnego, cechuje ją bowiem programowy optymizm. Aliści – tu profesor na chwilę zawieszał głos – ja osobiście proponowałbym inną metodę – metodę, dodam zaraz, niezależną od pogody, bo bazującą na bardziej niezawodnym w stanie Maine źródle ciepła; mówiąc krótko – na piecu. Jeśli weźmiesz pod uwagę fakt, iż w dniach, kiedy buty nam przemakają, nie widzimy słońca, ufam, że uznasz bezsporną wyższość metody piecowej nad parapetową.

– Pamiętaj, Homerze: z przymrużeniem oka – radziła Homerowi pani Draper. Nawet profesor mówił do niej Mamcia. Nawet Mamcia mówiła do profesora Profesor.

Jeżeli nawet Homera Wellsa drażniły napuszone wywody profesora, to nigdy się nie skarżył. Nawet to, że studenci i koledzy profesora z wydziału historii uważali go za nieuleczalnego nudziarza i pierzchali, gdy tylko pojawiał się na horyzoncie, jak

zające na widok opieszalego, lecz starannie wężącego wyżła, nie miało najmniejszego wpływu na zdanie Homera o pierwszym w jego życiu człowieku, który ucieleśniał rolę ojca i mógł w tej roli rywalizować z doktorem Larchem.

W Waterville powitano Homera z honorami, jakich nigdy wcześniej nie zaznał. Siostra Angela i siostra Edna gotowe były w każdej chwili ruszyć mu na odsiecz, a doktor Larch sprawował nad wszystkim czułą – chociaż nacechowaną zewnętrzną surowością i dystansem – kontrolę. Ale pani Draper okazała się uosobieniem macierzyństwa. Reprezentowała typ matki-kwoki. Zrywała się z łóżka, zanim Homer zdążył otworzyć oczy. Ciasteczka, które piekła, kiedy Homer spożywał pierwsze śniadanie, w isticie cudowny sposób były wciąż gorące, gdy w szkole, na południowej przerwie, wyciągał je ze śniadaniówki. Mamcia Draper chodziła z Homerem do szkoły – i to na przelaj, ignorując drogi; powiadała, że to jej „przywilej”.

Po południu profesor Draper zjawiał się na szkolnym boisku i tak się zawsze przypadkiem składało, że akurat zakończył ostatni wykład na uczelni, więc do domu wędrowali we dwóch. Zimą – a do Waterville zima przychodziła wcześniej – były to wędrowniki co się zowie, w rakietach śnieżnych, których opanowanie profesor stawiał na równi z nauką pisania i czytania.

– W zdrowym ciele zdrowy duch, Homerze – mawiał profesor.

Łatwo zgadnąć, czym profesor ujął doktora Larcha: żywiołowym stosunkiem do praktycznych stron życia.

Homerowi podobała się codzienna rutyna, odmierzana miarowym tup, tup, tup; podobało mu się, że zawsze można przewidzieć, co dalej nastąpi. Sierota jest, rzecz można, dzieckiem do kwadratu w umiłowaniu wszystkiego, co się powtarza codziennie, zgodnie z planem. Sierota czepia się każdej rzeczy, która sprawia wrażenie trwałej i niezmiennej.

Doktor Larch lansował na oddziale chłopcym tyle przejawów potocznej codzienności, na ile tylko pozwalała specyfika instytucji sierocińca. Posiłki podawano co dzień o tej samej porze. Co wieczór o wyznaczonej godzinie doktor Larch czytał dzieciarni na dobranoc – zawsze dokładnie tak samo długo, nawet jeśli oznaczało to przerwanie lektury w środku pasjonującego epizodu i chłopcy krzyczeli: „Jeszcze kawałeczek, jeszcze kawałeczek, tylko to, co się stało zaraz potem!”

„Dalej będzie jutro, też tutaj, o tej samej porze” – mówił im na to Święty Larch. Wśród pomruków zawodu i niezadowolenia, doktor Larch unosił z sypialni cenną rzecz: daną obietnicę. Wiedział, że ustanawia rytuał. „U nas w St. Cloud’s – pisał potem w dzienniku – poczucie bezpieczeństwa mierzy się liczbą złożonych obietnic.



Każde dziecko pojmuje wagę obietnicy – jeśli zostaje dotrzymana – i radośnie wyczekuje następnej. W sierotach poczucie bezpieczeństwa buduje się powolną systematycznością.”

Powolnym, lecz systematycznym można nazwać żywot Homera u profesorostwa Draperów w Waterville. Każda czynność stawała się tam nauką; każdy kąt wygodnego, starego domu krył jakąś lekcję, z której należało wyciągnąć wnioski i już zawsze potem się ich trzymać.

– To Rufus. Staruszek – mówił profesor, przedstawiając Homerowi psa. – To dywanik Rufusa, jego królestwo. Kiedy Rufus drzemie w swoim królestwie, lepiej go nie budzić, chyba, że chcesz się przekonać, jak kłapie zębami. – Na dowód prawdziwości wykładu, profesor obudził Rufusa, który istotnie ocknął się z gwałtownym kłapnięciem – po czym przez chwilę kontemplował, zdumiony, puste miejsce, które przed chwilą ugryzł, wspominając zapach i smak młodych Draperzątek, które się dawno pożeniły i miały już własne dzieci.

Homer poznał młodsze pokolenia Draperów przy okazji Święta Dziękczynienia. U Draperów Święto Dziękczynienia było wielkim wydarzeniem rodzinnym – pod tym względem żadna inna rodzina nie dorastała im do pięt. Mamcia przechodziła samą siebie w macierzyńskości. Profesor sypał wykładami na wszelkie tematy: o zaletach białego mięsa i czerwonego mięsa; o ostatnich wyborach; o snobistycznym wynalazku widelczyka do sałatek; o wyższości powieści dziewiętnastowiecznej nad współczesną (oraz innych dowodach wyższości tegoż stulecia nad obecnym); o właściwej konsystencji sosu żurawinowego; o znaczeniu słowa „skrucha”; o korzyściach płynących z ćwiczeń fizycznych (ze szczególnym uwzględnieniem rąbania drewna i jazdy na łyżwach); o zgubnym wpływie drzemki w ciągu dnia na zdrowie i charakter człowieka. Na każdą z tych pereł krasomówstwa i logiki dorosłe dzieci profesora (dwie mężatki i jeden żonaty mężczyzna) reagowały zgodnym chórem zwrotów:

- Nic dodać, nic ująć.
- Czyż nie tak?
- Słusznie, Profesorze, bardzo słusznie!

Stereotypowym zachwytem wtórowało Mamcine:

- Z przymrużeniem oka, dzieciaki, z przymrużeniem oka.

Homer Wells przysłuchiwał się tym miarowym odgłosom jak podróżny z innego świata, usiłujący rozszyfrować sens rytmu plemiennych bębnow. Jakoś nie umiał wciągnąć się w atmosferę. Draperowie wydawali mu się monolitami stabilności – i to go peszyło. Dopiero gdy był znacznie starszy, zrozumiał, co naprawdę

odstręczało go od tej rodziny: ich niezmacone, wszechobecne samozadowolenie, jakby stale sami sobie gratulowali, że są tacy świetni; i ten zapal, z którym na każdym kroku upraszczali życie do poziomu szarej nudy.

Bez względu na przyczynę, Homerowi przestało się tam podobać: życie z Draperami stało na przeszkodzie poszukiwaniom drogi, która prowadziła do niego samego – Homera, do tego, kim jest lub kim powinien być. Homer pamiętał niejedno Święto Dziękczynienia obchodzone w St. Cloud's. W sierocińcu nigdy nie było przy tej okazji tyle śmiechu i wesela co w Waterville – ale jakoś Święto Dziękczynienia w St. Cloud's było o wiele prawdziwsze. Homer pamiętał, jak się wtedy przydawał w sierocińcu. Zawsze były maluchy, które nie umiały same jeść. Zawsze groziło odcięcie dopływu prądu wskutek śnieżycy, więc Homer odpowiadał za zapas świec i lampy naftowe. Szefował dyżurnym zmywającym w kuchni, pomagał siostrze Angeli i siostrze Ednie kołysać małe beksy, pełnił wreszcie rolę posłańca doktora Larcha – a był to obowiązek notowany najwyżej, o którym wiele się mówiło na oddziale chłopców. Homer Wells nie ukończył jeszcze dziesięciu lat i nieprędko miał otrzymać cytowaną wcześniej ogólną wskazówkę na życie od doktora Larcha – a już na każdym kroku przydawał się w St. Cloud's.

Cóż więc czyniło tak drastyczną różnicę między Świętem Dziękczynienia u Draperów a w St. Cloud's? Mamci jako kucharce nie dorównywał nikt – a więc nie kuchnia, która zresztą w St. Cloud's cierpiała na bezgraniczną i chyba nieuleczalną jednostajność. Czyżby modlitwa przed posiłkiem? W St. Cloud's modlitwą posługiwano się jak tępym nożem – doktor Larch nie odznaczał się religijnością.

– Dziękujemy Panu Bogu za... – w tym miejscu doktor Larch robił pauzę, jakby za każdym razem na nowo zadawał sobie pytanie: A właściwie za co? – Dziękujemy Panu Bogu za wszelkie dobra, któreśmy otrzymali – kończył wreszcie zdanie, z zażenowaniem zerkając na otaczające go zgromadzenie niechcianych podrzutków. – Dziękujemy Mu za siostrę Angelę i siostrę Ednę – dodawał nieco pewniejszym tonem. – Dziękujemy Mu za możliwość dokonywania wyboru, za to, że daje nam następną szansę – zakończył pewnego razu, patrząc na Homera Wellsa.

Modlitwa na Święto Dziękczynienia w St. Cloud's była zjawiskiem ulotnym, nacechowanym przypadkowością i zrozumiałą rezerwą, tak typową zresztą dla doktora Larcha.

Ceremoniał modlitwy świątecznej u Draperów odznaczał się egzaltacją z odcieniem niesamowitości. Ważnym jego składnikiem był wątek „skruchy” w

naukowym ujęciu profesora. Profesor Draper twierdził, że wstępnym warunkiem prawdziwej skruchy jest szczerze uznanie samego siebie za istotę z gruntu złą.

– Powtarzajcie za mną – grzmiał profesor. – Jestem zły, brzydzę się sobą, ale dzięki Ci, Boże, za moją rodzinę!

I wszyscy powtarzali, nawet Homer, nawet Mamcia, która przy tej jednej jedynej okazji nie wspominała o przymrużeniu oka.

W St. Cloud's panował klimat praktycznego racjonalizmu: modlono się tam oględnie, ale szczerze, z serca – to się czuło. Właśnie w dniu Święta Dziękczynienia Homer zauważył pewien paradoks rodziny Draperów. W Waterville każdemu żyło się dobrze – nie to, co w St. Cloud's; narodziny dziecka, na przykład, witano tu z radością. Więc skąd „skrucha”? Czyżby ze szczęściem wiązało się nieuchronnie poczucie winy? I jeszcze jedno: skoro Larch (tak Homer przynajmniej słyszał) nosił imię drzewa, to Bóg, (o którym stale się mówiło w Waterville) nosi pewnie imię czegoś jeszcze twardszego – może góry, a może lodowca? Ciekawe: chociaż Bóg tak trzeźwiąco wpływał na atmosferę w Waterville, Święto Dziękczynienia w domu Draperów było – ku wielkiemu zdumieniu Homera – okazją do solidnej popijawy.

Profesor miał, jak to mówiła Mamcia – „zdrowo w czubie”. „Zdrowo w czubie” (Homer doszedł do tego metodą dedukcji) musiało oznaczać, że profesor skonsumował więcej niż zwykłą dzienną dawkę alkoholu, po której bywał – w terminologii Mamci – zaledwie „lekką podchmielony”. Homer z prawdziwą zgrozą zauważył, że obie zameżne córki profesora i żonaty syn-jedynak też zachowują się, jakby „mieli zdrowo w czubie”. A ponieważ w Święto Dziękczynienia wolno mu było – tak jak całej czeredzie wnucząt profesorstwa – iść spać później niż zwykle, miał okazję zobaczyć to, co wcześniej znał tylko ze słyszenia, z pogranicza jawy i snu, w który właśnie zapadał: głuchoe odgłosy, jakby ciężki wór walił się na ziemię, wleczenie (pewnie tego wóra) po podłodze, szuranie i stłumiony głos rozsądku – oczywiście, głos profesora, – który coś tłumaczył Mamci, gdy ta ofiarnie taszczyła go do łóżka i układała w pościeli.

– W zdrowym ciele zdrowy duch! – zawołał dorosły, żonaty jedynak profesora, waląc się z zielonej kanapy na dywanik – tuż obok starego Rufusa – jakby zażył piorunującą truciznę.

– Niedaleko pada jabłko od jabłoni – skrzywiła się jedna córka-mężatka. Druga córka-mężatka nie miała absolutnie nic do powiedzenia. Spała sobie błogo w fotelu na biegunach, z dłonią zanurzoną po zgięcie palców w prawie nie tkniętym drinku, a stojąca na jej kolanach szklanka wydawała się wielce zagrożona.

Puszczone wolno wnuczeta z lubością gwałciły dziesiątki zasad obowiązujących w domu dziadków. W Dniu Dziękczynienia profesor wyjątkowo darował sobie porywającą lekturę kodeksu kar grożących za poszczególne występki.

Homer Wells, który nie miał jeszcze dziesięciu lat, wymknął się cichaczem do łóżka. Gdy nie mógł zasnąć – a tak bywało często – przypominał sobie jakiś szczególnie smutny obrazek z życia w St. Cloud's; wtedy zasypiał, żeby się od niego uwolnić. Tym razem przypominał sobie matki opuszczające szpital sierocińca, widoczny z okien oddziału dziewczęcego, a do oddziału chłopięcego przylegający dzięki architektonicznej klamrze w postaci długiego baraku – dawniej tartaczno-magazynu zapasowych ostrzy do pił tarczowych. Dzień jeszcze nie wstał, na dworze było całkiem ciemno; o tym, że pada śnieg, Homer dowiedział się dzięki latarni przy autobusie. Homer z reguły źle sypiał, więc często budziło go przybycie autobusu, który ze stacji kolejowej dostarczał do St. Cloud's prowiant, artykuły sanitarne i pierwszą zmianę personelu szpitalnego. „Autobus” był wagonem kolejowym z demobilu, przerobionym na pojazd konny. Zimą stawiano go na płozach. Czasem pokrywa śniegu na ziemistej drodze była tak cienka, że spod płóz tryskały iskry i kamienie, a jeździe towarzyszył piekielny zgrzyt i rumor (nikt nie spieszył się z zamianą płóz na koła, dopóki nie uznano, że zima definitywnie się skończyła). Jasna lampa, jak raca sygnalizacyjna, siała blask z prowizorycznego kozła „autobusu”, gdzie siedział okutany w pled woźnica; mniej jaskrawe światelka pobłyskiwały z wnętrza pojazdu.

Tamtego ranka Homer zauważył gromadkę kobiet, czekających na śniegu, aż je „autobus” zabierze. Homer Wells nie znał tych kobiet, które, skrępowane, dreptały w miejscu, nie mogąc się doczekać, aż personel St. Cloud's rozładuje pojazd. Nawet z daleka wyczuwało się wrogość między dwiema grupami: kobiety czekające na „autobus” wydawały się niepewne i zawstydzone, za to personel obu płci w dwójnasób manifestował swoją butną wyższość; jedna z pracownic sierocińca pozwoliła sobie nawet na grubiańską uwagę pod adresem wyjeżdżających. Homer nie mógł usłyszeć, co powiedziała, ale widział skutek: oczekujące kobiety aż odrzuciło od pojazdu, jakby gwałtownie powiał luty wichur. Gdy już zaczęły wsiadać, żadna się nie obejrzała; nawet na siebie nawzajem nie patrzyły. Milczały wszystkie, a kierowca, który – jak się zdawało Homerowi – miał przyjazne usposobienie i do każdego pasażera umiał zagadać, dla tych kobiet nie znalazł ani słowa. „Autobus” zawrócił i ześlizgnął się na płozach w kierunku stacji. W jego oświetlonych okienkach Homer Wells widział pasażerki zakrywające twarze dłońmi lub zastygłe w kamiennych pozach, jak

żałobnice na pogrzebie, które muszą zachować sztywną obojętność, gdyż w przeciwnym razie wpadłyby w histeryczną rozpacz.

Nigdy przedtem Homer nie widział matek, które rodziły niechciane dzieci w St. Cloud's i zostawiały je sierocińcowi. Tym razem zresztą też nie widział ich zbyt wyraźnie. Miało to niebagatelne znaczenie na przyszłość, że najpierw widział matki wyjeżdżające, nie zaś przybywające do szpitala z brzuchami napęczniałymi problemem, którego zamierzały się tu pozbyć. Ważne było to, że Homer zauważył, iż wyjeżdżając nie sprawiały wrażenia osób, które pozbyły się problemu do końca. Homer nigdy nie widział osób bardziej nieszczęśliwych niż te kobiety; przypuszczał, że nie przypadkiem opuszczają St. Cloud's pod osłoną nocy.

Usiłując zmusić się do zaśnięcia w ową noc po Świącie Dziękczynienia u Draperów w Waterville, Homer Wells oglądał we wspomnieniach matki oczekujące w śniegu na wyjazd z sierocińca, a przy okazji widział więcej, niż pamiętał. W bezsenne noce Homer podróżował wraz z matkami „autobusem” na stację, wsiadał z nimi do pociągu, szedł za nimi do domów; wybierał sobie swoją matkę i szedł za nią. Nie wiedział, jak wygląda jego matka, gdzie mieszka, skąd pochodzi i czy wróciła do rodzinnego domu; z jeszcze większym trudem wyobrażał sobie ojca i to, że matka mogła wrócić do niego. Jak większość sierot, Homer Wells bardzo często miewał wrażenie, że widzi swoich zaginionych rodziców, tylko oni go nie poznają. Kiedy był mały, bardzo się wstydził, ilekroć przyłapano go na gapieniu się na dorosłych – czasem z uwielbieniem, a czasem z tak wielką nienawiścią, że nie poznałby własnej twarzy, gdyby ją w takiej chwili zobaczył.

– Homer, natychmiast przestań – karcił go wówczas doktor Larch. – Dostyc tego.

Ale Homer ciągle się zapominał; nawet jako dorosły.

W noc po Świącie Dziękczynienia w Waterville Homer tak intensywnie wyobrażał sobie życie swoich „prawdziwych” rodziców, że niemal ich odnalazł – zanim, do cna wyczerpany, zapadł w sen. Niebawem został brutalnie obudzony przez jednego z wnuków profesorstwa, starszego od siebie (Homer zapomniał, że z powodu chwilowego przeludnienia domu, musi z nim dzielić łóżko).

– Posuń się – burknął chłopak. Homer posunął się. – Trzymaj fiuta w piżamie, pamiętaj – warknął tamten groźnie, chociaż Homerowi ani przez myśl nie przeszło, że mógłby trzymać wspomnianą część anatomii gdzie indziej. – Wiesz, co znaczy „dymać”?

– Nie wiem – powiedział Homer.

– Akurat, nie wiesz, cycku! – zadrwił z niego wnuk profesora. – W St. Cloud’s nic innego nie robicie, tylko każdy się dyma na okrągło. Uważaj: ze mną lepiej nie próbuj, bo z powrotem tam wylądujesz, i to bez fiuta. Utnę ci go i rzucę psu na pożarcie.

– Rufusowi? – upewnił się Homer.

– A jak, cycku! Pytam cię jeszcze raz: wiesz, co znaczy „dymać”?

– Nie wiem – powiedział Homer.

– No to pewnie chciałbyś się dowiedzieć, co?

– Chyba nie – powiedział Homer.

– Na pewno byś chciał, cycku – powiedział wnuk profesora, a potem spróbował wydymać Homera Wellsa. Homer nigdy nie słyszał, żeby kogokolwiek znieważono w podobny sposób w St. Cloud’s. Wnuk profesora studiował, co prawda, sztukę dymania w jednej z lepszych prywatnych szkół, ale za to nigdy nie trenował wrzasków, jakich Homera nauczyła rodzinka z Wodospadu Trzy Mile. Homer doszedł do wniosku, że tylko ryk, i to głośny, może go uratować przed wydymaniem – i rzeczywiście: natychmiast obudził wrzaskiem jedyną przedstawicielkę rodu Draperów, która poszła do łóżka, bo chciało jej się spać (a nie dlatego, że film jej się urwał). Innymi słowy: Homer obudził Mamcią. Przy okazji wyrwał ze snu resztę wnucząt profesorostwa – po części młodszych od siebie i nieobznajomionych z talentem wokalnym Homera, – które zamarzyły z przerażenia słysząc jego wrzaski. Nawet Rufus się ocknął – i kłapał zębami.

– Wielkie nieba, co tu się dzieje? – spytała Mamcia od drzwi pokoju Homera.

– Chciał mnie dymać, więc mu przyłożyłem – wyjaśnił uczeń szanowanej szkoły prywatnej. Homer tymczasem usiłował zapanować nad swym legendarnym wyciem – odesłać je z powrotem do lamusa historii. Nie wiedział, biedaczek, że wnukom wierzy się bardziej niż sierotom.

„U nas w St. Cloud’s – napisał doktor Larch – rozważania o przodkach uważa się za niepotrzebne okrucieństwo wobec dziecka. Z przykrością stwierdzam, że wszędzie indziej na świecie przodków sieroty pomawia się o wszystko, co najgorsze.”

Mamcia spuściła Homerowi takie manto, jakiego nie powstydziliby się najambitniejszy z członków rodziny w Wodospadzie Trzy Mile. Potem zamknęła go do rana w kotłowni; było tam przynajmniej ciepło i sucho i znalazło się łóżko polowe, używane podczas letnich kempingów.

Poza tym w kotłowni schły znaczne ilości mokrego obuwia – jedna para należała nawet do Homera – oraz skarpet, po części prawie suchych i w odpowiednim

dla Homera rozmiarze. W mokrych kombinezonach i kurtkach można było przebierać do woli. Homer ubrał się ciepło w lekko wilgotne rzeczy. Dobrze wiedział, że profesorstwu duma rodowa nigdy nie pozwoliłaby odesłać go do St. Cloud's pod banalnym zarzutem dymania wnuka – a skoro tak, i skoro on, Homer, chciał wrócić do sierocińca (a chciał), to musiał wziąć sprawę w swoje ręce.

Mamcia zdążyła dać Homerowi namiastkę kuracji (skutecznej, bez wątpienia), którą zamierzała zastosować dla wyleczenia go z domniemanego nawyku dymania. Kazała mu klęknąć przed łóżkiem polowym w kotłowni.

– Powtarzaj za mną – poleciła, po czym wyrecytowała oryginalny tekst modlitwy profesora: – „Jestem zły, brzydzę się sobą”. – Homer powtórzył, świadom, że każde jego słowo przeczy prawdzie, bowiem w tej chwili lubił sam siebie bardziej niż kiedykolwiek przedtem. Czuł, że wszedł na trop odkrycia, kim naprawdę jest i w jaki sposób może przydać się światu. Trop ten prowadził z powrotem do St. Cloud's.

Całując go następnie na dobranoc, Mamcia pouczyła Homera:

– Nie zważaj, Homerze, na to, co profesor będzie miał w tej sprawie do powiedzenia. Cokolwiek powie, potraktuj to z przymrużeniem oka.

Homer Wells nie doczekał wykładu profesora na temat dymania. Wyszedł z domu i nawet śnieg go nie powstrzymał. W Waterville, w roku 193-, znaczne opady śniegu w Święto Dziękczynienia nie były niczym niezwykłym; poza tym, profesor starannie wyszkolił Homera w zakresie zalet i metod używania rakiet śnieżnych.

Homer był dobrym piechurem. Bez większego trudu odszukał drogę do miasta, a potem szosę główną. Pierwszą ciężarówkę udało mu się zatrzymać dopiero o brzasku nowego dnia: był to pojazd drwala. Homer uznał, że w takim razie jedzie zapewne w jego stronę.

– Jestem z St. Cloud's – poinformował kierowcę. – Zgubiłem się. W 193- każdy drwal wiedział, gdzie leży St. Cloud's; ten drwal również wiedział, że to dokładnie w przeciwnym kierunku.

– Idziesz odwrotnie, mały. Zawróć i wypatruj czegoś, co jedzie w tamtą stronę – poradził Homerowi. – Mówiłeś, że chcesz się dostać do St. Cloud's? – spytał po chwili z pewnym niedowierzaniem; jak większość ludzi bowiem, żył w przeświadczeniu, że sieroty uciekają z, a nie do sierocińca.

– Ja tam mieszkam – odparł Homer Wells. Kierowca pomachał mu na pożegnanie. Doktor Larch wyraził później opinię, że kierowca, który do tego stopnia nie ma serca, że pozwolił dziecku brnąć samotnie w śniegu, na pewno pracuje w spółce Ramses Paper.

Następna ciężarówka też służyła do transportu drewna; jechała po ładunek do lasu; St. Cloud's leżało mniej więcej na jej trasie.

– Jesteś sierotą? – spytał kierowca, kiedy Homer powiedział, że jedzie do St. Cloud's.

– Nie, skąd – odparł Homer. – Po prostu tam mieszkam. Chwilowo.

W 193- w stanie Maine wszędzie jechało się długo, zwłaszcza po śniegu. Gdy Homer dotarł do domu, na dworze zapadał zmrok. Szarówka była identyczna jak wtedy, wczesnym rankiem, kiedy Homer patrzył z okna na matki porzucające swoje nowo narodzone dzieci. Homer postął chwilę na progu szpitala, patrząc, jak pada śnieg. Potem przeszedł pod wejście na oddział chłopięcy i tam trochę postął. Potem znów wyszedł na zewnątrz, przed wejście główne, bo tam było więcej światła.

Cały czas zastanawiał się, co powiedzieć doktorowi Larchowi. Gdy tak stał i myślał, od stacji nadjechał niewesoły „autobus” na płozach: zatrzymał się przed wejściem do szpitala i wypuścił ze środka tylko jedną pasażerkę. Miała tak wielki brzuch, że woźnica, w obawie, że kobieta poślizgnie się i upadnie, chciał skoczyć jej na pomoc – widocznie jednak zaraz uprzytomnił sobie, po co ją przywiózł do St. Cloud's, i zrezygnował z galanterii: musiał uznać za niemoralne przeprowadzanie po śniegu takich kobiet. Odjechał i zostawił ją z zadaniem pokonania śliskiego odcinka do drzwi szpitala – i stojącego w nich Homera Wellsa. Homer nacisnął w jej imieniu guzik dzwonka, gdyż zdawało mu się, że biedaczka zupełnie nie wie, co robić. Przemknęło mu przez myśl, że ta kobieta, tak samo jak on, chętnie skorzysta z dodatkowej chwili do namysłu nad tym, co właściwie ma powiedzieć doktorowi Larchowi.

Gdyby ujrzał ich wówczas przypadkowy przechodzień, pomyślałby na pewno, że to matka z synem. Popatrywali na siebie z naturalną zażyłością – jakby znali się od dawna i jakby każde doskonale wiedziało, co to drugie akurat planuje. Homer niepokoił się, co mu powie doktor Larch, ale rozumiał, że nieznajoma niepokoi się jeszcze bardziej niż on – ponieważ nie zna doktora Larcha i nie ma pojęcia, jak jest w St. Cloud's.

W kilku oknach zapaliły się światła i Homer rozpoznał boską sylwetkę siostry Angeli, która szła otworzyć im drzwi. Z niewiadomej dla siebie przyczyny, Homer ujął ciężarną kobietę za rękę. Może sprawiła to przymarznięta do jej policzka lza, którą ujrzał w zapalonym przed chwilą świetle – nieważne, dość, że potrzebował ręki, która ścisnęłaby jego dłoń. Homer Wells zachował spokój wobec pełnej niedowierzania miny siostry Angeli, która wyjrzała przez szparę, zanim skończyła mocować się z przymarzniętymi do framugi drzwiami.



– Nie trzeba się bać – powiedział Homer do ciężarnej kobiety i jej niechcianego dziecka. – Tutaj wszyscy są dobrzy.

Nieznajoma ścisnęła go za rękę, aż zaboląło. Kiedy wreszcie siostra Angela dała radę drzwiom i pochwyciła Homera w objęcia, ledwo się opanował, żeby nie zawołać „Mamo!”

– Ojej, ojej! – radowała się siostra Angela. – Homer, mój Homer, nasz Homer! Wiedziałam, że wrócisz!

A ponieważ ciężarna kobieta i Homer wciąż trzymali się za ręce – bo żadne jakoś nie umiało pierwsze puścić – siostra Angela objęła swym uściskiem również nowo przybyłą. Wydało jej się, że ta ciężarna kobieta to też sierota, której miejsce (tak samo jak Homera Wellsa) jest właśnie tam, gdzie wszyscy troje stali.

Doktorowi Larchowi powiedział, że nie czuł się przydatny w Waterville. Ponieważ jednak Draperowie zadzwonili do doktora Larcha, żeby go powiadomić, że Homer uciekł, i przy okazji podali swoje powody incydentu, Homer musiał wyjaśnić Świętemu Larchowi, jak to właściwie było z tym dymaniem – a potem Święty Larch wyjaśnił Homerowi, jak to właściwie jest z tym dymaniem. Wiadomość, że profesor pije, zaskoczyła doktora Larcha (na ogół z miejsca rozpoznawał alkoholika), a relacja o modlitwach wprost go zbulwersowała. Pismo, które doktor Larch posłał profesorostwu Draperom odznaczało się zwięzłością, jakiej nie znał kwiecisty styl profesora.

„Żałuj za grzechy – napisał doktor Larch i właściwie mógłby na tym poprzestać, lecz nie oparł się pokusie dodania: – Jesteś zły, powinieneś brzydzić się sobą.”

Wilbur Larch zdawał sobie sprawę z tego, że znalezienie czwartej rodziny adopcyjnej dla Homera nie będzie łatwe. Istotnie, zabrało mu to trzy lata. Homer ukończył tymczasem lat dwanaście, miał prawie trzynaście. Larch wiedział, co stanowi największy problem: niespełna trzynastoletni Homer będzie potrzebował wielu lat, aby gdziekolwiek poczuć się tak swojsko, jak czuł się w St. Cloud's.

„U nas w St. Cloud's – zanotował w dzienniku doktor Larch – jest tylko jeden problem. To, że sieroty istniały, istnieją i będą istnieć, nie zalicza się do kategorii problemów: to jest fakt, a faktów się nie rozwiązuje, najwyżej robi się, co można, by je złagodzić – to też czynimy, opiekując się sierotami. To, że nasz budżet był, jest i będzie niewystarczający, też nie zalicza się do kategorii problemów, gdyż wyklucza możliwość rozwiązania – sierocińce z definicji plasują się w tym względzie na

ostatnim miejscu, to logiczne. Nie jest również problemem, że nie każda kobieta, która zaszła w ciążę, pragnie urodzić dziecko – być może przyjdą kiedyś czasy bardziej oświecone i kobietom przyzna się prawo do aborcji niechcianego potomstwa, ale i wtedy pewna część kobiet nie dość wykształconych, nie dość zdecydowanych, a bardzo wystraszonych, będzie postępowała po staremu. Nawet w czasach najbardziej oświeconych będą się rodzić niechciane dzieci.

I zawsze znajdują się dzieci bardzo chciane, które lądują jako sieroty – przez nieszczęśliwe wypadki lub przez przypadkowe bądź wyreżyserowane kataklizmy, które to przyczyny też nie należą do kategorii problemów. U nas w St. Cloud's nie ma miejsca na takie marnotrawstwo ograniczonych zapasów energii i intelektu, jakim byłoby rozpatrywanie oczywistych faktów jako problemów. U nas w St. Cloud's jest tylko jeden problem. Nazywa się Homer Wells. W przypadku Homera osiągnęliśmy wzorowe rezultaty. Udało nam się uczynić sierociniec jego domem – i na tym właśnie polega nasz problem. Jeżeli w instytucji państwowej, czy w ogóle publicznej, staramy się kreować namiastkę miłości przynależnej instytucji rodziny i jeżeli przypadkiem nasza instytucja publiczna jest sierocińcem, a zamiar nam się uda, to otrzymujemy w rezultacie monstrum: sierociniec, który zamiast pełnić rolę przystanku na drodze do lepszego życia, staje się stacją pierwszą i końcową, jedyną, którą sierota uznaje za własną.

Okrucieństwo jest rzeczą niewybaczalną, a jednak w sierocińcu, śmiem twierdzić, powinno się hamować miłość; jeśli się bowiem nie hamuje miłości w sierocińcu, żadna sierota nie zechce stamtąd odejść z własnej woli. Powstanie nowy typ sieroty: Homer Wells – sierota doskonała, której jedynym domem pozostaje na zawsze St. Cloud's. Przebacz mi, Boże (lub ktokolwiek inny). Stworzyłem sierotę: nazywa się Homer Wells; jego miejsce jest na zawsze w St. Cloud's.”

Zanim Homer skończył dwanaście lat, poznał wszystkie zakamarki St. Cloud's. Znał wszystkie piece, skrzynie na węgiel, gniazda bezpieczników, bielizniarki, pralnię, kuchnię, kąty, w których sypiały koty; wiedział, kiedy przychodzi poczta i kto dostaje listy; znał wszystkie imiona i nazwiska oraz rozkłady dyżurów; wiedział, gdzie matki po przybyciu do szpitala idą na golenie, jak długo przebywają w klinice, kiedy – i z czyją pomocą – wyjeżdżają. Znał rozkład wszystkich dzwonek – mało tego: sam uruchamiał każdy dzwonek. Nauczycielki i nauczyciela umiał rozpoznać po chodzie, kiedy zbliżali się od strony stacji kolejowej i byli jeszcze prawie dwieście metrów od gmachu sierocińca. Jego też znali wszyscy – nawet oddział dziewczęcy, chociaż kilku (bardzo niewielu) dziewcząt starszych od siebie Homer się bał i starał się przebywać u

nich jak najkrócej, ilekroć przyszło mu, z polecenia doktora Larcha, dostarczyć na ten oddział wiadomość lub lekarstwa. Oddziałowi dziewczęcemu nie dyktował lekarz, toteż chore dziewczynki przychodziły na badanie do szpitala, do doktora Larcha, albo odwrotnie: doktor Larch szedł do nich. Dyrektorka oddziału dziewczęcego, Irlandka z pochodzenia, mieszkała przedtem w Bostonie i przez jakiś czas pracowała w Schronisku dla Nieletnich na obszar Nowej Anglii. Nazywała się pani Grogan, chociaż nigdy nie wspomniała o panu Grogan i trudno było, patrząc na nią, wyobrazić sobie, że przez jej życie przewinął się jakikolwiek mężczyzna. Może po prostu wolała, kiedy mówiono do niej „proszę pani” niż „panno Grogan”. W Schronisku dla Nieletnich pani Grogan należała do stowarzyszenia pod nazwą Służki Boże. Doktor Larch wahał się w związku z tym, czy ją przyjąć do pracy, – ale szybko nabrał pewności, że pani Grogan nie usiłuje werbować nowych członków do swojej organizacji spośród dziewcząt St. Cloud’s. Możliwe, że nie robiła tego z braku czasu: poza dyktowaniem oddziałowi dziewcząt, odpowiadała za całokształt skromnej edukacji, jaką sieroty odbierały w zakładzie.

Gdyby jakaś sierota pozostała w St. Cloud’s dłużej niż do ukończenia szóstej klasy szkoły powszechnej, nie miałyby gdzie kontynuować nauki. A nawet i szkoła powszechna – klasy od pierwszej do szóstej – mieściła się w Wodospadzie Trzy Mile: niby blisko, zaledwie jedną stacją od St. Cloud’s, ale w roku 193- pociągi często się spóźniały; w dodatku maszynista jeżdżący w czwartki zawsze zapominał zatrzymać pociąg w St. Cloud’s (może widok opuszczonej osady drwali kazał mu uważać St. Cloud’s za bezludne miasteczko-widmo, a może demonstrował w ten sposób swój krytyczny stosunek do kobiet, które wysiadały na stacji St. Cloud’s).

Większość uczniów szkoły w Wodospadzie Trzy Mile, gdzie wszystkie klasy uczyły się w jednej jedynej sali, z pogardą odnosiła się do nieregularnie uczęszczających na lekcje przybyszów z sierocińca. Postawę taką manifestowali zwłaszcza uczniowie zaniedbywani lub maltretowani (albo jedno i drugie) przez rodziców. W związku z tym Homer Wells wspominał edukację w klasach od pierwszej do szóstej bardziej jako szkolenie bojowe niż trening intelektualny. Opuszczał trzy czwartki na cztery w miesiącu i co najmniej jeden dzień tygodniowo oprócz czwartku z powodu opóźnień na kolei; zimą opuszczał dodatkowo jeszcze jeden dzień w tygodniu z powodu zaziębień. Podczas wielkich śniegów pociągi nie kursowały.

Trudności komunikacyjne dawały się we znaki również trójce nauczycieli, którzy dojeżdżali do St. Cloud’s z Wodospadu Trzy Mile. Nauczycielka matematyki pracowała jako księgowa w zakładzie włókienniczym – „autentyczna księgowa”,

mówiła o niej siostra Edna; niestety, autentyczna księgowa kategorycznie odmawiała nauczania algebry i geometrii i zdecydowanie przedkładała dodawanie i odejmowanie nad mnożenie i dzielenie (Homer Wells dorósł do pełnoletności, zanim doktor Larch zorientował się, że nie zna on tabliczki mnożenia).

Druga nauczycielka, wdowa po dobrze sytuowanym hydrauliku, uczyła gramatyki i ortografii. Jej metodę można scharakteryzować jako surową i skrajnie niekonsekwentną. Miała zwyczaj podawać klasie duże grupy wymieszanych wyrazów – napisanych z błędami, bez wielkich liter i bez znaków interpunkcyjnych, – które uczniowie mieli zestawić we wzorowe zdania, poprawiając wszystkie błędy. Gdy skończyli, nauczycielka poprawiała poprawki uczniów, a że stosowała przy tym system kolorowych atramentów, więc rezultat przypominał długo negocjowany traktat pokojowy między dwoma zwaśnionymi państwami półanalfabetów. Teksty ćwiczeń zawsze zadziwiała Homera Wellsa – nawet po ostatecznych poprawkach. Nauczycielka czerpała je bowiem z psalterza domowego, a Homer nigdy w życiu nie był w kościele ani nie słyszał żadnej nabożnej pieśni (najwyżej kolędy albo to, co podśpiewywała pani Grogan; wdowa po hydrauliku była za cwana, żeby posługiwać się tekstami kolęd). Homer Wells miewał koszmarne sny, w których rozszyfrowywał karkołomne zdania wdowy po hydrauliku.

o panie mui gdy ja w na borznym lenku  
patsze na siwiat stforzony stfoich ronk...

Albo taki kawałek:

opoko ma pszygarni mie niehaj ja ftobie skryje še...

I tym podobne.

Trzeci nauczyciel, emerytowany pedagog z Camden, był zgorzkniałym starcem i mieszkał z rodziną córki, bo sam sobie nie radził. Uczył historii; z tym, że nie używał podręczników. Wykładał dzieje świata z pamięci, zupełnie nie przejmując się datami. Potrafił pół godziny bez przerwy rozwodzić się na temat Mezopotamii, po czym robił pauzę dla zaczerpnięcia oddechu – i nieoczekiwanie podejmował wątek w Rzymie

albo w Troi. Albo recytował obszerny fragment z Tukidydesa – przełykał ślinę – i przenosił się z Napoleonem na Elbę.

– Wydaje mi się – powiedziała kiedyś siostra Edna do doktora, Larcha – że on potrafi ukazać uczniom bezmiar historii.

Na to siostra Angela przewróciła oczami i rzekła:

– Jak go słucham, przychodzą mi do głowy setki powodów do wywołania wojny.

Homer Wells zrozumiał przez to, że, zdaniem siostry Angeli, nikomu nie powinno się pozwalać żyć za długo.

Łatwo chyba zrozumieć, dlaczego Homer Wells wolał zajęcia gospodarskie i organizacyjne od lekcji.

Ulubionym zajęciem Homera było wybieranie wieczornej czytanki dla doktora Larcha. Lektura fragmentu musiała trwać dokładnie dwadzieścia minut. Homerowi trudno to było ustalić, gdyż na głos czytał wolniej od doktora Larcha – za to po cichu czytał szybciej, niż doktor Larch czytał na głos. W tempie dwudziestu minut na dobę lektura *Wielkich nadziei* zabrała doktorowi Larchowi kilka miesięcy, a *Dawida Copperfielda* – ponad rok. Kończąc *Dawida Copperfielda*, Święty Larch poinformował Homera, że potem będzie znów czytał *Wielkie nadzieje*. Poza Homerem, wszystkie dzieci, które słuchały pierwszego czytania *Wielkich nadziei*, zdążyły już opuścić sierociniec.

Prawie żadne z nich nie rozumiało zresztą ani *Wielkich nadziei*, ani *Dawida Copperfielda*. Były za małe nie tylko na literacki język Dickensa: nawet zwyczajny język St. Cloud's przekraczał ich młodziutkie zdolności percepcyjne. Lecz dla doktora Larcha ważna była sama idea czytania dźwiękiem na głos: dla maluchów, które nie miały pojęcia, czego słuchają, wieczorna lektura stanowiła niezastąpiony środek nasenny, natomiast tym nielicznym, którzy rozumieli i poszczególne słowa, i sens opowieści, dawała kanwę do snów i fantazji, w których opuszczali mury St. Cloud's.

Dickens był ulubionym pisarzem doktora Larcha. Nie przypadkiem wybrał doktor z jego twórczości właśnie *Wielkie nadzieje* i *Dawida Copperfielda*: bohaterami obydwu są bowiem sieroty. („A o czym innym, do cholery, można czytać sierotom?” – pytał retorycznie w swoim dzienniku Święty Larch.)

W związku z tym Homer Wells znał jak mało kto opis szubienicy na bagnach, „z resztką łańcucha, w który niegdyś zakuty był pirat”, a jego sieroca wyobraźnia chętnie czerpała szczegóły z życia sieroty Pipa, zbrodniarza Magwiticha, pięknej Estelli i mściwej panny Havisham, gdy pod osłoną nocy podglądał matki, niczym duchy

opuszczające St. Cloud's na pokładzie konnego wagonu, a z czasem – prawdziwego autobusu, który zastąpił „autobus”, dając Homerowi odczuć po raz pierwszy w życiu, czym jest upływ czasu i postęp cywilizacji. Wkrótce po zastąpieniu „autobusu” autobusem, zlikwidowano linię do St. Cloud's i matki musiały odtąd chodzić pieszo. To pozwoliło Homerowi jeszcze lepiej zrozumieć ideę postępu cywilizacji.

Matki ze snów Homera nigdy się nie zmieniały. Kim jednak byli mężczyźni, nietowarzyszący im nigdy do St. Cloud's? Homer uwielbiał tę scenę z *Wielkich nadziei*, w której Pip wyrusza na podbój świata i opowiada: „zasłona mgły uniosła się uroczyście... świat leżał u mych stóp”. Każdy chłopak z St. Cloud's wiedział mnóstwo o „zasłonach mgły”: potrafiły całkiem zakryć rzekę, miasto, nawet sam sierociniec; schodziły z Wodospadu Trzy Mile; za nimi znikali rodzice. To one były chmurami z nazwy St. Cloud's, – którą tłumaczyć trzeba jako „Świętej Chmury” – za ich parawanem rodzice wymykali się chyłkiem w niewiadome strony.

– Kiedyś, Homerze, zobaczysz ocean – obiecywał Homerowi doktor Larch. – Na razie widzisz tylko góry, a góry ani w połowie nie robią takiego wrażenia jak morze. Nad morzem też zdarza się mgła, i to o wiele gęstsza niż tu u nas, za to, gdy już się podniesie... ech, Homerze – wzdychał doktor Larch – to już jest coś, co trzeba samemu zobaczyć.

Ale Homer Wells już to widział, już dawno wyobrażał sobie, jak „zasłona mgły unosi się uroczyście”. Uśmiechał się więc tylko do doktora Larcha i przepraszał, że musi iść, bo pora dzwonić. Właśnie to robił – dzwonił – kiedy do St. Cloud's przyjechała po niego czwarta rodzina adopcyjna. Doktor Larch przygotował Homera na to spotkanie, toteż Homer od razu rozpoznał obce małżeństwo.

Dziś powiedzielibyśmy o nich „kulturyści-amatorzy”, ale w roku 193-, w stanie Maine, gdy Homer Wells miał lat dwanaście, małżeństwo, które go chciało adoptować, cieszyło się opinią niebezpiecznych fanatyków wszelkiej aktywności na wolnym powietrzu. Oboje uprawiali kajakarstwo wodospadowe, żeglarstwo oceaniczne, wspinaczki wysokogórskie, nurkowanie głębinowe, biwakowanie w dzikich ostępach leśnych, marszobiegi na dystansie stu sześćdziesięciu kilometrów oraz wszelkie dyscypliny lekkoatletyczne, – ale nie na boisku, gdyż »Pseudosportem zorganizowanym» gardzili ponad wszystko.

Kiedy stanęli w progu sierocińca, Homer Wells zadzwonił na godzinę dziesiątą czternaście razy – tak wstrząsnął nim ich widok: te atletyczne sylwetki, ten władczy krok, hełm safari na głowie męża, maczeta w długiej pochwie z koralikami u boku żony (zawieszona na pasie z nabojami), wysokie buty (wyglądali, jakby się urodzili w

tych butach). Przyjechali własnej roboty prototypem o wiele lat późniejszej przyczepy kempingowej. Wehikuł wyglądał na przystosowany do polowania na nosorożca – i, oczywiście, do transportu ofiary po udanych łowach. Homer natychmiast przewidział, że będzie musiał polować na niedźwiedzie i dusić aligatory gołymi rękami – krótko mówiąc: dokonywać na każdym kroku podbojów natury. Siostra Edna powstrzymała go przed wydzwonieniem godziny piętnastej.

Wilbur Larch działał tym razem z największą ostrożnością. O rozwój duchowy Homera był spokojny. Chłopiec, który samodzielnie przeczytał, i to po dwa razy, *Wielkie nadzieje* i *Dawida Copperfielda*, a do tego po dwa razy wysłuchał głośnej lektury obu wymienionych powieści, jest psychicznie przygotowany do życia lepiej niż większość rówieśników. Gorzej natomiast było, zdaniem doktora Larcha, z tężyzną fizyczną i rozwojem sportowym Homera. Sam Święty Larch uważał sport za wprost frywolny wobec fundamentalnych umiejętności natury intelektualnej. Zdawał sobie sprawę z tego, że program zajęć sportowych w St. Cloud's, – który sprowadzał się do gry w piłkę w jadalni, gdy padało – nie jest wystarczający. Kiedy na dworze było ładnie, oba oddziały, chłopięcy i dziewczęcy, grały najczęściej w berka i w kopanie blaszanej puszki; czasami siostrze Ednie lub siostrze Angeli udało się namówić grupę na grę w zbijaka. Piłkę zrobili z kilku skarpetek oklejonych plastrem opatrunkowym. Larch nie miał nic przeciwko zajęciom ruchowym na powietrzu; nie miał też o nich zielonego pojęcia. Uważał nawet, że strata (tak to oceniał ze swojego punktu widzenia) pewnej ilości energii może wyjść Homerowi na korzyść – rozruszać go, obudzić w nim poczucie humoru.

Siostrę Ednę i siostrę Angelę bardzo śmieszyło nazwisko czwartych rodziców adopcyjnych Homera. Nazywali się Winkle, jak legendarny rozbójnik; on miał na imię Grant, ona Billy. Należeli do bardzo nielicznej w Maine klasy bogaczy. Z działalności, którą uprawiali na co dzień i wbrew oczywistym faktom nazywali swoim „biznesem”, nie mieli ani centa – lecz to nie było im potrzebne, ponieważ oboje urodzili się bogaci. Ich „biznes” polegał na organizowaniu emocjonujących wycieczek: w głąb lasu, gdzie pozwalali klientom przeżyć grozę zagubienia, albo kruchymi tratwami i kajakami po spienionych wodospadach, gdzie każdy z amatorów strachu zaznawał słodkiej wizji roztrzaskania się o ostre skały przed ostatecznym utonięciem. Małżeństwo Winkle trudniło się produkcją sensacyjnych doznań dla ludzi tak znudzonych własnym życiem i otoczeniem, że tylko najdrastyczniejsze, (ale koniecznie wyreżyserowane) zdarzenia potrafiły wykrzesać z nich resztki emocji. Na doktorze Larchu „biznes” państwa Winkle nie robił wrażenia: doktor wiedział, że ma do czynienia ze

zwyczajnymi bogatymi ludźmi, którzy robią, co im się żywnie podoba, a żeby nadać zabawom pozór powagi – wymyślają im poważnie brzmiące nazwy. Winkle'owie spodobali się doktorowi z całkiem innego powodu: byli nadzwyczajnie, wprost szampańsko, zadowoleni z życia. A to jest cecha – jak zauważył doktor Larch – niezmiernie rzadka, zarówno wśród dorosłych, jak wśród sierot.

„Wszędzie indziej na świecie – zanotował doktor Larch – zadowolenie z życia uchodzi za pospolity stan umysłu. U nas w St. Cloud's panuje pogląd, że zadowolony z życia bywa tylko kompletny idiota. Dlatego u nas w St. Cloud's zadowolenie z życia zaliczyłbym do kategorii dóbr najwyższych: stanów duszy.” Larch lubił stroić sobie żarty na temat duszy. Chętnie drażnił nimi siostrę Ednę i siostrę Angelę podczas operacji, kiedy najmniej spodziewały się rozmów o duszy. Traciły wtedy cały refleks i rezon.

Raz, mając na stole pacjentkę z otwartą jamą brzuszną, Larch z nabożną rewerencją wskazał palcem gładki, brązowawo czerwony organ, widoczny między żebrami a jelitami: narząd przypominał półtorakilogramowy bochen chleba albo monstualnego ślimaka-dwupłatówca bez skorupy.

– Proszę spojrzeć! – szepnął doktor Larch. – Rzadko się ją widuje, ale nam się udało przyłapać ją we śnie. Prędko, zaraz się schowa! – Siostry rozdziawiły usta. – Dusza – wyszeptał Larch z nabożną rewerencją.

W rzeczywistości demonstrował siostrom największy gruczoł kręgowców, posiadający – trzeba mu to przyznać – pewne cechy przypisywane duszy: na przykład, zdolność regeneracji własnych uszkodzonych komórek. Była to wątroba, którą doktor Larch szanował o wiele bardziej niż duszę.

Doktor Wilbur Larch nie dbał o to, czy w przypadku Winkle'ów radość życia jest stanem umysłu, czy stanem duszy; zależało mu tylko na tym, żeby jakiś procent tej radości przeszedł na Homera Wellsa. Państwo Winkle od dawna marzyli o dziecku – „aby z nim dzielić świat natury”, jak się wyrażali, „i, oczywiście, aby je uszczęśliwiać”. Przyjrzawszy im się, doktor Larch udzielił w duchu własnej odpowiedzi na pytanie, dlaczego państwo Winkle nie mogą się rozmnożyć: nie byli zdolni do śladowej choćby koncentracji uwagi. Doktor Larch podejrzewał, że nigdy nie zatrzymali się w miejscu dostatecznie długo, aby porządnie odbyć akt płodzenia potomstwa. Kto wie – pomyślał nawet, zerkając na Billy Winkle – czy ona w ogóle jest kobietą?

Grant miał pewien plan. On nie ma twarzy – skonstatował doktor Larch, usiłując dopatrzeć się jakichkolwiek rysów w wąskim pasie przestrzeni między jasn



brodą a jeszcze jaśniejszą czupryną pana Winkle, której gąszcz szczelnie krył wąskie czoło. Widać było jedynie wydatne jak urwisko kości policzkowe, za którymi skutecznie chowały się oczy. Resztę stanowiły wąsy i broda – blond chaszczę, przez które Billy Winkle musi się pewnie przedzierać z maczetą – pomyślał doktor Larch. Plan Granta polegał na wypożyczeniu Homera na jedną na razie imprezę: podglądanie łosi. Winkle'owie wybierali się na wyprawę kajakowo-pieszą w północne lasy. Główną atrakcją wyprawy miało być właśnie spotkanie z łosiem. Przy okazji Homer Wells zapoznałby się z kajakarstwem sportowym.

Święty Larch uznał, że taka wyprawa, pod doświadczonym okiem Winkle'ów, nie grozi Homerowi niebezpieczeństwem. Co do tego, czy Homer chciałby zostać z tymi ludźmi na dłużej albo wręcz uznać ich za rodziców – nie był przekonany. Nie przypuszczał – i słusznie – aby Homerowi miały przeszkadzać dziwactwa nowych opiekunów:, któremu chłopcu przeszkadza nieustająca przygoda? Obawiał się czegoś zgoła innego:, że Homer będzie się z nimi śmiertelnie nudził. Próbną wyprawą w lasy północy, z paroma wodospadami i łosiami po drodze, miała ułatwić chłopcu odpowiedź na pytanie, czy wytrzyma towarzystwo Granta i Billy na zawsze.

– A jak ci się spodoba w lesie – obiecał Homerowi w tonie entuzjastycznym Grant Winkle – to następnym razem weźmiemy cię na ocean!

Słyszac to, Homer pomyślał: „Na pewno ujeżdżają wieloryby”; a doktor Larch – „Na pewno drażnią się z rekinami”.

Ale doktor Larch chciał, żeby Homer spróbował, a Homer Wells spróbowałby wszystkiego na życzenie doktora Larcha.

– Tylko żadnych szczególnie niebezpiecznych sztuk – ostrzegł doktor surowo państwa Winkle.

– Nigdy w życiu, jak Boga kocham! – obiecała Billy. Grant też się przeżegnał.

Doktor Larch wiedział, że przez północne lasy stanowe wiedzie tylko jedna droga. Drogę tę wybudowała – i wciąż była jej właścicielką – spółka papiernicza Ramses Paper. Spółce nie było wolno wycinać drzew w północnych lasach stanowych, ale wolno jej było transportować drogą leśną maszyny i drewno na trasie między fabryką a jej karczowiskami. I tylko to jedno, – że Homer otrze się o spółkę papierniczą Ramses – trapiło naprawdę doktora Larcha.

Homer zdziwił się, jak ciasno było w szoferce własnej produkcji pojazdu państwa Winkle. Za to wieziony z tyłu sprzęt sportowy budził szacunek: kajak, namiot, przybory wędkarskie, przybory kuchenne, broń myśliwska. W szoferce Homer siedział na kolanach Billy. Nie było mu ciasno, tylko bardzo twardo, bo Billy

miała uda jak z kamienia. Homer po raz drugi w życiu stykał się z damskim ciałem: pierwszy raz zdarzyło mu się to podczas dorocznego wyścigu trójnogów w St. Cloud's.

Raz do roku oba oddziały, chłopięcy i dziewczęcy, urządzały takie wyścigi ku uciesze miasteczka. Dochód z imprezy przeznaczono na fundusz sierocińca, więc wszyscy znosili ją mężnie. Ostatnie dwa wyścigi wygrał Homer, ale tylko dlatego, że jego partnerka, najstarsza na oddziale dziewcząt, miała dość siły, żeby dźwignąć Homera i przebiec z nim w ten sposób linię mety. Wyścig polegał na tym, że chłopiec i dziewczynka, mniej więcej w równym wieku, przywiązywali jego lewą nogę do jej prawej i tak związani, skakali do mety na dwóch wolnych nogach, wlokąc pokraczną „trzecią nogę” między sobą. Dorodna reprezentantka oddziału dziewczęcego nie ciągnęła Homera, tylko, zwyczajnie oszukując, niosła go na sobie. W ostatnich wyścigach przytrafił jej się jednak upadek na mecie i Homer wylądował na jej łonie. Usiłując jak najprędzej wstać, niechcący oparł rękę na piersi dziewczyny, a wtedy ona uszczypnęła go z całej siły w tę część ciała, którą znajomy Homera z Waterville, uczeń renomowanej szkoły prywatnej, zwał fiutem.

Dziewczynka miała na imię Melony. Nie było to jedyne imię na oddziale dziewczęcym, stworzone przez błąd literowy maszynistki. Oficjalnie jej imię brzmiało Melody. Maszynistka z oddziału dziewcząt była naprawdę do niczego. Błąd okazał się jednak dobroczynny, ponieważ w dziewczynce, o której mowa, nie było nic z melodii. Miała około szesnastu lat (nie znano dokładnie jej daty urodzenia), a jej dorodny biust i krągła pupa kojarzyły się jak najbardziej z melonami.

Podczas długiej jazdy na północ Homer bał się, że Billy też może go uszczypnąć w fiuta. Domów przy drodze było coraz mniej, coraz mniej żywego inwentarza, nawet samochody i ciężarówki poznikały w końcu z ich trasy. Została pusta droga, bez odgałęzień, biegnąca przeważnie wzdłuż rzeki, a rzeka była rwąca. Na wprost nich już od paru godzin wznosiła się góra ze szczytem pokrytym śniegiem, chociaż był lipiec. Góra ta miała jakąś indiańską nazwę.

– Widzisz tę górę, Homer? Właśnie tam jedziemy! – entuzjasmował się Grant Winkle. – Tuż poniżej tej czapy śniegu jest staw.

– Łosie uwielbiają ten staw – dodała Billy. – Tobie też się spodoba, zobaczysz.

Homer nie wątpił, że tak właśnie będzie. Jechał, żeby przeżyć przygodę. Doktor Larch powiedział mu, że nie musi zostać u tych ludzi na stałe.

Przed zmrokiem Winkle'owie zatrzymali się na noc. Między jedyną drogą a wartkim potokiem rozbili trójkomorowy namiot. W jednym pomieszczeniu namiotu zaraz zaczęli gotować wodę na kocherze; tymczasem w drugim Billy wykonała sto

skłonów tułowia (Homer przytrzymywał jej stopy), a Grant wszedł do potoku i nałowił pstrągów. Wieczór był chłodny, bez owadów, więc mogli długo w noc palić lampy w namiocie, przy otwartej klapie. Grant i Billy opowiadali Homerowi o swoich przygodach. („A o czym, do cholery, mogli mówić?”, pytał później retorycznie w swoim dzienniku doktor Larch.)

Grant wspominał sześćdziesięcioletniego prawnika, który wynajął ich do poprowadzenia wyprawy mającej na celu obserwację niedźwiedzi w połogu. Billy pokazała Homerowi blizny po niedźwiedzi. Potem opowiadali o kliencie, który zażyczył sobie, żeby Winkle'owie spuścili go na pełne morze w małej łódce z jednym tylko wiosłem. Chciał doświadczyć radości ocalenia. Postanowił, że spróbuje o własnych siłach znaleźć drogę do lądu, ale Winkle'owie mieli go przez cały czas obserwować i ruszyć na pomoc, gdyby groziło mu poważne niebezpieczeństwo. Nadzór miał być jednak tak dyskretny, żeby klient ani przez chwilę nie czuł się obserwowany. W nocy zwykle zasypiał, idiota, i Winkle'owie dyskretnie holowali go wtedy do brzegu, ale za dnia zawsze umiał zgubić się na nowo – raz nawet dokonał tego, mając ziemię w zasięgu wzroku. Winkle'owie przeprowadzili akcję ratowniczą, gdy przyłapali gościa na picciu morskiej wody. Był do tego stopnia rozczarowany imprezą, że wypisał im kilka fałszywych czeków, zanim w końcu uiścił należność za przygodę.

Billy naprawdę używała określenia „należność za przygodę”.

Homer postanowił nie opowiadać nowym rodzicom adopcyjnym *in spe* żadnych historii o życiu w St. Cloud's – a tym bardziej o Świącie Dziękczynienia w Waterville – żeby nie sprawiać im przykrości. Z drugiej strony, czuł, że powinien jakoś się przyczynić do ogólnej atmosfery biwakowo-przygodowej. Niestety, wszystkie dobre historie, jakie znał, pochodziły z *Wielkich nadziei* i z *Dawida Copperfielda*. Doktor Larch pozwolił Homerowi zabrać w podróż *Wielkie nadzieje*, (które Homer wolał od *Dawida Copperfielda*). Homer zapytał Winkle'ów, czy może im przeczytać fragment swojej ulubionej książki. Wyrazili entuzjastyczną zgodę: nikt im nigdy nie czytał na głos – a przynajmniej żadne z nich nie pamiętało takiego zdarzenia. Homer troszkę się denerwował: co prawda już kilka razy czytał *Wielkie nadzieje*, ale nigdy przed publicznością.

Ale spisał się na medal. Udało mu się nawet podrobić akcent Joe Gargery'ego (tak jak go sobie zawsze wyobrażał), a doszedłszy do miejsca, w którym pan Wopsle woła: „«Nie!», z drżącą furią bardzo zmęczonego człowieka”, poczuł, że znalazł wreszcie odpowiedni ton do lektury całej powieści i że prawdopodobnie odkrył w

sobie pierwszy talent. Niestety, tym talentem na początek uspił oboje Winkle'ów. Niezrażony, sam sobie doczytał do końca Rozdział Siódmy. Może to wcale nie przez moje czytanie – pocieszał się w duchu – tylko przez te skłony tułowia, jego wędkowanie i trudy wielkiej przygody.

Najstaranniej, jak umiał, otulił Winkle'ów ogromnym, dwuosobowym śpiworem. Pogasił lampy. Udał się do wyznaczonego sobie pomieszczenia w wielkim namiocie i wczuł się do swojego śpiwora. Leżał głową do wyjścia, pod otwartą klapą namiotu; widział gwiazdy; słyszał rwący potok, który wcale nie przypominał mu o Wodospadzie Trzy Mile, bo wydawał zupełnie inny odgłos niż tamtejsza rzeka. Nie był mniej rwący, o nie, ale płynął głębokim, wąskim korytem; woda w nim była krystalicznie czysta, kamienie obłe jak głowy i gdzieniegdzie w nurcie tworzyły się spokojne lusterka stawów – tam właśnie Grant łowił pstrągi. Perspektywa dalszych przygód z Winkle'ami nie wyglądałaby niemilo, gdyby nie łoś, o którym Homer myślał z niepewnością. Ciekawe, jak duży jest łoś? Czy większy od Winkle'ów?

Homer nie żywił wobec nowych opiekunów nieufności, a tym bardziej lęku. Przyjął postawę czujnej rezerwy: Winkle'owie nie byli niebezpieczni, tylko należeli do innego gatunku stworzeń. We śnie dziecinna wyobraźnia Homera połączyła postacie Winkle'ów z domniemanym łośiem. Nad ranem obudziły Homera przeraźliwe odgłosy – był przekonany, że to łośie, ale okazało się, że to tylko Billy i Grant za płócienną ścianką namiotu dziarsko witają nowy dzień. Mimo że Homer nigdy przedtem nie słyszał istot ludzkich w akcie miłosnym, ani tym bardziej parzących się łośi, to odgadł od razu, że Winkle'owie się parzą. Szkoda, że nie było przy tym doktora Larcha, bo wyciągnąłby dalsze wnioski co do niezdolności prokreacyjnej Winkle'ów. Zapewne skonkludowałby, że w trakcie akrobatycznych zapasów Billy i Granta każde jajeczko i plemnik musi ulec zgnieceniu na miazgę, a te, które ocaleją, giną ze strachu.

Grzeczność nakazała Homerowi udawać, że śpi. Winkle'owie skończyli i w świetnych humorach przyszli go budzić. Wpadli do przedziału Homera na czworakach, udając wielkie psy, i zaczęli szarpać jego śpiwór zębami. Szli popływać! – o czym obwieścili Homerowi triumfalnie. Homer nie mógł się nadziwić, jacy oni oboje są duzi: nigdy nie widział tyle ruchliwego ciała w dwóch osobach. Ciekaw był także, jak będą pływać w rwącym potoku, żeby się nie roztrzaskać o podwodne głazy albo nie dać porwać z prądem. Homer w ogóle nie umiał pływać – nawet w stojącej wodzie.

Co innego Winkle'owie – stare wygi biwakowe: dysponowali nie tylko umiejętnościami, ale i sprzętem. Przerzucili linię od brzegu do brzegu; przy okazji Homer dowiedział się, że jest to lina ratunkowa. Lina zakończona była zębatym

żelastwem przypominającym grabie, które Grant Winkle sprawnie zamontował między kamieniami po drugiej stronie ryczącego potoku. Do tej liny przytwierdził następnie dwie dodatkowe, zaopatrzone w zmyślne metalowe kółka, haki i klamry bezpieczeństwa. Końcami tych lin Winkle'owie opasali się ciasno w talii. Dzięki tak awanturniczemu sprzętowi mogli rzucić się, na wpeł wisząc, w spieniony nurt, który nimi ciskał jak gumowymi kaczkami w dziecinnej wanience, oni zaś pozostawali przez cały czas w jednym miejscu, bezpiecznie szepieni z sobą nawzajem i z tak zwaną liną ratunkową. Homer obserwował ich z wielką uciechą. Chwilami zdawało mu się, że nurt ich połknął i wessał – ale zaraz wyskakiwali pionowo nad powierzchnię, przebierając nogami, jakby spacerowali po skotłowanej, spienionej kipieli. Igrali w samym środku nurtu jak dwie monstrualnych rozmiarów blond wydry. Homer już prawie uwierzył w ich absolutne panowanie nad żywiołem – przynajmniej żywiołem wody; już prawie chciał poprosić, żeby mu pozwolili spróbować kąpieli pod wodospadem – w tej samej chwili uświadomił sobie jednak, że Winkle'owie na pewno go nie usłyszą. Choćby wołał jak najgłośniej, choćby posłużył się swym słynnym homeryckim wrzaskiem – nie miał szans wobec grzmiącej bariery wody oddzielającej go w tej chwili od Winkle'ów.

Postanowił zatem dalej siedzieć na brzegu i przyglądać się zabawie przybranych rodziców *in spe* – kiedy nagle ziemia pod nim zadrżała. Właściwie to bardziej doznał wrażenia zapamiętanego z lektury kiepskich książeczek dla dzieci niż autentycznego wstrząsu poruszonej ziemi: w książeczkach dla dzieci ziemia drży zawsze, kiedy ma się wydarzyć coś strasznego. Chciał udąć, że nic nie czuje, lecz ziemia pod nim drżała bez wątpienia, a do uszu Homera dobiegało jakby tępe walenie wielkiego młota.

Homer nie odrywał wzroku od Winkle'ów, wierząc święcie, że panują nad sytuacją. Winkle'owie dalej w najlepsze igrali pod wodospadem: niczego nie słyszeli, nie czuli też, że ziemia się trzęsie, bo przecież nie stali na ziemi.

O Boże, łoś nadchodzi! – przestraszył się Homer Wells. Wstał. I zobaczył, że jego stopy podskakują – same z siebie – na podskakującej ziemi. Więc stado łoś! Oprócz dudnienia Homer słyszał teraz i inne, dźwięczniejsze odgłosy: donośne trzaski, chwilami tak głośne jak wystrzał z pistoletu. Spojrzawszy znów na Winkle'ów zorientował się, że i oni usłyszeli te nowe dźwięki. Cokolwiek się zbliżało, było to zagrożenie znane Winkle'om: Billy i Grantowi natychmiast odechciało się zabawy. Widać było, że walczą zaciekle z opornym żywiołem, a na ich twarzach (znikających co chwila w kipiącej bieli piany) malował się wielki strach ludzi, którzy dobrze wiedzą,

czego się boją. W ułamku sekundy między jednym a drugim zniknięciem pod wodą oboje popatrzyli w stronę źródła potoku.

Homer też tam spojrział – w samą porę, by ujrzeć masę spławianych kłód drewna w odległości nie większej niż dwadzieścia parę metrów od kąpielowiczów. Co chwila przybrzeżne drzewa padały jak wiązka chrustu przełamana na kolanie, ilekroć jakaś masywna kłoda, długa jak słup telegraficzny, tylko znacznie grubsza, zahaczyła w wodzie o głaz i, jak wystrzelona z katapulty, przeleciała kilkanaście metrów w powietrzu, po czym spadała na zalesiony stok i tocząc się jak taran, kosiła wszystko na swej drodze. Wielka masa kłód o długości słupów telegraficznych spływała w dół potokiem, poprzedzana wałem wody – już wcale nie krystalicznie czystej, lecz zmaconej, zaśmieconej płatami kory i bryłami gliny, brutalnie wyrwanymi z przybrzeżnej gleby. Spółka papiernicza Ramses Paper zaliczyła ten spław do kategorii średnich: oficjalny dokument stwierdzał, że spławiono wówczas od czterystu do siedmiuset kłód drewna.

Homer Wells puścił się biegiem do szosy: tam dopiero poczuł się bezpieczny. Spojrzął za siebie – spław mijał akurat obozowisko. Jedna z linek namiotu zabezpieczała linę ratunkową Winkle'ów, więc cały namiot, ze wszystkim, co było w środku (również egzemplarzem *Wielkich nadziei* Homera), wessany został w grzmiący tumult lawiny kłód. Przez trzy dni spółka papiernicza Ramses Paper nie mogła odnaleźć ciał Billy i Granta: natrafiono na nie dopiero o sześć kilometrów od miejsca wypadku.

Homer Wells zachował sporą dozę zimnej krwi. Popatrzył w górę potoku, sprawdzając, czy nic więcej się nie zdarzy (zorientował się bowiem, że jeśli cokolwiek więcej miałoby nastąpić, to właśnie z tamtej strony), a ponieważ nic się nie działo, odetchnął z ulgą.

Wrócił na teren biwaku i zbadał zawartość terenowego pojazdu Winkle'ów, który prezentował się smętnie, ogołocony z namiotu i kuchni. Homer znalazł w samochodzie sprzęt wędkarski, ale bał się z niego skorzystać: wiązało się to bowiem z podejściem blisko do potoku. Znalazł również broń palną. Nie miał pojęcia, jak się jej używa, ale obecność broni pokrzepiła go na duchu. Wybrał największą strzelbę – dwunastokalibrową dwururkę – i nie rozstawał się z nią ani na krok.

Po południu głód zaczął mu się solidnie dawać we znaki. Nie było jeszcze ciemno, gdy Homer usłyszał nadjeżdżającą ciężarówkę z tartaku i po zgrzytach przy zmianie biegów rozpoznał, że jest załadowana. Po raz drugi tego dnia miał szczęście

(pierwszy raz, – gdy nieumiejętność pływania wykluczyła go z zabawy Winkle'ów) – ciężarówka jechała w jego stronę.

– Saint Cloud's – powiedział Homer do kierowcy, na którym strzelba zrobiła silne wrażenie.

Ciężarówka należała do spółki papierniczej Ramses Paper, więc w pierwszej chwili doktor Larch wpadł w furję, widząc ją przed budynkiem szpitala.

– Nikomu z tego przedsiębiorstwa nie założę ani jednego szwu – ostrzegł siostrę Ednę, która zaniemówiła na widok ciężarówki przed sierocińcem. – Chyba, że stan pacjenta jest krytyczny.

Gdy doktor Larch ujrzał Homera Wellsa, poczuł się w pewnym sensie rozczarowany, za to bardzo go zaniepokoiła obecność dwururki. Na twarzy Homera malował się wyraz bezbrzeżnego zdziwienia i niedowierzania, jaki doktor Larch nieraz obserwował u pacjentów budzących się z uśpienia eterem.

– Nie dałeś wielkiej szansy państwu Winkle, Homerze – zganił podopiecznego doktor Larch. W odpowiedzi Homer wyjaśnił mu przyczynę swego rychłego powrotu do sierocińca.

– Czy chcesz przez to powiedzieć, że państwo Winkle zginęli?

– Zmiotło ich – potwierdził Homer Wells. – Szszszszszu!

I wtedy Wilbur Larch poniechał dalszych prób znalezienia domu dla Homera Wellsa. Powiedział Homerowi, że może zostać w St. Cloud's tak długo, jak długo będzie czuł, że tam jest jego miejsce. I właśnie wtedy użył pamiętnych słów:

– W takim razie, Homerze, mam nadzieję, że nam się przydasz.

Dla Homera Wellsa nie było nic prostszego, niż spełnić to oczekiwanie. Homer żywił głębokie przeświadczenie, że jedynym celem i istotą życia sieroty jest przydawać się światu.

## 2. Dzieło Boże

Wilbur Larch, syn stanu Maine, przyszedł na świat w roku 186-. Jego matka, wiecznie skrzywiona fanatyczka czystości, należała do sztabu kucharek i pokojówek usługujących niejakiemu Nealowi Dowowi, który sprawował urząd burmistrza Portland i zwany był w Maine ojcem lokalnej ustawy o prohibicji. Neal Dow raz nawet stawał w wyborach prezydenckich jako kandydat Partii Prohibicyjnej, lecz zdobył raptem dziesięć tysięcy głosów – co dowodzi, że przeciętny wyborca był mądrzejszy od matki Wilbura Larcha, która wielbiła swego chlebowawcę i uważała się bardziej za jego towarzyszkę w dziele forsowania ustawy antyalkoholowej, niż za służącą, (którą była w istocie).

Jak na ironię, ojciec Wilbura Larcha był pijakiem – czyli niczym się nie wyróżniał spośród męskiej populacji Portland z czasów burmistrza Dow. Piwo wolno było reklamować na wystawach sklepów; reklamowano więc „szkockie” i „gorzkie”, a ojczulek Wilbura Larcha oba gatunki łął w siebie strumieniami, głosząc przy tym, że tej słabizny trzeba wychylić parę wiader, żeby się chociaż minimalnie wstawić. Małemu Wilburowi ojciec nigdy nie wydawał się pijany – nie zataczał się, nie przewracał, nie leżał jak kłoda z oczami w słuł, nie robił awantur, nie bełkotał. Tylko stale miał bardzo zdziwioną minę i zachowywał się, jakby co krok doznawał nagłego olśnienia, które kazało mu przystanąć w środku marszu albo zamilknąć w pół słowa, gdyż (tak to wyglądało dla postronnych) rozwiązał oto wielką, fundamentalną kwestię, która go nurtowała od wielu dni.

Bardzo często kręcił głową, zatopiony we własnych myślach, i do końca życia rozprzeźrzeniał mylną informację, jakoby „Great Eastern”, statek o wyporności dziewiętnastu tysięcy ton, budowany w Portland, miał być przeznaczony do rejsów po północnym Atlantyku, na trasie Europa-Maine. Wierzył głęboko, że dwa najlepsze nabrzeża w zatoce Portland przygotowano specjalnie dla statku „Great Eastern”; że nowy, ogromny hotel w Portland stanął specjalnie z myślą o pasażerach „Great Eastern” i że wyłącznie z winy jakiegoś sabotażysty, zdrajcy lub po prostu idioty, wstrzymywany jest powrót statku „Great Eastern” do macierzystego portu Maine.

Ojciec Wilbura Larcha pracował był przy tokarce podczas budowy statku „Great Eastern”; możliwe, że obsesję wywołał w nim jęklivy odgłos maszyny, w połączeniu z nieustannym szumem alkoholowym w głowie. Statek „Great Eastern” nigdy nie miał zawijać do Portland; budowano go z myślą o rejsach australijskich, lecz poważne



opóźnienia prac doprowadziły armatora do bankructwa, skutkiem czego statek odsprzedano właścicielowi linii północnoatlantyckiej. Niestety, nie sprawdził się w warunkach północnych. Ogólnie rzecz biorąc, statek „Great Eastern” był jedną wielką klapą.

Tak więc ojciec Wilbura Larcha żył utopijnym wspomnieniem dni spędzonych przy tokarce i głęboką niechęcią do reformy antyalkoholowej, do przekonań małżonki, a także do jej chlebodawcy, burmistrza Neala Dowa. Zdaniem ojca Wilbura Larcha, statek „Great Eastern” nie wracał do Portland właśnie z powodu prohibicji – tej niewypowiedzianej krzywdy losu, która jego samego zmusiła do picia takich świństw jak piwa „szkockie” i „gorzkie”. Ponieważ Wilbur znał ojca tylko w późniejszych latach jego życia już po odpłynięciu „Great Eastern”, kiedy Larch senior pracował jako bagażowy na stacji Portland, należącej do linii kolejowej Grand Trunk Railway – mógł jedynie próbować wyobrazić sobie, czemu lata spędzone przy tokarce stanowiły najlepszy okres w życiu rodzica.

Małemu Wilburowi nigdy nie przyszło do głowy, że brak niektórych palców u dłoni ojca jest skutkiem zbyt wielu „szkockich” i „gorzkich” wychylonych w godzinach pracy przy tokarce – „wypadek przy pracy”, mawiał o tych ubytkach Larch senior – tak jak nie przyszło mu do głowy, że entuzjazm matki dla reformy antyalkoholowej wynikać może z zamiłowania mistrza tokarskiego do portera. Z czasem Wilbur zrozumiał, że jego rodzice zaliczają się do służby, a widząc, jak oni zmarnowali sobie życie, zaczął – jak to mawiają nauczyciele – pożerać wiedzę.

Chociaż Wilbur Larch wychował się w domu burmistrza, wchodził tam zawsze kuchennymi drzwiami, a posiłki jadał ze służbą wielkiego wroga alkoholu. W tym czasie jego ojciec pijał swoje śniadania i obiady w portowych dokach. Wilbur Larch uczył się bardzo dobrze, ponieważ wolał towarzystwo książek od wysłuchiwania dysput matki i innych służących burmistrza o potrzebie walki z alkoholizmem.

Wilbur Larch kontynuował naukę w College’u Bowdoina, a następnie na Harvardzkiej Akademii Medycznej, gdzie fascynacja bakteriami omal go nie odwiodła od medycyny praktycznej i nie sprowadziła na boczne drogi kariery laboranta lub, co najwyżej, bakteriologa. Miał, zdaniem profesora, spore zacięcie w tej dziedzinie i bardzo mu odpowiadało zacisze laboratorium; a poza tym pasjonowało go zdobywanie wiedzy o bakteriach. Przez blisko rok studiów medycznych sam był nosicielem bakterii, która tak boleśnie mu dokuczała, że już nie tylko dociekliwość naukowca, ale i paląca potrzeba osobista nagliła Wilbura do intensywnych poszukiwań skutecznej terapii. Cierpiał na rzeżączkę, której nabawił się dzięki

pośrednictwu ojca. Stary Larch, oszołomiony piwem i dumą z potomka, posłał go w roku 188- do akademii medycznej z takim właśnie pożegnalnym prezentem. Zafundował chłopcu noc w portowym hotelu robotniczym z portlandzką ladacznicą. Syn był tak zażenowany prezentem, że nie potrafił odmówić. Pograżony w pijackiej nostalgii ojciec rzadko zdobywał się na jakikolwiek gest; zgorzkniała matka-purytanka też była egoistką, chociaż na swój sposób; Wilbur wzruszył się, że ojciec pragnie mu cokolwiek ofiarować.

W hotelu robotniczym sól przeżarła drewniane sprzęty, a morska wilgoć na stałe przeniknęła zasłony i pościel. Ladacznica przypominała Wilburowi jedną z ładniejszych służących – koleżanek matki. Zamknął więc oczy i z trudem wyobraził sobie, że finalizuje zakazany romans w pokoiku na tyłach willi burmistrza. Kiedy otworzył oczy, ujrzał rozstępy na podbrzuszu ladacznicy, pogłębione w blasku świecy – wtedy jeszcze nie wiedział, że rozstępy zostają po ciąży. Ladacznicy było to najwyraźniej obojętne, czy Wilbur zauważył rozstępy na jej brzuchu, czy nie; on zaś, zasypiając z głową na jej podbrzuszu, zdążył zadać sobie niemądre pytanie, czy te zmarszczki nie odbiją się przypadkiem na jego twarzy, jako wieczne piętno. Obudził go ostry, przykry zapach; pospiesznie odsunął się od kobiety, nie zakłócając jej snu. W fotelu, na którym ladacznica złożyła ubranie, ktoś siedział i palił cygaro – koniec cygara jarzył się mocno z każdym pociągnięciem. Wilbur uznał, że to kolejny klient prostytutki czeka cierpliwie w kolejce, aż on skończy i wyjdzie, ale kiedy zapytał, czy w pokoju nie ma nowej świecy (stara się wypaliła, a musiał znaleźć swoje ubranie), odpowiedział mu głos młodej dziewczyny.

– Mnie mogłeś mieć taniej. – To było wszystko, co dziewczyna do niego powiedziała. Wilbur widział ją tylko o tyle, o ile pozwalał na to ognek cygara; ponieważ nie znaleźli świecy, dziewczyna oświetliła mu drogę do poszczególnych części garderoby, zaciągając się ile sił w płucach, co dawało na chwilę mocniejszy czerwony blask, a potem dużo dymu. Wilbur podziękował jej za pomoc i wyszedł.

Bardzo się zawstydził, kiedy nazajutrz rano, w pociągu do Bostonu, spotkał tę samą prostytutkę, z którą spędził noc. Za dnia okazała się gadatliwą paniusią. Z pudłem na kapelusze w dłoni, wyglądała na bywalczynię domów mód. Grzeczność kazała Wilburowi ustąpić jej miejsca w zatłoczonym pociągu. Nie jechała sama; towarzyszyła jej młoda dziewczyna. „Moja córka”, przedstawiła ją prostytutka, szturchając dziewczę kciukiem. Zdumiewająco smrodliwy, cygarowy chuch dziewczyny przypominał Wilburowi, że i ją zdążył już poznać. Nie mogła mieć nawet tyle lat co on.

Prostytutka nazywała się Eames. „Pani Eames? No to rymś”, wysilił się na kuplet Larch senior. Pani Eames zwierzyła się Wilburowi, że jest wdową i wie dzie przyzwoite życie w Bostonie, lecz właśnie aby móc wieść to przyzwoite życie, musi sprzedawać się od czasu do czasu gdzieś na prowincji. Błagała Wilbura, żeby jej nie psuł opinii w Bostonie. Wilbur nie tylko zapewnił panią Eames, że jej reputacja z jego strony nie dozna szwanku, ale jeszcze dopłacił jej z własnych pieniędzy do tego, co przed transakcją otrzymała od Larcha seniora. Wysokość tej ostatniej sumy poznał w jakiś czas później, w rozmowie z ojcem, który mu zdradził w zaufaniu, że pani Eames jest bardzo przyzwoitą obywatelką Portland, która dla podtrzymania tutejszej dobrej reputacji musi się od czasu do czasu sprzedać w Bostonie. Tylko przez wzgląd na wieloletnią znajomość z Larchem seniorem zgodziła się – „Jeden jedyny raz” – zniżyć do handlowania swymi usługami w rodzinnym mieście.

Ojciec Wilbura nie wiedział, że pani Eames ma córkę, która – jeśli wierzyć jej słowom – sprzedawała się taniej niż matka i za nic miała dobrą reputację, czy to w Bostonie, czy w Portland. Ponure to dziewczę nie odezwało się ani słowem na trasie Portland-Dworzec Północny w Bostonie; cygarowy chuch i pogardliwe spojrzenie mówiły za nią aż nadto wymownie. Wilbur nigdy nie przyznał się ojcu, że istnieją sprzeczne wersje co do tego, w którym mieście pani Eames cieszy się nienaganą reputacją, ani że trypra złapał właśnie od pani Eames, która mogła nawet nie wiedzieć, że zaraza.

W akademii medycznej Wilbur dowiedział się, że zarazki rzeżączki potrafią latami żyć w kobiecych jajowodach. Dopiero pojawienie się wrzodów na podbrzuszu uświadamia kobiecie, że jest chora. Inne, wcześniejsze symptomy – upławy, itepe – mogą długo pozostać niezauważone. U Wilbura Larcha objawy dały się dostrzec natychmiast; infekcja bakteryjna, w czasach kiedy jeszcze nie znano penicyliny, dręczyła młodzieńca miesiącami – a gdy wreszcie ustąpiła, Wilbur mógł się poszczycić bogatą wiedzą bakteriologiczną. Choroba pozostawiła Wilburowi blizny na cewce moczowej i uszkodzenie prostaty, a ponadto upodobanie do eteru, którym usypiał się od czasu do czasu, chcąc uciec od piekącego bólu, dotkliwego zwłaszcza podczas oddawania moczu i w czasie normalnego snu. Owo przykre i bolesne poznanie rozkoszy łoża oraz pamięć o wyzutym z miłości związku rodziców, przekonały przyszłego doktora Wilbura Larcha o tym, że abstynencja seksualna jest rzeczą chwalebłą, z punktu widzenia zarówno medycyny, jak i filozofii.

W roku 188- Wilbur Larch otrzymał dyplom lekarza, a Neal Dow rozstał się z życiem. Nieutulona w żalu matka Wilbura Larcha wkrótce potem też podążyła do

grobu, w ślad za swoim idolem walki z alkoholizmem. Nie minął tydzień, a Larch senior zlicytował co do sztuki wszystko, co znalazł w pokojach dla służby w willi nieboszczyka burmistrza, wsiadł w pociąg linii kolejowej Wielki Kufer i udał się do Montrealu – miasta, które nie mogło nawet równać się z Portland, jeśli idzie o walkę z alkoholizmem. Tam Larch senior ostro dał swojej wątrobie do wiwatu. Ciało wróciło do Portland tą samą linią kolejową Wielki Kufer, która nie tak dawno wywiozła mistrza tokarskiego w wielki świat. Wilbur Larch czekał na stacji; tym razem on spełnił rolę tragarza, za bagaż mając szczątki doczesne rodzica. Podczas pierwszej praktyki internistycznej młody doktor Larch zetknął się z półtrupami dogorywającymi na marskość wątroby, więc doskonale wiedział, jak pod koniec życia musiał wyglądać jego rodzony ojciec. Marskość zmienia wątrobę w ruinę blizn i zgrubień, twarz pacjenta zdradza typowe objawy żółtaczki, stolec twardnieje, mocz ciemnieje, krew nie chce krzepnąć. Doktor Larch szczerze wątpił, czy będąc w takim stanie, ojciec jego zwrócił uwagę na towarzyszącą wymienionym objawom impotencję.

Jak by to było pięknie i wzruszająco, móc stwierdzić, że Wilbur Larch wybrał zawód położnika, gdyż wczesna strata rodziców natchnęła go ideą sprowadzania na ten świat jak największej liczby nowych przedstawicieli gatunku ludzkiego. Niestety, skłoniły go do tego bakterie. Droga młodego Larcha do położnictwa usiana była bakteriami. Wykładowca bakteriologii na Harvardzkiej Akademii Medycznej, doktor Harold Ernst, utrwalił się w pamięci potomnych przede wszystkim jako pierwszy baseballista drużyn uniwersyteckich, stosujący „podkręcane” piłki. Doktor Harold Ernst był zarazem pierwszym baseballistą drużyn uniwersyteckich, który został bakteriologiem. We wczesnych godzinach porannych, zanim doktor Ernst – eksmistrz podkręcanych piłek – zjawił się w laboratorium, by doglądać swoich hodowli, student Larch był sam na sam z bakteriami. W obecności tysięcy bakterii dojrzewających w naczyniach Petriego oraz w jego własnej cewce moczowej i prostaty, Wilbur Larch nie czuł się osamotniony.

Spuszczał na szkiełko mikroskopowe pojedynczą kroplę wydzieliny z penisa. Nawet w ponadtysięckrotnym powiększeniu, małe dranie, które co rano obserwował pod mikroskopem, nie sięgały rozmiarów mrówki faraona.

Po latach doktor Larch zanotował obserwację, że gonokoki wyglądają jak przygarbione postacie – jak zbyt potężni goście w igloo. („I gną się w pasie – pisał doktor – jakby się sobie ciągle nawzajem kłaniały.”)

Student Larch badał pod mikroskopem kroplę własnej wydzieliny do chwili nadejścia doktora Ernsta, który rozpoczynał dzień pracy starannym obchodem

laboratorium i powitaniem każdej eksperymentalnej kolonii bakteryjnej z osobna (witał je jak kolegów z drużyny baseballowej).

– Wiesz co, Larch? – zagadnął Larcha słynny bakteriolog któregoś ranka. – Ty tak patrzysz w ten mikroskop, jakbyś planował okrutną zemstę.

Doktor Ernst mylił się: wyraz twarzy Wilbura Larcha nie odzwierciedlał żądy zemsty, tylko wysiłek, z jakim Larch wyłaniał się z eterowego otumanienia. Młody student medycyny Wilbur Larch odkrył bowiem, że delikatne opary o przyjemnym smaku bardzo skutecznie uśmierzają doskwierający mu ból. W okresie intensywnej walki z kłaniającymi się uprzejmie gonokokami, Larch zdobył niemałą wprawę w zażywaniu eteru. Gdy wreszcie zwalczył bakterie, był zaawansowanym narkomanem. Stosował technikę kropelkową. Jedną dłonią przytrzymywał maskę, która mu szczelnie zasłaniała usta i nos (maskę wykonał sam; był to stożek ze sztywnego papieru, owinięty wieloma warstwami gazy), a za pomocą drugiej ręki zwilżał jej zewnętrzną powierzchnię. Używał dziesięciodekowych puszek eteru. W puszkę wkładał agrafkę; krople kapiące z pętli agrafki miały optymalną średnicę i padały na maskę w idealnie odmierzonych odstępach czasu.

Tę samą technikę stosował przy usypianiu eterem pacjentów, z tym, że sobie aplikował o wiele mniejsze dawki. Przyjął taką zasadę, że gdy ręka trzymająca puszkę z agrafką zaczynała drżeć, odstawiał puszkę; kiedy zaś dłoń przytrzymująca maskę opadła bezwładnie – spadała na podłogę sama maska. Doktor Larch nie znał uczucia paniki, jakie przeżywa każdy pacjent usypiany eterem; nigdy nie doczekał momentu, w którym brakuje powietrza do oddychania. Zanim mogłoby do tego dojść, maska zawsze spadała z jego twarzy.

Jako młody pracownik południowej filii Bostońskiego Szpitala Położniczego, doktor Wilbur Larch zaczynał od odbierania porodów w najuboższych dzielnicach miasta. Eterowy błogostan miał już wtedy stałe, niewielkie miejsce w jego umyśle. Doktor zawsze nosił przy sobie puszkę eteru i maseczkę z gazy, ale nie zawsze miał dość czasu na znieczulenie pacjentki. Nieraz bóle porodowe były już tak zaawansowane, że nie pokonałby ich nawet eter. Ale jeżeli czasu było dość, doktor Larch chętnie aplikował eter pacjentkom w położu. Nie zgadzał się z opinią części starszych kolegów, jakoby podawanie eteru było pogwałceniem natury, która każe kobiecie rodzić w bólu.

Swojego pierwszego noworodka odebrał doktor Larch w rodzinie Litwinów, zamieszkującej lokal bez ciepłej wody na ostatnim piętrze kamienicy, do której brnęło się przez gnijące resztki owoców i warzyw i końskie kupy. W mieszkaniu nie było lodu

do sporządzenia kompresu na podbrzusze rodzącej, żeby zapobiec krwotokowi poporodowemu. Na kuchni gotował się gar wody do sterylizacji narzędzi lekarskich, ale doktor Larch najchętniej wysterylizowałby całe mieszkanie. Męża ciężarnej posłał po lód. Zmierzył rozpiętość kości miednicy przyszłej matki. Ustalił położenie płodu. Słuchając bicia serca nienarodzonego, obserwował kota, który bawił się na kuchennej podłodze zdechłą myszą.

W mieszkaniu była jeszcze przyszła babka, która miała położnicy wiele do powiedzenia po litewsku, a z doktorem Larchem próbowała się porozumieć dziwną i nieczytelną pantomimą. Doktor doszedł do wniosku, że kandydatka na babkę nie dysponuje pełnią władz umysłowych. Trudno mu było, na przykład, odgadnąć, czy spore znamię, które miała na policzku, budzi jej zgrozę czy dumę – czy też może po prostu kobieta domaga się od doktora, żeby je usunął, przed albo po odebraniu noworodka – trudno dociec. Stara Litwinka demonstrowała znamię na różne sposoby; w pewnym momencie podstawiła pod nie łyżkę, jakby miało odpaść; a nieco później zakryła je pustą filiżanką i odsłoniła z triumfalnym uśmiechem magika. Za każdym razem była bardzo przejęta; prawdopodobnie nie pamiętała, że już kiedyś pokazywała znamię doktorowi Larchowi.

Powracający z lodem mąż położnicy przydeptał kota, na co kot oburzył się głośno takim tonem, że Wilbur Larch przestraszył się, iż przegapił moment narodzin dziecka. Na szczęście obyło się bez kleszczy; poród był krótki, bez powikłań i bardzo głośny. Świeżo upieczony ojciec kategorycznie odmówił umycia noworodka. Babka dała do zrozumienia, że bardzo chętnie go wyręczy, ale Larch obawiał się, iż z połączenia wielkich emocji i naturalnej tępoty może wyniknąć tylko nieszczęście. Ostatecznie jednak pouczył babkę (a nie było to proste, skoro nie znał języka litewskiego), że dziecko należy umyć ciepłą wodą z mydłem – nie gotować w garnku na kuchni i nie podstawić główką w dół pod kran z zimną wodą; sam zaś zajął się łożyskiem, które nie chciało się odkleić. Po rodzaju krwawienia Larch poznał, że zanoszą się na groźny krwotok.

Kazał Litwinowi narąbać lodu – krzepki chłop przytargał na górę cały blok lodowy z pobliskiej chłodni; przyniósł go w wielkich szczypcach, wypożyczonych z tejże chłodni. Gdy teraz stanął pośrodku kuchni, z ogromnymi szczypcami na ramieniu, można się go było przestraszyć. Przed nim leżał blok lodu, który wystarczyłby na kompresy dla sporej gromady krwawiących pacjentek; przyłożenie tak wielkiej bryły lodu jednej niewieście skończyłoby się zapewne zmiażdżeniem kości miednicy. W tej chwili namydlone dziecko wyślizgnęło się babce z rąk i wpadło do

zlewu, między zalane zimną wodą brudne naczynia. Równocześnie mąż po raz drugi nastąpił na kota.

Korzystając z chwili nieuwagi babki i męża, Larch uchwycił łożysko przez ścianę podbrzusza i ścisnął z całych sił. Położnica krzyknęła Przerażliwie i chwyciła go za ręce. Babka porzuciła noworodka w zlewie, skoczyła na Larcha od tyłu i ugryzła go w plecy. Mąż jedną ręką wyłowił dziecko ze zlewu, a drugą, w której dzierżył szcypce, zamachnął się na Larcha. W tym momencie szczęściarz Wilbur Larch poczuł, że łożysko się odkleiło. Z kamiennym spokojem zademonstrował je najbliższemu krewnym położnicy, na których łożysko wywarło znacznie większe wrażenie niż dziecko. Doktor Larch umył nieszczęsne niemowlę, podał matce dawkę sporyszu, skłonił się i bez słowa opuścił mieszkanie. Ledwie zdążył zamknąć drzwi, stanął zdumiony, bo z wnętrza dobiegł go hałas i krzyki; babka; obłożona lodem położnica i jej małżonek wykrzykiwali jedno przez drugie po litewsku, a noworodek potężnym wrzaskiem przyłączył się do swojej pierwszej rodzinnej awantury. Można było odnieść wrażenie, że poród i związana z nim wizyta doktora Larcha stanowiły krótkie, niegodne wzmianki interludium w bełkotliwym dramacie życia litewskiej rodziny.

Larch po omacku zszedł po schodach i odnalazł drogę do wyjścia na ulicę; tam zaraz wdepnął w zgniłą główkę sałaty, która uległa jego obutej stopie z niepokojącą miękkością czaszki niemowlęcia. Tym razem nie pomylił kociego miauczenia z krzykiem noworodka. Podniósł wzrok i ujrzał jakiś obiekt wyrzucany przez okno z mieszkania Litwinów. Ledwie zdołał się uchylić. Ktoś wyraźnie w niego celował. Larch ciekaw był, czym też mógł naruszyć litewskie zasady dobrego tonu. Ze zgrozą skonstatował, że obiekt, który wyleciał z okna, a teraz leżał martwy u jego stóp, był – kotem. Larch poczuł się tym wstrząśnięty, – ale nie dogłębnie, bo przedtem zdążył pomyśleć, że to noworodek. Na Harvardzie dowiedział się, co prawda, że „elastyczność ciała noworodka jest wprost niewiarygodna”, ale elastyczność kociego ciała też nie była do pogardzenia – a jednak kot, niebożę, nie przeżył defenestracji.

„U nas w St. Cloud’s – zanotował w dzienniku doktor Larch – zawsze ciepło się myśli o bostońskiej dzielnicy South End.” Doktorowi chodziło o to, że dzieciarnia przychodząca na świat w tamtej dzielnicy była dla położnika źródłem krzepiącej pewności, iż akt narodzin stanowił najbezpieczniejszy etap jej podróży przez życie. Larch szanował ponadto brutalne *memento*, jakim były dla niego prostytutki z South End. Każda kojarzyła mu się z bolesnym prezentem od pani Eames. Patrząc na prostytutkę, Wilbur Larch z miejsca widział jej bakterie pod mikroskopem. Z kolei widok bakterii ożywiał w nim tęsknotę za oszalamiającym ciepłkiem eteru – ach,

zaciągnąć się chociaż raz, najmniejszą dawką (no: podwójną najmniejszą dawką). Doktor Larch nie pijał alkoholu i nie palił tytoniu. Tylko od czasu do czasu karmił podupadającego ducha skromną porcją eterowego optymizmu.

Wilbur Larch drzemał sobie spokojnie na nocnym dyżurze w południowej filii Bostońskiego Szpitala Położniczego, kiedy kolega-lekarz kazał mu zejść do izby przyjęć, mówiąc, że teraz jego kolej. Pacjentka była o wiele chudsza i mniej ponętna niż wtedy, kiedy ją ostatni raz widział, ale i tak Wilbur Larch rozpoznał w niej panią Eames. Ze strachu i bólu ledwo mogła oddychać – a co dopiero wymówić wyraźnie własne nazwisko, żeby pielęgniarka w izbie przyjęć mogła je zapisać.

– Rymuje się z „ryms” – podpowiedział usłużnie doktor Larch.

Nawet jeśli pani Eames od razu go poznała, nie dała nic po sobie poznać. Miała znacznie obniżoną ciepłotę ciała, a brzuch tak napięty i twardy, że pobielał jak knykcie zaciśniętej pięści. Larch nie stwierdził oznak akcji porodowej ani bicia serca płodu, którego rysy wyobrażał sobie jako kopię twarzy ponurej nastoletniej córki pani Eames. Ileż ona może dzisiaj mieć lat? – pomyślał i zanim skupił się całkowicie na pani Eames, zdążył sobie przypomnieć, że dziewczę było mniej więcej w jego wieku. Stwierdził krwotok wewnętrzny. Do operacji przystąpił, gdy tylko odpowiedzialny za transfuzję pracownik szpitala ściągnął dawców z odpowiednią grupą krwi.

– Pani Eames? – zagadnął cichutko, chcąc nawiązać kontakt z pacjentką.

– Jak tam twój ojciec, Wilbur? – spytała znienacka w chwili, gdy doktor przystępował do operacji.

Miała pełno krwi w brzuchu. Larch odsączył, ile mógł, szukając źródła krwotoku; było nim kilkunastocentymetrowe pęknięcie tylnej ścianki macicy. Larch wykonał cesarskie cięcie i wydobył na świat martwy płód, ze ściągniętą nieprzyjemnym grymasem twarzyczką, kubek w kubek podobną do fizjonomii starszej siostry – namiętnej palaczki cygar. Larch ciekaw był, dlaczego pani Eames nikt nie towarzyszy.

Młody doktor Larch w pełni panował nad sytuacją. Mimo iż dokuczało mu wspomnienie wspólnych przeżyć z operowaną damą – a także przejętej od niej choroby, której dopiero niedawno się pozbył – działał w przekonaniu, że ma do czynienia z przypadkiem ciężkim, ale nie beznadziejnym. Gdy jednak przyszło do zszywania pacjentki, musiał zmienić zdanie: nie chirurgiczna szatko wała na frędzle tkanek o konsystencji topionego sera. Doktor Larch nie miał innego wyjścia, jak



amputować macicę. Ze zdziwieniem stwierdził, że pani Eames całkiem dobrze zniosła kilkakrotną transfuzję.

Rankiem poprosił o konsultację starszego chirurga. W Bostońskim Szpitalu Położniczym każdy lekarz-położnik musiał mieć wykształcenie chirurgiczne; Larch odbywał praktykę chirurgiczną w szpitalu Mass General. Starszy chirurg nie mniej od Larcha zdumiał się wyglądem macicy pani Eames, gdyż organ znajdował się praktycznie w stanie rozkładu. Tajemnicza była też przyczyna ruptury, z którą pani Eames przyjechała do szpitala. W miejscu pęknięcia nie stwierdzono ani starej blizny po cesarskim cięciu, która mogła się była rozstąpić, ani oznak nadwężenia przez łożysko, które tkwiło po przeciwnej stronie worka macicy. Nie stwierdzono także obecności guza.

Przez czterdzieści osiem godzin po operacji pani Eames czuła się doskonale. Szczerze współczuła Wilburowi z powodu śmierci rodziców („Twojej mamusi, niestety, nie miałam przyjemności poznać” – żalowała) i jeszcze raz zobowiązała Wilbura do dbałości o całość jej reputacji (Wilbur potwierdził dawne przyrzeczenie i rzeczywiście go dotrzymał, nie dzieląc się ze starszym chirurgiem podejrzeniem o związek stanu pacjentki z długofalowymi skutkami rzeżączki). Ciekawe – pomyślał przelotnie, – z której wersji bajeczki o nienaganej reputacji korzysta ostatnio pani Eames; portlandzkiej czy bostońskiej? A może legenda rozrosła się o trzecie miasto i trzeci fikcyjny żywot?

Na trzeci dzień po amputacji kuriozalnej macicy, pani Eames znów dostała krwotoku. Doktor Larch, pełen najgorszych przeczuć, otworzył ponownie jamę brzuszną. W pierwszej chwili poczuł ulgę, bo krwi było mniej, niż się spodziewał, ale kiedy odsącał krew tamponem, przebił jelito, przypadkowo (i wcale nie mocno) dźgnąwszy je palcem, a gdy uniósł zwój jelita, chcąc się bliżej przypatrzeć uszkodzeniu – organ rozpłynął mu się w palcach jak galareta. Jeżeli wszystkie organy pani Eames wyglądały podobnie, dama nie miała przed sobą długiego życia.

Żyła jeszcze trzy dni. W noc jej śmierci doktor Larch miał koszmarne sen: śniło mu się, że penis mu odpadł; doktor próbował przyszyć go na miejsce, ale nieszczęsny organ rozszedł mu się w palcach, a potem także i palce poodpadały od dłoni. Typowy sen chirurga! – stwierdził doktor, gdy się obudził: palce ceni się w tym fachu wyżej niż penisy. Typowa filozofia Wilbura Larcha.

Incydent ten umocnił doktora w abstynencji seksualnej. Przez pewien czas Larch doszukiwał się w sobie z niepokojem symptomów tego, co uśmierciło panią

Eames. Sekcja jej zwłok – dokonana, *nota bene*, przez wybitnego patologa – przyniosła dość niespodziewane orzeczenie:

– Szkorbut – stwierdził słynny patolog.

Niech żyje patologia – pomyślał ironicznie Wilbur Larch. Szkorbut! Też coś!

– Pani Eames była prostytutką, a nie marynarzem – poinformował, z całym szacunkiem dla autorytetu, kolegę-patologa.

Ale patolog nie zmienił orzeczenia. Jego zdaniem, zgon nie miał nic wspólnego ani z tryprem, ani z ciążą pacjentki. Pani Eames zmarła na marynarską chorobę: jej organizm nie zawierał ani śladu witaminy C, w związku z czym „nastąpiło uszkodzenie tkanki łącznej i związana z nim skłonność do krwotoków”. Szkorbut. Koniec i kropka.

Sprawa nie przestała być zagadką, ale przestała być zagadką weneryczną i Wilbur Larch mógł całą jedną noc przespać spokojnie – zanim go odwiedziła córka pani Eames.

– Znowu moja kolej? Niemożliwe – wybelkotał doktor w półśnie do budzącego go kolegi.

– Ona twierdzi, że jesteś jej lekarzem – odparł kolega.

Wilbur Larch nie poznał córki pani Eames, która swego czasu sprzedawała się taniej niż matka, ale teraz na pewno nie. Gdy ją widział ostatnio w pociągu, wydawała mu się o dobre parę lat młodsza niż on sam; teraz wyglądała o parę lat od niego starzej. Ze zbuntowanej nastolatki wyrosła wulgarna kokota – przesadnie umalowana, obwieszona tandetną biżuterią i złana perfumami, w brudnej, pretensjonalnej sukience. Włosy, splecione w ciasny, gruby kok i ozdobione wpiętym na sztorc mewim piórem, były tak mocno ściągnięte do tyłu, że żyły na skroniach i ścięgna na szyi wystąpiły na wierzch jak powrozy. Wyglądała, jakby brutalny kochanek zgiał ją wpół przez plecy i w tej pozycji przytrzymał z całej siły za dorodny, czarny kok.

Na powitanie wręczyła Wilburowi Larchowi butelkę z brunatnym płynem, cuchnącym na odległość, ponieważ korek nie był szczelny. Napis na etykiecie był zalany i całkowicie nieczytelny.

– To ją załatwiło – powiedziała krótko dziewczyna. – Ja tego świństwa nie ruszam. Są inne sposoby.

– Czy mam przyjemność z panną Eames? – upewnił się Larch, dyskretnie pociągając nosem, bo starał się wyczuć tak dobrze zapamiętany cygarowy chuch.

– Mówię przecież: są inne sposoby! – zirytowała się wyraźnie panna Eames. – U mnie jeszcze nie jest tak późno jak u niej, jeszcze nie kopie.

Wilbur Larch powąchał wylot butelki, którą trzymał w ręku. Dobrze zrozumiał słowa dziewczyny: pierwsze kopnięcie płodu – zwykle w czwartym lub piątym miesiącu – oznaczało mniej więcej połowę ciąży; niektórzy co bardziej religijni lekarze uważali, że od tego momentu dziecko posiada duszę. Wilbur Larch nie uważał, że ktokolwiek ma duszę, ale był zwolennikiem prostej zasady aborcyjnej, panującej powszechnie do połowy dziewiętnastego wieku: do pierwszego kopnięcia ciążę można było usunąć legalnie. Dla Wilbura Larcha szczególnie ważne było w tej zasadzie to, że aborcja dokonana przed pierwszym kopnięciem płodu nie zagrażała matce. Powyżej trzeciego miesiąca, płód – wszystko jedno, czy już kopał, czy nie – mocniej trzymał się ścianki macicy i wyrwanie go stamtąd wymagało bardziej zdecydowanej interwencji.

Najlepszy dowód, że płyn z butelki, którą Wilbur Larch dzierzył w dłoni, nie zdołał zmusić płodu pani Eames do odcepienia się od matki – chociaż okazał się wystarczająco silny, aby płód uśmiercić, a z wnętrza matki zrobić grząskie bagno.

– To pewnie czysta trucizna – wyraziła przypuszczenie córka pani Eames, twarda sztuka, gdy Wilbur Larch, poświęcając kroplę ukochanego eteru, oczyścił etykietkę na butelce i z trudem odczytał:

**FRANCUSKI ROZTWÓR KSIĘŻYCOWY**  
**Przywraca Regularność Miesięczną u Kobiet!**  
**Likwiduje Ucisk!**

(Młody doktor Larch domyślił się, że „ucisk” to eufemizm, zastępujący słowo „ciąża”.)

**Uwaga: Niewskazany dla Mężatek!**  
**Prawie Zawsze Powoduje Poronienie!**

– ostrzegął napis na dole nalepki. Właśnie to ostrzeżenie skłoniło panią Eames do wielokrotnego zażycia specyfiku.

Larch uczył się o skutkach nadużycia abortycydów w akademii medycznej. Jedne – na przykład sporysz, który doktor Larch podawał położnicom, aby przyspieszyć kurczenie się macicy po porodzie, a także wyciąg z gruczołów śluzowych – atakowały bezpośrednio macicę. Inne były po prostu drastycznymi środkami

przeczyszczającymi i rujnowały przewód pokarmowy pacjentki. W prosektorium akademii medycznej Larch widział z bliska dwie ofiary dość popularnego, domowego środka na przerwanie ciąży – terpentyny. Poza tym kobiety, które nie chciały rodzić dzieci w latach 1880-tych i 1890-tych, zabijały płód, i przy okazji siebie, strychniną i olejkiem z ruty. Francuski Roztwór Księżycowy był olejem z wrotycza: pani Eames zażywała go tak długo, i w tak znacznych dawkach, że jej przewód pokarmowy zatracił zdolność absorbowania witaminy C. W ten sposób pani Eames zmieniła swoje wnętrze w miękki ser. Zmarła – jak słusznie stwierdził renomowany patolog – na szkorbut.

Pani Eames mogła wybrać jedną z wielu innych metod praktykowanych dla pozbycia się ciąży. Krążyły plotki, że cieszący się jak najgorszą sławą specjalista od pokątnych aborcji w South Endzie jest zarazem najbardziej wziętym alfonsem tej dzielnicy. Ponieważ za aborcję liczył sobie prawie pięćset dolarów, ubogie kobiety, dla których była to suma niewyobrażalna, zostawały jego prostytutkami. Działał w lokalu zwanym – jak i inne miejscowe lokale, w których potajemnie uprawiano aborcję – „za rogiem Harrisona”. Dziwna nazwa wzięła się stąd, że jedna z klinik południowej filii Bostońskiego Szpitala Położniczego mieściła się na ulicy Harrisona – więc dla każdego było oczywiste, że „za rogiem Harrisona” oznacza przedsięwzięcie nieoficjalne, żeby nie powiedzieć: nielegalne.

Pani Eames musiała mieć swoje powody, żeby nie decydować się na aborcję „za rogiem Harrisona”. Metody tam stosowane znała zapewne także i jej córka, skoro postanowiła dać doktorowi Larchowi szansę wykonania zabiegu – a sobie, szansę przeżycia go bez szwanku.

– Mówiłam, że nie kopie – przypomniała młodemu doktorowi panna Eames. – Nie będę się drzeć. Zaraz potem sobie pójdę.

Było po północy. Ordynator południowej filii szpitala spał, podobnie jak akuszerka i anestezjolog. Kolega, który obudził Larcha, też poszedł spać.

Rozszerzenie szyjki macicy w każdym stadium ciąży wywołuje jej skurcze i wydalenie zawartości. Larch wiedział również, że dowolne podrażnienie macicy wywołać powinno pożądany efekt skurczy i wydalenia płodu. Młody doktor Wilbur Larch przyjrzał się pilnie córce pani Eames i nogi się pod nim ugięły – jakby nigdy nie przestał jechać na stojąco pociągami z Portland, z jedną ręką na oparciu siedzenia zajętego przez panią Eames, wtedy kiedy jeszcze nie wiedział, że ma trypra.

– Więc pani chce się poddać aborcji – powiedział cicho, po raz pierwszy wymawiając to słowo.

Córka pani Eames wyjęła w odpowiedzi ptasie pióro z koka i dźgnęła nim Larcha w pierś, mówiąc brutalnie:

– Albo się zesraj, albo złaż z nocnika.

Przy słowach „zesraj” i „nocnika” Larcha owionął kwaśny, cygarowy odór.

Wilbur Larch słyszał, jak śpi asystentka anestezjologa: chrapała, bo miała kłopoty z zatokami. Do aborcji doktor potrzebował mniej eteru niż do porodu: niewiele więcej, niż sam zwykł zażywać w jednej dawce. Poza tym uznał, że można zrezygnować z golenia pacjentki. Przed porodem wszystkie pacjentki były obowiązkowo golone i doktor Larch wolałby trzymać się tej reguły również przy aborcji, gdyby nie brak czasu: z czegoś trzeba było zrezygnować, a nie miał zamiaru rezygnować z eteru. Postanowił ograniczyć się do dezynfekcji okolicy okołopochwowej czerwonym merkurochromem. Po takim dzieciństwie, jakie musiała przeżyć córka pani Eames, on też nie chciałby wydawać na świat potomstwa. Wybrał do zabiegu rozszerzadło Douglassa z zaokrąglonymi końcówkami, dzięki którym przyrząd dawał się łatwo wprowadzić do pochwy i nie groził uszkodzeniem tkanki przy wycofywaniu go. Po odpowiednim rozszerzeniu szyjki macicy, kleszcze, zdaniem doktora, nie powinny być potrzebne – chyba, że ciąża okazałaby się trzy-czteromiesięczna – a i wówczas tylko do wydobycia łożyska i większych fragmentów tego, co podręcznik akademicki nazywał elegancko „produktem zapłodnienia”. Resztę zeskrobywało się ze ścianki macicy łyżką chirurgiczną lub, dla pewności, dwiema: mniejsza sięgała w najdrobniejsze załamki.

Ale Wilbur Larch był na to wszystko za młody: niepokoila go masa pytań i wątpliwości. Myślał, że będzie musiał dać pannie Eames czas na otrząśnięcie się ze skutków eteru. Co w takim razie powie kolegom albo pielęgniarce, gdyby się, nie daj Boże, obudziła? A gdyby zaszła konieczność (powiedzmy, silny krwotok) zatrzymania dziewczyny do rana – to jak się wytłumaczy przed ordynatorem? Poczul silne ukłucie w klatce piersiowej – to córka pani Eames dźgnęła go znowu bezlitośnie mewim piórem.

– Nie kopie! Mówię przecież, że nie kopie! – piekliła się i raz po raz atakowała Larcha ptasim piórem, aż się w końcu złamało; zostawiła je wczepione smętnie w koszulę doktora. Sama zaś odwróciła się na pięcie do wyjścia – ciężki kok musnął w przelocie twarz doktora Larcha i pozostawił mu w nozdrzach woń stęchłego dymu. Po jej odejściu Larch zdjął z koszuli na piersi złamane pióro, a przy okazji zauważył, że olej z wrotczyca – Francuski Roztwór Księżycowy – poplamiał mu ręce. Zapach nie był

niemiły, tylko bardzo intensywny: na moment przesłonił ukochaną woń Larcha – woń eteru – i pozostawił po sobie trwałe niepokój.

„Za rogiem Harrisona” nie stosowano eteru. „Za rogiem Harrisona” nikt się nie patyczkował z bólem. Na ból „za rogiem Harrisona” mieli głośną muzykę: zespół pod nazwą Chór Niemiecki pilnie ćwiczył swoje *Lieder* w pokojach od frontu. Śpiewali z serca, na całe gardło. Nie wiadomo, czy koncert spodobał się pannie Eames, bo nie wspomniała o nim, kiedy w tydzień później trafiła na ostry dyżur do południowej filii Bostońskiego Szpitala Położniczego. Nikt nie umiał powiedzieć, jak się tam dostała: wyglądała, jakby ją podrzucono pod drzwi. Na twarzy i szyi nosiła wyraźne ślady pobicia – możliwe, że oberwała za nieuiszczenie rachunku za aborcję. Miała wysoką gorączkę: jej obrzękła twarz pałała jak bochen chleba świeżo wyjęty z pieca. Na podstawie temperatury i twardości brzucha, ordynator i pielęgniarka z nocnego dyżuru przyjęli pacjentkę z podejrzeniem zapalenia otrzewnej. Wilbura obudzili dlatego, że córka pani Eames miała przypięty na ramieniu świstek z tekstem:

DOKTOR LARCH  
SRAJ ALBO ZŁAŻ Z NOCNIKA!

Do drugiego ramienia – niczym epolet nie od pary, przez który cała sukienka leżała krzywo – przypięte były damskie majtki. Były to jedyne majtki panny Eames. Na sobie – co niebawem stwierdzono – nie miała żadnych. Widać było, że ktoś przypiął jej te majtki do ramienia w wielkim pośpiechu; tylko dzięki temu nie zginęły po drodze.

Wilbur Larch zaraz, bez szczegółowych badań, poznał, że ma do czynienia z nieudaną próbą usunięcia ciąży. Płód bez wyczuwalnego tętna uwiązał w macicy, zastygłej w spazmatycznym skurczu. Wylew wewnętrzny i infekcja mogły być skutkami rozmaitych metod stosowanych „za rogiem Harrisona”.

Działała tam, na przykład, szkoła wyznawców metody wodnej, z użyciem irygatora i strzykawki – niestety, żadnego z tych przyrządów nie sterylizowano, a strzykawka służyła do wielu różnych celów. Inna szkoła posługiwała się prymitywną ssawką – zwykłym stożkiem próżniowym, z którego odsysano powietrze za pomocą pompki nożnej; narzędzie skutecznie usuwało płód, ale powodowało przy tym silne

wybroczyny, niszcząc znaczne obszary tkanki miękkiej. Malutka wizytówka na drzwiach „za rogiem Harrisona” głosiła: PRZYWRACANIE MENSTRUACJI METODĄ ELEKTRYCZNĄ – przy użyciu baterii galwanicznej McIntosha. Do baterii podłączało się długie przewody z końcówkami dopochwowymi i domacicznymi na uchwytach w gumowych osłonkach, dzięki czemu osoba wykonująca zabieg nie odczuwała wstrząsów elektrycznych.

W chwili śmierci, zanim doktor Larch zdążył przystąpić do operacji, albo chociaż wysłuchać ostatnich słów umierającej (tym sposobem jej ostatnie słowa, przypięte do sukienki na ramieniu, brzmiały: „Sraj albo złaż z nocnika”) – temperatura pacjentki wynosiła blisko 50°C. Ordynator czuł się w obowiązku zapytać Larcha, czy zna nieboszczkę. Kartka na jej ramieniu dość dosadnie sugerowała odpowiedź.

– Miała do mnie żal o odmowę wykonania zabiegu aborcji – wyjaśnił Wilbur Larch.

– Gratuluję panu! – wyciągnął rękę ordynator.

Ale Wilbur Larch nie widział powodu do gratulacji. Stwierdził rozległe zapalenie błon i narządów jamy brzusznej, dwukrotną perforację macicy i obecność martwego płodu, o którym panna Eames mówiła prawdę: nie kopał.

Nazajutrz rano doktor Larch odwiedził gabinet „za rogiem Harrisona”. Musiał naocznie stwierdzić, co odbywa się tam, gdzie odchodzą ciężarne kobiety, odprawione z kwitkiem przez lekarzy. Towarzyszyło mu jak duch ostatnie cygarowe tchnienie panny Eames, które poczuł, gdy pochylił się nad umierającą – a to z kolei przypomniało mu dawne, nocne poszukiwanie garderoby w obcym pokoju, w kłębach dymu, przy ogniku cygara. Jeżeli grzechem jest wywyższać się nad innych – pomyślał doktor Larch – to wywyższać się ze względów moralnych jest grzechem najcięższym. Spał z matką, a potem ubierał się w blasku cygara jej córki. Mógł bez większego trudu zrezygnować na resztę życia z miłości zmysłowej – ale czy mógł kogokolwiek potępiać za uprawianie takiej miłości?

Chór Niemiecki wyśpiewywał gromko za drzwiami z maleńką wizytówką, obiecującą przywrócenie menstruacji sposobem elektrycznym. Chórowi akompaniowało tylko rozstrojone pianino – ale nawet bez oboju, różka angielskiego i mezzosopranu, Larch dostrzegł w tym, co słyszał, znaczne podobieństwo do *Kindertotenlieder* Mahlera. W wiele lat później, słysząc po raz pierwszy zagłuszający

wszelkie ludzkie krzyki ryk rzeki w Wodospadzie Trzy Mile, przypomniał sobie występy Chóru Niemieckiego w zakładzie „za rogiem Harrisona”. Walił pięściami w drzwi, ale choćby i krzyczał – nikt nie mógł go usłyszeć. Więc nacisnął klamkę i wszedł do środka. Nikt nawet na niego nie spojrział. Chór Niemiecki dalej śpiewał swoje. Pianino było tu rzeczywiście jedynym instrumentem; krzesel nie wystarczyło nawet dla pań chórzystek; stojaków pod nuty też brakowało; chórzyści stali zbici w dwie gromadki, panowie z dala od pań; brakowało również partytur. Dyrygent stał przy pianinie: chudy, łysy, bez koszuli, w samym tylko brudnym kołnierzyku (możliwe, że do wchłaniania potu z karku), z oczami na wpół przymkniętymi, jak w modlitwie. Pracowicie młócił rękami powietrze, ciężkie od dymu z cygar i smrodu taniego beczkowego piwa, zalatującego uryną. Chór posłusznie stosował się do dramatycznej pantomimy dyrygenta.

Gdyby to widział jakiś wymagający i surowy Bóg, zesłałby na nas wszystkich grom z jasnego nieba – pomyślał Wilbur Larch. Okrążył pianino i wszedł dalej przez jedyne otwarte drzwi. Prowadziły one do pokoju, w którym nie było absolutnie nic – ani mebla, ani nawet okna, tylko jeszcze jedne drzwi. Larch nacisnął klamkę i znalazł się w pomieszczeniu, które musiało być poczekalnią – choćby dlatego, że siedziało tam i czekało kilka osób: konkretnie cztery, parami. To pomieszczenie miało okno, i to otwarte; na stolikach leżała nawet prasa i stały kwiaty. Lecz nikt z obecnych nie czytał prasy ani nie wahał kwiatów, ani nawet nie wyglądał przez okno: wszyscy patrzyli pod nogi i nie podnieśli wzroku, kiedy do poczekalni wszedł Wilbur Larch. Przy biurku, wyposażonym w notesik i kasetę na pieniądze, siedział człowiek z czujną miną i zajadał z miseczki potrawę, która wyglądała jak marynarska grochówka z puszką. Emanował młodością, tężyzną i obojętnością na otoczenie. Ubrany był w robocze spodnie z klapą i podkoszulek bez rękawów; na jego szyi, niczym gwizdek trenera sportowego, wisiał klucz – zapewne od kasy z pieniędzmi. Mężczyzna był całkiem łysy – podobnie jak dyrygent chóru; to nasunęło Larchowi myśl, że obaj mają wygolone głowy.

Nie patrząc na Wilbura Larcha, człowiek za biurkiem (mógł być chórzystą, który zrobił sobie przerwę na dwa, trzy utwory), odezwał się kategorycznym tonem:

– Hola, panom wstęp wzbroniony. Pani musi przyjść sama albo z koleżanką.

Z frontowego pokoju dobiegł Wilbura śpiew o czyjejś „drogiej matce” – bo czy nie to właśnie znaczy „*Mütterlein*”?

– Jestem lekarzem – przedstawił się doktor Larch.



Kasjer nie przerwał jedzenia, ale podniósł wzrok na Wilbura Larcha. Chór umilkł nagle dla zaczerpnięcia powietrza i w tym ułamku sekundy ciszy Larch usłyszał pospieszne, wprawne skrobanie łyżeczką o dno miski oraz – z przyległego pokoju – odgłos torsji i zaraz potem chlust do metalowego naczynia. Jedna z kobiet w poczekalni zaczęła płakać, ale zanim Larch stwierdził, która, chór z nowym entuzjazmem podjął pienia. Larch zrozumiał, że tym razem śpiewają chyba o krwi Chrystusa.

– Czego pan tu szuka? – zapytał Larcha człowiek zza biurka.

– Jestem lekarzem. Chcę się widzieć z lekarzem, który tu przyjmuje.

– To popatrz pan do lustra, bo tu nie ma innego lekarza – burknął młodzian.

– W takim razie chciałbym udzielić porady – powiedział Larch. – Porady medycznej. Bezpłacie.

Amator wojskowej grochówki przyjrzał mu się bacznie, jakby z twarzy Larcha chciał wyczytać stosowną ripostę.

– Jest parę osób przed panem – powiedział w końcu. – Niech pan czeka w kolejce.

Ten układ zdawał się, przynajmniej na razie, satysfakcjonować ich obu. Larch rozejrzał się za wolnym krzesłem i zasiadł w przerwie między dwiema parami kobiet. Ostatnio zdarzały mu się same dziwne rzeczy, dlatego nie poczuł się nawet specjalnie zaskoczony widokiem znajomych: jedną z par stanowiły Litwinka, której asystował przy pierwszym (jej i swoim) porodzie, i jej matka ze znamieniem na twarzy. Uparcie odwracały od niego wzrok; Larch jednak z uśmiechem skinął im głową. Młodsza kobieta była w zaawansowanej ciąży – stanowczo zbyt zaawansowanej na przeprowadzenie bezpiecznej aborcji, nawet w najlepszych warunkach. Larch z przerażeniem skonstatował, że nie może jej tego powiedzieć – kobieta rozumiała tylko po litewsku. W dodatku on, Larch, musiał jej się kojarzyć wyłącznie z przynoszeniem na świat żywych dzieci. Skąd mógł wiedzieć, co działo się z pierwszym dzieckiem, jak Litwinka sobie z nim radzi – radziła? Wilbur Larch postukał nerwowo w cholewkę buta i przyjrzał się drugiej parze. Stanowiły ją również matka z córką, obie młodsze od Litwinek – trudno było odgadnąć, która jest w ciąży. Tak czy owak, wobec nich rokowania co do skutków aborcji były lepsze. Córka wydawała się za młoda na ciążę – ale w takim razie po co matka przyprawdzałaby ją tutaj? Czy aż tak bardzo bała się przyjść sama, czy też raczej chciała udzielić pannie lekcji poglądowej? Uważaj, dziecko, bo i tobie może się coś takiego przydarzyć! We frontowym pokoju chór piał

zajadle na temat Bożej miłości i „oślepiającego przeznaczenia” – tak przynajmniej Wilbur Larch tłumaczył sobie „*verblendenen Geschicke*”.

Zapatrzył się na zamknięte drzwi, spoza których słyszał przedtem odgłos torsji. Pszczoła, jak gość z innego, nierzeczywistego świata, z głośnym bzyczeniem wleciała przez okno, ale stwierdziła widocznie, że kwiaty są sztuczne, bo zaraz wyleciała z powrotem. Larch ponownie skierował wzrok na Litwinki. Babcia musiała go poznać, bo zaraz zaczęła całkiem nową metodą prezentować znamię, które od poprzedniego spotkania z doktorem Larchem wypuściło kilka długich włosów i nieco zmieniło kolor. Nowa metoda prezentacji znamienia polegała na mocnym uszczypnięciu okolic bezpośrednio z nim sąsiadujących: tak wyeksponowane znamię wydawało się bliskie erupcji – jak dojrzały wrzód, który za moment pęknie. Ciężarna towarzyszka starej Litwinki pozostawała obojętna na żalosne popisy matki, a Larcha najwidoczniej nie poznała, bo wpatrywała się w niego przez dłuższy czas szklanym, obcym wzrokiem. Ona jest na wskroś litewska – pomyślał Larch. I zaraz dopadła go druga, straszna myśl: może mąż tej kobiety wyrzucił noworodka przez okno, a ona przez to oszalała? Przez moment wydawało się Larchowi, że chór śpiewa po litewsku – a jednak nie: śpiewali po niemiecku, coś o walce między *Gott und Schicksal* – Bogiem a Losem.

Przeraźliwy krzyk spoza zamkniętych drzwi bez trudu wzbił się nad chóralne obwieszczenie, że zwyciężył Bóg. Dziewczyna w poczekalni zerwała się z krzesła, usiadła z powrotem, skuliła się w sobie i wybuchnęła płaczem. Schowała twarz w podołku matki, żeby nie było słyhać szlochów. To ona wcześniej płakała – poznał Larch. Teraz już nie miał wątpliwości, że aborcji ma się poddać córka, a nie matka. Dziewczyna – dziewczynka właściwie – wyglądała na dziesięć, dwanaście lat.

– Pani pozwoli – zwrócił się Larch do matki dziewczęcia. – Jestem lekarzem.

Poczuł się nagle jak zdolny aktor, któremu dano wypowiedzieć w sztuce tylko jedną banalną kwestię: „Jestem lekarzem”. Co dalej?

– No i co z tego, że pan jest lekarzem? – burknęła zagadnięta, ale Larch nie miał jej tego za złe: najważniejsze, że nie mówiła po litewsku. – Co pan tu może pomóc?

– W którym ona jest miesiącu? – zapytał Larch.

– Trzeci, czy coś koło tego – odparła z podejrzliwą czujnością. – Ale ja im już zapłaciłam.

– Ile ma lat? – pytał dalej Larch.

Dziewczyna uniosła twarz z kolan matki: kosmyk szaro blond włosów przylepił jej się do kącika ust.

- Czternaście – odpowiedziała hardo.
- Czternaście dopiero skończy – sprostowała matka. – W przyszłym roku.

Larch wstał z krzesła i zwrócił się do kasjera siedzącego z kluczem na szyi:

- Proszę zwrócić tej pani pieniądze. Sam zajmę się dziewczyną.

– Podobno przyszedł pan zasięgnąć porady – przypomniał mu atletyczny młodzian.

- Wprost przeciwnie: przyszedłem udzielić porady – skorygował doktor Larch.

– Sam pan też może skorzystać z okazji i czegoś się nauczyć. Na przykład tego, że w cenę usługi wliczamy depozyt. Depozytu się nie zwraca.

- Ile wynosi depozyt? – spytał Larch.

Jego rozmówca wzruszył ramionami i zabębnił palcami po kasecie z pieniędzmi.

- Tak z połowę... – odrzekł nonszalancko.

– *Eure ganze Macht!* – dodał dobitnie chór, a doktor Larch przetłumaczył w myśli: „cała twoja moc”. Studenci medycyny byli na ogół niezli z niemieckiego.

Drzwi do miejsca kaźni uchyliły się i wyjrzała przez nie para staruszków – dziadkowie pacjentki? – z pełnym niezdrowej ciekawości niepokojem wypisanym na obliczach, które, jak to u starych małżeństw, stały się prawie identyczne. Za drobniutkimi, przygarbionymi dziadkami ukazało się łóżko operacyjne, na którym, sztywno jak na obrazie, spoczywała pod prześcieradłem kobieta. Oczy miała otwarte, ale niewidzące. Na ręczniku rozesłanym na podłodze, w zasięgu ręki nieruchomej kobiety, stało naczynie przygotowane na wypadek torsji.

– Ten pan – odezwał się opiekun kasy, nie patrząc na staruszków – mówi, że jest lekarzem. Chce udzielić darmowej porady medycznej. Każe zwrócić pieniądze tamtym paniom i mówi, że sam się zajmie młodą damą.

Wystarczyła chwila obserwacji, aby stwierdzić, że siwowłosa staruszka w drzwiach między poczekalnią a gabinetem zabiegowym emanuje potężną osobowością; więcej – siłą. Larch pojął, że to ona jest szefową, a siwowłosa dziadunio – jej asystentem. Gdyby sądzić ludzi tylko po wyglądzie, staruszka pasowałaby do wysprzątanej kuchni, w której codziennie piecze się ciasteczka, a dzieciarnia z całej okolicy może tam zaglądać, kiedy jej się żywnie podoba.

- Doktor Larch – skłonił się doktor Larch, trochę zbyt oficjalnie.

– Ach, doktor Larch – powtórzyła obojętnym tonem siwa babuleńka. – Przyszedł pan zesrać się czy zejść z nocnika?

Babkę znano w środowisku „za rogiem Harrisona” pod przezwiskiem Święta Mikołajka. Nie ona wymyśliła przytoczony cytat i nie ona wypisała go na znanym doktorowi świstku. Autorką tekstu była panna Eames, która – wiedząc co nieco o przybytku „za rogiem Harrisona” i biorąc pod uwagę trudności z napisaniem czegokolwiek po zabiegu – zjawiała się u Świętej Mikołajki z gotową już kartką.

Larch nie spodziewał się ujrzeć kogoś takiego jak Święta Mikołajka. Nastawił się na konfrontację z szarlatanem – oczywiście mężczyzną, – w której to konfrontacji on, doktor Larch, byłby górą. Ten ostatni Punkt planu starał się, mimo przeciwności, zrealizować. Wkroczył śmiało do gabinetu zabiegowego i wziął do ręki pierwszy z brzegu przedmiot – po to tylko, żeby dać pokaz autorytetu. Przedmiot okazał się lejkowatą ssawką, połączoną krótkim gumowym węzłem z pompką nożną. Ssawka idealnie przystawała do spodu dłoni doktora Larcha – bez trudu wyobraził sobie, do czego jeszcze może idealnie przystawać. Ku wielkiemu zdumieniu Larcha, ledwie przyłożył ssawkę do otwartej dłoni, Święta Mikołajka uruchomiła nogą pompkę. Czując gwałtowny napływ krwi do śródreżca, doktor Larch zerwał lejek, zanim doszło do kontuzji cięższej niż krwawy pęcherz u nasady kciuka.

– No więc? – zaatakowała Święta Mikołajka. – Jakiej to rady chciał mi pan doktor udzielić?

Jakby w odpowiedzi na jej pytanie, pacjentka spod prześcieradła pociągnęła Larcha ku sobie. Jej czoło lepiło się od potu.

– Pani nie ma pojęcia o tym, co pani robi – powiedział doktor Larch do Świętej Mikołajki.

– Ale przynajmniej coś robię – odparła z wrogim spokojem. – Jak pan potrafi lepiej, to dlaczego się pan sam za to nie weźmie? Albo – dodała – mnie nie nauczy?

Pacjentka pod prześcieradłem dzielnie próbowała pokonać oszołomienie. Usiadła i zaczęła się sobie uważnie przyglądać: stwierdziła, że nie zdjęto jej sukienki, w której przysłała na zabieg. Fakt ten wyraźnie poprawił jej samopoczucie.

– Proszę mnie posłuchać – zwrócił się do niej Wilbur Larch. – Gdyby dostała pani gorączki albo zauważyła choćby najłżejsze krwawienie – proszę się bezzwłocznie zgłosić do szpitala. Nie czekać ani chwili.

– Zdawało mi się, że pan mnie miał udzielić porady – zaprotestowała Święta Mikołajka. – Czekam na poradę.

Larch udał, że nie słyszy. Wrócił do poczekalni i powiedział matce z córką, że pora wychodzić. Matka dziewczynki ociągała się ze względu na pieniądze.

– Oddaj jej! – poleciła Święta Mikołajka młodzianowi z kasą.

– Bez depozytu – przypomniał atleta.

– Z depozytem! – syknęła wściekle Święta Mikołajka, po czym zbliżyła się do biurka, aby nadzorować niechętną realizację swego polecenia. Nieoczekiwanie oparła dłoń na ramieniu doktora Larcha. – Niech ją pan spyta, kto jest ojcem.

– To nie mój interes – odparł Larch.

– Racja – przyznała staruszka. – Coś tam pan jednak wie. Ale niech pan zrobi wyjątek; dowie się pan czegoś ciekawego.

Larch nie chciał jej słuchać, lecz Święta Mikołajka przytrzymała za rękę matkę i córkę.

– Powiedźcie mu, kto jest ojcem – nakazała matce. Córka zaczęła wrywać się z jej żelaznego uchwytu i pochlipywać, ale Święta Mikołajka trzymała ją mocno i zwracała się tylko do matki: – No, dalej, powiedźcie mu.

– Mój mąż – wymamrotała niewyraźnie matka dziewczynki, i po chwili, jakby w obawie, że odpowiedź jest nie dość jasna, sprecyzowała: Jej ojciec.

– Ojcem jest jej ojciec – podsumowała Święta Mikołajka, patrząc Larchowi prosto w oczy. – Kapewu?

– Tak, zrozumiałem, dziękuję – powiedział doktor Larch i skoczył, żeby podtrzymać slaniającą się z zamkniętymi oczami trzynastolatkę.

– Co trzecia mała z tym przychodzi. – Święta Mikołajka zwracała się do Larcha oskarżycielskim tonem, jakby to on był sprawcą ciąży wszystkich młodocianych. – Jedną trzecią, albo coś koło tego, gwałcą ojcowie i bracia. To kazirodztwo – grzmiała Święta Mikołajka. – Kapewu?

– Tak, dziękuję – bąknął Larch, holując omdlałe dziewczę i szarpiąc za mankiet matkę, żeby szła za nimi.

– Sraj albo złaż z nocnika! – krzyknęła za nimi Święta Mikołajka.

– A żeby was wszystkich! Doktorzy! Łachmyty! We łbach im się przewraca! – rozwinął temat atleta z kluczem na szyi.

Chór śpiewał. Larchowi udało się wyłowić słowa: „*vom keinen Sturm erschreckt*” – nie straszna nam żadna burza.

W pustym pomieszczeniu, oddzielającym aborcje od pieśni, doktor, matka i córka zastali kobietę, którą jeszcze niedawno widzieli pod prześcieradłem. Ledwo trzymała się na nogach, oczy błyszczały jej dziko, a przepocona na wylot sukienka lepiała się do pleców.

– Proszę pamiętać – upomniał ją Larch, – że w razie gorączki lub najmniejszego krwotoku... – Nagle wzrok jego padł na majtki przypięte do jej

sukienki na ramieniu. Widocznie był to znak firmowy „za rogiem Harrisona” – rodzaj medalu za odwagę. Kobieta nie miała pojęcia, że nosi majtki na ramieniu. Larch pomyślał, że cała dzielnica South End roi się od takich półprzytomnych kobiet, z epoletami w postaci majtek – piętnem równie czytelnym jak szkarłatna litera „A”, którą musiały nosić wyszytą na brzuchu cudzołożnice w purytańskich czasach Nowej Anglii.

– Chwileczkę! – zatrzymał odchodzącą Larch i sięgnął po przypięte na widoku majtki. Kobieta szarpnęła się, a odpięta skutkiem tego agrałka ukuła Larcha w rękę. Zdążył mimo to porwać majtki, które, po odejściu ich właścicielki, schował do kieszeni garnituru.

Poprowadził matkę z córką przez salon, który zazwyczaj rozbrzmiewał pieśnią, ale akurat wtedy nie, ponieważ chór miał przerwę na piwo. Chudy, łysy dyrygent podniósł oczy znad spienionego kufła – piana osiadła mu na wąsach, ustach i czubku nosa – i ujrzał doktora Larcha z dwiema kobietami. Wzniósł kufel w stronę Larcha i zaproponował toast:

– Wychwalajmy Pana! – Po tym gromkim okrzyku dodał z animuszem: – Brawo, doktorku, ratuj dalej zbłąkane duszyczki!

– *Danke schön!* – poparł go chór. Na pewno nie śpiewali *Trenów dziecięcych* Mahlera, ale Wilbur Larch te właśnie pieśni usłyszał w ich śpiewie.

„Wszędzie indziej na świecie – zanotował doktor Wilbur Larch po przyjeździe do St. Cloud’s – wysoko ceni się zdolność działania, które poprzedza myślenie, a mimo to jest działaniem słusznym. Może tutaj, w St. Cloud’s, będzie więcej czasu na myślenie.”

Chodziło mu o to, że w Bostonie zdobył sławę bohatera, a roli sławnego bohatera nie gra się długo. Doprowadził ciężarną dziewczynkę i jej matkę do południowej filii Bostońskiego Szpitala Położniczego. Lekarzowi dyżurnemu kazał wypisać następujące oświadczenie:

„Pacjentka ma trzysta lat. Średnica miednicy pacjentki wynosi dziesięć centymetrów. Stwierdzam twarde blizny i rozległe uszkodzenia tkanki miękkiej po dwóch poprzednich sztucznych poronieniach. Obecna, trzecia ciąża, tak jak dwie poprzednie, jest wynikiem kazirodczego gwałtu. Gdyby została utrzymana, poród byłby możliwy jedynie metodą cesarskiego cięcia – co, uwzględniając delikatny stan zdrowia dziecka (pacjentka jest dzieckiem) i jej jeszcze mniej zadowalającą kondycję

psychiczną, wydaje się bardzo ryzykowne. Z powyższych powodów podjąłem decyzję o przeprowadzeniu aborcji”.

– Na pewno? – upewnił się lekarz dyżurny.

– Na pewno – przytaknął Wilbur Larch, po czym zwrócił się do pielęgniarki-anestezjologa ze słowami: – Do zabiegu przystąpimy natychmiast.

Aborcja trwała zaledwie dwadzieścia minut. Wszyscy koledzy zazdrościli Larchowi umiejętności stosowania eteru. Posłużył się ponadto rozszerzadłem Douglassa i dwiema skrobaczkami – średnią i małą. Nie trzeba chyba dodawać, że twarde blizny i rozległe uszkodzenia tkanki były ze strony doktora chwytami propagandowymi: dziewczynka zaszła w ciążę po raz pierwszy, a nie trzeci, i chociaż była drobnej budowy, rozstaw kości miednicy z pewnością przekraczał u niej dziesięć centymetrów. Imponujący zestaw fikcyjnych danych Wilbur Larch sporządził na użytek ordynatora – aby ten mógł napisać raport o bezwzględnej konieczności dokonania zabiegu. Nikt z władz Bostońskiego Szpitala Położniczego nie zakwestionował nigdy decyzji doktora Larcha o przeprowadzeniu aborcji – nikt nawet o niej nie wspomniał – a jednak Larch czuł wyraźnie, że atmosfera wokół niego uległa zmianie.

Zauważył, że rozmowy urywają się, kiedy on staje w drzwiach. Koledzy odsunęli się od niego: w pracy zachowywali pozory, ale po pracy nigdy nie zapraszali go do siebie. Jadał bez towarzystwa, w pobliskiej restauracji prowadzonej przez Niemca: raczono go tam świńskimi nóżkami i kwaszoną kapustą, a raz nawet dał się namówić na piwo. Było to pierwsze i ostatnie piwo Wilbura Larcha: za bardzo przypominało mu o ojcu.

Na tym etapie życia Wilbur Larch zdawał się należeć do kategorii ludzi, którzy wszystkiego próbują raz: jeden stosunek seksualny, jedno piwo, jedna aborcja. Wyjątek stanowił eter – z nim doktor Larch miał znacznie więcej niż jedno doświadczenie. Wieść o tym, że w dzielnicy South End pojawiła się konkurencja Świętej Mikołajki i metod stosowanych „za rogiem Harrisona”, rozniosła się błyskawicznie. Pierwszy raz zaczepiono Larcha w związku z tą sprawą, kiedy stał przy wozie handlarza owocami, pijąc sok ze świeżych pomarańczy. Nagle u jego boku zmaterializowała się postawna niewiasta, z siatką na zakupy i koszem na bieliznę.

– Nie kopie – szepnęła mu konspiracyjnie prosto w ucho. – Ile pan bierze? Nie kopie, jak Boga Kocham.

Od tego czasu nie mógł opędzić się od kobiet. Na każdym nocnym dyżurze półprzytomny mamrotał do kolegi: „Znów moja kolej? Niemożliwe”, a koledzy odpowiadali mu zawsze tak samo: „Twierdzi, że jest twoją pacjentką”.

Wilbur Larch, dziecię stanu Maine, zwykł w młodości śmiało i ufnie spoglądać ludziom w oczy; teraz unikał ludzkich spojrzeń, odwracał głowę i jak typowy mieszczuch kazał innym ścigać swój wzrok. Pewnego dnia, razem z katalogiem narzędzi chirurgicznych od Freda Halsama i S-ki, poczta przyniosła mu książkę niejakiej pani W. H. Maxwell, zatytułowaną *Lekarka radzi kobietom Stanów Zjednoczonych*. Pani Maxwell do końca lat 1870-tych prowadziła w Nowym Jorku klinikę dla kobiet. „Autorka nie założyła szpitala wyłącznie dla pacjentek w położu” – napisała we wstępie do swojej książki. – „Jest bowiem zdania, iż w obliczu powszechnej bezduszości wobec tych, co złądziły, trzeba owym nieszczęsnym stworzyć przytulisko, gdzie mogłyby uciec, aby w jego zacisznym cieniu oddać się refleksji, ukryć przed światem swe nieszczęście i uzbroić się w roztropność na dalsze życie. Serce prawdziwego lekarza winno być nieskończenie wielkie i miłosierne.”

Wilbur Larch dostrzegał w South Endzie rozliczne dowody powszechnej bezduszości wobec tych, co złądziły; dostrzegł też, że te, które złądziły, za swoje przytulisko uznały właśnie jego i do niego wszystkie chciały uciec.

Nie wytrzymał: sam uciekł. Wrócił do domu, do Maine. Zgłosił się do stanowej komisji służby zdrowia, proponując swoje usługi w dziedzinie położnictwa. Zanim wysoka komisja znalazła mu posadę w którymś z budujących się na obszarze stanu miasteczek, obejrzała z szacunkiem harwardzki dyplom i uczyniła doktora Larcha swoim członkiem. Wilbur Larch oczekiwał wiadomości o posadzie w rodzinnym Portland, tej bezpiecznej przystani dzieciństwa, blisko domu świętej pamięci burmistrza, gdzie spędził połowę swych dni, i niedaleko przeżartego solą hotelu robotniczego, gdzie pobrał lekcję życia od pani Eames.

Nie wiedział jeszcze, czy będzie tęsknił za South Endem: za wrózką, która czytała mu z dłoni, że będzie żył długo i miał mnóstwo („niezliczoną liczbę”) dzieci, co utwierdziło Larcha w przekonaniu, że słusznie wybrał specjalizację położniczą; za jasnowidzem, który zapewnił młodego Wilbura Larcha, że nie pójdzie w ślady ojca – co uspokoiło młodzieńca nie znającego smaku piwnej piany i pociągu do alkoholu, że nie umrze na marskość wątroby; za chińskim zielarzem, który obiecywał wyleczyć Larcha z trypra okładami z mielonych świeżych liści i spleśniałego chleba. Chińczykowi trzeba przyznać, że był o krok od wynalazku penicyliny. Sam chlorofil zawarty w zielonych roślinach zabija bakterie powodujące gangrenę, ale nie zagraża



tańczącym figurkom – owym wielce żywotnym gonokokom – w komórkach wydzielin: do tego jest potrzebna penicylina, ekstrahowana ze spleśniałego chleba. Po latach doktor Larch zastanawiał się nieraz, do jakich fantastycznych wynalazków byłyby zdolne połączone umysły doktora Harolda Ernsta – bakteriologa z Harvardzkiej Akademii Medycznej, specjalisty od podkręcanych piłek, i chińskiego zielarza z South Endu. Czego by oni we dwóch nie wyleczyli?

„Wiem czego: sieroctwa” – zanotował w dzienniku doktor Larch, ocknąwszy się z fantazji o geniuszach medycyny.

Sieroty z South Endu... Wilbur Larch pamiętał ich wiele z kilku filii Bostońskiego Szpitala Położniczego. W latach 1890-tych nawet połowa matek porzucających dzieci nie była mężatkami. Regulamin szpitala stanowił jednak, że przyjmowane będą tylko „kobiety zamężne i niedawno owdowiałe, o nienagannej reputacji”. Taki regulamin przeforsowali ci sami ofiarni obywatele, którzy z własnych składek ufundowali szpital położniczy dla ubogich. W praktyce jednak przyjmowano każdą kobietę. Zdumiewająco wiele pacjentek deklarowało świeże wdowieństwo lub podawało się za żony marynarzy, którzy dawno temu wypłynęli z portu i przepadli jak kamień w wodę („Na pewno należeli do załogi «Great Eastern»,- podśmiewał się w duchu doktor Larch).

W Portland zdziwił go brak sierot, biednych dzieci i matek potrzebujących pomocy. Wilbur Larch nie czuł się dość użyteczny w schludnym miasteczku Portland. Czekał na przeniesienie gdzieś, gdzie byłby bardziej potrzebny. Tymczasem – o paradoksie – z St. Cloud’s wędrował ku niemu pocztą list prostytutki o tragicznej sytuacji opuszczonych wdów i sierot.

Zanim jednak list dotarł do jego rąk, doktor Larch otrzymał zgoła inne zaproszenie – od niejakiej pani Channing-Peabody, z bostońskich Channing-Peabodych, która co lato zjeżdżała do letniej rezydencji rodowej nad morzem, tuż na wschód od Portland. Autorka zaproszenia współczuła młodemu doktorowi z powodu oderwania od bostońskiej socjety, do której, jak mniemała, zdążył przywyknąć, i proponowała wspólny tenis, krykieta, a nawet żagle, połączone z kolacją w towarzystwie państwa Channing-Peabody z przyjaciółmi. Larch bynajmniej nie przywykł do bostońskiej socjety. Nazwisko Channing-Peabody kojarzyło mu się raczej z Cambridge, a może Beacon Hill, gdzie nigdy nie był zapraszany, i chociaż znane mu były nazwiska dwóch starych bostońskich rodzin – Channingów i Peabodych – to nigdy nie słyszał ich złączonych w jedno. O ile znał te sfery społeczne, Channingowie i

Peabody'owie mogli po prostu wspólnie urządzać bankiet i z tej racji na zaproszeniach połączyli nazwiska dywizem.

Co do żeglowania, to Wilbur Larch nigdy w życiu nie pływał – ani łodzią, ani wpraw. Jako dziecię Maine, wiedział, że z wodą lepiej nie zaczynać: woda nadawała się, jego zdaniem, tylko dla turystów i homarów. Do tenisa i krykieta nie miał odpowiednich strojów. Oglądał kiedyś akwarelkę przedstawiającą egzotyczne gry ogrodowe i wyobrażał sobie, że musi być całkiem przyjemnie uderzać z całej siły drewnianym kijem drewnianą piłkę w locie – lecz najpierw potrzebował czasu, żeby z dała od ludzkich oczu poćwiczyć podstawy gry. Pożałował pieniędzy na wynajęcie kierowcy, który zawiózłby go do letniej rezydencji Channing-Peabodych; w dodatku czuł się nieodpowiednio ubrany na tę porę roku – jedyny bowiem garnitur, jaki posiadał, był czarny, ciężki i nie noszony od pamiętnego dnia wizyty „za rogiem Harrisona”. Unosząc masywną, mosiężną kołatkę na drzwiach dworku Channing-Peabodych (wolał bowiem wejść z zachowaniem wszelkich formalności, niż włączyć się od razu w tłum biało ubranych gości obojga płci, zajętych przeróżnymi grami sportowymi na całym terenie), Larch doszedł do wniosku, że garnitur, który ma na sobie, jest nie tylko za ciężki, ale i wymięty – nie dość na tym: sięgnąwszy do kieszeni marynarki, Larch stwierdził tam obecność damskich majtek, własności kobiety, która pozbyła się nie chcianego płodu „za rogiem Harrisona”. Wilbur Larch wyjął majtki z kieszeni i zamyślił się nad nimi, wspominając, jak dumnie i walecznie prezentowały się na ramieniu owej niewiasty... W tym właśnie momencie pani Channing-Peabody otworzyła przed nim drzwi.

Doktor Larch nie mógł już schować majtek niepostrzeżenie, więc wcisnął je do kieszeni jak chusteczkę, z wstydliwą nonszalancją człowieka przyłapanego na wycieraniu nosa. Niestety: z szybkiego odwrócenia oczu przez panią Channing-Peabody wywnioskował nieomylnie, że bezbłędnie rozpoznała nieszczęsny fragment damskiej bielizny.

– Pan doktor Larch? – spytała ostrożnie, jakby właśnie widok majtek nasunął jej przypuszczenie co do tożsamości jego osoby.

Teraz należałoby się ulotnić – pomyślał Wilbur Larch, a głośno powiedział:

– Zgadza się, doktor Larch. – Tu elegancko skłonił się przed damą, która miała posturę wojennej fregaty, a nad jej ogorzałą twarzą piętrzył się srebrzystoszary kok, gładki, błyszczący i groźny jak pocisk armatni.

– Musi pan koniecznie poznać moją córkę – oznajmiła fregata. – I, oczywiście, całą resztę towarzystwa! – to rzekłszy, zaniosła się perlistym śmiechem, od którego Wilburowi ciarki przeszły po plecach.

Cała reszta towarzystwa nazywała się albo Channing, albo Peabody, albo Channing-Peabody; niektórzy nosili do tego imiona o brzmieniu wytwornych nazwisk lub przedmiotów – był więc Cabot i Chadwick, i Loring, i Emerald (*emerald* – „szmaragd” – miał prawie czarne oczy). Córka pani Channing-Peabody była z nich wszystkich najmłodsza, najbrzydsza i najmizerniejsza. Na imię miała Missy.

– Missy? – upewnił się Wilbur Larch. Panienska kiwnęła głową i wzruszyła ramionami.

Wyznaczono im sąsiadujące miejsca przy długim stole. Naprzeciwko Wilbura i córki pani domu siedział jeden z kilku w tym towarzystwie młodzieńców w białych strojach do tenisa – Chadwick albo Cabot; mógł być mniej więcej ich rówieśnikiem. Widać było, że jest zły, jakby się dopiero co pokłócił z panną Channing-Peabody, albo przeciwnie: jakby nie potrafił opanować zazdrości o to, że sam koło niej nie siedzi. A może złości się, że go posadzili naprzeciwko siostry, zamiast bliżej dziewczyny, z którą by chętnie poplirtował – snuł coraz dalsze przypuszczenia Wilbur Larch.

Panna Channing-Peabody sprawiała wrażenie chorej. Ona jedna z całej opalanej rodziny była blada; poza tym, wyraźnie nie miała apetytu. Przyjęcie należało do tych, na których z każdym kolejnym daniem następuje kompletna wymiana zastawy stołowej; ilekroć konwersacje się rwały albo przygasały, do głosu dochodziły dźwięczne porcelany i srebra, a napięcie przy stole rosło. Nie było to napięcie wywołane jakimś drażliwym tematem rozmów – przeciwnie: powodował je absolutny brak tematu.

Emerytowany chirurg z oznakami starczej demencji, który siedział po drugiej stronie Wilbura – jakiś Channing albo Peabody – nie krył rozczarowania faktem, że Larch specjalizuje się w położnictwie. Mimo to, zainteresował się żywo stosowaną przez doktora Larcha techniką przemieszczania łożyska w dolne partie przewodu rodowego. Wilbur Larch usiłował mu po cichu opisać, na czym metoda polega: niestety, doktor Peabody – a może Channing, albo ani jedno, ani drugie – nie dosłyszał i co chwila domagał się gromkim głosem, żeby Larch mówił głośniej. Ich rozmowa – jedyna zresztą przy biesiadnym stole – dotyczyła następnie urazów krocza, włącznie ze szczegółowym objaśnieniem sposobu podtrzymywania główki noworodka dla uniknięcia rozdarcia krocza przy porodzie, oraz prawidłowego kąta nacięcia skalpelem, kiedy rozdarcie krocza wydaje się nieuniknione.

Wilbur Larch dostrzegł kątem oka, że siedząca obok niego Missy Channing-Peabody mieni się na twarzy. Jej cera miała z początku barwę mleczną, potem musztardową, potem zieloną jak wiosenna trawka – i zanim zdążyła wrócić do barwy wyjściowej, czyli mlecznej, panna zemdląła. Wilbur Larch stwierdził obniżenie ciepłoty ciała, lepkość skóry i niemal całkowite odwrócenie gałek ocznych. Matka panny, z pomocą młodziana w tenisowej bieli – tego Cabota czy Chadwicka – wyniosła zemdloną od stołu.

– Trzeba jej świeżego powietrza – oznajmiła zebranych pani Channing-Peabody, chociaż czego jak czego, ale świeżego powietrza jako żywo w stanie Maine nie brakowało.

Wilbur Larch już wtedy dobrze wiedział, czego naprawdę trzeba panie Channing-Peabody: aborcji. Poznał to po rozdrażnieniu młodego Chadwicka (albo Cabota); po sklerotycznym bełkocie starego chirurga, którego tak bardzo interesowały „nowoczesne” techniki położnicze; po nieobecności przy stole innych tematów, zamiast których odzywały się tylko srebra i platery. Nareszcie pojął, czemu go tu zaproszono: Missy Channing-Peabody cierpiała od pewnego czasu na poranne mdłości i należało ją poddać aborcji. Bogaci też to robią. Nawet oni – chociaż Wilbur Larch zawsze twierdził, że bogaci najwolniej uczą się życia. Więc o nim, Larchu, słyszeli już nawet bogaci. Chciał natychmiast wyjść, ale los mocno trzymał go w kleszczach. Bywa tak, że opinia, która przylgnie do człowieka, wyznacza mu powołanie – Wilbur Larch poczuł się powołany. List prostytutki z St. Cloud’s miał go niebawem wezwać w miejsce przeznaczenia, ale na razie wzywała go doraźna sytuacja – musiał działać.

Wstał od stołu. Padło właśnie hasło, że panowie przechodzą do innego pomieszczenia – na cygaro. Panie z kolei otoczyły wianuszkami czyjeś niemowlę, wniesione do jadalni przez piastunkę czy może guwernantkę (służącą – uciał własną niepewność doktor Larch) specjalnie po to, żeby panie mogły je obejrzyć. Wilbur Larch też rzucił okiem na dziecko. Panie rozstąpiły się przed nim. Niemowlę, około trzymiesięczne, było rumiane i pogodne. Niestety, miało bliznę po kleszczach na policzku – co doktor Larch natychmiast zauważył; wiedział, że głęboki rowek pozostanie na tej twarzy do końca życia. Ja bym to zrobił lepiej – pomyślał niezbyt skromnie.

– Urocze, prawda, doktorze? – rozczuliła się jedna z pań.

– Szkoda, że ma tę skazę po kleszczach – powiedział Larch. To je skutecznie uciszyło.

Pani Channing-Peabody wywołała doktora Larcha do hallu. Pozwolił się zaprowadzić do pomieszczenia, które przyszykowano specjalnie dla niego.

– Mamy taki mały problem – powiedziała po drodze gospodyni.

– Który miesiąc? – spytał Larch. – Kopie?

Czy kopało, czy nie, Missy Channing-Peabody została wzorowo przygotowana do zabiegu. Niedużą bibliotekę przekształcono w salę operacyjną. Na ścianach widniały fotografie panów w mundurach, a książki (chyba od dawna nie ruszane) stały równo na baczność. Na pierwszym planie tej ponurej scenerii tkwił solidny stół, umiejętnie zasłany ceratowym obrusem na podściółce z waty; na nim zaś, w prawidłowej pozycji do badania ginekologicznego, spoczywała Missy – ogolona już i zdezynfekowana roztworem dwuchloranu. Ktoś wzorowo odrobił zadanie domowe: może wycisnęli szczegóły ze sklerotycznego chirurga. Doktor Larch zauważył ponadto naczynie ze spirytusem, zielone mydło i szczotkę do paznokci (z której natychmiast skorzystał). W obitym skórą, wyłożonym atlasem futerałe spoczywał komplet sześciu rozszerzadeł i trzech skrobaczek. Przygotowano również chloroform i inhalator. Za ten jeden jedyny błąd – skąd mogli wiedzieć, że Wilbur Larch woli eter? – gotów był prawie wszystko im wybaczyć.

Prawie – bo nie potrafił wybaczyć zjadliwej niechęci, z którą się do niego odnosili. Szczególną nienawiścią do doktora ziała starsza niewiasta, która mu miała asystować przy zabiegu – zapewne służąca tego domu od pokoleń i akuszerka przy narodzinach wielu kolejnych Channingów-Peabodych – możliwe, że również Missy. Skrzywiona, co chwila gromiła Larcha wzrokiem, czekając, kiedy ją pochwali (wtedy, oczywiście, udalaby, że tego nie słyszy) za wzorowe przygotowanie stołu operacyjnego i pacjentki. Pani Channing-Peabody natomiast omijała Larcha z wyraźnym obrzydzeniem; uprzejmość nakazała jej mimo to poprosić go o marynarke, którą jej podał, jednocześnie wyprasząc damę z pokoju.

– Proszę zawołać młodego człowieka – zwrócił się do niej, kiedy wychodziła. – Sądzę, że powinien przy tym być.

Chodziło mu o agresywnego młodziana w stroju tenisowym, który mógł być oburzonym do głębi bratem panny albo dręczonym poczuciem winy kochankiem – a może jednym i drugim naraz. Ci ludzie potrzebują mnie, ale i nienawidzą – myślał Larch, szorując paznokcie. Następnie, mocząc ręce w spirytusie, zastanawiał się, ilu lekarzy muszą znać państwo Channing-Peabody (ilu mieli w samej rodzinie!) – a jednak nigdy nie poprosiliby lekarza ze swojej sfery o pomoc w rozwiązaniu „małego problemu”. Byli na to zbyt czyści i wzniośli.

– W czym mogę pomóc? – zapytał, wchodząc do pokoju, naburmuszony młodzian.

– W niczym – odparł doktor Larch. – Proszę stanąć po mojej lewej stronie i niczego nie dotykać. Niech pan uważnie patrzy mi przez ramię i stara się niczego nie przegapić.

Wyraz pogardliwej wyższości przygasł znacznie na obliczu panicza Chadwicka (lub Cabota), kiedy Wilbur Larch przystąpił do łyżeczkowania, a na widok skutku zapłodnienia opuściły go resztki wielkopańskiej buty – rysy Chadwicka (lub Cabota) nagle zmiękły, a twarz przybrała barwę stroju tenisowego.

– Ściana macicy – pouczył doktor Larch bladego jak zjawa panicza – jest solidna, twarda i dobrze umięśniona; dokładnie oczyszczona, wydaje pod narzędziem odgłos szurania po żwirze. Po tym odgłosie właśnie można poznać, że usunęło się do końca skutek zapłodnienia. Jakby ktoś szurał po żwirze. – Wykonał jeszcze kilka ruchów łyżeczką. – Słyszysz pan?

– Nie – wyszeptał panicz słabym głosem.

– Rzeczywiście, źle się wyraziłem – stwierdził Wilbur Larch. – To nie tyle odgłos, co wrażenie szurania o żwir; ja je odbieram jako dźwięk. Zgrzytliwy – dodał z naciskiem. Panicz Cabot (lub Chadwick) podstawił pod brodę złożone ręce, ale i tak zwymiotował obok.

– Proszę jej co godzinę mierzyć temperaturę – polecił doktor zaufanej służącej, która mu podawała sterylne ręczniki. – Gdyby wystąpiło więcej niż minimalne krwawienie lub gorączka, należy bezzwłocznie mnie wezwać. I obchodźcie się z nią jak z królową – dodał na odchodnym. – Nie wolno w niej budzić poczucia winy.

Skontrolowawszy stan zmętniałych od chloroformu źrenic Missy pod bezwładnymi jeszcze powiekami, Wilbur Larch chciał oddalić się jak gentleman – lecz gdy wkładał marynarkę, poczuł w górnej kieszeni pokaźne zgrubienie koperty. Nie liczył pieniędzy: w kopercie musiało być kilkaset dolarów. Poczul się brutalnie zawrócony do oficyny w domu burmistrza i relacji pan-sługa: koperta oznaczała, że Channingowie-Peabody nie zaproszą go więcej na tenisa, krykieta i żagle.

Bez wahania odpalił pięćdziesiąt dolarów (albo coś koło tego) leciwiej asystentce, która zdążyła tymczasem zdezynfekować partię rodne Missy dwuchloranem i zasłonić sterylną podpaską. Około dwudziestu dolarów wcisnął paniczowi w tenisowym kostiumie, trzeźwiącemu się ogrodowym powietrzem w otwartych drzwiach na patio. Doktor Larch już był przy wyjściu. Nagle, nieopatrznie, wsadził rękę do dolnej kieszeni marynarki i po raz drugi natrafił na damskie majtki.

Zirytowany, porwał kleszcze do usuwania łożyska i ruszył na salony. Szukał sklerotycznego chirurga – niestety, w jadalni zastał tylko służące, nadal zajęte sprzątniem ze stołu. Każdej dał dwadzieścia do trzydziestu dolarów.

Stary doktor spał smacznie w głębokim fotelu, w innym pokoju. Larch rozwarł kleszcze, ujął w nie majtki „zza rogu Harrisona” i całość wpiął w klapę garnituru chrapiącego kolegi po fachu.

Idąc dalej, zaszedł do kuchni, gdzie uwijało się kilkoro służby – zostawił tam około dwustu dolarów.

Ostatnie dwieście dolarów dał ogrodnikowi, pielącemu na klęczkach rabatkę przy wejściu. Larch miał wielką chęć wręczyć pustą kopertę pani Channing-Peabody, ale dama wyraźnie go unikała. Złożył więc kopertę na pół i spróbował ją zamocować pod masywną, mosiężną kołatką – niestety, wiatr raz po raz porwał dowód korupcji. W końcu Larch rozeźlił się na dobre i cisnął zwiniętą w kulkę kopertę w sam środek wypielegnowanego kolistego trawnika, regulującego ruch kołowy na podjeździe. Dwaj panowie grający w krykieta na innym, nieco dalej położonym trawniku, przerwali mecz i popatrzyli ze zgrozą na bielejącą w nieskazitelnej zieleni kulkę papieru, a zaraz potem na błękitne letnie niebo – jakby oczekiwali stamtąd co najmniej gromu, który porazi profana na miejscu.

W drodze powrotnej do Portland Wilbur Larch rozmyślał o minionym stuleciu w dziejach medycyny i o czasach, kiedy aborcja nie była nielegalna. Od ówczesnych studentów medycyny wymagano opanowania nie tylko podstawowej techniki aborcji, ale i innych, subtelniejszych metod, takich jak dekapitacja wewnątrzmaciczna czy pulweryzacja płodu (zamiast niebezpiecznego dla kobiety cesarskiego cięcia). „Dekapitacja wewnątrzmaciczna; pulweryzacja płodu” – wymamrotał pod nosem Larch, delektując się brzmieniem uczonych terminów. Gdy dojechał do Portland, wiedział już, co ma dalej robić. Był położnikiem: pomagał nowym ludziom przyjść na świat. Wykonywał – jak to mawiano w środowisku lekarskim – „dzieło Boże”. Jednocześnie był specjalistą od aborcji: pomagał niedoszłym matkom wytrwać w świecie. Wykonywał – jak mawiali jego koledzy – „Szatańską robotę”. Dla Wilbura Larcha dziełem Bożym było i jedno, i drugie. Zgadzał się z panią Maxwell, że „dusza prawdziwego lekarza nie zna granic wyrozumiałości i tolerancji”.

W późniejszym życiu, ilekroć zdarzało mu się zwątpić w słuszność przyjętej postawy, przypominał sobie z całą brutalnością, że jest człowiekiem, który przespawszy się z kobietą, szukał majtek przy ogniku cygara jej córki. Taki człowiek może na resztę życia wyrzec się seksu, ale jakże by mógł potępiać innych za

uprawianie życia seksualnego? Przypomnił sobie również, czego nie zrobił dla córki pani Eames i jakie były tego konsekwencje.

Postanowił nadal służyć pomocą rodzącym się małeństwom, ale i matkom, które nie chciały być matkami.

W Portland czekał na niego list z St. Cloud's. Delegując Larcha do St. Cloud's, stanowa komisja lekarska Maine nie mogła znać ani jego stosunku do sierot, ani szczerzej chęci opuszczenia Portland – tego bezpiecznego portu, skąd przed wielu laty wypłynął bezpowrotnie statek „Great Eastern”. Komisja nigdy też nie miała się dowiedzieć, że w pierwszym tygodniu urzędowania w St. Cloud's Wilbur Larch założył sierociniec (niezbędny!), odebrał trzy porody (jeden chciany, dwa nieuchronne – jedno z dzieci powiększyło zastęp wychowanków sierocińca) i dokonał jednej aborcji (trzeciej w swoim życiu). Wykształcenie miejscowej społeczności w sztuce kontroli urodzeń zabrało doktorowi dobre parę lat – dlatego przez dłuższy czas utrzymywały się mniej więcej stałe proporcje: jedna aborcja na trzy porody. Po paru latach – jedna na cztery; po następnych paru latach – jedna na pięć.

Podczas pierwszej wojny światowej Wilbur Larch służył we Francji, a lekarz przysłany na zastępstwo do sierocińca nie wykonywał aborcji: przyrost naturalny z miejsca podskoczył, liczba sierot podwoiła się – a zastępca doktora Larcha uparcie powtarzał siostrze Ednie i siostrze Angeli, że jego misją na tym padole jest krzewić dzieło Boże, a nie Szatańskie. Owo mało precyzyjne rozróżnienie wielkich dzieł przydało się niebawem siostrze Angeli, siostrze Ednie i doktorowi Wilburowi Larchowi, który napisał z Francji do poczciwych siostrzyczek i wyznał im w liście, że ogląda prawdziwe dzieło Szatana i wie już, że Szatan posługuje się w swoim dziele szrapnelami, odłamkami granatów i drobnymi, brudnymi ścinkami sukna, które pocisk lub odłamek ściąga za sobą w głąb rany. Największym dziełem Szatana była w pierwszej wojnie światowej zgorzel gazowa – Wilbur Larch do końca życia nie zapomniał dotyku chrupkiej gangrenowatej tkanki.

„Przeżądźcie mu – napisał Larch do siostry Angeli i siostry Edny – przeżądźcie temu idiocie (miał na myśli swojego zastępcę), że wszelkie dzieło wykonywane w sierocińcu jest dziełem Bożym. Cokolwiek tam czynimy, czynimy dla sierot, dla ich zbawienia!”

Gdy wojna się skończyła i Wilbur Larch powrócił do St. Cloud's, siostra Edna i siostra Angela przyswoiły już sobie słownictwo dotyczące interwencji medycznych przeprowadzanych w miejscowym szpitalu: ustalając terminarz operacji, używały określeń „dzieło Boże” i „dzieło Szatańskie” – w ten sposób nigdy się nie pomyliły co



do charakteru zabiegu. Wilbur Larch przystał na taką terminologię – była użyteczna – gdyż wiedział, że poza tym obie siostry podpisują się zgodnie pod jego opinią, że wszystko, co czynią, jest dziełem Bożym.

Życie w St. Cloud's toczyło się gładko do roku 193-, kiedy wynikł pierwszy problem. Nazywał się Homer Wells. Homer Wells tyle razy wyruszał w świat i wracał do St. Cloud's, że w końcu postanowiono dać mu tam jakąś robotę: kilkunastoletni chłopiec powinien wykazać się użytecznością. Tylko czy on zrozumie? – niepokoily się obie siostry, a z nimi doktor Larch. Homer widział, jak matki przychodzą do szpitala, a potem odchodzą, zostawiając maleństwa w sierocińcu – ale nadejdzie chwila (wiedział o tym doktor i wiedziały obydwie siostry), gdy Homer zacznie liczyć i zauważy, że więcej jest tych matek, które przychodzą i odchodzą, niż nowych dzieci w sierocińcu. Nadejdzie chwila, gdy Homer zauważy, że nie wszystkie matki zgłaszają się do St. Cloud's z dużym brzuchem i że niektóre nie zostają w szpitalu nawet na noc. Czy należy mu rzecz objaśnić, zanim sam zapyta? – głowiły się obie siostry, a z nimi doktor Larch.

– Wilburze – zabrała wreszcie głos w tej sprawie siostra Edna (a siostra Angela, słysząc – „Wilburze”, przewróciła oczami) – chłopiec zna tutaj każdy kąt; sam się wszystkiego domyśli.

– Dorośleje z każdą minutą – dodała siostra Angela. – Codziennie uczy się czegoś nowego.

Pacjentki po aborcji nigdy nie leżały w tej samej sali, w której położnice nabierały sił do rozstania z nowo narodzonymi maleństwami. Ten podział zauważyłoby nawet małe dziecko. A Homer Wells bardzo często opróżniał kubły na odpadki – wszystkie kubły, także te z sali operacyjnej, które były impregnowane i wynosiło się je wprost do pieca.

– Co będzie, jak on zajrzy do kubła, Wilburze? – spytała kiedyś z niepokojem siostra Edna.

– Jeżeli nie jest za mały, żeby zajrzeć, to nie jest za mały, żeby wiedzieć – odparł Święty Larch.

Może raczej chciał powiedzieć: nie jest za mały, żeby rozpoznać to, co widzi. Czy to po dziele Bożym, czy po dziele Szatańskim, zawartość kubła z sali operacyjnej wyglądała podobnie: krew, śluz, wata, gaza, łożysko i włosy łonowe. Siostry próbowały przekonać doktora Larcha, że nie trzeba golić pacjentki do aborcji, ale Larch był perfekcjonistą: jeżeli wszystko jest dziełem Bożym, to niech wszystko wygląda tak samo. Kubły, które Homer Wells wynosił do pieca, zawierały historię St. Cloud's:

obcięte końcówki nici chirurgicznych, jedwabiu i katgut; fekalia i mydliny po lewatywie; no i to, co miały na myśli poczciwe siostrzyczki, bojąc się reakcji Homera, gdyby zobaczył: tak zwane skutki zapłodnienia – płód ludzki lub rozpoznawalna jego część.

I oto pewnego dnia Homer Wells (pechowo trzynastoletni) dowiedział się, że w St. Cloud's wydobywa się z kobiecych brzuchów nie tylko to, co kopie. Wracając z kotłowni z pustym kubłem, zobaczył płód leżący na ziemi – widocznie wypadł z kubła, który Homer niósł do spalania. Homer jednak uznał, że to, co przed sobą widzi, spadło z nieba. Nachylił się, żeby lepiej zobaczyć. Spojrzał w górę, szukając gniazda, z którego żyjątko mogło wypaść – problem jednak w tym, że w pobliżu nie rosło ani jedno drzewo, a Homer Wells wiedział, że ptaki nie mają zwyczaju składania jaj w locie. A nawet gdyby, to gdzie by się podziela skorupka?

Homer myślał dalej: może samica jakiegoś ssaka poroniła? Znał słowo „poronienie”, bo używało się go w szpitalu i w sierocińcu. Tylko co to mógł być za zwierzak? Znaleźisko Homera ważyło mniej niż pół kilograma, miało na oko ze dwadzieścia centymetrów długości, a pasmo cienia na prawie przezroczystej głowie stanowiło bezsprzecznie zaczątek włosów – nie pierza. Na pofałdowanym pyszczku znaczyły się niewyraźnie brwi i powieki. Klatkę piersiową, szerokości kciuka dorosłego mężczyzny, zdobiły dwie różowe kropeczki – czyżby brodawki sutkowe? I jeszcze coś ważnego zauważył Homer na końcach paluszków rąbek i nówek – paznokcie! Ściskając znaleźisko w wolnej garści, Homer popędził wprost do doktora Larcha. Larch siedział przy maszynie do pisania w gabinecie siostry Angeli: pisał właśnie list do Schroniska dla Nieletnich.

– Znalazłem coś – wysapał Homer Wells. Larch wziął płód z jego wyciągniętej ręki i ułożył na czystej, białej kartce papieru maszynowego, na biurku siostry Angeli. Płód miał około trzech miesięcy, najwyżej cztery. Nie kopał – ale już prawie, ocenił doktor Larch.

– Co to jest? – zapytał Homer Wells.

– To jest dzieło Boże – odpowiedział mu Wilbur Larch, dobry święty z St. Cloud's, gdyż w tej chwili zrozumiał, że dziełem Bożym jest również kształcenie Homera Wellsa, objaśnianie mu świata i pomaganie mu w odróżnianiu dobra od zła. Dzieło Boże to kupa roboty – ale skoro już człowiek w zadufaniu swoim się na nie porywa, musi wypełnić je do końca skrupulatnie.

### 3. Książęta Maine, Królowie Nowej Anglii

„U nas w St. Cloud’s – zanotował w dzienniku doktor Larch – sieroty traktuje się jak potomków królewskich rodów.”

Na oddziale chłopięcym świadczyło o tym wieczorne błogosławieństwo, wygłaszane po ciemku gromkim głosem nad rzędami łóżek. Błogosławieństwo wygłaszał doktor Larch, po czytance na dobranoc, która – po niefortunnej przygodzie z małżeństwem Winkle – stała się obowiązkiem Homera Wellsa. Doktor Larch bardzo chciał, żeby Homer uwierzył w siebie. Kiedy Homer zwierzył mu się, jak przyjemnie było czytać na głos państwu Winkle – zwłaszcza że, jak sądził, szło mu to całkiem nieźle, chociaż słuchacze pospali się w namiocie – doktor Larch postanowił rozwijać talent lektorski wychowanka.

W roku 193-, niemal nazajutrz po pierwszej w życiu konfrontacji z ludzkim płodem, Homer Wells zaczął czytać chłopcom na dobranoc *Dawida Copperfielda*: co wieczór dwadzieścia minut, ani więcej, ani mniej. Homer zorientował się, że w tym tempie przeczytanie powieści zajmie mu więcej czasu, niż Dickensowi zajęło jej napisanie. Z początku Homer dukał, ale – częściowo z powodu drwin grupki starszaków, którzy mieli prawie tyle lat co on (chłopców starszych od Homera nie było w sierocińcu) – szybko zaczął czytać płynnie. Kładąc się spać, zawsze mruczał pod nosem początkowy fragment powieści, który działał na niego jak litania, a czasem nawet pozwalał spać spokojnie.

„Czy okażę się bohaterem własnego życia, czy też rolę tę odegra ktoś inny – dowiodą stronice tej książki.”

„Czy okażę się bohaterem własnego życia” – szeptał sobie Homer na dobranoc. Przypominało mu się wówczas, jak sucho miał w ustach i w nosie, gdy siedział zamknięty w kotłowni u Draperów w Waterville; jak dziko bryzgała woda, która porwała państwa Winkle; jak dziwnie było trzymać w garści zimny, wilgotny, skulony w sobie martwy zaczątek. (To coś, co wtedy trzymał w ręce, na pewno – myślał Homer – nie okaże się bohaterem własnego życia.)

Po zgaszeniu świateł siostra Edna i siostra Angela zadawały sakramentalne pytania: kto chce szklankę wody albo ostatni raz siusiu – a potem, gdy w mroku drżały jeszcze punkciki światła z dopiero co zgaszonych lamp, a chłopcy zasypiali błogo lub towarzyszyli Dawidowi Copperfieldowi w jego przygodach, doktor Larch

otwierał drzwi od strony korytarza z rurami na wierzchu pomalowanych na szpitalne kolory ścian.

– Dobrej nocy! – wołał tubalnym głosem. – Dobrej nocy, Księżęta Maine, dobrej nocy, Królowie Nowej Anglii! (To coś, co Homer niedawno trzymał w ręku, nie było księciem – i nie dożyło szansy zostania królem.)

Barn! – drzwi zamykały się gwałtownie, pozostawiając sieroty w absolutnej czerni. Każdy z chłopców zostawał z własnym wyobrażeniem króla albo księcia pod powiekami. Skąd mieli wiedzieć, jak wyglądają koronowane głowy? Jakie rysy nadawali bohaterom swoich snów? Jacy przybrani rodzice w gronostajach przychodzili po nich w sennych marzeniach? Jakie księżniczki kochały się w nich na zabój? Jakie królowe wiedli do ołtarza? Najważniejsze było, żeby jak najprędzej uciec od ciemności, którą pozostawił po sobie doktor Larch, i od ciszy, gdy za drzwiami ucichło skrzypienie butów siostry Edny i siostry Angeli. (To coś, co Homer niedawno trzymał w ręku, nie usłyszałoby skrzypienia butów pielęgniarek – uszka miało maciupeńkie i całkiem pomarszczone.)

Homer Wells nie przeżywał królewskich emocji. Homer nie marzył o opuszczeniu St. Cloud's. Księżęta Maine i Królowie Nowej Anglii, których oglądał okiem wyobraźni, sprawowali rządy z pałacu w St. Cloud's i nigdy się stamtąd nie ruszali: nigdy nie wybierali się nad morze ani nie widzieli oceanu. Mimo to Homera, tak jak i wszystkich pozostałych chłopców, wieczorne błogosławieństwo doktora Larcha podnosiło na duchu i napełniało nadzieją. Ci Księżęta Maine, ci Królowie Nowej Anglii – te sieroty z St. Cloud's, pał sześć ich pochodzenie – byli bohaterami własnych żywotów. Tyle Homer potrafił dostrzec nawet po ciemku. Tyle mu dawał doktor Larch, jak dobry ojciec.

Nawet w St. Cloud's można się zachowywać po księżęcemu – po królewsku. Przypominał to chłopcom co wieczór doktor Larch.

Homer Wells wyobrażał sobie, że jest księciem. Z nabożeństwem wpatrywał się w swojego króla: patrzył w Świętego Larcha jak w obraz. Jednej rzeczy nie umiał zapomnieć – tego przejmującego chłodu.

– To dlatego, że było nieżywe, tak? – wypytywał doktora Larcha. – Dlatego było zimne, tak?

– Tak – odpowiadał mu doktor Larch. – W pewnym sensie, Homerze, nigdy nie było żywe.

– Nigdy nie było żywe – powtarzał Homer Wells.

– Czasami – tłumaczył mu doktor Larch – kobieta nie umie się zdobyć na przerwanie ciąży: czuje, że dziecko jest dzieckiem – od samego początku – więc trzeba je urodzić. Tak czuje, chociaż go nie chce i nie zamierza się nim zajmować w przyszłości. Wtedy przychodzi do nas, rodzi dziecko i zostawia je tutaj, z nami. Ma nadzieję, że my znajdziemy mu dom.

– Rodzi sierotę – zrozumiał Homer Wells. – Ktoś tę sierotę musi adoptować.

– I zwykle ktoś ją adoptuje – podsumował doktor Larch.

– Zwykle – powtórzył Homer. – Możliwe.

– W końcu tak – powiedział doktor Larch.

– Ale czasami – drażył temat Homer Wells – kobieta tego nie robi do końca, tak? Nie rodzi dziecka do końca?

– Czasami – tłumaczył doktor Larch – kobieta już na początku ciąży wie, że wcale nie chce dziecka.

– Więc to dziecko już wtedy jest sierotą – zrozumiał Homer Wells.

– W pewnym sensie tak – zgodził się Wilbur Larch.

– Więc ona je zabija – powiedział Homer Wells.

– W pewnym sensie tak – zgodził się Wilbur Larch. – Ale można także powiedzieć, że zatrzymuje je, zanim ono stanie się dzieckiem – po prostu je zatrzymuje. Przez pierwsze trzy czy cztery miesiące płód (wtedy jeszcze nie nazywam go „dzieckiem”) nie żyje całkiem własnym życiem. Żyje jako część matki. Nie jest w pełni rozwinięty.

– Jest tylko trochę rozwinięty – zrozumiał Homer Wells.

– Jeszcze się samodzielnie nie porusza – powiedział doktor Larch.

– I nie ma nosa – przypomniał sobie Homer Wells. U tego czegoś, co niedawno trzymał w ręku, nozdrza nie były uwypuklone i skierowane w dół: stanowiły dwie dziurki w płaskiej twarzy, jak na ryjku świnki.

– Czasami – tłumaczył doktor Larch – kiedy kobieta jest bardzo silna i wie, że nikt się nigdy nie zajmie jej dzieckiem, gdyby je urodziła, woli go wcale nie wydawać na świat, gdzie znalazłoby dom, albo nie. Wtedy przychodzi do nas, żebym je zatrzymał.

– Może mi pan jeszcze powiedzieć, jak się nazywa to zatrzymywanie? – spytał Homer Wells.

– Aborcja – odpowiedział doktor Larch.

– No właśnie – przytaknął Homer. – Aborcja.

– To, co trzymałeś w ręku, Homerze – dodał doktor Larch – było płodem poaborcyjnym, trzy, czteromiesięcznym.

– Płód poaborcyjny, trzy, czteromiesięczny – wyrecytował Homer Wells, który miał irytujący zwyczaj powtarzania końcówek wypowiedzi rozmówcy, a czynił to z wielkim namaszczeniem, jakby ćwiczył tekst przed publicznym występowaniem – jak przed wieczorną lekturą *Dawida Copperfielda*.

– I właśnie dlatego – kończył cierpliwie doktor Larch – niektóre panie przychodząc tu do nas nie wyglądają, jakby były w ciąży. Ich płód jest jeszcze za mały, żeby coś było widać.

– Ale są w ciąży, prawda? Wszystkie są w ciąży? – upewnił się Homer Wells. – Wszystkie panie przyjeżdżają tutaj, żeby urodzić sierotę albo ją zatrzymać, tak?

– Zgadza się – przyznał doktor Larch. – Ja jestem tylko lekarzem. Pomagam im uzyskać to, czego chcą. Sierotę albo aborcję.

– Sierotę albo aborcję – powtórzył Homer Wells.

- Masz nowy cień, Wilburze – żartowała z doktora Larcha siostra Edna, widząc jak Homer Wells chodzi za nim krok w krok.

– Doktorze Larch – wtórowała jej siostra Angela – wyhodował pan sobie echo. Ta papuga się z panem nie rozstaje.

„Boże lub inna instancjo zwierzchnia, kimkolwiek jesteś – zapisał w dzienniku doktor Larch – wybac mi, bo stworzyłem sobie apostoła: mam trzynastoletniego apostoła.”

Zanim Homer ukończył lat piętnaście, głośna lektura *Dawida Copperfielda* w jego wykonaniu zyskała taką sławę i poklask, że starsze dziewczynki z oddziału dziewczęcego zwróciły się z prośbą do doktora Larcha, aby im również Homer mógł czytywać na dobranoc.

– Tylko starszym? – spytał Homer Wells.

– Ależ nie – odpowiedział mu doktor Larch. – Będiesz czytał wszystkim dziewczynkom.

– U nich na oddziale? – pytał dalej Homer.

– Myślę, że tak – powiedział doktor. – Nie wyobrażam sobie, żeby wszystkie dziewczynki miały przychodzić na oddział chłopięcy.

– Racja – przyznał Homer Wells. – W takim razie komu mam czytać najpierw: dziewczynkom czy chłopcom?

– Dziewczynkom – powiedział doktor Larch. – Dziewczynki chodzą spać wcześniej niż chłopcy.

– Naprawdę? – zdziwił się Homer.

– Tutaj tak – uściślił doktor Larch.

– Czy mam im czytać ten sam fragment, co chłopcom? – chciał jeszcze wiedzieć Homer. Odbywał właśnie swoją czwartą samodzielną przeprawę przez *Dawida Copperfielda* – trzecią na głos – i dobrnął do Rozdziału Szesnastego: „Staję się pod wieloma względami nowym chłopcem”.

Ale doktor Larch doszedł do wniosku, że dziewczynki-sieroty powinny słuchać opowieści o dziewczynkach-sierotach – tak jak chłopcy-sieroty o chłopcach-sierotach – i dlatego polecił Homerowi czytać dziewczynkom na głos *Dziwne losy Jane Eyre*.

Homer już przy pierwszym czytaniu zauważył, że dziewczynki słuchają pilniej niż chłopcy i w ogóle stanowią wdzięczniejszą publikę – chichotały tylko, kiedy Homer przychodził i kiedy wychodził. Uwaga, z jaką dziewczynki słuchały lektury, dziwiła Homera, gdyż osobiście uważał on *Jane Eyre* za powieść bez porównania mniej ciekawą niż *Dawid Copperfield* i był zdania, że Charlotte Bronte jako pisarka nie dorasta do pięt Charlesowi Dickensowi. W porównaniu z małym Dawidem, mała Jane wydawała się Homerowi zbyt mazgajowata – ale dziewczynki z oddziału dziewczęcego były widać innego zdania, bo codziennie błagały, żeby im przeczytać chociaż kawałek dalej, chociaż jedną jedyną stronę. Homer był nieugięty: przerywał zgodnie z planem i biegiem wracał na oddział chłopców, do Dickensa.

Obszar nocy, dzielący budynek chłopców od budynku dziewcząt, często pachniał trocinami: tylko noc zachowała pierwotną woń St. Cloud's i wydzielala ją w sekrecie pod osłoną mroku. Pachniało starym tartakiem i stęchłym dymem tytoniowym.

– Noc pachnie nieraz drewnem i cygarami – powiedział Homer Wells doktorowi Larchowi, który miał własne skojarzenia z cygarami, więc wzdrygnął się odruchowo.

Na oddziale dziewczęcym, zauważył Homer, pachniało inaczej niż na chłopięcym, chociaż i tam rury wodociągowe biegły po wierzchu, ściany miały szpitalne kolory, a w sypialniach obowiązywała identyczna dyscyplina. Zapach był jakby słodszy, ale zarazem jakby mdlący – Homer nie umiał go dokładnie określić.

Do spania dziewczynki wkładały to samo co chłopcy: podkoszulki i krótkie spodenki. Kiedy Homer przychodził na oddział dziewczęcy, wszystkie były już w łóżkach – jedne siedziały, inne leżały, ale żadna nie wystawiała nóg na wierzch. Te

nieliczne, którym zaczynał rosnąć biust, trzymały ręce skrzyżowane na piersiach. Tylko jedna wyłamywała się z tej reguły – najstarsza; potężniejsza i starsza od Homera Wellsa. To ona przeniosła Homera przez linię mety w sławetnym wyścigu trójnogów; ona nosiła imię Melony, chociaż miała nazywać się Melody; ją Homer przypadkiem dotknął w pierś, a ona uszczypnęła go w siusiaka.

Do wieczornej lektury Melony zasiadała po indiańsku, na pościeli: dłonie opierała na biodrach, opiętych przyciasnymi szortami, łokcie wystawiała na boki jak skrzydła i wypinała okazały biust, zawsze odsłaniając przy tym goły fragment grubego brzucha. Kierowniczka oddziału dziewczęcego, pani Grogan, co wieczór zadawała jej to samo pytanie:

– Nie przeziębisz się tak na wierzchu, Melony?

– Nie – odpowiadała krótko Melony, na co pani Grogan wydawała głębokie westchnienie, jakby ktoś strzepnął szmatę. Dlatego otrzymała przezwisko Pani Gałgan. Autorytet pani Grogan, *vel* Gałgan, opierał się na uporczywie wpajającym dziewczętom przekonaniu, że zadają jej ból, gdy czynią krzywdę sobie samym lub koleżankom.

– Jak mnie to strasznie boli – wzdychała, kiedy dziewczynki się kłóciły, szarpały za włosy, próbowały wydłubywać rywalkom oczy i gryzły je w policzki. – Jak mnie to bardzo, bardzo boli. – Metoda pani Grogan działała na dziewczęta, które ją lubiły. Na Melony nie robiła wrażenia. Pani Grogan darzyła Melony szczególną sympatią, ale czuła, że mimo wysiłków nie zyskuje wzajemności.

– Jak mnie to boli, Melony, kiedy widzę, że chcesz się zaziębić, siedząc na pościeli w niekompletnym stroju – wzdychała pani Grogan.

– Jak mnie to bardzo, bardzo boli.

Melony ani drgnęła na te słowa. Wpatrywała się jak zaklęta w Homera Wellsa. Była większa od pani Grogan; za duża na oddział dziewczęcy sierocińca. Za duża na adopcję. Za duża na dziewczynę – myślał o niej Homer Wells. Melony była większa od siostry Edny, większa od siostry Angeli – prawie tak duża jak doktor Larch. Do tego była gruba: gruba – nabita. Chociaż Homer od kilku lat nie startował w wyścigach trójnogów, pamiętał dobrze, jaka Melony jest silna. Homer postanowił zrezygnować z udziału w wyścigach, dopóki wystawiano go w parze z Melony – a wiadomo było, że jako najstarszy chłopiec i najstarsza dziewczynka zawsze będą wystawiani w jednej parze.

Podczas wieczornego czytania *Jane Eyre* Homer musiał się bardzo pilnować, żeby nie popatrzeć na Melony, każde bowiem spojrzenie na nią przypominało mu, jak



był przywiązany za nogę do jej nogi. Czuł, że Melony ma mu za złe wycofanie się z dorocznych zawodów. Poza tym bał się, żeby Melony nie zauważyła, jak bardzo mu się podobało to, że jest taka ciężka – bo dla sieroty wszystko, co duże i tłuste, jest piękne.

Co bardziej wzruszające fragmenty *Jane Eyre* (dla Homera stanowczo zbyt landrynkowate) wyciskały łzy z oczu małych słuchaczek na oddziale dziewczęcym i żałośniejsze niż zwykle westchnienia z piersi pani Grogan. Co do Melony, to słuchając tych łzawych kawałków, zaczynała donośnie sapać – jakby subtelna słodycz prowokowała ją do ledwo hamowanego gniewu.

Słuchając zakończenia Rozdziału Czwartego, Melony straciła i te skromne resztki cierpliwości.

– „Popołudnie dobiegło końca w spokoju i harmonii” – czytał Homer Wells. Ignorując wściekle syki Melony na dźwięk słów „spokój” i „harmonia”, kontynuował dzielnie: – „Wieczorem zaś Bessie opowiadała mi najczarowniejsze ze znanych sobie historii i śpiewała najśłodsze piosenki”. – Doszedłszy do tego miejsca, Homer ucieszył się, że zostało mu do przebrnięcia tylko jedno zdanie. Jednocześnie kątem oka dostrzegł falującą gwałtownie pierś Melony. – „Nawet mnie – kwiliła słodko *Jane Eyre* – życie ofiarowało promyk słonka.”

– „Promyk słonka!” – prychnęła z drwiącym niedowierzaniem Melony. – Niech ona lepiej tu przyjdzie! Niech mi tutaj pokaże promyki słonka!

– Jak to mnie bardzo boli, Melony, że mówisz w ten sposób – jęknęła pani Grogan.

– Słonko?! – Melony aż zapiała ze złości. Mniejsze dziewczynki pochowały się z głową pod koldry; niektóre uderzyły w płacz.

– Nie wiem, czy zniosę ten ból, Melony – biadolila pani Grogan.

Homer Wells wymknął się, korzystając z zamieszania, rad, że mimo wszystko doczytał rozdział do końca. Chłopcy czekali na swoją porcję wieczornej lektury. Tym razem do pożegnalnych chichotów dołączyły się pochlipywanie kilku dziewczynek i szyderstwa Melony.

– Słoneczko! – wrzasnęła za nim Melony.

– Ach, jak to nas wszystkich boli – uzalila się pani Grogan tonem nieco bardziej stanowczym niż przed chwilą.

Nocne powietrze owionęło Homera chmurą nowych zapachów. Czuł nie tylko trociny i stęchłe cygara, ale także tanie perfumy (czyżby ze stojącego tu niegdyś burdelu?) i kwaśny pot (czyżby z salonu gry w bingo na pieniądze?). Rzeka pachniała po swojemu, jeszcze inaczej.

Na oddziale chłopców już na niego czekali. Kilku najmniejszych zdążyło nawet zasnąć. Reszta trzymała oczy szeroko otwarte – tak jak pisklęta z rozwartymi dzióbkami czekają na karmienie. Homer czuł się właśnie jak opiekun dwóch gniazd, stale w pędzie od jednego do drugiego, bo i tu, i tam pisklęta bez ustanku wołały jeść – i nigdy się nie nasyciły jego głosem. Po wieczornym czytaniu-karmieniu dzieci zasypiały, a Homer – przeciwnie, rozbudzał się. Często godzinami leżał w ciemności, w której rozplywały się echa błogosławieństwa doktora Larcha: „-ęta” od „książęta”, „-owie” od „królowie”. Homer żałował nieraz, że nie sypia na oddziale niemowlęcym, gdzie panuje przynajmniej rytm przebudzeń i płaczu.

Starsi wychowankowie mieli denerwujące przywary. Jeden z Johnów Wilburów siostry Edny sypiał na ceratowym prześcieradle; Homer często nie spał, bo czekał, kiedy John Wilbur zleje się do łóżka. Nieraz go budził, prowadził do ubikacji, ustawiał małego siusiaka we właściwą stronę i szeptał chłopcu do ucha: „Sikaj, John Wilbur. Sikaj teraz. Tutaj”. Ale John Wilbur, śpiący na stojąco, wstrzymywał się z potrzebą do chwili, aż znów poczuł błogi dotyk ceraty, ze znajomym wgłębieniem, w którym tworzyło się miłe ciepłe bajorko.

Kiedy Homer był w złym nastroju, stawał nocą nad łóżkiem Johna Wilbura i szeptał: „Sikaj!” Rezultat był niemal zawsze natychmiastowy.

O wiele bardziej niepokojącym przypadkiem był chłopiec, któremu imię nadała siostra Angela – Fuzzy Stone. Fuzzy bez przerwy zanosił się suchym kaszlem. Miał wiecznie załzawione oczy w czerwonych obwódkach. Sypiał w specjalnym namiocie, nawilżanym przez całą noc parą wodną przez napędzane elektrycznie koło wodne z wachlarzem. W piersiach Fuzzy’ego Stone’a świstało i zgrzytało jak w niesprawnym silniku, a osłaniające go podczas snu wilgotne, chłodne płachty łopotwały leniwie, jak płaty monstrualnego, półprzezroczystego płuca. W wyobraźni Homera koło wodne, wachlarz i spazmatyczne świsty Fuzzy’ego Stone’a tworzyły niepodzielną jedność. Gdyby jeden z tych trzech elementów przestał funkcjonować, Homer zwątpiłby w istnienie dwóch pozostałych.

Doktor Larch podzielił się z Homerem przypuszczeniem, że Fuzzy Stone ma alergię na kurz. Narodziny i niemowlęctwo w byłym tartaku wyraźnie nie wyszły mu na zdrowie. A mało kto ma ochotę adoptować dziecko cierpiące na chroniczny bronchit. Kto by chciał dzień i noc wysłuchiwać kaszlu?

Gdy Homer Wells już całkiem nie mógł znieść kaszlu Fuzzy’ego Stone’a, albo gdy mu nadto dokuczył warkot urządzeń podtrzymujących Fuzzy’ego przy życiu, Homer wymykał się chyłkiem na oddział niemowlęcy. Zawsze była tam któraś z siostr

– siostra Angela albo siostra Edna. Na ogół dyżurująca siostra nie spała, tylko zajmowała się któryś z niemowląt. Czasami jednak, gdy maleństwa nie płakały, nawet i siostra się zdrzemnęła. Wtedy Homer przechodził między nimi cichuteńko, na palcach.

Którejś nocy zastał w sali noworodkowej jedną z matek. Nie zdawała się wypatrywać konkretnego, swojego niemowlęcia: stała w szpitalnym szlafroku pośrodku sali, oczy miała zamknięte i wyraźnie chłonęła zapachy i odgłosy tego miejsca. Homer przestraszył się, że kobieta obudzi siostrę Angelę, drzemającą na kozetce. Siostra Angela byłaby bardzo zła, widząc ją w tej sali. Powolutku, tak jak sobie wyobrażał asekurowanie lunatyka, Homer Wells przeprowadził kobietę w szlafroku do sali położniczej.

Matki prawie nigdy nie spały, kiedy Homer zaglądał nocą do ich sali. Czasami podał którejś szklankę wody.

Pacjentki, które zgłaszały się do St. Cloud's na aborcję, rzadko zostawały na noc. Ich rekonwalescencja trwała znacznie krócej niż położnic, a doktor Larch zaobserwował, że najchętniej przybywały na zabieg wcześniej z rana, tuż przed świtem, żeby wczesnym wieczorem, tuż po zmroku, wyjść ze szpitala. Za dnia niemowląt właściwie się nie słyszało: starsze dzieci hałasowały, matki gadały między sobą, siostry wydawały polecenia. I o to właśnie chodziło, ponieważ – jak zauważył doktor Larch – na kobiety poddające się aborcji szczególnie przygnębiająco działa płacz noworodków. Za to nocą – pomijając ciurkanie na ceratę w łóżku Johna Wilbura i suchy kaszel Fuzzy'ego Stone'a – słychać było w St. Cloud's tylko sowy i niemowlęta.

Nietrudno było dostrzec, że pacjentki zgłaszające się na aborcję źle znoszą płacz i gaworzenie niemowląt. A aborcję – w przeciwieństwie do porodu – można zaplanować na konkretną godzinę. Dlatego doktor Larch wyznaczał zabiegi na wczesne godziny poranne, co dawało pacjentkom kilka godzin na rekonwalescencję, zanim wieczorem opuściły szpital. Niektóre przyjeżdżały z daleka i w takich przypadkach doktor Larch namawiał je na przyjazd wieczorem w dniu poprzedzającym aborcję. Spały twardo po silnym środku nasennym. A nazajutrz mogły odpocząć po zabiegu aż do wieczora.

Nigdy nie spały w jednej sali z położnicami. Homer Wells, w czasie bezsennych peregrynacji po St. Cloud's, stwierdził, że we śnie twarze tych pacjentek na jedną noc nie zdradzają ani więcej, ani mniej troski niż twarze śpiących matek (i matek *in spe*). Za każdym razem Homer Wells próbował wśród tych twarzy, śpiących i nie, wypatrzeć jedną, która pasowałaby mu do obrazu jego własnej matki. Ciekawe, dokąd

pospieszyła, gdy już powiła w bólach dziecię – czyli jego. A może wcale nie miała dokąd pójść? I co, gdy ona tak leżała, myślał sobie jego ojciec – jeżeli w ogóle wiedział, że jest ojcem? Jeżeli ona, matka, wiedziała, że to on...

Pacjentki czasem coś mówiły do Homera. Oto przykłady:

- Przyuczysz się na doktora?
- Chcesz w przyszłości zostać lekarzem?
- Jesteś wychowankiem tutejszego sierocińca?
- Ile masz lat? Jeszcze cię nikt nie adoptował?
- Wzięli cię i odesłali, co?
- Podoba ci się tutaj?

A oto, co im odpowiadał Homer Wells:

- Możliwe, że zostanę lekarzem.
- Od doktora Larcha można się bardzo wiele nauczyć.
- Tak, jestem wychowankiem tutejszego sierocińca.
- Niecałe szesnaście. Próbowałem życia w adopcji, ale to nie dla mnie.
- Sam chciałem wrócić.
- Jeszcze jak mi się tutaj podoba!

Pacjentka z wielkim brzuchem, opiętym szpitalnym prześcieradłem, zapytała go kiedyś:

- Więc gdyby ktoś cię teraz chciał adoptować, nie poszedłbyś?
- Nie poszedłbym – odparł stanowczo Homer Wells. – Absolutnie.
- Nie zastanawiałbyś się ani chwili? – nie ustąpiła rozmówczyni.

Homer nie mógł spokojnie na nią patrzeć: wydawało mu się, że ogromny brzuch zaraz eksploduje.

– No, może chwilę bym się zastanawiał – przyznał. – Ale przypuszczam, że zawsze bym wolał zostać tutaj, dopóki mogę pomagać... no, wie pani, być użytecznym.

Kobieta z wielkim brzuchem rozplakała się.

– Być użytecznym – chlipnęła, jakby zaraziła się od Homera Wellsa manią powtarzania końcówek zasłyszanych zdań. Nagle zsunęła z siebie prześcieradło i podciągnęła szpitalną koszulę. Siostra Edna już ją zdążyła ogolić. Położyła płasko obie ręce na wysokim brzuchu. – Patrz – wyszeptała. – Mówisz, że chcesz być użyteczny?

– Tak – wykrztusił Homer Wells, który z wrażenia wstrzymał oddech.

– Oprócz mnie nikt nie położył tutaj ręki, żeby poczuć, jak ono się rusza. Nikt nie przykładął ucha i nie nasłuchiwał – mówiła cicho kobieta, pociągając nosem. –

Nie trzeba mieć dzieci, jeżeli się nie ma kogoś, kto chce sprawdzić, jak dziecko kopie, i posłuchać, jak się rusza w brzuchu.

– Nie znam się na tym – bąknął Homer Wells.

– Mógłbyś go teraz dotknąć i posłuchać? – spytała kobieta.

– Jasne – odparł Homer bohatersko, kładąc dłoń na gorącym, twardym brzuchu.

– Nachyl się, przytknij ucho i posłuchaj – poinstruowała go.

– Jasne. – Jak najdelikatniej zbliżył ucho do okolic żołądka ciężarnej, ale ona z całych sił przycisnęła do siebie jego głowę: wewnątrz brzucha dudniło jak bęben – pim! pom! Całe ciało było jak potężny silnik, wyłączony po intensywnej jeździe, który nadal bucha żarem i wibruje. Gdyby Homer zetknął się w swoim życiu z oceanem, rozpoznałby w tym, czego dotykał, zjawisko przyływu – wysokiej fali, która wzbiera i cofa się, wzbiera i cofa.

– Nie trzeba mieć dzieci, kiedy się nie ma kogoś, kto chce spać z głową na tym miejscu – szeptała dalej kobieta, poklepując obszar brzucha tuż obok przytrzymywanej siłą głowy Homera. Na którym miejscu? – zdziwił się w duchu Homer, bo na odcinku między biustem a pępkiem nie znalazł ani skrawka wygodnego miejsca pod głowę, bez twardych wzniesień i wybrzuszeń. Biust, owszem, wyglądał na miejsce dość wygodne, ale Homer wiedział, że nie tam kobieta życzyła sobie widzieć jego głowę. W jej brzuchu panował taki harmider i ruch, że Homer nie mógł uwierzyć, iż mieści się tam tylko jedno dziecko. Wyobrażał sobie, że kobieta urodzi całe plemię niemowlaków.

– Chcesz być użyteczny? – zapytała go jeszcze raz, cicho płacząc.

– Tak. Chcę – powiedział Homer Wells.

– To zaśnij tutaj – poprosiła. Homer udał, że śpi na hałaśliwej, twardej jak kamień poduszce jej brzucha, do której cały czas przyciskała go siłą. Dlatego wcześniej od niej – bo kobieta naprawdę usnęła głęboko – wiedział, że odeszły wody płodowe. Nie budząc przyszłej matki, wymknął się chyłkiem i odszukał siostrę Ednę: nim się rozwidniło, przyszła na świat trzyipółkilogramowa dziewczynka. Nadawanie imion dziewczynkom nie leżało w gestii siostr Edny i Angeli, więc po paru dniach ktoś inny – prawdopodobnie pani Grogan – nazwał malutką. Pani Grogan faworyzowała imiona irlandzkie, a gdy czasem zabrakło jej konceptu, zadanie wymyślenia dziecku personaliów spadało na sekretarkę – tę samą, która swego czasu wpisała do papierów „Melony” zamiast „Melody”. Sekretarka bardzo lubiła nazywać dziewczynki.

Homer Wells nigdy nie dowiedział się, który z noworodków jest jego najmniejszą znajomą, ale wypatrywał jej pilnie w tłumie żywych tobołków, przekonany, że nocne czuwanie z głową na brzuchu matki powinno być w nim wykształcić szósty zmysł, gwarantujący rozpoznanie dziecka.

Naturalnie, było to niemożliwe, skoro znał jedynie odgłosy życia płodowego i ruchy wykonywane po ciemku, pod jego uchem. Ale Homer nie zrażał się: szukał dalej. Obserwował dziewczynki i czekał, aż ta „jego” czymś się zdradzi.

Zwierzył się z tego kiedyś Melony, która zareagowała po swojemu – szyderczo.

– Ciekawe, czym by się miała zdradzić. Zacznie gaworzyć? Pierdnie? A może czekasz, aż cię znowu kopnie w ucho?

Mimo to Homer Wells kontynuował swoją prywatną grę. Sieroty mają mnóstwo takich sekretnych gier. Jedną z najstarszych i najpopularniejszych jest wyobrażanie sobie, że rodzice chcą cię odzyskać – że cię szukają. Ale Homer spędził kawał nocy z matką anonimowego niemowlęcia, od której sporo się dowiedział o ojcu anonimowego niemowlęcia i jego absolutnej obojętności na ojcostwo – toteż Homer wiedział doskonale, że rodzice anonimowego niemowlęcia z całą pewnością go nie szukają i nie będą szukali. Dlatego, być może, tak się uparł znaleźć dziewczynkę. Bo jeżeli ona rosła gdzieś niedaleko, w sierocińcu, i jeżeli grała w najstarszą z sierocych gier wyobraźni – to na pewno byłoby jej przyjemnie, że ktoś jej jednak szukał, nawet jeśli tym kimś była tylko druga sierota.

Doktor Larch próbował rozmawiać z Homerem o wybuchach złości Melony.

– Złość to zabawna rzecz – zagaił doktor Larch, chociaż był przekonany, że złość jest najmniej zabawnym zjawiskiem na świecie.

– Co do tego fragmentu o „promyczkach” i „słonku” – powiedział Homer – to zgadzam się: jest głupi i cikliwy. W książkach często się zdarza, że człowiek czyta i aż go skręca, ale jednocześnie wie się, że w danej chwili Jane powiedziałaby właśnie coś takiego, bo Jane właśnie taka była, więc trzeba się z tym pogodzić, i już. A Melony wpadła w szal; dlaczego? – nie rozumiał Homer.

Doktor Larch wiedział, że Melony zalicza się do bardzo już uszczuplonej gromadki tych wychowanków St. Cloud's, którzy nie urodzili się w St. Cloud's. Któregoś ranka znaleziono ją na progu szpitala. Trudno powiedzieć, ile miała lat – cztery? pięć? – zawsze była duża jak na swój wiek. Mówić zaczęła około ósmego,

dziewiątego roku życia. Larch myślał początkowo, że dziecko jest upośledzone – ale nie w tym tkwił problem.

– Melony od początku była wściekła – próbował tłumaczyć Homerowi doktor Larch. – Nic nie wiemy ani o jej narodzinach, ani o wczesnym dzieciństwie; ona sama też może nie znać wszystkich źródeł swojej wściekłości. – Tu Larch przerwał, bo nie był pewien, czy powinien powiedzieć Homerowi, że Melony była adoptowana i wracała do sierocińca jeszcze więcej razy niż on. – Melony miała kilka niezbyt fortunnych doświadczeń z rodzinami zastępczymi – powiedział wreszcie i ostrożnie dodał: – Gdybyś miał okazję zapytać ją o te doświadczenia, a ona miałaby ochotę o nich mówić, to przypuszczam, że pomógłbyś jej w ten sposób uwolnić się przynajmniej od części nagromadzonego gniewu. Ona tego bardzo potrzebuje.

– Zapytać ją o doświadczenia? – Homer z powątpiewaniem pokręcił głową. – Nie wiem, czybym umiał. Ja nigdy nie próbowałem z nią rozmawiać.

Doktor Larch już zdążył pożałować własnych słów. Kto wie, co przypomniałaby sobie Melony na takie pytanie? Może pierwszą rodzinę adopcyjną, która odesłała ją z powrotem, gdyż Melony rzekomo pogryzła psa gospodarzy w sporze o piłeczkę. I nie był to, bodajże, odosobniony incydent: podobno Melony gryzła psa przy wielu okazjach. Po incydencie z piłką Melony stale się czaiła i zaskakiwała psa znienacka, kiedy jadł albo spał. Pierwsza rodzina adopcyjna oskarżyła Melony o umyślne doprowadzanie zwierzęcia do szaleństwa.

Z drugiego i trzeciego domu Melony uciekła, twierdząc, że tamtejsi mężczyźni – ojcowie czy synowie – okazywali jej zainteresowanie natury erotycznej. Czwarta rodzina poskarżyła się z kolei, że Melony okazuje zainteresowanie natury erotycznej młodszemu od niej dziecku płci żeńskiej. W piątym przypadku małżeństwo adopcyjne rozpadło się z powodu intymnej zażyłości Melony z panem domu: żona twierdziła, że mąż uwiódł Melony, mąż natomiast utrzymywał, że to Melony jego uwiodła (użył słowa „napastowała”). Zapytana przez panią Grogan, jak to właściwie było, Melony wygarnęła prawdę prosto z mostu: „Mnie by miał ktoś uwodzić? Niech tylko spróbuje!” Za szóstym razem, mąż zmarł na atak serca wkrótce przed przybyciem do domu Melony, a wdowa odesłała dziewczynkę do St. Cloud’s, gdyż nie czuła się na siłach wychowywać ją samotnie. („Fakt, że siłą nie grzeszyła!” – tyle tylko miała Melony do powiedzenia pani Grogan.)

Doktor Larch wyobraził sobie, jak Homer słucha tych rewelacji z pierwszej ręki – i bardzo się zaniepokoił taką perspektywą. Musiał sobie z żalem powiedzieć, że chociaż uczynił Homera Wellsa swoim czeladnikiem – asystentem przy zgrzytliwych

operacjach w szpitalu St. Cloud's – to jednocześnie nie oparł się pokusie ukrycia przed chłopcem najmroczniej szych stron prawdy o życiu.

Siostra Angela nazywała Homera Wellsa „aniołkiem”, siostra Edna uważała go za „wzór cnót i niewinności”, a doktor Larch martwił się, że Homer widuje na co dzień załamane kobiety, korzystające z usług St. Cloud's, że asystuje przy wyjazdach matek, w których charakterach i życiorysach z pewnością szuka definicji własnej matki. A te kobiety z „małym problemem”, które tu przyjeżdżały, żeby się wyskrobać do czysta, i nie zostawiały nikogo (tylko produkty zapłodnienia) – ciekawe, jakie wrażenie one wywierają na Homerze – zastanawiał się doktor Larch.

Homer Wells miał sympatyczną, szczerą twarz: taka twarz niczego nie ukryje – każde uczucie i każda myśl odbija się na niej, tak jak na tafli odkrytego jeziora odbija się wszelka zmiana pogody. Dłoń Homera chciało się trzymać, a jego oczy skłaniały do zwierzeń. Doktor Larch bał się pewnych szczegółów opowieści, na które Homer może zostać wystawiony – bał się ich nie tyle ze względu na jawną drastyczność, co z uwagi na głębsze prawdy o życiu, jakie odsłaniały.

I oto Melony – niekwestionowana mistrzyni wagi ciężkiej z oddziału dziewczęcego – już zdążyła zaniepokoić chłopca swoją agresją. Doktor Larch podejrzewał, że ukazała w ten sposób zaledwie czubek góry lodowej swoich możliwości: jej potencjał edukowania Homera Wellsa wydawał się druzgocący i niewyczerpany.

Melony podjęła dalszą edukację Homera już nazajutrz, podczas wieczornej lektury. Homer przyszedł wcześniej niż zwykle (w nadziei, że wcześniej wyjdzie) i zastał sypialnię dziewcząt w przerażającym nieładzie. Duża część dziewczynek jeszcze nie leżała; niektóre zaczęły piszczeć na widok Homera – miały gołe nogi. Homer poczuł się zażenowany: stał pod nagą żarówką zbiorowej sypialni i bezskutecznie wypatrywał pani Grogan, która zawsze mile go traktowała. Egzemplarz *Jane Eyre* ścisnął kurczowo obiema rękami, jakby się bał, że rozwydrzone dziewczynki zechcą mu go wyrwać.

Zauważył, że Melony już przyjęła zwykłą pozę na pościeli, w stroju – jak się tego należało spodziewać – nader skąpym. Pochwycił jej spojrzenie – przenikliwe, ale wstrzymujące osąd. Zmieszany, zwrócił wzrok na własne ręce, ścisnąjące *Jane Eyre*.

– Hej, ty! – usłyszał głos Melony. Reszta dziewczynek natychmiast się uciszyła.  
– Hej, ty! – powtórzyła Melony. Kiedy podniósł na nią oczy, klęczała na łóżku i wypinała na niego największy goły tyłek, jaki w życiu widział. Niebieskawa smuga (pewnie blizna) przekreślała jeden napięty słup uda, a spomiędzy drgających



rytmicznie monstualnych pośladków mrugało do Homera pojedyncze, czarne oko. – Hej, Słoneczko – powiedziała Melony, a Homer spłonął się niczym słońce o wschodzie lub zachodzie. – Hej tam, Słoneczko – zaintonowała Melony słodkim głosem. W ten sposób sierota Homer Wells otrzymał nowe imię: Słoneczko.

Kiedy Homer Wells opowiedział doktorowi Larchowi, co mu zrobiła Melony, doktor Larch zwątpił w słuszność decyzji o powierzeniu Homerowi wieczornej lektury na oddziale dziewczęcym. Jednak skreślenie teraz tego punktu z listy obowiązków Homera wyglądałoby, zdaniem doktora, na rejteradę – a i sam Homer mógłby doznać poczucia porażki. Pracując w sierocińcu, człowiek w zasadzie nie przeżywa zwątpień, toteż w wahaniach związanych z osobą Homera Wellsa doktor Larch bez trudu rozpoznał naturalne uczucia ojcowskie. Świadomość, że pozwolił sobie zostać ojcem, ze wszystkimi konsekwencjami rodzicielskich rozterek względem latorośli, wpędziła doktora Larcha w taką depresję, że musiał bezzwłocznie poszukać ukojenia w eterze – do którego coraz bardziej się przyzwyczajał.

Okna w St. Cloud's nie miały zasłon. Ambulatorium było pokojem narożnym: jedno okno wychodziło na południe, a drugie na wschód. Zdaniem siostry Edny, właśnie to wschodnie okno winne było wczesnemu wstawaniu doktora Larcha. Jego wąskie, zasłane maglowaną bielą szpitalne łóżko zawsze wyglądało na nietknięte: doktor Larch kładł się ostatni, a wstawał pierwszy, podsycając w ten sposób krążącą po St. Cloud's plotkę, że nie sypia w ogóle. Jeżeli jednak czasem sypiał, to w ambulatorium – co do tego wszyscy byli zgodni. Do późna w nocy miał zwyczaj pisać na maszynie w gabinecie siostry Angeli. Żadna z sióstr nie pamiętała, dlaczego nazwano ten pokój gabinetem siostry Angeli: było to w St. Cloud's jedyne pomieszczenie zasługujące na miano gabinetu, a jedyną osobą, która z niego korzystała (ściślej: ze znajdującej się w nim maszyny do pisania), był doktor Larch. Może dlatego, że sypiał w ambulatorium, doktor Larch poczuwał się do obowiązku nazwania gabinetu imieniem innego rezydenta.

Ambulatorium miało nie tylko dwa okna, ale i dwoje drzwi (jedne do toalety i prysznic), co, biorąc pod uwagę szczupłą powierzchnię, czyniło pokój wyjątkowo trudnym do umeblowania. Skoro w ścianach południowej i wschodniej tkwiły okna, a w północnej i zachodniej – drzwi, to niemożliwe było ustawić cokolwiek pod ścianą: jedynie nieskazitelnie białe łóżko dało się wcisnąć pod wschodnie okno. Oszklone szafki – jedne zamykane na klucz, inne nie – tworzyły ciasny labirynt wokół

ustawionego na samym środku biurka. Nikogo nie mogło dziwić, że leki i puszki z eterem zajmują poczesne miejsce – bądź co bądź, było to ambulatorium – ale tak naprawdę, doktor Larch miał swoje prywatne powody, żeby urządzić salkę właśnie tak, a nie inaczej. Labirynt szklanych etażerek pośrodku pokoju nie tylko wytyczał trasę do łazienki i korytarza, ale także (ale przede wszystkim) zasłaniał łóżko od strony wejścia, które – jak wszystkie drzwi w sierocińcu – nie miało zamka.

Tylko dzięki ciasnocie ambulatorium mógł doktor Larch w spokoju uprawiać swoje eterowe figle. Ciężar dziesięciodekowej puszki eteru w dłoni sprawiał mu niewymowną rozkosz. Umiejętne posługiwanie się eterem to kwestia doświadczenia i techniki. Eter, gdy się go wdycha dla przyjemności, jest zawiesisty, a zarazem lekki – mimo że w istocie ma ciężar właściwy prawie dwukrotnie większy od powietrza. Czym innym zgoła jest stosowanie eteru jako środka znieczulającego: dusząca woń budzi w pacjencie odruch paniki. Dlatego w przypadku wyjątkowo delikatnych pacjentek, Larch poprzedzał podanie eteru paroma kroplami olejku pomarańczowego. Dla siebie nie potrzebował żadnych wstępów zapachowych, żadnych owocowych kamuflaży. Za każdym razem do jego świadomości docierał stuk pustej puszki, gdy odstawiał ją na podłogę przy kozetce; nie zawsze jednak pamiętał moment, w którym palce przytrzymujące maskę rozluźniały się i stożek, zepchnięty siłą oddechu, spadał z jego twarzy. Zwykle świadom był bezwładności ręki, która przestała przytrzymywać maskę – ciekawe, że właśnie ta ręka pierwsza budziła się z eterowego odrętwienia, sięgając ku twarzy po maskę, której tam już, naturalnie, nie było. Na ogół słyszał też głosy z korytarza, jeżeli to jego wołano. Był absolutnie pewien, że zawsze zdąży na czas otrząsnąć się z oszołomienia.

– Doktorze Larch? – rozlegał się od progu głos siostry Angeli, siostry Edny albo Homera Wellsa. To wystarczało, aby zawrócić Larcha z eterowej podróży.

– Tu jestem! – wołał głośno. – Odpoczywam.

Ambulatorium – i lekarz pracujący w ambulatorium – zawsze pachnie eterem; to normalne. A czyż mogło dziwić, że ktoś, kto tak ciężko pracuje, a tak mało (jeśli w ogóle) sypia, od czasu do czasu musi się zdrzemnąć?

Nie kto inny jak Melony pierwsza poddała Homerowi myśl o dziwnych obyczajach i nadzwyczajnych cechach doktora Larcha.

– Słuchaj no, Słoneczko – powiedziała mu pewnego razu. – Jak to jest, że ten twój ukochany doktor w ogóle się nie interesuje babami? To fakt, możesz mi wierzyć. Nawet na mnie nie spojrzy, a na mnie wszyscy faceci się gapią, zawsze i wszędzie, starzy i młodzi. Nawet ty, Słoneczko. Nawet ty się na mnie gapisz.

Homer Wells odwrócił wzrok.

– I czym on tak stale śmierdzi? – zastanawiała się dalej Melony.

– Eterem – wyjaśnił jej Homer Wells. – W końcu jest lekarzem. Musi pachnieć eterem.

– Więc ty uważasz, że to normalne? – spytała Melony.

– Jasne – odparł Homer Wells.

– Jak chłop na wsi, co? – pytała dalej, podejrzanie nieśmiało. – Chłop na wsi powinien śmierdzieć mlekiem i gnojem, to chciałeś powiedzieć?

– Jasne – zgodził się Homer, ale wzmógł czujność.

– Figę jasne, Słoneczko – skrzywiła się Melony. – Twój ulubiony doktor śmierdzi eterem od środka, śmierdzi, jakby miał w sobie eter zamiast krwi.

Homer zmilczał te rewelacje. Czubkiem, ciemnej czupryny sięgał Melony do ramienia. Spacerowali po огоłoconym z drzew, jałowym brzegu rzeki w tej części St. Cloud's, której opuszczone domy pozostały opuszczone: rzeka w tym miejscu zerodowała nie tylko własny brzeg, ale i fundamenty budynków, które zresztą po części nigdy nie miały przyzwoitych fundamentów ani nawet piwnicznych dziur – stały na balach drewnych, odsłoniętych teraz i gnijących od żarłocznej wody.

Ulubiony dom Homera i Melony miał ganek. Ganek w zamyśle projektanta nie miał wisieć nad rzeką, ale teraz wisiał: przez dziury w deskach podłogi Homer i Melony mogli obserwować pęd rdzawej wody rzeki.

Dawniej dom służył za sypialnię nieokrzesanym robotnikom tartaków i wyrębów minionego St. Cloud's: dla szefów, a nawet brygadzistów, był zbyt obskurny – urzędnicy spółki papierniczej Ramses Paper wynajmowali pokoje w burdelu. A to był dom dla tych, co robili przy pilach, układali i sortowali, likwidowali zapory na rzece, spławiali drewno z nurtem, ściągali kłody z wyrębu i rąbali na szczapy, obsługiwali młyny papierni.

Homer i Melony siadywali zwykle na ganku. Wewnątrz domu zachowała się wielka, pusta kuchnia i mnóstwo pojedynczych klitek z wyboistymi materacami, okupowanymi teraz przez myszy. Dzięki rozbudowie dróg, częstymi gośćmi bywali tu przygodni włóczędzy, zaznaczający swoje terytoria psim sposobem – czyli obsikaniem granicy, przez co niektóre materace stały się mniej atrakcyjne dla myszy. Chociaż budynek od dawna nie miał szyb w oknach i zimą do połowy napełniał się śniegiem, smród uryny był nie do zwalczania.

Pewnego dnia, gdy mizerne wiosenne słońko zwabiło na deski ganku czarną, wychudłą od zimna zmię, Melony powiedziała do Homera Wellsa:

– Patrz teraz, Słoneczko.

Ruchem zadziwiająco szybkim jak na taką potężną dziewczynę, chwyciła drzemiącą żmiję tuż za głowę. Był to w istocie niejadowity wąż amerykański, blisko metrowej długości: owinał się błyskawicznie wokół ramienia Melony, ona jednak trzymała go prawidłowo, tuż pod łbem, ściskając mocno, ale nie dusząc. Z chwilą gdy go pochwyciła, straciła zainteresowanie zdobyczą: rozglądała się po niebie, jakby w oczekiwaniu na znak stamtąd, i najspokojniej w świecie zagadywała do Homera Wellsa.

– Twój kochany doktorek, Słoneczko – mówiła – wie o tobie o wiele więcej, niż podejrzewasz. Całkiem możliwe, że i o mnie tak samo.

Homer milczał. Nie ufał Melony, zwłaszcza teraz, kiedy trzymała węża. Mnie też by mogła unieszkodliwić jednym ruchem – pomyślał. Albo mogłaby użyć węża przeciwko mnie.

– Myślisz czasami o matce? – spytała Melony, uparcie wypatrując znaków na niebie. – Chciałbyś czasami wiedzieć, co to była za jedna, dlaczego cię nie chciała, kim był twój ojciec... no, wiesz, te rzeczy?

– Jasne – powiedział Homer Wells, nie spuszczając wzroku z węża. Wąż, jeszcze przed chwilą owinięty wokół ramienia Melony, rozprostował się i zwisał bezwładnie, jak lina, a potem zaczął sam z siebie rytmicznie grubieć i chudnąć. Ostrożnie spenetrował biodro Melony, a w końcu osiadł wokół jej szerokiej talii – ledwo ją objął.

– Mnie mówili, że byłam podrzucona pod drzwi – rzekła Melony. – Może tak, może nie.

– Ja się tutaj urodziłem – powiedział Homer Wells.

– Tak ci powiedzieli – uściśliła Melony.

– Siostra Angela nadała mi imię i nazwisko – argumentował Homer.

– Siostra Angela albo siostra Edna tak samo nadałyby ci imię i nazwisko, gdybyś był podrzutkiem – odrzuciła argument Melony. Dalej patrzyła w niebo; na węża w ogóle nie zwracała uwagi. Jest większa ode mnie; jest starsza ode mnie; wie więcej ode mnie – pomyślał Homer Wells. I trzyma węża. W tej sytuacji Homer zmilczał również ostatnią uwagę Melony.

– Słoneczko – ciągnęła Melony, jakby to, o czym mówiła, nie bardzo ją w gruncie rzeczy obchodziło. – Zastanów się. Przecież jak się urodziłeś w St. Cloud's, to musisz być zarejestrowany. Twój kochany doktorek wie, kim jest twoja matka. Ma w

aktach jej nazwisko. Jesteś zapisany, Słoneczko, czarno na białym. Przepisy tego wymagają.

– Przepisy – powtórzył Homer beznamiętnym głosem.

– Przepis wymaga, żeby każdy był zarejestrowany – tłumaczyła Melony. – Na piśmie, w specjalnych aktach, w kartotece. Wszedłeś do historii, Słoneczko.

– Do historii – powtórzył Homer jak echo. W wyobraźni ujrzał doktora Larcha przy maszynie do pisania w gabinecie siostry Angeli: jeżeli gdziekolwiek przechowywało się jakiegokolwiek akta, to tylko tam.

– Chcesz się dowiedzieć, kim jest twoja matka? – judziła Melony. – Nic prostszego: wystarczy sprawdzić w papierach. Pod swoim nazwiskiem w kartotece. Przy okazji mógłbyś i mnie sprawdzić. Takiemu wprawnemu czytelnikowi jak ty, Słoneczko, nie zajmie to wiele czasu. I założę się, że będzie ciekawsze od *Jane Eyre*. Same moje akta są od niej o wiele ciekawsze, przekonasz się. A kto wie, co tam jest w twoich?

Homer pozwolił sobie na chwilę nieuwagi. Przez dziurę w podłodze ganku ujrzał pędzony nurtem rzeki dziwny przedmiot – złamany konar? męski but z cholewą? a może to była noga? Coś świsnęło mu koło ucha i zaraz pożałował odwrócenia wzroku od węża; skulił się instynktownie. Melony spokojnie rozglądała się po niebie. Kręciła węzem nad głową jak lassem, uważnie wpatrzona w przestrzeń – i to nie bez celu: obiektem jej koncentracji był jastrząb o czerwonych barkach. Krążył nad rzeką tym pozornie leniwym, wznoszącym się po torze spirali lotem jastrzębi na łowach. Melony wyrzuciła rozkręconego węża w środek rzeki. Jastrząb rzucił się za nim: zaczął nurkować, zanim jeszcze wąż dotknął powierzchni wody i podjął desperacką próbę dopłynięcia do zbawczego brzegu. Wąż nie walczył z nurtem, dał mu się unosić i tylko czekał na pchnięcie pod odpowiednim kątem, które by go wyniosło na podmyty brzeg albo w kępę przybrzeżnych zarośli.

– Patrz teraz, Słoneczko – powiedziała Melony. Dobrze długie dziesięć metrów od brzegu jastrząb pochwycił pływającego węża i porwał go w górę. Wąż wił się spazmatycznie i chłostał jastrzębia całym ciałem. – Jeszcze coś ci pokażę – powiedziała Melony. Skoro wynik rozgrywki wąż-jastrząb był przesądzony, niebo natychmiast przestało ją zajmować.

– Jasne – zgodził się Homer, pochłonięty tym, co słyszał i widział. Z początku ciężar i szamotanina węża wyraźnie przeszkadzały jastrzębiowi w locie, ale im wyżej się wznosił, tym pewniej leciał, jakby powietrze wysoko w górze miało inne właściwości niż na dole, przy ziemi, gdzie węże czują się najlepiej.

– Słoneczko! – niecierpliwy okrzyk Melony przerwał Homerowi kontemplację. Homer posłusznie wszedł za Melony do wnętrza domu, a tam, po schodach, na górę, do jednej z najciemniejszych klitek. Pachniało w niej tak, jakby ktoś tam był – i to ktoś żywy – jednak ciemność nie pozwalała stwierdzić, czy znajduje się tam tylko nawiedzony przez myszy materac, czy śpiący człowiek. Melony pchnęła zbutwiałą, dyndającą na jednym zawiasie okiennicę i uklękła na materacu, który zmaterializował się pod ścianą dzięki uchyleniu okna. Nad materacem, na poziomie głowy tego kogoś, kto tu kiedyś sypiał, przypięte było do ściany pinezką stare zdjęcie; smuga wilgotnej rdzy z zardzewiałej pinezki zaschła na sepii fotografii.

Homer widział tę fotografię po raz pierwszy, ale oglądał inne, w innych sypialniach tego domu. Pamiętał zdjęcia małych dzieci, matek, ojców – słowem: typowe, jak mu się zdawało, fotografie rodzinne, zawsze bardzo ciekawe dla sieroty.

– Chodź no tutaj, Słoneczko; popatrz – zaprosiła go Melony. Chciała podważyć pinezkę paznokciem, ale nic z tego nie wyszło: pinezka tkwiła w desce od lat. Homer uklękł obok Melony na przegniłym materacu. Przez chwilę nie mógł pojąć, co zdjęcie przedstawia – trochę chyba dlatego, że rozpraszała go bliskość fizyczna Melony, jakiej nie zaznał od czasu, gdy ich po raz ostatni związano w wyścigu trójnogów.

W końcu jednak treść zdjęcia dotarła do niego (to znaczy, pojął, co ono przedstawia, chociaż nie mógł pojąć celu, w jakim je wykonano), a wówczas stwierdził, że nie jest to zdjęcie, na które da się patrzeć przez dłuższy czas, zwłaszcza w bliskiej obecności Melony. Z drugiej strony, lękał się posądzenia o tchórzostwo, gdyby teraz odwrócił wzrok. Fotografia rejestrowała typowe dla *atelier* fotograficznego z przełomu wieku zakłamanie rzeczywistości: w stylizowanym Niebie – a może Piekło – w obramowaniu wieńca z chmur i mgły – trudno orzec, czy kadzidlanej, czy atmosferycznej – bohaterowie ujęcia wykonywali bardzo zawile akrobacje.

Homer Wells po namyśle doszedł do wniosku, że tłem ekwilibrystyki jest jednak Piekło. W scenie uczestniczyli: długonoga kobieta i krępy kucyk. Kobieta leżała nago, z nogami w rozkroku, na dywanie (dość dowolnie łączącym motywy perskie i orientalne – ale Homer Wells i tak się na tym nie znał), a kucyk stał nad nią okrakiem, zadem do jej twarzy. Łeb pochylił jak do picia lub skubania trawy nad bujnym zarostem łonowym damy, a okiem strzelał w bok, jakby pozował albo się wstydził, albo po prostu był głupi. Penis kuczka musiał być w naturze dłuższy i grubszy niż ręka Homera Wellsa, ale ambitna, atletyczna damulka wygięła szyję w łuk i znalazła dość siły w ramionach, żeby nagiąć okazały organ do swych ust pąkowania.

Policzki miała wzdęte, jakby trochę za długo wstrzymywała oddech, i oczy wyszły jej z orbit – w sumie trudno było poznać po jej minie, czy pęka ze śmiechu, czy dławi się penisem kuca. Co do zwierzęcia, to na jego włochatym obliczu malowała się wymuszona obojętność stworzenia, którego godność została publicznie wystawiona na szwank.

– Szczęściarz z tego kuca, co, Słoneczko? – zagaiła Melony, ale Homer nie odpowiedział, bo właśnie przeszył go dreszcz; równocześnie doznał wizji fotografa – szatańskiego manipulatora długonogiej damy, kucyka, niebiańskich chmur i dymów piekielnych. Bo takich mgieł jak na zdjęciu – zdecydował ostatecznie Homer – nigdzie na Ziemi nie ma. W jednym okamgnieniu Homer Wells ujrzał geniusza ciemni fotograficznej, który wykreował zapisany na fotografii spektakl. Potem, w dłuższej wizji, ukazał mu się mężczyzna, który niegdyś sypiał na tym materacu, gdzie oto teraz klęczeli razem z Melony, w pozie uwielbienia dla jego największego skarbu. Jakiś drwal obrał sobie właśnie to zdjęcie, aby z nim witać każdy nowy dzień: portret damy z kucem zastępował mu najbliższą rodzinę. Właśnie to najbardziej Homera zasmuciło: że na nędznej pryczy w St. Cloud's wypoczywał kiedyś po dniu ciężkiej pracy człowiek, dla którego ta damula na fotografii i ten kuc byli czymś najdroższym na świecie, bo nie miał kogo wspominać – ani dziecka w beciku, ani matki, ani ojca, ani żony, ani kochanki, ani brata, ani przyjaciela.

Ale chociaż obrazek tak bardzo go smucił, Homer Wells nie potrafił przestać na niego patrzeć. Melony – wyjątkowo, jak na nią, delikatnymi, dziewczęcymi ruchami – próbowała nadal podważyć zardzewiałą pinezkę, troszcząc się bardzo o to, żeby nie zasłaniać Homerowi widoku.

– Jak mi się uda oderwać to cholerstwo od ściany – powiedziała Melony – to ci je dam.

– Ja tego nie chcę – zaprotestował Homer Wells, ale sam nie był pewien, czy szczerze.

– Nie bujaj, jasne, że chcesz – powiedziała Melony. – Mnie nic po takim zdjęciu. Nie interesuję się kucami.

W końcu udało jej się wyciągnąć pinezkę, ale przypląciła to złamanym paznokciem i naderwaną skórką: strużka świeżej krwi splamiła fotografię i bardzo szybko przybrała kolor rdzawej smugi, biegnącej wzdłuż grzywy kuca i ud damuli. Melony jedną ręką wręczyła zdjęcie Homerowi, ssąc skaleczony palec drugiej ręki, ze złamanym paznokciem.

Melony tak trzymała palec w ustach, że przyciskała jej dolną wargę do dolnych zębów.

– Kapujesz, co, Słoneczko? – upewniła się. – Widzisz, co ta kobita robi temu kucowi, tak?

– Jasne – odparł Homer Wells.

– A nie chciałbyś, żebym ja ci zrobiła to samo, co ta kobita robi temu kucowi? – spytała jakby nigdy nic, po czym wepchnęła do ust cały palec i owinęła go wargami aż po drugą kostkę; tak upozowana czekała na odpowiedź, ale Homer Wells zignorował pytanie. Wtedy Melony wyjęła z ust mokry palec i dotknęła nim zamkniętych ust Homera. Homer ani drgnął: wiedział, że gdyby teraz spojrzął na jej palec, zrobiłby zeza. – Bo wiesz, Słoneczko – odezwała się po chwili Melony – jakbyś chciał, żebym ci tak zrobiła, to wystarczy, że wyciągniesz moją kartotekę, moje papiery. – Trochę za mocno przyciskała palec do ust Homera.

– Rozumie się, że jak już będziesz szukał moich papierów, to swoje też możesz sprawdzić. Jak cię to interesuje – dodała po chwili. Cofnęła palec. – Daj mi swój palec, Słoneczko – powiedziała, ale Homer Wells obu dłońmi trzymał fotografię i postanowił nie spełniać polecenia. – No, nie bój się, nic ci nie zrobię – zapewniła go Melony. Homer wyciągnął do niej lewą rękę, w prawej wciąż dzierżąc fotografię; dokładnie mówiąc, podał Melony zaciśniętą pięść, którą ona musiała rozewrzeć, zanim wsadziła sobie do ust jego palec wskazujący. – Patrz na obrazek, Słoneczko – poinstruowała Homera Melony, a on usłuchał. Stukając się w zęby jego palcem, Melony mówiła: – Wyciągnij mi moje papiery, to ci dam, wiesz co. Patrz sobie na ten obrazek i pomyśl nad propozycją.

Na razie Homer mógł myśleć tylko o tym, że to straszne patrzanie na obrazek, z palcem w ustach Melony, przy której klęczał na materacu pełnym myszy, nigdy się nie skończy. Wtem coś z głuchym tąpnięciem spadło na dach – ciało? – po czym nastąpiło drugie, słabsze tąpnięcie – jakby ciało odbiło się po wylądowaniu. Melony bezwiednie ugryzła Homera w palec, zanim zdążył wyszarpnąć go z jej ust. Wciąż na klęczkach, padli sobie w objęcia i tak trwali, wstrzymując oddech. Homer Wells czuł, jak jego własne serce tłucze się o biust Melony.

– Co to, jasna cholera, mogło być? – szepnęła po chwili Melony.

Homer Wells puścił to pytanie mimo uszu. Oczami wyobraźni widział ducha drwała, którego ukochany obrazek on, Homer, trzymał w dłoni, ducha całkiem materialnego – właściwie ciało pracownika tartaku, który w wieczności nadal słyszy tylko wizg pił i oto wylądował na dachu, z zardzewiałą piłą w każdej ręce. W głuchym



tąpnięciu martwego ciężaru o dach domu Homer sam usłyszał buczenie niegdysiejszych pił tartacznych – ale co miał znaczyć towarzyszący mu cienki, nieomal ludzki odgłos? Homerowi wydało się, że to płaczą duchy niemowląt tego wzgórza – pierwszych sierot St. Cloud's.

Pod gorącym policzkiem poczuł Homer puls na szyi Melony. Tymczasem po dachu ktoś stąpał – tak leciutko, subtelnie, jakby ucieleśniony upadkiem z wysokości duch na nowo przemieniał się w istotę niematerialną.

– O Jezu! – Melony w panice odepchnęła Homera Wellsa z taką siłą, że zatoczył się na ścianę. Rumor tym spowodowany spłoszył ducha na dachu: duch zaszurał gwałtownie i wydał przenikliwy, dwusylabowy pisk, w którym łatwo było rozpoznać charakterystyczne zawołanie rdzawobarkiego jastrzębia.

– Kii-je!

Melony nie wiedziała widocznie, że tak krzyczy jastrząb, bo zaczęła pisać ze strachu, ale Homer, pewien już, kto nawiedził dach, zbiegł pędem po schodach i zatrzymał się dopiero przy zbutwiałej barierze ganku. Zdążył akurat na odlot jastrzębia: tym razem wąż stanowił dla ptaka mniej kłopotliwy bagaż, bo zwisał bezwładnie jak kawał liny. Ciekawe, czy sam wyślizgnął się z jastrzębich szponów, czy też ptak zrzucił go celowo, przeczuwając w tym jedyną pewną – a w dodatku wysoce profesjonalną – metodę uśmiercenia zdobyczy. Tak czy owak, upadek ze znacznej wysokości załatwił węża na miejscu; martwe ciało było dla jastrzębia łatwiejsze do transportowania niż żywy gad, wijący się desperacko w jego szponach i raz po raz chlaszczący go ogonem przez pierś. Homer ocenił, że wąż jest nieco dłuższy, za to nieco chudszy, od penisa kucyka.

Zadyszana z emocji Melony znalazła się na ganku u boku Homera. Gdy jastrząb znikł im z oczu, ponowiła obietnicę:

– Weź sobie ten obrazek i zastanów się.

Homer Wells nie potrzebował zachęty do „zastanawiania się”. Było się nad czym zastanawiać!

„Okres dojrzewania...” – deliberował w dzienniku Wilbur Larch. – „Czy nie wtedy po raz pierwszy w życiu stwierdzamy, że zostaliśmy dopuszczeni do strasznych sekretów, które koniecznie musimy ukryć przed tymi, którzy nas kochają?”

Homer Wells po raz pierwszy w życiu ukrywał coś przed doktorem Larchem – a także przed siostrą Angela i przed siostrą Edną. Razem z fotografią wyobrażającą kuca

z penisem w damskich ustach, Homer Wells ukrywał przed światem swój pierwszy żal do Świętego Larcha. Razem z tą fotografią ukrywał też pierwsze porywy pożądania – nie tylko pod adresem damy dławiącej się imponującym instrumentem kucyka, ale i w związku z atrakcyjną propozycją, którą mu złożyła Melony. Razem z tą fotografią (wpiętą w sprężyny pod materacem szpitalnego łóżka) ukrywał Homer swoje lęki w związku z tym, co mogą zawierać tak zwane akta – domniemany dokument o jego narodzeniu w St. Cloud's. Wyimaginowane dzieje matki Homera też spoczywały w kryjówce, razem z fotografią, do której Homer coraz bardziej się przywiązywał.

Trzy, cztery razy dziennie wyjmował zdjęcie spod materaca i patrzył na nie, a nocą, gdy nie mógł zasnąć, oglądał je przy świecy. W mdłym blasku świecy damulka trochę mniej wytrzeszczała oczy, a gdy płomień migotał, zdawało się, że kobieta porusza policzkami, a grzywa kucyka faluje. Którejś nocy, akurat kiedy patrzył na obrazek, Homer usłyszał, że John Wilbur moczy łóżko. Znacznie częściej jednak oglądał fotografię przy akompaniamencie dramatycznego rzeźnika Fuzzy'ego Stone'a – i szczerze mówiąc, kakofonia na niesprawne płuca, koło wodne i wentylator bardziej mu pasowała do wyobrażenia o zatrzymanej na obrazku chwili.

Bezsensowność Homera Wellsa zmieniła charakter: doktor Larch zauważył różnicę, a Homer Wells, przeczulony wyrzutami sumienia, zauważył, że doktor Larch go obserwuje. Kiedy nocą skradał się korytarzem na paluszkach w kierunku gabinetu siostry Angeli, doktor Larch za każdym razem siedział przy maszynie do pisania i doskonale wiedział o jego obecności w hallu.

– No, co tam, Homer? Szukasz czegoś? – zagadywał, nie odwracając głowy, doktor Larch.

– Nie, tylko nie mogę spać – odpowiadał Homer; na co doktor Larch stwierdzał:

– To nic nowego.

Czy ten człowiek całymi nocami pisał na maszynie? Za dnia w gabinecie siostry Angeli panował nieustanny ruch: było to jedyne pomieszczenie na wywiady i rozmowy telefoniczne. Pełno tam było papierów doktora Larcha: jego obszerna korespondencja z innymi sierocińcami, z agencjami adopcyjnymi, z kandydatami na przybranych rodziców; jego wiekopomna (choć miejscami krotochwilna) kronika, czy raczej swoisty dziennik, pod tytułem *Krótką historia St. Cloud's* – już dawno nie „krótka” i rozrastająca się z każdym dniem – w której każdy kolejny wpis zaczynał się sakramentalnym: „U nas w St. Cloud's...” albo: „Wszędzie indziej na świecie...”

Kartoteka doktora Larcha obejmowała szczegółowe charakterystyki rodzin – ale tylko tych, które adoptowały sieroty z St. Cloud’s. Melony nie miała racji: nie przechowywano tu raportów o naturalnych rodzicach dzieci. Życiorys sieroty zaczynał się od daty narodzin, płci, długości ciała w calach, wagi w funtach, imienia i nazwiska nadanego przez siostry (w przypadku chłopców), ewentualnie przez panią Grogan lub sekretarkę oddziału dziewczęcego (w przypadku dziewczynek). Całość uzupełniał rejestr przebytych chorób i szczepień. Akta rodzin adopcyjnych były znacznie grubsze niż akta sierot, gdyż doktor Larch starał się zgromadzić maksimum danych o kandydatach na rodziców.

„U nas w St. Cloud’s – zanotował doktor Larch – ustanawiając i łamiąc przepisy, działałam w myśl naczelnej zasady: przyszłość sieroty na pierwszym miejscu. Z myślą o przyszłości dziecka, na przykład, niszczyć wszelkie dokumenty dotyczące naturalnej matki. Nieszczęsne kobiety, które tu odbywają poród, już raz podjęły bardzo bolesną decyzję; nie powinny, po latach, być zmuszane do podejmowania jej po raz drugi. Również dla sierot poszukiwanie biologicznych rodziców jest w większości wypadków niewskazane; należy im raczej oszczędzić spotkania z rzeczywistymi rodzicami.

Interesuje mnie tylko i wyłącznie ich dobro – dobro sierot. Prędzej czy później, każde dziecko chce wiedzieć, skąd się wzięło; czy się do tego przyznaje, czy nie. Ale cóż warta jest przyszłość poświęcona rozgrzebywaniu przeszłości? Czy przysłużymy się sierotom, dając im perspektywy na przeszłość? Nie; sieroty, bardziej niż inni młodzi ludzie, muszą myśleć o przyszłości.

Czy przysłużymy się sierotom, otwierając biologicznym rodzicom możliwość upomnienia się o nie po latach, jeśli uznają decyzję porzucenia ich tutaj za swój błąd? Gdybyśmy trzymali dowody pisemne, naturalni rodzice mogliby w każdej chwili zacząć tropić dziecko. Nie jest moją rolą łączenie sierot z ich biologicznymi sprawcami! To zadanie dla literatury. Moim zadaniem jest strzec dobra sierot.”

Powyższy fragment *Krótkiej historii St. Cloud’s* dał doktor Larch do przeczytania Homerowi, gdy go przyłapał na szperaniu wśród papierów w gabinecie siostry Angeli.

– Szukałem jednej rzeczy i nie mogłem znaleźć... – bąkał zmieszany Homer.

– Ja wiem, czego szukałeś, Homerze – uspokoił go doktor Larch. – Tego tu nie ma.

Informację tę powtórzył Homer w pisemnej wiadomości, przekazanej Melony podczas wieczornej lektury *Jane Eyre*. Do tego czasu co wieczór odgrywali tę samą

pantomimę: Melony brała palec do ust – wpychała go jak najgłębiej w gardło, wybałuszając oczy w karykaturze damy z kucem – a Homer Wells kręcił przecząco głową, dając do zrozumienia, że jeszcze nie znalazł tego, czego szukał. Wiadomość o treści: „Tego tu nie ma” zmieniła wielce wymowne oblicze Melony w maskę podejrzliwości.

– Homerze – oświadczył chłopcu z powagą doktor Larch. – Ja naprawdę nie pamiętam twojej matki. Nawet ciebie nie pamiętam z pierwszego okresu; zaistniałeś dopiero po pewnym czasie.

– Myślałem, że obowiązują pewne przepisy – odparł na to Homer, mając na myśli to, co słyszał od Melony o obowiązku rejestracyjnym i kartotekach. Ale w St. Cloud’s jedynym prawodawcą i kronikarzem był Wilbur Larch. Prawo tutejszego sierocińca stanowiło, że życie sieroty rozpoczęło się w chwili, od której je pamiętał Wilbur Larch – a jeśli sierotę adoptowano, zanim wryła się w pamięć doktora Larcha (czego on sobie zawsze szczerze życzył), to jej życie rozpoczynało się z chwilą adopcji. Takie było prawo Larcha. Poza tym doktor Larch trzymał się praw powszechnie uznanych w kwestii klasyfikowania płodu „kopiącego” i „jeszcze nie kopiącego” i na tej podstawie podejmował własne decyzje o tym, czy ma uwolnić dziecko od matki, czy matkę od dziecka.

– Często o tobie myślę, Homerze – powiedział doktor Larch. – Szczerze mówiąc, myślę o tobie coraz częściej, ale szkoda mi czasu, również twojego, na myślenie o tym, kim byłeś, zanim cię poznałem.

Larch pokazał Homerowi list, który właśnie pisał – list jeszcze tkwił w maszynie do pisania. Adresowany był do pewnej osoby z Nowoangielskiego Schroniska dla Nieletnich – sierocińca założonego jeszcze dawniej niż St. Cloud’s.

List utrzymany był w tonie przyjaznym, nawet zażyłym: adresat musiał być starym znajomym – może wręcz przyjacielem – doktora Larcha. Żywy, dyskusyjny styl pozwalał sądzić, że Larch i jego korespondent od dawna polemizowali ze swadą na tematy filozoficzne.

„Twierdzę, że sieroty należy adoptować, zanim wejdą w wiek dojrzewania, aby zdążyły zaznać miłości i same pokochać, nim wejdą w nieuniknioną fazę adolescencji: fazę kłamstwa” – argumentował Larch w swoim liście. – „Dla kilkunastoletniego człowieka kłamstwo jest niemal równie pociągające jak seks, a o ileż łatwiej osiągalne. Możliwe, że szczególnie łatwo jest oszukiwać tych, którzy nas kochają – oni bowiem najdłużej nie chcą uwierzyć, że są przez nas oszukiwani. Jeśli natomiast człowiek nikogo nie kocha i przez nikogo nie czuje się kochany, wówczas nikt nie jest w stanie

zadać mu bólu przez obnażenie kłamstwa. Dlatego sierota, której nie adoptowano przed wkroczeniem w niepokojący wiek młodzieńczy, może oszukiwać siebie i innych do końca życia.

Gdy człowiek ma lat kilkanaście, oszukuje sam siebie: zdaje mu się, że potrafi oszukać cały świat. Czuje się niezniszczalny. Jeżeli kilkunastoletni człowiek jest w tej fazie życia sierotą, istnieje niebezpieczeństwo, że nigdy nie dorośnie.”

Pisząc te słowa, doktor Larch nie miał, oczywiście, na myśli Homera Wellsa. Homer był przecież kochany – przez siostrę Angelę, przez siostrę Ednę i (mimo strasznych skrupułów) przez samego doktora Larcha. Co więcej – Homer Wells nie tylko wiedział, że jest kochany, ale prawdopodobnie świadom był, że kocha wzajemnie. Możliwe zatem, że w jego przypadku wiek kłamstwa potrwa krótko; miejmy taką nadzieję – myślał doktor Larch.

Modelowym przypadkiem kilkunastoletniej sieroty opisanej w liście doktora Larcha do Schroniska dla Nieletnich była, rzecz jasna, Melony. Homer Wells już wcześniej coś takiego podejrzewał. Zanim jeszcze przekazał Melony wiadomość w sprawie jej życiorysu – „Tego tu nie ma” – zapytał ją, po co właściwie chce znaleźć matkę.

– Żeby ją zabić – odparła Melony bez wahania. – Może ją otruję, ale jak się okaże, że jestem od niej większa i silniejsza, a pewnie jestem, to najchętniej bym ją udusiła.

– Udusiła – nie upilnował języka Homer Wells.

– No! – potwierdziła z satysfakcją Melony. – A ty, co byś zrobił, jakbyś znalazł swoją matkę?

– Nie mam pojęcia. Może bym jej zadał parę pytań.

– Zadał parę pytań! – prychnęła Melony. Tak głębokiej pogardy Homer nie słyszał w jej głosie od incydentu z „promykami słonka” w *Jane Eyre*.

Homer dobrze wiedział, że Melony nigdy nie uwierzy w proste zapewnienie, że „Tego tu nie ma” – chociaż on sam, jak zwykle, dał się łatwo przekonać doktorowi Larchowi. Jednocześnie zachowywał wobec doktora lekki dystans, bo przecież cały czas go trochę oszukiwał – i siebie też: fotografia damy z kucem wciąż tkwiła pod materacem Homera, coraz bardziej wiotka od ciągłego obracania w rękach. W głębi duszy Homer bardzo żałował, że nie zdobył życiorysu Melony, bez którego, jak wiedział, nie ma co marzyć o niecodziennych wrażeniach, których doświadczał kuc na fotografii.

- Jak to: „Tego tu nie ma”? Co on sobie myśli? – awanturowała się Melony na zbutwiałym ganku domu, w którym damula z kucem spędzili lata, nim ich stąd zabrano. – Zgrywa Boga, czy co? Może ci dać życiorys, może ci go odebrać! Czy to nie jest zgrywanie Boga, no?

Homer Wells milczał. Wiedział, że doktor Larch zgrywa Boga, tylko nie tak, jak uważa Melony: w ostrożnej opinii Homera, doktor Larch zgrywał Boga całkiem nieźle.

„U nas w St. Cloud’s – zanotował w dzienniku doktor Larch – mam do wyboru: zgrywać Boga albo zostawić wszystko ślepemu losowi. Z moich doświadczeń wynika, że w życiu większość spraw powierza się ślepemu losowi. Ludzie, którzy wierzą w dobro i zło, i w to, że dobro ma zwyciężyć, powinni wypatrywać sytuacji, w których mogą odegrać Boga – i korzystać z okazji. Takich okazji nie zdarza się wiele.

U nas w St. Cloud’s takie okazje zdarzają się, być może, częściej niż gdzie indziej na świecie, a wynika to zapewne stąd, że trafiają do nas głównie przypadki pozostawione wcześniej ślepemu losowi.”

– Niech go diabli wezmą! – piekliła się Melony, ale rzeka huczała jak zawsze, opuszczony dom słyszał w swoim czasie o wiele gorsze przekleństwa, a Homer Wells również i na te słowa nie zareagował.

– Masz pecha, Słoneczko – zwróciła się bezpośrednio do niego Melony. – No nie? – Homer zachował dystans.

– Świństwo! – rozdarła się Melony na całe gardło, na co las po drugiej stronie rzeki wydusił z siebie tylko krótkie echo: „o”! Melony zamachnęła się grubą nogą i kopnęła, aż spory fragment zbutwiałej bariery ganku spadł do rzeki. – Więc to tak! – Tym razem las nie zdobył się nawet na mizerne odbicie „tak”; był za gęsty. Lasy Maine, podobnie jak Homer Wells, przemilczały wrzaski Melony. – Jezu! – wrzeszczała dalej, ale las niczego nie powtórzył; najwyżej stary dom lekko skrzywnął – może westchnął. Trudno było zniszczyć tę chałupę: czas i inni wandalcy zrobili już, co mogli; Melony rozglądała się w furii za czymkolwiek, co nadawałoby się jeszcze do zdewastowania. Homer podążał za nią w bezpiecznej odległości.

– Słoneczko – wycedziła przez zęby Melony. Wypatrzyła właśnie niedużą szybkę, która jakimś cudem ocalała, i zaraz ją stłukła. – Słoneczko, my nie mamy nikogo. Jak mi teraz powiesz, że mamy siebie nawzajem, to cię zabiję.

Homerowi nawet w głowie nie powstało sugerować coś podobnego. W ogóle nie myślał zabierać głosu. Zachował milczenie.

– A jak mi powiesz, że mamy twojego kochanego doktora Larcha albo tę chałupę – ciągnęła monolog Melony, wybijając tupnięciem dziurę w podłodze i

usiłując oburącz wyrwać deskę – jak mi to powiesz, to cię będę torturować, zanim cię zabiję.

– Jasne – odezwał się wreszcie Homer Wells.

Wyrwaną z podłogi deską Melony zaatakowała poręcz głównych schodów: z poręczą poszło jej łatwo, ale podtrzymująca poręcz kolumna u stóp schodów, w hallu, stała niewzruszona. Melony porzuciła deskę i założyła kolumnie niedźwiedzi uchwyt.

– Niech was diabli wezmą! – wrzasnęła wielkim głosem, pod adresem doktora Larcha, matki, St. Cloud's i całego świata. Udało jej się powalić kolumnę na deski, a że solidny kloc trzymał się nadal głównej belki nośnej pod podłogą, Melony tak długo waliła w niego fragmentem poręczy, aż ostatecznie wiązanie z belką puściło. Następnie, ponieważ nie dała rady własnymi siłami podnieść kolumny, zwróciła się z pretensją do Homera Wellsa:

– Może byś pomógł, co?

We dwoje unieśli ciężki kloc i skutecznie staranowali ścianę kuchni.

– Dlaczego ty się nie wściekasz? – zapytała Melony Homera Wellsa. – Coś z tobą nie w porządku. Nigdy się nie dowiesz, kto cię tak urządził? Nie obchodzi cię to?

– Sam nie wiem – odparł Homer Wells. Wspólnymi siłami skierowali taran na istotną, sądząc z pozycji, belkę pionową – może na niej spoczywa całe górne piętro? – pomyślał Homer. Trzy razy atakowali i odbijali się od drewnianej kolumny, za każdym razem w inną stronę; przy czwartej próbie belka pękła. Cała konstrukcja ponad ich głowami poruszyła się leniwie. Melony puściła taran i rzuciła się podtrzymywać pękającą kolumnę. Przez moment wydawało się, że ucieka ze słupem: impet wyrzucił ją aż na ganek. Prycza z górnego piętra spadła do kuchni, a zaraz potem dach ganku zapadł się częściowo i resztki bariery wylądowały w rzece. Taki rozmiar dewastacji zadowolił nawet Melony. Wzięła Homera za rękę i niemal delikatnie poprowadziła na górę – bo przeszło połowa góry była jeszcze górą; ostała się też klatka, w której kucyk z panną umilali samotne chwile dawnemu pracownikowi miejscowego tartaku.

– Pomóż mi – zwróciła się Melony do Homera, jakoś tak miło, bez ironii. Ramię w ramię podeszli do okna i wspólnymi siłami zerwali okiennicę z jedyne go zawiasu, na którym się trzymała. Cisnęli okiennicę w dół i śledzili jej lot: z łatwością przebiła dach ganku, a z jeszcze większą łatwością podłogę, zanim z głośnym chłupotem wylądowała w rzece. – Dobra robota – rzekła Melony bez satysfakcji.

Usiadła na materacu – tym samym, na którym oboje z Homerem klęczeli, kiedy wąż spadł na dach.

– Pomóż mi – powiedziała Melony raz jeszcze, gestem nakazując Homerowi zajęcie miejsca obok niej.

– Pomóż mi, bo inaczej stąd zwieję. Albo kogoś zamorduję. – Zdaje się, że Melony zaliczała ucieczkę i morderstwo do tej samej kategorii wykroczeń. Homer stwierdził, że niełatwo mu będzie „przydać się” Melony, ale postanowił spróbować.

– Nie zabijaj nikogo – powiedział. – Nie uciekaj.

– A po co mam tu siedzieć? – zaperzyła się Melony. – Ty na pewno nie będziesz siedział. Nie chodzi mi o to, że nawiejesz, tylko że ktoś cię zaadoptuje.

– Na pewno nie – powiedział Homer. – Zresztą, i tak nigdzie nie pójde.

– Pójdiesz, pójdiesz – skrzywiła się z gorzkim znawstwem Melony.

– Na pewno nie – zapewnił ją Homer Wells. – Proszę cię, nie uciekaj. Proszę cię, nie zabijaj nikogo.

– Dopóki ja zostanę, to i ty zostaniesz? To chciałeś powiedzieć? – spytała Melony. Czy ja to chciałem powiedzieć? – spytał sam siebie Homer. Ale Melony, jak zwykle, nie dała mu czasu do namysłu. – Obiecuj mi, że dopóki ja zostanę, to i ty zostaniesz, Słoneczko – powiedziała. Przysunęła się bliżej i ujęła Homera za rękę. Rozwarła jego pięść, a palec wskazujący włożyła sobie do ust. – Miał szczęście ten kuc – szepnęła niewyraźnie. Homer Wells w tym momencie wcale nie był pewien, czy kucyk miał takie znowu wielkie szczęście. Stara chałupa stęknęła głucho. Melony ustami wciągała i wypychała palec wskazujący Homera. – Obiecuj, że dopóki ja zostanę, to i ty zostaniesz, Słoneczko – nalegała.

– Jasne – powiedział Homer Wells. Ugryzła go. – Obiecuję – poprawił się. W tym momencie do kuchni spadł następny fragment górnego piętra, na co krzywe kolumny, podtrzymujące wspomnienie po ganku, odpowiedziały pełnym współczucia skrzypnięciem.

Co takiego rozpraszało uwagę Homera, kiedy Melony z trudem odszukała jego mały penis i włożyła sobie do ust? Nie obawa, że chałupa runie, grzebiąc ich oboje – to byłby całkiem uzasadniony strach. I nie myśl o dziejach materaca, na którym oboje leżeli, chociaż były to dzieje, które nawet Melony nazwałaby burzliwymi. Ani myśl o własnej straconej biografii, ani niepewność, czy to, co robi z Melony, jest czy nie jest zdradą doktora Larcha. Uwagę Homera rozpraszały odgłosy: cmokanie Melony, oddech Melony i jego własny oddech. Hałaśliwy obrzęd przypominał mu Fuzzy’ego Stone’a i wysiłki urządzeń mechanicznych podtrzymujących Fuzzy’ego przy życiu. Natężenie wilgoci, szumu i sapania w intencji Fuzzy’ego najdobitniej świadczyło o kruchości jego żywota.



Fragment ciała Homera znajdujący się w ustach Melony urósł dzięki jej zabiegom tylko minimalnie; czując, że zaczyna się kurczyć, Melony zdwoiła wysiłki. Najbardziej ze wszystkiego peszyło Homera nader wyraźne wspomnienie wiadomej fotografii. Na ścianie widniał czyściejszy prostokąt w miejscu, gdzie wisiała. Ta sama fotografia, która sprowokowała Homera do fantazji o odbywaniu wiadomego aktu z Melony, uniemożliwiała oto jego realizację. A dama z fotografii, która mu ułatwiała myślenie o Melony, teraz – tak samo jak i Melony – wydawała się Homerowi niecznie wykorzystana. Najgorsza była ta brutalna obojętność kuca: obraźliwie bierna postawa bezrozumnej bestii. Homer poczuł, że jego członek staje się mniejszy niż kiedykolwiek w życiu.

Melony, wyraźnie dotknięta, odepchnęła Homera.

– Niech cię diabli! – wrzasnęła na niego. – Co z tobą? Tylko mi nie mów, że ze mną coś nie tak!

– Jasne, że nie – powiedział Homer. – Z tobą nic nie jest nie tak.

– No myślę! – Melony wściekała się, ale usta miała obolałe, opuchnięte, a w jej gniewnych oczach Homer dostrzegł łzy. Wyszarpnęła spod niego materac i, złożony wpół, cisnęła za okno. Materac spadł na dach ganku i utknął w dziurze wybitej przez okiennicę. Melony, zawiedziona, że nie zleciał prosto do rzeki, wpadła w jeszcze większą furję. Szlochając, rzuciła się demontować najbliższą pryczę. Homer Wells uczynił to samo co wtedy, kiedy Melony dostała szalu od „promyka słonka”: zrejterował. Spuścił się chyłkiem po chybotliwych schodach, a gdy postawił nogę na ganku, podłoga skrzypnęła rozpaczliwie i cała konstrukcja nachyliła się ku rzece; Homer na moment stracił równowagę. Na dachu nad jego głową rozległ się piekielny rumor, jakby wylądowało tam kilka prycz naraz albo kawał ściany. Homer puścił się pędem na otwarty teren. Melony musiała go dostrzec z okna na piętrze, bo zawołała:

– Słoneczko! Obiecałeś! Pamiętaj! Obiecałeś, że mnie nie zostawisz! Zostaniesz, póki ja zostanę!

– Obiecuję! – krzyknął w odpowiedzi Homer Wells, po czym odwrócił się na pięcie i popędził wzdłuż rzeki, samym brzegiem, do zamieszkałej części St. Cloud's, z sierocińcem widocznym z daleka na wzgórzu. Był jeszcze nad wodą, kiedy Melony udało się zerwać wiszący nad wodą ganek (wraz z dachem): Homer stanął i z podziwem patrzył, jak rzeką spływa w jego stronę prawie pół domu. Był teraz przekonany, że gdyby dać Melony dość czasu, potrafiłaby zmieść z krajobrazu całe miasteczko. Ale nie miał ochoty dłużej obserwować jej niszczycielskich popisów. Udał

się wprost do swojego łóżka w sypialni na oddziale chłopięcym. Uniósł materac. Zamierzał wyrzucić fotografię raz na zawsze – ale fotografii nie było.

– To nie ja – zastrzegł się z góry Fuzzy Stone. Mimo południowej pory, Fuzzy leżał w łóżku, uwięziony pod wilgotnym namiotem. Był to znany już Homerowi znak, że Fuzzy’emu się pogorszyło. Nocą Fuzzy zwyczajnie mieszkał w namiocie, ale kiedy musiał tam leżeć za dnia, nazywało się to „terapią”. Poza tym Fuzzy był stale poddawany tak zwanym, przez doktora Larcha, „testom” i codziennie – o czym wszyscy wiedzieli – brał zastrzyk. Homer stanął przy łopoczącej, dyszącej ciężko konstrukcji i wypytał Fuzzy’ego Stone’a o los fotografii. Dowiedział się, że John Wilbur tak gruntownie zmoczył w nocy łóżko, że siostra Angela kazała mu przejść na chwilę na łóżko Homera, bo musiała wymienić zniszczony materac. John Wilbur odkrył zdjęcie; pokazał je Fuzzy’emu i jeszcze paru chłopcom, którzy spali obok – między innymi Wilburowi Walshowi i Snowy’emu Meadowsowi. Snowy puścił pawia.

– A później? – dopytywał się Homer. Fuzzy bardzo się już zadyszał składając relację. Fuzzy miał dziewięć lat. Był po Homerze najstarszym wychowankiem oddziału chłopięcego. Fuzzy wykrztusił, że siostra Angela wróciła z czystym materacem dla Johna Wilbura i też zobaczyła zdjęcie – naturalnie zarekwirowała je. Oczywiście, John Wilbur powiedział siostrze Angeli, gdzie znalazł fotografię. Homer nie miał wątpliwości, że od tamtej chwili zdjęcie widzieli już także siostra Edna i doktor Larch. Pierwszym odruchem Homera było dopaść Johna Wilbura i dać mu w ucho, ale John Wilbur był po pierwsze za maty, a po drugie zaraz by się zsikał – co stanowiłoby dodatkowy dowód przeciwko Homerowi.

– Ale co było na tym zdjęciu? – wysapał z trudem Fuzzy Stone.

– Podobno je widziałeś – burknął Homer.

– Widziałem, ale co to było? – powtórzył pytanie Fuzzy. Miał autentycznie przerażoną minę.

Snowy Meadows wysunął podobno hipotezę, że kobieta zżera jelita kucyka; Wilbur Walsh zwyczajnie dał nogę. A John Wilbur na pewno więcej nalał – domyślił się Homer Wells.

– Co oni robili? – dopytywał się błagalnie Fuzzy Stone. – Jak ta pani... – już ledwo wydobywał głos – jak ona mogła... oddychać?

Kiedy Homer opuszczał sypialnię, Fuzzy’emu bardzo głośno grało w płucach. Przy świetle dziennym Fuzzy stawał się prawie przezroczysty: wydawało się, że pod światło będzie widać całą wadliwą maszynę organów wewnętrznych, które mozola się, by utrzymać Fuzzy’ego przy życiu.

Doktora Larcha nie było w gabinecie siostry Angeli, gdzie Homer spodziewał się go zastać. Szczęściem, nie natknął się po drodze ani na siostrę Ednę, ani na siostrę Angelę: im zwłaszcza wstydził się spojrzeć w oczy. Siostrę Angelę dostrzegł z daleka przed wejściem do szpitala: rozmawiała z człowiekiem trudniącym się wywózką odpadów nie nadających się do spalenia. Tematem rozmowy był zniszczony materac Johna Wilbura. Homer postanowił poszukać doktora Larcha w pokoju zabiegowym.

Wilbur Larch, któremu dzień ten mocno dał się we znaki, leżał na szpitalnym łóżku w ambulatorium z gazowym stożkiem nasączonym większą niż zwykle dawką eteru. Doniesienia o akcie wandalizmu na tak zwanej chacie pilarzy zaniepokoiły Larcha w mniejszym stopniu, niż oburzyły okolicznych mieszkańców, będących świadkami dewastacji obiektu przez Homera i Melony – zwłaszcza, w co doktor Larch nie wątpił, Melony. Do czego mają służyć opuszczone domy – zadał sobie pytanie doktor Larch – jak nie do aktów młodzieńczego wandalizmu, najlepiej, oczywiście, umiarkowanego? Relację o spławieniu rzeką połowy budynku uznał doktor za mocno przesadzoną.

Zaczerpnął eterowego oddechu i skupił myśl na tym, co go o wiele bardziej zaniepokoiło: na fotografii kobiety z kucem.

Nie martwił się, że Homer Wells przechowuje zdjęcie: kilkunastoletni chłopcy interesują się takimi rzeczami. Larch wiedział również, że Homer sam nigdy nie pokazałby fotografii młodszemu chłopcom. Jednak fakt jej posiadania uświadomił Wilburowi Larchowi, że nadszedł czas wyznaczenia Homerowi poważniejszych, godnych dorosłej osoby obowiązków. Koniec terminowania.

Co do samej fotografii – Larch nie uznał jej za szczególnie szokującą. Pracował kiedyś, bądź co bądź, w dzielnicy South End. Takich zdjęć pełno było wszędzie; za czasów praktyki Wilbura Larcha w Bostońskim Szpitalu Położniczym, taki obrazek można było kupić za dziesięć centów.

Coś innego zasmuciło Larcha w tej fotografii: w modelce rozpoznał bez trudu dzielną córę pani Eames. Nie pierwszy raz widział jej wzdęte policzki: jako weteranka nałogu palenia cygar nawykła do trzymania w ustach najgorszych świństw. A kiedy sprowadziło ją do Larcha ostre zapalenie otrzewnej – rezultat drastycznej sesji „za rogiem Harrisona” – doktor zobaczył te same, co na zdjęciu, wytrzeszczone oczy. Fotografia uświadomiła Larchowi, jakie życie musiała wieść nieszczęsna dziewczyna; przypomniała mu też, że miał okazję choć odrobinę ulżyć jej cierpieniom – przez dokonanie aborcji. Była wspomnieniem o życiu, które Larch mógł – choćby na krótką

chwilę – uratować. Nieszczęsna córka pani Eames powinna była stać się jego pierwszą pacjentką do aborcji.

Patrząc na zdjęcie, Wilbur Larch zastanawiał się, czy córce pani Eames zapłacono za pozowanie z kucem przynajmniej tyle, ile kosztowała skrobanka „za rogiem Harrisona”. Obawiał się, że nie – fotografia była, w gruncie rzeczy, dość marna. Osoba, która ustawiała modele do zdjęcia, nie pomyślała o wykorzystaniu wspaniałego, czarnego koka dziewczyny – można jej było udrapować warkocz na ramieniu albo przerzucić przez piersi, gdzie jego czerń uwydatniałaby biel skóry. Można go też było odrzucić w tył, za głowę leżącej, co przynajmniej podkreśliłoby nadzwyczajną grubość i długość splotu. Autor fotografii w ogóle nie zainteresował się warkoczem, który na zdjęciu leżał zwinięty przy twarzy panny Eames, w cieniu krępej, kosmatej nogi kuca. Jakby go nie było: kto nie znał córki pani Eames, ten nigdy by się nie domyślił, czym jest ciemny kształt przy napiętej z wysiłku twarzy modelki.

– Proszę o wybaczenie – westchnął, wdychając eter, Wilbur Larch. Ponieważ córka pani Eames nie odpowiedziała, powtórzył: – Proszę o wybaczenie. – Wypuścił powietrze. Zdawało mu się, że panna Eames go woła.

– Doktorze Larch!

– Eames jak ryms – wymamrotał Wilbur Larch. Zaciągnął się najgłębiej, jak umiał; gazowy stożek uciekł spod bezwładnej dłoni, zsunął się z twarzy doktora i wylądował pod łóżkiem.

– Doktorze Larch? – powtórzył Homer Wells. Dziwiąc się silniejszej niż zwykle woni eteru, wszedł w labirynt szafek na leki: chciał sprawdzić, czy doktor Larch leży w łóżku.

Dobiegł go głos doktora:

– Sraj albo złaż z nocnika! – Wdech. Wydech. – Przepraszam cię – powiedział Larch, widząc nad sobą Homera. Natychmiast usiadł, trochę za gwałtownie: w głowie mu się kręciło, a pokój tańczył przed oczami. – Przepraszam – powtórzył.

– Nic nie szkodzi – odparł Homer Wells. – To ja przepraszam, że pana doktora obudziłem.

– Eames jak ryms – wymamrotał Wilbur Larch.

– Słucham? – spytał grzecznie Homer.

W zamkniętym pomieszczeniu wonny opar unosił się długo.

– Siadaj, Homerze – zaprosił chłopca doktor Larch, trochę za późno reflektując się, że Homer już przy nim siedzi na skraju łóżka. Larch żałował, że nie może się zdobyć na jasność myśli: przeczuwał, jak wielką wagę chłopiec przywiązuje do tej

konfrontacji. Homer oczekiwał reprimendy, i to surowej – a Larch nie był w odpowiedniej formie do wygłaszania pogadań umoralniających: obawiał się, że wszystko, co w tej chwili powie, zabrzmie słabo.

Jednak spróbował.

– Wandalizm! – zagrzemiał. – Pornografia! – Nieźle jak na początek – pogratulował sobie w duchu, ale zaraz się spieszył, bo Homer miał pokorną, cierpliwą minę winowajcy przygotowanego na dłuższe kazanie. Larch zaczerpnął powietrza do dna płuc – miał nadzieję, że pokój już trochę się przewietrzył, ale nic z tego: nadal mocno pachniało eterem, a w pobliżu łóżka Larch widział w powietrzu na przemian mgliste miraży i migotliwe gwiazdeczki.

– Wandalizm to jedno, Homerze – obwieścił z powagą Larch. – A pornografia to drugie.

– Jasne – zgodził się z nim Homer Wells, który, jak zwykle, z dnia na dzień dorastał i uczył się czegoś nowego.

– A dla naszych wzajemnych stosunków, Homerze, najważniejsza jest trzecia rzecz: twoja nieszczerłość. Zgadza się?

– Jasne – przytaknął Homer.

– To świetnie – powiedział Larch.

Gwiazdeczki tak się rozmigotały na suficie, że doktorowi zdało się przez chwilę, że prowadzi dialog z Homerem pod nocnym firmamentem. Odrzucił głowę w tył, żeby nie wdychać więcej oparów spod łóżka i, niestety, straciwszy równowagę, opadł do tyłu na wezglowie.

– Nic panu nie jest? – zaniepokoił się Homer.

– Nic a nic! – huknął Larch jowialnym basem i zaczął się głośno śmiać.

Homer Wells pierwszy raz w życiu słyszał głośny śmiech doktora Larcha.

– Słuchaj, Homerze. – Doktor Larch starał się utrzymać powagę, ale raz po raz parskał śmiechem. – Skoro dorosłeś do aktów wandalizmu i do aktów masturbacji przed obrazkiem z babą dymającą kuca, to dorosłeś do tego, żeby zostać moim asystentem! – Ta myśl tak serdecznie ubawiła Larcha, że zgiął się wpół ze śmiechu, siedząc na posłaniu. Homer też się uśmiechnął, uznając słowa doktora za niezły żart.

– Nie rozumiesz, co? – spytał go Larch, cały czas chichocząc. – Nie bardzo wiesz, o czym mówię? – Znowu opadł na plecy i jał przebierać w powietrzu nogami w rytm gwiazd, które krążyły tanecznie wraz z całym firmamentem nad jego głową. – Wyuczę cię na chirurga! – huknął basem Larch i obaj z Homerem zaczęli się zaśmiewać do rozpuku. – Techniki położnictwa, Homerze... – Słyszac to, Homer padł

z rozbawienia na łóżko obok doktora. – Boże dzieło! I Szatańska robota, Homerze! – Larchowi aż świstało w piersiach ze śmiechu. – Kupa roboty! – zapiał. Homer tak się śmiał, że zaczął kaszleć. Zdumiał się bardzo, gdy Larch, gestem magika, wyciągnął skądś fotografię damy z kucem i pomachał mu nią przed nosem. – Jeżeli nie jesteś za mały, żeby na to patrzeć, to nie jesteś za mały na poważne zajęcie! – Złożywszy to oświadczenie, doktor Larch wpadł w takie konwulsje rozbawienia, że musiał przekazać fotografię Homerowi, bo nie mógł utrzymać jej w dłoni.

– Słuchaj, Homerze – powiedział, gdy znów mógł coś wykrztusić.

– Skończysz akademię medyczną, zanim pójdziesz do szkoły średniej! Homer tę zapowiedź uznał za szczególnie komiczną, ale doktor Larch nieoczekiwanie spoważniał. Wyrwał fotografię z dłoni Homera. – Patrz! – nakazał chłopcu. Przysiedli obaj na skraju łóżka i Larch położył sobie zdjęcie na kolanie. – Pokażę ci coś, o czym nie wiesz. Widzisz to? – wskazał warkocz, ukryty w cieniu nogi kuca.

– Co to jest? – spytał Homer Wells.

– Ech, wy młodzi! Wam się wydaje, że wszystko wiecie! – rzekł Larch z goryczą, na dnie której czaiła się groźba. Homer zauważył ten nowy dla doktora ton i staranniej przyjrzał się tej części obrazka, na którą wcześniej nie zwracał uwagi: co to mogło być – plama na dywanie? a może kałuża krwi, która wypłynęła z ucha kobiety?

– No? – ponaglił go Larch niemal bezwzględnie. – Tego nie ma w *Dawidzie Copperfieldzie* ani w *Jane Eyre*.

Mnogość terminów medycznych w tej dziwnej rozmowie zdawała się potwierdzać hipotezę Homera Wellsa o kałuży krwi – tylko lekarz, stale obcuający z krwią, mógł ją natychmiast zidentyfikować, nawet na takim zdjęciu.

– To jest krew – zaryzykował Homer. – Kobieta krwawi.

Larch aż podbiegł z fotografią do lampy na biurku.

– Krew? – zdziwił się. – Krew? – Obejrzał zdjęcie dokładnie z każdej strony. – To nie krew, idioto! To warkocz! – Jeszcze raz dał Homerowi popatrzeć na obrazek – ostatni raz. Homer Wells już nigdy więcej nie widział fotografii, za to doktor Larch oglądał ją często. Wpiął zdjęcie w *Krótką historię St. Cloud's* – nie dla zaspokojenia pornograficznych zainteresowań, których nie żywił, lecz jedynie dlatego, że było pamiątką po kobiecie, którą dwukrotnie znieważył. Raz – śpiąc z jej matką w jej obecności; drugi raz – odmawiając wykonania usługi, której miała prawo się domagać. Nie zachował się wobec niej jak lekarz i dlatego chciał o niej pamiętać. To, że los kazał mu pamiętać ją z penisem kuca w ustach, potęgowało ogrom przewinień Larcha, z czego był zadowolony.

Doktor Larch był człowiekiem wymagającym – również wobec siebie.

Zabrał się do Homera Wellsa ostrzej, niż to mógł sugerować żartobliwy ton wstępnych obietnic – w naukach, które należało wpoić Homerowi, nie było nic do śmiechu. Chirurgia i techniki położnicze – nawet przy najprostszych porodach metodą naturalną (nie mówiąc o „D i C”, czyli o rozszerzaniu i łyżeczkowaniu) – wymagają solidnych podstaw teoretycznych i praktyki wstępnej.

– Myślisz może, Homerze, że nieprzyjemnie jest patrzeć na kobietę z penisem kuca w ustach – zagadnął Larch zaraz następnego dnia, gdy już wyzwolił się spod władzy eteru. – Trzeba ci zatem spojrzeć na coś jeszcze mniej zrozumiałego. Proszę. – Z tymi słowy doktor Larch wręczył Homerowi podniszczony podręcznik anatomii Graya. – Obejrzyj sobie obrazki w tej książce. Patrz sobie na nie po trzy, cztery razy na dzień, i koniecznie w nocy. Nie myśl więcej o penisie kuca; naucz się tego.

„U nas w St. Cloud’s – zanotował w dzienniku dokto’r Larch – *Anatomia* Graya nie bardzo mi się przydaje, ale we Francji, podczas pierwszej wojny światowej, korzystałem z niej co dzień. Była dla mnie jedyną i wystarczającą mapą terenu wojny.”

Larch dał też Homerowi swój własny podręcznik położnictwa oraz notatki z akademii medycznej i z praktyki internistycznej. Nauczanie zaczął od chemii i podstaw ogólnych medycyny. W pokoju zabiegowym wydzielił kącik na proste doświadczenia z bakteriologii – mimo że widok naczynka Petriego nadal wywoływał w nim dotkliwy ból i niechęć do tego, co ujawnić się może pod mikroskopem. Larch nie przepadał poza tym za Melony – irytowała go zwłaszcza jej swoista władza nad Homerem Wellsem. Był pewien, że ci dwoje spali ze sobą: że Melony doprowadziła do inicjacji Homera (co było prawdą), a teraz zmuszała go do kontynuowania praktyk (co nie było prawdą). Istotnie, w przyszłości mieli jeszcze ze sobą sypiać, jednakże wyłącznie dla rutyny, a władza Melony nad Homerem, którą doktor Larch niepotrzebnie wyolbrzymiał, znajdowała doskonałą przeciwwagę we władzy Homera nad Melony (czyli jego obietnicy, o której Larch nie wiedział). Uważał, że cała odpowiedzialność za Melony spoczywa na pani Grogan, za to nie dostrzegał, jak jego własna odpowiedzialność za Homera Wellsa przesłania mu inne obszary odpowiedzialności.

Doktor Larch polecił Homerowi iść nad rzekę i złapać żabę, na której następnie kazał mu przeprowadzić sekcję. Nie wszystko, co Homer znalazł w żabie, zostało prawidłowo opisane w *Anatomii* Graya. Homer nie był nad rzeką od dnia, gdy zbiegł ze sceny dewastacji chaty pilarzy przez Melony. Przekonał się, że istotnie połowa domu zniknęła. Wywarło to na nim znaczne wrażenie.

Nie mniejsze wrażenie wywarł na Homerze pierwszy poród, którego był świadkiem – nie ze względu na popis umiejętności doktora Larcha czy nienaganną, fachową sprawność siostr Angeli i Edny. Homera oszołomiło bogactwo procesu, który w momencie przystąpienia doktora Larcha do akcji był już znacznie zaawansowany; zdziwiło go, że z matką i dzieckiem dzieje się w tym naturalnym procesie tyle rzeczy: rytm skurczów porodowych (według którego można nastawiać zegarki), siła mięśni wykonujących parcie, desperackie dążenie płodu do wyjścia na świat. Najbardziej nienaturalne było w tym wszystkim to, że noworodek odebrał nowy świat jako wrogi – widać było wyraźnie, że środowisko, w którym po raz pierwszy próbuje własnych płuc, jest w odczuciu dziecka nieprzyjazne, chociaż i emocjonujące. Kto wie, czy mając wolny wybór, małeństwo nie wolałoby pozostać tam, skąd wyszło. Całkiem niegłupia reakcja – powiedziałyby pewnie Melony, gdyby przy tym była. Homer lubił uprawiać seks z Melony, ale zawsze przeszkadzało mu to, że akt seksualny – w przeciwieństwie do porodu – zawiera pierwiastek wolnej woli.

Kiedy Homer przychodził na oddział dziewczęcy z wieczorną lekturą *Jane Eyre*, Melony zachowywała spokojną uległość, nie mającą w sobie nic z goryczy klęski ani rezygnacji: coś się w Melony wypaliło, cała jej postawa emanowała straszliwym znużeniem. Nic dziwnego: pomyliła się co do istnienia w kartotece doktora Larcha pisemnego dowodu swojej tożsamości – a nic tak nie wyczerpuje człowieka jak odkrycie, że się mylił w sprawach najwyższej wagi. Do tego spotkało ją podwójne upokorzenie: najpierw z powodu wędnącego mimo jej starań penisa małego Homera Wellsa, a potem z racji jawnej oczywistości, z jaką Homer zaczął niebawem traktować uprawianie z nią seksu. Poza tym, myślał sobie Homer, ona musi być zwyczajnie, fizycznie zmęczona – bądź co bądź, w pojedynkę, gołymi rękami zniweczyła solidny fragment cywilizacji St. Cloud's. Pół chałupy zepchnęła w nurt niepamięci. Ma prawo wyglądać na zmęczoną – podsumował Homer Wells.

Homer odkrył ze zdziwieniem, że i z nim coś się stało – na przykład inaczej czytał teraz *Jane Eyre*, tak jakby ta i inne lektury nabrały nowego wymiaru przez jego, Homera, niedawne życiowe doświadczenia: przez damę z penisem kuca w ustach, przez pierwsze niepowodzenie seksualne, przez pierwszy rutynowy akt bez miłości, przez *Anatomię* Graya i obserwację porodu na żywo. Czytając *Jane Eyre*, odkrywał w sobie teraz więcej zrozumienia dla niepokoju bohaterki, które przedtem wydawały mu się nudne i pretensjonalne. Jane ma powody do niepokoju – myślał sobie.

Nie w porę – zważywszy niedawne wspólne przeżycia z Melony – natrafił na ten fragment w Rozdziale Dziesiątym, w którym Jane wyobraża sobie, jak by to było



odejść z sierocińca, gdzie „żyje nie do końca”, w „szeroki” świat. Czy tylko tak się Homerowi zdawało, czy też rzeczywiście podczas lektury tego fragmentu w sypialni dziewcząt zapanowała uroczysta cisza, i zwłaszcza Melony słuchała z nabożeństwem, jakby czytano jej te zdania po raz pierwszy? W końcu musiał odczytać i te słowa:

„W ciągu jednego popołudnia dotarło do mnie całe znużenie ośmioletnią rutyną”.

Homerowi aż zaschło w gardle z wrażenia, więc musiał przełknąć ślinę, przez co mimo woli podkreślił fatalne zdanie. Pospiesznie zaczął czytać następne, ale Melony przerwała mu.

– Co takiego? Przeczytaj jeszcze raz, Słoneczko.

– „W ciągu jednego popołudnia dotarło do mnie całe znużenie ośmioletnią rutyną” – odczytał głośno Homer.

– Doskonale ją rozumiem – skomentowała gorzko, ale cicho, Melony.

– Sprawiasz mi wielką przykrość, mówiąc w ten sposób, Melony – odezwała się żałośnie pani Grogan.

– Doskonale ją rozumiem! – powtórzyła Melony stanowczo. – I ty tak samo, Słoneczko! – dodała. – Szkoda, że ta cała Jane nie spróbowała wytrzymać szesnaście albo siedemnaście lat! Wtedy mogłaby coś powiedzieć o „znużeniu rutyną”!

– Kochanie, mówiąc tak sprawiasz sobie tylko niepotrzebny ból – upomniała ją pani Grogan. I miała rację: Melony już płakała. Ukryła twarz na kolanach pani Grogan i pozwoliła gładzić się po głowie. Wydawała się na to o wiele za duża, ale nie przejmowała się, tylko szlochała cicho. Pani Grogan nie mogła sobie przypomnieć, kiedy to po raz ostatni Melony opierała głowę na jej kolanach. Homer pochwycił spojrzenie pani Grogan i zrozumiał, że powinien wyjść. Nie doczytał rozdziału do końca; nie doszedł nawet do końca sceny; przerwał lekturę w środku akapitu, którego następne zdanie zaczynało się od słów:

„Pragnęłam wolności...”

Dalsze czytanie byłoby okrucieństwem. Jane Eyre i tak już powiedziała za wiele. I Homer, i Melony mieli za sobą po kilka takich popołudni, kiedy nagle daje o sobie znać zmęczenie całym dotychczasowym życiem.

Tej nocy przestrzeń dzieląca oddział dziewczęcy od chłopięcego była bez zapachów i wspomnień z przeszłości. Po prostu było ciemno.

Na oddziale chłopięcym siostra Angela powitała Homera rewelacyjną wiadomością: John Wilbur odszedł – został adoptowany!

– Bardzo przyjemna rodzina – relacjonowała z ożywieniem siostra Angela. – Ojciec też cierpiał w dzieciństwie na moczenie nocne, więc będą wyrozumiali.

Doktor Larch zmieniał nieco formułkę wieczornego błogosławieństwa w dniach, kiedy któregoś z wychowanków adoptowano. Zanim pozdrowił chłopców jako „Księżęta Maine” i „Królów Nowej Anglii”, wygłaszał krótki, zaskakująco oficjalny wstęp.

– Cieszymy się razem z Johnem Wilburem – powiedział Wilbur Larch. – John Wilbur znalazł rodzinę. Dobrej nocy, John.

A chłopcy posłusznie mamrotali:

– Dobranoc, John.

– Dobranoc, John Wilbur.

Po pełnej szacunku pauzie, doktor Larch mówił wreszcie to, co zawsze:

– Dobrej nocy, Księżęta Maine! Dobrej nocy, Królowie Nowej Anglii!

Homerowi wolno było przez ściśle wyznaczony czas przed spaniem postudiować przy świecy *Anatomię* Graya. Tej nocy w sypialni brakowało mu nie tylko siusiającego Johna Wilbura: ubył jeszcze jeden istotny element. Homer przez dłuższą chwilę próbował dociec, co to może być. Odpowiedź znalazł w ciszy: Fuzzy Stone, razem ze swoją hałaśliwą aparaturą, został przeniesiony do szpitala. Widocznie doktor Larch uznał, że i aparat do oddychania, i Fuzzy, potrzebują ściślejszego nadzoru, i kazał przenieść ich do izolatki przy sali operacyjnej, gdzie siostra Edna lub siostra Angela miałyby stale oko na Fuzzy'ego.

Dopiero po bliższym zapoznaniu się z wziernikowaniem i łyżeczkowaniem, Homer Wells pojął, co mu właściwie przypominał Fuzzy Stone: Fuzzy wyglądał jak embrion – jak chodzący, gadający embrion. Miał taką samą przezroczystą skórę i zawsze był lekko skulony, jakby zapadnięty w siebie – to nadawało mu szczególnie bezbronny wygląd. Fuzzy wyglądał, jakby się jeszcze nie urodził; jakby znajdował się w stadium rozwoju embrionalnego, który, nie wiedzieć czemu, przebiega poza łonem matki. Doktor Larch powiedział Homerowi już dawno, że Fuzzy był wcześniakiem o nie w pełni wykształconych płucach. Homer nie umiał sobie jednak tego prawidłowo wyobrazić, dopóki nie zobaczył ludzkich organów we wczesnych stadiach

rozwojowych przy pierwszym pokazie usuwania rezultatu zapłodnienia, którego był świadkiem.

– Homerze, czy ty słuchasz, co do ciebie mówię? – upewnił się doktor Larch po zakończonym zabiegu.

– Tak – powiedział Homer Wells.

– Ja nie twierdzę, że to jest słuszne – dostrzegasz różnicę? Twierdzę tylko, że decyzja należy do niej, do kobiety. Ona ma prawo wyboru, rozumiesz?

– Jasne – powiedział Homer Wells.

W nocy nie mógł zasnąć; myślał o Fuzzym Stone'ie. Kiedy otworzył drzwi izolatki koło sali operacyjnej, usłyszał pracę aparatu do oddychania. Stał i nasłuchiwał pilnie: zawsze umiał odróżnić odgłos, który wydawał Fuzzy; znał na pamięć kolejność – płuca, koło wodne, wentylator. Cisza, którą teraz usłyszał, poraziła go jak najgłośniejszy huk – bardziej niż odgłos węża lądującego na dachu, gdy Homer klęczał z palcem w ustach Melony.

Biedna Melony – pomyślał. Słucha teraz *Jane Eyre* jak swojej własnej historii. Melony odzywała się do Homera Wellsa głównie po to, żeby przypomnieć mu o danej obietnicy. („Pamiętaj: nie odejdziesz stąd, dopóki ja nie odejdę. Obiecałeś.”)

– Gdzie on jest? – spytał Homer doktora Larcha. – Gdzie Fuzzy?

Doktor Larch pisał na maszynie w gabinecie siostry Angeli, gdzie przesiadywał do późna właściwie noc w noc.

– Właśnie zastanawiałem się, jak ci to powiedzieć – odparł Larch.

– Podobno jestem pana uczniem, tak czy nie? Jeżeli tak, to powinno się mnie informować. Jeżeli postanowił mnie pan uczyć, to nie wolno panu niczego pomijać. Tak czy nie?

– Tak, Homerze, masz rację – przyznał doktor Larch. Jakże ten chłopak się zmienił! W sierocińcu nie ma czym odmierzać upływu czasu. Larch nie pojmował, jak mógł wcześniej nie zauważyć, że Homer Wells powinien zacząć się golić. Czemu go jeszcze tego nie nauczył? Przecież odpowiadam za każdy szczegół – łajał się w duchu – skoro wziąłem na siebie odpowiedzialność za człowieka.

– Fuzzy, Homerze, miał za słabe płuca – wyjaśnił spokojnie. – W znacznym stopniu niedorozwinięte. Stąd jego podatność na wszelkie znane mi infekcje dróg oddechowych.

Homer Wells przyjął to tłumaczenie obojętnie. Było mu bardzo, ale to bardzo żał, że Fuzzy widział tamto zdjęcie. Homer dorastał: zaczęło się w nim budzić poczucie odpowiedzialności za losy świata. Fotografia zaniepokoiła Fuzzy'ego Stone'a. Ani

Homer, ani nawet doktor Larch, nie byli w stanie w żaden sposób pomóc płucom Fuzzy'ego, ale ta fotografia była po prostu niepotrzebna.

– Co pan powie maluchom? – spytał Homer doktora Larcha.

Wilbur Larch popatrzył mu w oczy. Zobaczył w nich wszystko, co tak bardzo kochał. Ojcowska duma plątała mu język. Serdeczna miłość do Homera wprost go oszołomiła, jak eter.

– A co, według ciebie, powinienem powiedzieć, Homerze? – zapytał doktor Larch.

Homer miał podjąć pierwszą w życiu dorosłą decyzję. Zastanowił się głęboko. W roku 193- miał niecałe szesnaście lat. Rozpoczął naukę zawodu lekarza w wieku, w którym większość jego rówieśników uczyła się prowadzenia samochodu. Homer nie umiał jeszcze prowadzić samochodu; Wilbur Larch nie nauczył się tego do końca życia.

– Według mnie – powiedział po namyśle Homer Wells – powinien pan powiedzieć maluchom to, co zawsze: że Fuzzy został zaadoptowany.

Wilbur Larch przyglądał mu się bacznie przez dłuższą chwilę. W *Krótkiej historii St. Cloud's* zapisał później taką oto refleksję: „Ojcostwo to straszna rzecz! Budzi w człowieku uczucia, o jakie by się nigdy nie podejrzewał; człowiek zatracą obiektywizm oceny, a razem z nim poczucie *fair play*. Martwię się, że z mojej winy Homer Wells przeskoczył etap dzieciństwa – martwię się, że nigdy nie był dzieckiem! Lecz sierota często woli całkiem zrezygnować z dzieciństwa, niż tkwić w nim jako sierota. Czy pomagając Homerowi przeskoczyć etap dzieciństwa, pomogłem mu uniknąć czegoś złego? Niech licho porwie ojcowskie rozterki! Miłość rodzicielska rozsnuwa przed oczami mgłę, która bardzo utrudnia rozpoznanie słusznych dróg”. Napisawszy to ostatnie zdanie, Wilbur Larch ujrzał w wyobraźni mglisty obłok wyprodukowany sztucznie w atelier jako obramowanie dla zdjęcia córki pani Eames z kucem; stąd doktor Larch wysnuł wątek do następnego akapitu – o chmurach. (Beznadziejna pogoda środkowej części stanu Maine; „o chmurach St. Cloud's”, itd.)

Kiedy Homer Wells podsunął doktorowi Larchowi, na użytek maluchów, wersję o adoptowaniu Fuzzy'go Stone'a, Larch z miejsca uznał słuszność propozycji, ponieważ była absolutnie szczerą, nie obramowaną sztucznym wieńcem z chmur. Nazajutrz wieczorem mistrz postąpił według rady ucznia. O dziwo – zapewne dlatego, że kłamał – odstąpił mimo woli od rutyny: zamiast zacząć do ogłoszenia radosnej nowiny o losie Fuzzy'ego Stone'a, wypowiedział najpierw formułkę błogosławieństwa, odwracając tym samym ceremoniał do góry nogami.

– Dobrej nocy, Książęta Maine! Dobrej nocy, Królowie Nowej Anglii! – wyrecytował w nocną przestrzeń sypialni. Wtedy dopiero przypomniał sobie, co miał powiedzieć. – Och! – zmiętygował się głośno, a nerwowość tego okrzyku udzieliła się jednemu z chłopców, który, przerażony, aż wyskoczył z pościeli.

– Co się stało? – zaniepokoił się Snowy Meadows, który z byle powodu dostawał torsji, a jedynym sposobem, żeby ich nie dostał, było pokazać mu obrazek przedstawiający kobietę trzymającą w ustach to, co Snowy Meadows uważał za jelito kuca.

– Wszystko w najlepszym porządku! – huknął krzepiącym barytonem doktor Larch, ale niepokój zdążył się już udzielić całej sypialni. W tym klimacie Larch spróbował powiedzieć to, co zwykle, o czymś bardzo niezwykłym. – Cieszymy się razem z Fuzzym Stone'em – obwieścił. Homer Wells nareszcie zrozumiał powiedzenie o ciszy, w której słyhać, jak szpilka pada na dywan. – Fuzzy Stone znalazł rodzinę. Dobrej nocy, Fuzzy.

– Dobranoc, Fuzzy – odezwał się pojedynczy głos, ale Homer Wells czuł wahanie unoszące się nad łózkami. Kolejność rytuału nie została zachowana; to obudziło wątpliwości.

– Dobranoc, Fuzzy! – powiedział Homer głośno i dobitnie.

Kilkanaście dziecięcych głosów odpowiedziało mu echem:

– Dobranoc, Fuzzy!

– Dobranoc, Fuzzy Stone!

Homer Wells zrozumiał wówczas jeszcze jedno powiedzenie: o ciszy, która ogłusza. Po wyjściu doktora Larcha pierwszy odezwał się Snowy Meadows.

– Homer? – powiedział Snowy.

– Jestem – zgłosił się z ciemności Homer Wells.

– Jak to możliwe, że ktoś zaadoptował Fuzzy'go Stone'a? – spytał Snowy Meadows.

– Kto to mógł być? – dołączył się mały Wilbur Walsh.

– Ktoś, kto ma lepszą maszynę – powiedział Homer Wells. – Lepszą maszynę do oddychania niż ta, którą zbudował dla Fuzzy'ego doktor Larch. Ta rodzina świetnie się zna na aparatach do oddychania. Prowadzą firmę – dodał. – Firmę specjalizującą się w maszynach do oddychania.

– Fuzzy miał szczęście! – odezwał się z podziwem jakiś inny głos.

– Dobranoc, Fuzzy – rzekł Snowy Meadows; i wtedy Homer nabrał pewności, że ich przekonał.

Homer Wells, niespełna szesnastoletni terminator nauk medycznych, weteran bezsenności, udał się spacerem nad rzekę, która uniosła w dal niejeden fragment dziejów St. Cloud's. Tej nocy hałaśliwość rzeki działała na Homera kojąco – bardziej kojąco niż cisza sypialni. Homer stanął na brzegu, tam, gdzie kiedyś zwisał nad wodą ganek chaty pilarzy i skąd Homer obeserwował pikowanie jastrzębia, szybsze niż tempo węża płynącego do brzegu – a przecież wąż płynął bardzo szybko.

Gdyby Wilbur Larch zobaczył wówczas Homera nad rzeką, zmartwiłby się, że chłopiec żegna się z dzieciństwem – zbyt wcześnie. Ale doktor Larch miał eter, który go kołysał do snu, a Homer Wells nie dysponował żadnym lekiem na bezsenność.

– Dobranoc, Fuzzy – rzekł Homer nad wodami rzeki. Lasy Maine, jak to one, zlekcewały ludzki głos, ale tym razem Homer postanowił, że musi zostać wysłuchany. – Dobranoc, Fuzzy! – krzyknął najgłośniej, jak umiał. I jeszcze raz, jeszcze głośniej: – Dobranoc, Fuzzy! – Krzyczał i krzyczał; prawie dorosły chłopak, którego wrzaski niegdyś przeszły do legendy w miejscowości Wodospad Trzy Mile.

– Dobranoc, Fuzzy Stone!

## 4. Młody doktor Wells

„Wszędzie indziej na świecie – zanotował w dzienniku doktor Larch – istnieje to, co świat nazywa «społeczeństwem». U nas w St. Cloud's nie ma społeczeństwa, ponieważ nie ma możliwości wyboru i porównań na zasadzie lepszego-gorszego, obowiązujących w każdym niemal społeczeństwie. U nas życie jest mniej skomplikowane, ponieważ możliwości i różnice albo są dla każdego oczywiste, albo ich wcale nie ma. Lecz właśnie arcyskromny wybór możliwości życiowych każe sierocie na gwałt szukać kontaktu ze społeczeństwem – z dowolnym społeczeństwem, a im bardziej pogmatwanym intrygami, im bardziej najeżonym plotką, tym lepiej. Sierota skorzysta z pierwszej lepszej okazji, żeby się rzucić w nurt społeczeństwa, jak wydra w toń wody.”

Wilbur Larch snuł rozważania na temat „możliwości wyboru” z myślą o Homerze Wellsie, który nie wybierał sobie ani kierunku studiów, ani Melony – bo nie miał takiej możliwości. Homer i Melony byli na siebie wzajemnie skazani, bo żadne z nich nie znalazłoby w sierocińcu innej pary. W społeczeństwie liczyłoby się, czy pasują do siebie; w St. Cloud's to, że do siebie nie pasują, wcale się nie liczyło. A co do nauki – to w jakim innym kierunku, jak nie w medycynie, mógł się kształcić Homer, kiedy już przestał czerpać ze skąpej krynicy mądrości zatrudnionych w sierocińcu pedagogów? Tylko w medycynie, a dokładniej mówiąc – w położnictwie. Jak również w dużo prostszych do opanowania technikach wziernikowania i łyżeczkowania.

Homer Wells prowadził notatki w starym zeszycie akademickim doktora Larcha. Larch pisał gęsto, ale zostawiał duże odstępy między notatkami, więc dla Homera było tam jeszcze sporo miejsca. Doktor Larch nie uważał, żeby Homerowi potrzebny był własny notes. Wystarczyło się przyjrzeć cenom papieru. Drzewa zniknęły z okolicy; zamiast drzew pojawiły się sieroty – a wszystko przez papier.

Pod nagłówkiem „W&L”, Homer zanotował: „Ostrogi zapewniają kobiecie prawidłową pozycję”. Doktor Larch wymagał również golenia.

„Okolicę POCHWOWĄ zmywamy ŚRODKIEM ANTYSEPTYCZNYM” – zanotował Homer, który chętnie używał wielkich liter: zapewne miało to jakiś związek z nawykiem powtarzania końcówek zdań i kluczowych słów z wypowiedzi rozmówcy. „Badamy MACICĘ, aby ocenić jej wielkość. W tym celu jedną dłoń układamy na ŚCIANIE PODBRZUSZA, jednocześnie wprowadzając dwa lub trzy palce drugiej ręki DO POCHWY. Po umieszczeniu w POCHWIE WZIERNIKA DOPOCHWOWEGO,

który wygląda jak kaczy dziób, obserwujemy SZYJKĘ MACICY, (SZYJKA MACICY – dopisał w nawiasie, żeby nie zapomnieć – jest to szyjkowata część dolnej, zwężonej części MACICY.) Otwór pośrodku SZYJKI MACICY prowadzi do MACICY. Wygląda jak drops wiśniowy z dziurką. W CIĄŻY SZYJKA MACICY jest obrzmiała i lśniąca.

Używając METALOWYCH ROZPORNIKÓW O coraz szerszym rozstawie, poszerzamy SZYJKĘ MACICY tak, aby móc wprowadzić przez nią KLESZCZE celem ujęcia w nie zawartości MACICY. Wydobywamy na zewnątrz, ile się da.”

Homer miał tu na myśli krew i śluz, które w notatkach objął wspólną nazwą „rezultatu zapłodnienia”.

„Za pomocą ŁYŻECZKI – pisał dalej – oskrobujemy do czysta ŚCIANĘ MACICY. Kiedy jest czysta, wydaje zgrzytający odgłos.”

Na tym kończyły się notatki Homera o technice wziernikowania i łyżeczkowania. Uzupełniał je drobny przypis: „ŁONO, O którym czyta się w literaturze, jest to ten fragment KANAŁU RODNEGO, W którym osadza się ZAPŁODNIONE JAJO”. Na marginesie obok widniał numer strony, na której w *Anatomii* Graya zaczynał się rozdział „Żeńskie organy rozrodcze”, pełen użytecznych ilustracji i opisów.

Nim nastał rok 194-, Homer Wells (nie ukończywszy jeszcze dwudziestu lat) odebrał jako akuszer dziesiątki porodów i asystował przy czterokrotnie mniejszej liczbie aborcji. Porody często odbierał sam – jakkolwiek zawsze w obecności doktora Larcha – natomiast zabiegów aborcji nie wykonywał nigdy. Obaj, i Larch, i Homer, wiedzieli doskonale, że Homer mógłby taki zabieg wykonać, doktor jednak był zdania, że warunkiem dopuszczenia go do stołu operacyjnego jest ukończenie prawdziwej akademii medycznej i praktyka internistyczna w obcym szpitalu. Sam zabieg nie był zbyt skomplikowany; Larchowi chodziło o to, żeby Homer miał szansę świadomego wyboru decyzji. A dla podjęcia decyzji o tym, czy będzie się dokonywało aborcji, czy nie, konieczna była, zdaniem Larcha, znajomość reguł funkcjonowania społeczeństwa.

Doktor Larch potrzebował sponsora dla Homera Wellsa. Zaczął rozglądać się za kimś, kto by sfinansował naukę chłopca w college’u nie tylko po to, żeby Homer zdobył kwalifikacje do podjęcia studiów na akademii medycznej, ale i po to, żeby wszedł w kontakt ze światem poza St. Cloud’s.

Wilbur Larch nie miał pojęcia, jak się ogłasza zapotrzebowanie na sponsora. Zastanawiał się, czy nie poprosić kolegi korespondenta ze Schroniska dla Nieletnich o udostępnienie obszernej listy opiekunów, którą dysponowała tamta placówka.



DOŚWIADCZONY AKUSZER ZE ZNAJOMOŚCIĄ TECHNIKI ABORCJI  
POSZUKUJE SPONSORA, KTÓRY SFINANSUJE JEGO NAUKĘ W SZKOLE  
ŚREDNIEJ I WSTĘP NA AKADEMIE MEDYCZNĄ!

Do jakiej społeczności dopasuje się najlepiej Homer Wells? – dumał doktor Larch.

Jednego był pewien: musi odseparować swojego czeladnika od Melony. Widok tych dwojga razem wpędzał Larcha w straszną depresję. Byli jak znużone sobą nawzajem małżeństwo bez miłości. Jeżeli nawet Melony zdołała w początkowej fazie tego smętnego związku wykrzesać z Homera iskrę pożądania, to iskra ta już dawno przestała się tlić. Wymiana usług seksualnych – jeśli ją mimo wszystko kontynuowali – była, w ocenie Larcha, sporadyczna i wyzuta z entuzjazmu. W stołówce Homer i Melony siadali razem, bez słowa, nie zważając na spojrzenia dziewczynek i chłopców; razem też studiowali zniszczony egzemplarz *Anatomii* Graya, niczym zawilią mapę, którą się muszą posługiwać, chcąc kiedykolwiek wydostać się z St. Cloud's.

Melony nawet zaniechała ucieczek z sierocińca. Doktor Larch odnosił wrażenie, że tych dwoje wiąże jakiś sekretny, ponury pakt. Ich posępna, milkliwa wspólnota nieodparcie przypominała mu córkę pani Eames, gotową spędzić wieczność z penisem kuca w ustach. Melony i Homer nigdy się nie kłócili; nie było między nimi różnic zdań; Melony przestała nawet podnosić głos. Jeżeli łączył ich jeszcze seks, to Larch był pewien, że korzystają z tej więzi rzadko i tylko w chwilach skrajnego znużenia.

Larch załatwił Melony pracę w charakterze stacjonarnej opiekunki starej, zamożnej mieszkanki Wodospadu Trzy Mile. Bardzo możliwe, że kapryśna inwalidka miałaby pretensje do każdej przysłanej jej osoby – niemniej faktem było, że skarżyła się na Melony. Zarzucała jej „bezduszość”, niechęć do konwersacji i „niebывałą szorstkość” w czynnościach wymagających kontaktu fizycznego, jak na przykład kąpiel w wannie. Doktor Larch nie wątpił w prawdziwość tych zarzutów. Co zaś do Melony, to i ona skarżyła się na podopieczną, mówiąc, że woli siedzieć w St. Cloud's, a jeżeli już ma pracować, to na dochodzące

– Chcę wracać na noc do domu – oświadczyła Melony pani Grogan i doktorowi Larchowi. Do domu? – zastanowił się Larch.

Wiedział o pewnej wakującej posadzie w mieście, jednak aby ją objąć, Melony musiałyby się nauczyć prowadzenia samochodu. Doktor Larch znalazł nawet miejscowego chłopaka, który zgodził się uczyć Melony tej sztuki, ale na każdej lekcji

truchlał z przerażenia, a gdy doszło do egzaminu na prawo jazdy, Melony zdała dopiero w trzecim podejściu. Wkrótce zresztą straciła pracę w charakterze dostawcy elementów i narzędzi dla firmy budowlanej, gdyż nie umiała się rozliczyć z ponad trzystu kilometrów, które ni stąd, ni zowąd przybyły na liczniku jej ciężarówki w ciągu jednego tygodnia.

– Jeździłam trochę na boki, bo mi się nudziło – powiedziała doktorowi Larchowi, wzruszając ramionami. – Przez parę dni dojeżdżałam do jednego faceta.

Larch był bliski paniki, gdy pomyślał, że Melony, która miała prawie dwadzieścia lat, nie nadaje się ani do pracy, ani do adopcji; Melony była chorobliwie uzależniona od Homera Wellsa, mimo że potrafili całymi dniami nie zamienić ani słowa; niejednokrotnie, przez kilka tygodni z rzędu ich wzajemne stosunki sprowadzały się do zwyczajnej bliskiej obecności (jeśli obecność Melony można było kiedykolwiek nazwać „zwyczajną”). Ponieważ Melony tak przygnębiająco działała na doktora Larcha, Larch automatycznie zakładał, że tak samo przygnębiająco działa ona na Homera Wellsa.

Wilbur Larch kochał Homera Wellsa. Nigdy nie kochał nikogo tak, jak tego chłopca. Nie umiał sobie wyobrazić życia w St. Cloud's bez Homera. Ale doktor wiedział, że Homer Wells musi stanąć oko w oko z prawdziwym społeczeństwem, jeżeli ma w przyszłości wieść życie oparte na świadomym wyborze. Sekretnym marzeniem Larcha było, aby Homer wypuścił się w świat, a potem, z własnej woli, powrócił do St. Cloud's. Tylko kto wybrałby dobrowolnie powrót do St. Cloud's? – zadał sobie pytanie doktor Larch.

W stanie Maine było wiele miast. Żadne nie miało mniej uroku niż St. Cloud's.

Larch położył się na łóżku w ambulatorium i powdychał trochę eteru. Przywołał na pamięć obraz bezpiecznej przystani Portland; zaczął kolejno przypominać sobie miasta położone na wschód i w głąb lądu od Portland, a w ustach obracał solidne nazwy miejscowości stanu Maine.

(Wdech; wydech.) Wilbur Larch czuł niemal smak tych miast i ich eterycznych nazw: Kennebunk, Kennebunkport; Vassalborough, Nobleboro i Waldoboro; Wiscasset i West Bath; Damariscotta i Friendship; Penobscot Bay i Sagadahoc Bay; Yarmouth i Camden; Rockport i Arundel; Rumford i Biddeford; Livermore Falls.

Na wschód od przylądka Kenneth i jego atrakcji turystycznych leży Heart's Haven – Przystań Serca; w głąb lądu od tego niedużego, malowniczego portu zwanego

przystanią przycupnęło miasteczko Heart's Rock – Głaz Serca. Głazem z nazwy Heart's Rock jest bezludna, kamienna wysepka, która przypomina martwego wieloryba unoszącego się na wodach idealnie pustej poza tym zatoki Przystań Serca. Kamienna wyspa jest solą w oku mieszkańców Przystani Serca, podobnie jak solą w oku jest im miasteczko w głębi lądu i może dlatego nazwali je Głazem Serca – w związku z pobielonym ptasim guanem kamiennym brzuchem wyspy, która podczas przyływu prawie całkiem znika pod wodą, płaska i lekko nachylona w jedną stronę; stąd jej nazwa – Skała Zdechłego Wieloryba. W Heart's Rock – Głazie Serca – nie ma głazów. Heart's Rock bynajmniej nie zasługuje na pogardę: leży raptem o osiem kilometrów w głąb lądu, z niektórych jego pagórków widać ocean, a rzeński powiew od morza czuje się stale w całym miasteczku.

Trzeba jednak przyznać, że wobec Heart's Haven każde miasteczko jest jak kundel przy psie czystej rasy. Szydząc z Heart's Rock, obywatele Heart's Haven nie wytykają miasteczku staroświeckiej prostoty jedynych sklepów – Wielobranżowego Domu Handlowego Sanborna oraz Titus: Art. Metalowe i Hydrauliczne. Obywatele Heart's Haven wolą skupić krytykę na jeziorze zwanym Drinkwater Lake – Jezioro Wody Pitnej – i domkach kempingowych na jego mulistym brzegu. Drinkwater Lake, którego wody nie grzeszą świeżością i przypominają raczej senną sadzawkę, gdyż od połowy lipca dno zarasta cuchnącymi algami, jest jedyną ofertą Heart's Rock dla letników. Amatorzy wakacji nad Jeziorem Wody Pitnej nie przybywają z daleka: są to najczęściej mieszkańcy samego Heart's Rock albo jeszcze bardziej plebejskiej miejscowości Kenneth Corners. Pola namiotowe i kempingi nad jeziorem zaludniają się poza tym w jesienne weekendy, kiedy trwa sezon łowiecki. Nazwy domków i pól namiotowych to istna poezja: Ostatnie Echo, Ostatni Szaniec Rogacza (nad wejściem – poroże); jest nawet domek o nazwie Wieczny Weekend, z pływającym pomostem; dwuznaczne skojarzenia musi budzić tabliczka NasTroje; zwolenników prostoty i szczerości wypowiedzi ucieszy zaś nazwa Nora Shermana, zwłaszcza że doskonale charakteryzuje obiekt.

Już w roku 194- na Jeziorze Wody Pitnej panował tłok, a w 195- dotarła tam moda na motorówki i narty wodne. Śrubby motorówek i wiosła są wiecznie okręcone oślizłymi farfocłami wodorostów, wyrywanych gwałtownie z przydenne go spokoju. Przez gęsty wieniec lasu do jeziora nie dociera wiatr, więc żaglówki mogą tylko stać bezradnie na martwej powierzchni, idealnej do łapania komarów i lśniącej niezdrowo od stale wzrastającego stężenia dziecięcego moczu i benzyny z motorówek. W stanie Maine spotyka się przepiękne ustronne jeziora, ale Jezioro Wody Pitnej nigdy się do

nich nie zaliczało. Gdyby jakiś zapalony kajakarz chciał na nim szukać dzikiej przyrody, doznałby głębokiego rozczarowania, a nawet szoku. Nieodżałowanej pamięci Winkle'owie – dzieci natury – na pewno nie zaliczyliby tego miejsca do swoich ulubionych. Nie ma człowieka, który by dobrowolnie skosztował wody z Jeziora Wody Pitnej; na ten temat krąży mnóstwo niewybrednych dowcipów – wszystkie rodem z Heart's Haven, gdzie od dawna żyje tradycja naśmiewania się z jedyne w Heart's Rock zbiornika wodnego – i to tak niskiej klasy – rozumianego jako metafora całego miasteczka.

Ujrzawszy po raz pierwszy Jezioro Wody Pitnej, Homer Wells pomyślał, że gdyby pewnego dnia ktoś wpadł na pomysł zorganizowania obozu letniego dla nieszczęsnych sierot z St. Cloud's, to zapewne zlokalizowano by go na trzęsawisku oddzielającym Ostatnie Echo od Nory Shermana.

Heart's Rock nie było takie całkiem brzydkie. Mieszkały tu na ogół zasiedziałe rodziny rolników, sumiennie uprawiające równo zaorane pola. Najwięcej było hodowców krów, mleczarzy i sadowników. W roku 194- posiadłość zwana Sady Z Widokiem Na Ocean (leżąca przy szosie łączącej Heart's Haven z Heart's Rock, a nazwanej na cześć jeziora Szosą Drogi Pitnej) odznaczała się urodą i zamożnością nie do podważenia nawet dla zmanierowanych malkontentów z Heart's Haven. Posiadłość Sady Z Widokiem Na Ocean formalnie należała do Heart's Rock, ale wyglądem pasowała do Heart's Haven: dworek otaczały wyłożone kamiennymi płytami dziedzińce, a różaneczniki – całkiem jak na szykownych nadmorskich bulwarach Heart's Haven – i trawniki, które sięgały spod samego domu aż do basenu pływackiego i do najbliższego jabłkowego sadu, rozkwiwały pod pieczę tych samych zespołów konserwacji zieleni, dzięki którym trawniki w Heart's Haven wyglądają jak malowane.

Właściciel Sadów Z Widokiem Na Ocean – Wallace Worthington – nawet nazwisko miał w stylu Heart's Haven, czyli o nieplebejskim brzmieniu. Nic w tym dziwnego, gdyż Wallace Worthington pochodził z Nowego Jorku: zdążył błyskawicznie przetrząść się z giełdy na sadownictwo, zanim wszyscy finansiści stracili inwestycje co do grosza, a jeśli nawet jako hodowca-gentleman z duszy i ciała (nie mówiąc o stroju) nie wszystko wiedział o jabłkach, to niewątpliwie wiedział prawie wszystko o pieniądzach. Do zarządzania stroną produkcyjną Sadów Z Widokiem zatrudnił odpowiednich (czyli znających się na jabłkach) ekonomów.

Worthington był stałym członkiem zarządu Klubu Haven – jedynym, który tam zasiadał bez głosowania, a także jedynym w historii mieszkańcem Heart's Rock należącym do Klubu. A ponieważ zatrudniał w swoich sadach połowę ludności Heart's Rock, cieszył się szacunkiem obu miasteczek – co było doprawdy rzadkością.

Wilburowi Larchowi Wallace Worthington skojarzyłby się pewnie z rodziną Channingów-Peabodych, na której łonie (mówiąc nie tylko metaforycznie) doktor Larch dokonał drugiej w swoim życiu aborcji – aborcji dla bogaczy, jak ją sobie nazywał w myślach. Za to Homer Wells uznałby chyba Wallace'a Worthingtona za doskonały wzorzec Króla Nowej Anglii.

Trzeba było mieszkać w Heart's Rock albo w Heart's Haven – i znać nieźle miejscową historię – żeby wiedzieć, że małżonka Wallace'a Worthingtona nie pochodziła z królewskiego rodu. Oliwia Worthington wyglądała i nosiła się jak najprawdziwsza królowa, ale miejscowi wiedzieli, że chociaż jest rodem z Heart's Haven, to pochodzi z gorszej części miasta. Społeczeństwo to twór tak skomplikowany, że nawet małe Heart's Haven miało swoją gorszą dzielnicę.

Oliwia Worthington nazywała się w dzieciństwie Alice Bean. Osoby lepiej poinformowane wiedziały, że jest córką Bruce'a Beana, który żył z łowienia mięczaków, i mądrą siostrą Bucky Beana (kopacza studni) – przymiotnik „mądra” niesłusznie sugerował, że Bucky nie grzeszy inteligencją: Bucky był co najmniej tak samo inteligentny, jak jego ojciec, Bruce. Wiercenie studni (zajęcie, którym trudnił się rodzic siostry Angeli i któremu Homer Wells zawdzięczał nazwisko) było popłatnym fachem: z łowieniem mięczaków wygrywało – jak to mówią w okolicy – na dolary i na mile.

Oliwia Worthington w młodości sprzedawała mięczaki prosto z budy furgonu, z którego stale kapał topniejący lód. Matka Oliwii, Maud, nigdy się nie odzywała. Przesiadywała w zagraconym kącie kuchni, gdzie na pieńku rzeźnickim trzymała wszystko, co ją obchodziło: potłuczone lusterko do makijażu i zestaw kosmetyków, w którym zawsze plątały się mięczaki. Za popielniczkę miała dużą owalną muszlę. Podczas czyszczenia mięczaków zdarzało się, że lepka, czarna, chropawa skórka lądowała na flakoniku z różem, aby tam przyschnąć. Maud Bean zmarła na raka płuc, zanim Oliwia ukończyła szkołę średnią.

Alice Bean zmieniła się w panią Worthington dzięki małżeństwu z Wallace'em Worthingtonem, Oliwią zaś stała się dzięki urzędowej zmianie imienia w urzędzie rejestracyjnym Heart's Haven. Wypełniła w tym celu szacowny, jak najbardziej legalny formularz – co było o tyle proste, że zamiana Alicji na Oliwię sprowadza się do

wymiany czterech liter. Miejscowa ludność z lubością dowcipkowała na temat „Oliwii”, obracając to imię w ustach na wszystkie strony jak kłopotliwą pestkę owocu o tymże imieniu, który wymagał równie wyrafinowanego smaku. Za plecami Oliwii Worthington wielu nadal nazywało ją Alice Bean, chociaż tylko brat Bucky zwracał się bezpośrednio do Oliwii imieniem Alice. Reszta obywateli darzyła była pannę Bean szacunkiem i godziła się publicznie nazywać ją Oliwią, skoro Oliwii tak bardzo na tym zależało. Ludzie zgodnie uznali, że chociaż wżeniła się w jabłka i duże pieniądze, to przecież sama też nie mała zainwestowała w Wallace’a.

Wallace Worthington był pogodny, wesoły, lubił się bawić, a przy tym miał dobre serce i hojną rękę. Oliwię ubóstwiał w każdym calu; zwłaszcza jej szare oczy, popielatoblond włosy, które z latami nabrały perłowego blasku, i jej wyuczony nowobrytyjski akcent (często naśladowany w Klubie Haven). Na uniwersytecki akcent Oliwii zarobił, wierząc studnie, jej brat Bucky: wątpliwe, czy bez tego wytwornego akcentu Alice Bean wpadłaby w oko Wallace’owi Worthingtonowi. Pozwalając Bucky’emu na otwarte tytułowanie jej Alicją, Oliwia spłacała mu zapewne dług wdzięczności. Tolerowała nawet to, że Bucky odwiedzał Sady Z Widokiem Na Ocean w stroju roboczym i butach oblepionych rudawą gliną z głębszych warstw gleby, z którą miewają styczność tylko kopacze studni. Oliwia hamowała grymas irytacji, kiedy Bucky tupał w ubłoconych buciorach po jej parkietach, zwracając się do niej per „Alice Baby”, i kiedy w letnie upały skakał w ubraniu do jej krystalicznego basenu, zostawiając na trawie tylko swoje słynne buty (basen burzył się jak Atlantyk i tworzyła się na nim obwódka barwy gliny). Bucky Bean potrafił zostawić na ścianach basenu wyraźną otoczkę, jak brudne dziecko na wannie.

Za to wszystko, co Oliwia Worthington zyskała uwalniając się od balastu Alice Bean, przyszło jej odcierpieć w innej formie: coś dziwnego działo się z Wallace’em Worthingtonem. Nadal był nienagannym gentlemanem, mistrzem w docinkach pod adresem Republikanów w Klubie Haven; nadal był wzorowym pracodawcą (na własny koszt fundował pracownikom polisy ubezpieczeniowe, i to w czasach, gdy większość robotników rolnych żyła poniżej wszelkiego minimum); nadal trzymał fason (wszystkie pojazdy rezydencji Sady Z Widokiem Na Ocean, prywatne i służbowe, kazał opatrzyć swoim monogramem na tle dużego, czerwonego jabłka) – lecz mimo to, mając tyle wspaniałych i uroczych cech, Wallace sprawiał wrażenie wiecznie pijanego, był hiperaktywny jak dziecko i ani chwili nie potrafił usiedzieć w miejscu, toteż mieszkańcy Heart’s Haven i Heart’s Rock zgodnie podejrzewali, że życie z nim na co dzień nie jest pasmem słodczy.

Po pijanemu podciął scyzorykiem siatkę na głównym korcie w Klubie Haven, próbując ją – bezskutecznie – zamocować. Pijany był również, kiedy doktor Darryrimple dostał ataku serca na terenie Klubu Haven: Wallace wrzucił staruszka do płytszej części basenu, „żeby go ocucić”, jak się później tłumaczył. Doktor Darryrimple omal się nie utopił razem ze swoim atakiem serca. Rodzina doktora na znak oburzenia incydentem zrezygnowała z członkostwa w Klubie Haven. Po pijanemu, we własnym sadzie, Wallace wjechał cadillakiem w cysternę-spryskiwacz firmy Hardie o pojemności dwóch tysięcy litrów, wystawiając siebie i kabriolet barwy kości słoniowej na atak środków owadobójczych, od których Wallace dostał wysypki na podbrzuszu, a w cadillaku odbarwiły się czerwone skórzane obicia. Również po pijanemu uparł się prowadzić traktor z przyczepą, na której jechała połowa pasieki Iry Titcomba – i oczywiście zgubił ładunek, czyli miód, ule i miliony rozwścieczonych pszczoł, dokładnie na skrzyżowaniu Szosy Wody Pitnej z Aleją Dzienną, przy czym został dotkliwie pokąsany przez pszczoły. Pszczoły zaatakowały przy okazji Everetta Tafta, jego żonę Dot i młodszą siostrę Dot, Debrę Pettigrew: cała trójka w chwili wypadku pracowała w sadzie przy Alei Diennej.

Mimo tych ekscesów, nikt nie wątpił, że Wallace Worthington pozostaje wierny swojej Oliwii – złośliwi powiadali, że to tylko dzięki pijaństwu, które czyni go nieskutecznym w roli amanta, a kto wie, czy także nie męża. O tym, że Wallace okazał się mężczyzną wobec Oliwii przynajmniej raz w życiu, świadczył syn, który w roku 194- skończył równo dwadzieścia lat. Panicz Worthington miał atletyczną budowę, szlachetne rysy i urok osobisty ojca, a do tego nostalgiczne szare oczy matki i jej blond włosy, z tym że nie popielate, jak niegdyś włosy matki, tylko złotawe; udało mu się nawet w znacznym stopniu przejąć nowobrytyjski akcent Oliwii Worthington. Wallace Worthington junior był o wiele za przystojny na lekceważący przydomek Juniora” – od początku mówiono mu Wally. Za to od dnia narodzin Wally’ego na Wallace’a Worthingtona wszyscy – nawet Oliwia, a z czasem i Wally – zaczęli mówić Senior.

To zaledwie wstęp do analizy socjologicznej Heart’s Haven i Heart’s Rock. Gdyby doktor Larch wiedział chociaż tyle, trzymałby Homera Wellsa jak najdalej od tamtych stron, słusznie zgadując, że pobyt tam może chłopcu niezmiernie skomplikować życie. Cóż bowiem wie sierota o intrygach i różnicach klasowych? Ale dla nieświadomego Wilbura Larcha, Przystań Serca i Skała Serca były po prostu ładnymi nazwami, dodatkowo upiększonymi przez eter.

Gdyby doktor Larch miał okazję poobserwować z bliska Wallace’a Worthingtona, stwierdziłby, jak niesłusznie społeczeństwo ocenia psotnego potentata:

że Senior pił za dużo, to nie ulegało wątpliwości – każdy, kto pije, pije za dużo. Ale Senior nie był alkoholikiem. Wallace Worthington zdradzał typowe objawy choroby Alzheimera i doktorowi Larchowi wystarczyłby jeden rzut oka, aby rozpoznać u niego postępującą atrofię mózgu. Przedwczesna demencja starcza zwana zespołem Alzheimera objawia się drastycznym obniżeniem poziomu intelektualnego, utratą pamięci i nienaturalnie szybkim tempem starzenia się pacjenta. Na chorobę tę zapadają najczęściej osoby w zaawansowanym wieku średnim. Przez kilka lat wymienione objawy nasilają się, po czym następuje śmierć chorego. Poza symptomami, o których była mowa, typowe dla choroby Alzheimera są: nadmierna aktywność, pobudliwość i zaburzenia oceny rzeczywistości. Ale społeczność Heart's Haven, chociaż taka bystra i przenikliwa, nie dostrzegała różnicy między alkoholizmem a chorobą Alzheimera; społeczność Heart's Haven była pewna, że rozgryzła tajemnicę Worthingtonów.

Mylili się w tym względnie tak samo, jak w ocenie Oliwii Worthington. Oliwia Worthington w pełni zapracowała na nowe nazwisko. Nikt nie zaprzeczy, że gotowa była zrobić wszystko, aby wzbic się ponad poziom życia wśród mięczaków, ale zanim to jej się udało, Oliwia – Alice Bean – dobrze poznała, czym jest praca. Nauczyła się, jak szybko topnieje lód i jak krótko daje się w związku z tym przechowywać mięczaki w warunkach, w których się nie psują. Poznała różne sprytne handlowe sztuczki. Wiedziała, co i jak. Co do Wallace'a Worthingtona, z miejsca zorientowała się, że doskonale zna się na pieniądzach, ale na jabłkach – ani w ząb, więc sama zajęła się jabłkami. Zaobserwowała, którzy z ekonomów są sadownikami z prawdziwego zdarzenia, i tym podniosła pensje, kilku nieudolnych zwolniła i zatrudniła więcej ludzi młodych, uczciwych i energicznych. Dla najlepszych pracowników sama piekła szarlotki, a przepis chętnie udostępniała żonom sadowników. Na targu zainstalowała piec do pizzy i niebawem potrafiła upiec czterdzieści osiem ciast za jednym zamachem, czym wydatnie powiększyła dochody z tradycyjnego w sezonie zbiorów handlu winem jabłkowym i galaretką z jabłek. Irowi Titcombowi zapłaciła zawiązką za straty poniesione podczas transportu pasieki i wkrótce powiększyła asortyment swojego straganu o miód z kwiecia jabłoni. Poszła na uniwersytet i nauczyła się wszystkiego o krzyżowaniu odmian i zakładaniu młodych sadów, a także o szczepieniu i przerzedzaniu drzew i o najnowszych środkach owadobójczych, o których jej ekonomowie jeszcze nie słyszeli – więc ich poinstruowała.

Oliwia doskonale pamiętała swoją milczącą matkę, Maud, zahipnotyzowaną odbiciem własnej gasnącej urody w pękniętym lusterku. Pamiętała niezliczone waciki,



pobrudzone pudrem (w kolorze gliny na buciorach Bucky'ego) i walające się między nimi mięczaki, a wszystko posypane popiołem z papierosów, który nie znajdował miejsca w przepelnionej popielnicze z owalnej muszli mięczaka. Pamięć o tym utwierdzała Oliwię w przekonaniu o słuszności obranej drogi. Oliwia dobrze wiedziała, od czego uciekła, a w Sadach Z Widokiem Na Ocean solidnie zapracowała na lepsze życie, przejmując gospodarstwo z niedbałych rąk Seniora i umiejętnie zarządzając wszystkim w jego imieniu.

Późnym wieczorem Oliwia przywoziła Seniora z Klubu Haven (zawsze ona prowadziła samochód), zostawiała go nieprzytomnego na przednim siedzeniu pasażerskim, a na poduszce Wally'ego kładła kartkę z prośbą, żeby pamiętał po powrocie do domu wnieść ojca na górę, do łóżka. Wally nigdy tego nie zaniedbał. To był naprawdę złoty chłopak – nie tylko z pozoru. Tylko raz zdarzyło mu się, że sam wypił za dużo i nie miał siły zatańczyć ojca do łóżka – Oliwia Worthington nie omieszkała wytknąć synowi, że schodzi na złą drogę.

– Wolno ci, z moim pełnym przyzwoleniem, naśladować ojca we wszystkim prócz pijaństwa – oświadczyła synowi. – Jeżeli chcesz naśladować go w tym względzie, wiedz, że stracisz szanse na objęcie farmy i uzyskanie choćby jednego centa dochodu z jabłek. Sądzisz, że twój ojciec mógłby mnie powstrzymać przed taką decyzją dotyczącą twojej osoby?

Wally, zanim odpowiedział, przyjrzał się ojcu, który z jego winy przespał noc na odbarwionym preparatem owadobójczym siedzeniu cadillaca. Nie ulegało dla niego wątpliwości, że Senior Worthington nie jest w stanie powstrzymać nikogo przed niczym.

– Nie, mam – odparł tonem pełnym szacunku, nie tylko dlatego, że był młodzieńcem dobrze ułożonym (z powodzeniem mógłby udzielać w Klubie Haven lekcji nie tylko tenisa, ale i dobrych manier), ale przede wszystkim dlatego, że znał swoją matkę i wiedział, że Oliwia Worthington nie „wznieła się” w nic poza sporym pieniędzem, wymagającym sporo pracy. Przy czym praca – czym Oliwia zyskałaby sobie respekt w oczach doktora Larcha – spadała w całości na nią.

Smutne było w tym wszystkim to, że nawet Oliwia fałszywie interpretowała zachowanie nieszczęsnego Seniora, który ofiarą alkoholizmu był niejako na marginesie, bo przede wszystkim był ofiarą – i to już niemal do końca pokonaną – choroby Alzheimera.

Spółeczność miejska pewne rzeczy dostrzega natychmiast, a inne potrafi całkowicie przeoczyć. Senior Worthington sam się dziwił swojej postępującej

demencji i, podobnie jak wszyscy, winił za nią zło pijaństwa. Ograniczył więc ilość spożywanego alkoholu, a mimo to z rana nie pamiętał, co mówił i czynił ubiegłej nocy; i dalej starzał się w zastraszającym tempie; i dalej przerzucał się chaotycznie z jednej czynności na drugą – nie pamiętał, gdzie położył płaszcz, a gdzie kapelusz, i stale szukał kluczyków od samochodu, porzuconych gdzieś razem z płaszczem. Kiedy więc dalej zachowywał się jak głupek, chociaż pił mniej – przeraziło go to tak strasznie, że natychmiast zaczął pić więcej. Ostatecznie więc stał się podwójną ofiarą, zespołu Alzheimera i alkoholizmu – wesołym pijaczną, który miał nieuzasadnione kaprysy. W lepszym i zorientowanym w medycynie świecie opiekowano by się Seniosem jak wzorowym pacjentem – którym w istocie był.

Pod tym względem Heart's Haven i Heart's Rock niczym się nie różniły od St. Cloud's: nie było ratunku dla Seniora Worthingtona, tak jak nie było ratunku dla Fuzzy'ego Stone'a.

W roku 193- Homer Wells rozpoczął studiowanie *Anatomii Gray'a* – od pierwszego działu. Tematem pierwszego działu była osteologia; szkielet. Zaczynało się od kości. W roku 194- Homer kończył trzecią przeprowadę przez *Anatomie Gray'a* – część podróży odbył wspólnie z Melony. Melony nie na wszystkim umiała się skupić. Najbardziej, jak twierdziła, zainteresował ją swoją misterną zawilnością układ nerwowy, a zwłaszcza opis nerwu 12, podjęzykowego, *nervus hypoglossus*, który jest nerwem motorycznym języka.

– Co to znaczy „nerw motoryczny”? – spytała Melony Homera, wywalając język. Homer usiłował jej wytłumaczyć, chociaż czuł się już bardzo zmęczony. Po raz szósty czytał *Dawida Copperfielda*, po raz siódmy *Wielkie nadzieje*, po raz czwarty *Jane Eyre*. Nie dalej jak ubiegłego wieczoru doszedł do fragmentu, którego nie lubił czytać, bo Melony zawsze się przy nim irytowała.

Chodziło o kawałek z początkowej części Rozdziału Dwunastego, w którym Jane zauważa z filozoficzną przenikliwością: „Próżno powtarzać, że człowiek powinien się zadowolić spokojem: człowiek potrzebuje czynu; gdy go nie znajduje – sam staje się jego autorem”.

– Słoneczko – przerwała mu w pół zdania Melony. – Tylko nie zapomnij: dopóki ja zostaję, ty też zostajesz. Słowo się rzekło, kobyłka u płotu.

Ale Homer Wells miał już dość poczucia osaczenia, które w nim stale podsycala Melony. Przeczytał ostatnie zdanie powtórnie, tym razem tonem osobistej pogroźki.

– „Próżno powtarzać, że człowiek powinien się zadowolić spokojem: człowiek potrzebuje czynu; gdy go nie znajduje – sam staje się jego autorem.” – Po minie pani Grogan widać było, jak bardzo ją zdumiał złowieszczy ton lektora.

Homer wypisał sobie ten cytat, pismem tak starannym i zwartym, że nie powstydziliby się go sam doktor Larch; następnie wystukał go na maszynie siostry Angeli, robiąc tylko parę błędów. Potem, kiedy Wilbur Larch „położył się na chwilkę” w pokoju zabiegowym, Homer podkraść się do znużonego świętego i położył kartkę z cytatem z *Jane Eyre* na jego wznoszącej się i opadającej miarowo piersi. Doktor Larch znacznie mniej przejął się wymową cytatu niż o wiele bardziej niepokojącym odkryciem, że Homer rozgryzł naturę jego eterowych seansów, skoro wiedział, że może go zająć we śnie niepostrzeżenie. Czyżbym stosował większe dawki niż dawniej? – zadał sobie pytanie Wilbur Larch.

I czy fakt, że Homer jako przycisku dla kartki z cytatem użył eterowej maseczki doktora, nie był przypadkiem aluzją?

„Historia – zanotował w dzienniku doktor Larch – składa się z mikroskopijnych, często niedostrzegalnych błędów.”

Pisząc te słowa, mógł myśleć o czymś tak niepozornym jak apostrof dodany do pierwotnej nazwy St. Cloud's. Na poparcie powyższej teorii można też przytoczyć *casus* serca – *heart* – z nazw miejscowości Heart's Haven i Heart's Rock – przypadek analogiczny do omyłki, która z Melody uczyniła na zawsze Melony. Podróżnik i żeglarz, któremu przypisuje się odkrycie malowniczej zatoczki Heart's Haven, nazywał się Reginald Hart. On pierwszy również osiedlił się w Heart's Rock i podjął ambitne zadanie uprawiania tamtejszej ziemi. Za życia Reginalda Harta, a i przez wiele lat po jego śmierci, miejscowy lud składał się przeważnie z analfabetów, którzy nie widzieli różnicy między słowami *heart* (serce) a *hart* (jeleń), skoro oba brzmiały tak samo. Pierwsi osadnicy Heart's Haven i Heart's Rock, nieświadomi zapewne, że Reginald Hart nosi dumne miano jelenia, nazwali swoje miejscowości od centralnego narządu układu krwionośnego.

„Narząd mięśniowy, jamisty, o przekroju stożkowatym – recytował na pamięć Homer Wells za *Anatomią* Graya – ...leży w jamie surowiczej zwanej JAMĄ OSIERDZIOWĄ.” DO roku 194- Homer zdążył zapoznać się bezpośrednio z trzema sercami trzech trupów, które sprowadził dla niego doktor Larch (każdy z nieboszczyków przedłużył sobie ziemski pobyt dla celów naukowych o jakieś dwa lata).

Trupy były płci żeńskiej. Ponieważ doktor Larch edukował Homera Wellsa w położnictwie i dziedzinach pokrewnych, badanie trupów męskich przez studenta miałyby się z celem. Dużym problemem był zawsze transport ciała. Jedno dotarło do St. Cloud's w wozie, która miała być lodem; inne z miejsca trzeba było posłać do ziemi, gdyż płyn balsamujący – przeterminowany albo za słaby – nie zdał egzaminu. Homer świetnie pamiętał swoje trzy trupy. Dopiero przy trzecim nabrał do studiów odpowiednio żartobliwego dystansu, który mu pozwolił nadać nieboszczce imię: Homer nazwał ją Klara, na cześć nieszczęsnej, bezwolnej matki Dawida Copperfielda, która pozwalała draniowi Murdstone'owi pomiatać sobą i małym Dawidkiem.

– Nazwij ją Jane – doradzała Melony, która nienawidziła Jane Eyre, a zarazem w pełni się z nią utożsamiała.

– Już prędzej Melony – zażartował Homer, ale Melony nie miała ani krzty poczucia humoru, gdy chodziło o cudze żarty; ceniła tylko własne.

Na trupie numer dwa Homer ćwiczył się przed swoim pierwszym cesarskim cięciem. Gdy doszło do operacji, Homer przez cały czas jej trwania czuł na dłoniach hipnotyzujące spojrzenie doktora Larcha; miał wrażenie, że dłonie przestały do niego należeć, gdyż pracowały tak samodzielnie i celowo, jakby – Homer był tego pewien – doktor Larch samą siłą koncentracji umysłu (bez pomocy rąk) wykonał to idealne, ani o milimetr nie za długie, nacięcie macicy od zewnątrz.

Przy okazji awantury, która wybuchła na stacji w związku z przyjazdem trupa zwanego później Klarą, Homer zetknął się po raz pierwszy z drgawkami eklamptycznymi, czyli – jak mówiono za czasów bostońskiej praktyki Wilbura Larcha – gorączką porodową. W tym samym czasie, gdy doktor Larch wyklócał się z zawiadowcą stacji o treść rubryki „zawartość przesyłki” w formularzu, który należało wypełnić przy odbiorze Klary, Homer Wells biedził się w St. Cloud's nad znalezieniem wyjątkowo dobrze ukrytej tętnicy krezkowej na trupie numer dwa. Homer nie wiedział, że w tym konkretnym przypadku niepowodzeniu winna jest nie jego nieudolność, tylko opłakany stan ciała, w którym jeszcze parę rzeczy byłoby absolutnie nie do zlokalizowania. Miał się właśnie uciec do *Anatomii* Graya, kiedy do pokoju wpadła siostra Edna – i od progu rozpisywała się histerycznie (jak zawsze, gdy widziała Homera z trupem numer dwa; całkiem, jakby go przyłapała na czymś zdrożnym z Melony).

– Homerze, ratuj! – wykrztusiła, ale nic więcej nie mogła powiedzieć, tylko, jak kwoka skrzydłami, trzepotała rękoma przez dłuższą chwilę, zanim zdołała wskazać Homerowi kierunek – izba porodowa. Homer pobiegł tam pędem i zastał na podłodze

kobietę, leżącą martwo z wybaluszonymi oczami – w pierwszej chwili wziął ją za ciało, które, jak wiedział, doktor Larch miał dla niego wyrwać z rąk kłótliwego zawiadowcy stacji. W tej samej chwili kobieta drgnęła i Homer Wells zorientował się, że martwa będzie dopiero niebawem: konwulsje, które zaczęły się od skurczów twarzy, błyskawicznie ogarnęły całe ciało. Twarz, przed momentem nabiegła krwią, stała się czarnosina i błyszcząca, a pięty z taką siłą waliły w podłogę, że oba buty wystrzeliły jak z katapulty, co pozwoliło Homerowi stwierdzić znaczny obrzęk kostek stóp. Zaciśnięte kurczowo szczęki spływały pienistą śliną pomieszaną z krwią, gdyż chora zagryzła język – co było lepsze, niż gdyby się nim udławiła. Oddychała z największym trudem: przy świszczącym wydechu wydzielina bryznęła Homerowi w twarz z impetem, który mu przypomniał, jak stał nad spienionym potokiem porywającym w niebyt małżeństwo Winkle'ów.

– Eklampsja – poinformował Homer siostrę Ednę. Jest to słowo pochodzenia greckiego. Doktor Larch wytłumaczył Homerowi jego znaczenie, nawiązujące do nagłych błysków światła, które chora widzi przed wystąpieniem gorączki porodowej. Homer wiedział, że eklampsji można zapobiec umiejętną opieką w okresie ciąży. Do objawów wstępnych należą: łatwo wykrywalny wzrost ciśnienia krwi, obecność albuminy w moczu, obrzęk stóp i dłoni, bóle głowy, torsje oraz wspomniane już błyski światła i plamy przed oczami. Zaleca się leżenie w łóżku, dietę, ograniczenie spożycia płynów i łagodne środki przeczyszczające – metody te na ogół skutkują; jeśli nie – należy sztucznie przyspieszyć poród, co w znakomitej większości przypadków udaremnia konwulsje, chociaż może oznaczać śmierć płodu.

Niestety, pacjentki doktora Larcha nie rozumiały potrzeby troski o właściwy przebieg ciąży. A ta, która leżała przed Homerem na podłodze, wymagała natychmiastowej akcji – nie dałaby czasu do namysłu nawet tak doświadczonemu położnikowi jak doktor Larch.

– Doktor Larch jest na stacji – powiadomił Homer spokojnie siostrę Ednę. – Ktoś musi po niego jechać. Niech siostra i siostra Angela zostaną ze mną do pomocy.

Niosąc pacjentkę w głąb izby porodowej, Homer czuł na dłoniach zimną wilgoć jej skóry, która kazała mu pomyśleć o trupie numer jeden i trupie numer dwa (numer dwa – przypomniało mu się – dalej leży na stole w salce przeznaczonej od niedawna na prosektorium, obok kuchni oddziału chłopięcego). Homer wiedział, że w minionym stuleciu lekarz znieczuliłby pacjentkę eterem i poszerzył mechanicznie ujście macicy, celem przyspieszenia porodu. Zabieg taki kończył się na ogół zgonem pacjentki.

Wilbur Larch nauczył się w Bostońskim Szpitalu Położniczym' stosować lek z naparstnicy dla wzmocnienia mięśnia sercowego i zapobieżenia gromadzeniu się płynu w płucach. Homer wsłuchał się w bulgoczący oddech chorej: mogło być za późno, nawet jeśli prawidłowo zapamiętał, co należy robić. Wiedział, że z eklampsją nie wolno eksperymentować: skoro konieczne jest przyspieszenie terminu porodu, to trzeba przynajmniej zadbać o naturalny przebieg samej akcji. W chwili gdy to pomyślał, kobieta jęknęła; głową i piętami równocześnie walnęła w stół operacyjny, wzdęty brzuch poderwał się jak do lewitacji, a jedna ręka wykonała bezwiednie energiczny zamach i dała Homerowi w twarz.

Homer wiedział, że są kobiety, które nie przeżywają nawet jednego ataku drgawek porodowych, a inne (nieliczne) potrafią ich przeżyć i sto. Nie wiedział natomiast, czy u tej konkretnej pacjentki obserwuje drugi czy dziewięćdziesiąty napad eklampsji.

Siostra Edna wróciła niebawem w towarzystwie siostry Angeli. Homer polecił im, aby zrobiły chorej zastrzyk z morfiny, sam zaś wstrzyknął jej dożylnie siarczan magnezu dla chwilowego przynajmniej obniżenia ciśnienia krwi. W przerwie między drugim a trzecim (bo Homer wiedział już, że trzeci nastąpi) atakiem, siostra Edna otrzymała polecenie pobrania próbki moczu chorej do analizy, a siostra Angela miała tę samą próbkę zbadać pod kątem zawartości albuminy. Korzystając z chwili spokoju, Homer spróbował wypytać pacjentkę o liczbę przebytych napadów konwulsji, ale chociaż była przytomna i na inne pytania odpowiadała sensownie, liczby ataków zupełnie nie umiała podać. Nie pamiętała też – co typowe dla eklamptyków – przebiegu ataku, a jedynie sam jego początek i straszne osłabienie po napadzie. Swoją ciężę oceniała na około miesiąca przed terminem porodu.

Widząc, że zaczyna się kolejny atak, Homer zaaplikował chorej lekkie znieczulenie eterem, w nadziei, że osłabi tym całą reakcję. Rzeczywiście, atak różnił się od poprzednich, ale nie tyle nasileniem, co rytmem: ruchy kobiety były powolniejsze, za to bardziej naładowane energią. Homer przygwoździł ją do stołu, kładąc się w poprzek jej klatki piersiowej – nagle jednak pacjentka złożyła się wpół jak nóż sprężynowy i Homer wylądował na podłodze. W przerwie przed kolejnym atakiem, korzystając z tego, że eter jeszcze działał, Homer zbadał pacjentkę i stwierdził, że szyjka macicy się nie skraca, ujście macicy nie poszerza się, a skurcze porodowe nie wystąpiły. Martwiąc się, że będzie musiał je rozpocząć sztucznie, Homer modlił się w duchu, aby decyzja o tym została mu oszczędzona, a jednocześnie zachodził w głowę, czemu poszukiwanie doktora Larcha trwa tak długo.

Znalezienie doktora Larcha powierzono zasmarkanemu sierocie, który wrócił po jakimś czasie z gilami do pasa (jeden smark przylepił mu się na ukos do policzka, jak znak po chlaśnięciu batem). Zasmarkaniec imieniem (naturalnie, za sprawą siostry Angeli) Curly Day obwieścił przez nos, że doktor Larch wsiadł w pociąg jadący do Wodospadu Trzy Mile, żeby odzyskać zwłoki ludzkie, skierowane do następnej stacji przez zawiadowcę (którym powodowała małpia złośliwość i urażona duma religijna). Po prostu zabronił wyładunku trupa w St. Cloud's. Larch, słysząc o tym, wpadł w jeszcze większą złość niż zawiadowca i wsiadł w pociąg jadący bezpośrednio za tym, który uwiózł ciało.

– No nie... – jęknęła głucho siostra Edna.

Homer zaaplikował pacjentce pierwszą dawkę leku z naparstnicy. Liczba następnych dawek zależała od tego, kiedy serce kobiety zacznie pracować bardziej prawidłowo. Czekając wraz z chorą na następny atak drgawek, Homer zapytał ją, czy znalazła się w St. Cloud's, bo postanowiła zostawić tu dziecko do adopcji, czy też po prostu był to jej najbliższy szpital – innymi słowy: czy bardzo pragnie dziecka, które ma urodzić, czy wprost przeciwnie, wcale go nie chce.

– To znaczy, że ono umrze? – zaniepokoiła się przyszła matka.

Homer odpowiedział jej wzorową imitacją najbardziej przekonującego „Oczywiście, że nie!” doktora Larcha. Wiedział jednak, że dziecko nie przeżyje, jeżeli poród nie nastąpi odpowiednio szybko; jeśli natomiast zbyt przyspieszy się akcję porodową – nie przeżyje zapewne matka.

Pacjentka zwierzyła mu się, że dotarła do St. Cloud's autostopem, bo nie ma nikogo bliskiego, kto mógł ją przywieźć. Co do dziecka, to nie chciała go zabrać, ale bardzo jej zależało na tym, żeby żyło.

– Jasne – powiedział na to Homer, jakby sam w podobnej sytuacji mógł podjąć tylko taką decyzję.

– Młodo pan wygląda – zauważyła pacjentka. – Ale ja nie umrę, prawda? – zmartwiła się.

– Zgadła pani: o umieraniu nie ma mowy – pocieszył ją Homer Wells z zawodowym uśmiechem doktora Larcha: ten dobrze wyćwiczony uśmiech przynajmniej trochę go postarzał.

W dwanaście godzin później doktora Larcha wciąż nie było, kobieta przeżyła się na stole operacyjnym w drgawkach siódmego ataku, a Homer Wells nie umiał sobie przypomnieć, jaki układ mięśni twarzy gwarantował słynny krzepiący uśmiech doktora Larcha.

Popatrzył w oczy siostry Angeli, która z nim razem przytrzymała cierpiącą, i powiedział:

– Rozpocznę akcję porodową. Zamierzam przebić błony płodowe.

– Bardzo słusznie, Homerze – skwapliwie poparła ten zamiar siostra Angela, ale i jej imitacja krzepiącego uśmiechu doktora Larcha wypadła blado.

Po upływie kolejnych dwunastu godzin rozpoczęły się skurcze macicy. Homer Wells już nie umiał zliczyć ataków konwulsji, które pacjentka do tego czasu przecierpiała. Poza tym Homer zaczął się bardziej niepokoić o doktora Larcha niż o rodzącą: musiał się siłą zmuszać do koncentracji na stole operacyjnym, bo rozpraszał go lęk, że doktora spotkało coś złego.

Poród trwał dziesięć godzin i zakończył się przyjściem na świat zdrowego chłopca o wadze dwóch kilogramów i dziesięciu dekagramów. Stan matki – zgodnie z oczekiwaniami Homera – też szybko się poprawiał: ciśnienie krwi unormowało się, ślad albuminy w moczu osiągnął poziom minimalny.

Wieczorem, w półtorej doby od wyruszenia na stację celem odebrania trupa, którego zawiadowca nie chciał ani zatrzymać, ani oddać, Wilbur Larch powrócił do St. Cloud's, zmęczony, lecz triumfujący, z ciałem, które miało niebawem otrzymać imię Klara. Pojechał za Klarą do Wodospadu Trzy Mile. Tamtejszy zawiadowca tak się przeraził przesyłką, że absolutnie nie pozwolił jej wyładować, więc pojechała dalej – a Larch za nią – i tak ją tropił od stacji do stacji, wciąż następnym pociągami. Każdy kolejny zawiadowca był zdania, że trupa trzeba pochować, ale żaden nie poczuwał się do obowiązku przechowywania na swojej stacji trupa, po którego nikt się nie zgłaszał. Z drugiej strony, ciało nie wyglądało na przeznaczone do ziemi: chlupał w nim płyn balsamujący, skóra była jak rzemienna, gdzieś tam prześwitywały tętnice i żyły o nieziemskich kolorach.

– Mnie nie obchodzi, co to jest. Ja tego nie biorę – oświadczył zawiadowca stacji Wodospad Trzy Mile.

Z Wodospadu Trzy Mile Klara pojechała do Misery Gore, stamtąd do Moxie Gore, stamtąd do East Moxie, i tak dalej, i tak dalej. W Harmony, Maine, Larch dogonił ją na postoju trwającym parę minut i wdał się w piekielną awanturę z zawiadowcą stacji – a przy okazji napędził nie lada strachu całemu personelowi – zanim Klara została odesłana w dalszą podróż.

– To było moje ciało! – pieklił się Larch. – Nosilo plaketkę z moim nazwiskiem! To pomoc naukowa dla studenta, który odbywa praktykę u mnie, w



moim szpitalu w St. Cloud's! Oddajcie mi moje ciało! Dlaczego wysyłacie je w odwrotną stronę? Dlaczego odsyłacie je ode mnie?

– Dojechało do tej stacji, tak czy nie? – argumentował zawiadowca. – Nikt go jakoś nie odebrał w St. Cloud's, zdaje mi się.

– Zawiadowca z St. Cloud's to wariat! – gorączkował się Larch, podrygując przy tym nerwowo, przez co sam sprawiał wrażenie niezrównoważonego psychicznie.

– Może tak, a może nie – zauważył filozoficznie zawiadowca stacji Harmony. – Ja tylko tyle wiem, że trup dojechał tutaj, a ja go posłałem dalej.

– Na litość boską, przecież to nie duch, nie straszy! – jęknął Larch.

– A czy ja mówię, że straszy? – zdziwił się zawiadowca. – Może straszy, może nie straszy. Trudno orzec, za krótko tu był.

– Banda idiotów! – wrzasnął Larch i wsiadł do następnego pociągu. Przejeżdżając przez stację Cornville (gdzie pociąg się nie zatrzymywał), Wilbur Larch wychylił się przez okno i dwóch Bogu ducha winnych chłopów, którzy przerwali pracę na kartoflisku, żeby pomachać podróżnym, poczęstował wściekłym okrzykiem:

– Maine to ojczyzna kretynów!

Na stacji Skowhegan Larch zapytał zawiadowcę, gdzie, do cholery, jego zdaniem, jedzie ten zakichany trup.

– Mnie się widzi, że do Bath – powiedział zawiadowca stacji Skowhegan. – Stamtąd był wysłany, a jak go nikt nie chciał odebrać w miejscu przeznaczenia, to musi wrócić do nadawcy.

– Ktoś bardzo chciał go odebrać w miejscu przeznaczenia! – ryknął wielkim głosem Wilbur Larch. – Ja chciałem go odebrać w miejscu przeznaczenia!

Ciało wysłane zostało ze szpitala w Bath na adres szpitala w St. Cloud's. Zmarła za życia ofiarowała swoje zwłoki nauce, a że patolog z Bath Memorial Hospital wiedział o zapotrzebowaniu doktora Larcha na świeże zwłoki damskie – natychmiast je do niego wyekspediował.

Doktor Larch dopędził Klarę na stacji Augusta. Augusta, jak na stan Maine, była oazą intelektualistów: tamtejszy zawiadowca od razu zorientował się, że ciało jedzie w złym kierunku.

– Oczywiście, że jedzie w złym kierunku! – poparł go entuzjastycznie Wilbur Larch.

– Psiakrew, cholera – zirytował się zawiadowca stacji Augusta. – To tam, w pańskich stronach, nie rozumieją po angielsku?

– Tam nikt nigdy nie słyszał angielskiej mowy! – prychnął Larch. – Słowo daję, najchętniej wysłałbym po truposzu do tych wszystkich pipidówek po kolei, jeszcze lepiej po jednym dziennie!

– Paru facetów wyszłoby z siebie, jak nic – zaopiniował cierpkim tonem zawiadowca stacji Augusta, ciekaw, jak długo jeszcze doktor Larch zamierza „wychodzić z siebie”.

Długa podróż powrotna z Klarą do St. Cloud’s bynajmniej nie uspokoiła Wilbura Larcha. Na każdej stacji, która mu się naraziła w związku z trupem – szczególnie w Harmony, ale w East Moxie, Moxie Gore i pozostałych też – doktor wykorzystał czas postoju na poinformowanie zawiadowcy, co o nim myśli.

– Kretynowo! – oświadczył zawiadowcy stacji Harmony. – Gdzie ta „harmonia”? No gdzie? Daj mi pan jeden przykład!

– Harmonia była, zanim pan się tu zjawił ze swoim trupem – odparował zawiadowca.

– Kretynowo! – krzyknął Larch przez otwarte okno ruszającego pociągu. – Idiotsburg!

Ku jego wielkiemu rozczarowaniu, kiedy pociąg zajechał na stację St. Cloud’s, zawiadowcy nie było na peronie.

– Przerwa obiadowa – poinformował doktora Larcha jakiś człowiek, co było o tyle mało wiarygodne, że zapadał zmierzch.

– Może raczej kolacyjna? – wyraził powątpiewanie Larch. – A może zawiadowca nie zna się na zegarku? – dźgnął żądłem ironii. Opłacił dwóch włóczęgów, żeby zataszczyli Klarę na wzgórze, do budynku oddziału chłopięcego sierocińca.

Zdumiał go nieporządek, w jakim Homer porzucił ciało numer dwa. W ferworze akcji ratunkowej Homer zapomniał schować zwłoki. Larch zaś polecił wynajętym tragarzom wnieść Klarę właśnie do prowizorycznego prosektorium – nie uprzedzając ich, że mogą zastać na stole mocno zużytego trupa. Jeden z włóczęgów omal nie przebił ściany z przerażenia. Obaj podnieśli straszny krzyk i rejwach. Larch udał się na poszukiwanie Homera: szedł korytarzami i nawoływał go po imieniu.

– To ja się staram, jeżdżę za nowym trupem dla ciebie po całym zakichanym stanie Maine, a ty zostawiasz taką jatkę, przy otwartych drzwiach, w pomieszczeniu, do którego każdy może wejść! Homer! – wrzasnął, targany szewską pasją. – Tam, do cholery – zmitygował się zaraz. – Nie ma mowy, żeby kilkunastoletni smarkacz wydorósł, zanim mu przybędzie lat; nie wolno od smarkacza wymagać dorosłego

poczucia odpowiedzialności, ani tego, że będzie, do cholery, wykonywał robotę dorosłego człowieka!

Tak mamrotał doktor Larch, szukając Homera po całym oddziale chłopięcym – a tymczasem Homer Wells spał kamiennym snem na białym metalowym łóżku doktora w pokoju zabiegowym, gdzie padł po operacji. Możliwe, że unosząca się dokoła łóżka woń eteru podziałała na Homera jako dodatkowy czynnik oszalamiający, chociaż doprawdy nie trzeba mu było środka nasennego po blisko czterdziestu godzinach spędzonych przy porodzie pacjentki z eklampsją.

Siostra Angela zatrzymała doktora Larcha, zanim zdążył znaleźć i obudzić Homera Wellsa.

– Co tu się działo? – zażądał wyjaśnień doktor Larch. – Czy nikogo, do jasnej cholery, nie obchodzi, gdzie ja się podziewałem przez ten cały czas? I dlaczego ten chłopak zostawia na widoku trupa, który wygląda jak ofiara wojny? Człowiek wyjeżdża na jedną głupią noc – i proszę, co zastaje po powrocie!

Siostra Angela szybko wyprowadziła doktora z błędnych wniosków. Oświadczyła mu, że tak drastycznego przypadku konwulsji porodowych nie widziała jeszcze nigdy w życiu – a widywała ich wiele, w swoim czasie. Wilbur Larch też był świadkiem tej przypadłości. Podczas praktyki w Bostońskim Szpitalu Położniczym stracił wskutek eklampsji wiele pacjentek, a nawet jeszcze w roku 194- przyczyną blisko jednej czwartej zgonów przy porodzie były właśnie wspomniane konwulsje.

– I Homer sobie z tym poradził? – dziwił się Larch, czytając raport Homera. Zbadał położnicę, która czuła się dobrze, i wcześniaka płci męskiej, który był normalny i zdrowy.

– Cały czas był prawie tak spokojny jak ty, Wilburze – zapewniła go z podziwem w głosie siostra Edna. – Możesz być z niego dumny.

– Moim zdaniem, to anioł – dodała siostra Angela.

– Zachmurzył się nieco, kiedy przyszło do uwolnienia wód płodowych – przypomniała sobie siostra Edna – ale wszystko wykonał prawidłowo.

– Działał pewnie i precyzyjnie – uzupełniła siostra Angela.

Spisał się prawie bezbłędnie – uznał doktor Larch. – To wprost zdumiewające. „Prawie” odnosiło się do drobnych niedociągnięć: w drugim dwunastogodzinnym etapie operacji Homer nie policzył ataków drgawek (choć uczynił to, zgodnie z regułą, w pierwszych dwunastu godzinach); nie podał też w raporcie liczby i opisu nasilenia konwulsji (w ogóle o nich nie wspomniał) w ciągu dziesięciu godzin od wystąpienia pierwszych skurczów do chwili urodzenia dziecka. Drobne uchybienia.

Wilbur Larch był dobrym nauczycielem: wiedział, że nie należy psuć pochwały pod adresem ucznia tak trywialną krytyką. Homer Wells wykonał wszystkie etapy zabiegu prawidłowo – wprost idealnie.

– On nie ma jeszcze dwudziestu lat, prawda? – upewnił się Larch. Ale siostry Edny już przy nim nie było; kompletnie wykończona, poszła do łóżka. Przyśnił jej się sen, w którym heroizm Homera miał wyraźny związek z mocno już zaawansowanym uczuciem miłości siostry Edny do Larcha – spała tej nocy doskonale. Siostra Angela natomiast wciąż była na nogach. Doktor Larch znalazł ją w biurze. Gdy zapytał, dlaczego noworodek jeszcze nie został nazwany, siostra Angela wyjaśniła mu, że tego dnia wypadła kolej siostry Edny, a siostra Edna była zanadto zmęczona, żeby coś wymyślić.

– To przecież czysta formalność – zauważył Wilbur Larch. – Niech w takim razie siostra go nazwie; chcę, żeby się jakoś nazywał. Chyba nic się nie stanie, jak raz odstąpią siostry od zasady kolejki?

Ale siostra Angela miała lepszy pomysł. To było dziecko Homera

– Homer uratował i je, i matkę. To dziecko powinien nazwać Homer Wells – orzekła siostra Angela.

– Ma siostra rację – przyznał doktor Larch, puszczając się z dumy na myśl o cudownym człowieku, którego sam stworzył.

Homera Wellsa czekał więc dzień nadawania imion: w tym jednym dniu przyszło mu nazwać ciało numer trzy i pierwszą własną sierotę. Trupowi dał imię Klara, a noworodka nie mógł przecież nazwać inaczej niż Dawid Copperfield. Co prawda czytał właśnie *Wielkie nadzieje*, które jako książkę przedkładał nad *Dawida Copperfielda*, ale nie uważał imienia Pip za nadające się dla kogokolwiek, a i do samej postaci Pipa nie odczuwał tyle sympatii co do małego Dawida. Bez trudu wywiązał się więc z pierwszych zadań tego dnia, do którego wstał świeży i wypoczęty, zdolny stawić czoło misjom o wiele trudniejszym niż nadawanie imion.

Przespał prawie bez przerwy całą poprzednią noc. Tylko na chwilę przebudził się ze świadomością, że leży w pokoju zabiegowym i że doktor Larch wrócił, jest w tym samym pokoju i chyba mu się przygląda

– ale Homer nie otworzył oczu. Obecność Larcha rozpoznał po słodkawym zapachu eteru, który towarzyszył mu jak woń stale używanej wody kolońskiej, i po miarowym oddechu. Przez chwilę czuł na czole lekki dotyk dłoni doktora, nawykłej do sprawdzania temperatury. Homer Wells – niespełna dwudziestoletni położnik o

wysokich kwalifikacjach, znający się jak niejeden lekarz po akademii na „żeńskich organach rozrodczych” – ani drgnął; udawał, że śpi.

Doktor Larch nachylił się nad nim i bardzo lekko pocałował Homera w usta. Homer usłyszał jego szept:

– Brawo, Homerze.

Poczuł drugi, jeszcze lżejszy pocałunek.

– Brawo, synu – szepnął doktor Larch i zostawił Homera samego.

Ciche łzy wezbrały pod powiekami Homera; było ich więcej niż ostatnim razem, kiedy Homer płakał – po śmierci Fuzzy’ego Stone’a i kłamliwej wersji losów Fuzzy’ego przedstawionej Snowy’emu Meadowsowi i innym chłopcom. Teraz płakał o wiele dłużej, bezgłośnie; rano musiał zamienić poduszkę doktora Larcha, bo była cała mokra. Homer płakał, ponieważ otrzymał pierwszy w swym życiu ojcowski pocałunek.

Oczywiście, Melony go całowała – chociaż ostatnio nie za często. I siostra Angela, i siostra Edna nieraz poczęstowały go całusem w policzek – ale siostry każdego całowały. Za to doktor Larch nigdy przedtem nie pocałował Homera – a teraz aż dwa razy!

Homer Wells płakał, bo nie przypuszczał, że pocałunek ojcowski jest taki przyjemny; płakał również z żalu, że doktor Larch zapewne nigdy więcej nie zrobi tego, co zrobił – a i teraz nie zdobyłby się na to, gdyby wiedział, że Homer nie śpi.

Doktor Larch wrócił na oddział położniczy: nie mógł się nadziwić dobremu stanowi pacjentki po eklampsji i jej malutkiego, lecz całkiem krzepkiego potomka, który nazajutrz rano miał stać się sierotą Dawidem Copperfieldem („Dawid Copperfield junior” – mówił o nim z upodobaniem doktor Larch). Następnie Larch udał się do gabinetu siostry Angeli i siadł przy maszynie do pisania, ale nic nie umiał z siebie wykrzesać. Nawet myśleć nie mógł przytomnie, tak się przejął dwukrotnym pocałowaniem Homera Wellsa. Bo dla Homera były to pierwsze ojcowskie pocałunki – ale Wilbur Larch nikogo (po ojcowsku, czy nie po ojcowsku) nie całował od dnia, gdy w portlandzkim burdelu złapał trypra od pani Eames. Co zaś do tamtych pocałunków, to trzeba je zaliczyć do młodzieńczych eksperymentów, a nie dowodów miłości. O Boże – pomyślał z przerażeniem Wilbur Larch – co ze mną będzie, kiedy Homer pójdzie w świat?

Dokądkolwiek Homer odejdzie z St. Cloud’s, nie znajdzie tam równie wielkich emocji, równie trudnych zadań, równie wielkiego smutku i przygnębienia; znajdzie

życie przyjemne. A jak na Homera Wellsa, z jego sierocą przeszłością, podziela przyjemne życie? Czy go z miejsca nie uwiedzie? Przecież każdy woli życie przyjemne od nieprzyjemnego.

Co w takim Heart's Haven albo Heart's Rock wiedzą o kłopotach i kto tam stara się być użyteczny dla innych?

No tak – Oliwia Worthington. Znosiła grubiańskie maniery brata Bucky'ego, brudny osad z gliny w basenie i ślady na dywanach. Wielkie rzeczy! Poza tym Oliwia martwiła się, czy jej syn Wally będzie miał dość inicjatywy, zdolności i zapału do rozwijania jabłkowego interesu – czy też może wda się w Seniora, czyli zostanie beztroskim przystojniakiem, z latami coraz bardziej żalonym. I czymże były te troski w porównaniu z problemami w St. Cloud's? Czy wobec dzieła Bożego i Szatańskiej roboty nie były to problemy trywialne? Czy przyjemne życie nie sprowadzało się do płytkich banałów?

A jednak i w przyjemne strony zaglądną kłopoty: kłopoty podróżują, nigdy nie wiadomo, kogo nawiedzą. Zdarza się nawet, że biorą urlop od miejsc, gdzie mieszkają na stałe, takich jak St. Cloud's.

Kłopoty, które nawiedziły Heart's Haven i Heart's Rock należały do gatunku trywialnych i pospolitych: zaczęły się, jak to często kłopoty, od miłości.

„U nas w St. Cloud's – zanotował w dzienniku Wilbur Larch – trudno sobie wyobrazić, że ktoś się zakocha: zakochanie się tutaj zakrawałoby na niedopuszczalny luksus.” Larch nie wiedział, że siostra Edna jest w nim zakochana od pierwszego wspólnego dnia, za to słusznie podejrzewał, że cokolwiek łączyło Melony i Homera Wellsa, nie zasługiwało raczej na miano miłości. A już na pewno nie było miłością to, Co w tych dwojgu pozostało, kiedy minęło wstępne zauroczenie. Albo ta fotografia córki pani Eames z penisem kuca w ustach – najstarsza rezydentka St. Cloud's: nie miała przecież nic wspólnego z miłością. Była tak daleka od miłości jak Heart's Haven i Heart's Rock od St. Cloud's.

„Wszędzie indziej na świecie – pisał dalej Wilbur Larch – ludzie, odnoszę wrażenie, zakochują się na każdym kroku.”

Nawet jeżeli nie na każdym kroku, to bardzo często. Na przykład młody Wally Worthington uważał, że był zakochany dwa razy przed ukończeniem dwudziestu lat, i jeszcze raz w dwudziestym pierwszym roku życia, a teraz, w roku 194- (był raptem o trzy lata starszy od Homera Wellsa), zakochał się po uszy po raz czwarty. Nie podejrzewał, że to już na dobre.

Wybranka serca Wally'ego, z którą miał się związać na resztę życia, była córką poławiacza homarów – ale nie byle jakiego poławiacza homarów, toteż i panna była nie byle jaka. Raymonda Kendalla, mistrza w swoim fachu, inni poławiacze homarów obserwowali z podziwem przez lornetki, kiedy wypływał i zakładał przynętę w sakach. Kiedy Kendall wymieniał linki kotwiczne, wszyscy robili to samo. A gdy zamiast wypływać w morze zostawał w domu albo na przystani i latał saki, inni też zostawali w domu i latali saki. Mimo to nikt mu nie umiał dorównać: Kendall nastawiał takie mnóstwo saków, że zatoka Heart's Haven upstrzona jego czarno-pomarańczowymi bojami wyglądała jak teren jakichś wielkich zawodów połowowych. Delegacja absolwentów Yale z Klubu Haven próbowała namówić Kendalla do zmiany barw na niebiesko-białe, ale mistrz burknął im tylko, że nie ma czasu na wygłupy. Zwracały się do niego także inne delegacje z Klubu Haven, i to nie tylko w sprawie koloru boi.

Klub Haven miał swoją siedzibę *vis-a-vis* najdalej wysuniętego cypla zatoki Heart's Haven, na którym Raymond Kendall dawno temu urządził przystań i basen na homary. Mieszkał nad tym basenem. Powierzchnowy obserwator mógłby poprzez kierowane do Kendalla apele Klubu Haven o większą dbałość o zajmowany teren. Gospodarstwo Kendalla było bowiem, w opinii letników, zakałą pejzażu zatoki, charakteryzującego się naturalnym pięknem, okiełznanym – przy niemałym nakładzie kosztów – dbałą ręką ludzką. A u Kendalla nawet w oknach sypialni dyndały boje na różnych etapach odmalowania. Saki na homary piętrzyły się na jego przystani tak wysoko, że z brzegu nie dało się dostrzec, czy po drugiej stronie cypla cumują jakieś łodzie. Parking przy basenie na homary był zawsze pełny – i to nie samochodów klientów (na które nigdy nie było tam miejsca), lecz najrozmaitszych wozów dostawczych i osobowych, przy których Raymond Kendall „dłubał”, oraz potężnych, tłustych od smaru silników łodzi, którymi pływał na połów.

Całe otoczenie wysuniętej na czoło krajobrazu posesji Raymonda Kendalla tchnęło atmosferą warsztatu naprawczego podrzędnej kategorii: każda rzecz była „w robocie” – ledwo zaczęta, rozebrana na części, świeżo malowana albo niekompletna – a nad wszystkim panowały hałasy: ciągły warkot generatora przepompowującego wodę w basenie z homarami i oleiste bekanie silnika łodzi pracującego na luzie. Co do zapachów, to wyróżniały się: woń lin przesiąkniętych smarem okrętowym, jakby-rybi-ale-inaczej zapach homarów oraz woń benzyny i oleju silnikowego, które tęczową warstwą pokrywały obszar oceanu należący do Kendalla (a zamieniony w istną zupe przez wodorosty i pobrażki, nad którymi suszyły się żółte gumowe kombinezony

rybackie). Raymond Kendall najdosłowniej żył pracą; lubił ją stale widzieć dookoła siebie; przystań na cyplu zatoki Heart's Haven była jego pracownią artystyczną.

Talenty artystyczne Raymonda Kendalla nie ograniczały się do homarów: Kendall był również mistrzem w gromadzeniu rupieci, które każdy inny człowiek wyrzuciłby bez chwili wahania. Zapytany o zawód, Raymond Kendall nigdy nie odpowiadał, że jest poławiaczem homarów – nie żeby się tego wstydził, tylko prawdziwą dumę czerpał ze swych zdolności do mechaniki. Najchętniej mawiał o sobie: „Wykonuję drobne naprawy”.

I chociaż Klub Haven miał do niego pretensje o to, że psuje sielski krajobraz, wystawiając swoje majsterkowanie na widok publiczny – to jednak nie wyrażał tych pretensji zbyt głośno, bo Raymond Kendall – złota rączka – dla Klubu też reperował różne rzeczy. Zreperował, na przykład, filtry w klubowym basenie pływackim – a trzeba pamiętać, że działo się to w czasach, kiedy mało kto miał własny basen, a na remontach filtrów nie znał się absolutnie nikt. Zresztą, Raymond Kendall też widział wtedy filtry po raz pierwszy. Popatrzył i powiedział:

– Na zdrowy rozum, to powinno być tak.

Usunięcie awarii zabrało mu dziesięć minut.

Powiadano, że Ray Kendall wyrzuca tylko jeden rodzaj przedmiotów: resztki jedzenia. Rozsiewał je za burtą łodzi albo z samego końca cypla, a jeśli komuś się to nie podobało, wyjaśniał: „Ja tylko karmię homary, które mnie karmią” albo: „Ja tylko karmię mewy, które są na pewno głodniejsze od pana i ode mnie”.

Powiadano też, że Ray Kendall ma więcej forsy niż Senior Worthington, chociaż, na dobrą sprawę, nie wydawał ani grosza – chyba że na córkę. Córka Kendalla uczęszczała do prywatnej szkoły z internatem, razem z dziećmi członków Klubu Haven. Co rok Raymond Kendall uiszczał też słoną składkę członkowską w Klubie Haven – nie za siebie, bynajmniej (sam pojawiał się w Klubie tylko na wyraźne, imienne zaproszenie – żeby coś naprawić), lecz za córkę, która tam uczyła się pływać w podgrzewanym basenie i brała lekcje tenisa na korcie zaszczytanym obecnością młodego Wally'ego Worthingtona. Córka Kendalla miała ponadto własny samochód, prezentujący się, co prawda, dość egzotycznie na parkingu Klubu Haven, gdyż jego naturalnym środowiskiem była rupieciarnia przy basenie z homarami. Auto panny Kendall złożone zostało z nadających się jeszcze do użytku części licznych wraków samochodowych: jeden zderzak, nie pomalowany, przytroczony był do karoserii drutem; na masce pysznił się emblemat forda, na bagażniku – chryslera; drzwi po stronie pasażera nie otwierały się. Był to zarazem jedyny samochód z



parkingu Klubu Haven, któremu nigdy nie wysiadł akumulator, i jedyny, który zawsze zapalił. Gdy ktoś z Klubu miał problem z uruchomieniem swojego auta, zaraz szukał córki Raymonda Kendalla, która wozila w swoim gracie kable łączowe i nauczona była przez ojca, jak ich używać.

Część bajecznej fortuny, o którą pomawiano Raymonda Kendalla, wpływała do jego kieszeni w formie gaży z kasy Oliwii Worthington: dostawca homarów trudnił się dodatkowo obsługą maszyn i pojazdów w majątku Sady Z Widokiem Na Ocean. Oliwia Worthington płaciła mu pełną pensję brygadzysty, ponieważ na jabłkach znał się niewiele gorzej niż na homarach (a do tego był wprost nieodzowny w roli dyżurnego mechanika), chociaż Ray z góry kategorycznie zapowiedział, że nie będzie u niej pracował więcej niż dwie godziny dziennie. Sam też ustalał, które to mają być godziny: raz zjawiał się rankiem, bo pogoda nie sprzyjała wyjściu w morze; innym razem pod sam koniec dnia pracy – w samą porę, żeby wysłuchać narzekań pracowników sadu na zatykający się rozpylacz cysterny Hardie, niesprawną pompę zraszacza firmy Bean, strzelający gaźnik traktora marki Deere czy brak koordynacji funkcji kombajnu International Harvester. Wystarczył jeden rzut oka i Ray Kendall wiedział, co i jak się wygięło w ostrzach kosiarki, co blokuje dźwignię kombajnu, czemu pas transmisyjny nie chce się przesuwac, dlaczego ciężarówka nie zapala i czemu prasa do jabłek ni stąd, ni zowąd staje. Raymond Kendall w dwie godziny zrobił więcej niż inny mechanik przez cały dzień; w dodatku prawie nigdy nie wymagał od Oliwii Worthington dokupienia takiej czy innej nowej części do maszyny.

Z inicjatywą wymiany części na nową występowała zawsze sama Oliwia.

– Czy zauważył pan, Ray, że sprzęgło w traktorze coraz częściej wymaga naprawy? – pytała uprzejmie. – Nie sądzi pan, że należałoby je wymienić?

Lecz Raymond Kendall był istnym chirurgiem wśród mechaników – jak lekarz, miał wrodzony odruch sprzeciwu wobec śmierci – a wymianę części pojmował jako przyznanie się do własnej nieudolności, do porażki. Dlatego prawie zawsze odpowiadał:

– Jeszcze poczekajmy, pani Oliwio; jak już tyle razy naprawiłem, to i teraz naprawię. Naprawię tyle razy, ile będzie trzeba.

Oliwia szanowała pogardę Raymonda Kendalla dla ludzi nie znających się na swoim fachu i „w ogóle niezdolnych do roboty”. Zgadzała się z nim w tym względzie co do joty, a poza tym była mu wdzięczna, że pogardą dla nieudaczników nie obejmuje ani Seniora, ani jej ojca, Bruce’a Beana. Zresztą, co do Seniora Worthingtona, to w

obracaniu pieniędzmi był takim ekspertem, że osiągał sukcesy finansowe pracując nie dłużej niż godzinę dziennie, i to najczęściej przez telefon.

– Sad – mawiała Oliwia o ukochanych jabłkach – przetrwa złą pogodę, nawet gdyby przypadła na porę kwitnienia.

Przez złą pogodę Oliwia rozumiała wiatr – uporczywy wiatr od morza, który pszczoły Iry Titcoma zniechęcał do opuszczania uli, a dzikie pszczoły wywiewał z powrotem do lasu, gdzie zapylały wszystko, tylko nie jabłonie.

– Sad przetrwa nawet marne zbiory – mawiała dalej Oliwia, mając zapewne na myśli deszcze, które sprawiają, że owoc jest oślizły, spada z drzewa, ulega uszkodzeniu i nadaje się potem najwyżej na wino; albo mając na myśli huragan – największe zagrożenie dla nadmorskich sadów.

– Sad przetrwałby nawet, gdyby mnie się coś stało – twierdziła skromnie Oliwia, na co odzywały się głosy protestu Seniora Worthingtona i Wally’ego.

– Sad nie przetrwałby tylko jednej katastrofy – podsumowywała. – Straty Raya Kendalla.

Chodziło jej o to, że bez Raymonda żadna maszyna nie funkcjonowałaby należycie albo stale trzeba by było wszystko kupować nowe, a i to wkrótce działałoby nie lepiej niż stare graty, które jedynie Ray umiał pobudzić do życia.

– Wątpię, mamó – dodawał młody Wally – czy bez Raymonda Kendalla przetrwałyby całe Heart’s Haven i Heart’s Rock.

– Wznoszę toast na cześć Raymonda Kendalla – oświadczał Senior Worthington i natychmiast pieczętował oświadczenie czynem, na co Oliwia robiła minę tragiczną, a młody Wally dyplomatycznie zmieniał temat.

Mimo iż Ray Kendall pracował dwie godziny dziennie w majątku Z Widokiem Na Ocean, nigdy nie widziano, żeby zjadł chociaż jedno jabłko; rzadko też jadał homary (wolał kurczaka, kotlet wieprzowy albo zwyczajnego hamburgera). Kilku żeglarzy uczestniczących w regatach Klubu Haven zaklinało się, że przepływając opodal kutra Raya Kendalla holującego saki z homarami, czuli wyraźnie woń smażonych na pokładzie hamburgerów.

Żeby nie wiedzieć jakie bajki wymyślano o etyce zawodowej Raymonda Kendalla, żeby nie wiedzieć jakie stawiano mu zarzuty w związku z graciarnią, którą się otaczał – nie dało się powiedzieć złego słowa o jego pięknej córce. Jediną jej wadą było imię, a o to doprawdy trudno ją było obwiniać (któż bowiem nadałby sobie z własnej woli imię Kandyda, skazując się tym samym na potoczne zdrobnienie Candy – „cukiereczek?”), zwłaszcza że tak nazywała się jej zmarła matka, a więc i matkę

trudno za to winić. Kandyda „Candy” Kendall ochrzczona została po matce, która zmarła przy jej urodzeniu. Raymond dał córce imię zmarłej żony, którą wszyscy lubili i która za życia utrzymywała mężowski basen z homarami i przystań we względnym porządku. Czy można krzywić się na imię nadane z miłości?

Wystarczyło poznać Candy, żeby wiedzieć, że żaden z niej „cukiereczek”. Była czarująca – ale nigdy fałszywie słodka; wyróżniała się wielką, naturalną urodą – ale nie miała w sobie nic z laleczki. Z całej postaci Candy emanowała rzetelność: miła dla wszystkich, była zarazem praktyczna, a przy tym dobrze ułożona, energiczna w działaniu i śmiała w dyskusji, chociaż nigdy nie podnosiła głosu. Uskarżała się wyłącznie na swoje imię, ale czyniła to z humorem, aby broń Boże nie urazić ojca – bo nigdy nikogo celowo by nie uraziła. Potrafiła łączyć ojcowskie umiłowanie solidnej pracy z wiedzą i nienagannymi manierami, które jej ojciec zafundował; zarówno praca fizyczna, jak subtelny wysiłek umysłowy, przychodziły jej z łatwością. Nawet panny z Klubu Haven (jak również nie należące do Klubu panny z Heart’s Haven i Heart’s Rock), zazdrosne o względy, które jej okazywał Wally Worthington, nie potrafiły nie lubić Candy Kendall. Gdyby Candy była sierotą – choćby i w St. Cloud’s – kochałaby się w niej połowa sierocińca.

Nawet Oliwia Worthington lubiła Candy – a Oliwia bardzo krytycznie przyglądała się dziewczętom, z którymi Wally chodził na randki: posądzała je o nieczyste zamiary. Zbyt dobrze sama pamiętała, jak bardzo pragnęła za wszelką cenę wyrwać się z marazmu domu rodzinnego i przenieść w bajkowy, zielony i kuszący jak rajskie jabłuszko świat Worthingtonów, świat Z Widokiem Na Ocean. Wspomnienie własnej młodości kazało Oliwii mieć oko na dziewczyny, którym mogło bardziej zależeć na luksusach życia w majątku Z Widokiem Na Ocean niż na Wallym. Nie żywiła podobnych obaw pod adresem Candy, gdyż Candy najwyraźniej uważała życie nad basenem z homarami za ideał szczęśliwości, a na ojcowskie prostactwo patrzyła z rozczuleniem dorównującym dumie z jego zdolności. Dzięki tym ostatnim otrzymała staranne wychowanie i wykształcenie. Nie goniła za pieniędzmi i znacznie chętniej wyciągała Wally’ego na pływanie po zatoce – za niebezpiecznym śmietniskiem wód przystani Raya Kendalla – niż chlapała się z nim w basenie Klubu Haven albo w prywatnym, przydomowym basenie Worthingtonów, gdzie czuła się mile widziana. W głębi serca Oliwia Worthington obawiała się, że to Candy Kendall jest zbyt doskonała dla jej syna, a nie na odwrót: Wally był młodzieńcem dość niefrasobliwym, a już z pewnością nie przedsiębiorczym, chociaż miał bez wątpienia wiele uroku osobistego i złote serce.

Ponadto, Candy budziła w Oliwii bolesne skrupuły w związku z matką, Maud Bean, która w pamięci Oliwii pozostała kukłą, znieruchomiałą wśród kosmetyków i małży. Candy ubóstwiała swoją matkę (której nigdy nie widziała), i tego właśnie zazdrościła jej Oliwia. Widząc bezgraniczną dobroć Candy, Oliwia wstydziała się pogardy dla własnych korzeni – matki-dziwaczki, ojca-gamonia i brata-chama.

Candy często się modliła przy ołtarzykach poświęconych matce, które Raymond Kendall pobudował (z autentycznych elementów ołtarzy) we wszystkich pokojach na górze, nad stale gulgoczącym akwariem z homarami. Dom był ponadto pełen wystawionych na pokaz zdjęć młodej matki Candy; na wielu z nich pojawiał się przy niej młody ojciec Candy – pełen wigoru i wiecznie roześmiany – tak inny od ojca, którego znała, że czasem zerkała na Raya ukradkiem, jak na kogoś z obcego świata, z niedostępnego jej świata matki.

Powiadano, że matka Candy okiełznała dzikiego Raya. Była wesoła, ambitna i pełna tej samej niespożytej energii, którą Raymond Kendall przejawiał tylko wobec pracy, a Candy wobec wszystkiego, do czego się wzięła. Na małym stoliku w kuchni, między rozebraną skrzynką iskrownika a wymontowanym (z maszyny firmy Evinrude) układem zapłonowym, stał tryptyk fotograficzny, przedstawiający Raymonda i Kandydę podczas ceremonii ślubnej, kiedy to Ray Kendall po raz pierwszy i ostatni w życiu pojawił się w Klubie Haven nie w kombinezonie i nie po to, żeby coś naprawić.

W sypialni Raya, na nocnej szafce, obok przełącznika kolankowego do silnika Johnsona (wewnątrzpokładowego, bo był i Johnson” zewnątrzpokładowy), stało zdjęcie Kandydy i Raymonda ubranych w gumowe, rybackie kombinezony i holujących saki z homarami na spienionym oceanie. Na tym zdjęciu każdy – a zwłaszcza Candy – widział wyraźnie, że Kandyda jest w ciąży, a mimo to wykonuje ciężką pracę.

Candy trzymała w swoim pokoju fotografię matki zrobioną, gdy Kandyda miała dokładnie tyle lat, co Candy w tym miejscu naszej opowieści – a Candy miała dokładnie tyle lat, co Homer Wells. Panna Kandyda Talbot – z tych Talbotów z Heart’s Haven, szczyjących się od niepamiętnych czasów członkostwem Klubu Haven – ubrana była w długą, białą suknię (do tenisa! – kto by pomyślał), a poza tym wyglądała kropka w kropkę jak Candy. Zdjęcie wykonano latem w roku, w którym Kandyda poznała Raya (starszego od siebie, ciemnowłosego herkulesa, z ambicją naprawienia i uruchomienia absolutnie wszystkich rzeczy na świecie). Nawet jeżeli był po trosze prostakiem i wszystko traktował odrobinę zbyt poważnie, to o pracy

zawsze mówił z radością; inni chłopcy z Klubu Haven wyglądali przy Rayu na zniewieściałych dandysów i maminsynków.

Candy była blondynką, po matce, jednak o ciemniejszym niż matka odcieniu; również Wally i Oliwia Worthington (ona za młodu) mieli włosy znacznie od niej jaśniejsze. Po ojcu Candy odziedziczyła śniadą cerę i prawie czarne oczy oraz wzrost. Ray Kendall był postawny i wysoki. Śmiał się czasem, że to poważna wada u poławiacza homarów i mechanika – bo poławiacz homarów stale dźwiga i holuje ciężary, a jeśli jest wysoki, musi się przy tym schylać, co nadweręża kręgosłup, a mechanik powinien być mały, żeby się wśliznąć pod każde podwozie. Candy, jak na kobietę, zdecydowanie wyróżniała się wzrostem – fakt ten tylko odrobinę onieśmiał Oliwię Worthington i stanowił w jej oczach minimalną skazę na osobie właściwej kandydatki na żonę Wally’ego.

Oliwia Worthington też nie była ułomkiem (górowała wzrostem nad Seniozem, zwłaszcza odkąd się garbił i szurał nogami) i zawsze z pewną rezerwą odnosiła się do osób wyższych od siebie. Zaliczał się do nich jej syn, Wally: Oliwię niekiedy to peszyło, zwłaszcza gdy miała chęć go wyłajać.

– Czy Candy jest wyższa od ciebie, Wally? – zapytała go kiedyś znieczeka, jak gdyby myśl ta nagle ją przeraziła.

– Nie, mamu, jesteśmy dokładnie jednego wzrostu – uspokoił ją Wally.

Miał rację. I to właśnie budziło w Oliwii Worthington dziwny niepokój: że ci dwoje są tak niesamowicie do siebie podobni. Oby ich wzajemna fascynacja nie okazała się formą samouwielbienia! – martwiła się Oliwia. A ponieważ oboje byli jedynakami, każde mogło dostrzegać w tym drugim zawsze upragnionego brata/upragnioną siostrę. Wilbur Larch pojałyby w lot troski Oliwii Worthington: on też zawsze się czymś martwił. Jako tandem, wygraliby w tej kategorii z resztą świata.

Oboje wyznawali teorię o istnieniu „reszty świata”, rozumianej jako wszystko, co nie jest ich wyłącznym dziełem. Oboje też byli wystarczająco inteligentni, aby rozumieć, dlaczego boją się „reszty świata”: wiedzieli doskonale, że choćby nie wiem jak się starali, zachowują jedynie marginalną kontrolę nad owocami swego misternego stworzenia.

Gdy Candy Kendall i Wally Worthington zakochali się w sobie nawzajem latem roku 194-, spełnili po prostu z dawien dawna żywione oczekiwania całego Heart’s Haven i Heart’s Rock – dziwiono się jedynie, że tak późno stwierdzili ten dla wszystkich oczywisty fakt. Oba miasteczka od lat uważały, że Candy i Wally są dla siebie stworzeni. Nawet zrzędlawy Raymond Kendall poparł ich związek. Ray uważał,

że Wally jest roztrzepańcem – ale to przecież nie to samo co nygus, a serce miał ten chłopak niewątpliwie złote. Ray aprobował ponadto matkę Wally’ego: bardzo mu się podobał szacunek Oliwii Worthington dla ludzkiej pracy.

Wszyscy z żalem patrzyli na wyłączenie z układu nieszczęsnego Seniora, którego pijaństwo (tak to przynajmniej interpretowano) postarzało w zastraszającym tempie.

– Zobaczysz, Alice – prorokował grubiańsko Bucky Bean, zwracając się do Oliwii. – Jeszcze dzień, dwa, a facet zacznie lać w spodnie w miejscach publicznych.

Co do Candy, to uważała Oliwię Worthington za ideał teściowej. Wyobrażając sobie własną matkę starszą niż w dniu śmierci, naturalnie postarzała w laskawszym świecie, Candy zawsze widziała postać podobną do Oliwii Worthington. Wyobrażała sobie, że Kandyda Kendall miałyby równie wykwintne jak Oliwia maniery, nawet gdyby nie przemawiała nienaganną uniwersytecką angielszczyzną. Candy sama miała za rok podjąć studia w college’u, jednak absolutnie nie zamierzała zmieniać akcentu. Pomijając akcent, Oliwię uważała za wspaniałą pod każdym względem. Senior był dla niej postacią żalospną, ale wzruszała ją jego rzewna słodycz.

Krótko mówiąc, wszyscy radowali się tym romansem, wróżącym małżeństwo z Bożej łaski jak mało który romans w Heart’s Haven i Heart’s Rock. Oczywiście, Wally musiał najpierw ukończyć studia, a i Candy – gdyby zechciała – powinna mieć na to czas przed ślubem. Znając jednak talent Oliwii do zamartwiania się, można by przypuszczać, że w głębi duszy przeczuła możliwość i powody zmiany tych szczytnych planów. Był, bądź co bądź, rok 194-, w Europie trwała wojna i coraz powszechniej obawiano się, że niebawem włączy się w nią nie tylko Europa. Oliwia jednak, jak to matka, starała się nie myśleć o wojnie.

Za to Wilbur Larch od dawna myślał o wojnie w Europie. Sam uczestniczył w poprzedniej wojnie i z niepokojem przewidywał, że do następnego światowego konfliktu może dojść, gdy Homer Wells wejdzie w wiek poborowy. A ponieważ dobry doktor Larch uważał, że jest to najgorszy wiek dla mężczyzny, uczynił wszystko, aby Homer Wells nie musiał iść na wojnę, nawet gdyby wojna wybuchła.

Larch był, jak wiadomo, kronikarzem St. Cloud’s. On jeden prowadził rejestr lokalnych zdarzeń, opatrzone komentarzem filozoficznym. Niekiedy jednak włączał do relacji element fikcji literackiej. Na przykład, w przypadku Fuzzy’ego Stone’a – i w podobnych, niezmiernie rzadkich, przypadkach śmierci sieroty pozostającej pod jego opieką – Wilbur Larch odmówił uznania faktów i rejestracji prawdy o przedwczesnym

końcu ledwie zaczętego żywota. Wybrał *happy end* – i powiedzmy sobie szczerze: przynajmniej tyle mu się należało na pociechę.

Tym nielicznym sierotom, które zmarły, doktor Larch ofiarował w kronice dłuższe życie. I tak, na przykład, jego wersja biografii F. Stone'a stanowiła model życia, jakie Larch wymarzył sobie dla Homera Wellsa. Dzięki wyjątkowo udanej adopcji (każdy z członków rodziny adopcyjnej został skrupulatnie scharakteryzowany) i nader pomyślnej terapii, która zakończyła kłopoty z oddychaniem, Fuzzy podjął naukę w College'u Bowdoina (macierzystej szkole Wilbura Larcha), a potem studia medyczne na Harvardzie; idąc zaś dalej śladem Larcha, praktykę internistyczną odbywał w Bostońskim Szpitalu Położniczym. Larch zamierzał w dalszej opowieści uczynić Fuzzy'ego Stone'a zdolnym położnikiem. Fikcyjna biografia Fuzzy'ego nie miała luk – była wzorem skrupulatności, jak wszystko, co robił Wilbur Larch (z ewentualnym wyjątkiem zażywania eteru). Larch sam z przyjemnością stwierdzał, że niektóre fragmenty jego fikcyjnych żywotów są znacznie bardziej wiarygodne niż autentyczne losy niejednego z żywych wychowanków.

Weźmy Snowy'ego Meadowsa: adoptowała go rodzina z Bangor, nazwiskiem Marsh. To przecież zakrawało na kiepski żart – żeby Meadows („łaka”) stał się Marshem („bagnem”). Wilbur Larch szczyił się pomysłami literackimi na znacznie wyższym poziomie. Marshowie żyli z mebli. Snowy (któremu nadali nowe, pozbawione polotu imię Robert) niedługo zabawił na Uniwersytecie Maine, gdyż wkrótce po rozpoczęciu studiów poślubił miejscową ślicznotkę i wszedł w rodzinny interes meblarski: zajął się sprzedażą.

„Do grobowej deski!” – napisał Snowy do doktora Larcha o uczuciu łączącym go z panną, przez którą rzucił studia. – „A praca w meblach jest fantastyczna!”

W każdym liście do doktora Larcha Snowy Meadows, *alias* Robert Marsh, pytał: „A co tam słyhać u Homera Wellsa?” Maluczko – myślał Larch – a Snowy Meadows zaproponuje zorganizowanie zjazdu byłych wychowanków! Larch zawsze długo – niekiedy parę dni – namyślał się, co odpisać Snowy'emu Meadowsowi w związku z Homerem; bardzo chciał pochwalić się mistrzowską akcją Homera przy pacjentce z eklampsją, wiedział jednak, że niektórym może się nie podobać szkolenie Homera, nie mówiąc już o Bożym dziele i Szatańskiej robocie, praktykowanych w St. Cloud's.

„Homer wciąż jest z nami” – odpisywał ogólnikowo doktor Larch. Doszedł do wniosku, że Snowy jest wścibski. Snowy nigdy też nie omieszkał spytać w liście o Fuzzy'ego Stone'a.

„A co tam ostatnio u Fuzzy’ego?” – pisał Snowy. Doktor Larch za każdym razem sprawdzał w dzienniku zmyślony życiorys Fuzzy’ego i informował Snowy’ego na bieżąco.

Ignorował natomiast ponawiane prośby Snowy’ego o adres Fuzzy’ego. Był przekonany, że początkujący sprzedawca mebli, Robert Marsh, jest namolnym głupkiem, który – gdyby mu udostępnić adres któregokolwiek z byłych wychowanków sierocińca – nie spocznie, dopóki nie założy Klubu Sierot albo Towarzystwa Sierocego. Larch żalił się nawet siostrze Ednie i siostrze Angeli na Snowy’ego Meadowsa.

– Szkoda – mawiał – że nie adoptował go ktoś spoza stanu Maine, i to z jak najdalszych okolic. Ten Snowy Meadows pisze do mnie jak do kierownika internatu! Niedługo każe mi publikować roczniki absolwentów!

Wygłaszanie podobnych uwag w obecności siostry Edny i siostry Angeli zakrawało na bezduszność – co doktor Larch uświadomił sobie, niestety, z opóźnieniem. Obie sentymentalne damy cieszyłyby się bardzo, gdyby Larch zaczął publikować roczniki byłych wychowanków: tęskniły za każdą sierotą oddaną do adopcji. Gdyby to od nich zależało, zjazdy byłych podopiecznych odbywałyby się co rok. Mało co rok – co miesiąc! Larch jęknął głucho na samą myśl o tym.

Poszedł się położyć do gabinetu zabiegowego. Myślał przy tym o drobnej modyfikacji, którą przemyślnie wprowadził w życiorys Homera Wellsa i o której pewnego dnia – jeśli okoliczności tego zażądają – powiadomi Homera. Bardzo był dumny z fikcyjnego dodatku, umiejętnie wpleczonego w autentyczną historię życia Homera Wellsa. Nie było w niej, rzecz jasna, ani słowa o szkoleniu medycznym: wystarczyło, że Larch wielokrotnie skazał sam siebie na infamię, wspominając w zapiskach o aborcji – Homer Wells nie mógł mieć z tym tematem nic wspólnego. Wilbur Larch napisał o nim natomiast, że ma wadę serca: że jego serce jest od urodzenia uszkodzone i osłabione. Zadał sobie nawet trud wprowadzenia tej informacji jako pierwszej na temat Homera – co pociągnęło za sobą konieczność odgrzebania zapisków sprzed lat i pracochłonnego przepisania wszystkiego, co tyczyło się chłopca, od początku do końca. Larchowi udało się wpleść wzmianki o wadzie serca we właściwe miejsca i nadać im ton przypadkowych napomknień. Uwagi dotyczące serca Homera sformułowane zostały ogólnikowo i bez typowej dla doktora Larcha zawodowej precyzji: słowa „wada”, „uszkodzone” i „osłabione” z pewnością nie przekonałyby wytrawnego detektywa ani nawet lekarza – a Wilbur Larch brał pod uwagę możliwość konfrontacji z takimi autorytetami. Znając tę słabą stronę



mystyfikacji, martwił się trochę, że może nie przekonać nawet Homera – zważywszy, jak wiele chłopak się nauczył. Ale, powtarzał sobie, na te zmartwienia przyjdzie – jeżeli w ogóle przyjdzie – odpowiednia pora.

Porą, którą Larch miał na myśli, była wojna – tak zwana wojna w Europie. Larch, podobnie jak wiele innych osób, obawiał się, że wojna nie poprzestanie na Europie. („Wybacz, Homerze” – ćwiczył Larch w wyobraźni rozmowę z Homerem Wellsem. – „Nie chciałem cię wcześniej martwić, ale musisz wiedzieć, że masz wadę serca: twoje serce nie wytrzyma trudów wojny.”) Prawdą zaś było, że to serce Larcha nie wytrzymałoby pójścia Homera Wellsa na wojnę.

Wilbur Larch tak bardzo kochał Homera Wellsa, że posunął się aż do zniekształcenia historii – dziedziny, w której był (co sam uczciwie stwierdzał) amatorem, lecz którą darzył najwyższą estymą i uwielbieniem. (W pierwotnej wersji akt Homera Wellsa znalazł się wpis, który doktor Larch usunął w wersji poprawionej z uwagi na niewłaściwy – a raczej nie licujący z duchem piśmiennictwa historycznego – ton spostrzeżenia; a brzmiał on następująco: „Nikogo i niczego na świecie nie kocham tak bardzo jak Homera Wellsa. Kropka”.)

Tak więc Wilbur Larch był znacznie lepiej niż Oliwia Worthington przygotowany na gruntowne zmiany istotnych planów, jakie może poczynić wojna. Oprócz wojny, istniała jednak i inna potencjalna przyczyna zmiany terminarza zaślubin młodego Worthingtona i Candy Kendall; także tę przyczynę Oliwia Worthington brała pod uwagę. Chodzi, rzecz jasna, o niepożądaną ciążę. Szkoda, że nie wzięli jej pod uwagę ani Candy, ani Wally.

Młodzi nie liczyli się z taką ewentualnością tak dalece, że kiedy Candy (do spotkania z Wallym, naturalnie, dziewczica) zaszła w ciążę, zmartwili się niezmiernie – ale i nie mniej zdziwili. Oliwia też by się zmartwiła (gdyby wiedziała), ale na pewno by się nie zdziwiła. Ciężą nie zdziwiłby się również Wilbur Larch, który doskonale wiedział, że jest to coś, co zdarza się nagminnie i prawie zawsze przypadkiem. Ale Candy Kendall i Wally Worthington – tacy piękni, tacy niewinni, tacy dla siebie stworzeni – nie mogli wprost uwierzyć, że to ich spotkało. Nie należeli do tych, którzy się wstydzą albo ze strachu ukrywają prawdę przed rodzicami – oni po prostu oniemieli wobec perspektywy przymusowej zmiany idealnych planów życiowych i konieczności zawarcia związku małżeńskiego przed ustalonym terminem.

Czy dyplom uniwersytecki był Wally’emu Worthingtonowi niezbędny do odziedziczenia sadu po rodzicach? Oczywiście, że nie. Czy studia w college’u były nieodzowne Candy Kendall? Też nie. Czy Candy Kendall nie umiałaby sama zadbać o

przyswojenie sobie dobrych manier i odrobiny wiedzy? Jasne, że umiałyby. A Wally, szczerze mówiąc, nie był typem mola książkowego, tak czy nie? Tak, tak. Miał w szkole dobre oceny z biologii, ale tylko dlatego, że matka zmuszała go do nauki tego przedmiotu, w nadziei, że bliższe zapoznanie się ze światem roślin obudzi w potomku pasję sadownika.

– Ale my nie jesteśmy na to przygotowani – powiedziała Candy do Wally’ego. – Po prostu nie jesteśmy przygotowani, prawda? Czy ty czujesz się gotowy?

– Ja cię kocham – odparł Wally. Był chłopcem dzielnym i prawdomównym. Candy, która nie uroniła ani jednej łzy w związku z zaskakującym stwierdzeniem, że jest w ciąży, też kochała Wally’ego.

– Ale to nie jest odpowiednia pora, prawda, Wally? – upewniła się Candy.

– Ja chcę się z tobą ożenić, wszystko jedno kiedy – odpowiedział Wally zgodnie z prawdą. Dodał jednak coś, o czym Candy wcześniej nie pomyślała. Wally, w przeciwieństwie do własnej matki, brał pod uwagę wojnę w Europie. – A jeśli będzie wojna? – zastanowił się głośno. – To znaczy: jeśli my się włączymy w wojnę?

– Co takiego? – Candy zdębiała.

– No, założmy, że ta wojna nas obejmie. Pójdę do wojska, muszę pójść i chcę – powiedział Wally. – A gdybyśmy mieli dziecko, to czułbym się nie w porządku wstępując do wojska.

– A w jakich okolicznościach czułbyś się w porządku idąc na wojnę? – spytała rozżalona.

– Chciałem powiedzieć, że musiałbym pójść, gdyby doszło do... – plątał się Wally. – To w końcu nasza ojczyzna, rozumiesz, a poza tym – ciekawe doświadczenie; nie mógłbym go przegapić.

Dała mu w twarz i rozpląkała się – ze złości, oczywiście.

– Ciekawe doświadczenie! Chcesz iść na wojnę z ciekawości?

– No... gdybyśmy mieli dziecko, to nie, to by nie było w porządku, nie sądzisz? – spokorniał Wally. Jego naiwna niewinność dorównywała bezmyślności.

– A ja? – spytała Candy, nie otrząsnąwszy się jeszcze z podwójnego szoku: wyznania Wally’ego i tego, że mu dała w twarz. Dotknęła płaską dłońią zaczerwienienia na jego policzku. – Z dzieckiem czy bez dziecka, co by się stało ze mną, gdybyś ty poszedł na wojnę?

– Na szczęście wszystko mieści się w sferze „co by było gdyby” – uspokoił ją Wally. – Trzeba się będzie jeszcze zastanowić – dodał po chwili. – Zwłaszcza nad sprawą dziecka... tak mi się zdaje... rozumiesz, co chcę powiedzieć?

– Uważam, że nie powinniśmy decydować się na dziecko – oświadczyła Candy.  
– Nie chcę, żebyś szła gdzieś, gdzie nie ma lekarza z prawdziwego zdarzenia – zaoponował Wally.

– Oczywiście, to wykluczone – przyznała. – Czy jednak nie ma lekarzy z prawdziwego zdarzenia, którzy by się tym zajmowali?

– Nie słyszałem o takich – powiedział Wally. Jako gentleman, nie mógł powiedzieć Candy, co słyszał: że, mianowicie, pewien rzeźnik w Cape Kenneth wykonuje wiadomą usługę za pięćset dolarów. Zainteresowana musi stawić się – koniecznie sama – na pewnym parkingu, zasłonić oczy i czekać, aż ktoś po nią przyjdzie i po omacku zawiedzie do rzeźnika; gdy już jest po wszystkim, ktoś odstawia ją na tenże parking; przez cały ten czas ani na chwilę nie wolno jej odsłonić oczu. Co gorsza, najpierw trzeba w stanie skrajnej hysterii ubłagać całkiem legalnego i szacownego lekarza, aby łaskawie podał adres wiadomego parkingu i sposób kontaktowania się z rzeźnikiem. Lekarz odmawiał pośrednictwa, jeżeli pacjentka nie okazała należytej desperacji.

Wiedząc tylko tyle o metodach aborcji, Wally był zdecydowany nie wydawać Candy na pastwę takiego barbarzyństwa. Zresztą wątpił, czy Candy potrafiłaby przekonywająco odegrać histerię. Wolał już mieć to dziecko, a więc ożenić się z Candy – co przecież i tak zamierzał kiedyś w przyszłości uczynić.

Plotki o rzeźniku, które dotarły do Wally'ego, zawierały sporo prawdy. Zainteresowana rzeczywiście musiała zgłosić się do całkiem szacownego miejscowego lekarza, wpędziwszy się uprzednio w stan hysterii, gdyż był to niezbędny warunek uzyskania adresu parkingu i kontaktu z rzeźnikiem. Wally nie znał jednak drugiej, bardziej humanitarnej strony sytuacji. Jeżeli pacjentka zachowywała się w sposób opanowany, była odpowiednio wymowna i zrównoważona psychicznie, lekarz odpuszczał sobie bajki o parkingu i rzeźniku: kobieta rozsądna – po której widać było, że go w przyszłości nie wyda – mogła liczyć na aborcję, którą doktor przeprowadzał natychmiast, w tym samym gabinecie, w którym przyjmował, za pięćset dolarów. Te ciężarne, które panikowały i odchodziły od zmysłów, były również poddawane aborcji, w tym samym gabinecie, za tę samą sumę pięciuset dolarów. Jedyna różnica między pierwszą kategorią a drugą polegała na tym, że histeryczki doktor kierował na parking, skąd je (ucharakteryzowane na ślepe babki) zabierał do rzekomego rzeźnika. Tyle zyskiwała kobieta udając wariatkę. Najpoważniejszym wykroczeniem lekarza – w odniesieniu do obydwu grup pacjentek – było pobieranie za to, co robił, opłaty w wysokości pięciuset dolarów.

Ale Wally Worthington nie zamierzał dociekać prawdy o wspomnianym lekarzu *vel* rzeźniku. Miał nadzieję, że dowie się o jakimś innym specu od aborcji, i z grubsza wiedział, kogo pytać. Na pewno nie warto było informować się w tej sprawie u członków Klubu Haven: podobno ktoś stamtąd specjalnie odbył rejs do Szwecji, żeby dokonać aborcji. W przypadku Candy podobne rozwiązanie nie wchodziło w rachubę.

Wally przypuszczał, że pracownicy Sadów Z Widokiem Na Ocean uciekają się do metod prostszych; a przy tym wiedział, że go lubią i że – poza paroma wyjątkami – dochowają męskiego sekretu. Pierwsze kroki skierował do jedyne go w brygadzie kawalera, wychodząc z założenia, że kawalerowie (ten w dodatku uchodził za strasznego babiara) mogą mieć częściej do czynienia z aborcją niż żonaci. Tak więc Wally udał się do Herba Fowlera, który był od niego tylko o parę lat starszy. Herb Fowler zaliczał się do przystojniaków w typie chudy brutal z ciekim wąsikiem.

Najnowsza dziewczyna Herba Fowlera pracowała podczas zbiorów w pakowni, a poza tym – tak jak reszta zatrudnionych w majątku kobiet – handlowała na targu jabłkowym. Pochodziła z okolicznych stron i była młodsza od Herba, mniej więcej w wieku Candy. Nazywała się Luiza Tobey, ale męska część brygady wołała ją Łatwizna, na co Herb nie reagował. Podobno oprócz Luizy spotykał się z kilkoma innymi kobietami – dlatego zawsze, o każdej porze dnia i nocy, miał przy sobie znaczny zapas prezerwatyw. Na byle wzmiankę o seksie, Herb Fowler sięgał do kieszeni po kondom (oczywiście, firmowo opakowany) i migał nim przed oczami rozmówcy, mówiąc: „Wiesz co to jest? To wolność mężczyzny”.

Wally już kilka razy miał przyjemność widzieć migający kondom i dawno przestało go to bawić, a co dopiero w sytuacji, w której się znalazł. Z drugiej strony, wyobrażał sobie, że Herb Fowler jest właśnie tym autorytetem, do którego należy się zwrócić, gdyż podejrzewał, że – mimo prezerwatyw, którymi tak się szczyił – Herb Fowler często wpędzał dziewczęta w tarapaty. Nawet jeżeli nie było to prawdą, to Herb wyglądał na postrach dziewczyc.

– Herb? – zagadnął Wally. Był deszczowy dzień; późna wiosna; ferie w college’u; Wally pracował z Herbem w magazynie jabłek, który wiosną stał pusty. Lakierowali drabiny, a potem mieli malować prowadnice taśm transmisyjnych, które w sezonie pracowały non stop. Co rok na wiosnę malowano cały sprzęt.

– Tak się właśnie nazywam – burknął Herb. Zawsze widywało się go z papierosem przyklepionym do dolnej wargi, przez co Herb Fowler ustawicznie mrużył oczy, a chudą, pociągłą twarz podnosił co chwila w górę, żeby wydmuchać dym nosem.

– Tak się właśnie zastanawiałem, Herb... – zaczął Wally ostrożnie. – Gdyby twoja dziewczyna zaszła w ciążę, to co ty byś zrobił? Pytam, rzecz jasna, znając twoje przywiązanie do wolności – dodał inteligentnie.

Tym ostatnim zastrzeżeniem Wally uniemożliwił Herbowi wykorzystanie pewnej celnej riposty, a ponadto zirytował go. Herb już miał w palcach kondom, którym zamierzał mignąć Wally’emu przed nosem, wygłaszając przy tym swoją słynną formułkę o wolności – skoro jednak Wally wygłosił ją za niego, dłoń zatrzymała się w kieszeni i kondom nie ujrzał światła dziennego.

– A kogo się zapyliło? – zainteresował się Herb.

– Absolutnie nic takiego nie powiedziałem – usiłował sprostować Wally. – Zadałem pytanie natury teoretycznej: co byś ty zrobił, gdybyś...

Odpowiedź Herba Fowlera rozczarowała Wally’ego. Herb wiedział tyle co on: tajemniczy parking w Cape Kenneth, opaska na oczy, rzeźnik, pięćset dolarów.

– Może Meany Hyde wie coś więcej? – zasugerował Herb. – Niech pan spyta Meany’ego, co on by zrobił, jakby kogoś zapylił.

Herb Fowler uśmiechnął się szyderczo – nie był to sympatyczny osobnik – ale Wally nie sprawił mu satysfakcji, gdyż, udając że nie widzi ironii, odpowiedział na uśmiech uśmiechem.

Za to Meany Hyde był wyjątkowo sympatyczny. Jako najmłodszy z braci, znosił w dzieciństwie wieczne ciągi i poniżenia. Bracia przezywali go Meany – czyli „podły” – przez czystą przekorę. Meany był bowiem przyjacielem całego świata, podobnie zresztą jak jego żona, Florencja, pracownica magazynu-pakowalni i targu jabłkowego. Mieli takie mnóstwo dzieci, że Wally nigdy nie spamiętał imion małych Hyde’ów ani nawet nie próbował się ich doliczyć. Stąd wyciągał wniosek, że Meany Hyde zapewne nigdy nie słyszał o aborcji.

– Nie ma takiej rzeczy, o której by Meany nie słyszał – zapewnił go Herb Fowler. – Nigdy się pan nie przyglądał Meany’emu? Słuchanie to jego jedyne zajęcie.

Wally poszedł więc szukać Meany’ego. Znalazł go przy woskowaniu desek prasy do wyciskania soku z jabłek. Meany sprawował opiekę nad prasą, a ponieważ miał takie miłe usposobienie, często powierzano mu również nadzór nad całą tłocznią win – a więc i nad robotnikami sezonowymi, których na czas zbiorów lokowano w budynku tłoczni. Oliwia trzymała Herba Fowlera jak najdalej od biedaków, którzy zatrudnili się u niej, wędrując za pracą: Fowler był wobec nich zbyt grubiański.

Wally patrzył chwilę, jak Meany Hyde woskuje prasę. Woń fermentującego jabłeczniaka i zleżałych jabłek na wino była mocna, ale czysta – w deszczowe dni

pachniało bardziej niż w suche. Meany, zdaje się, lubił ten zapach. Wally'emu też on nie przeszkadzał.

– Słuchaj no, Meany – odezwał się w końcu Wally Worthington.

– A już myślałem, że pan nie pamięta, jak mi na imię – rozpromienił się Meany.

– Powiedz mi, Meany, co ty wiesz o aborcji? – zapytał Wally bez ogródek.

– Wiem, że to grzech – odparł Meany Hyde. – I wiem, że Grace Lynch miała aborcję; akurat jej bardzo mi żal z tego powodu, rozumie pan...

Grace Lynch była żoną Vernona Lyncha. Wszyscy, z Wallym włącznie, wiedzieli, że Vernon bija żonę. Dzieci nie mieli; powiadano, że to od tego bicia, od którego ucierpiały narządy rodne Grace (określenie „narządy rodne” pochodzi, oczywiście, ze słownika Homera Wellsa, a nie miejscowej ludności). W sezonie zbiorów i największego handlu, Grace pracowała w brygadzie zajmującej się wypiekami szarlotek. Wally ciekaw był, czy zastanie ją przy pracy tego dnia. W pogodny dzień pod koniec wiosny zawsze jest coś do roboty w sadzie; za to kiedy pada, można najwyżej coś pomalować, wyszorować albo podremontować magazyn tłoczni przed zbiorami.

Meany Hyde za wcześnie wziął się do woskowania prasy – to było w jego stylu. Prawdopodobnie przed pierwszym tłoczeniem czekało go ponowne woskowanie desek. Meany gotów był je woskować dowolną ilość razy, ponieważ nienawidził malowania i szorowania, a w czasie deszczu potrafił całymi dniami chodzić koło swojej ukochanej prasy do wyciskania jabłeczniaka.

– Jakaś znajoma chce się poddać aborcji, panie Wally? – spytał Meany Hyde.

– Znajoma znajomego – skłamał Wally. Herb Fowler, słysząc taką odpowiedź, zaraz wyciągnąłby z kieszeni kondom. Ale Meany był sympatyczny i nigdy nie radował się cudzym nieszczęściem.

– Przykra sprawa – powiedział. – Myślę, panie Wally, że najlepiej będzie, jak pan pogada z Grace; tylko żeby się Vernon akurat nie kręcił w pobliżu.

To Wally wiedział dobrze bez przypominania. Nieraz oglądał siniaki na ramionach Grace Lynch, w miejscach, gdzie Vernon chwycił żonę za ramiona, żeby nią potrząsać jak pustym workiem. Raz przy takiej okazji ubódł ją pochyloną głową prosto w twarz. Wally wiedział o tym incydencie, bo Senior pokrył kosztą operacji dentystycznej Grace (która skłamała Worthingtonom, że spadła ze schodów). Kilka lat wcześniej, w majątku Stare Drzewa, Vernon pobił Murzyna, robotnika sezonowego. Powód był banalny: mężczyźni opowiadali sobie kawały i Murzyn też opowiedział

jakiś dowcip. A Vernonowi nie spodobało się, że Czarny opowiada kawały na temat seksu – uważał wręcz, i wyznał to otwarcie Wally’emu, że Czarnym powinno się urzędowo zabronić życia seksualnego.

– Inaczej wkrótce będzie ich o wiele za dużo – powiedział.

Wtedy, w majątku Stare Drzewa, Vernon zepchnął Murzyna z drabiny, a kiedy tamten się podniósł, Vernon złapał go za rękę, uniósł je w górę i bódł go raz po raz głową w twarz, dopóki Everett Taft, jeden z tamtejszych brygadzystów, i Ira Titcomb, pszczelarz, nie odciągnęli go siłą od ofiary. Murzynowi trzeba było założyć ponad dwadzieścia szwów na dolną część twarzy, usta i język. Wszyscy dobrze wiedzieli, że przyczyną, dla której Grace Lynch straciła zęby, nie był upadek ze schodów.

To Vernon powinien był nosić imię Meany – „podły” – albo jeszcze gorsze.

– Panie Wally! – zawołał Meany za młodym Worthingtonem wychodzącym z tłoczni win. – Tylko niech pan nie mówi Grace, że to ja pana do niej przysłałem.

Wally udał się na poszukiwanie Grace Lynch. Pojechał furgonetką, błotnistą drogą, która łączyła sad zwany Patelnią (ponieważ mieścił się w dolinie, gdzie robotnikom zawsze było najgoręcej) z sadem zwanym Doris (na pamiątkę czyjejś żony). Zajechał przed barak zwany Dwójką (był to drugi barak na duże maszyny; trzymano w nim, na przykład, opylarki, ponieważ miał bardziej szczelną niż Jedyńka izolację, a opylarki i zawarte w nich chemikalia cuchnęły). W Dwójce zastał Vernona Lyncha, zajętego malowaniem. Za pomocą rozpylacza z długą, szpikulcowatą końcówką, Vernon Lynch pokrywał opylarkę firmy Hardie o pojemności dwóch tysięcy litrów świeżą warstwą lakieru o barwie rajskiego jabłuszka. Dla ochrony przed oparami, miał na twarzy maskę (taką samą, jaką się wkładało przy opylaniu drzew). Ubrany był w przeciwsturmowy gumowy kombinezon. Wally mimo to poznał, że ma przed sobą Vernona – chociaż ani kawałek postaci nie był odsłonięty. Vernona poznawało się po agresywnym stylu pracy: teraz też, jak zauważył Wally, malował cysterne, jakby ją chciał unicestwić miotaczem ognia. Wally pojechał dalej. Nie miał zamiaru pytać Lyncha, gdzie tego dnia pracuje jego żona. Zadrżał na samo wyobrażenie kilku możliwych szyderczych odpowiedzi Vernona.

Na pustym przed sezonem targowisku trzy pracownice handlowe paliły papierosy i gawędziły. Widać było, że nie mają wiele roboty, toteż na widok syna gospodarza nie odstawiły pospiesznie kubków z kawą, nie wdeptały niedopałków w ziemię i nie rozpierzchły się, każda w swoją stronę. Troszkę tylko się od siebie odsunęły i powitały Wally’ego uprzejmymi uśmiechami.

Florence Hyde, żona Meany'ego, nawet nie udawała, że coś robi; spokojnie zaciągnęła się papierosem i zawołała do Wally'ego:

– Jak się mamy, koteczku!

– Serwus, Florence – uśmiechnął się Wally.

Dot Taft, kawał baby, która cudem przeżyła ponadkilometrowy sprint w chmarze kęsających nielitościwie pszczół (tamtego wieczoru, gdy Senior wywalił z przyczepy na szosę całą pasiekę Iry Titcomba), zdusiła niedopałek i podniosła z ziemi pustą skrzynkę na owoce; zaraz jednak odstawiła skrzynkę z powrotem i zaczęła rozglądać się za miotłą.

– Siemasz, skarbuńciu – powitała wesoło Wally'ego.

– Co słyhać? – zagadnął Wally.

– Nic nowego – odparła Irene Titcomb, żona Iry. I rozchichotała się, kryjąc twarz. Irene Titcomb stale się śmiała i zawsze przy tym zakrywała policzek z blizną po oparzeniu, jakby widziała rozmówcę po raz pierwszy w życiu i miała nadzieję ukryć przed nim szpecący ślad po wypadku. Wypadek zdarzył się przed wieloma laty, więc absolutnie wszyscy mieszkańcy Heart's Haven i Heart's Rock wiedzieli, jak wygląda blizna Irene Titcomb i skąd się wzięła.

A było to tak: Ira Titcomb zasadził się u siebie na podwórku na całą noc, ze strzelbą, bo coś mu się ostatnio dobierało do pasieki – niedźwiedź czy szop – Ira chciał sprawdzić i zrobić z tym porządek. Zapalił lampę olejową, żeby coś widzieć po ciemku, i czekał. Irene знаła jego plan i poszła spokojnie spać. Bardzo się zdziwiła, kiedy wyrwały ją ze snu krzyki męża: Ira wołał ją po imieniu. Wyjrzała na podwórko. Ira stał na trawie pod oknem i wymachiwał lampą – właściwie to widać było tylko lampę. Obudził żonę, żeby mu usmażyła jajecznicę na bekonie, bo od tego czekania na złodzieja, któremu zaocznie wyznaczył karę śmierci, cholernie zachciało mu się jeść.

Irene, nucąc sobie pod nosem, pilnowała, żeby się bekon nie przypalił, kiedy Ira zapukał z dworu w kuchenne okno, ciekaw, czy jedzenie gotowe. Tego jednego się Irene nie spodziewała: że Ira będzie miał na sobie pszczelarski strój ochronny. Zakapturzona zjawą, z ogniem w dłoniach, wychynęła z mroku i stanęła w mdławej poświacie kuchennego okna. Irene setki razy widywała małżonka w pszczelarskim stroju – po prostu nie przyszło jej do głowy, że Ira zechce w nim zapolować na niedźwiedzia czy szopa-szabrownika. I nigdy nie widziała, jak strój ten lśni nocą w blasku ognia.

A Ira ubrał się jak do pszczół, przewidując ewentualność uszkodzenia strzałem z fuzji któregoś z uli, co niewątpliwie musiałyby wywołać słuszny protest pszczół. Do



głowy by mu nie przyszło straszyć połowicę. Biedna Irene zobaczyła za oknem nieforemną zjawę, odzianą w biel i płomienie! To na pewno ten duch nachodził ule! Duch dawno zmarłego pszczelarza! Zabił Irę, a teraz szedł po nią! Irene odwiecznym gestem – olaboga! – podniosła ręce, a wtedy z patelni ze skwierczącym bekonem bryznął jej prosto w twarz wrzący tłuszcz. Miała szczęście, że uratowała oczy. Najgłupsze wypadki zdarzają się człowiekowi we własnym domu.

– Czego sobie życzy nasz duży chłopczyk? – uśmiechnęła się do Wally’ego Dot Taft (kawał baby). Pracownicy brygady targowej stale przekomarzały się i flirtowały z Wallym: uważały, że jest najprzystojniejszym i najwspanialszym mężczyzną na świecie – a poza tym, znały go, jak to się mówi, od takiego.

– Na pewno chce się z nami umówić – chichotała Irene Titcomb, pokazując tylko połowę twarzy.

– Weźmiesz nas do kina, Wally? – poprosiła słodko Florence Hyde.

– Wiesz co, Wally? – wyznała Dot Taft. – Jakbyś mnie wziął do kina, wszystko bym dla ciebie zrobiła.

– Nie chcesz nam sprawić przyjemności, Wally? – Florence udała głęboko zawiedzioną.

– Wiem: Wally przyszedł, żeby nas wylać z roboty! – pisnęła Irene Titcomb i wszystkie trzy zaczęły się dosłownie pokładać ze śmiechu. Dot Taft śmiała się tak gromko i basowo, że Florence Hyde, bliska hysterii, pociągnęła papierosa od filtra i boleśnie zakrztusiła się dymem. Widząc to, Dot Taft zaczęła rechotać jeszcze głośniej.

– Czy Grace jest dzisiaj w pracy? – spytał Wally niby to mimochodem, kiedy kobiety się nieco uspokoiły.

– Ach, więc to tak! Panicza tylko Grace interesuje! A my to niby gorsze? Brakuje nam czegoś? – udała wielce oburzoną Dot Taft.

Oj, brakuje, brakuje – westchnął w duchu Wally: koślawe kończyny, sztuczne zęby, reumatyzm (jak najbardziej autentyczny).

– Chciałbym ją o coś spytać – wytłumaczył się Wally z przeproszającym uśmiechem. Grał nieśmiałego, bo wiedział, jaką metodą najłatwiej podbić serca kramarek z jabłecznego targu.

– Mogę się założyć, że powie „Nie!” – parsknęła śmiechem Irene Titcomb.

– Nie gadaj głupstw! Wally’emu żadna nie odmówi – skarciła koleżankę Florence Hyde.

Wally poczekał cierpliwie, aż się wyśmieją.

Wreszcie Dot Taft powiedziała:

– Grace czyści piec chlebowy.

– Dziękuję wam, moje miłe panie – skłonił się dwornie Wally i odszedł, śląc im całusy.

– Jaki niedobry! – zawołała za nim Florence Hyde. – Przyszedł tylko po to, żeby w nas budzić zazdrość!

– Ta Grace musi mieć naprawdę gorąco w piecu – dodała Dot Taft i wszystkie trzy zaczęły się na nowo krztusić ze śmiechu.

– Uważaj, Wally, żebyś się czasem nie poparzył! – krzyknęła mu na pożegnanie Irene Titcomb. Wizyta Wally’ego wprawiła trzyosobową załogę handlową w jeszcze lepszy nastrój, chociaż i przedtem było im przyjemnie plotkować przy papierosku.

Nie zdziwiło Wally’ego, że Grace Lynch wybrała sobie na ten deszczowy dzień najgorszą robotę. Grace była obiektem współczucia pozostałych pracownic, ale nie należała do ich grona. Trzymała się na uboczu, jakby się bała, że każdy może ni stąd, ni zowąd rzucić się na nią z pięściami, jak to często robił Vernon. A poza tym, Vernon wybił z niej całą umiejętność prowadzenia babskich pogaduszek z koleżankami pokroju Florence, Irene i Dot.

Grace Lynch była od nich trochę młodsza i znacznie chudsza – chuda przekupka to zjawisko zaiste niezwykle. A Grace była przeraźliwie chuda – chudsza nawet od ostatniej dziewczyny Herba Fowlera (Łatwizny) i od młodszej siostry Dot Taft, Debry Pettigrew, która prawie co rok zatrudniała się w Sadach Z Widokiem Na Ocean, kiedy zbliżała się pora pieczenia szarlotek, a taśma transmisyjna w magazynie-pakowalni szła non stop. Nawet Debra miała odrobinę więcej ciała niż Grace.

Ponieważ Grace jeszcze nie nosiła sztucznych zębów, jej zaciśnięte usta wydawały się podwójnie zaciśnięte – zapadnięte: w ich wąskiej linijce czaiło się ponure skupienie. Wally nie pamiętał, żeby Grace Lynch kiedykolwiek się śmiała – a śmiech był jedynym skutecznym lekarstwem na nudę życia brygady targowej. Grace zawsze przypominała zbitego psa. Kiedy jadła szarlotkę, trudno było poznać, czy jej smakuje. Nie znała przyjemności płynącej z jedzenia czy z czegokolwiek innego. Nawet nie paliła papierosów – a w 194- palili dosłownie wszyscy, nawet Wally. Grace bała się hałasu i bardzo ostrożnie okrażała wszelkie urządzenia mechaniczne.

Wally miał nadzieję, że Grace ubrała się tego dnia w bluzkę z długimi rękawami, żeby nie musiał oglądać sińców na jej ramionach. Niestety: zastał ją przy czyszczeniu długiej blachy. Owszem, przyszła do pracy w ubraniu z rękawami, lecz zawinęła je nad łokcie, żeby w miarę możliwości uratować bluzkę przed sadzą. Wally zaskoczył ją, gdy trzymała głowę i korpus w piecu. Z okrzykiem przerażenia

spróbowała się jak najszybciej wyprostować, a przy tej okazji wyrzuciła łokciem w zawias klapy piekarnika.

– Wybacz, że cię przestraszyłem, Grace – przeprosił ją Wally. Prawie niemożliwe było zejść Grace od tyłu i nie przestraszyć jej. Grace nic się na to nie odezwała, tylko masowała uderzony łokieć, a potem zaczęła splatać i rozplatać chude ramiona, jakby chciała zasłonić piersi albo odwrócić uwagę rozmówcy od szpecących siniaków. Nie patrzyła Wally’emu w oczy, a Wally – z natury spokojny i zrównoważony – przy Grace doznawał zawsze niemiłego uczucia napięcia, pokrewnego obawie, że nieszczęsna niewiasta może się ni stąd, ni zowąd odwrócić na pięcie i uciec, albo wprost przeciwnie: skoczyć na niego i albo wydrapać mu oczy, albo pocałować go namiętnie, z użyciem języka.

Sam się zastanawiał, czy wypatrywanie nowych siniaków na ciele Grace nie wpływa u niego aby z pobudek erotycznych; możliwe, że napięcie między nimi brało się po części z tego problemu.

– Biedactwo, to wariatka – powiedział kiedyś o niej do Wally’ego Ray Kendall; czyżby miał rację?

– Grace? – odezwał się wreszcie Wally. Grace zadrżała. Ścisnęła w garści druciak do szorowania, aż brudne mydliny spłynęły jej po ręce do łokcia, mocząc bluzkę i robocze dżinsy. Z uchylonych ust wychynął pojedynczy, zapewne sztuczny, ząb i zagryzł skrawek dolnej wargi.

– Widzisz, Grace – dukał Wally – mam pewien problem.

Spojrzała na niego z takim przerażeniem, jakby nigdy w życiu niczego straszniejszego nie słyszała. Pospiesznie odwróciła wzrok i burknęła:

– Czyszczę piec.

Wally całkiem poważnie liczył się z możliwością zatrzymania jej siłą, gdyby chciała z powrotem wczłgać się do pieca. Zrozumiał nagle, że jego tajemnica – że wszelka tajemnica – będzie u Grace Lynch bezpieczna jak w grobie: Grace Lynch bała się powiedzieć cokolwiek, a gdyby nawet zebrała odwagę, to nie miała komu się zwierzyć.

– Candy jest w ciąży – oznajmił Wally bez ogródek. Grace zachwiała się jak pod nagłym atakiem wichury albo pod odurzającym wpływem oparów amoniaku z głębi czyszczonego pieca. Po raz drugi spojrzała na Wally’ego, oczami okrągłymi jak u królika.

– Przyszedłem po radę – powiedział Wally. Nagle uprzytomnił sobie, że gdyby Vernon Lynch zobaczył ich dwoje, jak rozmawiają, uznałby to za wystarczający powód do kolejnego pobicia Grace. – Powiedz mi szybko wszystko, co wiesz – poprosił.

Grace Lynch wypluła z sykiem informację przez zaciśnięte usta:

– Saint Cloud's.

Wally w pierwszej chwili pomyślał, że Grace wymieniła jakąś osobę – świętego? A może takie przezwisko nosił szarlatan od aborcji – St. Cloud's! Grace Lynch z pewnością nie należała do szczęściarzy; jeśli poddała się zabiegowi aborcji, to na pewno u najgorszego szarlatana.

– Nazwiska doktora nie znam – szeptała dalej Grace, nie patrząc już na Wally'ego (już nigdy więcej w życiu nie miała spojrzeć mu w oczy). – Miejscowość nazywa się Saint Cloud's. Tam jest dobry doktor, znaczy, taki delikatny, dobrze to robi. – Jak na Grace Lynch, było to wprost kazanie; w każdym razie, na pewno przemówienie. – Ale proszę jej samej nie puszczać, panie Wally, dobrze? – Mówiąc to, Grace machinalnie wyciągnęła rękę i dotknęła Wally'ego – a ledwie go dotknęła, cofnęła rękę, jakby Wally parzył bardziej niż rozpalony piec chlebowy.

– Nie puszczę jej samej, na pewno nie – obiecał Wally.

– Jak wysiądziecie z pociągu, pytajcie o sierociniec – doradziła mu Grace.

Zanim zdążył jej podziękować, zniknęła w czeluści pieca.

Grace Lynch pojechała do St. Cloud's sama. Vernon o niczym nie wiedział – gdyby wiedział, pewnie sprząby Grace na kwaśne jabłko. I tak jej się dostało, bo nie wróciła na noc – ale można przypuszczać, że w skali Vernona nie było to jeszcze najstraszniejsze lanie.

Grace przybyła do St. Cloud's wczesnym wieczorem, tuż przed zmierzchem; zgodnie z obyczajem, nie skierowano jej na oddział położniczy; była tak roztrzęsiona, że zaordynowane przez doktora Larcha środki uspokajające nie podziałały i Grace przez całą noc nie zmrzyła oka, tylko leżała, wsłuchując się w odgłosy domu. Miało to miejsce w czasach przed terminowaniem Homera, toteż nawet jeśli Homer ją wówczas widział, nie zapamiętał twarzy, a i Grace Lynch, gdy po latach spotkała się z Homerem Wellsem, nie skojarzyła go z St. Cloud's.

Po standardowym zabiegu łyżeczkowania, w odpowiednim i bezpiecznym etapie ciąży, nie wystąpiły u Grace żadne powikłania – chyba że w jej późniejszych snach. W ogóle, aborcje doktora Larcha nie powodowały komplikacji ani trwałych uszkodzeń w narządach pacjentki; nie mówimy tu, naturalnie, o sferze psychicznej, za którą doktor nie brał odpowiedzialności.

Mimo że siostra Edna i siostra Angela potraktowały ją serdecznie, a Larch okazał się – jak powiedziała Wally’emu – delikatny, Grace Lynch wspominała St. Cloud’s jak koszmar. Nie z powodu osobistych przeżyć i przyczyn, dla których się tam znalazła, lecz z racji atmosfery domu, którą poznała w ciągu długiej, bezsennej nocy przed zabiegiem. Gęste powietrze wisiało nad wszystkim jak gład; niespokojna rzeka cuchnęła śmiercią; krzyki dzieci były bardziej przejmujące niż wrzaski szaleńców – a do tego pohukiwały sowy, ktoś głośno sikał, ktoś chodził po ciemku. Gdzieś daleko klekotała jakaś maszyna (do pisania), a z innego budynku dobiegło w pewnej chwili przeciągłe wycie (to mogła być Melony).

Po odwiedzinach Wally’ego Grace nie była zdolna do dalszego czyszczenia pieca. Dostała silnych mdłości – podobnie czuła się wtedy – poszła więc na plac targowy i poprosiła koleżanki, żeby skończyły za nią rozpoczętą pracę, ponieważ źle się czuje. Z Grace nikt się nie przekomarzał. Dot Taft (kawał baby) spytała tylko, czy ją odwieźć do domu, a Irene Titcomb i Florence Hyde (które tak czy owak nie miały nic do roboty) zapewniły Grace, że chętnie ją wyręcą i wyczyszczą piec „w trymiga”. Grace Lynch udała się następnie do Oliwii Worthington, żeby jej powiedzieć, że źle się czuje i idzie wcześniej do domu.

Oliwia potraktowała sprawę ze zwykłą sobie wyrozumiałością; gdy później tego samego dnia natknęła się na Vernona Lyncha, spiorunowała go wzrokiem, aż Vernon przez chwilę poczuł się nieswojo. Czyścił właśnie w Dwójce końcówkę rozpylacza służącą do malowania, kiedy Oliwia przejechała przed barakiem starą furgonetką. Rzuciła Vernonowi takie spojrzenie, że w pierwszej chwili pomyślał o utracie pracy: karcący wzrok Oliwii był jak zapowiedź wymówienia. Ale ta myśl szybko go opuściła – jak wszystkie myśli nawiedzające Vernona Lyncha. Patrząc na błotniste koleiny wyżłobione kołami furgonetki, wygłosił jakże typowe dla siebie zdanie:

– Pies cię jebał, głupia kurwo.

Tyle miał do powiedzenia Vernon Lynch. A potem zabrał się z powrotem do czyszczenia końcówki rozpylacza.

Wieczorem Wally siedział na przystani Raya Kendalla z panną Candy i relacjonował jej swoje skromne informacje na temat St. Cloud’s. Nie wiedział nawet tego, że nazwę St. Cloud’s pisze się z apostrofem. W swoim czasie uznał, że nie ma sensu składać podania o studia do Harvardu; oceny miał za słabe na przyjęcie do Bowdoin; wylądował na Uniwersytecie Maine, gdzie bez entuzjazmu kończył wydział biologii, ale o gramatyce nie miał zielonego pojęcia, bo nikt się tam nią nie zajmował.

– Słyszałam, że tam jest sierociniec – powiedziała Candy. – O niczym innym mi nie wiadomo.

Dla obojga było oczywiste, że nie znajdą wymówki dla całonocnej nieobecności w domu, więc Wally postanowił pożyczyć od Seniora cadillaca. Plan przewidywał, że wyjadą z samego rana, a wrócą wieczorem tego samego dnia. Wally przekonał Seniora, że pogoda jest wymarzona na wyprawę krajoznawczą wzdłuż wybrzeża, połączoną z małym wypadem w głąb łądu. Niedługo – argumentował – przyjdzie pełnia lata, plaże zaroją się turystami, a z dala od morza zrobi się za gorąco na przejażdżki.

– Ja wiem, że to jest dzień roboczy, mamó – przekonywał Oliwię – ale co znaczy jeden dzień? Chcę się wypuścić z Candy na małą przygodę, daj mi wolne ten jeden jedyny raz!

Oliwia z troską zadała sobie pytanie, czy jej syn dojdzie do czegoś w życiu.

Ray Kendall przejmował się tylko własną robotą. Wiedział, że przejażdżka z Wallym sprawi Candy przyjemność; wiedział, że Wally jest dobrym – może odrobinę zbyt brawurowym – kierowcą; i że cadillac Worthingtonów – na tym nikt nie znał się tak świetnie jak Ray – jest bezpiecznym wozem. Ray osobiście dbał o to bezpieczeństwo.

W przeddzień wyjazdu oboje, Candy i Wally, położyli się wcześniej, ale żadne do rana nie zmrużyło oka. Jak wszyscy ludzie, którzy naprawdę się kochają, myśleli – każde z osobna – o wpływie tego, co ma się stać, na ukochaną osobę. Wally martwił się, że Candy po aborcji może nabrać niechęci, a nawet odrazy, do pożycia seksualnego. Candy niepokoiła się, czy po czymś takim Wally nie przestanie jej kochać.

Tej nocy Wilbur Larch i Homer Wells też nie zmrużyli oka. Siedząc przy maszynie do pisania w gabinecie siostry Angeli, Larch widział za oknem Homera Wellsa, przechadzającego się po dziedzińcu w świetle ręcznej lampy olejowej. Co go znów gryzie? – zaciekawił się w końcu Larch i poszedł sprawdzić.

– Nie mogłem zasnąć – usprawiedliwił się Homer.

– O co chodzi tym razem? – spytał doktor Larch.

– Może to tylko sowa – odparł Homer wykrętnie. Blask lampy olejowej nie sięgał zbyt daleko w ciemność, a wiatr był nadspodziewanie porywisty jak na St. Cloud's. Gdy wiatr zgasił lampę, doktor i jego asystent ujrzeni się w oświetlającym ich z tyłu prostokacie okna gabinetu siostry Angeli. Było to jedyne źródło światła w promieniu wielu kilometrów: cienie mistrza i ucznia urosły w nim do gigantycznych

rozmiarów. Cień Larcha sięgał poprzez zaorany ugór i ogołcone z drzew wzgórze, aż po odległą, czarną ścianę lasu. Cień Homera Wellsa dotykał czarnego nieba. Dopiero wówczas obaj panowie zauważyli, że Homer Wells przerósł doktora Larcha.

– A niech to lichy! – mruknął Larch. Rozpostarł ramiona, jak czarodziej przed wygłoszeniem zaklęcia, i pomachał nimi jak nietoperz. – Patrz! – zwrócił się do Homera. – Jestem czarnoksiężnikiem!

Homer Wells – uczeń czarnoksiężnika – też pomachał rozpostartymi ramionami.

Porywisty wiatr niósł w sobie świeżość. Gęste zazwyczaj powietrze nad St. Cloud's zelżało i uniosło się, odsłaniając jasne, zimne gwiazdy; w nowym zapachu nocy nie snuło się wspomnienie cygarowego dymu ani woni trocin.

– Co za wiatr – powiedział Homer Wells. Może to ten wiatr nie dawał mu zasnąć?

– Wiatr od oceanu – orzekł Wilbur Larch i energicznie pociągnął nosem, chcąc wyczuć sól. Tak, to wiał rzadki w tych stronach wiatr od oceanu; Larch był tego pewien.

Niech sobie wieje skąd chce – pomyślał Homer Wells. – Ważne, że jest taki przyjemny.

Stali ramię w ramię i wachali wiatr. A każdy myślał przy tym: Co dalej ze mną będzie?

## 5. Homer łamie obietnicę

Zawiadowca stacji St. Cloud's był mężczyzną samotnym i mało atrakcyjnym, a do tego ofiarą katalogów wysyłkowych i wyjątkowo bałamutnej sekty religijnej, która również rozprowadzała swoje broszury drogą pocztową. Pismo sekty – miesięcznik – z numeru na numer coraz bardziej przypominało komiks. Najnowsza edycja prezentowała na okładce szkielet ludzki w mundurze, szybujący na grzbiecie uskrzydłonej zebry ponad polem bitewnym, którego rzeźba kojarzyła się z okopami pierwszej wojny światowej. Reszta adresowanych do naszego zawiadowcy materiałów wysyłkowych utrzymana była w stylu bardziej konwencjonalnym, lecz zawiadowca, opętany fanatyzmem religijnym, często mieszał (zwłaszcza w snach) obrazy z broszur religijnych i z katalogów firm handlowych: koszmarne metafizyka nakładała mu się na miksery i odkurzacze, biustonosze dla matek karmiących, składane fotele i monstrualnych rozmiarów cukinie, reklamowane przez folder ogrodniczy.

Nic dziwnego, że często budził się zlany potem, bo śniły mu się trumny wyfruwające z idealnie utrzymanego ogrodu w towarzystwie warzyw-medalistów krajowych i zagranicznych wystaw płodów ziemi. Jeden z dostarczanych mu regularnie katalogów dotyczył wyłącznie sprzętu wędkarskiego: to tłumaczy, czemu trupy w koszmarach nocnych zawiadowcy często brodziły w płytkiej wodzie, wyposażone w wędkę i sieć. Inny znów katalog reklamował tylko bieliznę damską: biustonosze i pasy do pończoch. Najgorsze były latające kościotrupy w biustonoszach i podwiązkiach – tych zawiadowca bał się wprost panicznie.

Wyjątkowo bałamutnym pomysłem sekty religijnej, która usidliła zawiadowcę stacji St. Cloud's, była teza o rosnącej liczbie niespokojnych, bezdomnych, niegodnych zbawienia dusz, które unoszą się nad ziemią; zawiadowca wyobrażał sobie, że w okolicach gęściej zaludnionych niż St. Cloud's niebo jest nimi wprost zatłoczone. Przyjazd pociągiem „Klary” doktora Larcha pasował jak ulał do nocnych koszmarów zawiadowcy. Od tamtego dnia nieszczęsny głupiec na widok każdego pociągu umierał ze strachu, chociaż Larch zapewnił go, że przez co najmniej rok, a może dwa, żaden nowy nieboszczyk nie przyjedzie.

Dzień Sądu Ostatecznego był dla zawiadowcy pojęciem nie mniej konkretnym niż prognoza pogody. Szczególnie nienawidził pierwszego porannego pociągu. Pociąg ten dostarczał produkty z mleczarni; bez względu na aurę, na ciężkich bańkach osiadał zimny pot. Pełne bańki wyładowywano na stacji, a pociąg zabierał puste, z



poprzedniego dnia. Stukot pustej bańki o platformę lub o żeliwny schodek wagonu brzmiał w uszach zawiadowcy jak kołatka śmierci. Tym samym pierwszym pociągiem przyjeżdżała poczta; jakkolwiek spieszno było zawiadowcy do nowych katalogów, zawsze odbierał przesyłki z bijącym sercem; a nuż przysłali mu nowego trupa w formalinie? A jeśli nawet nie, to z pewnością wśród katalogów czai się comiesięczna zapowiedź Dnia Sądu Ostatecznego, który – jak się zapewne znów okaże – nadejdzie wcześniej, niż się początkowo spodziewano, i będzie miał o wiele gwałtowniejszy przebieg. Życie zawiadowcy stacji St. Cloud's było jednym wielkim czekaniem na tragedię.

Natrafiwszy przy śniadaniu na uszkodzonego pomidora, zaraz przedłużał żarliwe poranne modły, a na widok martwych (wszystko jedno z jakiego powodu) zwierząt wpadał w dygot – wydawało mu się bowiem, że nie ma czym oddychać przez unoszące się w powietrzu dusze tych nieszczęsnych, wiecznie potępionych stworzeń, które, co gorsza, mogą (wierzył w to) wtargnąć w jego ciało. (Nie ulega wątpliwości, że skutecznie pozbawiały go snu; zawiadowca stacji St. Cloud's był równie zasłużonym weteranem bezsenności jak Wilbur Larch i Homer Wells, a na pociechę nie miał ani eteru, ani młodości, ani wykształcenia.)

Tej nocy zbudził go wiatr: coś – jakby nietoperz – trzepnęło głośno o ścianę domu. Zawiadowca struchlał, przekonany, że skrzydlate stworzenie roztrzaskało się na śmierć, a jego potępiona dusza zacznie krążyć wokół domu, szukając wejścia. Wiatr jęknął śpiewnie, przeciskając się przez szprychy opartego o ścianę roweru zawiadowcy. Silniejszy podmuch zwałił rower z podstawki: rama zadzwoniła o wyłożoną ceglami ścieżkę, a dzwonek zawtórował jej mizernie, ale wesoło, jakby chciał obwieścić, że zbłąkanej duszy nie udało się jednak zwędzić roweru pana zawiadowcy. Zawiadowca usiadł w pościeli i zaczął przeraźliwie wrzeszczeć.

Autorzy miesięcznika religijnego zapewniali, że głośny krzyk daje niejaka (a kto wie czy nie całkowita) ochronę przed zbłąkanymi duchami. Wrzaski zawiadowcy odniosły, rzeczywiście, pewien skutek, wypłoszyły gołębia śpiącego pod okapem, a ponieważ żaden gołąb nie lubi fruwać po nocy, ptak zaczął na piechotę – podskakując i skrobiąc pazurkami po dachu – szukać sobie spokojniejszego kąta. Zawiadowca legł na wznak i wpatrywał się w sufit jak zahipnotyzowany: spodziewał się ataku niespokojnej duszy. Gruchanie gołębia wziął bez chwili wahania za głos torturowanego grzesznika. Po chwili wstał z łóżka i z oświetlonego nocną lampką pokoju wyjrzał przez okno na kawałek ziemi, który niedawno osobiście skopał z zamiarem przekształcenia go w warzywnik. Świeżo poodwracana ziemia wyglądała jak

gotowy grób! Zawiadowca tak się przeraził tym widokiem, że szybko wdział coś na siebie i wyszedł na podwórko.

Religijna broszura zapewniła go bowiem, że zbłąkana dusza nie wtargnie w ciało będące w ruchu. Nie wolno dać się zaskoczyć we śnie ani nawet w pozycji nieruchomej, na przykład stojąc: to zasada numer jeden. Wiedząc o tym, zawiadowca odważnie podjął dziarski marsz ulicami St. Cloud's. Idąc, wydawał groźne pomruki pod adresem wszechobecných duchów. „Idź precz” – warczał na każdy wylaniający się z mroku budynek, na każdy odgłos i niewyraźny cień. W którymś domu zaszczekał pies. Szop, zajęty grzebaniem w śmieciach, prysnął zawiadowcy spod nóg – ale żywe zwierzęta go nie obchodziły; syknął na szopa i ucieszył się, gdy zwierzątko odpowiedziało gniewnym sykiem. Uważał, żeby trzymać się jak najdalej od opuszczonych baraków, gdzie, jak pamiętał, zgorała dziewczynka z sierocińca narobiła swego czasu strasznych szkód. Dobrze wiedział, że w opuszczonych domach zbłąkane dusze bywają wyjątkowo liczne i złośliwe.

Bezpieczniej poczuł się w pobliżu sierocińca. Bał się, co prawda, doktora Larcha, ale w obecności dzieci i ich duszyczek, które sobie wyobrażał, potrafił być wręcz agresywny. Jak każdy tchórz, zawiadowca chętnie pastwił się nad słabszymi od siebie. „Cholerne dzieciary” – mruknął, mijając oddział dziewczęcy. Nie umiał myśleć o oddziale dziewczęcym sierocińca i nie wyobrażał sobie jednocześnie strasznych tortur, którym by chętnie poddał tę wielką, grubą, nieokrzesaną dziewczuchę-niszczycielkę, jak ją w duchu nazywał. Nieraz straszyla go po nocy: najczęściej na niej właśnie widywał w snach biustonosze i podwiązki. Przystanął na moment pod budynkiem dziewcząt i pociągnął nosem: zdawało mu się, że czuje zapach Melony, niszczycielki baraków, ale silny wiatr rozwiął wszystko; wiało ze wszystkich stron. To wichura Dnia Sądu Ostatecznego! – pomyślał nabożnie zawiadowca i szybko ruszył przed siebie. Nie miał zamiaru stać w miejscu i czekać, aż wlezie w niego jakaś straszna dusza.

Znalazł się nie po tej stronie gmachu oddziału chłopców, na którą wychodziło oświetlone okno gabinetu siostry Angeli, ale gdy spojrzął ponad dach, na wzgórze za domem, dojrzał światło iluminujące spękany, jałowy stok. Ponieważ nie mógł wiedzieć, skąd pochodzi światło, zrobiło mu się nieswojo: kto to widział, żeby nagie wzgórze jaśniało blaskiem znikąd aż po czarną krawędź lasu?

Zawiadowca miał wszelkie powody, żeby zapłakać nad własnym tchórzostwem, ale zamiast płakać, skłął sam siebie w duchu na myśl o tym, ile snu zżera mu strach, gdy w dodatku pierwszy poranny pociąg przyjeżdża o nieludzko wczesnej godzinie.

Przez większą część roku o tej godzinie było jeszcze ciemno. A te kobiety, które przyjeżdżały do St. Cloud's o świcie; nieraz naprawdę... – zawiadowca zadrżał na samo wspomnienie kobiet w luźnych sukniach, które zawsze pytały o drogę do sierocińca. Niektóre wracały tego samego dnia wieczorem: ich twarze miały wówczas barwę popiołu – taką samą jak zjawy z nocnych koszmarów zawiadowcy. Niewiele bardziej szare oblicze miała Klara – pomyślał, nie znając oczywiście imienia Klary. Widział ją tylko raz, i to bardzo krótko; dlatego bardzo niesprawiedliwe wydawało mu się to, że potem widywał ją stale – i to coraz bardziej dokładnie – w snach.

Nagle wydało mu się, że słyszy głosy. Spojrzał ponad dachem budynku chłopców na oświetlony stok wzniesienia górującego nad całym St. Cloud's – i ujrzał monstrualne cienie Wilbura Larcha i Homera Wellsa: pierwszy ciągnął się aż po ciemny skraj lasu, drugi zaś – do nieba. Giganci wymachiwali ogarniającymi całe wzgórze ramionami. Wiatr doniósł do ucha zawiadowcy jedno słowo: „czarnoksiężnik”! Zawiadowca zrozumiał wówczas, że choćby maszerował, a nawet biegał całą noc – nie ujdzie; nie tym razem. W ostatniej myśli wyznał sobie, że to koniec – i dla niego, i dla całego świata.

Nazajutrz rano wiatr od morza dalej mieszał powietrze w St. Cloud's. Zauważyła go nawet Melony i była tego dnia mniej opryskliwa. Najpierw nie mogła się obudzić, może dlatego, że noc zeszła jej częściowo na czuwaniu. Melony miała wrażenie, że jakieś zwierzę buszuje nie opodal budynku dziewcząt – mogło grzebać w śmieciach. Wyjrzała przez okno i w szarym brzasku zobaczyła dwie kobiety wspinające się pod górę od strony stacji. Nie rozmawiały; chyba nawet się nie znały, ale widać było, że jedna drugą rozumie.. Szły ze spuszczoneymi głowami. Jak na wiosenną porę, były obie zbyt grubo ubrane; wiatr motał obszerne zimowe płaszcze wokół ich postaci. Nie wyglądają, jakby były w ciąży – zauważyła Melony. Jednocześnie zakonotowała sobie, że musi znaleźć się z powrotem na posterunku przy ulubionym oknie wieczorem, kiedy kobiety będą wychodziły, żeby zdążyć na nocny pociąg. Zważywszy, co tu zostawiają – myślała zawsze Melony – powinny biec lekko jak na skrzydłach, tym bardziej że z powrotem mają z górki. Tymczasem kobiety wychodziły, jakby im było o wiele ciężiej, niż gdy wspinały się pod górę z wielkimi brzuchami: wyglądało to tak, jakby dopiero stąd wносиły nieznośny ciężar. Ich chód był zaprzeczeniem lekkości, której należałoby się spodziewać po niewiastach jak najdosłowniejszym wyskrobanych do czysta.

Więc może jednak nie całkiem do czysta – skonkludowała Melony. Homer Wells niczego jej nie zdradził, ale czy istniały na świecie kłopoty, których by nie

dostrzegła Melony? Na każdy błysk krzywdy, na każde mgnienie błędu, porażki, straconej nadziei, sytuacji bez wyjścia – Melony miała oko eksperta; widziała wszystko, i jeszcze więcej.

Tego dnia jeszcze nie wychodziła na dwór, a już wiedziała, że wieje inny wiatr. Ciąży zawiadowcy nie mogła widzieć ze swojego okna: leżało w kępie chwastów przy drzwiach na zaplecze oddziału chłopięcego – drzwiach bardzo rzadko używanych, ponieważ szpital miał własne wejście na zaplecze.

Doktor Larch ze swojego okna na świat w gabinecie siostry Angeli też nie mógł widzieć kępy chwastów, w której sztywniały zwłoki zawiadowcy. I nie zbłąkana dusza tego nieszczęśnika trafiła od rana doktora Larcha. Bezsenne noce nie były dlań nowością; wiatry od morza – chociaż rzadkie – także nie. Na oddziale dziewczęcym doszło poprzedniego dnia do bójki, po której trzeba było szyć jedną wargę i jeden łuk brwiowy – ale i to nie stanowiło powodu zmartwienia doktora Larcha. Homer Wells pięknie założył szwy na rozciętą wargę; Larch zajął się łukiem brwiowym, którego kontuzja zawsze grozi trwałą blizną.

Obie kobiety wyznaczone na ten dzień do aborcji zgłosiły się do szpitala we wczesnym okresie ciąży i były – zdaniem siostry Edny – okazami zdrowia fizycznego i psychicznego. Szykował się ponadto jeden poród: pacjentką była pogodna, wręcz wesoła, kobieta z miejscowości Damariscotta. Skurcze właśnie się zaczynały i przebiegały prawidłowo. Pacjentka już raz rodziła, miała wprawę; Larch nie przewidywał tu niespodzianek. Postanowił powierzyć odebranie porodu Homerowi – po pierwsze dlatego, że przypadek ocenił jako rutynowy, a po wtóre – siostra Angela zdradziła mu, że pacjentka nabrała do Homera szczególnej sympatii: gadała jak najęta, ile razy się przy niej pojawił.

– Więc w czym tkwi problem? – zastanawiał się Wilbur Larch. – Co się zmieniło?

Że poczta się spóźnia? Że nie dowieźli mleka? Larch nie wiedział o tym, a gdyby nawet wiedział, nie przejąłby się wcale. Że na stacji panuje bałagan, bo zawiadowca przepadł? – o tym też doktor nie słyszał. Nie stwierdził szczególnego zaniepokojenia wśród duszyczek tłoczących się w obszarze nieba nad St. Cloud's. Pełniąc dzieło, które uważał za swoje powołanie, doktor Larch nie mógł sobie pozwolić na zbyt rygorystyczne podejście do spraw duszy.

Co do Homera Wellsa, to nigdy jeszcze – aż do tego ranka – nie odczuł potrzeby kontemplowania kwestii duszy. Program nauki, który realizował, nie obejmował takiego przedmiotu. W prowizorycznym prosektorium, gdzie Homer

studiował Klarę, nie było okien, więc to nie ciało zawiadowcy ani dusza tegoż wywołały przełom światopoglądowy Homera Wellsa.

Doktor Larch poprosił Homera o przygotowanie płodu do autopsji.

Kobieta z Wodospadu Trzy Mile została zadźgana nożem – albo sama się dźgnęła – takie rzeczy zdarzały się w Wodospadzie Trzy Mile dość często. Przypadek był o tyle szczególny, że zaawansowana ciąża zmarłej stwarzała, teoretycznie, szansę odebrania żywego płodu z ciała martwej matki; sytuacja niezwykle, nawet dla doktora Larcha. Doktor zrobił, co było w jego mocy, by uratować dziecko – a raczej prawie dziewięciomiesięczny płód, bo tak go kazał nazywać w tych szczególnych okolicznościach – niestety, dosięgła je jedna z ran kłutych zadanych matce. Tak jak matka, dziecko (doktor Larch obstawał przy słowie „płód”) wykrwawiło się na śmierć. Miało być chłopcem – tyle Homer Wells stwierdził gołym okiem, a i mniej wprawne oko stwierdziłoby to samo, ponieważ istotka (jak ją zwał, tak zwał) była w zasadzie w pełni ukształtowanym osobnikiem ludzkim. Doktor Larch zlecił Homerowi bliższe (niż „zgon przez wykrwawienie”) ustalenie źródła krwotoku na ciałku nie narodzonego.

Homer Wells przystąpił do zadania z nożycami do cięcia mostka pożyczonymi od doktora Larcha, lecz spojrzawszy na klateczkę piersiową płodu stwierdził, że ten mostek przetną zwykłe większe nożyczki chirurgiczne. Ciał środkiem. Od razu zauważył uszkodzoną tętnicę płucną; zdziwił się jednak bardzo na widok znacznego otworu w przegrodzie serca, o centymetr najwyżej od rany. U płodu otwór w przegrodzie serca jest szeroki jak połowa przekroju tętnicy – ale Homer nigdy jeszcze nie zaglądał do wnętrza płodu. U zdrowego, dziesięciodniowego noworodka z otworu tego pozostaje zaledwie cienkie włókienko. Nie ma w tym żadnej tajemnicy – po prostu pierwszy samodzielny oddech noworodka zamyka przegrodę i jednocześnie otwiera płuca.

Homer Wells nie powinien był się temu dziwić, tak samo jak nie powinno go było dziwić skąpe płuco płodu: przecież płód nie oddycha samodzielnie. A jednak Homer przeżył szok: dziura w aorcie, tuż pod przegrodą serca, wyglądała jak drugie oko – pierwszym był naturalny otwór w przegrodzie. Fakty mówiły same za siebie: otwór w przegrodzie serca płodu nie zamknął się, ponieważ osobnik nie zaczerpnął pierwszego oddechu.

Życie embriona i płodu sprowadza się do rozwoju biologicznego. Homer założył na przeciętą arterię płucną mały, spiczasty klips i sięgnął po *Anatomię* Graya, a w niej do rozdziału o embrionie. Tu czekało go kolejne zdziwienie: nie pamiętał, że Gray nie

zaczyna opisu człowieka od embriona, lecz na nim właśnie kończy. Embrion rozważany był jako ostatni przejaw biologicznego człowieczeństwa.

Homer Wells widywał już skutki zapłodnienia w różnych stadiach rozwoju osobniczego, kompletne i rozczłonkowane tak, że trudno było domyślić się pierwotnego kształtu. Właśnie dlatego Homer nie mógł pojąć, czemu czarno-białe ilustracje do tego rozdziału Graya tak nim wstrząsnęły. Jedną z tych ilustracji przedstawiała profil dwudziestosiedmiodniowego embriona – takiego, który (co zaraz by podkreślił doktor Larch) „jeszcze nie kopie”, a jego podobieństwo do człowieka nie narzuca się automatycznie. Na rysunku przyszły kręgosłup był wygięty, jak przegub dłoni dorosłego człowieka, tam zaś, gdzie na dorosłej pięści znaczyłyby się knykcie, widniała nie uformowana, rybia głowa (z tych ryb, które żyją poniżej strefy światła, nigdy nie dają się złapać i potrafią się przyśnić w koszmarnych snach). Dolna część twarzy była jak rozwarty pyszczek węgorza, a oczy, osadzone po bokach, wydawały się przeznaczone do wypatrywania ataku ze wszystkich stron. Płód ośmiotygodniowy (który nadal „nie kopie”) ma już nos i usta – robi miny, zauważył Homer Wells. Właśnie to odkrycie – że ośmiotygodniowy płód robi miny – uświadomiło Homerowi Wellsowi obecność duszy.

Płód z Wodospadu Trzy Mile, z przeciętą tętnicą płucną, umieścił Homer w płaskim, białym, emaliowanym naczyniu laboratoryjnym. Dwoma klipsami przytrzymał rozwarty mostek, a trzecim wyeksponował uszkodzoną tętnicę. Płód miał wklęsłe policzki – jakby niewidzialne dłonie ścisnęły jego miękką główkę z obu stron; leżał na plecach, podparty łokciami, z przedramionkami wyprężonymi sztywno, prostopadle do klatki piersiowej. Miniaturowe paluszki były rozchylone, jakby szykowały się do złapania piłki.

Homer Wells z przykrością spojrział na niechlujnie ucięty kikucik pępownicy: przyciął go ponownie i starannie zaplótł w supełek. Starł skrzepłą kroplę krwi z miniaturowego penisa. Plama krwi zaschłej na emalii kuwety dała się usunąć bez trudu, za pomocą wacika z odrobiną alkoholu. Martwe ciało, zwłaszcza przez kontrast ze śnieżną bielą kuwety, miało mdławoszary odcień skóry. Homer odwrócił się do zlewu i zwymiotował, celując zręcznie w otwór odpływowy. Kiedy odkręcił kurek, żeby spłukać zlew, w starych rurach zagulgotało i zawyło. Cały pokój – cały budynek – zadrżał. Homer pomyślał, że to wina niesprawnej kanalizacji albo złudzenie wywołane emocjami i torsjami – a to był wiatr, mocarny wiatr od morza!

Homer Wells nie miał pretensji do doktora Larcha. Rozumiał, że istnieją w życiu sprawy skomplikowane, w których chodzi o coś więcej niż wskazanie winnego.

Larch nie był zresztą niczemu winien: postępował zgodnie z własnym sumieniem. Jeśli dla siostry Angeli i siostry Edny Wilbur Larch był świętym, to dla Homera Wellsa był świętym i ojcem w jednej osobie. Larch wiedział, co robi, po co i dla kogo. Tylko ten podział „kopie – nie kopie” nie przemawiał Homerowi do przekonania. Można to nazwać, jak kto chce – płodem, embrionem, skutkiem zapłodnienia – ale bez względu na nazwę, to żyje. A przerywanie życia – znów bez względu na to, jak je nazwiemy – jest zabijaniem. Homer spojrział na wzorowo wyeksponowaną w otwartej klatce piersiowej martwego płodu uszkodzoną tętnicę płucną. Larch może sobie na to mówić, jak chce – pomyślał. Jego sprawa. Chce mówić „płód”, niech mu będzie „płód”. Dla mnie to jest dziecko. Jeśli Larch ma prawo wyboru, ja też mam takie prawo.

Z nieskazitelnie czystą kuwetą w rękach przedefilował Homer przez hall, jak dumny kelner niosący na tacy specjalność zakładu do stolika najważniejszego gościa. Curly Day, wieczny zasmarkaniec, pałętał się po korytarzu między pokojem zabiegowym a gabinetem siostry Angeli, chociaż nie było mu wolno tam się bawić. Curly Day zawsze miał śmiertelnie znudzoną minę: odznaczał się zdolnością koncentracji na poziomie królika. W chwili nadejścia Homera, Curly ciągnął przez korytarz kartonowe pudło. W pudle przybyły do szpitala nowe gruszki do lewatywy, o czym Homer przypadkiem wiedział, bo je sam rozpakowywał.

– Co masz? – spytał Curly Day, ponieważ Homer niósł kuwetę z trupkiem na wysokości ramion, a Curly Day sięgał mu do pasa. Zbliżywszy się do pudła, Homer stwierdził, że nie jest puste: na dnie siedział Dawid Copperfield junior. Curly Day urządził Dawidowi przejażdżkę.

– Zmykaj stąd, Curly – powiedział Homer.

– Gomer! – ucieszył się głośno Dawid Copperfield.

– Homer, idioto! – poprawił go Curly Day.

– Gomer! – zawołał Dawid Copperfield jeszcze głośniej.

– Idździe stąd, chłopcy, bardzo was proszę – rzekł Homer.

– Ale co tam masz? – nie poddawał się Curly. Sięgnął w górę i udało mu się dotknąć krawędzi kuwety, ale Homer oderwał od naczynia brudną łapkę, chwycił ją za przegub i wykręcił do tyłu. Teraz na jednej dłoni zręcznie balansował tacą, a drugą trzymał wijącego się malca z wykręconą na plecy ręką.

– Aua! – wrzasnął Curly. Dawid Copperfield spróbował stanąć w pudle, ale stracił równowagę i klapnął na pupę.

Homer uniósł wykręconą na plecy rękę Curly'ego Daya – tak trochę, nieco powyżej linii kąta prostego – czym zmusił Curly'ego do zgięcia się w pół i oparcia głowy na krawędzi kartonu po gruszkach do lewatywy.

– Przestań – wystękał Curly.

– Wychodzisz stąd, Curly, jasne? – spytał Homer.

– Tak, tak – burknął Curly. Wtedy Homer go puścił. – Męczydusza – burknął Curly.

– Jasne – zgodził się Homer.

– Gomer! – zakwilił Dawid Copperfield.

Curly Day wytarł nos w wymięty rękaw i ze złości tak szarpnął kartonem, że Dawid Copperfield przewrócił się na bok.

– Auk! – zaprotestował głośno Copperfield Junior.

– Cicho bądź! – skarcił Curly Day swój ładunek. Demonstracyjnie szurając nogami, oddalił się od Homera Wellsa, rzuciwszy mu na pożegnanie spojrzenie pełne gorzkiego rozżalenia i ogólnej pretensji. Kolebiąc się na boki, włókł za sobą pudło z Dawidem Copperfieldem. Homer zauważył, że Curly ma odwrotnie włożone buty, a w dodatku jeden nie zasznurowany – ale postanowił nie zwracać chłopcu uwagi: Curly był niechlujem, to prawda, ale za to miał żywy temperament – a czy żywe usposobienie nie jest ważniejsze niż pedanteria, szczególnie u sieroty?

– Do zobaczenia, Curly – pozdrowił Homer zgięte plecy buntownika, któremu wyciągnięta na wierzch koszulina sięgała do kolan.

– Cześć, Homer – bąknął Curly, ale się nie odwrócił. Gdy mijał pokój zabiegowy, siostra Edna zauważyła go i zbesztła, że się kręci po korytarzu.

– Wiesz, że tu się nie wolno bawić, Curly – powiedziała.

– Wiem, wiem – westchnął Curly. – Już idę, już idę.

– Medna! – zawołał zduszonym głosem Dawid Copperfield z dna kartonu po gruszkach do lewatywy.

– Edna, ciemniaku! – pouczył go Curly Day.

Homer tymczasem znalazł się przy drzwiach gabinetu siostry Angeli. Drzwi były otwarte. Homer widział doktora Larcha przy maszynie do pisania: doktor nie pisał, w maszynie nawet nie było kartki. Doktor Larch siedział i patrzył w okno. Minę miał jak w transie; Homer przypomniał sobie podobny wyraz twarzy doktora, kiedy go zastał „odpoczywającego” w gabinecie zabiegowym. Możliwe, że ten sam stan umysłu, który mu sporadycznie gwarantował eter, potrafił doktor Larch osiągnąć metodą zwyczajnego wpatrywania się w okno. Homer był przekonany, że doktor



zażywa niekiedy eteru, gdyż na coś cierpi – w przekonaniu Homera wszyscy w St. Cloud’s cierpieli, z różnych przyczyn – a jest wszak ekspertem w uśmierzaniu bólu. Dla samego Homera woń eteru była tak mdląca i dławiąca, że dobrowolnie nigdy by się nie zdecydował na ten środek – Homer po prostu nie zetknął się jeszcze ze zjawiskiem nałogu. Na obliczu Wilbura Larcha malowało się tak głębokie rozmarzenie, że Homer Wells przystanął w drzwiach, niepewny, czy raczej nie powinien się wycofać, razem z dziećciem z Wodospadu Trzy Mile.

Lecz pierwsze olśnienie obecnością duszy jest w życiu człowieka faktem tak doniosłym, że towarzyszący mu nakaz posłannictwa nie pozwala zachować tego faktu w tajemnicy. Ten sam nakaz wewnętrzny domaga się demonstracji bardziej dobitnej niż zwykle napomknienie. Zawahawszy się więc przez chwilę w drzwiach gabinetu siostry Angeli, Homer wszedł śmiało do środka i z głośnym brzękiem postawił metalową kuwetę na maszynie do pisania. Martwe dziecic z Wodospadu Trzy Mile znalazło się na wysokości grdyki doktora Larcha – „na odległość ugryzienia”, jak to mawiają w stanie Maine.

– Panie doktorze? – zagadnął Homer Wells. Larch odwrócił głowę od marzeń i ponad ciałkiem spojrzął na Homera. – Źródłem krwotoku było przebicie arterii płucnej, co pan zresztą widzi.

Larch popatrzył na eksponat wieńczący maszynę do pisania. Patrzył z miną autora, którego dzieło ożyło (i umarło) za sprawą jego woli.

Za oknem ktoś zaczął przeraźliwie krzyczeć, ale wiatr mieszał słowa i zbijał w bełkot.

– Do licha! – powiedział Wilbur Larch, z myślą o przedziurawionej tętnicy.

– Przyszedłem panu powiedzieć, że nigdy w życiu nie wykonam aborcji. Nigdy!  
– oświadczył dobitnie Homer Wells. Logiczny związek tego oświadczenia z przeciętą aortą był oczywisty tylko dla Homera; doktor Larch nie krył zdumienia.

– Jak to? – spytał oszołomiony. – Co ty mówisz?

Krzyki za oknem nasiliły się, ale nie zyskały przez to na wyrazistości. Homer Wells i doktor Larch w milczeniu mierzyli się wzrokiem ponad trupkiem dziecicia z Wodospadu Trzy Mile.

– Już idę, już idę! – rozległ się głos siostry Angeli.

– To ten Curly Day – wyjaśniała siostrze Angeli siostra Eda. – Musiałam go stąd wyrzucić, razem z małym Copperfieldem.

– Nigdy w życiu – powoził oświadczenie Homer Wells.

– Potępiasz? – zapytał doktor Larch.

– Pana nie potępiam – odparł Homer Wells. – Potępiam t o, nie przyłożę do tego ręki.

– No cóż – rzekł Larch. – Nigdy do niczego cię nie zmuszałem. I nigdy nie będę zmuszał. Masz wolny wybór.

– Jasne – potwierdził Homer Wells.

Drzwi z korytarza otworzyły się nagle, ale powód hysterii Curly’ego Daya wciąż nie był jasny. Doktor Larch i Homer Wells usłyszeli brzęk probówek, które musiały się zachybotać w metalowym stojaku przy drzwiach; przy akompaniamencie szklanych dzwoneczków słowo „Trup!” nareszcie wygrało z wiatrem.

– Trup! Trup! Trup! – darł się przeraźliwie Curly Day, a Copperfield junior wtórował mu nieartykułowanymi monosylabami.

– Co za trup, kochanie? – spytała słodko siostra Angela.

Curly Day znalazł trupa zawiadowcy stacji. Nie poznał, co prawda, że to zawiadowca, bo nie przyglądał mu się dostatecznie długo.

– Trup faceta! – obwieścił Curly siostrze Angeli i siostrze Ednie.

Wilbur Larch, który słyszał tę wymianę zdań, wstał od biurka i mijając Homera, wyszedł na korytarz.

– Jeżeli to nie sprawi panu doktorowi różnicy – powiedział mu na odchodnym Homer Wells – to wolałbym przy tym nie asystować i nie patrzeć, jak pan doktor robi to, co uważa za swój obowiązek. Chętnie pomogę przy wszystkim oprócz tego, i nie potępiam pana doktora

– dodał. – Tylko, jeżeli wolno, nie chcę na to patrzeć.

– Muszę się nad tym zastanowić, Homerze – odparł doktor Larch.

– Zobaczmy, kto tam umarł, dobrze?

Idąc korytarzem za doktorem Larchem, Homer zauważył, że drzwi sali operacyjnej zostały zamknięte i paliła się nad nimi lampka – znak, że siostra Edna albo siostra Angela przygotowały obie oczekujące pacjentki do zabiegu aborcji. U pacjentki z Damariscotty skurcze były wciąż rzadkie i rytmiczne, co pozwalało sądzić, że doktor Larch zdąży spokojnie przeprowadzić obie aborcje, zanim będzie potrzebny przy porodzie. Homer popierał zdanie doktora Larcha, że przedłużanie czasu oczekiwania na aborcję (szczególnie gdy pacjentka została już przygotowana do zabiegu) zakrawa na wymyślną torturę. Uchylił drzwi sali operacyjnej i nie patrząc na żadną z leżących tam pacjentek, oznajmił:

– Pan doktor zaraz przyjdzie, proszę się nie niepokoić.

Niestety, zanim zdążył z powrotem zamknąć drzwi, Curly Day zaczął z nową energią wykrzykiwać swoje: „Trup! Trup!” Curly Day był z natury nadpobudliwy, toteż często dokonywał niepożądanych odkryć. Trupa odkrył dlatego, że w pewnej chwili znudziło mu się wozić Dawida Copperfielda w kartonie po gruszkach do lewatywy i wpadł na nowy pomysł: postanowił wystrzelić małego Copperfielda (w pudle) w przestrzeń, z rampy na zapleczu budynku chłopców. Niełatwo było wywindować na rampę pudło z Dawidem Copperfieldem; za to gdy już stanęło nad mało używanym, bujnie zachwaszczonym podjazdem, Curly ucieszył się, bo stwierdził, że chyba nauczy małego Copperfielda latać. Z rampy do ziemi nie było za daleko; tak czy owak, upadek w pudle – zdaniem Curly’ego – niczym małemu nie groził. Zachwaszczone wzniesienie, które podchodziło aż pod samą rampę, stwarzało dodatkową nadzieję, że karton zjedzie w dół jak sanie. Curly wziął pod uwagę smutną ewentualność uszkodzenia pudła – gdyby tak się stało, pozostałby z Dawidem Copperfieldem sam na sam, a perspektywa obcowania z Dawidem Copperfieldem bez kartonu po gruszkach do lewatywy, lub innej zabawki, ziała nudą. Ale Curly spróbował już wszystkich możliwości wykorzystania Copperfielda, z pudłem i bez pudła; żadne nowe bezpieczne zabawy nie przychodziły mu do głowy – a Copperfield nie uskarżał się na swój los. Copperfield nie wiedział, że znajduje się na skraju rampy, bo siedział głęboko w pudle i nic nie widział. Spychając karton z rampy, Curly ustawił go prosto, żeby Copperfield nie wylądował na głowie. Karton spadł na jeden róg, który się zgniół, a wysypany z przechylnego pudła Dawid Copperfield poturlał się w dół między wysokie chwasty. Jak kurczak gramolący się niezdarnie z jaja, Copperfield co pewien czas stawał na nogi i natychmiast znów padał, i toczył się dalej. Z rampy Curly Day widział tylko kłaniające się chwasty; Copperfield całkiem w nich zginął.

Copperfieldowi nic się nie stało, tylko kompletnie stracił orientację. Nie widział ani Curly’ego, ani pudła, które zdążył pokochać. Kiedy wreszcie przestał się turlać, spróbował wstać, ale kręciło mu się w głowie i grunt był nierówny, więc klapnął z powrotem na pupę. Poczul pod siedzeniem coś twardego i okrągłego – jakby kamień. Wstał i spojrział: była to głowa zawiadowcy stacji, twarzą do góry, z otwartymi oczami, w których zamarło pokorne przyzwolenie na strach.

Dorosły człowiek, a nawet dziecko starsze od Dawida Copperfielda, doznałby szoku stwierdziwszy, że siedzi na twarzy trupa, ale Dawid Copperfield na wszystko patrzył z zaciekawieniem i niczemu się nie dziwił. Dopiero gdy dotknął twarzy i przekonał się, że jest zimna, nieomylna dziecięca wrażliwość podpowiedziała mu, że coś jest nie tak. Odskoczył od trupa, upadł, po turlał się, wstał, podbiegł, upadł,

poturlał się, i tak dalej. Gdy wreszcie jako tako ustał na nogach, zaczął skowyczeć jak psiak. Curly Day ruszył za tym głosem przez wysoki gąszcz chwastów.

– Idę, idę, nie drzyj się! – nawoływał, ale Copperfield biegał w kółko, padając co chwila, i nie przestawał skowyczeć. – Stań w jednym miejscu, to cię znajdę! – wołał Curly Day. Nagle nadepnął na coś, co przekreśliło się pod jego butem, jak świeżo złamana gałąź, która nie zdążyła dobrze osiąść w miękkiej ziemi. Była to ręka zawiadowcy stacji. Łapiąc równowagę, Curly Day podparł się o pierś zawiadowcy. W osłoniętym od wiatru zaciszu chaszczy, z kamiennej twarzy patrzyły w dal, omijając Curly’ego, niewzruszone, szeroko otwarte oczy. W gąszczu chwastów uganiały się teraz w panice już dwa skowyczące bezradnie pieski, jakby pochwycone w potrzask labiryntu. O tym, że Curly Day był w gruncie rzeczy odważny i odpowiedzialny, świadczy fakt, iż nie opuścił chaszczy, dopóki nie odnalazł Dawida Copperfielda.

Melony obserwowała te harce w chaszczach ze swojego ulubionego okna. W każdej chwili mogła zawołać Curly’ego Daya i podać mu namiar na Dawida Copperfielda, gdyż z ruchów traw poznawała, gdzie akurat przebywa któreś ze skowyczących zwierzątek. Ale wolała pozostawić ich zdanych na własne siły. Dopiero gdy Curly Day doholował małego Copperfielda pod gmach i ciągnął go dalej, wokół oddziału chłopców, do głównych drzwi szpitala, Melony zdobyła się na komentarz:

– Ee! Curly! Masz odwrotnie włożone buty! Ty ofiaro! – Ale wył wiatr, więc ani Curly nie mógł słyszeć Melony, ani ona nie mogła zrozumieć jego krzyków. Melony rzuciła na wiatr jeszcze tylko jedno zdanie; poczuła, że wiatr pozwala jej wyrazić szczerze to, co ma na sercu, i to tak głośno, jak jej się podoba (co tym razem nie wypadło nawet tak bardzo głośno). – Nudy na pudy – powiedziała Melony.

Wkrótce zrobiło się mniej nudno: Wilbur Larch i Homer Wells, w asyście siostry Edny i siostry Angeli, wyszli na dwór od strony zaplecza oddziału chłopców. Nie ulegało wątpliwości, że przeszukują kępę chwastów za domem.

– Czego tam szukacie? – zawołała z okna Melony, ale czy to z powodu wiatru, czy zaferowania tropicieli, pytanie pozostało bez odpowiedzi. Melony postanowiła osobiście zejść na dół i uzyskać wyjaśnienie.

Dzień zaczynał się jakoś dziwnie i niepokojąco – ale przynajmniej coś się w ogóle działo, a to już był dla Melony wystarczający powód do względnego zadowolenia.

Nie dzielali tego uczucia Candy Kendall i Wally Worthington, od trzech godzin pogrążeni w kompletnym milczeniu, gdyż denerwowali się oboje za bardzo, aby próbować maskującej emocje konwersacji. Na dworze było jeszcze ciemno, gdy

wyjeżdżali z Heart's Haven w głąb lądu, jakby w ucieczce przed wiatrem, wciąż zdumiewająco porywistym. Minionej nocy Wally tak drobiazgowo przestudiował mapę, że biały cadillac sunął teraz do celu jak w transie – niczym ostryga lub perła niesiona falą morską ku brzegowi. Nawet w głębi lądu wiatr był zbyt silny na jazdę z otwartym dachem, ale Wally zawsze wołał cadillaca w wersji kabrioletu – a poza tym, kiedy dach był otwarty i wiatr szalał głośno we wnętrzu wozu, mniej raziło milczenie, które zapadło między nim a Candy. Candy też była z tego zadowolona: wiatr sprawiał, że jej złote włosy zasłaniały twarz jak gęsta woalka i Wally nie mógł widzieć, jaką Candy ma minę. Wally i tak domyślał się tej miny: za dobrze znał Candy.

Zerknął na książkę, którą Candy dla pozorów trzymała na kolanach i nawet dość często usiłowała czytać, ale za każdym razem odkładała z „oślim uchem” zagiętym na tej samej stronie. Była to *Mała Dorrit* Charlesa Dickensa – wakacyjna lektura obowiązkowa wszystkich panienek z przyszłorocznej, maturalnej klasy Candy. Po czterech czy pięciu próbach rozpoczęcia lektury, Candy nie miała zielonego pojęcia, o czym książka traktuje, ani nawet, czy jej się podoba.

Wally, którego książki w ogóle nie obchodziły, nie zwrócił uwagi na tytuł; zauważył tylko powracające ciągle w tym samym miejscu „ośle ucho” i pomyślał o Candy. Myślał też o St. Cloud's: było już (w jego wyobrazeniach) po aborcji, Candy pięknie dochodziła do siebie, lekarz sypał dowcipami, a pielęgniarki śmiały się perliście. W wyobrazeniach Wally'ego, St. Cloud's dysponowało armią pielęgniarek o liczebności gwarantującej wygranie wojny. Wszystkie były młode i ładne. Sierotki natomiast baraszkowały uroczo i odsłaniały w uśmiechu obowiązkowe szczyby po mlecznych jedynkach.

W bagażniku sunącego jak po stole cadillaca Seniora Worthingtona wiózł Wally trzy skrzynie po jabłkach, wypakowane po brzegi podarkami dla sierot. W innej porze roku zawiózłby im świeżych jabłek i soku jabłkowego, ale przecież nie wiosną. Za to Wally wiózł sierotom coś, co, w jego mniemaniu, było prawie tak dobre jak świeże jabłka i sok: dziesiątki słoików z galaretką z dwóch rodzajów jabłek i sporo dwulitrowych słoików z najlepszym miodem z kwiatu jabłoni, który zebrały pszczoły Iry Titcomba. Wioząc Candy na aborcję, Wally widział się w roli łaskawego Świętego Mikołaja (zważywszy skojarzenie Wilbura Larcha z osobą wykonującą niegdyś skrobanki „za rogiem Harrisona”, był to obraz wybitnie niefortunny).

Wally wyobrażał sobie Candy po aborcji: siedzi wsparta o poduszki, a na jej twarzy maluje się wyraz ulgi, jak po usunięciu bolesnej zadry. Wyobrażenia Wally'ego natchnęła salę, w której odbył się zabieg aborcji, aurą powszechnej radości,

towarzyszącej zwykle narodzinom oczekiwanego potomka – wśród wiwatów i gratulacji defilowały zabawne sierotki, każda ze słoikiem galaretki jabłkowej. Małe łasuchy, zadowolone jak młode niedźwiadki.

Candy po raz kolejny zamknęła książkę i złożyła ją na kolanach. Wally uznał, że powinien coś powiedzieć.

– Ciekawa książka? – spytał.

– Nie mam pojęcia – odparła Candy i roześmiała się.

Wally uszczypnął ją lekko w udo, ale kiedy spróbował zawtórować jej śmiechem, poczuł kluskę w gardle. Candy w odpowiedzi też uszczypnęła go w udo – z taką samą dokładnie siłą i emocją, z jakimi on to uczynił. Jakże się cieszył, że są do siebie tacy podobni!

Słońce pięło się coraz wyżej po niebie, a oni jechali przez coraz uboższe, prowincjonalne miasteczka, jak potomkowie zdetronizowanej monarchii – miejscowa ludność odwracała się ze zdziwieniem za kremowym cadillakiem wiozącym olśniewającą parę. Karmazynowe obicia foteli w wozie – nawet upstrzone odbarwieniami po niefortunnej przygodzie Seniora z preparatem chemicznym – robiły wielkie, nie zapomniane wrażenie.

– Już niedaleko – powiedział Wally. Tym razem powstrzymał się od uszczypnięcia Candy w udo, za to lekko oparł rękę na jej kolanie, tuż obok *Małej Dorrit*. Candy przykryła jego dłoń swoją. Tymczasem Melony, zdążając z niezwykłą dla siebie pewnością celu przez hall budynku dziewcząt, ściągnęła na siebie baczne i troskliwe oko pani Grogan.

– Co się dzieje, kochanie? – zagadnęła ją pani Grogan.

– Nie wiem – wzruszyła ramionami Melony. – Żaden nowy facet nie pojawił się w okolicy, to pewne – burknęła, co, jak na Melony, było odpowiedzią wręcz kulturalną, i pani Grogan odnotowała ten fakt. Jakże to dziewczę ostatnio złagodniało – pomyślała. Istotnie, Melony troszkę złagodniała. Odrobinę.

Zaintrygowana energicznym wymarszem Melony z budynku, pani Grogan poszła jej śladem.

– Co za wicher! – krzyknęła zaskoczona. Skądżeś ty się urwała? – pomyślała szyderczo Melony, ale nie powiedziała nic: na tym etapie łagodnienia obyczajów łatwo było pomylić jej postawę z kompletną obojętnością wobec otoczenia.

– To zawiadowca stacji – rzekł Homer Wells, gdyż on pierwszy natknął się na zwłoki.

– A, ten bałwan! – mruknął pod nosem Wilbur Larch.

– Nie żyje – poinformował Homer doktora Larcha, przedzierającego się przez chaszczę w stronę trupa. Doktor Larch powstrzymał się przed wygłoszeniem uwagi, że zawiadowca na pewno zaplanował sobie ten sposób i to miejsce śmierci, aby narazić sierociniec na jeszcze większe niż dotychczas kłopoty. Możliwe, że i Wilbur Larch stopniowo łagodniał, ale nie szybciej niż Melony.

St. Cloud's nie sprzyjało łagodności obyczajów.

Homer Wells podniósł wzrok ponad chwasty kryjące nieboszczyka zawiadowcę i ujrzał zbliżającą się Melony.

Litości! – jęknęło w nim znużone serce. Litości! Wypuście mnie stąd! Mocarny wichur zgarnął mu włosy z czoła. Homer pochylił się i wypiął pierś pod wiatr, jak marynarz w czasie sztormu na pokładzie statku prującego wezbrane fale oceanu, którego Homer jeszcze nigdy nie widział.

Wilbur Larch rozmyślał o wadzie serca, którą obdarował Homera Wellsa. Zastanawiał się, jak powiedzieć Homerowi o wadzie serca, a jednocześnie nie przestraszyć go i nie natchnąć skojarzeniem ze stężonym w grozie obliczem nieboszczyka zawiadowcy stacji. Co, u diabła, mogło się temu pajacowi przywidzieć? – głowił się doktor Larch, taszcząc wraz z innymi sztywne zwłoki zawiadowcy.

Curly'ego Daya, który uwielbiał wykonywać wszelkie zadania, już posłano na stację. Towarzyszył mu mały Copperfield, co znacznie spowolniło marsz – ale tym razem Curly cieszył się, że w ogóle ma towarzystwo. Wiadomość, którą miał dostarczyć na stację, stale się Curly'emu myliła, więc chętnie wykorzystał Copperfielda jako próbnego odbiorcę komunikatu. Raz po raz recytował tekst, który, jak mu się zdawało, miał przekazać; na Dawidzie Copperfieldzie nie robiło to najmniejszego wrażenia, ale Curly się tym nie przejmował: najważniejsze, że powtarzanie wiadomości na niego samego działało kojąco i – tak mu się przynajmniej zdawało – pozwalało mu coraz lepiej pojmować jej sens.

– Zawiadowca stacji nie żyje! – deklamował Curly, ciągnąc Copperfielda w dół po zboczu wzgórza. Ruch głowy Copperfielda mógł być świadomym potwierdzeniem; z drugiej strony – głowina mogła mu się po prostu telepać od szybkiego marszu po wykrotach. Schodzenie po zboczu nie należało do mocnych stron Copperfielda, który w ogóle miał problemy z utrzymaniem równowagi, a teraz w dodatku musiał sobie radzić z lewą ręką (którą ścisnął w swojej prawej Curly Day), wyciągniętą wysoko ponad głowę.

– Doktor Larch stwierdził kilkugodzinny zawał serca! – deklamował dalej Curly Day, chociaż czuł, że z tym zdaniem coś jest nie tak. Na wszelki wypadek powtórzył je jeszcze kilka razy – w końcu zabrzmiało nawet całkiem sensownie. Oczywiście, doktor Larch stwierdził, że zawiadowca dostał zawału na kilka godzin przed znalezieniem ciała, ale Curly z każdym kolejnym powtórzeniem coraz bardziej przywiązywał się do własnej wersji diagnozy.

– Proszę powiadomić krewnych i znajomych zmarłego, że wkrótce odbędzie się automobil! – kontynuował Curly Day; głowa Dawida Copperfielda majtnęła się potakująco. To ostatnie zdanie nie podobało się Curly’emu nawet po wielokrotnym powtórzeniu, chociaż wiedział, że kazano mu powtórzyć coś w tym stylu. Chodziło, rzecz jasna, o „autopsję”, a nie „automobil”: połowa słowa rzeczywiście się zgadzała. Może – kombinował w duchu Curly – po trupa ma przyjechać jakiś specjalny samochód? Hipoteza była nawet dość sensowna, a jako dość sensowna w zupełności wystarczała Curly’emu, który w większości zjawisk w ogóle nie dostrzegał sensu.

– Umarty! – krzyknął radośnie Dawid Copperfield, gdy dotarli wreszcie do stacji. Na ławce stojącej tyłem do torów rozwalilo się dwóch przedstawicieli rezydującej regularnie na stacji grupy lumpów, którzy kręcili się w pobliżu od rana do nocy, jakby stacja była pałacem pięknych dam, znanych z tego, że obdzielają łaskami wszystkich brudasów i obiboków w mieście. Na Curly’ego i Dawida nawet nie splunęli. Dawid Copperfield krzyknął „Umarty!” wprost do nich, ale nie doczekał się żadnej reakcji.

Pomocnikiem zawiadowcy był młodzian, który swój wyjątkowo niesympatyczny i pogardliwy sposób bycia wzorował na postawie szefa, w związku z czym miał w sobie coś ze zrzędlivego, starego piernika – co w żaden sposób nie licowało z jego wiekiem i wyglądem – a do tego odznaczał się zjadliwą podłością miłującego swą profesję hycła. Młody ów głupiec, wzorem swego pryncypała-zawiadowcy, lubował się w demonstrowaniu przewagi wobec słabszych: darł się na dzieci, żeby nie trzymały nóg na ławkach, za to przed każdym, kto był choć trochę lepiej od niego ubrany, płaścił się w sposób obrzydliwy i pokornie znosił wszelkie chamstwo ze strony tych, co mieli nad nim przewagę. Do przyjezdnych kobiet, które pytały go o drogę do sierocińca, odnosił się zawsze z zimną wyniosłością i nigdy żadnej z nich nie pomógł wsiąść do wagonu, gdy udawały się w podróż powrotną – a pierwszy stopień wagonu był naprawdę wysoki i znaczna część wyskrobanych do czysta kobiet miała trudności z jego pokonaniem.



Tego ranka pomocnik zawiadowcy szczególnie silnie odczuwał miłość własną i wstręt do reszty ludzkości. Za piętnaście centów posłał jednego z lumpów po zawiadowcę do domu, lecz obwieś wrócił z taką tylko informacją, że rower zawiadowcy przewrócił się i leży na ziemi. Zły znak – pomyślał pomocnik zawiadowcy – ale dalej nic nie wiadomo. Irytowała go konieczność wykonywania zadań zawiadowcy stacji (z których się zresztą wywiązywał marnie), a zarazem nęciła perspektywa objęcia pełni władzy. Na widok parki umorusanych smarkaczy z sierocińca, przechodzących przez jezdnię głównej ulicy na wprost stacji, pomocnik zawiadowcy poczuł całą potęgę swego autorytetu. Curly Day otarł nos rękawem i, nie przestając ciągnąć Dawida Copperfielda, zamierzał właśnie przemówić, lecz pomocnik zawiadowcy stacji był szybszy:

– Zjeżdżać mi stąd! – rozkazał. – Tu nie wasze miejsce!

Curly stanął jak wryty; mały Copperfield wpadł na niego z rozpędu i zachwiał się od siły zderzenia. Curly nie miał złudzeń, że gdziekolwiek na świecie istnieje „jego” miejsce, a jednak zebrał się na odwagę i całkiem śmiało wygłosił tak mozolnie przygotowany komunikat:

– Zawiadowca stacji nie żyje! Doktor Larch stwierdził kilkugodzinny zawał serca! Proszę powiadomić krewnych i znajomych zmarłego, że wkrótce odbędzie się automobil!

Nawet lumpy się zainteresowały. Pomocnika zawiadowcy opadła z miejsca chmara sprzecznych uczuć: śmierć zawiadowcy mogła oznaczać, że obowiązki przejmie teraz właśnie on, pomocnik; zawał serca trwający kilka godzin (pomocnik zawiadowcy zdziwił się, że człowiek jest w stanie tak długo znosić zawał) to musiało być coś strasznego; i co to za obietnica – a może pogróżka – z automobilem?

Jacy krewni? Jacy znajomi? – zachodzili w głowę przedstawiciele mętów społecznych.

– To co ma być z tym automobilem? – zwrócił się pomocnik zawiadowcy do Curly’ego Daya. Curly od początku podejrzewał, że coś w tym miejscu przekręcił, ale postanowił blefować. Wiedząc, czym grozi okazanie słabości i braku zdecydowania wobec sadysty, Curly Day zaufał swemu dobrze rozwiniętemu instynktowi przetrwania, który nakazywał w tej sytuacji poświęcić prawdę dla pozorów pewności siebie.

– To ma być, że przyjedzie po niego samochód – odparł dobitnie. Na lumpach zrobiło to spore wrażenie: nie mieli pojęcia, że zawiadowca jest aż tak ważny, że wzywa się samochód dla przewiezienia go – choćby i w formie zwłok.

– Znaczy się karawana, tak? – spróbował uściślić informację pomocnik zawiadowcy. W Wodospadzie Trzy Mile był karawan: pomocnik zawiadowcy nawet kiedyś widział ten długi, czarny pojazd, poruszający się z prędkością wozu zaprzęzonego w muła.

– Nie, samochód – upierał się Curly Day, któremu słowo „karawana” nie mówiło nic a nic. – Przecież mówię: automobil.

Zamilkli wszyscy i zamarli w bezruchu, jakby doznali pierwszych objawów tej szczególnej odmiany zawału serca, która trwa kilka godzin. Jak zakłęci, czekali, co się dalej stanie. I wtedy właśnie na horyzont wypłynął kremowobiały cadillac Seniora Worthingtona.

Wally i Candy mijali na swej trasie niejedno ubogie, odcięte od świata miasteczko i wszędzie towarzyszyły im ciekawskie spojrzenia – a jednak rozdziawiona gęba pomocnika zawiadowcy stacji St. Cloud’s i wybałuszone oczy dwóch lumpów, którzy siedzieli jak wmurowani na ławeczce przed budynkiem stacji, zbiły ich z pantałyku.

– Saint Cloud’s – obwieścił Wally ze sztucznym animuszem. – No, to jesteśmy na miejscu.

Candy tym razem nie zdołała się opanować: z całej siły zacisnęła palce na udzie Wally’ego. *Mała Dorrit* zsunęła się przy tej okazji z jej kolan i nim spoczęła na podłodze cadillaca, otarła się o kostki splecionych stóp Candy. Najsilniej podziałał na nią widok twarzących Curly’ego Daya i Dawida Copperfielda. Oblicze Curly’ego Daya jaśniało wewnętrznym blaskiem spod warstwy brudu i zaniedbania. Wielkie nadzieje wypisane na tej buzi zaparły Candy dech w piersiach; łyzy zakreśliły jej się w oczach, zamazując obraz – ale przedtem zdążyła zdumieć się niespotykaną średnicą otwartych ust Dawida Copperfielda. Z wydatnej dolnej wargi w kształcie łyżki zwisała przejrzysta nitka zdrowej śliny, nieomal sięgająca zaciśniętych piąstek, które malec przyciskał do brzuszka, jakby olśniewający biały cadillac – niczym cios w splot słoneczny – pozbawił go tchu.

Wally uznał – chociaż pewności nie miał – że za całą tę dziwną grupę odpowiada pomocnik zawiadowcy. Zwrócił się więc do niego:

– Przepraszam pana... – W twarzy pomocnika zawiadowcy nie drgnął ani jeden mięsień; oczy miał jak szklane. – Czy mógłby nam pan wskazać drogę do sierocińca?

– Szybko się pan uwinął, nie ma co – ocknął się pomocnik zawiadowcy. Coś podobnego – dodał w duchu – biała karawana! A karawaniarze – jacy piękni! Na tę

panią pomocnik zawiadowcy nie mógł długo patrzeć, bo oślepiła go urodą; do końca życia nie zapomniał jej przelotnie widzianej postaci.

– Pan coś mówił? – upewnił się Wally. Ten człowiek jest niespełna rozumu – pomyślał. Należało się zwrócić do kogoś innego. Jeden rzut oka na udrapowanych na ławce lumpów przekonał Wally’ego, że i z nimi nie ma co gadać. Mniejsze dziecko, ze strużką krystalicznej śliny, która połyskiwała w słońcu jak sopel i sięgała już prawie zielonych od upadków w trawę dołeczków na kolanach małego, wydawało się zbyt młode na poważną rozmowę. Wally mimo to spróbował: – Serwus – uśmiechnął się do Dawida Copperfielda.

– Umarty! – oznajmił Dawid Copperfield, a nitka śliny zatańczyła jak anielski włos na choince.

Nic z tego – uznał Wally i poszukał wzrokiem oczu Curly’ego Daya. Szukał krótko: były z nabożeństwem skierowane na Candy.

– Cześć – powiedziała Candy do Curly’ego, na co Curly Day z widocznym trudem przełknął ślinę i potarł energicznie czerwony od kataru koniec nosa.

– A może ty, chłopczyku, wskazałbyś nam drogę do sierocińca? – zwrócił się Wally do Curly’ego, który, w przeciwieństwie do lumpów i pomocnika zawiadowcy, wiedział, że ten cadillac i te anielskie postacie nie zostały zesłane do St. Cloud’s po niepotrzebne nikomu zwłoki zawiadowcy. Szukają sierocińca! – pomyślał Curly Day. Chcą kogoś adoptować! – podpowiedziało mu szaleńczo bijące serce. Boże, spraw, żebym to był ja!

Dawid Copperfield, w typowym dla siebie transie, wyciągnął łapkę i dotknął lśniącego monogramu na drzwiach cadillaca – złotego monogramu Seniora Worthingtona na tle rumianego jabłka z gatunku zwanego „czerwona delicja”, z wiosennie zielonym listkiem w mało wymyślnym kształcie łyżki. Curly natychmiast dał Copperfieldowi po łapach.

Muszę wziąć sprawy w swoje ręce – myślał Curly – jeżeli chcę, żeby mnie wybrali.

– Chętnie państwu pokażę, gdzie jest sierociniec – zaproponował Curly Day. – Możemy tam z państwem pojechać.

Candy z uśmiechem otworzyła im tylne drzwi wozu. Zdziwiła się nieco, kiedy Curly podniósł małego Copperfielda i wrzucił go do cadillaca – ale nie na siedzenie, tylko na podłogę. Copperfield zdawał się być z tego całkiem zadowolony, zwłaszcza gdy dotknął jednym palcem zagadkowo cętkowanej skóry obicia siedzenia i, przestraszony, zaraz cofnął rączkę (jeszcze nigdy nie dotykał skóry), jakby się bał, że

kanapa ożyje. W ogóle, dzień ten był dla Copperfielda pełen wrażeń: rano spędzony w pudle po gruszkach do lewatywy; próbny lot; lądowanie w chwastach; przysiad na głowie trupa. Co dalej? – myślał z ciekawością mały Copperfield. Wrzasnął wniebogłosy, kiedy cadillac ruszył z miejsca. Jeszcze nigdy w życiu nie jechał samochodem.

– Nie wie, co to samochód – usprawiedliwił go przed Candy Curly Day. Curly też jeszcze nigdy w życiu nie dotykał skórzanych obić, ale usiłował sprawiać wrażenie, że urodził się do jazdy luksusowymi kabrioletami. Nie wiedział – bo i skąd? – że dziwne ślady odbarwień na szkarłatnej kanapie są skutkiem wypadku z chemikaliami; na swoje nieszczęście, Curly Day miał jeszcze nieraz w życiu wziąć przypadkowe zjawisko za owoc przemyślanej koncepcji twórczej.

– Zwolnij, Wally – poprosiła Candy. – Malutki się boi.

Przechyliła się do tyłu przez oparcie i wyciągnęła rękę do Copperfielda – jego wycie momentalnie ustało. Ujrzał przed sobą miły, znajomy widok; włosy opadające po obu stronach twarzy, wyciągnięte ramiona i krzepiący uśmiech przypomniały mu siostrę Angelę i siostrę Ednę. Mężczyźni – podsumował Copperfield w duchu swoje doświadczenie życiowe – biorą człowieka jedną ręką i noszą na biodrze (przez „mężczyzn” rozumiał Homera Wellsa i doktora Larcha). Curly Day też czasami próbował tak nosić Copperfielda, ale nie miał dość siły i często go upuszczał.

– Chodź no tu do mnie, chodź, nie bój się. – Candy wyłuskała Copperfielda z oparcia swojego fotela, przeniosła go i usadziła sobie na kolanach. Copperfield rozpromienił się uśmiechem i dotknął włosów Candy: musiał sprawdzić, czy są prawdziwe, bo jeszcze nigdy nie dotykał jasnych włosów. Nigdy też nie siedział blisko kogoś, kto by tak ładnie pachniał, więc zbliżył buzię do szyi Candy, koło ucha, i z lubością pociągnął nosem. Candy przytuliła go mocno i odruchowo ucałowała w błękitną wklęsłość skroni. Spojrzała na Wally’ego. Chciało jej się płakać.

Curly Day, chory z zazdrości, wczepił się oburącz w skórzane obicie tylnej kanapy i gorączkowo zastanawiał się, co ma powiedzieć, żeby piękni państwo wybrali jego. A właściwie to czemu ktoś miałby mnie chcieć? – przeleciało mu przez głowę, ale szybko odpędził wątpliwości. Nie mogąc spokojnie patrzeć, jak Candy tuli Dawida Copperfielda, poszukał oczu Wally’ego w lusterku wstecznym.

– Jesteś może jednym z wychowanków sierocińca? – zagadnął Wally (miał nadzieję, że nie zabrzmiało to nietaktownie).

– No jasne! – odparł skwapliwie i o wiele za głośno, Curly Day. Natychmiast pożałował, że nadał odpowiedzi tak entuzjastyczny ton. – Z tym, że nie jednym z wychowanków, a najgrzeczniejszym wychowankiem! – dodał chełpliwie.

Ubawiona tym Candy odwróciła się ku niemu z miłym uśmiechem. Curly poczuł, jak wiotczeją jego zaciśnięte na skórze obić pięści. Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale katar dosłownie lał mu się z nosa i Curly obawiał się, że wszystko, co w tej sytuacji powie, zabrzmie śmiesznie. Zanim zdążył obetrzeć nos rękawem, wyciągnęła się ku niemu piękna ręka z chusteczką. Piękna pani nie podała Curly’emu chusteczki, lecz osobiście przykryła nią usmarkany nos, który ujęła mocno przez batyst, w jak najbardziej właściwym miejscu.

– Dmucha! – poleciła. Curly Day tylko raz w życiu przeżył coś takiego – z rąk siostry Edny. Rozanielony, przymknął powieki i dmuchnął – zrazu nieśmiało.

– Mocniej! Z całej siły! – zachęciła go Candy. Więc Curly dmuchnął najmocniej, jak umiał, za jednym zamachem oczyszczając zatoki. Cudna woń perfum pięknej pani przyprawiła go o zawrót głowy: jeszcze raz przymknął oczy i zsiusiał się w spodnie. Nie koniec na tym: zanim, zgnębiony kompromitacją, padł na komfortową kanapę cadillaca, stwierdził ze zgrozą, że zasmarkał pięknej pani całą rękę! A ona nawet się nie rozzłościła, tylko wyglądała na troszeczkę zmartwioną. Widząc to, Curly zsiusiał się jeszcze raz. Nie umiał się powstrzymać. Candy była wyraźnie zaskoczona.

– W lewo czy w prawo? – spytał Wally dziarsko, zajechawszy pod tylne wejście do budynku chłopców.

– W lewo! – krzyknął Curly Day głosem desperata i, otworzywszy drzwi kabrioletu po stronie Candy, zaczął się gęsto i szybko tłumaczyć: – Ja przepraszam! Ja nie sikam nawet do łóżka! Nigdy nie sikałem! Nie moczę się w nocy! Po prostu się przeziębilem! I byłem zdenerwowany! Mam dzisiaj zły dzień. Ja naprawdę jestem grzeczny. Jestem najgrzeczniejszy.

– Już dobrze, nic się nie stało, wskakuj z powrotem – powiedziała Candy, ale Curly już pędził przez chwasty, by po chwili zniknąć za przeciwległym rogiem budynku.

– Biedny malec, nasiusiał w majtki, nic wielkiego – wyjaśniła Candy Wally’emu. Ten jednak myślał o czymś innym: patrząc, jak Candy tuli Copperfielda, zaczął się łamać.

– Proszę cię, pomyśl jeszcze raz – szepnął jej w ucho. – Nie musisz tego robić. Możesz urodzić dziecko. Ja chcę mieć dziecko, chcę mieć dziecko z tobą. Wszystko się jakoś ułoży. Zawróćmy i jedźmy stąd.

– Nie, Wally – odparła twardo Candy. – Jestem zdecydowana. To nie jest dla nas odpowiedni czas na dziecko.

Schyliła nisko głowę, dotykając spoconego karczku Dawida Copperfielda, o słodkawym, lekko stęchłym zapachu. Cadillac stał za gmachem sierocińca.

– Naprawdę, jesteś pewna? – szeptał dalej Wally. – Nie musisz przecież.

Candy Kendall kochała Wally’ego za to, że zawsze umiał powiedzieć to, co chciała usłyszeć, ale była od niego praktyczniejsza, a po ojcu odziedziczyła upór i wierność raz podjętej decyzji.

– Mały kazał skręcić w lewo – ucięła dyskusję. – Jedź w lewo.

Z drugiej strony drogi, od wejścia do budynku dziewcząt, pani Grogan przyglądała się pilnie wahaniom cadillaca. Nie widziała, jak Curly Day zmykał w chaszcze, ani nie rozpoznała Dawida Copperfielda w dziecięciu usadowionym na kolanach pięknej panny. Pani Grogan nie mogła nie pomyśleć, że dziecię i panna są jakoś z sobą powiązane. Chyba nigdy w życiu nie widziała ładniejszej dziewczyny. Kawaler też był niczego sobie; więcej nawet – jak to powiadają w Maine: „za przystojny na męża”.

Pani Grogan uznała, że są za młodzi, aby mieli przyjechać z zamiarem adopcji – a szkoda, bo sprawiali wrażenie bardzo zamożnych. Pani Grogan nie miała na myśli cadillaca (którego ledwo zauważyła), lecz samych ludzi: wyglądali bogato. Sama się zdumiała, z jak wielką przyjemnością spogląda na dwoje przybyszów. Wcześniej na widok bogaczy (których widywała niezmiernie rzadko i na ogół z daleka) odczuwała tylko gorzki żal – w imieniu wychowanek, których nikt nie chciał adoptować. Pani Grogan żyła tylko sprawami dziewczynek; w jej rozżaleniu nie było nic osobistego – jak i w całym jej życiu.

Kabriolet stał, pasażerowie siedzieli w środku – jakby specjalnie wystawieni na pokaz dla pani Grogan. Biedactwa! – stwierdziła po chwili obserwacji zacna opiekunka sierot. Oni nie są małżeństwem. Urodziło im się to dziecko; rodzina chce wydziedziczyć ją albo jego; oboje popadli w niełaskę, więc jadą oddać dziecko do sierocińca! Lecz jakże się wahają! Pani Grogan chciała zaraz biec do nich i namawiać: Nie oddawajcie dziecka! Odjedźcie stąd! – ale dramat, który sobie wyobraziła, sparaliżował jej ruchy. Nie róbcie tego! – szepnęła i całą siłą woli skierowała ku tamtym dwojgu potężny sygnał telepatyczny.

Wally odebrał sygnał: dlatego zaczął przekonywać Candy, że nie musi. Ostatecznie jednak samochód ruszył i nie zawrócił, tylko podjechał pod wejście do

szpitala w budynku chłopców. Serce pani Grogan zawyło ze smutku. Ciekawe – chłopczyk czy dziewczynka? – pomyślała z przyzwyczajenia.

– Co się, kurde, dzieje? – mruknęła Melony, czuwająca na posterunku przy oknie goryczy.

Jaskrawe górne światło w sypialni sprawiło, że odbicie jej twarzy nałożyło się na pejzaż za oknem: Melony ujrzała więc cadillaca zatrzymującego się na jej górnej wardze. Curly Day dał nogę w poprzek jej policzka, a Dawid Copperfield spoczął w ramionach niebrzydkiej blondyny na szyi Melony.

W ten sposób Melony po raz pierwszy od niepamiętnych czasów przejrzała się w lustrze. Zaniepokoiła ją nie tyle toporność rysów, które ujrzała, bliskie osadzenie oczu i sterczące włosy – co wyraz twarzy znamionujący pustkę emocjonalną i kompletną apatię. Melony wydawało się, że gdy poprzednio, dawno temu, patrzyła w lustro, znajdowała we własnej twarzy przynajmniej energię.

Ten sam obraz pustki emocjonalnej malował się niedawno na twarzy Homera Wellsa, kiedy Homer dźwigał z ziemi zwłoki zawiadowcy stacji – niepokojący był nie widomy brak wysiłku, lecz widomy brak zdziwienia. Melony przestraszyła się Homera. Jak to się wszystko zmieniło! – pomyślała. Chciała mu natychmiast przypomnieć o obietnicy. Nie wyjedziesz stąd, prawda? – miała to pytanie na końcu języka. A jak będziesz uciekał, to mnie weźmiesz ze sobą – chciała dodać; ale nie powiedziała ani słowa, gdyż sparaliżował ją nie znany dotąd wyraz jego twarzy – była przekonana (choć nie sprawdzała tego w lustrze), że właśnie taką minę miewa sama na co dzień, i wiedziała, co ta mina oznacza.

Ciekawe, co to za jedni, ci ładni ludzie? – pomyślała. Niezłe mają auto. Nie widziała, co prawda, twarzy tych dwojga, ale nawet patrząc na ich głowy od tyłu, poczuła się nieswojo. Jasne włosy mężczyzny tak idealnie kontrastowały z gładką opalenizną karku, że dreszcz przeszył Melony od stóp do głów. A ta dziewczyna – jak ludzka głowa może być z tyłu aż tak doskonała, z taką miękką falą włosów? Czy specjalnie (i co to za sztuczka) jej włosy sięgały dokładnie linii prościutkich, wąskich ramion? Trzeba jej przyznać, że nawet wdzięcznie wygląda z małym Copperfieldem (tym siuśkiem!) na kolanach – pomyślała Melony. Tę ostatnią myśl musiała bezwiednie półgłosem wypowiedzieć, bo szyba zaparowała od jej oddechu i Melony na chwilę straciła z oczu własne usta i nos. Kiedy znów je ujrzała w okiennym odbiciu, samochód ruszał właśnie w stronę wejścia do szpitala. Takim ideałom nie przytrafiają się powody do skrobanki – uznała Melony z goryczą. Takie ideały pewnie się nawet nie pieprzą. Są na to za czyści. Ta lala martwi się może, że nie zachodzi w ciążę – a nie

zachodzi, bo nie ma pojęcia o pieprzeniu. Wymyślili sobie, że adoptują dzieciaka – ale tutaj nic dla siebie nie znajdują. Tu nie ma dzieciaków dla jaśniepaństwa – pomyślała Melony zjadliwie. O, jakże nienawidziła tych dwojga! Splunęła w szarą twarz własnemu odbiciu i przez długą chwilę patrzyła, jak ślina spływa po szybie. Nie miała dość energii na najprostszy ruch. A przecież kiedyś, dawniej – przypomniawszy sobie – wyszłaby chociaż na dwór i pokręciła się koło cadillaca. Może coś by się udało podwędzić? Lecz teraz nawet perspektywa drobnej kradzieży nie zdołała ruszyć Melony od okna.

Doktor Larch przeprowadził pierwszą z dwóch aborcji w asyście siostry Edny; Homera poprosił tymczasem o nadzorowanie skurczy u rodzącej z Damariscotty. Siostra Angela asystowała doktorowi przy drugiej aborcji – przy której Homer, na wyraźne polecenie doktora, również był obecny. Podawał eter – oczywiście, pod czujnym nadzorem doktora, którego mistrzowska „lekka ręka eterowa” sprawiła, że pierwsza pacjentka swobodnie rozmawiała z siostrą Edną przez cały czas trwania zabiegu, w ogóle nie odczuwając bólu. Gadała jak najęta, wesoło i bez sensu, a siostra Edna odpowiadała jej z entuzjazmem.

Drugą pacjentkę aborcyjną Homer znieczulił do nieprzytomności; był zły na siebie, że odurzył ją mocniej, niż zamierzał.

– Przynajmniej poleży spokojnie – pocieszyła go życzliwie siostra Angela, bezwiednie masując delikatnymi dłońmi blade skronie nieprzytomnej kobiety. Larch polecił Homerowi umieścić wziernik w pochwie. Homer wykonał polecenie. Z chmurną miną patrzył teraz na lśniące i wydęte jak nadąsane usta ujście szyjki macicy. Pokryte przezroczystą wydzieliną, przywodziło na myśl świeży poranek skąpany w rosie, w obramowaniu różowych od wschodzącego słońca obłoków. Gdyby zamiast Homera przez wziernik spojrział Wally Worthington, zdawałoby mu się pewnie, że ogląda jabłko w jakiejś bladej, nieziemskiej fazie rozwoju. Tylko co to za dziurka? – zdziwiłby się zapewne Wally.

– Jak wygląda? – zapytał Larch.

– W porządku – odparł Homer Wells. Zdumiał się, kiedy Larch wręczył mu klips – proste narzędzie chirurgiczne, służące do ujęcia górnej wargi sromowej i odchylenia jej na czas operacji sondowania długości i poszerzania szyjki za pomocą rozszerzadła.

– Czy pan doktor zapomniał, o co prosiłem? – spytał Homer.

– Masz coś przeciwko dotykaniu szyjki macicy, Homerze? – udał zdziwienie Larch.



Homer bez dalszej dyskusji otworzył podanym mu przez doktora narzędziem ujście szyjki macicy i uczynił to jak najbardziej prawidłowo. Rozszerzała nie tknę – zapowiadał sam sobie w duchu. Nie zmusi mnie.

Larch nawet nie próbował.

– Dziękuję za pomoc – powiedział tylko, po czym sam wysondował i poszerzył szyjkę macicy. Gdy poprosił o skrobaczkę, Homer podał mu ją.

– Prosiłem pana doktora o zwolnienie mnie z asystowania przy tym zabiegu – przypomniał cicho Homer Larchowi. – Mówiłem, że wolałbym tego nie widzieć, jeżeli pan doktor pozwoli. Pamięta pan?

– Pamiętam. Nie pozwalam. Musisz widzieć – odparł Wilbur Larch, nasłuchując tonu, jaki wydawała skrobaczka o ścianę macicy. Oddychał przy tym płytko, lecz regularnie.

– Jestem zdania – dodał – że musisz poznać ten zabieg, aby móc przy nim w ograniczonym zakresie asystować, rozumiejąc jego cel i technikę, nawet jeżeli postanowisz nigdy nie wykonywać go osobiście.

Czy ja kogoś do czegokolwiek zmuszam? – ciągnął. – Czy kiedykolwiek wywierałem presję na bezradną kobietę, która mi mówi, że nie może zgodzić się na aborcję, że musi wydać na świat kolejną sierotę? Czy ja takiej kobiecie powiem nie?

Nie powiem – dyszał płytko, skrobiąc łyżeczką. – Przyjmę poród, niech się dzieje co chce. Ale czy dziecko, które tutaj przychodzi na świat, może liczyć na szczęśliwe życie? Uważasz, że nasze sieroty mają przed sobą świetlaną przyszłość? Odpowiedz mi.

Nie uważasz tak – odpowiedział sobie sam. – Ale czy ja przeciwdziałam ich narodzinom? Absolutnie nie. Nigdy nie zalecam aborcji. Spełniam tylko życzenia pacjentek: albo sierota, albo aborcja.

– Jestem sierotą – powiedział Homer Wells.

– A czy ja ci każę dzielić moje poglądy? Nie każę.

– Tylko życzyłby pan sobie tego – rzekł Homer Wells.

– Życzenia jeszcze nikomu na nic się nie zdały; najmniej tym kobietom, które się tutaj do mnie zgłaszają – odparł Wilbur Larch. Odłożył średnią łyżkę i wyciągnął rękę po mniejszą, którą Homer już był naszykował i podał mu automatycznym gestem instrumentariusza.

– Ja chcę być użyteczny – zaczął Homer, ale doktor Larch nie dał mu skończyć.

– W takim razie nie wolno ci się przed niczym uchylać. Nie wolno odwracać oczu. Sam mi kiedyś powiedziałeś – i bardzo słusznie – że skoro masz być użyteczny i

we wszystkim uczestniczyć, to musisz poznać wszystko. I niczego nie wolno przed tobą ukrywać. Usłyszałem to od ciebie! Masz całkowitą rację. Miałaś rację – dodał po chwili.

– To żyje – powiedział Homer Wells. – Innych zastrzeżeń nie mam.

– Zawsze uczestniczymy w jakimś procesie żywego organizmu – rzekł Larch. – Raz będą to narodziny, innym razem – zapobieżenie narodzinom. Szanuję twoją nieakceptację. Masz do niej prawo. Wolno ci pewnych rzeczy nie pochwałać. Ale nie wolno ci być ignorantem, odwracać wzroku od tego, co niemiłe, i nie umieć przeprowadzić zabiegu, zwłaszcza że kiedyś możesz zmienić zdanie.

– Nigdy nie zmienię zdania – oświadczył Homer Wells.

– No dobrze, w takim razie założmy, że kiedyś, wbrew własnym przekonaniom, dla ratowania życia matki, dajmy na to, będziesz zmuszony dokonać zabiegu.

– Nie jestem lekarzem – odparł Homer Wells.

– Nie jesteś lekarzem w pełnym tego słowa znaczeniu – przyznał doktor Larch. – I choćbyś uczył się tutaj pod moim kierunkiem następne dziesięć lat, nadal nie będziesz pełnoprawnym lekarzem. Ale w kwestii znajomości wszelkich powikłań żeńskiego układu rozrodczego – odnośnie do tego konkretnego zespołu organów – możesz stać się kompetentnym chirurgiem. Koniec, kropka. Już w tej chwili przewyższasz kwalifikacjami najlepszą akuszerkę; zrozumże to, do jasnej cholery.

Homer już czekał na odebranie od doktora najmniejszej łyżki; odebrawszy ją, podał doktorowi pierwszy z naszykowanych wcześniej sterylnych tamponów.

– Nigdy nie będę cię zmuszał do robienia tego, czego nie pochwalasz, Homerze – podjął wątek doktor Larch – ale wymagam, abyś obserwował moje zabiegi i wiedział, jak się je wykonuje. Inaczej – co by ze mnie był za nauczyciel? Czyż praca nie jest naszym powołaniem na tej ziemi? A przynajmniej nauka, przynajmniej poznawanie pracy innych? Jak ty rozumiesz „bycie użytecznym”, ciekaw jestem? Uważasz, że powinienem zostawić cię samemu sobie? Uważasz, że mam ci pozwolić stać się taką Melony?

– Czemu pan jej nie nauczy, jak to robić? – spytał Homer Wells.

Oto jest pytanie – westchnęła w duchu siostra Angela. W tej samej chwili głowa pacjentki poruszyła się w dłoniach siostry; pacjentka jęknęła. Siostra Angela nachyliła się i szepnęła jej prosto w ucho:

– Już dobrze, skarbie. Już po wszystkim. Zaraz sobie odpoczniesz.

– Rozumiesz, o co mi chodzi, Homerze? – upewnił się doktor Larch.

– Jasne – odparł Homer.

– Ale nie zgadzasz się ze mną, co?

– Jasne, że nie.

Niech cię licho, ty samolubny, rozczulający się nad sobą, bezczelny, głupi żółtodziobie! – zirytował się w duchu Wilbur Larch, głośno zaś powiedział:

– Może w ogóle po namyśle wątpisz, czy chcesz być lekarzem?

– Nie ja o tym decydowałem – odparł Homer. – Nigdy nie mówiłem, że chcę zostać lekarzem.

Larch obejrzał tampon: krwi było tyle, ile powinno być po takim zabiegu. Kiedy wyciągnął rękę po świeżą gazę, Homer już z nią czekał.

– Więc nie chcesz być lekarzem, Homerze? – spytał doktor Larch.

– Chyba nie – przyznał Homer Wells.

– Nie miałeś okazji przyjrzeć się innym zawodom – Larch wpadł w ton filozoficzny; bolało go serce. – To moja wina, wiem, że poznałeś medycynę od najmniej atrakcyjnej strony.

Siostra Angela, która w porównaniu z siostrą Edną miała nerwy jak postronki, omal się nie rozpląkała.

– Nie ma w tym żadnej winy pana doktora – zapewnił pospiesznie Homer.

Wilbur Larch obejrzał drugi tampon.

– Nic tu już właściwie nie ma do roboty – stwierdził nieoczekiwanie oficjalnym tonem. – Zechciej pozostać przy pacjentce, aż eter przestanie działać; trzeba przyznać, że zdrowo ją naszprycowałeś – dodał, zaglądając pod powieki nieprzytomnej kobiety. – Odbiorę ten poród z Damariscotty. Proszę mi dać znać, jak się zacznie. Nie wiedziałem, że ta profesja jest ci niemiła – rzucił Homerowi na odchodnym.

– To nieprawda – zaprotestował Homer. – Chętnie odbiorę poród z Damariscotty. Bardzo bym chciał go odebrać.

Ale Wilbur Larch odwrócił się i wyszedł bez słowa.

Siostra Angela rzuciła Homerowi przelotne spojrzenie – w zasadzie neutralne; z całą pewnością nie miażdżące i nie potępiające nawet w najmniejszym stopniu, ale też pozbawione współczucia (czy choćby cienia sympatii – zauważył Homer Wells). Wyszła w ślad za doktorem Larchem, zostawiając Homera sam na sam z pacjentką, mozolnie wygrzebującą się spod władzy eteru.

Homer oglądał poplamiony krwią tampon, kiedy poczuł na nadgarstku muśnięcie ręki kobiety i usłyszał jej półprzytomny głos:

– Poczekam tutaj, kotku, wyprowadź samochód...

W łazience chłopców, gdzie było kilka ubikacji, Wilbur Larch ochlapał twarz zimną wodą i sprawdził w lustrze, czy bardzo widać, że płakał. Nie będąc weteranem przeglądania się w lustrach (co najmniej w takim stopniu jak Melony), zdziwił się własnemu odbiciu. Od jak dawna ja jestem taki stary? – zadał sobie pytanie. W tym samym lustrze, za swoimi plecami, dostrzegł Larch kupkę przemoczonych ubrań, które rozpoznał jako należące do Curly’ego Daya.

– Curly? – zawołał cicho. Przedtem zdawało mu się, że jest w łazience sam, a tymczasem Curly Day też tutaj był – i też płakał, zamknięty w jednej z kabin ubikacji.

– Mam fatalny dzień – obwieścił Curly ze swojej kryjówki.

– Wyjdź, pogadamy – zaproponował doktor Larch. Curly chętnie usłuchał. Wyszedł z kabinki, ubrany w rzeczy w zasadzie czyste, tyle że nie swoje. Były to dawne ubrania Homera, z których Homer już, co prawda, wyrósł, ale do których Curly Day jeszcze nie dorósł.

– Chcę się spodobać tym ładnym państwu – wyjaśnił Curly sekret swego stroju.

– Chcę, żeby mnie wzięli.

– Jak to: wzięli cię, Curly? Jacy ładni państwo?

– No, wie pan, tamci – odparł Curly Day, przekonany, że doktor Larch zawsze wie wszystko. – Piękna pani. Biały samochód – podpowiadał, widząc minę doktora.

Biedne dziecko, cierpi na przywidzenia – zmartwił się Wilbur Larch. Wziął Curly’ego na rękę i usadowił na skraju umywalki, żeby mu się przyjrzeć z bliska.

– A może oni przyjechali po kogoś innego? – spytał Curly z rozpaczą w głosie. – Tej pani chyba się spodobał Copperfield, ale on przecież nawet nie umie mówić!

– Na dzisiaj nie mam w planie żadnej adopcji – uspokoił go doktor Larch. – Nikt się ze mną nie umawiał.

– Może przyjechali tylko się rozejrzeć – zasugerował Curly. – Chcą sobie wybrać najlepszego.

– To się tak nie odbywa, Curly – powiedział doktor Larch, szczerze zaniepokojony. Więc ten mały myśli, że on, Larch, prowadzi tutaj rodzaj sklepu zoologicznego? I zaprasza ludzi, żeby przyjeżdżali się rozejrzeć?

– Skąd ja mam wiedzieć, jak co się odbywa? – rozbeczał się Curly na nowo.

Wilbur Larch, mając świeżo w pamięci własne starcze oblicze, zastanowił się, czy aby nie jest za stary do swojej pracy: poczuł, że słabnie, że chciałby, aby ktoś jego adoptował – po prostu gdzieś stąd zabrał. Przytulił do piersi mokrą od łez buzię Curly’ego Daya, przymknął powieki i ujrzał przed oczami deseń plam, który

regularnie widywał zażywając eter, z tą różnicą, że teraz przypomniały mu one brutalnie plamy krwi, wielokrotnie oglądane na sterylnych tamponach podkładanych pacjentkom.

Spojrzał na Curly'ego Daya i zadał sobie pytanie, czy Curly w ogóle kiedyś doczeka się adopcji – czy też może, o zgrozo, zostanie nowym Homerem Wellsem.

Siostra Angela przystanąła pod drzwiami łazienki chłopców: usłyszała, jak doktor Larch pociesza Curly'ego Daya. Bardziej martwiła się w tej chwili o doktora niż o Curly'ego: między doktorem Larchem a Homerem Wellsem trwała zacięta próba sił, o jaką siostra Angela nigdy by nie podejrzewała dwóch ludzi, którzy bez wątpienia bardzo się kochali i potrzebowali wzajemnie. Siostrę Angelę przygnębiała myśl o własnej bezradności i niemożności interweniowania. Usłyszała nagle, że wołają siostra Edna, i była jej wdzięczna, że czyni to właśnie w tej chwili. Uznała, że będzie jej łatwiej porozmawiać z Homerem niż z doktorem Larchem, chociaż nie miała pojęcia, co powiedzieć któremukolwiek z nich.

Homer obserwował budzenie się drugiej pacjentki po aborcji z oszołomienia eterem. Przeniósł ją ze stołu operacyjnego na ruchome łóżko i zabezpieczył przed wypadnięciem bocznymi drabinkami. Zerknąwszy do przyległej sali stwierdził, że pierwsza pacjentka po aborcji już siada o własnych siłach. Postanowił jednak zostawić obie na pewien czas w samotności, więc nie wywiózł swojej podopiecznej z sali operacyjnej. Wiedział, że na poród z Damariscotty jest jeszcze czas. Nieduża klinika wydała mu się nagle nieznośnie ciasna – zamarzył o kawałku własnego miejsca. Przede wszystkim jednak musi, postanowił, przeprosić doktora Larcha za to, że go zranił; chciało mu się płakać na myśl o tym, że nie upilnował języka i sprawił doktorowi przykrość. Udał się korytarzem wprost do gabinetu zabiegowego i – przekonany, że nogi wystające poza ukryte za szafą z lekami łóżko należą do doktora Larcha – przemówił do tych nóg. Zdziwił się jednak, że są większe, niż pamiętał, i że doktor Larch – taki zawsze schludny – nie zdjął butów, w dodatku ubłoconych.

– Panie doktorze? – zagadnął. – Chciałbym przeprosić. – Nie było odpowiedzi. Homer, zły, pomyślał, że doktor Larch wybrał wyjątkowo niestosowny moment na eterowy seans.

– Przepraszam. Ja pana kocham – rzekł mimo to, nieco głośniejszym głosem niż przedtem. Wstrzymał oddech, chcąc usłyszeć sapanie doktora Larcha, ale go nie usłyszał, więc, zaniepokojony, zajrzał za szafę – a tam, na łóżku doktora, spoczywał sztywny zawiadowca stacji. Homerowi nawet nie przyszło do głowy, że był pierwszą osobą, która wyznała zawiadowcy miłość.

Nie było gdzie go położyć. Siostra Edna i siostra Angela przede wszystkim usunęły zwłoki z sali operacyjnej: okrucieństwem byłoby skazać na taki widok pacjentki przygotowane do aborcji, a tym bardziej rodzącą. Sieroty też mogły się zaniepokoić obecnością nieboszczyka zawiadowcy w swojej sypialni.

– A niech to wszyscy diabli – zirytował się Homer.

– O co chodzi? – spytał Larch. Stał właśnie w drzwiach pokoju zabiegowego, z Curlym Dayem w ramionach.

– Nic takiego – odparł Homer Wells. – Nie ma o czym mówić.

– Curly ma bardzo zły dzień – oznajmił doktor Larch.

– To niedobrze, Curly – powiedział Homer.

– Jedni ludzie przyjechali kogoś adoptować – odezwał się Curly. – Na razie sobie oglądają.

– Chyba się mylisz, Curly – rzekł doktor Larch.

– Powiedz im, że jestem najgrzeczniejszy, dobra, Homer? – poprosił Curly.

– Jasne – powiedział Homer Wells. – Jesteś najgrzeczniejszy.

– Wilburze! – rozległo się wołanie siostry Edny, która wraz z siostrą Angela rozmawiała z kimś przed wejściem do szpitala.

Wszyscy trzej wyszli sprawdzić, co się dzieje: doktor, jego terminator mimo woli i najstarsza po Homerze sierota płci męskiej.

Wokół cadillaca utworzył się nieduży, lecz wielce podekscytowany wianuszek gapiów. Przystojny młodzieniec rozdawał wśród sierot podarki z otwartego bagażnika.

– Przykro mi, dzieciaki, że to nie sezon na jabłka – mówił Wally. – Albo na sok jabłkowy. Na pewno by wam smakował! – Mówiąc to, rozdawał z uśmiechem słoiki miodu i galaretki z dwóch gatunków jabłek. Po każdy słoik wyciągały się chciwie małe, brudne rączki. Mary Agnes Cork, najstarsza po Melony sierota płci żeńskiej, zgarniała znacznie ponad normę (Melony nauczyła ją, jak się walczy o pierwsze miejsce w szeregu). Pani Grogan bardzo lubiła imiona Mary Agnes, a Cork było nazwą jej rodzinnego hrabstwa w Irlandii. Na oddziale dziewczynek sporo maluchów nosiło nazwisko Cork.

– Nie martwcie się, starczy dla wszystkich! – zapewniał dzieciarnię Wally, widząc jak Mary Agnes chowa dwa słoiki miodu i jeden galaretki pod bluzkę i wyciąga puste ręce po dalszy ciąg. – Na grzance, z rana, mówię wam: palce lizać – zachwalał Wally; stracił jednak nieco animuszu, gdyż po spojrzeniu Smoky'ego Fieldsa zorientował się, że grzanki nie należą tutaj do zwykłego śniadaniowego repertuaru.

Smoky Fields najwyraźniej zamierzał opróżnić swój słoik galaretki na miejscu. Mary Agnes zoczyła na tylnym siedzeniu cadillaca szylkretową spinkę do włosów, którą Candy tam odłożyła. Odwróciła się twarzą do Candy i upuściła drugi słoik galaretki jabłkowej u jej stóp.

– Ojej! – Candy z uśmiechem schyliła się po słoik, a tymczasem Mary Agnes zręcznie podwędziła spinkę, czemu przyglądał się z podziwem mały John Walsh. Ślad krwi – a może rdzy? – na gołej łydce Mary Agnes podziałał na Candy dziwnie niepokojąco: siłą powstrzymała się przed starciem plamki poślinionym palcem. Kiedy się prostowała, podając małej odzyskany słoik, zakręciło jej się w głowie. Na szczęście, w drzwiach szpitala ukazała się grupa dorosłych, co pomogło się Candy opanować: nie przyjechałam tu bawić się z dziećmi – upomniała samą siebie.

– Doktor Larch – przedstawił się starszy pan Wally’emu, osłupiałemu wobec determinacji, z jaką Smoky Fields opróżniał słoik jabłkowej galaretki.

– Wally Worthington – ocknął się Wally; potrząsnął dłonią doktora Larcha i wręczył mu słoik miodu z pasieki Iry Titcomba. – Prosto z Sadów Z Widokiem Na Ocean; oficjalnie mieszkamy w Heart’s Rock, ale tak blisko morza, że to już właściwie prawie Heart’s Haven.

– Heart’s Haven? – powtórzył Wilbur Larch, oglądając miód przez szkło. Stojący przed nim chłopak emanował morską bryzą tak świeżą i miłą w dotyku, jak nowiutki studolarowy banknot. Czyj to portret figuruje na studolarówce? – nie mógł sobie przypomnieć Larch.

– Jej powiedz. – Curly Day szarpał Homera za rękaw, wskazując palcem Candy. Mógł sobie doprawdy oszczędzić wskazywania palcem: od chwili, gdy stanęli na progu szpitala, Homer Wells widział tylko i wyłącznie ją. Mimo iż mały Copperfield wisiał u jej nogi jak ołowiana kula, poruszała się wdzięcznie i lekko, z promienną twarzą, przed którą musiał pierzchnąć każdy cień. – Powiedz jej, że jestem najgrzeczniejszy! – domagał się od Homera Curly Day.

– Witam – zwróciła się Candy do Homera, gdyż to on wyróżniał się wzrostem spośród obecnych: był równie wysoki jak Wally. – Candy Kendall – przedstawiła się. – Mam nadzieję, że nie odrywamy państwa od niczego ważnego?

Skąd znowu – pomyślał Homer Wells. – Tylko od dwóch głupich aborcji i jednego głupiego porodu; głośno natomiast powiedział:

– Oto nasz najgrzeczniejszy wychowanek.

Do niczego! – jęknął w duchu Curly Day. – Całkiem bez przekonania!

– To ja! – Curly wystąpił dumnie naprzód, w wolną przestrzeń między Homerem a Candy. – O mnie mowa. Ja jestem najgrzeczniejszy.

Candy pochyliła się nad Curlym i zmierzwiła jego brudną, nastroszoną czuprynę.

– Nie wątpię, że to prawda – uśmiechnęła się promiennie. A potem wyprostowała plecy i skierowała pytanie do Homera: – A pan tutaj pracuje? Czy może także jest... – Bała się, że słowo „sierota” zabrzmie nietaktownie.

– Niezupełnie – wymamrotał Homer, myśląc: niezupełnie pracuję i niezupełnie należę do wychowanków.

– On się nazywa Homer Wells – wyręczył Curly Homera, który zaniedbał przedstawić się damie. – Ale on jest za stary na adopcję!

– Zauważyłam – powiedziała Candy i zawstydzila się, nie wiedzieć czemu. Powinnam rozmawiać z lekarzem i z nikim innym – pomyślała; zdenerwowało ją nagle, że Wally ściągnął taki tłum ludzi.

– Zajmuję się sadownictwem – perorował Wally zwrócony do doktora Larcha. – Sady należą do mojego ojca... a właściwie do matki – uściślił.

Czego ten głupek chce? – zżymał się w duchu Wilbur Larch.

– Uwielbiam jabłka! – pisnęła siostra Edna.

– Przywiózłbym całą górę, ale to nie sezon – tłumaczył się Wally. – Sami powinniście tu hodować jabłonie – dodał, wskazując ogołocone z drzew stoki okolicznych wzgórz. – Proszę spojrzeć na tamto wzgórze – zwrócił się do Wilbura Larcha. – Osuwa się, trzeba je koniecznie czymś obsadzić. Mogę przywieźć drzewka. Za sześć, siedem lat będziecie jedli własne jabłka, a trzeba wam wiedzieć, że jedno drzewo jabłoni potrafi rodić i przeszło sto lat.

Czy ja bym chciał sto lat hodować jabłka? – zastanowił się Wilbur Larch.

– Czy to nie byłoby piękne, Wilburze? – rozmarzyła się siostra Edna.

– Do tego własna tłocznia, stale świeży sok z jabłek dla dzieciaków. A roboty starczy dla wszystkich! – rozwijał wizję Wally.

Te dzieciaki nie szukają roboty. Szukają domu! – odpowiedział mu w duchu doktor Larch.

Na pewno są z jakiejś instytucji dobroczynnej – uznała siostra Angela i na wypadek, gdyby doktor Larch zamierzał potraktować ich opryskliwie, szepnęła mu prosto w ucho:

– Sowity datek.

Za młodzi, żeby rozdawać własne pieniądze – pomyślał doktor Larch.



– I pszczoły! – zapalił się Wally. – Powinniście koniecznie założyć pasiekę. Dzieciarnia miałyby co obserwować. Pszczoły są fascynujące, a do tego o wiele mniej niebezpieczne, niż się powszechnie sądzi. Czysty zysk: własny miód i jeszcze lekcja poglądowa dla młodzieży. Pszczoły to wzór organizacji społecznej i pracy zespołowej!

Proszę cię, Wally, zamknij się – błagała go w duchu Candy, chociaż aż za dobrze rozumiała przyczynę jego nieposkromionego słowotoku. Wally po raz pierwszy znalazł się w otoczeniu ludzi, których nie umiał natychmiast rozweselić; po raz pierwszy znalazł się w miejscu, gdzie smutek i milczenie uchodziły za rzecz naturalną. I nie potrafił przejść nad tym do porządku dziennego, pogodzić się z sytuacją. Paplał na czas z naiwnej dobroci serca: Wally wierzył, że może zmienić świat; chciał wszystko naprawić, ulepszyć.

Doktor Larch popatrzył po dzieciach, opychających się bez opamiętania miodem i jabłkową galaretką. Czyżby ci dwoje wpadli tu dla rozrywki na jeden dzień tylko po to, żeby pobawić się z dziećmi i przyprawić je o niestrawność? – pomyślał z niechęcią. A przecież wystarczyło, aby przyjrzał się baczniej Candy: natychmiast by zrozumiał, po co przyjechali. Niestety – Wilbur Larch nie był mistrzem zaglądania kobietom w oczy: zbyt często oglądał inne fragmenty damskiej anatomii w brutalnym świetle sali operacyjnej. Siostra Angela zastanawiała się nieraz, czy doktor Larch zdaje sobie sprawę z tego, że wcale nie zwraca uwagi na kobiety; ciekawa była, czy to choroba zawodowa ginekologów, czy też raczej ginekologami zostają mężczyźni ze skłonnością do ignorowania kobiet.

Homer Wells zwracał uwagę na kobiety: zawsze patrzył kobietom w oczy i może właśnie dlatego – wnioskowała siostra Angela – widok pacjentki na fotelu ginekologicznym wprawiał go w takie zakłopotanie. Ciekawe – zauważyła – że chociaż ogląda wszystkie czynności doktora Larcha, nigdy nie chce popatrzeć, jak ja albo siostra Edna golimy pacjentkę. Golenie kobiet przed aborcją stanowiło przedmiot zażartych dyskusji między Homerem a doktorem Larchem. Homer był zdania, że nie jest to konieczne, zwłaszcza że pacjentki nie lubią być golone.

– Nie lubią? – sarknął na to doktor Larch. – A czy ja jestem placówką rozrywkową?

Candy była bliska rozpaczki: nikt nie rozumiał, co ona tu robi. Co chwila jakieś dziecko obijało się o jej biodro, a ten dziwny, smagły, przystojny chłopak, który nie mógł być starszy od niej, a jednak, nie wiadomo czemu, wydawał się starszy... może jemu powinna wyjawiać przyczynę swego przybycia do St. Cloud's? Czy naprawdę nikt się nie domyśla prawdy, patrząc na mnie? – zdziwiła się Candy. I wtedy właśnie

Homer Wells spojrział na nią w ten sposób: ich oczy spotkały się. Candy poczuła, że smagły chłopak zna ją doskonale i od dawna: obserwował jej dorastanie, widział ją nagą, był nawet świadkiem aktu, którego szczególnie kłopotliwy skutek domagał się oto usunięcia. Homer zaś poczuł się zdruzgotany, gdy w twarzy pięknej nieznajomej, w której zakochał się od pierwszego wejrzenia, wyczytał banalny i żaloszny sygnał jeszcze jednej niepożądanego ciąży.

– Mam wrażenie, że będzie pani lepiej w środku – wymamrotał Homer.

– I ja tak sądzę, dziękuję – bąknęła Candy, niezdolna już w tej chwili spojrzeć mu w oczy.

Larch popatrzył za dziewczyną kierującą się ku drzwiom szpitala – znał ten niepewny chód osoby, która uważa na każdy krok – i nagle pojął: Ach, więc to chodzi o aborcję; tylko tyle. Odwrócił się i podążył za dziewczyną i Homerem. Smoky Fields w tym samym momencie odstawił pusty słoik po galaretki i wziął się za miód. Jadł bez przyjemności, za to tak metodycznie, że nawet potrącony przez kolegę nie oderwał wzroku od własnej łapiny, która w stałym rytmie wędrowała między słoikiem a rozwartą buzią. Szturchnięty drugi raz, mocniej, warknął gniewnie – a raczej zagulgotał – i skulił się, jakby chciał ukryć słoik przed innymi drapieżnikami.

Homer poszedł przodem, prowadząc Candy do gabinetu siostry Angeli. Już od drzwi zauważył rączki martwego płodu sterczące ponad krawędź białej, emaliowanej kuwety, której nikt nie zdjął z maszyny do pisania. Rączki wciąż czekały na piłkę. Na szczęście Homer miał doskonały refleks: odwrócił się na pięcie i pchnął Candy z powrotem w głąb korytarza.

– Pan doktor Larch – przedstawił jej doktora, sterując obojgiem w stronę ambulatorium, usytuowanego w drugim końcu korytarza. Wilbur Larch nie pamiętał, że na maszynie do pisania w pokoju siostry Angeli spoczywa martwy płód.

– Panna Kendall powinna gdzieś usiąść, nie sądzisz? – zwrócił się kąśliwie do Homera. O tym, że w zabiegowym leży trup zawiadowcy, też nie pamiętał. Na widok ubłoconych buciorów nieboszczyka odciągnął Homera na bok i spytał dramatycznym szeptem: – Nie szkoda ci tej biednej dziewczyny?

Homer, również szeptem, odpowiedział, iż za mniejsze zło uznał w tej sytuacji widok martwego mężczyzny niż martwego noworodka.

– Racja! – zmytygował się Wilbur Larch.

– Odbiorę poród pacjentki z Damariscotty – szepnął Homer.

– Nie ma pośpiechu – odpowiedział szeptem Larch.

– Chciałem powiedzieć, że z tym przypadkiem nie chcę mieć w ogóle do czynienia – wyjaśnił szeptem Homer, zerkając na Candy. – Patrząc też nie zamierzam, jasne?

Doktor Larch spojrział wreszcie uważniej na młodą kobietę. Zdawało mu się, że rozumie – przynajmniej trochę. Panna była wyjątkowo ładna – nawet Larch to widział – a Homer jeszcze nigdy, w niczyjej obecności, nie zdradził tak silnych emocji. Homerowi wydaje się, że się zakochał! – zawyrokował doktor Larch. Albo wydaje mu się, że chciałby się zakochać. Czyżbym coś przegapił? – zastanowił się. – Czy ten chłopiec nie wyrósł jeszcze z romantycznych mrzonek, czy też przeciwnie: dojrzał do romansowych czynów?

Wally przedstawił się Homerowi Wellsowi. A ten mądrała, z jabłkiem zamiast mózgu, czemu szepcze? – zirytował się Wilbur Larch. Nie przyszło mu do głowy, że Wally, widząc buty zawiadowcy stacji, uznał, że w pokoju ktoś śpi.

– Czy mógłbym spokojnie zamienić dwa słowa z panną Kendall? – spytał Wilbur Larch. – Spotkanie towarzyskie przełożymy na później. Edno, proszę mi asystować przy panie Kendall; Angela zechce pomóc Homerowi przy pacjentce z Damariscotty. Homer – wyjaśnił Wally’emu i Candy – jest kompetentnym akuszerem.

– Naprawdę? – uradował się Wally. – Uau!

Homer Wells zachował milczenie. Siostra Angela, urażona określeniem „akuszer”, w którym – całkiem zasadnie – dopatrzyła się złośliwości ze strony doktora Larcha, tkliwym ruchem ujęła Homera za ramię i powiedziała:

– Będę liczyć skurcze.

Siostra Edna, jak zwykle zaślepiona uwielbieniem dla doktora Larcha, oznajmiła beztrąsko, że trzeba będzie kilka pacjentek poprzemienić na inne łóżka, żeby zrobić miejsce dla Candy.

– Proszę się tym zająć – polecił jej doktor Larch. – Chciałbym spokojnie zamienić dwa słowa z panną Kendall – powtórzył. Jednocześnie stwierdził, że Homer stoi jak w transie, nieświadom, że gapi się na Candy jak sroka w gnat. Zgłupiał mi chłopak – westchnął w duchu. Jabłeczny Mózdzek też nie zdradzał zamiaru opuszczenia pokoju zabiegowego. – Chciałbym krótko objaśnić panie Kendall naturę zabiegu – zwrócił się doktor Larch wprost do Wally’ego (przemawianie do Homera nie miało sensu). – Powinna, na przykład, wiedzieć co nieco o krwawieniu, które może wystąpić – dodał, celowo akcentując słowo „krwawienie” w nadziei, że wywoła ono zmianę na rumianym jak jabłuszko obliczu Wally’ego. I rzeczywiście: możliwe, że doktorowi pomogła unosząca się w gabinecie zabiegowym aura eteru.

– Trzeba będzie ciąć brzuch? – zwrócił się Wally do Homera, żałośnie przerażony. Homer chwycił go za łokieć i wyciągnął na korytarz. Tak błyskawicznie odholował Wally’ego na świeże powietrze, że spadkobiercy jabłkowych potentatów prawie udało się nie zwymiotować. Dzięki błyskawicznemu refleksowi Homera doszło do tego dopiero na zapleczu budynku chłopców – dokładnie na tym zboczku, na którym Wally jeszcze tak niedawno radził sadzić jabłonie i na którym swego czasu cień Homera Wellsa przerósł cień doktora Larcha.

Dwaj młodzi mężczyźni spacerowali po zboczku, w dół, do góry i w poprzek – szpalerami drzew, które wyobraźnia Wally’ego już tam zasadziła.

Homer uprzejmie objaśnił Wally’emu zabieg, któremu miała zostać poddana Candy, ale Wally wolał rozmawiać o jabłoniach.

– To idealny stok pod typową działkę czterdzieści na czterdzieści – perorował, odmierzając dwanaście metrów w jednym kierunku i biorąc zakręt idealnie pod kątem prostym.

– Jeżeli jeszcze nie minął trzeci miesiąc – objaśniał Homer – kleszcze prawdopodobnie wcale nie zostaną użyte; wystarczy zwykłe rozszerzenie szyjki macicy – to znaczy, jej ujścia – i łyżeczkowanie, inaczej skrobanka.

– Radziłbym taką kombinację: cztery rzędy mekintoszy i jeden rząd czerwonych delicji – prawil swoje Wally. – Dobrze, żeby połowę sadu tworzyły mekintosze. Resztę można wymieszać, na przykład: dziesięć procent czerwonych delicji, dziesięć, piętnaście procent kortlandów i tyle samo baldwinów. Przydałoby się parę sztuk renety i grapsztyna – nie ma lepszych jabłek na szarlotkę, trzeba je tylko wcześniej zbierać.

– Nacinania jako takiego nie będzie – ciągnął Homer – ale wystąpi krwawienie: plamienie, jak je fachowo nazywamy, bo jest nieznaczne. Doktor Larch jest mistrzem w znieczulaniu eterem, więc proszę się o nią nie bać – niczego nie poczuje. Naturalnie, po ustaniu znieczulenia będzie ją trochę bolało. Skutkiem zabiegu jest bowiem specyficzny skurcz, który po krótkim czasie mija. Inne niemiłe konsekwencje są, zdaniem doktora Larcha, natury psychologicznej.

– Najlepiej, żeby się pan z nami przejechał nad morze – wpadł na pomysł Wally. – Załadowałoby się ciężarówkę sadzonkami jabłoni i za dzień, dwa wrócilibyśmy tutaj sadzić sad. Uwiniemy się, zobaczy pan.

– Zgoda – odparł Homer Wells. Morze – pomyślał z zachwytem. I ta dziewczyna. Jechać takim autem z taką dziewczyną...

– Akuszer – przypomniał sobie nagle Wally. – Fantastyczna sprawa. Pewnie zostanie pan doktorem?

– Nie sądzę – odparł Homer Wells. – Jeszcze nie wiem.

– A ja wiem, że moją przyszłością są jabłka – powiedział Wally. – Wybieram się na studia do college’u ale, szczerze mówiąc, nie wiem po co ta szopka.

College – powtórzył w duchu Homer.

– Ojciec Candy łowi homary – dodał Wally – ale i ona idzie na studia do college’u.

Homary! – pomyślał Homer nabożnie. – Samo dno oceanu.

Siostra Angela zatrzymała się w biegu u stóp zbocza i gwałtownie dawała im znaki rękami.

– Damariscotta gotowa! – krzyknęła do Homera.

– Przepraszam – rzekł uprzejmie do Wally’go Homer Wells. – Muszę odebrać poród.

– Fantastyczna sprawa – stwierdził Wally. Wyraźnie nie chciało mu się schodzić ze stoku. – Ja tu chyba zostanę, nie chciałbym czegoś przypadkiem usłyszeć.

– Uśmiechnął się ujmująco i przepaszająco zarazem.

– Mało kto przy tym krzyczy – rzekł Homer. Nie myślał o kobiecie z Damariscotty, lecz o Candy. A także o odgłosie, jaki wydaje łyżeczka, skrobiąc ścianę macicy. Tego ostatniego szczegółu postanowił oszczędzić nowemu znajomemu.

Zostawił Wally’ego na zboczu, sam zaś popędził za siostrą Angela. Tylko raz odwrócił się do Wally’ego i pomachał mu na pożegnanie. Chłopak w jego wieku! I podobnej postury. Wzrost mieli równy; Wally był tylko lepiej umięśniony – zapewne dzięki uprawianiu sportów, jak uznał doktor Larch. Ma ciało herosa – orzekł Larch, który we Francji, podczas pierwszej wojny światowej, niósł pomoc (często nieskuteczną) podobnym do Wally’ego herosom. Szczupły, muskularny – oto, co charakteryzowało herosa. I podziurawiony jak sito – uzupełnił tę charakterystykę Wilbur Larch. Nie miał pojęcia, dlaczego sylwetka Wally’ego nasunęła mu wojenne skojarzenia.

A rysy twarzy? – zastanowił się doktor Larch. Wally miał rysy subtelniejsze niż Homer, chociaż obaj byli przystojni. Wracając do budowy ciała: Wally, chociaż potężniejszy, sprawiał w porównaniu z Homerem wrażenie bardziej kanciastego – a przez to kruchego. Oczy Wally’ego nie zdradzały ani śladu złośliwości: były dwoistą bramą dobrych intencji. Ciało herosa, a twarz... twarz dobroczyńcy! – podsumował swoje rozmyślenia Wilbur Larch, strącając złocisty loczek włosów łonowych, który,

zamiast z innymi wylądować w torbie na odpadki, przyłgnął do wewnętrznej strony uda Candy, tuż nad ugiętym kolanem. Zamieniając średnią łyżkę na małą, doktor Larch zauważył poruszenie przymkniętych powiek dziewczyny, kciuki siostry Edny, delikatnie masujące jej skronie, i nieznacznie rozchylone usta Candy, która jak na osobę tak młodą okazała wyjątkowe opanowanie, a pod działaniem eteru jeszcze bardziej się zrelaksowała. Jej twarz jest piękna, bo nie znać jeszcze na niej poczucia winy – pomyślał Larch. I zdziwił się, bo Candy wyglądała, jak gdyby nigdy nie miała zaznać tego poczucia.

Zdał sobie nagle sprawę z tego, że siostra Edna jest świadkiem jego kontemplacji Candy, więc schylił się na powrót do wziernika i dokończył dzieła za pomocą małej skrobaczki.

Dobroczyńca – powtórzył w duchu. – Sponsor! Homer znalazł sponsora!

W tym samym czasie Homer Wells też rozmyślał o Wallym. Poznałem Księcia Maine; podałem rękę Królowi Nowej Anglii; zostałem zaproszony do jego zamku. Chociaż tyle razy czytał *Dawida Copperfielda*, dopiero w tym momencie pojął w pełni, jak czuł się Dawid, gdy po raz pierwszy spotkał Steerfortha. „Wydał mi się moczarnym” – opowiadał Dickensowski Copperfield. „Na niego nie zerkalała w blasku księżycy przyszłość skryta za woalem zwątpień. Jego kroki nie gęstniały ponurym cieniem w ogrodzie, po którym noc całą przechadzałem się we śnie.”

Dość przyszłości skrytej za woalem zwątpień! – postanowił bojowo Homer. Jadę na wybrzeże!

– Proszę przec! – rozkazał pacjentce z Damariscotty. – Czy Damariscotta leży na wybrzeżu?

Prężąc szyję i ściskając pobielalymi knykciami dłoń siostry Angeli, pacjentka dziko wrzasnęła:

– Niedaleko!

Równocześnie jej dziecię wyśliznęło się na świątek St. Cloud's, trafiając lepką główką prosto w zagłębienie pewnej prawicy Homera. Podpierając nasadą dłoni chwiejną szyjkę noworodka, Homer lewą ręką podniósł drobną pupinę i „wyprowadził malca na zewnątrz”, jak by się wyraził doktor Larch.

Urodził się chłopiec. Steerforth – takie imię otrzymać miał drugi samodzielnie odebrany przez Homera noworodek. Homer przeciął pępowninę i uśmiechnął się, słysząc zdrowy wrzask małego Steerfortha.

Candy właśnie budziła się z eteru. Zadrżała na dźwięk płaczu niemowlęcia. Gdyby doktor Larch zerknął na twarz Candy w tej chwili, dostrzegłby na niej znamiona poczucia winy.

– Chłopczyk czy dziewczynka? – wybełkotała Candy z wielkim trudem. Tylko siostra Edna usłyszała pytanie. – Dlaczego płacze? – zaniepokoiła się Candy.

– Już dobrze, złotko – uspokoiła ją siostra Edna. – Już po wszystkim.

– Chciałabym kiedyś urodzić dziecko – powiedziała Candy. – Naprawdę bym chciała.

– Naturalnie, złotko – powiedziała siostra Edna. – Urodzisz tyle dzieci, ile zechcesz. Na pewno będziesz miała śliczne dzieci.

– Będziesz rodzić Księżęta Maine! – wtrącił się nieoczekiwanie doktor Larch. – Będziesz rodziła Królów Nowej Anglii!

Patrzcie go, stary cap! – zirytowała się w duchu siostra Edna. – Na flirty mu się zebrało! Jej bezbrzeżna miłość do doktora Larcha przez moment zachwiała się w posadach.

To dziwne – pomyślała Candy – jakoś nie mogę ich sobie wyobrazić. Zgubiła wątek. Dlaczego dziecko płacze?

Wilbur Larch kończył sprzątać po zabiegu. Zauważył na skórze Candy jeszcze jeden obcięty lok włosów łonowych – dokładnie tej samej barwy co skóra dziewczyny; pewnie dlatego siostra Edna go przeoczyła. Wsłuchując się w płacz nowo narodzonego potomka kobiety z Damariscotty, Larch myślał, że nie wolno mu być egoistą: musi zachęcić Homera do nawiązania przyjaźni z parą młodych przybyszów. Zerknął ukradkiem na drzemiącą Candy: jaśniała jak uosobienie życiowej szansy.

Amatorów jabłek nigdy nie zabraknie – dodał w myśli. – To musi być przyjemne życie.

Jabłko ze złotym monogramem zdobiące drzwi cadillaca szczególnie zaintrygowało Melony, gdy wreszcie, z trudem przezwyciężywszy apatię, wkroczyła do akcji. Najpierw, nim się zorientowała, że emblemat jest nie do zdarcia, próbowała go ukraść. Do wyjścia na dwór skłonił Melony widok Mary Agnes, która wmaszerowała na oddział dziewczęcy, tuląc w chudych ramionach słoje miodu i galaretki. Melony obrzuciła wzrokiem pusty plac i z goryczą pomyślała, że jak zwykle nic dla niej nie zostało – nawet widok tych dwojga pięknych ludzi, na których by sobie chętnie jeszcze raz popatrzyła. Jeden rzut oka upewnił ją, że nie zostawili w samochodzie nic, co warto byłoby ukraść – leżała tam tylko stara książka. Leżała tytułową stroną okładki do góry. Melony miała z czasem uznać ten fakt za zrządzenie losu. Tytuł książki –

*Mała Dorrit* – nic jej nie powiedział, za to nazwisko autora – Charles Dickens – poznała; pamiętała, że to ulubiony pisarz Homera Wellsa. Nie dostrzegając nawet, że pierwszy raz w życiu działa z pobudek nieegoistycznych, Melony ukradła książkę – dla Homera. Uczyniła to nie z chęci zaimponowania Homerowi czy zaskarżenia sobie jego łask; po prostu spontanicznie, wielkodusznie pomyślała: Słoneczko będzie miał prezent!

Melony nawet sobie samej wzdragała się wyznać, jak wiele dla niej znaczyło przyrzeczenie Homera, że nie opuści bez niej St. Cloud's.

Wtem ujrzała Wally'ego; zmierzał w stronę cadillaca, czyli w kierunku wejścia do szpitala, ale co parę kroków odwracał się i spoglądał na wzgórza. Oczami wyobraźni widział tam sad w porze zbiorów: przy każdym ciężkim owocami drzewie stała wysoka drabina, a zbieraczami były miejscowe sierotki. Drewniane skrzynki, każda o pojemności buszla, stały w rzędach między drzewami. Jedną alejką jechał traktor z otwartą przyczepą załadowaną pełnymi już skrzynkami. Widać, że rok był pomyślny dla zbiorów jabłek.

Skąd wezmą traktor? – zmartwił się Wally. Jednocześnie potknął się i, łapiąc równowagę, spojrzał w kierunku, w którym zmierzał – czyli na pusty kabriolet. Melony tymczasem zniknęła. Nerwy odmówiły jej posłuszeństwa. Korciło ją zmierzyć się z tym młodym przystojniakiem, ale zwątpiła, czy w sytuacji sam na sam zniosłaby godnie jego obojętność. Gdyby mogła mieć pewność, że zaszokuje Wally'ego swym widokiem – zostałaby na miejscu, bo czerpała nawet pewną przyjemność z szokowania ludzi. Ale takiej pewności nie miała, a myśli, że Wally mógłby jej po prostu nie dostrzec, była nie do zniesienia. Tego jeszcze brakowało, żeby jej chciał wcisnąć słoik miodu! Chyba by mu go rozbiła na tym jaśniepańskim łbie! Nikt mnie nie będzie smarował miodem – pomyślała, wściekła, aż *Mała Dorrit* osunęła się pod jej bluzką, tam gdzie serce Melony waliło jak młot.

Przeszła na drugą stronę drogi dzielącej budynek chłopców od budynku dziewcząt. Tą samą drogą piął się właśnie w kierunku szpitala pomocnik zawiadowcy stacji. W pierwszej chwili Melony go nie poznała – taki był wystrojony. Zawsze miała go za nie domytego półgłówka, chłystka, który próbuje zgrywać ważniaka, wykonując najgłupsze (zdaniem Melony) zajęcia na świecie: patrzenie, jak pociągi przyjeżdżają na stację i jak z niej odjeżdżają. Prowincjonalna stacyjka ziała tak bolesną samotnością, że Melony zawsze skrzętnie ją omijała. Takie miejsce odwiedza się tylko w jednym celu: żeby raz na zawsze z niego wyjechać. Ale sterczeć tam godzinami i wyobrażać sobie, że się wyjeżdża? O, nie! Dla Melony był to najsmutniejszy i



najgłupszy pomysł na świecie. Czego tu chce ten osioł, który od roku zapuszcza wąsy i nic mu z tego nie wychodzi – za to dzisiaj wystroił się jak na wesele? – rozważała Melony. Nagle uprzytomniła sobie, że „ten osioł” nie wystroił się jak na wesele, tylko, wprost przeciwnie, jak na pogrzeb.

Istotnie: tępawy, lecz ambitny młodzian, zauroczony białym cadillakiem, doszedł do wniosku, że posada zawiadowcy będzie jego, jeśli tylko okaże stosowny, godny dojrzałej osoby żal z racji zejścia szefa. Chociaż panicznie bał się doktora Larcha i na samą myśl o ciężarnych kobietach dostawał gęsiej skórki, uznał za swój ponury, rytualny obowiązek uczcić zwłoki w miejscu spoczynku, czyli w sierocińcu. Od mdlącej woni, która kojarzyła mu się z małymi dziećmi, zawsze robiło mu się niedobrze, toteż podejmując wyprawę do sierocińca, okazał nie lada bohaterstwo – ono też malowało się teraz na młodym obliczu i nadałoby mu rys dorosłości, gdyby nie jedwabista smużka meszku pod nosem, szydząca z usilnych aspiracji delikwenta do męskości. Na wspinaczkę do sierocińca gorliwy młodzian objuczył się kompletem katalogów szefa, wychodząc z założenia, że zawiadowcy już się nie przydadzą, a jako prezent mogą mu zjednać przychyłność doktora Larcha i spełnić rolę symbolu przymierza. Nie zaprzętał sobie głowy pytaniami, na co Wilburowi Larchowi wiedza o dostępnych w handlu gatunkach nasion siewnych i bielizny pościelowej, albo co powie stary doktor na dramatyczne doniesienia o zagrożeniu duszy – własnej, i nie tylko.

Z grona sierot pomocnik zawiadowcy szczególną niechęcią darzył dwoje: Homera i Melony. Homera – za niezmacony spokój, dzięki któremu Homer sprawiał wrażenie dojrzałego, godnego zaufania mężczyzny (pomocnik zawiadowcy wiedział, że on nigdy taki nie będzie); a Melony – ponieważ się z niego wyśmiewała. No i proszę: jakby nie dość było kłopotów na jeden dzień, na drodze stanęła mu właśnie ona – Melony.

– Co ci się zrobiło pod nosem? – zagadnęła na powitanie. – Czy to przypadkiem nie grzybica? A może tylko brudne; umyj się.

Melony była wyższa od pomocnika zawiadowcy, zwłaszcza teraz, gdy stała na wyboju drogi. Spróbował ignorować złośliwości.

– Idę obejrzyć ciało – odparł z godnością. Biedaczek, gdyby miał choć odrobinę wyczucia, wiedziałby, jak fatalnie dobiera słowa.

– Możesz sobie obejrzyć moje, chcesz? – zareagowała natychmiast Melony. – Naprawdę, nie żartuję – dodała. Widząc jednak szczere zażenowanie i strach chłopczyny, dała spokój. Melony potrafiła dobrze zależeć za skórę, ale rezygnowała,

gdy przeciwnik był zbyt słaby. Patrząc na pomocnika zawiadowcy, doszła do wniosku, że gotów sterczeć tak na środku drogi, aż padnie z wycieńczenia, więc ustąpiła na bok, krzywiąc się z pogardą: – Nie bój się, żartowałam.

Czerwony jak burak, poszedł prędko dalej, potykając się co parę kroków, a gdy miał zniknąć za rogiem budynku chłopców, Melony zawołała za nim:

– Musiałbyś się przedtem ogolić!

Zachwiał się jak pod ciosem, a Melony zdumiała się własną potęgą. Gdy wreszcie skręcił za róg budynku, widok lśniącego, białego cadillaca – którego nadal uważał za biały karawan – podniósł go na duchu. Gdyby w tym momencie rozległy się chóry anielskie, pomocnik zawiadowcy padłby na kolana, siejąc w krąg barwne płatki katalogów. Ta sama jasność, która biła z cadillaca, zdawała się emanować z blond czupryny młodzieńca o posturze mocarza – kierowcy karawanu. O funkcji tak odpowiedzialnej pomocnik zawiadowcy mógł myśleć tylko z nabożnym lękiem.

Niepewnie zbliżył się do Wally'ego. Wally, oparty o kabriolet, palił papierosa i snuł fantazje o wielkim sadzie jabłkowym w St. Cloud's. Nagłe pojawienie się pomocnika zawiadowcy – który wyglądał jak młodszy pracownik zakładu pogrzebowego – zdumiało go i brutalnie wyrwało z marzeń.

– Przyszedłem obejrzyć ciało – oznajmił pomocnik zawiadowcy.

– Ciało? – zdumiał się Wally. – Czyje ciało?

Lęk przed kompromitacją sparaliżował nieomal pomocnika zawiadowcy. Świat wydał mu się nagle omotany zawilą siecią niepojętych konwenansów: najwidoczniej nietaktem było wspomnieć o ciele nieboszczyka wobec człowieka odpowiedzialnego za bezpieczny transport zwłok.

– Mecenas raczy wybaczyć! – spróbował naprawić gafę cytatem, który gdzieś wyczytał.

– Jaki mecenas? – Wally zaniepokoił się nie na żarty.

– Przepraszam za moją bezmyślność – kajał się dalej pomocnik zawiadowcy i, kłaniając się, sunął boczkiem ku wejściu do szpitala.

– Ktoś umarł? – zdenerwował się Wally. Pomocnik zawiadowcy nie odpowiedział, bo zdołał się wślizgnąć do hallu szpitala, gdzie wlaź do kąta i jął się gorączkowo zastanawiać, co dalej. Był pewien, że udało mu się urazić subtelne uczucia kierowcy karawanu. To bardzo delikatne zajęcie – stwierdził w duchu, próbując się uspokoić. Ciekawe, jaki następny błąd popełni? – deliberował. Skulił się w swoim kącie. Z gabinetu zabiegowego doleciał go zapach eteru. Pomocnik zawiadowcy nie mógł wiedzieć, że ciało, które chciał „obejrzyć”, znajduje się w odległości niespełna

pięciu metrów. Zdawało mu się za to, że wszędzie pachnie małymi dziećmi – jedno nawet płakało w głębi korytarza. Rodzącą kobietę wyobrażał sobie zawsze z nogami sztywno wyprężonymi w górę, piętami do sufitu: ta straszna wizja i teraz wgniotła go dosłownie w ścianę. Czuję krew! – pomyślał, ledwo opanowując odruch paniki. Przyłgnął do ściany jak tynk – rzeczywiście zrobił to umiejętnie, skoro Wally, który wszedł do budynku zaniepokojony wieścią o czyjejś śmierci, nawet go nie dostrzegł. Wally poszedł wprost do pokoju zabiegowego, jak wabiony wonią eteru. Z miejsca doznał na nowo silnego uczucia mdłości. Przeprosił grzecznie nogi zawiadowcy stacji.

– Och, najmocniej przepraszam – rzekł, wycofując się do hallu.

Usłyszał, jak w innym pomieszczeniu siostra Angela rozmawia z Candy, która już była w stanie usiąść. Wtargnął tam bez pukania, lecz ulga malująca się na jego twarzy, gdy stwierdził, że to nie Candy jest przedmiotem pogłosek o śmierci, rozczuliła siostrę Angelę i uchroniła Wally’ego przed słuszną reprimendą.

– Proszę, może pan wejść – zachęciła go siostra Angela i wzorowym szpitalnym żargonem, który polega na nadużywaniu pierwszej osoby liczby mnogiej, dodała: – Czujemy się już całkiem dobrze. Nie możemy jeszcze biegać i skakać, ale pięknie, bez pomocy, siadamy, prawda? – zwróciła się do Candy, która odpowiedziała na to uroczym uśmiechem. Radość Candy na widok Wally’ego była tak oczywista, że siostra Angela poczuła się w obowiązku zostawić tych dwoje sam na sam. Zakochana para w tej sali operacyjnej, i w ogóle w St. Cloud’s, była niespotykaną rzadkością; siostra Angela z przyjemnością i pewnym niedowierzaniem patrzyła na mężczyznę i kobietę, których łączyło uczucie miłości. Posprzątać mogę później – postanowiła. – Albo poproszę Homera, żeby mnie wyręczył.

Homer rozmawiał z doktorem Larchem. Siostra Edna odwiozła pacjentkę z Damariscotty na oddział położniczy, a doktor Larch badał odebrane przez Homera niemowlę – małego Steerfortha (doktor Larch już zdążył skrytykować imię: Dickensowski Steerforth był po pierwsze trochę łajdakiem, a po drugie – czyżby Homer zapomniał? – zmarł tragicznie, przez utonięcie; zatem imię to, według doktora Larcha, źle wróżyło dziecku). W tej chwili jednak nie rozmawiali o imieniu Steerforth.

– Wally mówi, że to nie potrwa dłużej niż parę dni – zapewniał Homer Wells. – Trzeba będzie, zdaje się, załadować ciężarówkę. Dostaniemy czterdzieści drzewek. A poza tym, bardzo bym chciał zobaczyć wybrzeże.

– Powinieneś jechać, Homerze, naturalnie – odparł doktor Larch. – To niepowtarzalna okazja. – Dźgnął Steerfortha lekko w brzusek; potem sprowokował go do pochwycenia swojego palca; na koniec poświecił mu latarką w oba oczka.

– Za dwa dni wrócę – obiecał Homer Wells.

Wilbur Larch pokręcił głową. W pierwszej chwili Homer pomyślał, że coś jest nie w porządku z małym Steerforthem.

– Może dwa dni, a może dłużej, Homerze – rzekł doktor Larch. – Nastaw się na wykorzystanie okazji. Nie pozwól, żeby szansa cię ominęła tylko dlatego, że dajesz jej raptem dwa dni.

Homer chciał spojrzeć doktorowi w oczy, ale Larch wpatrywał się pilnie we wnętrze uszka Steerfortha.

– Jeżeli ci młodzi ludzie cię polubią – ciągnął po chwili – a ty polubisz ich, to... no cóż... Sądzę, że poznasz także ich rodziców, a jeżeli i oni cię polubią, to... Uważam, Homerze, że powinieneś starać się zaskarbić sobie sympatię ich rodziców.

Uparcie odwracał oczy od Homera, choć ten gapił się na niego jak zakłęty. Doktor Larch obejrzał starannie supełek na pępowninie. Steerforth darł się cały czas.

– Obaj wiemy, jak sądę, że dobrze by ci zrobił wyjazd stąd na dłużej niż dwa dni, Homerze – odezwał się wreszcie doktor Larch. – Nie mam na myśli adopcji, chyba wiesz. Myślę o pracy sezonowej. Na początek, powiedzmy, jedno lato. Może ktoś zaoferuje ci środki pozwalające utrzymać się z dala od St. Cloud's przez okres dłuższy niż dwa dni – to właśnie chciałem powiedzieć, jeżeli, naturalnie, taka perspektywa wydaje ci się atrakcyjna.

Doktor Larch spojrział wreszcie na Homera. Przez dłuższą chwilę patrzyli sobie w oczy.

– Jasne – rzekł Homer.

– Oczywiście, może się tak zdarzyć, że zechcesz wrócić za dwa dni! – dodał Larch sztucznie jowialnym tonem. Po tej uwadze obaj odwrócili oczy, jakby zażenowani taką ewentualnością. – Dobrze wiesz, że gdyby tak się stało, zawsze będziesz tu powitany z radością – powiedział Larch, myjąc ręce. I nagle wyszedł z sali – tak nagle, że Homer znów nie zdążył mu powiedzieć, jak bardzo go kocha. Homer Wells został sam na sam z noworodkiem. A przylepiony do ściany pomocnik zawiadowcy patrzył, jak Wilbur Larch prowadzi siostrę Angelę i siostrę Ednę do pokoju zabiegowego.

Widocznie nawet w obecności martwego zawiadowcy stacji Wilbur Larch czuł się w tym przepojonym eterową wonią pomieszczeniu pewniej niż gdziekolwiek indziej. Tylko tam umiał się zdobyć na wyznanie wiernym siostrom tego, co miał im do powiedzenia.

– Musimy zrobić składkę – oświadczył im. – Ile kto ma. Trzeba chłopakowi dać jak najwięcej forsy. I co tam się znajdzie porządniejszego z ubrań.

– Na dwa dni, Wilburze? – zdziwiła się siostra Edna.

– Ile chłopiec może potrzebować pieniędzy na dwa dni? – zawtórowała jej siostra Angela.

– Czy wy nie widzicie, jaka to dla niego okazja? – zgromił je doktor Larch. – Nie spodziewam się, że wróci po dwóch dniach. Mam nadzieję, że tego nie zrobi, przynajmniej nie za szybko.

Mówił tak, chociaż czuł, że serce mu pęka, a czując to, przypomniał sobie nagle o ważnej rzeczy: bajeczce o „wadzie serca” Homera. Trzeba mu koniecznie powiedzieć – pomyślał. Ale jak? gdzie? kiedy?

Udał się z powrotem do sali po drugiej stronie korytarza: chciał sprawdzić, jak Candy dochodzi do siebie. Wiedział, że Candy i Wally chcą jak najszybciej wyjechać do domu, gdyż czeka ich daleka droga. A skoro Homer Wells ma mnie opuścić, to też lepiej niech się pospieszy – pomyślał. Chociaż – zmitygował się zaraz – czy można nazwać pospiesznym odchodzenie, które trwa dwadzieścia lat? Słaba pociecha z filozofii: Homer Wells musiał odejść natychmiast, żeby doktor Larch mógł sprawdzić, czy jest w stanie przeżyć jego odejście.

Szczerze wątpił, czy przeżyje. Obejrzał ślady plamienia na sterylnym podkładzie. Wally tymczasem wodził wzrokiem po suficie, po własnych dłoniach, po podłodze.

– Doskonale, coraz lepiej – pochwalił doktor Larch rekonwalescencję Candy. Już-już miał jej powiedzieć, żeby w razie wystąpienia skurczy zwróciła się o pomoc do Homera, który również potrafi ocenić, czy plamienie jest prawidłowe – ale ugryzł się w język: postanowił nie obciążać Homera rolą konsultanta Candy. Poza tym, wymówienie samego imienia „Homer” przyszłoby mu w tej chwili z najwyższym trudem.

– Ciebie biorą? Niemożliwe! – zachnął się Curly Day, widząc, że Homer pakuje rzeczy.

– Nie adoptowali mnie, Curly – uspokoił go Homer. – Za dwa dni wrócę.

– Wybrali ciebie! – Mina Curly’ego wyrażała tak tragiczny zawód, że Homer musiał odwrócić wzrok.

Doktor Larch, mimo że był tylko historykiem-amatorem, doceniał wagę informacji przekazywanej nie wprost. Dlatego też o wadzie serca Homera powiadomił Candy i Wally’ego. Łatwiej zdobył się na oszukanie ich niż Homera, a poza tym – jak

mniemał – podana w ten sposób wiadomość nabierze z czasem większych pozorów prawdziwości.

– Nie mógłbym go wypuścić – rzekł – nawet na dwa dni, nie uprzedziwszy państwa o jego stanie. – Magiczne słowo „stan” osiąga w ustach lekarza wagę wprost zdumiewającą. Słyszając je, Candy zapomniała o aborcji, a Wally odzyskał rumieńce. – Chodzi o serce – ciągnął Wilbur Larch. – Jemu samemu o tym nie wspomniałem, bo nie chciałem go niepokoić. Ten stan ma to do siebie, że niepokój pacjenta może go znacznie pogorszyć.

Dwoje dobrodusznym niewiniątek słuchało doktora Larcha z nabożnym skupieniem.

– Nie powinien się przemęczać, żadnego gwałtownego wysiłku, żadnych większych wstrząsów, a wszystko będzie dobrze.

Wilbur Larch podsumował w ten sposób stan pacjenta, który musi po prostu na siebie uważać. Miał nadzieję, że dzięki tej bajeczce zapewni Homerowi bezpieczeństwo. Czuł, że taką właśnie bajeczkę wymyśliłby chętnie każdy ojciec dla swojego syna – gdyby miał szansę przekonać syna o jej prawdziwości.

Niestety, Homer Wells nie mógł na poczekaniu wymyślić żadnej bajeczki dla ukojenia żalu Curly’ego Daya, który szlochał gorzko, zagrzebany pod kilkoma poduszkami i kocem.

– Na co tobie adoptowani rodzice? – zawodził Curly. – Przecież jesteś prawie doktorem!

– Tylko dwa dni – powtórzył Homer Wells; z każdym kolejnym powtórzeniem ta obietnica wydawała mu się coraz mniej realna.

– Ale że ciebie biorą? Jak to możliwe?! – rozpaczał Curly.

Przyszła siostra Angela. Siadła obok Homera na skraju łóżka Curly’ego. We dwoje bezradnie przyglądali się szlochającej kupce nieszczęścia.

– Tylko na dwa dni, Curly – powiedziała, bez przekonania, siostra Angela.

– Doktor Larch mówił, że Homer jest tu po to, żeby nas bronić! – lamentował Curly. – Ładna mi obrona!

Siostra Angela szepnęła Homerowi, żeby poszedł posprzątać stół operacyjny, a ona posiedzi przy Curlym, aż się mały uspokoi; wyjaśniła, że nie chce kręcić się po sali operacyjnej, żeby nie przeszkadzać sympatycznej młodej parze.

– Zdaje mi się, że twoi przyjaciele nie potrzebują mojego towarzystwa – szepnęła na ucho Homerowi.

Moi przyjaciele! – zdumiał się Homer. Kto wie? Może i ja zacznę mieć przyjaciół?

– Ty nie jesteś najgrzeczniejszy, Homer! – wył Curly spod koca.

– Jasne – zgodził się z nim Homer. Chciał poklepać Curly’ego przez koc, ale Curly zeszytniał pod jego dotknięciem i wstrzymał oddech. – Do zobaczenia wkrótce, Curly – rzucił Homer na odchodnym.

– Zdrajca! – krzyknął Curly Day. Widocznie odróżnił po dotyku siostrę Angełę, bo pod jej dłonią rozluźnił mięśnie i zaczął buczeć równo, uporczywie.

Siostrze Ednie udało się tymczasem udobruchać małego Steerfortha, albo go po prostu przetrzymała: dość że umyty i ubrany zaczął właśnie przysypiać w jej ramionach. Gdy siostra Edna uznała, że Steerforth wyszał z butli dość mieszanki, ułożyła go w łóżeczku, sama zaś wzięła się do porządkowania sali porodowej. Zdążyła zasłać stół ginekologiczny świeżym prześcieradłem i pucowała właśnie lśniące strzemiona, kiedy w drzwiach stanął doktor Larch, zgięty pod ciężarem sztywnego jak deska trupa zawiadowcy stacji.

– Wilburze! – oburzyła się na ten widok siostra Edna. – Trzeba było poprosić Homera o pomoc!

– Zaczniemy się przyzwyczajać do tego, że Homera nie ma pod ręką – skrzywił się doktor Larch, składając ciało na stole ginekologicznym. Oj, widzę, że nie będzie to łatwe! – westchnęła w duchu siostra Edna.

– Na pewno nie natknęła się siostra na nożyce do cięcia mostka? – spytał retorycznie Larch.

– Nożyczki? – upewniła się siostra Edna.

– Nożyce – skorygował doktor Larch. – Niech go siostra lepiej rozbierze; zapytam Homera.

Homer zapukał, zanim wszedł do sali operacyjnej, gdzie Candy skończyła się właśnie ubierać (przy niewprawnej pomocy Wally’ego) i stała oto, wsparta na ramieniu młodzieńca, w pozie, która uderzyła Homera jako sztucznie formalna: jakby ci dwoje zakończyli właśnie popis w konkursie tanecznym i czekali na aplauz jury.

– Proszę teraz odpocząć – zwrócił się Homer Wells do Candy, omijając bokiem jej spojrzenie. – Przydałby się łyk świeżego powietrza. Ja zaraz będę gotowy; muszę tylko uporządkować stół. – Jakby się nagle zreflektował, dodał niezdarnie: – Pani się dobrze czuje, prawda?

– Doskonale. – Candy przelotnie napotkała wzrok Homera, po czym szybko uśmiechnęła się do Wally’ego, jakby chciała mu dodać otuchy.

W tej samej chwili wszedł doktor Larch, z pytaniem, czy Homer nie widział gdzieś nożyc do cięcia mostka.

– Zostawiłem koło Klary – przypomniał sobie Homer. – Przepraszam. Wziąłem je, bo myślałem, że będą mi potrzebne przy sekcji. Sekcji płodu – dodał.

– Duże nożyce nie przydają się przy sekcji płodu – stwierdził autorytatywnie doktor Larch.

– Teraz już wiem. Posłużyłem się małymi – potwierdził Homer Wells, dotkliwie świadom tego, że słowa „płód” i „sekcja” padają na Wally’ego i Candy jak krople krwi. – Zaraz przyniosę nożyce.

– Nie trzeba – rzekł Larch. – Skończ tutaj robotę. A wam dwojgu przydałoby się trochę świeżego powietrza – zwrócił się do Wally’ego i Candy. Potraktowali tę sugestię jak rozkaz – całkiem słusznie – i opuścili salę operacyjną. Po drodze do wyjścia dostrzegliby zapewne ukrywającego się w kącie korytarza pomocnika zawiadowcy, gdyby ten nie poddał się wrażeniu, jakie wywarł na nim widok doktora Larcha wynoszącego trupa zawiadowcy z pokoju zabiegowego, i nie podążył, jak w transie, za niepokojącą wizją. Z emocji skręcił w pewnym momencie w złą stronę i nagle ocknął się w gabinecie zabiegowym. W chwili gdy Wally eskortował Candy na świeże powietrze, pomocnik zawiadowcy gapił się jak zakłęty na błotniste ślady na skraju prześcieradła.

– Skoro pan doktor ma pewność, że to serce, to na co ten pośpiech z sekcją? – zdumiał się Homer.

– Chcę się czymś zająć – odparł Larch i sam się zdziwił ledwo hamowanej irytacji, jaka zabrzmiała w tej odpowiedzi. Mógł w tym momencie wyznać Homerowi, że bardzo go kocha i właśnie dlatego potrzebuje jakiegoś absorbującego zajęcia na chwilę rozstania. Mógł się przyznać, że najchętniej wyciągnąłby się teraz na łóżku w pokoju zabiegowym i zaaplikował sobie małą dawkę eteru, a nie mógł tego zrobić, dopóki łóżko zajmował zawiadowca. Z całego serca pragnął przytulić Homera do serca i ucałować serdecznie, ale zamiast tego mógł tylko żywić nadzieję, że Homer Wells zrozumie, jak dalece autorytet doktora Larcha polega na jego samokontroli. Dlatego nie powiedział już nic, tylko zostawił Homera w sali operacyjnej, a sam poszedł po nożyce do cięcia mostka.

Homer wyszorował stół płynem dezynfekcyjnym. Gdy kończył zawiązywać torbę na odpadki, zauważył na nogawce spodni, na kolanie, jasny, przezroczysty nieomal kosmyk włosów łonowych – mocno skręcony loczek nadzwyczajnie delikatnych włosów łonowych Candy. Obejrzał go pod światło i ukrył w kieszeni.



Siostra Edna rozbierała zawiadowcę stacji i łykała łzy. Doktor Larch zapowiedział właśnie jej i siostrze Angeli, że nie życzy sobie żadnych hec i błogosławieństw na drogę przy pożegnaniu Homera – niczego, krótko mówiąc, co pozwoliłoby Candy i Wally'emu przypuszczać, że Homer liczy się z wyjazdem na dłużej niż dwa dni. „Żadnych hec” – podkreślił doktor Larch. Żadnych uścisków, żadnych całusów – pochlipywała rozżalona siostra Edna. Jej łzy ani trochę nie wzruszyły zawiadowcy stacji, którego oblicze zachowało na zawsze wyraz przerażenia. Siostra Edna w ogóle nie zważała na minę nieboszczyka, pochłonięta własnym nieszczęściem – czyli zakazem manifestacji wzruszeń w chwili pożegnania Homera Wellsa.

– Pożegnamy go wszyscy jakby nigdy nic – zarządził doktor Larch. – Koniec, kropka.

Jakby nigdy nic! – jęknęła w duchu siostra Edna. Gdy doktor Larch wszedł do sali z nożycami, zawiadowca miał na sobie już tylko skarpetki.

– Nie życzę sobie żadnych łez – skarcił Larch surowo siostrę Ednę. – Chce siostra, żeby wszystko się wydało?

Siostra Edna jednym ruchem zerwała skarpetki ze stóp nieboszczyka, cisnęła je do nóg doktora i wymaszerowała z sali. Doktor Larch został sam na sam z ciałem.

Homer Wells obrzucił stół operacyjny baczny, fachowy – pożegnalnym – spojrzeniem. Loczek włosów Candy przełożył z kieszeni do portfela; przy okazji raz jeszcze przeliczył pieniądze, które mu dał doktor Larch. Prawie pięćdziesiąt dolarów.

Poszedł do sypialni chłopców: siostra Angela nadal siedziała na skraju łóżka Curly'ego Daya, który nadal płakał. Ucałowała Homera, nie przestając gładzić przez koc wstrząsanych szlochem pleców Curly'ego Daya. Homer także ją ucałował i wyszedł bez słowa.

– Nie mogę uwierzyć, że wzięli jego – wymamrotał przez łzy Curly Day.

– On wróci – zapewniła go kojącym szeptem siostra Angela. Nasz Homer! – dodała w duchu. – Na pewno wróci! Czy Homer nie wie, gdzie jest jego miejsce?

Siostra Edna, w heroicznym dążeniu do powściągnięcia emocji, zaszła do gabinetu zabiegowego, gdzie natknęła się na drżącego ze strachu pomocnika zawiadowcy stacji.

– Czym mogę służyć? – spytała oficjalnym tonem, biorąc się w garść.

– Przyszedłem obejrzyć ciało – wybelkotał pomocnik zawiadowcy.

Z sali po drugiej stronie korytarza dobiegł siostrę Ednę znany odgłos nożyc otwierających klatkę piersiową – musiała to być klatka zawiadowcy. Siostra Edna nie

sądziła, aby pomocnik zawiadowcy miał znaleźć satysfakcję w widoku ciała szefa na tym etapie obróbki.

– Doktor Larch jeszcze nie skończył sekcji – powiedziała.

– Przyniosłem parę katalogów dla doktora Larcha – przypomniał sobie pomocnik zawiadowcy i wręczył siostrze Ednie stertę makulatury.

– Dziękuję, przekażę doktorowi – rzekła siostra Edna. Młody natręt w żalobnym garniturze nadal nie zbierał się do odejścia. Możliwe, że oszołomił go przenikający pokój eter. – Chce pan poczekać? – spytała siostra Edna, a widząc jego ogłupiałą minę, dodała: – Na możliwość obejrzenia ciała. Może pan poczekać w gabinecie siostry Angeli. – Pomocnik zawiadowcy z wdzięcznością kiwnął głową i podążył korytarzem wedle wskazówki siostry Edny. – Ostatnie drzwi po prawej – poinstruowała go siostra Edna. – Niech się pan tam rozgości.

Uwolniony od balastu katalogów, pomocnik zawiadowcy stacji lżejszym krokiem podążył ku gabinetowi siostry Angeli. Z uznaniem stwierdził tam mnogość krzeseł do wyboru. Nie myślał, rzecz jasna, siadać za biurkiem, przy maszynie do pisania; bardziej przypadły mu do gustu dwa niskie, wygodne fotele, ustawione jeden obok drugiego, przodem do biurka. Zasiadali na nich potencjalni rodzice adopcyjni, gdy doktor Larch przeprowadzał z nimi wywiad. Nie ma solidniejszych foteli niż takie właśnie, obite tapicerką. Pomocnik zawiadowcy zdecydował się na niższy, mocniej wypchany. Ledwie siadł, pożałował wyboru, gdyż fotel był niższy, niż się pomocnik spodziewał: wszystkie sprzęty w zagraconym gabinecie górowały nad nim wyniośle. Gdyby w tej chwili za biurkiem, przy maszynie, siedział doktor Larch, pomocnik zawiadowcy musiałby wysoko unieść głowę, żeby nań spojrzeć z nizin swego fotela.

Na szczycie maszyny do pisania stała biała emaliowana brytfanna czy półmisek – pomocnik zawiadowcy nie mógł stwierdzić, co naczynie zawiera, gdyż siedział zbyt nisko. Ponad krawędź kuwety sterczała para miniaturowych rączek, ale ambitny młodzian widział ze swego stanowiska zaledwie czubki paluszków martwego płodu z Wodospadu Trzy Mile. A ponieważ nigdy przedtem nie oglądał płodu, ani nawet noworodka, nie miał pojęcia, że ludzkie palce potrafią być takie małe. Z niewygodnej rozpadliny fotela rozglądał się dalej po pomieszczeniu, lecz końce paluszków sterczące ponad brzeg kuwety co chwila przyciągały jego wzrok jak magnes. Pomocnik zawiadowcy z trudem oswajał się z myślą, że patrzy na ludzkie palce.

Cokolwiek tam jest, wygląda jak palce – zdecydował. Coraz mniej obchodziły go inne przedmioty w pokoju. Gapił się jak w transie na małe paluszki i jakiś głos

wewnętrzny naglił go: Wstań i sprawdź, co to jest! A jednocześnie jakaś siła przytrzymała go w niskich objęciach fotela.

Niemożliwe, żeby to były palce! – perswadował sobie, nie spuszczać oczu z tajemniczego obiektu i nie ruszając się z miejsca.

Siostra Edna chciała powiedzieć doktorowi Larchowi, że powinien raz jeden dać przemówić uczuciom – wyznać Homerowi, co czuje – ale zatrzymała się przed drzwiami sali porodowej i nadstawiła ucha. Klatka piersiowa zawiadowcy chrupnęła jeszcze kilka razy. Na siostrze Ednie – profesjonalistce – odgłos ten nie robił wrażenia; po jego zdecydowanej precyzji poznała tylko, że doktor Larch postanowił zagłuszyć uczucia intensywną pracą. Jego wola – uznała siostra Edna. Wyszła na dwór, ciekawa, jak sobie radzą młodzi.

Młodzieniec, w pozie typowej dla zmotoryzowanych młodzieńców, grzebał pod otwartą klapą bagażnika, a panna odpoczywała, pólleżąc, na szerokiej tylnej kanapie cadillaca. Dachy jeszcze nie postawili. Siostra Edna nachyliła się do ucha Candy i szepnęła:

– Jest pani śliczna jak obrazek!

Candy odpowiedziała na to serdecznym uśmiechem. Siostra Edna dopiero teraz zobaczyła, jak bardzo Candy jest wyczerpana.

– Proszę się nic a nic nie wstydzić, złotko – poradziła konfidencyjnym tonem. – Gdyby płamienie panią zaniepokoiło albo gdyby poczuła pani jakieś dziwne skurcze, trzeba się zaraz poradzić Homera. Proszę mi obiecać, że nie będzie się pani wstydziała, moje złotko. Zwłaszcza w razie gorączki; proszę obiecać – nalegała siostra Edna.

– Obiecuję – bąknęła Candy i spłonęła rumieńcem.

Melony biedziła się właśnie nad dedykacją, którą chciała opatrzyć *Małą Dorrit* dla Homera, gdy usłyszała, jak Mary Agnes Cork wymiotuje w łazience.

– Ciszej! – ryknęła w tamtą stronę Melony, ale Mary Agnes nie przestawała wymiotować. Zjadła dwa pełne słoiki galaretki jabłkowej, słoik miodu i jeszcze jeden słoik galaretki, z rajskich jabłuszek. Podejrzewała, że zawinił miód.

Smoky Fields zwymiotował już wcześniej, pożarłszy w pierw całą zawartość kilku własnych słoików i jeszcze jednego, zabranego któremuś z małych Walshów. Leżał teraz półżywy na łóżku i słuchał, jak Curly Day płacze i płacze, a siostra Angela mówi do niego i mówi.

HOMEROWI „SŁONECZKO” WELLSOWI  
ZA TO, CO MI OBIECAŁ

– napisała Melony. Zerknęła przez swoje okno, ale na zewnątrz nie działało się nic ciekawego. Było jeszcze całkiem jasno – a więc za wcześnie na to, aby dwie kobiety, których przybycie do szpitala Melony oglądała z rana, ruszyły z górki w stronę stacji, a stamtąd – w siną dal.

LOVE – MELONY

– dodała po namyśle, przy akompaniamencie nawrotu torsji Mary Agnes.

– Ty głupia świnió, suko jedna! – zwymyślała ją Melony.

Homer Wells wszedł do sali porodowej akurat w chwili, gdy Wilbur Larch obnażył umiejętnie serce zawiadowcy stacji. Nie zdziwił się brakiem jakichkolwiek oznak choroby serca i martwicy tkanki mięśniowej (- Nie stwierdzam zmian patologicznych – oznajmił krótko, nie patrząc na Homera) – serce zmarłego prezentowało się wzorowo.

– Zawiadowca stacji miał zdrowe serce – orzekł, zwracając się do Homera Wellsa, doktor Larch. A więc, tak jak się doktor tego zresztą spodziewał, zmarły nie padł na zawał. Wszystko wskazywało raczej na nagłe zakłócenie rytmu serca. – Podejrzewam arytmie – rzekł doktor Larch do Homera Wellsa.

– Serce nagle się zatrzymało, tak? – upewnił się Homer.

– Przypuszczam, że powodem był szok albo lęk – zasugerował Wilbur Larch.

Patrząc na zastygłe w grozie oblicze zmarłego, Homer Wells nie wątpił w słuszność takiego przypuszczenia.

– Jasne – przyznał doktorowi rację.

– Nie wolno, oczywiście, wykluczyć skrzepu w mózgu – ciągnął Wilbur Larch. – Gdzie powinienem zajrzeć, żeby to sprawdzić? – spytał Homera tonem, jakim się dziecku zadaje zagadkę.

– Konar mózgu – wypalił bez wahania Homer Wells.

– Bardzo dobrze – pochwalił ucznia doktor Larch.

Widząc, że doktor Larch odsłania konar mózgu zawiadowcy – do czego potrzebował obydwu rąk i pełnej koncentracji uwagi – Homer uznał, że nadszedł moment sprzyjający powiedzeniu tego, co miał do powiedzenia.

– Ja pana bardzo kocham – rzekł Homer Wells. I natychmiast chciał wyjść z sali, zachowując w pamięci obraz doktora przy pracy.

– I ja ciebie kocham, Homerze – odezwał się Wilbur Larch, niezdolny w tej chwili, ani nawet w następnej, dojrzeć zakrzepu w okolicy konaru mózgu, nawet gdyby takowy tam widniał.

– Jasne – dobiegł go głos Homera, a zaraz potem cichy trzask zamykanych drzwi.

Obraz konaru mózgu wyostrzał się stopniowo w oczach doktora: nie było zakrzepu.

– Arytmia – potwierdził własną wcześniejszą diagnozę doktor Larch. Po chwili dodał: – Jasne! – jakby w imieniu Homera Wellsa. Odłożył narzędzia na bok i na dłuższą chwilę zamarł w bezruchu, wczepiony oburącz w krawędź stołu.

Tymczasem Homer Wells wcisnął torbę do bagażnika kabrioletu, uśmiechnął się do pólężącej na tylnym siedzeniu Candy i pomógł Wally’emu postawić dach: szła noc i o wiele za zimno byłoby jechać w odkrytym wozie – zwłaszcza z tyłu.

– Do zobaczenia za dwa dni! – pożegnała Homera głośno (za głośno) siostra Edna.

– Dwa dni – powtórzył cicho (za cicho) Homer Wells. Siostra Edna cmoknęła Homera w policzek; Homer poklepał siostrę Ednę po przedramieniu. Siostra Edna odwróciła się na pięcie i podreptała z powrotem do szpitala, budząc szczery podziw Candy i Wally’ego zawrotnym, jak na damę w jej wieku, tempem marszu. W szpitalu siostra Edna poszła prosto do gabinetu zabiegowego i rzuciła się na łóżko: serce miała może i miękkie, za to żołądek niewzruszony – nie przeszkadzało jej, że na tym samym łóżku przeleżał wiele godzin martwy zawiadowca, którego buciory ubłocily prześcieradło.

Doktor Larch stał nadal wczepiony w stół operacyjny, gdy dobiegł go przeraźliwy wrzask pomocnika zawiadowcy. Wrzask był pojedynczy; po nim nastąpiło przeciągłe kwilenie. Ani Homer, ani Candy, ani Wally nie usłyszeli głosu rozpacz: Wally tuż przedtem uruchomił silnik cadillaca.

Pomocnik zawiadowcy zwlekał, ile mógł, zanim dźwignął się opieszale z głębokiej doliny fotela. Wcale nie był ciekaw zawartości białej patelni, ale małe paluszki kiwały na niego nagłaco, więc wbrew własnej woli musiał wstać i zbliżyć się

do kuwety. Bliskie spotkanie z rozkrojonym płodem ludzkim podziało na zawiadowcę stacji jak na Curly'ego Daya: złał się w spodnie. Krzyknął przerażony, gdy stwierdził, że nogi odmawiają mu posłuszeństwa i nie może opuścić gabinetu siostry Angeli inaczej, jak na czworakach; tak też posuwał się po chwili korytarzem, skamłając jak zbity pies. Kiedy doszedł do sali porodowej, doktor Larch zagroził mu drogę.

– Co panu jest? – zapytał lodowatym tonem.

– Przyniosłem panu wszystkie jego katalogi! – wydukał pomocnik zawiadowcy (nadal na czworakach).

– Katalogi? – powtórzył Larch z najwyższym obrzydzeniem. – Wstańże, człowieku! Co z tobą?

Wilbur Larch chwycił dygocącego młodzieńca pod pachy i dźwignął na nogi.

– Chciałem tylko obejrzeć ciało – protestował słabo pomocnik zawiadowcy.

Wilbur Larch wzruszył ramionami. Skąd ta powszechna fascynacja śmiercią? – pomyślał, ale usunął się w drzwiach sali porodowej i gestem zaprosił pomocnika zawiadowcy do środka, gdzie jego szef leżał wystawiony na widok publiczny, z sercem i konarem mózgowym na wierzchu.

– Nagłe zakłócenie rytmu serca – objaśnił Wilbur Larch. – Coś go śmiertelnie przestraszyło.

Pomocnik zawiadowcy wiedział, co to znaczy przestraszyć się na śmierć; jednak patrząc na zwłoki pryncypała, gotów był raczej sądzić, że zmarły wpadł pod pociąg – lub też padł ofiarą tej samej złej siły, która dosięgła obrzydliwe niemowlę na maszynie do pisania.

– Dziękuję panu – wyszeptał przez ściśnięte gardło i puścił się pędem przez korytarz i na dwór, byle dalej od tego miejsca, tupiąc tak głośno, że siostra Edna przestała szlochać – chociaż jeszcze przed chwilą przez własne spazmy nie słyszała dzikiego wrzasku i jęków pomocnika zawiadowcy.

Siostra Angela uznała, że nic nie ukozi żalu Curly'ego Daya, spróbowała się zatem umościć przy nim na wąskim łóżku, przewidując długą noc.

Doktor Larch zasiadł tam, gdzie siadywał zawsze o tej porze: przy maszynie do pisania. Płód w kuwecie ani trochę mu nie przeszkadzał. Możliwe, że doktor Larch był nawet Homerowi wdzięczny za pozostawienie czegoś, co wymagało skupienia i krzątaniny: zajęcie, zajęcie dajcie mi jakieś zajęcie – myślał gorączkowo Wilbur Larch. Tuż przed zmrokiem, nie wstając z miejsca, zapalił lampkę na biurku. To uczyniwszy, oparł się ciężko w fotelu, w którym spędził tyle wieczorów swego życia. Wyglądał,

jakby czekał na kogoś. Usłyszał za oknem sowę – chociaż nie było jeszcze ciemno. Domyślił się, że wiatr od morza traci siłę.

Nim zapadł zmierzch, Melony wyjrzała na dwór przez swoje okno i zobaczyła odjeżdżającego cadillaca. Na fotelu pasażerskim, który widać było z budynku dziewcząt, bez trudu rozpoznała Homera Wellsa. Siedział sztywno, profilem lekko zwrócony w stronę Melony, jakby wstrzymywał oddech (istotnie, wstrzymywał oddech). Gdyby spotkał ją przed odjazdem – albo jeszcze gorzej: gdyby mu przyszło porozmawiać z nią dla sfinalizowania planu ucieczki – nie zdobyłby się na gładką obietnicę, że wróci za głupie dwa dni. Melony doskonale odróżniała kłamstwo od obietnicy i złamane słowo wyczuwała na kilometr. Na tylnym siedzeniu wozu mignęła jej postać pięknej, długonogiej dziewczyny; przystojniak, wobec tego, musiał prowadzić. Melony przyjrzała się baczniej profilowi Homera Wellsa. Z wściekłością zamknęła skradziony egzemplarz *Małej Dorrit*, atrament nie zdążył wyschnąć, dedykacja się rozmazała. Melony cisnęła książką o ścianę. Usłyszała to tylko pani Grogan, gdyż Mary Agnes w dalszym ciągu czuła się fatalnie i absorbowały ją odgłosy własnego organizmu.

Melony poszła zaraz do łóżka, bez kolacji. Zmartwiona jej stanem pani Grogan przyszła sprawdzić, czy dziewczyna nie ma gorączki: czoło miała rozpalone, ale nie dała się namówić na wypicie czegokolwiek. Nagabywana, powiedziała tylko:

– Nie dotrzymał słowa.

Po jakimś czasie oświadczyła głośno:

– Homer Wells opuścił Saint Cloud's.

– Masz lekką gorączkę, kochanie – próbowała ją uspokoić pani Grogan, ale gdy Homer Wells nie zjawił się wieczorem, żeby poczytać dziewczynkom *Jane Eyre*, zorientowała się, że sprawa jest poważniejsza. Przywilej wieczornej lektury przypadł w udziale Melony: odczytała wyznaczony fragment płaskim, beznamiętnym głosem, który na panią Grogan podziałał przygnębiająco – zwłaszcza ten fragment:

„...to szaleństwo znane każdej kobiecie, hodować w sobie skrytą miłość, która, nie odwzajemniona i nie okazana, musi unicestwić życie, które ją karmi...”

Przeczytała to bez mrugnięcia okiem! – zdumiała się pani Grogan.

Niewiele lepiej poszło z Dickensem siostrze Angeli, która czytała na dobranoc chłopcom. Dickensowskie opisy okazały się dla niej zbyt wymagające: gubiła się w długich pasażach, a gdy wracała do początku zdania, czuła, że chłopcy tracą zainteresowanie lekturą.

Siostra Edna ambitnie zmierzyła się z wieczornym błogosławieństwem, doktor Larch odmówił bowiem opuszczenia gabinetu siostry Angeli, oświadczając, że słucha sowy i zamierza jej słuchać jeszcze długo. Siostra Edna czuła się bardzo niepewnie wobec błogosławieństwa, którego treści nie pojmowała do końca, i zawsze uważała, że kryje się w niej jakiś intymny, żartobliwy sekret między doktorem Larchem a wszechświatem. Wygłosiła tradycyjną formułę zbyt piskliwie, czym wyrwała ze snu ciężko chorego na niestrawność Smoky'ego Fieldsa, a Curly'ego Daya sprowokowała do przejmującego skowytu, który na chwilę zakłócił jego wielogodzinne już, jednostajne pochlipywanie.

– Dobranoc, Książęta Maine! Dobranoc, Królowie Nowej Anglii! – pisnęła cienko siostra Edna.

– Gdzie Homer? – odezwało się szeptem parę głosów. Siostra Angela po ciemku dalej masowała plecy Curly'ego Daya między łopatkami.

Siostra Edna, głęboko poruszona zachowaniem doktora Larcha, postanowiła – bez względu na konsekwencje – udać się wprost do gabinetu siostry Angeli. Miała zamiar kategorycznie i bez ogródek poradzić doktorowi, żeby sobie zaaplikował zdrową dawkę eteru i porządnie się wyspał aż do rana. Ale im bliżej była samotnej smugi światła padającej z gabinetu siostry Angeli, tym szybciej opuszczała ją odwaga. Nie wiedziała poza tym nic o poddanym sekcji płodzie, toteż gdy nieśmiało zajrzała do gabinetu, widok makabrycznego trupka omal nie ściął jej z nóg. Doktor Larch siedział przy maszynie do pisania, nieruchomy jak posąg. Układał w myślach pierwszy z długiej serii listów, które miał w przyszłości napisać do Homera Wellsa. Próbował w ten sposób oswoić lęki i uciszyć zamęt myśli. Proszę Cię, bądź zdrowy; proszę Cię, bądź szczęśliwy; proszę Cię, uważaj na siebie – zaklinał Homera w myśli Wilbur Larch. Ciemność nocy osaczała go z wolna ze wszystkich stron, a maleńkie rączki dziecięcia zamordowanego, nim się narodziło, wyciągały się ku niemu błagalnie.



## 6. Z Widokiem Na Ocean

Przez pierwsze dwa tygodnie od wyjazdu Homera Wellsa z St. Cloud's, Wilbur Larch pozwalał nie tkniętej poczcie rosnąć w stos na biurku, siostra Angela mocowała się z co dłuższymi i bardziej zawiłymi zdaniami Charlesa Dickensa (na co chłopcy reagowali swoistym wyostrzeniem uwagi; z zapartym tchem śledzili każde słowo, wyczekując spodziewanych błędów), a pani Grogan cierpliwie znosiła beznamiętną lekturę Charlotte Bronte w wykonaniu Melony. Pod koniec Rozdziału Dwudziestego Siódmego złowiła uchem nutkę „buntowniczego ducha” Jane Eyre w tonie Melony.

– „Troszczę się o siebie – czytała Melony. – Im bardziej będę samotna, pozbawiona przyjaciół i wsparcia, tym bardziej będę szanować samą siebie.”

Dobre dziecko – zaklinała ją w myśli pani Grogan. – Proszę cię, bądź dobrym dzieckiem. Doktorowi Larchowi powiedziała, że chociaż Melony czyta Dickensa grobowym głosem, należałoby ją zachęcać do dalszej aktywności, przydzielając więcej obowiązków.

Siostra Angela natychmiast zgłosiła gotowość rezygnacji z lektury *Dawida Copperfielda*. Doktor Larch natomiast wprawił wszystkie trzy kobiety w niemale zdumienie swoją reakcją; po trzech tygodniach nieobecności Homera Wellsa oznajmił im bowiem, że jest mu wszystko jedno, kto komu czyta na dobranoc. Porzucił też na dobre rytuał wieczornego błogosławieństwa, który przejęła – co nie znaczy, by doń przywykła – siostra Edna; teraz ona co wieczór życzyła dobrej nocy bajkowym Książętom Maine i „kochanym małym Królom Nowej Anglii”.

Na panią Grogan lektorski głos Melony działał coraz bardziej hipnotyzująco; zaczęła w końcu towarzyszyć Melony na oddział chłopięcy, by tam, razem z małymi nerwuskami, przysłuchiwać się opowieści Dickensa. Melony czytała Dickensa stanowczo zbyt beznamiętnie; parła do przodu nie popełniając błędów, ale też nigdy nie modulując głosu: radość i słońce brzmiały w jej wykonaniu identycznie jak smutek i mgła. Po skupionej minie Melony, pani Grogan poznawała, że dziewczyna analizuje tekst w trakcie czytania, lecz przedmiotem tej analizy nie był bynajmniej Charles Dickens; Melony wyszukiwała w opowieści elementy, które kojarzyły jej się z Homerem Wellsem. Niekiedy, sądząc po malującym się na twarzy napięciu, była o krok od wytropienia miejsca pobytu Homera w Anglii całkiem innego stulecia. (Doktor Larch poinformował Melony, że miejsce aktualnego pobytu Homera to nie jej sprawa.)

To nic, że Melony dławiała swoim wściekłym żalem każdy dowcip Dickensa; nic, że barwne odcienie scenerii i postaci płowiały i szarzały w jej grobowym głosie. „To w ogóle nie brzmi!” – uskarżała się na jej lekturę siostra Edna. Wszystko to nic; ważne, że chłopcy panicznie bali się Melony, a strach sprawiał, że słuchali jej z o wiele większą uwagą niż kiedykolwiek Homera Wellsa. Zainteresowanie literaturą bierze się często spoza samej literatury – pod tym względem oddział chłopięcy sierocińca St. Cloud’s stanowił typową publiczność, motywowaną samolubstwem, wspomnieniami i własną wizją tego, co dociera do niej w słowach (bez większego związku z dziełem Dickensa i lekturą tego dzieła w wydaniu Melony).

Pani Grogan odczuwała wyrzuty sumienia z racji tego, że co wieczór zostawia dziewczynki bez opieki i chodzi do chłopców słuchać, jak Melony czyta *Dawida Copperfielda*. W ramach ekspiacji przyjęła więc nawyk pieczętowania lektury z *Jane Eyre* krótką modlitwą. Modlitwa ta, piękna i przejmująca grozą, osiadała na poplamionych, bladawych w blasku księżyca prześcieradłach i czuło się ją tam jeszcze długo po wyjściu Melony i pani Grogan z sypialni. Nawet Mary Agnes milkła (na chwilę, ale zawsze) wobec modlitwy pani Grogan.

Gdyby pani Grogan wiedziała, że autorem modlitwy jest Anglik, pewnie by jej nie odmawiała – ale nie miała o tym pojęcia: usłyszała modlitwę przez radio, nauczyła się jej na pamięć i odmawiała codziennie przed snem. Modlitwę tę ułożył kardynał Newman. Kiedy Melony zaczęła czytać chłopcom na dobranoc, pani Grogan upowszechniła swój wieczorny pacierz.

– Panie! – modliła się, stojąc w otwartych drzwiach sypialni, w mdłym świetle z korytarza (zniecierpliwiona Melony przestępowała tymczasem z nogi na nogę). – Panie! Wspieraj nas w każdej chwili dnia, aż cienie się wydłużą i nadejdzie wieczór, i ucichnie zgiełkliwy świat, i przeminie gorączka życia, a nasze dzieło będzie ukończone. Wtedy okaż nam łaskę, daj miejsce bezpieczne i święty odpoczynek, i pokój na wieki.

– Amen! – dopowiadała Melony, nawet bez szyderstwa, co bynajmniej nie znaczy, że z nabożną czcią. Wypowiadała „amen” tym samym tonem, którym czytała Charlotte Bronte i Charlesa Dickensa; na dźwięk tego tonu dreszcz przebiegał po krzyżu pani Grogan (choć latnie noce były ciepłe, a nawet parne). Aby dotrzymać tempa Melony zdążającej jak taran ku budynkowi chłopców, pani Grogan musiała dawać dwa kroki za jej jeden. Melony mówiła „amen” tak jak wszystkie inne słowa: głosem bez duszy – myślała pani Grogan, gdy szcękając zębami, kuliła się na krześle nie objętym kręgiem światła, wpatrzona w szerokie plecy Melony, która czytała

chłopcom dalszy ciąg dziejów Dawida Copperfielda. Jakiś rys twarzy pani Grogan, kiedy zauroczona słuchała lektury, musiał dać asumpt plotce (możliwe, że autorstwa Curly'ego Daya), która szybko obiegła oddział chłopców: że pani Grogan nigdy nie chodziła do szkoły, nie umie sama przeczytać nawet gazety i dlatego Melony ma nad nią całkowitą władzę.

Przerażeni malcy kulili się w łózkach, czując, że i nad nimi Melony sprawuje całkowitą władzę.

Siostrę Ednę czytanie Melony tak dalece wyprowadzało z równowagi, że nie mogła się doczekać chwili, w której wygłosi refren o Książętach Maine i Królach Nowej Anglii (choć wciąż go nie rozumiała). Siostra Edna posunęła się wręcz do otwartej sugestii zwolnienia Melony z funkcji lektorki na oddziale chłopców, utrzymując, że po jej wizytach chłopcy mają więcej koszmarnych snów. Siostra Angela nie zgadzała się w tej kwestii z siostrą Edną; twierdziła, że jeśli Melony wprowadza atmosferę napięcia, to właśnie dlatego, że ma jeszcze za mało obowiązków. A w ogóle – wywodziła siostra Angela – wcale nie wiadomo, czy nocne koszmary chłopców rzeczywiście się nasiliły, czy też tylko po wyjeździe Homera (przed miesiącem) siostra Edna i siostra Angela częściej muszą wstawać do malców trapionych nocnymi lękami; dawniej Homer pierwszy słyszał krzyki i zaraz interweniował.

Pani Grogan była zwolenniczką rozszerzenia zakresu obowiązków Melony. Jej zdaniem, dziewczę stało na progu zasadniczej przemiany: albo wzniesie się ponad własne zgorzknienie, albo pogąrzy się w nim doszczętnie. Myśl o wykorzystaniu Melony dla dobra sierocińca podsunęła doktorowi Larchowi siostra Angela.

– To znaczy: mielibyśmy ją jeszcze bardziej wykorzystać? – upewnił się, nie bez uszczypliwości, doktor Larch.

– Jasne! – odparła siostra Angela. Ale doktor Larch nie życzył sobie, by ktokolwiek naśladował styl wypowiedzi Homera Wellsa: zmroził siostrę Angelę takim spojrzeniem, że już nigdy w życiu nie powiedziała Jasne”. Doktorowi nie podobała się również sugestia, że Melony może w jakikolwiek sposób – choćby ogólną użytecznością – zastąpić Homera.

Za Melony wstawiła się, nieoczekiwanie, siostra Edna:

– Gdyby to był chłopiec, Wilburze – zauważyła – już dawno dałbyś mu coś do roboty.

– Szpital łączy się z budynkiem chłopców – odparł przytomnie Larch. – Zrozumiałe więc, że dla chłopców nie jest i nie może być tajemnicą, co się tam dzieje. Co innego dziewczęta.

Argument nie zabrzmiał zbyt mocno.

– Melony doskonale orientuje się w sprawach szpitala – oświadczyła siostra Angela.

Wilbur Larch zrozumiał, że został przyparty do muru. Był poza tym zły na Homera Wellsa; dał mu, to prawda, pozwolenie na jak najdłuższy pobyt poza St. Cloud's, ale nie spodziewał się braku jakiegokolwiek wiadomości od Homera przez sześć tygodni!

– Wątpię, czy stać mnie na dalszą współpracę z młodocianymi. Nie mam dość cierpliwości – skrzywił się Larch.

– Melony, zdaje mi się, skończyła dwadzieścia cztery lata albo nawet dwadzieścia pięć – wtrąciła pani Grogan.

I taka stara baba tkwi jeszcze w sierocińcu? Na jakiej zasadzie? – zdumiał się Larch. Pewnie na takiej samej, na jakiej ja tu stale tkwię – odpowiedział zaraz sam sobie. Kto by chciał tu pracować? Kto by chciał trzymać taką Melony?

– Niech będzie – zdecydował. – Dowiedzmy się najpierw, czy jest zainteresowana propozycją.

Panicznie bał się spotkania z Melony. Nie umiał nie obwiniać jej za odcień goryczy, który skaził w ostatnich latach osobowość Homera, a także za niedawny jego bunt. Larch wiedział, że niesprawiedliwie potępia Melony; odczuwał z tego powodu wyrzuty sumienia. Zaczął odpowiadać na listy.

W stercie korespondencji znalazł długi (niestety, oficjalny) list od Oliwii Worthington oraz czek (opiewający na dość znaczną sumę) z przeznaczeniem na potrzeby sierocińca. Pani Worthington wyrażała zadowolenie z faktu, że jej syn do tego stopnia wzruszył się zbożnym dziełem realizowanym w St. Cloud's, iż uznał za stosowne zaprosić do domu jednego z „chłopców” pana doktora Larcha. Worthingtonowie nie mieli nic przeciwko temu, żeby Homer spędził u nich całe lato. Podczas zbiorów często korzystali z „pomocy uczniowskiej”, a poza tym pani Worthington była zadowolona, że jej syn Wally „ma okazję nawiązać bliższy kontakt z równolatkiem wychowanym w mniej fortunnych okolicznościach”. Oliwia Worthington miała przyjemność w imieniu swoim i małżonka donieść Larchowi, że Homer jest chłopcem przemiłym, dobrze ułożonym i pracowitym, a nadto wywiera „pozytywny, trzeźwiący wpływ na Wally'ego”. Dalej, pani Worthington wyraziła nadzieję, że „Wally, dzięki bliskim kontaktom z Homerem, doceni wartość codziennego wysiłku”, i stwierdziła, że „surowa dyscyplina niewątpliwie wyszła Homerowi na zdrowie” – do takiego wniosku doszła obserwując, jak szybko Homer

chłonie wiedzę o jabłkach: Jakby nawykł do znacznie bardziej wymagających studiów”.

Oliwia informowała doktora Larcha, że Homer życzył sobie, aby wynagrodzenie za jego pracę przesyłane było w formie comiesięcznych darowizn do St. Cloud's, po potrąceniu uczciwie wyliczonych przez panią Worthington kosztów utrzymania Homera u Worthingtonów. Koszty te, jak stwierdziła w liście Oliwia, były minimalne, gdyż Homer dzielił pokój z Wallym, mieścił się w ubrania Wally'ego, a posiłki jadał razem z całą rodziną. Pani Worthington raz jeszcze podkreśliła, jak bardzo jest rada, że syn jej znalazł na lato „prawdziwie męskiego i szlachetnego towarzysza”; aby wyrazić swoją wdzięczność, ona sama pragnie skorzystać z okazji i przyczynić się, w miarę swoich możliwości, do zaspokojenia potrzeb sierot z domu St. Cloud's. „Dzieciaki – tym słowem Oliwia Worthington określała Wally'ego i Candy – donoszą mi, że rozwija Pan tam nadzwyczajną działalność. Bardzo są szczęśliwe, że przypadek zetknął je z Panem.”

Wilbur Larch wywnioskował z tego listu, że Oliwia Worthington nie ma pojęcia, iż o jej jabłonie troszczy się zdolny położnik z praktyką szpitalną. Co do „surowej dyscypliny studiów”, warknął tylko pod nosem, że na nic ona Homerowi w sadownictwie. Zdołał jednak powściągnąć emocje na tyle, aby wystosować do pani Worthington serdeczną, jakkolwiek oficjalną w formie, odpowiedź.

Wyraził w niej podziękowanie za darowiznę oraz radość z tego, że Homer Wells wystawia domowi St. Cloud's i tutejszym metodom wychowawczym pozytywne świadectwo – co najmniej tyle spodziewał się po Homerze (pani Worthington będzie uprzejma przekazać Homerowi te słowa). Napomknął też, że byłoby mu miło, gdyby Homer napisał parę słów. Doktor Larch cieszył się niezmiernie, że Homer znalazł przyjemne i zdrowe zajęcie na powietrzu na całe lato; będzie go, naturalnie, brakowało w St. Cloud's, gdzie zawsze był pomocny, ale oczywiście – podkreślał doktor – najważniejsze jest dobro Homera. Skomplementował następnie Oliwię Worthington za wzorowe maniere i hojność syna, dodając, że zawsze z przyjemnością znów powita „dzieciaki” w St. Cloud's. To był rzeczywiście fortunny zbieg okoliczności, że Candy i Wally „natknęli się przejazdem” na sierociniec.

Tu Wilbur Larch zacisnął zęby i spróbował sobie wyobrazić miejsce, na które trudniej byłoby natknąć się przejazdem niż na St. Cloud's. Po dłuższej chwili wytężonej koncentracji przystąpił wreszcie do tej części listu, której skomponowanie zajęło mu cały miniony miesiąc.

„Jest pewien szczegół dotyczący Homera Wellsa, którym muszę się z Panią podzielić” – napisał Wilbur Larch. „Homer cierpi na wadę serca” – tym razem doktor Larch scharakteryzował rzecz staranniej niż podczas krótkiej rozmowy na ten sam temat z Wallym i Candy. Starał się, zachowując precyzję fachowych sformułowań, uniknąć jednoznacznej diagnozy. Wiedział, że tak właśnie będzie musiał pewnego dnia opisać rzekomą przypadłość samemu Homerowi. List do Oliwii Worthington był niejako rozgrzewką przed rozmową z Homerem. Larch „zasiewał ziarno” (nie cierpiał tego zwrotu, lecz nie mógł się od niego uwolnić od dnia, w którym odziedziczył katalogi nieboszczyka zawiadowcy stacji). Chciał, żeby wszyscy traktowali Homera – jak to się mówi w Maine – „w dziecinnych rękawiczkach”.

Oliwia Worthington napomknęła mu w liście, że Homer pobiera lekcje prowadzenia samochodu u Wally’ego i lekcje pływania u Candy – te ostatnie w podgrzewanym basenie Klubu Haven. Na wieść o tym, że Homer uczy się pływać u tej pannicy, Larch zgrzytnął zębami i zakończył ogólnikowe uwagi na temat Homerowego serca radą: „Niech nie przesadza z pływaniem”.

Doktor Larch nie podzielał opinii Oliwii Worthington, że „każdy chłopiec powinien umieć pływać i prowadzić samochód”. On sam nie posiadał żadnej z tych umiejętności.

„U nas w St. Cloud’s – zanotował, już na własny użytek – niezbędne są umiejętności przyjmowania porodu, rozszerzania szyjki macicy i łyżeczkowania. Gdzie indziej na świecie uczą się pływać i prowadzić samochody!”

List Oliwii Worthington dał do przeczytania siostrze Angeli i siostrze Ednie. Obie solidnie się nad nim spłakały. Stwierdziły zgodnie, że pani Worthington jest „urocza”, „serdeczna” i „inteligentna”. Larcha natomiast zaintrygowało, dlaczego w liście tak skromnie występuje pan Worthington – czyżby coś z nim było nie w porządku? „Ciekawe, czemu żona prowadzi całe gospodarstwo?” – zastanowił się głośno w obecności obu pielęgniarek, na co te zbeształy go zgodnym chórem za skłonność do podejrzeń w sytuacji, kiedy kobieta dyryguje czymkolwiek. I zaraz przypomniały doktorowi, że umówił się na rozmowę z Melony.

Melony od pewnego czasu przygotowywała się psychicznie na spotkanie z doktorem Larchem. W tym celu, leżąc w łóżku, czytała w kółko dedykację, którą własnoręcznie wypisała w skradzionym egzemplarzu *Malej Dorrit*:

HOMEROWI „SŁONECZKO” WELLSOWI

ZA TO, CO MI OBIECAŁ  
LOVE – MELONY

Wielokrotnie usiłowała, przez łzy wściekłości, zacząć czytać tę książkę.

Obraz bezlitosnego, prażącego słońca nad Marsylią oszałamiał i intrygował Melony. W jej własnym życiu brakowało doświadczeń i obrazów dających się porównać ze słońcem tej jasności. A zbieżność ze „słoneczkiem” (przydomkiem, który nadała Homerowi Wellsowi) zakrawała wręcz na szyderstwo losu. Melony raz po raz zaczynała czytać, traciła wątek, zaczynała na nowo – i wściekała się coraz bardziej.

Potem zajrzała do płóciennej torby z przyborami toaletowymi i stwierdziła, że szylkretowa spinka do włosów, którą Mary Agnes podwędziła Candy – i którą Melony zerwała z włosów Mary Agnes i wzięła sobie – znów została skradziona. Melony pomaszerowała wprost do łóżka Mary Agnes Cork i wydobyła elegancką spinkę spod poduszki. Spinka tak czy owak nie dałaby się zapiąć na krótko przyszytych włosach Melony, nawet gdyby Melony wiedziała, jak się nią posłużyć – czego nie była pewna. Wepchnęła odzyskany łup w kieszeń dzinsów; dzinsy były zbyt opięte i spinka dotkliwie piła. Następnie Melony udała się pod prysznic dziewcząt, gdzie Mary Agnes Cork akurat myła włosy, i puściła jej na głowę taki ukrop, że Mary Agnes cudem uniknęła poparzenia. Wskoczyła spod prysznic cała purpurowa i zaczęła się więc z bólu na posadzce. Melony wykręciła jej rękę do tyłu i całym swym ciężarem nastąpiła na ramię Mary Agnes. Nie chciała jej niczego złamać; trzask obojczyka Mary Agnes przepelnił ją obrzydzeniem, więc pospiesznie zeszła z młodszej od siebie dziewczynki, której nagie ciało z purpurowego stało się w jednej chwili białe jak kreda. Mary Agnes została na posadzce w łazience, rozdygotana i jęcząca; bała się poruszyć.

– Ubieraj się, idziemy do szpitala – rozkazała jej Melony. – Coś sobie złamałaś.

Mary Agnes zadrżała spazmatycznie i szepnęła:

– Nie mogę się ruszyć.

– Nie chciałam – powiedziała Melony. – Mówiłam ci, że masz nie grzebać w moich rzeczach.

– Masz za krótkie włosy – odparła Mary Agnes. – I tak nie możesz jej nosić.

– Złamać ci jeszcze coś? – spytała na to Melony.

Mary Agnes chciała zaprzeczyć ruchem głowy, ale to jej się nie udało.

– Nie mogę się ruszyć – powtórzyła, a gdy Melony pochyliła się, żeby jej pomóc, Mary Agnes wrzasnęła dziko: – Nie dotykaj mnie!

– Jak chcesz – wzruszyła ramionami Melony i zostawiła Mary Agnes na posadzce. – Na drugi raz trzymaj łapy z dala od moich rzeczy.

Wychodząc na spotkanie z doktorem Larchem, w hallu budynku dziewcząt natknęła się na panią Grogan i poinformowała ją, że Mary Agnes „coś złamała”. Pani Grogan zrozumiała, że mowa o jakimś sprzęcie – krześle, może łóżku – i niespecjalnie się przejęła wiadomością.

– Jak ci się podoba ta książka, kochanie? – spytała pani Grogan, bo Melony już od kilku tygodni wszędzie nosiła z sobą *Małą Dorrit* (choć nie posunęła się w lekturze poza pierwszą stronę).

– Zaczyna się dość niemrawo – odparła Melony.

Do gabinetu siostry Angeli, gdzie czekał na nią doktor Larch, dotarła nieco zdyszana i spocona.

– Co to za książka? – spytał doktor Larch.

– *Mała Dorrit* Charlesa Dickensa – odpowiedziała wyczerpująco Melony. Siadając poczuła, że spinka wpija jej się w udo.

– Skąd ją masz? – zainteresował się doktor Larch.

– To prezent – wyjaśniła Melony, po części zgodnie z prawdą.

– Miło dostać prezent – zauważył Wilbur Larch.

Melony wzruszyła ramionami.

– Dosyć niemrawo się zaczyna – powiedziała.

Przez chwilę ostrożnie badali się wzrokiem. Larch zdobył się na lekki uśmiech. Melony chciała odpowiedzieć uśmiechem, ale – nie będąc pewna, jak ten grymas wypadnie na jej twarzy – zmieniła zamiar. Poprawiła się tylko na krześle; w zmienionej pozycji szylkretowa spinka w kieszeni trochę mniej uwierała.

– On nie wróci, co? – zagadnęła Melony bez ceregieli, a doktor Larch spojrzał na nią z czujnym respektem, jaki czujemy wobec kogoś, kto czyta nam w myślach.

– Dostał pracę na lato – powiedział. – Oczywiście, mogą się później pojawić następne okazje.

– Na przykład, może iść do szkoły. – Melony wzruszyła ramionami.

– Czego mu szczerze życzę! – ożywił się Larch.

– Pan pewnie chciałby, żeby został lekarzem – zgadła Melony.

Tym razem Larch wzruszył ramionami, czując swoją kolej na demonstrację obojętności.



- To zależy tylko od niego – powiedział.
- Ja kiedyś złamałam komuś rękę – oświadczyła Melony. – Albo może coś w klatce piersiowej, nie wiem.
- W klatce piersiowej? – zaniepokoił się Larch. – Kiedy to było?
- Niedawno – odparła Melony. – Właściwie całkiem niedawno. Nie chciałam.
- Jak do tego doszło? – indagował doktor Larch.
- Wykręciłam jej rękę na plecy, ona leżała na podłodze i nadepnęłam na ramię tej wykręconej ręki – wyjaśniła precyzyjnie Melony.
- Au! – skrzywił się doktor Larch.
- Coś trzasnęło – zakończyła relację Melony. – W ramieniu albo w klatce piersiowej.
- Pewnie obojczyk – domyślił się doktor Larch. Tak mu wynikało z opisu konfiguracji poszkodowanej.
- Nie mam pojęcia, co to było. Usłyszałam trzask – powiedziała Melony.
- No i jak się wtedy poczułaś? – spytał Wilbur Larch.
- Bo ja wiem? – wzruszyła ramionami Melony. – Trochę mnie zemdlilo, ale poczułam, że mam siłę, i to było przyjemne.
- Nie chciałabyś mieć więcej do roboty? – spytał Larch.
- Tutaj? – upewniła się Melony.
- Owszem, tutaj. Mógłbym ci znaleźć wiele zajęć, bardzo ważnych zajęć. Naturalnie, jeżeli wolisz, mogę popytać o pracę dla ciebie... na zewnątrz. Daleko stąd.
- To znaczy: albo się wyniosę, albo będę zasuwać, tak?
- Nic podobnego – zaprotestował Larch. – Nie chcę cię do niczego zmuszać. Powiedziałaś mi kiedyś, że nie chcesz stąd odejść, i nigdy cię nie będę do tego nakłaniał. Po prostu wydawało mi się, że szukasz jakiejś odmiany.
- Moje czytanie się panu nie podoba, tak? – atakowała dalej Melony.
- Nie! – Larch zaczynał mieć dość tej rozmowy. – Chcę, żebyś dalej czytała dzieciom na dobranoc. Ale mogłabyś robić coś więcej.
- Na przykład to, co robił Homer Wells?
- Homer bardzo dużo się uczył – odparł z naciskiem doktor Larch. – A ty mogłabyś asystować w zabiegach siostrze Angeli i siostrze Ednie; no i mnie też. Może na początek chciałabyś się poprzyglądać temu, co robimy – żeby się zorientować, czy to ci się podoba.
- Mnie się od tego chce rzygać – wyznała z prostotą Melony.

– Więc masz obiekcje? – spytał Larch. Melony najwyraźniej nie zrozumiała pytania.

– Co? – zdumiała się.

– Uważasz, że nie powinniśmy przeprowadzać aborcji, tak? Potępiasz przerywanie ciąży, sztuczne poronienie? – rozwinął pytanie Larch.

Melony skrzywiła się i wzruszyła ramionami.

– Etam. Po prostu rzygać mi się chce, jak na to patrzę. Poród, blee – beknęła nieprzyzwoicie. – Albo rozkrawanie babie brzucha, żeby wyciągnąć dzieciaka – bleee.

Larch poczuł się zbity z pantałyku.

– To znaczy, że nie widzisz w tym nic złego? – upewnił się.

– A co w tym złego? – zdziwiła się Melony. – Obrzydliwe i tyle; krew sika, różne świństwa leją się z człowieka – można się porzygać. I ten smród wszędzie – dodała z myślą o szpitalnym zapachu, łączącym woń eteru z wonią skrzepłej krwi.

Wilbur Larch patrzył w zdumieniu na Melony i myślał: Ona jest wielkim dzieckiem! Oseskiem w skórze łotra!

– Nie chcę pracować w szpitalu – podsumowała krótko Melony. – Jak mam więcej pracować, żeby odrobić za jedzenie, to wolę grabić liście albo coś w tym rodzaju.

– Nie chodzi o żadne odpracowanie, Melony – spróbował jej wyjaśnić doktor Larch. – Chciałbym po prostu, żebyś była szczęśliwsza.

Widząc, jak bardzo dziewczyna jest zaniedbana, Larch sam poczuł się głęboko nieszczęśliwy.

– Szczęśliwsza! – Melony aż podskoczyła na krześle, przy czym spinka dźgnęła ją boleśnie w nogę. – Albo pan głupi, albo zwariował!

Larch nie oburzył się na to: pokiwał tylko głową, rozważając obydwie możliwości.

Z korytarza dobiegło ich wołanie pani Grogan:

– Panie doktorze! Panie doktorze Larch! – a po chwili: – Wilburze? – Ten ostatni okrzyk przyprawił o zimny dreszczyk siostrę Ednę, która w cichości serca uważała, że ma monopol na imię Larcha. – Mary Agnes złamała rękę!

Larch spojrział w oczy Melony. Melony po raz pierwszy się uśmiechnęła.

– Powiedziałaś, że kiedy to się stało? „Niedawno”? – spytał doktor Larch.

– Powiedziałam: „właściwie całkiem niedawno” – przypomniała mu Melony.

Larch udał się do pokoju zabiegowego, gdzie zbadał obojczyk Mary Agnes, stwierdził złamanie i polecił siostrze Angeli przygotować małą do prześwietlenia.

– Poślizgnęłam się pod prysznicem – jęknęła Mary Agnes. – Tam jest okropnie ślisko.

– Melony! – krzyknął doktor Larch w głąb korytarza. – Chodź, zobacz, jak się nastawia złamany obojczyk!

Melony weszła do pokoju zabiegowego, w którym i bez niej panował znaczny tłok, stały tam bowiem siostra Edna i pani Grogan, a siostra Angela wyprowadzała właśnie Mary Agnes do rentgena. Patrząc na zgromadzony personel, doktor Larch uprzytomnił sobie nagle, jak staro i słabowicie prezentują się wszyscy czworo (z nim łącznie) wobec Melony.

– Chciałabyś pomóc przy nastawianiu obojczyka, Melony? – zwrócił się Larch do krzepkiej, młodej niewiasty, górującej nad resztą zebranych.

– Nie – odparła krótko Melony. – Mam co robić. – Wojowniczo potrząsnęła *Małą Dorrit*. – Muszę spojrzeć na te kawałki, które mam im wieczorem czytać – odparła.

I oddaliła się na oddział dziewczęcy, do swojego okna. A doktor Larch wziął się do nastawiania obojczyka Mary Agnes. Melony po raz nie wiadomo który usiłowała sobie wyobrazić żar słońca w Marsylii.

– „Nawet pył uliczny zetlał na brąz – czytała półgłosem – i wszystko drgało przed oczami, jakby samo powietrze dyszało z gorąca.” Och, Słoneczko – pomyślała z wyrzutem Melony. – Dlaczego ty mnie nigdy nigdzie nie zabrałeś? Niekoniecznie zaraz do Francji. Chociaż do Francji byłoby nieźle, oczywiście.

Ponieważ czytała i marzyła jednocześnie, przegapiła moment, w którym przestała być mowa o „kosmicznym oku” słońca nad Marsylią, a zaczął się opis więzienia w tymże mieście. Melony nagle ocknęła się w więzieniu. „Wszystko nosiło tam więzienne piętno...” – przeczytała.

– „Jak studnia, jak loch, jak grobowiec, tak i więzienie nie wiedziało nic o istnieniu zewnętrznej jasności...” Melony przerwała lekturę. Zostawiła *Małą Dorrit* na swojej poduszce. Następnie zdjęła poszewkę z poduszki łóżka porządniejszego niż jej własne i do tej poszewki wpakowała płócienny worek z przyborami toaletowymi i trochę ubrań. Na koniec dołożyła *Jane Eyre*.

W raczej spartańsko urządzonego pokoju pani Grogan bez trudu zlokalizowała portmonetkę. Ukradła wszystko co do grosza (fakt, że nie było tego dużo). Wzięła też grube, zimowe palto pani Grogan (póki lato, mogło się przydać do spania na ziemi). Pani Grogan nie wróciła jeszcze ze szpitala, gdzie martwiła się obojczykiem Mary Agnes Cork. Melony nawet chciała pożegnać się z panią Grogan (fakt, że ją okradła,

nie miał z tym w rozumieniu Melony nic wspólnego), ale знаła na pamięć – a właściwie ze słuchu – rozkład jazdy pociągów, bo każdy gwizd obwieszczający wjazd i wyjazd lokomotywy docierał do jej okna.

Na stacji Melony kupiła bilet tylko do Livermore Falls, wiedząc, że nawet nowy zawiadowca, chociaż młody i głupi, zapamięta – a więc i powie doktorowi Larchowi i pani Grogan – że Melony pojechała do Livermore Falls. Ona tymczasem kupi u konduktora bilet do stacji znacznie dalszej niż Livermore Falls. Ciekawe, czy mi starczy forsy na dojazd do Portland? – zastanawiała się. Doszła bowiem do wniosku, że musi szukać na wybrzeżu, skoro pod złotym monogramem na tle czerwonego jabłka, widniejącym na drzwiach cadillaca, wypisano (również złotym koiolem) na wściekle zielonym listku tę oto nazwę: SADY Z WIDOKIEM NA OCEAN. Więc to musiało być gdzieś na wybrzeżu. W dodatku cadillac miał tablice rejestracyjne stanu Maine. Melony nie dbała o to, że linia brzegowa stanu Maine ciągnie się na kilka tysięcy kilometrów. Gdy pociąg ruszył ze stacji St. Cloud's, Melony przemówiła do siebie, tak dobitnie, że zachuchała spory fragment okna wagonu, przesłaniając sobie widok opuszczonych domów tej zabitej deskami dziury:

– Już ja cię znajdę, Słoneczko!

Doktor Larch bezskutecznie pocieszał panią Grogan, która nie mogła odżałować, że miała w portmonetce tak mało pieniędzy.

– A ten płaszcz nawet nie jest impregnowany! – biadoliła. – W tej okolicy przydałby jej się solidny płaszcz od deszczu.

Doktor Larch argumentował, że Melony nie jest już małą dziewczynką.

– Ma dwadzieścia cztery lata albo i dwadzieścia pięć – przypomniał zrozpaczonej wychowawczyni jej własne słowa.

– Wydaje mi się, że ona ma złamane serce – rzekła niepocieszona pani Grogan.

Doktor Larch zwrócił jej uwagę na fakt, że Melony zabrała z sobą *Jane Eyre*, a więc gdziekolwiek podąży, nie pozostanie bez wskazówki moralnej, bez miłości i bez wiary. Wzięła dobrą książkę na drogę – uznał doktor Larch. – Żeby tylko chciała ją często czytać; najlepiej bez przerwy.

Oboje – pani Grogan i doktor Larch – stanęli zaintrygowani wobec książki, którą Melony porzuciła na poduszce. Przeczytali dedykację skierowaną do Homera „Słoneczko” Wellsa, przy czym pani Grogan głęboko się wzruszyła.

Żadne z nich nigdy nie doczytało do końca *Małej Dorrit*. Pani Grogan nie dotarła nawet do „podłego” więzienia, tak ją osłepiło i zniewoliło bezlitosne słońce Marsylii. Doktor Larch, zmuszony nieobecnością Homera Wellsa i Melony do wznowienia roli wieczornego lektora na oddziałach chłopięcym i dziewczęcym, podjął nawet próbę czytania dziewczynkom *Małej Dorrit* – w końcu, bohaterka powieści była dziewczynką – jednak kontrast między żarem marsyńskiego słońca a ponurą stęchlizną marsyńskiego więzienia przyprawiał wychowanki o zbiorową bezsenność, więc doktor z ulgą poniechał tej lektury na Rozdziale Trzecim, noszącym wielce niestosowny dla sierot tytuł: „Dom”. Zaczynał się od opisu Londynu w niedzielny wieczór, rozbrzmiewający złowieszczym dźwiękiem kościelnych dzwonów.

– „Melancholijne ulice, w pokutnych opończach sadzy” – tu doktor Larch przerwał czytanie. Dość mamy własnej melancholii – zdecydował.

– Może lepiej poczekamy na *Jane Eyre*? – zaproponował, na co małe słuchaczki z entuzjazmem pokiwały głowami.

Pewien, że piękny młodzian z twarzą dobroczyńcy musi mieć matkę o sercu skorym do czynienia dobra wobec tych, którym przyszło żyć w (jak to sama ujęła) „mniej fortunnych okolicznościach”, doktor Larch wystosował taki oto list do Oliwii Worthington:

„Wielce Szanowna Pani Worthington!

U nas w St. Cloud’s wielce sobie cenimy nieliczne dostępne nam luksusy i mamy nadzieję (modlimy się o to), że nie będziemy ich pozbawieni. Zechce pani uprzejmie powiadomić Homera, że jego koleżanka Melony – której aktualnego miejsca pobytu nie znamy – opuściła nas, zabierając jedyny egzemplarz *Jane Eyre*. Sieroty z oddziału dziewczęcego przywykły do wieczornej lektury tej powieści – którą, nawiasem mówiąc, czytywał im Homer. Gdyby Homer mógł zdobyć dla nas egzemplarz zastępczy, dziewczynki i ja osobiście bylibyśmy mu wielce zobowiązani. Gdzie indziej w świecie istnieją księgarnie...”

Tym sposobem Wilbur Larch – jak najbardziej świadomie – załatwił dwie sprawy: Oliwia Worthington (był tego pewien) przyśle mu nowy egzemplarz *Jane Eyre* (i to raczej nie z drugiej ręki), a Homer uzyska ważną informację o tym, że Melony wyrwała się na wolność i grasuje po świecie. Larch spodziewał się, że wiedząc o tym, Homer będzie się miał na baczności.

Siostra Edna przeczytała dedykację Melony w *Małej Dorrit* i spłakała się jak bóbr. Edna nie była wielką czytelniczką; nie posunęła się w lekturze poza dedykację. Siostra Angela, która już wcześniej uznała się za pokonaną przez Dickensa, tylko raz zmrużyła oczy przed marsylskim słońcem i nie odwróciła pierwszej strony.

Nie przeczytana lektura Candy leżała odtąd latami w gabinecie siostry Angeli; czasami brali ją do ręki zdenerwowani kandydaci na rodziców, oczekujący na rozmowę z doktorem Larchem – przerzucali *Małą Dorrit* nie inaczej niż się przerzuca pisma w poczekalni: mimo woli, nieuważnie. Larch rzadko kazał im czekać dłużej, niż trwał pierwszy oślepiający atak słońca na Marsylię. Zresztą, większość petentów i tak wolała przeglądać stare katalogi, prezentujące nasiona, sprzęt wędkarski i nedorzeczną bieliznę, demonstrowaną na staroświeckich, okrojonych z głów i kończyn manekinach.

„Gdzie indziej na świecie wymyślili już biustonosze dla matek karmiących” – zanotował doktor Larch. Obserwacja ta nie doprowadziła go jednak do żadnych wniosków i legła bez kontekstu w gąszczu stron *Krótkiej historii St. Cloud’s*.

*Mała Dorrit* wydawała się skazana na nieprzeczytanie. Nawet Candy, która kupiła sobie nowy egzemplarz (i często zastanawiała się, gdzie też mógł przepaść stary), nie miała nigdy doczytać powieści, chociaż była to jej lektura obowiązkowa. Jej również nie udało się przebrnąć przez początkowy atak słońca na wszystkie zmysły; podejrzewała, że problem bierze się stąd, że książka nazbyt jej przypomina o kłopotach, z którym jechała w długą drogę do St. Cloud’s i z powrotem – i o tym, co spotkało ją w St. Cloud’s.

Zwłaszcza podróż powrotna utkwiała mocno w pamięci Candy; jechała wyciągnięta na tylnym siedzeniu, widząc przed sobą w ciemności tylko oświetloną deskę rozdzielczą cadillaca i ognek papierosa Wally’ego. Opony komfortowej limuzyny szumiały kojąco w kontakcie z asfaltem szosy. Candy była wdzięczna losowi za obecność Homera, dzięki której nie musiała rozmawiać z Wallym ani nawet go słuchać. Nie słyszała nawet, o czym mówili z sobą Wally i Homer. „O życiu” – zdradził jej Wally w jakiś czas później. „Ten mały swoje przeżył, wierz mi, ale lepiej będzie, jak ci to kiedyś sam opowie.”

Ich rozmowa płynęła gładko i rytmicznie jak szum opon – a mimo to Candy, chociaż bardzo zmęczona, nie usnęła. Niepokoiła się, czy nie za bardzo krwawi. Po drodze trzykrotnie poprosiła Wally’ego o zatrzymanie samochodu; za każdym razem skontrolowała krwawienie i zmieniła podkład. Doktor Larch wyposażył ją w solidny zapas podpasek, ale Candy nie była pewna, czy wystarczy ich do końca podróży. Poza

tym, nie wiedziała, co to właściwie znaczy „nadmierne krwawienie”. Zerknęła na tył głowy Homera. Jeżeli jutro albo pojutrze krwawienie się nasili, pomyślała, trzeba będzie się jego poradzić.

Na którymś postoju Wally udał się do toalety, zostawiając ich dwoje w samochodzie. Homer, nie odwracając głowy, przemówił do Candy:

– Przypuszczam, że odczuwa pani ból, mniej więcej taki sam jak podczas normalnego okresu – rzekł. – I zapewne krwawi pani, ale mniej niż w najobfitszych dniach miesiączki. Dopóki plamy na podkładzie nie przekraczają pięciu, siedmiu centymetrów średnicy, nie ma powodu do obaw. To w normie.

– Dziękuję – szepnęła Candy.

– Krwawienie powinno się jutro nieco zmniejszyć, a pojutrze – znacznie. Gdyby coś panią zaniepokoiło, proszę dać znać – poradził Homer.

– Dobrze – zgodziła się Candy. Było jej trochę dziwnie, że chłopak – rówieśnik – tyle o niej wie.

– Nigdy w życiu nie widziałem homara – zmienił temat Homer Wells, chcąc oddać inicjatywę Candy.

– To znaczy, że go pan nie jadł – rozpogodziła się Candy.

– Nigdy nie jadam tego, czego nie widzę – odparł sentencjonalnie Homer, na co Candy wybuchnęła śmiechem. Śmiała się głośno, kiedy Wally wrócił do samochodu.

– Rozmawialiśmy o homarach – wyjaśnił Homer Wells.

– Homary są niesamowicie śmieszne – powiedział Wally. Roześmieli się wszyscy troje.

– Sam pan się przekona! – zapewniła Homera Candy. – On nigdy w życiu nie widział homara – powiedziała Wally’emu.

– Z wyglądu są jeszcze śmieszniejsze – oświadczył Wally z udaną powagą. Candy poczuła nagle, że śmiech jej szkodzi – zabolą ją, więc przestała chichotać, ale Homer zaśmiewał się jeszcze dłuższą chwilę. – A najśmieszniejsze są, jak próbują mówić – ciągnął dowcip Wally. – Jak taki homar się odezwie... powiadam ci, bracie, można skonać.

Kiedy Wally i Homer wreszcie przestali krztusić się ze śmiechu, Homer powiedział:

– Wiesz co? Ja nigdy nie widziałem morza.

– Słyszałaś, Candy? – zdumiał się Wally, ale Candy, rozładowawszy napięcie kilkoma salwami śmiechu, usnęła głęboko. – Nigdy nie widziałeś oceanu? Naprawdę?

- Naprawdę – powiedział Homer Wells.
- To nic śmiesznego – zauważył poważnie Wally.
- Racja – zgodził się z nim Homer.

Po dłuższej chwili milczenia Wally zagadnął Homera:

- Masz chęć poprowadzić?
- Nie umiem – odparł Homer.

– Naprawdę? – zdziwił się ponownie Wally. Znów ujechali kawałek w milczeniu. Zbliżała się północ, kiedy Wally zapytał Homera: – Ehem... byłeś kiedyś z dziewczyną, to znaczy, no wiesz, w łóżku?

Nie doczekał się odpowiedzi, bo Homer Wells też rozładował emocje w głośnym śmiechu z nowymi przyjaciółmi; młody weteran bezsenności spał oto jak suseł. Ciekawe, czy Wally zdumiałby się również na wieść o tym, że Homer nigdy przedtem nie śmiał się głośno z przyjaciółmi. A co do pytania, które zawisło w powietrzu bez odpowiedzi – wątpliwe, czy Homer zaliczyłby swoją zażyłość z Melony do gatunku „łóżkowych”.

Wspólny śmiech w zacisznym mroku pędzącego samochodu natchnął Homera nieznanym poczuciem bezpieczeństwa, a sama jazda autem była jak wcielenie wolności. Kabriolet sunął bez najmniejszego wysiłku, zachwycając tym Homera, któremu pokonywanie przestrzeni (a co za tym idzie, wszelka zmiana) kojarzyło się dotąd z niecodziennością wymagającą nie lada wysiłku.

- Candy? – szepnęła Wally; a nieco później: – Homerze?

Nawet przyjemnie mu było w roli anioła stróża tych dwojga; wiódł ich bezpiecznie przez czarny, nocny świat i chronił przed wszystkim, co mogło czyhać poza kręgiem światła reflektorów.

- No, stary – przemówił półgłosem do śpiącego Homera Wellsa.
- Najwyższy czas, żebyś użył trochę życia.

W blisko miesiąc później, Wilbur Larch – który nie doczekał się jeszcze listu od Homera, a honor nie pozwalał mu napisać pierwszemu – z dezaprobatą rozmyślał o Homerowym „używaniu życia”. Lekcje pływania – coś podobnego! – oburzał się w duchu. – Ciekawe, jaki strój obowiązuje na lekcjach pływania? I co to znaczy „podgrzewany basen” – jak bardzo go podgrzewają?

W roku 194- basen pływacki Klubu Haven był pierwszym podgrzewanym basenem w stanie Maine. Raymond Kendall – jakkolwiek był zdania, że głupotą jest grzać wodę do celów innych niż gotowanie i mycie – wymyślił i zainstalował system



podgrzewania basenu w Klubie Haven. Potraktował to jako ciekawe zadanie z mechaniki.

– Pływać się trzeba uczyć w oceanie – pouczał Homera Ray Kendall. – Tylko wtedy ciało wykształci w sobie prawidłową reakcję na kontakt z wodą.

– Przecież ty sam nie umiesz pływać, tatusiu – zwróciła mu uwagę Candy.

– I o to właśnie chodzi! – Ray puścił oko do Homera Wellsa. – Wystarczy raz zamoczyć nogę w oceanie albo wpaść do wody, żeby, jak każe zdrowy rozsądek, nie zrobić tego nigdy więcej: o wiele za zimno!

Homer z miejsca polubił ojca Candy – może dlatego, że chirurgia jest mechaniką medycyny, a pierwszy trening zawodowy pobierał Homer właśnie w dziedzinie chirurgii. Szybko zaznajomił się z maszynami, które obsługiwał Ray Kendall – zarówno tymi z sadu, rolniczymi, jak i tymi, które służyły do połowu homarów i utrzymywania ich przy życiu w niewoli.

Wbrew zapowiedziom Wally'ego, homary nie wydały się Homerowi na pierwszy rzut oka jakoś szczególnie śmieszne. Tłoczyły się w zbiorniku wyznaczonym im przez Raya Kendalla, włączając jedne na drugie i zaciskając kleszcze, widoczne pod wodą jak nieprzydatne do niczego kikuty. Patrząc na nie, Homer odkrył pierwszy ważki powód, dla którego warto nauczyć się pływać: za nic w świecie nie chciałby znaleźć się na dnie, gdzie te stworzenia żyły na wolności. Minęło sporo czasu, nim Homer dowiedział się, że homary nie tłoczą się na dnie oceanu tak jak na dnie zbiornika Raya Kendalla. Pierwsze pytanie, jakie mu się nasunęło w związku z homarami, nie dotyczyło ich sposobu odżywiania się czy rozmnażania, lecz kwestii podstawowej – po co te stworzenia w ogóle żyją?

– Ktoś musi w morzu zbierać odpadki – podpowiedział mu wyjaśnienie Ray Kendall.

– To są śmieciarze dna oceanu! – roześmiał się Wally, który zawsze się śmiał mówiąc o homarach.

– Mewa sprząta brzeg, homar sprząta dno – podsumował Ray Kendall.

– Homary i mewy zbierają po nas resztki – dodała Candy.

Wilbur Larch zauważyłby w tym miejscu, że w takim razie homary i mewy niczym się nie różnią od sierot. Tak samo pomyślał sobie Homer Wells, który po pewnym czasie stwierdził, że potrafi długo i z obrzydzeniem obserwować homary i równie długo, ale z zachwytem, mewy – wobec jednych i drugich odczuwając równy szacunek, pomieszany z nabożnym lękiem.

Po latach, jako pierwsza dumna właścicielka odbiornika telewizyjnego w Heart's Rock, Oliwia Worthington wygłosiła spostrzeżenie, że Homer Wells jest jedynym człowiekiem na świecie, który potrafi przysunąć sobie krzesło w pobliżu zbiornika z homarami i gapić się na nie, Jakby oglądał wiadomości w telewizji”.

Co niedziela Homer pomagał ojcu Candy ściągać saki z homarami – nie dla pieniędzy, lecz dla samej przyjemności przebywania na wodzie i w pobliżu Raya. Pozostałe sześć dni pracował w sadzie razem z Wallym. Ocean widać było tylko z jednego z kilku sadów Z Widokiem Na Ocean, ale obecność morza czuło się wszędzie, zwłaszcza wczesnym rankiem, we mgle, gdy morska bryza odświeżała letni skwar – a także dzięki mewom, krążącym z dala od brzegu i częstokroć przysiadającym na drzewach. Mewy wołały czarne jagody od jabłek, ale i tak denerwowały Oliwię Worthington, która od dzieciństwa spędzonego wśród skorupiaków nie miała serca do tej skrzekliwej czeredy i ustawicznie walczyła z mewami o niewielkie poletko ogrodowych jagód. Nawet sieci rozpięte nad całą uprawą niewiele dawały, gdyż sprytnie mewy i wrony nauczyły się wlaźić pod spód po ziemi.

Sieroty – zauważył filozoficznie Homer Wells – wyżej cenią mewę od wrony; nie ze względu na inteligencję i charakter, lecz z racji wolności, którą mewa tak manifestacyjnie się cieszy. Właśnie patrząc na mewy, Homer Wells uświadomił sobie po raz pierwszy, że jest wolny.

Wilbur Larch wiedział, że wolność to najniebezpieczniejsza iluzja, jakiej ulegają sieroty. Kiedy wreszcie otrzymał list od Homera, poczuł się rozczarowany oficjalnością tonu i brakiem szczegółów. Co do iluzji – list Homera nie dawał żadnych dowodów.

„Uczę się pływać” – donosił w liście Homer Wells. (Wiem, wiem! Proszę o szczegóły! – jęknął w duchu Wilbur Larch.) „Lepiej mi idzie nauka prowadzenia samochodu” – dodał Homer samokrytycznie.

„Pani Worthington jest bardzo sympatyczna.” (Tego się mogłem domyślić! – skrzywił się Wilbur Larch.) „O jabłkach wie wszystko.”

„Ojciec Candy też jest bardzo sympatyczny” – pisał dalej Homer Wells. „Zabiera mnie łodzią na połów homarów i uczy mnie budowy i zasad pracy silnika.” (Czy wsiadając na łódź wkładasz kamizelkę ratunkową? – zaniepokoił się Wilbur Larch. Uważasz, że silnik to coś nadzwyczajnego? Ja cię mogłem nauczyć, jak pracuje serce! – kiedy tak myślał, jego własne serce uczyło go czegoś nowego, nie związanego z pracą mięśnia.)

„Candy i Wally są wspaniali!” – informował go dalej Homer Wells. „Wszędzie jeździmy we trójkę. Mieszkam z Wallym w jego pokoju. Noszę jego ubrania. Świetnie się składa, że mamy ten sam rozmiar – chociaż Wally jest silniejszy ode mnie. Candy i Wally chcą się w przyszłości pobrać i mieć dużo dzieci.” (Opowiedz mi coś więcej o lekcjach pływania – domagał się w duchu Wilbur Larch. – Uważaj na te lekcje pływania!)

„Biedny pan Worthington, wszyscy go nazywają Senior...” – pisał Homer. (Aha! – pomyślał Wilbur Larch. Więc nie wszystko układa się idealnie. Czemuż to pan Worthington taki „biedny”?)

Doktor Larch spytał siostrę Angelę i siostrę Ednę, co sądzą o imieniu „Senior”. Zgodziły się, że brzmi dziwnie.

– Dla mnie brzmi głupio – zawyrokował Wilbur Larch.

Siostra Angela i siostra Edna wytknęły mu niekonsekwencję w postępowaniu: przecież Homer wyjechał z jego błogosławieństwem, więcej nawet – za jego namową. Owszem, mógł nie ociążać się z napisaniem listu sześć tygodni, ale – twierdziły zgodnie – zwłoka ta tylko dowodzi, że chłopiec jest szczęśliwy, a na dodatek zajęty – i z tego powodu, że zajęty, również szczęśliwy. Poza tym – pytały – gdzie Homer Wells miał nabrać wprawy w pisaniu listów, czy też w pisaniu czegokolwiek?

– Ty, Wilburze, chciałbyś z niego zrobić lekarza – powiedziała siostra Edna – ale to jego życie, niech sam wybiera.

– A może ma, tak jak pan, zostać pisarzem? – spytała kąśliwie siostra Angela.

– I nigdy się nie ożenić? – dorzuciła siostra Edna z jakąś niepokojącą nutką w głosie.

Ja chcę tylko, żeby był użyteczny – pomyślał z wielkim znużeniem Wilbur Larch. I żeby był przy mnie – co do tego życzenia, wiedział, że nie jest fair. Położył się w pokoju zabiegowym, żeby odpocząć od upału. Szkło i chromowana stal sprzętów tchnęły chłodem; wilgoć sprawiała, że eter ulatniał się bardzo powoli. Dzięki temu eterowe odloty doktora trwały ostatnio dłużej i unosiły go dalej niż zwykle. Gdy wylaniał się spod władzy eteru, miał wrażenie, że idzie mu to oporniej niż kiedyś. Starzeję się – powtarzał sobie za każdym razem.

Pani Worthington przysłała piękny, nowiutki egzemplarz *Jane Eyre*. Wilbur Larch odczo podjął lekturę – po dłuższej przerwie powieść wydała mu się orzeźwiająca. Dzięki niej bardziej optymistycznie spojrzął na smętne zakończenie *Wielkich nadziei*. (Nie przekonywało go zapewnienie autora o tym, że Pip i Estella żyli potem długo i szczęśliwie – nie wierzył, żeby komukolwiek mogło się to udać.)

Stopniowo korespondencja między Wilburem Larchem a Homerem Wellsem nabrała osobliwego charakteru. Homer, nie wdając się w szczegóły, przekazywał w listach ogólny obraz życia w Heart's Rock i Heart's Haven – prezentował Larchowi migawki rzeczywistości, jak dalekie mgnienia oceanu, dające się dostrzec z jedyne go sadu Z Widokiem, skąd czasami, troszeczkę, widać było morze. Raz na tydzień lub dwa przysyłał list na jedną, góra dwie stronicie. Na ten skromniutki sygnał doktor Larch odpowiadał za każdym razem symfonią słowa pisanego, złożoną z pytań (na które nigdy nie uzyskiwał odpowiedzi) o szczegóły informacji zawartych w ostatnim liście Homera oraz drobiazgowego sprawozdania z ponurej codzienności St. Cloud's. Ten sam doktor Larch, który wzdragał się na plotkarstwo Snowy'ego Meadowsa i jego nachalne zabiegi o „utrzymanie kontaktu z sierocińcem”, sam tworzył teraz w listach do Homera Wellsa regularny biuletyn absolwentów, wzbogacony o kalendarium wydarzeń bieżących w szpitalu i w sierocińcu. Listy Wilbura Larcha do Homera Wellsa przerastały najdłuższe rozdziały *Krótkiej historii St. Cloud's*, wysyłane zaś były nazajutrz po nadejściu pocztą najkrótszej choćby wiadomości od Homera.

– Nie dziw się, że Homer nie dotrzymuje ci kroku w wymianie korespondencji, Wilburze – napomniała go delikatnie siostra Edna.

– Nie sądzi pan chyba, że Homer zechce z panem współzawodniczyć? – spytała retorycznie siostra Angela.

– Ciekawi mnie, co to właściwie jest, cholera, z tym Seniosem Worthingtonem – powiedział doktor Larch.

– Homer twierdzi, że to alkoholik, Wilburze – przypomniała mu siostra Edna.

– Więc co pana jeszcze ciekawi? Gatunek gorzały? – dodała, jak zwykle uszczypliwie, siostra Angela.

A Wilbur Larch ciekaw był wyników profesjonalnej klinicznej analizy przypadku, której zasady – miał nadzieję – dostatecznie mocno wpoił Homerowi. Chodziło mu o precyzyjny opis symptomów, pozwalający postawić diagnozę o zaawansowaniu nałogu według kryteriów: faza początkowa, średnio zaawansowana, zaawansowana. Czy facet poprzestaje na robieniu z siebie pajaca na przyjęciach, czy też mamy do czynienia z ciężkim, chronicznym przypadkiem? – ciekaw był Wilbur Larch.

Homer Wells, który nigdy przedtem nie widział pijaka, dał się z początku zwieść pozorom w jeszcze większym stopniu niż najbliższa rodzina Seniora Worthingtona; przyjął do wiadomości, że postępujące negatywne zmiany w usposobieniu Seniora mają bezpośredni związek z alkoholem. Senior – zawsze

lubiany w Heart's Rock i Heart's Haven za dobroć i życzliwość – stał się niecierpliwy, kłótniwy, a bywało, że i agresywny. Po incydencie z tortem pistacjowym Oliwia zabroniła Seniorowi bywać w Klubie Haven bez niej; Senior cisnął bowiem rzezonym tortem w pierś sympatycznego bramkarza strzegącego wejścia do Klubu i trzeba go było siłą powstrzymać przed dalszym atakiem; potem zaś resztkę bladozielonego kremu usiłował rozmazać na pupie grzecznej, młodej kelnereczki.

– Popisywał się – tłumaczył Senior Oliwii motyw ataku na bramkarza. – Tak bezczelnie stał!

– No dobrze, a kelnerka? – spytała Oliwia. Senior nie umiał na to odpowiedzieć i rozpląkał się.

– Pomyliłem się, myślałem, że to ktoś inny – buczał żałośnie.

Oliwia zabrała go do domu, Wally przeprosił kelnerkę, a Candy użyła całego swego czaru, aby udobruchać bramkarza.

Potem Senior zaczął się gubić w drodze samochodem do miejsc, które rzadziej odwiedzał. Oliwia zabroniła mu korzystać z wozu bez asysty Wally'ego lub Homera. Jeszcze później przestał trafiać do miejsc od dawna doskonale mu znanych; Homer musiał go kiedyś eskortować od domu Raya Kendalla do Sadów Z Widokiem i chociaż słabo jeszcze znał skromną sieć dróg łączących sady Worthingtonów z wybrzeżem, domyślił się, że Senior skręcił w niewłaściwą stronę.

Senior zaczął popełniać groźne błędy w obsłudze skomplikowanych mechanizmów. Czyszcząc gaźnik cadillaca (Ray Kendall wielokrotnie demonstrował mu tę prostą czynność), Senior wciągnął do płuc trujący gaz i popiół, ponieważ zamiast dmuchnąć, wessał powietrze przez rurkę gaźnika.

Pamięć krótka Seniora tak mocno szwankowała, że potrafił godzinę krążyć po własnym pokoju i nie ubrać się do końca. Ustawicznie mylił szufladę ze swoimi skarpetkami z szufladą zawierającą bieliznę Oliwii. Któregoś ranka te pomyłki tak go rozzłościły, że zszedł na śniadanie w dwóch biustonoszach ciasno owiniętych wokół stóp. Zwykle miło usposobiony wobec Homera i czuły dla Wally'ego i Oliwii, tego ranka z krzykiem oskarżył syna o przywłaszczenie sobie ojcowskich skarpetek i noszenie ich bez pozwolenia; Oliwii natomiast dostało się za samowolne przekształcenie jego domu w przytułek dla podrzutków.

– O wiele lepiej będzie ci w St. Cloud's niż w tej jaskini złodziei! – zwrócił się Senior do Homera.

To rzekłszy, zalał się łzami i jął błagać Homera o wybaczenie. Oparł głowę na ramieniu Homera i szlochał:

– Mój mózg sączy truciznę do mojego serca!

Homer po raz pierwszy pomyślał wtedy, jakie to dziwne: Senior Worthington zwykle nie brał kieliszka do ust przed nastaniem wieczoru, a mimo to bez przerwy wydawał się pijany.

Czasami bywało tak, że Senior nie pił przez trzy dni z rzędu i wówczas przytomną częścią umysłu był w stanie stwierdzić, że na trzeźwo idiocieję w takim samym zastraszającym tempie, jak po kielichu. Niestety, za każdym razem zapominał podzielić się tym spostrzeżeniem z Oliwią, czy kimkolwiek innym, do chwili, aż znów uległ sile nałogu. Gdy sobie przypominał, że ma powiedzieć bliskim o tym, jak nie był pijany – był z powrotem pijany. Dlaczego ja tak wszystko zapominam? – zachodził w głowę. I zaraz zapominał o tym pytaniu.

Za to pamięć długa Seniora pozostała nietknięta. Śpiewał Oliwii stare piosenki studenckie (których ona sama już od dawna nie pamiętała), przypominał jej z detalami romantyczne narzeczeńskie wieczory; Wally'emu opowiadał o tym, jak Wally był mały; Homera zaś bawił anegdotami z epoki zakładania najstarszych sadów, do których zaliczał się i tamten na uboczu, skąd widać było morze.

– Tam właśnie chciałem postawić dom, Homerze – zakończył opowieść Senior. Siedzieli przy obiedzie. Rano Wally z Homerem obcinali w sadzie „wilki”, czyli młode pędy wyrosłe na konarach i gałęziach w stronę pnia, zamiast do słońca. Wally znał już te opowieści; przestał słuchać i, znudzony, zaczął polewać mrowisko coca-cola. Obcinanie „wilków” ma na celu udostępnienie światła jak największej liczbie gałęzi; tym sposobem wpuszcza się słońce w koronę drzewa.

– Nie wolno dopuścić, żeby jabłoń rosła jak popadło – objaśnił Wally Homerowi.

– Z dziećmi tak samo! – zaśmiał się głośno Senior, zachwycony własnym dowcipem. – Oliwia – kontynuował opowieść – uważała, że to miejsce jest zbyt wietrzne na dom. Kobietom wiatr przeszkadza bardziej niż mężczyznom – dodał konfidencjonalnie. – Tak to już jest. No, mniejsza... – zamilkł i ręką wskazał morze, jakby chciał przywołać na świadków publiczność z ostatnich rzędów, która wraz z Homerem słuchała jego wspomnień. Następnie rozejrzał się po jabłoniach dookoła: ta publiczność znajdowała się bliżej i pewnie pilniej słuchała. – Wiatr... – podjął wątek i zawahał się, jakby w oczekiwaniu, że wiatr zerwie się i sam mu coś podpowie. – Dom... – spróbował inaczej, też bez rezultatu.

– Ten sad widać z piętra naszego domu – poinformował Homera po chwili. – Wiedziałaś o tym?

– Jasne – odparł Homer. Pokój Wally’ego mieścił się na piętrze. Z okna pokoju Wally’ego widać było sad, z którego widać było ocean, ale samego oceanu nie było widać z okna Wally’ego – ani też z żadnego innego okna domu Worthingtonów.

– Nazwałem gospodarstwo Z Widokiem Na Ocean, bo myślałem, że dom stanie w tym miejscu – wyjaśnił Senior. – Dokładnie tutaj.

Senior spojrział w dół na pianę coca-coli, którą Wally cienkim strumyczkiem wylewał na mrowisko.

– Na myszy najlepszy jest zatruty owies i kukurydza – oznajmił nagle. – Strasznie śmierdzi. – Wally spojrział na ojca pytająco; Homer pokiwał głową. – Polnym myszom wystarczy posypać na ziemię, ale jak się chce wytruć leśne, trzeba wiedzieć, gdzie mają norki, i nasypać głęboko w tunele.

– My to wiemy, tatusiu – zapewnił go cierpliwie Wally.

– Polne myszy są takie same jak łąkowe – tłumaczył dalej Senior Homerowi, który istotnie już to wiedział.

– Jasne – potwierdził Homer.

– Łąkowe ogryzają drzewo z kory, a leśne podgryzają korzenie – recytował Senior ze zbiorów swojej dalekiej pamięci.

Wally przerwał polewanie mrowiska coca-colą. Podobnie jak Homer, nie miał pojęcia, czemu Senior zaszczyił ich swoją obecnością podczas przerwy obiadowej. Od rana we dwóch obcinali jabłonie. Senior pojawił się ni stąd, ni zowąd. Zajechał starym jeepem bez tablic rejestracyjnych, używanym wyłącznie do jazdy po sadach.

– Tato? – zagadnął Wally Seniora. – Co ty tu właściwie porabiasz?

Senior spojrział na niego szklanym wzrokiem. Po chwili zwrócił oczy na Homera, jakby od niego oczekiwał odpowiedzi. Rozejrzał się po publiczności w dalszych rzędach – po jabłoniach, po odległym oceanie. Nic.

– Chciałem zbudować tu dom. Dokładnie tutaj – odparł z rozbrajającą bezradnością. – Ale twoja uparta matka, która zawsze chce wszystkim rządzić, powiedziała „Nie!”, suka jedna, cipa jedna! – rozwrzeszczał się Senior. – Zawzięta cipa, córka zbieracza skorupiaków, studniarza; suka jedna! – darł się na całe gardło. Nagle zamilkł. Wstał, jakby się ocknął. Wally podniósł się z ziemi razem z nim.

– Chodźmy, tato – powiedział spokojnie. – Odwiozę cię do domu.

Odjechali furgonetką Wally’ego. Homer podążył za nimi starym jeepem, na którym wprawiał się w sztuce prowadzenia samochodu, odkąd Wally zapewnił go, że temu autu nie da się zrobić krzywdy.

Alkohol – pomyślał Homer Wells – rzeczywiście potrafi człowieka zniszczyć.

Senior zdradzał też wszystkie inne typowe objawy choroby Alzheimera. Mając lat pięćdziesiąt pięć, wyglądał na siedemdziesiąt. Cierpiał na okresowe manie różnych typów: manię prześladowczą, manię wielkości, mitomanię. Nasiliły się dawne nieprzyjemne nawyki, zwłaszcza dłubanie w nosie. W jednej dziurce potrafił dłubać pracowicie godzinę, wycierając skutki tej działalności w spodnie lub o meble. Grubiański brat Oliwii, Bucky Bean, rechotał, że Senior powinien być zająć się zawodowo wierceniem studni.

– Technikę ma fantastyczną – mawiał. – Ja bym go zatrudnił.

Bramkarz z Klubu Haven, który własną piersią walczył z pistacjowym tortem Seniora Worthingtona, nie dał się widać do końca udobruchać, bo zaczął kręcić nosem na to, że Candy uczy Homera pływać w płytkim końcu basenu, i to w późnych godzinach popołudniowych. O tej porze – marudził – na pływalni jest tłok, a wszystkie lekcje odbywają się z rana, według rozkładu, i prowadzi je właśnie on, bramkarz – rzecz jasna, nie za darmo. Nie dał się namówić na łaskawe przymknięcie oka, chociaż Candy tłumaczyła mu, że Homer całymi dniami pracuje w sadzie Z Widokiem i że późne popołudnie, kiedy Wally rozgrywa po pracy mecz tenisowy, jest idealną porą dla Candy i Homera na lekcje pływania.

– Dla ciebie może idealną – trwał przy swoim bramkarz, który nie umiał ukryć, że Candy mu się podoba. Podobała mu się od dawna. Ale co innego być zazdrosnym o Wally’ego Worthingtona (wszyscy mu zazdrościli), a co innego patrzeć spokojnie, jak Candy Kendall skacze koło tego skarania boskiego z St. Cloud’s. W Klubie Haven – rzecz jasna pod nieobecność Candy i kogokolwiek z Worthingtonów – o Homerze mówiło się nie „sierota” czy „podrzutek”, tylko „skaranie boskie z St. Cloud’s”, ewentualnie „skaranie boskie Worthingtonów”.

Homer powiedział Candy, że nie ma nic przeciwko nauce pływania w prywatnym basenie posiadłości Z Widokiem Na Ocean; szkoda tylko, że już nie będą mogli czekać z Candy w Klubie Haven, aż Wally skończy grać w tenisa, bo potem zawsze gdzieś we troje szli – na plażę, na przystań Raya Kendalla albo gdzie bądź. Poza tym, na basenie Worthingtonów musieliby mieć stale do czynienia z Seniosem, którego Oliwia starała się wszelkimi sposobami utrzymać w domu, jak najdalej od Klubu Haven. Oliwia stwierdziła, że najskuteczniejszą metodą pacyfikacji Seniora jest poić go dżinem z tonikiem i trzymać w basenie, na szerokim dmuchanym materacu. Jednak prawdziwą przyczyną niechęci wszystkich zainteresowanych do pomysłu przeniesienia lekcji pływania Homera na teren nie ogrzewanego basenu



Worthingtonów było (wiedzieli o tym wszyscy prócz Homera) jego słabe serce, które zimna woda mogła narazić na zbyt wielki szok.

Oliwia postanowiła zastąpić Candy w roli instruktorki Homera. Wiedziała, że bramkarz z Klubu Haven jej nie zwróci uwagi, a do spółki z Candy i Wallym ustalili, że ryzyko zimnej wody dla serca Homera jest zbyt wielkie.

– Nie chciałbym sprawiać pani takiego kłopotu – zdumiał się Homer, gdy go powiadomili o zmianie; trochę się też zasmucił, że już nie Candy, tylko Oliwia Worthington będzie mu podkładała dłonie pod brzuch podczas ćwiczenia pracy rąk i nóg w wodzie. – Woda w waszym basenie – zwrócił się do Wally’ego – naprawdę nie jest dla mnie za zimna.

– W zimnej trudniej się nauczyć – zapewniła go Candy.

– No właśnie – poparła ją Oliwia Worthington.

– Ale ja mam zamiar pływać w oceanie; tylko po to się uczę – powiedział Homer. – A woda w oceanie jest o wiele zimniejsza niż w waszym basenie.

A to dopiero! – zmartwiła się Oliwia i zaraz napisała do doktora Larcha o problemach w związku z Homerową „wadą serca”, na co Larch doznał wyrzutów sumienia i poczuł, że wpadł we własną pułapkę. Odpisał Oliwii, że zimna woda nie stwarza zagrożenia, którego się obawiał: mówiąc o szoku, miał raczej na myśli wypadek – „na przykład zachłyśnięcie się wodą”.

Ależ ja łzę! – pomyślał Larch. Mimo to wysłał list do pani Worthington. Oliwia stwierdziła niebawem, że Homer czyni szybkie postępy w pływaniu.

– Musiał być o krok od sukcesu, kiedy go od ciebie przejęłam – zwierzyła się Candy. W istocie, Homer szybciej uczył się pod kierunkiem Oliwii, bo same lekcje przestały być takie przyjemne.

Przy Candy może nigdy nie nauczyłyby się pływać, a przynajmniej przeciągałyby naukę, kto wie czy nie do końca lata.

Lato zaś – gdyby mógł – przeciągnąłby na całe swoje życie, gdyż w majątku Z Widokiem Na Ocean czuł się szczęśliwy z tysiąca powodów.

Nie wstydził się przyznać, że jednym z tych powodów są wykładziny dywanowe u Worthingtonów: Homer wychował się w surowych, drewnianych ścianach, na podłogach zasłanych kilkoma warstwami linoleum, między którymi gromadziły się wyczuwalne pod stopą pokłady brudu i kurzu. Nikt nie twierdził, że na ścianach domu Worthingtonów wiszą dzieła sztuki, ale na Homerze, który nigdy nie widział obrazów na ścianach (poza kobietą z kucem), nawet olejny landszaft z kotkiem na rabatce

(zdobiący łazienkę Wally'ego) czynił spore wrażenie. Skąd miał się Homer znać na tapetach i sztuce? Każda tapeta wydawała mu się cudna.

Czuł, że nigdy nie przestanie się zachwycać pokojem Wally'ego. Cóż bowiem mógł wiedzieć o dyplomach uznania i piłkach futbolowych malowanych na złoto, z wypisanymi wynikami wygranych meczy? Albo o pucharach tenisowych, kronikach szkolnych i starych biletach, wetkniętych na pamiątkę za ramę lustra (na przykład z pierwszego filmu, na który Wally zabrał Candy)? Homer nigdy nie był w kinie do dnia, w którym Wally i Candy zaprosili go do kina letniego dla zmotoryzowanych. Czy Homer mógł sobie wcześniej coś takiego wyobrazić? Albo czy mógł sobie wyobrazić grupę ludzi, którzy codziennie, z własnej woli (tak sądził), gromadzą się przy wspólnej pracy? Ekipa pracowników Sadów Z Widokiem Na Ocean wydała się Homerowi cudem samym w sobie; z początku wszyscy go zachwycali. A najbardziej polubił Meany'ego Hyde'a, za jego życzliwość i ochotę do wyjaśniania, jak co się robi – nawet w takich zajęciach, które Homer (i, mówiąc szczerze, każdy głupi) wykonałby bez tłumaczenia. Homer lubił słuchać Meany'ego, zwłaszcza wtedy, gdy Meany objaśniał rzeczy oczywiste.

Przepadał też za żoną Meany'ego Hyde'a, Florencją, i jej koleżankami, zajętymi całe lato szykowaniem magazynów i tłoczni na czas zbiorów. Podobała mu się Big Dot Taft, chociaż bicepsy na jej ramionach przypominały Homerowi o Melony (o której właściwie nigdy nie myślał, nawet kiedy dowiedział się, że porzuciła St. Cloud's). Młodsza siostra Big Dot Taft, Debra Pettigrew, też się Homerowi podobała: była dokładnie w jego wieku i wyróżniała się urodą, chociaż było w jej cherubinkowatym, pulchnym ciałku coś solidnego, co pozwalało sądzić, że pewnego dnia Debra dorówna rozmiarami Big Dot.

Mąż Big Dot, Everett Taft, obznajomił Homera z kosiarką. Dwa razy w ciągu lata trzeba było skosić trawę między rzędami jabłoni; potem się ją grabiło, a siano kupowała farma mleczarska z Kenneth Corners. Resztkami siana okładało się przy ziemi młode drzewka. W Sadach Z Widokiem Na Ocean nic się nie marnowało.

Lubił też Homer pszczelarza Irę Titcomba, małżonka Ireny z niesamowitą blizną po oparzeniu. Ira opowiadał Homerowi o pszczołach.

– Lubią temperaturę ponad trzydzieści stopni; grunt, żeby nie było wiatru, gradu ani mrozu – mówił Ira. – Pszczoła żyje około trzydziestu dni i przez ten czas pracuje więcej niż niejeden człowiek... nie będą wymieniał z nazwiska. Miód to paliwo dla pszczoł.

Homer dowiedział się od niego, że pszczoły wolą kwiaty mlecza od kwiatów jabłoni i dlatego tuż przed sprowadzeniem pszczół do sadu kosi się nisko trawę, żeby nie było mleczy. Dowiedział się też, dlaczego w sadzie musi rosnać więcej niż jeden gatunek drzew; aby umożliwić zapylenie krzyżowe, czyli zmusić pszczoły do przenoszenia pyłku jednego gatunku jabłoni na inny. Najlepiej przewozić pasiekę do sadu nocą – nauczył się Homer: wtedy pszczoły śpią i można bez przeszkód zasunąć podłogę skrzynki, w której mieści się ul. W czasie transportu pszczoły budzą się, oczywiście, ale nie mogą wylecieć na zewnątrz. Kiedy na wiosnę zdejmowało się ule z przyczepy i roznosiło po sadzie, były leciutkie – za to po tygodniu trudno je było nieraz dźwignąć na przyczepę, tak przybierały na wadze od miodu. Czasami trzeba było wołać kogoś do pomocy. Na każdy gwałtowny wstrząs przy przenoszeniu, zamknięte w ulu pszczoły reagowały donośnym buczeniem i niespokojnym ruchem, który dawał się wyczuć przez drewnianą ściankę ula. Jeśli ul był nieszczelny i miód z niego wyciekał, mogło się zdarzyć, że w miodzie wypłynęła nieostrożna, zabłąkana pszczoła – tylko w takiej sytuacji pszczelarz był narażony na ukąszenie.

Pewnego dnia Homer ostrożnie niósł pełny ul do przyczepy, opierając go mocno o własną pierś; nagle poczuł silną wibrację przez napiętą ściankę, która nawet w wieczornym chłodzie emanowała żywym ciepłem. Aktywność zamieniona w ciepło – pomyślał Homer; jak przy infekcji – skojarzyło mu się nagle. Przypomniał sobie napięty do granic wytrzymałości brzuch kobiety, którą ratował z konwulsji. Pomyślał o tym wszystkim, co się dzieje w łóżysku i co sprawia, że brzuch ciężarnej jest gorący i twardy. Na iluż to damskich podbrzuszach kładł Homer rękę, zanim skończył dwadzieścia lat? Wolę sadownictwo – stwierdził kategorycznie.

W St. Cloud's nie szanowało się tego, co ma rosnać – nawet jeżeli pozwalało się temu przyjść na świat. A do wielu narodzin w ogóle nie dochodziło. Za to w Sadach Z Widokiem Na Ocean Homer miał stale do czynienia z czymś, co rośnie ku powszechnej satysfakcji. Zachwycało go to, że nic się tutaj nie marnuje i nie ma rzeczy ani istot niepotrzebnych.

Dlatego wydawało mu się, że kocha nawet Vernona Lyncha – chociaż ludzie zdążyli mu już powiedzieć, że Vernon maltretuje żonę, a Grace Lynch patrzyła na Homera tak jakoś dziwnie, że robiło mu się nieswojo. Nie umiał określić, co czai się w jej oczach – czy rozpaczliwa prośba, czy podejrzliwość, czy zwyczajna ciekawość – dość że było to spojrzenie, które człowiek czuł na sobie jeszcze długo po rozstaniu.

Vernon Lynch pokazał Homerowi, jak opylać drzewa. Znamienne, że właśnie Vernon Lynch zarządzał pestycydami – czyli eksterminacją.

– Kłopoty zaczynają się od pierwszych liści – objaśniał Vernon Homerowi. – Czyli od kwietnia. W kwietniu zaczynasz opylać i nie przestajesz aż do końca sierpnia, do zbiorów. Opylać trzeba raz na tydzień, góra dziesięć dni. Zwalcza się tym sposobem narośle i owady. Mamy dwie opylarki, firmy Hardie i firmy Bean, każda ma dwa tysiące litrów objętości. Trzeba to robić w masce gazowej, żeby nie wdychać tego gówna. Maskę gazową musi szczelnie przylegać do twarzy, bo inaczej nic nie da. – Mówiąc to, Vernon Lynch ubierał Homera w maskę przeciwgazową. Homer bał się, że skronie zaraz mu eksplodują. – Filtr płócienny trzeba regularnie prać, bo inaczej się człowiek udusi – dla demonstracji Vernon zakrył złożoną w łódkę dłonią usta i nos Homera; Homer poczuł, że się dusi. – Gogle też trzeba nosić, chyba że ktoś chce oślepnąć – dodał Vernon. Homer chciał mu się wyrwać; postanowił oszczędzać siły; zląkł się, że zaraz zemdleje; zadał sobie pytanie, czy to fakt, czy tylko taka metafora, że płuca eksplodują z hukiem. – Uwaga na tak zwane otwarte rany, czyli na każde skaleczenie: jak się to gówno dostanie do ranki, potrafi chłopca wysterylizować – ostrzegł Homera Vernon Lynch. – Znaczy się, już ci, bracie, nie stanie.

Homer trącił Vernona w ramię i wykonał serię gestów, jakby sygnalizował, że ma do przekazania treść zbyt zawiłą na tradycyjne środki konwersacji. Duszę się! Ratunku! Duszę się! Pomocy!

Gdy Homerowi zaczęły drżeć kolana, Vernon zerwał mu maskę z twarzy, boleśnie szarpiąc paskiem uszy i włosy.

– Wiesz mniej więcej, o co chodzi? – spytał Vernon.

– Jasne! – odkrzyknął Homer dramatycznym głosem, bo jego płuca żarłocznie połknęły powietrze.

Homer lubił nawet Herba Fowlera, chociaż ten strzelił mu prezerwatywą w czoło w niespełna dwie minuty po tym, jak zostali sobie przedstawieni.

– Cześć, Herb, to Homer Wells, poznaście się – dokonał prezentacji Meany Hyde. – Homer jest kumplem Wally’ego, z Saint Cloud’s.

W tym momencie Herb strzelił w Homera kondomem.

– Mniej by było na świecie sierot, jakby więcej ludzi zakładało se coś takiego – stwierdził Herb.

Homer Wells nigdy jeszcze nie widział fabrycznie pakowanej prezerwatywy. Prezerwatywy, które doktor Larch trzymał w szpitalu i za darmo rozdawał na odchodnym pacjentkom, pakowane były w zwyczajny, przezroczysty pergamin, bez żadnej etykiety. Doktor Larch często się dziwił, że szpitalny zapas kondomów podejrzanie szybko topnieje – nie wiedział bowiem tego, co wiedział Homer: że z

zapasu regularnie korzysta Melony. Ona to właśnie zapoznała z prezerwatywą Homera Wellsa.

Dziewczyna Herba Fowlera, Luiza Tobey, na pewno fachowo obchodziła się z kondomami Herba – to było widać. Onanizując się, Homer myślał zawsze o Luizie-Łatwiznie: umiał sobie wyobrazić, jak wprawnie i szybko zwinne palce Luizy radzą sobie z prezerwatywą, bo widział, jak Luiza trzyma pędzel i, zaciskając zęby, chłapie gęstą farbą na półki magazynu, pokrywając je solidną, świeżą warstwą koloru; co chwila zdmuchiwała sobie przy tym lok z czoła, a oddech miała gorzki od papierosów.

Homer nigdy nie pozwalał sobie na masturbację z myślą o Candy. Myśląc o niej, wcale się nie dotykał; leżał sztywno, ramię w ramię z uśpionym Wallym, który oddychał głęboko i miarowo. Kiedy Homer wyobrażał sobie, że śpi z Candy, nie myślał nigdy o tym, że się dotykają w intymnych miejscach; zawsze tylko leżeli bardzo mocno przytuleni do siebie, w czystym i wzniosłym uścisku. („Bez jaj” – jak by to określiła Melony.)

Candy paliła papierosy, ale czyniła to w sposób tak przesadny i teatralny, że często upuszczała papierosa na kolana i zrywała się ze śmiechem na równe nogi, strzepując z ubrania drobinki żaru.

– Co za łamaga ze mnie! – wołała. Tylko kiedy palisz – dodawał w duchu Homer.

Za to Luiza Tobey była namiętą palaczką; wciągała w siebie wielkie chmury dymu, a wydychała malutkie obłoczki. Homer ciekaw był, co się dzieje z resztą dymu. Starsze pracownice magazynów stale widywało się z papierosem (wszystkie, z wyjątkiem Grace Lynch, która z założenia nie otwierała ust – nawet do papierosa), ale Florencja, Irena i Big Dot paliły od tak dawna, że przestało to zwracać uwagę. Jedynie Debra Pettigrew, młodsza siostra Dot, sięgała po papierosa tak rzadko i niezdarnie jak Candy. Patrząc, jak szybko, pewnie i żarłocznie Łatwizna pali tytoń, Homer myślał, że bez wątpienia podobnie Herb Fowler korzysta z usług Łatwizny i ze swoich kondomów.

W całym Heart's Rock i w całym Heart's Haven – od gulgoczącej, pełnej homarów sadzawki u Raya Kendalla, po chlorowane ciepło basenu w Klubie Haven; od przedsezonowej krzątania na targowisku po ciężką pracę w polu – nie znalazł Homer nic, co by mu nagle, z całą ostrością, przypomniało St. Cloud's. Aż do pierwszego deszczowego dnia, w którym go oddelegowano z niewielką ekipą sprzątaczek i malarzy do tłoczni jabłeczniaka.

Z zewnątrz tłocznia nie budziła żadnych podejrzeń. Homer często przejeżdżał obok niej rozmaitymi maszynami rolniczymi. Budynek był długi, wąski, jednopiętrowy, kryty blachą; miał kształt litery L, a w samym zgięciu podwójne wrota, za którymi stały maszyna do miażdżenia jabłek i prasa do jabłek (młyn, pompa, silnik pompy i silnik młyna oraz zbiornik na cztery tysiące litrów). Jedno skrzydło budynku mieściło szereg komór-chłodni; tam przechowywano jabłecznik. W drugim skrzydle była niewielka kuchnia, a na jej zapleczu – dwa długie szeregi żeliwnych, szpitalnych łóżek, na każdym łóżku koc i poduszka. Materace na wszystkich dwudziestu z górą łóżkach były schludnie zrolowane. W paru miejscach łóżko, lub kilka łóżek, było odgródzone od reszty pomieszczenia parawanem z koca – Homer Wells zaraz sobie skojarzył tę namiastkę intymności ze szpitalem. Łóżko od łóżka dzieliły prymitywne, ale solidne szafki z nie malowanej sklejki, a tam, gdzie w ścianie było gniazdko elektryczne, na szafkach stały typowe biurowe lampki do czytania, z giętką, pierścieniową szyją. Umeblowanie było bardzo skromne, ale schludne – wyglądało jak przejęte po szpitalu lub biurze, gdzie korzystano z niego latami, z należyтым poszanowaniem.

W tym skrzydle tłoczni panowała funkcjonalność koszar, lecz jak na koszary, dało się zauważyć zbyt wiele akcentów osobistych. Na przykład – firanki; Homer uznał, że gdyby nie to, że są spłowiałe, pasowałyby świetnie do jadalni Worthingtonów (skąd istotnie pochodziły). Znajome wydały mu się także tchnące przesadnym spokojem pejzaże łąk i portrety zwierząt, zdobiące surowy tynk ścian w tak przedziwnych miejscach (jedne za wysoko, inne za nisko), że Homer nabrał pewności, iż zasłaniają dziury – może dziury po kopniakach butem, może po ciosach pięścią, a może ktoś walił głową w mur? Homer miał wrażenie, że wyczuwa w atmosferze tego pomieszczenia złośliwą agresję obecną zawsze w zbiorowych sypialniach, którą tak dobrze poznał przez blisko dwadzieścia lat życia na oddziale chłopięcym w St. Cloud's.

– Co to za dom? – spytał Meany'ego Hyde'a.

Deszcz dzwonił o blaszany dach nad ich głowami.

– Tłocznia jabłecznika – przypomniał mu Meany.

– To wiem, ale kto tutaj sypia, kto tu bywa? Jacyś ludzie tu mieszkają? – dopytywał się Homer. W baraku było bardzo czysto, a jednak wyraźnie czuło się ludzką obecność. Homerowi przypomniały się opuszczone baraki w St. Cloud's, gdzie drwale i pilarze odsypiali codzienną harówkę.

– Kwatera dla sezonowych – wyjaśnił Meany Hyde. – Tu mieszkają ci, co się najmują do zbiorów; znaczy przyjezdni.

– Przeważnie kolorowi – dodała Big Dot Taft i z brzękiem postawiła na podłodze kubły, a obok rzuciła ścierki. – Co roku im tu ładnie szykujemy: wszystko się szoruje i odmalowuje, co jest do odmalowania.

– Trza się brać za woskowanie prasy – stwierdził Meany Hyde i uciekł od „babskiej roboty”, którą nawet Homer z Wallym wykonywali przez wszystkie kolejne deszczowe dni lata, nie uważając wcale, że przynosi im to ujmę.

– Murzyni? – zdziwił się Homer Wells. – Sezonowymi są Murzyni?

– Niektórzy czarni jak noc – powiedziała Florencja Hyde. – Ale to porządni ludzie.

– Strasznie sympatyczni! – zawołał z drugiego pomieszczenia Meany Hyde.

– Często sympatyczniejsi od białych – dodała Big Dot Taft.

– Od niektórych na pewno – zachichotała Irena Titcomb, zakrywając bliznę.

– Są mili, bo pani Worthington jest dla nich miła! – huknął gromko Meany Hyde z zapaćkanego smarami pomieszczenia prasy.

Budynek przepojony był octową wonią skwaśniałego jabłecznika – mocną, ale nie nieprzyjemną.

Debra Pettigrew uśmiechnęła się do Homera ponad wiadrem, w którym oboje płukali ścierki. Homer odpowiedział jej ostrożnym uśmiechem, zastanawiając się jednocześnie, gdzie w taki deszczowy dzień pracuje Wally i jak sobie radzi Ray Kendall. Ray mógł w tej chwili pływać po wzburzonym morzu (na pewno miał na głowie lśniący, gumowy rybacki kapelusz) albo majstrować w Dwójce przy układzie elektrycznym kombajnu.

Grace Lynch szorowała obite linoleum długie stoły w kuchni tłoczni. Homer zdziwił się, że jej wcześniej nie zauważył i nie wiedział nawet, że Grace należy do ich ekipy. Luiza Tobey, z ogarkiem papierosa w ustach, stała, kręcąc kuperkiem, w drzwiach części mieszkalnej baraku i narzekała, że zepsuł jej się mechanizm do wyżymania miotły z miękkich frędzli, którą szorowała podłogę.

– Zacięło się, czy co? – złościła się Łatwizna.

– Luizie ścierka się zacięła – obwieściła z przekąsem Big Dot Taft.

– Biedna Luiza! Naprawdę ścierka ci się zacięła? A to pech – powiedziała Florencja Hyde i parsknęła śmiechem, na co Big Dot Taft zaczęła dosłownie zataczać się z rozbawienia.

– Dałybyście spokój! – Luiza, wściekła, kopnęła niesprawny przyrząd.

– Co tam się dzieje? – zawołał Meany Hyde.

– Luizie przegrzała się wyżymaczka! – odkrzyknęła mu Big Dot Taft. Homer spojrział na Luizę, która kipiała ze złości, a potem na Debrę Pettigrew, która się zaczerwieniła.

– Nie nadużywasz czasem tej swojej wyżymaczki, Luizo? – spytała z udaną troską Irena Titcomb.

– Na pewno za często wtykasz do niej kije, kochana – powiedziała Florencja Hyde.

– Cicho tam, baby! – huknął Meany Hyde.

– Zwłaszcza jeden kij – dodała Big Dot Taft.

Na to nawet Luiza się roześmiała. Zerknęła na Homera Wellsa. Homer odwrócił oczy – i stwierdził, że Debra Pettigrew go obserwuje, więc uciekł spojrzeniem po raz drugi.

W przerwie obiadowej odwiedził barak. Herb Fowler.

– Fuj! – skrzywił się od progu. – Nawet po roku cuchnie tu czarnuchami.

– Po mojemu to ocet – nie zgodził się z nim Meany Hyde.

– Co takiego? Nie czujesz smrodu czarnuchów? – zaperzył się Herb Fowler. – Ty czujesz? – zwrócił się do Luizy. Luiza wzruszyła ramionami. – A ty? – zagadnął Herb Homera. – Czujesz, czy nie?

– Czuję ocet, stare jabłka i stary jabłecznik – odpowiedział mu spokojnie Homer.

W porę dostrzegł wystrzelony w swoją stronę kondom i zdążył go złapać.

– Wiesz, co z tym robią czarnuchy? – spytał Homera Herb. Strzelił kondodem w Luizę Tobey, która wprawnie pochwyciła rekwizyt w locie; była przyzwyczajona do tego, że kondomy latają stale w jej stronę. – Pokaż mu, Luiza, co czarnuch z tym robi.

Pozostałe kobiety przybrały znudzone miny. Debra Pettigrew zerknęła nerwowo na Homera Wellsa i ostentacyjnie odwróciła się od Luizy. Luiza sama wydawała się zarazem zawstydzona i znudzona. Zdarła opakowanie z prezerwatywy i naciągnęła ją sobie na palec wskazujący, przebijając paznokciem miejsce tuż obok sterzącego czubka.

– Parę lat temu – nudził Herb – powiedziałem czarnuchom, że jak nie chcą łapać paskudnych chorób i mieć więcej bachorów, powinni wsadzać to sobie na paluchy. – Uniósł odziany w gumę palec Luizy i zademonstrował słuchaczom. – Po roku przyszli do mnie z pretensjami, że kondomy nie działają. Wkładali je na palce,



dokładnie jak im pokazałem, a choroby dalej się ich czepiały i bachory dalej im się rodziły na pęczki.

Nikt się nie roześmiał. Nikt nie wierzył w te sto razy opowiadane bajki – może tylko jeden Homer, a Homerowi idea płodzenia dzieci na pęczki też nie wydawała się szczególnie zabawna.

Herb Fowler zaproponował, że podwiezie wszystkich do baru przy Drinkwater Road na coś gorącego, ale Homer odmówił; pani Worthington codziennie rano szykowała mu, tak samo jak synowi, drugie śniadanie i Homer czuł się w obowiązku je zjadać, zwłaszcza że zawsze mu smakowało. Wiedział poza tym, że pracownikom nie wolno opuszczać terenu sadów podczas przerwy obiadowej, a już z pewnością nie pojazdami służbowymi – tymczasem Herb Fowler zajechał zieloną furgonetką, z której Oliwia korzystała najchętniej. Nie był to zakaz zbyt rygorystyczny, ale Homer był pewien, że gdyby Wally pracował z nimi w tłoczni, Herb nie odważyłby się proponować im przejażdżki.

Homer spożył lunch jak należy, w barakowej kuchni. Patrząc na szpaler wąskich łóżek myślał, że zrolowane materace i koce do złudzenia przypominają śpiące postacie – gdyby nie ten ich bezruch. Wyglądają jak zwłoki czekające na identyfikację – uznał ostatecznie Homer.

Nie bacząc na deszcz, wyszedł przyjrzeć się kolekcji wraków aut, zdekompletowanych traktorów i przyczep na podjeździe przed barakiem tłoczni. Za złomowiskiem szarzał wielki kołtun chwastów; tam właśnie wyrzucano odcisnięte jabłeczne wytłoki. Przyjeżdża po nie specjalnie aż z Waldoboro pewien hodowca świń – powiedział Homerowi Meany Hyde; świnię przepadają za wytłokami.

Niektóre wraki aut miały tablice rejestracyjne Południowej Karoliny. Homer Wells nie znał mapy Stanów Zjednoczonych – oglądał kiedyś globus, ale stany Ameryki nie były na nim zaznaczone – wiedział więc tylko, że Południowa Karolina leży daleko na południe od Maine. Stamtąd właśnie przyjeżdżali ciężarówkami Murzyni, jak dowiedział się od Meany’ego Hyde’a; niektórzy mieli własne samochody, ale takie gruchoty, że po przyjeździe porzucali je na tutejszym złomowisku. Meany nie umiał powiedzieć, jak Murzyni wracają do Południowej Karoliny.

– Zdaje mi się, że najpierw jadą na Florydę, na zbiory grapefruitów – mówił Meany – później gdzieś tam indziej zbierają brzoskwinie, a na koniec jabłka tu u nas. Wędrują z miejsca na miejsce, dopóki gdziekolwiek trwa sezon.

Z dachu tłoczni obserwowała Homera mewa; siedziała tak skulona, że Homer patrząc na nią uświadomił sobie, jak strasznie pada, i wrócił do środka.

Rozwinął materac na pierwszym z brzegu łóżku i wyciągnął się na nim, podłożywszy pod głowę i poduszkę, i koc. Coś kazało mu je najpierw powąchać: nie poczuł nic prócz kwaśnawej woni octu i czegoś jeszcze, co kojarzyło mu się ze starzyzną. W dotyku koc i poduszka znacznie bardziej sugerowały kontakt z żywym człowiekiem niż ich zapach – chociaż im dłużej Homer zagłębiał w nich twarz, tym bardziej „ludzko” pachniały. Homerowi przypomniały się napięte rysy Luizy Tobey i jej palec odziany w kondom, z drapieżnym paznokciem. Przypomnił mu się materac w chacie pilarzy w St. Cloud’s, na którym Melony nauczyła go czuć to, co czuł w tej chwili. Homer rozpiął robocze dzinsy i odbył pospieszną masturbację. Żeliwne łóżko na sprężynach przeraźliwie skrzypiało. Gdy skończył, stwierdził, że przejaśniło mu się w głowie. Usiadł na łóżku – i ujrzał drugą postać, która pozwoliła sobie rozgościć się w sypialni tłoczni. Chociaż leżała ciasno skulona – jak mewa w deszczu na dachu albo płód cierpiącej skurcze kobiety – Homer bez trudu rozpoznał w niej Grace Lynch.

Nawet jeżeli nie patrzyła, nawet jeżeli cały czas leżała odwrócona plecami, nie mogła nie rozpoznać rytmicznego skrzypienia starych sprężyn ani ostrej woni spermy, którą trzymał jeszcze zebraną w garści. Stąpając cicho, Homer wyszedł na dwór i wystawił otwartą dłoń na deszcz. Mewa, która dalej kuliła się na dachu, spojrzała na niego z nagłym zainteresowaniem: z tym miejscem kojarzyły się ptactwu udane łowy. Wróciwszy pod dach, Homer stwierdził, że Grace Lynch zwinęła swój materac tak, jak przedtem leżał, a sama stoi przy oknie i wciska twarz w zasłonę. Łatwo było przeoczyć Grace Lynch; Homer nie zauważyłby jej prawdopodobnie, gdyby wcześniej nie wiedział, że jest w baraku.

– Ja tam byłam – odezwała się cicho Grace Lynch, nie patrząc na Homera. – Tam, skąd ty przyjechałeś. Nie wiem, jak mogłeś chociaż raz zasnąć w takim miejscu.

W martwym, szarawym świetle, które tego deszczowego dnia wpadało przez okno, Grace wyglądała przeraźliwie chudo i kanciasto. Owinęła wąskie ramiona skrajem spłowiałej zasłony, jak szalem. Ani nie patrzyła na Homera, ani nic w jej kościstej, dygocącej sylwetce nie dałoby się nazwać zaproszeniem – a jednak coś Homera do niej ciągnęło; to coś, co każe człowiekowi, zwłaszcza w dzień ponury, szukać bratniej duszy. W St. Cloud’s miało się stale do czynienia z ofiarami, a Grace Lynch emanowała aurą ofiary jak odbitym światłem. Homer rozpoznał to chorobliwe światło i coś kazało mu podejść do Grace i ująć jej bezwolne, wilgotne dłonie.

– To śmieszne – szepnęła, wciąż na niego nie patrząc. – Tam było tak okropnie, że aż poczułam się bezpieczna. – Oparła czoło na piersi Homera, wcisnęła kanciaste kolano między jego nogi i wpila się w niego kościstym biodrem. – Tutaj tak nie jest –

szepnęła. – Tu jest niebezpiecznie. – Koścista dłoń, jak zwinna jaszczurka, wślizgnęła się w spodnie Homera.

Uratował go hałaśliwy powrót zielonej furgonetki z wagarowiczami – amatorami gorących posiłków. Grace odskoczyła od Homera jak spłoszona, dzika kotka. Gdy towarzystwo zaczęło się schodzić do baraku, wydłubywała stary brud ze szpary między płytami linoleum na kuchennym stole. Pomagała sobie drucianą szczotką, którą przedtem miała w kieszeni na biodrze, czego Homer nie zauważył. Grace Lynch ukrywała przed światem bardzo wiele – nawet drucianą szczotkę. Po pracy, gdy jechali do domu – Homer Wells na matczynych kolanach Big Dot Taft – Grace popatrzyła na niego z taką intensywnością, że Homer zrozumiał: „niebezpieczeństwo” (czymkolwiek było) nie przestało grozić Grace Lynch, a on sam, nawet gdyby wyjechał na koniec świata, nie uwolni się nigdy, przenigdy, od ofiar St. Cloud’s.

Wieczorem tego samego dnia, w którym napastowała go Grace Lynch, Homer miał pierwszą randkę z Debrą Pettigrew. Był to zarazem jego pierwszy wypad z Candy i Wallym do kina dla zmotoryzowanych. Pojechali we czwórkę cadillakiem Seniora. Homer z Debrą Pettigrew siedzieli z tyłu, na odbarwionej po wypadku Seniora kanapie, gdzie raptem dwa miesiące wcześniej Curly Day stracił kontrolę nad fizjologią. Homer nie wiedział jeszcze, że idea kina dla zmotoryzowanych sprowadza się głównie do umożliwienia publiczności utraty kontroli nad fizjologią, przeważnie na tylnych siedzeniach samochodów.

– Homer nigdy nie był w kinie dla zmotoryzowanych – zdradził Wally Debrze Pettigrew, po którą podjechali. Rodzina Pettigrew charakteryzowała się znaczną liczebnością, jak również tym, że hodowała psy – sporo psów, w większości łańcuchowych. Niektóre przytwierdzone były łańcuchami do zderzaków kilku nie używanych, uznanych za niesprawne aut, które musiały stać na trawniku przed domem już od dawna, skoro przez szpary przy osiach i dźwigni skrzyni biegów porosły od środka trawą. Omijając ujadające wściekle czworonogi, Homer skradał się ostrożnie ku drzwiom domu Debry. Psy szamotały się zaciekle na łańcuchach, lecz na szczęście wraki samochodów trwały nieporuszone.

Familia Pettigrew imponowała nie tylko liczebnością, ale także tuszą. Ponętna pulchność Debry okazała się nader nieśmiałym preludium do możliwości rodu. W progu czekało Homera powitanie wagi ciężkiej w wykonaniu matki Debry –

genetycznej przodkini gigantycznych egzemplarzy ludzkich w typie siostrzyczki Debry, Big Dot Taft.

– Debraaa! – wrzasnęła piskliwie pani Pettigrew. – Przyszedł twój AMANT! Witaj, skarbuńciu – zwróciła się do Homera. – Dużo o tobie słyszałam: podobno jesteś grzeczny i dobrze wychowany. Straszny tu u nas bałagan, przepraszam.

Debra już stała obok matki. Czerwona jak burak, chciała jak najprędzej oddalić Homera od domu, gdy tymczasem pani Pettigrew nachalnie zapraszała go do środka. Zerkając tam, Homer dostrzegł kilka olbrzymich postaci. Twarze niektórych były dziwnie obrzmiałe, jakby osoby te przemieszkały pół życia pod wodą albo właśnie dostały straszne lanie. Na wszystkich twarzach malowały się szerokie, przyjazne uśmiechy, zdumiewające zwłaszcza przez kontrast z dzikim ujadaniem psów za plecami Homera.

– Musimy iść, mamó – sapła Debra, wypychając Homera za drzwi. – Bo się spóźnimy.

– Na to zawsze jest czas! – gdaknął ktoś z wnętrza mieszkania, wzbudzając gromki rechot, zakończony czymś atakiem spazmatycznego kaszlu i mozolnym sapaniem. Zaraz później niewyobrażalnie głośny psi jazgot stanął jak mur między Homerem i Debrą a cadillakiem. Homer przestraszył się, że nie przejdą do samochodu.

– CISZA! – ryknęła Debra. Psy umilkły – ale tylko na sekundę.

Rewelacyjną informację o tym, że Homer nigdy jeszcze nie był w kinie dla zmotoryzowanych, musiał Wally wykrzyknąć na całe gardło, żeby się przebić przez psi chór.

– W ogóle nigdy nie byłem w kinie – uściślił Homer.

– Raju! – zdumiała się Debra Pettigrew. Przyjemnie pachniała i wyglądała o wiele porządniej i czystiej niż w stroju roboczym, chociaż nawet na co dzień nosiła się ze swoistą elegancją. Wydawała się jakby smuklejsza niż zwykle, a w miarę jak się zbliżali od Cape Kenneth, jej z natury dobrotliwe i serdeczne usposobienie coraz pewniej dochodziło do głosu, pokonując nieśmiałość i skrępowanie. Debra była, jak to się mówi w Maine, „wdechową” panią: niebrzydką, swobodną, wesołą, pracowitą i nie grzeszącą przesadną inteligencją. W przyszłości mogła liczyć najwyżej na udane małżeństwo z kimś równie sympatycznym, niewiele starszym i niewiele bystrzejszym od siebie.

Na lato rodzina Pettigrew przeniosła się, jak zwykle, do jednego z domków na ciasno zabudowanym, bagnistym brzegu Jeziora Wody Pitnej; szybko się zagnieździli

pod nowym – a już zapowiadającym rychłą ruinę – adresem. Trawnik przed domkiem z dnia na dzień zarósł wrakami samochodów, a psiska zniosły przeprowadzkę z zimowej rezydencji w Kenneth Corners bez najmniejszego uszczerbku dla swoich wybujanych instynktów obronnych. Wzorem wszystkich domostw nad Jeziorem Wody Pitnej, dom rodziny Pettigrew otrzymał imię, niczym sierota, która wkracza w ten świat nie do końca stworzona i wymaga mianowania przez obcych ludzi. Dom rodziny Pettigrew nazywał się „Wszyscy Razem!”

– Dla mnie najlepszy jest ten wykrzyknik – zwierzył się Wally Homerowi, gdy podjechali pod auto-psią działkę. – Jakby szczylicili się swoim przeludnieniem.

Ledwie jednak Debra się do nich przysiadła, Wally zaprzestał żarcików i przez cały wieczór odnosił się do niej z galanterią.

Ta cecha życia społecznego dała Homerowi wiele do myślenia; zauważył, że nawet najsympatyczniejsi ludzie – a Wally z pewnością do takich się zaliczał – potrafią bez zmruczenia oka krytykować za plecami osobę, której wprost okazują najczulsze względy. W St. Cloud's krytyka była bardziej jawna, a udawanie przyjaźni znacznie utrudnione, jeśli w ogóle nie niemożliwe.

Kino dla zmotoryzowanych w Cape Kenneth stanowiło w stanie Maine nowość na miarę podgrzewanego basenu w Klubie Haven – będąc przy tym o wiele mniej praktyczne. Stan Maine nie stwarzał dogodnych warunków dla kin na otwartym powietrzu; nocne mgły przybrzeżne niejednemu wesołemu filmowi przydały, całkiem nie *a propos*, niesamowitego klimatu horroru. Zdarzało się w późniejszych latach, że widzowie wychodzący w czasie projekcji po omacku do toalety lub do bufetu, nie umieli odszukać we mgle swoich samochodów.

Drugi poważny problem stanowiły komary. W roku 194-, kiedy Homer Wells wybrał się po raz pierwszy w życiu do kina dla zmotoryzowanych, w Cape Kenneth znacznie lepiej słyhać było nocą bzyczenie komarów niż dialogi z ekranu. Wally znalazł dość skuteczny sposób obrony przed komarami: woził preparat w aerozolu, który co parę chwil rozpylał we wnętrzu wozu i dookoła. Preparatem tym był środek owadobójczy do spryskiwania jabłek. Tym sposobem powietrze w samochodzie i wokół niego było co prawda zatrute, ale w znacznej mierze wolne od komarów. Inni widzowie, parkujący w sąsiedztwie cadillaca, mieli pretensje do Wally'ego o to ciągle psykanie i paskudny zapach aerozolu – ale komary tak im wkrótce dokuczyły, że przestawali pomstować; niektórzy prosili nawet grzecznie o wypożyczenie im na moment rozpylacza, aby mogli pozatruwać atmosferę we własnych samochodach.

W roku 194- w kinie dla zmotoryzowanych w Cape Kenneth nie było jeszcze ani bufetu, ani toalet. Mężczyźni i chłopcy sikali na zmianę na betonowy mur ogradzający tył parkingu. Zawsze siedziało na nim paru małych urwisów (obywateli Cape Kenneth, za młodych albo za biednych na samochód); z muru było świetnie widać ekran, chociaż głos już tam nie docierał. Czasami, kiedy film im się nie podobał, ci widzowie na gapę sikali z muru na głowy pechowców załatwiających potrzebę fizjologiczną pod nimi.

Dziewczęta i kobiety, pozbawione możliwości siusiania w kinie, z konieczności zachowywały się godniej niż płęć męska – to znaczy, mniej piły, bo o ich zachowaniu we wnętrzu wozów trudno coś bliżej powiedzieć.

Dla Homera Wellsa cała impreza była wielkim przeżyciem. Ciekawiło go zwłaszcza, co istoty ludzkie robią dla przyjemności – z własnej i nieprzymuszonej woli – ponieważ tam, gdzie się wychował, własna wola nie była częstym motywem działania, a i przykładów działania dla przyjemności nie dawało się zaobserwować zbyt wiele. Nie mógł się nadziwić, że ludzie męczą się w kinie dla zmotoryzowanych z własnego wyboru, nazywając to w dodatku przyjemnością; wierzył jednak, że jeśli on sam nie widzi w tym nic miłego, to jest to wyłącznie jego defekt.

Najbardziej zaskoczył go sam film. Publiczność najpierw trąbiła klaksonami, migła reflektorami samochodów i na wszelkie inne możliwe sposoby demonstrowała zniecierpliwienie; w pewnej chwili Homer usłyszał nieomylny odgłos czyichś torsji, których efekt lądował na zderzaku. Wreszcie na niebie ukazał się gigantyczny obraz. Pysk jakiegoś stworzenia! – pomyślał Homer. Kamera cofnęła się, i to dość dramatycznym skokiem. Głowa – jakby końska! – zgadywał dalej Homer Wells. Nie był to koń, lecz wielbłąd, ale Homer Wells, który nigdy nie widział wielbłąda, nawet na obrazku, uznał, że ma przed sobą potwornie zdeformowanego konia – końskiego mutanta! Albo koszmarną embrionalną postać konia! Kamera odjeżdżała coraz dalej. Za groteskowym garbem wielbłąda siedział na jego grzbiecie czarnoskóry człowiek, spowity od stóp do głów w biały całun – bandaż! – pomyślał Homer Wells. Ten straszny, czarny arabski koczownik wymachiwał śmiercionośnym, zakrzywionym mieczem: płazem miecza okładał wielbłąda, zmuszając zwierzę do pełnego potknięć, chwiejnego galopu przez bezkresną połąć piasku, na której jeździec i jego wierzchowiec stali się po chwili zaledwie punktem na rozległym horyzoncie. Wtem – muzyka! Homer aż podskoczył. Słowa! Niewidzialna ręka pisała na piasku tytuł i nazwiska aktorów.

– Co to było? – spytał Homer Wally’ego. Chodziło mu o zwierzę, o jeźdźca, o pustynię, o napisy – o wszystko!

– Pewnie jakiś idiota Beduin – bąknął lekceważąco Wally.

„Beduin”? – Homer nie znał tego słowa.

– Czy to gatunek konia? – spytał.

– Jakiego znów konia? – zdziwiła się Debra Pettigrew.

– Tamto zwierzę – uściślił Homer, podejrzewając, że coś pokręcił.

Siedząca z przodu Candy odwróciła się i popatrzyła na Homera z rozdzierającą serce czułością.

– To był wielbłąd, Homerze – powiedziała.

– Nigdy nie widziałeś wielbłąda! – krzyknął Wally.

– A gdzie miał widzieć wielbłąda? – zgasiła go Candy surowym tonem.

– Zdziwiłem się; co wielkiego? – Wally przyjął postawę obronną.

– Murzyna też jeszcze nigdy nie widziałem – przyznał się Homer. – To był Murzyn, tak? Ten na wielbłądzie?

– Przypuszczam, że czarny Beduin – odparł Wally.

– O raj! – szepnęła z niedowierzaniem Debra Pettigrew, patrząc na Homera z niejakim lękiem, jakby podejrzewała go o istnienie symultaniczne na innej planecie, w innej ożywionej postaci.

Skończyły się napisy. Czarna postać na wielbłądzie zniknęła i więcej się nie pojawiła. Zniknęła też pustynia: odegrała widocznie swoją, trudną do określenia, rolę – nie pokazano jej już do końca filmu. Był to film o piratach. Dwa wielkie statki ostrzeliwały się nawzajem z armat; ogorzali, zarośnięci mężczyźni w workowatych spodniach pastwili się niemilosiernie nad mężczyznami o subtelniejszej urodzie, lepiej ubranymi. Żadnych czarnoskórych. Może jeździec na wielbłądzie był tylko złym znakiem – pomyślał Homer Wells. Doświadczenia z literaturą, ograniczone do Charlesa Dickensa i Charlotte Bronte, nie przygotowały Homera na postacie przybywające znikąd i dążące donikąd, ani na opowieści bez wyraźnego sensu.

Piraci zrabowali kufer monet i blondynkę z elegantszego okrętu, okręt zatopili, sami zaś odpłynęli z łupem swoją obmierzłą kryptą, weseląc się alkoholem i wulgarnymi śpiewkami. Z wyraźną lubością naigrawali się z blondynki, ale jakaś tajemna i niczym nie usprawiedliwiona siła powstrzymywała ich przed wyrządzeniem jej krzywdy cielesnej – i to po godzinie znęcania się nad załogą napadniętego okrętu i nad sobą nawzajem. Kobietę oszczędzili sobie do drwin; ona jednak mimo to gorzko żaliła się na los; Homer odniósł wrażenie, że powinien jej współczuć. Mężczyzna,

który najwidoczniej uwielbiał lamentującą blondynkę, gonił za nią po całym oceanie, zawijając po drodze do płonących portów z obskurnymi tawernami, pełnymi domniemanej (choć nie pokazanej na ekranie) rozwiązłości. Gęsta mgła uniemożliwiała pilne śledzenie akcji, lecz Homer i tak nie mógł oderwać oczu od cudów na niebie. Podświadomie odnotował fakt, że Wally i Candy nie interesowali się filmem: zapadli za oparcia przednich foteli i tylko od czasu do czasu dłoń Candy zaciskała się spazmatycznie – lub przeciwnie: wiotczała – na obitej skórą krawędzi. Dwukrotnie Homer usłyszał głos Candy, mówiący: „Nie, Wally!” – raz z nie znaną mu wcześniej stanowczością. Wally na przemian śmiał się, szeptał, mruczał i gulgotał.

Chwilami docierało do Homera, że Debra Pettigrew nie jest tak jak on pochłonięta filmem: wtedy zerkał na nią i dziwił się, że Debra patrzy na niego, a nie na ekran. Nie było w jej spojrzeniu pretensji, ale nie było też sympatii: raczej rosnące zdziwienie obecnością Homera. Film zdawał się nie mieć końca. W pewnej chwili Debra dotknęła ręki Homera, on zaś, myśląc, że czegoś jej potrzeba, spojrzał na nią z uprzejmą gotowością. Debra przez chwilę gapiała się na niego, a potem udała, że ciekawi ją film.

Blondyna raz po raz barykadowała drzwi przed swymi prześladowcami, oni zaś, mimo jej starań, wdzierali się za każdym razem do kajuty – jedynie po to, by jej udowodnić, że nie jest w stanie się od nich odgradzić. Sforsowawszy barykadę, naigrawali się z ofiary, tak jak to mieli we zwyczaju, po czym opuszczali kajutę, a blondyna natychmiast zabierała się do budowy kolejnej zapory.

– Chyba coś przegapiłem – oświadczył Homer Wells po przeszło godzinie projekcji. Candy uniosła się na przednim siedzeniu i spojrzała na Homera ze szczerą troską, której nie umniejszała fryzura w nieładzie.

– Co przegapiłeś? – spytał Wally (jakoś tak sennie – zauważył Homer).

Debra Pettigrew przytuliła się miło do Homera i szepnęła mu wprost do ucha:

– Chyba mnie przegapiłeś. Chyba zapomniałeś, że tu jestem.

Homerowi chodziło o to, że chyba przegapił jakiś istotny wątek filmu, spojrzał więc na Debrę kompletnie zdezorientowany. Debra pocałowała go, bardzo precyzyjnie – bardzo sucho – w same usta, odsunęła się nieco i uśmiechnęła, mówiąc:

– Twoja kolej.

W tej samej chwili Wally uchylił drzwiczki i rozpylił wokół cadillaca śmiercionośne opary, które w znacznej części wtargnęły wraz z powiewem do wnętrza wozu. Candy, Wally i Debra rozkaszleli się bardzo dramatycznie – tylko Homer oparł



się atakowi kaszlu, gdyż patrzył na Debrę Pettigrew i zaczynał powoli pojmować ideę kina dla zmotoryzowanych.

Niepewnie cmoknął Debrę w suche usteczka. Odpowiedziała pocałunkiem. Homer przysunął się do niej, Debra zaś oparła głowę na jego ramieniu, a dłoń na jego piersi. Wtedy Homer też położył rękę na piersi Debry, lecz ona odepchnęła jego dłoń. Homer domyślił się, że znów coś przegapił, ale postanowił iść dalej, metodą prób i błędów. Pocałował Debrę w szyję – to okazało się dopuszczalne: Debra wtuliła usta w jego szyję i jakieś nie znane Homerowi, śmiałe (i wilgotne) stworzenie polizało go w grdykę (jej język!). Homer ośmielił się wystawić własny język na trujące powietrze. Przez chwilę wahał się, jak ma go użyć: postanowił spróbować pocałunku w usta z delikatną sugestią zastosowania języka właśnie tam – jednak ten manewr spotkał się z gwałtownym protestem: język Debry wypchnął gwałtownie język Homera, a zęby Debry zablokowały mu dalszą drogę.

Homer zaczął podejrzewać, że ma do czynienia ze sztywnym kanonem przywilejów i zakazów: wolno mu było, na przykład, gładzić Debrę po brzuszku, ale głaskanie piersi było surowo zabronione. Wolno było opierać dłoń na jej biodrze; co więcej – druga dłoń, oparta wysoko na jej udzie, spotkała się z wyraźną zachętą do przesunięcia wyżej. Debra zarzuciła Homerowi ramiona na szyję i mocno się do niego przytuliła. Jej pocałunki, przyjazne i słodkie, sprawiły, że Homer poczuł się jak rozpieszczony piesek pokojowy – na pewno lepiej traktowany niż większość sfory rodziny Pettigrew.

– Nie! – Candy powiedziała to tak dobitnie, że Homer i Debra Pettigrew aż podskoczyli; zaraz potem Debra zachichotała i mocniej przytuliła się do Homera. Homer Wells wygiął głowę do tyłu i spojrział w górę: w ten sposób mógł śledzić akcję filmu.

Niezmordowany amant wytropił wreszcie swoją blondynę, ta jednak – głupia baba – znów się zabarykadowała: tym razem broniła cnoty przed wybawicielem. Naprawdę żal było patrzeć, jak biedak wali czym popadło w zawarte drzwi kajuty.

W zdradliwej mgłę z któregoś samochodu dobył się okrzyk widza: „Zostaw ją!” Ktoś inny krzyknął: „Załatw ją!” Jednego Homer był absolutnie pewien: nikt tej blondyny nie wydmucha – przed stosunkiem cielesnym i przed śmiercią chroniła ją otoczka równie nieuchwytna, jak mgła w Cape Kenneth. Homer wiedział też, że żadne z nich czworga zamkniętych w cadillacu nie przekroczy tego wieczora bariery przyjemności godnych czworonożnego pupilka salonów.

Wraz z tą świadomością naszło Homera wspomnienie o uczuciu, jakim go darzył doktor Larch – i siostra Edna, i siostra Angela. Kiedy film się skończył, Homer stwierdził, że płacze: zrozumiał bowiem, że chociaż kocha swoje obecne życie, to najbardziej na świecie kocha doktora Larcha – jeszcze wtedy kochał doktora Larcha mocniej niż Candy; i zrozumiał, że tęskni za doktorem Larchem – a jednocześnie marzy, aby nigdy więcej jego noga nie powstała w St. Cloud's.

Homer płakał, miotany burzą uczuć, ale Debra Pettigrew mylnie to sobie zinterpretowała: uznała, że to film tak rozczulił Homera.

– No, no, nie trzeba – uspokajała go matczynym tonem, tuląc w uścisku. Candy i Wally odwrócili się ku nim i Candy pogłaskała Homera po głowie.

– W porządku – powiedziała. – Popłacz sobie. Ja często płacę w kinie.

Nawet Wally okazał Homerowi głębokie zrozumienie i szacunek.

– Hej, stary – rzekł. – Rozumiemy, jaki to dla ciebie szok. – Jego nieszczęsne serce – zmartwił się w duchu dobry Wally. Biedaku – myślała Candy – proszę cię, oszczędzaj serce. Przytuliła policzek do policzka Homera i pocałowała go w okolicę ucha. Zaskoczyło ją, jaki przyjemny był ten przyjacielski pocałunek; Homera Wellsa też to zaskoczyło. Debra Pettigrew nie żałowała mu całusów – a mimo to jakże innego, wszechogarniającego wzruszenia doznał w chwili dotknięcia ust Candy. Fala tego wzruszenia wyrzuciła go znikąd na powierzchnię – lecz jeden rzut oka na troskliwe, przystojne oblicze Wally'ego uprzytomnił Homerowi, że uczucie to skazane jest na powrót donikąd. Czyżby tym właśnie była miłość? Czyżby tak właśnie nachodziła człowieka – nie dając żadnych szans na ciąg dalszy? Jak czarnoskóry jeździec na wielbłądzie, dla którego nie ma miejsca w filmie o piratach?

To ja jestem tym czarnoskórym jeźdźcem na wielbłądzie – pomyślał Homer Wells, sierota. Jak tamten się nazywał?

Później, kiedy już odprowadził Debrę Pettigrew do domu i cudem uniknął pożarcia przez psy, Homer zadał to pytanie Wally'emu. Siedział teraz na przednim fotelu cadillaca, obok Candy wciśniętej między niego a Wally'ego.

– Beduin – odparł Wally.

Jestem Beduinem! – powiedział sobie w duchu Homer Wells.

Candy usnęła i zaczęła się osuwać na Wally'ego, co przeszkadzało Wally'emu prowadzić, więc delikatnie pchnął Candy na stronę Homera. Resztę drogi do Heart's Haven Candy przespała z głową na ramieniu Homera, lekko muskając włosami jego twarz. Gdy zajechali pod akwarium Raya Kendalla, Wally zgasił silnik i szepnął:

– Hej tam, śpiochu!

Ale Candy obudziła się dopiero, kiedy pocałował ją w usta. Wyprostowała się gwałtownie, przez moment nie bardzo wiedziała, gdzie jest, a potem surowym spojrzeniem zmierzyła i Wally'ego, i Homera – jakby niepewna, który z nich ją przed chwilą pocałował.

– Spokojnie – roześmiał się Wally. – Jesteś w domu.

W domu – pomyślał Homer Wells. Wiedział, że dla Beduina, który przychodzi znikąd i dąży donikąd, nie ma domu.

W sierpniu tego samego lata jeszcze jeden Beduin porzucił miejsce, które było mu domem: Curly Day przeprowadził się z St. Cloud's do Boothbay, gdzie niedawno osiedlił się i rozpoczął działalność usługową pewien młody aptekarz z żoną. Doktor Larch miał swoje zastrzeżenia do młodej pary, ale nie równoważyły one obaw związanych z perspektywą jeszcze jednej zimy Curly'ego Daya w St. Cloud's. Z końcem lata kończyły się właściwie wizyty chętnych do adopcji; potem można było liczyć na parę najwyżej pogodnych dni w początkach jesieni. A Curly Day, od dnia wyjazdu Homera Wellsa, coraz bardziej tracił optymizm i życzliwy stosunek do życia: nigdy do końca nie uwierzył, że Homer nie skradł mu podstępnie pięknej pary, którą łaskawy los przeznaczył był przecież jemu – Curly'emu.

Aptekarstwo nie grzeszyli urodą. Mieli pieniądze i dobre serca, ale nie urodzili się do łatwego życia i nie wyglądali na takich, którzy umieliby się z wdziękiem pławić w luksusie. Wszystko, co osiągnęli, osiągnęli ciężką pracą. Ich idea pomocy bliźniemu sprowadzała się do wpojenia mu nawyku ciężkiej pracy. Zgłosili zapotrzebowanie na starszą sierotę – dziecko, które mogłoby parę godzin dziennie, po szkole, pomagać w aptece.

Bezdzietność swoją przyjmowali aptekarstwo jako wolę Bożą i zgodnie doszli do wniosku, że Pan Bóg połączył ich po to, aby wzięli na wychowanie podrzutka i nauczyli go, jak żyć samodzielnie i jak się doskonalić. W nagrodę za pilność sierota miał dziedziczyć po nich aptekę – czyli źródło środków, z których będzie adoptowanych rodziców utrzymywać na starość (zdaje się, że pilnie przez oboje młodych wyglądaną).

Wyznawali wiarę chrześcijańską i praktyczne podejście do życia, zaprawione niejakim ponuractwem, które doktor Larch dostrzegł w ich relacji o płonnych próbach wydania na świat własnego potomka. Przed bezpośrednim spotkaniem, w trakcie wymiany korespondencji, doktor Larch miał nadzieję, że przekona ich, aby nie

zmieniali Curly'emu imienia. Ledwie ich jednak poznał, zrozumiał, że nie ma na to szans: młody aptekarz był kompletnie łysy (tak że Larch podejrzewał go o zastosowanie w przeszłości nie sprawdzonego preparatu chemicznego), jego żona natomiast miała cienkie, przyлизane kosmyki. Widok obfitej, kędzierzawej czupryny Curly'ego Daya podzielał na oboje elektryzująco; doktor Larch nie wątpił, że jedna z pierwszych wspólnych eskapad tej trójki skończy się u fryzjera.

Curly tak samo zachwyił się aptekarzostwem, jak aptekarzostwo jego imieniem. Ale Curly nie mógł już wytrzymać w St. Cloud's. Zarazem – Larch to widział – nie tracił nadziei na adopcję jak z bajki, na opiekunów promieniejących obietnicą nowego życia, jak Candy i Wally. O nieciekawej parze z Boothbay Curly Day miał dokładnie tyle do powiedzenia:

– Nic im nie brakuje. Mili są, tak przypuszczam. A Boothbay rzeczywiście leży na wybrzeżu. Myślę, że ocean mi się spodoba.

Larch nie powiedział mu, że jego adoptowani rodzice nie należą do entuzjastów żeglarstwa, plaży ani nawet wędkarstwa; podejrzewał, że dla tych ludzi zabawa w wodzie i na wodzie jest zajęciem frywolnym, godnym tylko turystów. Larch sam tak uważał. Przypuszczał ponadto, że latem apteka działa do zmroku, a młoda para pracusiów nigdy jej nie opuszcza, całymi dniami sprzedając letnikom olejek do opalania i czerpiąc dumę z własnej trupiej białości.

– Nie trzeba zbytnio grymasić, Wilburze – perswadowała doktorowi siostra Edna. – Spójrz na to od innej strony: jeśli chłopiec zachoruje, będą mieli pod ręką wszystkie potrzebne pigułki i środki na kaszel.

– Dla mnie on nigdy nie przestanie być Curlym – oświadczyła bojowo siostra Angela.

A co gorsza – dodał w duchu Larch – on nigdy nie przestanie być Curlym dla Curly'ego. Mimo to Larch odprawił Curly'ego Daya z St. Cloud's – czas był po temu najwyższy i to był właściwie jedyny powód, dla którego doktor Larch podjął trudną decyzję.

Młodzi aptekarzostwo nosili nazwisko Rinfret. Curly'ego przewali „Roy”. Roy „Curly” Rinfret zamieszkał w Boothbay, w aptece Rinfretów, z wejściem od strony zatoki. Właściwy dom Rinfretów stał o kilka kilometrów w głąb lądu, skąd morza nie było widać. „Ale je czuć” – zapewniła pani Rinfret, dodając zaraz, że tylko przy odpowiednim wietrze.

To nie na nos Curly'ego! – pomyślał sobie doktor Larch. Curly'emu wiecznie leciało z nosa; doktor Larch miał wątpliwości, czy chłopiec zachował choćby resztki powonienia.

– Cieszymy się razem z Curlym Dayem – obwieścił doktor Larch na oddziale chłopców pewnego sierpniowego wieczoru w roku 194-. Towarzyszyło mu miarowe pochlipywanie Dawida Copperfielda. – Curly Day znalazł dom. Dobranoc, Curly!

– Branoc, Burly! – chlipnął rozpaczliwie mały Copperfield.

W blasku księżyca, lejącym się szeroką strugą przez okno do pokoju Wally'ego, Homer Wells czytał po raz nie wiedzieć który list o adopcji Curly'ego Daya. Wally już spał.

Aptekarz! Homer Wells tak się zaniepokoił tą wiadomością, że aż podzielił się nią z Wallym i Candy. Parę godzin wcześniej siedzieli na pomoście Raya Kendalla i wrzucali do wody ślimaki. Plum! Plum! – lądowały w wodzie pobrzeżki, a Homer Wells gadał i gadał: o formułce „Cieszymy się razem z Curlym Dayem”, i tak dalej; o tym, jak czuje się człowiek nazwany Księciem Maine i Królem Nowej Anglii...

– Chyba zawsze wyobrażałem sobie kogoś takiego jak ty – wyznał Homer Wally'emu.

Candy przypomniała sobie wówczas, jak doktor Larch mówił do niej, że będzie rodziła Książęta Maine i Królów Nowej Anglii.

– Nie rozumiałam, o co mu chodzi – rzekła Candy. – Czułam, że mówi coś miłego, ale nie rozumiałam, co.

– Ja myślę, że to było różnie; że każdy z was wyobrażał sobie inną postać. – Wally skromnie nie chciał uznać, że właśnie on odpowiada potocznym wyobrażeniom królewicza i króla.

– Ale jest w tym i trochę drwiny – zauważyła Candy. – Ja nadal nie rozumiem do końca słów doktora.

– Zgadza się – przyznał Wally. – Brzmi to trochę cynicznie.

– Może i tak – nie upierał się Homer Wells. – Może on to mówił do siebie, a nie do nas.

Opowiedział im też o Melony, ale nie wszystko. Potem wziął głęboki wdech i zaczął mówić o Fuzzym Stone'ie. Tak świetnie naśladował pracę maszyny do oddychania, że Candy i Wally pokładali się ze śmiechu, zagłuszając pluskanie wpadających do morza ślimaków. Nie zorientowali się nawet, kiedy Homer dotarł do końca opowieści.

– Fuzzy Stone znalazł nową rodzinę – zacytował Homer. – Dobranoc, Fuzzy – zakończył martwym głosem.

Zamilkli nagle: ani ślimak nie plusnął; morze łąsiło się do filarów pomostu, zacumowane dookoła łódki bujały się na fali. Od czasu do czasu napięta cuma wyłaniała się spod wody i słychać było, jak kapie z niej do morza; grube cumy przy rozciąganiu wydawały taki odgłos, jakby ktoś zgrzytał zębami.

– Curly Day był pierwszym chłopcem, którego sam obrzezałem – przerwał ciszę Homer, żeby już nie myśleć o Fuzzym Stone'ie. – Doktor Larch mnie pilnował – dodał – ale muszę powiedzieć, że obrzezanie nie jest trudnym zabiegiem; właściwie jest całkiem łatwe. – Wally poczuł lekkie, ślimakowate poruszenie własnego penisa. Równocześnie Candy doznała skurczu w łydce, więc przestała dyndać zwieszonymi z pomostu nogami i podciągnęła kolana pod brodę. – Curly był pierwszy – powtórzył Homer. – Ciąłem trochę na bakier – przyznał się.

– Możemy podjechać do Boothbay i sprawdzić, jak mu się wiedzie – zaproponował Wally.

Co byśmy tam zastali? – spróbowała sobie wyobrazić Candy. Curly kojarzył jej się tylko z siusianiem w samochodzie i zapewnieniami, że on jest najgrzeczniejszy.

– To chyba nie najlepszy pomysł – powiedział Homer.

We dwóch z Wallym wrócili do Sadów Z Widokiem, gdzie Homer napisał do doktora Larcha długi list – najdłuższy od dnia wyjazdu. Usiłował opisać doktorowi kino dla zmotoryzowanych, ale list zaczął się przekształcać w recenzję filmową, więc Homer zaczął szukać innego tematu.

Może napisać doktorowi o Herbie Fowlerze i jego prezerwatywach? (Homer był pewien, że chociaż doktor Larch szczerze popiera stosowanie prezerwatyw, to Herb Fowler wcale by mu się nie spodobał.) Więc może pochwalić się, że odkrył rzeczywisty cel istnienia kin dla zmotoryzowanych? Chodziło o doprowadzenie siebie i osoby towarzyszącej do stanu seksualnego wrzenia, który dla żadnej ze stron nie znajdował ujścia – proste, nie? (Doktor Larch z pewnością nie pochwaliby takiej koncepcji.) W takim razie Homer mógłby napisać mu o tym, co mówiła i robiła Grace Lynch, i o fantazjach, jakie miewał w związku z nią – albo o tym, że chyba lada dzień się zakocha (może już się zakochał?) w Candy (chociaż wiedział, że tego mu nie wolno). A przede wszystkim: jak powiedzieć „Tęsknię za panem”, żeby to jednocześnie nie znaczyło „Chcę wrócić”?

Z tego wszystkiego Homer zakończył list po swojemu – czyli niejasno. „Pamiętam, jak mnie pan kiedyś ucałował. Nie spałem: udawałem” – napisał.

Ja też pamiętam – pomyślał, czytając to, doktor Larch. Odpoczywał w pokoju zabiegowym. Dlaczego ja go częściej nie całowałem? – wyrzucał sobie. Czemu nie codziennie? A gdzie indziej na świecie – rozmarzył się – mają kina dla zmotoryzowanych!

Zawsze nadużywał eteru przed dorocznym spotkaniem rady nadzorczej St. Cloud's. Nigdy nie pojął do końca sensu istnienia rady nadzorczej, a rutynowe przesłuchania napawały go z roku na rok coraz większym wstrętem. Znał z dawnych czasów stanową komisję lekarską Maine: ta nigdy mu nie zadawała żadnych pytań ani nie żądała, by się z nią kontaktował. A teraz wszystko ma swoją radę nadzorczą! – tak się przynajmniej Larchowi wydawało. W tym roku rada powiększyła się o dwoje członków, którzy nie widzieli jeszcze sierocińca, toteż spotkanie postanowiono odbyć w St. Cloud's, a nie jak zwykle w Portland. Nowi członkowie rady mieli ochotę zwiedzić placówkę, a starzy uznali, że chętnie odświeżą dawne wrażenia.

Dzień wstał piękny, sierpniowy; więcej miał w sobie rześkości września niż dusznej, mglistej, czerwcowej gorączki – mimo to Larch był od rana nie w humorze.

– W gruncie rzeczy dalej nie wiem, na czym polega kino dla zmotoryzowanych – zwrócił się z irytacją w głosie do siostry Angeli. – W gruncie rzeczy Homer niczego nie wyjaśnia.

– To prawda – przyznała z żalem siostra Angela, czytając list po raz kolejny.

– Co widzowie robią z samochodami? – usiłowała dociec siostra Edna.

– Trudno orzec – odparł Larch. – Skoro „kino dla zmotoryzowanych”, to przypuszczam, że tam wjeżdżają i siedzą w samochodach.

– No ale gdzie wjeżdżają, Wilburze? – zadała kluczowe pytanie siostra Edna.

– Tego właśnie nie wiem! – wściekł się Larch.

– Niezły mamy dzisiaj humorek – zauważyła siostra Angela.

– Po pierwsze: na co komu auto w kinie? – dziwiła się niezmordowanie siostra Edna.

– Na to też nie potrafię odpowiedzieć – odparł Larch śmiertelnie znużonym tonem.

Niestety, znużenie to było po nim widać na zebraniu rady nadzorczej. Siostra Angela próbowała ratować sytuację, podkreślając w imieniu doktora zalety prowadzonej przez nich instytucji – chciała za wszelką cenę nie dopuścić do tego, by doktor Larch potraktował grubiańsko któregoś z członków rady. Dwoje nowych

członków, młodszych niż pozostali, skwapliwie i z entuzjazmem deklaroowało, że absolutnie wszystko pojmują: właśnie w związku z nimi siostra Angela dostrzegła w oku doktora Larcha błysk, zarezerwowany swego czasu tylko dla Klary – gdy doktor Larch stwierdzał, że Homer znów zapomniał schować trupa.

Szczególnie agresywnie zachowywała się nowo przyjęta do rady dama, specjalistka od pozyskiwania funduszy. Była to wdowa po misjonarzu kościoła kongregacyjnego, który popełnił samobójstwo w Japonii. Wróciła do rodzinnego stanu Maine z gorliwym zamiarem służenia rzeczom „wykonalnym”. W Japonii, jej zdaniem, nic nie było „wykonalne”; w porównaniu z Japonią, stan Maine nie miał problemów nie do rozwiązania. Twierdziła, że stanowi Maine potrzeba tylko jednej rzeczy: właściwej organizacji, i miała jedną ogólną receptę na rozwiązywanie problemów: zaczynać od „świeżej krwi”. „Świeża krew” wracała w jej monologu co parę zdań: za każdym razem, jak zauważyła siostra Angela, doktor Larch bladł jeszcze bardziej, właśnie jakby stopniowo uchodziła zeń krew.

– Niezbyt to fortunne wyrażenie dla tych z nas, którzy mają styczność ze szpitalem – zauważył raz kąśliwie doktor Larch, ale dama (pani Goodhall) wyraźnie nie poczuła ukąszenia.

Dobitnie, aczkolwiek chłodno, wyraziła swój podziw dla konsekwentnej nieustępliwości, z jaką doktor Larch kieruje „przedsięwzięciem”, oraz szacunek dla doświadczenia doktora i jego asystentek w administrowaniu St. Cloud’s, wyrażając przy tym sugestię ożywienia „przedsięwzięcia” przez zatrudnienie kogoś młodszego.

– Przydałby się tu młody, ofiarny internista o nowoczesnym podejściu do dziedziny położnictwa – zasugerowała pani Goodhall.

– W sprawach medycznych jestem na bieżąco – zapewnił ją doktor Larch. – I radzę sobie, jak dotąd, z odbieraniem wszystkich porodów.

– Więc może raczej nowy asystent administracyjny? – nie ustępowała pani Goodhall. – Panu pozostawilibyśmy stronę medyczną. Mam na myśli osobę obeznaną z nowymi przepisami adopcyjnymi albo po prostu kogoś, kto załatwiałby za pana korespondencję i przeprowadzał rozmowy z kandydatami.

– Przydałaby się nowa maszyna do pisania – burknął doktor Larch.

– Skoro państwo tak łaskawi, to proszę mi się wystarać o nową maszynę do pisania, a asystenta zostawić sobie albo przydzielić komuś, kto naprawdę potrzebuje pomocy.

Drugim nowym członkiem rady był psychiatra – nowicjusz w tej dziedzinie, która w Maine, w roku 194-, była sama w sobie nowością. Nazywał się Gingrich i do



wszystkich osób – nawet świeżo poznanych – odnosił się w sposób mający dowodzić, że świetnie rozumie ciężące im stresy; nie wątpił, że każdy człowiek podlega ciężkim stresom. Nawet gdy miał rację (co do konkretnych stresów dokuczających konkretnym osobom) i nawet jeśli zainteresowany się z nim zgadzał (co do tego, że stres istnieje i dokucza), doktor Gingrich całą swoją postawą sugerował, że świadom jest wszystkich innych stresów dręczących daną osobę (stresów, których osoba nawet nie podejrzewa). Dla przykładu, gdyby doktor Gingrich oglądał film zaczynający się sceną z Beduinem na wielbłądzie, wyciągnąłby wniosek, że pojmana niewiasta odczuwa pilną potrzebę wyjścia za mąż za kogokolwiek – mimo iż jej samej wydawało się, że chce tylko odzyskać wolność. W spojrzeniu i uśmiechu doktora Gingricha czaiło się jakieś lepkie współczucie, na które rozmówca mógł w ogóle nie zasługiwać, a ton jego głosu, łagodny i rozwlekły, kazał domyślać się, że doktor Gingrich wie, iż w życiu wszystko jest znacznie bardziej subtelne, niż podejrzewamy.

Starsi członkowie rady – sami panowie, podstarzali jak doktor Larch – zdradzali wyraźne onieśmielenie wobec nowego kolegi, który przemawiał aksamitnym szeptem, i nowej koleżanki, która dobitnie deklamowała swoje opinie. Ci dwoje stanowili zgrany tandem pewności siebie; swoją rolę w radzie nadzorczej rozumieli nie jako doświadczenie życiowe i nawet nie jako okazję do poznania życia sierot, lecz jako szansę dyrygowania otoczeniem.

Ładne rzeczy! – westchnęła w duchu siostra Edna.

Będą kłopoty, jakby jeszcze było mało! – pomyślała siostra Angela. Dobrze wiedziała, że wcale by nie zaszkodziło zatrudnić młodego internistę albo administratora – rzecz w tym, że Wilbur Larch strzegł możliwości przeprowadzania aborcji. Nie mógł się zgodzić na nowego pracownika, nie znając jego przekonań.

– Drogi doktorze Larch – zamruczał cicho doktor Gingrich – pan wie doskonale, że nie posądzamy go o to, iż nie daje rady.

– Czasami sam się o to posądzam – Larch przyjął postawę obronną – czemu więc państwo nie mieliby tak uważać.

– Pan z pewnością podlega wielkim stresom – rzekł doktor Gingrich. – Człowiek obarczony pańską odpowiedzialnością powinien mieć jak najwięcej ludzi do pomocy.

– Człowiek obarczony moją odpowiedzialnością powinien strzec swojej odpowiedzialności – odparował Larch.

– Przy tak wielkich stresach, jakim pan podlega – nie ustępował Gingrich – nie dziwi lęk przed scedowaniem choćby części tej odpowiedzialności na asystenta.

– Już mówiłem, że bardziej potrzebna mi maszyna do pisania niż pomocnik – odparł buntowniczo Larch; kiedy jednak na chwilę przymknął oczy, ujrzał rój skrzących się gwiazdek: takie gwiazdki zdobiły niebo Maine w pogodnej nocy; takie same dekorowały eterowy firmament – doktor Larch nie był pewien, na które z nich patrzy. Potarł czoło. Zauważył, że pani Goodhall gryzmoli coś w zastraszająco grubym notesie, który przez cały czas trzymała przed sobą.

– Ustalmy fakty – zaproponowała pani Goodhall tonem (zwłaszcza przez kontrast z aksamitnym szeptem doktora Gingricha) ostrym jak brzytwa. – Jeśli się nie mylę, dobiega pan siedemdziesiątki. Albo nawet jest pan po siedemdziesiątce, nieprawdaż?

– Prawdaż. Jestem po siedemdziesiątce – przyznał Larch.

– A ile lat ma pani Grogan? – spytała pani Goodhall zniechęta, tak jakby pani Grogan była nieobecna albo ze starości niezdolna do samodzielnej odpowiedzi na jakiegokolwiek pytanie.

– Sześćdziesiąt dwa – odparła z godnością pani Grogan. – I jestem jeszcze szybka jak fryga!

– Któż śmiałyby w to wątpić! – zachnął się nieszczerze doktor Gingrich.

– A siostra Angela? – ciągnęła przesłuchanie pani Goodhall, nie podnosząc oczu na indagowanych, gdyż notowanie pochłaniało ją bez reszty.

– Pięćdziesiąt osiem – powiedziała siostra Angela.

– Angela jest silna jak koń! – dodała pani Grogan.

– Nie wątpimy w to! – zaśmiał się nieszczerze doktor Gingrich.

– Ja mam pięćdziesiąt pięć albo pięćdziesiąt sześć – obwieściła siostra Edna, nie czekając, aż ją zapytają.

– Nie pamięta pani, ile ma lat? – uśmiechnął się znacząco doktor Gingrich.

– Wszyscy tu cierpimy na zaawansowaną sklerozę – wyręczył siostrę Ednę doktor Larch. – Nie pamiętamy dat swoich urodzin, tylko tak mniej więcej. Starość... Ale pani? – zwrócił się nieoczekiwanie do pani Goodhall, zmuszając ją do podniesienia oczu znad notesu. – Pani, widzę, ma tak beznadziejnie słabą pamięć, że każde słowo musi zapisywać.

– Usiłuję uzyskać obraz tutejszej rzeczywistości – odparła pani Goodhall, niewzruszona jak głaz.

– W takim razie niech pani lepiej mnie posłucha – poradził jej Larch. – Siedzę tu wystarczająco długo, aby obraz rzeczywistości zdążył mi się wyklarować.

– Doceniamy wspaniałość pańskiego dzieła! – zapewnił doktora Larcha doktor Gingrich. – Widzimy również, jak wielkiego wysiłku to dzieło wymaga.

Doktor Gingrich ociekał wprost współczuciem i życzliwością – Larch poczuł się przesiąknięty jego dobrocią i wdzięczny był losowi, że nie siedzi w zasięgu ręki doktora Gingricha: doktor Gingrich bez wątpienia należał do gatunku dotykaczy.

– Nie chciałbym nadużywać dobrej woli państwa – odezwał się Larch – ale byłoby mi miło móc zatrzymać starą maszynę do pisania, kiedy otrzymam nową.

– Sądzę, że to jest do załatwienia – powiedziała pani Goodhall.

Siostra Edna, której obce były przebłyski intuicji i (choć była w stosownym wieku) nagłe uderzenia krwi, jak również wszelkie wróżby, znaki i przepowiednie – poczuła, jak gdzieś z okolic żołądka narasta w niej nieznana, zapierająca dech agresja. Stwierdziła, że wpatruje się w panią Goodhall z nienawiścią, o jaką by się nigdy nie podejrzewała. Toż to wróg! – olśniło ją; po czym musiała przeprosić i wyjść z pokoju, gdyż czuła się niezdrowa. (Istotnie, uczucie to znalazło namacalny upust w ustroniu łazienki chłopców.) Siostrę Ednę wytropił tylko Dawid Copperfield, wciąż oplakujący odejście Curly’ego Daya i nadal cierpiący na kłopoty z wymową.

– Medna? – zagadnął niepewnie mały Copperfield.

– Nic mi nie jest, Dawidzie – zapewniła go siostra Edna, ale kłamała: coś jej było. Widziałam koniec – powiedziała sobie z nie znaną wcześniej goryczą.

Larch też widział koniec. Ktoś mnie zastąpi – uświadomił sobie. I to niebawem. Zerknął w kalendarz: na następny dzień miał zaplanowane dwie aborcje, a pod koniec tygodnia jeszcze trzy „ewentualne”. Nie licząc niespodziewanych zgłoszeń, które zawsze się zdarzały.

Co będzie, jak przyślą kogoś, kto odmawia? – przestraszył się.

Nową maszynę do pisania dostał w samą porę, aby móc rozwinąć plan z Fuzzym Stone’em w roli głównej.

„Uprzejmie dziękuję za nową maszynę” – napisał doktor Larch w liście do rady nadzorczej. Przybyła, dodał „w samą porę”, ponieważ stara (którą, jak rada być może pamięta, pragnął zatrzymać) stała się nie do użytku. Doktor Larch skłamał: po wymianie klawiszy, stara maszyna wystukiwała teraz historię nowego bohatera.

Wystukiwała listy od Fuzzy’ego Stone’a. W pierwszym z nich Fuzzy Stone spieszył donieść doktorowi Larchowi, że marzy o zostaniu w przyszłości lekarzem, którą to decyzję podjął z inspiracji doktora Larcha.

„Wątpię, abym miał kiedykolwiek podzielać zdanie Pana Doktora w sprawie aborcji” – pisał Fuzzy. „Położnictwo niezmiernie mnie pociąga, w czym wielką rolę

odegrał Pański przykład, ale myślę, że co do aborcji, nigdy się nie zgodzimy. Wiem, że Pan sam przeprowadza zabiegi aborcji w najlepszej wierze i z najszczerzych intencji; proszę mi jednak wybaczyć, że pójdę za głosem sumienia.”

I tak dalej, i tak dalej. Larch objął korespondencją całe przeszłe lata; sięgnął też w przyszłość, pozostawiając kilka pustych miejsc do wypełnienia, gdy nadejdzie stosowna pora. Realizował na papierze edukację medyczną doktora F. Stone’a (posłał go na akademię, potem do świetnej kliniki położniczej na praktykę; w listach znalazło się nawet parę dokładnie opisanych przez doktora Stone’a nowoczesnych metod, innych niż stosowane przez doktora Larcha). Co do aborcji, Fuzzy Stone trwał niezłomnie przy dawnych poglądach.

„Pan wybaczy, ale ja wierzę w istnienie duszy od momentu poczęcia” – pisał Fuzzy Stone. Z wiekiem wyrażał się coraz bardziej pompatycznie, jego słowa wdzięczności pod adresem doktora Larcha nie zawsze brzmiały szczerze, pozwalał sobie nawet na wyniosłość, typową dla ucznia, kóremu się wydaje, że przerósł mistrza. Larch wyposażył Fuzzy’ego Stone’a w żelazną pewność własnych racji, gdyż cechę tę uważał za bliską sercom wszystkich zwolenników panującej ustawy antyaborcyjnej.

Posunął się wręcz do tego, że doktor Stone zaofiarował się sam zastąpić doktora Larcha w St. Cloud’s – „naturalnie nie wcześniej, niż Pan Doktor zdecyduje się odejść na emeryturę!” – chcąc mu niejako dowieść, że prawo powinno być przestrzegane, że aborcji nie wolno wykonywać, lansując w zamian bezpieczny i ogólnodostępny program planowania rodziny (kontrola urodzeń, itp.), który szybko wyda oczekiwane owoce („...bez łamania praw boskich i ludzkich” – wiarygodnie argumentował irytujący Fuzzy Stone).

„Oczekiwany owocem” – tu doktor Larch i doktor Stone w pełni się zgadzali – było przychodzenie na świat jak najmniejszej liczby nie chcianych dzieci. „Mnie się udało: jestem szczęśliwy, że żyję!” – gruchał słodko młody doktor Stone. Gada jak misjonarz! – pomyślał doktor Larch. Idea uczynienia z Fuzzy’ego misjonarza spodobała się doktorowi Larchowi z kilku powodów – między innymi z tego, że Fuzzy nie potrzebowałby dyplomu lekarskiego, gdyby wyjechał ze swoimi czarami w jakieś odległe, mało cywilizowane strony.

Larch męczył się, ale nie ustawał w pisaniu: „maszyna Fuzzy’ego” (ta stara) nie służyła niczemu poza „listami od Fuzzy’ego”, a na nowej doktor Larch pisał odpowiedzi (przez kalkę, żeby móc powoływać się na „dialog” z młodym doktorem Stone’em w *Krótkiej historii St. Cloud’s*).

Wymyślił sobie, że korespondencja urwie się gwałtownie po kategorycznej odmowie doktora Larcha na propozycję, aby go zastąpił ktoś, kto nie chce wykonywać zabiegów aborcji. „Zamierzam ciągnąć do upadłego” – oświadczył w odpowiedzi Fuzzy’emu. – „Nie dopuszczę, aby zastąpił mnie u nas w St. Cloud’s jakiś skretyniały, reakcyjny fanatyk, czulszy na punkcie skrupułów własnej słabowitej duszy niż na punkcie cierpień nieprzeliczonych rzesz nie chcianych i maltretowanych dzieci. Żałuję, że zostałeś lekarzem!” – łajał Fuzzy’ego korespondencyjnie doktor Larch. „Żałuję cennych studiów, zmarnowanych na kimś, kto odmawia pomocy żywym z racji przesądów na temat nie narodzonych. Nie jesteś lekarzem, jakiego nam potrzeba w tutejszym sierocińcu, i chyba po moim trupie zajmiesz kiedykolwiek moje miejsce!”

Doktor Stone odpowiedział krótko i chłodno: przez pewien czas wahał się między długiem wdzięczności wobec doktora Larcha a „większym zapewne długiem wobec społeczeństwa i przyszłych rzesz pomordowanych istot poczętych”; na koniec, chociaż nie przyszło mu to łatwo, usłuchał głosu sumienia i nie „wydał” doktora Larcha... „władzom”. Zabrzmiało to złowieszczo.

To kawał świetnej literatury! – pomyślał zadowolony z siebie Wilbur Larch. Twórczość pisarska pochłonęła go do końca sierpnia 194-. Chciał doprowadzić do konkretnych rozwiązań, zanim Homer Wells wróci do St. Cloud’s po wakacyjnej pracy.

Wilbur Larch wykreował swojego następcę – osobnika do przyjęcia dla każdego władz. Wyposażył go nie tylko w wysokie kwalifikacje położnicze, lecz i we wnikliwą znajomość sierocińca (w którym Fuzzy wychowywał się od urodzenia). Stworzył zarazem kłamstwo doskonałe, gdyż doktor F. Stone, którego Wilbur Larch faktycznie miał na myśli, jak najbardziej zamierzał wykonywać aborcje, figurując zarazem w aktach jako ich zdecydowany przeciwnik. Gdyby teraz przyszło Larchowi odejść na emeryturę (albo gdyby został przyłapany, co zawsze brał pod uwagę) – miał gotowego godnego następcę. Nie znaczy to, iż Larch uznał portret Fuzzy’ego za ukończony: mogło się z czasem okazać, że taka ważna postać wymaga pewnych korekt.

Wilbur Larch leżał w pokoju zabiegowym, otoczony podwójnym firmamentem nocnego nieba Maine i eteru. Przydzielił Fuzzy’emu Stone’owi rolę życiową znacznie przekraczającą znane mu dobrze możliwości Fuzzy’ego. Nieszczęsny Fuzzy, ofiara niesprawnego aparatu oddechowego, nie mógłby sobie nawet tej roli wyobrazić.

Pozostaje tylko jeden problem – powiedział sobie pogrążony w gwiazdnym otumanieniu Wilbur Larch: jak namówić Homera do odegrania roli?

Homer Wells patrzył na prawdziwe gwiazdy nad Maine i na sady, widoczne w mdłym blasku księżyca przez okno sypialni Wally'ego. Coś nagle błysnęło za tym jedynym sadem, z którego można było dostrzec ocean. Homer poruszył głowę w górę i w dół i błysk przemienił się w sygnał: słaby sygnał, przywodzący na pamięć tamtą noc, kiedy głębokie lasy Maine nie zwróciły Homerowi wołania i wykrzyczane do Fuzzy'ego Stone'a życzenie dobrej nocy pozostało bez echa.

Wtem Homer zrozumiał, skąd pochodzi błysk. Na blaszanym dachu tłoczni musiała zostać jedna nieduża – nie większa niż ostrze noża – wypolerowana plamka i ona to właśnie odbijała nikły blask księżyca. Samotne nocne światełko należało do tych dziwnych zjawisk, które, nawet nazwane i zidentyfikowane, nie dają człowiekowi spokoju.

Nic nie pomagało wsłuchiwanie się w miarowy oddech Wally'ego. Rzecz w tym – przyznał się Homer sam sobie – że jestem zakochany w Candy. To Candy rzuciła pomysł, aby Homer nie wracał do St. Cloud's.

– Mój ojciec przepada za tobą – przekonywała Homera. – Na pewno znajdzie ci zajęcie na łodzi albo przy akwarium.

– Moja matka za tobą przepada – sekundował jej Wally. – Na pewno chętnie dalej zatrudni cię w sadzie, zwłaszcza na sezon zbiorów. Poza tym jej się zawsze przykrzy, kiedy ja wracam do college'u. Założę się, że z wielką radością zatrzyma cię w domu – i w moim pokoju!

Z otchłani sadów blaszany dach tłoczni wysyłał do Homera sygnały: drobne, szybkie błyski były jak mgnienie ostrego siekacza w ustach Grace Lynch, która o tyle tylko uchyliła usta, gdy patrzyła na Homera ostatni raz.

Jak mógłbym nie kochać Candy? – dziwił się Homer. I co zrobię, jeśli tu zostanę?

Dach tłoczni mignął sygnałem i zgasł, czarny i nieruchomy. Homer znał błysk łyżki ginekologicznej, zanim przystąpiła do pracy, i widział potem to samo narzędzie na tacy, umazane krwią, odłożone do mycia.

A co zrobię, jeżeli wrócę do St. Cloud's? – zadał sobie kolejne pytanie.

W gabinecie siostry Angeli doktor Larch zaczął stukać na nowej maszynie do pisania list do Homera Wellsa. „Niczego nie pamiętam równie dobrze, jak chwili, w której cię ucałowałem” – Larch zawahał się: wiedział, że tego nie wolno mu napisać. Wyciągnął kartkę z maszyny i schował głęboko między stronicami *Krótkiej historii St. Cloud's*, niby zwykły fragment tasiemcowej gawędy bez słuchaczy.

Dawid Copperfield poszedł do łóżka z gorączką, więc Larch postanowił do niego zajrzeć. Z ulgą stwierdził, że kryzys minął: czoło chłopca było chłodne, a lekko spoconą szyję Larch starannie osuszył ręcznikiem. Księżyc nie świecił zbyt mocno, więc Larch nie czuł się obserwowany. Pochylił się nad Copperfieldem i pocałował go, tak jak pamiętał, że całował Homera Wellsa. Przeszedł do sąsiedniego łóżka i ucałował Smoky'ego Fieldsa, po którym został mu na ustach niewyjaśniony smak hot-doga; niemniej to, co uczynił, podziałało na doktora kojąco. Jakże żałował, że nie całował częściej Homera, gdy miał po temu okazję! Szedł od łóżka do łóżka, rozdając całusy; przy okazji uświadomił sobie, że nie zna imion niektórych chłopców, ale i tych ucałował. Ucałował wszystkich po kolei.

Gdy wyszedł, Smoky Fields zapytał po ciemku:

– Co to miało znaczyć?

Ale reszta chłopców albo spała, albo nie miała ochoty odpowiadać.

Gdyby tak mnie pocałował! – rozmarzyła się siostra Edna, która miała niesamowite ucho do nietypowych zdarzeń.

– To ładnie – uśmiechnęła się pani Grogan, kiedy siostra Angela opowiedziała jej o nocnej wizycie Larcha w sypialni chłopców.

– To oznaka starczego dzieciństwa – skrzywiła się siostra Angela.

A Homer Wells stał przy oknie w pokoju Wally'ego i nawet nie wiedział, że ścigają go rozesłane w świat pocałunki doktora Larcha.

Nie wiedział również – nie pomieściłoby mu się to w głowie! – że Candy także nie śpi, i także się martwi. Jeżeli on zostanie, jeżeli nie odjedzie do St. Cloud's – to co ja zrobię? Wokół domu Candy szamotało się morze. Ciemność i księżyc przegrywały powoli z nowym dniem.

Nastała pora dnia, w której Homer Wells mógł rozróżnić zarysy tęczni, ale dach już do niego nie mrugał, żeby nie wiem jak Homer przekrzywił głowę. Skoro sygnał znikł, Homer mógł uznać, że to, co szepcze, szepcze do umarłego:

– Dobranoc, Fuzzy.

Nie wiedział, że Fuzzy Stone go szuka i że szuka go także Melony.

## 7. Przed wojną

Sierpniowe słońko za mgłą zawisło nad biegnącą wzdłuż wybrzeża drogą z zatoki York do Ogunquit. Nie było to ani prążące słońce Marsylii, ani skąpe, wyniosłe słoneczko, które zazwyczaj gości nad wybrzeżem Maine o tej porze roku. Przypominało do złudzenia słońce St. Cloud's, parne i płaskie. Irytowało Melony, która, spocona, dała się podwieźć zmierzającej w głąb lądu furgonetce mleczarza.

Melony wiedziała, że znajduje się na południe od Portland, a część wybrzeża Maine położona na południe od Portland nie jest zbyt rozległa, lecz nawet na tej ograniczonej przestrzeni sprawdzenie wszystkich po kolei sadów zajęło jej parę miesięcy. Nie zniechęcała się, pewna, że skoro tyle razy miała pecha, to niedługo szczęście się do niej uśmiechnie. W Portland udało jej się obrobić parę kieszeni, dzięki czemu przez pewien czas miała z czego żyć. Potem, w Kittery, wpakowała się w tarapaty z grupą marynarzy, na których też chciała sprawdzić swój talent kieszonkowca; cudem uniknęła zgwałcenia, ale napastnicy złamali jej nos, który zrósł się krzywo, i nadkruszyli dwa przednie zęby – obydwie jedyńki. Melony tak czy owak nie zamierzała się nigdy wiele uśmiechać, ale po tym incydencie przybrała nową minę, z ustami zaciśniętymi w linijkę.

Dwa pierwsze sady, które Melony odwiedziła, dawały widok na ocean, ale nie nazywały się Z Widokiem Na Ocean i nikt tam nawet nie słyszał o Sadach Z Widokiem Na Ocean. Następnie trafiła Melony do sadu położonego bardziej w głąb lądu, gdzie ktoś słyszał o Sadach Z Widokiem Na Ocean, z tym że nie kojarzył tej nazwy z żadnym miejscem w okolicach wybrzeża. Melony podjęła pracę pomywaczki butelek w mleczarni w Biddeford, ale rzuciła ją, zarobiwszy parę groszy na dalszą podróż.

Sad przy drodze między zatoką York a Ogunquit nazywał się, co prawda, Farma York i wyglądał równie prozaicznie, jak się nazywał, ale Melony i tak kazała się wysadzić z furgonetki: zawsze to sad, ktoś tam mógł słyszeć o Sadach Z Widokiem Na Ocean.

Ekonom z Farmy York wziął Melony za pracownicę sezonową, która przezornie szuka zatrudnienia przed główną falą chętnych do pracy przy zbiorach.

– Pospieszyła się pani o dobre trzy tygodnie – powiedział jej. – Na razie zbieramy tylko grapsztyny, a tych nie jest wiele, więc nie potrzebujemy pomocy.

– Słyszał pan coś o takim sadzie, Z Widokiem Na Ocean? – spytała ekonoma Melony.



– A co, pracowała pani w tym sadzie? – zainteresował się ekonom.

– Nie, tylko go szukam – odparła Melony.

– Nazwa raczej jak dla domu starców – zażartował ekonom, ale gdy Melony się nie roześmiała, stracił dla niej życzliwość. – Wie pani, ile musi być w Maine różnych miejsc, które się nazywają Z Widokiem Na Ocean? – spytał zgryźliwie.

Melony wzruszyła ramionami. Skoro za trzy tygodnie w Farmie York zatrudniają sezonowych, to, pomyślała sobie, można by się nająć: może któryś z wędrownych zbieraczy będzie znał miejsce pobytu Homera Wellsa.

– Znaleźlibyście dla mnie robotę? – zagadnęła ekonoma.

– Za trzy tygodnie, jak pani umie zbierać, czemu nie – odparł.

– Wielka mi filozofia, zbierać jabłka – skrzywiła się lekceważąco Melony.

– Może nie? – podchwycił ekonom. – Niech pani pójdzie ze mną, pokażę – zaproponował. Powiódł Melony przez zaniedbane targowisko, na którym dwie starszawe kobiety wypisywały cennik na desce. W pierwszym sadzie za targowiskiem ekonom wygłosił dla Melony wykład pogładowy o sztuce zbierania jabłek.

– Zrywa się za ogonek. Ale zaraz nad ogonkiem mieści się załazek przyszłorocznego jabłka... to ta ostroga, widzi pani? Jak się zerwie ostrogę, to za rok nie będzie co zbierać. – Zaprezentował prawidłowy sposób wykręcania jabłka. – Trzeba wykręcać ogonek, a nie ciągnąć – pouczył Melony.

Melony sięgnęła do gałęzi i zdjęła jabłko metodą wykręcania. Zrobiła to prawidłowo. Spojrzała na ekonoma i wzruszyła ramionami. Nadgryzła niedojrzałe jabłko; wypluła kęs, a resztę odrzuciła w trawę.

– To odmiana „północny szpieg” – poinstruował ją ekonom. – Zbiera się ją na końcu, nie wcześniej niż w październiku.

Melony zaczęła się nudzić. Ruszyła z powrotem w stronę placu targowego.

– Dziesięć centów za buszel! – krzyczał za nią ekonom. – Za spady i uszkodzone piątaka od buszla! Silna z pani baba! – sapał, doganiając Melony. – Jak się pani wciągnie, może pani wyrobić i dziewięćdziesiąt buszli dziennie. Miałem tu facetów, co wyciągali setkę. Dziesięć dolców za dobę – nieźle, co? Niech się pani zgłosi za trzy tygodnie! – ponowił ofertę, przystając na chwilę przy kobietach mozolących się nad cennikiem. Melony była już z powrotem na drodze.

– Za trzy tygodnie już mnie tu nie będzie – oświadczyła dobitnie.

– Szkoda – rzekł na to ekonom. Przez chwilę śledził wzrokiem postać Melony, oddalającą się w stronę wybrzeża. – Kawał baby – podzielił się spostrzeżeniem z jedną z pracownic targowiska. – Musi ważyć z osiemdziesiąt kilo.

– Powsinoga – skrzywiła się pracownica.

Półtora kilometra dalej Melony trafiła na sad, w którym dwóch ludzi zbierało grapsztyny. Jeden z nich pomachał do Melony, która już miała mu odmachnąć, ale w ostatniej chwili się powstrzymała. Minęła sad, lecz nie uszła i stu metrów, kiedy usłyszała za plecami furgonetkę; jechali nią tamci dwaj. Dogonili Melony, zatrzymali samochód na poboczu i kierowca zagadnął ją:

– Wyglądasz, jakbyś zgubiła kochasia. Całe szczęście, że ja ci się napatoczyłem.

Jego kolega otworzył drzwi po swojej stronie, zanim pojazd skończył hamować.

– Odwal się, gnojku – rzuciła Melony kierowcy, ale tamten drugi zdążył okrążyć wóz i skradał się ku niej. Melony przeskoczyła rów dzielący szosę od sadu i pognąła między drzewa. Pasażer furgonetki gonił ją, pohukując. Kierowca zgasił silnik i przyłączył się do polowania – z pośpiechu zostawił drzwiczki otwarte.

Nie było gdzie się schować; na szczęście sad wydawał się nie mieć końca. Melony biegła jakiś czas jednym szpalerem drzew, nagle zawróciła i zaczęła biec z powrotem innym szpalerem. Pasażer furgonetki zaczynał ją doganiać, ale jego kumpel – wielki, powolny typ – już na wstępie pościgu pozostał zdyszany w tyle. Melony też sapała i dyszała, lecz biegła dalej w równym tempie: za plecami coraz bliżej słyszała oddech drobniejszego z napastników, był to jednak oddech coraz cięższy.

Melony przecięła wiejską drogę i wbiegła w sąsiedni sad. Obejrzała się błyskawicznie: daleko z tyłu – jakieś dwieście, trzysta metrów – człapał grubas, pokrzykując do szybszego kolegi: „Łap ją, Charley!”

Ku zdumieniu Charleya, Melony nagle stanęła i odwróciła się twarzą do niego, oddychając dość płytko i szybko. A potem – Melony ruszyła na Charleya: atakowała na ugiętych kolanach, wydając przy tym gardłowe, zwierzęce odgłosy. Zanim mężczyzna imieniem Charley zdążył zaczerpnąć tchu, Melony skoczyła na niego. Potoczyli się oboje na ziemię. Gdy Melony wyczuła pod kolanem krtań przeciwnika, podskoczyła całym swoim ciężarem. Wydał odgłos, jakby się dławił, i przeturlał się na bok. Melony skoczyła na równe nogi, dwa razy z całej siły nadepnęła Charleyowi na twarz, a gdy ten zaczął się z mozołem gramolić na czworaki, Melony podskoczyła w miejscu najwyżej, jak umiała, i wyładowała obunóż na jego karku. Był już nieprzytomny, gdy wykręciła mu na plecy obie ręce i ugryzła w ucho tak, że jej zęby się spotkały. Wtedy dopiero puściła go, uklękła obok i zaczerpnęła tchu. Zanim wstała, splunęła na leżącego. Grubas tymczasem zdążył zaledwie przekroczyć drogę dzielącą sady.

– Charley! Wstawaj! – świszczął, zbliżając się do kolegi, ale Charley ani drgnął. Melony przekreśliła go na plecy i rozpięła klamrę paska u jego spodni. Szlufka po szlufce, wyciągnęła pasek. Grubas, kierowca, był już o trzy czy cztery drzewa od niej. Melony owinęła koniec pasa dwukrotnie wokół dłoni i nadgarstka; gdy opuściła uzbrojoną rękę, klamra dotykała ziemi. Grubas zatrzymał się w odstępnie dwóch drzew.

– Co żeś zrobiła Charleyowi? – warknął.

Melony zaczęła kręcić pasem nad głową, coraz szybciej i szybciej. Kwadratowa mosiężna klamra wydała przenikliwy wizg. Melony ruszyła w stronę grubasa, który mógł mieć czterdzieści parę albo i z pięćdziesiąt lat, sądząc po siwych, rzadkich włosach i wydatnym brzuchu. Kierowca chwilę wytrzymał na posterunku, wpatrzony w nadciągającą Melony. Pas był szeroki, skórzany, poczerniały od potu i tłuszczu, z kanciastą mosiężną klamrą wielkości męskiej dłoni; świszczął w powietrzu jak północny wiatr – albo jak kosa.

– Wolnego! – stęknął grubas.

– Co za „wolnego”, gnojku? – zaperzyła się Melony. Znienacka obniżyła wirujący pas i zdzieliła nim kierowcę przez łydkę, odrywając płat dżinsów i skóry ludzkiej, podobnej do jednodolarowego banknotu. Kiedy mężczyzna schylił kark, żeby się złapać za nogę, klamra pasa dosięgła jego twarzy. Przysiadł gwałtownie i złapał się za policzek: wyczuł w nim pęknięcie długości i grubości papierosa. Zanim zdążył to sobie dobrze uświadomić, klamra trafiła go prosto w przegrodę nosową – potworny ból oślepił go na moment. Osłaniając głowę jednym ramieniem, grubas próbował drugą ręką dosięgnąć Melony, ona jednak z łatwością chłostała go po całym ciele, tak że w końcu poddał się, podciągnął kolana pod brodę, a twarz i głowę zakrył ramionami. Klamra przez chwilę cięła i dźgała jego kręgosłup. A potem Melony dała odpocząć klamrze i jęła zapamiętałe prać skuloną postać po tyłku i nogach miękkim końcem pasa. Wydawało się, że nigdy nie przestanie.

– Kluczyki są w stacyjce, gnojku? – spytała między jednym ciosem a drugim.

– Są! – wrzasnął dziko, ale mimo to musiał jeszcze oberwać, zanim Melony dała mu spokój. Pas zabrała. Idąc przez pierwszy sad, od czasu do czasu strzelała końcem pasa w któreś jabłko – osiągnęła niejaka wprawę w celnym posługiwaniu się tą bronią.

Mężczyzna imieniem Charley odzyskał przytomność, ale nie ruszał się i nie otwierał oczu.

– Poszła, Charley? – spytał po chwili grubas, który też się nie ruszył ani nie otworzył oczu.

– Mam nadzieję – wystękał Charley.

Mimo to obaj trwali nieruchomo, aż usłyszeli, że Melony uruchamia silnik furgonetki.

Melony pomyślała przelotnie, że ma dług wdzięczności wobec doktora Larcha za to, że załatwił jej kiedyś pracę, przy której nauczyła się prowadzić samochód – ale myśl ta szybko ją opuściła. Zawróciła i pojechała do magazynów Farmy York. Ekonom zdumiał się niepomierne na jej widok.

W obecności pracownic, które jeszcze nie skończyły malować cennika, Melony oświadczyła ekonomowi, że dwaj jego ludzie usiłowali ją zgwałcić. Jak się okazało, ten grubszy był mężem jednej z pracownic malujących cennik. Melony zaproponowała ekonomowi, żeby wyrzucił obydwu z pracy, a w zamian zatrudnił ją.

– Potrafię zrobić tyle, ile oni razem do kupy, i to lepiej! – powiedziała Melony.

Jako drugie wyjście proponowała, żeby ekonom wezwał policję, której ona ze szczegółami opowie o napaści. Żona niedoszłego gwałciciela zbladła i siedziała cicho, ale jej koleżanka odezwała się bojowo do ekonoma:

– To zwyczajna powsinoga! Po co jej pan w ogóle słucha?

– Za ciebie też mogę robić, nie myśl sobie – usadziła ją Melony. – Szczególnie w łóżku!

Machnęła ku niej ostrzegawczo końcem pasa. Kobięcina odskoczyła jak od żmii.

– To przecież pas Charleya! – zdziwił się ekonom.

– Jasne! – potwierdziła Melony. Echo powiedzonka Homera Wellsa omal nie wycisnęło łez z jej oczu. – Charley go zgubił – dodała.

Potem zabrała z furgonetki swój tobołek – skromny zestaw osobistych przedmiotów, zapakowanych w palto pani Grogan – i spięła go mocniej zdobyczym pasem.

– Nie mogę wylać z roboty ludzi, którzy tu przepracowali całe swoje życie – powiedział ekonom.

– No to wezwij pan policję – odparła spokojnie Melony.

– Ona panu grozi – zauważyła żona grubasa.

– A jak! – przytaknęła jej Melony.

Ekonom ulokował Melony w przyzwoitych warunkach tłoczni.

– Może pani tu mieszkać, przynajmniej aż się zjawią sezonowi – powiedział. – Jak przyjadą, to pewnie sama pani zechce się wynieść. Czasami przywożą kobiety,

nawet z dzieciakami; ale jakby się trafiły same chłopy, nie radzę ryzykować. To Murzyni.

– Na razie jest w porządku. – Melony rozejrzała się po pomieszczeniu.

Łóżek było mniej niż w tłoczni Worthingtonów, nie mówiąc o tym, że tłocznia Worthingtonów była bez porównania solidniejsza i czystsza. Farma York ani rozmiarami, ani zamożnością nie umywała się do Sadów Z Widokiem Na Ocean; w dodatku nikt tam nie dbał o urządzenie kwater dla robotników sezonowych – w Farmie York brakowało Oliwii Worthington. W tutejszej tłoczni silniej pachniało octem, a na ścianie za prasą stare placki wytlóków pozasychały niczym jabłeczny grzyb. W pomieszczeniu kuchennym nie było pieca do gotowania, tylko maszynka elektryczna, od której wiecznie wysiadały zużyte korki. Oddzielne gniazdo korków elektrycznych obsługiwało pompę, prasę i niskowatowe żarówki w suficie; lampka w lodówce nie działała – ale może to i lepiej, bo przynajmniej nie było widać pleśni.

Kwaterna satysfakcjonowała jednak Melony – autorkę trwałych przyczynków do historii wielu zdewastowanych pomieszczeń, czy to w opuszczonych barakach, czy w zamieszkałych budynkach St. Cloud's.

– A te Sady Z Widokiem, co to ich pani szuka... – zaciekawiał się ekonom. – Czemu ich pani szuka?

– Szukam narzeczonego – wyjaśniła Melony.

Ona ma narzeczonego? – zdumiał się w duchu ekonom.

Poszedł sprawdzić, co się dzieje z dwoma pracownikami sadu. Grubas, któremu żona towarzyszyła do szpitala (nie odzywając się do niego ani po drodze, ani też przez następne trzy miesiące) bohatercko zniósł zakładanie szwów, za to przeląkł się nie na żarty, słysząc od ekonomy, że Melony została zakwaterowana w tłoczni i dostała robotę – przynajmniej do zbiorów.

– Pan jej dał robotę? – zdenerwował się grubas. – To morderczyni!

– To się, kurde, trzymaj od niej z dala – poradził mu ekonom. – Jak cię przyłapię, że stajesz jej na drodze, wylatujesz na pysk z roboty! Już o mało do tego nie doprowadziła.

Grubas miał złamany nos i potrzebował w sumie czterdziestu jeden szwów: trzydziestu siedmiu na twarzy i czterech na języku, który sam sobie przygryzł.

Mężczyzna imieniem Charley uplasował się znacznie niżej w kategorii szwów – cztery wystarczyły dla zacerowania przegryzionego ucha. Za to Melony, skacząc po nim, złamała mu dwa żebra, a ponadto doznał wstrząsu mózgu na skutek podeptania

głowy oraz urazu części krzyżowej kręgosłupa, objawiającego się częstymi atakami skurczów – tak że do końca sezonu nie miał co marzyć o wejściu na drabinę.

– O, psiajucha! – wzdrygnął się Charley w rozmowie z ekonomem. – Nie chciałbym wpaść w łapy tego skurwysyna, niby jej narzeczonego.

– Złóż jej z drogi, i tyle – poradził mu ekonom.

– Ma jeszcze mój pas? – spytał go Charley.

– Uprzedzam cię, że jak się u niej upomnisz o pas, wyleciałeś z roboty. Kup se nowy – zakończył sprawę ekonom.

– Nie ma strachu, ja się u niej o nic nie upomnę – zapewnił go Charley. – Nic nie mówiła, że jej narzeczony się tutaj wybiera? – spytał czujnie. Ekonom odpowiedział mu na to, że skoro Melony szuka narzeczonego, to znaczy, że nie podał jej swojego adresu, czyli że pewnie puścił ją w trąbę.

– I miej go, Panie Boże, w opiece, jeśli ją rzucił – westchnął ekonom litościwie, nie po raz pierwszy.

– A pan? – zagadnęła go pracownica magazynu, ta sama, która nazwała Melony „powsinogą”. – Gdyby pan miał taką kobietę, to by jej pan nie puścił w trąbę?

– Zaczniemy od tego, że ja bym se nigdy nie wziął takiej kobity – obruszył się ekonom. – A jak już, to bym jej nigdy nie rzucił, bobym się bał.

W tłoczni Farmy York – nieco w głąb lądu od zatoki York, nieco na zachód od Ogunquit, około tysiąca kilometrów wzdłuż wybrzeża od Homera Wellsa – Melony leżała na pryczy i słuchała myszy. Raz chrobotaly, raz gryzły. Pierwsza, która ośmieliła się spróbować sprintu w poprzek materaca Melony (rzecz jasna, w nogach), tak mocno oberwała klamrą pasa Charleya, że, wystrzelona jak z procy, przeleciała nad czterema sąsiednimi łózkami i pacnęła o ścianę. Melony zaraz poszła ją obejrzyć: nie było co zbierać; mysz miała przetrącony kręgosłup. Melony upozowała martwą mysz na nocnym stoliku (skrzynce po jabłkach), podpierając ją złamanym ołówkiem, skrzynkę zaś przesunęła w nogi łóżka. Wydawało jej się, że taki totem odstraszy inne myszy – i rzeczywiście, ani jedna mysz nie spróbowała dokuczać Melony przez najbliższe kilka godzin. Przy skąpym świetle Melony leżała i czytała *Jane Eyre*, a wokół niej dojrzewał bezludny, czarny sad.

Dwukrotnie przeczytała ten fragment pod koniec Rozdziału Siódmego, który się kończy słowami: „Dawno przyjęte poglądy, dawno powzięte postanowienia – to wszystko, na czym mogę się oprzeć w tej godzinie; na nich szukam gruntu”.

Na tych słowach Melony zamknęła książkę i zgasiła światło. Nie bała się: leżała na plecach, wdychając szerokimi nozdrzami kwaśne, octowe powietrze; to samo, które wacha w tej chwili Homer Wells – pomyślała sobie. Tuż przed zaśnięciem szepnęła:

– Dobranoc, Słoneczko.

Usłyszały ją tylko myszy.

Nazajutrz padał deszcz. Łało od Kennebunkport po Christmas Cove. Północno-wschodni wiatr dął tak silnie, że łodzie cumujące przy Klubie Haven – mimo iż ociążały od deszczu – zwróciły dzioby ku brzegowi i szamotały się głośno na uwieży, w uporczywym rytmie szurającej o stare opony nabrzeża homarowej krypy Raya Kendalla.

Ray planował spędzić cały dzień w Dwójce pod traktorem marki John Deere, wymieniając przekładnię i drzemiąc – tak na zmianę. Zawsze najlepiej spało mu się pod dużą, dobrze znaną maszyną. Nikt nigdy nie nakrył Raya na drzemce: spod traktora wystawały tylko nogi, chwilami, to fakt, rozrzucone sztywno i dramatycznie jak u ofiary wypadku samochodowego. Jeżeli w takiej właśnie chwili do Dwójki zaszedł któryś z pracowników, zagadywał, lekko zaniepokojony: „Ray, jesteś tam?” – na co Ray Kendall, całkiem jak doktor Larch wyrwany z eterowego snu, ocykał się i głośno recytował: „Jasne, że jestem; jestem, jestem”.

– Straszna dłubanina, co? – pytał dalej tamten, zaniepokojony.

– Jakbyś zgadł – odpowiadał Ray. – Straszna dłubanina.

Deszcz siekł, a nad samym brzegiem morza wichur dął tak niemiłosiernie, że mewy uciekały w głąb lądu. W Farmie York zbiły się w stado przy ścianie tłoczni i nerwowym trzepotem obudziły Melony; w Sadach Z Widokiem Na Ocean obsiadły ciasną gromadą blaszany dach tamtejszej tłoczni, pod którym od rana uwijała się na nowo ekipa sprzątaczek i malarzy.

Grace Lynch jak zwykle wykonywała najgorszą robotę: szorowała zbiornik na sok o pojemności blisko czterech tysięcy litrów. Szorowała go od wewnątrz, na kłęczkach; reszta ekipy czuła się trochę nieswojo, słuchając szybkiego, nerwowego chrobotania z wnętrza kadzi – jakby dzikie zwierzę w panice szukało nory albo pożywienia. Meany Hyde wyjechał z kolejną „gównianą misją”, jak się wyraziła jego żona Florencja; Meany stwierdził, że obluźował się pasek wentylatora przy taśmie transmisyjnej, więc wymontował go i postanowił pójść poradzić się Raya Kendalla.

– Ciekawe, co ci Ray pomoże na luźny pasek – skrzywiła się Florencja. – Zamów nowy albo skróć ten stary, i koniec.

– No, może... – odparł niepewnie Meany.

– Na co ci w ogóle dzisiaj taśma transmisyjna? – marudziła dalej Florencja.  
– Chcę to pokazać Rayowi, i już! – zbuntował się Meany.  
– Nie palisz ty się dzisiaj do roboty, co? – zgadła Florencja. Meany wyszedł na deszcz, szurając nogami. Kiedy wsiadał do furgonetki, uśmiechnął się porozumiewawczo do Homera i puścił oko.

– Ale mam męża leniucha! – uśmiechnęła się z dumą Florencja.

– Tacy nie są jeszcze najgorsi – zauważyła Irena Titcomb; wszyscy, jak na hasło, spojrzeli w stronę kadzi, w której wnętrzu o objętości czterech tysięcy litrów zawzięcie chrobotła Grace Lynch.

Irena i Florencja miały cierpliwe, pewne dłonie, więc malowały framugi i ramy okienne w skrzydle sypialnym tłoczni. Homer Wells, Big Dot Taft i młodsza siostra Big Dot, Debra Pettigrew, malowali kuchnię bardziej zamaszystymi ruchami pędzli.

– Mam nadzieję, że nie czujecie się przy mnie skrępowani – odezwała się Big Dot do Debry i Homera. – Nie jestem waszą przyzwoitką. Jak macie ochotę, no to już.

Debra Pettigrew zawstydziała się i rozzłościła na siostrę, a Homer uśmiechnął się krzywo. Śmieszne – pomyślał – człowiek spotka się z dziewczyną dwa, trzy razy, pocałuje ją, ściśnie tu i ówdzie, a wszystkim się zaraz zdaje, że dniem i nocą tylko jedno mu w głowie. Szczerze mówiąc, myśli Homera krążyły znacznie bardziej wokół Grace Lynch na dnie kadzi niż wokół Debry Pettigrew, która stała tuż przy nim, malując tę samą ścianę. Doszedłszy do wyłącznika światła przy drzwiach kuchni, Homer spytał Big Dot Taft, czy ma go zamalować razem ze ścianą, czy raczej poczekać, aż Florencja lub Irena pomalują kontakt staranniej mniejszymi pędzlami.

– Jedź po całości – odparła Big Dot Taft. – Co roku tak robimy. Chodzi o to, żeby całość wyglądała czysto i świeżo. Nie startujemy w konkursie staranności.

Przy wyłączniku, przypięta do ściany pinezką, wisiała kartka zapisana na maszynie. Tekst był ledwo czytelny, gdyż spłowił od słońca wpadającego przez pozbawione firanek okno kuchni. Niewątpliwie jednak była to jakaś lista, z której dolną ćwiartkę oddarto, pozbawiając rzecz zakończenia. Homer wydłubał pinezkę. Już miał zmiąć kartkę i cisnąć do kubła na śmieci, kiedy uwagę jego przyciągnął początek ulotki.

## REGULAMIN TŁOZNI

– głosił pierwszy wyblakły wers.



Regulamin? – zdumiał się Homer. Czytał dalej. Punkty regulaminu były ponumerowane.

1. Proszę nie uruchamiać młyna ani prasy, będąc pod wpływem alkoholu.
2. Proszę nie palić w łóżku papierosów i nie używać świec w sypialni.
3. Proszę nie wychodzić na dach po spożyciu alkoholu – zwłaszcza nocą.
4. Proszę prać ścierki z prasy w dniu, w którym były używane.
5. Proszę natychmiast po pracy wymontować wirnik i wypłukać go starannie, używając w tym celu gumowego węża, ZANIM WYTŁOKI ZASCHNĄ!
6. Proszę nie wynosić alkoholu na dach.
7. Proszę – nawet podczas upałów (i po spożyciu alkoholu) – nie kłaść się spać w chłodni.
8. Proszę dostarczać listę zakupów brygadziście codziennie do godziny siódmej rano.
9. Na dachu może przebywać jednorazowo nie więcej niż sześć osób.

Innych punktów – jeżeli było ich więcej – Homer nie mógł poznać, ponieważ reszta kartki została oddarta. Homer podał świstek Big Dot Taft.

- O co chodzi z tym dachem? – spytał Debrę Pettigrew.
- Z dachu widać ocean – wyjaśniła Debra.
- Nie o to chodzi! – zaprzeczyła jej siostra. – W nocy z dachu widać diabelski młyn i kolorowe światła Cape Kenneth.
- Wielkie mi coś – wzruszył ramionami Homer Wells.
- Mnie to też nie wzrusza – powiedziała Big Dot Taft – ale ci czarni za tym przepadają.
- Nieraz potrafią przesiedzieć na dachu do rana – dodała Debra Pettigrew.
- A nieraz się tam upiją i pospadają jak gruszki – uzupełniła z sypialni Florencja Hyde.
- Tłuką tam butelki, kaleczą się – dorzuciła Irena Titcomb.
- Ale to nie codziennie, nie zawsze – powiedziała Big Dot Taft.
- A raz jeden się urznął i spociał przy prasie, poszedł spać do chłodni i obudził się z zapaleniem płuc – przypomniała sobie Debra Pettigrew.
- Człowiek się tak po prostu nie „budzi z zapaleniem płuc” – sprostował Homer Wells. – To bardziej skomplikowane.

- Najmocniej przepraszam – nadąsała się Debra.
  - Tak czy owak, wszyscy mają gdzieś ten cały regulamin – podsumowała Big Dot Taft. – Oliwia rok w rok wypisuje go na nowo i rok w rok wszyscy go równo olewają.
  - Ci sezonowi są jak dzieci – dodała Florencja Hyde. – Gdyby Oliwia codziennie nie robiła im zakupów, poumieraliby z głodu.
  - W ogóle się nie potrafią zorganizować – rzekła Irena Titcomb.
  - Jeden wkręcił całą rękę, aż pd ramię, w maszynę do mielenia – wspomniała Big Dot Taft. – Nie samą głupią łapę: całą rękę!
  - Makabra – wzdrygnęła się Debra Pettigrew.
  - Tyle mniej więcej dało się powiedzieć o jego ręce: makabra – zauważyła Florencja Hyde.
  - Ile szwów mu założyli? – zainteresował się Homer Wells.
  - Ciekawski jesteś, nie ma co – prychnęła Debra Pettigrew.
  - Z drugiej strony: nikomu nie robią krzywdy, najwyżej sobie – zauważyła filozoficznie Irena Titcomb. – Jak lubią wypić i turlać się po dachu, to co nam do tego? Jeszcze się nigdy żaden nie zabił, dobrze mówię?
  - Jeszcze nie – spięty i zwykle zbyt cichy głos Grace Lynch zagrział jak przez tubę z dna wielkiej kadzi. Zaskoczeni tym gromkim napomnieniem, a jeszcze bardziej faktem, że pochodziło od Grace, która nigdy prawie nie włączała się do koleżeńskich dyskusji – wszyscy umilkli jak zaczarowani.
- Każdy wykonywał w ciszy swoją robotę, gdy pod tłoczną zajechał zieloną furgonetką Wally, przywożąc Luizę Tobey. Wyładowawszy Luizę oraz kubel i pędzel Luizy, Wally spytał ludzi, czy aby czegoś nie potrzebują – może pędzli? może farby?
- Najwyżej buzi, kotku – odparła Florencja Hyde.
  - Albo nas zaproś do kina – zaproponowała Big Dot Taft.
  - Mnie wystarczy, jak mi się oświadczysz! – zawołała Irena Titcomb. – Więcej nie wymagam!
- Zaśmiewali się jeszcze dobrą chwilę po odjeździe Wally’ego. Zbliżała się przerwa obiadowa: nie ulegało wątpliwości, że Łatwizna zjawiała się tego dnia w pracy wyjątkowo późno. Zazwyczaj podwoził ją Herb Fowler, w miarę punktualnie. Tego ranka Luiza miała szczególnie nadąsana minę, więc tym bardziej przez dłuższą chwilę nikt nic do niej nie mówił.
- Wreszcie Big Dot Taft nie wytrzymała.
- Kto inny, nawet jak ma okres albo co, to powie dzień dobry.

- Dzień dobry – powiedziała Luiza Tobey.
- Tralala! – przedrzeźniła ją Irena Titcomb.

Debra Pettigrew szturchnęła Homera w bok, a gdy na nią spojrział, mrugnęła doń porozumiewawczo. Potem nic się specjalnie nie działo do czasu, aż Herb Fowler, przejeżdżając koło tłoczni, zaproponował, że wszystkich podwiezie na posiłek do jadłodajni przy szosie Drinkwater.

Homer zerknął w kierunku kadzi, ale nad krawędzią zbiornika nie ukazała się twarz Grace Lynch, za to z czeluści nadal dobiegały szmery i chroboty. Grace tak czy owak nie skorzystałaby z zaproszenia. Homer powiedział sobie, że powinien pojechać z innymi, choćby po to, aby się oderwać od Grace Lynch – lecz jeszcze wcześniej postanowił sobie zbadać dach tłoczni: chciał odnaleźć miejsce, które mu słało tajemnicze błyski w blasku księżyca. A jeszcze bardziej zapragnął się tam znaleźć, gdy poznał regulamin tłoczni i usłyszał, że z dachu widać ocean – i diabelski młyn w Cape Kenneth! Deszcz go nie zniechęcał.

Wyszedł wraz ze wszystkimi, w nadziei, że Grace Lynch pomyśli, że z nimi pojechał, i dopiero na dworze powiadomił Herba Fowlera, że zostaje. Poczł jego paluch w przedniej kieszeni swoich dżinsów, a kiedy towarzystwo odjechało, sprawdził jej zawartość i znalazł kondom. Fakt ten zdopingował go do jak najszybszego wspięcia się na dach.

Swoim pojawieniem się na dachu spłoszył mewy, których szumny, paniczny exodus spłoszył z kolei jego: nie zauważył wcześniej ptactwa stłoczonego na przeciwległym skrzydle dachu, po zawietrznej. Mokry dach był bardzo śliski: Homer zaciskał obie dłonie na wypukłościach blachy falistej, a stopy stawiał blisko jedna drugiej. Dach nie był zanadto stromy – inaczej wspięcie się nań podczas deszczu nie byłoby możliwe. Na szczycie, ku swemu zdumieniu, odkrył Homer kilka desek – takich jak z podłogi – przybitych do spadu dachu od strony morza. Ławki! – pomyślał Homer. Trochę krzywe, ale zawsze o wiele wygodniejsze do siedzenia niż blacha falista. Homer usiadł na jednej z tych ławek i spróbował, nie bacząc na deszcz, wyobrazić sobie piękny widok, jaki się stamtąd roztaczał. Niestety, pogoda uniemożliwiała w tym dniu dojrzenie najdalszych sadów, nie mówiąc o oceanie, a co do diabelskiego młyna i kolorowych świateł lunaparku w Cape Kenneth, to Homer mógł jedynie zgadywać ich lokalizację.

Przemókł i już miał zacząć schodzić, gdy spostrzegł nóż: duży sprężynowiec, z ostrzem wbitym w deskę obok. Pseudorogowa rękojeść była pęknięta w dwóch miejscach i rozleciała się całkiem na dwie części, gdy Homer wyciągał ostrze z deski.

Pewnie dlatego porzucono nóż na dachu: z pękniętą rękojeścią nie zamykał się jak należy, a otwarty – niebezpiecznie było nosić. Poza tym, ostrze zardzewiało. Cały dach przeżarty był rdzą – Homer dopiero teraz to zauważył: nigdzie nie spostrzegł zdrowego, błyszczącego fragmentu blachy, który mógł odbić blask księżyca i posłać promień aż w okno Wally’ego. To stwierdziwszy, Homer zobaczył szkło: spore kawałki potłuczonego szkła utkwily w rowkach blachy falistej. Jeden z nich musiał pochwycić promień księżyca – zdecydował Homer.

Szkło pochodziło z rozbitych butelek po piwie, po rumie, po whisky i po dżinie – tak przypuszczał. Chciał wyobrazić sobie Murzynów pijących nocą na dachu, ale deszcz zdążył go przemoczyć do nitki, a wiatr – przewiać na wskroś. Homer zaczął się ostrożnie spuszczać ku krawędzi nad miejscem, gdzie lądowanie wydało mu się najpewniejsze. Sunąc, skaleczył dłoń – nie bardzo – kawałkiem szkła, którego wcześniej nie zauważył. Zanim wrócił pod dach baraku, ranka zaczęła silnie krwawić; bardzo silnie jak na takie drobne skaleczenie – pomyślał Homer, licząc się z tym, że fragment szkła mógł mu utkwic w dłoni. Grace Lynch usłyszała widocznie, jak Homer płucze dłoń pod kranem w kuchni (jeżeli już wcześniej nie słyszała go na dachu). Ku zdumieniu Homera, wciąż siedziała na dnie kadzi.

– Pomóż mi! – zawołała stamtąd. – Nie mogę wyjść.

Kłamała: chciała po prostu zwabić Homera do zbiornika. Ale sieroty są z natury łatwowierne. Wobec zgrzebnej prawdziwości życia w sierocińcu, każde kłamstwo wydaje się wyrafinowane. Homer Wells zbliżał się do kadzi z lękiem, ale bez podejrzeń. Błyskawiczna akcja chudych ramion i siła, z jaką żyłaste dłonie pochwyciły jego nadgarstki, zdumiały Homera: omal nie stracił równowagi i nie runął w głąb zbiornika, prosto na Grace Lynch. Grace Lynch była rozebrana do naga, lecz Homera poraziło nie to, co w jej nagości zakazane, tylko straszliwa chudość ciała, na którym ostro znaczyły się wszystkie kości. Przypominała wygłodzone zwierzę pochwyczone w dość humanitarną w zamysle pułapkę: humanitarną, gdyby nie świadectwo licznych obrażeń na ciele, dowodzące, że kłusownik pastwił się nad ofiarą regularnie i brutalnie. Największe sińce miała na biodrach i udach; odciski palców na rękach nad łokciami odznaczały się najciemniejszym fioletem, ale najpaskudniej wyglądał żółtozielonkawy ślad na jednej drobnej piersi.

– Puść – powiedział cicho Homer Wells.

– Dobrze wiem, co robisz tam, skąd przyszedłeś! – krzyknęła Grace Lynch, szarpiąc go za rękę.

– Jasne – powiedział Homer. Zaczął systematycznie, jeden po drugim, odginać kleszcze jej palców, lecz wówczas ona wspięła się zwinnie na krawędź kadzi i wpiła ostre zęby w wierzch jego dłoni. W tej sytuacji musiał ją odepchnąć i kto wie, czy nie zrobiłby jej krzywdy, gdyby oboje nie usłyszeli nagle warkotu i głośnego chlapania zielonej furgonetki, którą Wally zajechał przed barak. Grace Lynch puściła Homera i skoczyła na dno, gdzie zaczęła się pospiesznie ubierać. Lało jak z cebra; Wally siedział w aucie i trąbił klaksonem jak na alarm. Homer wybiegł dowiedzieć się, o co mu chodzi.

– Wskakuj! – krzyknął Wally. – Musimy ratować mojego głupiego ojca. Wpakował się w jakąś hecę u Sanborna.

Homer Wells, wychowany w świecie bez ojców, był zszokowany słysząc, że ktoś może nazywać rodzzonego ojca głupim – nawet jeśli to prawda. Na siedzeniu dla pasażera leżała dziesięciokilowa torba grapsztynów; Homer wziął ją na kolana. Wally ruszył ulicą Wody Pitnej w stronę sklepu wielobranżowego Sanborna. Właściciele sklepu, Mildred i Bert Sanbornowie, zaliczali się do grona najstarszych przyjaciół Seniora: wszyscy troje chodzili razem do szkoły, a przez pewien czas Senior nawet spotykał się z Milly (zanim poznał Oliwię i zanim Milly wyszła za Berta).

Sklep Artykuły Żelazne i Hydrauliczne Titusa sąsiadował ze sklepem Sanbornów. Gdy Wally z Homerem wjechali w ulicę Heart's Rock, Warren Titus, z zawodu hydraulik, blokował wejście do sklepu sąsiadów, stojąc na ganku.

– Dobrze, żeś przyjechał, Wally – powitał Warren wbiegających na ganek chłopców. – Tatulo ci się dokumentnie zbiesił.

W sklepie oboje państwo Sanborn osaczyli Seniora (widać było, że nie bez trudu) między półkami działu artykułów sypkich. Senior zdążył obsypać siebie samego i podłogę wokół całym zapasem mąki i cukru znajdującym się w zasięgu jego rąk. Miną zaszczutego zwierzęcia przypominał Homerowi Grace Lynch.

– Coś niedobrze, tato? – przemówił do Seniora Wally. Mildred Sanborn na widok Wally'ego odetchnęła z ulgą, ale Bert nie spuszczał oka z Seniora.

– Niedobrze tato – powtórzył jak echo Senior.

– Wpadł w szal, bo nie mógł znaleźć jedzenia dla psów – wyjaśnił Wally'emu Bert, nie przestając wpatrywać się w Seniora, gdyż spodziewał się, że Senior może w każdej chwili rzucić się w inną część sklepu i tam podjąć dzieło dewastacji.

– Na co ci jedzenie dla psów, tato? – spytał ojca Wally.

– Jedzenie dla psów tato – powtórzył Senior.

– Widzisz, Wally? Zachowuje się, jakby nic nie pamiętał – powiedział Bert Sanborn.

– Tłumaczyliśmy mu, że nie ma psa – wtrąciła się Mildred.

– Pamiętam, jak się z tobą ten-tego, Mildred! – wrzasnął triumfalnie Senior.

– Znowu zaczyna – skrzywił się Bert. – Senior, Senior – przemówił łagodnie. – Jesteśmy wszyscy twoimi przyjaciółmi.

– Muszę nakarmić Blinky’ego – oświadczył Senior.

– Jak był mały, miał psa, który wabił się Blinky – wyjaśniła Wally’emu Milly Sanborn.

– Posłuchaj, Senior – spróbował perswazji Bert Sanborn. – Przecież jakby Blinky dzisiaj żył, to byłby starszy od ciebie i ode mnie.

– Starszy od ciebie i ode mnie – powtórzył Senior.

– Chodźmy do domu, tato – powiedział Wally.

– Do domu tato – powtórzył Senior i (o dziwo) dał się Homerowi i Wally’emu poprowadzić do furgonetki.

– To nie alkohol, Wally, powiadam ci – rzekł Warren Titus, otwierając im boczne drzwi wozu. – Nie czuć od niego alkoholem, tym razem nie.

– Tym razem to coś innego, Wally – dołączył swoją opinię Bert Sanborn.

– Kim pan jest? – zwrócił się Senior do Homera.

– Jestem Homer Wells, panie Worthington – odparł Homer.

– Panie Worthington – powtórzył Senior.

Przez następne pięć minut jazdy nikt się w aucie nie odzywał.

– Milczeć wszyscy! – wrzasnął zniecierpliwiony Senior.

Oliwia już czekała na nich przed domem. Nie spojrzawszy nawet na Seniora, zaczęła bardzo szybko mówić do syna:

– Nie mam pojęcia, co on pił dzisiaj rano. Może wódkę. Jak wychodził z domu, nic od niego nie było czuć. Gdybym miała choć cień podejrzenia, że pił, nie dałabym mu jechać furgonetką.

– To chyba coś innego, mamó – powiedział Wally.

We dwóch z Homerem zataszczyli Seniora do sypialni, zdjęli mu buty i z trudem namówili, żeby położył się na łóżku.

– Trzeba ci wiedzieć, że swego czasu ciupciałem Milly – pochwalił się Senior synowi.

– Oczywiście, tato – przytaknął mu Wally.

– Ciupciałem Milly! Ciupciałem Milly! – deklamował Senior. Wally podjął próbę uspokojenia Seniora limerykiem. W przeszłości Senior nauczył syna mnóstwa limeryków, ale teraz, okazało się, nie pamiętał ani jednego – nawet gdy Wally podpowiadał mu co drugie słowo.

– Pamiętasz „Księżną Kentu”, tato? – spytał Wally z udaną wesołością.

– No pewnie – odrzekł Senior i na tym poprzestał.

– „Zapłaczymy nad Księżną Kentu...” – zaczął Wally i zrobił pauzę, ale Senior nie podejmował recytacji. – „Co cipkę ma tak pokrętną...”

– podpowiadał dalej Wally.

– Pokrętną? – zainteresował się Senior.

Wally spróbował jeszcze raz ożywić jego pamięć, tym razem podpowiadając po dwa wersy:

- „Zapłaczymy nad Księżną Kentu,  
Co cipkę ma tak pokrętną...”

- Tak pokrętną! – rozzalił się Senior.

- „Zapłaczymy nad Księżną Kentu,  
Co cipkę ma tak pokrętną,  
Że, jak głosi plotka,  
Bez pomocy młotka  
Chłop nie ma do niej przystępu.”

Mój Boże! – wzdrygnął się, słysząc to, Homer Wells. Senior nic nie powiedział: widać było, że bezskutecznie usiłuje pojąć treść tego, co usłyszał. Wally i Homer zostawili go w sypialni, dopiero gdy zdawało im się, że Senior zasnął.

Na dole Homer Wells podzielił się z Oliwią i Wallym przypuszczeniem, że kłopoty Seniora są natury neurologicznej.

– Neurologicznej? – powtórzyła niepewnie Oliwia.

– Co to właściwie znaczy?

Z góry dobiegł ich gromki krzyk Seniora:

– Przystępu!

Homer Wells, który sam miał nawyk powtarzania końcówek zdań rozmówcy, zorientował się, że w przypadku Seniora odruch ten nie jest normalny. Dlatego przedstawił go jako pierwszy niepokojący symptom w liście do doktora Larcha opisującym Seniora Worthingtona. „Powtarza z wielką dokładnością” – napisał Homer. Zwrócił też uwagę na to, że Senior często zapomina nazw najpospolitszych przedmiotów codziennego użytku: niedawno nie umiał poprosić Wally’ego o papierosa – wskazywał tylko palcem górną kieszeń marynarki syna. „Miałem wrażenie, że umknęło mu słowo «papieros»,” – pisał Homer do doktora Larcha. Przypomniało mu się również, jak wioził Seniora po nieduże zakupy do sklepu Sanborna i Senior nie mógł poradzić sobie z otwarciem schowka na rękawiczki we własnym samochodzie. Poza tym Senior stale skubał odzienie: „Jakby zdejmował z ubrania pyłki, włosy czy watę, chociaż tam nic nie ma” – pisał dalej Homer.

Oliwia Worthington zapewniła Homera, że – zdaniem ich lekarza domowego, starszego nawet od doktora Larcha – kłopoty Seniora są ściśle „alkoholopochodne”.

– Doktor Perkins jest już za stary na uprawianie praktyki, mamó – stwierdził Wally.

– Doktor Perkins asystował przy twoich narodzinach – przypomniała mu Oliwia. – Myślę, że wie, co mówi.

– Na pewno urodziłem się bez problemu – uśmiechnął się Wally.

Na pewno – pomyślał Homer, gdyż zgadzało się to z jego prywatną opinią o Wallym: Wally uważał, że ze świata słusznie należy mu się wszystko, co najlepsze, a przekonanie to nie wynikało ani z chciwości, ani z zepsucia, tylko z wrodzonego Wally’emu poczucia wyższości, godnego Księcia Maine i Króla Nowej Anglii. Wally urodził się, by dominować nad światem.

Odpowiedź doktora Larcha na list Homera została natychmiast pokazana pani Worthington.

„Objawy, które opisałeś, Homerze, wskazywałyby na rodzaj postępującego schorzenia mózgu” – pisał doktor Larch. „W przypadku pacjenta w tym wieku niewiele jest schorzeń, które należy wziąć pod uwagę. Najbardziej przychyliłbym się do diagnozy o zespole przedwczesnej demencji starczej Alzheimera. Jest to choroba dość rzadko spotykana; przeczytałem o niej trochę w starych rocznikach «New England Journal of Medicine». Odruch skubania odzieży neurologia określa mianem karfologii. W typowym dla zespołu Alzheimera procesie stopniowej deterioracji, pacjent zaczyna coraz częściej powtarzać to, co usłyszy. Ten objaw zwany jest echolalią. Niezdolność nazywania po imieniu codziennych przedmiotów wynika stąd,



że pacjent przestaje je rozpoznawać – jest to zjawisko anomii. Natomiast niezdolność wykonywania prostych nawet operacji manualnych – takich jak otwarcie schowka na rękawiczki w samochodzie – jest również typową cechą tej choroby i nosi nazwę apraksji.

Powinieneś wpłynąć na panią Worthington, aby poddała małżonka badaniu neurologicznemu. Wiem o co najmniej jednym neurologu w Maine. Ja mogę tylko podejrzewać, że chodzi o zespół Alzheimera.”

– Choroba Alzheimera? – zdziwiła się Oliwia Worthington.

– Więc to jakaś choroba? Co mu jest? – dopytywał się Wally.

Kiedy jechali samochodem do neurologa, Wally płakał.

– Wybacz, tato – wykrztusił przez łzy.

Ale Senior był zachwycony.

Gdy neurolog potwierdził diagnozę doktora Larcha, Senior Worthington wprost nie posiadał się ze szczęścia.

– Jestem chory! – wznosił dumny, szczęśliwy okrzyk, jakby właśnie usłyszał, że został wyleczony. Tymczasem choroba należała do nieuleczalnych. – Jestem chory! – Senior szalał z radości.

Diagnoza, z której wynikało, że Senior nie jest zwyczajnym pijakiem, musiała sprawić Seniorowi wielką ulgę – przynajmniej na chwilę. Oliwia, która doznała podobnej ulgi, rozpląkała się na ramieniu Wally’ego, a potem wyściskała Homera Wellsa. Tak mocnych uścisków Homer nie zaznał od minionej epoki siostry Angeli i siostry Edny. Pani Worthington nie wiedziała, jak ma Homerowi dziękować. Stała się bowiem rzecz niezmiernie dla niej ważna: chociaż Oliwia już od dawna nie kochała Seniora (jeśli w ogóle kiedykolwiek go kochała), to diagnoza neurologa pozwoliła jej zacząć go na nowo szanować. Oliwia była nieskończenie wdzięczna Homerowi i doktorowi Larchowi za przywrócenie Seniorowi ludzkiej godności, a jej samej – szacunku dla Seniora.

Stąd też szczególny klimat, który otaczał śmierć Seniora u schyłku tego lata, tuż przed zbiorami: więcej w nim było ulgi niż żałoby. Od pewnego czasu podejrzewano, że Senior wkrótce umrze. Fakt, że zrobił to tak szybko i w pewnym sensie honorowo – umierając, jak się wyraził Bert Sanborn, na „*bona fide* chorobę” – wszystkich przyjemnie zaskoczył.

Obywatele Heart’s Rock i Heart’s Haven mieli tylko pewne kłopoty z zapamiętaniem prawidłowej nazwy choroby: w roku 194- nazwisko Alzheimera nie należało do potocznie cytowanych w stanie Maine. Szczególnie trudne okazało się dla

pracowników Sadów Z Widokiem Na Ocean. Uprzystępniał im je dopiero Ray Kendall, mówiąc:

– Senior chorował na arcychama.

Arcycham – to przynajmniej była choroba dla każdego zrozumiała.

– Mam nadzieję, że to nie jest zaraźliwe – zaniepokoiła się Big Dot Taft.

– Może tylko bogaci na coś takiego chorują? – zasugerował Meany Hyde.

– Nie, to schorzenie neurologiczne – wyjaśnił im Homer Wells, ale to wyjaśnienie znaczyło cokolwiek tylko dla niego samego.

Z tych przeżyć w środowisku pracowników Sadów Z Widokiem Na Ocean zrodziło się nowe powiedzonko:

– Uważaj! – mawiał na przykład Herb Fowler. – Bo złapiesz arcychama!

A gdy Luiza Tobey spóźniała się do pracy, Florencja Hyde (albo Irena Titcomb, czy Big Dot Taft) witała ją pytaniem:

– Co się dzieje? Masz ciotkę czy arcychama?

Natomiast na widok kuśtykającej i posiniaczonej Grace Lynch, każdy myślał sobie w duchu (lecz nikt nie mówił):

– Znowu arcycham był w robocie, nie ma co!

– Powinieneś zostać doktorem – powiedział Wally Homerowi Wellsovi. – Masz dryg do tego zawodu.

– Doktorem jest doktor Larch – odparł Homer. – Ja jestem Beduinem.

Tuż przed zbiorami – wstawiwszy świeże kwiaty do sypialni tłoczni win. Wystukawszy na czystej kartce papieru regulamin (prawie słowo w słowo taki jak ubiegłoroczny) i przypiąwszy go pinezką do ściany w kuchni tuż obok kontaktu – Oliwia Worthington zaproponowała Beduinowi dom.

– Fatalnie znoszę wyjazdy Wally’ego na uczelnię – zwierzyła się Homerowi. – A w tym roku, skoro zabrakło Seniora, będzie mi jeszcze trudniej. Bardzo bym się cieszyła, gdybyś, Homerze, uznał, że będzie ci tu dobrze... Mógłbyś zostać w pokoju Wally’ego. Lubię wiedzieć, że ktoś śpi pod tym samym co ja dachem, i mieć do kogo otworzyć usta z rana.

Oliwia mówiła to wszystko odwrócona plecami do Homera: patrzyła przez wykuszowe okno w kuchni. Dmuchany materac, na którym Senior zwykł był pływać po basenie, unosił się lekko na powierzchni wody w zasięgu jej wzroku, ale Homer nie umiałby powiedzieć, czy Oliwia patrzy na materac.

– Nie wiem, co by na to powiedział doktor Larch – rzekł Homer.

– Doktor Larch chciałby, żebyś w przyszłości podjął studia – powiedziała Oliwia. – Popieram ten pomysł. Z przyjemnością dowiem się w szkole średniej w Cape Kenneth, czy zechcą sprawdzić aktualny stan twojej wiedzy i przygotować cię do egzaminów. Odebrałeś wielce, że tak powiem, osobliwe wykształcenie. O ile mi wiadomo, doktor Larch życzyłby sobie, żebyś uczył się wszystkich przedmiotów ścisłych. – Homer domyślił się, że informacje te czerpała Oliwia z listów, które pisywał do niej doktor Larch. – Oraz łaciny – dodała Oliwia Worthington.

– Łaciny... – powtórzył Homer Wells. Tak, to z pewnością był pomysł doktora Larcha. *Cutaneus maximus*, *dura mater*, no i oczywiście *umbilicus*. – Doktor Larch chce, żebym został lekarzem. Ale ja nie chcę – oznajmił Homer pani Worthington.

– Mam wrażenie, że zależy mu na tym, abyś zyskał możliwość zostania w przyszłości lekarzem, gdybyś kiedyś zmienił zdanie. O ile pamiętam, proponował łacinę lub grekę.

Muszą prowadzić ożywioną korespondencję – pomyślał sobie Homer, ale głośno powiedział tylko:

– Najbardziej lubię pracować na farmie.

– To doskonale, bo bardzo mi się tu przydasz – rzekła Oliwia. – Szczególnie przy zbiorach. Nie wyobrażałam sobie nawet, że podejmiesz normalną, dzienną naukę. Zresztą, najpierw muszę porozmawiać z dyrekcją szkoły: na pewno potraktują cię jako eksperyment.

Eksperyment... – zamyślił się Homer Wells. Czyż dla Beduina wszystko w życiu nie jest eksperymentem?

Przypomniał mu się nagle nóż znaleziony na dachu tłoczni. Czy był tam właśnie po to, żeby Homer go znalazł? Albo to potłuczone szkło, którego odłamek słał sygnały w okno Wally'ego: czy było tam właśnie po to, by dręczonemu bezsennością Homerowi przekazać jakąś wiadomość?

Homer napisał do doktora Larcha z prośbą o zgodę na pozostanie w Sadach Z Widokiem Na Ocean. „Pójdę na kurs biologii i co tam jeszcze będzie z nauk przyrodniczych” – obiecał w liście. „Ale czy rzeczywiście muszę uczyć się łaciny? Przecież tym językiem już nikt nie mówi.”

Skąd on nagle taki przemądrzały? – zdziwił się Wilbur Larch. Z pewnych względów – pomyślał – nie jest wcale pożądanym, aby Homer Wells znał łacinę i grekę – dwa główne źródła terminologii medycznej. Mógłby, na przykład, natknąć się na określenie „koarktacja aorty”. Wrodzona wada serca kryjąca się pod tym terminem

może mijać z wiekiem i u pacjenta w wieku Homera nie powodować już w ogóle szmerów w sercu; wówczas jedynie bardzo wprawne oko dostrzegłoby na zdjęciu rentgenowskim nieznaczne rozszerzenie aorty. W łagodnej postaci wada ta objawia się jedynie nadciśnieniem w kończynach górnych. Więc nie ucz się łaciny, jak tak bardzo nie chcesz – pomyślał pod adresem Homera doktor Larch.

Szukając najodpowiedniejszej wady serca dla Homera Wellsa, doktor Larch coraz bardziej przychylił się do zwężenia zastawki tętniczej płucnej. „W wieku niemowlęcym i wczesnodziecięcym u Homera Wellsa dały się obserwować głośne szmery w sercu” – doktor Larch zapisał to sobie, żeby potem sprawdzić, jak brzmi historia choroby Homera. „W dwudziestym pierwszym roku życia, szmery w sercu Homera są prawie niesłyszalne, na zdjęciu rentgenowskim stwierdzam jednak utrzymujące się zwężenie zastawki tętniczej płucnej.” Taką wadę trudno było stwierdzić na podstawie badań – i o to właśnie Larchowi chodziło. Wada miała po prostu istnieć.

„Nie ucz się łaciny ani greki, jeżeli nie chcesz” – odpisał Homerowi doktor Larch. „Żyjemy, bądź co bądź, w wolnym kraju.”

Homer Wells zaczął nabierać podejrzeń. Razem z listem, w tej samej kopercie, doktor Larch przysłał mu list od pocziwego Snowy’ego Meadowsa. Snowy, w opinii Wilbura Larcha, był głupkiem „z gatunku namolnych”.

„Cześć, Homer. To ja, Snowy” – zaczynał się list od Snowy’ego Meadowsa. Snowy informował Homera, że obecnie nazywa się Robert Marsh – „z tych Marshów z Bangor, słynnego rodu producentów mebli” – dodał z dumą.

Słynny ród producentów mebli? – stropił się Homer Wells.

Snowy rozpiśtał się o tym, jak to spotkał i poślubił pannę swoich marzeń, jak, mając do wyboru meblarstwo i studia, zdecydował się na meblarstwo i jaki był szczęśliwy, że wyrwał się z St. Cloud’s. Wyrażał nadzieję, że Homer też „się wyrwał”.

„A co tam słyhać u Fuzzy’ego Stone’a? Pisuje do Ciebie?” – dopytywał się Snowy Meadows. „Staruszek Larch pisze mi, że Fuzzy nieźle sobie radzi. Chciałbym skrobnąć do Fuzzy’ego – masz może jego adres?”

Adres Fuzzy’ego Stone’a! – pomyślał ze zgrozą Homer Wells. Dlaczego „staruszek Larch” doniósł Snowy’emu, że „Fuzzy nieźle sobie radzi”? W czym niby tak sobie radzi? – dumiał Homer. Odpisał jednak Snowy’emu Meadowsowi, że, istotnie, Fuzzy świetnie sobie radzi; że niestety, on, Homer, zawieruszył gdzieś obecny adres Fuzzy’ego; i że praca w sadzie jest, jego zdaniem, zdrowa i satysfakcjonująca. Na razie – dodał – nie planuje wycieczki do Bangor, ale jeśli się tam kiedyś znajdzie, nie

omieszka zajrzeć do „słynnego meblarskiego rodu Marshów”. Kończąc, stwierdził dość kategorycznie, że nie zgadza się z opinią Snowy’ego, jakoby „zjazd byłych wychowanków St. Cloud’s” był nadzwyczajnym pomysłem, i wyraził przekonanie, iż doktor Larch nie wyraziłby zgody na taką imprezę; dodał też, że szczerze tęskni za siostrą Angela i siostrą Edną, jak też i za doktorem Larchem – ale chyba lepiej opuścić St. Cloud’s raz na zawsze. „Czyż nie taka jest idea tego miejsca?” – pytał Homer listownie Snowy’ego Meadowsa. „Czy nie po to są sierocińce, żeby je opuszczać?”

Drugi list napisał Homer Wells do doktora Larcha.

„Co należy rozumieć pod hasłem «Fuzzy Stone nieźle sobie radzi»? W jakiej dziedzinie? Wiem, że Snowy Meadows jest idiotą, ale skoro zdecydował się Pan informować go o sprawach Fuzzy’ego Stone’a, to wypadałoby, żebym i ja znał Pańską wersję.”

Wszystko w swoim czasie – odpowiedział mu w duchu Wilbur Larch, czytając te słowa. Opadło go zmęczenie; nie znosił być popędzany i zmuszany do czegokolwiek. Tymczasem doktor Gingrich i pani Goodhall zdołali przekonać radę nadzorczą o konieczności zobowiązania Larcha do sporządzenia „sylwetek postadopcyjnych” wszystkich byłych wychowanków w rodzinach zastępczych (był to pomysł doktora Gingricha). Licząc się z tym, że dodatkowa praca biurokratyczna może być dla doktora Larcha zbyt dużym obciążeniem, rada zalecała mu przyjęcie, zgodnie z sugestią pani Goodhall, asystenta do spraw administracyjnych. Mało mam bieżącej historii do rejestrowania? – zżymał się w duchu doktor Larch. Poszedł odpocząć do zabiegowego. Powąchał trochę eteru i zaraz się uspokoił. Gingrich i Goodhall – wyrecytował półgłosem, zapadając w drzemkę. Gingrich i Goodhall – wymamrotał. Richhall i Ginggood! Goodging i Hallrich! Obudził się, chichocząc w głos.

– Co panu tak wesoło? – zawołała z korytarza zrzędlwym tonem siostra Angela.

– Goodballs i Ding Dong! – odpowiedział jej Wilbur Larch.

Duch zemsty skierował jego kroki do gabinetu siostry Angeli: Larch miał plany w związku z Fuzzym Stone’em. Zatelefonował do Bowdoin College (gdzie Fuzzy miał w swoim czasie ukończyć niższy etap studiów) i do Harvardzkiej Akademii Medycznej (gdzie Larch zaplanował mu świetlaną karierę). W dziekanacie Bowdoin College złożył telefoniczne oświadczenie o darze pieniężnym ofiarowanym

sierocińcowi St. Cloud's z zastrzeżeniem wykorzystania całej sumy na pokrycie kosztów studiów medycznych młodej osoby płci dowolnej, która zadeklarowałaby chęć – więcej: powołanie – do służby w St. Cloud's. Czy w związku z tym doktor Larch mógłby uzyskać wgląd w arkusze ocen tych absolwentów Bowdoin College z ostatnich roczników, którzy podjęli dalsze studia w akademiach medycznych? Tę samą prośbę, w nieco zmienionej wersji, przedstawił władzom Harvardzkiej Akademii Medycznej: tu też prosił o możliwość wglądu w arkusze ocen, z tym, że wspominał o znacznej sumie ofiarowanej sierocińcowi z przeznaczeniem na stypendium dla studenta (lub studentki), który obrał specjalizację położniczą.

Następnie Wilbur Larch udał się w podróż. Nie podróżował od czasu pościgu za Klarą, a poza gabinetem zabiegowym nie spał ani razu od pierwszej wojny światowej – ale nie było rady: musiał się zapoznać z odpisami akt College'u Bowdoina i Harvardzkiej Akademii Medycznej. Jedynie tą drogą mógł stworzyć arkusze ocen, potwierdzające karierę naukową F. Stone'a. Na miejscu, w obu przypadkach, poprosił o możliwość skorzystania z maszyny do pisania i jakąś kartkę – „najlepiej pusty arkusz ocen, to mi bardzo ułatwi sprawę” – na której udawał, że wypisuje nazwiska i rekomendacje.

– Widzę sporo idealnych kandydatów – oświadczył na koniec w dziekanatach obu uczelni. – Ale ciekawe, ilu z nich nie przestraszy się St. Cloud's. Żyjemy na odludziu – wyznał skromnie, oddając odpisy dokumentów sekretarkom (z Fuzzym na właściwym miejscu, pośród S-ów).

Po powrocie do St. Cloud's, doktor Larch napisał ponownie do Bowdoin i Harvardu, prosząc o kopie arkuszy ocen kilkorga wyróżniających się absolwentów, do których – jak donosił – ograniczył swoje zainteresowania. Kopia ocen Fuzzy'ego przybyła pocztą wraz z innymi.

Podczas wizyty w Harvardzkiej Akademii Medycznej Larch wynajął w Cambridge skrytkę pocztową na nazwisko Fuzzy'ego. Potem, już z domu, poprosił listownie dyrektora poczty w Cambridge o przesyłanie wszelkiej korespondencji F. Stone'a do St. Cloud's. Adres na skrytkę pocztową miał się jeszcze przydać, gdy młody doktor Stone, powodowany szlachetnym odruchem serca, wyjedzie na misję zagraniczną. W jakiś czas potem doktor Larch wysłał na adres poczty w Cambridge pustą kopertę i czekał spokojnie na jej powrót.

Gdy koperta wróciła – dowodząc, że jego system działa – Larch zajął się komponowaniem brakującego fragmentu dziejów F. Stone'a i jego zastępczych rodziców (nazwiskiem Eames). Gotowy tekst posłał radzie nadzorczej, wraz z adresem

Fuzzy'ego. Nie musiał zmyślać w przypadku Curly'ego Daya (choć z trudem przyszło mu napisać „Roy Rinfret”); o Snowym Meadowsie i większości innych adoptowanych wychowanków też napisał prawdę (krztusząc się ze śmiechu przy sformułowaniu „słynny ród Marshów – wytwórców mebli”). Kiedy doszedł w raportach do Homera Wellsa, wiedział, że musi zachować wielką ostrożność w opisie wady jego serca.

W składzie rady nadzorczej nie było, co prawda, kardiologa, radiologa ani nawet chirurga – jedynie bardzo stary internista, który na pewno nigdy niczego nie czytał. Doktora Gingricha nie uważał Larch za lekarza – psychiatra był dla niego po prostu niczym – co zaś do pani Goodhall, to wyglądała na taką, którą można bez trudu nabrać na fachowo brzmiące terminy.

Doktor Larch zwierzył się radzie w wielkim zaufaniu (komu nie schlebia rola powiernika?), że świadomie nie powiadomił Homera o wadzie serca, na którą chłopak cierpi. Przyznawał się do zatajenia informacji przed pacjentem, tłumacząc jednocześnie, że lęk wywołany diagnozą mógł pogłębić chorobę. Doktorowi zaś zależało (jak twierdził w liście do rady nadzorczej) na tym, by chłopiec nabrał pewności siebie i otarł się o świat, zanim dowie się przykrew prawdy o sobie samym – co (zapewniał Larch radę) nastąpi niebawem. Larch donosił, że powiadomił o wadzie serca Homera rodzinę Worthingtonów, która z tej racji miewa wobec chłopca odruchy nadopiekuńcze. Doktor Larch nie wprowadził Worthingtonów w bliższą charakterystykę szmerów w sercu Homera i zwężenia zastawki tętniczej płucnej. Gdyby jednak rada nadzorcza życzyła sobie szczegółowej diagnozy, chętnie takową prześle. Larch chichotał, wyobrażając sobie panią Goodhall studiującą zdjęcie rentgenowskie.

Zakończył list pochwałą dla rady za pomysł sprawozdań o losach adoptowanych wychowanków; zapewnił radę, że opracowywanie raportów sprawiło mu wielką radość, i stwierdził, że absolutnie nie widzi potrzeby zatrudnienia w tym celu asystenta administracyjnego. Przeciwnie – nowe, „pożyteczne zadanie” wprost „dodało mu energii”; myśl o zbadaniu dalszych losów adoptowanych sierot „od dawna bowiem chodziła mu po głowie” (Jak wesz” – dodał, już sam do siebie).

Z przemęczenia doktor Larch zapomniał obrzezać noworodka, którego siostra Angela przygotowała do zabiegu; pacjentkę oczekującą na aborcję pomylił z położnicą, której dziecko odebrał poprzedniego dnia, i powiadomił ją, że malec jest zdrow i miewa się doskonale; wreszcie chlapanął sobie na twarz eterem i musiał przepłukać oko.

Rozzłościł się na siebie za sprowadzenie prezerwatyw, których nagle wszędzie zrobiło się pełno. (Odkąd Melony opuściła sierociniec, nikt ich już nie podkradał.) Na myśl o Melony, doktor Larch odczuł niepokój, co go jeszcze bardziej zirykowało.

Wrócił do gabinetu siostry Angeli i wysmażył zgodny z prawdą raport o tym, że Dawid Copperfield sepleni. Nie wspomniał o tym, że to Homer Wells przyjął na świat Dawida Copperfielda i nadał mu imię. Pofantazjował nieco w sprawozdaniu dotyczącym sieroty imieniem Steerforth: ten poród – stwierdził – miał tak prosty przebieg, że siostra Edna z siostrą Angelą odebrały go same, pod nieobecność lekarza. O Smokym Fieldsie napisał, zgodnie z prawdą, że podkrada jedzenie – z reguły przewinienie to powtarzało się znacznie częściej na oddziale dziewczynek niż chłopców. Ponadto Smoky zaczynał cierpieć na chroniczną bezsenność, jakiej nie odnotowano w St. Cloud's „od czasów Homera Wellsa”.

Na wspomnienie „czasów Homera” łzy zakręciły się w oczach Larcha; opanował się jednak na tyle, by odnotować jeszcze, że oboje z panią Grogan niepokoją się o Mary Agnes Cork: od czasu ucieczki Melony dziewczynka zdradzała częste oznaki depresji. Zawarł też w raporcie prawdę o Melony – z pominięciem aktów wandalizmu. O Mary Agnes napisał jeszcze co następuje: „Możliwe, że postrzega siebie jako następczynię Melony, brak jej jednak cech dominacji, które decydują o powodzeniu w roli przywódczej”. To się spodoba temu idiotcie, Gingrichowi – uznał Larch. „Rola przywódcza!” – powtórzył z przekąsem. Jakby sierotom dostępny był luksus pełnienia jakiegokolwiek roli.

Ulegając nagłemu impulsowi, Larch porzucił pisanie, przeszedł do gabinetu zabiegowego i nadmuchał dwie prezerwatywy. Przynajmniej się do czegoś przydadzą – myślał przy tym. Potem kłopotliwym ołówkiem na jednym balonie wypisał nazwisko GINGRICH, a na drugim – GOODHALL. Z dwoma wesołymi balonikami udał się na poszukiwanie siostry Angeli i siostry Edny.

Znalazł je na oddziale dziewczęcym, popijające herbatę w towarzystwie pani Grogan.

– A-ha! – przestraszył je, aż podskoczyły, ponieważ bardzo rzadko widywało się doktora na oddziale dziewcząt poza porą lektury ściśle odmierzonej dawki *Jane Eyre*; a tym bardziej nie widywało się go z malowanymi prezerwatywami, którymi oto machał siostrom przed nosem.

– Jak sądzę, mam przyjemność z doktorem Gingrichem i panią Goodhall! – kłaniał się Larch na wszystkie strony. Po czym przekłuł skalpelem obie prezerwatywy. Piętro wyżej Mary Agnes Cork usłyszała huk pękających balonów i siadła na łóżku, z



którego prawie się nie ruszała z powodu depresji. Pani Grogan z wrażenia wprost nie mogła wydobyć głosu.

Dopiero gdy doktor Larch zostawił panie przy herbatce, a sam wrócił do szpitala, pierwsza z nich – siostra Edna – odważyła się cokolwiek powiedzieć:

– Wilbur tak ciężko pracuje – zaryzykowała. – To doprawdy cud, że jeszcze chce mu się żartować.

Pani Grogan w dalszym ciągu nie mogła wydobyć głosu, ale siostra Angela miała własne zdanie:

– Moim zdaniem, stary zaczyna mieć nierówno pod sufitem.

Siostra Edna zrobiła taką minę, jakby uwaga ta osobiście ją dotknęła. Nim odezwała się ponownie, bardzo starannie odstawiła filiżankę na spodek.

– A moim zdaniem, to eter – rzekła cicho.

– Nie tylko – sprostowała siostra Angela.

– Więc chodzi również o Homera Wellsa? – przemówiła nareszcie pani Grogan.

– Tak – odparła z wielką pewnością siostra Angela. – To wina i eteru, i Homera Wellsa, i starości, i nowych osób w radzie nadzorczej. Czyli wszystkiego razem. Czyli St. Cloud's.

– Z Melony stało się to samo – pani Grogan rozplakała się wymawiając imię Melony. Piętro wyżej imię Melony usłyszała Mary Agnes Cork – i też się rozplakała.

– Homer Wells wróci, ja to czuję – powiedziała siostra Angela i też zalała się rzewnymi łzami. Siostra Edna starała się pocieszyć obie łkające koleżanki.

– Nie trzeba, nie trzeba – powtarzała w kółko, a w duchu myślała sobie: gdzie jest ten młody mężczyzna, gdzie ta młoda kobieta, którzy się nami wszystkimi zajmą?

– Boże! – rzekła przez łzy pani Grogan. Piętro wyżej Mary Agnes Cork pochyliła głowę i mocno splotła dłonie: przekonała się, że gdy mocno zewrze nasady dłoni, kontuzjowany obojczyk mniej ją boli. – Panie! – modliła się głośno pani Grogan. – Wspieraj nas w każdej chwili dnia, aż cienie się wydłużą i nadejdzie wieczór, i ucichnie zgiełkliwy świat, i przeminie gorączka życia, a nasze dzieło będzie ukończone.

Późną nocą, po ciemku, do wtóru pohukującej sowie, siostra Edna wyszeptwała do siebie: „Amen!”, nasłuchując, jak doktor Larch odbywa swoją rundę i całuje wszystkich chłopców po kolei, nawet Smoky'ego Fieldsa, który kradzione jedzenie chował w łóżku, przez co jego łóżko śmierdziało, i który tylko udawał, że śpi.

Z wyżyn diabelskiego młyna, sponad lunaparku i plaży Cape Kenneth, Homer starał się dojrzeć dach tłoczni win, lecz było ciemno, a w oknach tłoczni nie błyskało światło. A nawet gdyby okna jarzyły się światłem lub na dworze panował najjaśniejszy dzień – tłocznia była stąd za daleko, żeby ją zobaczyć. Widoczność obowiązywała tylko w jedną stronę: z dachu tłoczni dawało się dostrzec światła lunaparku (ale też tylko najjaskrawsze, zwłaszcza z diabelskiego młyna), lecz w drugą stronę obserwacja nie była możliwa.

– Chcę zostać pilotem – mówił Wally. – Chcę latać, bardzo chcę. Gdybym miał licencję pilota i własny samolot, zająłbym się opylaniem sadów. To nic, że latałbym kukuruźnikiem: pomalowałbym go jak myśliwca. Jak niezdarnie wygląda głupia opylarka ciągnięta przez głupi traktor po głupich pagórkach!

Głupią robotą, którą tak scharakteryzował Wally, zajmował się akurat ojciec Candy, Ray. Meany Hyde rozchorował się i brygadzysta Everett Taft zaproponował nocną rundę opylania Rayowi, który znał sprzęt jak nikt. Było to ostatnie spryskiwanie przed zbiorami; gdzieś tam w dole, wśród poczerniałej od nocy zieleni ścielącej się szeroko pod diabelskim młynem, Ray Kendall i Vernon Lynch rozpylali w tej chwili środki owadobójcze na całe Sady Z Widokiem Na Ocean.

Czasami pracę tę wykonywał Wally; Homer dopiero się jej uczył. Nieraz dał się też namówić Herb Fowler – byle nie w nocy („W nocy mam lepsze zajęcia” – mawiał Herb). Lepiej było opylać nocą niż w dzień, ponieważ wieczorami wiatr przycichał, zwłaszcza blisko morza.

Tej nocy Wally nie opylał, gdyż była to jego ostatnia noc w domu: nazajutrz rano wyjeżdżał na uczelnię.

– Zaopiekujesz się Candy, prawda, Homerze? – spytał Wally, gdy wzniesli się na diabelskim młynie wysoko ponad skalisty brzeg i tłoczną plażę Cape Kenneth. W dole mrugały nieliczne już ogniska rozpalone na plaży przez ostatnich letników. Pasażerowie diabelskiego młyna wracali na ziemię.

Candy miała kończyć trzecią klasę w Akademii Żeńskiej w Camden, skąd na większość weekendów wracała do domu, ale Wally’emu, który studiował w Orono, wolno było odwiedzać rodzinę tylko w Święto Dziękczynienia, Boże Narodzenie i długie ferie.

– Jasne – odparł Homer Wells.

– Gdybym latał samolotami na wojnie – powiedział Wally – to znaczy, gdybym wstąpił do wojska i gdybym został lotnikiem, powiedzmy – załóżmy – na bombowcu, to wolałbym latać na B-24 niż na B-25; na strategicznych, a nie na taktycznych. Na

tych, co bombardują obiekty, a nie ludzi. Za nic nie chciałbym być na wojnie pilotem myśliwca. Myśliwce też ostrzeliwują ludzi.

Homer Wells nie miał pojęcia, o czym Wally opowiada. Nie miał pojęcia o wojnie, bo nie śledził bieżących wiadomości. B-24 był to czterosilnikowy, ciężki bombowiec strategiczny, używany do niszczenia mostów, rafinerii ropy naftowej, składów paliw i torów kolejowych. Atakował obiekty przemysłowe; nie zrzucał bomb na wojska. To drugie zadanie należało do B-25 – średniego bombowca taktycznego. Wally studiował zagadnienia wojny znacznie pilniej niż botanikę i inne przedmioty na Uniwersytecie Maine. Za to Homer w ogóle nie interesował się tą wojną, zwaną podówczas w Maine „wojną w Europie”. Wojnami przejmują się tylko ci, co mają rodziny.

Czy Beduinom zdarzają się wojny? – zadał sobie pytanie Homer Wells. A jeśli tak – to czy Beduini się nimi przejmują?

Homer z niecierpliwością wyczekiwał zbiorów: ciekaw był spotkania z robotnikami sezonowymi – z Murzynami. Sam nie wiedział, dlaczego tak go ta perspektywa pociąga. Czy Murzyni są trochę jak sieroty? Czy też nigdzie nie są u siebie? Czy też nikomu się za bardzo nie przydają?

W imię przyjaźni dla Wally’ego, Homer postanowił sobie nie myśleć o Candy. Podjął to dzielne postanowienie uniesiony – dosłownie i w przenośni – diabelskim młynem. Ten sam wieczór objęty był dalszymi planami. Homer Wells, jako sierota, a więc człowiek nawykły do rutyny, bardzo lubił, żeby wszystko było zaplanowane, chociaż akurat ten plan niezbyt go pociągał.

Cadillakiem Seniora zawiózł Homer Wally’ego pod akwarium Kendalla, gdzie już czekała Candy. Wally wysiadł i został z Candy, Homer odjechał. Ray był na parę godzin zajęty opylaniem sadu, więc młodzi mogli wykorzystać ten czas na intymne pożegnanie. Homer miał tymczasem wpaść po Debrę Pettigrew i zabrać ją do kina dla zmotoryzowanych w Cape Kenneth – po raz pierwszy bez Candy i Wally’ego. Homer był nawet ciekaw, czy zasady tu-wolno-dotykać-a-tu-nie ulegną zmianie w sytuacji sam na sam z Debrą. Lecz lawirując z największą ostrożnością między krwiożerczymi paszczami psiej sfory domostwa Pettigrew, stwierdził z pewnym rozczarowaniem, że w gruncie rzeczy niewiele go obchodzi, czy Debra ostatecznie ulegnie. Wyjątkowo rosła bestia kłapnęła rozgłośnie zębiskami tuż przed jego twarzą – na szczęście łańcuch zadławił psisko w pół skoku; padło ciężko na bok, z głuchym charkotem, po czym jęło się nieporadnie gramolić na łapy. Po co właściwie ludzie trzymają psy? – zastanowił się Homer.

Tej nocy wyświetlano western, z którego Homer wywnioskował tylko tyle, że podróż krytym wozem konnym jest przedsięwzięciem szaleńczym i żalosnym, a ten, kto się na nią decyduje, powinien przynajmniej zawrzeć jakieś wstępne układy z Indianami. W filmie nie doszło do żadnych układów, podobnie zresztą jak w sprawie użycia kondomów (pochodzących od Herba Fowlera), które Homer cały czas miał w kieszeni, „na wszelki wypadek”. Debra Pettigrew zachowywała się, co prawda, znacznie swobodniej niż przy poprzednich okazjach, lecz jej opór w decydującym momencie nie zmalął.

– Nie! – wrzasnęła na cały głos.

– Po co te krzyki? – rzekł spokojnie Homer Wells, wycofując rękę z zakazanych regionów.

– Bo robisz coś takiego już drugi raz – wytknęła mu Debra z matematyczną precyzją.

Homer Wells musiał więc ostatecznie przyjąć do wiadomości, że w stanie Maine w roku 194- tak zwane „obmacywanie” jest dozwolone, tak zwane „ruchanie” mieści się w granicach normy, ale na to, co on sam robił z Melony, co mu prawdopodobnie proponowała Grace Lynch i co praktykowali (przynajmniej raz) Candy z Wallym, była jedna krótka odpowiedź: „Nie!”

Więc jakim sposobem Candy zaszła w ciążę? – głowił się Homer Wells, czując na piersi wilgotne ciepło twarzy Debry Pettigrew. Włosy Debry łaskotały go w nos, ale widział co nieco ponad jej głową – mógł być świadkiem masakry Indian. Jak to możliwe, że mając pod ręką Herba Fowlera, szafującego prezerwatywami szcudrzej niż doktor Larch, który rozdawał je pacjentkom w klinice, Wally dopuścił do zajścia dziewczyny w ciążę? Wally był przecież taki przewidujący. Skoro już o tym mowa, Homer nie potrafił zrozumieć fascynacji Wally’ego wojną. Bo która sierota martwi się tym, że została w dzieciństwie rozpieszczona albo że nie zna trudów życia? Czy sieroty kiedykolwiek się nudzą, czy kiedykolwiek rozpiera je energia – czy nie są to dla sierot niedostępnie luksusowe uczucia? A jednak Curly Day się nudził – przypomniał sobie Homer.

– Homer, śpisz? – spytała Debra Pettigrew.

– Nie – odparł. – Zamyśliłem się.

– O czym?

– O tym, dlaczego Wally i Candy to robią, a my nie – powiedział Homer.

Debra Pettigrew okazała pewne zażenowanie, a przynajmniej zaskoczenie śmiałością stwierdzenia Homera; czuło się, że starannie układa w głowie odpowiedź.

– No cóż – zaczęła filozoficznie. – Oni się kochają, no nie?

– Jasne – potwierdził Homer Wells.

– No właśnie. A ty mi nigdy nie powiedziałeś, że mnie kochasz. Ani ja tobie – dodała.

– Jasne – powtórzył Homer. – Więc wbrew regułom jest robić to, kiedy się nie jest zakochanym?

– Zastanów się... – Debra Pettigrew z emocji aż przygryzła dolną wargę. Było gorzej, niż przypuszczała. – Jak ludzie się kochają i zdarzy im się niefart – to znaczy, ciąża, rozumiesz – wtedy, jeżeli się kochają, to się pobierają. Wally i Candy kochają się, więc gdyby im się zdarzył niefart, to się pobiorą.

Możliwe – pomyślał Homer Wells. Możliwe, że następnym razem się pobiorą. Ale głośno powiedział tylko:

– Rozumiem.

Więc po to te wszystkie zasady! – pojął wreszcie. Chodzi tylko o niefart, o ciążę i o niechciane dzieci. Mój Boże – westchnął w duchu – więc zawsze chodzi tylko o to?

Przeszło mu przez myśl, że mógłby pokazać Debrze kondom, który miał w kieszeni. Skoro jedynym argumentem przeciw była obawa przypadkowej ciąży, to co powie Debra na wariant lansowany nachalnie przez Herba Fowlera? Ale zaraz sam sobie odpowiedział, że takim argumentem da dziewczynie do zrozumienia, iż wszelkie zbliżenie można przełożyć na język wulgarnych gestów – jeśli w ogóle samo zbliżenie nie jest z natury wulgarne. A może wulgarne było tylko dla niego?

Na ekranie widać było włócznię, na której dyndało kilka ludzkich skalpów. Z przyczyn dla Homera niepojętych Indianie nie mogli się nacieszyć tą włócznią, jakby była ich największym skarbem. Wtem strzała przyszpiliła do pnia drzewa dłoń oficera kawalerii. Oficer czynił wszystko (pomagając sobie zębami i wolną ręką), żeby strzałę wyciągnąć, lecz sterczała prostopadle, głęboko wbita w pień, i biedak nic nie zdziałał. Do oficera kawalerii zbliżał się Indianin z tomahawkim: wydawało się, że już będzie po oficerze, zwłaszcza że koniecznie chciał odwieść kurek pistoletu przybitą ręką.

Czemu nie weźmie pistoletu w drugą? – zdumiał się Homer Wells. Ale – o dziwo – oficerowi udało się kciukiem odwieść kurek pistoletu. Homer Wells wyciągnął stąd wniosek, że strzała przeszła śród ręce, nie naruszając nerwu pośrodkowego, który porusza mięśnie kciuka. Miał facet szczęście – orzekł fachowo Homer Wells. W tej samej chwili przybity do drzewa oficer kawalerii strzelił zbliżającemu się Indianinowi w samo serce: na pewno w serce, skoro Indianin zmarł

na miejscu – pomyślał Homer. Wydało mu się to nawet dość zabawne, że ogląda film, a przed oczami ma ilustracje przekroju ręki ludzkiej z *Anatomii* Graya.

Odwiózł Debrę do domu i przeprosił, że jej nie odprowadzi do samych drzwi, ale jeden z psów zerwał się z łańcucha i skrobał zajadle w okienko kierowcy (które Homer ledwo zdążył przed nim zamknąć). Bestia toczyła pianę na szybę, chuchała i dzwoniła zębiskami o szkło, które w końcu tak było zapaćkane, że Homer prawie nie widział na zakrętach.

– Spokój, Eddy! – usłyszał, odjeżdżając, wrzask Debry Pettigrew. – Uspokoisz ty się, czy nie, proszę cię bardzo!

Ale pies ścigał cadillaca jeszcze dobry kilometr.

Eddy? – zdziwił się Homer. Siostra Angela nadała komuś kiedyś imię Eddy – ale chyba szybko został adoptowany, bo Homer go nie pamiętał. Szybka adopcja – tak powinno być.

Zanim Homer dojechał do akwarium Kendalla, Ray zdążył już wrócić do domu. Parzył właśnie herbatę, grzejąc o czajnik twarde, spękane dłonie – dłonie mechanika, z tłustą, czarną obwódką nie do usunięcia pod każdym zniszczonym paznokciem.

– Kogo widzę! Toż to niedoszła ofiara kina dla zmotoryzowanych! – powitał go Ray. – Siadaj; napijesz się ze mną herbaty. – Przez okno widać było przytulone postacie Candy i Wally’ego. – Gołąbeczki nie czują zimna – uśmiechnął się Ray. – Jeszcze się nie skończyli żegnać.

Homerowi było bardzo przyjemnie siedzieć z Rayem i pić herbatę; lubił Raya i czuł, że Ray też go lubi.

– No to mów: czego się dzisiaj nauczyłeś? – zagadnął go Ray. Homer chciał w pierwszej chwili powiedzieć mu o regułach kina dla zmotoryzowanych, ale uznał, że nie o to Rayowi chodzi.

– Niczego – odparł.

– Niemożliwe! – zaprotestował Ray. – Na pewno się czegoś nauczyłeś. Jesteś z tych, co stale się uczą. Wiem, bo sam taki byłem. Patrzysz, jak coś się robi – i już to umiesz; to mam na myśli.

Ray nauczył Homera, jak wymieniać olej w silniku, jak smarować, jak regulować układ elektryczny, zapłon, dopływ paliwa i ustawienie osi; pokazał mu, jak się mocuje sprzęgło – i, ku wielkiemu zdumieniu Raya, Homer wszystko to zapamiętał. Więc Ray nauczył go jeszcze regulacji zaworów i wymiany przekładni. W ciągu jednego lata Homer Wells nauczył się więcej z dziedziny mechaniki niż Wally przez całe życie. Ale Ray podziwiał u Homera nie tylko nadzwyczajne zdolności

manualne; Ray szanował samotność, a sierota – jak sobie wyobrażał – zna ten stan bardzo dobrze.

– Strzelaj – nie ustępował Ray. – Założę się, że nie ma takiej rzeczy, której byś się nie nauczył – której by twoje ręce nie zapamiętały, gdyby choć raz miały z nią do czynienia.

– Jasne – uśmiechnął się Homer Wells. Przypomniała mu się idealna równowaga ramion rozszerzadła Douglassa i łatwość, z jaką dało się utrzymać narzędzie palcem wskazującym i kciukiem, kiedy podparło się jego koniec opuszką palca środkowego. W takim położeniu rozszerzadło stawało się absolutnie posłuszne. I nienagannie precyzyjne. Wzierniki – myślał dalej – bywają różnych rozmiarów i zawsze można dobrać potrzebny rozmiar. Zachwycająca wprost jest precyzja regulacji wziernika: wystarczy półobrót maleńkiej śrubki i kaczy dziób narzędzia będzie trzymał wargi sromowe dokładnie w pożądanym rozwarciu.

Homer Wells, lat dwadzieścia jeden, wdychał opary gorącej herbaty i cierpliwie czekał na rozpoczęcie swojego życia.

We wnętrzu cadillaca, w drodze powrotnej do Sadów Z Widokiem Na Ocean – kiedy skalno-wodna uroda Heart's Haven ustąpiła pola bardziej przyziemnemu, zarośniętemu krajobrazowi Heart's Rock – Homer zadał Wally'emu dręczące go pytanie.

– Ciekaw jestem – tylko, proszę cię, nie odpowiadaj, że wolałbyś o tym nie mówić – jak to się stało, że Candy zaszła w ciążę? Nie użyłeś żadnej ochrony?

– Jasne, że użyłem – wzruszył ramionami Wally. – Miałem kondom od Herba Fowlera. Niestety, dziurawy.

– Dziurawy?

– Dziurka była nieduża – uściślił Wally – ale od razu się zorientowałem, że przepuszcza.

– Wystarczy najmniejszy otwór – powiedział Homer.

– No właśnie – przyznał Homer. – Herb nosi je byle jak po kieszeniach, pewnie przypadkiem czymś przekłuł.

– Od tamtej pory nie używasz pewnie kondomów, którymi on w ciebie rzuca? – zgadł Homer Wells.

– Jasne, że nie – odparł Wally.

W domu, kiedy Wally już zasnął – spokojnym snem księcia, wolnym od lęku przed światem snem króla – Homer Wells wyślizgnął się z łóżka, po omacku znalazł spodnie, wyciągnął z kieszeni prezerwatywy i udał się z nimi do łazienki. Tam jeden kondom napełnił zimną wodą z kranu. Dziurka była maleńka, ale skuteczna: cienki, nieprzerwany jak nitka strumyk wody tryskał równo z czubka prezerwatywy. Otwór był większy niż od przekłucia szpilką, ale na pewno mniejszy niż gdyby ktoś zawadził w tym miejscu paznokciem. Herb Fowler mógł używać jako narzędzia obcinacza do paznokci albo igły kompasu – doszedł do wniosku Homer Wells.

Dziurka została zrobiona z rozmysłem, w starannie wyznaczonym punkcie, dokładnie pośrodku. Homer Wells wyobraził sobie, jak Herb Fowler dziurawi kondomy, i zadrżał z gniewu. Przypomniawszy sobie pierwszy ludzki płód, który znalazł wracając od pieca do spalania odpadów – i tę myśl, że żyjątko spadło z nieba. Przypomniawszy sobie wyprężone ramionka zadżganego płodu z Wodospadu Trzy Mile. I zielonkawożółty siniak na piersi Grace Lynch. Czy powodem wyprawy Grace Lynch do St. Cloud's była jedna ze słynnych prezerwatyw Herba Fowlera?

W St. Cloud's napatrzył się na bezdenną rozpacz i inne, łagodniejsze odmiany nieszczęścia, na odruchy depresji i agresji. Nieobca była mu podłość i niesprawiedliwość. Ale to – myślał Homer – to jest zło! Czy widziałem już kiedyś zło? Pamięć podsunęła mu obrazek kobiety trzymającej w ustach penis kuca. Co człowiek powinien zrobić, kiedy rozpozna zło? – zadał sobie pytanie Homer Wells.

Patrzył przez okno pokoju Wally'ego, lecz jego wyobraźnia malowała na czarnym tle nocy zwietrzały, jeszcze nie obsadzony drzewami stok wzgórza za szpitalem i oddział chłopięcy St. Cloud's, a za rzeką zobaczył Homer gęsty, chociaż wyniszczony las, który pochłaniał wszystkie odgłosy, więc pochłonął i żalobę Homera po Fuzzym Stone'ie. Gdyby znał modlitwę pani Grogan, spróbowałby się pewnie do niej uciec, ale jedyną znaną mu modlitwą, którą odmawiał dla ukojenia, było zakończenie Rozdziału Czterdziestego Trzeciego *Dawida Copperfields*. Po tych słowach następowało dalsze dwadzieścia rozdziałów, więc możliwe, że nie były dość dobitne na modlitwę – toteż Homer wyszeptał je do siebie niezbyt dobitnie, właśnie tak, jakby sam nie bardzo wierzył w ich prawdziwość, tylko bardzo a bardzo sobie tej prawdziwości życzył; jakby przez uporczywe powtarzanie mógł te słowa uczynić prawdą odnoszącą się właśnie do niego, do Homera Wellsa:



„Stanąłem z boku, by przypatrzeć się mijającym mnie widmom owych dni. Przeszły, zniknęły, ja zaś podejmuję dalszą podróż swej opowieści”.

Modlitwa nie pomogła: Homer przez całą noc nie zmrużył oka, bo widma przeszłości wcale nie zniknęły. Były jak te małe, wstrętne dziurki w prezerwatywie: perfidnie ukryte, nie wiadomo w jakim celu – po prostu były.

Rankiem Wally wyjechał, niezbyt ochoczo, do Orono, na uniwersytet. W dzień później Candy wyjechała do Akademii w Camden. W wigilię przyjazdu do Sądów Z Widokiem Na Ocean grupy sezonowych pracowników, Homer Wells – najwyższy i najstarszy uczeń szkoły średniej w Cape Kenneth – uczestniczył w inauguracyjnym spotkaniu klasy biologicznej kursu dla zaawansowanych. Koleżanka Debra Pettigrew musiała eskortować go do laboratorium, gdyż zablądził w korytarzach i trafił do pracowni stolarskiej.

Podręcznikiem na kursie biologii dla zaawansowanych była *Praktyczna anatomia królika* B.A. Bensleya. Homer Wells wzruszył się na jej widok, w przeciwieństwie do reszty klasy, wyraźnie onieśmiałej tekstem i ilustracjami. Homer uświadomił sobie, jak bardzo się stęsknił za zniszczonym egzemplarzem Graya – odkrycie to było dla niego szokiem. Do podręcznika Bensleya początkowo odniósł się krytycznie: *Anatomia* Graya zaczynała się od szkieletu, Bensley zaś rozpoczynał wykład od budowy tkanek. Nauczyciel okazał się jednak niegłupi: sam wyglądał jak szkielet i – ku zadowoleniu Homera – zaraz na wstępie oznajmił klasie, że nie zamierza stosować się do chronologii podręcznika, tylko zacznie, jak Gray, od kości. Zadowolony z powrotu do rutyny, Homer skupił uwagę na pożółkłym ze starości szkielecie królika. W klasie panowała cisza jak makiem zasiał; niektórym chyba zrobiło się niedobrze. Ciekawe, co będzie, jak zaczniemy układ moczowo-płciowy – pomyślał Homer z politowaniem, lustrując idealnie uformowane kostki; i zaraz ponownie zaszokowała go własna myśl. Bo stwierdził, że wprost nie może się doczekać lekcji o układzie moczowo-płciowym nieszczęsnego królika!

Patrząc z profilu na czaszkę królika, sam siebie egzaminował z nazw kości – okazało się, że wszystko pamięta: ciemieniowa, skroniowa, nosowa, czołowa, szczękowa, jarzmowa, żuchwa. Świetnie pamiętał Klarę i jej siostrzyce, które tak wiele go nauczyły.

A co się stało z Klarą? Złożono ją wreszcie na wieczne spoczywanie w miejscu, którego sama by sobie pewnie nie wybrała – bo w St. Cloud’s cmentarz leżał w opuszczonej części miasteczka. Może tak właśnie powinno być – myślał doktor Larch, nadzorując pochówek Klary – przecież i Klara była opuszczona; jej nieszczęsne ciało zaznało znacznie więcej badań i analiz niż miłości.

Siostra Edna przeraziła się na widok wynoszonej trumny, lecz siostra Angela pospieszyła ją uspokoić, że żadna z sierot nie zmarła minionej nocy. Pani Grogan towarzyszyła doktorowi Larchowi na cmentarz: Larch sam ją zaprosił, wiedząc, jak chętnie pani Grogan korzysta z każdej okazji zmówienia swojej modlitwy. (St. Cloud’s nie miało własnego pastora, księdza ani rabina; kiedy potrzeba było świętych słów, wygłaszał je ktoś sprowadzony z Wodospadu Trzy Mile. O postępującym wyobcowaniu doktora Larcha świadczył fakt, że odmówił korzystania z pomocy Wodospadu Trzy Mile w jakiegokolwiek sprawie i – skoro już koniecznie musiał wysłuchać religijnych formułek – wołał je w wykonaniu pani Grogan.)

Był to pierwszy pogrzeb, na którym Wilbur Larch płakał. Pani Grogan domyśliła się, że obiektem jego łez nie jest Klara. Larch nie pochowałby Klary, gdyby miał nadzieję na powrót Homera Wellsa.

– No cóż, myli się – stwierdziła siostra Angela. – Święty też się może mylić. Homer Wells wróci. Tutaj jest jego miejsce, chce czy nie.

Czy to eter? – zastanawiał się doktor Larch. Chodziło mu o to, czy właśnie eter budzi w nim dojmujące i coraz silniejsze przecucie przyszłych zdarzeń. Przewidział, na przykład, nadejście listu do F. Stone’a, przesłanego ze skrytki pocztowej Fuzzy’ego.

– Co to za makabryczny kawał? – skrzywiła się siostra Angela, obracając kopertę na wszystkie strony.

– Poproszę o ten list – wyciągnął rękę Larch. Do Fuzzy’ego pisała (zgodnie z przewidywaniem Larcha) rada nadzorcza. Po to właśnie rada żądała sprawozdań o losach adoptowanych wychowanków oraz ich adresów. Sprawdzają mnie – pomyślał Larch. Spodziewał się tego.

List do Fuzzy’ego zaczynał się od serdeczności i zapewnień, że rada wiele słyszała o Fuzzym od doktora Larcha; rada chciałaby jednak dowiedzieć się więcej o jego „przeżyciach w St. Cloud’s” – jeśli, naturalnie, Fuzzy zechce się nimi „podzielić” z zarządem.

Sformułowanie „przeżycia w St. Cloud’s” skojarzyło się Wilburowi Larchowi z seansem spirytystycznym, a załączony do listu kwestionariusz podzielał nań jak płachta na byka. Dla osłody Larch spróbował odgadnąć, które z pytań układał

namolny doktor Gingrich, a które wyległy się w trzeźwym do przesady umyśle pani Goodhall. Z niejakim rozbawieniem wyobraził też sobie, jak odpowiedzą na idiotyczne pytania ankiety Homer Wells, Snowy Meadows, Curly Day i inni byli wychowankowie. Zaraz jednak z całą powagą przystąpił do dzieła: odpowiedzi Fuzzy'ego Stone'a musiały wypaść wzorowo. Larch zamierzał uczynić wszystko, aby Fuzzy Stone wrył się trwale w pamięć zarządu.

Pytań było pięć. Wszystkie opierały się na mylnym założeniu, że sierota w chwili adopcji miała co najmniej pięć, sześć lat. Ten fakt, oraz inne niedorzeczności, przekonały doktora Larcha, że doktor Gingrich i pani Goodhall są łatwymi przeciwnikami.

1. Czy nadzór w St. Cloud's oceniasz jako właściwy? (W odpowiedzi prosimy zaznaczyć, czy w postawie opiekunów dominowała serdeczność, czy dydaktyzm; szczególnie interesują nas te sytuacje, w których czułeś się traktowany niewłaściwie.)

2. Czy opiekę medyczną, jaką Cię otoczono w St. Cloud's, oceniasz jako wystarczającą?

3. Czy zostałeś należycie przygotowany do nowego życia w rodzinie adopcyjnej i czy uważasz, że Twój nowy dom został wybrany starannie i właściwie?

4. Czy masz sugestie dotyczące poprawy metod wychowawczych i sposobów administrowania St. Cloud's? (Czy uważasz, że Tobie samemu żyłoby się tam łatwiej pod opieką młodszego, bardziej energicznego – lub też tylko liczniejszego – personelu?)

5. Czy są Ci znane próby integracji życia sierocińca z życiem lokalnej społeczności?

– Jakiej znowu lokalnej społeczności? – oburzył się głośno Wilbur Larch. Stał akurat przy oknie w gabinecie siostry Angeli i patrzył na jałowy stok wzgórze, gdzie Wally swego czasu wymarzył sobie sad. Czemu nie przyjechali zasadzić tych głupich jabłoni? – zżymał się w duchu Larch. – Mogli to zrobić choćby dla mojej przyjemności!

– Jakiej społeczności? – zawył jeszcze raz.

No tak, rzeczywiście – udzielił sam sobie zjadliwej odpowiedzi. Mogłem zapraszać zawiadowcę stacji z pogadankami religijnymi: niechby zabawił sierotki

opowieścią o rojach bezdomnych dusz, kłębiących się w każdej niszy nieba. A przy okazji ów zacny obywatel mógł demonstrować działwie katalogi bielizny.

Albo ta rodzinica z Wodospadu Trzy Mile, która z taką lubością maltretowała dzieci – czy nie powinienem był zapraszać ich raz w tygodniu, aby udzielali lekcji poglądowych? Może należało też od czasu do czasu poprosić którąś z pacjentek po aborcji o wyjaśnienie sierotkom, czemu się nie zdecydowała urodzić; lub jeszcze lepiej – sprowadzić matkę tego i owego wychowanka – niechby im powiedziała, dlaczego oddała je do sierocińca! To byłyby prawdziwie pouczające pogadanki! Mój Boże! – westchnął gorzko Wilbur Larch – cóż za społeczność mogliśmy wokół siebie stworzyć, gdybyśmy tylko byli młodsi, bardziej energiczni!

Owszem – przyznał samokrytycznie – popełniłem parę błędów. I na godzinę, albo nawet dwie, zagłębił się w ponurym rozważaniu życiowych pomyłek. Szkoda, że nie umiałem skonstruować aparatu tlenowego – myślał. Szkoda, że nie umiałem stworzyć zastępczych płuc dla Fuzzy’ego. A Homer Wells? Czy odpowie w ankiecie, że nie został „należycie przygotowany” do pierwszej konfrontacji z płodem ludzkim, tym znalezionym na górcie. Czy można było przygotować Homera na to, co go spotkało w Wodospadzie Trzy Mile i u Draperów w Waterville? Albo na to, że potok porwie Winkle’ów? Czy w sprawie Homera mogłem postąpić inaczej niż postąpiłem? Może tak – odpowiedział sobie. Może nie powinienem był czynić go swoim uczniem.

„Człowiek żyje, aby być użytecznym” – napisał do rady nadzorczej Wilbur Larch (jako Fuzzy Stone). „Zamiast krytykować, należy działać” – wywodził dalej młody idealista, Fuzzy Stone. „Lepiej robić cokolwiek, niż stać biernie z boku.” Dobrze, Fuzzy! Wygarnij im! – dopingował sam siebie doktor Larch.

Fuzzy Stone poinformował radę nadzorczą, że szpital w St. Cloud’s jest placówką modelową. „To Larch zaszczyił we mnie pragnienie zostania lekarzem” – pisał Fuzzy. „Staruszek Larch to chodzące źródło natchnienia. Co zaś do energii – tryska nią jak siedemnastolatek.

Ostrzegam Państwa przed delegowaniem do St. Cloud’s młodych pracowników: staruszek Larch da im taki wycisk, że się pochorują. Nie minie miesiąc, a wycieńczeni, sami złożą wymówienia!

Wątpię Państwo, czy leciwe siostry radzą sobie z codziennymi obowiązkami? Proszę mi wierzyć, że siostra Angela serwuje piłkę jak zawodniczka olimpijska. Co do punktu «serdeczność» – siostry są pod tym względem niezastąpione. Często przytulają i całują dzieci, ale potrafią też, gdy trzeba, okazać surowość.

Co do punktu «nadzór» – pisał dalej Fuzzy Stone. – Czy zdarzyło się Państwu być obserwowanymi przez sowy? To właśnie siostra Edna i siostra Angela: są jak sowy, niczego nie przegapią. O pani Grogan natomiast niektóre dziewczynki powiadają, że przeczuwa, kto i kiedy coś przeskrobie, jeszcze zanim sama winowajczyni o tym wie!

Wspomnieli Państwo o lokalnej społeczności. St. Cloud's od dawna jest swoistą atrakcją. Nieraz, pamiętam, przyjezdni ze stacji przychodzili do nas (choć to pod górkę) z czystej ciekawości: widocznie sierociniec zasłynął w okolicy jako model życia społecznego. Pamiętam obcych, którzy przychodzili tylko po to, żeby na nas popatrzeć – jak na jeden z cudów Maine.”

Jeden z cudów Maine? – Wilbur Larch nie był pewien, czy się trochę nie zagalopował. Zbłąkany podmuch wiatru trafił w otwarte okno gabinetu siostry Angeli, niosąc smużkę czarnego dymu z pieca do spalania odpadów. Dym nieco Larcha otrzeźwił. Lepiej zrobię przerwę – pomyślał doktor Larch. Nie trzeba przesadzać.

Położył się w pokoju zabiegowym. Siostra Edna zajrzała tam raz, dyskretnie: dla niej Wilbur Larch był jednym z cudów Maine. Martwiła się o niego.

Larch sam się trochę zmartwił po obudzeniu. Skąd wziąć czas? – zaniepokoił się. Rzecz w tym, że ja muszę jeszcze wytrwać. Mógł dowolnie przepisywać historię, ale na realny upływ czasu nie miał wpływu: istniały daty, terminy, czas posuwał się w nieubłaganym tempie. Więc nawet gdyby udało się nakłonić Homera Wellsa do studiów medycznych, studia te będą potrzebowały czasu. Nauka Fuzzy'ego Stone'a potrwa kilka lat. Muszę wytrwać, aż Fuzzy zdobędzie kwalifikacje do zastąpienia mnie na posterunku – podsumował rozmyślenia Wilbur Larch.

Wzięła go nagle ochota usłyszenia modlitwy pani Grogan, udał się więc na oddział dziewczęcy nieco przed ustaloną porą lektury *Jane Eyre*. Stanął pod drzwiami i podsłuchał, jak pani Grogan odmawia modlitwę. Spytał ją, czy mogłaby się modlić i u chłopców – postanowił. Zaraz jednak nabrał wątpliwości, czy modlitwa tuż przed albo tuż po błogosławieniu Książąt Maine i Królów Nowej Anglii nie zamąci chłopcom w głowach. Mnie się samemu czasem mąci – westchnął w duchu.

– ...daj miejsce bezpieczne i święty odpoczynek, i pokój na wieki – zakończyła pani Grogan.

Amen – dodał w myśli Wilbur Larch, święty St. Cloud's, lat siedemdziesiąt parę, uzależniony od eteru, strudzony wędrowiec, który czuł, że jeszcze długą drogę ma przed sobą.

Homer Wells przeczytał ankietę rady nadzorczej St. Cloud's i coś go w niej zaniepokoiło, chociaż nie umiałby powiedzieć co. Doktor Larch i jego asystentki starzeli się, to prawda, ale dla Homera zawsze byli „starsi”. Sam się kilkakrotnie zastanawiał, co będzie z St. Cloud's, gdy doktor Larch się zestarzeje, ale myślenie o tym tak go rozstrajało, że i teraz złożył kwestionariusz i razem z kopertą zwrotną wsunął między stronicę *Praktycznej anatomii królika*. Zwłaszcza że tego samego dnia do Sadów Z Widokiem Na Ocean zjechali robotnicy sezonowi i Homer Wells był bardzo zajęty.

We dwoje z panią Worthington powitali przybyłych na targowisku i zaprowadzili ich na kwaterę, do tłoczni. Ponad połowa pracowała już dawniej w Sadach Z Widokiem Na Ocean i znała drogę. Szefa grupy pani Worthington nazwała „naszym starym pomocnikiem”. Homerowi wydał się on bardzo młody. W tym roku pani Worthington po raz pierwszy miała osobiście do czynienia z brygadą zbieraczy i jej szefem: przedtem kwestią zatrudnienia zajmował się – listownie – Senior Worthington, który zawsze powtarzał, że trzeba się trzymać jednego solidnego szefa załogi, a on już sam najlepiej zadba o organizację grupy i nadzór nad nią przez cały sezon zbiorów.

Szef grupy nazywał się Artur Rose. Na oko był w wieku Homera – może nieco starszy – chociaż w rzeczywistości musiał mieć więcej lat, skoro od pięciu czy sześciu przyjeżdżał z robotnikami do Sadów Z Widokiem Na Ocean. Któregoś roku Senior Worthington napisał, jak zwykle, do starszego człowieka, który od lat organizował brygady zbieraczy, lecz w odpowiedzi dostał list napisany przez Artura Rose z wyjaśnieniem, że odtąd on, Artur, będzie szefem grupy, ponieważ „stary szef śmiertelnie się zmęczył podróżowaniem”. Okazało się, że stary szef po prostu zmarł. Ale Artur Rose sprawdził się w roli jego następcy. Przywoził odpowiednio liczną grupę zbieraczy, z których niewielu odchodziło, uciekało albo opuszczało pracę na dzień lub dwa z powodu pijaństwa. Nadzór w brygadzie musiał być surowy, bo stosunkowo rzadko dochodziło do bójek, nawet jeśli z grupą przybyły (zawsze nieliczne) kobiety. A jeśli czasem ktoś przyjechał z dzieckiem – dziecko zachowywało się wzorowo. Bywało, że przy pracy ktoś spadł z drabiny, ale nigdy nie odnotowano poważnych obrażeń. Sporo drobnych wypadków zdarzało się przy prasie tłoczni – zwykle z nadmiernego pośpiechu, późnym wieczorem, gdy robotnicy byli już zmęczeni albo trochę popili. No i oczywiście musiało dochodzić do (niezbyt częstych) wypadków spowodowanych nieostrożnością i pijaństwem na dachu tłoczni, którego użytkowanie miało cechy rytuału.

Odkąd Oliwia Worthington objęła kierownictwo farmy, polubiła dzień, a noc zaczęła traktować podejrzliwie. Była zdania, że najczęstszą przyczyną ludzkich tarapatów jest zbyt późne chodzenie spać.

Przed sezonem Oliwia Worthington powiadomiła Artura Rose listownie o śmierci Seniora i o tym, że teraz ona zarządza Sadami Z Widokiem Na Ocean. List wysłała na ten co zawsze adres skrytki pocztowej w miasteczku Green w Południowej Karolinie. Artur Rose odpowiedział bezzwłocznie, przesyłając kondolencje i zapewnienie, że ekipa przybędzie tak jak zawsze, w wyznaczonym dniu i we właściwej liczbie.

Dotrzymał słowa. Oliwia nigdy nie zwracała się do Artura Rose po imieniu; wyjątkowo tylko używała go na piśmie przy nazwisku adresata na kopercie i w tekście życzeń na Boże Narodzenie („Wesołych Świąt, Arturze!”). Nikt nie nazywał Artura po imieniu. Z przyczyn niejasnych dla Homera Wellsa – możliwe, że w grę wchodził autorytet szefa brygady – wszyscy tytułowali go Panem Rose.

Homer Wells dowiedział się o tym już podczas wstępnej prezentacji:

– Homerze – powiedziała Oliwia – to jest Pan Rose. Homer Wells – zwróciła się następnie do Pana Rose.

– Bardzo mi przyjemnie, Homerze – rzekł Pan Rose.

– Homer jest teraz moją prawą ręką – dodała serdecznie Oliwia.

– Miło mi to słyszeć, Homerze – uśmiechnął się Pan Rose, energicznie potrząsając dłonią Homera, którą nieoczekiwanie szybko puścił. Szczupły, jak większość przybyłych, Pan Rose nie był wcale lepiej ubrany niż reszta załogi, lecz mimo to miał swoisty styl. Marynarka, którą miał na sobie, była brudna i w wielu miejscach dziurawa – ale była to marynarka od dwurzędowego, sztuczkowego garnituru, który kiedyś świadczył o czyjejsz liczącej się pozycji w społeczeństwie. Zamiast paska u spodni nosił zaś Pan Rose krawat z prawdziwego jedwabiu. Buty też miał porządne – a dobre buty to na farmie rzecz najważniejsza: buty Pana Rose, chociaż nie nowe, lśniły od pasty, były świeżo podzelowane i wyglądały na wygodne. Skarpetki zostały starannie dobrane do stroju. Pan Rose nosił też kamizelkę z kieszonką na zegarek, w której mieścił się autentycznie pozłacany czasomierz – i to na chodzie; Pan Rose bardzo często, a przy tym całkiem naturalnie, sprawdzał godzinę, jakby czas był dla niego szalenie ważny. Golił się tak starannie, że wyglądał, jakby się wcale nie musiał golić: jego twarz przypominała kawałek czarnej, gorzkiej czekolady. W ustach zawsze i z wielką wprawą przesuwał małą, śnieżnobiałą miętówkę: dzięki temu roztaczał wokół siebie atmosferę świeżości i przytomności umysłu.

Mówił wolno i wolno się poruszał. W jego ruchach i mowie zaznaczała się skromność, a zarazem pewność własnych racji. Słowami i gestykulacją wyrażał pokorę i opanowanie. Za to gdy stał bez ruchu i nic nie mówił, wyczuwało się w jego postaci błyskawiczny refleks i pewność siebie.

W ten upalny dzień babiego lata na leżące z dala od morza targowisko nie docierał ani jeden podmuch słabej bryzy. Gdy Pan Rose rozmawiał z panią Worthington na placu targowym, wśród pojazdów rolniczych, z których jedne stały, a inne jeździły, reszta ekipy czekała na wynik negocjacji w samochodach: pootwierali wszystkie okienka i bębnił monotonna palcami po blasze karoserii. Zbieraczy przyjechało siedemnastu, plus kucharz. Ku wielkiej uldze Oliwii, w tym roku nie przywieźli kobiet i dzieci.

– Pięknie – pochwalił Pan Rose bukiet kwiatów na stole w tłoczni.

Wychodząc z kuchni, pani Worthington, niby to mimochodem, wskazała wiszący przy kontakcie regulamin.

– Zechce pan zwrócić na to uwagę wszystkich pracowników, dobrze? – poprosiła Pana Rose.

– Oczywiście, lubię regulaminy – uśmiechnął się Pan Rose. – Przyjdź popatrzeć na pierwsze tłoczenie, Homerze – zaprosił Homera, przytrzymującego drzwiczki furgonetki przed Oliwią. – Na pewno masz co oglądać – kino, i tak dalej – ale gdyby ci kiedyś zbywało na czasie, przyjdź i zobacz, jak wyciskamy jabłecznik. Niedużo. Tak ze cztery tysiące litrów – dodał skromnie i nerwowo zaszurał stopami, zawstydzony własnym samochwalstwem. – Na taką ilość jabłecznika wystarczy osiem godzin roboty i trzysta buszli jabłek. Cztery tysiące litrów! – dodał z dumą.

Kiedy wracali z tłoczni na targowisko, Oliwia Worthington powiedziała do Homera:

– Pan Rose naprawdę lubi pracować. Gdyby reszta była taka jak on, żyłoby im się lepiej.

Homer nie umiał do końca rozszyfrować jej tonu: podziw, sympatia i serdeczność Oliwii Worthington podszyte były cienką warstwą lodu, pod którym tkwią wiekowe, nienaruszalne przesady.

Na szczęście dla Melony w grupie sezonowych pracowników przybyłych na Farmę York znalazły się dwie kobiety i dziecko. Melony uznała, że będzie bezpieczna w tłoczni. Jedną z przybyłych kobiet była żona pracownika, a drugą – jej matka,



kucharka ekipy. Żona pracowała w sadzie z resztą grupy, matka zaś pilnowała garnków i dziecka, spokojniutkiego, jakby go w ogóle nie było. Jedyne prysznice mieścił się na wolnym powietrzu, za barakiem tłoczni, na zwęglonej drewnianej platformie pod butwiejącą pergolą, obrośniętą dawniej winnym pnączem. Wieczorem pierwsze myły się kobiety. Nie było mowy o podglądaniu. Dobroduszny szef brygady sezonowej z Farmy York (to on przywiózł żonę) nie miał nic przeciwko temu, żeby Melony mieszkała w baraku tłoczni z jego ludźmi.

Nazywał się Wolał. Było to, rzecz jasna, przezwisko, które wzięło się stąd, że cokolwiek Wolał akurat robił, mówił, że wolałby robić coś innego. Jego autorytet nie był tak oczywisty – a już na pewno nie tak potężny – jak władza Pana Rose nad jego ludźmi: nie mówiono na niego Pan Wolał. Pracował w równym tempie, nie za szybko, i co dzień udawało mu się zebrać ponad sto buszli jabłek. Melony już pierwszego dnia zauważyła, że każdy członek brygady odpala Wolałowi prowizję: co dwudziesty zbierany buszel.

– Załatwiłem im tę robotę, no nie? – usprawiedliwił się Wolał przed Melony. Często podkreślał, że procent, który za tę usługę pobiera, jest „niewielki”. Nigdy jednak nie zasugerował Melony, że jest mu cokolwiek winna. – Tobie nie załatwiłem roboty, no nie? – zagadywał czasem wesoło.

Trzeciego dnia pracy w sadzie Melony potrafiła już zebrać osiemdziesiąt buszli. Pomagała też butelkować jabłecznik z pierwszego tłoczenia. Mimo to, nie była zadowolona: w ferworze zajęć znalazła czas na wypytanie ludzi o Sady Z Widokiem Na Ocean – nikt o nich nie słyszał.

Homer Wells patrzył na życie nieco mniej cynicznie niż Melony i dlatego zapewne dopiero po paru dniach zauważył, że Pan Rose pobiera od swoich ludzi prowizję. Nikt nie zbierał tak szybko jak Pan Rose, który w dodatku nigdy nie upuszczał owoców na ziemię i nie obijał zawartości worka o szczeble drabiny. Pan Rose bez niczyjej pomocy wyciągnąłby spokojnie sto dziesięć buszli dziennie, ale sto pięćdziesiąt i sto sześćdziesiąt, nawet przy jego tempie, wydało się Homerowi podejrzane. Pan Rose pobierał tytułem prowizji tylko co czterdziesty buszel, ale miał w brygadzie piętnastu ludzi, z których ani jeden nie zbierał poniżej osiemdziesięciu buszli dziennie. Zazwyczaj Pan Rose błyskawicznie zbierał na początek pięć, sześć buszli, a potem szedł się przejść albo doglądał pracy podopiecznych i dawał im rady.

– Nie tak prędko, George – mówił na przykład. – Zgnieciesz owoc, i na co on się później komu przyda?

– Na jabłecznik – odpowiadał George.

– Tak jest – przytakiwał mu spokojnie Pan Rose. – Za buszel jabłek na jabłecznik płacą tylko pięć pensów.

– Okej – mówił na to George.

– Masz rację, wszystko musi być okej – kończył rozmowę Pan Rose.

Na trzeci dzień lało. Nie było zbierania jabłek. I jabłka, i zbieracze ślizgają się na deszczu, a poza tym mokry owoc łatwiej ulega uszkodzeniu.

Homer poszedł popatrzeć, jak Meany Hyde i Pan Rose dyrygują pierwszym tłoczeniem jabłeczniaka (dyrygowali z bezpiecznej odległości, bo maszyna strasznie chlapała). Dwóch ludzi obsługiwało prasę, a dwóch innych butelkowało. Cała obsada zmieniała się mniej więcej co godzinę. Meany pilnował tylko szczęk prasy, czy schodzą się prosto, czy krzywo: musiały zwierać się idealnie prosto, w przeciwnym bowiem razie można było stracić maszynę – nie wspominając o eksplozji trzech buszli jabłek, kilkudziesięciu litrów soku i wytłoków. Operatorzy prasy nosili gumowe fartuchy, butelkowi mieli na nogach kalosze. Wizg zgniatarki przypominał Homerowi dźwięki, które w St. Cloud's znał tylko z wyobraźni: odgłosy pracy pił w tartaku, dręczące go w snach i w bezsenności. Pompa ssła żarłocznie, a wylot bryzgał miazgą pełną pestek, skórek i (chyba) robaków, do złudzenia przypominającą to, co siostra Angela (zawsze bardzo spokojnie) nazywała pawikiem. Z wielkiej kadzi pod prasą filtr wirnikowy pompował jabłecznik do gigantycznego zbiornika, na dnie którego Grace Lynch nie tak dawno urządziła dla Homera striptiz.

Po ośmiu godzinach solidnej pracy zbiornik był pełen. Gąsiory z sokiem jechały, podzwaniając jeden o drugi, na taśmie transmisyjnej wprost do chłodni. Po opróżnieniu zbiornika niejaki Gałązka opłukał jego wnętrze wodą z gumowego węża i silnym strumieniem oczyścił filtr. Przewisko Gałązka zawdzięczał ów osobnik nadzwyczajnej zwinności w łażeniu po drzewach i pogardzie dla drabiny. Ścierki płukał niejaki Heros. Meany Hyde wyjaśnił Homerowi, że Heros podobno odegrał kiedyś rolę bohatera.

– Więcej nic nie wiem – mówił Meany. – Facet tu przyjeżdża od lat, ale wiem tylko tyle, że kiedyś się zachował jak bohater. Raz w życiu. – Tę ostatnią uwagę wygłosił Meany takim tonem, jakby już lepiej było wcale nie być bohaterem, niż być nim tylko raz w życiu.

– Nudno było, co? – zagadnął Homera Pan Rose, a Homer skłamał, że wprost przeciwnie, było bardzo ciekawie (choć ośmiogodzinny spektakl wyciskania soku z jabłek to ciężka próba cierpliwości). – Naprawdę można się w to wczuć tylko w nocy – zwierzył się Homerowi Pan Rose. – Takie tłoczenie w deszczowy dzień, jak dzisiaj, to

jeszcze nic. Dopiero jak się cały dzień zbiera, a potem całą noc tłoczy – to się można wczuć.

Pan Rose mrugnął porozumiewawczo do Homera, jakby mu przed chwilą wyjawiał istotny sekret bytu, i poczęstował go filiżanką świeżego jabłecznika. Homer, co prawda, od rana popijał jabłecznik, ale ta filiżanka została mu wręczona tak uroczyście – i to w kontekście wyznania o magii tłoczenia jabłecznika nocą – że nie mógł odmówić. Wypił. Oczy zaszczyły mu łzami: jabłecznik okazał się sownie zakropiony rumem. Homer poczuł, że twarz mu spurpurowiała; w żołądku miał kulę ognia. Pan Rose, bez słowa, wyjął filiżankę z rąk Homera i przekazał Gałazce, który dopił, nie przerywając polewania kadzi szlauchem.

Ładując gąsiory jabłecznika do furgonetki, Homer Wells zauważył, że filiżanka wędruje od Meany’ego Hyde’a do Herosa – a Pan Rose, który nie zdradził źródła rumu, patrzy na to całkiem spokojnie. Pan Rose kojarzył się Homerowi ze słowami „sekretny podarek”. Homer nie pamiętał, skąd pochodzą te słowa – możliwe że z Dickensa albo z Charlotte Bronte – bo raczej nie z *Anatomii* Graya czy z *Praktycznej anatomii królika* Bensleya.

Pan Rose nie wykonywał zbędnych ruchów – pod tym względem podobny był do doktora Larcha, chociaż pod wieloma innymi względami się różnili.

W magazynie panował zastój wywołany deszczem. Big Dot Taft i reszta kobiecej brygady siedziały z kwaśnymi minami na stanowiskach wzdłuż taśmy pakowalni.

Nie zachwyciły się pierwszą porcją jabłecznika, którą Homer przyniósł im na spróbowanie. Pierwszy jabłecznik, z wczesnych mekintoszy i grapsztynów, zawsze jest wodnisty. Przyzwoity będzie dopiero w październiku – pouczył Homera Meany Hyde, a Pan Rose potwierdził tę opinię poważnym skinieniem głowy. Sekret dobrego jabłecznika to najpóźniejsze odmiany jabłek – złota delicja, zimowy banan i północny szpieg.

– Do października jabłecznik jest bez smaku – stwierdziła Big Dot Taft, zaciągając się bez satysfakcji papierosem.

Homer Wells czuł się dokładnie tak, jak brzmiał głos Big Dot Taft: bezbarwnie. Wally wyjechał, Candy wyjechała, anatomia królika była banalna w porównaniu z Klarą, sezonowi robotnicy, których tak niecierpliwie wyglądał, okazali się po prostu robotnikami, życie było zwyczajne. On sam zaś wydoroślał, nie wiadomo kiedy. Więc nie ma wyraźnej granicy między dzieciństwem a dorosłością?

Potem nastąpiły cztery dni dobrych zbiorów, po których Meany Hyde zapowiedział nocne tłoczenie jabłecznika, a Pan Rose ponowił zaproszenie dla

Homera, żeby przyszedł się „wczuć”. Homer zjadł spokojnie kolację z panią Worthington, pomógł jej pozmywać i dopiero wtedy rzucił od niechcienia, że chyba powinien zajrzeć do tłoczni, bo mogą go tam potrzebować. Wiedział, że praca w tłoczni wre już od dobrych dwóch, trzech godzin.

– Podziwiam twoją solidność, Homerze – pochwaliła go Oliwia.

Homer Wells skromnie wzruszył ramionami. Noc była chłodna, bezchmurna – idealna dla mekintoszy, które lubią ciepłe, słoneczne dni i zimne noce. Nie było jednak ani tak zimno, żeby nie czuło się w powietrzu aromatu jabłek, ani tak ciemno, żeby trzeba się było trzymać drogi. Homer ruszył na przełaj przez sad. Ponieważ nie szedł drogą, zbliżył się do baraku tłoczni niepostrzeżenie.

Postał chwilę poza kręgiem światła padającego z okien pomieszczenia prasy, nasłuchując odgłosów maszyny, wesołego gwaru pracujących przy niej ludzi i stłumionych odgłosów i śmiechów tych, którzy siedzieli na dachu. Słuchał bardzo uważnie, lecz absolutnie nie rozumiał, co mówią: uświadomił sobie, że ci ludzie całkiem inaczej mówią między sobą, niż kiedy chcą, żeby biały ich zrozumiał. Nawet Pan Rose, którego donośny głos wydawał się spokojnie, lecz kategorycznie kontrolować pozostałe, mówił teraz językiem obcym dla Homera.

W Farmie York też tłoczyli tej nocy jabłecznik, ale Melony to nie obchodziło. Nie obchodziła jej ani praca tych ludzi, ani ich mowa. Szef brygady, Wolał, dość jasno dał Melony do zrozumienia, że nie jest mile widziana przy prasie ani nawet przy butelkowaniu, bo odbiera ludziom dodatkowy zarobek. Tak czy owak, Melony zmęczyła się tego dnia zbieraniem jabłek. Leżała na łóżku w sypialni tłoczni i czytała *Jane Eyre*. W drugim końcu sali spał któryś z ludzi, ale światło mu nie przeszkadzało: spał mocno, wypiłszy trochę za dużo piwa – jedyne go rodzaju alkoholu, który Wolał pozwalał pić swoim ludziom. Zapas piwa przechowywano w chłodni, obok pomieszczenia prasy, więc pracujący przy maszynie stale pociągali z butelek, prowadząc nieustającą pogawędkę.

Na innym łóżku, niedaleko Melony, siedziała sympatyczna żona Wolała, Sandra. Próbowała naprawić zamek błyskawiczny przy spodniach Sammy’ego. Sammy miał tylko tę jedną parę spodni, więc co chwila zaglądał do sypialni z pomieszczenia prasy, ciekaw, jak się posuwa praca Sandry. O parę rozmiarów za duże szorty wzdymały się na jego chudym ciele jak balon i prawie sięgały rozdętych stawów kolanowych nad drobnymi, żyłastymi niby pędy winorośli łydkami.

Matka Sandry, na którą wszyscy wołali Ma i która gotowała załodze niewyszukane, za to obfite posiłki, leżała za plecami córki jak wielki toból, opatulona

swoimi i nie swoimi kocami. Stale było jej zimno – ale poza tym nigdy na nic nie narzekała.

Sammy, sącząc piwo, po raz kolejny zajrzał do sypialni. Powiało od niego jabłecznymi wytłokami, którymi miał zachlapane gołe nogi.

– Z takimi nogami nic dziwnego, że chcesz odzyskać portki – zażartowała Sandra.

– A mam szansę? – spytał Sammy.

– Zamek się zaciął – to raz. A po drugie, wyrwałeś go w jednym miejscu – wyliczyła szkody Sandra.

– Co ci się tak spieszy do tego zamka? – zainteresowała się Ma spod góry koców.

– Cholera – zaklął Sammy i wrócił do prasy.

Maszyna co chwila zgrzytała przeraźliwie, jak piła tarczowa, gdy natrafi na sęk, bo w zgniatarce wpadały również twardsze kawałki – ogonek jabłka albo gniazdo nasienne. Za każdym razem Ma wzdychała: „No i po ręce!” albo „Łeb któremuś urwało. Upił się piwskim i wpadł do środka”.

Nawet w tych warunkach Melony nie przerwała lektury. We własnym mniemaniu nie zachowywała się nietowarzysko. Sandra i Ma odnosiły się do niej przyjaźnie, odkąd nabrały pewności, że Melony nie dybie na żadnego chłopca z brygady. Mężczyźni natomiast szanowali jej dobrą pracę i legendę utraconego kochanka. Nawet kiedy stroili sobie żarty z Melony, to niewinne.

Na samym początku Melony skutecznie nastraszyła jednego z sezonowych pewnym kłamstwem, które szybko rozniosło się wśród jego kumpli. Faceta nazywali Środa. Dlaczego? Tego nikt Melony nie wyjaśnił, a i jej samej nie ciekawiło to do tego stopnia, żeby miała pytać. Środa trochę zbyt natarczywie wypytywał Melony o Sady Z Widokiem i narzeczonego, którego poszukiwała.

Pewnego razu drabina Melony utkwiała między obwieszonymi owocem gałęziami drzewa i Melony próbowała ją uwolnić, nie strącając jabłek. Środa przyszedł jej z pomocą.

– Obcisłe noszę spodnie, co? – zagadnęła go wówczas.

Środa przyjrzał jej się i bąknął:

– No.

– Widać, co mam w kieszeniach, nie? – pytała dalej Melony.

Środa spojrzał raz jeszcze: pod wytartym płótnem dzinsów znaczył się tajemniczy, sierpowaty kształt nie domkniętej szylkretowej spinki do włosów, która

stale wpijała się w udo Melony. Była to ta sama spinka, którą Mary Agnes Cork podwędziła Candy i którą potem Melony podwędziła Mary Agnes Cork. Marzyła, że kiedyś włosy jej urosną i będzie mogła spiąć je tą właśnie spinką. Na razie nosiła ją w prawej kieszeni dżinsów, jak scyzoryk.

– A co tam masz? – spytał Środa.

– Nożyk do kutasów – odparła spokojnie Melony.

– Nożyk do czego? – przestraszył się Środa.

– Słyszałeś chyba – wzruszyła ramionami Melony. – Mały i ostry; tylko do jednej rzeczy się nadaje.

– A do jakiej?

– Do obcinania kutasów – wyjaśniła mu Melony. – Działa szybko i bezboleśnie. Obcina sam koniec.

Gdyby w brygadzie, która pracowała na Farmie York, znalazło się paru nożowników, ten i ów zechciałby pewnie rzucić okiem znawcy na nożyk do odcinania penisów. Lecz nikt się jakoś nie domagał prezentacji. Kłamstwo nie wyszło na jaw. Pasowało zresztą do innych historii opowiadanych w okolicy o Melony i wzmocniło jej reputację jako osoby, z którą nie warto zadzierać. Pracownicy Farmy York czuli się wobec Melony nieswojo i nawet po pijanemu zachowywali się wobec niej przyzwoicie.

Najdokuczliwszym skutkiem znacznej konsumpcji piwa było to, że robotnicy potem strasznie sikali, czemu zresztą Melony sprzeciwiała się tylko wtedy, gdy robili to zbyt blisko baraku tłoczni.

– Zjeżdżać mi stąd! Nie chcę tego słyszeć! – wrzeszczała przez okno, gdy tylko usłyszała, że ktoś tam sika. – Nie mam zamiaru wachać waszych smrodów! Jazda stąd! Co wy – boicie się ciemności?

Sandra i Ma jeszcze bardziej polubiły za to Melony, a zwłaszcza podobał im się refren o ciemności.

– Co jest? – wołały unisono na każdy odgłos sikania pod oknami. – Boisz się ciemności?

Grubiańskość Melony była, jak widać, tolerowana, a nawet szanowana. Nie podobał się za to jej zwyczaj czytania po nocy. Była jedyną czytającą osobą w baraku. Nie od razu zorientowała się, za jaką nieuprzejmość – obrazę wręcz – uchodzi czytanie wśród jej czarnych współlokatorów.

Tej nocy, kiedy robotnicy zakończyli tłoczenie i pokładli się do łóżek, Melony, tak jak zwykle, zapytała głośno, czy światło nie będzie nikomu przeszkadzało.

– Światło nie przeszkadza – odezwał się Środa.

Na to w całej sypialni rozległy się pomruki solidarności. Wreszcie głos zabrał Wolał:

– Pamiętacie Kameruna?

Odpowiedziała mu salwa śmiechu. Wolał wyjaśnił Melony, że Kamerun, który przez wiele lat przyjeżdżał z nimi do pracy na Farmę York, był strasznym maminsynkiem i nie zasnął po ciemku, więc musieli palić światło całą noc.

– Bał się, że jak zgasi światło, pożrą go zwierzęta! – chichotał Sammy.

– Jakie zwierzęta? – spytała Melony.

– Tego Kamerun nie wiedział – odparł ktoś z sali.

Melony powróciła do lektury *Jane Eyre*.

Po chwili odezwała się Sandra:

– To nie światło nam przeszkadza, Melony.

– No właśnie – potwierdził inny głos.

Melony zauważyła nagle, że nawet ci, którzy leżeli plecami do niej, teraz się odwrócili i patrzą na nią z wyrzutem.

– Dobra, słucham – powiedziała. – Co wam przeszkadza?

– A co ty tam właściwie czytasz? – odpowiedział pytaniem Środa.

– No właśnie – przyłączył się do niego Sammy. – Co to za nadzwyczajna książka?

– Nie żadna nadzwyczajna – powiedziała Melony.

– Wielkie rzeczy, że umiesz czytać! – prychnął Środa.

– Co takiego? – zdziwiła się Melony.

– Może, jak tobie się ta książka tak podoba, to i nam by się spodobała – rzucił od niechcienia Wolał.

– Poczytać wam na głos? – spytała Melony.

– Mnie raz ktoś czytał – pochwaliła się Sandra.

– Na pewno nie ja! – zapewniła ją Ma. – Ojciec też na pewno nie!

– A czy ja mówię, że wy? – nadała się Sandra.

– Ja nigdy nie słyszałem, jak ktoś czyta na głos – przyznał się Sammy.

– Ja też nie – powiedział ktoś z dalszego łóżka.

Melony zauważyła, że część mężczyzn aż uniosła się na łokciach w oczekiwaniu czegoś nadzwyczajnego. Nawet Ma przekreśliła się pod górą koców w jej stronę.

– Cisza! – zarządził Wolał.

Po raz pierwszy w życiu Melony poczuła tremę. Tyle się namęczyła i napodróżowała tylko po to, żeby znaleźć się z powrotem w sierocińcu, na oddziale

dziewcząt? Ale nie tylko tym się stropiła. Po raz pierwszy w życiu ktoś czegoś od niej oczekiwał. Melony wiedziała, co *Jane Eyre* znaczy dla niej samej – ale co mogła znaczyć dla tych ludzi? Przedtem czytywała tę książkę małym dzieciom, które mnóstwa słów nie rozumiały i gubiły wątek w połowie zdania; sierotom – więźniom rutyny głośnej wieczornej lektury, dla których ważna była sama rutyna.

W tej chwili czytała sobie tę powieść po raz trzeci albo czwarty z kolei. Była w połowie.

– Jestem na dwieście ósmej stronie – powiedziała. – Dużo się wydarzyło od początku.

– Nie szkodzi, czytaj dalej – zdecydował Sammy.

– A może zacznę od początku? – zaproponowała Melony.

– Nie, poczytaj to, co sobie miałaś czytać – poradził jej łagodnym tonem Wolał. Pierwszy raz w życiu głos Melony drżał z emocji.

– „Wicher wyl w koronie wielkiego drzewa, którego gałęzie okalały bramę.”

– Co to „okalały”? – przerwał jej Środa.

– No, wisiały od góry, takim łukiem – wyjaśniła Melony. – Jak czasami winorośl albo pnąca róża.

– Nad prysznicem jest coś takiego – powiedziała Sandra.

– Aha – zrozumiał ktoś w głębi sali.

– „Ale droga, jak daleko sięgałam wzrokiem, i w prawo, i w lewo, wydawała się nieruchoma i zapoznana...”

– „Zapoznana”? – zdziwił się Sammy.

– To tyle co zapomniana – wytłumaczyła mu Melony.

– Nie wiesz, co znaczy „zapoznać”? – skarcił Sammy’ego Wolał, a z sali odezwały się pełne aprobaty pomruki.

– Zamknijcie się i nie przerywajcie – rozzłościła się Sandra.

– Chyba musimy rozumieć, co się czyta – zaprotestował Środa.

– Zamkniesz się, czy nie! – odezwała się Ma.

– Czytaj dalej – poprosił Wolał Melony.

– „...droga... nieruchoma i zapoznana: z rzadka tylko, gdy wyjrzał księżyc, przemykały po niej cienie chmur, lecz po chwili znów stawała się długą, białą linią, niezmaconą najdrobniejszym ruchem” – czytała Melony.

– Nie c o najdrobniejszym ruchem? – wyrwało się któremuś słuchaczowi.

– Niezmaconą, czyli nic się tam nie działo – objaśniła Melony.

– Wiedziałem! – pochwalił się Środa. – Zgadłem.



– Zamknij się – powiedziała Sandra.

– „Infantylna łąza...” – podjęła lekturę Melony, ale tym razem sama urwała. – Nie wiem, co znaczy „infantylna” – przyznała się. – To nie jest ważne wiedzieć, co znaczy każde pojedyncze słowo.

– Okej – powiedział ktoś z sali.

– „Infantylna łąza przyćmiła moje spojrzenie – łąza rozczarowania i złości; starałam ją ze wstydem...”

– Wszystko rozumiem! – ucieszył się Środa.

– „Ociągałam się chwilę...” – czytała dalej Melony.

– Co robiłaś? – zdumiał się Sammy.

– Nic nie robiłam. Ociągać się to znaczy nic nie robić! – Melony miała już tego trochę dość. Brnęła jednak dalej: – „...księżyc zamknął się w swej komnacie i szczelniej zaciągnął gęstą zasłonę chmur; noc poczerniała...”

– Można się przestraszyć – zauważył Środa.

– „...deszcz nadciągał szybko na skrzydłach wiatru” – w tym miejscu Melony samowolnie zmieniła słowo „zawierucha” na bardziej potoczny „wiatr”. – „Niech on przyjdzie! Niech przyjdzie! – wołałam głośno, zdjęta hipochondrycznym przecuciem.”

Melony nie mogła dalej czytać: oczy jej zaszyły łzami i przestała widzieć litery. Przez dłuższą chwilę nikt się nie odezwał.

– Czym ona była zdjęta? – ośmielił się wreszcie Sammy.

– Nie mam pojęcia! – wykrztusiła przez łzy Melony. – Chyba się bała.

Jej szloch uszanowano następną chwilą milczenia.

– To horror, tak? – podsumował lekturę Sammy.

– Po co ty czytasz takie rzeczy przed snem? – spytał Wołał zatroskanym głosem.

Melony bez słowa położyła się i zgasła światło.

Po ciemku poczuła, że Sandra siada na skraju jej łóżka. Musiała to być Sandra, bo gdyby siadła Ma, łóżko zapadłoby się pod nią znacznie niżej.

– Coś ci poradzę: ty lepiej zapomnij o tym chłopaku – powiedziała cicho Sandra. – Jak ci sam nie powiedział, gdzie go szukać, to nic nie jest wart.

Od czasu sierocińca i pani Grogan nikt nie głaskał Melony po głowie. Uprzytomniło jej to, jak bardzo tęskni za panią Grogan; na krótką chwilę przestała myśleć o Homerze Wellsie.

Gdy już wszyscy zasnęli, Melony z powrotem włączyła nocną lampkę: niech się inni krzywią na klęski Jane Eyre – dla Melony pełniły one ważną rolę: pomagały jej żyć. A w tej chwili bardzo potrzebowała pomocy. Przeczytała ze dwadzieścia stron, lecz Homer Wells nie opuszczał jej myśli. „Muszę rozstać się z tobą na zawsze” – przeczytała ze zgrozą. „Muszę rozpocząć nowe życie, wśród obcych twarzy i obcych pejzaży.” Okrutna prawda tych słów zakończyła lekturę *Jane Eyre* dla Melony – na zawsze. Melony szurnęła książkę pod pryczę na Farmie York i tam ją porzuciła. Wyrzuciłaby i *Dawida Copperfielda*, gdyby go wtedy miała pod ręką i gdyby przeczytała ulubiony cytat Homera Wellsa, który stał się dla niego prawie modlitwą: „Stałem z boku, by przypatrzeć się mijającym mnie widmom owych dni”. Akurat! – zachnęłaby się na te słowa Melony, która doskonale wiedziała, że widma przeszłości trzymać się będą zawsze jej samej i Homera wierniej niż cienie. Melony płaczem ukołysała się do snu. Nie miała nadziei, ale miała cel: oczami wyobraźni wypatrywała w ciemności Homera Wellsa.

Tej nocy nie wypatrzyłaby Homera: za dobrze był schowany w mroku za strefą światła padającego z okien tłoczni Sadów Z Widokiem Na Ocean. Mógł nawet spokojnie kichać i potykać się, gdyż warkot zgniatarki i pompy zagłuszał wszystko dookoła. Homer Wells obserwował ogniki papierosów palonych na dachu: szybki ruch w górę, potem dłuższa pauza. Wreszcie zmarzł, więc wszedł do środka popatrzeć, jak tłoczą, i napić się jabłeczniaka z rumem.

Pan Rose wyraźnie się ucieszył na widok Homera i zaraz poczęstował go napojem, w którym sok stanowił znikomą część. We dwóch przyglądali się synchronizacji pracy pompy ze zgniatarką. Szpuntu pilnował niejaki Jack, z tak potworną blizną na gardle, że fakt, iż przeżył to, na co wskazywała blizna, zakrawał na cud. Niejaki Pomarańcza ustawiał płyty zgniatarki i z dumą podstawił tors na chlapiące spod prasy wytłoki. Nazywali go Pomarańczą, ponieważ swego czasu próbował ufarbować sobie włosy na blond i osiągnął barwę pomarańczową (której śladów już dawno nie było widać). Pod wpływem rumu Jack i Pomarańcza pracowali z dziką zawziętością, nie bacząc na tryskającą wokół maź. Za to Pan Rose wydał się Homerowi całkiem trzeźwy i panował nad sytuacją, dyrygując ludźmi i maszyną na pełnych obrotach.

– Spróbujmy skończyć do północy – rzekł Pan Rose, nie podnosząc głosu. Jack zatkał szpunt, którym miazga spływała na górną kratę zgniatarki; Pomarańcza ustawił płyty prasy.

W drugim końcu hali dwaj pracownicy, których Homer Wells nie znał z imienia, błyskawicznie butelkowali sok. Nagle jeden zaczął się śmiać, a drugi zawtórował mu tak donośnie, że Pan Rose krzyknął:

– Co wam tak wesoło?

Któryś z wesołków wyjaśnił, że papieros właśnie wpadł mu do zbiornika z sokiem. Rozbawiło to nawet Jacka i Pomarańczę; Homer Wells też się uśmiechnął; ale Pan Rose powiedział tylko, całkiem cicho:

– To go lepiej wyłów, żeby nie zapaskudził jabłecznika.

Wesołkom zaraz odechciało się śmiać. Słysząc było tylko głośny chlupot i zgrzyty maszynarii.

– No, na co czekasz? Wyławiaj – powiedział Pan Rose.

Nieostrożny nałogowiec zajrzał z lękiem do przepastnej kadzi: nawet napełniona do połowy, tak jak teraz, przypominała basen pływacki. Winowajca zzuł gumiaki.

– Nie same buty. Ściągaj wszystko – poinstruował go Pan Rose. – I jazda pod prysznic, tylko szybko. Robota czeka.

– Jak? – zdziwił się tamten. – Mam się rozbierać i myć, zanim tam wleżę? Jeszcze czego!

– Brudny jesteś. Pospiesz się – odparł krótko Pan Rose.

– Sam się pospiesz – zbuntował się właściciel papierosa. – Mnie na tym pecie nie zależy, tylko tobie. Sam se go wyławiaj.

Głos zabrał Pomarańcza:

– Słuchaj no: na czym się znasz najlepiej?

– Co proszę? – zdumiał się tamten.

– Pytam cię, na czym się najlepiej znasz – powtórzył spokojnie Pomarańcza.

– A bo co?

– Nic. Powiedz po prostu, że najlepiej znasz się na jabłkach – podpowiedział mu Pomarańcza.

W tym momencie Pan Rose grzecznie ujął Homera pod ramię i szepnął mu:

– Powinieneś koniecznie obejrzeć sobie widok z dachu, przyjacielu.

Po czym uprzejmie i kategorycznie wyprowadził go z hali tłoczni do kuchni, stamtąd zaś na dwór.

– A wiesz, na czym się najlepiej zna Pan Rose? – usłyszał Homer pytanie Pomarańczy.

– Na sprężynowcach, koleś – odpowiedział usłużnie Jack.

– Chyba nie masz ochoty przekonać się, jak dobrze Pan Rose zna się na sprężynowcach, co? – pytał dalej Pomarańcza.

Homer usłyszał jeszcze dobrą radę, której Jack udzielił buntownikowi:

– Ty się lepiej trzymaj jabłek, koleś.

Pnąc się na dach po drabinie za Panem Rose, Homer złowił uchem szum odkręcanego prysznica. W Sadach Z Widokiem Na Ocean prysznic mieścił się pod dachem, zapewniał więc warunki bardziej intymne niż prysznic na Farmie York. Gdyby nie ogniki papierosów, nikt by nie dostrzegł ludzi siedzących na dachu. Homer trzymał Pana Rose za rękę i posuwał się za nim po krokwi, aż znaleźli dla siebie miejsca do siedzenia.

– Znacie wszyscy Homera – zwrócił się Pan Rose do siedzących na dachu. Odpowiedziały mu powitalne pomruki. Wydawali jer Heros, Gałązka, Willy, dwóch czy trzech nie znanych Homerowi robotników i stary kucharz, zwany Czarna Patelnia. Kucharz miał sylwetkę pękatego kociołka; nie mogło mu być łatwo wgramolić się na grzędę na dachu.

Ktoś wręczył Homerowi butelkę z nalepką piwa, tyle że ciepłą i pełną rumu.

– Znowu się zatrzymało – powiedział Gałązka i wszystkie oczy zwróciły się ku morzu.

Nocne światła Cape Kenneth błyszczały tak nisko nad horyzontem, że niektóre ukazywały się oczom widzów z dachu tylko jako refleksy na oceanie – wyjątek stanowił roziskrzony diabelski młyn. Chwilowo trwał w bezruchu: jedna grupa widocznie wysiadała, następna wsiadała.

– Stanął, żeby odetchnąć – stwierdził Gałązka i wszyscy gruchnęli śmiechem.

Ktoś inny zasugerował, że mechanizm stanął, żeby pierdnąć – to dopiero rozbawiło towarzystwo! W końcu Willy oświadczył z powagą:

– Mnie się zdaje, że jak jest za blisko ziemi, to musi stanąć.

Ta uwaga została potraktowana całkiem serio.

Diabelski młyn ruszył na nowo, wrywając pełen czci jęk z piersi widowni na dachu.

– Kręci się, patrzcie! – rzekł Heros z przejęciem.

– Jak gwiazda – zauważył stary kucharz, Czarna Patelnia. – Wygląda na zimną, ale jak podejdziesz, to cię sparzy – gorzej niż ogień!

– To jest diabelski młyn – powiedział Homer Wells.

– Co takiego? – zdumiał się Willy.

– Jaki młyn? – zawtórował mu Gałązka.

– Diabelski młyn – powtórzył Homer Wells. – W Cape Kenneth jest lunapark, a w lunaparku – diabelski młyn.

Pan Rose szturchnął Homera w bok, ale Homer nie zrozumiał, o co mu chodzi. Przez dłuższą chwilę nikt nic nie powiedział. Homer spojrzął na Pana Rose, ale Pan Rose pokręcił głową, jakby z żalem.

– Coś mi się obilo o uszy – przerwał milczenie Czarna Patelnia. – Zdaje się, że w Charleston też coś takiego mają.

– Znowu stoi – zaobserwował Heros.

– Bo pasażerowie wysiadają – wyjaśnił Homer Wells. – Jedni wysiadają, drudzy wsiadają.

– To ludzie jeżdżą na czymś takim? – Gałązkę aż zatkało.

– Nie wciskaj kitu, Homer – odezwał się Heros.

Homer znów poczuł szturchnięcie w żebra. Pan Rose przemówił tonem łagodnej perswazji:

– Ciemni jesteście, niewykształceni – to Homer sobie z was trochę żartuje.

Butelka powędrowała z rąk do rąk, ale Pan Rose nie pił: od razu podał dalej.

– Nic wam nie mówi imię Homer? – spytał swoich ludzi.

– Coś mi się obilo o uszy – zaryzykował kucharz Czarna Patelnia.

– Homer pierwszy na świecie opowiadał ludziom bajki! – obwieścił Pan Rose triumfalnie. Znów szturchnął Homera pod żebro. – Nasz Homer też umie opowiadać niezłe bajki.

– Cholera – burknął ktoś po chwili ciszy.

– Mówiłeś, że jak się ten młyn nazywa? – zapytał Homera Gałązka.

– Diabelski młyn – odparł Homer Wells.

– No właśnie! – zawołał ktoś z siedzących dalej. Towarzystwo gruchnęło, śmiechem.

– Diabelski, kurde, młyn! A to dobre! – odezwał się Heros.

Jeden z tych ludzi, których Homer bliżej nie znał, sturlał się z dachu. Poczekali, aż huknie o ziemię, i dopiero wtedy Czarna Patelnia zawołał:

– Nic ci nie jest, dupku?

– Nic – beknął głos z dołu i wszyscy zarechotali z wyraźną ulgą.

Odgłos uruchomionego ponownie prysznicza był dla Pana Rose sygnałem, że zbuntowany pracownik wyłowił peta z kadzi i właśnie zmywa z siebie jablecznik.

– Willy i Heros, idziecie butelkować – powiedział Pan Rose.

– Ja butelkowałem poprzednim razem – bronił się Heros.

- No to masz wprawę – uciął dyskusję Pan Rose.
- Mogę potłoczyć – zaoferował się ktoś z ciemności.
- Jack z Pomarańczą dobrze sobie radzą – odparł Pan Rose. – Niech jeszcze trochę popracują.

Homer czuł się w obowiązku opuścić dach razem z Panem Rose. Jeden drugiemu przytrzymał drabinę, a kiedy się obaj znaleźli na ziemi, Pan Rose pouczył Homera z powagą:

- Zrozum, że oni wcale nie chcą wiedzieć, co to jest. Na co im taka wiedza?
- Rozumiem – powiedział na to Homer Wells. Postać jeszcze jakiś czas poza zasięgiem światła padającego z okien tłoczni. Oswoiwszy się nieco z dialektem ludzi z dachu, rozumiał teraz co nieco z ich rozmowy.
- Znów się zatrzymało – dobiegł go głos Gałązki.
- Nabiera pasażerów! – powiedział ktoś inny i wszyscy się roześmieli.
- A może tam jest wojsko? – zasugerował Czarna Patelnia.
- Co za wojsko znowu? – spytał jakiś głos.
- Podobno ma być wojna – odparł Czarna Patelnia. – Coś mi się obilo o uszy.
- Cholera – powiedział ktoś.
- Może to jest coś dla samolotów, żeby wiedziały, gdzie lecieć – spekulował dalej Czarna Patelnia.
- Dla czyich samolotów? – spytał Heros.
- Znowu się kręci, patrzcie – powiedział Gałązka.

Homer Wells powędrował z powrotem przez sady do domu Worthingtonów. Ze wzruszeniem stwierdził, że pani Worthington zostawiła z myślą o nim światło nad schodami. Gdy mijał zamknięte drzwi jej sypialni, też dostrzegł światło sączące się przez szparę nad dolną framugą.

- Dobranoc, pani Worthington. Już jestem.
- Dobrej nocy, Homerze – odpowiedziała przez drzwi.

Homer postać chwilę przy oknie w pokoju Wally'ego. Z tak daleka nie mógł widzieć reakcji galerii na dachu tłoczni na wyłączenie diabelskiego młyna w Cape Kenneth, gdy przyszła pora zamknięcia wesołego miasteczka. Ciekawe, co mówili, kiedy nagle cała iluminacja zgasła? – zastanowił się.

Może wierzyli, że diabelski młyn przybywa z obcej planety, na którą wraca, kiedy gasną jego światła?

Fuzzy'emu Stone'owi diabelski młyn na pewno by się podobał – myślał Homer. Curly'emu Dayowi też; a co dopiero małemu Copperfieldowi! Przyjemnie byłoby też

pokręcić się na nim raz z Melony – tylko raz, żeby usłyszeć, co też Melony o tym myśli. Na doktorze Larchu diabelski młyn nie zrobiłby wrażenia. Czyż bowiem istniały jakiegokolwiek tajemnice dla doktora Larcha?

Nazajutrz rano Pan Rose dał wolne swoim czarodziejskim rękóm. Przechadzał się tylko między drzewami w sadzie. Odwiedził Homera, który tego dnia pełnił rolę karbowego w sadzie zwanym Patelnią: liczył buszłowe skrzynki przed załadunkiem na przyczepę i zapisywał, ile kto uzbierał.

– Chciałbym zobaczyć ten młyn; pokażesz mi? – zagadnął go z uśmiechem Pan Rose.

– Diabelski młyn? – upewnił się Homer Wells.

– Tak. Mógłbyś mi go pokazać? Tylko nikomu nie mów.

– Jasne – zgodził się Homer. – Trzeba by się wybrać niedługo, zanim przyjdą mrozy i zamkną lunapark na zimę. Już teraz musi być zimno podczas jazdy.

– Nie wiem, czy będę jeździć; najpierw chcę zobaczyć – powiedział Pan Rose.

– Jasne – odparł Homer.

Pani Worthington pożyczyła Homerowi furgonetkę. Kiedy zajechał pod tlocznię po Pana Rose, wszyscy byli bardzo ciekawi, dokąd się wybierają.

– Musimy coś sprawdzić w najdalszym sadzie – powiedział ludziom Pan Rose.

– Który to jest najdalszy sad? – spytał Czarna Patelnia Herosa, gdy Homer z Panem Rose wsiedli do furgonetki.

Homer Wells pamiętał, jak jeździł na diabelskim młynie z Wallym. Teraz, pod jesień, było znacznie chłodniej. W drodze do Cape Kenneth Pan Rose był dziwnie milczący, a gdy ramię w ramię przekroczyli bramę lunaparku, Homer po raz pierwszy ujrzał go zdenerwowanym. Z wesołego miasteczka dawno znikł tłum letnich gości; niektóre atrakcje pozamykano już na zimę.

– Nie denerwuj się – powiedział Homer do Pana Rose. – Diabelski młyn jest absolutnie bezpieczny.

– Młynem się nie denerwuję – burknął Pan Rose. – Widzisz tu może wielu mojego koloru?

Homer nie dostrzegł wrogości w oczach ludzi, których mijali. Jako sierota, zawsze miał wrażenie, że przechodnie się na niego gapią, bo jest inny, więc teraz, w towarzystwie Pana Rose, nie czuł się szczególnie obserwowany. Jednak po uwadze Pana Rose zwrócił większą uwagę na reakcje otoczenia i musiał stwierdzić, że zainteresowanie, które – jak mu się zdawało – ludzie okazują sierocie, to niewinny drobiazg w porównaniu z tym, jak patrzą na Murzyna.

Przy diabelskim młynie nie było kolejki; musieli jednak poczekać, aż dobiegnie końca jazda, która akurat była w toku. Gdy koło się zatrzymało, Homer i Pan Rose usiedli razem w jednej gondoli.

– Możemy usiąść oddzielnie, jeśli wolisz – powiedział Homer Wells.

– Tak lepiej – odmówił Pan Rose. Gdy gondola zaczęła piąć się do góry, wyprostował się sztywno i wstrzymał oddech prawie do samego szczytu.

– W tamtą stronę jest sad – wskazał Homer Wells, lecz Pan Rose wpatrywał się przed siebie, jakby myślał, że bezpieczeństwo diabelskiego młyna zależy od skupienia i równowagi każdego z pasażerów.

– O co w tym właściwie chodzi? – spytał Pan Rose, nie zmieniając pozycji.

– Przypuszczam, że o przyjemność jazdy; może też o widoki – odparł Homer Wells.

– Ja tam wolę widoki z dachu – oznajmił Pan Rose.

Gdy minęli szczyt i zaczęli się opuszczać, Pan Rose powiedział:

– Cieszę się, że nie za dużo dzisiaj zjadłem.

Znów zaczęli piąć się w górę. Na ziemi tymczasem zebrał się spory tłumek, lecz jego uczestnicy nie zdradzali ochoty na przejażdżkę diabelskim młynem. W innych gondolach, poza Homerem i Panem Rose, zasiadały w tej jeździe dwie zakochane pary i jeden mały chłopczyk – sam. Gdy dotarli do apogeum obrotu koła, Homer uświadomił sobie, że tłumek w dole zgromadził się ze względu na Pana Rose.

– Ciekawi ich, czy czarny potrafi fruwać – wycedził Pan Rose. – Ale ja nie będę próbował dla ich przyjemności. Albo przyszli sprawdzić, czy cała maszyna nie runie pod czarnym. Albo czekają, żebym się porzygał.

– Nic nie rób, siedź spokojnie – poradził mu Homer Wells.

– Całe życie to słyszę – uśmiechnął się krzywo Pan Rose. Kiedy zaczęli się obniżać, wychylił się z gondoli (nawet trochę za bardzo, aż niebezpiecznie) i puścił łukiem imponującego pawia ponad stojący w dole tłum. Tłum momentalnie się rozproszył – lecz nie wszyscy zdążyli uciec.

Kiedy gondola z Homerem i Panem Rose ponownie zbliżyła się do ziemi, diabelski młyn zatrzymano, żeby umożliwić choremu wysiadkę. Tłum cofnął się; wyjątek stanowił młodzian szczególnie dotknięty efektami słabości Pana Rose. Kiedy Homer Wells z Panem Rose opuszczali plac pod diabelskim młynem, młodzian ów podszedł do nich i, patrząc na Pana Rose, powiedział:

– Zdawało mi się, żeś to zrobił specjalnie.



– Kto by specjalnie rzygał? – odparł spokojnie Pan Rose, nie zatrzymując się. Homer dotrzymywał mu kroku. Obrażony młodzieniec mógł być rówieśnikiem Homera; powinien siedzieć w domu i odrabiać lekcje – pomyślał Homer – bo jak chodzi do szkoły, to dzisiaj jest normalny dzień nauki.

– Mnie się zdaje, że właśnie ty – nie ustępował chłopak.

Wtedy Pan Rose się zatrzymał.

– Na czym się znasz najlepiej? – spytał chłopaka.

– A bo co? – zjeżył się tamten, ale Homer Wells stanął pomiędzy nimi.

– Mój kolega źle się czuje. Zostaw go – powiedział do chłopaka.

– Twój kolega! – prychnął młodzik pogardliwie.

– Zapytaj mnie, na czym się najlepiej znam – polecił mu Pan Rose.

– No, na jakiej zaszrannej robocie najlepiej się znasz, łaskawco? – wrzasnął tamten.

Homer nagle znalazł się z boku, wprawnie usunięty przez Pana Rose, który stał oto pierś w pierś z chłopakiem. Panu Rose nie pachniało źle z ust: nie wiadomo kiedy zdążył zażyć miętówkę. W jego oczach płonęła zwykła czujność, którą przedtem na krótko zaćmiły mdłości. Chłopak był wyraźnie zdziwiony tym, że ni stąd, ni zowąd znalazł się tak blisko Pana Rose; chociaż był odeń nieco wyższy i znacznie cięższy, minę miał niepewną. Mimo to nie tracił fasonu.

– Pytam cię, na jakiej zaszrannej robocie najlepiej się znasz, łaskawco – powtórzył!

– Na rzyganiu – odpowiedział skromnie Pan Rose. Ktoś z tłumu parsknął śmiechem; Homer Wells doznał przyływu wielkiej ulgi, a Pan Rose uśmiechnął się tak rozbrajająco, że i jego przeciwnik musiał się uśmiechnąć.

– Przepraszam, jeżeli cię przypadkiem pobrudziłem – powiedział do chłopaka.

– Nie ma sprawy – odparł chłopak. Odwrócił się i ruszył w swoją stronę. Po paru krokach przystanął i odwrócił się do Pana Rose, jakby nie bardzo rozumiał, co się stało, ale Pan Rose już odchodził, wiodąc za ramię Homera Wellsa. Homer zdążył jednak coś zobaczyć: twarz chłopaka wyrażała szok. Jego wełniana kurtka, zapięta na suwak, powiewała mimo to luźnymi połami, rozcięta wprawnie od góry do dołu, a przy koszuli, którą chłopak miał pod spodem, nie ostał się ani jeden guzik. Chłopak gapił się w osłupieniu to na swój brzuch, to na Pana Rose, który się nawet nie odwrócił. Poszkodowany nie protestował, kiedy współczujący tłum wciągnął go do środka.

– Jak to zrobiłeś? – spytał Homer Pana Rose, gdy wsiadali do furgonetki.

– Trzeba mieć szybkie ręce – odparł Pan Rose. – I ostry nóż. Ale najważniejsze są oczy. Oczami odwracasz ich oczy od swoich rąk.

Chłopak w rozciętej kurtce przypomniał Homerowi Klarę i skalpel, który nie popełnia błędów. Błędy popełnia tylko ludzka ręka. Czując na piersi dotkliwy chłód, Homer jechał do domu z nadmierną szybkością.

Gdy skręcił w ulicę Wody Pitnej i sadami podjechał pod barak tłoczni, Pan Rose powiedział:

– Przekonałeś się? Nie miałem racji? Na co zbieraczom jabłek wiedzieć o diabelskim młynie?

Na nic – pomyślał Homer Wells. A na co wiedzieć o nim Melony, Curly’emu Dayowi, Fuzzy’emu – jakimukolwiek Beduinowi?

– Nie miałem racji? – dopytywał się Pan Rose.

– Jasne – powiedział Homer Wells.

## 8. Okazja

Na Farmie York zakończono już zbiory, ale brygadzysta poprosił Melony, żeby została pomóc mu tępić myszy.

– Trzeba je wytruć, zanim ziemia zamrznie; inaczej będą całą zimę buszowały po sadach – powiedział.

Zatruty owies i kukurydzę sypało się pod drzewa i w mysie dziury.

Biedne myszy – myślała sobie Melony, ale przez kilka dni z samozaparciem uczestniczyła w akcji. Starła się jednak zamaskować każdy napotkany tunel leśnych myszy: do tych tuneli nigdy nie sypała trucizny. Pod drzewa też tylko udawała, że sypie. Odstrecał ją smród trucizny. Najczęściej wdeptywała zakażone ziarno w drogę, a do worka nabierała piachu i żwiru, którymi posypywała miejsca zagrożone przez myszy.

– Dobrej zimy, myszki – szeptała przy tym.

Barak łoczni strasznie się wyziębił. Brygadzysta dał Melony piecyk na węgiel drzewny, tak zwaną „kozę”, której komin Melony wystawiła za okno sypialni. Dzięki „kozie” ubikacja nie zamrziała. Melony postanowiła ruszać w dalszą drogę, gdy pewnego ranka stwierdziła, że zamrzła woda w prysznicu na zewnątrz.

– Po sadach nie masz co szukać – ostrzegł ją na pożegnanie brygadzysta. – Nigdzie nie przyjmują na zimę.

– Na zimę chcę się zatrudnić w mieście – powiedziała mu Melony.

– W jakim mieście? – zaciekawił się.

Melony wzruszyła ramionami. Spięła swój nieduży tobołek pasem Charleya. Rękawy płaszcza pani Grogan sięgały jej ledwo za łokcie; płaszcz opinał się niebezpiecznie na ramionach i biodrach Melony – a mimo to całkiem nieźle w nim wyglądała.

– W Maine nie ma prawdziwych miast – dodał brygadzysta.

– Dla mnie tam każde miasto jest prawdziwe. Nie mam wielkich wymagań – odparła Melony.

Brygadzysta odprowadził ją wzrokiem do tego miejsca na drodze, skąd poprzednim razem wołał jej „do widzenia”. Nastąpiła już pora nagich drzew i ołowianego nieba nad z dnia na dzień twardszą ziemią, gdy na śnieg jest jeszcze za wcześnie – i nawet jeśli przez pomyłkę sypnie, to zaraz znika.

Brygadzysta poczuł gwałtowną a dziwną chęć towarzyszenia Melony. Nieoczekiwanie dla siebie, wymamrotał na głos:

– Mam nadzieję, że niedługo spadnie śnieg.

– Że co? – spytała jedna z pracownic targowiska.

– Do zobaczenia! – krzyknął brygadzysta za Melony, lecz ona mu nie odpowiedziała.

– No i dobrze, że się wyniosła – powiedziała któraś z kobiet.

– Żdzira – dorzuciła inna.

– Dlaczego żdzira? – zaperzył się brygadzysta. – Widziałas, żeby z którym szła do łóżka?

– Taka tam powsinoga – wtrąciła się następna robotnica.

– Przynajmniej coś w niej jest ciekawego – burknął brygadzysta ze złością.

Kobiety przyjrzały mu się bacznie i dopiero po dłuższej chwili jedna rzuciła uwagę:

– Spodobała ci się, co?

– Pewnie byś chciał być tym narzeczonym, którego szuka – dodała inna, i wszystkie zaniosły się złośliwym chichotem.

– Nie o to chodzi! – rozzłościł się brygadzysta. – Tego narzeczonego to, mam nadzieję, nigdy nie znajdzie. Dla jego dobra. I dla swojego dobra – dodał po chwili.

Pracownica, której mąż, grubas, usiłował zgwałcić Melony, nie brała udziału w tych przekomarzeniach. Poszła do stolika koło kasy i otworzyła duży, wspólny termos – ale gdy chciała nalać sobie kawy, z termosu posypały się zatrute ziarna owsa i kukurydzy. Gdyby Melony istotnie zamierzała kogoś otruć, rozsądniej wymierzyłaby proporcje płynu i trucizny. Więc był to raczej z jej strony gest symboliczny. Pracownice w milczeniu kontemplowały zatrute ziarno, jak fusy, z których można odczytać wróżbę.

– Teraz już wiecie, o co mi chodziło? – odezwał się brygadzysta i wbił zęby w jabłko wyjęte z kosza na ladzie. Jabłko tak długo leżało w chłodzie, że częściowo przemarzło: brygadzysta z obrzydzeniem wypluł kęs.

Na drodze prowadzącej w stronę morza hulał straszny ziąb, ale Melony rozgrzewała się szybkim marszem. Nie miała wyboru, jak tylko maszerować, ponieważ drogą nic nie jechało. Za to kiedy dotarła do nadmorskiej autostrady, nie musiała długo czekać na okazję. Zatrzymała się przed nią ciężarówka, którą prowadził młody chłopak, uderzająco blady, ale bardzo wesoły.

– Yarmouth, Farby i Lakiery; do usług łaskawej pani – powiedział otwierając drzwi szoferki. Mógł być trochę młodszy od Homera i, zdaniem Melony, wyglądał na

znacznie mniej niż Homer obytego w świecie. W szoferce śmierdziało pokostem, politurą i kreozotem. – Specjalizuję się w konserwacji drewna – pochwalił się chłopak.

Akurat! – pomyślała Melony. Zwyczajny komiwojażer albo dostawca. Uśmiechnęła się jednak, z zaciśniętymi ustami, żeby nie pokazywać ukruszonych zębów. Chłopak zaczął się wiercić, wyraźnie nieswój: Melony nawet nie powiedziała mu dzień dobry. Potrafię w minutę każdego wyprowadzić z równowagi – pomyślała Melony.

– Yyy... tego... dokąd chcesz jechać? – wydukał wreszcie młody kierowca przy akompaniamencie hurgotu rozpędzonego pojazdu.

– Do miasta – odparła krótko Melony.

– Którego miasta?

Melony pozwoliła sobie na uśmiech i chłopak poczuł się jeszcze bardziej nieswojo wobec burzliwej przeszłości Melony, której widowym przykładem były ubytki w jej uzębieniu.

– Myślałam, że od ciebie się dowiem – rzekła Melony.

– Ja jadę do Bath – odparł kierowca nerwowo. Melony ta nazwa kojarzyła się tylko z wanną, bo przecież *bath* to kąpiel.

– Bath – powtórzyła.

– To takie miasto – wyjaśnił jej specjalista od konserwacji drewna. – A raczej miasteczko.

Klara pochodziła z Bath! Doktor Larch i Homer Wells bez trudu rozpoznaliby nazwę miejscowości, z której Klarę przywieziono do St. Cloud's. Ale Melony nie знаła tego szczegółu historii Klary, o którą zawsze była dziwnie zazdrosna. Nic w związku z Klarą nie obchodziło Melony. Denerwowało ją, że Homer Wells zna Klarę znacznie dokładniej niż ją, Melony. A jednak z pewnością zainteresowałaby się informacją, że Bath leży o wiele bliżej Sadów Z Widokiem Na Ocean niż Farma York; że niektórzy tamtejsi obywatele mogli nawet słyszeć o Sadach Z Widokiem, a już z pewnością wielu będzie umiało skierować Melony do Heart's Haven i Heart's Rock.

– Jedziesz do Bath? – spytał niepewnie kierowca.

Melony jeszcze raz zaszczyciła go widokiem swoich połamanych zębów. Grymas, który przy tym uczyniła, miał tyleż wspólnego z uśmiechem co psie szczerzenie kłów.

– Jasne – powiedziała.

Wally przyjechał do domu na Święto Dziękczynienia. Candy kilka jesiennych weekendów spędziła u ojca, lecz Homer nie bardzo wiedział, jak miałby się z nią umówić bez Wally'ego, więc nie widzieli się. Wally na wieść o tym bardzo się zdziwił, a Homer, widząc zmieszanie Candy, domyślił się, że i ona myślała w czasie jesiennych wizyt w domu o spotkaniu z nim, i też nie umiała takiego spotkania zaaranżować. Ale nie było czasu na roztrząsanie dwuznaczności: ważniejsze było, żeby co kwadrans skropić indyka w piekarniku i nakryć do stołu. Oliwia zaś, z radości, że ma znów pełny dom, niczego nie zauważyła.

Raymond Kendall bywał już na obiadach z okazji Święta Dziękczynienia u Worthingtonów, lecz po raz pierwszy przy stole zabrakło Seniora – ostatnimi laty najwyżej półobecnego, ale zawsze. Ray przyszedł więc szalenie speszony nową sytuacją i przez pierwszych parę minut zachowywał się w sposób sztucznie ugrzeczniomy; potem jednak rozluźnił się i wdał w pogaduszki z Oliwią.

– Tatuś zachowuje się jak na randce – zażartowała Candy, kiedy we dwie z Oliwią znalazły się w kuchni.

– To mi pochlebia – zaśmiała się Oliwia i ścisnęła serdecznie ramię Candy. I na tym ich żarciki się skończyły.

Homer zgłosił się do krojenia indyka. Wykonał zadanie tak umiejętnie, że Oliwia skomentowała to z podziwem:

– Stanowczo powinieneś zostać chirurgiem, Homerze.

Wally roześmiał się, Candy spuściła wzrok na talerz, a może na własne ręce złożone na kolanach, a Ray Kendall rzekł:

– Chłopak ma dryg w rękach. Jak się ma dryg w rękach, wystarczy raz coś zrobić, a ręce tego nigdy nie zapomną.

– Ty też masz takie ręce, Ray – zauważyła Oliwia, odwracając uwagę gości od wyczynów Homera, który starał się jak najszybciej odkrawać kawałki mięsa od kości.

Wally poruszył temat wojny. Przyznał się, że chętnie porzuciłby studia i wstąpił w zamian do szkoły lotniczej.

– Jak będzie wojna, to znaczy, jak przystąpimy do wojny, umiałbym już latać – argumentował.

– Nie ma mowy – sprzeciwiła się Oliwia.

– Jak możesz czegoś podobnego chcieć? – zdziwiła się Candy. – To samolubne zachcianki.

– Jak to samolubne? – spytał Wally. – Walcząc na wojnie, służymy sprawie ojczyzny!

– Dla ciebie to przygoda – powiedziała Candy. – Dlatego mówię o samolubstwie.

– Nie ma mowy i koniec – powtórzyła Oliwia.

– Ja do tamtej wojny byłem za młody – wtrącił się Ray. – A do tej, jeśli do niej dojdzie, będę za stary.

– Szczęściarz z ciebie! – podsumowała Oliwia.

– No właśnie – dodała Candy.

Ray wzruszył ramionami.

– Nie powiedziałbym. Na tamtą wojnę chciałem iść. Próbowałem oszukać z rocznikiem, ale ktoś mnie zdradził.

– A teraz zmądrzałeś – dokończyła za niego Oliwia.

– Czy ja wiem? – zastanowił się Ray. – Jak dojdzie do tej wojny, pojawi się masa nowej broni; to, co się teraz konstruuje, przekracza ludzką wyobraźnię.

– Ja to sobie właśnie bez przerwy wyobrażam – podchwycił Wally. – Bez przerwy wyobrażam sobie wojnę.

– Oprócz umierania, Wally – powiedziała Oliwia Worthington, wynosząc resztki indyka do kuchni. – Umierania chyba sobie nie wyobrażasz.

– No właśnie – odezwał się Homer Wells, który myśląc o wojnie, wyobrażał sobie wyłącznie umieranie.

Candy uśmiechnęła się do niego.

– Dlaczego nie zadzwoniłeś do mnie nigdy w wolny weekend? – zmieniła temat.

– No właśnie: dlaczego? – zaatakował Homera Wally. – Pewnie byłeś zanadto zajęty Debrą Pettigrew.

Homer tylko pokręcił głową.

– Był zajęty praktyczną anatomią królika! – zawołała z kuchni Oliwia.

– Czym? – zdumiał się Wally.

Oliwia myliła się. Homer już po trzech tygodniach nauki zorientował się, że o stworzeniu analizowanym na kursie biologii dla zaawansowanych i o relacji jego anatomii do anatomii człowieka wie więcej niż chudy jak szkielet nauczyciel, pan Hood.

Niedostatki wiedzy pana Hooda w porównaniu z wiedzą młodego doktora Wellsa ujawniły się – jak mógł słusznie przewidzieć Wilbur Larch – przy układzie moczowo-płciowym. Pan Hood zaplątał się w omawianiu trzech stadiów rozwoju macicy. Wewnątrzmaciczne życie króliczego embriona trwa zaledwie trzydzieści dni;

w jednym miocie rodzi się pięć do ośmiu młodych osobników. Cechą prymitywnej anatomii tego niedużego zwierzątka jest obecność w jamie brzusznej samicy dwóch odrębnych macic, tworzących razem tak zwany *uterus duplex*. Natomiast u samicy ludzkiej – której budowę Homer Wells poznał aż nadto dobrze – dwa jajowody prowadzą do jednej jamy macicy, zwanej w związku z tym *uterus simplex*. Trzecią odmianą budowy macicy jest stadium pośrednie między dwoma opisanymi: między dwiema jamami macicy istnieje połączenie. Ten trzeci rodzaj macicy, właściwy dla niektórych ssaków (na przykład owcy), nosi nazwę *uterus bicornis*.

Nieszczęsny pan Hood, tłumacząc uczniom zawilosci budowy macicy, zamazał kredą całą tablicę, pomylił *duplex* z *bicornis*, a owcę nazwał królikiem (i na odwrót). Mogło być gorzej: pan Hood mógł przecież uznać, że to samica ludzka ma dwie macice i tę fałszywą wiedzę przekazać klasie – ale i pomylenie owcy z królikiem było błędem. Homer Wells przyłapał profesora na pomyłce i po raz pierwszy poczuł się w obowiązku zakwestionować powagę autorytetu. „Sierota w takiej sytuacji przeżywa szczególnie niepokój i zażenowanie” – zanotował w swoim dzienniku doktor Wilbur Larch.

– Przepraszam – podniósł rękę Homer Wells.

– Tak, Homerze? – przerwał wykład pan Hood. Był tak chudy, że w pewnym oświetleniu jego anatomia zdawała się równie obnażona jak otwarte zwłoki królików na stołach laboratoryjnych przed studentami. Pan Hood sprawiał wrażenie odartego ze skóry, jak preparat gotowy do opisanie. Patrzył ze znużoną cierpliwością: oczy stanowiły jedyny żywy element jego konstrukcji.

– To jest odwrotnie, panie profesorze – rzekł Homer Wells.

– Słucham? – zdziwił się pan Hood.

– Dwie macice, *uterus duplex*, ma królik, a nie owca – powiedział Homer z całym szacunkiem. – Macica owcy jest częściowo zespolona, stanowi niemal jedną całość; owca ma *uterus bicornis*.

Klasa zamarła. Pan Hood zamrugał powiekami i przez moment był podobny do jaszczurki wpatrującej się w muchę. Zaraz jednak opanował się.

– Czy nie tak właśnie mówiłem? – spytał z pobłażliwym uśmiechem.

– Nie – rozległy się pomruki z sali. – Pan profesor mówił odwrotnie.

– No to się pomyliłem – odparł pan Hood, głosem niemal uradowanym. – Miało być właśnie tak jak ty powiedziałaś, Homerze.

– Może się przesłyszałem – bąknął Homer.

– Nie, tak było – upewnili go koledzy.



Krępy chłopak imieniem Bucky, z którym Homer wspólnie badał preparat królika, szturchnął Homera w bok.

– Skąd ty się tak dobrze znasz na cipach? – zapytał.

– Poszperaj, to się dowiesz – odparł Homer Wells. Nauczył się tego powiedzonka od Debry Pettigrew. Było to hasło ich jedynej gry. Homer zadawał Debrze pytanie, na które nie znała odpowiedzi, a wtedy Debra mówiła: „Poszperaj, to się dowiesz”, na co Homer odpowiadał: „Proszę bardzo” i zaczynał szperać. „Tu nie wolno!”, wrzeszczała Debra, odpychając ze śmiechem jego rękę. Homer Wells żadnym sposobem nie mógł znaleźć dostępu do *uterus simplex* Debry Pettigrew.

– Chyba po ślubie – opowiadał Wally’emu wieczorem w Święto Dziękczynienia, już w sypialni.

– Z tym bym się, stary, za bardzo nie spieszył – odparł Wally. Homer nie opowiedział Wally’emu o żenującym incydencie z panem Hoodem i o zmianie, jaka od tego czasu zaszła w profesorze. Pan Hood, który zawsze wyglądał jak chodzący trup, zdradzał teraz wyraźne oznaki chronicznej bezsenności: był jak trup, który stanowczo się przepracowuje, ślęcząc po nocach nad anatomią królika i zawiłościami budowy macicy. Przemęczenie uczyniło go jakby bardziej ludzkim – wyczerpanie jest bowiem oznaką życia i człowieczeństwa. Pan Hood zdawał się niecierpliwie wyczekiwać emerytury, niepewny, czy jej dożyje.

U kogo ja już widziałem to spojrzenie? – głowił się Homer Wells.

Siostra Angela, siostra Edna i pani Grogan pomogłyby mu odpowiedzieć na to pytanie: codziennie patrzyły w oczy, w których skrajne zmęczenie paradoksalnie łączyło się z nadzieją w wewnętrznie sprzeczny wyraz ponurego zniechęcenia pełnego dziecięcej ufności. Ten wyraz oczu towarzyszył od lat najniewinniejszym nawet minom Wilbura Larcha; ostatnio zaś siostra Angela i siostra Edna, a nawet pani Grogan, zaczęły go obserwować u siebie.

– Na co my czekamy? – spytała pewnego ranka siostra Edna siostrę Angelę. Coś niewątpliwie wisiało w powietrzu – jakaś nieuchronna zmiana. Poczciwe niewiasty oburzyły się na sławetną ankietę Goodhall-Gingricha nie mniej niż, były tego pewne, doktor Larch. Larcha natomiast wielce rozweseliły uwagi eks-Snowy’ego Meadowsa, które rada uznała za godne najwyższej pochwały i przesłała doktorowi do wglądu.

W odpowiedzi na pytanie o „właściwy nadzór” Snowy stwierdzał, że doktor Larch i siostry ani na chwilę nie spuszczały go z oka. Na pytanie, czy opieka medyczna była „wystarczająca”, radził komisji „najlepiej spytać Fuzzy’ego Stone’a”. Zdaniem

Snowy'ego, doktor Larch oddychał za Fuzzy'ego. „Trudno sobie wyobrazić bardziej rżące płuca – pisał Snowy Meadows – a staruszek Larch podłączył małego do życiodajnej maszyny.” Odpowiadając na kolejne pytanie – czy „starannie i właściwie” wybrano mu rodzinę adopcyjną – Snowy Meadows nazwał doktora Larcha geniuszem w tej subtelnej dziedzinie. „Skąd on wiedział, że ja tak idealnie pasuję do producentów mebli? Nie wiem skąd, ale wiedział” – informował radę nadzorczą Snowy Meadows (już jako Robert Marsh). „Własność prywatna, świat osobistych przedmiotów, nie dla każdego jest ważną sprawą. Ale dla sieroty, proszę mi wierzyć, własne meble to największe szczęście” – zwierzał się Snowy w ankiecie.

– Któraś z was dwóch musiała go w dzieciństwie upuścić na głowę – rzekł Wilbur Larch do siostry Edny i siostry Angeli. Widać było jednak, że opinie Snowy'ego sprawiły mu przyjemność.

Dla równowagi, rada przesłała Larchowi nieco mniej entuzjastyczne wypowiedzi Curly'ego Daya. Roy Rinfret z Boothbay ział goryczą. „Na adoptowanie przez pigularzy przygotowano mnie tak samo mniej więcej jak na przecięcie pępownicy” – pisał Roy „Curly” Rinfret. „Najpiękniejsza para ludzi na świecie odjechała z kimś, kto ani nie chciał, ani nie potrzebował być adoptowany, a mnie capnęli pigularze!” – żalił się Curly. „To ma być nadzór: żeby małe dzieci potykały się na podwórku o trupy?” – pytał w innym miejscu. „Proszę sobie wyobrazić: w dniu, w którym znajduję trupa w trawie, rodzice moich marzeń adoptują kogoś innego, doktor Larch zapewnia mnie, że sierociniec to nie sklep zoologiczny, a zaraz później mnie zgarnia para pigularzy, u których muszę pracować za darmo – i to ma być adopcja?” – zżymał się Roy „Curly” Rinfret.

– A to niewdzięczny smarkacz! – fuknęła siostra Angela.

– Nie wstyd ci, Curly Day? – rzuciła w obojętne powietrze siostra Edna.

– Gdyby tu teraz był, przełożyłabym go przez kolano, jak słowo daję! – rozżłościła się siostra Angela.

A czemuż to nasz Homer Wells nie wypełnił ankiety? – zachodziły w głowę obie pielęgniarzki.

A *propos* „niewdzięcznych smarkaczy” – pomyślał na ten sam temat Wilbur Larch, ale ugryzł się w język.

Siostra Angela nie widziała powodu, żeby gryźć się w język. Wygarnęła Homerowi na piśmie, co myśli o jego postępowaniu. Doktor Larch, gdyby wiedział o jej liście, byłby bardzo niezadowolony. Siostra Angela zaczęła bez ogródek: „Przyzwoitość nakazywała przynajmniej odpowiedzieć na ankietę. Wszyscy tutaj

czekamy na dobre słowo. Nawet jeśli używasz pełni życia (jak podejrzewam), nie wolno ci zapominać o obowiązku bycia użytecznym – ani o tym, gdzie jest twoje miejsce. Gdybyś natknął się przypadkiem na młodych lekarzy i pielęgniarki, którzy nam współczują, nie omieszkaś, mam nadzieję, polecić ich nam – i im nas. Pamiętaj, że nie jesteśmy coraz młodszy”.

„Mój drogi Homerze [pisał nazajutrz doktor Larch]. Poinformowano mnie, iż rada nadzorcza zamierza zwrócić się do grupy byłych wychowanków St. Cloud’s z dość bzdurną ankietą. Proszę, odpowiedz na nią, jak uważasz – ale odpowiedz koniecznie. Przygotuj się również na dalszą, bardziej kłopotliwą korespondencję ze wspomnianą radą. Zostałem bowiem zmuszony do udzielenia jej informacji o stanie zdrowia wychowanków. Nie poinformowałem o tym, że straciliśmy Fuzzy’ego Stone’a z powodu niewydolności systemu oddechowego – bo cóż by taka prawda dała Fuzzy’emu? – ale musiałem wspomnieć o Twoim sercu. Uznałem bowiem, że ktoś musi znać prawdę, na wypadek gdyby mnie kiedyś zabrakło. Wybacz, że Ciebie najpierw nie powiadomiłem o tym problemie. Czynię to teraz, gdyż po namyśle doszedłem do wniosku, że nie chciałbym, abyś dowiedział się o swojej wadzie serca od kogokolwiek innego, TYLKO SIĘ NIE PRZESTRASZ! Nieprawidłowość jest tak drobna, że nie nazwałbym jej nawet wadą serca: w dzieciństwie miałeś dość znaczne szmery w sercu, których przy ostatnim badaniu już niemal nie stwierdziłem (badałem Cię we śnie; nie możesz więc tego pamiętać). Odkładałem powiadomienie Cię o tym, żebyś się niepotrzebnie nie denerwował (silne emocje mogłyby pogorszyć Twój stan). Cierpisz (bądź cierpiałeś) na zwężenie zastawki tętniczej płucnej, ale PROSZĘ, NIE PRZEJMUIJ SIĘ! To nic groźnego, albo prawie nic. Jeśli interesują Cię szczegóły, chętnie ich dostarczę. Na razie piszę do Ciebie, aby uprzedzić wszelkie brednie, jakie możesz usłyszeć od tej idiotycznej rady nadzorczej. Zapewniam Cię, że możesz prawdopodobnie bez żadnego ryzyka wieść normalne życie, unikając nadmiernych stresów i wysiłku.”

Normalne życie? – pomyślał Homer Wells. Mnie, Beduinowi z wadą serca, doktor Larch mówi, że mogę wieść normalne życie? Kocham się w dziewczynie mojego najlepszego – i jedyne – przyjaciela: czy doktor Larch zaliczyłby to do „nadmiernych stresów”? A Melony – czym była dla mnie, jak nie jednym wielkim „nadmiernym wysiłkiem”?

Za każdym razem, gdy myślał o Melony (co nie zdarzało się często), tęsknił za nią i był o to zły na siebie. Czemu za nią tęsknił? – wyrzucał sobie. Starał się w ogóle nie wspominać St. Cloud's: im dłużej przebywał z dala od sierocińca, tym bardziej nienaturalne wydawało mu się tamtejsze życie – a jednak, kiedy już myślał o St. Cloud's, to zawsze z tęsknotą. Tęsknił za siostrą Angela, za siostrą Edną, za panią Grogan i za doktorem Larchem. O to też złościł się na siebie: przecież serce nie podpowiadało mu, że życie w St. Cloud's jest jego upragnionym ideałem życia.

Życie w Sadach Z Widokiem Na Ocean – to mu się podobało. Marzył o Candy, o wspólnym życiu z Candy. Gdy Candy wróciła do szkoły w Camden, Homer próbował przestać o niej myśleć, ale przypominała mu się, ile razy spojrzął na Wally'ego – ulżyło mu, kiedy Wally wyjechał z powrotem do Orono, chociaż przedtem przez całą jesień tak na niego czekał.

„W chwilach załamania sierota nabiera skłonności do kłamstwa” – zanotował w dzienniku Wilbur Larch. „Kłamstwo daje przynajmniej jakieś poczucie działania: zmusza do czujności, czyniąc człowieka odpowiedzialnym za swoje postęпки. Trzeba być czujnym, żeby dobrze skłamać, i nie wolno potem stracić czujności, żeby kłamstwo nie wyszło na jaw. Sierota nie jest panem swojego losu; sierota nie wierzy przy tym, że inni ludzie również nie są panami swojego losu.

Kłamstwo daje złudzenie panowania nad własnym losem. Dlatego tak kusi sierotę. Wiem o tym, bo i ja kłamię” – wyznał w dzienniku doktor Larch. „Uwielbiam kłamać. Kłamiąc człowiek czuje, że oszukuje los – swój własny, a także losy innych ludzi.”

Homer Wells odpowiedział więc na ankietę – odpowiedział hymnem pochwalnym na cześć St. Cloud's. Wspomnił o „wyremontowaniu” opuszczonych budynków jako o jednej z licznych inicjatyw mających na celu „integrację życia codziennego sierocińca z życiem miejscowej społeczności”. Okłamał też siostrę Angelę, lecz to kłamstwo było z gatunku niewinnych, stosowanych ku poprawie samopoczucia okłamywanej osoby: napisał do niej mianowicie, że zgubił pierwszy egzemplarz ankiety i tylko dlatego tak długo zwlekał z odpowiedzią. Wyrażał nadzieję, że rada nadzorcza zechce przysłać mu drugi egzemplarz. Rada zechciała. Nadejście pocztą kopii kwestionariusza było dla Homera sygnałem do wysłania oryginalnego egzemplarza, pełnego żmudnie skleconych panegiryków, które w tej sytuacji miały zostać odczytane jako napisane spontanicznie, w pośpiechu – a więc szczerze.

Z udanym spokojem odpowiedział Homer na list doktora Larcha. Owszem, interesowały go szczegóły dotyczące zwężenia zastawki tętniczej płucnej. Czy doktor

Larch zaleca comiesięczne badania kontrolne? (Doktor Larch, rzecz jasna, podobnych badań nie zalecał.) Czy można zdefiniować niepokojące sygnały, na które Homer sam mógłby uważać, i czy nie mógłby sam osłuchiwać sobie serca? (Najważniejszy jest spokój – radził w odpowiedzi doktor Larch. Tylko spokój, nie ma nic lepszego.)

Pierwszym krokiem Homera w kierunku osiągnięcia spokoju było przypięcie do ściany drugiego, nie wypełnionego, egzemplarza ankiety. Przypiął go pinezką koło kontaktu w pokoju Wally'ego: pytania o życie w St. Cloud's, jako alegoria arogancji władzy, upodobniły się w ten sposób do regulaminu wywieszanego corocznie w baraku tłoczni. Wchodząc do pokoju i wychodząc z niego, Homer za każdym razem spoglądał na pytania, w odpowiedzi na które tak strasznie nałgał; bawiło go zwłaszcza zagadnienie „ewentualnych innowacji w sposobach zarządzania St. Cloud's”.

W zimowe noce, bezsenności Homera towarzyszyła nowa muzyka: suchy klekot nagich gałęzi jabłoni, potrząsanych wczesnogrudniowym wichrem. Leżąc w łóżku, z założonymi na piersiach rękami, których zarys wydobywał z mroku blask księżycy barwy kości słoniowej, Homer Wells myślał sobie, że drzewa trenują otrząsanie śniegu z gałęzi, żeby się nie dać zaskoczyć pierwszym śniegom.

Możliwe, że drzewa przeczuwały też bliską wojnę – ale Oliwia Worthington starała się o niej nie myśleć. Od lat słuchała zimowej kołatki sadu; od lat oglądała czarne gałęzie – najpierw nagie, potem okryte śniegiem, potem znów nagie. Wiatr od morza bezlitośnie pastwił się nad zmarzniętymi drzewami, które przybierały dzikie pozy potrząsających szablami żołnierzy – lecz Oliwia, przyzwyczajona do tego od lat, nie czuła, że idzie wojna. Drzewa wydały jej się tego roku bardziej niż zwykle ogołoczone, ale to pewnie dlatego – myślała – że zaczyna się pierwsza zima bez Seniora.

„Dorośli nie szukają znaków w znanych zjawiskach – zanotował Wilbur Larch w *Krótkiej historii St. Cloud's* – ale sierota zawsze i wszędzie wypatruje znaków”.

Homer Wells stał przy oknie w pokoju Wally'ego i w sadzie szkieleatów wyglądał znaków przyszłości – przede wszystkim swojej, ale także przyszłości Candy i Wally'ego. Deseń zimowych gałęzi na pewno mówił coś o przyszłości doktora Larcha; nawet o Melony. Ciekawe, jaka przyszłość czeka dzieło Boże? – zastanowił się Homer Wells.

Bliska wojna nie obwieszczała się znakami w St. Cloud's, gdzie rzeczy zwykłe i niezwykle nabierały miękkości w żarnach rutyny i obyczaju. Cięża musi się skończyć

narodzinami lub aborcją; sierota albo jest adoptowana, albo czeka na adopcję. W suche, bezśnieżne mrozy, unoszący się w powietrzu pył drzewny podrażniał oczy, nozdrza i gardła rezydentów St. Cloud's. Pył ten znikał z powietrza, na bardzo krótko, tylko pod świeżo spadłym śniegiem. Odwilż odsłaniała zbity kożuch trocin, cuchnący mokrym kundlem, a gdy znów chwycił mróz, pył, z powrotem suchy, pojawiał się jakimś cudem na zleżałym śniegu, i na nowo wszystkich szczypało w oczach, kręciło w nosie i drapało w gardle.

- Cieszymy się razem ze Smokym Fieldsem – obwieścił chłopcom doktor Larch.
- Smoky Fields znalazł rodzinę. Dobranoc, Smoky.
- Dobranoc, Kołki! – wyrecytował dobitnie Dawid Copperfield.
- Branoc! – krzyknął mały Steerforth.
- Dobranoc, chomiczku – westchnęła siostra Angela, pewna, że ktokolwiek adoptował Smoky'ego Fieldsa, szybko nauczy się zamykać lodówkę na kłódkę.

O grudniowym poranku Mary Agnes Cork stała przy oknie, z którego niegdyś Melony obserwowała – komentując lub nie – jak toczy się świat. Mary Agnes Cork patrzyła na kobiety pnące się pod górkę od stacji kolejowej. Nie wyglądają, jakby były w ciąży – pomyślała.

Na ogołoconym wzgórzu, które Wally Worthington chciał kiedyś zamienić w sad, mały Copperfield mocował się z kartonowym pudłem, ciągnąc je po pierwszym, mokrym śniegu. Pierwotnie w pudle mieściło się czterysta podpasek higienicznych – o czym Copperfield wiedział, gdyż je rozpakowywał – a teraz siedział w nim mały Steerforth. Copperfield wsadził go tam, kiedy byli u stóp wzgórza, i im bliżej szczytu, tym bardziej uświadamiał sobie, jaki to był błąd. Nie tylko dlatego, że ciężko było ciągnąć pod górę pełny karton, lecz także dlatego, że pod ciężarem malca dno pudła szybko przemieńkło od mokrego śniegu. Copperfield martwił się, że „sanki” nie będą teraz chciały zjeżdżać – nawet jeśli doholuje rozmiękłe pudło na sam szczyt.

- Dobranoc, Smoky! – wyśpiewywał Steerforth.
- Psymknij się, sceniaku – zaseplenił Dawid Copperfield.

Doktor Larch był bardzo zmęczony. Położył się w pokoju zabiegowym. Patrząc na szare od szarości zimowego dnia ściany, Larch przez chwilę nie wiedział, która to godzina i jaka pora roku. Niech wszystko, cokolwiek zrobię od tej chwili, ma wyraźny cel – pomodlił się w duchu. Niech mi się uda uniknąć zbędnych ruchów.

Przywidziało mu się, że przez wzorowo ustawiony wziernik ogląda szyjkę macicy. Czyjej? – nie miał pojęcia. Nawet w eterowym odurzeniu, kciuk i palec wskazujący prawej ręki doktora dociskały śrubkę utrzymującą przyrząd w stałym

rozwarciu. Kosmyk niewiarygodnie jasnych włosów łonowych wplątał się w owłosienie ręki doktora – tak jasny, że Larch ledwo go zauważył na tle własnej bladej skóry. Potrząsnął ręką; lekki lok długo unosił się w powietrzu. Zamroczony eterem Larch sięgnął po niego lewą ręką, lecz trafił tuż obok. No tak, to szyjka jej macicy – poznał Wilbur Larch. Jakże jej było na imię?

– Nazywa się jak coś dla dzieci... – powiedział głośno. – Candy! – Roześmiał się, zadowolony.

Siostra Edna, która przechodziła właśnie korytarzem koło pokoju zabiegowego, wstrzymała oddech i wsłuchiwała się w ten śmiech. Nawet gdy nie oddychała, jej stare oczy łzawiły od oparów eteru. Łzawiły też od pyłu drzewnego w powietrzu. I od niektórych sierot.

Siostra Edna otworzyła wejście szpitalne, żeby trochę przewietrzyć korytarz. Przy okazji ujrzała kartonowe pudło, zjeżdżające opornie po stoku wzgórza. Wiedziała, że kiedyś w tym pudle były podpaski higieniczne, ale co było w nim teraz – nie miała pojęcia. Pewnie coś ciężkiego, bo karton zjeżdżał powoli, zrywami. Chwilami nabierał prędkości i ześlizgiwał się gładko, ale najmniejszy kamień albo placek odsłoniętej ziemi wytrącał go z kursu i spowalniał tempo jazdy. Najpierw z pudła wysypał się i poturlał z górki mały Steerforth: siostra Edna poznała go po za dużych rękawicach z jednym palcem i wełnianej czapce z pomponem, która wiecznie opadała mu na oczy. Przez chwilę Steerforth dotrzymywał tempa kartonowi, lecz nagle trafił na sporą polankę czarnej, zmarzniętej ziemi i wyhamował. Zaczął gramolić się z powrotem pod górę po zgubioną rękawicę.

Drugą, większą postacią, która wypadła z pudła, musiał być Dawid Copperfield: turlał się z wielkimi kawałami przemoczonego kartonu w rękach – pudło zwyczajnie się pod nim rozleciało.

– Kufho! – darł się Copperfield, a siostra Edna pomyślała, że jego wada wymowy ma przynajmniej jedną zaletę: łagodzi wulgarne słowa.

– Proszę zamknąć drzwi – usłyszała za plecami głos doktora Larcha.

– Chciałam trochę przewietrzyć – powiedziała dobitnie.

– Naprawdę? A ja myślałem, że chodzi o zamrożenie nie narodzonych – zadrwił Wilbur Larch.

Może w przyszłości dojdzie i do tego – pomyślała siostra Edna. Kto wie, co przyszłość przyniesie?

Chociaż był grudzień, ponton, w którym Senior Worthington dryfował po domowym basenie, wciąż hulał z wiatrem od brzegu do brzegu, krusząc koronki lodu, które tworzyły się przy cembrowinie. Oliwia z Homerem spuścili jedną trzecią wody z basenu z myślą o deszczach i topniejącym śniegu.

Ponton Seniora, który tylko nieznacznie stracił na objętości pod wpływem niskiej temperatury, szarżował po basenie jak koń bez jeźdźca, galopując tam, gdzie go popędził wiatr. Oliwia codziennie patrzyła na ponton przez okno. Homer ciekaw był, kiedy Oliwia uzna, że pora coś z nim zrobić.

Candy wpadła do domu na któryś weekend i Homer znów miał problem, jak się wobec niej zachować. W piątek nic mu się nie udawało. Najpierw poszedł wcześniej na zajęcia z biologii, chciał bowiem poprosić pana Hooda o przydzielenie mu oddzielnego królika do sekcji albo o zmianę partnera przy stole laboratoryjnym, ponieważ osiłek Bucky był nie do zniesienia. Niszczył wnętrzności przy badaniu i wszystko mu się głupio kojarzyło z rozmnażaniem. Ostatnio, na przykład, uczepił się tematu parzystej pochwy torbaczy.

– Podwójna cipa, masz pojęcie? – mówił rozgorączkowany do Homera.

– Mam – odparł Homer spokojnie.

– Coś ty taki drętwy? Nie kapujesz? – emocjonował się Bucky. – Pomyśl tylko: jakbyś był chomikiem, mógłbyś dmuchać chomicę we dwóch z kumplem!

– Nie wiem, czybym chciał – powiedział Homer.

– Podwójna cipa! – zachwycił się Bucky. – Ty nie masz za grosz wyobraźni.

– Wątpię, czy jakiś chomik by się skusił na twoje pomysły – odparł cierpko Homer Wells.

– O to mi właśnie chodzi, ty głupku – powiedział Bucky. – Co za marnotrawstwo, dawać dwie cipy głupiemu chomikowi! Widziałeś kiedy, jak chomik lata po bębenu w klatce? To wariaty! Też byś zwariował, jakbyś wiedział, że dziewczyna twoich marzeń ma podwójną cipę i nie chce z niej korzystać!

– Dziewczyna moich marzeń... – zamyślił się Homer Wells.

Co do dziewczyny jego marzeń, wystarczającą niedorzecznością wydawało się Homerowi to, że kocha się w niej dwóch mężczyzn.

W ten piątek poszedł więc na zajęcia wcześniej, żeby poprosić albo o nowego królika do badania, albo o nowego partnera do współpracy na miejsce maniaka Bucky'ego.

Gdy dotarł do szkoły, trwała lekcja geografii. Po wyjściu uczniów z sali, wielkie mapy świata wisiały jeszcze, zasłaniając tablicę.



– Czy mógłbym chwilę pooglądać mapy, zanim się zacznie następna lekcja? – spytał Homer nauczyciela geografii. – Potem je zwinę i odniosę.

Został sam na sam z obrazem świata – widział go w całości po raz pierwszy, jakkolwiek w postaci nierealistycznie spłaszczonej. Odszukał na mapie stan Maine i przekonał się, jaki jest nieduży. Potem znalazł Południową Karolinę: wpatrywał się w nią długo, jakby czekał, aż na mapie ujawnią się okolice, z których pochodził Pan Rose i jego drużyna. Niemcy, o których tyle się ostatnio mówiło, łatwiej było znaleźć niż Maine. Zdumiało go, że Anglia jest taka mała: z lektury Charlesa Dickensa odniósł bowiem wrażenie czegoś znacznie większego.

Ocean oglądany z przystani Raya Kendalla zawsze wydawał się Homerowi ogromny – ale na mapie oceany świata były jeszcze o wiele większe, niż to sobie wyobrażał. Oczywiście, miejscowości St. Cloud's, która zajmowała tyle miejsca w życiu Homera, na mapie nie zaznaczono. Studiując mapę przez lupę nauczyciela geografii, Homer uświadomił sobie nagle, że za jego plecami zasiadła już w ławkach cała grupa biologiczna. Pan Hood przyglądał mu się z dziwną miną.

– Czego tam szukasz, Homerze? Swojego królika? – zagadnął pan Hood. Klasa uznała żart za niezmiernie zabawny, a Homer musiał pogodzić się z utratą szansy na pozbycie się Bucky'ego – przynajmniej tego dnia.

– Pomyśl tylko – szepnął mu Bucky pod koniec lekcji. – Gdyby Debra Pettigrew miała dwie cipy, mogłaby cię wpuścić przynajmniej do jednej. Nie chciałbyś?

Z tego wszystkiego przez całą piątkową randkę z Debrą Pettigrew Homer myślał o podwójnej pochwie. W Bath wyświetlali tego dnia film z Fredem Astaire'em, ale po pierwsze oznaczało to godzinę jazdy samochodem w jedną stronę, a po drugie – Homer Wells nie interesował się tańcem. Kilkakrotnie odmówił udziału w lekcjach tańca, na które uczęszczała Debra Pettigrew. Jeżeli Debra koniecznie chciała obejrzeć film z Fredem Astaire'em, to czemu nie poprosiła o towarzystwo kogoś z lekcji tańca? Na siedzenie na plaży albo w parku zrobiło się za zimno. Oliwia jak zwykle chętnie pożyczyła Homerowi furgonetkę. Mówiło się, że niedługo benzyna będzie na kartki. Wreszcie się skończy to głupie jeżdżenie – cieszył się w duchu Homer.

Zawiózł Debrę Pettigrew do zamkniętego wesołego miasteczka w Cape Kenneth. Wyłączony, nie oświetlony diabelski młyn wyglądał na tle księżyca jak szkielet pierwszej w świecie wyrzutni rakietowej – albo dinozaura. Homer opowiadał Debrze o mistrzowskich wyczynach nożowniczych Pana Rose, ona jednak dąsała się o Freda Astaire'a, więc przestał mówić, bo żał mu się zrobiło dobrej opowieści. Podjechali do również nieczynnego zimą kina dla zmotoryzowanych w Cape Kenneth.

Błądzili jak po śladach cudzego romansu – i to nie romansu z minionego lata, lecz z całkiem innej epoki.

– Nie rozumiem, co ty masz przeciwko tańcom – marudziła Debra.

– Ja też nie rozumiem – powiedział Homer Wells.

Nie było jeszcze późno, gdy odwiózł Debrę pod zimowy adres w Kenneth Corners. Domu strzegły znane mu groźne psiska, porośnięte teraz gęstszą sierścią; gdy ujadły, gorące oddechy zamarzały im na pyskach. Debra i Homer już kiedyś wymyślili, że można by zorganizować prywatkę w letnim domu rodziny Pettigrew nad Jeziorem Wody Pitnej. Pod warunkiem, że nie będą korzystać z ogrzewania i światła, żeby nikt w okolicy nie zaalarmował o włamaniu – ale i bez cywilizacyjnych udogodnień perspektywa „wolnej chaty” była kusząca. Ciekawe po co? – zastanawiał się Homer Wells. Był pewien, że i tak Debra Pettigrew nie pozwoli mu się do siebie dostać – żeby nawet miała dwie pochwy. Po nudnej piątkowej randce, w furgonetce, na której szybie od strony kierowcy zamarzały skroplone psie oddechy, nie było mowy o urządzaniu prywatki tego samego wieczoru.

– No to co robimy jutro? – westchnęła znudzona Debra.

Homer patrzył, jak pies próbuje ugryźć boczne lustro wozu.

– Zamierzałem odwiedzić Candy. Przyjechała na weekend – powiedział Homer.

– Nie odwiedziłem jej ani razu jesienią, a Wally prosił, żebym się nią opiekował.

– Umawiasz się z nią, jak nie ma Wally’ego? – zachnęła się Debra.

– Jasne – odparł krótko Homer Wells. Płaski przód furgonetki pozwalał psiskom atakować przednią szybę bez fatygi wspinania się na karoserię. Wielka psia łapa zaczepiła o wycieraczkę; coś trzasnęło; pióro wycieraczki skrzywiło się i przestało przylegać do szyby.

– Będziecie sami – stwierdziła oskarżycielsko Debra.

– Albo z jej ojcem – powiedział Homer.

– Akurat – prychnęła Debra Pettigrew, wysiadając z furgonetki. Odrobinę za długo trzymała drzwi uchylone. Psisko z tępym łbem dobermana rzuciło się w szczelinę i połową cielska zawisło nad fotelem pasażerskim, dysząc wściekle i tocząc pianę z pyska na skrzynię biegów. Debra szarpnęła zwierza za ucho i skowyczącego wyciągnęła z furgonetki.

– No to na razie – bąknął cicho Homer Wells, gdy drzwiczki zatrzasnęły się bezpiecznie, a on sam starł z dźwigni zmiany biegów spienioną psią ślinę.

Już parę razy przejeżdżał obok gospodarstwa Raya Kendalla, nie zauważył jednak żadnych oznak obecności Candy. Zwykle gdy przyjeżdżała do domu na

weekend, to pociągiem, a Ray w niedzielę odwoził ją do szkoły samochodem. Jutro do niej zadzwonię – będzie sobota – postanowił Homer.

Candy wyraziła chęć obejrzenia filmu z Fredem Astaire'em. Homer nie zgłosił obiekcji. „Od dawna chciałem go zobaczyć” – powiedział. Bath nie było w końcu daleko: o głupią godzinę jazdy samochodem.

Z mostu na rzece Kennebec ujrzeli kilka wielkich statków na morzu i kilka innych w suchym doku: stocznie Bath ciągnęły się kilometrami wzdłuż wybrzeża. Nawet w sobotę niósł się od nich rytmiczny, dźwięczny odgłos młotów i inne metaliczne odgłosy. Candy i Homer dotarli do Bath grubo przed projekcją. Chcieli poszukać włoskiej knajpki, o której opowiadał im Ray – jeżeli jeszcze istniała, bo Raymond Kendall nie bywał w Bath od wielu lat.

W roku 194- miasto to wydawało się – zwłaszcza przybyszowi – zdominowane przez stocznie, wielkie kadłuby statków, przy których hale dpków wyglądały jak zabawki, i most spinający brzegi rzeki Kennebec. Bath było miastem robotniczym, o czym się wkrótce miała przekonać Melony.

Znalazła pracę na zimę w stoczni, przy taśmie produkcyjnej, przy której pracowały same kobiety, jeśli nie liczyć paru kalekich mężczyzn. Stanowisko pracy Melony mieściło się na drugim piętrze fabryki części ruchomych. Częścią ruchomą, której Melony poświęciła pierwszy miesiąc pracy w fabryce, był sześciokątny element zębaty, trochę podobny do przekrojonej wzdłuż szynki. Melony nie wiedziała, na której taśmie montuje się drugą połowę szynki. Element zębaty podjeżdżał na taśmie pod stanowisko Melony i zatrzymywał się tam na równo czterdzieści pięć sekund, po czym odjeżdżał, a na jego miejsce przyjeżdżał nowy, identyczny. Zawias z boku elementu był wypełniony smarem; można było umazać palec aż po drugi staw. Melony miała za zadanie wpakować w każdy pełen smaru zawias sześć łożysk kulkowych, wpychając każde jak najgłębiej, aż słyhać będzie brzęk metalu o metal. Sześć łożysk mieściło się tam idealnie. Sztuka polegała na tym, żeby upaprać sobie smarem tylko jedną rękę, a drugą zachować czystą i suchą do podawania łożysk – łożyska kulkowe miały bowiem średnicę szklanych kulek do gry. Każde łożysko należało przed włożeniem sprawdzić (i to była druga część zadania Melony), czy jest idealnie okrągłe i gładkie: nie mogło mieć wgnieceń ani najmniejszych metalowych zadr. Mogło się zdarzyć, że jedno łożysko na dwieście miało jakąś wadę. Po skończonej dniówce zdawało się wszystkie wadliwe łożyska. Kto przez cały dzień nie trafił na wadliwe łożysko, dostawał reprimendę od brygadzysty, że nie sprawdza dość starannie.

Przy pracy można było stać albo siedzieć – Melony korzystała na zmianę z obu pozycji. Taśma biegła na takiej wysokości, że na siedząco było niewygodnie, a na stojąco nie lepiej. Różnica polegała tylko na tym, że plecy bolały w innym miejscu, gdy się stało, a w innym, gdy się siedziało. Melony nie tylko nie miała pojęcia, co kto robi i gdzie powstaje druga połowa jej elementu zębatego: nie wiedziała nawet, do czego ten element ma służyć. Fakt, że nie była ciekawa.

Po dwóch tygodniach rutyna weszła jej w krew: w dwadzieścia sześć do dwudziestu ośmiu sekund umieszczala łożyska w tulei, a dobranie idealnych łożysk nigdy nie zabierało jej więcej niż dziesięć sekund. Zawsze trzymała pod ręką garść zapasowych łożysk: kiedy siedziała – w podolku, a kiedy stała – w popielniczce (nie paliła papierosów); dzięki temu, jeśli łożysko wypadło jej z dłoni, mogła natychmiast sięgnąć po następne. Między jednym a drugim elementem zębatym miała dwanaście do czternastu sekund przerwy: mogła w tym czasie spojrzeć na osobę po swojej prawej stronie, przytknąć oczy i policzyć do trzech, a nieraz do pięciu. Zauważyła dwa systemy pracy przy taśmie: jedni robotnicy brali w rękę komplet sześciu łożysk natychmiast po załadowaniu poprzedniego; inni czekali z tym, aż następny element zębaty podjedzie do nich na taśmie. Melony w obu tych systemach dostrzegała wady.

– Są dziubaki i stojaki: dziubaki stale dziubią, stojaki stoją – podsumowała techniki pracy przy taśmie sąsiadka Melony.

– To ja się do żadnych nie zaliczam, bo ja robię i to, i to – powiedziała Melony.

– Lepiej się, kochana, zdecyduj; będzie ci lżej robić – poradziła jej sąsiadka. Na imię miała Doris. Była matką trojga dzieci. Z jednego profilu wyglądała całkiem ładnie, za to drugi był paskudnie zeszepeczony znamieniem, z którego wyrastały włoski. Każde dwanaście, czternaście sekund przerwy między elementami Doris poświęcała na papierosa.

Po drugiej stronie Melony pracował starszy mężczyzna na wózku inwalidzkim. Jego problem polegał na tym, że nie miał jak zbierać upuszczonych łożysk, które wpadały w fałdy koca okrywającego jego nogi albo w mechanizm wózka – więc grzechotał głośno, gdy w czasie przerwy śniadaniowej lub obiadowej odjeżdżał od stanowiska. Mężczyzna miał na imię Walter.

Trzy lub cztery razy dziennie Walter wznosił gniewny okrzyk:

– Szlag by trafił łożyska kulkowe!

Czasami ktoś się rozchorował i trzeba było przeorganizować linię produkcyjną: wówczas Melony nie zajmowała stanowiska między Walterem a Doris, tylko, na przykład, koło niewidomego Troya. Troy wyczuwał skazy w łożyskach, a dobre sztuki z

nadzwyczajną zręcznością umieszczał w gęstym, niewidzialnym dla niego, smarze. Był nieco starszy od Melony, ale od dawna pracował w stoczni: oczy stracił w wypadku przy spawaniu, za co stocznia obowiązana była zatrudniać go do końca życia.

– Dobrze, że chociaż mam być zapewniony – powtarzał Troy trzy lub cztery razy dziennie.

Zdarzało się też, że obok stanowiska Melony pracowała jej rówieśnica, Lorna, spryciara i zalotnica.

– Bywają gorsze zajęcia – rzekła kiedyś Lorna przy pracy.

– Na przykład? – zainteresowała się Melony.

– Dmuchanie buldogów – odparła bez namysłu Lorna.

– Na tym się nie znam – powiedziała Melony. – Pewnie każdy buldog jest inny.

– Taak? To dlaczego mężczyźni są wszyscy jednakowi? – parsknęła Lorna.

Melony doszła do wniosku, że lubi Lornę.

Lorna wyszła za mąż mając siedemnaście lat, „za starszego od siebie” – jak się wyraziła – ale nic z tego jakoś nie wyszło. On był mechanikiem samochodowym, lat Jakież dwadzieścia jeden. Ożenił się ze mną, bo byłam pierwszą dziewczyną, z którą spał” – opowiadała Lorna Melony.

Melony zrewanżowała jej się zwierzeniem, że ma chłopaka, ale „weszła między nas jedna bogata dziewczyna”. Lorna zgodziła się z Melony, że nie ma nic gorszego.

– Są tylko dwie możliwości – wywodziła Melony. – Albo on jej jeszcze nie przeleciał, bo mu nie dała, i wie, co traci, albo ją przeleciał – no i wie, co traci.

– Ha! No, racja – przyznała Lorna, która chyba lubiła Melony. – Mam kumpli. Chodzimy na pizzę i do kina, no wiesz.

Melony kiwnęła głową, że wie, chociaż nigdy żadnej z tych rzeczy nie robiła. Lorna była tak niesamowicie chuda, jak Melony była gruba; Lorna składała się z samych kości. Melony – z samego mięsa i tłuszczu; Lorna była bladą blondynką, a Melony śniadą brunetką; Lorna wyglądała jak chuchro i często kaszłała, a Melony była jeszcze silniejsza, niż na to wyglądała, i płuca miała jak miechy. A jednak obie czuły, że dobrały się w korcu maku.

Prosiły, żeby je ustawiono obok siebie przy taśmie produkcyjnej, ale prośba została odrzucona. Kierownictwo uważało, że przyjaźń, zwłaszcza rozgadana, przeszkadza w produkcji. Dlatego Melony mogła pracować obok Lorny, tylko kiedy ktoś zachorował i doraźnie reorganizowano linię. Na ogół musiała znosić głupie kazania Doris i grzechot pogubionych łożysk Waltera Na Kólkach, jak go tam wszyscy nazywali. Przymusowa separacja od Lorny w godzinach pracy tylko wzmocniła

przywiązanie Melony do nowej koleżanki. Przywiązanie to było wzajemne. W tę sobotę zgłosiły się razem do pracy po godzinach i całe popołudnie stały przy taśmie ramię w ramię.

Kiedy Candy z Homerem Wellsem przejechali przez most nad rzeką Kennebec, kierując się ku centrum Bath, Lorna wrzuciła łożysko kulkowe za dekolt roboczej bluzy Melony, żeby w umówiony sposób ściągnąć jej uwagę.

– W mieście wyświetlają dzisiaj film z Fredem Astaire’em – powiedziała Lorna, ciamkając gumę do żucia. – Chcesz zobaczyć?

Głosem, któremu brakowało wystudiowanej serdeczności doktora Larcha, pani Grogan usiłowała wykrzesać z wychowanek należytą reakcję na swoje oświadczenie:

– Cieszymy się razem z Mary Agnes Cork – deklamowała, nie bacząc na odgłosy pociągania nosem. – Mary Agnes Cork znalazła rodzinę. Dobranoc, Mary Agnes!

Odpowiedziały jej zduszone jęki, odgłos krztuszenia się w poduszkę i chórek donośnych szlochów.

– Cieszymy się z Mary Agnes Cork! – powtórzyła błagalnym tonem pani Grogan.

– Spierdalaj – odezwał się z ciemności dziewczęcy głos.

– Jak mi przykro słyszeć takie słowa – zmartwiła się pani Grogan. – Jak nam wszystkim przykro. Dobranoc, Mary Agnes! – zawołała dobitnie.

– Dobranoc, Mary Agnes – pisnęła któraś z najmłodszych wychowanek.

– Uważaj, Agnes! – wykrztusiła inna przez łyzy.

Tak, na litość boską, uważaj! – jęknęła w duchu pani Grogan i łyzy pociekły jej po policzkach. Uważaj, dziecko.

Larch zapewnił panią Grogan, że Mary Agnes trafiła do rodziny idealnej właśnie dla dużej dziewczynki. Wzięło ją młode małżeństwo trudniące się zakupem i sprzedażą antyków; oboje zbyt zajęci na opiekowanie się małym dzieckiem, za to pełni energii i pomysłów na spędzanie czasu z dzieckiem nieco starszym we wspólne weekendy i wieczory. Żona, podobno bardzo silnie związana ze swoją młodszą siostrą, „uwielbiała wprost panieńskie rozmowy” – z czego nie omieszkała się zwierzyć doktorowi Larchowi. (Jej ukochana młodszą siostrą poślubiła, zdaje się, obcokrajowca i przeniosła się za granicę.)

Poza tym, małżeństwo, które adoptowało Mary Agnes Cork, mieszkało w Bath, a Wilbur Larch miał sentyment do Bath: od lat prowadził zażyłą korespondencję z patologiem szpitala w Bath i stamtąd właśnie przyjechała do St. Cloud’s poczciwa

Klara. Sam adres w Bath był dla niego dostatecznym dowodem, że Mary Agnes Cork świetnie trafiła.

Ponieważ Mary Agnes była przywiązana do swojego imienia, przybrani rodzice pozwolili jej zatrzymać je – nie tylko Mary i Agnes, ale nawet Cork. Sami nazywali się Callahan – Cork, ich zdaniem, niezłe się komponował z Callahanem. Pani Grogan kombinacja ta wydała się ciut zanadto nowoczesna, lecz pocieszała ją myśl, że przynajmniej jedną osobę nazwała na całe życie.

Ted i Patty Callahan chcieli, żeby Mary Agnes Cork traktowała ich jak przyjaciół. Pierwszą oznaką przyjaźni z ich strony było zabranie Mary Agnes Cork na jej pierwszy w życiu film. Jako ludzie czynu, Callahanowie uznali, że kino wcale nie jest daleko i najlepiej będzie się tam przejść. Spacer okazał się długi. Po drodze Ted i Patty demonstrowali Mary Agnes Cork najważniejsze różnice między fokstrotem a walcem. Nie zważali na to, że w grudniu chodniki bywają śliskie: chcieli przygotować Mary Agnes na jej pierwsze spotkanie z olśniewającym Fredem Astaire'em.

Od rzeki Kennebec ciągnął wilgotny, zimny wiatr. Mary Agnes poczuła straszny ból w obojczyku. Momo to przyłączyła się do pary tancerzy. Nagle w obojczyku, w miejscu dawnej kontuzji, coś jej się jakby obluźowało, chrupnęło – i Mary Agnes Cork straciła czucie w ramieniu. Upadłaby na śliski chodnik, gdyby w ostatniej chwili nie przytrzymała się błotnika zielonej furgonetki. Patty otrzepała jej płaszcz. Przed budynkiem kina, w gasnącym świetle dnia, ludzie kupowali bilety. Na zasuwanych bocznych drzwiach furgonetki, o którą się oparła, Mary Agnes Cork ujrzała motyw jabłka, a na nim monogram: W.W., SADY z WIDOKIEM NA OCEAN. Znała ten emblemat: widziała go kiedyś na cadillacu, który przywiózł do St. Cloud's dodatkowe racje żywności. Pamiętała, że dzieciaki stały w kolejce, piękny chłopak rozdawał jedzenie, a piękna dziewczyna stała z boku z wyniosłą miną. Oni tu muszą być! – pomyślała Mary Agnes Cork. Ta piękna para, która wywiozła Homera Wellsa, musi tu być! Może i Homer z nimi jest? Mary Agnes zaczęła pilnie rozglądać się po twarzach.

Homerowi i Candy nie udało się znaleźć włoskiej knajpki, którą tak dobrze wspominał Ray. Znaleźli dwie czy trzy inne włoskie restauracje, w których serwowano pizzę, kanapki z *frutti di mare* i piwo – ale każdą okupował tłum stoczniowców; o wolnych miejscach nie było co marzyć. Candy i Homer zjedli po kawałku pizzy siedząc w furgonetce i z dużym zapasem czasu stanęli przed kasą do kina.

Homer Wells otworzył portfel – i wtedy dopiero uprzytomnił sobie, że jeszcze nigdy w życiu nie otwierał portfela na zimowym wietrze. Odwrócił się plecami do wichru, ale banknoty i tak łopotwały gwałtownie jak proporce na uwięzi. Candy

otoczyła portfel dłońmi, tak jak ochrania się płomień, który może zgasnąć – i dzięki temu złowiła kosmyk swoich własnych włosów łonowych, tak pieczołowicie przechowywany przez Homera w portfelu, a teraz wywiany stamtąd na mankiet jej płaszcza. Oboje wyciągnęli po niego ręce (przy okazji Homerowi upadł portfel), ale Candy okazała się szybsza. Nawet jeśli parę jedwabistych, jasnych włosków uciekło z wiatrem, to większość Candy pochwyciła w garść, jeszcze zanim Homer nakrył dłonią jej skuloną pięść.

Odsunęli się od budki z biletami, żeby nie blokować niedługiej kolejki wejścia do kina. Candy kurczowo zaciskała w garści lok własnych włosów łonowych, Homer zaś nie puszczał jej ręki, gdyż nie chciał, żeby rozwarła pięść i zobaczyła, co takiego w niej trzyma – nie widział po temu powodu. Candy i tak wiedziała, co trzyma: powiedziała jej o tym mina Homera, a poza tym poznała kosmyk.

– Chodźmy się przejść – szepnęła.

– Jasne – zgodził się Homer Wells, ale dalej wzięił rękę Candy. Odwrócili się plecami do kina i zaczęli schodzić w dół, ku rzece Kennebec. Candy stanęła nad wodą i oparła się o ramię Homera Wellsa.

– Może ty jesteś kolekcjonerem? – odezwała się głosem tylko odrobinę donośniejszym od szumu rzeki. – Zbierasz włosy łonowe? Miałaś świetne warunki do gromadzenia kolekcji.

– Nie – odparł krótko.

– Ale to są włosy łonowe, prawda? – upewniła się, walcząc o uwolnienie zaciśniętej pięści z jego dłoni. – I to moje, prawda?

– Tak – przyznał Homer Wells.

– Tylko moje? – pytała dalej Candy. – Innych nie trzymasz?

– Nie.

– Ale dlaczego? Tylko nie kłam.

Homer Wells jeszcze nigdy nie wymawiał słów „kocham cię”. Nie sądził, że tak trudno jest je wymówić. Niespodziewanie uczuł na sercu dziwny ciężar. Nagły skurcz potężnego mięśnia skojarzył mu się tylko z ostatnimi rewelacjami doktora Larcha. Przyczyną tego skurczu była miłość, lecz Homer uznał, że to zwężona zastawka tętnicza płucna daje o sobie znać. Puścił dłoń Candy i obiema rękami chwycił się za serce. Widział rozcinanie mostka nożycami chirurgicznymi; obserwował i przeprowadzał sekcje zwłok – ale jeszcze nigdy w życiu nie było mu tak ciężko i boleśnie oddychać.



Candy spojrzała w twarz Homera i, widząc jego minę, mimo woli obiema dłońmi pochwyciła go za ręce – z jej rozswartej pięści uleciał wtedy kosmyk jasnych włosów łonowych, a brutalny prąd powietrza porwał go w mrok za rzeką.

– Serce cię boli? – przestraszyła się Candy. – O Boże! Nie! Lepiej nic nie mów! Najlepiej w ogóle o tym nie myśl!

– Skąd wiesz o moim sercu? – spytał Homer.

– To ty też wiesz? – zdumiała się Candy. – Nic się nie martw! – rzuciła bojowe hasło.

– Kocham cię – wychrypiał Homer Wells, jakby to miały być jego ostatnie słowa.

– Tak, wiem, nie myśl o tym. O nic się nie martw. Ja też cię kocham.

– Ty mnie?

– Tak. I Wally’ego też – odparła Candy. – Kocham ciebie, a jednocześnie kocham Wally’ego. Ale nie przejmuj się, najlepiej w ogóle o tym nie myśl.

– Skąd wiesz o moim sercu? – powtórzył poprzednie pytanie Homer Wells.

– Wszyscy wiedzą. To znaczy Oliwia i Wally.

Słyszając to, Homer Wells upewnił się co do powagi sytuacji – było tak, jak podejrzewał po lekturze eufemistycznego listu Larcha. Poczul, że jego serce znów szaleje.

– Nie wolno ci myśleć o sercu, Homerze! – zaklinała Candy, tuląc Homera z całych sił. – Nie martw się o mnie ani o Wally’ego, ani o nic.

– No to o czym wolno mi myśleć? – spytał trzeźwo Homer Wells.

– Tylko o miłych rzeczach – odparła Candy. Nagle spojrzała mu w oczy i oświadczyła: – Nie mogę uwierzyć, że przechowywałeś moje włosy! Nie mam nic przeciwko temu – dodała pospiesznie, widząc zmarszczone brwi Homera. – Ja to rozumiem... wydaje mi się, że rozumiem. Tym też się nie przejmuj. Trochę to było dziwne, ale za to jakie romantyczne!

– Romantyczne – powtórzył jak echo Homer Wells. Trzymał w objęciach dziewczynę swoich marzeń – ale bał się poruszyć dłońmi; czuł, że coś więcej niż trzymanie Candy w objęciach jest najsurowiej zabronione przez wszystkie możliwe reguły. Wobec tego próbował zaakceptować ból serca, który doktor Larch nazwałby potocznym symptomem normalnego życia. Oto wiodę normalne życie – myślał sobie Homer, tuląc w ramionach Candy, a mgła i ciemność znad rzeki naciągały na nich oboje wilgotny, czarny koc.

Obojgu nagle odechciało się musicalu.

– Jeszcze będziemy mieli okazję zobaczyć, jak tańczy Fred Astaire – zauważyła filozoficznie Candy.

Podświadomie szukając bezpiecznego – czyli dobrze znanego – miejsca, wybrali przystań Raya Kendalla: tam, gdyby zmarzli na dworze, mogli się zawsze napić herbaty z ojcem Candy. Najpierw jednak odstawili furgonetkę do Heart's Haven. Nikt znajomy nie widział ich po drodze.

Na filmie z Fredem Astaire'em, Mary Agnes Cork zjadła za dużo prażonej kukurydzy. Jej adoptowani rodzice myśleli, że biedactwo nie może usiedzieć spokojnie, bo tak przeżywa swoje pierwsze kino. Tymczasem Mary Agnes Cork znacznie pilniej obserwowała widownię niż ekran: lustrowała każdą po kolei twarz, którą udało jej się wypatrzeć w ciemności. Szukała wśród nich tamtej ładnej pary – no i może Homera Wellsa. Zupełnie nie spodziewała się ujrzeć w tłumie tej twarzy, za którą tęskniła najbardziej w swoim ciasnym światku: na widok ciemnego, topornego profilu kontuzjowany obojczyk Mary Agnes przeszył tak straszliwy ból, że tutka z prażoną kukurydzą wypadła jej z rąk.

Melony górowała potężnie nad blond chucherkiem imieniem Lorna: siedziała rozparta w fotelu z miną nałogowego, cynicznego kinomana lub zawodowego krytyka, którego nic nie jest w stanie zadowolić – a przecież był to pierwszy film w jej życiu. Szarawe światło projektora wystarczyło Mary Agnes Cork do rozpoznania oprawczyni z dawnych lat, eks-królowej i postrachu oddziału dziewczęcego.

– Chyba już dość tego popcornu, kochanie – szepnęła Patty Callahan do Mary Agnes, kiedy ta zakrztusiła się ziarnem kukurydzy. Do końca seansu Mary Agnes nie spuściła z oka wyróżniającej się na widowni postaci: była święcie przekonana, że Melony potrafiłaby wyfroterować parkiet Fredem Astaire'em, złamać każdą kosteczkę w filigranowym ciele tancerza i przyprawić go o paraliż jednym wspólnie odtańczonym walcem.

– Widzisz tam kogoś znajomego, złotko? – zagadnął Mary Agnes Ted Callahan. Brak odpowiedzi złożył na karb zbyt długiego nafaszerowania Mary Agnes popcornem.

W hallu oświetlonym niezdrowym, neonowym blaskiem, Mary Agnes ruszyła ku Melony jak w transie, po dawnemu zahipnotyzowana jej nieodpartym autorytetem.

– Cześć – powiedziała.

– Do mnie mówiłaś, malutka? – spytała Lorna. Ale Mary Agnes uśmiechała się tylko do Melony.

– Cześć, to ja!

– Zwiłaś – było to bardziej stwierdzenie niż pytanie.

– Adoptowali mnie! – odparła Mary Agnes Cork. Ted i Patty trzymali się w pobliżu; widać było, że są trochę zdenerwowani i nie chcą przeszkadzać, ale zarazem boją się stracić z oczu Mary Agnes. – To jest Ted, a to Patty – przedstawiła ich Mary Agnes. – Moja przyjaciółka Melony.

Melony nie bardzo wiedziała, co począć z dłońmi, które się ku niej wyciągnęły. Zadziorne chuchro imieniem Lorna wytrzeszczyło oczy (potem jednego nie mogło zamknąć, bo gęsto nałożony tusz do rzęs przylepił otwartą powiekę do skóry).

– A to moja przyjaciółka Lorna – wydukała niezdarnie Melony.

Wszyscy powiedzieli wszystkim: „Cześć!” i nie bardzo wiedzieli, co dalej. Czego ta mała zołza chce ode mnie? – myślała Melony.

Jakby w odpowiedzi, Mary Agnes spytała ją:

– Gdzie Homer?

– Co? – zdziwiła się Melony.

– Homer Wells – powiedziała Mary Agnes. – On nie jest z tobą?

– Niby jak?

– No bo tamci ładni ludzie z samochodem... – plątała się Mary Agnes.

– Z jakim znów samochodem? – zniecierpliwiła się Melony.

– To nie był ten sam samochód, nie ten ładny, co wtedy, ale też miał jabłko na drzwiach. Ja tego jabłka nie zapomnę – wyrecytowała pospiesznie Mary Agnes.

Melony położyła wielkie łapy ma ramionach Mary Agnes; Mary Agnes poczuła, że wielka siła wgniata ją w podłogę.

– O czym ty gadasz? – spytała Melony dobitnie.

– Widziałam auto, stare, ale z jabłkiem na drzwiach – odpowiedziała Mary Agnes. – Więc pomyślałam sobie, że oni są w kinie, znaczy, tamci ładni – no i Homer też. A jak zobaczyłam ciebie, to już byłam pewna, że on tu gdzieś jest.

– Gdzie widziałas to auto? – spytała Melony, wgniatając mocarne kciuki w obojczyki Mary Agnes Cork. – Pokaż mi!

– Czy coś się stało? – Ted Callahan próbował zrozumieć sytuację.

– Nie pana sprawa – burknęła Melony.

Furgonetki już nie było. W wilgotnym chłodzie, stojąc na rozdeptanej brei chodnika, Melony zapatrzyła się w puste miejsce przy krawężniku i spytała po chwili:

– Jesteś pewna, że to było tamto jabłko? Z podwójnym „W” i z napisem „Sady Z Widokiem Na Ocean”?

– Tak – potwierdziła Mary Agnes. – Samochód był inny niż wtedy, taka stara furgonetka, ale to jabłko wszędzie bym poznała. Takich rzeczy się nie zapomina.

– Oj, przymknij się, dobra? – uciszyła ją znużonym tonem Melony. Stała na samym krawężniku, wzięła się pod boki i zaczęła poruszać nozdrzami, jakby węszyła trop – podobnie pies bada węchem powietrze, żeby sprawdzić, kto wtargnął niedawno na jego teren.

– Co jest? – zagadnęła ją Lorna. – Twój facet tu był, z tą bogatą cipą? Ted i Patty Callahan chcieli jak najprędzej zabrać Mary Agnes do domu, ale Melony jeszcze raz ich zatrzymała. Wyciągnęła z kieszeni ciasnych spodni szylkretową spinkę, którą kiedyś Mary Agnes podwędziła Candy, ale Melony zabrała dla siebie, i wręczyła ją Mary Agnes ze słowami:

– Weź ją sobie. Ty ukradłaś, jest twoja.

Mary Agnes zacisnęła spinkę w garści, dumna, jakby dostała medal za odwagę, za waleczność na jedynej arenie, którą szanowała Melony.

– Może się jeszcze spotkamy! – krzyknęła Mary Agnes za Melony, która oddalała się szybko, bo może Homer Wells był jeszcze gdzieś za najbliższym rogiem ulicy.

– Jakiego koloru była ta furgonetka? – zawołała z daleka Melony.

– Zielona! Może się jeszcze spotkamy? – odkrzyknęła Mary Agnes.

– Słyszeliście o Sadach Z Widokiem Na Ocean? – zawołała Melony pod adresem Callahanów. Nie słyszeli. Antykwariusze nie zajmują się jabłkami.

– Mogę cię jeszcze kiedyś zobaczyć? – nie ustępowała Mary Agnes Cork.

– Pracuję w stoczni – odpowiedziała jej wreszcie Melony. – Jak się czegoś dowiesz o Sadach Z Widokiem Na Ocean, możesz mnie tam szukać.

– Skąd wiesz, że to był on? – mówiła nieco później Lorna do Melony. Piły piwo. Melony nie odezwała się. – I skąd możesz wiedzieć, czy ta bogata cipa jeszcze z nim kręci?

Stały na brzegu zamglonej rzeki Kennebec, niedaleko hotelu robotniczego, w którym spała Lorna; butelki po piwie zamierzały, jak zwykle, cisnąć do rzeki. Melony, która miała wprawę w ciskaniu przedmiotów do rzeki, cały czas trzymała nos do góry, jakby węszyła pod wiatr – a minę miała tak czujną, jakby nic, nawet kosmyk włosów łonowych Candy, nie miało ujść jej uwagi.

W tej samej chwili Homer Wells też lokował coś w wodzie: plum! plum! – lądowały w falach ślimaki z pomostu Raya Kendalla, a morze cicho mlaskało przełykając je. Plum! Plum!

Candy i Homer siedzieli oparci plecami o dwa przeciwległe filary kończące pomost. Gdyby oboje wyprostowali nogi, zetknęliby się stopami, lecz Candy trzymała kolana lekko ugięte, w dobrze znanej Homerowi pozie kobiety na fotelu ginekologicznym.

– Już dobrze? – spytała Candy.

– Z czym? – nie zrozumiał Homer.

– Z twoim sercem.

A skąd on miał to wiedzieć?

– Chyba tak – odparł.

– Będzie dobrze – odezwała się po chwili Candy.

– Z czym będzie dobrze?

– Ze wszystkim – odparła Candy bez namysłu.

– Ze wszystkim... – powtórzył Homer Wells. – Więc to, że ja cię kocham – to dobrze? I to, że ty mnie kochasz, i Wally’ego też – to drugie dobrze, tak? Jasne.

– Czas pokaże – powiedziała Candy. – Tak jest ze wszystkim: czas pokaże.

– Jasne.

– Ja też nie wiem, co robić – wyznała bezradnie Candy.

– Trzeba robić to, co jest słuszne – rzekł Homer Wells. Wally chciał zrobić rzecz słuszną; doktor Larch też robił to, co uważał za słuszne. Trzeba tylko cierpliwie poczekać, co czas pokaże: słuszna sprawa zawsze, prędzej czy później, objawi się człowiekowi – musi tak być, prawda? A sierota przez całe życie nic innego nie robi, tylko czeka, co czas pokaże.

– Ja umiem cierpliwie czekać – powiedział Homer Wells.

Melony też umiała cierpliwie czekać. Ray Kendall w swoim okienku z widokiem na przystań – tak samo. Mechanik jest cierpliwy, bo musi umieć czekać, aż coś się popsuje, żeby on mógł to naprawić. Ray szacował odległość między stopami swojej córki i Homera Wellsa: nie była znaczna. Ray nieraz widział córkę na tym pomoście w ramionach Wally’ego i nieraz widział Candy i Wally’ego siedzących tak jak teraz Candy z Homerem, bez dotykania się stopami.

Dobre dzieciaki, cała trójka – myślał sobie Ray. Jako mechanik wiedział, że najlepiej się nie wtrącać, żeby nie popsuć. Jak się samo popsuje – wtedy on naprawi. Było mu żal wszystkich trojga.

– Mógłbym cię jutro odwieźć do szkoły – zaproponował Homer.

– Tata chce mnie odwieźć – odparła Candy. – To mu chyba sprawia przyjemność.

Oliwia Worthington spojrzała na zegar na nocnym stoliku i zgasiła lampkę: Homer nigdy nie wracał tak późno z randki z Debrą Pettigrew

– pomyślała. Oliwia doskonale rozumiała, jak pociągająca musi być dla Homera Candy Kendall; Oliwia szanowała też rzetelność Homera. Widziała, że Homer uczy się pilnie – i to w dodatku anatomii królika!

– niż Wally uczył się kiedykolwiek w swojej szkolnej karierze; poznała też Homera jako solidnego i życzliwego przyjaciela. Była na siebie wściekła. Przeżywała tę często doświadczaną przez rodziców sprzeczność uczuć: stała po stronie syna – chciała go ostrzec, wesprzeć – a zarazem myślała sobie, że Wally zasłużył na nauczkę. Tylko może nie na taką nauczkę – dodała w duchu.

– Dzięki Bogu, że wszyscy troje są tacy dobrzy! – powiedziała na głos. Własny głos w opustoszałym domu zdziwił ją i do końca wybił ze snu. Filizanka gorącej czekolady dobrze mi zrobi – uznała – a i Homer może się ze mną napić, jeżeli niedługo wróci do domu.

Wyjrzała przez kuchenne okno i zadrżała: w nasączonej księżycową poświatą nocnej mgłę ponton na basenie wyglądał jak widmo: przyłgął do cembrowiny, na wpół zatopiony, niczym własna poszarzała, zamazana fotografia. Oliwia poczuła się nieswojo i stwierdziła, że dość ma widoku pontonu za oknem. Włożyła boty i narzuciła na nocną koszulę długie, zimowe palto. Była zła, że na ganku wysiadło światło: zapaliły się tylko lampy na dnie basenu, dzięki którym Oliwia z pewnym zdziwieniem ujrzała, że woda w basenie ostatecznie zamarzała. To wyjaśniało nienaturalne przekrzywienie pontonu: zastygł w pułapce lodu niczym posąg, niczym statek w okowach kry. Ostrożnie, trzymając się mocno cembrowiny, Oliwia postukała w lód obcasem. Szarpnęła ponton, lecz on ani drgnął. Nie mogę wejść na lód, bo się załamie – oceniła sytuację Oliwia.

W tej właśnie chwili wrócił Homer. Oliwia usłyszała, jak podjeżdża furgonetką pod dom i zawołała go po imieniu.

– Co mam z nim zrobić? – spytał Homer, patrząc na ponton.

– Wyciągnij go stamtąd – odparła Oliwia.

– A potem?

– Wyrzucić – zdecydowała. – Ja ci tymczasem przygotuję kubek gorącej czekolady.

Homer zaczął mocować się z pontonem. Lód, który na pewno nie utrzymałby ciężaru człowieka, tratwę dzierżył mocno. Ale Homer wpadł na sprytny pomysł: wszedł do pontonu. Miał nadzieję, że w gumowych ścianach jest jeszcze dość

powietrza, żeby ponton nie zatonął, gdy tylko uwolni się z okowów. Klęcząc, Homer kołysał się w tył i w przód tak długo, aż usłyszał, że łód trzeszczy. Pokołysawszy się jeszcze chwilę, wyszedł na cembrowinę i wyciągnął za sobą ponton, oblepiony tafelkami lodu. Ponton był bardzo ciężki; Homer musiał wlec go po ziemi do pojemników na śmieci. Aby umieścić ponton w pojemniku, należało wypuścić z niego powietrze. Niestety, wentyl obrósł rdzą, a twarde, impregnowane płótno za nic nie chciało pęknąć, chociaż Homer skakał po nim obunóż przez dłuższą chwilę.

Udał się więc do ogrodowej szopy po sekator do cięcia żywopłotów. Cieńszym ostrzem przebił ścianę pontonu i szarpnął w górę: stęchłe, cuchnące gumą powietrze buchnęło mu prosto w twarz. Gdy powiększył otwór, wilgotny fetor owionął go całego – dziwnie ciepły, mimo nocnego mrozu, i dziwnie obrzydliwy: smród starych tramppek zostawionych na deszczu, ale nie tylko – także mdła woń rozkładu organicznego. Homer nie mógł się oprzeć skojarzeniu z rozciętym jelitem. Upchnął sflaczały ponton w pojemniku na śmieci i ruszył do domu, na obiecaną nagrodę w postaci kubka gorącej czekolady. Smród trzymał się jego rąk nawet po umyciu. Homer powąchał z bliska wnętrze dłoni: fetor wciąż się tam czaił – skądś znajomy. Dopiero teraz Homer przypomniał sobie, skąd go zna: taki zapach miały ręce po zdjęciu rękawic chirurgicznych.

– Jak się miewa Candy? – zagadnęła Oliwia.

– Doskonale – powiedział Homer Wells.

Popijali gorącą czekoladę. Jak matka z synem – pomyśleli oboje. A zarazem nie jak matka z synem – pomyśleli oboje.

– A ty, jak się miewasz? – spytała Oliwia po chwili milczenia.

– Doskonale – powiedział Homer Wells, myśląc: poczekam, co czas pokaże.

Wilbur Larch wdychał tymczasem eter i oglądał gwiazdy przemykające po suficie pokoju zabiegowego. On wiedział, jaki to luksus móc spokojnie czekać, co czas pokaże. Nawet jeżeli mnie nie zwolnią – myślał – to mogę wpaść. Każdy, kto przeprowadza nielegalne aborcje, musi uwzględnić rachunek prawdopodobieństwa. Za długo mi się udawało – myślał stary doktor. Jakie jest prawdopodobieństwo, że ktoś uderzy na alarm, nim dokonam swojego dzieła?

Nie dalej jak poprzedniego dnia zrobił sobie kolejnego wroga: była nim kobieta w ósmym miesiącu ciąży, upierająca się, że jest dopiero w czwartym. Musiał odmówić jej zabiegu. Wobec histeryczek przyjmował zwykle metodę przeczekania; gdy

potrzebne było kategoryczne podejście – posyłał do pacjentki siostrę Angelę. Siostra Edna specjalizowała się w trzymaniu operowanych za rękę. Gdy doktor uznał, że ciężarna zgłosiła się na zabieg za późno, i czuł się w obowiązku odmówić wykonania aborcji, potrafił zwykle przekonać taką kobietę, żeby została w St. Cloud's, gdzie on odbierze poród, a potem znajdzie dziecku dom – było to o wiele mniej ryzykowne niż późna aborcja.

Ale z tą kobietą nie poszło mu tak łatwo. Nie histeryzowała. Była tak przesiąknięta hodowaną latami nienawiścią, że sprawiała wrażenie wręcz błogo spokojnej.

– Więc nie zrobi pan tego – powiedziała.

– Przykro mi, ale nie – potwierdził Larch.

– Ile pan chce? Zdobęde każdą sumę.

– Każdy datek na sierociniec jest mile widziany – odparł Larch. – Ale jeżeli nie ma pani pieniędzy, to nic pani nie płaci. Ani za aborcję, ani za poród. Każdą sumę traktujemy jako darowiznę i za każdą jesteśmy wdzięczni. Jeżeli nie ma pani dokąd pójść, proszę zostać w szpitalu. Do rozwiązania zostało niewiele czasu.

– Do rzeczy: co mam zrobić? Przespać się z panem? Proszę bardzo.

– Proszę urodzić dziecko i pozwolić mi znaleźć dla niego dom – wytłumaczył jej spokojnie Wilbur Larch. – Nic więcej nie musi pani robić.

Uparta kobieta zignorowała propozycję. Z trudem powstała z nadmiernie wypchanego fotela w gabinecie siostry Angeli. Wzrok jej padł na przycisk do papierów: rolę tę pełnił obciążony wziernik. Pod tym oryginalnym przyciskiem na biurku Larcha spoczywał okazały stos kartek, których treści nigdy nie poznała większość rodzin adopcyjnych. Lecz ta uparta kobieta, która domagała się późnej aborcji, najwyraźniej wiedziała, co papiery zawierają: wpatrywała się w nie z taką miną, jakby na sam ich widok dostawała skurczy. Potem przeniosła wzrok za okno, w kierunku, w którym (jak podejrzewał Larch) zamierzała rzucić przyciskiem.

Podniosła z biurka obciążony wziernik i wycelowała go w Larcha jak rewolwer.

– Pożalujesz – syknęła.

Oszołomiony eterem Wilbur Larch znów widział przed sobą kobietę z wycelowanym wziernikiem. W jakich okolicznościach pożaluję? – zadał sobie pytanie.

– Przepraszam – wyrzekł głośno.

Siostra Edna, która akurat przechodziła korytarzem – która jak zawsze przechodziła korytarzem – odpowiedziała mu na to w duchu: Jesteś rozgrzeszony. Ja ciebie rozgrzeszam.



Przyszła niedziela – jak zwykle pochmurna. Film z Fredem Astaire’em, który poprzednio bawił mieszkańców Bath, wyświetlano w tym tygodniu w Orono, a studenci Uniwersytetu Maine z roku 194- nie byli jeszcze tak cyniczni, żeby nie mieli się na nim świetnie bawić. Popołudniowej projekcji nie przerwano dla ogłoszenia wiadomości, która obiegła już całą resztę świata. Pozwolono Fredowi Astaire’owi tańczyć do końca. Widzowie poznali nowinę dopiero po wyjściu z bezpiecznego mroku kina w resztki światła dziennego w centrum Orono.

Candy akurat jechała z powrotem do szkoły w Camden. Odwoził ją ojciec. Ray Kendall był dumny jak paw, że udało mu się zainstalować w chevrolecie radioodbiornik, który w dodatku działał lepiej niż standardowe radio samochodowe. Antenę też Ray sam zbudował. Dzięki temu Candy i jej ojciec należeli do tych obywateli Maine, którzy najwcześniej usłyszeli wiadomość. Dotarła do nich głośno i dobitnie.

Oliwia trzymała radio włączone przez cały dzień i jak wszyscy, którzy mają ten zwyczaj, dopiero za którymś kolejnym wysłuchaniem pojmowała sens płynących z odbiornika słów. Piekła właśnie szarlotkę i gotowała syrop jabłkowy na wolnym ogniu. Nie zwróciłaby uwagi na wiadomość, gdyby nie dziwnie przejęty głos spikera.

Homer Wells czytał *Dawida Copperfielda* w pokoju Wally’ego i rozmyślał o niebie – „...to niebo, które jest nade mną, kraina przyszłej tajemnicy, gdzie może pokocham ją miłością nie znaną na ziemi i opowiem jej, jaką straszną męką było kochać ją tutaj”. Ja bym wolał kochać Candy tutaj, na tej ziemi – pomyślał Homer Wells. W tej samej chwili usłyszał wołanie Oliwii:

– Homerze! Gdzie leży Pearl Harbor?

Homer Wells był najmniej właściwym adresatem tego pytania: widział świat w całości tylko raz, i to przez krótką chwilę, rozplaszczony na tle szkolnej tablicy. Z trudem odszukał na mapie Południową Karolinę. Co do Pearl Harbor – nie wiedział nie tylko, gdzie to jest, ale nawet, co to jest.

– Nie mam pojęcia! – odkrzyknął w stronę parteru.

– Japończycy właśnie zbombardowali Pearl Harbor!

– Jak to: samolotami? Z nieba?

– Oczywiście, że z nieba! – zawołała Oliwia. – Najlepiej zejść tu na dół i sam posłuchaj!

– Gdzie jest Pearl Harbor? – spytała Candy ojca.

– Cśśś – uciszył ją Ray. – Słuchajmy, może powiedzą.

– Jak mógł im się udać ten atak? – dziwiła się Candy.

– Ktoś zawałił robotę – odparł krótko Ray.

Pierwsze doniesienia były pełne nieścisłości. Padła wzmianka o ataku – może nawet inwazji – na Kalifornię. Wielu słuchaczy wyciągnęło stąd mylny wniosek, że Pearl Harbor leży w Kalifornii.

– Gdzie są Hawaje? – spytała pani Grogan. Personel sierocińca zasiadł przy herbacie i ciasteczkach. Włączyli radio, żeby posłuchać muzyki, i w ten sposób dotarła do nich wiadomość.

– Hawaje leżą na Pacyfiku – rzekł Wilbur Larch.

– Całe szczęście, bo to bardzo daleko – odetchnęła siostra Edna.

– Niestety, o wiele za blisko – poprawił ją doktor Larch.

– Będzie nowa wojna, prawda? – upewniła się siostra Angela.

– Chyba już się zaczęła – powiedział Wilbur Larch.

W tym czasie Wally, dla którego ta wojna miała znaczyć najwięcej, oglądał na ekranie Freda Astaire'a. Fred tańczył i tańczył, a Wally patrzył oczarowany i myślał, że mógłby godzinami oglądać takie popisy gracji i sprawności.

Melony z Lorną słuchały radia w świetlicy hotelu robotniczego, w którym mieszkała Lorna. Był to hotel żeński: mieszkały w nim kobiety w podeszłym wieku albo te, które – jak Lorna – świeżo rozstały się z małżonkami. W to niedzielne popołudnie radia słuchały głównie te starsze.

– Powinniśmy zbombardować Japonię – wyraziła opinię Melony. – Nie patyczkować się z nimi, tylko wysadzić cały kraj w powietrze.

– Wiecie, dlaczego Japończycy mają skośne oczy? – zapytała Lorna. Melony i podstarzałe słuchaczki radia spojrzały na nią, ciekawe odpowiedzi. – Bo się bez przerwy onanizują. I chłopcy, i baby. Bez przerwy.

Cisza, która zapadła, była skutkiem szoku lub grzeczności. W przypadku Melony – grzeczności.

– To dowcip? – spytała bardzo uprzejmie Melony.

– Jasne, że dowcip! – zachichotała Lorna.

– No to ja nie kapuję – wyznała Melony.

– Powiem ci jeszcze raz: Dlaczego Japończycy mają skośne oczy? Bo się bez przerwy onanizują! – Lorna zrobiła wyczekującą pauzę.

– No tak, to już mówiłaś – wzruszyła ramionami Melony.

– No i za każdym orgazmem zamykają oczy! – tłumaczyła Lorna. – W końcu im się męczą od tego ciągłego zamykania i otwierania i już nie chcą się całkiem otwierać! Teraz kapujesz? – spytała Lorna, bardzo z siebie zadowolona.

Melony, która wciąż wstydziła się połamanych zębów, odpowiedziała uśmiechem ze ściągniętymi wargami. Trudno było orzec, czego się bardziej przestraszyły starsze kobiety zgromadzone w świetlicy hotelu robotniczego: wiadomości o ataku na Pearl Harbor, czy Lorny i Melony.

Młody Wally Worthington, który marzył o roli bohatera, na wieść o Pearl Harbor zatańczył na ulicy Orono. Prezydent Roosevelt nazwał ten dzień „dniem hańby” – ale dla Wally’ego, który miał serce szlachetne, żadne przygód i marzeń o lataniu na ciężkim, czterosilnikowym bombowcu typu B-24 „Wybawca”, używanym do niszczenia mostów, rafinerii ropy, składów paliwa i torów kolejowych, nie był to dzień hańby. Wally Worthington czuł, że gdzieś czeka na niego B-24 „Wybawca” – bombowiec, na którym on, Wally, nauczy się latać.

Ludzie w Heart’s Haven i w Heart’s Rock powiadali, że Wally ma wszystko: pieniądze, urodę, dobre serce, wdzięk i dziewczynę jak z bajki. Wally miał poza tym jeszcze odwagę i znaczne rezerwy najbardziej niebezpiecznych atrybutów młodości: optymizmu i energii. Gotów był podjąć każde ryzyko, byleby tylko móc uczyć się pilotowania samolotu z bombą na pokładzie.

Wally wstąpił do Korpusu Powietrznego jeszcze przed Bożym Narodzeniem, ale pozwolono mu spędzić święta w domu. Szkolenie Wally’ego w ponurej sztuce walki powietrznej miało trwać ponad rok.

– Do tego czasu wojna pewnie się skończy. Ja zawsze mam pecha – żalił się Wally Oliwii i Candy w kuchni Sadów Z Widokiem Na Ocean.

– Pecha? To by znaczyło, że masz wielkie szczęście – powiedziała Oliwia, a Candy potwierdziła jej słowa skinieniem głowy.

– Jasne! – dorzucił z pokoju Homer Wells. Gnębiło go zwolnienie z komisji wojskowej: wystarczyło zaświadczenie doktora Larcha o wadzie serca. Na komisję wzywano tylko kategorię A. Homer Wells miał kategorię D. Lekarz domowy stwierdził u niego wrodzone zwężenie zastawki tętniczej płucnej. „Lekarzem domowym” Homera był doktor Larch. List doktora wystarczył okręgowej komisji lekarskiej do uznania Homera niezdolnym do służby wojskowej. Larch był członkiem wspomnianej komisji.

– Oświadczyłem jej się, ale powiedziała nie – zwierzył się Wally Homerowi w zaciszu wspólnego pokoju. – Powiedziała, że na mnie poczeka, ale teraz za mnie nie wyjdzie, bo chce być moją żoną, a nie wdową po mnie.

– Czy na tym właśnie ma polegać czekanie, co czas pokaże? – spytał nazajutrz Homer pannę Candy.

– Tak – odpowiedziała. – Od lat byłam pewna, że wyjdę za Wally’go. Ty pojawiłeś się jako drugi. Muszę poczekać i przekonać się, co dla mnie znaczysz. A teraz jeszcze ta wojna: też można tylko czekać, co czas pokaże.

– Jednak coś mu obiecałaś – powiedział Homer Wells.

– Owszem – potwierdziła Candy. – Przecież obiecać to tak jakby powiedzieć: zobaczymy, co czas pokaże. Czy nie zdarzyło ci się nigdy obiecać czegoś w najlepszej wierze, a potem nie dotrzymać słowa? – Na to pytanie Homer Wells zadrżał mimo woli, jakby usłyszał hasło „Słoneczko”.

Jeden Raymond Kendall starał się rozruszać towarzystwo przy świątecznym stole.

– Ja tam bym wolał łodzie podwodne – oznajmił.

– Skończyłbyś jako pokarm dla homarów – powiedział Wally.

– No i sprawiedliwie – odparł Ray. – One od tylu lat są moim pokarmem.

– Samolot daje większą szansę przeżycia – zauważył Wally.

– Właśnie: szansę – podchwyciła Candy. – Nie rozumiem, po co pchasz się tam, gdzie można liczyć najwyżej na szansę przeżycia.

– Bardzo dobre pytanie – wtrąciła Oliwia z wyraźną irytacją i tak głośno odłożyła srebrny widelec do nakładania mięs, że nawet gęś na półmisku się wzdrygnęła.

– Szansa przetrwania to nie tak mało – odezwał się Homer Wells, tonem dziwnym nawet dla siebie samego. – Wszyscy mamy najwyżej szansę przetrwania; czy w powietrzu, czy pod wodą, czy tutaj. Tak jest z każdym, od chwili gdy przychodzimy na świat.

Albo nie przychodzimy – dodał w duchu i wreszcie poznał dziwny ton we własnym głosie: był to ton doktora Larcha.

– To dość ponura filozofia – zauważyła Oliwia.

– Myślałem, że studiujesz anatomię – zażartował Wally, na co Homer zerknął na Candy, a Candy odwróciła wzrok.

Na styczeń Wally’ego wysłali do Fortu Meade w stanie Maryland. Pisywał stamtąd regularnie – i do Homera, i do Candy, nawet do Raya – ale niczego w listach nie wyjaśniał: jeśli szkolenie w ogóle miało jakiś plan, to Wally albo go nie znał, albo nie umiał przekazać. W nudnych szczegółach donosił za to o sprawach, które go absorbowały tuż przed napisaniem listu: o tym, że wpadł na pomysł zawieszenia u

pryczy saszetki, w której pasta do butów byłaby oddzielona od pasty do zębów, albo o konkursie na nazwę samolotu, który zdominował życie intelektualne Kompanii A. W innym znów liście zachwycał się, że kucharz w stopniu sierżanta nauczył go więcej limeryków niż Senior pamiętał ich pod koniec życia. Potem już w każdym liście, bez względu na adresata, zamieszczał limeryk: Rayowi wierszyki się podobały, Homerowi też, ale Candy czytała je ze złością, a Oliwia z niepokojem. Początkowo Candy i Homer pokazywali sobie nawzajem limeryki od Wally'ego, lecz wkrótce Homer zorientował się, że to tylko potęguje irytację Candy: dla niej Wally wybierał wierszyki znacznie subtelniejsze od tych, które przysyłał Homerowi. Oto przykład limeryku dla Candy:

Jest w Exeter taka ładna panienka,  
Że kto widzi ją – zaraz przykłęka.  
Jeden wręcz jej się kłania  
Narzędziem pożądania,  
Bo z zachwytu ten amant wprost pęka.

A oto, co dostał w liście Homer Wells:

Pewna panna imieniem Wieruszka  
Cipkę ma jak puchowa poduszka,  
Aksamitną i śliczną,  
Przy tym tak akustyczną,  
Że chłop słyszy, kiedy się spuszcza.

Rayowi przysłał Wally wierszyk w podobnym stylu:

Jest w Toronto pewna świętoszka,  
Niedostępna ponoć i gorzka,  
Ale jak już się uda  
Wedrzeć między jej uda,  
Prohibicji nie znajdziesz za grosz tam.

Bóg jeden wie, jakie limeryki przysyłał Wally w listach Oliwii. I skąd on bierze te przywoitsze? – zastanawiał się Homer, gdy wieczorem po wyjeździe Wally’ego do wojska i Candy do szkoły leżał na łóżku i wsłuchiwał się w swoje serce. Żałował, że nie wie, czego powinien nasłuchiwać.

Wally’ego przeniesiono do St. Louis – Koszary Jeffersona, Lot 17, 28 Eskadra Szkoleniowa. Korpus Sił Powietrznych był, zdaniem Homera, trochę podobny do *Anatomii* Graya: czuło się, że przyświeca mu ta sama niezłomna wiara w porządek płynący z klasyfikacji i terminologii. Homerowi odpowiadała taka filozofia: wydawało mu się, że dzięki starannej klasyfikacji Wally jest w wojsku bezpieczniejszy. Niestety, nie potrafił przekonać o tym Candy.

– W tej chwili jest bezpieczny, za chwilę może nie być – wzruszała ramionami Candy.

„Opiekuj się Homerem, opiekuj się jego sercem” – pouczał ją w liście Wally.

„A kto się zaopiekuje moim sercem?” – odpisała mu. „Owszem, złość mi jeszcze nie przeszła” – dodała, chociaż Wally wcale jej o to nie pytał.

Lecz złość nie osłabiła jej lojalności: zgodnie z daną obietnicą Candy cierpliwie czekała, co czas pokaże. Homera całowała na powitanie i pożegnanie, ale nie prowokowała jego awansów.

– Z Homerem tylko się przyjaźnimy – powiedziała ojcu, chociaż o nic jej nie pytał.

– Widzę, widzę – odparł Ray.

Tej zimy praca w sadzie była lekka: głównie przycinanie gałęzi. Pracownicy na zmianę uczyli Homera tej sztuki.

– Najgrubsze obcina się przy temperaturze tuż powyżej zera – objaśniał Meany Hyde.

– Drzewo mniej krwawi jak jest zimno – ujął rzecz po swojemu Vernon Lynch.

– W niskiej temperaturze spada prawdopodobieństwo infekcji – tłumaczył Herb Fowler, który o tej porze roku mniej szalał z prezerwatywami, może dlatego, że musiałby zdejmować rękawiczki, żeby się do nich dostać. Ale chyba nie tylko: Homer wyraźnie wyczuwał pewną wstrzeźliwość Herba Fowlera od dnia, w którym zagadnął go o dziurki w kondomach.

– Dziurawe? – zdumiał się wówczas nieszczercze. – Pewnie wada fabryczna.

Jednak w jakiś czas potem przyszedł sam do Homera i szepnął mu na ucho:

– Nie wszystkie są dziurawe.

– Masz jakiś system? – spytał Homer. – Umiesz odróżnić dziurawy od dobrego?

– Skąd, nie mam żadnego systemu – zachnął się Herb Fowler. – Jedne mają dziury, drugie nie. Wada fabryczna.

– Jasne – powiedział Homer Wells. Ale odtąd kondomy Herba rzadko fruwały w jego stronę.

Florencja, żona Meany’ego Hyde’a, znów była w ciąży. Przez całą zimę Big Dot Taft i Irena Titcomb miały temat do żarcików: potencja Meany’ego.

– Meany, ty się lepiej trzymaj z dala ode mnie – mówiła Big Dot. – Nie dam ci nawet łyknąć kawy ze swojego kubka. Wystarczy, że chuchniesz na babę – a jej zaraz brzuch rośnie.

– No właśnie, tak ze mną było! – dopowiadała Florencja, a Big Dot Taft zataczała się ze śmiechu.

– Ani się waż dawać naszym chłopom lekcji oddychania, Meany! – ostrzegła Hyde’a Irena Titcomb.

– Meany’emu starczy pocałować babę w ucho, i już gotowa! – pyszniła się Florencja Hyde.

– Dajcie nauszniki! Albo czapkę narciarską! – pisnęła Łatwizna Tobey.

– Trzeba nabrać kondomów od Herba! – obwieściła Irena Titcomb.

Lepiej nie – pomyślał Homer Wells. Florencji brzuch rośnie zapewne przez ten właśnie środek zapobiegawczy. Homer przyglądał się Florencji Hyde z zaciekawieniem: pierwszy raz w życiu widział kobietę radującą się ciążą. Aż Big Dot Taft się z niego śmiała:

– Coś ty, Homer? Pierwszy raz widzisz babę w ciąży?

– Tak – bąknął Homer i odwrócił wzrok. Wtedy napotkał spojrzenie Grace Lynch i musiał jeszcze dalej uciekać oczami.

– Jakbym ja miał tyle lat co ty – powiedział Homerowi Vernon Lynch, gdy we dwóch strzygli sad Kurkowe Wzgórze – tobym wstąpił do wojska. Tak jak Wally.

– Nie mogę – odparł Homer Wells.

– Bo co? Sierot nie biorą?

– Mam wadę serca – wyjaśnił mu Homer. – Wrodzoną.

Vernon Lynch nie zaliczał się do plotkarzy, a jednak już nazajutrz cała załoga Sadów Z Widokiem Na Ocean nie tylko darowała mu, że się nie zgłosił do wojska, ale zaczęła mu okazywać wielką troskę. Traktowali go odtąd tak, jak w mniemaniu doktora Larcha Homer Wells powinien być traktowany.

– To nie były żadne aluzje – zapewnił go Herb Fowler. – To, co mówiłem o wadach fabrycznych, i tak dalej. Jakbym wiedział o twoim sercu, wcale bym nie mówił.

– Nie szkodzi – uśmiechnął się Homer.

Gdy zaś przyszła wiosna i pora naprawiania pszczelich uli, Ira Titcomb, widząc, jak Homer mocuje się z wyjątkowo ciężką ścianką, przyskoczył doń z krzykiem:

– Chryste Panie, co ty robisz! To za ciężkie dla ciebie!

– Dam radę, Ira. Jestem silniejszy od ciebie – odparł Homer, nieco zdziwiony, bo w pierwszej chwili nie pojął, o co tamtemu chodzi.

– Silny jesteś, ale serce podobno masz słabe – powiedział Ira.

W Święto Matki Vernon Lynch nauczył Homera, jak obsługiwać opylarkę. Uparł się dać mu oddzielną lekcję o stosowaniu maski do oddychania.

– Pamiętaj, żebyś to zawsze wkładał, i dobrze czyścić filtr. Ty przede wszystkim musisz o to dbać – pouczał.

– Ja przede wszystkim – powtórzył jak echo Homer Wells.

Nawet Debra Pettigrew wybaczała mu trudną do zdefiniowania zażyłość z Candy. Gdy zrobiło się cieplej, Debra i Homer zaczęli po dawnemu wyjeżdżać na randki. Któregoś wieczoru zakradli się nawet do pustego letniego domu rodziny Pettigrew nad Jeziorem Wody Pitnej na większe całowanie. Chłodna woń opuszczonego domostwa przypomniawszy Homerowi pierwsze dni w tłoczni win. Kiedy pocałunki Homera słabły, Debra wyraźnie zaczynała się niecierpliwieć; gdy z kolei całował zbyt namiętnie, besztła go: „Uważaj! Nie podniecaj się za bardzo”. Tylko nadzwyczajna, wrodzona dobroduszość powstrzymała Homera przed szczerym oświadczeniem, że w tych granicach, w których Debra pozwala mu działać, jego serce absolutnie nie jest narażone na szwank.

Przyszła wiosna. Wally’ego przenieśli do Kelly Field w San Antonio, Teksas, na szkolenie kadetów lotnictwa (Eskadra 2, Lot C). Melony zaś uznała, że pora ruszać w dalszą drogę.

– Zwariowałaś – powiedziała jej Lorna. – Im dłużej trwa wojna, tym więcej dobrej roboty dla nas. Kraj potrzebuje nowych urządzeń; jabłek ma dosyć.

– Gównu mnie obchodzi, czego kraj potrzebuje – odparła na to Melony. – Szukam Homera Wellsa, i znajdę go.

– A zimą znów się spotkamy? – spytała przyjaciółkę Lorna.

– Jak nie znajdę Sadów Z Widokiem Na Ocean albo Homera Wellsa, to tak.



– No to do zobaczenia zimą – zaśmiała się Lorna. – Dajesz się chłopu owijać wokół palca.

– Wprost przeciwnie: tego jednego mu nie daję.

Palto pani Grogan bez wątpienia pamiętało lepsze czasy, za to tobolek z dobytkiem spięty pasem Charleya znacznie się rozrósł. Za pieniądze zarobione w stoczni Melony sprawiła sobie solidny strój roboczy, a przede wszystkim parę porządnych butów. Lorna ofiarowała jej prezent na pożegnanie.

– Dawniej robiłam na drutach – powiedziała, wręczając Melony dziecięcą wełnianą rękawiczkę z jednym palcem (na lewą rękę). Rękawiczka była za mała na Melony, ale miała ładny kolorowy wzorek. – Zrobiłam ją dla dziecka, którego w końcu nie miałam, bo za krótko byłam mężatką. Prawej nie chciało mi się kończyć.

Melony bez słowa patrzyła na rękawiczkę i ważyła ją w dłoni: rękawiczka była zadziwiająco ciężka – okazało się, że wypełniają ją łożyska kulkowe, podwędzone przez Lornę z fabryki stoczni.

– To superbroń – powiedziała Lorna. – Na wypadek gdybyś spotkała gdzieś po drodze jeszcze większego szajbusa od siebie.

Melony bardzo się wzruszyła podarkiem. Łzy stanęły jej w oczach. Przyjaciółki uściskały się na pożegnanie. Melony nie poszła się pożegnać z Mary Agnes Cork, która zrobiłaby wszystko, żeby zasłużyć na jej dobre słowo: kolegów w szkole i buszujących w antykach klientów sklepu Teda i Patty Callahan wypytywała o sad zwany Z Widokiem Na Ocean. Gdyby wiedziała, że może za to kupić przyjaźń Melony, wypytywałaby tak do końca swojego życia. Wkrótce po odejściu Melony, Lorna zaczęła bardzo tęsknić za przyjaciółką; uświadomiła sobie, że i ona wypytuje na wszystkie strony o Sady Z Widokiem Na Ocean – był to, na równi z włóczkową maczugą, dowód jej lojalności wobec Melony.

W ten sposób już trzy osoby poszukiwały Homera Wellsa.

Latem Wally'ego przenieśli z San Antonio do Coleman, też w Teksasie. „Mam nadzieję, że ktoś wypowie Teksasowi wojnę” – napisał Wally w liście do Homera. „Byłoby to przynajmniej częściowe usprawiedliwienie naszego tu pobytu.” Dodał, że i on sam, i wszyscy koledzy pilotują maszyny w samych slipach i skarpetkach, bo w tamtejszym morderczym upale nie sposób wytrzymać w żadnym ubraniu.

– Czy on myśli, że jedzie na wakacje? – skarżyła się Homerowi Candy. – Klimat mu nie odpowiada? Przecież on idzie na wojnę!

Homer siedział naprzeciw niej, na pomoście przystani Raya Kendalla. Jak zwykle w trakcie ich rozmowy ubywało ślimaków z molo.

W chłodnej sali z betonową posadzką, w liceum Cape Kenneth, Homer często rozwijał mapę świata. Latem nie było tam nikogo oprócz woźnego, którego wiedza geograficzna nie przewyższała wiedzy Homera. Samotne wakacje tego roku Homer poświęcił w znacznej mierze studiowaniu miejsc, w które, jak przypuszczał, może niebawem trafić Wally.

Pewnego razu zaskoczył go nad mapą pan Hood. Może zatęsknił za szkołą, a może musiał pofatygować się, żeby jeszcze w czasie wakacji złożyć zamówienie na nowe króliki do laboratorium.

– Pewnie się zaciągniesz? – zagadnął Homera.

– Nie, proszę pana. Cierpię na wadę serca. Zwężenie zastawki tętniczej płucnej.

Pan Hood zapatrzył się na chwilę w pierś Homera. Homer wiedział, że talent obserwacyjny profesora (i to niezbyt wielki) ogranicza się wyłącznie do królików.

– Miałeś szmery w sercu? Od urodzenia? – spytał pan Hood.

– Tak, proszę pana.

– I nadal masz szmery w sercu?

– Nie, teraz już nie – odparł Homer.

– W takim razie to nic strasznego – zapewnił go pan Hood.

Ale dlaczego Homer Wells miałby polegać na autorytecie pana Hooda, który nie umiał zapamiętać, który ssak ma jaką macicę, i nie odróżniał królika od owcy?

Nawet pracownicy sezonowi byli w tym roku inni: albo starsi, albo młodszy od ubiegłorocznych. Wszyscy mężczyźni w sile wieku – z wyjątkiem Pana Rose – trafili do wojska.

– Słaby mamy w tym roku urodzaj na zbieraczy – powiedział Pan Rose do Oliwii. – Zbyt wielu głupków uznało, że wojna jest ciekawsza od zrywania jabłek.

– Wiem coś o tym – westchnęła Oliwia.

Wśród sezonowych przyjechała tym razem kobieta, na którą Pan Rose mówił Mama, chociaż była za młoda na matkę któregokolwiek z robotników. Z Panem Rose łączyły ją niewiątliwie szczególne więzy, co Homer poznał po tym, że kobieta pracowała, jak chciała: zrywała jabłka, kiedy jej się spodobało albo kiedy Pan Rose grzecznie o to poprosił; czasami coś ugotowała – ale nie co wieczór i nie dla wszystkich. Niekiedy nocą siadywała nawet z chłopami na dachu – ale nigdy bez Pana Rose. Wysoka, ciężkiej postury, poruszała się z wystudiowaną powolnością, bardzo

podobnie do Pana Rose – jej ruchy były jak kopie jego ruchów. Na twarzy stale miała uśmiech – ani do końca wesoły, ani całkiem drwiący – kopię uśmiechu Pana Rose.

Homer zdziwił się, że nie zadbano o jej miejsce do spania: zajęła łóżko obok Pana Rose, lecz obu łóżek nie odgradzono od reszty sali parawanem, ani w żaden inny sposób nie uszanowano prawa tych dwojga do intymności. Zapanował tylko pewien nowy obyczaj: co jakiś czas, przejeżdżając mimo tłoczni, Homer widział, że wszyscy oprócz Pana Rose i jego kobiety stoją przed barakiem albo siedzą na dachu. Widocznie wtedy mieli czas dla siebie, wyznaczony przez Pana Rose z taką samą przytomnością i precyzją, z jaką planował on wszelkie działania.

Z końcem lata wprowadzono zaciemnienie wybrzeża: skończyły się nocne spektakle z diabelskim młynem, zgasły też wszystkie inne magiczne światła, którym można było nadawać imiona – lecz nakaz zaciemnienia nie przegnał sezonowych z dachu. Siedzieli tam po ciemku, wpatrzeni w noc, a Pan Rose opowiadał:

– Byłem tam. Jest wyższe niż ten dach i jaśniejsze od wszystkich gwiazd, nawet gdyby je spędzić razem. Kręci się z góry na dół, z dołu w górę, i z powrotem.

Wysoka, ociężała kobieta opierała się o ramię Pana Rose; głowy wyłaniające się ponad szczyt dachu kiwały potakująco.

– Teraz w morzu, pod wodą, są rozmaite świństwa – prawil dalej Pan Rose. – Bomby. Podwodne działa. Te świństwa wyczuwają światło; światło przyciąga bomby – tak jak magnes metal. To się dzieje automatycznie.

Broń nie ma spustów. Pełna automatyzacja. Ale ludzie są – dodał Pan Rose. – Sprawują nadzór, patrzą, czy wszystko działa jak należy.

– Ludzie? Pod oceanem? – zdziwił się któryś słuchacz.

– Tak jest – odparł Pan Rose. – Kupa ludzi. Strasznie mądrych. Mają takie coś, przez co widzą, co się dzieje nad wodą.

– Na brzegu? – spytał zdumiony głos.

– Jasne – odparł Pan Rose. – Wszędzie człowieka zobaczą.

Szmer zbiorowego westchnienia upodobnił publikę na dachu do widowni koncertu między jednym a drugim utworem. W sypialni Wally’ego Homer Wells zastanawiał się nad światem, który podlega jednocześnie siłom doskonalenia i destrukcji.

Nic w tym nadzwyczajnego – zapewniłby go doktor Larch. W St. Cloud’s wojna niewiele zmieniła: ludzie zżymali się, że cukier jest na kartki, sarkali na wady systemu racjonowania żywności – i tyle. (Podobnie tak zwany „wielki kryzys” nie zrobił u nas wielkiej kariery – myślał Wilbur Larch.)

Tu jest sierociniec; my nigdy nie dajemy więcej ani mniej; my się nie zmieniamy; chyba że nas zmienią – dodał gorzko w duchu. W chwilach gdy był bliski rozpacz, po przedawkowaniu eteru, gdy własna starość zdawała mu się złośliwością losu, a nielegalny proceder, który uprawiał, jawił mu się jako wystawiony na osąd publiczny nie mniej niż zarysy sosen na tle czystego, nocnego, jesiennego nieba – Wilbur Larch ratował się tą jedną jedyną myślą: Kocham Homera Wellsa; wybawiłem go od wojny.

Homer Wells nie czuł się wybawiony. Bo czyż może czuć się wybawiony człowiek zakochany i cierpiący z racji sposobu, w jaki ukochana osoba odwzajemnia jego miłość? Homer Wells nie tylko więc nie czuł się wybawiony, ale przeciwnie: czuł, że los szczególnie się na niego uwziął. Który młody człowiek (nawet sierota) ma cierpliwość czekać, co czas pokaże, gdy chodzi o miłość? Wilbur Larch potrafił, owszem, ustrzec Homera od wojny, ale przed Melony nawet doktor Larch nie potrafił go obronić.

Nim zbiory jabłek w sadach dobiegły końca, Wally jeszcze raz zmienił adres – tym razem przeniesiono go do Perrin Field w Sherman, Teksas (kurs podstawowy, kompania D). Melony tymczasem przeprowadziła się aż pięć razy. Pieniądzy miała dość, nie musiała pracować. Najmowała się dorywczo w kilku sadach po drodze i w każdym porzucała zajęcie, gdy tylko upewniła się, że nikt tam nie słyszał o Sadach Z Widokiem Na Ocean. Poznała tym sposobem sady w Harpswell i w Arrowsic; w kierunku północnym dotarła aż do Rockport, po czym zapuściła się w głąb lądu, po Appleton i Lizbonę. Zboczyła do Wiscasset, bo ktoś powiedział jej, że tam jest coś o nazwie Z Widokiem Na Ocean – nazwa się zgadzała, ale krył się pod nią zajazd turystyczny. Pewien łodziarz twierdził, że zna nazwę Z Widokiem Na Ocean z miejscowości Friendship: okazało się, że takie imię nosi jacht jednego z tamtejszych obywateli. W South Thomaston Melony wdała się w bójkę z szefem kelnerów restauracji specjalizującej się w owocach morza, który miał jej za złe, że wszystkich po kolei klientów nagabuje o Sady Z Widokiem Na Ocean. Walkę wygrała, ale musiała zapłacić karę za zakłócenie porządku. Kiedy w początkach listopada dotarła do zatoki Boothbay, z pieniędzmi było już u niej krucho. Stalowszare morze cesały białe grzebienie fal; kolorowe łódki – ozdoba lata – stały już w suchym doku, a wiatr niósł nieomylną zapowiedź bliskiej zimy. Pory skóry Melony – i pory powierzchni ziemi – zamykały się tak szczelnie jak jej głęboko zawiedzione serce.

Naburmuszony młodzian o zapadniętych policzkach, który serwował lody przy ladzie ze słodyczami w sklepie-aptece Rinfreta, nie wydał się Melony znajomy. Lecz

Roy Rinfret – były (głęboko rozczarowany życiem) Curly Day – z miejsca poznał Melony.

– Nie poznajesz mnie? Nazywam się Curly Day! – ożywił się na jej widok. Obdarował ją hojnie darmowymi cukierkami, gumą do żucia i jeszcze uparł się poczęstować lodami. – Dwie kulki, na mój rachunek! – zaproponował szarmancko. Nie spodobałoby się to jego przybranym rodzicom.

– Nieszczególnie ci się trafiło – zauważyła Melony. Nie chciała go obrazić: skomentowała w ten sposób ziemistą cerę Curly’ego i jego mikry wzrost – fakt, że od czasów sierocińca Curly nie bardzo urósł. Nic więcej nie miała Melony na myśli, lecz jej niewinna uwaga poruszyła w Curlym Dayu uśpione pokłady żalu i goryczy.

– Jakbyś zgadła! – wypalił. – Nieszczególnie mi się trafiło. Trafiłem w szambo. Homer Wells sprzątnął mi sprzed nosa moich ludzi.

Melony miała za słabe zęby na gumę do żucia, ale schowała prezent do kieszeni – będzie niespodzianka dla Lorny, pomyślała. Gdy włożyła do ust cukierek, dziury w zębach dały o sobie znać przeraźliwym bólem – ale i mimo bólu (a może właśnie dla niego) ssanie cukierka sprawiło Melony przyjemność. A lodów jeszcze nigdy w życiu nie jadła.

Chcąc zmanifestować swoją nienawiść do miejsca pracy, Curly Day strzyknął na podłogę polewą truskawkową z automatu – sprawdzwszy uprzednio, czy na pewno tylko Melony jest tego świadkiem. Udawał, że sprawdza syfon przed polaniem truskawkowym syropem lodów Melony.

– Przywabia mrówki – zdradził jej swój sekret. Melony wątpiła, czy w listopadzie mrówki kręcą się jeszcze po okolicy. – Zawsze mi powtarzają: „Tylko nie na podłogę, to przywabia mrówki”. – Curly Day jeszcze parę razy strzyknął syropem na ziemię. – Chciałbym, żeby mrówki rozniosły tę budę na kawałki – syknął złośliwie.

– Jeszcze jesteś zły na Homera Wellsa? – spytała chytrze Melony.

Poradziła Curly’emu pytać wszystkich klientów o Sady Z Widokiem Na Ocean. Curly nie zastanawiał się nigdy, co konkretnie zrobiłby lub powiedział Homerowi Wellsovi, gdyby go kiedyś znów spotkał: miał żal, ale nie był mściwy. Za to nagle przypomniała mu się brutalność Melony. Nabrał podejrzeń.

– A po co ty właściwie szukasz Homera? – spytał.

– Po co? – powtórzyła Melony słodkim głosem. Właściwie nigdy nie zadała sobie tego pytania. – A ty, Curly, po co ty chciałbyś go odnaleźć?

– No... – zawahał się Curly. – Chyba bym go zwyczajnie chciał zobaczyć, no i powiedzieć mu, jaki byłem wkurzony, że wyjechał, a mnie zostawił na lodzie – bo moim zdaniem to ja miałem wyjechać, a nie on.

Im dłużej Curly o tym myślał, tym mocniej uświadamiał sobie, że chciałby po prostu spotkać znów Homera Wellsa – wszystko inne było nieważne – i może zaprzyjaźnić się z nim, może coś razem porobić. Curly zawsze podziwiał Homera. Jeżeli nawet czuł, że Homer go porzucił – to tylko odrobinę. Rozplakał się. Melony otarła mu oczy papierową serwetką, którą dostała razem z deserem.

– Ja cię rozumiem – powiedziała miło. – Wiem, co czujesz. Też jestem porzucona. I zwyczajnie tęsknię za nim. Zwyczajnie bardzo chcę go zobaczyć.

Płacz Curly'ego przyciągnął uwagę jego przybranego ojca, aptekarza Rinfreta, który stał za ladą stanowiska z lekami, w drugim końcu sklepu.

– Jestem z St. Cloud's – wyjaśniła Melony aptekarzowi. – Byliśmy tam wszyscy bardzo zżyci. Jak się kogoś przypadkiem spotka, trudno się opanować.

Przytuliła Curly'ego po matczynemu (może trochę za mocno), a pan Rinfret, widząc to, uznał, że lepiej będzie zostawić ich samych.

– Pamiętaj, Curly – szeptała Melony, kołysząc chłopca w objęciach, jakby opowiadała mu bajeczkę na dobranoc. – Sady Z Widokiem Na Ocean. Pytaj każdego o Sady Z Widokiem Na Ocean.

Gdy Curly przestał płakać, Melony dała mu adres Lorny w Bath.

Sama wracała do Bath w nadziei, że dostanie z powrotem pracę w stoczni i że dzięki tak zwanemu „wysiłkowi wojennemu” obsada taśmy produkcyjnej będzie się często zmieniała, co pozwalałoby liczyć na jakieś nowe zadanie, a nie ciągle tylko umieszczanie łożysk kulkowych w elemencie zębatym o przekroju szynki. Tak rozmyślając, wyjęła z kieszeni palta pani Grogan rękawiczkę otrzymaną w prezencie od Lorny: nie musiała jej, jak dotąd, stosować do obrony, lecz wiele było nocy, podczas których obecność rękawiczki dodawała jej ducha. Więc nie był to tak do końca zmarnowany rok – pomyślała z przyjemnością Melony, gdy podrzucona rękawiczka boleśnie wylądowała w zagłębieniu jej masywnej dłoni. Już czworo nas cię szuka, Słoneczko.

Wally'ego dalej trzymali w Teksasie, ale przenieśli go jeszcze raz, do szkoły lotniczej w Lubbock (Barak 12, D3). Miał tam spędzić listopad i większą część

grudnia. Na Boże Narodzenie Korpus Sił Powietrznych obiecał mu przepustkę do domu.

„Lada dzień wracam na łono rodziny!” – pisał Wally do Candy, do Homera, do Oliwii, a nawet do Raya, który włączył się w wysiłek wojenny, powiększając zastęp mechaników Bazy Marynarki Wojennej w Kittery: budował torpedy. Aby interes homarowy całkiem nie upadł, Ray wynajął do pomocy kilku miejscowych uczniów. W weekendy po dawnemu doglądał parku maszynowego w Sadach Z Widokiem Na Ocean. Pełen entuzjazmu tłumaczył Oliwii i Homerowi zasadę działania żyroskopu, który ustawił przed nimi na stole w kuchni Worthingtonów.

– Kto chce sobie wyobrazić torpedę, musi przede wszystkim zrozumieć, jak działa żyroskop – wywodził. Homer słuchał z zainteresowaniem, Oliwia – przez grzeczność i z poczucia zależności od Raya: wierzyła głęboko, że gdyby nie jego dbałość o maszyny w Sadach Z Widokiem, jabłka na drzewach przestałyby rosnąć.

Candy chodziła zła, jakby drażniło ją, że wszyscy chcą mieć swój udział w wysiłku wojennym – chociaż sama jako wolontariuszka przepracowała wiele godzin w charakterze pomocy pielęgniarskiej w szpitalu Cape Kenneth. Stwierdziła, że w tej sytuacji „nietaktem” byłoby wracać do szkoły. Bez trudu przekonała też Homera, że ze swoim przygotowaniem medycznym będzie bardziej niż inni użyteczny jako sanitariusz w szpitalu.

– Jasne – zgodził się Homer.

I chociaż wbrew własnej woli wrócił do dawno zdradzonej pracy w szpitalu, to bardzo szybko poczuł się tam jak ryba w wodzie: trudno mu tylko było niekiedy powstrzymać fachowe uwagi na temat pracy personelu i grać rolę początkującego amatora w zawodzie, do którego najwyraźniej (co zauważył z niepokojem i niechęcią) został stworzony. Sanitariusz traktowany był z góry nawet przez pielęgniarki, lekarze zaś – co Homera strasznie irytowało – odnosili się z pogardliwą wyższością do wszystkich, a zwłaszcza do pacjentów.

Candy i Homer nie mieli prawa wykonywać zastrzyków ani podawać leków, lecz to nie znaczy, że ich obowiązki ograniczały się do siania łóżek, opróżniania basenów, nacierania pleców, kąpienia chorych i świadczenia setek drobnych uprzejmości, z powodu których w nowoczesnym szpitalu słychać nieustannie szuranie stóp po korytarzach. Czasem miewali dyżur na oddziale położniczym. Homer nie był najlepszego zdania o metodach, które tam zaobserwował. Nie umywały się do osiągnięcia doktora Larcha, a niekiedy nawet do tego, co potrafił sam Homer. Homer ciekaw był, na przykład, co powiedziałby doktor Larch – który jego samego

kilkakrotnie zgañił za przedawkowanie eteru – gdyby zobaczył, co podaje się przez inhalator w szpitalu w Cape Kenneth. W St. Cloud's widywał Homer pacjentki tak delikatnie odurzone eterem, że potrafiły przez cały czas zabiegu rozmawiać z personelem. W salach pooperacyjnych szpitala w Cape Kenneth położnice z najwyższym trudem wydobywały się spod władzy eteru: toczyły mętnym wzrokiem po suficie, niektóre chrapały z rozdziawionymi ustami, ręce zwisały im bezwładnie poza łóżka, a zwiotczące policzki odsłaniały dolne partie gałek zamkniętych oczu.

Lecz prawdziwie bezradną wściekłość budził w Homerze widok dzieci po przedawkowaniu eteru – całkiem jakby lekarz główny i anestezjolog nie słyszeli o zasadzie dawkowania tego środka w proporcji do wagi ciała chorego.

Któregoś dnia siedzieli oboje z Candy – Homer po jednej stronie, Candy po drugiej – przy łóżecku pięcioletniego chłopca po operacji wycięcia migdałków. To też zaliczało się do zadañ pomocy pielęgniarskiej: siedzenie przy pacjencie budzącym się z eteru – zwłaszcza przy dziecku; zwłaszcza po operacji migdałków, gdyż w tym przypadku obudzeniu towarzyszył lęk, ból i mdłości. Homer był przekonany, że przynajmniej mdłości dałoby się zredukować, gdyby zmniejszono dawki eteru aplikowane małym pacjentom.

W sali pooperacyjnej siedziała z nimi pielęgniarka: tę akurat lubili – była młodą, poczciwą dziewczyną, mniej więcej w ich wieku. Na imię jej było Karolina. Do pacjentów odnosiła się serdecznie, a do lekarzy bojowo.

– Ty się znasz na etrze, Homer – zagadnęła siostra Karolina.

– Mam wrażenie, że w niektórych przypadkach podaje się go za dużo – odparł ostrożnie Homer.

– Szpital nie jest miejscem bez wad, chociaż każdy chciałby, żeby był – stwierdziła filozoficznie siostra Karolina. – Lekarze też nie są ideałami, tylko się za takich uważają – dodała.

– Jasne – przyznał Homer Wells.

Pięciolatek obudził się w końcu ze strasznie obolałym gardłem i długo męczyły go torsje, zanim wreszcie porcja lodów prześlizgnęła się przez poharatany przełyk i została w żołądku. W takim przypadku ważnym obowiązkiem pomocy pielęgniarskiej było pilnować, żeby dziecko nie zakrztusiło się własną wymiociną. Ponadto – na co Homer zwrócił uwagę Candy – trzeba było uważać, aby na wpół obudzony z eteru malec nie zachłysnął się podczas wdechu obecnym w ustach płynem i nie nabrał przy aspiracji, czyli wdechu, wymiociny do płuc.



– Aspiracja? – zdumiała się siostra Karolina. – Czy twój ojciec nie był lekarzem, Homerze?

– Niezupełnie – odparł Homer Wells.

Właśnie siostra Karolina przedstawiła Homera młodemu doktorowi Harlowowi. Doktor Harlow usilnie starał się czynić godne wrażenie, ale krnąbrny lok uparcie obniżał jego myślące czoło i młody doktor zerkał spod szopy włosów barwy słomy jak spod nisko opuszczonego ronda kapelusza.

– Ach tak, Wells, słyszałem; nasz specjalista od eteru – uśmiechnął się krzywo doktor Harlow.

– Wychowałem się w sierocińcu – rzekł Homer Wells. – Sporo tam pomagałem w szpitalu.

– Ale chyba nie podawał pan eteru? – spytał doktor Harlow.

– Oczywiście, że nie – skłamał Homer Wells. Potwierdziło się odkrycie doktora Larcha poczynione w związku z radą nadzorczą: okłamywanie osób, których się nie lubi, daje szczególną satysfakcję.

– Nie popisuj się – poradziła mu Candy w drodze powrotnej samochodem do Heart's Haven. – To do ciebie nie pasuje, a poza tym, możesz napytać biedy swojemu doktorowi Larchowi.

– A kiedy ja się popisywałem? – zdziwił się Homer.

– Jeszcze nie zdążyłeś. I nie zaczynaj, dobrze?

Homer nadąsał się.

– I nie dąsaj się – dodała Candy. – To też do ciebie nie pasuje.

– Ja tylko czekam, co czas pokaże – burknął Homer Wells. – Wiesz, jak to jest.

Podwiózł Candy pod akwarium z homarami. Zazwyczaj wchodził z nią na chwilę do domu i zamieniał parę słów z Rayem, ale tym razem Candy wysiadła sama, wściekła. Homer niesłusznie wytłumaczył sobie jej nastrój jako niechęć do niego: był to efekt burzy uczuć, które targały samą Candy.

Zatrzasnęła drzwiczki wozu, lecz zanim Homer ruszył, zdążyła podejść z jego strony. Dała mu znak, żeby opuścił szybę. Nachyliła się do środka i pocałowała Homera mocno w usta. Obiema dłońmi szarpnęła jego włosy do tyłu, dość boleśnie, i ugryzła odsłoniętą szyję. Cofając głowę, wyrznęła z całej siły o framugę okienka i oczy jej się zaszklily – ale łzy nie pociekły.

– A ja? Myślisz, że świetnie się bawię? – spytała retorycznie. – Że specjalnie cię drażnię? Że dobrze wiem, czy wolę ciebie, czy Wally'ego?

Homer ruszył z powrotem do szpitala w Cape Kenneth: czuł gwałtowną potrzebę zajęcia się czymś bardziej wzniosłym niż tępienie myszy. Znow zaczął się sezon tępienia myszy. Homer serdecznie nienawidził podkładania gryzoniom trucizny.

Do szpitala dotarł równocześnie z marynarzem ugodzonym nożem w bójce. Do bójki doszło tam, gdzie pracował Ray – w bazie marynarki wojennej w Kittery. Kumple założyli rannemu prowizoryczny opatrunek i przez dłuższy czas wozili go po okolicy, gubiąc drogę do kilku szpitali znacznie bliższych bazie Kittery niż Cape Kenneth. Głęboka rana w mięsistej części dłoni marynarza, między kciukiem a palcem wskazującym, sięgała prawie nadgarstka. Homer pomógł siostrze Karolinie przemyć ranę zwykłym szarym mydłem i wodą destylowaną. Nawykły do komenderowania w podobnych sytuacjach siostrą Angela i siostrą Edną, Homer nie umiał się powstrzymać.

– Proszę mu zmierzyć ciśnienie. Na drugim ramieniu – polecił siostrze Karolinie. – I proszę podłożyć bandaż pod wąż ciśnieniomierza, żeby nie uszkodzić skóry – dodał, widząc zdziwione spojrzenie siostry Karoliny. – Zostawimy mu ciśnieniomierz na jakieś pół godziny, może więcej.

– Pan pozwoli, że ja będę wydawał polecenia siostrze Karolinie – odezwał się nagle z boku doktor Harlow. Oboje z pielęgniarką wpatrywali się w Homera oniemiałym wzrokiem, jakby mieli przed sobą zwierzę obdarzone boską mocą. Widać było, że nie zdziwiliby się, gdyby Homer jednym uniesieniem dłoni powstrzymał obfity krwotok.

– Bardzo schludna robota, Wells – pochwalił doktor Harlow. Homer przyglądał się, jak doktor wstrzykuje do rany półprocentowy roztwór *procainy* i bada cięcie. Nóż, jak już wcześniej zauważył Homer Wells, wszedł w dłoń od strony wewnętrznej. Homer przypomniał sobie *Anatomię Graya* i film oglądany kiedyś z Debrą Pettigrew, w którym pokazano oficera kawalerii z dłonią przeszzytą strzałą. Szczęściem, w tamtym przypadku ostrze strzały ominęło nerw pośrodkowy, prowadzący do mięśni kciuka. Homer zauważył, że i marynarz porusza kciukiem – to dobrze.

Doktor Harlow przyglądał się ranie.

– W tym miejscu biegnie dosyć ważne odgałęzienie nerwu pośrodkowego – wycedził z ważną miną. – Jak nie zostało naruszone, to może pan mówić o wielkim szczęściu.

– Nóż przeszedł obok – powiedział Homer Wells.

– Rzeczywiście – doktor Harlow spojrzał zdziwiony znad badanej ręki. – Skąd pan to wiedział?

Homer Wells w odpowiedzi uniósł prawą dłoń i energicznie pomachał kciukiem.

– Więc zna się nie tylko na eterze! – uśmiechnął się zjadliwie doktor Harlow. – O mięśniach też wszystko wie!

– Tylko o prostowniku długim kciuka – uspokoił go Homer. – Czytałem kiedyś *Anatomię Graya*; tak sobie, dla rozrywki.

– Dla rozrywki? – powtórzył doktor Harlow. – W takim razie naczynia krwionośne też nie są dla pana tajemnicą. Proszę mi powiedzieć, skąd pacjent tak silnie krwawi?

Siostra Karolina nieznacznie musnęła biodrem rękę Homera Wellsa: Homer słusznie zrozumiał to jako gest solidarności – siostra Karolina też nie przepadała za doktorem Harlowem. Chociaż Candy go wcześniej ostrzegła, Homer nie zapanował nad sobą:

– To naczynie krwionośne jest częścią łuku tętniczego dłoniowego – wyrecytował.

– Doskonale – rzekł doktor Harlow z wyraźnym rozczarowaniem w głosie. – Co pan w związku z tym zaleca?

– Podwiązanie – odparł natychmiast Homer Wells. – Chrom trójka – dodał.

– Tak jest – potwierdził doktor Harlow. – tego Gray nie podaje. – Przy okazji pokazał Homerowi, że nóż przeciął ścięgna *flexor digitorum profundis* i *flexor digitorum sublimis*. – A te do czego należą?

– Do palca wskazującego – odpowiedział Homer Wells.

– Czy trzeba koniecznie podwiązywać oba ścięgna? – egzaminował go dalej doktor Harlow.

– Nie wiem – powiedział Homer. – Na ścięgnach nie znam się za dobrze.

– Coś podobnego! – uśmiechnął się złośliwie doktor Harlow. – Wystarczy zamocować *profundus* – wyjaśnił łaskawie. – Zastosuję jedwab dwójkę. Potrzeba mi jeszcze czegoś cieńszego do złączenia brzegów ścięgna.

– Jedwab czwórka – zasugerował Homer Wells.

– Znakomicie. I jeszcze coś do zaszycia *fascia* dłoni.

– Chrom trójka.

– Ten chłopak zna się na szyciu! – zwrócił się doktor Harlow do siostry Karoliny, która gapiała się na Homera jak sroka w gnat.

– Naskórek najlepiej zaszyć jedwabiem czwórką – poradził Homer. – Zalecałbym też opatrunek uciskowy na wnętrze dłoni; można lekko przygiąć palce przy tamponie.

– Tak zwana fachowo „pozycja funkcji” – dodał doktor Harlow.

– Nie wiedziałem – powiedział Homer.

– Studiował pan na akademii medycznej, Wells? – zainteresował się doktor Harlow.

– Niezupełnie – rzekł Homer Wells.

– A ma pan takie plany?

– Raczej nie.

Po tej wymianie zdań Homer chciał opuścić gabinet zabiegowy, ale pytanie doktora Harlowa zatrzymało go w drzwiach:

– Czemu pan nie jest w wojsku?

– Mam wadę serca – powiedział Homer.

– Na pewno nie zna pan jej specjalistycznej nazwy?

– Ma pan rację. Nie znam.

Miał okazję dowiedzieć się wszystkiego o zwężeniu zastawki tętniczej płucnej. Gdyby tylko poprosił, prześwietlono by go i fachowo opisano zdjęcie. Nareszcie poznałby całą prawdę. Tyle że człowiek nie chce dowiadywać się prawdy od osób, których nie lubi.

Homer poszedł poczytać dzieciom po operacji migdałków. Mieli tu dla nich tylko głupie dziecinne książeczki, które na Homerze nie robiły żadnego wrażenia. Ale dzieci po wycięciu migdałków nie leżą w szpitalu wystarczająco długo, żeby wysłuchać lektury *Dawida Copperfielda* albo *Wielkich nadziei*.

Potem siostra Karolina poprosiła go, żeby wykapał potężnego pacjenta po operacji prostaty i natarł mu plecy.

– Nie lekceważ rozkoszy sikania! – pouczał olbrzym Homera Wellsa.

– Nie lekceważę – wysapał Homer, nacierając górę mięsa, aż osiągnęła zdrową, różową barwę.

Oliwii nie było w domu, gdy Homer wrócił do Sadów Z Widokiem Na Ocean: pełniła dyżur na stanowisku obserwacji przeciwlotniczej. Obywatele dyżurowali na zmianę w wieży do obserwacji jachtów w Klubie Haven. Homer nie słyszał, żeby dostrzeżono chociaż jeden samolot. Obserwatorzy płci męskiej przyklejali sylwetki poszczególnych typów samolotów na swoich szafkach w klubie, damy natomiast

zabierały swoje do domu i wywieszały, na przykład, na drzwiczkach lodówki. Oliwia trzymała straż przez dwie godziny dziennie.

Homer pilnie przyjrzał się sylwetkom samolotów na lodówce Oliwii.

Łatwo bym się wszystkiego o nich nauczył – pomyślał. O hodowli jabłek też mogę się nauczyć ile trzeba. Rzecz w tym jednak, że w pewnej dziedzinie już teraz osiągał świetne rezultaty: dziedziną tą było połoźnictwo i pewien nielegalny zabieg, znacznie łatwiejszy niż odbieranie porodów.

Nielegalny; wbrew przepisom; wbrew regułom – myślał Homer. Marynarz z rozciętą dłonią brał udział w bójce bez reguł. Ale już w bójce z Panem Rose obowiązywały reguły – reguły Pana Rose. Homer Wells wyobrażał sobie walkę na noże z Panem Rose jako nieskuteczne odpieranie ataków małego, dokuczliwego ptaszka, który w końcu zadziobie przeciwnika na śmierć. Pan Rose był nożownikiem-artystą: ściałby sam czubek nosa, jeden guzik, jeden sutek. Rzeczywisty regulamin tłoczni win ustalał Pan Rose.

A jakie reguły obowiązywały w St. Cloud's? Jakimi regułami kierował się doktor Larch? Których reguł przestrzegał, które łamał albo zastępował nowymi – i czy zawsze z czystym sumieniem? Candy z całą pewnością wyznawała jakieś zasady – ale jakie? czyje? Czy Wally znał zasady Candy? Albo Melony: czy stosowała się do jakichkolwiek zasad? – rozmyślał Homer Wells.

- Słuchaj no – powiedziała Lorna. – Jest wojna. Nie zauważyłaś?

- No i co z tego? – wzruszyła ramionami Melony.

- To, że ten twój pewnie poszedł na wojnę! Albo się sam zgłosił na ochotnika, albo go wezmą z poboru.

Melony pokręciła głową.

- Nie, nie on. Ja go jakoś nie widzę na wojnie. To nie jego broszka.

- Na litość boską! – zirytowała się Lorna. – Myślisz, że każdy idzie na wojnę, bo to jego broszka?

- Nawet jak poszedł, to wróci – stwierdziła Melony.

Lód na rzece Kennebec nie tworzył solidnej tafli: była to rzeka skłonna do wylewów, brzegami rosły chaszczce, a środkiem płynął niespokojny nurt. Nawet Melony nie umiała dorzucić butelką po piwie w środek tej rzeki przepływającej przez Bath. Butelka odbiła się głucho od spękanego lodu i poturlała się nieco dalej w stronę rwącej wody – ale jej nie dosięgła. Oburzona mewa, siedząca nie opodal, wstała i z

godnością oddaliła się po lodzie od pustej butelki, krokiem starej kobiety, która przechodzi przez kałużę, zbierając w garść liczne halki i spódnice.

– Z tej wojny nie wszyscy wracają. Właśnie to ci od początku próbuję powiedzieć – odezwała się Lorna.

Powrót Wally'ego z Teksasu obfitował w przeciwności. Najpierw kilkakrotnie opóźniano mu urlop, potem pogoda się popszyła i zamknięto lotnisko. Krótko mówiąc: gdy Candy z Homerem powitali go wreszcie w Bostonie, gdzie wyjechali po niego samochodem, pierwszą rzeczą, którą im Wally oznajmił, było to, że ma raptem dwa dni wolnego. Ale nie martwił się – „Nie przestał być Wallym”, mówiła później Candy – zwłaszcza, że rozpiełała go duma z powodu awansu.

– Podporucznik Worthington! – zasalutował przed Oliwią. Wszyscy się popłakali, nawet Ray.

Ponieważ benzyna była na kartki, trójka przyjaciół musiała zrezygnować z ulubionych wypraw po okolicy. Homer nie umiał nie zadać sobie pytania, kiedy Wally zechce zostać sam na sam z Candy i jak to zorganizują. Bo że Wally chce zorganizować randkę – to pewne. Ważne, czy i ona chce – myślał Homer.

Wigilię spędzili wszyscy razem. W dzień Bożego Narodzenia u nikogo nie było wolnej chaty: Oliwia siedziała w domu, a Ray też tego dnia nie budował torped ani nie zakładał saków na homary. W drugi dzień Świąt natomiast, Candy i Homer mieli odwiedzić Wally'ego z powrotem do Bostonu.

Oczywiście, że Candy z Wallym chodzili przytuleni i całowali się co chwila na oczach wszystkich – ale to co innego. Wieczorem w Boże Narodzenie Homer, siedząc z Wallym w jego pokoju, przypomniał sobie nagle, że przejęty radością spotkania z przyjacielem nie zauważył, iż oto mijają drugie Świąta z dala od St. Cloud's, a on niczego nie posłał doktorowi Larchowi, nawet kartki z życzeniami.

– Jeszcze sporo nauki pilotażu przede mną – mówił Wally – ale ostatecznie pewnie wyląduję w Indiach.

– W Indiach – powtórzył jak echo Homer Wells.

– Operacja birmańska – sprecyzował Wally. – Żeby się przedostać z Indii do Chin, trzeba przelecieć nad Birmą. A w Birmie siedzą Japończycy.

Homer Wells poznał już nieźle szkolną mapę świata. Wiedział, że Birma to góry i dżungle. Zestrzelony samolot miał tam na co spadać.

– Jak tam sprawy z Candy? – zagadnął ostrożnie Homer.

– Fantastycznie! – odparł bez namysłu Wally. – Jutro się okaże – dodał po chwili.

Nazajutrz Ray od wczesnego rana budował torpedy. Homer zauważył, że Wally wymknął się z Sądów Z Widokiem o tej samej mniej więcej porze, o której Ray zapewne wyruszał do pracy w Kittery. Homerowi wczesne godziny dnia zeszły na pocieszaniu Oliwii.

– Czterdzieści osiem godzin to nie jest to, co ja nazywam odwiedzinami w domu! – buntowała się Oliwia. – Rok go nie było! I on to uważa za odwiedzinę? Armia uważa, że dwa dni to dość na spotkanie z rodziną po roku?

Tuż przed południem Candy z Wallym zajechali po Homera. Homer z góry uznał, że im się „udało”, chociaż skąd to można wiedzieć na pewno? Trzeba by spytać.

– Mam poprowadzić? – zaproponował Homer.

Candy siedziała w środku, między nim a Wallym.

– Dlaczego? – spytał Wally.

– No, nie wiem; może chcecie trzymać się za ręce... – tłumaczył się Homer niezdarnie. Candy skarciła go spojrzeniem.

– Już mieliśmy okazję trzymać się za ręce – roześmiał się Wally. – Ale i tak dzięki, że pomyślałeś.

Candy nie wygląda na rozbawioną – pomyślał Homer.

– Znaczy, że robiliście to? – zwrócił się Homer z pytaniem do obojga.

Candy patrzyła przed siebie z kamienną twarzą, a Wally się tym razem nie roześmiał, tylko spytał:

– O co chodzi, stary?

– Pytałem, czy robiliście to; znaczy, czy odbyliście stosunek płciowy.

– Jezus Maria, Homer! – oburzył się Wally. – Kto zadaje takie pytania!

– Owszem, robiliśmy to, czyli odbyliśmy stosunek płciowy – odparła Candy, wciąż patrząc przed siebie.

– Mam nadzieję, że uważaliście – powiedział Homer. – Mam nadzieję, że zastosowaliście jakieś zabezpieczenie.

– Chryste Panie, Homer! – jęknął ze zgrozą Wally.

– Owszem, uważaliśmy – odparła rzeczowo Candy. Spojrzała przy tym w oczy Homerowi z miną najbardziej naturalną, na jaką było ją stać.

– No to cieszę się, że uważaliście – stwierdził Homer, zwracając się już tylko do Candy. – Trzeba uważać, gdy się ma stosunek płciowy z człowiekiem, który niebawem będzie latał nad Birmą.

– Nad Birma? – Candy gwałtownie odwróciła się do Wally’ego. – Nie mówileś mi, dokąd wyjeżdżasz. To ma być Birma?

– Jeszcze nie wiadomo, dokąd pojedę – rozżośćił się Wally. – O Jezu, Homer, co cię napadło?

– Kocham was oboje – wyznał Homer. – A skoro was kocham, to mam prawo pytać was o wszystko i wiedzieć o wszystkim, co was dotyczy.

W ten sposób Homer, jak to mówią w stanie Maine, „zatkał” rozmowę. Resztę drogi do Bostonu pokonali w całkowitym milczeniu. Tylko raz Wally wysilił się na żart:

– Coś z tobą nie w porządku, Homer. Za dużo filozofujesz.

Pożegnanie wypadło dość oschle.

– Ja też kocham was oboje, i wiecie o tym – rzekł im na koniec Wally.

– Ja wiem – powiedział Homer.

W drodze do domu, Candy nawiązała do żartu Wally’ego, mówiąc:

– Moim zdaniem, nie tyle „filozofujesz”, co dziwaczysz. Stajesz się strasznym dziwakiem. Przyjmij do wiadomości, że nie masz żadnego prawa wiedzieć o mnie wszystkiego, bez względu na to, czy mnie kochasz, czy nie.

– Odpowiedz sobie na jedno pytanie: czy ty go naprawdę kochasz? Kochasz Wally’ego?

– Od dzieciństwa kocham Wally’ego – odparła Candy. – Zawsze go kochałam i zawsze będę kochać.

– Rozumiem. Nie mam więcej pytań.

– Ale Wally się zmienił, takiego go nie znam. Ciebie znam dużo lepiej, i ciebie też kocham.

Homer westchnął. Więc zanosi się na dalsze czekanie, co czas pokaże. Czuł się dotknięty: Wally nie zapytał nawet o jego serce. A może to i lepiej – bo co by mu Homer odpowiedział?

Wilbur Larch, który wiedział, że z sercem Homera wszystko jest w najlepszym porządku, zastanawiał się, gdzie to serce znalazło swoją przystań. Obawiał się, że nie w St. Cloud’s.

Wally pojechał do szkoły lotniczej dla zaawansowanych w Victorville, Kalifornia. Przysłał stamtąd listy z nadrukiem „U.S. ARMY AIR FORCES”. Spędził w Victorville kilka miesięcy – cały sezon przycinania drzew w sadzie, jak zapamiętał ten okres Homer Wells. Gdy zakwitły pierwsze jabłonie, a pszczoły Iry Titcomba napełniły



Sady Z Widokiem Na Ocean swoją cudowną, życiodajną energią, Wally'ego wysłano do Indii.

Mandalay było w rękach Japończyków. Pierwsze swoje bomby zrzucił Wally na most kolejowy w Myitnge, niszcząc tory, nasyp, dojazd od południa i południowe przesłó. Wszystkie samoloty i załogi powróciły z tej akcji bezpiecznie. Wally zrzucił też bomby na centrum przemysłowe Myingyan, lecz pochmurna pogoda tego dnia uniemożliwiła obserwację rozmiarów zniszczenia. Latem tego roku, gdy Homer Wells bielił ściany tłoczni na przybycie sezonowych, Wally bombardował przystań w Akyab i most na Shweli w północnej Birmie, a nieco później – bocznicę kolejową w Prome. Miał swój udział w zrzuceniu dziesięciu tysięcy ton bomb na stacje kolejowe w Shwebo, i w pożarach, które strawiły magazyny w Kawlinie i Thanbyuzayat. Jako najbardziej widowiskowe wspominał bombardowanie pól naftowych w Yenangyat: obraz płonących szybów stał mu przed oczami podczas całego lotu powrotnego, ponad dżunglą i łańcuchem gór. Również z tej akcji wszystkie maszyny i załogi powróciły cało.

Wally dostał awans na kapitana i tak zwaną „lekką pracę”.

– Strzeż się lekkiej pracy – napominał kiedyś Wilbur Larch Homera Wellsa.

Jeszcze w Forcie Meade Wally wygrał konkurs na nazwę samolotu bojowego. Teraz nareszcie mógł ją nadać swojemu własnemu samolotowi: nazwał go więc „Okazja”. Pod nazwą wymalowana została zaciśnięta pięść. Całość robiła wrażenie. Candy i Homer, rozważając później tę nazwę, uznali, że powinny się być tam zmieścić jeszcze cztery słowa: „Zdarza się tylko raz”.

Wally latał na trasie Indie-Chiny, nad Himalajami; nad Birmą. Transportował do Chin benzynę, bomby, działa, karabiny, amunicję, odzież wojskową, silniki samolotowe i części zapasowe, a także żywność. Z powrotem przywoził do Indii kadrę oficerską. Lot w obie strony, z wyładunkiem, trwał siedem godzin, trasa mierzyła około ośmiuset kilometrów. Przez sześć z tych siedmiu godzin Wally leciał w masce tlenowej – tak wysoko przebiegała trasa lotu. Nad górami – z powodu gór; nad dżunglą – z powodu Japończyków. Himalaje słyną z najzłośliwszych prądów powietrznych na świecie.

Kiedy wylatywali z Assamu, panowała tam temperatura czterdziestu stopni Celsjusza – jak w Teksasie, pomyślał Wally. Piloci ubrali się w same szorty i skarpetki.

Ciężkie transportowce musiały w ciągu trzydziestu pięciu minut wspiąć się na wysokość pięciu tysięcy metrów: w tym czasie osiągały pierwszą przełęcz Himalajów.

Na wysokości trzech tysięcy metrów Wally włożył spodnie. Tuż przed osiągnięciem pięciu tysięcy wbił się w kombinezon na kozuszkę. Na tej wysokości było minus dwadzieścia stopni. W porze monsunów latało się głównie na automatycznym pilocie.

Trasę, po której kursował Wally, żołnierze nazywali „linią życia”, przelot przez Himalaje – lotem „przez garb”.

Oto nagłówki gazet z datą czwartego lipca:

JANKESI NISZCZĄ MOST KOLEJOWY W BIRMIE  
CHIŃCZYCY GROMIĄ JAPOŃCZYKÓW W PROWINCJI HU-PE

A oto co Wally przysłał Candy i Homerowi (polenił się i obojgu dedykował ten sam wierszyk):

Jeden gość z Indii nie miał dziewczyny,  
Więc sobie cipę ulepił z gliny.  
Tak się do niej zapalił,  
Że ją w cegłę wypalił  
I uwięził się w niej z własnej winy.

Na lato 194-, zgodnie z zaleceniem, aby w interesie obywateli zmniejszyć do minimum oświetlenie regionów przybrzeżnych, zrezygnowano z otwarcia kina dla zmotoryzowanych w Cape Kenneth. Homer Wells nie bardzo się tym zmartwił. Ponieważ w nowej sytuacji byłby zmuszony zapraszać do kina i Candy, i Debrę Pettigrew, czuł się dłużnikiem idei wysiłku wojennego za wybawienie go z tej niezręczności.

Pan Rose powiadomił Oliwię listownie, że nie zbierze ekipy sezonowej na nadchodzące zbiory, bo mu się to nie opłaca. „Mężczyźni poszli do wojska” – pisał. „Poza tym nie ma jak dojechać. Mam na myśli benzynę na kartki.”

– Niepotrzebnie odnawialiśmy tłocznię – powiedział Homer do Oliwii.

– Porządkowanie i doskonalenie zawsze jest potrzebne – odparła na to Oliwia.

Jankesi mają specyficzne podejście do letniego znoju: klną na żniwa, a zarazem lubią je za niepowtarzalną, ulotną aurę.

Homer Wells – sanitariusz i sadownik – kosił traktorem trawę między szpalerami drzew, gdy dotarła do niego ta wiadomość. Był czerwiec, żar lał się z nieba. Homer sterował gigantem firmy International Harvester, nie spuszczać oka z ramy kosiarki: nie chciał zawadzić o pień lub leżącą na ziemi gałąź. Dlatego nie zauważył, że próbuje go wyprzedzić zielona furgonetka. Omal jej nie rozgniół. Zatrzymał się, nie wyłączając silnika ani kosiarki: nie mógł słyszeć, co woła Candy, która wyskoczyła z furgonetki i pędziła oto ku niemu co sił w nogach. Za kierownicą siedziała Oliwia, z twarzą jak kamienna maska.

– Zestrzelili go! – usłyszał Homer krzyk Candy, gdy w końcu przekręcił kluczyk w stacyjce. – Zestrzelony nad Birmą!

– Nad Birmą – powtórzył jak echo Homer Wells. Zszedł z traktora i przytulił szlochającą dziewczynę. Wyłączony silnik traktora jeszcze powarkiwiał, kopał i strzelał; krajobraz falował w buchającym z niego gorącu. Może nad Birmą powietrze zawsze faluje – pomyślał Homer Wells.

## 9. Nad Birma

Minęły dwa tygodnie od zestrzelenia samolotu Wally'ego, a kapitan Worthington i załoga „Okazji” wciąż figurowali na liście zaginionych.

Z innego samolotu lecącego tą samą trasą zauważono wypalony fragment dżungli birmańskiej, o powierzchni około dwóch kilometrów kwadratowych, mniej więcej w połowie drogi z Indii do Chin. Przyczyną pożaru był samolot, który eksplodował, rozsiewając wkoło ładunek zidentyfikowany jako silniki samolotowe, części zamienne i baki z benzyną. Ani śladu po załodze. Dżungla w tej okolicy była gęsta i podobno nie zamieszкана.

Rzecznik Sił Powietrznych Armii Stanów Zjednoczonych osobiście odwiedził Oliwię i zapewnił ją, że istnieją pewne podstawy do optymizmu. Samolot nie eksplodował w powietrzu – zatem załoga miała czas się katapultować. Co dalej – Bóg raczy wiedzieć.

To o wiele lepsza nazwa dla samolotu – pomyślał sobie Homer Wells: „Bóg Raczy Wiedzieć”. Głośno popierał zdanie Oliwii i Candy, że Wally na pewno żyje, tylko „zaginął bez wieści”. Jednak prywatnie myślał tak jak Ray Kendall: że Wally nie miał wielkich szans.

– Przyjmijmy, że nie spadł w samolocie – deliberował Ray, ciągnąc z wody saki z homarami, w czym pomagał mu Homer Wells. – W takim razie jest teraz w sercu dżungli. I co tam porabia? Musi się kryć przed Japończykami, a Japończyków na pewno tam jest pełno – w końcu to oni zestrzelili samolot.

– Może spotkał tubylców? Życzliwych birmańskich wieśniaków? – poddał Homer Wells.

– Albo nie spotkał nikogo – skrzywił się Ray Kendall – oprócz – paru tygrysów i mnóstwa zmij. O kurde... – wzruszył się. – Mówiłem mu, żeby wybrał łódź podwodną.

„Jeżeli twój przyjaciel przeżył, to czyhają teraz na niego wszystkie azjatyckie choroby, a jest ich wiele” – napisał do Homera doktor Larch.

Myśl o tym, że Wally choruje i cierpi, była nieznośna prawie tak samo jak myśl o tym, że może już nie żyje. Uczucie do Candy nie ułatwiało Homerowi pogodzenia się z perspektywą śmierci przyjaciela – zwłaszcza że Candy w takim przypadku do końca swoich dni żyłaby w przeświadczeniu, że Wally'ego kochała bardziej niż Homera. Sierotom ideały często przesłaniają rzeczywistość: Homer pragnął Candy, ale pragnął

jej idealnie. Aby Candy mogła naprawdę wybrać Homera, Wally musiał żyć. I musiał pobłogosławić związek Homera i Candy, ponieważ Homer go kochał. Każde inne wyjście oznaczałoby niegodny kompromis.

Wilburowi Larchowi pochlebila prośba Homera o radę – i to w sprawie sercowej! („Jak mam się zachowywać wobec Candy?” – pytał w liście Homer.) Stary doktor, nawykły do roli wyroczni, bez trudu przybrał ton najwyższego autorytetu („I to w sprawie, o której nie ma zielonego pojęcia!” – rzekła oburzona siostra Angela do siostry Edny). Larch był bowiem tak dumny z tego, co napisał w odpowiedzi Homerowi, że przed wysłaniem pokazał swój list obu siostram.

„Czy zapomniałeś, jak się żyje w St. Cloud’s? Czy rzeczywiście tak daleko od nas odszedłeś, że niewinny kompromis wydaje ci się nie do przyjęcia? Tobie, sierocie? Czy zapomniałeś o obowiązku bycia użytecznym? Nie myśl zbyt wiele o kompromisach: nie zawsze jest nam dane wybierać sposoby okazania użyteczności. Twierdzisz, że ją kochasz – więc dajże jej z siebie skorzystać. Może nie będzie to tak, jak w Twoich wyobrażeniach, ale skoro ją kochasz, to powinienes dać jej to, czego ona pragnie – i wtedy, kiedy ona tego pragnie, nawet jeżeli sam uważasz, że jeszcze nie pora. A ona – ile może dać Ci z siebie? Tylko tyle, ile jej zostało. Nawet jeśli to mniej niż sobie wymarzyłeś, to nikt tu nie jest winien. Odrzucisz ją tylko dlatego, że nie ma już stu procent siebie do oddania? Częstką siebie jest gdzieś tam nad Birmą – lecz czy Ty z tego powodu chcesz odrzucić resztę? Wyznajesz zasadę «wszystko albo nic». I to nazywasz użytecznością?”

– Niezbyt to romantyczne – mruknęła siostra Angela do siostry Edny.

– A kiedy Wilbur był romantyczny? – westchnęła siostra Edna.

– Pańska rada jest skrajnie utylitarna – oświadczyła siostra Angela doktorowi Larchowi.

– Mam nadzieję! – odpdął doktor Larch, zaklejając kopertę.

Homer zyskał towarzyszkę w bezsenności. Oboje z Candy woleli teraz nocne dyżury w szpitalu Cape Kenneth. Kiedy nic się nie działo, wolno im było zdrzemnąć się na kozetkach w zamkniętym oddziale dziecięcym. Homer stwierdził, że muzyka dziecięcych niepokojów działa na niego kojąco: troski i bóle, popiskiwanie, nagle krzyki i nocne koszmary malców były dla niego czymś swojskim, pozwalającym oderwać się od własnych kłopotów. Czarne zasłony zaciągane nocą na oknach szpitala licowały z towarzyszącym Candy nastrojem żałoby. Jeździli do szpitala cadillakiem Wally’ego: nocą jazda była dozwolona tylko na światłach postojowych, a ze wszystkich aut Worthingtonów cadillac miał te światła najjaśniejsze. Nawet one jednak ledwo

oświetlały nocną szosę, więc samochód posuwał się w pogrzebowym tempie. Gdyby go teraz ujrzął zawiadowca (dawniej pomocnik zawiadowcy) stacji St. Cloud's, znów pomyślałby niechybnie, że to biały karawan.

Meany Hyde, którego żona, Florencja, spodziewała się dziecka, z głębokim przekonaniem oświadczył Homerowi, że jeśli Wally nie żyje, to nowo narodzone niemowlę przejmie część jego duszy; jeśli zaś żyje – to po wyglądzie dziecka będzie można poznać, czy uciekł z Birmy. Everett Taft z kolei doniósł Homerowi, że jego małżonkę, Big Dot, dręczą sny, które mogą oznaczać tylko jedno: że Wally wszelkimi sposobami próbuje porozumieć się z domem. Nawet Ray Kendall, dzielący swoją podwodną uwagę między homary a torpedy, zwierzył się Homerowi, że „czyta z saków” – co miało znaczyć, że zawartość wyciąganych z wody pułapek uważa za godną głębszej interpretacji. Znakiem szczególnym była nietknięta przynęta: skoro homary (które wolą padlinę) nie ruszyły przynęty, to znaczy, że symbolizowała ona żywego ducha.

– Znasz mnie: nie jestem religijny – zaznaczył Ray.

– Jasne – przytaknął Homer.

Homerowi, który latami zadawał sobie pytanie, czy matka kiedykolwiek po niego wróci, czy czasem o nim myśli, czy w ogóle żyje – było łatwiej niż innym zaakceptować nieokreślony status Wally'ego. Sierota wie, co to znaczy, że ktoś bardzo ważny „zaginął bez wieści”. Oliwia i Candy tłumaczyły sobie spokój Homera jako obojętność i nieraz okazywały mu z tej racji zniecierpliwienie.

– Robię jedynie to, co nam wszystkim pozostało – tłumaczył się w takich chwilach Homer i, zerkając ukradkiem na Candy, dodawał: – Czekam, co czas pokaże.

Pokaz sztucznych ogni z okazji Czwartego Lipca tego roku był bardzo skromny, częściowo z powodu obowiązku zaciemnienia, a częściowo dlatego, że wszelka zabawa z ogniem i strzelaniną wydawała się ludziom nietaktem wobec „naszych chłopców”, którzy w tej samej chwili doświadczali ognia i huku na frontach wojny. W szpitalu Cape Kenneth niższy personel pielęgniarski na nocnym dyżurze urządził małą uroczystość na cześć Święta Niepodległości. Uroczystość zakłócały histeryczne wrzaski pacjentki, domagającej się, aby doktor Harlow (bezwzględny legalista) dokonał na niej aborcji.

– Przecież jest wojna! – darła się kobieta.

Jej mąż nie żył; zginął na Pacyfiku. Na dowód przyniosła telegram z Departamentu Wojny. Miała dziewiętnaście lat. W ciąży była od niespełna trzech miesięcy.

– Chętnie porozmawiam z nią jeszcze raz, jak się uspokoi – powiedział doktor Harlow siostrze Karolinie.

– A co ją ma uspokoić? – spytała śmiało siostra Karolina.

Co do siostry Karoliny, Homer postanowił zaufać instynktowi. Dodatkowej życzliwości nabrał do niej, gdy zwierzyła się im obojgu z Candy, że jest socjalistką.

– A poza tym nie jestem ładna – mówiła siostra Karolina – więc nie rozglądam się za mężem. Ludzie pewnie myślą, że powinnam być wdzięczna za to, co mam, i uważać się za szczęściarę.

Rozhisteryzowana pacjentka nie dawała się uspokoić – może dlatego, że siostra Karolina uspokajała ją bez wielkiego przekonania.

– Ja nie proszę o pokątną usługę! – wrzeszczała ciężarna dziewczyna. – Dlaczego we mnie wmuszacie to dziecko?

Homer Wells znalazł kartę do analizy poliniowaną rubrykami i napisał wielkimi literami w poprzek rubryk: JEDŹ DO ST. CLOUD'S, PYTAJ O SIEROCINIEC. Kartkę podał Candy, która z kolei podała ją siostrze Karolinie. Siostra Karolina przeczytała i pokazała pacjentce, która z miejsca przestała się awanturować.

Poszła sobie, a wtedy siostra Karolina zaprosiła Homera i Candy do pokoju zabiegowego.

– Powiem wam, co ja zwykle robię w takich przypadkach: powoduję absolutnie bezpieczne rozwarcie bez łyżeczkowania. Tylko rozszerzam szyjkę macicy. U siebie w domu, w kuchni. Robię to bardzo ostrożnie. Potem, oczywiście, babki muszą się zgłaszać do szpitala na dokończenie. Ktoś czasem może podejrzewać, że same się tak urządziły – ale nie ma śladów infekcji ani żadnych uszkodzeń: zwyczajne poronienie. Wykonuję pół zabiegu. Zostaje tylko staranne łyżeczkowanie. Wtedy dranie nie mają wyjścia: muszą je zrobić, jak widzą krwotok i wiadomo, że ciąża i tak przepadła. – W tym miejscu siostra Karolina przerwała i zerknęła bacznie na Homera Wellsa. – Ty też się na tym nieźle znasz, co?

– Jasne – potwierdził Homer.

– Masz lepszy sposób od mojego?

– Podobny. Tylko do końca. A doktor jest dżentelmenem.

– Dżentelmenem... – powtórzyła sceptycznie siostra Karolina. – Ile taki dżentelmen kosztuje?

– Nic nie kosztuje – odparł Homer.

– To tak jak ja – ucieszyła się siostra Karolina.

– Najwyżej proponuje datek na sierociniec, jeżeli pacjentka może sobie na to pozwolić – dodał Homer Wells.

– Jak to możliwe, że go jeszcze nie dopadli? – zdziwiła się siostra Karolina.

– Nie mam pojęcia – powiedział Homer. – Może ludzie milczą przez wdzięczność.

– Ludzie są tylko ludźmi – rzekła na to siostra Karolina tonem socjalistycznej agitacji. – Głupio ryzykowałeś mówiąc mi o tym lekarzu. A jeszcze większe głupstwo zrobiłeś, dając adres tej dziewczynie; nawet nie wiesz, co to za jedna.

– To prawda – przyznał Homer.

– Jak dalej będziesz taki nieostrożny, twój doktor wyleci z posady – dodała siostra Karolina.

– Jasne – powiedział Homer.

Gdy do pokoju zabiegowego zajrzał doktor Harlow, tylko Candy miała minę winowajczynie, więc na niej właśnie skupił całą uwagę.

– Pobiera pani korepetycje u naszych ekspertów? – zagadnął. Kiedy zdawało mu się, że nikt tego nie widzi, doktor Harlow chętnie przyglądał się Candy, nieświadom, że Homer Wells dawno to zauważył – a co dopiero siostra Karolina, wyczulona na każdy odruch pożądania obudzony przez inną kobietę. Candy chwilowo nie była w stanie wykrztusić ani słowa (co czyniło ją tym bardziej podejrzaną), więc doktor Harlow zwrócił się do siostry Karoliny. – Pozbyła się siostra tej histeryczki?

– Bez trudu – odparła siostra Karolina.

– Wiem, że siostra nie pochwała mojej postawy, ale każdy przepis ma swoje uzasadnienie.

– Każdy przepis ma swoje uzasadnienie – powtórzył mimo woli Homer Wells. Frazes wydał mu się tak głupi, że wprost nie mógł się powstrzymać przed powtórzeniem go na głos. Doktor Harlow spiorunował Homera wzrokiem.

– Na aborcji też pewnie świetnie się pan zna, Wells – uśmiechnął się krzywo.

– Nietrudno znać się na aborcji – odpowiedział Homer Wells. – To stosunkowo prosty zabieg.

– Tak pan uważa? – spytał zaczepnie doktor Harlow.

– Cóż, może za mało wiem – wycofał się Homer.

– Właśnie, może za mało pan wie – zgodził się doktor Harlow.

– O wiele za mało – burknęła pod nosem siostra Karolina, co spodobało się nawet doktorowi Harlowowi. Candy też się uśmiechnęła. A Homer Wells, z pokorną, przepraszającą miną, pomyślał w duchu: widzicie, jaki się robię cwany? Myśl tę



przekazał w uśmiechu siostrze Karolinie, która spojrzała na niego pogardliwie – właśnie tak, jak pielęgniarka powinna spoglądać na sanitariusza. Doktor Harlow uspokoił się widząc, że właściwa hierarchia, o którą tak dbał, została należycie uszanowana przez wszystkie zainteresowane strony. Oblicze doktora sprawiało wrażenie powleczonego lukrem prawomyślności zaprawionej adrenaliną. Homer Wells z niejaką przyjemnością wyobraził sobie coś, co mogłoby doktora Harlowa otrzeźwić i upokorzyć: spotkanie z nożem Pana Rose. Wyobraził sobie, jak Pan Rose po mistrzowsku rozbiera nożem doktora Harlowa, jak poszczególne części garderoby opadają w strzępach do stóp pyszałka, a ostrze ani razu przy tym nie muska nagiej skóry.

W miesiąc po zestrzeleniu samolotu Wally'ego przysła wiadomość od załogi „Okazji”.

„Znajdowaliśmy się w połowie drogi do Chin – pisał drugi pilot – gdy kurduple zaczęły do nas strzelać. Kapitan Worthington wydał załodze rozkaz katapultowania się.”

Szef załogi i radiotelegrafista wyskoczyli razem, za nimi drugi pilot. Dżungla była tak gęsta, że gdy pierwszy skoczek przebił się przez korony drzew, stracił z oczu pozostałe spadochrony. Potem długo szukali się w gęstwinie: drugi pilot trafił na radiotelegrafistę dopiero po kilku godzinach. Ulewny deszcz tak głośno bębnił o szerokie liście palm, że żaden z ocalałych nie słyszał eksplozji samolotu, a smród płonącej benzyny i dymu nie przedarł się przez wonną atmosferę dżungli. Zastanawiali się nawet, czy samolot w cudowny sposób nie odzyskał wysokości i nie poleciał dalej. Nad sobą nie widzieli jednak nieba, tylko zwarty dach listowia, połyskujący mnóstwem lśniących, jaskrawozielonych gołębi.

W ciągu paru godzin dowódcę załogi zaatakowało trzynaście pijawek różnych rozmiarów, które radiotelegrafista sumiennie zeń zdejmował. Dowódca w tym samym czasie zdjął z radiotelegrafisty piętnaście pijawek. Stwierdzili, że najlepszą metodą na pozbycie się pijawki jest przypalić jej odwłok papierosem: wtedy sama puszcza ciało. Natomiast próba oderwania pijawki siłą kończyła się rozerwaniem jej i pozostawieniem w ciele potężnej ssawki.

Radiotelegrafista i dowódca załogi nie jedli nic przez pięć dni. Kiedy padał deszcz – a padał prawie bez przerwy – pili wodę zbierającą się w kałuże na wielkich palmowych liściach. Bali się pić z naturalnych zbiorników, gdyż gdzieś zauważyli krokodyle. Ponieważ radiotelegrafista strasznie bał się węży, dowódca nie pokazywał mu węży, które sam dostrzegł. Dowódca z kolei bał się tygrysów: raz zdawało mu się, że widzi między drzewami drapieżnika, ale radiotelegrafista zapewnił go, że ryk tygrysa dobiega z bardzo daleka – może to ryczało kilka tygrysów na zmianę; a może wciąż ten sam. Dowódca opowiadał potem, że przez pięć dni tropił ich w dżungli tygrys.

Najbardziej, jak twierdzili, dokuczały im pijawki. Deszcz bębnił donośnie o gęsty dach listowia, ale prawie nie przedostawał się do środka; mimo to wilgotność pod drzewami była tak znaczna, że krople unosiły się w powietrzu i wszystko ociekało wodą. Nawet gdy deszcz na krótko ustawał, słońce nie docierało do poszycia; tylko ptactwo, milczące w czasie ulewy, korzystało z krótkiej okazji, żeby głośno zaprotestować przeciwko monsunowi.

Radiotelegrafista i dowódca załogi nie mieli pojęcia, gdzie mogą się znajdować Wally i drugi pilot. Piątego dnia natknęli się na drugiego pilota, który dotarł do wioski tubylców na dzień przed nimi. Pijawki dały mu się mocno we znaki, gdyż szedł sam i do niektórych po prostu nie mógł sięgnąć ognikiem papierosa. Dopiero tubylcy wprawnie zdjęli sporą ich liczbę, przyssaną pośrodku pleców drugiego pilota. Posługiwali się przy tym zapalonym na końcu jak cygaro pędem bambusa. Tubylcy okazali się sympatycznymi Birmańczykami: nie mówili, co prawda, po angielsku, lecz zdołali innymi metodami przekazać lotnikom, że nie pochwalają japońskiej inwazji i że znają drogę do Chin.

Ale gdzie był Wally? Drugi pilot wylądował w gaju bambusowym: musiał wycinać sobie drogę przez gąszcz łodyg grubości męskiego uda. Ostrze maczety tak się przy tym stępiło i zaokrągliło, że trudno je było odróżnić od grzbietu.

Birmańczycy dali trzem skoczkom do zrozumienia, że nie są w ich wiosce bezpieczni i nie powinni tam czekać na Wally'ego. Grupa wieśniaków miała zatem przeprowadzić amerykańskich lotników do Chin. Potrzebny był kamuflaż, żeby nie rozpoznano białych mężczyzn: ich twarze poczerniono sokiem z dzikich jagód, a we włosy wpięto im orchidee.

Pieszka przeprawa trwała dwadzieścia dni. Pokonali trzysta sześćdziesiąt kilometrów. Nie gotowali po drodze: pod koniec marszu ryż, który stanowił ich prowiant, zgliwiiał od deszczu. Dowódca załogi skarżył się na zatwardzenie; drugi pilot

panikował, że umiera na rozwolnienie. Radiotelegrafista wydalął twarde bobki, jak zając, i przez piętnaście z dwudziestu dni marszu cierpiał na niewysoką gorączkę: jego głowa porosła hełmem liszaja obrączkowego. Stracili na wadze po dobre dwadzieścia kilogramów.

Po dotarciu do amerykańskiej bazy lotniczej w Chinach spędzili tydzień w szpitalu. Potem odtransportowano ich drogą lotniczą do Indii, gdzie drugi pilot, zakażony amebą, wrócił do szpitala. Należało stwierdzić, który rodzaj ameby go zaatakował, i przeprowadzić kurację. Chory uskarżał się na bóle jelita grubego i długotrwałe zaparcie. Radiotelegrafista (z liszajem) powrócił do normalnych zadań. „Kiedy nas przyjmowali do szpitala w Chinach, zabrali nam cały sprzęt” – pisał w liście do Oliwii. „Oddali wszystko razem, wymieszane. W tym cztery kompasy. Nas było trzech, a kompasy cztery. Któryś z nas widocznie wyskoczył z kompasem kapitana Worthingtona.” Radiotelegrafista stwierdził, że wolałby rozbić się na miejscu razem z samolotem, niż wylądować w tym rejonie Birmy bez kompasu.

W sierpniu 194- Birma oficjalnie wypowiedziała wojnę Wielkiej Brytanii i Stanom Zjednoczonym. Candy poprosiła Homera o znalezienie nowego miejsca na wieczorne rozmowy: z przystani, gdzie tak często siadywała z Wallym, chciało jej się już tylko skoczyć do morza. I nic to nie pomagało, że teraz siadywał tam z nią Homer Wells.

– Znam dobre miejsce – powiedział Homer.

Może Oliwia miała rację – pomyślał. Może nie na darmo odmalowało się tłocznię win. W czasie deszczu Candy słuchała bębnienia kropel po blaszanym dachu i zastanawiała się, czy w dżungli deszcz bębni tak samo głośno, czy też może głośniejsze, i czy słodkawa woń zgniłych jabłek ma cokolwiek wspólnego z dusznym odorem nieustającego rozkładu, przenikającym poszycie dżungli. Kiedy zaś deszcz nie padał, Candy siadywała na dachu. Czasami pozwalała Homerowi opowiadać. Tam właśnie, na dachu tłoczni – czy to ośmielony brakiem iluminacji diabelskiego młyna, czy interpretacjami zjawiska ciemności przez Pana Rose – Homer Wells opowiedział Candy wszystko o sobie.

Tego lata Wilbur Larch napisał kolejny list do państwa Rooseveltów. Kolejny – bo tyle razy „pisywał” do nich spod firmamentu eterowych gwiazd, że w końcu sam stracił pewność, czy istotnie już wysłał jakieś listy, czy tylko to sobie wyobrażał. Zawsze pisał jednocześnie do obojga prezydentostwa.

Najczęściej zaczynał tak: „Szanowny Panie Prezydencie!”, a do Prezydentowej: „Szanowna Pani Roosevelt!”. Od czasu do czasu pozwalał sobie na większą poufalość: „Drogi Franklinie Delano Roosevelt!”, a raz nawet: „Droga Eleonoro!”

Tego lata przybrał ton neutralny i rozpoczął list inwokacją: „Panie Roosevelt!”, bez czułości. „Domyślam się, jak bardzo jest pan zajęty wojną, lecz mimo to pragnę się odwołać do Pańskiego humanitaryzmu i oddania sprawie ubogich i zaniedbanych, zwłaszcza dzieci...” Do pani Roosevelt skierował zaś następujące słowa: „Domyślam się, jak zajęty człowiekiem jest Małżonek Pani, jednak chciałbym prosić o zarekomendowanie Mu sprawy niezwyklej wagi, dotyczącej praw kobiet i problemu nie chcianych dzieci...”

Chaotyczna konfiguracja światła jarzących się na suficie gabinetu zabiegowego potęgowała zagmatwany wywód, który doktor Larch snuł w swym podwójnym liście.

„Ci sami ludzie, którzy nas namawiają do obrony nie narodzonych, przestają bronić kogokolwiek prócz siebie samych, ledwie narodziny dojdą do skutku. Ci sami, którzy głośno deklarują miłość do duszy nie narodzonego, odmawiają grosza i pomocy ludziom biednym, nie chcianym i prześladowanym. Czym usprawiedliwiają wielką troskę o płód ludzki, połączoną z równie wielką obojętnością wobec odrzuconego, maltretowanego dziecka? Zrzucają winę za przypadek poczęcia na rodziców, potępiają najuboższych – tak jakby biedni byli biednymi z wyboru. Owszem, biedni mogliby starać się wyrwać z nędzy, gdyby dać im szansę kontrolowania liczebności potomstwa. Zawsze uważałem wolność wyboru za sztandarową cechę demokracji – a więc i Ameryki!

Państwo są bohaterami narodowymi! Dla mnie przynajmniej są Państwo bohaterami. Jak zatem mogą Państwo patrzeć spokojnie na antyamerykańskie, antidemokratyczne prawo aborcyjne w naszej Ojczyźnie?”

Doktor Larch już od dobrej chwili nie pisał, tylko deklamował głośno treści, które miały stanowić część listu do prezydenta. Siostra Edna zatrzymała się przy otwartych drzwiach pokoju zabiegowego i zabębniła w nieprzezroczystą szybę.

„Czy demokratyczne społeczeństwo skazuje obywateli na przypadek poczęcia?” – perorował Wilbur Larch. „Kim my jesteśmy – małpami? Jeśli chcemy wykształcić w ludziach odpowiedzialność za własne dzieci, musimy przede wszystkim dać im prawo wyboru w kwestii posiadania potomstwa. Czy tego nie widzicie? Jeżeli nie, to jesteście gorzej niż ograniczeni: jesteście potworami!” Wilbur Larch tak się rozwrzeszczał, że siostra Edna wkroczyła do gabinetu i potrząsając energicznie ramieniem doktora, perswadowała mu:

– Wilburze, dzieci słyszą. Pacjentki słyszą. Słyszą cię w całym szpitalu.

– Bzdura, nikt mnie nie słyszy – wymamrotał doktor Larch. Siostra Edna poznała tik w policzku i bezwładność dolnej wargi – nieomyślne oznaki budzenia się z eteru. – Prezydent nigdy nie odpowiada na moje listy – poskarżył się płaczliwie Larch siostrze Ednie.

– Prezydent ma wiele zajęć – odrzekła siostra Edna. – Może nawet nie czyta osobiście twoich listów.

– A Eleonora?

– Co Eleonora? – nie zrozumiała siostra Edna.

– Ona też nie czyta listów osobiście? – spytał Wilbur Larch płaczliwym tonem rozżalonego dziecka. Siostra Edna poklepała go uspokajająco po grzbiecie dłoni, usianym brązowymi piegami.

– Pani Roosevelt też jest bardzo zajęta – powiedziała. – Ale na pewno w końcu ci odpisze.

– Już lata minęły – westchnął doktor Larch, odwracając się do ściany. Siostra Edna pozwoliła mu chwilę podrzemać w tej pozycji. Opanowała pokusę dotknięcia śpiącego, chociaż miała wielką chęć odgarnąć mu włosy z czoła – zawsze łagodziła tym gestem niepokoje wychowanków. Czy wszyscy na nowo dziecińniejemy? – pomyślała. I czy to prawda, co twierdziła siostra Angela: że na starość upodabniamy się do siebie, nawet fizycznie? Ktoś, kto po raz pierwszy odwiedziłby St. Cloud's, mógłby ich wziąć teraz za rodzeństwo.

Nagle do pokoju zabiegowego wpadła siostra Angela.

– No, jak tam, ocknął się już? – spytała bezceremonialnie. – Co się z siostrą dzieje? Prosiłam o całe pudełko!

– Całe pudełko czego? – spytała zdezorientowana siostra Edna.

– Merkurochromu – przypomniała jej surowym tonem siostra Angela. – Prosiłam o merkurochrom. Na sali porodowej nie ma ani kropli.

– Ojej, zapomniałam! – zawstydzila się siostra Edna i wybuchnęła płaczem.

Wilbur Larch ocknął się.

– Dobrze wiem, jacy państwo oboje są zajęci – zwrócił się uprzejmie do małżeństwa Rooseveltów, w którym po chwili rozpoznał siostrę Ednę i siostrę Angelę. Wyciągały ku niemu spracowane dłonie. – Moje wierne przyjaciółki! – zaintonował Larch, jakby przemawiał do wielkiego audytorium. – Moje drogie współpracownice! – Wpadł w ton kampanii wyborczej kandydata ubiegającego się ponownie o

stanowisko: w jego głosie czuło się znużenie, ale i szczerzy apel o poparcie, skierowany do wiernych towarzyszek, szanujących, tak jak on, dzieło Boże.

Oliwia Worthington siedziała w pokoju Wally'ego przy zgaszonym świetle, żeby Homer nie domyślił się jej obecności, patrząc na dom z zewnątrz. Oliwia wiedziała, że Homer i Candy są w tłoczni win. Próbowała sobie wmówić, że nie ma nic przeciwko temu, żeby Homer podtrzymywał Candy na duchu. (Jej samej Homer bynajmniej nie podtrzymywał na duchu; przeciwnie – odkąd Wally zaginął, obecność Homera działała Oliwii na nerwy, a fakt, że miała o to do siebie pretensje i bardzo rzadko dawała upust irytacji, świadczył o sile jej charakteru.) Co do Candy – Oliwia nigdy nie zarzuciłaby jej zdrady; nawet gdyby Candy ogłosiła wszem i wobec, że rezygnuje z Wally'ego i wychodzi za Homera Wellsa. Oliwia dobrze знаła Candy i wiedziała, że Candy zrezygnuje z Wally'ego dopiero, gdy uwierzy, że on nie żyje – czego Oliwia nie przyjmowała do wiadomości. Nie czuła, że jej syn umarł! To nie wina Homera, że on jest tutaj, a Wally tam – przypomniała sobie na wszelki wypadek.

Po pokoju latał komar. Jego przenikliwe bzyczenie tak Oliwię denerwowało, że w końcu zapomniała, czemu siedzi po ciemku, i zapaliła światło, żeby zapolować na owada. Tam, gdzie jest Wally, komary są podobno o wiele gorsze – przeszło jej przez myśl. W Birmie żyją podobno komary nakrapiane, znacznie większe niż odmiana popularna w Maine.

Ray Kendall też siedział sam, ale nie przejmował się komarami. Noc była spokojna. Ray obserwował, jak bezgłówna łuna błyskawicy termicznej łamie nakaz zaciemnienia obowiązujący wzdłuż całego wybrzeża. Martwił się o Candy. On sam, Raymond Kendall, wiedział najlepiej, jak śmierć bliskiej osoby potrafi sparaliżować życie; dlatego martwił się (na zapas), że utrata Wally'ego może zaszkodzić Candy.

– Na jej miejscu wziąłbym tego drugiego – powiedział głośno Ray.

„Ten drugi” był bardziej podobny do Raya, i Ray o tym wiedział: nie żeby wolał Homera Wellsa od Wally'ego – po prostu lepiej go rozumiał. Na pomoście, gdzie Ray snuł swoje rozmyślenia, było jak zwykle sporo ślimaków, ale Ray ani jednego nie oderwał od deski: wiedział, ile czasu potrzebuje ślimak na dojście tam, gdzie chce dojść.

– Za każdym razem, jak wrzucasz ślimaka z pomostu do wody, każesz mu zaczynać życie od nowa – drażnił się Ray z Homerem.

– Może w ten sposób oddaję mu przysługę – odpowiadał Homer Wells, sierota. Ray nie mógł ukryć przed sobą, że lubi tego chłopaka.

Błyskawica termiczna prezentowała się mniej imponująco z dachu tłoczni, skąd nawet przy najjaśniejszych rozbłyskach nie było widać morza. Za to obserwowana z dachu budziła większy niepokój: daleka i bezgłówna, przypominała Homerowi i Candy o wojnie, która trwa, lecz oni jej nie odczuwają ani nie słyszą. Dla nich dwojga ta wojna była batalią odległych, niemych błysków.

– Mam przeczucie, że on żyje – powiedziała Candy do Homera. Siedząc na dachu, zawsze trzymali się za ręce.

– Mam przeczucie, że on nie żyje – powiedział Homer Wells.

W tym samym momencie ujrzeni, że w oknie Wally'ego zapaliło się światło.

Tej sierpniowej nocy gałęzie jabłoni gięły się pod ciężarem obfitości owoców, bladezielonych z coraz wyraźniejszą zapowiedzią rumieńca; wyjątek stanowiły intensywnie zielone, jakby nawoskowane grapszyny. Trawa między szpalerami drzew urosła po kolana i czekała na ostatnie koszenie przed zbiorami. Z sadu zwanego Kurkowe Wzgórze pohukiwała sowa, a od strony innego sadu, zwanego Patelnią, Candy i Homer posłyszeli szczekanie lisa.

– Lisy potrafią łązić po drzewach – powiedział Homer Wells.

– Nieprawda – zaprzeczyła Candy.

– Właśnie że tak, przynajmniej po jabłoniach. Wally mi mówił.

– On żyje – szepnęła Candy.

Mocniejszy rozbłysk łuny termicznej oświetlił jej twarz i Homer ujrzał połyskujące na policzkach łzy. Całując ją, czuł w ustach słoną wilgoć. Całowanie się na szczycie dachu tłoczni win było pomysłem z gatunku akrobatycznych i ryzykownych.

– Kocham cię – powiedział Homer Wells.

– I ja cię kocham – powiedziała Candy. – Ale on żyje.

– On nie żyje.

– Ja go kocham.

– Wiem o tym – rzekł Homer. – Ja też go kocham.

Candy przechyliła się i położyła głowę na piersi Homera, żeby mógł ją całować. Homer objął ją jedną ręką, a druga jego dłoń zabłądziła na pierś Candy, skąd już się nie cofnęła.

– To takie trudne – wyszeptała Candy, ale Homer nie zabrał ręki. Od morza łyssała pulsująca łuna i szła delikatna bryza – tak słaba, że ledwie poruszała liście jabłoni i włosy Candy.

W pokoju Wally'ego Oliwia przepędziła komara spod abażuru (gdzie nie mogła go pacnąć) na białą ścianę nad łóżkiem Homera. Tam rozgniotła go nasadą dłoni – i bardzo się zdumiała, bo po komarze została plama krwi wielkości dziesięciocentówki: paskudnik nieźle opił się przed śmiercią. Oliwia spróbowała zetrzeć plamę ze ściany poślinionym palcem wskazującym, ale tylko ją rozmazała. Zła na siebie, zeszła z łóżka Homera, odruchowo wygładzając nietkniętą przecież poduszkę, po czym wygładziła również poduszkę Wally'ego i zgasiła nocną lampkę. Stała w drzwiach pustego pokoju, jakby dokonywała ostatecznej inspekcji; wreszcie zgasiła również górną lampę.

Pomagając Candy zejść z dachu, Homer objął jej biodra. Oboje czuli, że jakkolwiek niebezpiecznie było całować się na krokwi, na ziemi czyha znacznie większe zagrożenie. Stali obejmując się lekko; Homer opierał podbródek na czole Candy; Candy lekko kręciła głową, jakby chciała powiedzieć „nie, nie” (ale bez przekonania). I nagle oboje uprzytomnili sobie, że światło w oknie Wally'ego już się nie świeci. Przytuleni poszli powoli do baraku tłoczni; wysoka trawa plątała się wokół ich stóp.

Przytrzymali wahadłowe drzwi, żeby nie trzasnęły. Kto mógł usłyszeć? Nie chcieli mącić ciemności: ponieważ żadne z nich nie sięgnęło do kontaktu w kuchni, odżegnali się jak gdyby od regulaminu tłoczni win wywieszonego tuż przy nim. Nikłe błyski łuny wskazały im drogę do sypialni z podwójnym szpalerem żelaznych łóżek o obnażonych, twardych sprężynach. W nogach każdego łóżka leżał zwinięty po wojskowemu stary materac. Jeden rozwinęli.

Wielu przyjezdnych korzystało z tego łóżka i bogaty był katalog śnionych na nim snów. Cichy, gardłowy jęk Candy ledwo dał się słyszeć przez zgrzytliwe skrzypienie pordzewiałych sprężyn. W powietrzu przesyconym wonią sfermentowanych jabłek jęk ten był tak samo delikatny jak dotyk dłoni Candy, trzepoczących się jak dwa motyle na plecach Homera. Lecz nagle te lekkie dłonie przyciągnęły go z całej siły, a palce wbiły się głęboko w ciało. Tym razem jęk, który się wyrwał z ust Candy, zagłuszył sprężyny i mocą dorównał niemal okrzykowi Homera. Ten chłopak, którego krzyk stał się za młodu legendą Wodospadu Trzy Mile, potrafił wydać głos.

Oliwia Worthington, leżąc sztywno w łóżku, słuchała dźwięków dochodzących od strony Kurkowego Wzgórza i myślała, że to pewnie sowa. Czemu tak pohukuje? – dziwiła się Oliwia. Chwytała każdą myśl, która mogła odwieść jej uwagę od wizji strasznych komarów w dżungli birmańskiej.



Pani Grogan także nie spała. Zdjął ją nagły lęk o własną duszę – chociaż w istocie nie miała się czego lękać, gdyż żałobne pohukiwanie, które słyszała, pochodziło od zwyczajnej sowy.

Wilbur Larch, który zdawał się nigdy nie sypiać, z wprawą wirtuoza przesuwając zwinne palce po klawiszach maszyny do pisania w gabinecie siostry Angeli, pisząc: „Serdecznie Pana proszę, Panie Prezydencie”.

Dla małego Steerfortha, uczulonego na kurz i pleśń, była to ciężka noc. Zdawało mu się, że nie ma czym oddychać. Ale nie chciało mu się wstawać z łóżka, więc smarkał w poduszkę. Zaalarmowana odgłosem siostra Edna natychmiast doń przybiegła. Alergia Steerfortha miała charakter dość łagodny, ale poprzednim wychowankiem uczulonym na kurz i pleśń był w St. Cloud’s Fuzzy Stone.

„Zrobił Pan już tak wiele dobrego” – pisał Wilbur Larch do Franklina D. Roosevelta. „Pański głos przez radio daje mi nadzieję. Jako lekarz potrafię w pełni docenić Pańskie osobiste, heroiczne zwycięstwo nad okrutną chorobą, która Pana dotknęła. Żaden z Pana następców nie może odtąd poniechać idei służenia biednym i zaniedbanym, bo nie pozwoli mu na to wstyd – a przynajmniej nie powinien pozwolić...”

Ray Kendall leżał wyciągnięty na pomoście, jakby go wyrzuciła morska fala, i nie mógł się zmusić do powstania, wejścia do domu i położenia się do łóżka. Taka bezwietrzna, „stojąca” pogoda rzadko się zdarzała na wybrzeżu; był to typowy klimat St. Cloud’s.

„Widziałem zdjęcie Pana z żoną na mszy w kościele – episkopalnym, jeśli się nie mylę” – kontynuował Wilbur Larch swój list do prezydenta. „Nie wiem, co Kościół Episkopalny mówi wiernym o aborcji, lecz jedno powinien Pan wiedzieć koniecznie: trzydzieści pięć do czterdziestu pięciu procent ludności naszego kraju przyszło na świat jako dzieci nie planowane i nie chciane. Ludzie zamożni na ogół pragną potomstwa, dlatego w tej grupie procent dzieci nie chcianych wynosi zaledwie siedemnaście. A BIEDNI? AŻ czterdzieści dwa procent dzieci urodzonych w nędzy przyszło na świat wbrew woli rodziców. To prawie połowa, Panie Prezydencie. A przecież nie żyjemy w epoce Bena Franklina, który (jak Panu zapewne wiadomo) był wielkim zwolennikiem przyrostu ludności. Pańska administracja stawia sobie za cel zapewnienie wszystkim obywatelom pracy i godziwych warunków życia. Ci, którzy występują w obronie nie narodzonych, powinni czasem przyjrzeć się egzystencji bliźnich, którzy już są na tym świecie. Pan, Prezydencie Roosevelt – Pan zwłaszcza! –

powinien rozumieć, że nie narodził się nie cierpi i nie potrzebuje wsparcia tak bardzo jak narodził się! Niechże się Pan zlituje nad narodzonymi!”

Oliwia Worthington przewracała się z boku na bok, modląc się w kółko: Zlituj się nad moim synem!

Na jabłoni w sadzie zwanym Patelnią przycupnął w rozwidleniu między konarami rudy lis: nastawił czujnie uszy, uniósł nos, a lekki ogon wznosił jak chorągiewkę i lustrował sad okiem drapieżcy. Ziemia pod nim roiała się od gryzoni, ale lis nie wdrapał się na drzewo dla pięknych widoków: wskoczył tam, by zjeść ptaka, którego pióro zaplątało się w wąsiki i ryżą bródkę spiczastego lisiego pyska.

Candy Kendall tuliła się kurczowo – tak, że mocniej już nie można – do Homera Wellsa i oboje razem uwolnili wstrzymane oddechy, poruszając stojące tej nocy powietrze. A drżące ze strachu myszki, uwijające się pod podłogą tłoczni, przystanąły na chwilę, nasłuchując kochanków. Myszki dobrze wiedziały, czego się boją: w okolicy czyhali sowa i lis. Ale do jakiego zwierzęcia należał nowy, przerażający odgłos? Sowa nie pohukuje podczas polowania; lis nie szczeka, gdy dopada ofiary. Więc co to za nowy zwierzę? – dziwiły się myszki z tłoczni win. Co za bestia wtargnęła w nasze progi i zakłóca spokój?

Czy trzeba jej się bardzo bać?

Wilbur Larch był zdania, że miłości zawsze trzeba się bać – i to bardzo. Za postępujący spadek własnej kondycji po odejściu Homera Wellsa winił właśnie miłość; na jej karb składał także nowe dla siebie cechy niezdecydowania i irytacji. Siostra Angela, gdyby ją zapytał, z łatwością wymieniłaby inne, obok miłości do Homera, przyczyny coraz częstszych u doktora napadów ponuractwa i złości: pięćdziesięcioletnie uzależnienie od eteru i podeszły wiek. Gdyby zaś spytał o zdanie panią Grogan, usłyszałby, że choruje nie tyle na miłość, co na tak zwany przez nią „syndrom St. Cloud’s”. Co do siostry Edny, to za nic nie zdobyłaby się ona na obwinianie miłości o jakiegokolwiek złe wpływy.

Ale Wilbur Larch uważał miłość za chorobę groźniejszą nawet od paraliżu dziecięcego, z którym tak bohatersko walczył prezydent Roosevelt. Czy można w tej sytuacji dziwić się, że owoc zapłodnienia nazywał niekiedy „produktem miłości” (choć siostry nie znosiły tego określenia). Czy doktor Larch nie miał podstaw do jak najsurowszego osądu miłości? Wszystko wszak – i owoce zapłodnienia, i ból towarzyszący ich usuwaniu, i kulawe żywoty wielu wychowanków

doktora Larcha – dowodziło, że miłość jest co najmniej tak groźna jak agresywny wirus.

Nawet gdyby poczuł siłę zderzenia ciał Candy i Homera; nawet gdyby mógł smakować ich pot i dotknąć napiętych mięśni lśniących pleców obojga; nawet gdyby słyszał ich jęki niecierpliwości i spełnienia – Wilbur Larch nie zmieniłby swego zdania o miłości. Przeciwnie: widok dzikiej namiętności utwierdziłby doktora Larcha w przekonaniu o niebezpieczeństwie miłości: Wilbur Larch przeraziłby się nie mniej niż myszy.

Doktor Larch twierdził, że miłość nigdy nie jest bezpieczna, nawet jeśli zainteresowani dadzą się namówić na stosowanie którejś z metod zapobiegania ciąży.

„Weźmy tak zwaną naturalną metodę obserwacji rytmu płodności” – zanotował Wilbur Larch. „U nas w St. Cloud’s można poznać osobiście niejedyn skuteczną metodę.”

Staraniem doktora Larcha wydrukowano ulotkę, która najzwyczajszą czcionką, wersalikami, wyszczególniała

#### POTOCZNE BŁĘDY W STOSOWANIU PREZERWATYWY

Doktor Larch przemawiał w tej ulotce jak do dzieci – część adresatów istotnie była dziećmi.

1. NIEKTÓRZY MĘŻCZYŹNI ZAKŁADAJĄ PREZERWATYWĘ NA SAM KONIEC PENISA. TO BŁĄD: PREZERWATYWA ZSUNIE SIĘ. MUSI BYĆ NACIĄGNIĘTA NA CAŁY PENIS. ZAKŁADAĆ JĄ NALEŻY W STANIE EREKCJI.

2. NIEKTÓRZY MĘŻCZYŹNI UŻYWAJĄ TEJ SAMEJ PREZERWATYWY DWA RAZY. TO TEŻ BŁĄD: PO UŻYCIU PREZERWATYWĘ NALEŻY WYRZUCIĆ, A OKOLICE NARZĄDÓW PŁCIOWYCH UMYĆ STARANNIE PRZED DALSZYM KONTAKTEM Z PARTNERKĄ. PLEMNIKI SĄ ŻYWE (PRZYNAJMNIEJ PRZEZ PEWIEN CZAS) I UMIEJĄ PŁYWAĆ.

3. NIEKTÓRZY MĘŻCZYŹNI ZA WCZEŚNIE WYJMĄ PREZERWATYWĘ Z OPAKOWANIA: ZBYT DŁUGO PRZED UŻYCIEM PODDAJĄ JĄ DZIAŁANIU ŚWIATŁA I POWIETRZA. SKUTKIEM JEST WYSYCHANIE PREZERWATYWY I

POWSTANIE W NIEJ PEKNIĘĆ I DZIUR. TO BŁĄD! PLEMNIKI SĄ BARDZO DROBNE I POTRAFIĄ PRZENIKAĆ PRZEZ NAJDROBNIJSZE SZCZELINY!

4. NIEKTÓRZY MEŹCZYŹNI POZOSTAJĄ WEWNĄTRZ PARTNERKI DŁUGO PO WYTRYSKU NASIENIA. TO WIELKI BŁĄD! PENIS KURCZY SIĘ! A WYCOFUJĄC Z POCHWY PARTNERKI PENIS, KTÓRY NIE JEST JUŻ W STANIE EREKCJI, MEŹCZYŻNA MOŻE ŁATWO DOPROWADZIĆ DO CAŁKOWITEGO ZSUNIĘCIA SIĘ PREZERWATYWY. MOŻNA TO POCZUĆ! PREZERWATYWA ZOSTAJE WÓWCZAS WEWNĄTRZ PARTNERKI WRAZ Z CAŁYM ŁADUNKIEM SPERMY!

A poza tym – dodałby do tej listy Homer Wells – chodzą po świecie mężczyźni (*vide* Herb Fowler), którzy rozdają bliźnim przedziurawione prezerwatywy.

W tłoczni win Sadów Z Widokiem Na Ocean Homer Wells i Candy Kendall leżeli skuleni ciasno jak myszy pod podłogą i nie mogli zdobyć się na rozluźnienie uścisku. Sprzyjał temu wąski materac, na którym mieścili się tylko ciasno złączeni. Sprzyjało temu i długie oczekiwanie na ten moment, pełne fantazji i wielkich nadziei. Dla obojga zdobycie się na ten krok miało wielkie znaczenie. Łączyła ich teraz miłość i żaloba: żadne bowiem nie pozwoliłoby drugiemu na to, co się stało, gdyby oboje po trosze nie wierzyli, że Wally nie żyje. I ta żalobna cząstka każdego z nich uczciła akt miłosny milczeniem i powagą. Dlatego na twarzach Candy i Homera nie malował się beztroski zachwyt, właściwy kochankom tuż po radosnym spełnieniu.

Homer Wells ukrył twarz we włosach Candy i marzył, że dopiero w tej chwili dojeżdża białym cadillakiem do celu podróży: Wally uwozi jego, Homera Wellsa, i Candy z St. Cloud's. Wally jest nadal dobrodziejem i panem sytuacji: to dzięki niemu Homer dociera bezpiecznie do upragnionej przystani. Pod własną pulsującą skronią czuł pulsującą skroń Candy: jej tętno kołysało Homera kojąco jak szum opon wielkiego białego cadillaca, uwożącego go z więzienia, gdzie przyszedł na świat. Łza potoczyła się po policzku Homera: podziękowałby teraz Wally'emu, gdyby mógł.

A gdyby mógł po ciemku dojrzeć rysy Candy, poznałby, że cząstka jej serca wciąż tkwi nad Birma.

Bardzo długo leżeli bez ruchu. Drgnęli zdumieni, kiedy pierwsza, najodważniejsza mysz przebiegła w poprzek ich gołych nóg. Homer Wells gwałtownie podskoczył, ukląkł i... dopiero po chwili uprzytomnił sobie, że prezerwatywa z całym

ładunkiem spermy została wewnątrz Candy. Punkt Czwarty ulotki Wilbura Larcha o potocznych błędach w stosowaniu prezerwatywy.

– Ojej – szepnął Homer Wells. Prędkimi, wrażliwymi, wprawnymi palcami prawej ręki, wskazującym i średnim, zręcznie wyłuskał zgubioną prezerwatywę. Zrobił to bardzo szybko, ale szczerze wątpił, czy dość szybko.

Candy nie chciała słuchać szczegółowych zaleceń Homera.

– Wiem, jak brać prysznic, Homerze – przerwała mu.

W ten sposób pierwsza miłosna noc, która tak długo w nich obojgu dojrzewała, zakończyła się w pośpiechu, serią typowych zabiegów mających udaremnić niepożądaną ciążę, której powód był również dość typowy.

– Kocham cię – powiedział Homer, całując Candy na dobranoc. Candy odwzajemniła mu się pocałunkiem pełnym namiętności i złości, i mocno – a zarazem z jakąś rozpaczliwą rezygnacją – ścisnęła jego dłonie. Po jej odejściu Homer stał jeszcze chwilę za akwariem z homarami: w ciszy słyhać było tylko pracę systemu doprowadzania i cyrkulacji tlenu, utrzymującego homary przy życiu. Na parkingu, gdzie stał Homer, walczyły z sobą dwa zapachy: solanki i oleju silnikowego. Nocna duchota ustąpiła miejsca chłodnej, mokrej mgłę od morza: nie było już błyskawicy termicznej, która – mizernie bo mizernie, ale jednak – oświetlała perspektywę Atlantyku.

Jeszcze bardzo niedawno Homer Wells myślał, że chyba dość się w życiu naczekał, co czas pokaże. Mylił się. Oto wynikła nowa sprawa, w której można było tylko czekać, co czas pokaże.

Wilbur Larch, który miał lat siedemdziesiąt parę i w dyscyplinie czekania, co czas pokaże, nie miał równych sobie na obszarze stanu Maine, jeszcze raz podniósł oczy na gwiaździsty firmament pokoju zabiegowego. Szczególnie przyjemnym efektem zażywania eteru było doraźne rozszczepienie jaźni, dzięki któremu zażywający mógł ujrzeć sam siebie z lotu ptaka. Wilbur Larch uśmiechnął się z oddali do własnej zjawy. Parę godzin wcześniej błogosławił adopcję małego Copperfielda z wadą wymowy.

– Cieszymy się razem z Copperfieldem – zaintonował doktor Larch. – Copperfield znalazł rodzinę. Dobranoc, Copperfield!

Dopiero teraz, w eterowej malignie, moment ten nabrał radosnego charakteru. Towarzyszące mu unisono chłopięcych głosów – jak chór anielski pod batutą doktora

Larcha – wesoło pożegnało Copperfielda wkraczającego na nową drogę życia. Rzeczywistość wyglądała inaczej. Copperfield był ulubieńcem najmłodszych sierot: siostra Angela powiadała, że Copperfield to „klajster”, bo swoją pocziwą, sepleniącą obecnością dodawał maluchom otuchy płynącej z trzymania się razem. Tego wieczoru ani jeden głos nie towarzyszył życzeniu doktora Larcha pod adresem Copperfielda. Dla samego doktora odejście Copperfielda stanowiło bodaj czy nie większy cios niż dla dzieci: w osobie Copperfielda odchodził z St. Cloud’s nie tylko ostatni wychowanek, któremu imię nadał Homer Wells, ale i ostatni, który zetknął się z Homerem osobiście. A więc kolejna cząstka Homera Wellsa ubyła w St. Cloud’s. Małego Steerfortha, którego Homer przyjął na świat i nazwał później niż Copperfielda, adoptowano już wcześniej.

Niech żyje eter, dzięki któremu doktor Larch mógł zmieniać historię! Kto wie, czy nie pod wpływem eteru zrodził się w doktorze impuls dokonania rewizji biografii Fuzzy’ego Stone’a. W eterowych marzeniach Larch nieraz ratował życie Wally’emu Worthingtonowi: samolot po wybuchu składał się z powrotem w całość i wracał na niebo, spadochron otwierał się wzorowo, a przyjazne prądy birmańskiego powietrza przenosiły Wally’ego, jak na zamówienie, wprost do Chin. Wilbur Larch z przyjemnością obserwował bezpieczny przelot Wally’ego ponad Japończykami, tygrysami, węzami i paskudnymi azjatyckimi chorobami. Chińczycy kłaniali się Wally’emu z wielką rewerencją, zachwyceni szlachetnością jego rysów, a zwłaszcza wystającymi kośćmi policzkowymi. Potem pomogli mu trafić do bazy, skąd Wally wrócił do domu, do dziewczyny. Wilbur Larch gorąco pragnął, aby Wally wrócił do Candy, gdyż tylko to dawało jakąkolwiek nadzieję na powrót Homera Wellsa do St. Cloud’s.

Od zestrzelenia samolotu Wally’ego upłynęły trzy miesiące. W Sadach Z Widokiem Na Ocean zaczęły się zbiory, a Candy Kendall nie miała już wątpliwości, że jest w ciąży. Znała objawy. Homer też.

Niewydarzona ekipa sezonowych pracowników co dzień zmieniała sad w pobożowisko: słomiane wdowy i narzeczone żołnierzy spadały z drzew jak gruszki, a uczniowie zwolnieni ze szkół do pomocy w zbiorach nie mieli za grosz wprawy w robocie. Zbiory roku 194- poczuły piętno wysiłku wojennego. Oliwia mianowała Homera brygadzystą młodzieży licealnej, która stosowała tak liczne metody

uszkodzenia owoców, że Homer związał się jak w ukropie, a i tak nie nadążał z instruktażem.

Candy pracowała w magazynie. Oliwii powiedziała, że częste napady mdłości, które jej dokuczają, to skutek smrodu paliwa i spalin z kursujących bez przerwy maszyn i pojazdów. Oliwia zdziwiła się, że córka poławiacza homarów i mechanika w jednej osobie jest wrażliwa na tego rodzaju zapachy, i zaproponowała Candy pracę przy zrywaniu jabłek. Candy wyznała na to, że kręci jej się w głowie, gdy wchodzi na drzewo.

– Od kiedy jesteś taka delikatna? – zdumiała się Oliwia, wyjątkowo aktywna w tegorocznych zbiorach i wdzięczna losowi za to, że ma co robić. Homerowi natomiast te zbiory przypominały lekcje „pływania w miejscu”. Uczyły go tej sztuki, kolejno, Candy i Oliwia. Określenia „pływanie w miejscu” używała Oliwia.

– Pływam w miejscu – zwierzył się Homer Candy. – Nie możemy zostawić Oliwii w środku zbiorów.

– Spróbuję maksymalnie się wysilać – powiedziała Candy. – Może poronię.

– A jeśli ja nie chcę, żebyś poroniła? – spytał Homer Wells.

– Jak to?

– Jeśli cię poproszę, żebyś została moją żoną i urodziła to dziecko?

Stali na końcu taśmy produkcyjnej w pakowalni. Candy dyrygowała grupą kobiet sortujących owoce pod względem wielkości i gatunku. Zdrowe jabłka szły do skrzynek, uszkodzone – na wino. Candy co chwila dostawała torsji, mimo że specjalnie ustawiła się na końcu taśmy, blisko otwartych drzwi.

– Musimy czekać, co czas pokaże – wystękała w przerwie między napadami torsji.

– Wcale nie trzeba długo czekać. Niedługo wszyscy zobaczą – uśmiechnął się Homer.

– Nie powinnam wychodzić za mąż przez najbliższy rok, albo dłużej – powiedziała Candy. – Chcę wyjść za ciebie, ale pomyśl o Oliwii... Musimy poczekać.

– Dziecko nie poczeka – odparł Homer.

– Oboje wiemy, gdzie należy się udać, żeby nie mieć dziecka – rzekła Candy.

– Albo żeby je mieć – skontrował Homer Wells. – To również moje dziecko.

– Przecież nie da się ukryć ciąży! Jak mam urodzić dziecko, żeby nikt tego nie zauważył? – ledwo zdążyła zadać to pytanie, znów złapały ją torsje. Big Dot Taft odeszła od swojego miejsca przy taśmie, ciekawa, co się dzieje.

– Jak ci nie wstyd, Homer, stać i gapić się, jak panienka wymiotuje! – zbesztła Homera. Objęła Candy potężnym ramieniem. – Odsuń się, złotko, od tych drzwi. Chodź na koniec taśmy: tam czuć tylko jabłka, a tu bez przerwy traktor smrodzi i dymi.

– No, to na razie – bąknął Homer do Candy i do Big Dot.

– Każdy normalny człowiek wstydzi się wymiotować przy płci odmiennej – fuknęła na pożegnanie Big Dot.

– Jasne – przyznał jej rację Homer Wells, sierota i ojciec *in spe*.

W Maine ceni się ludzi, którzy dużo wiedzą, a mało gadają. To, że nikt nie mówił o ciąży Candy, nie znaczy wcale, że nikt jej nie zauważył. Ludzie w Maine uważają, że każdy chłopak może zrobić brzuch każdej dziewczynie. To sprawa tylko ich dwojga. Jak chcą rady – mogą o nią poprosić.

„Co sierota wybierze w takiej sytuacji: sieroctwo czy aborcję?” – pytał kiedyś retorycznie w swoim dzienniku Wilbur Larch.

– Jasne, że aborcję! – odparła Melony, kiedy Homer Wells zadał jej to pytanie.

– A ty?

– Ja bym wolał sierotę.

– Marzyciel z ciebie, Słoneczko – skrzywiła się Melony.

Przypomniało mu się to teraz: tak, był marzycielem. Zajęty własnymi myślami, stale mylił pracujących w sadzie uczniów i zapisywał zebrane buszle nie tym, co trzeba. Dwóch chłopaków przyłapał na rzucaniu się jabłkami i postanowił ukarać ich dla przykładu, żeby na przyszłość uratować owoce i własny autorytet. Zaprowadził ich do szopy magazynu, kazał siedzieć spokojnie i wykluczył z porannego zbierania. Gdy wrócił do sadu, trwała tam regularna wojna na jabłka. Na widok Homera walczący złożyli amunicję. Homer zlustrował straty: w skrzynkach załadowanych wcześniej na przyczepę pełno było pestek, a gorące części traktora buchały wonią pieczonych jabłek – widocznie ktoś chował się przed „ostrzałem” za traktorem. Vernon Lynch lepiej by się nadawał na opiekuna brygady młodzieżowej – pomyślał Homer. Zależało mu tylko na jednym: na ostatecznym załatwieniu sprawy z Candy.

Znów zaczęli siadywać na pomoście u Raya Kendalla, ale teraz siadali blisko siebie i nie spędzali tam za dużo czasu: robiło się chłodno. Wybierali zawsze ten sam pal na końcu pomostu, przy którym Ray widywał przez okno Candy z Wallym. Nawet podobnie siedzieli (choć – uznał Ray – Wally zawsze trzymał się bardziej sztywno, jakby już był przypięty pasami do fotela pilota).



Ray Kendall rozumiał, dlaczego miłość jest dla Candy i Homera trudnym problemem. Rozumiał, i było mu żal, że nie mogą się cieszyć swoją miłością. Z drugiej strony, Ray darzył Oliwię największym szacunkiem – a wiedział, że to ze względu na nią Homer i Candy przyjęli rolę żałobników własnej miłości.

– Powinniście wyjechać, i tyle – powiedział Ray do widocznych w oddali sylwetek Homera i Candy. Powiedział to bardzo cicho, a okno było zamknięte.

Homer obawiał się, że jeśli będzie zanadto nakłaniał Candy do małżeństwa i urodzenia dziecka, zrazi ją całkiem do siebie. Widział, że Candy boi się Oliwii. Nie pociągała jej perspektywa drugiej aborcji. Bez wahania wyszłaby za Homera i urodziła dziecko – gdyby dało się uniknąć powiadomienia o tym Oliwii. Nie chodziło nawet o to, że Oliwia zarzuciłaby Candy, że nie dość mocno kochała Wally'ego – wiara Candy w to, że Wally ocalał, nigdy nie była tak mocna, jak wiara Oliwii. Często się jednak zdarza, że matka jedynaka i jego ukochana postrzegają się nawzajem jako rywalki.

Jeszcze bardziej zdumiały Homera własne uczucia, gdy je przeanalizował. O tym, że kocha i pragnie Candy, wiedział od dawna. Teraz stwierdził jednak, że jeszcze mocniej niż samej Candy pragnie jej dziecka.

Stanowili typową parę kochanków uwieczonych w pułapce zdarzeń: pewniej czuli się w świecie iluzji niż w świecie rzeczywistości.

– Po zbiorach wybierzemy się do St. Cloud's – zaproponował Homer. – Powiem, że mnie tam potrzebują. Przypuszczam zresztą, że to prawda. Jest wojna, nikt nie pamięta o sierocińcu. Powiesz tacie, że to też w związku z wysiłkiem wojennym. Oliwii powiemy, że oboje czujemy się w obowiązku być tam, gdzie nas najbardziej potrzebują: że chcemy być przydatni.

– Chcesz, żebym urodziła dziecko? – spytała Candy.

– Chcę, żebyś urodziła nasze dziecko – oświadczył Homer Wells. – A kiedy się urodzi i oboje dojdziecie do siebie, wrócimy tutaj. Twojemu tacie i Oliwii powiemy – albo do nich napiszemy – że zakochaliśmy się w sobie i wzięliśmy ślub.

– A przedtem poczęliśmy dziecko? – wpadła mu w słowo Candy. Homer Wells, patrząc w gwiazdy ponad czarnym pasem wybrzeża Maine – gwiazdy prawdziwe, błyszczące i zimne – miał na wszystko odpowiedź:

– Powiemy, że dziecko jest adoptowane. Że uznaliśmy to za swój obowiązek wobec sierocińca. Jeśli chodzi o mnie, to rzeczywiście poczuwam się do takiego obowiązku.

– Nasze dziecko? Adoptowane? – powtórzyła Candy ze zgrozą. – Chcesz, żeby nasze dziecko całe życie myślało, że jest sierotą?

– Nie – odparł Homer. – Dziecko będzie nasze i będzie o tym wiedziało. Tylko ludziom się powie, że jest adoptowane – ze względu na Oliwię. Tylko przez jakiś czas.

– To kłamstwo – orzekła Candy.

– Jasne. Ale tylko na pewien czas.

– A może nie trzeba koniecznie mówić, że dziecko jest adoptowane? Dlaczego nie mielibyśmy po powrocie powiedzieć ludziom prawdy? – zastanowiła się Candy.

– Dlaczego nie – przytaknął Homer. Może życie jest po prostu jednym wielkim czekaniem, co czas pokaże? Pochylił się nad Candy i ustami przedarł się do jej karku przez gąszcz włosów.

– Gdyby Oliwia umiała się z tym pogodzić; gdyby umiała pogodzić się z... Wallym – westchnęła Candy – wtedy nie mielibyśmy kłamać, że nasze dziecko jest adoptowane, prawda?

– Jasne – odparł Homer Wells. Czemu ona się tak przejmuje kłamstwem? – nie mógł tego zrozumieć. Tulił w ramionach łkającą cicho Candy. Czy prawdą jest, że Wilbur Larch nie przypomina sobie matki Homera? Czy prawdą jest, że nie przypominają jej sobie ani siostra Angela, ani siostra Edna? Może i tak, ale nawet gdyby wszyscy troje kłamali, Homer Wells nie miałby do nich pretensji, wiedząc, że kłamią dla jego ochrony. Bo jeśli matka Homera była potworem – to czy nie lepsze takie kłamstwo? Dla sieroty nie każda prawda jest pożądana.

Gdyby Homer dowiedział się, powiedzmy, że Wally umierał długo i w strasznych męczarniach; że go torturowano; że spalono go żywcem; że pożarły go dzikie zwierzęta – z całą pewnością nie podzieliliby się z nikim tą prawdą. Gdyby Homer Wells był historykiem-amatorem, to odznaczałby się taką samą skłonnością do rewizjonizmu, jak Wilbur Larch – i każdy wątek zawsze chciałby zakończyć happy endem. Homer Wells, który stale powtarzał Wilburowi Larchowi, że to on (Larch) jest doktorem, nie wiedział nawet, jak bardzo sam jest doktorem.

Pierwszej nocy tłoczenia jabłeczniaka Homer uwijał się przy prasie z Meanym Hyde'em i Everettem Taftem. Big Dot i jej młodsza siostra butelkowały sok. Debra Pettigrew, wściekła na brudną robotę, wciąż sarkąca głośno, że spod prasy chlapie. Była podwójnie zła, bo nie mogła znieść obecności Homera Wellsa, z którym nie rozmawiała, odkąd zaczęła podejrzewać, że Candy i Homera łączy nie tylko wspólne nieszczęście, ale i wspólna przyjemność. Debra pogardliwie odniosła się do propozycji „zostania przyjaciółmi”, którą jej złożył Homer. Dla Homera zachowanie Debry było

wielką zagadką: w końcu doszedł do wniosku, że lata spędzone w sierocińcu pozbawiły go jakiegoś istotnego doświadczenia, które mogłoby wyjaśnić takie zachowanie. Przecież – rozumował – Debra zawsze wzbraniała mu czegokolwiek poza przyjaźnią. Więc czemu teraz wścieka się, że Homer niczego więcej od niej nie żąda?

Meany Hyde zapowiedział Homerowi i Everettowi Taftowi, że jest to jego pierwsza i ostatnia noc tłoczenia w tym sezonie: nie chce zostawiać Florencji samej w domu, bo „termin się zbliża”.

Przy Panu Rose inaczej się tłoczyło jabłecznik: inna atmosfera unosiła się w kwaśnym powietrzu. Po pierwsze: robota szła szybciej, bo trwało nieustające współzawodnictwo. Po drugie: Pan Rose swoim autorytetem wytwarzał wśród brygady klimat napięcia. A świadomość tego, że w przyległej sali śpią, lub próbują zasnąć, zmęczeni pracą ludzie, zmuszała operatorów młyna i prasy do precyzji, pośpiechu i perfekcji, do jakiej zdolny jest tylko człowiek na skraju wyczerpania fizycznego.

Im bardziej Debra Pettigrew nasiąkała jabłecznikiem, tym bardziej przypominała starszą siostrę: ta sama łukowata krzywizna pleców i zaczątki tworzenia się worków od spodu ramion – u Big Dot groteskowo przerośnięte wory dyndały z każdym poruszeniem rąk. Obie siostry bezwiednie ocierały spocone czoła ramieniem, żeby nie dotykać twarzy lepkiemi od soku dłońmi.

Po północy Oliwia przyniosła im zimnego piwa i gorącej kawy. Po jej wyjściu, Meany Hyde skomentował:

– Pani Worthington to jest babka z głową: nie dość, że nam przyniosła coś do picia, to jeszcze daje do wyboru!

– Pomyśleć: Wally przepadł nie wiadomo gdzie, a ona jeszcze ma głowę, żeby o nas pamiętać! – przyłączył się do pochwał Everett Taft.

Cokolwiek życie mi przyniesie, cokolwiek nadejdzie – ja się przed tym nie cofnę; przyjmę wszystko – pomyślał Homer Wells. Bo miało mu się przydarzyć prawdziwe życie: powrót do St. Cloud’s będzie ostatecznym wyzwoleniem z St. Cloud’s. Homer będzie miał dziecko (może i żonę); będzie szukał stałej pracy.

Oczywiście, zawiezie sadzonki – Homer pamiętał o tym, jakby młode jabłonki miały wyrównać wszystkie jego rachunki z St. Cloud’s; jakby tylko posadzenia drzewek oczekiwał odeń doktor Larch.

Z końcem zbiorów niebo poszarzało, a w sadach w ciągu dnia zrobiło się ciemniej, chociaż przez ogołoczone z owoców drzewa przenikało do poszycia więcej światła. O braku doświadczenia zbierających świadczyły między innymi

pomarszczone jabłuszka, uczepione kurczowo trudniejszych do dostania gałęzi. Trawę w St. Cloud's pewnie już zwarzył mróz. Po sadzonki trzeba więc będzie wybrać się jeszcze raz, specjalnie. Zasadzi je wiosną. Jego dziecko urodzi się na wiosnę.

W szpitalu Cape Kenneth Homer i Candy brali ostatnio tylko nocne dyżury. Korzystając z tego, że za dnia nie było w domu Raya, który budował torpedy, Homer każdą wolną chwilę spędzał z Candy w pokoiku nad akwariem z homarami.

Odkąd wiedzieli, że Candy jest w ciąży, kochali się bardziej swobodnie. Candy nie powiedziała tego Homerowi – jeszcze nie – ale uwielbiała kochać się z nim; było to znacznie przyjemniejsze niż z Wallym. Nie umiała jednak zdobyć się na wyznanie, że cokolwiek jest lepsze niż z Wallym. Przecież to nie była chyba wina Wally'ego, że przyjemniej było Candy kochać się z Homerem? Z Wallym nigdy nie mieli dość czasu, żeby poczuć się tak swobodnie.

„Przyjeżdżam z dziewczyną” – napisał Homer do doktora Larcha. „Ona urodzi moje dziecko. Nie będzie ani aborcji, ani sieroty.”

– Chciane dziecko! – uradowała się siostra Angela. – Będziemy mieli chciane dziecko!

– O ile nie planowane – dodał Wilbur Larch, popatrując z wyrzutem na wzgórze za oknem gabinetu siostry Angeli, jakby wzniosło się tam specjalnie jemu na złość. – Pewnie posadzi też te cholerne drzewka – fuknął doktor. – Na cholerę mu dziecko? Jak sobie, mając dziecko, wyobraża szkołę, studia medyczne?

– To on miał iść na medycynę, Wilburze? – zdumiała się szczerze siostra Edna.

– Wiedziałam, że wróci! – triumfowała siostra Angela. – Przecież tu, z nami, jest jego miejsce!

– To prawda – przyznał Wilbur Larch. Mimo woli (choć trochę opornie) plecy mu się wyprostowały, kolana usztywniły, a wyciągnięte dłonie lekko rozchyliły palce – jakby doktor szykował się na przyjęcie paczki z upominkiem. Siostra Edna zadrżała widząc go w tej pozie: przypomniał jej się płód z Wodospadu Trzy Mile, upozowany w podobnie błagalnym geście przez Homera Wellsa.

Homer Wells mówił do Oliwii Worthington:

– Muszę wyjechać; zwłaszcza że zbliża się Boże Narodzenie; tyle wspomnień; czuję, że coś – że kogoś – bardzo zaniedbałem. Całe St. Cloud's, ich wszystkich. Tam się nigdy nic nie zmienia. Im potrzeba stale tego samego. A teraz ta wojna, wszyscy zajmują się tylko wojną; nikt już nie dba o St. Cloud's. Doktor Larch się starzeje.

Bardziej przydam się tam niż tutaj. Skończyliśmy zbiory; nie widzę już dla siebie wiele do roboty. A w St. Cloud's zawsze jest co robić.

– Jesteś wspaniałym chłopcem – powiedziała mu Oliwia Worthington. Homer zwiesił głowę. Przypomniały mu się słowa pana Rochester'a skierowane do Jane Eyre:

„Jeżeli skuszą panienkę manowce, panno Eyre, proszę się przede wszystkim wystrzegać skruchy: skrucha zatruwa życie”.

Był początek listopada. Rozmowa toczyła się w kuchni Sadów Z Widokiem. Oliwia nie zdążyła się jeszcze uczesać ani umalować. Szarość za oknem, szarość cery Oliwii, szarość jej włosów, postarzały panią Worthington w oczach Homera. Oplotła sznureczkiem wyjętą z filiżanki torebkę ekspresowej herbaty i wyciskała z niej ostatnie krople. Homer nie mógł oderwać oczu od węzlastych żył pokrywających wypukłą siatką wierzchy jej dłoni. Zawsze za dużo paliła i rano miała kaszel.

– Candy jedzie ze mną – oznajmił Homer Wells.

– Candy to wspaniała dziewczyna – rzekła Oliwia. – To bardzo szlachetnie z waszej strony, że zamiast korzystać z uroków życia, postanawiacie ofiarować pociechę i towarzystwo nie chcianym dzieciom.

Sznurek oplatający torebkę z esencją był już tak napięty, jakby miał zaraz przeciąć ją na pół. Oficjalny ton Oliwii godzien był ceremonii wręczania najwyższych nagród za odwagę. Oliwia z najwyższym wysiłkiem hamowała kaszel. Kiedy torebka z herbatą ostatecznie pękła, pacyna rozmokłej esencji przyłgnęła do żółtka nie dojedzonego jajka na miękko, które stało przed Oliwią w chińskim kieliszku (Homer Wells myślał kiedyś, że to lichtarz).

– Nie mam słów wdzięczności za wszystko, co pani dla mnie uczyniła – powiedział Homer. Oliwia Worthington bez słowa pokręciła głową: siedziała wspaniale wyprostowana, z dumnie uniesionym podbródkiem. – Bardzo pani współczuję z powodu Wally'ego – dodał Homer Wells. Grdyka Oliwii drgnęła ledwo dostrzegalnie, lecz twarz pozostała nieruchoma.

– Zaginął, nic więcej – powiedziała Oliwia.

– Jasne – rzekł Homer Wells. Położył dłoń na ramieniu Oliwii. Nie dała mu poznać, czy dotknięcie to sprawia jej przykrość, czy ulgę, ale po dłuższej chwili obróciła twarz i oparła policzek na dłoni Homera. Trwali tak jeszcze pewien czas, jakby pozowali do portretu mistrzowi starej szkoły – lub fotografowi, wyczekującemu na jakieś zaskakujące zdarzenie – na przykład nagły przebłysk listopadowego słońca.

Oliwia uparła się, żeby Homer odjechał białym cadillakiem.

– Uważam, że to dobrze dla was obojga, żebyście się trzymali razem – powiedział im na pożegnanie Ray Kendall. Z lekkim rozczarowaniem odnotował brak entuzjastycznej reakcji na to stwierdzenie. – Spróbujcie się trochę zabawić! – zawołał za białym cadillakiem, odjeżdżającym z parkingu przy akwarium z homarami. Wątpił, czy którekolwiek z dwojga go usłyszało.

Kto jedzie do St. Cloud's, żeby się zabawić?

Przecież mnie nie adoptowali – perswadował sobie w duchu Homer Wells. Nie zdradzam pani Worthington: nigdy nie uważała się za moją matkę. Mało rozmawiali z Candy podczas tej jazdy.

Im dalej zapuszczali się na północ, w głąb łądu, tym więcej spotykali drzew bez liści. W Skowhegan spadło nawet trochę śniegu: tamtejsze pola przypominały nie ogoloną twarz starca. Więcej śniegu leżało w Blanchard, w East Moxie i Moxie Gore. Na Trakcie Dziesięciu Tysięcy Akrów musieli odczekać godzinę, aż usunięto drzewo zwalone w poprzek szosy. Śnieg zdążył zawiąć obalone drzewo, które, strzaskane od upadku, wyglądało pod zaspą jak leżący na boku dinozaur. W Moose River, Misery Gore i Tomhegan śnieg leżał już na dobre. Zmieciony pługiem na pobocza drogi piętrzył się tak wysoko, że Candy i Homer poznawali obecność budynków tylko po dymach sączących się z kominów albo po wąskich przecinkach w śniegu, oznaczonych tu i ówdzie żółtawymi strużkami, którymi psy zaznaczają granice swego terytorium.

Oliwia, Ray i Meany Hyde oddali im część swoich kartek na benzynę. Homer i Candy wzięli samochód jedynie z myślą o tym, że przyjemnie będzie od czasu do czasu wyrwać się z St. Cloud's na małą przejażdżkę. Jednak już od Czarnych Wodospadów Homer musiał założyć łańcuchy na tylne koła i oboje z Candy zrozumieli, że okoliczne drogi nie nadają się zimą do jazdy samochodem (a był to dopiero sam początek zimy).

Gdyby się zawczasu poradzili doktora Larcha, wiedzieliby, że nie ma sensu jechać samochodem. Doktor Larch uświadomiłby im, że do St. Cloud's nie przybywa się z myślą o odbywaniu pikników w okolicy, a kto koniecznie chce się rozerwać – wsiada w pociąg i jedzie do Wodospadu Trzy Mile.

Z powodu nieprzejezdnych dróg, zmroku i śniegu, który zaczął padać, ledwie minęli Ellenville, Homer i Candy dotarli do St. Cloud's już po ciemku. Reflektory białego cadillaca, pnącego się pod górę wzdłuż budynku dziewcząt, oświetliły dwie kobiety, które akurat schodziły od szpitala ku stacji: obydwie pospiesznie odwróciły twarze. Szły niepewnie; jedna nie miała szalika, druga była bez czapki. Śnieg skrzył się

w blasku samochodowych reflektorów, jakby zstępujące z góry niewiasty rozsiewały garściami diamenty.

Homer Wells zatrzymał samochód i opuścił szybę okienka.

– Podwieźć panie? – zagadnął.

– Jedzie pan w przeciwnym kierunku – odparła jedna.

– Mogę zawrócić! – zawołał za odchodzącymi. Ponieważ żadna nie zareagowała, Homer ruszył dalej. Zaparkował przed szpitalnym wejściem do budynku chłopców i zgasił światła. W blasku oświetlonego okna pokoju zabiegowego, śnieg wirował w powietrzu dokładnie tak samo, jak tamtej odległej nocy, kiedy Homer wrócił do St. Cloud's po ucieczce od Draper'ów z Waterville.

Między doktorem Larchem a siostrami doszło do utarczki o to, gdzie mają spać Homer i Candy. Larchowi wydawało się oczywiste, że Candy pójdzie nocować na oddział dziewczęcy, a Homer będzie spał tam gdzie zawsze, z chłopcami. Siostry ostro się temu sprzeciwiły.

– Przecież oni się kochają! – oburzyła się siostra Edna. – Na pewno śpią razem!

– Na pewno spali razem przynajmniej raz – zauważył zgryźliwie Larch – ale to nie znaczy, że tutaj mają dostać wspólne łóżko!

– Homer ma zamiar ożenić się z tą panienką – perswadowała mu dalej siostra Edna.

– Ma zamiar – burknął pod nosem Wilbur Larch.

– Uważam, że przyjemnie byłoby mieć tu parę ludzi śpiących razem – włączyła się w dyskusję siostra Angela.

– A ja uważam, że mamy ciągły ruch w interesie tylko dlatego, że za dużo ludzi razem sypia! – odparł jej nd to doktor Larch.

– Przecież oni się kochają! – argumentowała dotknięta do żywego siostra Edna.

Kobiety wygrały. Candy i Homer dostali wspólny pokój, z dwoma łózkami, na parterze budynku dziewcząt. Mogli sobie ustawić łóżka jak chcieli. Pani Grogan ucieszyła się, że na oddziale dziewczęcym ma nocować mężczyzna: dziewczynki skarżyły się ostatnio, że ktoś po nocach buszuje w budynku i podgląda je – obecność mężczyzny da im poczucie bezpieczeństwa.

– A poza tym – powiedziała pani Grogan – ja tam u siebie jestem sama jak palec. Wy przynajmniej śpicie we trójkę pod jednym dachem.

– Ale każde z nas śpi oddzielnie – zaznaczył z godnością doktor Larch.

– Nie ma się czym chwalić, Wilburze – powiedziała siostra Edna.

W pustym pokoju Wally'ego Oliwia Worthington patrzyła na dwa świeżo posłane łóżka – Homera i Wally'ego – z dwiema nieskazitelными poduszkami bez załomków. Na nocnej szafce rozdzielającej łóżka stała fotografia Candy, która uczy Homera pływać. W pokoju chłopców nie było popielniczki, więc Oliwia podstawiła skuloną dłoń wolnej ręki pod długi słupek spopieliałego papierosa.

W pustym mieszkaniu nad akwariem Raymond Kendall patrzył na tryptyk fotograficzny, ustawiony na nocnym stoliku jak ołtarzyk, obok kompletu kluczy do nakrętek. Środkowe zdjęcie przedstawiało Raya w wieku młodzieńczym: Ray siedzi na krześle (widać, że jest mu niewygodnie), na kolanach trzyma ciężarną żonę (żona jest w ciąży z Candy); los krzesła wydaje się mocno niepewny. Po lewej stronie stała fotografia maturalna Candy; po prawej – Candy i Wally'ego, mierzących w siebie nawzajem z rakiet tenisowych jak z karabinów. Ray nie miał zdjęcia Homera Wellsa, ale wystarczyło mu wyjrzeć przez okno na przystań, żeby go sobie doskonale wyobrazić. Ilekroć spojrział na przystań, myślał o Homerze, a wtedy słyszał plusk ślimaków padających do wody jak deszcz.

Siostra Edna postanowiła odgrzać kolację dla Homera i Candy. W tym celu wstawiła rondel z niezbyt udaną pieczenia do autoklawu i doglądała go od czasu do czasu. Pani Grogan, zajęta modlitwą, nie zauważyła podjeżdżającego cadillaca. Siostra Angela była akurat w sali porodowej i goliła pacjentkę, której już odeszły wody płodowe.

Homer i Candy minęli pusty, jasno oświetlony pokój zabiegowy. Zajrzeli do pustego gabinetu siostry Angeli. Homer wiedział, że do sali operacyjnej lepiej nie zaglądać, gdy pali się tam światło. Z sypialni dobiegł ich głos doktora Larcha czytającego dzieciom na dobranoc. Candy mocno trzymała Homera za rękę, więc Homer pociągnął ją za sobą, przyspieszając kroku, bo chciał zdążyć przynajmniej na końcówkę wieczornej lektury.

Florencja, żona Meany'ego Hyde'a, urodziła tuż po Święcie Dziękczynienia zdrowego chłopczyka o wadze ponad czterech kilogramów. Oliwia Worthington i Raymond Kendall urządzili z tej okazji dość oficjalną, cichą uroczystość. Oliwia zaprosiła do domu wszystkich pracowników sadu, a Ray pełnił rolę współgospodarza. Meany Hyde zapewnił Oliwię, że narodziny jego kolejnego potomka to nieomylny znak, że Wally żyje.

– Oczywiście, że żyje. Wiem o tym – odparła Oliwia z niezmaconym spokojem.



Goście nie za bardzo dali jej w kość, chociaż w pewnym momencie znalazła w pokoju Wally'ego Debrę Pettigrew, która siedziała na łóżku Homera i gapiała się w zdjęcie Candy uczącej Homera pływać. Oliwia wyprosiła Debrę. Wkrótce potem zastała tam Grace Lynch, usadowioną w dołku wygniecionym na łóżku Homera przez Debrę Pettigrew. Ta, zamiast w zdjęcie, wpatrywała się w nie wypełnioną ankietę rady nadzorczej, którą Homer przypiął pinezką do ściany jak nie napisany regulamin.

Big Dot Taft spłakała się w kuchni, opowiadając Oliwii swój straszny sen. W środku nocy Everett stwierdził, że małżonka czołga się w stronę łazienki.

– Nie miałam nóg! – opowiadała z przejęciem Big Dot. – To było tej nocy, kiedy Florencja urodziła syna. Obudziłam się bez nóg. To znaczy, śniło mi się, że się obudziłam i od pasa w dół mnie nie było.

– A jednak wybierałaś się do łazienki. Ciekawe – zauważył Everett przytomnie.  
– Po co byś się inaczej ciągnęła po podłodze?

– A czy to ważne? Ważne, że byłam kaleką! – rozeźliła się Big Dot.

– Przepraszam – bąknął Everett Taft.

– Pani nie rozumie, pani Oliwio? – zdziwił się Meany Hyde. – To przecież jasne: tej samej nocy mnie się urodził syn, a Big Dot śniła, że nie może chodzić. Pan Bóg dał nam znak, że Wally żyje, ale jest ranny.

– Albo ranny, albo jeszcze co gorszego – zalała się łzami Big Dot.

– Oczywiście. Tak właśnie od początku myślałam – ucięła lamenty Oliwia. Wszyscy zamilkli, zaskoczeni; nawet Ray Kendall. – Gdyby nie był ranny, dałby o sobie znać do tego czasu. A gdyby nie żył, ja bym o tym wiedziała.

Oliwia podała Big Dot Taft swoją chusteczkę i odpaliła nowego papierosa od ogarka poprzedniego.

Święto Dziękczynienia w St. Cloud's obeszło się bez mistycznych akcentów; jedzenie też było gorsze niż w Sadach Z Widokiem – ale wszyscy świetnie się bawili. Doktor Larch zawczasu wydał siostrom prezerwatywy z poleceniem przerobienia ich na baloniki. Pokonując obrzydzenie, siostra Edna i siostra Angela posłusznie nadmuchały kondomy i ubarwiły je na zielono i czerwono, maczając w farbce do kolorowania żywności. Gdy barwnik wysechł, pani Grogan wymalowała na balonach imiona wszystkich dzieci, a Homer i Candy pochowali kolorowe niespodzianki po całym sierocińcu.

– Polowanie na kondomy – świetny pomysł! – zauważył Wilbur Larch. – Musimy go powtórzyć na Wielkanoc, bo jaja drogie.

– Na Wielkanoc muszą być jajka, Wilburze – zaprotestowała kategorycznie siostra Edna.

– Pewnie muszą – westchnął ze znużeniem doktor Larch.

Oliwia Worthington przysłała im do St. Cloud's skrzynkę szampana – trunku, którego Wilbur Larch nigdy przedtem nie kosztował (w ogóle nie miał pociągu do alkoholu). Bąbelki usztywniały podniebienie, wentylowały kanały nosowe, a oczom dawały wrażenie suchej przejrzystości – wszystko to razem podobne było do znacznie lżejszych inhalacji, od których doktor Larch był nałogowo uzależniony. Pił i pił. W pewnej chwili zaczął śpiewać dzieciom piosenkę wojskową z pierwszej wojny – na szczęście po francusku, bo piosenka była tak samo mniej więcej odpowiednia dla dzieci jak prezerwatywy. Działwę uratowała nieznajomość języka francuskiego i spraw seksu: dzięki błogosławionej ignorancji, francuską piosenkę (stokroć bardziej nieprzyzwoitą niż najbardziej świńskie limeryki Wally'ego) wzięły za ludową przyspiewkę, a zielone i czerwone kondomy – za baloniki.

Nawet siostra Edna trochę sobie podpiła: dla niej również było to pierwsze spotkanie z szampanem. Jeśli idzie o alkohol, to wcześniej dolewała najwyżej odrobinę sherry do gorącej zupy. Siostra Angela nie piła, ale wzruszyła się na trzeźwo tak głęboko, że zarzuciła Homerowi ręce na szyję i zaczęła go obcałowywać, zapewniając, że pod jego nieobecność upadł duch w St. Cloud's i że dobry Bóg zsyła im go z powrotem dla ożywienia owego upadłego ducha.

– Przecież Homer nie przyjechał na zawsze – napomniął siostrę Angelę Wilbur Larch.

Wszyscy zachwycali się Candy. Nawet Larch mówił o niej „nasza anielska ochotniczka”, a pani Grogan skakała wokół niej jak wokół rodzonej córki. Siostra Edna lgnęła do pary kochanków jak ćma do świecy.

Na przyjęciu z okazji Święta Dziękczynienia doktor Larch nawet troszkę flirtował z Candy.

– Jeszcze nie widziałem, żeby taka ładna panienska robiła lewatywę – mówił, poklepując ją po kolanie.

– Nie brzydzę się byle czym – uśmiechnęła się Candy.

– W naszym fachu niczym nie wolno się brzydzić – oświadczył doktor Larch i beknął rozgłośnie.

– Co nie znaczy, że trzeba się zachowywać wulgarnie, mam nadzieję – skrzywiła się siostra Angela. Nie pamiętała, żeby doktor Larch pochwalił kiedyś ją, albo siostrę Ednę, za gotowość zrobienia pacjentce lewatywy.

– Powiem otwarcie: chciałem, żeby poszedł na akademię medyczną, dostał dyplom lekarza i zajął miejsce po mnie – wyznał głośno Wilbur Larch, zwracając się tylko do Candy, jakby nie widział siedzącego przez stół Homera. Jeszcze raz poklepał Candy po kolanie. – Ale niech i tak będzie! – ciągnął jowialnie. – Kto by nie wolał zrobić brzuszka takiej dziewczynie jak ty i hodować jabłek! – Potem powiedział coś po francusku i wychylił kolejny kieliszek szampana. – Rzecz w tym – szepnął do ucha Candy – że on wcale nie musi kończyć studiów, aby być dobrym doktorem tutaj u nas. Wystarczy, że pozna jeszcze parę zawodowych sztuczek. Do licha! – krzyknął donośnie, wskazując szerokim gestem dziatwę zajadającą indyka z talerzy, za którymi – zamiast tabliczek z imionami gości – czerwieniły się i zieleniły nadmuchane prezerwatywy. – To całkiem niezłe miejsce do założenia rodziny! A jak Homer zasadzi wreszcie te cholerne drzewka, jabłka też będziecie mogli hodować.

Gdy doktor Larch usnął z głową na stole, Homer Wells przeniósł go do pokoju zabiegowego. Po drodze zastanawiał się, czy to możliwe, że doktor Larch kompletnie zwariował pod jego, Homera, nieobecność w St. Cloud's. Nie było kogo spytać: pani Grogan, siostra Edna i (zwłaszcza!) siostra Angela przyznałyby pewnie, że Larch dziwaczy – czy też, jak powiedziałaby Ray Kendall, „pływa z jednym wiosłem do góry” (albo, jak mawiał Wally, „buksuje jednym kołem w piasku”) – ale wszystkie trzy broniłyby doktora Larcha do upadłego przed pomówieniem o obłąd. Raczej już Homerowi zarzuciłyby, że przez zbyt długą nieobecność zatracił właściwy osąd sytuacji w St. Cloud's. Całe szczęście, że nie zatracił dawnych położniczych umiejętności.

Ciężarne kobiety nie respektują świąt kościelnych i państwowych. W dni świąteczne pociągi kursują według zmienionego rozkładu jazdy – ale kursują. W Święto Dziękczynienia, po szóstej wieczorem, przybyła do St. Cloud's kobieta z brzuchem. O dziwo – eskortował ją, wbrew swojej zasadzie, zawiadowca stacji, a to dlatego, że niewiasta była już w drugim stadium akcji porodowej, kiedy po pęknięciu błon płodowych zaczynają się bóle parte w regularnych odstępach czasu. Homer Wells wymacał właśnie główkę dziecka przez krocze rodzącej, gdy siostra Angela zawiadomiła go, że nie jest w stanie dobudzić pijanego doktora Larcha, a siostra Edna też śpi. Homer zauważył, że krocze pacjentki wzdyma się. Kobieta bardzo wolno reagowała na podany jej w sporej dawce eter.

Aby uchronić krocze przed rozdarciem, Homer musiał odgiąć do tyłu główkę dziecka i wykonać nacięcie: ciął ukośnie, jak po linii wskazówki zegara o godzinie

siódmej. Ten kierunek nacięcia uznał za najbezpieczniejszy, gdyż w razie potrzeby można było ciąć dalej – co nie byłoby możliwe przy nacięciu prostym.

Gdy tylko główka wyłoniła się na zewnątrz, Homer zbadał palcem szyjkę noworodka, sprawdzając, czy nie jest opleciona pępowiną – ale poród okazał się łatwy: barki wysunęły się same, równiuteńko. Homer podwiązał pępowinę w dwóch miejscach i przeciął ją. Nie zdjął nawet fartucha chirurgicznego, tylko zaraz po odebraniu porodu poszedł sprawdzić, jak doktor Larch znosi skutki szampana, którym tak hojnie uczcił Święto Dziękczynienia. Larch znał objawy przenoszenia się ze świata eteru w rzeczywistość bez znieczulenia, nie miał jednak pojęcia o przechodzeniu z upojenia alkoholowego w kaca. Na widok Homera Wellsa w zakrwawionym kitlu, Wilbur Larch ucieszył się, że jest uratowany.

– O, doktor Stone! – rzekł, wyciągając dłoń na powitanie, z jowialnym dystansem, tak typowym dla światka lekarzy.

– Jaki doktor? – zdumiał się Homer Wells.

– Doktor Stone. – Wilbur Larch cofnął dłoń z urażoną dumą. Kac mocno dawał mu się we znaki: osiadł grubym kozuchem również na podniebieniu, więc Larch potrafił tylko mamrotać w kółko: – Fuzzy Stone, Fuzzy Stone, Fuzzy Stone.

– Homerze? – odezwała się Candy, gdy już leżeli przytuleni na jednym z dwóch łóżek oddanych im do dyspozycji w pokoiku na oddziale dziewcząt. – Co miał na myśli doktor Larch mówiąc, że nie potrzebujesz studiów medycznych, żeby tutaj być dobrym lekarzem?

– Może to, że połowa pracy, którą się tu wykonuje, jest nielegalna – odparł Homer Wells. – Do takiej pracy dyplom nie jest potrzebny.

– Ale bez dyplomu nikt nie zatrudni lekarza, prawda?

– Doktor Larch chyba by zatrudnił. Wiem to i owo – powiedział Homer Wells.

– Przecież nie chcesz pracować tutaj jako lekarz? – upewniła się Candy.

– Nie, nie chcę – przyznał Homer. Co miały znaczyć te brednie o Fuzzym Stone'ie? – głowił się zasypiając.

Homer spał jeszcze, kiedy doktor Larch pochylił się nad matką niemowlęcia urodzonego w Święto Dziękczynienia i obejrzał nacięcie krocza. Siostra Angela zrelacjonowała mu zabieg w najdrobniejszych szczegółach, lecz w gruncie rzeczy całkiem niepotrzebnie, bo jeden rzut oka na robotę Homera i jedno dotknięcie zdrowej, gojącej się tkanki upewniło doktora Larcha o wszystkim, co potrzebował wiedzieć: że Homer Wells nie stracił pewnej ręki i mistrzowskiego wyczucia.

Homer miał jeszcze jedną ważną cechę: bezkompromisowość właściwą młodym i skrzywdzonym. Nie przeżywał zwątpień leczących z pogardy dla ludzi, którzy tak strasznie poknócili własne życie, że odrzucają dzieci, które już poczęli. Wilbur Larch powiedziałby mu chętnie, że jest typowym, bezczelnym młodym doktorkiem, który się jeszcze nigdy nie porzygał; i że cierpi na przypadłość typową dla młodych lekarzy: chorobliwe poczucie wyższości wobec wszystkich pacjentów. Lecz Homer wymachiwał jak włócznią ideałem małżeństwa i rodziny; Homer był bardziej pewny słuszności własnych przekonań niż człowiek świętujący sześćdziesiątą piątą rocznicę ślubu.

Zapewne wierzył w ducha, że nimb świętości, który w jego mniemaniu przyświecał jego związkowi z Candy, olśni ich oboje oraz ich wspólne dziecko aurą przebaczenia, kiedy w trójkę powrócą do Heart's Haven i Heart's Rock. Zapewne wierzył w siłę promieniowania dobrych intencji – swoich własnych i Candy – która oślepi Oliwię, Raya i całą resztę wszystkowiedzącej, małomówniej społeczności. Zapewne oboje z Candy wierzyli, że ich dziecko – poczęte z wielkiej miłości, która przyćmiła żalobę po Walym, czy to zabłąkanym, czy martwym, czy „zaginionym w akcji” – powitane zostanie przez wszystkich jako anioł zesłany z nieba.

Dlatego tej zimy radowali się w St. Cloud's życiem młodego małżeństwa. Nigdy jeszcze praca dla innych nie sprawiała im takiej przyjemności. Młoda kobieta w coraz bardziej widocznej ciąży nie uchylała się przed żadnym zajęciem: jej uroda i energia służyły za budujący przykład dziewczynkom z sierocińca. Doktor Larch zaczął wprowadzać Homera w tajniki pediatrii – zdecydował się na to, widząc, że w fachu położniczym już niczego więcej go nie nauczy, a o doskonaleniu się w aborcji Homer nie chce słyszeć. Jego niezłomny opór w tej kwestii dziwił nawet Candy, która nieraz prosiła:

– Wytlumacz mi jeszcze raz, jak to jest, że nie potępiasz zabiegu jako takiego, ale odmawiasz udziału w czynieniu zła.

– Proszę bardzo – Homer Wells nie miał cienia wątpliwości. – Sama to najlepiej zdefiniowałaś. Uważam, że powinno się umożliwić aborcję każdej kobiecie, która się na nią decyduje, ale ja sam nigdy takiego zabiegu nie chcę przeprowadzać. Czy tak trudno to zrozumieć?

– Nietrudno – przyznawała Candy. Jednak po jakimś czasie znów wracała do tematu. – Jesteś przeciwny, a jednocześnie popierasz legalizację aborcji, tak?

– Jasne – odpowiadał Homer Wells. – Jestem przeciwny, ale twierdzę, że każdy człowiek ma prawo wyboru w sprawach osobistych. A czy istnieje sprawa bardziej osobista od decyzji o urodzeniu dziecka?

– Nie wiem – mówiła Candy, pamiętając o tym, że oboje z Homerem w jakiś sposób „zadecydowali” o tym, że Wally nie żyje – a to była dla niej sprawa nader osobista.

Kiedy Candy była w piątym miesiącu, zaczęli sypiać oddzielnie, ale zsunęli łóżka i śłali je jak łoże małżeńskie, z czym były pewne problemy, gdyż w St. Cloud’s nie używano szerokich prześcieradeł.

Pani Grogan bardzo chciała sprawić im małżeńską pościel w prezencie, nie miała jednak dość pieniędzy, więc zwróciła się do doktora Larcha z pytaniem, czy taki zakup na koszt sierocińca nie zakrawałby na ekstrawagancję.

– Zakrawałby na wielką ekstrawagancję – sprzeciwił się pomysłowi doktor Larch.

„Gdzie indziej na świecie ludzie używają pościeli podwójnej szerokości” – zapisał Wilbur Larch w *Krótkiej historii St. Cloud’s*. „U nas w St. Cloud’s radzimy sobie bez niej.”

Tak pięknych świąt Bożego Narodzenia St. Cloud’s jeszcze nie przeżyło. Oliwia przysłała mnóstwo prezentów, ale i tak najpiękniejszym prezentem dla wszystkich była Candy – pierwsza w ich życiu kobieta szczęśliwa z powodu ciąży. Jedli indyka i szynkę. Doktor Larch i Homer Wells zmierzyli się w zawodach krojenia mięs: zdaniem wszystkich, zwyciężył Homer, który skończył kroić indyka, zanim doktor Larch uporał się z szynką.

– Łatwiej pokroić indyka niż świniaka – stwierdził Larch. W głębi duszy radował się jednak osiągnięciami Homera w operowaniu nożem. Homer często rozmyślał o tym, w jak różnych okolicznościach on i Pan Rose ćwiczili swoje mistrzostwo. Z Pana Rose też byłby pewnie chirurg pierwsza klasa, gdyby jego kariera szkolna inaczej się ułożyła.

– Pewnie tak – mruczał Homer, szczęśliwy jak jeszcze nigdy.

Był użyteczny ludziom, był zakochany – i kochany – oczekiwał narodzin swego dziecka. Czy można chcieć więcej? – pytał sam siebie, wykonując codzienne obowiązki. Może inni ludzie tęsknią za oderwaniem od rutyny, ale sierota kocha monotonię codziennego życia.

W środku zimy, podczas zadymki, gdy obie siostry były na herbatce u pani Grogan, a Larch – na stacji, gdzie robił zawiadowcy awanturę o zagubienie przesyłki z sulfatazolem, (którą spodziewał się otrzymać kolejną), u drzwi szpitala stanęła kobieta

z krwotokiem, zgięta w pół od skureczy. Siostra Karolina natychmiast poznałaby skutki „rozwarcia bez łyżeczkowania”: ktokolwiek wykonał zabieg wstępny, znał się na rzeczy; pozostało wyłyżeczować – co Homer Wells uczynił bez asysty. Starał się za dużo przy tym nie myśleć, lecz nie mógł nie rozpoznać pewnego fragmentu tego, co wyskrobał. Około czterech miesięcy – uznał na pierwszy rzut oka i szybko pozbył się przedmiotu obserwacji.

Nocą dotknął Candy, nie budząc jej. Podziwiał spokojny sen ukochanej. Pomyślał sobie, że życie w St. Cloud’s toczy się poza czasem, przestrzenią i zmianami; że jest w nim wiele smutku, ale jeszcze więcej serdecznej troski; że wydaje się, nie wiadomo czemu, bezpieczniejsze niż życie w Heart’s Rock i Heart’s Haven – nie mówiąc już o życiu w powietrzu nad Birmą. Homer wstał i udał się na oddział chłopców. Możliwe, że chciał odnaleźć w sypialni kawałek własnej historii – ale znalazł tylko doktora Larcha, który szedł od łóżka do łóżka i, żadnego z wychowanków nie pomijając, rozdawał o tak późnej porze całusy na dobranoc. Homer pomyślał, że pewnie i jego, gdy był mały, doktor Larch zęgnął co noc pocałunkiem. Nie wiedział nawet, że wszystkie pocałunki doktora Larcha – również te, które teraz podglądał – przeznaczone są właśnie dla niego. Te pocałunki szukały Homera.

Tej samej nocy Homer widział rysia na ogołoconym stoku wzgórza, polukrowanym śniegiem, który roztopił się za dnia, a pod wieczór zamarzał w grubą skorupę. Homer wyszedł na chwilę na dwór: potrzebował rześkiego powietrza po spektaklu, który przed chwilą obejrzał z ukrycia w sypialni chłopców. Sylwetka rysia kanadyjskiego odbijała ołowianą barwą od jasnej szarości oświetlonego księżycem śniegu. Homer aż wstrzymał dech – tak silny był smród dzikiego kota. Wiedziony kocią czujnością, ryś trzymał się w odległości jednego susa od bezpiecznej ściany lasu. Gdy jednak przekroczył grań wzgórza, łapy zaczęły mu się ślizgać: nie mógł się wczepić pazurami w lód i nagle zbocze stało się dla niego bardzo strome. Z szarawej strefy blasku księżycy przemieścił się w jasny snop światła, padającego z okna gabinetu siostry Angeli: zjeżdżał z góry ukośnie i nic nie mógł na to poradzić. Znalazł się teraz znacznie bliżej budynków sierocińca, niż miałby odwagę podejść z własnej woli. Nawet mróz nie potrafił osłabić agresywnego fetoru padliny. Bezradny ryś, ślizgający się po oblodzonym stoku, wyrażał swą postawą strach i rezygnację; pełne gniewu poddanie się losowi można było wyczytać i z jego wściekłych, żółtych ślepi, i z mimowolnego pokasywania. Zderzył się z rozpędu z murem szpitala i tam dopiero znalazł oparcie dla łap. Wściekły, parsknął śliną na Homera Wellsa, jakby to Homer winien był jego szaleńczemu szusowi po zboczu.

Oddech zamarzał mu na wąsikach przy pysku, a u pędzelków przy uszach wisały koleczki miniaturowych sopli. Zdjęty paniką, ryś rzucił się pod górę do ucieczki. W połowie zbocza znów zaczął się ześlizgiwać: wbrew woli ciągnęło go do sierocińca. Zziąjany, po raz drugi wystartował pod górę – tym razem po torze ukośnym. Parę razy łapy mu się poślizgnęły, ale zachował przyczepność i w końcu wbiegł na miękki śnieg pod drzewami lasu – co prawda w całkiem innym miejscu, niż to sobie planował, ale każda droga była dobra do oddalenia się od straszego, czarnego szpitala.

Homer Wells patrzył jeszcze przez chwilę w ten punkt między drzewami, gdzie ryś zniknął mu z oczu, i myślał, że jemu samemu wcale nie będzie łatwiej uciec z St. Cloud's.

W początkach marca nastąpiła fałszywa wiosna. Na całej rzece Maine kra wybrzuszała się pod mokrym śniegiem, lód na sadzawkach pękał z hukiem strzelby, aż okoliczne ptaki zrywały się z furkotem, a od dużych jezior niosły się jakieś postękiwania, świsty i trzaski, podobne do odgłosów łączenia wagonów na boczniczy kolejowej.

Tymczasem w Bath, gdzie Melony mieszkała z Lorną, obudziła się rzeka Kennebec. Lód nie wytrzymał blisko półmetrowej warstwy roztopów, ugiął się i pękł wreszcie z takim rezonansem, że jakaś starsza lokatorka hotelu robotniczego zerwała się z poduszki i zaczęła głośno krzyżeć. Melony przypomniały się noce w St. Cloud's, na oddziale dziewczęcym, gdy marcowe lody spływały grzechocząc przeraźliwie z Wodospadu Trzy Mile. Melony wstała i poszła do pokoju Lorny: chciała z nią pogadać, ale Lorna była śpiąca i nie miała zamiaru ruszać się z łóżka. Melony położyła się więc obok przyjaciółki.

– To lód – wymamrotała Lorna.

I tak oto, przy muzyce fałszywej wiosny, Lorna i Melony zostały kochankami.

– Jeden warunek – zapowiedziała Lorna. – Możemy być razem, pod warunkiem, że przestaniesz szukać tego modelu, Homera Wellsa. Albo jego chcesz, albo mnie.

– Ciebie – zapewniła ją Melony. – Tylko mnie nie zostawiaj.

Trwały związek – marzenie sieroty. Melony niepokoiła się tylko, czy wściekłość na Homera ją opuści i czy, kiedy przestanie go szukać, skończy też o nim myśleć.

Za dużo śniegu spadło w tym roku. Krótkotrwała odwilż nie rozgrzała zmrożonej ziemi: gdy znów się ochłodziło i spadł śnieg, rzeki zamarły momentalnie.



Staw przy starym młynie za sierocińcem stał się pułapką dla gęsi, które dały się zmylić odwilży i lądowały na tającym śniegu, biorąc go za otwartą wodę. Nocą lód skuł nogi śpiących gęsi. Rankiem odkrył je tam Homer Wells: żywe pomniki przysypane śniegiem, trzymające na stawie kamienną straż. Można je było tylko wyrąbać z lodu i zjeść. Mrożone ptactwo łatwiej oskubać z pierza. Pani Grogan piekła je potem, stale nakłuwając, żeby tłuszcz wyciekł spod skórki, i nie mogła pozbyć się wrażenia, że tylko rozgrzewa gęsi przed ich dalszą, niebezpieczną podróżą.

Dopiero w kwietniu lody ruszyły w dół z Wodospadu Trzy Mile, a w St. Cloud's rzeka wystąpiła z brzegów, zalewając piwnicę dawnego hoteliku wesołych pańienek. Podmyta podłoga saloonu nie wytrzymała i załamała się pod barem z mosiężną poręczą, który dał się porwać fali powodzi przez wyrwę w ścianie. Zawiadowca stacji zobaczył dryfujący bar i, jako osobnik wyjątkowo przesądny, dwie następne noce przespał w biurze z obawy o budynek stacji.

Wielki brzuch nie dawał Candy spać. Ledwie śnieg stopniał na wzgórzu, Homer Wells zaraz pierwszego ranka sprawdził twardość ziemi: łopata zagłębiła się na co najmniej ćwierć metra, zanim stuknęła o zamrożony grunt. Niech odmarznie do pół metra i będzie można sadzić jabłonie – pomyślał Homer. Postanowił już jednak nie odkładać wyprawy po drzewka do Heart's Rock: koniecznie chciał być na miejscu, gdy przyjdzie termin rozwiązania Candy.

Oliwia zdziwiła się jego odwiedzinami, a jeszcze bardziej prośbą o zamianę cadillaca na którąś z furgonetek do transportu młodych drzewek.

– Postanowiłem zasadzić standardowo, czterdzieści na czterdzieści – opowiadał jej Homer. – Połowa mekintoszy, z dziesięć procent czerwonych delicii, reszta cortlandy i baldwiny.

Oliwia doradziła mu, żeby koniecznie pamiętał o paru drzewkach północnego szpiega i grapsztyna – na szarlotkę. Dopytywała się o zdrowie Candy i o to, czemu Candy nie przyjechała z Homerem, na co usłyszała, że Candy jest zajęta od rana do nocy. (Wszyscy ją bardzo lubią, a dzieci nie odstępują jej na krok.) Nie będzie łatwo wyjechać z St. Cloud's – zwierzył się Homer Oliwii. Byli tam oboje bardzo potrzebni. Stale ktoś czegoś od nich chciał.

– Trudno wykroić choćby taki dzień jak dzisiejszy – podsumował Homer.

– To znaczy, że nie zanocujesz? – spytała Oliwia.

– Obowiązki wzywają – usprawiedliwił się Homer. – Ale wrócimy oboje na porę wystawiania uli do sadu – obiecał.

– Czyli około Dnia Matki – sprecyzowała Oliwia.

– Jasne – potwierdził Homer, całując ją w policzek, który był suchy i pachniał popiołem.

Meany Hyde i Herb Fowler pomogli mu ładować drzewka na furgonetkę.

– Chcesz sam jeden posadzić czterdzieści na czterdzieści? – zdziwił się Meany.  
– W takim razie módl się, bracie, żeby ziemia szybko rozmarzła.

– I żeby ci kręgosłup nie wysiadł – dodał Herb Fowler. – No i interes żeby ci nie odpadł.

– Jak tam Candy? – zainteresowała się Big Dot Taft. (Niewiele chudsza od ciebie – pomyślał Homer.)

– Świetnie – odparł. – Strasznie zapracowana.

– Ja myślę – wtrąciła kąśliwie Debra Pettigrew.

W kotłowni pod akwariem Ray Kendall konstruował własną torpedę.

– Co z nią zrobisz? – spytał Homer.

– Nic. Tylko sprawdzam, czy potrafię – odparł Ray.

– W co chcesz ją wystrzelić? I z czego?

– Najtrudniejszy jest żyroskop – zignorował pytania Ray. – Strzelanie to pestka; ważne, żeby dała się sterować.

– Nie rozumiem – wyznał Homer Wells.

– No to zupełnie tak jak ja – powiedział Ray. – Jedziesz do sierocińca sadzić sad, tak? Siedzicie tam pięć miesięcy i moja córka ma tyle roboty, że nawet na jeden dzień nie może zajrzeć do ojca, tak? Ja też nie wszystko rozumiem.

– Wrócimy, jak zakwitną jabłonie – obiecał Homer z miną winowajcy.

– Przyjemna pora roku – zauważył Ray.

Jadąc z powrotem do St. Cloud's, Homer zastanawiał się, czy rezerwa, z jaką potraktował go Ray Kendall, była zamierzona. W końcu doszedł do wniosku, że chyba pojmuje, co Ray chciał mu powiedzieć: skoro wy coś przede mną ukrywacie, to ja też się nie zamierzam tłumaczyć.

– Torpeda? Na co mu torpeda? – zdumiała się Candy, gdy Homer relacjonował jej wizytę w Heart's Rock.

– Czas pokaże – rzekł Homer Wells.

Doktor Larch pomógł mu wyładować drzewka.

– Co one takie rachityczne? – skrzywił się.

– Przez pierwsze osiem, dziesięć lat nie będą rodzić wiele owoców

– wyjaśnił mu Homer.

– No to ja się twoich jabłek nie najem – stwierdził Wilbur Larch.

– Ale proszę pomyśleć, jak ładnie zbocze będzie wyglądało, jeszcze zanim zaczniemy zbierać jabłka – uśmiechnął się Homer.

– Strasznie rachityczne – powtórzył Wilbur Larch.

Pod szczytem wzgórza ziemia była jeszcze zmarznięta na kość; Homerowi nie udało się dokopać do odpowiedniej głębokości. U stóp zbocza natomiast dołki zaraz po wykopaniu podchodziły wodą z topniejącego w lesie śniegu. Homer stwierdził, że trzeba jeszcze poczekać z sadzeniem. Trochę się martwił, czy korzenie nie spleśnieją albo czy nie dobiorą się do nich myszy – ale głównie był zły, że nie jest panem kalendarza własnego życia. Chciał zasadzić jabłonie przed narodzinami dziecka. Chciał, żeby jego dziecko przyszło na świat z widokiem na młody sad.

– Co ja zrobiłem, że wyrósł z ciebie taki pedant? – drażnił się z nim Wilbur Larch.

– Chirurgia wymaga pedanterii – powiedział Homer.

Dopiero w połowie kwietnia mógł Homer wykopać dołki i zasadzić swój sad, czterdzieści na czterdzieści. Uwinął się w trzy dni, ale plecy tak mu sztywniały w nocy, że we śnie rzucał się i przewracał z boku na bok co najmniej tak jak Candy, której już w żadnej pozycji nie było wygodnie. Przyszła pierwsza ciepła wiosenna noc i nagle zrobiło im się o wiele za gorąco pod zimowymi kocami: właśnie tej nocy odeszły wody płodowe, które Homer i Candy w pierwszej chwili wzięli za pot.

Homer zaprowadził Candy do szpitala wejściem przez budynek chłopców. W czasie gdy siostra Edna szykowała Candy do porodu, Homer poszedł pogadać z doktorem Larchem, który czekał na niego w gabinecie siostry Angeli.

– Ja odbiorę dziecko – oświadczył kategorycznie doktor Larch. – Brak zaangażowania emocjonalnego ma swoje plusy. Ojcowie tylko zawadzają w sali porodowej. Chcesz być przy tym – proszę bardzo; tylko mi się nie wtrącaj.

– Jasne – rzekł Homer Wells, zdradzając pewne oznaki zdenerwowania, co było u niego nowością. Doktor Larch uśmiechem dodał mu odwagi.

Siostra Edna zajmowała się Candy, a siostra Angela – doktorem Larchem. Homer, już w masce chirurgicznej, usłyszał nagle odgłosy zamieszania z sypialni chłopców. Nie zdejmując maski, poszedł sprawdzić, co się dzieje. Jeden z Johnów Larchów, czy też może Wilburów Walshów, wyszedł na dwór i sikał hałaśliwie do blaszanego pojemnika na śmieci. Wystraszył tym szopa, który akurat buszował w odpadkach, a szop z kolei przestraszył malca, który z wrażenia obsiusiał całe spodnie od piżamy. Homer starał się jak najszybciej i najspokojniej przywrócić spokój w sypialni: spieszo mu było do sali porodowej.

– W nocy lepiej nie wychodzić na siusiu – powiedział głośno, żeby cała sala słyszała. – Candy właśnie rodzi dziecko.

– Chłopca czy dziewczynkę? – spytał ktoś z sali.

– Chłopca albo dziewczynkę – odparł Homer Wells.

– Jak je nazwiecie? – zaciekawiał się ktoś inny.

– Mnie nazwała siostra Angela – powiedział Homer.

– Mnie też! – rozległ się chór chłopięcych głosów.

– Jeżeli to będzie dziewczynka, nazwę ją Angela – zdecydował Homer Wells.

– A jak chłopiec?

– Jak chłopiec, to Angel. Prawie Angela, tylko bez „a” na końcu – odparł Homer.

– Angel? Anioł? – upewnił się któryś z malców.

– No właśnie – powiedział Homer Wells i wszystkich po kolei ucałował na dobranoc.

Był już w drzwiach sypialni, kiedy z sali padło pytanie:

– Zostawicie go tutaj?

– Nie – wymamrotał niewyraźnie Homer, bo już zdążył naciągnąć maskę na usta.

– Tak czy nie? – krzyknęli chłopcy chórem.

Homer ściągnął maskę i dobitnie odpowiedział:

– Nie.

W sali porodowej było gorąco. Nikt nie spodziewał się wiosennego ocieplenia, więc w oknach nie było moskitier: doktor Larch zabronił je wobec tego otwierać.

Na wieść o tym, że dziecko zostanie nazwane na jej cześć, siostra Angela tak się wzruszyła i popłakała, że Larch kazał jej zmienić maskę. Siostra Edna ocierała pot z czoła doktora, ale że była niskiego wzrostu, nie sięgała do samej góry i gdy główka dziecka wyjrzała na świat, Larch ochrzcił ją kroplą potu, która padła prosto na skroń maleństwa, jeszcze zanim poród dobiegł końca. Homerowi przypomniały się narodziny powieściowego Dawida Copperfielda, „w czepku”.

Barki wychodziły, zdaniem Larcha, zbyt wolno, więc ująwszy główkę oburącz za podbródek i potylicę, pociągnął w dół i jednym zręcznym ruchem odsłonił głębiej ułożone ramionko. Homer Wells przygryzł wargę, ale z aprobatą pokiwał głową, widząc, jak łatwo wyslizguje się drugie ramię i reszta maleństwa.

– Angel! – obwieściła siostra Edna, zwracając się do Candy, rozpromienionej w błogim, eterycznym jeszcze uśmiechu. Siostra Angela, która zdążyła przemoczyć łzami drugą maskę, musiała się odwrócić.

Dopiero po wyjściu łożyska doktor Larch skomentował poród tak, jak to czasem miał w zwyczaju:

– Doskonale!

A potem zrobił coś, czego nie miał w zwyczaju: ucałował Candy (przez maskę chirurgiczną) między szeroko otwarte, już trzeźwe po eterze oczy.

Nazajutrz rozpętała się straszna śnieżycyca – taka, jaka zdarza się nieraz tylko w kwietniu: wściekłe memento zimy. Homer z troską spoglądał na swój świeżo zasadzony sad: rachityczne, oblepione śniegiem jabłunki przypominały mu nieszczęsne gęsi, które tak pechowo i nie w porę osiadły na stawie przy młynie.

– Nie martw się o drzewka. Teraz już muszą sobie same radzić – powiedział mu doktor Larch.

Angel Wells – trzy kilogramy osiemdziesiąt, ani sierota, ani poroniony płód – też musiał sobie teraz radzić sam.

Na tydzień przed pierwszym maja w St. Cloud's leżało jeszcze tyle śniegu, że trudno było myśleć o wiosnie. Homer Wells pootrzasał ze śniegu gałęzie wszystkich jabłonek. Przy słabowitym drzewku odmiany zimowy banan odkrył ślady myszy, więc posypał tam trochę zatrutych ziaren owsa i kukurydzy. Pnie wszystkich drzewek były osłonięte metalowymi kryzami, ale do bezbronnych gałęzi mekintoszy zasadzonych najbliżej lasu już zdążyły się dobrać sarny. Homer wystawił lizawkę dla saren głębiej w lesie, w nadziei, że tym się zadowolą.

Candy pielęgnowała Angela. Zeschnięty koniec pępownicy odpadł sam we właściwym czasie, miejsce po obrzezaniu też się prędko zagoiło. Homer własnoręcznie obrzezał syna.

– Musisz się wprawiać – zachęcił go do tego doktor Larch.

– Mam się wprawiać na rodzonym synu? – zaprotestował Homer.

– Oby to był jedyny ból, jaki mu w życiu zadasz – odparł Wilbur Larch.

Rankiem na wewnętrznych szybach okien wciąż bieleły ramki lodu. Homer miał dzięki temu sposób na budzenie Candy, gdy nie reagowała na subtelne drapanie jednodniowego zarostu: chłodził palec o zamarznąłą szybę i zziębniętym do czerwoności, lodowatym opuszką dotykał Candy – to zawsze skutkowało. Homer i

Candy nie mogli nacieszyć się tym, że z powrotem mieszczą się w jednym łóżku – nawet z Angelem pośrodku, gdy przychodziła pora karmienia. Ulewający się z pełnych piersi Candy pokarm budził ich nieraz, jeszcze zanim Angel zawołał jeść. Candy i Homer byli szczęśliwi jak nigdy. Nie przeszkadzało im, że majowe niebo ma barwę ścierki, jak w lutym, i chłapie śniegiem z deszczem. Nie dbali o to, że tajemnica, której strzegli na odludziu St. Cloud's, kiedyś będzie musiała wyjść na jaw – a właściwie już pewnie była tajemnicą poliszynela w Heart's Haven i Heart's Rock, gdzie ludzie mają głowy nie od parady. W Maine nie stawiają człowieka pod pręgierzem: czekają, aż sam dojrzeje i zmądrzeje, w swoim czasie.

Co drugi dzień odbywało się rytualne ważenie Angela Wellsa. Wszyscy zbierali się w pokoju zabiegowym: siostra Angela trzymała rejestr wyników, a doktor Larch z Homerem na zmianę badali brzuszki niemowlęcia, zaglądali mu w oczka i sprawdzali „małpi chwyt”.

– Powiedzcie szczerze: podoba wam się tutaj, co? – uśmiechnęła się siostra Edna do Candy i Homera podczas jednej z tych ceremonii.

Tego dnia temperatura na dworze wynosiła jeden stopień powyżej zera i mokry śnieg, który padał z samego rana, zaczął się zmieniać w marznącą mżawkę. W Heart's Rock Oliwia Worthington też miała tego dnia swoją tajemnicę. Może gdyby Homer i Candy okazywali jej więcej serdeczności, Oliwia podzieliłaby się z nimi nieoczekiwaną wieścią przez telefon. Ale ludzie w Maine nie lubią telefonu: uważają go za grubiański wynalazek, który zawsze dopada człowieka znienacka – zwłaszcza gdy przez telefon komunikowane są ważne wiadomości. Co innego telegram: daje przynajmniej czas na ochłonięcie, zanim człowiek odpowie. Oliwia powierzyła więc swój sekret telegramowi, dając w ten sposób nieco więcej czasu wszystkim zainteresowanym.

Pierwsza przeczytała telegram Candy. Zajęta była właśnie karmieniem Angela w pokoju na oddziale dziewcząt i tam zastała ją pani Grogan z telegramem, dostarczonym niespiesznie przez jednego z obiboków, którzy wysługiwali się zawiadowcy stacji. Treść telegramu musiała zaszokować Candy, skoro bez słowa przekazała dziecko pani Grogan, chociaż Angel wcale nie wydawał się jeszcze najedzony. Pani Grogan zdumiała się widząc, że Candy nawet nie poprawiła stanika, tylko zapiawszy w pośpiechu bluzkę, popędziła przez dziedziniec do szpitalnego wejścia na oddział chłopców, nie bacząc na paskudną pogodę.

Homer radził się właśnie doktora Larcha, czy nie powinien się poddać prześwietleniu klatki piersiowej, żeby wyjaśnić sprawę wady serca. Wilbur Larch był w trakcie układania ostrożnej odpowiedzi, gdy Candy wpadła do gabinetu jak burza.

Oliwia Worthington, jankeska z krwi i kości, wiedziała, jak najoszczędniej sformułować telegram, skoro płaciło się od słowa. Mimo to, pod wpływem emocji, znacznie się tym razem rozpisła:

WALLY ZNALEZIONY ŻYJE / STOP /  
PO ZAPALENIU MÓZGU REKONWALESCENCJA CEJLON / STOP/  
UWOLNIONY Z RANGUNU BIRMA / STOP/  
TEMPERATURA DWADZIEŚCIA DZIEWIĘĆ STOPNI / STOP/  
WAŻY CZTERDZIEŚCI OSIEM KILO / STOP/  
SPARALIŻOWANY / STOP/  
CAŁUJĘ OLIWIA

- Czterdzieści osiem kilo – powtórzył Homer Wells.  
- Żyje – szepnęła Candy.  
- Sparaliżowany – powiedziała siostra Angela.  
- Zapalenie mózgu – zasepił się Wilbur Larch.  
- Jak to możliwe, Wilburze, żeby człowiek miał temperaturę dwadzieścia dziewięć stopni? – spytała siostra Edna.

Doktor Larch nie umiał na to odpowiedzieć i nie chciał zgadywać. Był to jeden z tych tajemniczych szczegółów, na których wyjaśnienie trzeba długo czekać. Wiele takich szczegółów dotyczyło kapitana Worthingtona, który dziesięć miesięcy wcześniej wyskoczył z samolotu nad Birma: ich wyjaśnienie miało trwać lata.

Lało tak strasznie, że Wally wyskakując miał wrażenie, iż jego otwierający się spadochron zaciekle walczy z nawałą deszczu. Zląkł się zarazem, że może zbyt wcześnie szarpnął linkę spadochronu, bo nadal z bardzo bliska słyszał warkot samolotu. Bał się bambusów – słyszał o niejednym skoczku nadzianym na bambus jak na rożen – ale szczęśliwie ominął je i spadł na drzewo tekowe, raniąc rękę o gałąź. Albo uderzył głową o pień, albo ból ramienia sprawił, że Wally zemdleł. Gdy się ocknął, było ciemno. Nie wiedząc, jak wysoko jest nad ziemią, bał się wyplątać z linek spadochronu aż do rana. Wstrzyknął sobie zbyt dużą dawkę morfiny – ramię strasznie bolało – i po ciemku upuścił strzykawkę.

Nastał świt. Opuszczając samolot w pośpiechu, Wally nie zdążył znaleźć maczety. Przycinanie linek spadochronu bagnetem noszonym przy bucie – zwłaszcza jedną ręką – było zadaniem morderczym. Gdy w końcu Wally zaczął opuszczać się na

ziemię, zaczepił szelkami o lianę. Dysponując tylko jedną ręką, nie mógł ani podciągnąć się do góry, ani wyplątać z szelek, więc je odpiął. Szelki odskoczyły, a przypięty do nich łańcuch wpił się Wally'emu w krtań. Zeskoczył wreszcie, ale wylądował na zmurszałym tekowym konarze, ukrytym w paprociach. Kłoda przeturlała się i Wally skrzył nogę w kostce. Przypomniał sobie, że w czasie monsunu nie sposób odróżnić kierunku wschodniego od zachodniego – i wtedy właśnie stwierdził, że nie ma kompasu. Wtarł garść proszku sulfatazoluowego w poderżnięte gardło.

Nie miał pojęcia, w którą stronę szukać Chin. Zaczął iść przed siebie, wybierając po prostu najrzadsze chaszczki. Po trzech dobach stwierdził, że albo dżungla się przerzedza, albo on dochodzi do wprawy w przedzieraniu się przez zarośla. Chiny miał po wschodniej stronie, lecz szedł na południe. Chiny leżały za górami, a Wally wybierał drogę przez doliny. W tej okolicy doliny układały się w kierunku południowo-zachodnim. Co do jednego miał jednak rację: dżungla istotnie się przerzedzała. Robiło się też coraz cieplej. Na noc Wally wspinał się na drzewo i spał między konarami. Najwygodniej było w rozłożystych, krętych jak monstrualne kable gałęziach drzewa tekowego – niestety, Wally nie był pierwszym stworzeniem, które to stwierdziło. Pewnej nocy w koronie sąsiedniego drzewa Wally ujrzał – dokładnie na poziomie oczu – lamparta iskającego się z kleszczy. Poszedł za przykładem drapieżnika i rzeczywiście kilka na sobie znalazł. Na pijawki już dawno machnął ręką.

W kilka dni później natknął się na pytona – niedużego, około pięciu metrów długości. Wąż leżał na skale, zajęty przełykaniem czegoś, co rozmiarami i kształtem przypominało psa myśliwskiego. Wally doszedł do wniosku, że to pewnie małpa – chociaż nie przypominał sobie, aby widział małpy po drodze. Widział ich, naturalnie, sporo, tylko nie pamiętał, ponieważ już wtedy miał gorączkę. Chciał nawet zmierzyć sobie temperaturę, ale termometr w apteczce okazał się pęknięty.

W tym samym dniu, w którym ujrzał tygrysa przepływającego przez rzekę, zaczął też zauważać moskity: klimat wyraźnie się zmieniał. Rzeka, którą tygrys pokonał wplaw, wyłobila po obu brzegach rozłożystą dolinę. Las także zmienił charakter. Wally złowił rękami rybę i zjadł jej wątrobę na surowo. Żaby, wielkie jak koty, opiekają nad ogniskiem; stwierdził jednak, że ich udka mają bardziej galaretowaty smak niż żabie udka, które pamiętał z dawnych czasów. A może brakowało tylko czosnku.



Zjadł też owoc o konsystencji podobnej do mango, tyle że kompletnie bez smaku. Został mu potem w ustach gęsty, stęchły osad. Wally przez cały dzień miał torsje i dreszcze. Rzeka, przez którą płynął tygrys, rozrastała się dalej w większą rzekę. W czasie monsunu nurt był bardzo wartki; to zachęciło Wally'ego do zbudowania tratwy. Przypomniało mu się, jak konstruował tratwy do pływania po Jeziorze Wody Pitnej, i zapłakał widząc, o ile trudniej jest wiązać bambus pnączem niż sosnowe belki liną, kiedy w dodatku nie ma się pod ręką starych desek i gwoździ. Zielony bambus był o wiele cięższy od sosny. Tratwa przeciekała – ale to nieważne, dopóki utrzymywała się jakoś na wodzie. Wally wiedział, że jeśli dopłynie do brodu, nie przeniesie jej o własnych siłach.

Zauważył, że komarów jest coraz więcej, zwłaszcza w miejscach, gdzie rzeka płynęła szerzej i spokojniej. Dryfował na swojej tratwie. Nie miał pojęcia, ile dni to trwało, ani też kiedy zauważył u siebie gorączkę – to było chyba, jak później opowiadał, gdy ujrzał pierwsze pola ryżowe i bawoły wodne. Pamiętał, jak któregoś dnia machał z tratwy do kobiet pracujących na ryżowych poletkach: wyglądały na bardzo zdziwione jego widokiem.

Pola ryżowe powinny były przekonać Wally'ego, że podąża w złym kierunku: posuwał się w głąb Birmy, która ma na mapie kształt latawca z bardzo długim ogonem. Był teraz znacznie bliżej Mandalay niż Chin – a Mandalay pozostawało w rękach Japończyków. Ale Wally miał czterdzieści stopni gorączki i dryfował na tratwie w malignie, nie odróżniając niekiedy rzeki od pól ryżowych. Zaciekawilo go, że chociaż tubylcy obu płci nosili długie spódnice, to tylko mężczyźni zakrywali głowy kapeluszami o wyglądzie koszyków oplecionych paskami kolorowego jedwabiu. Kobiety chodziły z gołymi głowami, lecz często wpinały kwiaty we włosy. I kobiety, i mężczyźni zaplatali włosy w warkocze. Wyglądali, jakby stale coś jedli, lecz żuli tylko orzeszki betelu. Mieli brązowe zęby i usta wampirów – od betelowego soku.

Birmańczycy wzięli Wally'ego do domu. Wszystkie ich domy były jednakowe: na palach, parterowe, kryte strzechą. Posiłki jadało się na ganku. Karmili Wally'ego ryżem i potrawami z curry, poili herbatą. Gdy gorączka zaczęła spadać, Wally dostał do jedzenia *pantaj kaus* (kurczę z kluseczkami) i *nga sak kin* (Mopsiki rybne z curry). Nazwy tych potraw były pierwszymi birmańskimi słowami, których gospodarze nauczyli Wally'ego. Z początku Wally myślał, że *nga sak kin* to nazwisko wieśniaka, który przyniósł go z tratwy do domu i podtrzymał mu głowę, gdy wieśniaczka wkładała mu palcami do ust kęsy jedzenia. Wieśniaczka, żona wybawcy Wally'ego,

była czarująco miniaturowa i chodziła w olśniewająco białej bluzce. Jej mąż dotykał bluzki i nazywał ją po birmańsku, starając się powiększyć zasób słów Wally'ego.

– *Aingiis* – powtarzał. Wally myślał, że tak się nazywa żona. Pachniała, tak jak całe wnętrze chaty, tanim perkalem i skórką cytrynową.

*Nga Sak Kin* i *Aingiis* byli przemiłą parą. Wally raz po raz powtarzał z uśmiechem ich imiona. Pan Klopsik Rybny Z Curry i pani Bluzka odpowiadali mu radosnymi uśmiechami. Pani Bluzka potrafiła pachnieć lepko-słodko jak makagigi albo cytrusowo jak bergamota.

Sztywność karku i pleców zaczęła się podczas trwania gorączki, ale Wally stwierdził u siebie paraliż, dopiero, gdy gorączka spadła, skończyły się torsje, bóle głowy i drgawki. Na tym etapie paraliż objął wszystkie kończyny. („Paraliż kurczowy” – zdiagnozowałby ten objaw Wilbur Larch.) Ramiona i nogi Wally'ego sterczały sztywno i nie był w stanie nimi poruszyć. Przez dwa do trzech tygodni leżał w malignie, a kiedy usiłował coś powiedzieć, mówił bardzo powoli i niewyraźnie. Utrzymujące się drżenie ust i języka utrudniało mu przyjmowanie pokarmów. Nie był w stanie opróżnić pęcherza: gospodarze musieli założyć mu cewnik z cienkiego, chropawego pędu bambusa.

Birmańczycy przekazywali sobie Wally'ego z domu do domu. Podróże odbywał rzeką. Raz widział słonie ciągnące z lasu kłody drewna. Wody prawie nie było widać, bo unosił się na niej gęsty kobierzec żółwi, czarnych węży, hiacyntów wodnych i soku betelowego o ciemniejszym czerwonym odcieniu niż krew w moczu Wally'ego.

– *Nga Sak Kin* – dopytywał się Wally niespokojnie. – *Aingiis!*

Gdzie oni się podziali? Twarze wokół Wally'ego stale się zmieniały, ale wszyscy zdawali się znać dwa imiona, które Wally tak często wspominał. Ale duża rodzina! – myślał Wally.

– Jestem sparaliżowany, prawda? – zadawał to pytanie wszystkim swoim ładnym, filigranowym opiekunom płci obojga. Uśmiechali się miło w odpowiedzi. Jakaś kobieta umyła Wally'emu włosy i cała jej rodzina przyszła popatrzeć, jak blond czupryna Wally'ego schnie na słońcu – całkiem jakby wchłaniała jego złoty blask! Birmańczycy byli zachwyceni.

Ofiarowali mu długie, olśniewająco białe gieżło.

– *Aingiis* – rzekł ofiarodawca. Jak miło, prezent od niej! – ucieszył się Wally. Potem na jego złote włosy włożyli czarną perukę z dobrze nawoskowanym warkoczem, który udrapowali w wysoki kok i przyozdobili kwiatami. Dzieciarnia chichotała. Ogolili go tak starannie, że skóra twarzy piekła jak ogień. Ogolili mu także

łydki, tyle ile wystawało spod długiej spódnicy, w którą go ubrali. Wally miał się przeistoczyć w kobietę. Birmańczycy uznali, że będzie bezpieczniejszy, gdy wtopi się w tłum. Ze swoimi regularnymi rysami, Wally był za ładny na birmańskiego mężczyznę. Na szczęście, ideałem kobiecej urody w Birmie jest brak biustu.

Wielka szkoda, że spartaczyli cewnikowanie, chociaż we wszystkich innych zabiegach byli tacy staranni. Pęd bambusa pełniący rolę cewnika nie zawsze był czysty: owszem, chropawy koniec sprawiał Wally'emu ból i powodował krwawienia, ale infekcji winien był tylko i wyłącznie brud. Zakażenie spowodowało sterylizację. Najądrza – objaśniłby Wally'emu doktor Larch – to pojedynczy skręcony kanalik, w którym sperma dojrzewa po opuszczeniu jądra. *Epididymitis* (infekcja tego kanalika) nie pozwala spermie przedostawać się do nasieniowodu. W przypadku Wally'ego blokada najądrzy miała charakter trwały.

Samo założenie cewnika było decyzją jak najbardziej słuszną – zawiodła tylko realizacja. Wstrzymanie moczu powodowało rozszerzenie pęcherza – cewnikowanie było w tej sytuacji konieczne. Wally zastanawiał się niekiedy, czy nie dałoby się robić tego prościej – i czy bambusowa rurka jest czysta – ale nie mógł się przecież porozumieć z opiekunami. Potrafił tylko pytać:

– *Aingiis? Nga Sak Kin?*

Po kilku miesiącach usłyszał bombardowanie.

– Irawadi – wyjaśnili mu Birmańczycy.

Bombardowano pola naftowe wzdłuż rzeki Irawadi. Wally dowiedział się w ten sposób, gdzie jest. Sam bombardował te pola. Zanim usłyszał odgłosy wojny, Birmańczycy zabrali go (jak zwykle w kobiecym przebraniu) do lekarza w Mandalay. Miał silnie podrażnione oczy od pasty curry, którą wcierali mu w twarz, ale z bliska te niebieskie oczy i patrycjuszowski nos nikogo by nie oszukały. W Mandalay zobaczył Wally wielu Japończyków. Doktor miał spory kłopot z przekazaniem Wally'emu diagnozy.

– Japoński komar B – powiedział po angielsku.

– Ukąsił mnie japoński komar? – upewnił się Wally. Co jednak miało oznaczać to „B”? Cewnik nie był mu już potrzebny do oddawania moczu, ale zakażenie zrobiło swoje.

Gdy Wally usłyszał bomby w dolinie Irawadi, górne kończyny miał już sprawne: paraliż częściowo ustąpił. W nogach skurcz spastyczny też minął, ale paraliż pozostał w postaci bezwładu, i to nie całkiem symetrycznego: lewa noga była bardziej bezwładna niż prawa. Pęcherz wrócił do normy, przewód pokarmowy dokuczał

Wally'emu wyłącznie z powodu curry; sprawność seksualna – o ile Wally mógł się zorientować – odżyła.

– Zapalenie mózgu nie powoduje skutków autonomicznych – pouczył Wilbur Larch Candy i Homera Wellsa.

– Co to znaczy? – spytała Candy.

– To znaczy, że Wally może prowadzić normalne życie seksualne – wyjaśnił jej Homer Wells, który nie wiedział o tym, że Wally przeszedł zapalenie najądrzy, wskutek którego mimo normalnej funkcji seksualnej cierpi na niedobór plemników. Orgazm i wytrysk odbywają się w takim przypadku normalnie, gdyż sporą część substancji wydalanej drogą ejakulacji wytwarza prostata, znacznie oddalona od miejsca zakażenia. Wally nie był tylko w stanie począć dziecka.

Homer, Candy i Larch nie wiedzieli jeszcze o sterylizacji Wally'ego: wiedzieli tylko o zapaleniu mózgu.

Przyczyną choroby stało się ukąszenie przez komara. Tak zwana Japońska B” odmiana zapalenia mózgu zdarzała się w Azji dość powszechnie w czasie ostatniej wojny.

– Nosicielami tego wirusa są członkonogi – objaśnił Wilbur Larch. Trwały bezwład kończyn dolnych nie należał do typowych skutków ubocznych tej choroby, lecz został wielokrotnie odnotowany. Wirus powoduje liczne zmiany w tkance mózgowej, natomiast skutki jego działania na rdzeń kręgowy przypominają polio. Okres wylegania wirusa trwa około tygodnia; faza ostra choroby – zaledwie tydzień do dziesięciu dni; rekonwalescencja jest długa, a drgawki mięśniowe utrzymują się do kilku miesięcy.

– Jak na chorobę pochodzącą od ptaków, to dosyć groźna rzecz – mówił Wilbur Larch do siostry Edny i siostry Angeli. Komar przejmuje wirusa od ptaków i przenosi go na człowieka i inne wielkie zwierzęta.

Birmańczycy przebrali Wally'ego za kobietę, ponieważ miał ładną twarz i bardzo schudł w chorobie. Dla Japończyków Birmanki były pociągające i onieśmielające zarazem – zwłaszcza te, które pochodziły z regionu Padaung i wydłużały sobie szyje nosząc na nich spiralne mosiężne obręcze. Jako kobieta, w dodatku kaleka, Wally był nietykalny. Euroazjatycki kamuflaż czynił go wręcz wyrzutkiem społeczeństwa, niegodnym bliższego zainteresowania.

Z końcem pory monsunów, w październiku, starali się podróżować po rzece głównie nocami; w dzień chronili Wally'ego od słońca parasolką i dodatkową warstwą pasty z curry. Wally miał już serdecznie dość klopsików rybnych z curry, ale ponieważ

stale się ich domagał – tak przynajmniej uważali Birmańscy – nie dostawał do jedzenia nic innego. W atakach maligny powtarzał imię Candy. Zainteresowało to jednego z wioślarzy.

– Candy? – zapytał grzecznie, gdy Wally się ocknął. Tego dnia płynęli sampanem. Wally leżał na matach pod daszkiem i obserwował wioślarzy pracujących śrubówkami.

– *Aingiis* – odpowiedział. Chodziło mu o to, że Candy, tak jak poczciwa Birmanka, była dobrą kobietą i żoną.

Wioślarz pokiwał głową ze zrozumieniem. W najbliższym porcie rzeczonym – Wally nie umiał go nazwać: mógł to być Jandun – Birmańscy kupili mu nowe śnieżnobiałe giezło.

– Candy! – rzekł wioślarz, wręczając bluzkę Wally’emu. Wally zrozumiał, że mają ofiarować Candy. Uśmiechnął się: dryfował dalej. Ostry nos sampana zdawał się węszyć kierunek na rzece. Cały ten kraj był dla Wally’ego krainą zapachów – jednym wielkim wonnym snem.

Wilbur Larch potrafił sobie wyobrazić podróż Wally’ego. Za wehikuł miał eter. Słonie, pola naftowe, poletka ryżowe i spadające bomby; biały mężczyzna w przebraniu kobiety – Larch też tam był; był już wszędzie. Z łatwością wyobrażał sobie Rangun i bawoły wodne. W każdym eterowym śnie zdarza się coś na miarę przemycania amerykańskiego pilota na drugą stronę Zatoki Bengalskiej przez miejscowych partyzantów. Wilbur Larch nie jeden raz przemierzył był szlaki, które wiodły Wally’ego przez Birnę. Przez całą drogę woń petunii (podobna do zapachu czarnych porzeczek) kłóciła się z odorem łąjna.

Przez Zatokę Bengalską przewiózł Wally’ego mały samolot z cejlońską załogą, pilotowany przez Brytyjczyka. Wilbur Larch nieraz takim leciał.

– Znasz *sinhala*? – zagadnął brytyjski pilot Wally’ego, którego posadzili na miejscu drugiego pilota. Od Anglika załatywało czosnkiem i turmerykiem.

– Co to takiego? – nie rozumiał Wally. Kiedy przymykał oczy, widział białe, jakby nawoskowane kwiaty krzewu dzikiej limony: nie mógł uwolnić się od obrazów dżungli.

– Najważniejszy język na Cejlonie, kolego – odparł pilot. Herbatą też od niego pachniało.

– Lecimy na Cejlon? – spytał Wally.

– W Birmie blondas się nie uchowa – powiedział Anglik. – Nie słyszałeś, że roi się tam od Japończyków?

Wally wolał pamiętać o swoich przyjacielach-Birmańczykach. Nauczyli go *salaam* – głębokiego ukłonu z prawą dłonią (zawsze prawą) na czole: był to ukłon powitania. A kiedy leżał chory, zawsze ktoś przyszedł pówachlować go *punka – punka* to wielki, prostokątny wachlarz u sufitu, poruszany (przez służącego) liną.

– *Punka* – powiedział Wally do angielskiego pilota.

– Co to takiego, koleżko? – spytał tamten.

– Gorąco tu. – Wally’emu zaczęło się robić słabo: lecący bardzo nisko samolot zamienił się w istny piec. W woni potu pilota dominował czosnek, ale dało się wyczuć również ślad aromatu drzewa sandałowego.

– Kiedy odlatywaliśmy z Rangun, temperatura wynosiła dziewięćdziesiąt dwa stopnie amerykańskie – poinformował pilot Wally’ego. Specjalnie powiedział „amerykańskie”, a nie „Fahrenheita”, ale Wally nie zauważył żartu.

– Dziewięćdziesiąt dwa stopnie! – powtórzył Wally i po raz pierwszy od dawna poczuł, że ma do czynienia z faktem, „na którym można powiesić kapelusz”, jak to mawiają w Maine.

– Co ci się stało w nogi? – zagadnął Anglik, niby to mimochodem.

– Komar japoński B – wyjaśnił Wally. Brytyjczyk bardzo się zasmucił: myślał, że „komar japoński B” to nazwa samolotu, który zestrzelił maszynę Wally’ego.

– Co to za typ, kolego? Takiego nie znam. Niby widziałem wszystkie, ale z Japońcami nigdy nic nie wiadomo.

Cejlońska załoga samolotu, ubrana w sarongi i długie koszule bez kołnierzyka, lśniła od olejku kokosowego, którym wszyscy się szczerze wysmarowali. Dwaj ludzie coś jedli, a trzeci skrzeczał głośno w radiostację. Pilot powiedział coś do niego i skrzek natychmiast przycichł.

– *Sinhala* to paskudny język – zwierzył się pilot Wally’emu. – Jak się koty parzą, słyhać mniej więcej to samo.

Ponieważ Wally znów nie docenił dowcipu, Anglik zagadnął go, czy był już kiedyś na Cejlonie. Wally nie odpowiedział. Wyglądał, jakby śnił na jawie.

– To my zasadziliśmy u nich pierwsze drzewa kauczukowe i rozwinęliśmy plantacje kauczuku – perorował Anglik. – Nauczyliśmy ich nawet parzyć herbatę. Hodować ją umieli, ale nikt na całej cholernej wyspie nie potrafił zaparzyć przyzwoitej filiżanki herbaty. A teraz oni ubzdurali sobie niepodległość! – zakończył oburzony.

– Dziewięćdziesiąt dwa stopnie – uśmiechnął się błogo Wally.

– Spokojnie, kolego, odpręż się – poradził mu pilot.

Wally'emu odbiło się: poczuł smak cynamonu. Gdy przymknął oczy, ujrzał na firmamencie afrykańskie margerytki – jak gwiazdy.

Ni stąd, ni zowąd, wszyscy trzej Cejlończycy zaczęli jazgotać chórem. Najpierw radio coś gadało, a potem oni trzej unisono.

– Sami buddiesi, niech ich kaczkę zdepczą – wyjaśnił pilot. – Nawet przez radio się modlą. Cały Cejlon jest taki: dwie trzecie herbaty, jedna trzecia kauczuku i modłów.

Wrzasnął coś do Cejlończyków, którzy nieco ściszyli tony.

Gdy lecieli nad Oceanem Indyjskim i mieli już wkrótce ujrzeć Cejlon, pilota zaniepokoił widoczny nie opodal na niebie samolot.

– Teraz byście się pomodlili, cholera – burknął do śpiących Cejlończyków. – Jak wygląda ten komar japoński B? – spytał Wally'ego. – Widziałeś go, czy cię trafił z tyłu?

– Dziewięćdziesiąt dwa stopnie – oznajmił Wally.

Po wojnie Cejlon miał stać się niepodległym państwem, a w dwadzieścia cztery lata później – zmienić nazwę na Sri Lanka. Ale Wally zapamiętał tylko jedno: że jest tam piekielnie gorąco. W pewnym sensie Wally nigdy nie ukończył swojego ostatniego skoku na spadochronie; w pewnym sensie na dziesięć miesięcy zawisł w niebie nad Birmą. To, co pamiętał z własnej przygody, niewiele się różniło od eterowych omamów. A o tym, jaki wyszedł z wojny – wysterylizowany, sparaliżowany, z bezwładem nóg – śniła o wiele wcześniej Big Dot Taft.

W St. Cloud's panował trzydziestoczerostopniowy upał, gdy Homer Wells udał się na stację, aby podyktować zawiadowcy telegram do Oliwii. Nie umiał zdobyć się na telefon i przekazanie jej kłamstwa na żywo. W końcu, usprawiedliwiał się sam przed sobą, Oliwia także do nich telegrafowała. Musiała mieć swoje powody, żeby nie korzystać z telefonu. Homer dyktował treść telegramu do Oliwii z głębokim przeczuciem, że Ray i Oliwia znają prawdę o nim i o Candy, a on sam kłamie z czystego poszanowania konwenansu, potwierdzając w istocie ich podejrzenia. Potwierdzić je wprost można było tylko nieuprzejmie – a Homer Wells był uprzejmy.

SZCZĘŚĆ BOŻE TOBIE I WALLY'EMU / STOP /

KIEDY WRACA / STOP /

CANDY I JA NIEDŁUGO DO DOMU / STOP /

ADOPTOWAŁEM CHŁOPCZYKA / STOP /  
CAŁUJĘ HOMER

- Nie za młody pan, żeby adoptować dziecko? – skomentował treść telegramu zawiadowca stacji.

– Może – powiedział Homer Wells.

Candy zatelefonowała do ojca.

– Ruszyć go można najprędzej za parę tygodni, może miesięcy – odpowiedział Ray na jej pytanie. – Musi nabrać wagi przed długą podróżą, i pewnie mu tam robią jakieś badania. A w ogóle to jeszcze trwa wojna, zapomniałaś?

Pod koniec rozmowy Candy płakała jak bóbr.

– A jak ty się masz, moja kochana? – spytał Ray Kendall.

Miała okazję: mogła powiedzieć ojcu, że urodziła dziecko Homera Wellsa.

– Homer adoptował sierotę – powiedziała.

Po chwili ciszy Ray Kendall zapytał:

– Tylko jedną?

– Chłopczyka. Będę pomagać w wychowywaniu dziecka. Właściwie to tak, jakbyśmy oboje go adoptowali.

– Oboje? – powtórzył Ray.

– Na imię ma Angel.

– Niech go Bóg błogosławi – powiedział Ray. – I was oboje.

Candy dalej płakała w słuchawkę.

– Adoptowaliście chłopca, tak? – upewnił się Ray.

– Tak – odparła Candy Kendall. – Sierotę z sierocińca.

Candy odstawiła dziecko od piersi. Siostra Edna nauczyła ją ściągać pokarm. Angelowi nie podobało się przejście na mleko z butelki i przez kilka dni gwałtownie okazywał niezadowolenie. Candy też chodziła rozdrażniona. Gdy Homer zauważył, że włoski łonowe odrosną jej całkiem, zanim wróci do Heart's Haven, oburzyła się:

– Na litość boską, kto mi to będzie sprawdzał oprócz ciebie?

Homer też żył w stresie.

Irytowało go, że doktor Larch ciągle mu wmawia przyszłość w zawodzie lekarza. Larch próbował mu wcisnąć nowy egzemplarz *Anatomii* Graya, a oprócz niego standardowy podręcznik Greenhilla, *Praktyka ginekologiczna*, i świetną brytyjską książkę *Choroby kobiece*.



– Chryste Panie! – zdenerwował się Homer Wells. – Jestem ojcem rodziny i mam zamiar zająć się sadownictwem.

– Jesteś o krok od zostania znakomitym położnikiem – upierał się Larch. – Musisz się tylko trochę podkształcić w ginekologii i w pediatrii.

– Nie wiem, czy nie zostanę poławiaczem homarów – odburknął Homer.

– Zaprenumeruję dla ciebie „The New England Journal of Medicine” – ciągnął swoje Larch. – No i obowiązkowo „JAMA”, oraz „S, G and O...”

– To pan jest lekarzem – rzekł Homer z wyraźnym zniechęceniem.

– Jak się czujesz? – zapytała Candy Homera.

– Jak sierota – powiedział Homer. Leżeli w łóżku mocno przytuleni, ale nie kochali się tej nocy. – A ty?

– Nie umiem powiedzieć, dopóki go nie zobaczę – odparła Candy.

– Czego się wtedy dowiesz?

– Czy kocham jego, czy ciebie, czy was obu – powiedziała Candy. – Albo zostanę tak samo głupia, jak teraz.

– Poczekamy, co czas pokaże? Jak zwykle? – spytał Homer.

– Nie spodziewasz się chyba, że wyznam mu prawdę, dopóki jest na drugim końcu świata?

– Nie spodziewam się – szepnął.

Candy przytuliła się mocniej do niego i znów zaczęła płakać.

– Och, Homerze, nie mogę uwierzyć, że on waży czterdzieści osiem kilo!

– Na pewno przybierze na wadze – odparł Homer, lecz zadrżał mimo woli: Wally był zawsze takim atletą. Przypomniało się Homerowi, jak Wally zabrał go pierwszy raz nad ocean. Morze było tego dnia wyjątkowo niespokojne i Wally ostrzegł Homera przed niebezpieczeństwem cofającej się fali. A potem wziął go za rękę, poprowadził do wody i nauczył, jak nurkować pod falę, żeby potem na niej wypłynąć. Przez dobrą godzinę wałęsali się po plaży, nie speszeni obecnością Candy, która się gdzieś tam opalała.

– Dla mnie to głupota, tak leżeć plackiem na słońcu – powiedział Wally, a Homer przyznał mu rację. – Trzeba się ruszać, coś robić – słońce wtedy samo opala. Grunt to być w ruchu, no nie?

Zbierali muszelki i kamienie – jak to plażowicze – wypatrując ciekawych okazów. Homer zachwycał się gładkością kamieni i obłych brzegów połamanych muszli, oszlifowanych przez piasek i wodę.

– Ten kawałek swoje przeżył – powiedział Wally, wręczając Homerowi fragment muszli, który już prawie wcale nie miał kantów.

– Swoje przeżył – powtórzył Homer Wells.

– A to kamień-obieżyświat – pokazał mu Wally stary, idealnie gładki kamyk.

Wszystko zmieniło się, kiedy Homer zapragnął Candy – nawet naturalny proces szlifowania podmorskich kamieni i muszli. Homer czuł to i zastanawiał się, czy gdyby teraz wybrali się z Wallym na plażę, znów zbieraliby skarby wyrzucone przez fale, czy też może miłość do kobiety zmienia nawet najbanalniejsze czynności. Czy tylko po to miałem na chwilę przyjaciela, żeby na resztę życia mieć w nim rywala? – rozmyślał Homer.

Pieczę nad młodym sadem powierzył Homer siostrze Ednie. Pouczył ją, że siatkowe osłony nie powinny zbyt ciasno krępować pni drzewek, aby nie hamowały wzrostu – ale i nie mogą być za luźne, gdyż wówczas dawałyby myszom dostęp do kory. Nauczył ją też rozpoznawać norki myszy leśnej, która obgryza korzenie.

Wszyscy ucałowali Candy na pożegnanie – nawet Wilbur Larch, który zaraz potem wyciągnął dłoń do Homera Wellsa i zupełnie nie wiedział, co ma zrobić, gdy Homer, ignorując jego prawicę, objął doktora serdecznie i ucałował w pomarszczony kark. Najmniej hamowała łyzy siostra Edna. Ledwie furgonetka minęła budynek dziewcząt, Wilbur Larch zamknął się w pokoju zabiegowym.

Była niedziela. Kiedy Homer Wells przywiózł Candy pod dom, Ray Kendall pracował właśnie przy swojej prywatnej torpedzie. Candy zapowiedziała Homerowi, że nie ma odwagi spotkać się z Oliwią i odkłada to na następny dzień. W chwili gdy Homer odjeżdżał, zabierając Angela, ogarnęła ją jednak niespodziewana panika. Mimo że straciła już pokarm, była pewna, że będzie się nadal budziła w porach karmienia małego, chociaż tylko Homer usłyszy jego płacz. Ile nocy minęło, odkąd spała sama?

Nazajutrz powiedziała Homerowi:

– Musimy coś wymyślić, żeby mieć go przy sobie na zmianę, zanim powiemy wszystko Oliwii, i Wally’emu, oczywiście. Musimy się oboje nim zajmować i być z nim oboje. Ja za bardzo za nim tęsknię.

– A ja tęsknię za tobą – powiedział Homer Wells.

Sierota, który przez niespełna miesiąc w całym swoim życiu miał rodzinę, nie zamierzał z niej łatwo zrezygnować.

Kiedy przyjechał z Angelem do domu Worthingtonów, Oliwia powitała go jak syna: zarzuciła mu ręce na szyję, ucałowała go i rozplakała się.

– Pokaż no tego malucha – zażądała zaraz. – Jaki słodki! Ale co cię napadło? Jesteś jeszcze taki młody, nie masz nikogo.

– On też nikogo nie miał – wymamrotał Homer. – Candy obiecała, że mi pomoże.

– Naturalnie, że tak! I ja ci pomogę!

Zaniosła Angela do pokoju Wally'ego, gdzie Homer ze zdumieniem ujrzał łóżeczko dziecinne oraz zapas ubranek i ekwipunku dla niemowląt, jakiego nie dałoby się zgromadzić z obu oddziałów, dziewczęcego i chłopięcego, w St. Cloud's – wszystko to dla jednego malucha.

W kuchni stała bateria butelek do karmienia niemowlęcia. Oliwia kupiła nawet specjalny garnek do gotowania smoczków. W bielizniarce znalazł Homer więcej pieluszek niż pościeli i ręczników, mających służyć dorosłym domownikom. I oto – po raz pierwszy w życiu – Homer Wells poczuł się zaadoptowany. Ze zgrozą stwierdził, że Oliwia go kocha.

– Proponuję, żebyś zajął z Angelem pokój Wally'ego – powiedziała Oliwia, która wyraźnie wszystko już zaplanowała. – Wally nie będzie mógł chodzić po schodach, więc przerabiam pokój jadalny na sypialnię. Jadać możemy przecież w kuchni, a jadalnia ma taras, można siedzieć na powietrzu, kiedy jest ładna pogoda. Kazałam wymurować podjazd z tarasu do obrzeża basenu, dla wózka inwalidzkiego.

Homer obejmował płaczącą Oliwię i dręczyło go poczucie winy; opadła go ze wszystkich stron, jak noc – za każdym razem nowa, a przecież z dawna znana – udręka skruchy, tej „trucizny życia”, przed którą pan Rochester tak ostrzegał Jane Eyre.

W drugim tygodniu maja, z początkiem pory kwitnienia, Homer z Iżą Titcombem rozstawili ule po sadach. Wynieśli je nocą, w wigilię Dnia Matki. Nikt nie zapomniał o święcie ani o Oliwii. W domu pojawiło się mnóstwo drobnych upominków i gałązek z kwieciem jabłoni. Część pracowników nawet Homerowi ofiarowała prezenty na Dzień Matki – wydawało im się czymś bardzo zabawnym, że mężczyzna adoptował dziecko.

– Coś takiego: Homer z własnym dzieckiem! – dziwowała się Big Dot Taft.

Na targowisku, gdzie trwało malowanie straganów, można było obejrzyć dwa niemowlaki: Angela Wellsa i Piotrusia, synka Florencji i Meany'ego Hyde'ów. Piotruś

Hyde, w porównaniu z Angelem, wyglądał jak kartofel: miał ziemistą cerę i buzię pozbawioną rysów przez brak wydatnych kości twarzowych czaszki.

– Ten twój Angel to istny aniołek – uśmiechnęła się do Homera Florencia Hyde. – A mój Pietrek to Pietrek.

Kobiety nie przestawały żartować sobie z Homera, lecz on tylko spokojnie się uśmiechał. Debra Pettigrew wyjątkowo rwała się do brania Angela na rękę: wpatrywała się wtedy w jego buzię i stwierdzała, że mały jest kropka w kropkę podobny do Homera.

– Ma tylko bardziej arystokratyczne rysy – konkludowała.

Łatwizna rozpływała się z zachwyty nad Angelem. Kiedy Homer pracował w sadzie, małym zajmowała się Oliwia albo któraś z pracownic targowiska, lecz mimo wszystko Candy najczęściej była przy synku.

– Adoptowaliśmy go właściwie wspólnie – tłumaczyła. Powtarzała to tak często, że w końcu Oliwia uznała głośno, że Angel ma dwie matki – Homera i Candy – wobec czego Candy również dostała od niej prezent na Dzień Matki. Pszczoły tymczasem robiły swoje: przenosiły pyłek kwiatowy między Patelnią a Kurkowym Wzgórzem, a przegródki w ulach coraz gęściej ociekały miodem.

Któregoś ranka Homer zauważył w rogu strony gazety poczynioną ołówkiem adnotację Oliwii, która mogła dotyczyć dowolnego artykułu – a jednak Homer wziął ją do siebie. Oliwia napisała:

## KARYGODNA NIEUCZCIWOŚĆ

Którejś nocy Candy podsłuchiwała Raya. U niej w pokoju światło już się nie świeciło. W nieprzeniknionych ciemnościach zabrzmiał głos Raya Kendalla:

– To właściwie nic złego, ale tak się nie robi.

W pierwszej chwili pomyślała, że Ray rozmawia z kimś przez telefon. Zaczęła zapadać w sen i nagle ocknęła się z powrotem na odgłos uchylanych i zamykanych drzwi: ojciec dopiero teraz wyszedł z jej pokoju – mówił do niej po ciemku, wiedząc, że śpi.

Nieraz wieczorem, pod kwitnącymi drzewami jabłoni, Candy mówiła do Homera:

– Nasz tatuś się przepracowuje.

– Prawda? Ja też tak sądzę – w uśmiechu Oliwii krył się podziw.

– Uwolnię cię od malucha na jedną noc, chcesz? – proponowała Candy, jakby nigdy nic, a Homer, zmęczony tym teatrem, z trudem zdobywał się na naturalny uśmiech. Budził się potem w pustym pokoju Wally’ego, z myślą, że zaraz trzeba będzie podać Angelowi butelkę. Zaraz jednak trzeźwiał i wyobrażał sobie, jak Ray Kendall wstaje w tej chwili, podgrzewa mieszaninę, a Candy, leżąc na boku z butelką w ręku, poprawia piersi, żeby małemu było jak najwygodniej.

Ray kradł części do swojej prywatnej torpedy ze stoczni Kittery. Wiedzieli o tym Candy i Homer, ale tylko Candy otwarcie ganiła ojca za nieuczciwość.

– Tam się nikt na niczym nie zna – wzruszył ramionami Ray. – Nie przyłapią mnie, niemożliwe.

– Ale po co ci ta torpeda? – nie rozumiała Candy. – Ja nie chcę mieć bomby w domu, szczególnie kiedy jest dziecko.

– Jak zaczynałem montować torpedę, nie wiedziałem, że będzie dziecko – odparł Ray.

– Ale jest. I wiesz już o tym. Więc najlepiej wystrzel to świństwo jak najdalej.

– Wystrzelę, jak skończę – powiedział spokojnie Ray.

– Masz upatrzony cel? – zainteresował się Homer.

– Jeszcze się nie zdecydowałem – rzekł Ray. – Może Klub Haven, jak będą dalej marudzić, że im psuję widok.

– Niepokoi mnie, że nie wiem, po co to robisz – skarżyła się ojcu Candy, gdy zostali sami.

– Podoba mi się taka dłubanina – odparł wolno Ray. – Chcesz, to ci powiem trochę o torpedach. Z torpedą jest podobnie jak z powrotem Wally’ego do domu: wszyscy wiedzą, że wróci, nikt nie umie przewidzieć zniszczeń.

Candy poprosiła Homera o interpretację tych słów.

– Nic nie znaczą – zawyrokował Homer. – Ray sonduje: jeśli jest coś do powiedzenia, chce to usłyszeć od ciebie.

– Czy nie mogłoby po prostu zostać tak, jak jest? – spytała Candy Homera, gdy leżeli zmęczeni miłością w baraku tłoczni, jeszcze nie sprzątniętym na zbiory.

– Tak jak jest – zamyślił się Homer Wells.

– Ciekawe, jak długo można czekać. Jak myślisz? – spytała Candy. – Może po pewnym czasie łatwiej będzie zwlekać, niż ogłosić prawdę?

– Kiedyś trzeba będzie ją ogłosić – rzekł Homer Wells.

– Kiedy?

– Jak Wally wróci do domu.

– Sparaliżowany, lżejszy ode mnie – skończyła za niego Candy. – Wtedy będzie ten właściwy moment, żeby go walnąć w głowę obuchem prawdy?

Czy jest w życiu coś, co nie wymaga siły? – zastanowił się Homer Wells. Może skalpel: tnie jakby sam z siebie, bez naciskania – ale trzeba nadawać mu kierunek. Kto bierze w rękę skalpel, przyjmuje odpowiedzialność za jego ruch. Skalpel nie potrzebuje autorytetu siły, lecz potrzebuje autorytetu sterowania.

– Musimy poznać cel swoich działań – powiedział Homer.

– A jeśli cel jest niewiadomy? Czy w takiej sytuacji nie lepiej niczego nie zmieniać? Po prostu czekać i czekać? – spytała Candy.

– Czy to ma znaczyć, że nigdy nie zdecydujesz się, czy kochasz jego, czy mnie?

– Mogę nie być pewna. To zależy, jak bardzo on mnie będzie potrzebował.

Homer przykrył dłonią jej odrastające – już prawie odrosłe – włoski łonowe.

– Nie przyszło ci do głowy, że ja też cię będę potrzebował? – spytał cicho. Candy przewróciła się na drugi bok, plecami do niego, przenosząc jednocześnie dłoń Homera na swoją pierś.

– Trzeba jeszcze poczekać, co czas pokaże – powiedziała.

– Zamierzam czekać tylko do pewnego momentu – rzekł Homer.

– Do jakiego momentu? – spytała Candy. Homer trzymał dłoń na jej piersi, więc poczuł, że Candy wstrzymuje oddech.

– Do momentu wejścia Angela w wiek, w którym człowiek musi wiedzieć na pewno, czy jest sierotą, czy nie – a jeśli nie, to kim są jego rodzice. Nie pozwolę, żeby Angel myślał, że jest dzieckiem adoptowanym. Nie pozwolę ukrywać przed nim, kto jest jego matką i ojcem.

– Nie martwię się o Angela – powiedziała Candy. – Angelowi nigdy nie zabraknie miłości. Martwię się o ciebie i siebie.

– I o Wally’ego – dodał Homer.

– Zwariujemy oboje.

– Nie zwariujemy. Musimy dbać o Angela, Angel musi wiedzieć, że jest kochany.

– A jeżeli ja, albo ty, przestaniemy czuć się kochani? Co wtedy? – spytała Candy.

– Wtedy zobaczymy. Wtedy poczekamy, co czas przyniesie – w ostatnich słowach Homera zabrzmiała nutka złośliwości. Wiosenny wietrzyk wpadł przez okno i obudził w baraku mdlącą woń nadgniłych jabłek. Na Homera ten zapach działał jak amoniak: musiał puścić pierś Candy i zakryć dłonią usta i nos.

Dopiero latem Wally osobiście napisał list do Candy. Był to pierwszy list, który napisał od dnia, w którym go zestrzelono, co zdarzyło się rok wcześniej.

Sześć tygodni przeleżał w szpitalu w Mount Lavinia na Cejlonie. Lekarze kazali go tam trzymać, aż przybierze na wadze co najmniej osiem kilogramów, ustaną drgawki mięśniowe i zaburzenia mowy i świadomości – typowe objawy niedożywienia. List wysłany został z innego szpitala, w New Delhi. Po miesiącu pobytu w Indiach Wally przytył prawie pięć kolejnych kilogramów. Pisał, że nauczył się pić herbatę z cynamonem i że najpospolitszym odgłosem w szpitalu jest kłapanie sandałów o posadzki.

Lekarze obiecywali mu, że będzie mógł podjąć męczącą podróż do domu, gdy osiągnie wagę sześćdziesięciu pięciu kilogramów i nauczy się kilku podstawowych ćwiczeń rehabilitacyjnych. Cenzura wojskowa nie pozwalała Wally'emu zdradzić w liście trasy powrotu do Stanów. Wally miał jednak nadzieję, że cenzorzy wezmą pod uwagę jego paraliż i nie skreślą wzmianki o „funkcji seksualnej bez zmian”. Nie skreślili. Wally nie wiedział jeszcze o swojej sterylizacji: wiedział tylko, że przeszedł infekcję dróg moczowych, z której został wyleczony.

„Co u Homera? Strasznie się za nim stęskniłem!” – pisał Wally.

Ale nie ta część listu wpędziła Candy w czarną rozpacz. Uczynił to sam początek: dalszy ciąg tylko pogłębił to uczucie.

„Bardzo się boję, że nie zechcesz poślubić kaleki” – zaczął swój list Wally.

Przyływ nie dawał spać. Candy leżała w panińskim łóżku i wpatrywała się w fotografię matki stojącą na nocnej szafce. Jak chętnie porozmawiałaby w tej chwili z matką! Może właśnie dlatego, że nie znała matki, pierwsza noc w sierocińcu tak mocno wryła jej się w pamięć. Gdy weszli do budynku, doktor Larch czytał akurat chłopcom *Wielkie nadzieje*. Candy nigdy nie miała zapomnieć cytatu, który przywitał w progu ją i Homera:

– „Obudziłem się z myślą, że świadomość własnej podłości nie opuściła mnie we śnie” – odczytał głośno Wilbur Larch. Czy zaplanował sobie, że na tym zdaniu właśnie skończy odcinek, czy przeczytawszy je, ujrzał w otwartych drzwiach Homera i Candy (jasne światło nagiej żarówki otoczyło ich głowy tandetnym, urzędowym nimbem) i zgubił się w tekście – dość że nagle ogłosił koniec lektury. Świadomość podłości napiętnowała przybycie Candy do St. Cloud's i wyznaczyła początek końca jej pięknej bajki.

## 10. Piętnaście lat

Ich związek trwał piętnaście lat. Lorna i Melony ustatkowały się. Już nie były młodymi buntowniczkami z żeńskiego hotelu robotniczego: zajmowały tam teraz najlepsze pokoje z widokiem na rzekę i objęły dozorcstwo, za co im obniżono czynsz. Melony wszystko umiała naprawić. Hydrauliki i elektryki nauczyła się w stoczni, gdzie należała do trzyosobowej ekipy elektryków. (Dwaj mężczyźni, z którymi pracowała, nigdy nie zadzierali z Melony. Nikt nie zadierał z Melony.)

Lorna znacznie spokorniała. Ze swoją słabą zdolnością koncentracji nie miała szans na kurs mistrzowski, ale nie straciła posady w stoczni. „Odpracuj przynajmniej minimum do emerytury”, poradziła jej Melony. Lornie nawet odpowiadała monotonia roboty przy taśmie. Brała płatne nadgodziny, bo stwierdziła, że woli pracować w dziwnych godzinach – za to krócej, zarabiając te same pieniądze. Melony nie lubiła późnych powrotów Lorny do domu.

Lorna stawiała się coraz bardziej kobieca. Chodziła tylko w sukienkach (nawet do pracy), malowała się i perfumowała bardziej niż kiedyś (oraz pilnowała wagi). Głos Lorny, dawniej gardłowy, złagodniał, a na jej twarzy coraz częściej gościł uśmiech (zwłaszcza kiedy ją krytykowano). Melony zarzucała Lornie postępującą bezwolność.

Rzadko się kłóciły, ponieważ Lorna nie odpowiadała na zaczepki. Przez piętnaście lat miała czas zauważyć, że Melony wycofuje się z walki, jeśli przeciwnik nie stawia oporu – za to kiedy wyczuje najlżejszy opór – nigdy nie da za wygraną.

– Walczysz nie fair – zarzucała jej nieraz Melony.

– Jesteś o wiele większa ode mnie – odpowiadała Lorna z niezmaconym spokojem.

„Większa” to było bardzo delikatnie powiedziane. W roku 195-, mając lat czterdzieści parę (nikt nie wiedział dokładnie ile), Melony ważyła osiemdziesiąt kilogramów przy wzroście metr siedemdziesiąt. Obwód jej biustu przekraczał metr. Z tego powodu mogła się ubierać wyłącznie w męskie koszule (i to duży rozmiar, numer kołnierzyka co najmniej czterdzieści dwa), a ponieważ ręce miała dość krótkie, zawsze chodziła z podwiniętymi rękawami. W talii mierzyła dziewięćdziesiąt centymetrów, za to nogi, podobnie jak ręce, miała raczej krótkie: długość nogawki spodni mierzona od wewnątrz wynosiła u niej siedemdziesiąt centymetrów. Melony musiała zawijać mankiety u spodni albo prosić Lornę o podwinięcie nogawek. Spodnie tak ciasno



opinały jej uda, że o kantach nie było co marzyć – za to na siedzeniu wisały: Melony miała płaski tyłek i proste biodra jak mężczyzna. Złościło ją, że ma drobne stopy.

Przez piętnaście lat tylko raz trafiła do aresztu za udział w bójce. Prawdę mówiąc, oskarżono ją o napad, ale końcowe orzeczenie policji wspominało już tylko o zakłóceniu spokoju publicznego. Było to tak: Melony udała się do toalety w pizzerii w Bath, a tymczasem jakiś studenciak wdał się w rozmowę z Lorną. Gdy Melony wróciła i usiadła za barem obok Lorny, nowy znajomy tej ostatniej szepnął jej do ucha:

– Wątpię, czy znajdę kogoś dla twojej koleżanki.

Najwidoczniej planował sobie podwójną randkę.

– Głośniej! – zażądała Melony. – Nie mówi się na ucho w towarzystwie!

– Powiedziałem, że wątpię, czy znalazłbym dla ciebie chłopaka – powtórzył śmiało studenciak.

Melony demonstracyjnie objęła Lornę i przykryła dłonią jej pierś.

– A ja – powiedziała z godnością – nie sądzę, żebym znalazła starego owczarka, który by ci się podstawił.

– Głupia lesba – burknął chłopak, kierując się ku wyjściu. Zdawało mu się, że powiedział to cicho; chciał tylko zaimponować stoczniovcem siedzącym w drugim końcu baru. Nie wiedział, niestety, że są to wszystko kumple z pracy Melony. Przytrzymali studenciaka, żeby Melony mogła mu elegancko złamać nos metalowym stojakiem na serwetki.

Melony najbardziej lubiła zasypiać z twarzą na twardym, gołym brzuchu Lorny. Lorna zawsze poznawała, że Melony zasnęła, po zmianie rytmu oddechu, który czuła na łonie. W ciągu piętnastu lat zdarzyło się tylko raz, że Lorna musiała poprosić Melony o zabranie ciężkiej głowy z jej brzucha.

– Bo co? Masz kurcze? – spytała Melony.

– Nie. Jestem w ciąży – wyjaśniła jej Lorna. Melony myślała, że to żart, dopóki Lorna nie wstała i nie wyszła do łazienki się wyrzygać.

Gdy wróciła do łóżka, Melony powiedziała:

– Chciałabym zrozumieć. Spokojnie. Od piętnastu lat żyjemy jak małżeństwo i nagle ty jesteś w ciąży? – Lorna skuliła się wokół jednej poduszki, a drugą naciągnęła sobie na głowę. W ten sposób osłaniała twarz, brzuch i podbrzusze, ale dalej się trzęsła ze strachu. Zaczęła płakać. – Czy to ma znaczyć – ciągnęła przesłuchanie Melony – że jak baby się pierdola, to trudniej jest zajść w ciążę niż z facetem? Odpowiadaj! – Lorna milczała i pociągała nosem. – Baba z babą zachodzi w ciążę najwyżej raz na piętnaście lat, tak? No to rzeczywiście musiałaś się napracować!

Melony wstała z łóżka, podeszła do okna i wyjrzała na rzekę Kennebec. Latem prawie nie było widać rzeki przez gęste korony drzew. Dopiero kiedy letni wiatr osuszył pot na jej szyi i piersiach, Melony zabrała się do pakowania.

– Proszę cię, nie odchodź! – chlipnęła skulona w poduszkach Lorna. – Nie zostawiaj mnie!

– Pakuję twoje rzeczy – odparła Melony. – To nie ja jestem w ciąży. Nie ja się wyprowadzam.

– Nie wyrzucaj mnie – jęknęła błagalnie Lorna. – Już lepiej mnie zbij, tylko mnie nie wyrzucaj.

– Pojedziesz pociągiem do St. Cloud's. Na stacji spytasz o sierociniec – powiedziała Melony.

– To było przypadkiem, tylko jeden facet i tylko jeden raz! – zawołała rozpaczliwie Lorna.

– Nieprawda – odparła twardo Melony. – Z facetem szybko zachodzi się w ciążę. Z babą to trwa piętnaście lat.

Spakowawszy rzeczy Lorny, Melony podeszła do łóżka i potrząsnęła przyjaciółką, która desperacko usiłowała zagrzebać się w pościeli.

– Piętnaście lat! – krzyknęła Melony. Trzęsła Lorną i trzęsła, nie mogła przestać, ale nic więcej jej nie zrobiła. Nawet odprowadziła ją na stację. Lorna wyglądała jak psu z gardła, a był dopiero bardzo wczesny ranek przed skwarnym, letnim dniem.

– Mam spytać o sierociniec, tak? – upewniła się, ledwo poruszając ustami. Melony, oprócz walizki, wręczyła jej duży karton.

– To pudło oddaj starej kobiecie, która pracuje w sierocińcu i nazywa się Grogan. Jeżeli jeszcze żyje. Nic jej nie mów, tylko daj pudło. A jak nie żyje albo wyjechała... – Melony urwała w pół zdania. – E, gdzie by wyjechała. Albo tam jest, albo umarła. Jak umarła, masz przywieźć karton z powrotem. Przyniesiesz mi go, jak wrócisz po resztę rzeczy.

– Po resztę rzeczy? – powtórzyła ogłupiała Lorna.

– Ja ciebie nie zdradziłam. Byłam wierna jak pies – oświadczyła Melony chyba trochę głośniejszym głosem, niż miała zamiar, bo konduktor pociągu spojrzął na nią, jakby rzeczywiście była psem. – Co się gapisz, dupku? Coś ci się spodobało?

– Za chwilę odjazd pociągu – wydukał zaskoczony konduktor.

– Błagam cię, nie wyrzucaj mnie – szepnęła Lorna.

– Mam nadzieję, że masz tam w brzuchu prawdziwego potwora – odparła zimno Melony. – Mam nadzieję, że on cię rozedrze na strzępy, jak go będą wyciągać.

Lorna padła jak uderzona w brzuch i zemdlała w korytarzu wagonu. Melony zostawiła ją i wysiadła. Konduktor pomógł Lornie wstać, posadził ją i przez okno odjeżdżającego pociągu popatrzył za odchodzącą w swoją stronę Melony. Dopiero wtedy zauważył, że trzęsie się tak samo jak Lorna.

Melony wyobrażała sobie, jak Lorna wysiądzie w St. Cloud's, jak będzie rozmawiała z tym wypierdkiem, zawiadowcą (ciekawe, czy jeszcze tam jest?), jak będzie gramoliła się pod górę z walizką i wielkim pudłem dla pani Grogan (ciekawe, czy da radę?). I ciekawe, czy stary jeszcze robi w wiadomym interesie? Melony przez piętnaście lat nie odczuwała złości; przyszła kolejna zdrada i wściekłość natychmiast ogarnęła ją gwałtowną falą (jakby tylko czekała na okazję – pomyślała Melony). Złość wyostrza wszystkie zmysły. Melony zachciało się nagle pozrywać jabłka w sadzie.

Ze zdziwieniem stwierdziła, że o Homerze Wellsie myśli już bez mściwości. Przypomniało jej się, jak przyjemnie było na samym początku kolegować się z Lorną – głównie dlatego, że było komu zwierzać się z krzywd, które wyrządził jej Homer. Teraz miała ochotę poskarżyć się Homerowi na Lornę.

– Kawał kurwizona, i tyle – powiedziałyby mu. – Co zobaczyła chłopca w wydętych portkach, oczu od niego nie mogła oderwać.

– Kurwizon. Jasne – potwierdziłyby Homer i do spółki zdemolowałyby jakąś chałupę: zepchnęłyby ją po kawałku w nurt czasu. Z latami w człowieku narasta potrzeba spotkania z ludźmi, którzy go znali w młodości. Tylko z nimi da się naprawdę pogadać. Czas robi swoje: dawne krzywdy przestają się liczyć.

Okazało się, że Melony zdolna jest do tak wielkodusznych myśli zaledwie przez jedną chwilę: już w następnej miała chęć udusić Homera Wellsa gołymi rękami.

Gdy po powrocie z St. Cloud's Lorna przyszła do hotelu robotniczego po swoje rzeczy, znalazła wszystko schludnie popakowane w kartony i odstawione w jeden kąt pokoju. Melony była akurat w pracy, więc Lorna zabrała rzeczy i poszła.

Potem widywały się może raz na tydzień – to w stoczni, to w pizzerii w Bath, gdzie schodzili się wszyscy stoczniowcy. Odnosiły się do siebie uprzejmie, ale nie rozmawiały. Tylko raz Melony zagadnęła byłą przyjaciółkę:

– Ta stara kobieta, Grogan, żyje jeszcze?

– Nie odwiozłam ci pudła, chyba widziałaś – odparła Lorna.

– Oddałaś jej? – spytała Melony. – Nic jej nie mówiłaś?

– Zapytałam jedną siostrę, czy Grogan żyje, powiedziała że tak, to zostawiłam pudło u niej, jak wyjeżdżałam – zreferowała Lorna.

– A doktor? – pytała dalej Melony. – Stary Larch, też żyje?

– Ledwo ledwo.

– A niech go! Bolało cię?

– Nie za bardzo – odparła czujnie Lorna.

– Szkoda. Lepiej, żeby bolało.

W hotelu, gdzie była teraz jedyną dozorczynią, Melony wyjęła z bardzo starego katalogu sprzętu elektrycznego poźółkły wycinek z artykułem i fotografią, pochodzący z lokalnej gazety. Udała się z nim do sklepu z antykami, prowadzonego przez jej dawną, przygłupią wielbicielkę, Mary Agnes Cork, którą przybrani rodzice potraktowali bardzo dobrze: przekazali jej nawet zarząd sklepu. Melony poprosiła Mary Agnes o ramkę do oprawienia artykułu i fotografii. Mary Agnes z największą radością wyszukała dla niej coś wprost idealnego: autentyczny zabytek z czasów wiktoriańskich, pochodzący ze statku remontowanego swego czasu w dokach Bath. Mary Agnes sprzedała ramkę Melony po znacznie zaniżonej cenie, chociaż Melony nie uskarżała się na brak gotówki. Elektrykom nieźle płacą, a Melony od piętnastu lat pracowała w stoczni na pełnym etacie. Do tego, jako dozorczyńni, mieszkała w hotelu robotniczym prawie za darmo. Samochodu nie miała, a w ubrania zaopatrywała się w sklepie z używaną odzieżą marynarską.

Fakt, że Melony kupiła ramkę z drewna tekowego, miał wymowę symboliczną: na drzewie tekowym Wally Worthington spędził całą noc, uwięziony przez nie nad birmańską ziemią, a artykuł i zdjęcie, które Melony zamierzała oprawić w ramkę, prezentowały kapitana Worthingtona. Melony rozpoznała go na tym właśnie zdjęciu w gazecie piętnaście lat wcześniej. Artykuł opisywał cudowne ocalenie zestrzelonego (i sparaliżowanego) pilota, odznaczonego za męstwo Purpurowym Sercem. Dla Melony cała ta historia była jak z marnej powieści przygodowej, ale spodobało jej się zdjęcie i fragment artykułu, w którym Wally, nazwany „lokalnym bohaterem”, przedstawiony został jako Worthington z „tych” Worthingtonów, którzy słyną od lat jako właściciele Sądów Z Widokiem Na Ocean w Heart’s Rock.

Melony powiesiła zabytkową ramkę z artykułem i zdjęciem nad swoim łóżkiem w sypialni hotelu robotniczego w Bath. Leżąc po ciemku, cieszyła się, że ma nad głową kawałek historii. Nie mniej cieszyła się za dnia, patrząc na kompozycję pod szkłem. Nocą obracała w ustach sylaby nazwiska bohatera.

– Worthington – powtarzała głośno, z lubością. A czasem deklamowała: – Sady Z Widokiem Na Ocean – do tej nazwy była bardziej przyzwyczajona. – Heart’s Rock – wymawiała dobitnie, jakby wypluwając krótkie słowa.

W najtrudniejszych dla ofiar bezsenności godzinach tuż przed świtem, Melony szeptała do siebie:

– Piętnaście lat.

A kiedy w końcu zasypiała, pytała sennie pierwszy brzask zza okna:

– Jesteś tam jeszcze, Słoneczko?

Najtrudniej pogodzić się z tym, że z upływem czasu ludzie, którzy tak wiele kiedyś dla nas znaczyli, wyłaniają się z mroków zapomnienia ujęci w cudzysłów.

Od piętnastu lat Homer Wells był odpowiedzialny za coroczne wypisanie i wywieszenie regulaminu tłoczni win. Rok w rok regulamin był ostatnim akcentem przygotowań do sezonu: Homer przypinał go pinezką do ściany, gdy świeża farba już dobrze obeschła. Homer nie przepisywał regulaminu dosłownie: w jednym roku nadał mu ton żartobliwy, w innym – nonszalancki. Kto wie, czy to nie ton Oliwii, bardziej niż same zalecenia, odbierany był przez pracowników jako obraźliwy i prowokował do łamania regulaminu.

Jego treść pozostawała wciąż ta sama. Koniecznie trzeba było czyścić wirnik. Nie mogło obejść się bez słowa ostrzeżenia przed nadużywaniem alkoholu i spaniem w chłodni. I choć już dawno rozmontowano diabelski młyn w Cape Kenneth, a widoczny z dachu tłoczni pas wybrzeża zaroił się światłami jak makieta wielkiego miasta – sezonowi dalej siadywali nocami na dachu, upijali się i spadali, więc Homer Wells musiał ich prosić (czy też nakazać im), żeby tego nie robili. Na tym właśnie polega specyfika regulaminu – myślał Homer: regulamin nigdy nie prosi, zawsze nakazuje.

Starał się zachować w tekście regulaminu przyjazny ton. Pisał na przykład w konwencji wspólnej troski: „W minionych latach zdarzały się, szczególnie nocą, przykre wypadki w związku z wychodzeniem na dach – sporą winę poniósł alkohol spożywany w nadmiarze przez siedzących na dachu. Naszym zdaniem, lepiej pić stojąc obiema nogami na ziemi”.

Mimo starań Homera, kartka z regulaminem była rokrocznie niszczone i używana do niewłaściwych celów – na przykład do sporządzania listy zakupów przez osobę nie mającą pojęcia o ortografii.

MOŃKA KUKURUZIANA  
NORMALNA MOŃKA

- wykaligrafowano kiedyś pracowicie w poprzek punktów regulaminu.

Niekiedy pojawiały się na nim obraźliwe albo niecenzuralne dopiski, w rodzaju: „Nie pierdol na dachu!”, „Spuszczaj się tylko w chłodni!”

Wally powiedział Homerowi, że ze wszystkich przyjezdnych tylko Pan Rose umie pisać, więc wszystkie żarciki, obscena i listy zakupów muszą być jego autorstwa – ale Homer nie miał pewności, czy to prawda.

Co roku latem Homer otrzymywał list od Pana Rose. Odpisywał, podając liczbę ludzi, których chciałby zatrudnić przy zbiorach. Pan Rose odpisywał z kolei, ilu przywiezie i kiedy (z dokładnością do jednej doby). Nie spisywano żadnych umów – wystarczały krótkie potwierdzenia Pana Rose.

W niektórych latach Pan Rose przywoził kobietę – dużą, łagodną i cichą, która początkowo wszędzie chodziła z małą dziewczynką usadowioną na biodrze. Gdy mała podrosła (była mniej więcej rówieśnicą Angela Wellsa) i zaczęła biegać samodzielnie, narażając się na niemiłe przygody, Pan Rose przestał przywozić i ją, i kobietę.

Przez piętnaście lat jedynym sezonowym, który przyjeżdżał co roku, tak jak Pan Rose, był kucharz Czarna Patelnia.

– Jak tam córeczka? – pytał Homer Wells za każdym razem, gdy Pan Rose przyjeżdżał bez kobiety i dziecka.

– Rośnie, jak twój chłopak – odpowiadał Pan Rose.

– A co u twojej pani? – pytał Homer.

– Zajmuje się dzieckiem – mówił Pan Rose.

Tylko raz w ciągu piętnastu lat zagadnął Homer Pana Rose o regulamin tłoczni win.

– Mam nadzieję, że te przepisy nikomu nie uwłaczają – zaczął ostrożnie. – Ja za nie odpowiadam; wypisuję je co rok i mam nadzieję, że gdyby ktoś się poczuł obrażony, dasz mi znać.

– Nikt się nie gniewa – uśmiechnął się Pan Rose.

– To niewinne zalecenia – powiedział Homer.

– No właśnie – rzekł Pan Rose.

– Martwi mnie jednak, że nikt się do nich nie stosuje – wygarnął mu wreszcie Homer.

Pan Rose, którego gładkiej twarzy czas się nie imał i który był po dawnemu szczupły i zwinny, spojrział na niego z pobłażliwym uśmiechem i rzekł:

– My też mamy swoje zasady, Homerze.

– Swoje zasady – powtórzył Homer Wells.

– Dotyczą rozmaitych spraw – ciągnął Pan Rose. – Na przykład tego, ile wolno nam się z wami zadawać.

– Ze mną? – upewnił się Homer.

– Z białymi. Mamy na to przepisy.

– Rozumiem – powiedział Homer, chociaż nie rozumiał.

– Mamy przepisy o bójkach – powiedział Pan Rose.

– O bójkach? – zdziwił się Homer.

– Między sobą – wyjaśnił Pan Rose. – Jeden przepis mówi, że nie wolno się nawzajem za bardzo chlastać. Nie tak, żeby potrzebny był szpital i policja. Wolno się chlastać, ale nie za bardzo.

– Rozumiem – powiedział Homer.

– Nie rozumiesz – zaprzeczył Pan Rose. – Nie rozumiesz, w tym rzecz. Wolno nam się chlastać tylko tak, żebyście wy o tym nie wiedzieli; żebyście nie widzieli, że jesteśmy pochlastani. Teraz rozumiesz?

– Jasne – rzekł Homer Wells.

– Kiedy ty wreszcie powiesz coś innego? – uśmiechnął się Pan Rose.

– Uważajcie na dachu – poradził mu Homer.

– A co tam się może złego stać? Gorsze rzeczy dzieją się na ziemi.

Homer Wells już miał powiedzieć „Jasne!”, gdy nagle stwierdził, że nic nie może powiedzieć: Pan Rose złapał i ścisnął jego język dwoma silnymi, tępo zakończonymi palcami: wskazującym i kciukiem. Homer poczuł dziwny smak: jakby kurzu. Zamach był tak szybki, że Homer nie zauważył, kiedy dosięgła go ręka Pana Rose. Nie przyszłoby mu do głowy, że człowiek może złapać drugiego za język.

– Mam cię – wyszczerzył się Pan Rose i zaraz puścił język Homera.

– Szybki jesteś – bąknął Homer. Nic innego nie przyszło mu do głowy.

– Zgadza się. Najszybszy – wyprężył się służbiście Pan Rose.

Wally narzekał, że dach tłoczni jest systematycznie niszczone. Co dwa, trzy lata trzeba było kłaść nową dachówkę, mocować uszczelnienia i wymieniać rynny.

– Niech sobie mają własne zasady, ale do naszych też się powinni stosować. Co ma jedno do drugiego? – żalił się Homerowi.

– Nie wiem. Sam do niego napisz i zażądaj wyjaśnień – poradził mu Homer.

Ale nikt nie chciał zadzierać z Panem Rose, który był solidnym organizatorem brygad sezonowych. Dzięki niemu zbiory owoców i tłoczenie jabłecznika przebiegały gładko i sprawnie.

Candy zajmowała się w Sadach Z Widokiem finansami: jej zdaniem solidność Pana Rose warta była wszelkich kosztów remontowania tłoczni po sezonie.

– Gość zachowuje się trochę jak herszt bandy – stwierdził Wally, nie całkiem krytycznie. – Wolę nie wnikać w metody, jakimi utrzymuje wśród swoich ludzi dyscyplinę.

– Grunt, że się sprawują, jak należy – powiedział Homer.

– Pan Rose robi dobrą robotę – dodała Candy. – Pozwólmy mu działać według jego własnych reguł.

Homer Wells odwrócił wzrok: dobrze wiedział, że dla Candy wszelkie normy i reguły są kwestią doraźnej umowy między ludźmi.

Piętnaście lat wcześniej ona i Homer zawarli taką umowę: ustalili pewne reguły. Ścisłej mówiąc, ustaliła je Candy (zanim Wally wrócił do domu). Candy i Homer stali naprzeciwko siebie w tłoczni win (Angel był już na świecie; tej nocy doglądała go Oliwia). Przed chwilą skończyli się kochać, ale nie sprawiło im to radości: coś było nie tak. Przez następnych piętnaście lat miało pozostać nie tak. Wtedy, tamtej nocy, Candy zaproponowała Homerowi:

– Zawrzyjmy umowę.

– Zgoda – powiedział Homer.

– Cokolwiek się zdarzy, Angel jest nasz wspólny.

– Oczywiście – powiedział Homer.

– Jako ojciec, możesz z nim spędzać cały czas należny ojcu. Za to ja mogę wykorzystać cały czas należny matce.

– Jak najbardziej – rzekł Homer Wells, ale czuł, że coś jest niedobrze.

– Cokolwiek się zdarzy – podkreśliła Candy. – Bez względu na to, czy będę z tobą, czy z Wallym.

Homer zamilkł na chwilę, po czym spytał:

– Więc skłaniasz się na stronę Wally'ego?

– Nigdzie się nie skłaniam – rozzłościła się Candy. – Stoję prosto i ustalę z tobą pewne reguły!

– Reguły? Nie wiedziałem, że ustalamy reguły – zdziwił się Homer Wells.

– Angel jest nasz wspólny – zignorowała jego protest Candy. – Musimy mieszkać z nim oboje. Jesteśmy jego rodzicami. Nikt nie będzie się wyprowadzał.



– Nawet gdybyś zdecydowała się zostać z Wallym? – spytał Homer po chwili milczenia.

– Pamiętasz, co mi mówiłeś, namawiając na urodzenie Angela?

– Przypomnij mi – odparł ostrożnie Homer Wells.

– Mówiłeś, że to jest również twoje dziecko; że jest nasze wspólne i że nie wolno mi samej decydować o jego narodzinach. To był ten najważniejszy argument.

– Tak – przyznał Homer. – Pamiętam to.

– W tym względzie nic się nie zmieniło: Angel był i jest nasz wspólny. Cokolwiek się stanie – powtórzyła Candy.

– Pod jednym dachem? Ty z Wallym i ja?

– Jak rodzina – powiedziała Candy.

– Jak rodzina – powtórzył Homer słowo, które zawsze miało nad nim ogromną władzę. Sierota na zawsze pozostaje dzieckiem: nienawidzi zmian, nie cierpi przeprowadzek – kocha rutynę.

Po piętnastu latach Homer Wells zrozumiał, że regulaminów tłoczni win jest tyle samo, ilu ludzi nocujących w baraku. Mimo to, co roku przed zbiorami wywieszał w kuchni przy kontakcie nowy regulamin.

Przez piętnaście lat rada nadzorcza usiłowała pozbyć się doktora Larcha i przez piętnaście lat jej się to nie udało: nie znalazł się chętny do objęcia jego posady. Dokoła nie brakowało społeczników, gotowych rzucić się w wir służby bliźniemu, lecz wszyscy woleli służyć i cierpieć w miejscach bardziej egzotycznych niż St. Cloud's. Rada nadzorcza nie zdołała zwabić do sierocińca nawet nowej pielęgniarki ani kierownika administracyjnego.

Gdy doktor Gingrich odszedł na emeryturę – nie z rady, broń Boże; w radzie pozostał dożywotnio – sam rozważał przez pewien czas możliwość objęcia stanowiska dyrektora St. Cloud's, jednak pani Goodhall wytknęła mu, że przecież nie jest położnikiem. Doktor Gingrich nie zrobił, co prawda, wielkiej kariery jako psychiatra w Maine, ale i tak było mu przykro, że pani Goodhall z wyraźną satysfakcją wytyka mu brak odpowiednich kwalifikacji. Pani Goodhall sama osiągnęła już wiek emerytalny, lecz ani w głowie jej było porzucać aktywne życie. Celem jej życia było posłać na emeryturę Wilbura Larcha, zanim ten zdąży umrzeć – a miał lat dziewięćdziesiąt parę. Śmierć doktora w trakcie pełnienia obowiązków zawodowych byłaby dla pani Goodhall osobistą porażką.

Doktor Gingrich zapragnął raz zerwać z rutyną zebrań w biurze w Portland i zaproponował konferencję wyjazdową w hotelu w Ogunquit – tanio, bo po sezonie.

– Zróbmy sobie piknik – zaproponował. – Oceaniczne powietrze dobrze nam zrobi.

Niestety, cały czas lało. Przez skurczone od chłodu ramy okien i framugi drzwi wiatr nawiewał do hotelu drobny piasek, który bezustannie chrząścił pod stopami i wciskał się w zasłony i w ręczniki, robiąc z nich tarki. Wiatr wiał od oceanu. Na werandzie też nie dało się siedzieć, bo deszcz siekł pod daszek. Jako salę konferencyjną przydzielono im podłużną, mroczną, nieprzytulną jadalnię: obradowali tam pod zgaszonym kandelabrem, bo nikt nie umiał znaleźć wyłącznika, który go zapalał.

Można przypisać wymowę symboliczną temu, że rada nadzorcza debatowała o losach St. Cloud's w zachowującej resztki dawnej świetności byłej sali balowej hotelu, w którym sezon nie pozostawił żadnych śladów. Uczestnicy konferencji przypominali tam bardziej ofiary kwarantanny niż relaksujących się gości. Tak zresztą pomyślał sobie o nich Homer Wells. Homer i Candy byli poza tym jedynymi gośćmi hotelu. Wynajęli pokój na pół dnia. Zapuscili się tak daleko od St. Cloud's, żeby nie spotkać nikogo znajomego.

Właśnie mieli odjeżdżać. Wyszli na werandę. Candy oparła się plecami o pierś Homera, który otoczył ją ramionami, i oboje wpatrywali się w morze. Homer z wyraźną przyjemnością znosił to, że wiatr biczuje go po twarzy włosami Candy. Ani jemu, ani Candy nie przeszkadzał deszcz.

Pani Goodhall wyrzała przez okno na werandę i skrzywiła się na pogodę i na młodych, którzy stawiają czoło wrogim żywiołom. Pani Goodhall nie uznawała zjawisk żywiołowych i nigdy nie było jej dość normalności. Dlatego nie podobał jej się Larch: owszem – przyznawała – nie każdy dziewięćdziesięciolatek musi cierpieć na sklerozę, ale ten Larch po prostu nie jest normalny. Tak samo ci tutaj: małżeństwo czy nie – publiczne okazywanie uczuć było, w pojęciu pani Goodhall, rzeczą niedopuszczalną. I co to za popisywanie się wystawianiem na deszczu – wstyd!

– Powiem więcej – odezwała się bez wstępu do doktora Gingricha, który nie miał wszak mapy pozwalającej tropić zawilosci myśli szanownej koleżanki. – Założę się, że nawet nie są małżeństwem!

Doktorowi Gingrichowi młodzi wydali się jacyś smutni. Może potrzebują pomocy psychiatry? – przeszło mu przez myśl. A może to sprawa pogody: planowali rejs pod żaglami – a tu deszcz?

– Przejrzałam go wreszcie; wiem, kim jest – oznajmiła pani Goodhall. Doktor Gingrich był przekonany, że mówi o młodym człowieku na werandzie. – To bierny homoseksualista. – Chodziło jej o doktora Larcha, o którym rozmyślała dniem i nocą.

Doktor Gingrich uznał orzeczenie za dość pochopne, mimo to z nowym zainteresowaniem popatrzył na młodego mężczyznę. Faktycznie: nie dobierał się do dziewczyny, raczej zachowywał ostrożny dystans.

– Wystarczyłoby go przyłapać na gorącym uczynku i moglibyśmy go wylać z dnia na dzień – stwierdziła pani Goodhall. – Pozostałby, naturalnie, problem znalezienia kogoś na jego miejsce.

Gingrich pogubił się w wywodach koleżanki. Po namyśle doszedł jednak do wniosku, że pani Goodhall nie może zależeć na znalezieniu kogoś na miejsce młodzieńca z werandy – *ergo*, musiała mieć na myśli doktora Larcha. Skoro jednak Larch był tylko „biernym” homoseksualistą – jak mogli go przyłapać na gorącym uczynku?

– Mamy przyłapać go na skłonności homoseksualnej, bez dowodów? – spytał ostrożnie, ale i to wystarczyło, żeby rozsierdzić panią Goodhall.

– Przecież widać, że to zboczeniec – fuknęła.

Przez lata praktyki psychiatrycznej w Maine doktor Gingrich nikogo nie posądził o „bierny homoseksualizm”, chociaż nieraz słyszał to określenie z ust pacjentów uskarżających się na dziwactwa swoich znajomych. Co do pani Goodhall, gardziła ona otwarcie każdym samotnym mężczyzną. Sam fakt, że mężczyzna mieszkał samotnie, był dla niej czymś nienormalnym. Gardziła też zakochanymi, którzy publicznie manifestują swoje uczucia albo nie biorą ślubu – albo jedno i drugie razem. Nadmiar normalności też ją irytował. Doktor Gingrich podzielał jej chęć wymiany personelu St. Cloud’s, pożałował jednak, że pani Goodhall nie była nigdy jego pacjentką – może nie musiałby wówczas tak wcześnie odchodzić na emeryturę.

Gdy młodzi weszli z werandy do hotelu, pani Goodhall poczęstowała ich takim spojrzeniem, że dziewczyna odwróciła wzrok.

– Widział pan, jak się zawstydziała? – spytała później pani Goodhall doktora Gingricha.

Ale chłopak wytrzymał jej piorunujące spojrzenie. Potraktował ją jak powietrze! – zauważył z niekłamanym podziwem doktor Gingrich. Jeszcze nigdy nie widział tak mistrzowskiej pantomimy lekceważenia, więc mimo woli uśmiechnął się do młodej pary.

– Zauważyłeś tamtych dwoje? – spytała Candy podczas długiej jazdy powrotnej do Sadów Z Widokiem Na Ocean.

– Nie wyglądali mi na małżeństwo – powiedział Homer Wells. – Albo są małżeństwem, ale serdecznie się nawzajem nienawidzą.

– Może właśnie dlatego wzięłam ich za małżeństwo.

– On wyglądał na przygłupa, a ona na wariatkę – podsumował Homer.

– Na pewno byli małżeństwem – powiedziała Candy.

W smutnym półmroku jadalni w Ogunquit, przy jednostajnym akompaniamencie deszczu, pani Goodhall perorowała dalej:

– To po prostu nie jest normalne: ten cały doktor Larch, te stare pielęgniarki, i tak dalej. Jeżeli szybko nie znajdziemy kogoś nowego i kompetentnego, trzeba będzie przynajmniej zatrudnić dozorcę, który by miał na wszystko oko i relacjonował nam, co tam się wyrabia.

– Może nic takiego się nie wyrabia – zauważył doktor Gingrich z wyraźnym znużeniem. Obserwował wyjazd młodej pary z hotelu i widok ten napełnił go melancholią.

– Ktoś musi być na miejscu i to stwierdzić – zawyrokowała pani Goodhall. Zgaszony kandelabr tkwił równo nad jej małą, siwą głową.

Nagle, ni stąd, ni zowąd, zjawiała się w St. Cloud's nowa pielęgniarka. Podobno sama dowiedziała się o sierocińcu. Na imię jej było Karolina. W pracy uwijała się jak fryga. Kto wie, czy bez niej poradziliby sobie z prezentem od Melony dla pani Grogan.

– Co to może być? – zdziwiła się pani Grogan. Karton był taki ciężki, że ledwo mogła go podnieść. Siostra Edna z siostrą Angela we dwie dotaszczyły pudło na oddział dziewczyńcy. Było to w letnie popołudnie. Po bezwietrznym dniu upał nie ustawał. Siostra Edna skończyła właśnie opylać jabłunki.

Doktor Larch też przyszedł na oddział dziewczyńcy, ciekaw, co zawiera paczka.

– No, niechże pani otwiera! – ponaglił panią Grogan. – Nie mam czasu!

Pani Grogan nie bardzo wiedziała, z której strony ma się dostać do pudła, zabezpieczonego drutem, sznurkiem i taśmą klejącą – zupełnie jakby dzikus zamknął tam okielznanego z trudem drapieznika. Wezwano wreszcie na pomoc siostrę Karolinę.

Co byśmy poczęli bez siostry Karoliny? – pomyślał z wdzięcznością Larch. Paczka dla pani Grogan była drugim w historii znacznych rozmiarów prezentem przysłanym do St. Cloud's: pierwszym była właśnie siostra Karolina. Nikt nie podejrzewał, że nadawcą jest Homer Wells ze szpitala w Cape Kenneth. Homer

wiedział, że siostra Karolina wykonuje „dzieło Boże” i namówił ją, aby przeniosła się tam, gdzie docenią jej umiejętności i wysiłki. Ale nawet siostra Karolina miała problem z otwarciem paczki od Melony.

– Kto to przyniósł? – spytała pani Grogan.

– Niejaka Lorna – odparła siostra Angela. – Nigdy jej przedtem nie widziałam.

– Ja też nie – dodał Wilbur Larch.

Otwarcie paczki nie wyjaśniło tajemnicy. Wewnątrz znajdowało się obszerne palto, o wiele za duże na panią Grogan. Był to płaszcz wojskowy dla oddziałów służących na Alasce: miał kaptur i futrzany kołnierz. Był tak potwornie ciężki, że gdy go pani Grogan przymierzyła, omal nie przygniótł jej do ziemi: straciła równowagę i zachybotała się jak dziecinny bąk do zabawy, kiedy wytraca prędkość. Płaszcz miał mnóstwo ukrytych kieszeni – zapewne na broń i rozmaite niezbędniki („Albo na ucięte ręce i nogi wrogów” – zażartował makabrycznie doktor Larch).

– Nic nie rozumiem – wysapała z czeluści palta spocona pani Grogan. W tej samej chwili wymacała w jednej z kieszeni pieniądze. Wyjąwszy zwitek luźnych banknotów, przeliczyła je i nagle przypomniała sobie, że dokładnie taką sumę – plus płaszcz, ale nie ten – ukradła jej Melony, uciekając z St. Cloud’s przed ponad piętnastu laty.

– O Boże! – krzyknęła pani Grogan i zemdląła.

Siostra Karolina puściła się pędem na stację, ale pociąg z Lorną już odjechał. Ocucona z omdlenia pani Grogan płakała i płakała.

– Moja dziewczynka! Moje dobre dziecko! – chlipała pani Grogan, a wszyscy bez słowa głaskali ją i uspokajali. „Dobre dziecko” było ostatnim określeniem, które Larch, siostra Angela i siostra Edna skojarzyliby z Melony. Larch przymierzył płaszcz: nawet na niego był za duży i za ciężki. Stary doktor dał w nim jednak parę chwiejnych kroków i przy okazji wystraszył jedną z młodszych dziewczynek, która szła sprawdzić, dlaczego pani Grogan płacze.

Larch też coś znalazł w płaszczu, w innej kieszeni: poskręcane kawałki miedzianego drutu i izolowany sekator do metalu z gumowymi nakładkami na uchwyty.

Gdy wracali na oddział chłopców, szepnął w ucho siostrze Angeli:

– Założę się, że obrabowała jakiegoś elektryka.

– W dodatku wielkoluda – uzupełniła siostra Angela.

– Dalibyście spokój! – skarciła ich siostra Edna. – Dobre, ciepłe palto; kobiecina przynajmniej nie zmarznie.

– Prędzej dostanie zawału, jak spróbuje nosić ten balast – zawyrokował Larch.

– Ja bym go ponosiła – odezwała się siostra Karolina. Dopiero wtedy Larch i obie stare pielęgniarki uprzytomnili sobie, że siostra Karolina jest nie tylko młoda i energiczna, ale również potężna i silna. Stanowiła w pewnym sensie cywilizowaną odmianę Melony (stanowiłaby – skorygował w duchu doktor Larch – gdyby Melony była marksistką, no i oczywiście aniołem).

Słowo „anioł” – „angel” – z trudem przechodziło Larchowi przez gardło, odkąd Homer Wells i Candy wywieźli swojego synka z St. Cloud’s. W ogóle trudno mu było myśleć o nowym życiu Homera. Nie umiał pojąć, jak Homer, Candy i Wally układają sobie życie we trójkę od piętnastu lat: czy im się to udaje, i jakim kosztem. Nie wątpił, że Angel był dzieckiem chcianym, kochanym i zadbanym – gdyby w to wątpił, już dawno by interweniował. Trudno mu jednak było nie wątpić w całą resztę. Jak oni to rozwiązali? – głowił się.

Lecz kim ja jestem, abym miał głosić uczciwość w stosunkach międzyludzkich? – myślał sobie. Ja, autor bajek o sierocych losach, wadach serca i Fuzzym Stone’ie?

Nie miał prawa wnikać w szczegóły cudzego życia seksualnego. Nigdy nie zapomniał, jak ubierał się w blasku ognika cygara dziewczyny, przespawszy się uprzednio z jej matką. Nigdy nie zapomniał, że pozwolił umrzeć kobiecie, która za pieniądze pakowała sobie do ust penis kuca.

Larch wyjrzał przez okno na sad porastający stok wzgórza. Latem tego roku, 195-, jabłonie obrodziły jak nigdy: bladezielone i różowe owoce mrowiły się w dorodnym, ciemnozielonym listowiu. Siostra Edna już ledwo dosięgała indiańskim opylaczem do czubków wybująłych drzew. Trzeba będzie przekazać opiekę nad sadem siostrze Karolinie – pomyślał doktor Larch. Zanotował to sobie i kartkę zostawił w maszynie do pisania. Upał usypiał go. Larch udał się do gabinetu zabiegowego i wyciągnął na łóżku. Lato – pomyślał sennie – okna otwarte, można zaryzykować trochę większą dawkę.

Ostatnie lato Pana Rose jako szefa brygady sezonowej w Sadach Z Widokiem Na Ocean przypadło na rok 195-, gdy Angel miał piętnaście lat i myślał tylko o następnym lecie, kiedy skończy lat szesnaście i będzie mógł otrzymać prawo jazdy. Do tego czasu miał nadzieję uzbierać z pracy w sadzie i przy zbiorach dość pieniędzy na zakup pierwszego własnego samochodu.

Ojciec Angela, Homer Wells, nie miał własnego auta. Po zakupy do miasta albo na ochotniczy dyżur do szpitala w Cape Kenneth jeździł którymś z pojazdów gospodarstwa. Często do wzięcia był stary cadillac, z hamulcem i akceleratorem przystosowanym do obsługi ręcznej, dla potrzeb Wally'ego. Caridy miała własny wóz: cytrynowego jeepa (w nim właśnie udzielała Angelowi lekcji jazdy), niezawodnego i w sadzie, i na szosie.

– Skoro twojego ojca nauczyłam pływać, to ciebie chyba potrafię nauczyć prowadzenia samochodu – mawiała często Candy do Angela.

Angel jeździł też, oczywiście, wszystkimi maszynami rolniczymi, umiał kosić, opylać i operować mechanicznymi widłami. Uzyskanie prawa jazdy było w jego przypadku czystą formalnością, potwierdzającą prawo do wykonywania czynności, które i tak już od dawna wykonywał na farmie.

Angel wyglądał poważnie jak na piętnastolatka. Pewnie i teraz żaden policjant nie zatrzymałby go prowadzącego samochód po szosach Maine. Już widać było, że przerosł ojca, który w okrągłej twarzy nadal zachował chłopięcą urodę: u progu lata byli idealnie równego wzrostu. Angelowi wydatne kości twarzy nadawały urodę dojrzałego mężczyzny, zwłaszcza odkąd na brodzie i pod nosem zaznaczyły się początki zarostu. W cieniach pod jego oczami nie było nic niezdrowego: podkreślały tylko żywą czerń oczu Angela. Obydwaj z ojcem żartowali, że to „dziedziczne podkówki”.

– Odziedzyczyłeś po mnie bezsenność – mawiał Homer do syna, który wciąż żył w przekonaniu, że jest dzieckiem adoptowanym.

– Nie powinieneś odczuwać adopcji – przekonywał go Homer. – Masz troje rodziców. Większość ludzi musi się zadowolić dwojgiem.

Candy była dla Angela jak matka, a Wally – jak drugi ojciec albo ukochany, nieco dziwaczały wuj. Angel nie znał innego życia jak tylko z nimi trojgiem. Miał piętnaście lat, a największą zmianą, jakiej doświadczył w życiu, była przeprowadzka do innego pokoju. Wszystko inne trwało, odkąd pamiętał, w nie zmienionej postaci.

Angel zajmował dawny pokój Wally'ego, ten sam, który Wally dzielił z Homerem Wellsem. Dzięki temu od niemowlęctwa dorastał w chłopięcym świecie trofeów tenisowych i pływackich, pośród zdjęć Candy z Wallym (z czasów, kiedy Wally miał sprawne nogi). Było tam nawet zdjęcie Candy udzielającej lekcji pływania Homerowi. Odznaczenie Purpurowego Serca, które Wally podarował Angelowi, wisiało nad łóżkiem, maskując tajemnicze, rozmazane odciski palców – były to, oczywiście, odciski palców Oliwii, pozostałe po rozgnieceniu na ścianie komara, co

miało miejsce w noc poczęcia Angela Wellsa w tłoczni win. Po piętnastu latach pokój prosił się o odmalowanie.

Homer spał w drugim końcu korytarza, w dawnym pokoju państwa, gdzie Senior dokonał żywota, a Oliwia jeszcze latami rezydowała samotnie. Oliwia zmarła przed końcem wojny w szpitalu w Cape Kenneth; nie doczekała powrotu Wally'ego. Zabił ją nieoperacyjny rak, który po wstępnej interwencji chirurgicznej dał błyskawiczne przerzuty.

Homer, Candy i Ray odwiedzali ją w szpitalu na zmianę: jedno zawsze pilnowało Angela, ale Oliwia nigdy nie była sama. Homer i Candy zgodnie uważali (zachowując ten pogląd dla siebie), że najgorsze nie stałoby się, gdyby Wally zdążył do domu przed śmiercią matki. Ale z uwagi na kruchą kondycję Wally'ego i utrudnienia w podróżowaniu spowodowane wojną, ustalili – zgodnie z wolą Oliwii – że nie powiadomią go o chorobie matki.

W końcowym etapie choroby Oliwii zdawało się, że Wally wrócił. Nafaszerowana środkami przeciwbólowymi, brała Homera za Wally'ego. Przedtem Homer czytał jej na głos fragmenty *Jane Eyre*, *Dawida Copperfielda* i *Wielkich nadziei*, ale zarzucił lekturę, gdy uwaga Oliwii zaczęła się rozpraszać. Kiedy Oliwia po raz pierwszy wzięła go za Wally'ego, Homer nie od razu się w tym połapał.

– Musisz mu wybaczyć – powiedziała Oliwia. Już wtedy mówiła niewyraźnie. Ujęła Homera za rękę, ale nie tyle ją trzymała, co złożyła z wysiłkiem na podolku.

– Wybaczyć mu? – nie zrozumiał Homer Wells.

– Tak. To nie jego wina, że tak bardzo ją kocha i tak jej potrzebuje. Gdy rozmawiała z Candy, była przytomniejsza:

– Wróci jako kaleka. Mnie już nie będzie. Jeśli i ty go opuścisz, kto się nim zajmie?

– Zawsze będę się nim zajmować – obiecała jej Candy. – Zatroszczymy się o niego oboje z Homerem.

Mimo oszołomienia narkotykami, Oliwia nie przegapiła dwuznaczności tej odpowiedzi i dała wyraz niezadowoleniu:

– Nie godzi się ranić i zwodzić kogoś, kto już został zraniony i zwiedziony – powiedziała. Narkotyk rozwiązał jej język. Nie zamierzała jednak powiedzieć tym dwojgu, co o nich wie: czekała, aż sami powiedzą jej, co ukrywają. Do tego czasu pozwalała im snuć domysły na temat swojej znajomości prawdy.

Homera napominała:

– To sierota.



– Kto sierota? – pytał Homer.

– On – mówiła Oliwia. – Pamiętaj, że cechą sieroty jest zachłanność. Weźmie tyle, ile mu dasz. Kiedyś nie miał nic, więc bierze wszystko, co wydaje mu się do wzięcia. Mój synu – zaapelowała Oliwia do Homera – nie miej żalu do nikogo. Żal cię zabije.

– Tak – odrzekł Homer Wells, ściskając lekko dłoń Oliwii. Gdy pochylił się nad nią, żeby sprawdzić, jak oddycha, pocałowała go jak Wally'ego.

– Żal cię zabije – powiedział Homer do Candy po śmierci Oliwii. – „Strzeż się wyrzutów sumienia” – zacytował pamiętną radę pana Rochestera.

– Oszczędź mi cytatów z literatury – poprosiła Candy. – Prawda jest taka, że on wraca do domu. I nie wie nawet, że jego matka nie żyje. Nie mówiąc o...

– Nie mówiąc o... – powtórzył Homer.

Candy i Wally pobrali się w niespełna miesiąc po powrocie Wally'ego do Sadów Z Widokiem Na Ocean. Wally ważył sześćdziesiąt siedem kilogramów. Homer Wells powiózł go do ołtarza na wózku. Nowożeńcy zajęli nowo urządzoną sypialnię na parterze dużego domu.

Homer Wells napisał list do Wilbura Larcha wkrótce po przyjeździe Wally'ego. Pisał, że śmierć Oliwii „otworzyła oczy” im obojgu bardziej niż paraliż Wally'ego i skrupuły z powodu zdrady i winy dręczące Candy.

„Candy ma rację: o Angela się nie martw” – odpisał mu Wilbur Larch. „Angelowi nie zabraknie miłości. Czemu miałby się czuć jak sierota, skoro nie jest sierotą? Jeśli będziesz dla niego dobrym ojcem, a Candy – dobrą matką; jeśli do tego Wally go pokocha – to czy sądzisz, że chłopiec zatęskni za jakimś abstrakcyjnym ideałem prawdziwego ojca? Problem nie będzie dotyczył Angela, lecz ciebie. To Ty będziesz chciał, żeby dowiedział się, że jesteś jego rodzonym ojcem, i to z powodów egoistycznych, a nie dlatego, że Angelowi ta wiedza jest potrzebna. Będzie Cię korciło powiedzieć mu prawdę. Candy też zazna tej pokusy. Dumni z syna, zechcecie ze względu wyłącznie na siebie, a nie na niego, zdradzić mu, że nie jest sierotą.”

Na własny zaś użytek zanotował Wilbur Larch w *Krótkiej historii St. Cloud's*: „U nas w St. Cloud's jest tylko jeden problem. Nazywa się Homer Wells. Gdziekolwiek się ruszy, wszędzie stwarza problemy”.

Poza czarnymi oczami, które – czujne i marzycielskie zarazem – patrzyły na wszystko z uważnym dystansem, Angel Wells miał niewiele z ojca. Nie uważał się za

sierotę; wiedział, że jest adoptowany z domu, w którym wychował się również jego przybrany ojciec. Czuł się kochany; nigdy nie miał co do tego wątpliwości. Nie dostrzegał problemu w tym, że do Candy mówi „Candy”, do Homera – „Tato”, a do Wally’ego – „Wally”.

Już drugie lato z rzędu Angel Wells miał dość siły, żeby wnieść Wally’ego po kilku schodkach do domu, donieść go na odpowiednią głębokość w morzu albo na skraj basenu po płytszej stronie i usadowić z powrotem na wózku. Gdy wybrali się razem na plażę, Homer nauczył Angela wnoszenia Wally’ego do wody. Wally był najlepszym pływakiem z nich wszystkich, więc doholowany na odpowiednio głęboką wodę, mógł, nawet jako kaleka, unosić się na falach albo nurkować.

– Trzeba tylko pilnować, żeby woda nie była za płytka, bo będzie szorował po dnie – pouczył syna Homer.

W związku z Wallym obowiązywały pewne reguły (Angel zauważył, że w wielu sprawach obowiązują reguły). Na przykład, mimo że Wally pływał doskonale, nigdy nie zostawiano go w wodzie samego. Już od kilku letnich sezonów Angel Wells pełnił przy Wallym rolę ratownika, gdy ten nurkował w morzu lub dryfował po basenie. Połowa ich kontaktu fizycznego miała miejsce w wodzie: przypominali z dala dwie wydry lub foki. Czasami mocowali się i przytapiali tak zawzięcie, że Candy aż się bała o obydwu.

Drugą czynnością, przy której Wally nie zostawał sam, było prowadzenie samochodu. Co prawda cadillac przystosowany został do obsługi ręcznej, ale i tak ktoś zawsze musiał złożyć i wpakować na tył wózek inwalidzki, a potem go wyładować i rozłożyć. Pierwsze składane wózki były bardzo ciężkie. Po parterze domu Wally przemieszczał się czasami oparty na metalowym „balkoniku” – jego nogi zdolne były pełnić najwyżej rolę podpórek – ale w nieznanym terenie nie zapuszczał się bez wózka, a gdy grunt był nierówny, potrzebował kogoś do popychania.

Tym kimś był najczęściej Angel. On też najwięcej jeździł w Wallym cadillakiem. Kto wie, czy Homerowi i Candy spodobałoby się – gdyby o tym wiedzieli – że Wally już dawno nauczył Angela prowadzić limuzynę.

– Całe szczęście, kolego, że mamy system ręczny – mówił Wally. – Nie musimy się przejmować, czy dosięgasz nogami pedałów.

Zupełnie inaczej przemawiała do Angela Candy:

– Poczekamy, aż nóżki ci urosną i dosięgną pedałów. Wtedy nauczę cię prowadzić.

I dawała mu całusa, jak zwykle, kiedy tylko miała okazję.

Gdy rozpoczęli lekcje, Candy nawet nie podejrzewała, że Angel jest taki pojętny dzięki temu, że od paru lat prowadzi cadillaca.

– Widzisz, kolego – mawiał Wally, dając Angelowi całusa (co też często czynił, a najczęściej w wodzie) – są przepisy i przepisy. Jedne naprawdę mają sens. A inne są tylko przepisami. Można je łamać, byle ostrożnie.

– To idiotyzm, że muszę czekać na prawo jazdy, aż będę miał szesnaście lat – żalił się Angel ojcu.

– Jasne – przyznawał mu rację Homer Wells. – Powinni robić wyjątki dla dzieci wychowujących się na farmach.

W tenisa czasami grywał Angel z Candy, ale częściej odbijał piłki Wally'emu, który nawet siedząc na wózku miał niezłe osiągnięcia. Nieraz ktoś z członków Klubu skrytykował rozjeżdżoną nawierzchnię kortu, ale nie za głośno – czymże bowiem byłby Klub Haven bez ekscentrycznych Worthingtonów? Wally ustawiał się w jednym miejscu i przez piętnaście do dwudziestu minut odbijał – wyłącznie forehandem – piłkę, którą Angel miał za zadanie jak najprecyzyjniej mu serwować. Następnie zmieniał ustawienie wózka i odbijał taką samą serię z backhandu.

– To, szczerze mówiąc, lepsza szkoła dla ciebie niż dla mnie, kolego – mawiał Angelowi Wally. – Ja już się nie poprawię.

Angel natomiast robił znaczne postępy. Grał już o tyle lepiej od Candy, że aż jej czasem było przykro, gdy pomyślała, jak nudna musi być dla Angela rozgrywka z nią w roli przeciwnika.

Homer Wells nie grywał w tenisa. Nigdy nie lubił gier zespołowych i wymigiwał się nawet od piłki nożnej w sali gimnastycznej St. Cloud's. Tylko niekiedy śniła mu się gra w palanta, z siostrą Angelą na serwisie – nikt nie serwował tak mocno jak siostra Angela. Homer Wells nie miał żadnego hobby poza chodzeniem krok w krok za Angelem. Chodził za nim jak wierny pies, który liczy na to, że pan kiedyś się z nim pobawi. Przez kilka lat ich ulubioną wieczorną zabawą były wojny na poduszki. Potem było wzajemne całowanie się na dobranoc i zawsze znalazł się pretekst do powtórzenia rytuału; wymyślali też ciągle nowe sposoby budzenia się nawzajem. Możliwe, że Homer trochę się nudził, chociaż stale był czymś zajęty. Po wojnie nie porzucił ochotniczej służby w szpitalu w Cape Kenneth – a więc kontynuował wysiłek wojenny, cały czas jako sanitariusz. Regularnie czytywał prasę medyczną: „The Journal of the American Medical Association” i „The New England Journal of Medicine” piętrzyły się na regałach i stolikach po całym domu. Candy wyraziła swoje

obiekcje w związku z ilustracjami w piśmie dla ginekologów-położników, „The American Journal of Obstetrics and Gynecology”.

– Nie mogę się obejść bez bodźców intelektualnych – odpowiadał Homer na zażalenie Candy dotyczące części ilustracyjnej jego lektur.

– Zgoda, ale czy Angel musi to oglądać? – ripostowała Candy.

– Angel wie, że znam się trochę na medycynie – mówił Homer.

– Nie mam zastrzeżeń do tego, co Angel wie; mam zastrzeżenia do tych obrazków – upierała się Candy.

– Po co robić przed dzieckiem tajemnicę z tego tematu? – bronił się Homer.

– A po co robić groteskę? – nie dawała za wygraną Candy.

– Nie widzę tu ani wielkiej tajemnicy, ani groteski – oświadczył im piętnastoletni Angel. – Dla mnie to jest po prostu interesujące.

– Przecież nie chodzisz jeszcze na randki z dziewczynami – roześmiała się Candy i szybko skorzystała z okazji, żeby niby to spontanicznie ucałować syna. Lecz nachyliwszy się ku niemu, dostrzegła, że Angel trzyma na kolanach pismo medyczne, otwarte na artykule o operacjach pochwy. Ilustracja przedstawiała kierunki nacięć przy amputacji sromu i usuwaniu guza.

– Homer! – zawołała Candy, bliska hysterii. Homer był na górze, w swojej przesadnie przestronnej sypialni. Sypialnia stanowiła odbicie jego życia, w którym było mnóstwo nie wykorzystanej przestrzeni: Homer udekorował ściany tylko dwoma przedmiotami – przy czym jeden z nich trafił do jego prywatnej łazienki. Nad łóżkiem powiesił fotografię Wally’ego w szaliku pilota i skórzanej kurtce na baranku. Wally pozuje wraz z resztą załogi „Okazji”. Skrzydło samolotu rzuca cień, przez który twarz radiotelegrafisty jest całkiem nieczytelna, za to oblicze dowódcy załogi jest w ostrym słońcu Indii białe jak karta papieru (dowódca nie przeżył powikłań w jelicie grubym). Właściwie oświetleni byli tylko Wally i drugi pilot – chociaż Homer sam widział lepsze zdjęcia jednego i drugiego. Drugi pilot na każde Boże Narodzenie przysyłał Wally’emu swoje aktualne zdjęcie ze stale powiększającą się rodziną: miał pięcioro czy sześcioro dzieci i żonkę przy kości, ale sam wyglądał z roku na rok mizerniej (ameba, której nabawił się w Birmie, nigdy go do końca nie opuściła).

W łazience natomiast przypiął Homer pinezką do ściany nie wypełniony kwestionariusz – dodatkowy egzemplarz ankiety, którego nie odesłał radzie nadzorczej St. Cloud’s. W łazienkowych oparach kartka upodobniła się do starego pergaminu, ale pytania pozostały po dawnemu czytelne – i po dawnemu idiotyczne.

Łoże Seniora Worthingtona było najwyższe w całym domu, ponieważ Senior zapragnął pod koniec życia widoku z łóżka na krajobraz za oknem. Homer też bardzo sobie cenił możliwość przyglądania się światu bez wstawania z pościeli. Widać było stamtąd basen i dach tłoczni win. Homer potrafił tak leżeć i patrzeć godzinami.

– Homerze! – zawołała z dołu Candy. – Pozwól tutaj! Zobacz, co czyta twój syn.

Candy i Wally w rozmowie z Homerem zawsze mówili o Angelu „twój syn”, Angel natomiast zwracał się do Homera „tato” albo „tatku”. Układ ten trwał bez zgrzytów już piętnaście lat: Angel z Homerem na górze, Candy z Wallym na dole, w jadalni przerobionej na sypialnię. Posiłki jadali we czworo.

Od czasu do czasu – zwłaszcza zimą, gdy przez nagie koronki drzew lepiej było widać światła w oknach pokoi i kuchni dalekich, obcych domów – Homer Wells lubił odbyć przejażdżkę przed kolacją. Jechał wolno i próbował sobie wyobrażać te rodziny, które w obcych domach zasiadały do stołów – jak wyglądało ich prawdziwe życie? W St. Cloud’s nie było takich pytań: tam nikt nic nie wiedział o rodzinach zasiadających wspólnie do kolacji.

– Stanowimy rodzinę: czy to nie jest najważniejsze? – perswadowała mu Candy, kiedy wydawało jej się, że wieczorne przejażdżki Homera są coraz dłuższe.

– Tak, Angel ma rodzinę. Wspaniałą rodzinę. I to jest najważniejsze – odpowiadał Homer.

A potem przychodziła noc i Wally dziękował Candy za swoje szczęście, szeptał jej, że jest najszczęśliwszym człowiekiem na świecie i że każdy mężczyzna chętnie oddałby obie nogi za takie szczęście, jakiego dostąpił on, Wally. W takie noce Candy nie mogła spać: czuła, że piętro wyżej leży w łóżku Homer Wells, który też nie śpi. Parę razy spotkali się w kuchni: wypili po szklance ciepłego mleka, zjedli po kawałku szarlotki. A kiedy było dość ciepło, wychodzili na dwór i siadali nad basenem, w stosownej odległości jedno od drugiego, tak że ktokolwiek widziałby ich z boku, pomyślałby, że się pokłócili (choć kłócili się niezmiernie rzadko) lub że są sobie obojętni (co było jak najdalej od prawdy). Kiedy tak siedzieli nad basenem, obojgu przypominała się przystań Raya Kendalla, zanim jeszcze zaczęli na niej przesiadywać przytuleni. Jeśli zdarzyło się, że zbyt natarczywe wspomnienie zrodziło nagłą tęsknotę – za przystanią, za Rayem (który zmarł, nim Angel był dostatecznie duży, żeby go zapamiętać) – wieczór nad basenem był popsuty, a Candy i Homer rozchodzili się bez słowa do swoich sypialni, gdzie jeszcze długo leżeli nie mogąc zasnąć.

Im starszy był Angel Wells (i im częściej dokuczała mu bezsenność, dorównująca prawie rekordowej bezsenności ojca), tym częściej patrzył nocą przez

okno swojego pokoju na Homera i Candy siedzących nad basenem. Jeżeli przy tym czemukolwiek się dziwił, to temu, że dwoje starych przyjaciół siedzi tak daleko od siebie.

Raymond Kendall zmarł wkrótce po ślubie Wally'ego i Candy. Zabił go wybuch, który zniszczył akwarium z homarami i całą przystań, zatapiając kuter, a dwa stare gruchoty, przy których Ray ostatnio majstrował, wymiótł z parkingu dobre dwadzieścia parę metrów dalej, na szosę, gdzie wyglądały, jakby cudem same wyjechały ze złomowiska. Od eksplozji wyleciała nawet szyba panoramiczna w Klubie Haven: na szczęście wypadek zdarzył się późno w nocy i w Klubie nie było już nawet najwytrwalszych miłośników baru, którzy z chęcią zobaczyliby na własne oczy, jak szpetna rudera, która tak im psuła widok, wylatuje w powietrze.

Ray dograł się przez swoją torpedę domowej roboty: nawet taki geniusz mechaniki jak on trafił widocznie w tej konstrukcji na coś, o czym nie miał pojęcia. Śmierć bliskiej osoby zawsze rodzi poczucie winy: Candy wyrzucała sobie, że nie powiedziała ojcu prawdy o Homerze i Angelu Wellsie. I nie było dla niej pociechą podejrzenie, że Ray i tak o wszystkim wiedział, bo z jego milczenia odgadła, że chce to usłyszeć od niej. Lecz nawet śmierć Raya Kendalla nie sprowokowała Candy do wyznania prawdy komukolwiek.

Po eksplozji u Raya martwe homary, w całości i w kawałkach, znajdowano rozsiane gęsto na południe aż po słynną lodziarnię Powella, „Pałac lodowy”. Znany dowcipniś Herb Fowler spytał w związku z tym pana Powella, czy pracuje nad lodami o nowym smaku.

Herb odczekał, aż Angel Wells skończy piętnaście lat, i dopiero tego lata po raz pierwszy strzelił do niego kondomem. Angel czuł się nieco dotknięty, że Herb dokonał jego inicjacji tak późno. Kumpel Angela, który razem z nim pracował, pyzaty Pietrek Hyde, był od niego tylko o kilka miesięcy starszy (i pod wieloma względami mniej dojrzały), a jednak – o czym Angel doskonale wiedział – Herb Fowler strzelił w niego pierwszą gumą, gdy Pietrek miał trzynaście lat. Angel po prostu nie zauważył jeszcze, że Pietrek Hyde zalicza się do klasy pracującej Sadów Z Widokiem Na Ocean, a on sam – chociaż pracował z tymi ludźmi – należy do rodziny szefa.

Dla wszystkich pracowników było oczywiste, że Sadami Z Widokiem zarządza teraz Homer Wells. Od niego najwięcej zależało. Oliwia wcale by się temu nie dziwiła, a Candy i Wally byli wyraźnie wdzięczni Homerowi, że wziął na siebie brzemię autorytetu. Może pochodzenie z St. Cloud's czyniło Homera w oczach robotników kimś bliższym ich klasie społecznej, bo chociaż – jak mawiała Big Dot Taft – mieszkał

w „domu z falbankami”, to właściwie był jakby jednym z nich. Nikt nie krzywił się na to, że Homer jest szefem – najwyżej Vernon Lynch, który nie lubił żadnej władzy i zrobił się jeszcze gorszy, odkąd Grace Lynch rozstała się z tym światem.

Candy, która dbała o losy pracownic, dowiedziała się, że Grace Lynch zaszła w ciążę i zmarła na ostre zapalenie otrzewnej po nieudanej próbie autoaborcji. Homer często zadawał sobie pytanie, dlaczego Grace nie zdecydowała się na powtórny wyjazd do St. Cloud’s, ale wmawiał sobie, że jej śmierć nie poszła na marne. Właśnie przypadek Grace (do którego doktor Harlow odniósł się z wyjątkową podłością) zmobilizował siostrę Karolinę do odejścia ze szpitala w Cape Kenneth, do czego Homer Wells od dawna ją namawiał. Siostra Karolina posłuchała wreszcie rady Homera i zaproponowała swoje usługi St. Cloud’s.

– Przyszyła mnie Homer Wells – oznajmiła na powitanie Wilburowi Larchowi. Stary doktor nie zatracił czujności.

– W jakim celu? – spytał.

– Jestem kwalifikowaną pielęgniarką – odparła siostra Karolina.

– Chcę panu pomagać.

– W czym? – udawał Greka Larch.

– W dziele Bożym – wyznała, przyparta do muru, siostra Karolina.

– Trzeba było od początku tak mówić! – podsumował rozmowę Wilbur Larch.

Więc zostawił mi nie tylko sad – pomyślał. Więc nie jest do końca stracony.

Siostra Angela i siostra Edna tak się ucieszyły z siostry Karoliny, że nawet nie były o nią zazdrosne. St. Cloud’s otrzymało zastrzyk świeżej krwi, który mógł jeszcze na jakiś czas udaremnić zakusy rady.

– Nowa pielęgniarka zasadniczo zmienia sytuację – obwieścił na forum rady doktor Gingrich. – Zwalnia nas z obowiązku podjęcia natychmiastowej decyzji. – (Tak jakby mieli kim zastąpić z dnia na dzień starego doktora!)

– Wolałabym widzieć tam młodego lekarza niż młodą pielęgniarkę – oświadczyła pani Goodhall. – Młodego lekarza i młodego administratora. Znają państwo moją opinię o sprawozdaniach z tej instytucji: uważam, że są od początku do końca wysrane z palca. Przyznaję jednak, że nowa pielęgniarka chwilowo poprawia sytuację.

Gdyby Wilbur Larch słyszał te słowa, powiedziałby jej na pewno:

– Jeszcze trochę cierpliwości, paniusiu, i przyznasz znacznie więcej!

Ale w roku 195- Wilbur Larch miał dziewięćdziesiąt parę lat. Bywało, że jego twarz pod maską z eterem tężała w takim bezruchu, że chociaż bezwładna ręka

opadała na bok, maskę strącała dopiero siła wydechu. Larch znacznie stracił na wadze. Przeglądając się w lustrze lub odbywając ukochane eterowe podróże, miewał wrażenie, że zamienia się w ptaka. Jedna siostra Karolina miała odwagę skrytykować narkomanię doktora.

– Pan powinien najlepiej wiedzieć, czym to grozi – zbesztła go surowo.

– Dlaczego właśnie ja? – spytał Larch z miną niewiniątka, bo czasami lubił podroczyć się z siostrą Karoliną.

– Pan podobno nie szanuje religii – zauważyła siostra Karolina.

– Chyba nie – odparł ostrożnie Larch. Czuł, że nowa pielęgniarka jest dla niego trochę za młoda i za bystra.

– No a czym, jak pan myśli, jest uzależnienie od narkotyku, jeśli nie odmianą religii? – spytała siostra Karolina.

– Nie będę się z nikim spierał o to, jak się modli – odparł Wilbur Larch. – Modlitwa jest sprawą osobistą: każdy modli się jak chce. I do kogo albo do czego chce! Dopiero kiedy zaczyna się tworzyć reguły... – w tym miejscu stracił wątek. Wiedział, że cokolwiek powie, siostra Karolina go przegada. Podobała mu się idea socjalizmu, ale rozmowa z socjalistą niczym się nie różniła od rozmowy z innym fanatykiem. Nieraz słyszał, jak siostra Karolina wywodzi, że społeczeństwo, które opowiada się za delegalizacją aborcji, broni zarazem prawa do gwałtu na kobiecie; że sama delegalizacja aborcji jest niczym więcej jak aktem przemocy wobec kobiet. Nieraz słyszał argument siostry Karoliny, że aborcja jest nie tylko sprawą indywidualnej wolności wyboru, ale wręcz obowiązkiem państwa, które powinno zapewniać ten zabieg obywatelkom.

– Z chwilą gdy państwo daje cokolwiek obywatelom, zaczyna czuć się uprawnione do tworzenia przepisów w tej sprawie! – zirytował się Larch. Odezwał się w nim rodowity jankes z Maine. Siostra Karolina tylko się na to uśmiechnęła. Dał jej asumpt do wytoczenia nowego argumentu. Zawsze miała dla niego odpowiedź. Bo doktor Larch nie był mistrzem dysputy o systemach: był po prostu dobrym człowiekiem.

– W lepszym świecie... – zaczęła z anielską cierpliwością, która doprowadzała Larcha do furii.

– Nie mówmy o lepszym świecie! – krzyknął. – Mówmy o tym świecie! Ten świat jest taki, jaki jest. O nim chcę mówić!



Larch poczuł się zmęczony. Tęsknił za odrobiną eteru. Im bardziej starał się sprostać siostrze Karolinie, tym bardziej potrzebował eteru; a im bardziej potrzebował eteru – tym bardziej potwierdzał jej argumenty.

– Mniejsza z tym, nie mogę zawsze mieć racji – rzekł znużony.

– To prawda – uśmiechnęła się do niego z sympatią siostra Karolina. – Właśnie dlatego, że nawet dobry człowiek nie zawsze ma rację, potrzebne jest społeczeństwo i określone zasady współżycia – nazwijmy je, jeśli pan woli, priorytetami.

– A niech je sobie pani nazywa, jak chce – fuknął Wilbur Larch.

– Nie mam czasu na filozofię, ustroje społeczne i religie. Po prostu nie mam czasu!

Zawsze słyszał płacz niemowlęcia. Nawet kiedy w sierocińcu panowała cisza tak martwa jak w opuszczonych chatach drwali z St. Cloud's – Wilbur Larch słyszał dziecięcy płacz. Płacz dzieci, które żałują, że przyszły na świat.

Tego samego lata Pan Rose dał znać listownie, że prawdopodobnie pojawi się „z córką” na dzień, dwa przed resztą brygady. Wyrażał nadzieję, że tłocznia będzie gotowa.

– Dawnośmy nie widzieli tej córki – zauważył Wally po przeczytaniu listu w kantorku magazynu. Na zewnątrz Everett Taft oliwił właśnie wózek Wally'ego, więc Wally siedział na biurku. Jego wyschłe, bezwładne nogi, obute w lśniące, wypolerowane mokasyny, dyndały nad ziemią. Mokasyny miały ponad piętnaście lat.

Candy bawiła się maszynką do liczenia.

– Musi być mniej więcej w wieku Angela – powiedziała.

– Jasne – dodał Homer Wells. Wally wymierzył mu znienacka dobrze obliczony cios od dołu – jedyny, na jaki mógł się zdobyć w pozycji siedzącej. Ponieważ Homer pochylał się nad biurkiem, a Wally górował nad nim, cios mocno dosięgnął jego policzka. Candy tak się zdumiała, że strąciła arytmometr na ziemię, czyniąc straszny huk. Homer wylądował obok z mniejszym hałasem, ale bardzo boleśnie. Dotknął dłonią policzka w miejscu, gdzie już niebawem miał wystąpić lśniący czerwonawo obrzęk.

– Wally! – wykrztusiła Candy.

– Rzygać mi się chce, jak to słyszę! – rozsierdził się Wally. – Najwyższy czas nauczyć się nowego słówka, Homer!

– O Jezusie, Wally! – jęknęła Candy.

– Nic mi nie jest – zapewnił ją Homer, ale nie wstawał z podłogi.

– Przepraszam – powiedział Wally. – To twoje wieczne „Jasne” działa mi na nerwy.

Błąd, który następnie popełnił, nie zdarzył się Wally’emu od lat. Uznał widocznie, że powinien pomóc Homerowi wstać: uniósł się z biurka na rękach i opuścił nogi na ziemię. Zapomniał, że nie może chodzić. Gdyby Candy nie złapała go w porę pod ramiona i nie przytuliła do piersi – runąłby jak długi. Homer pozbierał się z podłogi i pomógł Candy usadowić Wally’ego z powrotem na biurku.

– Wybacz, stary – uśmiechnął się pokornie Wally i oparł czoło na ramieniu Homera.

Homer nie powiedział „Jasne!” Candy wyszła z ręcznikiem po kawałek lodu, żeby zrobić Homerowi okład na policzek.

– W porządku, Wally – powiedział Homer. – Nic takiego.

Wally przesunął się nieco ku krawędzi biurka; Homer stał nad nim pochylony; stykali się głowami. Tak zastała ich Candy, gdy wróciła z lodem.

Przez minione piętnaście lat oboje, Candy i Homer, byli właściwie pewni, że Wally zna prawdę i akceptuje ją, lecz cierpi z racji tego, że mu jej sami nie wyjawili. Z drugiej strony, wydawało im się, że taki stan rzeczy ułatwia Wally’emu sytuację, gdyż zwalnia go z konieczności otwartego wyznania, że o wszystkim wie. Czy informując go oficjalnie, nie stworzą nowej niezręczności? Czy nie było najważniejsze, żeby Angel nie poznał prawdy – zanim Candy i Homer uznają za stosowne mu ją wyjawić? Zależało im bardzo na tym, żeby Angel nie dowiedział się od nikogo innego. A na razie Wally – nawet jeśli miał pewność – nie mógł podzielić się nią z Angelem.

Z incydentu w kantorku zdziwiło Homera najwyżej to, że Wally tyle lat czekał, zanim go uderzył.

– O co właściwie poszło? – spytała go Candy, kiedy nocą siedzieli sami nad basenem. Jakiś spory, bzyzcący owad musiał się złapać w kożuch listowia pokrywającego powierzchnię wody: słychać było, jak trzepie skrzydełkami o mokre liście. Trzepot słabł z każdą chwilą.

– Przypuszczam, że mój zwyczaj powtarzania „Jasne” wielu ludzi irytuje – powiedział Homer.

– Wally wie – zwiesiła głowę Candy.

– Podejrzewasz to przecież od piętnastu lat – zauważył Homer Wells.

– A ty nie?

– Myślę, że on cię kocha, a ty jego – odparł Homer. – Myślę, że wie, jak oboje kochamy Angela. I że sam też go kocha.

– Ale czy myślisz, że on wie, że Angel jest nasz? – chciała usłyszeć Candy.

– Nie mam pewności – rzekł Homer. – Na pewno Angel musi się kiedyś o tym dowiedzieć. A co do Wally’ego – przypuszczam, że wie, że ja cię kocham.

– I ja ciebie? – wpadła mu w słowo Candy. – O tym też wie?

– Ty mnie kochasz bardzo rzadko – powiedział Homer.

– Nie myślałam o seksie.

– A ja tak.

Byli bardzo ostrożni i sądzili, że niczym się nie zdradzają. Od dnia powrotu Wally’ego z wojny, Homer i Candy kochali się zaledwie dwieście siedemdziesiąt razy – średnio osiemnaście razy do roku, półtora raza na miesiąc – zawsze z zachowaniem wszelkich środków ostrożności. Candy wymogła na Homerze kolejne przyrzeczenie: że, dla dobra Wally’ego i Angela, dla dobra tego, co ona sama określała mianem „rodziny”, nie dadzą się przyłapać na gorącym uczynku i nikogo postronnego nie postawią w żenującej sytuacji. Umówili się, że pierwsza wpadka oznaczać będzie koniec ich potajemnych spotkań.

Dlatego nie wyjawili prawdy Wally’emu. Czy Wally nie potrafiłby zrozumieć, że swego czasu pogodzili się z myślą o jego śmierci – nie tylko zaginięciu – i że wówczas bardzo potrzebowali siebie nawzajem, i oboje pragnęli Angela? Pewnie by zrozumiał – oboje to czuli. Kto bowiem nie godzi się z przeszłością? Chodziło więc nie o przeszłość, a o terażniejszość – a o niej nie mogli Wally’emu powiedzieć.

Jeszcze na coś musieli uważać. Ponieważ Wally był bezpłodny, nowa ciąża Candy zakrawałaby na niewiarygodny cud. Wally dopiero po wielu latach dowiedział się, że jest bezpłodny, gdyż nie miało to związku z zapaleniem mózgu, na które się leczył. Wtedy przypomniał sobie cewnikowanie brudną bambusową rurką – a i to nie od razu, lecz fragmentami, jak przypominał sobie cały pobyt w Birmie. Na wieść o trwałej blokadzie nasieniowodów, ujrzał w nagłym przebłysku pamięci wszystkie po kolei pędy bambusa, którymi go cewnikowano – miał wrażenie, że każdy poznałby z daleka.

Wally z lubością zwierzał się Homerowi, że brak płodności w niczym nie osłabia męskiego orgazmu. Nie używał słowa „orgazm”, tylko „strzał”. Jedyńie z Homerem umiał żartować o swojej przypadłości:

– Celownik działa, spust działa, huk jest, nie można się skarżyć – tylko pocisku brakuje.

Od czasu do czasu przypominał sobie, że gdy podczas przeprawy sampanem ten czy ów Birmańczyk pomagał mu opróżnić pęcherz – za co Wally był im niewymownie wdzięczny – nie było przy tym widać wiele krwi, nawet jeżeli bambusowy „cewnik” nie był idealnie prosty: krwawienie wyglądało blado i skąpo w porównaniu z krwistymi śladami wypluwanego na pokład betelu.

Candy kazała Homerowi obiecać, że gdyby się tak zdarzyło, że znów zajdzie w ciążę – Homer osobiście wykona zabieg aborcji. Kogo jak kogo, ale Wally’ego nie mogła przecież nabrać na wycieczkę charytatywną do St. Cloud’s. Względ ten dodatkowo wzmógł ich ostrożność w łóżku – zbliżali się do ideału wstrzemięźliwości, lansowanego niegdyś przez purytańskich osadników Nowej Anglii. Ale dla Wilbura Larcha i tego było za wiele.

Unikali gestów, spojrzeń i rutyny, mogących zrodzić podejrzenia (jakby i tak wszyscy ich już nie podejrzewali, bez względu na to, jak się zachowują). Spotykali się w różnych miejscach, w różnych terminach i o różnych porach dnia. Zimą, kiedy Angel po lekcjach woził Wally’ego na kryty basen gimnazjum męskiego, Homer i Candy mogli czasem pobyć razem w domu. Lecz łóżko Homera – dawniej Oliwii, a jeszcze dawniej obojga Worthingtonów – budziło w nich sprzeczne emocje, nie mówiąc o strzeżonym przez zgoła inne tabu łożu Candy i Wally’ego. Wyjeżdżali niezmiernie rzadko. Tłocznia win nadawała się do użytku dopiero pod koniec lata, kiedy wyszykowano ją na przybycie brygady sezonowej. Poza tym, odkąd Angel miał prawo jazdy, pełno go było w całym sadzie, po którym jeździł wszystkimi po kolei maszynami – co było mu wolno, pod warunkiem, że nie wyjedzie na szosę. Najczęściej towarzyszył Angelowi Pietrek Hyde. Homer podejrzewał, że Angel z Pietrkiem potajemnie popijają w tłoczni piwo, o ile uda im się namówić Herba Fowlera do zakupu trunku i, jak to piętnastoletni chłopcy, próbują palić pierwsze papierosy. Nocą, schwytani w sidła bezsenności, Candy i Homer też nie mogli się nigdzie wymknąć, odkąd okazało się, że i Angel cierpi na bezsenność.

Homer Wells nie widział powodu do obaw przed „wypadkiem” kolejnej ciąży Candy (chroniła ich przed tym jego, Homera, fachowa wiedza); nie bał się też, że ktoś ich może przyłapać. Zdrowy rozsądek i dyskrecja zabiły jednak spontaniczność ich dawnych spotkań – i tego było Homerowi żal. Naciskany przez Candy, dobrowolnie (choć, jego zdaniem, całkiem niepotrzebnie) napisał do doktora Larcha list z prośbą o przysłanie zestawu narzędzi chirurgicznych niezbędnych w sytuacji, której Candy tak bardzo się obawiała.

Przez piętnaście lat Homer powtarzał jej:

- Nie zajdziesz w ciążę. To niemożliwe.
- Masz na wszelki wypadek wszystko, co potrzeba? – odpowiadała na to Candy.
- Mam – mówił Homer.

Od czasu incydentu w kantorku hamował nawyk powtarzania „Jasne!” i coraz lepiej mu szło. A gdy czasem wypsnęło mu się dawne powiedzonko, krzywił się mimo woli, jakby w przeczuciu kolejnego ciosu: podświadomie bał się spotkania z kimś, w kim jego „Jasne!” obudzi taką samą agresję jak w Wallym, i kto będzie tak szybki jak Pan Rose.

Wilbur Larch źle sobie zinterpretował prośbę Homera o narzędzia i trwał potem w błędzie przez piętnaście lat. Natychmiast wysłał wszystko co konieczne: wzierniki, średni i duży, wziernik Auvarda z ciężarkiem, rozszerzadła z końcówkami Douglassa, sondę domaciczną, łyżkę do biopsji, dwie pary kleszczyków, zestaw skrobaczek Sima i skrobaczkę ze spłuczką Rheinstatera. Roztworu Dakina i merkurochromu (nie mówiąc o sterylnych podkładach opatrunkowych) posłał zapas na dobre kilkadziesiąt lat.

„NIE OTWIERAM PRAKTYKI!” – podkreślił z całą mocą Homer w następnym liście do doktora Larcha, lecz Larch nie wyzbywał się nadziei – dość mu było, że Homer domagał się wiadomych narzędzi.

Homer owinął instrumenty w belę waty i gazy i schował do plastikowej torby po pieluszkach Angela. Wraz z merkurochromem, roztworem Dakina i podpaskami, wepchnął wszystko głęboko na najwyższą półkę bieliźniarki. Eter trzymał w szopie na sprzęt ogrodniczy; nie chciał przechowywać w domu łatwopalnej substancji.

Mimo wszystko, każde kolejne półtora raza na miesiąc upewniało Homera, że przez piętnaście lat nie wygasło w żadnym z nich żarliwe pragnienie, które jak magnes złączyło go z Candy przed laty, pierwszy raz, w baraku tłoczni win. Z drugiej strony, od inicjacji dokonanej przez Melony, poprzez życie „małżeńskie” (tak nazywał Homer w myślach krótki okres spędzony z Candy w St. Cloud’s, kiedy zaznawał ideału współżycia seksualnego), rosła w nim pewność, że seks i miłość to dwie zupełnie różne sfery. Miłość – myślał – odczuwa się najmocniej w chwilach czułości i troski. A on od lat nie widział Candy śpiącej; nie mógł budzić jej rano; nie widział, jak zasypia, i nie przyglądał jej się nocą pogrążonej we śnie.

Całą tkliwość dla Candy przelał Homer na Angela. Zdarzało się, gdy Angel był młodszy, że Homer natykał się niespodziewanie na Candy w mroku dzieciennego pokoju i spędzali tam wspólnie parę niepowtarzalnych godzin, w niemym zachwycie rodziców nad śpiącym dzieckiem. Częściej jednak Homer zasypiał sam w małżeńskim

łóżu przy łóżeczku Angela, ukołyszany oddechem synka – było to swojskie doznanie: całe dzieciństwo zeszło przecież Homerowi na próbach zaśnięcia w sali pełnej sapiących maluchów.

Najsilniej doznawał miłości, gdy budził rankiem swoje dziecko. Analizując to uczucie, odkrył w nim czułość zmieszaną z prośbą o wybaczenie. Tak czuł się tylko z Angelem; jeżeli Candy – myślał – przeżywa coś podobnego, to chyba tylko z Wallym. W sierocińcu obowiązuje harmonogram przyjemności. Głodnym najlepiej być rano, bo rano w kuchni nie zabraknie naleśników. Do uprawiania seksu potrzebna jest dobra pogoda (i oczywiście Melony). Do aktów wandalizmu – również Melony, pogoda obojętna. Najbardziej prywatne zajęcia i rozmyślenia zostawiało się na dni deszczowe (dodatkowym warunkiem była nieobecność Melony). Homer Wells szczerze tęsknił za rodziną – a zarazem nie umiał się pogodzić ze zmiennością i elastycznością życia rodzinnego.

W sobotnie lipcowe popołudnie Homer dryfował leniwie w basenie. Cały ranek przepracował w sadzie, okręcając słomą młode drzewka. Angel pomagał mu. Angel właśnie przed chwilą wyszedł z basenu i, ociekający wodą, przerzucał się teraz z Wallym piłką do baseballa. Wally siedział na trawie porastającej garbek ziemi nad basenem, a Angel stał na pomoście. Podawali sobie piłkę bez słowa, obaj pilnie skupieni na celności rzutów. Wally grał ostro, jak na kogoś, kto siedzi, za to Angel zdradzał lepsze wyczucie piłki, która z przyjemnym odgłosem uderzała o ich wielkie rękawice.

Z kantorka na targowisku przyszła Candy, ubrana w strój roboczy: dżinsy, luźna koszula barwy khaki z wielkimi kieszeniami i naramiennikami, wysokie buty i odwrócona tyłem do przodu czapka baseballowa z nazwą Boston Red Sox. (Candy chroniła przed letnim słońcem nie tyle twarz, co włosy: nie chciała, żeby jeszcze zjaśniały, bo wtedy bardziej było widać siwe.) Stała przed nimi, wzięła się pod boki i powiedziała dobitnie:

– Wiem, że w soboty mężczyźni schodzą z sadu w południe, ale kobiety na targowisku pracują do trzeciej.

Homer przestał dryfować: wyczuł stopami dno i stanął po pierś w wodzie. Patrzył pytająco na Candy. Wally obejrzał się przez ramię, ale zaraz cisnął piłkę do Angela, który błyskawicznie mu ją odrzucił.

– Czy możecie na chwilę przerwać grę? Chciałabym coś powiedzieć – upomniała ich Candy.

Wally przytrzymał piłkę.

- Co takiego? Słuchamy – powiedział.
- Uważam, że powinniście zaczekać z zabawą, aż wszyscy skończą sobotnie prace. Słysząc was na kilometr, a ludziom się to nie podoba – oświadczyła Candy.
- Co się nie podoba? – nie zrozumiał Angel.
- Że wy się bawicie i mieszkacie, jak to oni mówią, „w domu z falbankami”, a oni tymczasem muszą harować – wyjaśniła Candy.
- Pietrek nie haruje. Pojechał na plażę – powiadomił ją Angel.
- Piotr Hyde jest jeszcze dzieckiem. Jego matka w tej chwili jeszcze pracuje – powiedziała Candy.
- No to ja też jestem dzieckiem, tak? – zaczął się z nią przekomarzać Angel.
- Nie ciebie przede wszystkim miałam na myśli. Mówię do was, panowie – zwróciła się do Homera i Wally’ego.
- Ja jestem dzieckiem! – zastrzegł się prędko Wally i na potwierdzenie tych słów rzucił piłkę do Angela. Angel roześmiał się i odwzajemnił rzut. Homer Wells dalej stał po pierś w wodzie i spoglądał wilkiem na Candy.
- Czy ty przynajmniej rozumiesz, o co mi chodzi, Homerze? – zagadnęła go Candy. Homer nabrał powietrza i przykucnął pod wodą. Gdy wynurzył się, bo zabrakło mu tchu, Candy wchodziła właśnie do domu kuchennymi drzwiami. Oszklone drzwi trzasnęły za nią głośno.
- Nie złość się! – zawołał za nią Wally. – Oczywiście, że wiemy, o co ci chodzi! I wtedy właśnie Homer to powiedział. Wypluł wodę z ust i zwrócił się do Angela:
- Idź, powiedz mamie, żeby się przebrała, to pojedziemy wszyscy na plażę. Angel był w połowie drogi do domu, kiedy Homer uświadomił sobie, jakiego użył słowa.
- I niech razem z ubraniem zmieni humor! – zawołał Wally za odchodzącym Angelem.
- Gdy chłopiec zniknął w kuchni, Wally powiedział:
- On chyba nawet nie zauważył, stary.
- Candy traktuje go zupełnie jak matka syna. Trudno mi inaczej o niej myśleć – wykręcał się Homer niezdarnie.
- Nie wątpię, że trudno ci myśleć o niej tak, jak byś chciał – rzekł Wally.
- Słucham? – wzdrygnął się Homer.
- Niezła z niej intrygantka, co? – spytał Wally nieoczekiwanie.

Homer znów ukucnął z głową pod wodą: w ten sposób mógł przynajmniej chwilę chłodno pomyśleć.

– Intrygantka? – powtórzył, wynurzywszy się.

– Zawsze ktoś musi dyrygować innymi i podejmować decyzje – powiedział Wally.

Homer Wells poczuł, że wzbiera w nim odpowiedź „Jasne!”, niepowstrzymana jak bańka powietrza, która musi przebić powierzchnię basenu. Błyskawicznie zakrył usta ręką i spojrzał na Wally’ego. Wally siedział na trawiastym wzgórku, plecy trzymał idealnie prosto, na kolanach miał rękawicę baseballową, a w dłoni gotową do rzutu piłkę (ta ręka była zgięta w łokciu). Homer Wells nie wątpił, że gdyby wiadome słowo wymknęło mu się z ust, twardy pocisk poszybowałby w jego stronę i kto wie, czy Homer zdążyłby ukucnąć w wodzie.

– Ona ma swoje racje – powiedział wreszcie Homer Wells.

– O, tak, ona zawsze ma swoje racje – rzekł Wally. – I ładnie się starzeje, nie sądzisz?

– Bardzo ładnie – przyznał Homer, wychodząc z basenu. Ukrył mokrą twarz schowaną w ręczniku i, zamknąwszy oczy, wyobraził sobie misterną siateczkę zmarszczek w kącikach oczu Candy i piegi na dekolcie, który przez wiele lat trochę za mocno opalała. Nieliczne, za to wyraźne linie biegły w poprzek jędrnego brzucha Candy: Homer wiedział, że są to rozstępy, i ciekaw był, czy Wally wie, skąd się takie zmarszczki biorą. Na jej długich ramionach zaczęły się uwidaczniać żyły. Ale Candy była wciąż piękną kobietą.

Angel i Candy wyszli z domu, gotowi na plażę. Homer przyjrzał się bacznie synowi, ciekaw, czy Angel zwrócił uwagę na nazwanie Candy „mamą” – Angel jednak zachowywał się tak jak zawsze. Trudno było powiedzieć, czy coś zauważył. Homer miał następny problem: czy powiedzieć Candy o tym, że Wally przyłapał go na nieostrożności.

Pojechali cytrynowym jeepem Candy. Candy prowadziła, Wally siedział przy niej, na wygodnym siedzeniu pasażerskim, a Homer i Angel z tyłu. Przez całą drogę Wally pilnie wyglądał przez okno, jakby po raz pierwszy w życiu podziwiał szosę łączącą Heart’s Rock i Heart’s Haven i jej okolice. Wygląda – myślał Homer – jakby przed chwilą wyskoczył z samolotu nad Birma: właśnie otworzył spadochron i szuka miejsca do wylądowania.

Wtedy dopiero Homer uwierzył, że Candy ma rację.

On wie – pomyślał. Wally wie.



Na targowisku było rok w rok tak samo. Jak w rodzinie. Brakowało tylko Debry Pettigrew, która wyszła za mąż za kogoś w New Hampshire i do Heart's Rock przyjeżdżała raz do roku, na Boże Narodzenie. Homer Wells na każde Boże Narodzenie zabierał Angela do St. Cloud's. Najpierw jednak, z samego rana, we czwórkę z Candy i Wallym zasiadali do świątecznego śniadania, połączonego z otwieraniem prezentów. Sporo upominków wieźli zawsze do sierocińca. Na miejsce docierali późnym popołudniem albo wczesnym wieczorem, w sam raz na wigilijną wieczerzę. Siostra Angela witała ich zawsze strumieniami łez. Siostra Edna płakała tylko przy pożegnaniu. Doktor Larch zachowywał się z uprzejmą rezerwą.

Targowisko pozostawało więc niezmiennie jak St. Cloud's; a nawet bardziej, bo ekipa pracowników nigdy się nie zmieniała, a w St. Cloud's trwała ciągła rotacja sierot.

Herb Fowler wciąż „chodził” z Luizą Tobey, na którą ludzie wciąż wołali Łatwizna, chociaż miała prawie pięćdziesiąt lat. Luiza nie wyszła, co prawda, za Herba (bo jej nie prosił), ale i tak z latami obrosła w uroki i maniery małżonki-matrony. Herb Fowler nie zaprzestał swoich coraz mniej śmiesznych dowcipów (głównie z kondomami). Był chudym, siwym sześćdziesięciolatkiem z zadziwiająco wydatnym (zwłaszcza przy mikrej posturze) brzuchem, który obnosił jak skradziony i nieudolnie schowany pod koszulą kociołek. Meany Hyde z kolei pozostał po dawnemu korpulentny, łysy i sympatyczny, a jego żona, Florencja, do spółki z Big Dot Taft, nadawały ton całemu targowisku. Spoważniały na krótko w związku ze śmiercią Grace Lynch, ale po okresie żałoby znów zaczęły przyprawiać Irenę Titcomb o paroksyzmy śmiechu. Irena Titcomb nadal chowała przed światem bliznę po oparzeniu na twarzy. Everett Taft – najpocziwszy brygadzysta na świecie – z wyraźną ulgą przyjął wiadomość, że sprawami zatrudnienia zajmie się Homer. Vernon Lynch chodził jak zawsze wściekły na cały świat, a nie tylko na Homera za objęcie kierownictwa i na Grace, że umarła. Vernon był opętany złością, której nie zmógł nawet jego podeszły wiek (sześćdziesiąt parę lat).

Homer Wells powiadał, że Vernon Lynch cierpi na guza mózgu, który nie rośnie i stale wywiera ten sam nacisk i te same reakcje.

– Jest i już, jak pogoda, co? – żartował z Homerem pszczelarz Ira Titcomb. Ira miał sześćdziesiąt pięć lat, ale nie tę liczbę wymalował sobie na burcie przyczepy, tylko liczbę uządleń, które poczuł na własnej skórze.

– Tylko dwieście czterdzieści jeden – mówił z dumą. – A chodzę koło pszczoł od dziewiętnastego roku życia. Znaczący: pięć koma dwa ugryzienia rocznie. Niezły wynik, co?

– Jasne – powiedział Homer Wells i skulił się odruchowo w oczekiwaniu ciosu albo piłki baseballowej pędzącej prosto w jego twarz w błyskawicznym tempie, godnym sprężynowca Pana Rose.

Homer też coś liczył – jak każdy. Liczył, ile razy kochał się z Candy od dnia powrotu Wally’ego z wojny. Notował wynik ołówkiem (potem gumkował i poprawiał piórem) na odwrocie fotografii Wally’ego z załogą „Okazji”. Dwieście siedemdziesiąt razy: niewiele więcej niż Ira Titcomb miał na swoim koncie pszczelich ukąszeń. Candy – o czym Homer nie wiedział – też trzymała rejestr i też zanotowała liczbę 270 ołówkiem na odwrocie zdjęcia; było to zdjęcie przedstawiające ją samą, jak uczy Homera pływać. Candy trzymała je, niby przez zapomnienie, w łazience, zawsze częściowo zasłonięte pudełkiem jednorazowych chusteczek do nosa i butelką szamponu. Oliwia Worthington zdążyła przed śmiercią starannie przygotować tę ciasną łazienkę na powrót Wally’ego: przy sedesie i wannie kazała zamontować wygodne poręcze, które umożliwiały Wally’emu samodzielne korzystanie z tych urządzeń.

– Wzorowa łazienka kaleki – mawiał Wally. – Małpa miałyby tu niezłe używanie: tyle poręczy do bujania się!

Raz, tego właśnie lata, wracając z plaży zatrzymali samochód przy boisku szkoły podstawowej w Heart’s Haven. Wally i Angel chcieli się powyglupiać w tamtejszym „małpim gaju”. Angel był bardzo zwinny na przyrządach, a Wally demonstrował nadzwyczajną siłę ramion, przerzucając się jak małpa z prętu na pręt, nie bez swoistej gracji. Pohukiwali przy tym jak prawdziwe małpiszony. Homer i Candy czekali cierpliwie w samochodzie.

– Nasze dzieci – odezwał się Homer do kobiety swojego życia.

– Tak, to nasza rodzina – uśmiechnęła się Candy, patrząc, jak Wally i Angel wspinają się, przerzucają i bujają po „małpim gaju”.

– Lepsze to, niż gdyby mieli godzinami oglądać telewizję – zauważył Homer, który zawsze myślał o Angelu i Wallym jako o dwóch chłopcach. Oboje z Candy byli zdania, że Wally ogląda za dużo telewizji, co ma zły wpływ na Angela, który zawsze chce oglądać to, co Wally.

Wally do tego stopnia przepadał za telewizją, że specjalnie kupił telewizor dla sierocińca i kazał go Homerowi zawieźć do St. Cloud’s. W St. Cloud’s, jak się można

było spodziewać, odbiór był fatalny – co może i dobrze, bo pierwszym programem, który obejrzał w telewizji Wilbur Larch, była relacja z przesłuchań komisji senatora McCarthy'ego.

„Dzięki Bogu, że tak źle odbiera” – napisał Wilbur Larch w liście do Homera Wellsa.

Siostra Karolina przez cały rok chodziła z nosem na kwintę i powtarzała, że skoro, zdaniem senatora McCarthy'ego, w armii USA są sami „kryptokomuniści”, to ona wstąpi do wojska na ochotnika.

– Wygląda mi na alkoholika. Pewnie długo nie pociągnie – zawyrokował Wilbur Larch, usiłując dojrzeć oblicze senatora McCarthy'ego przez białą kaszę i zygzaki na ekranie.

– I tak o wiele za długo, jak na mój gust – burknęła siostra Karolina.

W końcu oddali telewizor. Siostra Edna i pani Grogan zaczęły popadać w szkodliwe uzależnienie, a co do dzieci – Larch uznał, że lepiej im robi wspólna modlitwa.

– Chyba lepsza telewizja niż eter, Wilburze – żaliła się siostra Edna, ale Larch nie ustąpił. Podarował odbiornik zawiadowcy stacji: był zdania, że dla takich właśnie idiotów wymyślono telewizję – urządzenie w sam raz dla rozrywki ludzi, którzy całymi dniami czekają na pociąg. Doktor Larch był pierwszą osobą w Maine, która nazwała telewizor po imieniu: „skrzynka dla idiotów”. Należy pamiętać, że do stanu Maine – a tym bardziej do St. Cloud's – wszystkie wynalazki docierały z pewnym opóźnieniem.

Wally natomiast uwielbiał oglądać telewizję, a Angel towarzyszył mu przed ekranem, gdy tylko nie otrzymał wyraźnego zakazu od Candy lub Homera. Wally twierdził, że relacje z takich zdarzeń, jak przesłuchania komisji McCarthy'ego, są dla chłopca kształcące.

– Musi wiedzieć, że jego ojczyzna jest stale zagrożona przez prawicowych szaleńców – argumentował.

Jak wiadomo, senator McCarthy utracił w wyniku tych przesłuchań poparcie milionów obywateli, Senat potępił go za „poniżające” zachowanie wobec podkomisji badającej jego finanse i za znieważenie innej komisji, postulującej gruntowne zbadanie stanu majątkowego komunożercy – a jednak na radzie nadzorczej St. Cloud's senator McCarthy wywarł korzystne wrażenie. Jego przykład zachęcił zwłaszcza panią Goodhall i doktora Gingricha do skarg na siostrę Karolinę, przez której socjalistyczne poglądy i kontakty sierociniec rzekomo stawał się „różowy”.

Pojawienie się siostry Karoliny w St. Cloud's osłabiło nieco impet działania rady. Pani Goodhall, początkowo zadowolona, że nastał tam ktoś nowy, straciła sympatię do siostry Karoliny dowiedziawszy się, że pochwała ona działania doktora Larcha. Pani Goodhall zaczęła w związku z tym badać starannie akta siostry Karoliny: jej pielęgniarские kwalifikacje były bez zarzutu, ale poglądy i działalność polityczna dały pani Goodhall iskierkę nadziei. Pani Goodhall już nieraz stawiała na forum rady oskarżenie doktora Larcha o podeszły wiek (dziewięćdziesiąt parę) i ukryty homoseksualizm. Teraz mogła je uzupełnić o zarzut zatrudnienia komunistki.

– To starcy; raz dwa ulegną praniu mózgow – argumentowała.

Doktor Gingrich, coraz silniej zafascynowany oryginalnym sposobem rozumowania pani Goodhall, nie doszedł jeszcze do ładu z pojęciem „ukrytego homoseksualizmu”: na razie zrozumiał, że etykietka taka to łatwy i pewny sposób na skompromitowanie każdego, kto trochę (albo bardzo) odbiega od przeciętnej. Idealny motyw do plotek, bo nigdy nie da się go ani udowodnić, ani obalić. Doktor Gingrich żałował, że w czasie swojej praktyki psychiatrycznej nie mógł sprawdzić skuteczności pomówień o ukryty homoseksualizm – choćby na zasadzie prowokacji.

A więc doktor Larch był nie tylko karygodnie starym, ukrytym homoseksualistą, ale jeszcze groziło mu pranie mózgu ze strony czerwonej pielęgniarki!

Doktor Gingrich marzył, żeby posłuchać obrony doktora Larcha przed zarzutem ukrytego homoseksualizmu – szczególnie odkąd poznał jego elokwencję w dyskusji o poglądach politycznych siostry Karoliny.

– Ona jest socjalistką, a nie komunistką! – zaprotestował doktor Larch na forum rady.

„Bez różnicy” – jak powiadają w Maine o wielu zjawiskach.

– Gotowi zażądać od nas deklaracji lojalności! – poskarżył się Larch swoim pielęgniarcom.

– Wobec czego? – zmartwiła się siostra Edna.

– Sporządzmy listę, w punktach – zaproponował Larch.

– Zakaz aborcji – zgłosiła natychmiast siostra Angela.

– Zgoda! – przyznał Larch. – Punkt numer jeden.

– Ojej! – przestraszyła się siostra Edna.

– Partia Republikańska – wyliczał dalej doktor Larch. – Rada nadzorcza.

– Ojej! – jęknęła siostra Edna.

– Kapitalizm! – dorzuciła swoje siostra Karolina.

– U nas nigdy nie było kapitału – zauważył trzeźwo doktor Larch.

– Insekty i grzyb! – spróbowała swoich sił siostra Edna. Reszta zebranych spojrziała na nią dziwnie. – I robaki – dodała siostra Edna, nieco mniej pewnie. – Przeciwno nim opylam jabłonki – wyjaśniła. – Insekty, grzyb i robaki.

Po tej rozmowie Wilbur Larch wygrzebał z dna szafy starą czarną, skórzaną torbę lekarską, której używał jeszcze w szpitalu położniczym w Bostonie. Udał się z nią do szewca w Wodospadzie Trzy Mile, który oprócz butów naprawiał również damskie torebki i znaczył siodła złotymi inicjałami, i kazał ozdobić swoją starą czarną torbę złocistym monogramem FS (Fuzzy Stone).

W sierpniu roku 195-, gdy w Sadach Z Widokiem na Ocean lada dzień spodziewano się przybycia brygady sezonowej, Homer Wells otrzymał od Wilbur'a Larcha przesyłkę zawierającą starą torbę lekarską z monogramem FS. O tej porze roku Melony brała zawsze urlop.

Większość stoczniowców, i elektrycy też, brała dwa tygodnie urlopu latem i dwa około Bożego Narodzenia, ale Melony robiła sobie jedne długie wakacje w porze zbiorów jabłek: ta praca dobrze jej robiła – a może tylko przypominała młode lata. Postanowiła, że w tym roku spróbuje się zatrudnić w Sadach Z Widokiem Na Ocean.

Przez lata nie zmieniła sposobu podróżowania: nadal korzystała wyłącznie z autostopu, a ponieważ w męskim stroju roboczym (innych ubrań nie uznawała) wyglądała jak włóczęga, nikt nie domyślał się, że ma za pasażerkę cenionego elektryka ze stoczni, z kontem bankowym, które wystarczyłoby na zakup przyzwoitego domku i dwóch co najmniej samochodów.

Gdy dotarła na targowisko, pierwsza zobaczyła ją Big Dot Taft. We dwie z Florencją Hyde układały towar na straganach, chociaż na razie miały na sprzedaż tylko jedną wczesną odmianę jabłek: grapsztyny. Oferowały więc głównie galaretki, dżemy i miód. Irena Titcomb obsługiwała piekarniki, w których dochodziła szarlotka. Wally rozmawiał przez telefon w kantorku i nie zauważył Melony – ani zresztą ona jego.

Candy znajdowała się w kuchni „domu z falbankami”, gdzie prowadziła dyskusję o sprawach majątkowych z nieokrzesanym bratem Oliwii, Buckym Beanem. Bucky nabył to, co zostało z cypla Raya Kendalla w zatoce Heart's Haven. Założył tam bardzo taną i wielce obskurną knajpę z morskimi potrawami – a raczej pierwszą w Maine jadłodajnię dla zmotoryzowanych, gdzie dziewczęta w kusych spódniczkach i wysokich butach przynosiły zamówione dania do samochodów

– najczęściej dania smażone i zwykle za zimne. Tacki z jedzeniem przyczepiało się do drzwiczek auta, po uprzednim opuszczeniu okna. Trudno było jeść, bo tacka się chwiała. Homer marzył o zaproszeniu do takiej knajpy Wilbura Larcha – tylko po to, żeby usłyszeć jego komentarz; był bowiem przekonany, że Larch nawiązałby do telewizji i senatora McCarthy’ego.

Bucky Bean przyszedł z nowym pomysłem: chciał kupić część sadu zwaną Kurkowe Wzgórze i rozparcelować ją na jednoakrowe działki letniskowe „z widokiem na ocean”.

Candy była właśnie w trakcie odrzucania jego oferty, kiedy Melony stanęła na targowisku. Candy argumentowała, że jednoakrowe działki są stanowczo zbyt małe, a ich ewentualni nabywcy z pewnością oponowaliby przeciwko chemikaliom używanym do spryskiwania jabłoni, które co roku latem musieliby znosić. Nie mówiąc już o tym, że gdyby letnicy się tu pobudowali, uznaliby, że mają prawo przełazić przez płoty i częstować się do woli jabłkami.

– Ty to jesteś całkiem jak Oliwia – skrytykował ją Bucky Bean. – W ogóle nie masz wyobraźni; nie myślisz przyszłościowo.

W tej samej chwili Melony podeszła do Big Dot Taft – nie tylko dlatego, że Big Dot zachowywała się jak szefowa: również dlatego, że Melony najlepiej czuła się w kontaktach z dużymi, grubymi niewiastami. Big Dot rzuciła okiem na posturę Melony i uśmiechnęła się: rzeczywiście wyglądały jak stworzone do tego, żeby się polubić. Kiedy Melony przemówiła swoim dźwięcznym basem, Meany Hyde i Vernon Lynch, którzy właśnie wlewali wodę do chłodnicy kombajnu, aż drgnęli ze zdziwienia. Normalny głos Melony był bardzo niski, a kiedy próbowała mówić cieniem, słuchacze myśleli, że krzyczy.

– Pracuje tu u was niejaki Homer Wells? – spytała Melony Big Dot Taft.

– Ano pracuje – uśmiechnęła się Big Dot. – A pani kto? Koleżanka?

– Dawna – sprecyzowała Melony. – Jakiś czas go nie widziałam – dodała z miną, którą w jej szczególnym przypadku można było uznać za wyraz nieśmiałości. Po latach współżycia z Lorną Melony od czasu do czasu odczuwała pewne onieśmienie wobec kobiet. Wobec mężczyzn była po dawnemu niezłomnie harda.

– Nie wiesz, gdzie Homer? – spytała Florencja Hyde Meany’ego, który głupio gapił się na Melony.

– Wystawia skrzynki na Patelni – powiedział Meany i zadrzał mimo woli, nie wiedzieć czemu.

– Wpadła pani go odwiedzić? – zagadnęła Big Dot. Nie uszło jej uwagi, że Melony cały czas bezwiednie zaciska i rozwiera pięść.

– Właściwie to rozglądałam się za pracą – powiedziała Melony. – Sporo zbierałam, znam się na tym.

– Homer przyjmuje do pracy – rzekła na to Big Dot. – Pewnie przyjmie starą kumpelkę.

– Jeszcze za wcześnie najmować do zbierania – wtrącił się z boku Vernon Lynch. Melony spojrzała na niego tak, że już nic więcej nie powiedział.

– Idź, powiedz Homerowi, że ma gościa – poleciła Vernonowi Big Dot. – Homer jest u nas szefem.

– Szefem? – zdziwiła się Melony.

Irena Titcomb zachichotała i prędko odwróciła policzek z blizną.

– Tu się nie mówi, kto jest szefem. To sekret – powiedziała.

Vernon Lynch ruszył traktorem tak ostro, że czarny, tłusty dym wystrzelił wielkim kłębem z rury wydechowej prosto na kobiety.

– Jak masz z nami pracować, to od razu ci mogę powiedzieć, że ten, co odjechał na traktorze, to menda jakich mało – powiedziała Big Dot.

Melony wzruszyła ramionami.

– Nie ma ich więcej?

Big Dot parsknęła śmiechem.

– Moje ciasto! – pisnęła nagle Irena Titcomb i puściła się biegiem do pieców. Florencja Hyde szacowała Melony od stóp do głów przyjaznym spojrzeniem, a Big Dot oparła łapę jak bochen na ramieniu nowo przybyłej, jakby była od lat jej przyjaciółką. Irena Titcomb przybiegła z radosną wieścią, że plackom nic się nie stało.

– Opowiedz nam, skąd znasz Homera Wellsa – przybrała nowy ton rozmowy Florencja Hyde.

– Skąd i od jak dawna – dodała Big Dot Taft.

– Z Saint Cloud's. Od zawsze – odparła krótko Melony. – Chodziliśmy ze sobą – to mówiąc pokazała nowym koleżankom ruinę uzębienia.

– Nie mów – szepnęła Big Dot Taft, niemal ze zgrozą.

Homer Wells i jego syn Angel rozmawiali o masturbacji. Dokładnie mówiąc: Homer Wells wygłaszał monolog na ten temat. Zrobili sobie przerwę śniadaniową i siedli pod jednym ze starych drzew na Patelni. Od rana rozstawiali skrzynki w tej

części sadu: na zmianę, jeden jeździł traktorem, a drugi rozładowywał przyczepę. Zjedli już kanapki. Angel wstrząsnął butelkę wody sodowej przed otwarciem i urządził ojcu mały prysznic. Homer nie wiedział, jak subtelnie poruszyć temat masturbacji. A musiał go poruszyć, ponieważ Candy, na podstawie śladów na pościeli Angela, stwierdziła, że najwyższy czas na męską rozmowę ojca z synem o życiu seksualnym, w które Angel najwyraźniej wkroczył.

– Wiesz, stary, jak byłem w twoim wieku, to tam u nas, w St. Cloud's, człowiek właściwie nigdy nie był sam, żeby się spokojnie spuścić – zaczął Homer (subtelnie, jak mu się zdawało).

Leżeli na plecach w wysokiej trawie pod najpłodniejszym drzewem Patelni, przez którego liściaste, obwieszane owocami gałęzie słońce nie umiało się precyzyjnie przesuwać.

– Taak? – spytał Angel z całkowitą obojętnością.

– Żebyś wiedział – potwierdził Homer. – Byłem tam najstarszy, to znaczy mniej więcej w twoim wieku, i w pewnym sensie opiekowałem się całą resztą. Im nawet jeszcze włosy nie rosły, wiesz gdzie, i nie mieli pojęcia, czemu im ni stąd, ni zowąd stają.

Angel parsknął śmiechem, Homer też.

– No i jak sobie radziłeś? – spytał w końcu Angel.

– Czekałem, aż wszyscy pozasypią, i bardzo się starałem, żeby łóżko nie skrzypiało – odparł Homer. – Nie masz pojęcia, jak to czasem strasznie długo trwa, aż dwunastu czy piętnastu chłopaków zaśnie! Pośmiali się jeszcze chwilę.

– Taki jeden, najstarszy z tych małych, co nieco wiedział – opowiadał Homer synowi tonem zwierzenia. – Chyba nawet sam pomалу zaczynał eksperymentować. Podejrzewam, że jak mu się pierwszy raz udało, to sam nie bardzo wiedział, czym to się skończy. No i przestraszył się wytrysku – wiesz: ejakulacji – bo myślał, że zrobił sobie krzywdę. Było ciemno: zdawało mu się, że to krew!

Opowiadka była wyssana z palca, ale Angelowi Wellsowi strasznie się spodobała: śmiał się z pobłażliwą wyższością człowieka oświeconego, czym skłonił ojca do kontynuacji tematu.

– Złakł się mały jak nie wiem co – ciągnął Homer. – Zaczął mnie wołać, żebym zapalił światło, bo jemu coś pękło w środku.

– Pękło mu w środku? – powtórzył Angel i obaj zaczęli krztusić się ze śmiechu.

– A jak zapaliłem światło i, spojrzawszy na siebie, to powiedział tylko: „O Boże, to działa!” – jakby bawił się karabinem i przypadkiem sam się postrzelił.

Ojciec z synem pośmiali się jeszcze chwilę.



Nagle Homer przybrał poważniejszy ton.

– Próbowałem mu wytłumaczyć, że nic złego sobie nie zrobił, że to normalne, tak powinno być – ale wcale to do niego nie trafiło. O pewnych rzeczach trudno jest mówić tak, żeby ich nie zniekształcić.

Angel zamilkł: może pojął wreszcie cel rozmowy.

– Nie wiedziałem, jak mam tłumaczyć tamtemu chłopcu, sporo młodszemu od ciebie, że to, co przeżył, jest całkiem naturalne, tak samo jak fantazje o dziewczynach i seksie, które będzie roił na długo przed pierwszą randką. Nie mówiąc o pierwszym współżyciu – dodał po chwili. Ten punkt pogadanki Homer bardzo starannie sobie przygotował, więc zerknął z boku na syna, ciekaw jego reakcji. Angel, leżąc na plecach, żuł długie źdźbło trawy i patrzył w rozgałęziające się konary potężnego drzewa.

Chwilę milczeli obaj, a potem Homer zagadnął syna:

– Może chciałbyś mnie o coś zapytać – o cokolwiek?

Angel zaśmiał się krótko i raptownie spoważniał.

– Owszem – powiedział. – Ciekawi mnie, dlaczego ty nie masz dziewczyny i dlaczego zachowujesz się, jakby kobiety w ogóle cię nie interesowały.

Nie takiego pytania spodziewał się Homer po wstępie „o kwiatkach i motylkach”, ale zaraz pojął, że właśnie ten problem może dręczyć Angela bardziej niż szczegóły związane z masturbacją.

– W St. Cloud’s miałem dziewczynę – zaczął Homer ostrożnie – która dała mi się we znaki. Taka dziewczyna-chuligan: trochę starsza ode mnie, no i wtedy o wiele silniejsza! – roześmiał się, nie całkiem szczerze.

– Serio? – spytał Angel. Wcale się nie śmiał: przekreślił się na brzuch i wsparty na łokciach obserwował pilnie twarz ojca.

– Nie pasowaliśmy do siebie za bardzo – mówił Homer. – Czasem tak bywa, że ludzie idą do łóżka, zanim się zaprzyjaźnią, a do przyjaźni nigdy nie dochodzi, aż w końcu i łóżko się kończy. Tak było z nami. Właściwie nie umiałbym powiedzieć, co nas łączyło.

– Chcesz powiedzieć, że źle zaczęliście? – sprecyzował Angel.

– No właśnie.

– A później, co się stało? – chciał wiedzieć Angel.

– Później spotkałem Wally’ego i Candy – odparł czujnie Homer. – Pewnie ożeniłbym się z Candy, gdyby Candy nie wyszła za Wally’ego. Była prawie moją dziewczyną, przez jakieś pięć minut. Wtedy – dodał pospiesznie – kiedy Wally był na

wojnie i nie wiedzieliśmy, czy żyje, czy nie. Wally i Candy zawsze byli mi bardzo bliscy, a odkąd mam ciebie – myślę, że spełniły mi się już wszystkie marzenia.

Angel Wells przekręcił się z powrotem na plecy. Wpatrzony w gruby pień starego drzewa zapytał:

– Więc w dalszym ciągu tak jakby lubisz Candy? Dlatego nikt inny cię nie interesuje?

– Tak jakby – podchwycił Homer Wells. – A ty, spotkałeś już kogoś, kto ci się podoba? – spróbował zmienić temat.

– Ja się nikomu nie podobam – zwierzył mu się syn. – Starsze dziewczyny, o których myślę, nawet na mnie nie spojrzą.

– To się zmieni. – Homer żartobliwie dźgnął syna palcem pod żebro. Angel błyskawicznie podkulił kolana, przeturlał się na bok i oddał ojcu identycznego kuksańca. – Niedługo dziewczyny zaczną się ustawiać w kolejce, żeby chociaż na ciebie popatrzeć.

Homer uwięził głowę Angela chwytem pod ramię i zaczęli się mocować. Odkąd Angel podrosł i nabrał niechęci do wszelkich pieszczot i całusów (zwłaszcza przy ludziach), zapasy stały się dla Homera jedyną formą kontaktu fizycznego z synem. Piętnastolatek nie ścierpi, żeby ojciec wieszał mu się na szyi, ale walkę sportową zawsze uszanuje. Mocowali się tak zajadle, dysząc ciężko i krztusząc się ze śmiechu, że nie zauważyli nadejścia Vernona Lyncha.

– Te, Homer! – zawołał Vernon bez ceregieli i poczęstował turlających się pod drzewem zapaśników paroma ostrożnymi kopniakami, jakby chciał rozdzielić walczące psy. Zauważyli go wreszcie nad sobą i zamarli w niezdarnym uścisku, jak przyłapani na gorącym uczynku.

– Przestańcie się gzić – burknął Vernon. – Mam dla ciebie wiadomość.

– Dla mnie? – zdziwił się Homer Wells.

– Szuka cię jedna taka gruba, podobno cię zna. Na targowisku – powiedział Vernon. Homer uśmiechnął się. Znał parę grubych kobiet: mogło chodzić o Big Dot Taft albo Florencję Hyde. Chociaż i Łatwizna znacznie przytyła ostatnimi czasy.

– Tej grubej jeszcze tu nie było – rozwiął jego złudzenia Vernon, odwracając się na pięcie. – Chce się nająć do zbiorów, ale pytała o ciebie po nazwisku. Zna ciebie.

Homer powoli gramolił się na nogi: w czasie walki przeturlał się po wystającym korzeniu potężnego drzewa i odgniółł sobie żebro. W dodatku Angel nawpychał mu trawy za koszulę.

– Gruba? – zwrócił się Angel do ojca. – O grubej mi nie mówiłeś.

Homer rozpiął koszulę, żeby wytrzeć trawę. Angel skorzystał z okazji i dźgnął go palcem w goły brzuch. Wtedy zauważył, że ojciec się starzeje. Wciąż był smukły i silny dzięki pracy fizycznej w sadzie, ale nad paskiem dżinsów uformowała się fałdka tłuszczu, a zmierzwiłone po zapasach włosy więcej miały w sobie siwizny niż ździebeł trawy. W kąciach oczu Homera czaił się pesymizm, którego też nigdy wcześniej Angel nie zauważył.

– Tato? – zagadnął cicho. – Kim jest ta kobieta?

Ojciec nic nie powiedział, tylko spojrzał na syna z lękiem i zaczął pospiesznie, krzywo zapinać koszulę – aż Angel musiał mu pomóc.

– Chyba to nie jest ta baba-chuligan? – spróbował zażartować, bo przecież zawsze z sobą żartowali. Ale Homer nie odpowiedział, ani nawet się nie uśmiechnął. Uruchomił traktor z połową ładunku na przyczepie i jadąc z nadmierną szybkością rozsiewał po sadzie puste skrzynki. Zamiast lawirować między drzewami, Homer wybrał powrót szosą, na którą wjechali z całkiem już pustą przyczepą. Szosą o wiele szybciej można było dojechać na targowisko; mimo to Homer zawsze odradzał kierowcom Sadów Z Widokiem korzystanie z tej drogi – bał się wypadków, zwłaszcza w okresie letniego nasilenia ruchu turystycznego.

Na dzieciach nic nie robi większego wrażenia niż widok rodziców łamiących własne zakazy.

– Myślisz, że to ona? – Angel usiłował przekrzyczeć motor. Stał za plecami ojca, przytrzymując się oparcia fotela kierowcy, w rozkroku nad hakiem przyczepy. – Ciekawe, no nie?

Homer milczał z ponurą miną.

Zaparkował traktor i przyczepę pod ścianą magazynu, który przylegał do targowiska.

– Ładuj następne skrzynki – polecił synowi, ale Angel ani myślał dać się zbyć tak łatwo. Podążył w ślad za Homerem na plac targowiska, gdzie Big Dot, Florencja i Irena z czią otaczały niewzruszony masyw Melony.

– To ona, tak? – upewnił się szeptem Angel.

– Jak się masz, Melony – powiedział Homer Wells. Żaden odgłos nie zakłócił stojącej, letniej ciszy.

– Jak zdrówko, Słoneczko – rozległ się wreszcie bas Melony.

– Słoneczko! – nie wytrzymała Big Dot Taft.

Nawet Angel czuł, że musi to głośno powtórzyć: coś podobnego – jego ojciec – Słoneczko!

Po tylu latach oczekiwania, Melony wpatrywała się jednak nie w Homera, a w Angela. Nie mogła wprost oderwać od niego oczu. Sympatyczny, dobiegający czterdziestki Homer Wells niewiele miał wspólnego z Homerem Wellsem ze wspomnień Melony; za to Angel poraził ją – nie spodziewała się bowiem ujrzeć przy boku Homera wykapanego obrazu chłopaka sprzed lat. Angel, biedaczek, poczuł się trochę nieswojo pod bandyckim spojrzeniem Melony, ale jako młody gentleman nic nie dał po sobie poznać. Uśmiechnął się ujmująco do nieznajomej.

– Ciebie mi nie trzeba przedstawiać – powiedziała mu Melony. – Jesteś bardziej podobny do ojca z czasów młodości niż on sam.

Big Dot i pozostałe kobiety chłonęły pilnie każde jej słowo.

– Miło, że widzisz jakieś podobieństwo między nami, ale mój syn jest adoptowany – powiedział Homer.

Jak mógł być taki naiwny? Jak mógł nie dostrzec, że chociaż przez lata Melony obrosła w bolesne doświadczenia, mięśnie, tłuszcz, zdradę i symptomy starości, to jej dzikie, niewymownie smutne oczy zdradzały przede wszystkim czujność starego wróbla, który nie da się wykiwać.

– Adoptowany? – powtórzyła Melony, nie spuszczać z Angela żółtoszarych oczu. Jej najstarszy przyjaciel znów ją zawiódł: po tylu latach wciąż próbował ją okłamywać.

W tej samej chwili Candy, która nareszcie pozbyła się Bucky'ego Beana, weszła na targowisko, poczęstowała się grapsztynem z pierwszego straganu, ugryzła owoc, stwierdziła ze zdumieniem, że nikt nie pracuje, i podeszła do zajętej sobą gromadki, ciekawa, co tam się dzieje.

Ujrzawszy lukę między Angelem a Homerem, tam właśnie stanęła, nie mogąc chwilowo mówić, bo w ustach miała spory kęs jabłka.

– Hej! – wykrztusiła z najwyższym trudem. Melony natychmiast odnalazła w jej twarzy te elementy, które wydały jej się obce obrazowi Homera Wellsa utrwalonemu w rysach Angela.

– Poznajcie się, to Melony – zwrócił się Homer do Candy, której kęs jabłka stanął w gardle, bo swego czasu, siedząc z Homerem na dachu tłoczni win, dowiedziała się wszystkiego o Melony. – Pani Worthington – wymamrotał Homer w stronę Melony.

– Miło mi – wykrztusiła Candy.

– Pani Worthington? – Melony jęła wodzić rysimi oczami od Angela do Candy, i znów od Angela do Homera Wellsa.

Wtedy z kantorka wyjechał na targowisko Wally na wózku inwalidzkim.

– Co to za święto? Czemu nikt nie pracuje? – zagadnął zebranych, jak zwykle sympatycznym tonem. Nagle dostrzegł gościa i zmitygował się. – Dzień dobry pani.

– Witam – powiedziała Melony.

– Mój mąż – przedstawiła go niewyraźnie Candy, która nadal nie była w stanie przełknąć jabłka.

– Mąż? – powtórzyła Melony.

– Pan Worthington – uzupełnił ledwo żywy Homer Wells.

– Po prostu Wally – uśmiechnął się Wally.

– Melony jest moją koleżanką z sierocińca – wyjaśnił Homer.

– Naprawdę? – uradował się Wally. – To fantastycznie! Oprowadźcie gościa po sadach. I po domu – dodał w stronę Homera. – Lubi pani pływać? – zwrócił się bezpośrednio do Melony. Melony po raz pierwszy w życiu nie wiedziała, co odpowiedzieć. – Dot? – zmienił Wally obiekt zainteresowania. – Policz, ile buszli grapsztynów mamy na składzie. Klient czeka pod telefonem.

Z wprawą odwrócił wózek i ruszył do swojego kantorka.

– Melony wie wszystko dokładnie o zapasach. Przed chwilą był w magazynie – odezwała się Florencja.

– To przyślijcie go do mnie zaraz – poprosił Wally. – Miło było panią poznać! – zawołał z dala do Melony. – Proszę koniecznie zostać na kolacji!

Candy o mało się nie udławiła, ale wreszcie przełknęła trudny kęs.

– Dziękuję! – huknęła w ślad za Wallym Melony.

Wally wjeżdżał do kantorku i wyjeżdżał stamtąd bez pomocy, bo już przed wielu laty Everett Taft zlikwidował próg w oszklonych drzwiach, a same drzwi przerobił tak, że otwierały się w obie strony, jak drzwi saloonu. Więc Wally obywatel się bez asysty.

On jeden jest tu bohaterem – uznała Melony, patrząc, jak wahadłowe drzwi zamykają się za wózkiem inwalidzkim. Świerbiły ją ręce. Miała wielką chęć dotknąć Angela, przytulić go do serca. Co do Homera Wellsa – tyle lat marzyła, żeby go dostać w swoje łapy, a teraz nie była pewna, co właściwie chciałaby mu zrobić. Zrozumiała, że niczym go nie zaskoczy – nawet gdyby zniecka padła na czworaki albo przyjęła postawę bokerską, Homer Wells nie zdziwiłby się i nie przestraszył. On też – zauważyła Melony – nie panował nad rękami: cały czas nerwowo przebierał palcami po udach. Najbardziej zasmuciło Melony to, że nie dostrzegła w oczach Homera ani śladu miłości dla siebie: wyglądał jak zwierzę w potrzasku. Nie zdradzał cienia

radości, czy choćby ciekawości, na jej widok. Odniosła za to wrażenie, że gdyby pisnęła choć słowo chłopcu (jaki on tam sierota!), Homer Wells rzuci jej się do gardła.

Wszyscy jakoś zapomnieli, że Melony przyszła – między innymi – w poszukiwaniu pracy.

– Może chce pani najpierw obejrzyć basen? – zaproponował jej Angel.

– Pływać nie umiem, ale popatrzeć mogę – powiedziała Melony i uśmiechnęła się do Homera z tak nietypową dla siebie serdecznością (ujawniając przy okazji całą prawdę o swoim uzębieniu), że dreszcz przeszył go od stóp do głów. Jabłko, z którego odgryziono zaledwie jeden – lecz jaki kłopotliwy! – kęs, ciążyło Candy w dłoni jak łożysko.

– Oprowadzę panią po domu – powiedziała Candy. – Kiedy już Angel pokaże pani basen – dodała, upuszczając, niby to niechcący, nie dojeżdżone jabłko i kwitując to sztucznym śmiechem.

– A potem ja pokażę ci sad – wymamrotał Homer.

– Sadu to ty mi pokazywać nie musisz, Słoneczko. Naoglądałam się dość sadów – rzekła z godnością Melony.

– Aha – powiedział Homer.

– Słoneczko – powtórzyła Candy bezbarwnym głosem.

Ruszyli całą grupą w stronę domu i basenu. Angel, idący za Homerem, szturchnął go porozumiewawczo w plecy, dając mu do zrozumienia, że nadal uważa całe zdarzenie za pierwszorzędną hecę. Homer odwrócił się dyskretnie, z groźną miną, czym dodatkowo rozbawił Angela. Potem Angel pokazał Melony basen, zwracając jej szczególną uwagę na podjazd dla wózka inwalidzkiego. Candy i Homer tymczasem oczekiwali gości w kuchni.

– Ona wie – powiedział Homer.

– O czym? – zdziwiła się Candy.

– Melony wie wszystko – oświadczył dobitnie Homer Wells, jakby przemawiał w eterowym transie.

– Skąd miałyby wiedzieć? Mówiłeś jej?

– Chyba żartujesz! Ona po prostu wie – zawsze taka była.

– To ty chyba żartujesz – obraziła się Candy.

– Wally fantastycznie pływa – opowiadał Angel Melony. – W morzu trzeba go tylko przenieść za spienioną falę. Ja to potrafię.

– Przystojniak z ciebie – zauważyła Melony. – Twój tatuś nigdy nie był taki przystojny.

Angel, zażenowany, zajął się mierzaniem temperatury wody w basenie.

– Ciepła woda – powiedział. – Szkoda, że pani nie pływa. Ale mogłaby pani chociaż pobrodzić w płytkim końcu, albo ja mógłbym panią nauczyć, jak unosić się na wodzie. Moją tatę Candy nauczyła pływać.

– Coś podobnego – powiedziała Melony. Weszła na trampolinę i lekko ją rozbujała: to wystarczyło, żeby elastyczna deska niemal dotknęła wody. – Gdybym wpadła, pewnie umiałbyś mnie wyratować, co? – zagadnęła Angela, który nie był pewien, czy ta wielka baba zaleca się do niego, czy mu grozi – czy też może po prostu się wygłupia. I to w niej właśnie jest fantastyczne – pomyślał Angel: to, że nie wiadomo, z czym za chwilę wyskoczy.

– Przypuszczam, że uratowałbym panią, gdyby się pani topiła – odparł ostrożnie. Melony wycofała się jednak z trampoliny, a wibrująca deska zmieniła jej kroki w rytmiczne, ociążałe susy, zdradzające, jak u wielkich, drapieżnych kotów, siłę drzemiącą w leniwym ciele.

– Coś podobnego – powtórzyła, patrząc wokoło i starając się niczego nie przegapić.

– Chce pani teraz obejrzeć dom? – spytał Angel, który jednak czuł się przy niej nieswojo.

– O raju, niezła chata! – pochwaliła Melony parter, po którym oprowadziła ją Candy. Homer pokazał jej pomieszczenia na piętrze. W hallu, między pokojem Homera a Angela, Melony szepnęła mu do ucha: – Aleś się urządził! Jak ci się to udało, Słoneczko? – Jej rysie oczy pasły się widokiem Homera. – Nawet widok masz ekstra! – oceniła siadając na wprost okna, na małżeńskim łożu.

Korzystając z tego, że poszła do łazienki, Homer chciał zamienić na dole słowo z Candy, ale pętał się tam Angel, nadal zaciekawiony sytuacją i skory do dalszej zabawy. Postać spod ciemnej gwiazdy, która była pierwszą dziewczyną jego ojca, wywarła na Angelu ogromne wrażenie: jeżeli przedtem trapił się wątpliwościami na temat ojcowskiej samotności z wyboru, to nagle pojawienie się niesamowitej kobiety sporo mu wyjaśniło. Skoro ojciec z kimś takim przeżywał pierwsze doświadczenia seksualne, to Angel nie dziwił się już zbyt, że nie ciągnęło go do dalszych eksperymentów.

Melony zasiedziała się w łazience – co Homerowi było akurat na rękę, gdyż potrzebował chwili, aby namówić Candy i Angela do powrotu do zajęć i pozostawienia go sam na sam z Melony.

– Ona szuka pracy – tłumaczył im. – Muszę zamienić z nią dwa słowa na osobności.

– Pracy – szepnęła Candy ze zgrozą i aż zmrużyła, jak od bólu, piękne oczy.

Lustra nigdy nie były łaskawe dla Melony, ale lustro w łazience Homera potraktowało ją szczególnie bezlitośnie. Z apteczką Melony rozprawiła się błyskawicznie, wybierając na chybił trafił część pigułek, które spuściła w kanalizację. Potem wyciskała żyletki z metalowego automatu i prędkiej zabrakło żyletek, niż ta zabawa jej się znudziła. Podnosząc żyletkę z podłogi, Melony zacięła się w palec. Ze skaleczonym palcem w ustach podniosła wzrok i ujrzała siebie w lustrze. Z żyletką w drugiej ręce odczytywała z własnej twarzy czterdzieści parę przeżytych lat. Nigdy nie była ładna ani sympatyczna, ale dawniej stanowiła sama dla siebie skuteczną obronę – a teraz już nie była tego taka pewna. Przyłożyła żyletkę do podpuchniętej dolnej powieki i zamknęła oko, jakby samo zdecydowało, że nie może patrzeć na to, co teraz się stanie. Nic się nie stało. Melony odłożyła żyletkę na skraj umywalki i rozplakała się.

Potem znalazła zapalniczkę. To Candy musiała ją zostawić w łazience; Homer nie palił, a Wally nie chodził po schodach. Za pomocą zapalniczki nadtopiła uchwyt szczoteczki do zębów Homera, w miękki plastik wetknęła żyletkę i odczekała chwilę, aż uchwyt z powrotem stężeje. Ściskając szczoteczkę w garści, ucieszyła się, że ma niezłą broń.

I wtedy zauważyła piętnastoletnią ankietę rady nadzorczej St. Cloud's. Dotknęła starego papieru bardzo ostrożnie, żeby go nie podrzeć. W głowie jej się zakręciło od tych pytań! Nie wiedziała, co robić. Wrzuciła uzbrojoną szczoteczkę do umywalki; zabrała ją stamtąd; schowała do apteczki; wyjęła. Zwymiotowała. Dwa razy spuściła wodę w sedesie.

Melony bardzo długo zabawiła w łazience. Gdy zeszła na dół, Homer oczekiwał jej w kuchni. W zaciszu łazienki Melony zdążyła przeżyć burzę nastrojów i opanować szok związany ze znalezieniem Homera w tym konkretnym otoczeniu, uwikłanego w, jej zdaniem, śmierdzącą sytuację. Jeżeli nawet w początkowych chwilach spotkania po latach czerpała niejaką satysfakcję z zakłopotania, w jakie wprawiała Homera swym nagłym przybyciem, to po sesji w łazience straciła całą chęć do dalszej zabawy. Jej rozczarowanie Homerem Wellsem było głębsze niż wściekłość, której się nigdy nie wyzbyła – było bliskie żałoby.

– Nie wiem, czemu zawsze myślałam, że stać cię na coś więcej niż przyprawianie rogów żaloszemu kalece i udawanie, że twój syn nie jest twoim synem – powiedziała Melony do Homera Wellsa. – I to akurat ty, sierota.



– To nie tak – zaprzeczył Homer, ale Melony tylko pokręciła wielką głową i odwróciła od niego wzrok.

– Mam oczy na swoim miejscu – ciągnęła – i widzę, co się tu wyrabia. Jedno wielkie szambo. Zwyczajne mieszczańskie szambo: zdradzanie mężów i okłamywanie dzieci. I to właśnie ty!

Wyjęła ręce z kieszeni i zaplotła dłonie za plecami; zaraz potem znów wsadziła je w kieszenie. Na każdy ruch jej rąk Homera przebiegał dreszcz.

Homer Wells spodziewał się ataku ze strony Melony – Melony zawsze była napastliwa – lecz nie spodziewał się tego rodzaju napaści. Dawniej, wyobrażając sobie ewentualne spotkanie po latach z Melony, miał nadzieję, że jej dorówna; teraz już wiedział, że nie ma szans.

– Myślisz, że świetnie się bawię twoim zakłopotaniem? – spytała go Melony. – Myślisz, że po to cię szukałam tyle lat – żeby ci popsuć humor?

– Nie wiedziałem, że mnie szukałaś – powiedział Homer Wells.

– Pomyliłam się co do ciebie. – Patrząc na Melony, Homer uświadomił sobie, że i on się co do niej pomylił. – Zawsze myślałam, że będziesz taki jak stary.

– Jak Larch?

– Jasne, że jak Larch! – warknęła Melony. – Wyobrażałam sobie ciebie jako takiego samego, no wiesz, misjonarza. Dobroczyńcę ludzkości z głową w obłokach.

– Nie tak pamiętam Larcha – rzekł Homer.

– Nie pyskuj! – łzy popłynęły nagle po zniszczonej twarzy Melony. – Ty chodzisz z głową w chmurach, co do tego się nie pomyliłam. Ale do misjonarza ci daleko. Jesteś ścierwo! Nie dość, że przejechałaś kobitę, której nie miałaś prawa tknąć, to jeszcze dzieciakowi robisz wodę z mózgu! Ładny mi dobroczyńca! Ładna mi odwaga! U mnie, Słoneczko, tacy się zaliczają do klasy ścierwo!

I poszła sobie. Nawet nie zapytała o pracę. Homer też nie miał okazji spytać, jak jej się wiodło przez te wszystkie lata.

Poszedł na górę do łazienki i zwymiotował. Nappełnił umywalkę zimną wodą, zanurzył głowę, ale pulsowanie w skroniach nie ustało. Prawda, z siłą dziewięćdziesięciu kilogramów, zaatakowała go prosto w twarz i klatkę piersiową, odbierając dech aż do bólu. W ustach czuł wstrętny smak torsji. Chciał wyszorować zęby, ale pokaleczył sobie dłoń, zanim zauważył żyłkę. Górną część jego ciała ogarnął paraliż, podobny (jak Homer przypuszczał) do niemocy, która dotknęła Wally'ego od pasa w dół. Homer sięgnął po ręcznik przy drzwiach i zobaczył, czego jeszcze brakuje w łazience: ze ściany zniknął nie wypełniony kwestionariusz rady

nadzorczej St. Cloud's. Homer bez trudu wyobraził sobie odpowiedzi Melony na niektóre z pytań.

Panika, której w związku z tym doznał, przyćmiła na chwilę gorzkie rozżalenie. Homer bezzwłocznie zatelefonował do sierocińca. Telefon odebrała siostra Edna.

– Homer! Jak to miło! – uradowała się, słysząc jego głos.

– Dzwonię w ważnej sprawie. Widziałem się z Melony.

– Ach, z Melony! – ucieszyła się siostra Edna. – Pani Grogan będzie zachwycona!

– Melony ma czystą ankietę – powiedział Homer. – Proszę przekazać to doktorowi Larchowi. To nie jest dobra wiadomość. Chodzi o starą ankietę rady.

– Ojej – zmartwiła się siostra Edna.

– Możliwe, oczywiście, że jej nie wypełni – powiedział Homer. – Ale jeśli wypełni, to będzie wiedziała, gdzie wysłać, bo na blankiecie jest adres. Dokąd poszła Melony, nie wiem, tak samo jak nie wiem, skąd przyszła.

– Wyszła za męża? – zainteresowała się siostra Edna. – Jest szczęśliwa?

Jezu Chryste – jęknął w duchu Homer Wells. Siostra Edna zawsze krzyczała w słuchawkę: była taka stara, że pamiętała tylko czasy fatalnych połączeń telefonicznych.

– Niech siostra koniecznie powie doktorowi Larchowi, że Melony ma ankietę. On będzie wiedział, o co chodzi – poprosił Homer Wells.

– Oczywiście, oczywiście! – odkrzyknęła siostra Edna. – Ale czy jest szczęśliwa?

– Nie sędzę – powiedział Homer.

– Jaka szkoda!

- Myślałem, że zostanie na kolacji – zdziwił się trochę Wally, nakładając na talerze porcje ryby-miecza.

– Podobno szukała pracy – dodał Angel.

– Co porabiała przez te lata? – spytał Wally.

– Skoro szukała pracy przy zbieraniu jabłek, to nie mogła zrobić wielkiej kariery – zauważyła Candy.

– Tak naprawdę to chyba nie szukała pracy – powiedział Homer.

– Po prostu przyszła ciebie skontrolować, tato – podsumował Angel, a Wally roześmiał się głośno. Angel zdążył już zdradzić Wally'emu, że Melony była swego czasu dziewczyną Homera – co szczerze Wally'ego ubawiło.

– Widzę, że nic ci nie mówił o Debrze Pettigrew – zwrócił się Wally do Angela.  
– Daj spokój, Wally – skarciła go Candy. – To nie było nic poważnego.  
– Ukryłeś coś przede mną! – Angel oskarżycielskim gestem wymierzył palec w ojca.

– Owszem – przyznał się Homer. – Ale Debra Pettigrew nie bardzo się dla mnie liczyła.

– Jeździliśmy na podwójne randki – zdradził Angelowi Wally. – Twój stary zwykle zajmował tył.

– Wally! Daj spokój! – Candy z tego wszystkiego nałożyła Homerowi i Angelowi za dużo szparagów i teraz musiała im po trochu ująć z talerzy, żeby starczyło dla Wally’ego i dla niej samej.

– Szkoda, że nie mogłeś widzieć swego starego, jak pierwszy raz był w kinie dla zmotoryzowanych – kontynuował temat Wally. – Nie miał pojęcia, do czego takie kina służą!

– Skąd wiesz, że Angel ma o tym pojęcie? – przerwała mu zirytowana Candy.

– Oczywiście, że mam! – roześmiał się Angel.

– Oczywiście, że ma! – zawtórował mu Wally.

– Tylko Beduini nie wiedzą takich rzeczy – dodał Homer na znak solidarności z żartownisiami.

Po kolacji Homer pomagał Candy zmywać, Angel natomiast pojechał z Pietrkiem Hyde’em na objazd sadów. Ich ulubioną wieczorną zabawą była próba objechania wszystkich sadów przed zmierzchem. Po ciemku Homer zabraniał chłopcom jeździć po sadach, szczególnie odkąd w trawie stały skrzynki na jabłka.

Wally chętnie siadywał o zmierzchu nad basenem. Teraz też Candy i Homer widzieli go przez okno kuchni: siedział w wózku z głową zadartą wysoko, jakby patrzył w gwiazdy – ale nie gwiazdy obserwował, lecz spiralny lot jastrzębia nad Kurkowym Wzgórzem. Jakieś małe ptaszki drażniły jastrzębia, podlatując niebezpiecznie blisko: wyraźnie usiłowały odciągnąć go gdzieś dalej.

– Najwyższy czas ujawnić prawdę – powiedział Homer.

– Nie, proszę cię! – Candy sięgnęła za plecami Homera po ruszt, na którym piekła się ryba-miecz, i wrzuciła go w mydliny, wypełniające jej część zlewu. Homer bez słowa wyciągnął z wody tłusty, oblepiony kawałkami ryby ruszt i zaczął go zapamiętane szorować.

– Pora, żeby wszyscy dowiedzieli się prawdy – oświadczył twardo. – Dość tego czekania, co czas pokaże.

Candy przerwała pracę, stanęła za plecami Homera, oparła obie ręce na jego biodrach i wtuliła twarz w jego plecy między łopatkami, ale Homer nie odwzajemnił czułości; nawet się nie odwrócił. Dalej zawzięcie szorował ruszt.

– Zgadzam się na każdy układ, który zaproponujesz – powiedział. – Sama zdecyduj, czy chcesz być obecna, kiedy będę mówił Angelowi, i czy ja mam być świadkiem twojej rozmowy z Wallym. Cokolwiek wybierzesz – ja się zgadzam.

Candy ścisnęła go z całej siły, ale on dalej szorował ruszt. Zrozpaczona, ugryzła go między łopatki. Wtedy już musiał się odwrócić i odepchnąć ją od siebie.

– Przez ciebie Angel mnie znienawidzi! – zawołała płacząc.

– Angel cię nigdy nie znienawidzi – zapewnił Homer. – Dla Angela pozostaniesz tym, kim byłaś zawsze: dobrą matką.

Widząc szczypcę do nakładania szparagów w dłoni Candy, Homer zaniepokoił się, że to na niego, ale Candy poprzestała na machinalnym otwieraniu i składaniu narzędzia.

– Wally mnie znienawidzi! – krzyknęła z rozpaczą.

– Przecież zawsze mówiłaś, że Wally i tak wie – przypomniał jej Homer. – Wally cię kocha.

– Ale ty już mnie nie kochasz, prawda? – rozbeczała się Candy na dobre. Rzuciła szczypcami w Homera, wpiła w uda zaciśnięte pięści i przygryzła dolną wargę aż do krwi, a kiedy Homer chciał obetrzeć krew czystą ścierką – Candy odepchnęła go z furią.

– Kocham cię, ale oboje stajemy się złymi ludźmi – powiedział Homer.

Candy tupnęła ze złości.

– Nieprawda! Nie jesteśmy złymi ludźmi! Postępujemy słusznie! Nie chcemy nikomu sprawić bólu!

– Postępujemy niesłusznie – rzekł spokojnie Homer Wells. – Nadeszła pora zmienić postępowanie.

Ogarnięta paniką Candy spojrzała przez okno: Wally zniknął z posterunku przy basenie.

– Później porozmawiamy – szepnęła do Homera i pospiesznie przyłożyła do krwawiącej wargi kostkę lodu, pozostawioną w którejś szklance. – Przyjdź nad basen.

– To nie jest temat na rozmowę przy basenie – powiedział Homer.

– Więc spotkajmy się w tłoczni – szepnęła Candy. Bezskutecznie – wyglądała Wally'ego; drażniło ją, że nie wie, którymi drzwiami – lada chwila – mąż wjedzie do domu.

– To nie jest dobry pomysł – rzekł Homer Wells.

– Przyjdziemy oddzielnie, do cholery! – syknęła Candy. – Każde swoją drogą!

Zanim Homer usłyszał, że Wally wjeżdża drzwiami z tarasu, Candy zniknęła w łazience.

Po raz pierwszy chwaliła los za łazienkę przystosowaną dla potrzeb inwalidy – a zwłaszcza za umywalkę na poziomie człowieka na wózku (na tym samym „przedszkolnym” poziomie – przypomniało się Candy – zamontowane były umywalki w St. Cloud’s). Uklękła na posadzce i podstawiła twarz pod kran, kierując strumień zimnej wody na skaleczoną wargę.

– Jak tam zmywanie? – zagadnął Wally Homera, wciąż skrobiącego ruszt po rybie.

– Strasznie dzisiaj wszystko zapaprane – odparł Homer.

– Współczuję ci – powiedział Wally, całkiem szczerze. – Gdzie Candy?

– Nie wiem, może w łazience.

– A to co? – Wally podjechał w kąt kuchni, gdzie na podłodze leżały srebrne szczypce z resztkami szparagów. Podniósł je i zawiózł Homerowi do umycia. – Nie chcesz obejrzeć paru ostatnich akcji meczu? – zaproponował. – Candy może pozmywać te głupie gary.

Wyjechał z kuchni i ustawił się na podjeździe, czekając, aż Homer wyprowadzi samochód z domu.

Pojechali jeepem Candy, z opuszczonym dachem. Nie brali wózka inwalidzkiego. Na meczach ligi młodzików, takich jak ten, Homer mógł podjechać samochodem aż pod samą linię autu i w ogóle nie musieli wychodzić na trybuny. Zrozumiałe, że miasteczko szczyciło się sztucznym oświetleniem nad stadionem, ale rozgrywanie meczów reprezentacji młodzieżowej w sztucznym świetle było pewną przesadą. Dzieci szły przez to spać o wiele za późno. Poza tym oświetlenie nie było najwyższej klasy i publiczność nie widziała ani baz, ani piłek autowych, a przy wysokich rzutach piłka gwałtownie gubiła się na tle czarnego nieba. Wally przepadał za meczami młodzieżowymi: dawniej ani razu nie opuścił rozgrywki, w której brał udział Angel. Ale Angel był już za stary do młodzików, a oglądanie meczów zaczęło go niepomierne nudzić.

Gdy dojechali na miejsce, było już prawie po meczu, z czego Homer Wells ucieszył się w duchu, gdyż nie cierpiał baseballu. Serwował zatroskany grubasek: zwlekał z wysłaniem piłki w przestrzeń, jakby miał nadzieję, że lada chwila ściemni się (lub wysiądzie prąd) i przeciwnik nie zauważy piłki, którą ma odbić.

– Wiesz, czego mi brak? – zagadnął Wally Homera Wellsa.

– Czego? – spytał Homer, chociaż bał się odpowiedzi. Może chodzenia? A może Wally powie: „Miłości do żony – tego najbardziej mi brak”?

– Latania – powiedział Wally. – Bardzo brak mi latania. Bardzo tęsknię za byciem tam, w górze. – Wally wcale nie obserwował boiska: wpatrywał się w niewidzialny punkt wysoko na nocnym niebie. – Ponad światem, ponad wszystkim. Tak było.

– Ja nigdy nie latałem – wyznał Homer Wells.

– O raju: rzeczywiście! – Wally był szczerze wstrząśnięty. – Rzeczywiście, ty nigdy w życiu nie latałeś! Założę się, że byłbyś zachwycony. Musimy to jakoś urządzić. Angel na pewno też chciałby spróbować. Niczego w świecie tak mi nie brakuje!

Po meczu, w drodze do domu, Wally sięgnął nagle do dźwigni zmiany biegów, wrzucił luz i poprosił Homera:

– Zgaś na chwilę silnik. Potoczmy się na luzie. – Homer przekreślił kluczyk w stacyjce i jeep potoczył się po drodze siłą bezwładności. – Wyłącz światła – powiedział Wally. – Tylko na chwilę.

Homer Wells zgasił reflektory. W dali widzieli światła Sadów Z Widokiem Na Ocean, a drogę znali obaj na pamięć, więc nawet po ciemku czuli się na niej dość bezpiecznie. Wtem wysokie drzewa przesłoniły im światła domu, a jeep trafił kołem w dołek, którego nigdy nie było na szosie. Ogarnęło ich dziwne uczucie zagubienia. Prawdopodobnie zbczyli z szosy i wjechali w las. Homer Wells zaświecił reflektory.

– To właśnie było latanie – powiedział Wally, gdy zajechali pod dom. Na podjeździe stał wózek inwalidzki i błyszczał metalicznie w snopie samochodowych reflektorów. Homer przeniósł Wallego z jeepa na wózek. Po drodze Wally objął go serdecznie za szyję i mruknął mu do ucha:

– Nie myśl stary, że nie jestem ci wdzięczny, za to wszystko, co dla mnie robisz. Homer delikatnie posadził go na wózku.

– Daj spokój – bąknął.

– Mówię szczerze. Wiem, jak wiele dla mnie zrobiłeś, a rzadko miewam okazję okazać ci wdzięczność. – Z tymi słowy Wally ucałował Homera między oczami (bo akurat tam trafił). Homer wyprostował się, bardzo zażenowany.

– To ja tobie wszystko zawdzięczam, Wally – powiedział, ale Wally tylko machnął na to ręką. Był już w połowie drogi do drzwi.

– To całkiem inna sprawa, chłopie – rzucił na koniec rozmowy Homerowi, który miał jeszcze zaparkować jeepa.

Wieczorem, kiedy Homer przykrywał Angela do snu, Angel powiedział:

– Już nie musisz mnie kłaść do łóżka, jestem prawie dorosły.

– Robię to nie dlatego, że muszę, tylko dlatego, że lubię – rzekł Homer.

– Wiesz, co mi się zdaje? – spytał go syn.

– Co takiego? – Homer znów bał się, co może usłyszeć w odpowiedzi.

– Że powinienesz sobie znaleźć dziewczynę – odparł Angel z pewnym zawstyżeniem.

Homer parsknął śmiechem.

– Poczekam, aż ty sobie znajdziesz; wtedy może też się rozejrzę.

– I będziemy razem jeździć na randki! – rozdokazywał się Angel.

– Zamawiam tylne siedzenie! – wpadł mu w słowo Homer.

– Proszę bardzo, ja zawsze wolę prowadzić.

– Jeszcze trochę poczekaj, a będziesz wolał co innego – ostrzegł go żartobliwie ojciec.

– No pewnie! – zachichotał Angel z miną chojraka. Nagle spytał:

– Ta Debra Pettigrew też była taka wielka jak Melony?

– Skąd! – powiedział Homer. – Owszem, miała zadatki na grubasa, ale takim monstrum nie była; przynajmniej nie wtedy, kiedy ją znałem.

– Nie wyobrażam sobie, żeby siostra Big Dot Taft mogła być mała – śmiał się Angel.

– A czy ja mówię, że była mała? – udał oburzenie Homer i obaj zanieśli się gromkim śmiechem. W rozbawieniu Homer, niby to z rozpędu, pocałował Angela – prosto między oczy, dokładnie tam, gdzie niedawno Wally ucałował jego. Zdążył przy tym pomyśleć, że to świetne miejsce do całowania Angela, bo bardzo lubił zapach włosów syna.

– Dobranoc. Kocham cię – powiedział Homer.

– I ja cię kocham. Dobranoc, tato – rzekł Angel. Homer wychodził już, kiedy syn zadał mu pytanie: – Co najbardziej kochasz na świecie?

– Ciebie – odparł Homer bez wahania. – Najbardziej na świecie kocham ciebie.

– A zaraz potem?

– Candy i Wally'ego – rzekł Homer, starając się z tych dwóch imion uczynić jedno.

– A po nich?

– Pewnie doktora Larcha i wszystkich w St. Cloud's – powiedział Homer Wells.

– A co uważasz za najlepszą rzecz, jaką zrobiłeś w życiu?

– To, że mam ciebie.  
– A zaraz potem? – drążył Angel.  
– To, że spotkałem Candy i Wally’ego.  
– Masz na myśli ten dzień, w którym ich spotkałeś? – Angel domagał się precyzji.

– Chyba tak.

– A dalej?

– Uratowałem życie pewnej kobiecie – powiedział Homer. – Doktora Larcha nie było w szpitalu, a ona miała drgawki.

– Wiem, mówiłeś mi – powiedział Angel. Nie interesowało go zbytnio to, że jego ojciec był wysoko kwalifikowanym asystentem doktora Larcha. O aborcjach Homer mu nie opowiadał. – No, co jeszcze? – niecierpliwił się syn Homera.

Powiedz mu teraz – namawiał Homera głos wewnętrzny – powiedz mu wszystko.

– Już chyba nic więcej – rzekł Homer do syna. – Nie jestem bohaterem. Nie dokonałem wielu nadzwyczajnych rzeczy; może nawet ani jednej.

– To nic nie szkodzi, tato – uśmiechnął się wesoło Angel. – Dobranoc.

– Dobranoc – powiedział Homer Wells.

Zszedł na dół. Nie umiał odgadnąć, czy Candy z Wallym są razem w sypialni, czy może tylko Wally się położył: drzwi ich pokoju były zamknięte, a przez szparę u dołu nie sączyło się światło. Ktoś zostawił za to zapalone światło w kuchni i na ganku, nad podjazdem. Homer udał się do kantorka targowiska z zamiarem przejrzania korespondencji. Był pewien, że Candy, widząc światło w kantorku, domyśli się, że on tam jest. A jeżeli Candy już poszła do tłoczni, to Homer pójdzie tam nie z domu, lecz z targowiska, zostawiając sprytnie lampę w kantorku zapaloną aż do swojego powrotu. Tym sposobem Wally – gdyby się obudził w nocy – uzna, że któreś z nich – albo Homer, albo Candy – pracuje jeszcze w kantorku.

Paczka z St. Cloud’s, dostarczona w dniu odwiedzin Melony, wystraszyła Homera tak, że właściwie wołał jej nie otwierać. Staruszek przysyła pewnie gruszki do lewatywy – pomyślał z niechęcią. Oczywiście, rozpakował przesyłkę: jakże się zdumiał znajdując w niej czarną skórzaną torbę lekarską, wymiętą ze starości, z mosiężnym zamkiem, który dawno zmatowiał jak sprzączka starego siodła – na żalonym tle tym dobitniej jaśniał złotem dumny monogram:



Homer Wells otworzył torbę i powąchał jej wnętrze. Spodziewał się ordynarnej, męskiej woni starej skóry – i poczuł ją, silnie jednak uperfumowaną niewieścim aromatem eteru. Homer Wells nagle instynktownie pojął ogólny zarys osobowości, w jaką doktor Larch ubrał fikcyjną postać Fuzzy’ego Stone’a.

Przypomniało mu się, jak Larch w zamroczeniu wziął go za Fuzzy’ego.

– Doktor Stone – powiedział na głos.

Nie chciał już wracać z torbą do domu, ale i nie chciał zostawiać jej w kantorku, bojąc się, że zapomni ją zabrać, kiedy wróci z tłoczni zgasić światło. Dobra torba lekarska ma to do siebie, że przyjemnie się ją nosi. Homer zabrał podarek Larcha z sobą do tłoczni win. Nie podobało mu się, że torba jest pusta, więc nazbierał do niej po drodze trochę grapsztynów i wczesnych mekintoszy. Skromny ładunek telepał się w przestronnym wnętrzu, zdradzając, że to wszystko tylko na niby.

– Doktor Stone – powtórzył Homer, brodząc w wysokich trawach, i mimo woli kiwając przy tym głową.

Candy czekała już na niego dobrą chwilę, kompletnie roztrzęsiona. Homer pomyślał, że gdyby było odwrotnie – gdyby to ona obstawała przy ujawnieniu prawdy – na pewno on tak samo by się teraz denerwował.

Z wielkim wzruszeniem i rozczuleniem zauważył, że Candy posłała jedno z łóżek. Do tłoczni już zniesiono pościel i koce dla brygady sezonowej, ale zwinięte materace oczekiwały lokatorów w nogach łóżek. Candy przygotowała łóżko stojące najdalej od kuchennych drzwi. Zapaliła też (wbrew przepisom) świecę przyniesioną z domu, dzięki której surowy barak stał się bardziej przytulny. Odkąd parę lat wcześniej ktoś z sezonowych wzniecił w baraku (nieduży na szczęście) pożar, Homer dopisywał do regulaminu paragraf o zakazie palenia świec.

**BARDZO PROSZĘ NIE PALIĆ PAPIEROSÓW W ŁÓŻKACH ANI ŚWIEC W CAŁYM POMIESZCZENIU!**

- tak brzmiał nowy punkt regulaminu.

Blask świecy był zbyt nikły, by dać się zauważyć z „domu z falbankami”.

Candy nie rozebrała się, ale siedziała na łóżku z rozpuszczonymi włosami. Szczotka do włosów, której przed chwilą używała, leżała na skrzynce po jabłkach, pełniącej rolę nocnego stolika. Ten zwyczajny, mały przedmiot był czymś tak swojskim i domowym, że Homer Wells, z czarną lekarską torbą w garści, zadrzał z

wrażenia i poczuł się jak bezradny doktor, wezwany na wizytę domową do pacjenta, którego dni są policzone.

– Przepraszam cię – odezwał się cicho Homer. – Próbowaliśmy, i ty, i ja, tak długo, ale ta metoda nie działa. Tylko prawda może uzdrowić sytuację.

Głos mu się łamał od patetycznego stylu przemowy.

Candy trzymała kolana razem, dłonie na kolanach, i trzęsła się lekko na całym ciele.

– Nie sądzisz, że Angel jest za młody, aby się dowiedzieć? – szepnęła, jakby sala, po której biegał kapryśny blask świecy, pełna była śpiących ludzi.

– Jeżeli nie jest za młody na masturbację, jeżeli wie, do czego służy kino dla zmotoryzowanych, to i na to nie jest za młody – powiedział Homer Wells.

– Nie bądź wulgarny – skarciła go Candy.

– Przepraszam – powiedział, już po raz drugi w tej rozmowie.

– W czasie zbiorów jest zawsze tyle roboty... – Candy skubała białą, letnią sukienkę (na której nie było ani paproszka). Homerowi przypomniało się, że taki sam zwyczaj miał Senior Worthington, z tym że u Seniora był to objaw choroby Alzheimera, którego nazwy zapomniał doktor Larch. Homer sam w tej chwili nie pamiętał, jak neurologicy nazywają ten konkretny symptom.

– W takim razie powiemy im po zbiorach – powiedział. – Czekaliśmy piętnaście lat; możemy poczekać jeszcze sześć tygodni.

Candy położyła się sztywno na wąskim łóżku, jak mała dziewczynka, która ma pierwszy raz zasnąć w obcym domu, w obcym kraju, i czeka, aż ktoś otuli ją kołderką i pocałuje na dobranoc. Homer zbliżył się i przysiadł niepewnie na samym skraju pryczy. Candy położyła rękę na jego kolanie. Przykrył jej dłoń swoją dłonią.

– Och, Homerze – westchnęła. Lecz Homer patrzył gdzieś w bok. Candy wsunęła jego dłoń pod sukienkę: nie miała nic pod spodem. Homer nie cofnął ręki, ale trzymał ją na podbrzuszu Candy nieruchomo jak ciężki przedmiot. – Co teraz? – spytała chłodnym tonem, jakby urażona martwością jego dłoni.

– Nie wiem – odparł.

– Wally wyrzuci mnie z domu. – Zabrzmiało to jak okrutne stwierdzenie faktu, bez cienia litości nad sobą.

– Nie wyrzuci. A jeśli nawet, to ja cię nie wyrzucę. Zostaniesz ze mną.

– A co zrobi Angel? – szepnęła Candy.

– Co zechce – odrzekł Homer. – Przypuszczam, że czasami zechce być z tobą, a czasami ze mną.

Trudno mu było o tym mówić, a jeszcze trudniej – wyobrazić to sobie.

– Znienawidzi mnie.

– Na pewno nie – rzekł Homer Wells.

Candy przeniosła jego martwą dłoń z powrotem na kolano. Po chwili znów oparła tam rękę, którą Homer lekko ujął za przegub, jakby jej badał puls. U stóp Homera rozsiadła się nieforemna, rozepchana jabłkami torba lekarska – jak skulony, przyczajony kocur. W migotliwym blasku świecy ona jedna pasowała do tego pomieszczenia – pasowałyby do każdego pomieszczenia. Ta torba lekarska wszędzie była u siebie w domu.

– Dokąd ty pójdziesz? – spytała nagle Candy.

– A będę musiał?

– Tak sądzę.

Homer Wells próbował wyobrazić to sobie, gdy nagle usłyszał samochód. Candy też go musiała usłyszeć, bo zerwała się z poduszki i zdmuchnęła świecę. Przytuleni, siedzieli na łóżku i słuchali coraz bliższego odgłosu samochodu.

Auto musiało być stare i dość zdezelowane: warczało i czymś pobrzękiwało metalicznie – pewnie oberwaną rurą wydechową. O tym, że jest ciężkie i nisko zawieszone, przekonał Candy i Homera zgrzyt podwozia o wzniesienie między koleinami drogi prowadzącej przez sad. Kierowca musiał jednak znać drogę, bo jechał bez świateł – dlatego nie zauważyli go wcześniej.

Candy pospiesznie ściągnęła pościel z łóżka – po ciemku nie mogła złożyć koców i prześcieradeł jak należy – a Homer pomógł jej zwinąć materac.

– To Wally! – szepnęła Candy ze zgrozą. Rzeczywiście, auto było podobne do cadillaca, który po śmierci Raya Kendalla przestał być wymuskaną limuzyną. Homerowi zaraz się przypomniało, że tłumik cadillaca był od dawna obluzowany, a przerabiany silnik domagał się remontu zaworów. No i ze swoim niskim zawieszeniem nie był to pojazd odpowiedni do jazdy terenowej po sadach.

Tylko jak Wally zdołał uruchomić cadillaca? – zdumiał się Homer Wells. Musiałby przede wszystkim doczołgać się do niego, bo Homer osobiście zaparkował wóz za tą stodołą, do której prowadziła wyboista i pełna kamieni droga, nieprzejezdna dla wózka inwalidzkiego.

– Może to jakiś miejscowy amator przygód – szepnął Homer. Okoliczni kochankowie dobrze znali drogę do sadu i tłoczni win Worthingtonów.

Ciężki samochód zajechał pod sam barak tłoczni. Candy i Homer poczuli miękkie uderzenie przedniego zderzaka o ścianę.

– To Wally! – wyszeptała Candy, bo kto z miejscowych odważyłby się podjechać tak blisko? Po wyłączeniu stacyjki silnik wozu buksował jeszcze przez chwilę. W końcu ustał, z charakterystycznym śpiewnym brzękiem silników wielkich pojazdów.

Homer przestał obejmować Candy. Ruszył ku drzwiom, ale potknął się o torbę lekarską. Candy złapała go za ubranie i pociągnęła z powrotem.

– Nie mogę pozwolić, żeby się wczołgał tu do środka – perswadował jej Homer. Candy jednak za nic nie chciała ruszyć się z ciemnego kąta.

Homer, z lekarską torbą w ręku, przeszedł po omacku do kuchni i znalazł na ścianie wyłącznik światła; nim go dotknął, przejechał dłonią po świeżo wypisanym regulaminie tłoczni win. Już wcześniej słyszał otwieranie drzwi samochodu, ale dopiero teraz dotarły do niego głosy. Wstrzymał się z zapaleniem światła. No wiesz, Wally! Tak się nie robi – pomyślał, bo skoro słyhać było głosy, to znaczyło, że Wally przywiózł ze sobą Angela. To by wyjaśniało, jak dostał się do cadillaca: Angel podjechał pod dom. Rozumiejąc emocje, jakie musiały targać Wallym, Homer mimo wszystko był na niego zły o wciągnięcie w aferę Angela. Chociaż przecież Angel i tak jest wciągnięty – zmitygował się zaraz. (Zaświecili reflektory auta: żeby oświetlić sobie drogę do baraku?)

Nie tak wyobrażał sobie Homer moment wyjawienia prawdy. Ale jakie to teraz miało znaczenie? Homer Wells zapalił światło w kuchni. Oślepiło go w pierwszej chwili. Przemknęło mu przez myśl, że dla wchodzących z dworu będzie oświetlony jak choinka na Boże Narodzenie. Była w tym, uznał, swoista sprawiedliwość losu, że biały cadillac, który swego czasu wyratował go z St. Cloud's, po raz drugi przyjeżdża do niego – w pewnym sensie też na ratunek. Czekał oto przecież, z czarną torbą lekarską w ręce, gotowy wyznać prawdę – gotowy w końcu zażyć gorzką pigułkę.

Czekał w bezlitośnie jasnej kuchni i obskubywał rękaw z nie istniejących paprochów. Przypomniawszy sobie termin neurologiczny określający ten odruch: karfologia.

Zacisnął mocniej palce na uchwycie torby i wyjrzał w ciemność na dworze. Zrozumiał nagle, dokąd musi odejść. Zrozumiał, że nie przestał być tym, kim był zawsze: sierotą, której nikt nie adoptował. Udało mu się skraść trochę czasu z dala od sierocińca, ale tylko St. Cloud's miało do niego jakiegokolwiek prawa. Mężczyzna po czterdzieście powinien wiedzieć, gdzie jest jego miejsce.

Doktor Larch zaczął pisać kolejny list do prezydenta Trumana, gdy przypomniało mu się, że od paru lat prezydentem jest Eisenhower. Po śmierci Roosevelta jeszcze dość długo pisywał do niego, a zwłaszcza do Eleonory; Rooseveltowie nigdy nie odpisali. Harry Truman też nigdy nie odpisał. Larch nie był już pewien, czy wysyłał listy również do pani Truman i do córki prezydentostwa – jeśli nawet, to i na te nie otrzymał odpowiedzi.

Larch starał się pokonać przygnębienie związane z perspektywą napisania listu do Eisenhowera. Z trudem przypominał sobie, jak zaczął poprzedni list do niego: „Drogi Generale!” – dalej już nie pamiętał. Było tam coś o służbie medycznej w oddziałach pierwszej wojny światowej, co miało piszącego chytrym manewrem okrażenia naprowadzić na właściwy temat. Może lepiej napisać do pani Eisenhower? „Droga Mamciu!” – nie, to wyglądało groteskowo.

W ogóle, jaki sens? – zniechęcił się Wilbur Larch. Tylko głupek pisałby do Eisenhowera o aborcji. Wyszarpnął kartkę z maszyny i w nagłym błysku olśnienia uświadomił sobie, jak bardzo głowa prezydenta przypomina główkę noworodka.

Aha! – przypomniał sobie. Melony ma ankietę! Szkoda czasu na głupstwa. Zapowiedział siostrze Angeli, że wieczorem, kiedy dzieci już będą w łóżkach, zwołuje zebranie personelu.

Siostra Angela nie pamiętała, żeby w St. Cloud’s kiedykolwiek odbyło się jakieś zebranie, jeśli nie liczyć wyjątkowo niemiłej sesji z radą nadzorczą. Była więc pewna, że i tym razem rada jest w to zaangażowana.

– Ojej, zebranie! – przeraziła się siostra Edna i cały dzień chodziła zdenerwowana.

Pani Grogan też się przejęła. Co chwila dopytywała się o miejsce spotkania, jakby się bała, że je przegapi albo nie trafi.

– Jest tylko parę możliwości – uspokoiła ją siostra Karolina.

Wilbur Larch cały dzień przepracował w gabinecie siostry Angeli. W tym dniu nie było ani jednego porodu, a pacjentka, która zgłosiła się do aborcji, dostała łóżko na sali i zapewnienie, że zabieg odbędzie się nazajutrz. Wilbur Larch kategorycznie odmówił bowiem opuszczenia gabinetu siostry Angeli, nawet na obiad, nawet na podwieczorek – i nawet na „dzieło Boże”.

Dokonywał ostatecznej korekty i redakcji biografii Fuzzy’ego Stone’a – lekarza z powołania. Napisał też nekrolog Homera Wellsa: słabe serce nie zniosło trudów wiejskiego życia i wysokocholesterolowej diety. „Sierota jest wiecznie głodnym mięsożercą” – napisał Wilbur Larch.

Doktor Stone nie był typowym sierotą. „Zimny chudzielec” – tak scharakteryzował go doktor Larch. Nigdy w historii St. Cloud’s żadne z dzieci nie sprzeciwiło się doktorowi – a tu proszę: Fuzzy Stone szykuje się zadenuncjować swego dobroczyńcę! Nie dość, że krytykuje pogląd Larcha na kwestię aborcji, to jeszcze śmie go straszyć (i to nie raz!) powiadomieniem rady nadzorczej o charakterze zabiegów wykonywanych w szpitalu St. Cloud’s! Fuzzy Stone walczył o swoje racje z gorliwością misjonarza – Larch uznał bowiem, że najbezpieczniej będzie, jeśli młody doktor wyjedzie z praktyką gdzieś, gdzie rada go nie dosięgnie. Fuzzy działał więc w Azji, wśród dzieci umierających na czerwonkę. (Larch czytał niedawno w piśmie „The Lancet” artykuł o tym, że czerwonka zbiera na tamtym obszarze największe żniwo. Homer Wells, który nie wiedział jeszcze, że umarł na serce, też czytał ten artykuł.) Szczegóły dotyczące Birmy i Indii, które Fuzzy Stone zawierał w swojej agresywnej korespondencji, zapożyczył Wilbur Larch z relacji Homera o niesamowitych przeżyciach Wally’ego w tej części świata.

Larch miał za sobą ciężki dzień. Napisał między innymi (w imieniu różnych osób) do rady nadzorczej. Znacznie bardziej nęciła go teraz perspektywa eteru niż kolacji, chociaż rozsądek podpowiadał, że kolacja lepiej mu zrobi przed spotkaniem z roztrzęsioną trzódką personelu. Na dobranoc odczytał dziewczynkom tak krótki fragment *Jane Eyre*, że kiedy skończył, żadna jeszcze nie spała. Równie krótki odcinek *Dawida Copperfielda* przeczytał chłopcom: dwóch malców odważyło się wyrazić głośny protest.

– Bardzo mi przykro, ale dzisiaj nic więcej nie przydarzyło się Dawidowi Copperfieldowi – uciął dyskusję Larch. – Dawid miał nieciekawą dzień.

Czego nie mógł powiedzieć o sobie. Pani Grogan i pielęgniarki miały się o tym niebawem przekonać. Larch kazał im się stawić w gabinecie siostry Angeli, jakby najpewniej czuł się w swoich papierzyskach – wśród ponurych zapisków *Krótkiej historii St. Cloud’s*, piętrzących się na biurku i dookoła. Larch stanął jak na mównicy, wsparty o przepracowaną maszynę do pisania.

– Spokój! – uciszył rozgadane kobiety. – Spokój! – Tym słowem, jak sędziowskim młotkiem, przywołał słuchaczki do porządku. – Teraz uwaga: wyprzedzimy ich na przełęcz.

Siostra Edna zdziwiła się mile: czyżby Larch, podobnie jak ona sama, miał zwyczaj wymykać się chyłkiem na stację, do zawiadowcy, żeby obejrzeć western w telewizji? Roy Rogers podobał jej się bardziej niż Hopalong Cassidy – gdyby jeszcze

przestał śpiewać. Ale i tak jej ulubieńcem był Tom Mix. Wprost nie cierpiała Samotnego Jeźdźca – nie umiała jednak oprzeć się urokowi Tonto.

– Kogo będziemy wyprzedzać? – spytała bojowo siostra Karolina. – Pani! – wymierzył w nią palec doktor Larch. – Pani jest moim strzelcem wyborowym! Pani pociągnie za spust i odda pierwszy strzał!

Pani Grogan, która od dawna niepokoiła się stanem własnego umysłu, zadrżała o zdrowie zmysłów doktora Larcha. Zdaniem siostry Angeli, Larch już od dawna miał nierówno pod sufitem. Co do siostry Edny – ślepa miłość odbierała jej trzeźwość oceny. Siostrę Karolinę interesowały wyłącznie fakty.

– Chwileczkę – przerwała doktorowi. – Zaczniemy od początku. Do kogo mam strzelać?

– Pani mnie zadenuncjuje – pouczył ją spokojnie Larch. – Zakapuje pani mnie i całą resztę.

– Nie ma mowy! – obruszyła się siostra Karolina.

Wilbur Larch wyjaśnił im cierpliwie swój plan. Bardzo prosty – to znaczy, prosty i oczywisty dla człowieka, który strawił lata na jego opracowywaniu i realizacji. Za to ani prosty, ani oczywisty dla postronnych. Wilbur Larch musiał więc wolno, z detalami, wyłuszczyć paniom warunki zbawienia.

Przede wszystkim należało założyć, że Melony odpowie na ankietę, i to niekorzystnie dla nich. Nie dlatego (pospieszył Larch zapewnić panią Grogan, która już szykowała się do obrony Melony), że Melony miała im coś za złe, tylko dlatego, że była zła na cały świat.

– Urodziła się wściekła i taka pozostanie. Nawet jeżeli nie chce nam zrobić krzywdy, to któregoś dnia coś tak ją wkurzy, że ze złości wypełni ankietę. I napisze wszystko, co wie – dodał Larch – bo Melony ma różne wady, ale nie kłamie.

Dlatego zależało mu na tym, aby rada nadzorcza dowiedziała się od kogoś innego, a nie od Melony, że doktor Larch praktykuje aborcję. Była to ich jedyna deska ratunku. Najwłaściwszym materiałem na zdrajcę wydała się doktorowi siostra Karolina – jako młoda i stosunkowo nowa w sierocińcu. Miała odegrać w spektaklu rolę osoby, która długo (jednak nie za długo) walczyła z wyrzutami sumienia, aż w końcu jednak musiała im ulec i wyjawić publicznie dręczącą prawdę. Pani Grogan i obie siostry były, rzecz jasna, ofiarami terroru doktora – a jako takie nie ponosiły żadnej winy za niecny proceder, co siostra Karolina miała podkreślić w donosie. Ona sama zaś nastawiona była na podważanie i obalanie wszelkich autorytetów społecznych, więc nie dała się sterroryzować. Krytykowała postępowanie doktora

Larcha z punktu widzenia praw kobiet, twierdząc, że żaden lekarz nie ma prawa poniżyć żadnej pielęgniarki, a każda poniżana przez lekarza pielęgniarka ma święty moralny obowiązek zaskarżyć tyrana i publicznie obnażyć jego niegodziwość. Larch nie wątpił, że pani Goodhall spodoba się argument o moralnym obowiązku. Odnosił wrażenie, że kobieta ta kieruje się w życiu wyłącznie ślepą wiarą w słuszność własnego poczucia moralnego obowiązku wobec świata. Nieznośny balast rzekomego obowiązku, zdaniem Larcha, przytłaczał panią Goodhall, czyniąc ją zgorzkniałą, pozbawioną radości życia kobietą.

Siostra Edna i siostra Angela wsłuchiwały się w każde słowo doktora Larcha jak pisklęta, oczekujące w napięciu hasła rodziców do powrotu do gniazda. Wciągnęły głowy w ramiona, uniosły twarze, a usta, którymi bezwiednie formowały kształty słów Larcha, wyglądały jak małe ptasie dzióbki, rozwarte w nadziei na tłustego robaka.

Pani Grogan żałowała, że nie przyniosła robótki na drutach: jeżeli tak miały wyglądać zebrania personelu, to na następne się nie wybierała. Za to siostra Karolina, z natury bojowa i rozpolitykowana, zaczęła nagle pojmować śmiały plan strategiczny doktora Larcha: od chwili, w której zrozumiała, że rada nadzorcza to jej wróg, chłonęła pilnie każde słowo wodza. Szykował rewoltę – a wszelka rewolucja była bliska sercu siostry Karoliny.

– Poza tym musi siostra odzyskać parę punktów u prawicowców z rady – mówił Larch. – Mają siostrę za „różową”, więc teraz przefarbuje się siostra na chrześcijankę. Jak dobrze pójdzie, nie tylko siostrę przeproszą, ale i awansują na szefową całego interesu.

A siostra... – wskazał na siostrę Angelę.

– Ja? – przeraziła się siostra Angela; Larch wiedział jednak, że właśnie ona jest idealną kandydatką do zgłoszenia rekomendacji Fuzzy’ego Stone’a. Po pierwsze, nadała mu imię i nazwisko. A w debacie sumień między Fuzzym a doktorem Larchem zawsze miała ochotę stanąć po stronie Fuzzy’ego, nie starczyło jej tylko odwagi – były na to dowody w listach młodego doktora Stone’a. Przecież Fuzzy wszystkich ich dobrze znał i kochał, wiedział, co kto myśli, a jego poglądy (na aborcję) były zawsze bliskie poglądom siostry Angeli.

– Naprawdę? – zdumiała się wielce siostra Angela. – Przecież ja jestem za aborcją!

– Wiem o tym! – zniecierpliwiał się Larch. – I właśnie dlatego, jeśli zależy siostrze na dalszym przeprowadzaniu aborcji w St. Cloud’s, musi siostra udać, że jest przeciw. Najlepiej wszystkie tak udawajcie.



– A co ja mam udawać, Wilburze? – upomniała się siostra Edna.

– Że nareszcie ma siostra czyste sumienie, odkąd mnie przyłapali – przydzielił jej rolę doktor Larch. Miała głośno wyrażać nadzieję, że gdy Fuzzy Stone wróci, sumienie pozwoli jej nareszcie zasnąć, a pani Grogan może przestanie być taką dewotką i stale się modlić, kiedy w St. Cloud's zagości nieskazitelnie uczciwy doktor Stone.

My wszystkie wprost uwielbiamy doktora Larcha – miała wyznać radzie siostra Angela. Biedny staruszek, tak święcie wierzy w sens tego, co robi – tak pragnie służyć ludziom. Jego ofiarność wobec sierot nie zna granic. Tylko w tej jednej jedynej kwestii społecznej dał się zwieść i zszedł na manowce. Dla nas – miała się dalej żalić siostra Angela – był to straszny cios! O druzgocących skutkach!

Oj, tak – przytaknęła w duchu siostra Edna, która zapomniała zamknąć usta i w rozmarzeniu kiwała głową z boku na bok. Bardziej niż kiedykolwiek czuła, że kocha Larcha. Jego ofiarność wobec sierot rzeczywiście nie znała granic: gotów był dla nich zrobić wszystko.

– Ale co z tobą będzie, Wilburze, kiedy cię wydamy? – zaniepokoiła się i mała łąza spłynęła z trudem zawiłymi meandrami zmarszczek po jej policzku.

– Mam blisko sto lat, moja Edno – odparł cicho Larch. – Pewnie pójdę na emeryturę.

– Ale nie wyjedzie pan, prawda? – przestraszyła się pani Grogan.

– Pewnie i tak bym daleko nie zajechał – rzekł Larch.

Jego historyjka o Fuzzym Stone'ie brzmiała nader wiarygodnie, zwłaszcza dzięki nagromadzeniu atrakcyjnych szczegółów; tylko siostra Karolina dostrzegła w niej lukę.

– A jeśli Homer Wells odmówi przyjazdu i odgrywania roli Fuzzy'ego Stone'a? – zgłosiła wątpliwość.

– Homer wie, że tu jest jego miejsce – wyrecytowała gładko i bez namysłu siostra Angela. Prawda ta – dla niej oczywista jak pogoda za oknem – dla Homera Wellsa była tygłem, w którym wypalało się całe jego życie.

– Ale on nie będzie przeprowadzał aborcji – przypomniała starym współpracownikom siostra Karolina. – Rozmawiał pan z nim ostatnio na ten temat? – zwróciła się do Larcha. – Bo ja tak, i to niedawno. On nie ma nic przeciwko temu, żeby pan je wykonywał; uważa nawet, że aborcja powinna być legalna, ale osobiście nie chce do niej przykładać ręki, bo czułby się jak morderca. Tak to podobno odczuwa. Tak mówi.

– Technikę ma prawie doskonałą – stwierdził na to Larch. Siostra Karolina nagle ujrzała, że ma przed sobą czworo dinozaurów – nie dość, że prehistorycznych, to jeszcze jakby z własnej woli za dużych na ten świat. Jak mała planeta miałaby wykarmić takie giganty? Niezbyt to była socjalistyczna myśl. Serce ścisnęło się siostrze Karolinie z żalości na widok tych dziwnych istot.

– Homer Wells uważa, że aborcja to zabicie człowieka – powtórzyła.

Mówiąc te słowa, nagle poczuła, że to ona jest winna głodzenia dinozaurów: olbrzymy były wychudzone i słabowite.

– Czy istnieje jakieś inne wyjście, czy też pozostaje nam jedynie czekać, co czas pokaże? – spytała po chwili. Odpowiedziało jej milczenie.

– „Panie! Wspieraj nas w każdej chwili dnia, aż cienie się wydłużą i nadejdzie wieczór...” – zaintonowała z cicha pani Grogan.

Larch przerwał jej brutalnie:

– Jeśli istnieje jakiegokolwiek inne wyjście, to na pewno nie jest nim modlitwa!

– Owszem, dla mnie modlitwa zawsze była i jest wyjściem z trudnych sytuacji – przeciwstawiła mu się mężnie pani Grogan.

– Więc proszę się dalej modlić dla siebie – poradził jej Larch.

Jął się powoli przemieszczać po ciasnym pokoju. Siostrze Angeli wręczył list, który napisał w jej imieniu do rady nadzorczej; siostrze Karolinie podał drugie pismo.

– Niech siostry tylko podpiszą – powiedział. – Mogą siostry naturalnie przeczytać, jak bardzo chcą.

– Pan przecież nie ma pewności, że Melony na pana doniesie – odezwała się pani Grogan.

– A co to ma do rzeczy? – spytał Larch. – Niech pani na mnie popatrzy: czy wyglądam na kogoś, kto ma dużo czasu? – Wszystkie oczy z zażenowaniem zwróciły się w bok. – Nie chcę, żeby mnie załatwiła Melony. Albo starość. Albo eter – dodał po chwili. Słyszając to, siostra Edna zakryła twarz dłońmi. – Wolę zaryzykować z Homerem Wellsem.

Siostry Angela i Karolina podpisały się pod listami. W kopercie z donosem siostry Angeli załączono próbki korespondencji między Wilburem Larchem a Fuzzym Stone'em. Z donosu wynikało, że pielęgniarki i pani Grogan poświęciły sprawie wiele uwagi i dyskusji. Tej nocy Wilbur Larch zdołał nareszcie zasnąć bez eteru.

Za to pani Grogan, która zwykle spała jak kamień, całą noc spędziła na modlitwie. Siostra Edna z kolei udała się na długi spacer po sadzie na wzgórzu. Zasadzony przez Homera sad rodził tak obficie, że chociaż wszyscy bez wyjątku

uczestniczyli w zbiorach, nie nadążali zrywać wszystkich jabłek. Siostra Karolina – jako, zdaniem ogółu, najbystrzejsza – otrzymała zadanie wyuczenia się na pamięć szczegółów życiorysu i drogi zawodowej szlachetnego doktora-misjonarza, Fuzzy’ego Stone’a: ktoś musiał być gotowy do udzielenia odpowiedzi na pytania, których rada nadzorcza (byli tego pewni) nie będzie im szczędziła. Choć taka jeszcze młoda i energiczna, siostra Karolina uległa w końcu zmęczeniu i postanowiła doczytać biografię Fuzzy’ego w łóżku, gdzie jednak sen ją zmorzył, zanim doszła do czerwonej dziecięcej w Azji.

Dyżur nocny pełniła siostra Angela. Pacjentce oczekującej na aborcję podała środek uspokajający; pacjentce oczekującej na poród – szklankę wody; jednego malucha otuliła kołderką, spod której wyrwał go zapewne koszmarne sen, bo leżał na pościeli z nogami na poduszce. Ponieważ doktor Larch był zbyt zmęczony, żeby jak zwykle ucałować chłopców na dobranoc – siostra Angela spełniła rytuał za niego (a trochę i dla własnej przyjemności). Całując ostatniego, poczuła tak straszny ból w krzyżu, że zmuszona była przysiąść na wolnym łóżku. Siedziała, wsłuchując się w oddechy chłopców. Wspominała przy tym małego Homera, rytm jego oddechu, pozy, jakie przybierał we śnie. Wspomnienia te kojąco działały na siostrę Angelę. Mając do wyboru starość, eter, Melony i ryzyko Homera, też na pewno wybrałaby to ostatnie.

– Wróć do domu, Homerze – szepnęła cichutko. – Proszę cię, wróć do domu.

Siostrze Angeli najwyżej parę razy w całej karierze zdarzyło się zasnąć na nocnym dyżurze, ale nigdy jeszcze w sypialni chłopców. Chłopcy niezmiernie się zdziwili, znalazłszy ją tam rankiem. Siostra Angela obudziła się, bo zaczęli po niej łązić. Potem długo musiała tłumaczyć, szczególnie najmłodszemu, że spała w ich sali przez przypadek i że to wcale nie oznacza jakiegóż nadzwyczajnej zmiany w całym ich życiu. Mówiąc to, miała nadzieję, że nie kłamie. Jeden malec, z natury nieufny, odniósł się do jej wyjaśnień szczególnie podejrzliwie: chłopczyk ów wierzył w „leśne stwory”, demony, które, jego zdaniem, minionej nocy zamieniły siostrę Angelę w sierotę.

– Jak zaśniesz, kora zarośnie ci oczy – zapowiedział jej.

– Nie daj Boże! – zawołała siostra Angela.

– Tak będzie – oświadczył malec z powagą. – I wtedy tylko drzewa będą cię mogły adoptować.

– Nie pleć bzdur – skarciła go siostra Angela. – Drzewa to drzewa, a kora jest ładna.

– Niektóre drzewa były kiedyś ludźmi – rzekł chłopczyk z głębokim przekonaniem. – Sierotami – dodał.

– Skąd znowu, kochanie! Na pewno nie! – zapewniła go siostra Angela, biorąc na kolana.

Chociaż godzina była bardzo wczesna, siostrę Angelę dobiegł odgłos maszyny do pisania: Larchowi najwyraźniej coś się przypomniało. Malec na jej kolanach zadrżał: też usłyszał maszynę doktora.

– Słyszysz? – szepnął ze zgrozą.

– Maszynę do pisania? – spytała siostra Angela.

– Co?

– Pan doktor pisze na maszynie – wytłumaczyła mu. Ale nie uwierzył jej.

– Nie, to kora stuka – pokręcił głową. – Kora dostaje się do domu w nocy i rano.

Nie zważając na ból kręgosłupa, siostra Angela wzięła małego na ręce i zaniósła do swojego gabinetu, żeby przekonał się, że słyszy tylko doktora Larcha piszącego na maszynie. Larch w szale twórczym wyglądał jednak bodaj czy nie straszniej niż ludzie-drzewa z koszmarów chłopczyka.

– No widzisz? – spytała wesoło siostra Angela. – To jest maszyna do pisania, a to pan doktor Larch. – Larch wykrzywił się dziko, zły, że mu przeszkadzają, i wymamrotał coś niezrozumiale. – Znasz przecież doktora Larcha, prawda?

Dziecko nie miało już żadnych wątpliwości. Zarzuciło siostrze Angeli ramionka na szyję, a po chwili, bardzo ostrożnie, wyciągnęło jedną łapkę w stronę maszyny do pisania i doktora Larcha.

– Leśny potwór! – wyszeptało ze zgrozą.

W tym liście, adresowanym do Homera Wellsa, Larch przybrał ton skrajnie dydaktyczny: szczegółowo wyłożył Homerowi całą intrygę. Nie błagał o pomoc. Nie stwierdzał, że praca Fuzzy’ego Stone’a jest znacznie bardziej ważka od pracy Homera. Nie użył argumentu, że Homer Wells też udaje kogoś, kto nie istnieje – całkiem jak Fuzzy Stone. Wyraził tylko pewność, że Angel uszanuje poświęcenie ojca – „Uszanuje Twoją chęć niesienia pomocy” – napisał Wilbur Larch.

„Młodym ludziom niezmiernie imponuje podejmowanie ryzyka. Widzą w tym bohaterstwo” – pisał dalej. „Gdyby aborcja była prawnie dozwolona, mógłbyś – a nawet, uwzględniając Twoje przekonania, musiałbyś – mi odmówić. Jak jednak

możesz odmówić w sytuacji, gdy jest to nadal zabieg nielegalny? Jak możesz pozwolić sobie na luksus wyboru, wiedząc, jak wielu osobom zabrania się swobody podejmowania decyzji? Te kobiety nie mają wyboru. Wiem, że potępiasz zakaz, ale to mało: jak możesz właśnie Ty, wiedząc to wszystko, co wiesz, DOBROWOLNIE WYRZEKAĆ SIĘ NIESIENIA POMOCY OSOBOM, KTÓRYM ZABRONIONO KORZYSTAĆ Z INNYCH FORM POMOCY? Musisz udzielać im pomocy, bo wiesz, jak to robić. Pomyśl, do kogo się zwrócą, jeśli Ty im odmówisz.”

Wilbur Larch był już tak śmiertelnie zmęczony, że gdyby w tej chwili zasnął, na pewno kora zarosłaby mu oczy.

„Tkwisz w pułapce” – pisał jednak dalej. „I to nie ja Cię w tej pułapce zamknąłem. Ponieważ aborcja jest niezgodna z prawem, kobiety, które muszą lub chcą się do niej uciec, nie mają żadnego wyboru; z tego samego powodu Ty, który potrafisz wykonać zabieg, też nie masz wyboru. Zakaz aborcji gwałci Twoje prawo wyboru na równi z prawem kobiet do samostanowienia. Gdyby aborcja była legalna – każda kobieta miałaby wolny wybór, i Ty też. Mógłbyś odmówić, wiedząc, że zabieg wykona ktoś inny. Ponieważ tak nie jest, tkwisz w pułapce. Razem ze wszystkimi kobietami. Kobiety są ofiarami prawa, i Ty też.”

„Ty jesteś moim dziełem sztuki” – wyznał Homerowi na piśmie Wilbur Larch. „Reszta to rzemiosło. Nie wiem, czy nosisz w sobie wielkie dzieło, ale znam Twoje powołanie i Ty też je znasz. Jesteś lekarzem.”

Wysłał list do Homera tą samą pocztą, którą donos i „dowody” powędrowały do rady nadzorczej. Siostra Karolina nie tylko osobiście zaniósła listy na stację, ale dopilnowała ładowania worków pocztowych do wagonu. Gdy pociąg odjechał, zauważyła zdezorientowaną młodą kobietę, która wysiadła na złą stronę torów i stała tam bezradnie, nie wiedząc, co począć. Zawiadowca oglądał telewizję i nie udzielał informacji. Siostra Karolina zagadnęła biedaczkę, czy nie szuka przypadkiem sierocińca – oczywiście, szukała. Nie mogąc albo nie chcąc mówić, kiwnęła tylko głową i podreptała pod górkę za siostrą Karoliną.

Doktor Larch kończył właśnie zabieg u pacjentki, która przybyła do St. Cloud's poprzedniego dnia i przespalała noc w szpitalu.

– Przepraszam, że musiała pani czekać. Mam nadzieję, że dobrze się spało – nawiązał konwersację.

– Tak, dziękuję – odparła pacjentka. – Wszyscy są tutaj bardzo mili, nawet dzieci, z tego, co widziałam.

Dlaczego nawet dzieci? – zdziwił się w duchu doktor Larch. Czemu by dzieci nie miały być miłe? Uzmysłowił sobie, że bardzo mało wie o tym, jak postronni widzą St. Cloud's.

Szedł właśnie do pokoju zabiegowego trochę się odprężyć, gdy siostra Karolina przedstawiła mu nową pacjentkę. Młoda kobieta w dalszym ciągu nic nie chciała powiedzieć, co trochę zraziło do niej Larcha.

– Na pewno jest pani w ciąży? – spytał. Kiwnęła głową. – Drugi miesiąc? – Tym razem pokręciła głową przecząco i podniosła w górę trzy palce. – Trzeci miesiąc – przetłumaczył jej gest doktor Larch. Dziewczyna wzruszyła ramionami i uniosła cztery palce. – Może czwarty? – Podniosła rozwartą dłoń. – Pani jest w piątym miesiącu ciąży? – zaniepokoił się Larch. W odpowiedzi ujrzał sześć palców. – Albo w szóstym? – Wzruszyła ramionami. – Ale czy ma pani absolutną pewność, że jest w ciąży? – zaczął od nowa Larch. Pokiwała głową. – I nie ma pani pojęcia, od jak dawna? – pytał dalej. Tymczasem siostra Karolina pomagała się pacjentce rozebrać. Dziewczyna była tak niedożywiona, że doktor i pielęgniarka na pierwszy rzut oka poznali ciążę o wiele bardziej zaawansowaną, niż początkowo sądzili. Larch zbadał pacjentkę. Na każde dotknięcie reagowała gwałtownym drżeniem. Miała silną gorączkę. – To może być siódmy miesiąc – zawyrokował Larch. – O wiele za późno. – Dziewczyna zaprzeczyła ruchem głowy.

Larch chciał ją zbadać dokładniej. Siostra Karolina z największym trudem nakłoniła pacjentkę do przyjęcia właściwej pozycji na łóżku ginekologicznym. W czasie gdy siostra Karolina mierzyła jej temperaturę, doktor Larch musiał poprzestać na obmacywaniu bardzo napiętego brzucha. Na każde dotknięcie młoda kobieta wstrzymywała oddech.

– Próbowala pani sama coś sobie robić? – zapytał ją łagodnie doktor Larch. – Zrobiła sobie pani krzywdę? – Dziewczyna zamarła. – Dlaczego pani nic nie mówi? – Pokręciła głową. – Jest pani niemową? – Znow pokręciła głową. – Ktoś panią skrzywdził? – Wzruszyła ramionami.

Siostrze Karolinie udało się wreszcie umieścić jej stopy w strzemionach łóżka.

– Zajrzę teraz do środka. To jest wziernik – powiedział Larch, pokazując wziernik pacjentce. – Może być zimny w dotyku, ale nie sprawi bólu. – Dziewczyna pokręciła odmownie głową. – Proszę się nie bać. Nic pani nie zrobię. Tylko popatrzę.

– Temperatura czterdzieści jeden stopni – szepnęła mu na ucho siostra Karolina.

– Będzie mniej nieprzyjemnie, jeśli się pani rozluźni – Larch poczuł silny opór badanej przeciwko wziernikowi. Kiedy nachylił się do badania, kobieta przemówiła.

– To nie ja. Sama bym sobie tego nie napchała do środka.

– Napchała? – powtórzył Larch. – Co takiego? – Nagle poczuł, że musi to koniecznie wiedzieć, zanim spojrzy we wziernik.

– To nie ja. Ja bym tego nie zrobiła.

Larch nachylił się do wziernika tak blisko, że musiał wstrzymać oddech. Gdyby teraz zaczerpnął powietrza albo przełknął ślinę, udławiłby się smrodem infekcji i zgnilizny. Mniej wprawne i odporne na ohydę oko ośleploby od żywych barw zakażenia, porażających nawet przez zasłonę wydzieliny. Wilbur Larch musiał w końcu zacząć oddychać, wolno i regularnie: tylko w ten sposób mógł zachować pewność ręki. Z bliską podziwu zgrozą obserwował zaognioną tkankę: ten żywy, wściekły żar mógłby cały świat postawić w płomieniach. Teraz rozumiesz, Homerze? – pomyślał Larch. Żar z wziernika buchał mu prosto w oko.

## 11. Łamanie reguł

Melony jeszcze tego samego dnia – też autostopem – wróciła do Bath z Sadów Z Widokiem Na Ocean. Odechciało jej się zbierać jabłka. Wróciła, żeby zaplanować inne wakacje albo podjąć robotę w stoczni. Poszła do pizzerii, gdzie wszyscy zawsze się zbierali. Była tak przygnębiona, że Lorna zostawiła przy barze obwiesia, który jej towarzyszył, i przysiadła się do niej, do ogrodzonego ławami stolika.

– Widzę, że go znalazłaś – powiedziała.

– Zmienił się – odparła na to Melony i zrelacjonowała Lornie całą historię. – Nie o mnie chodzi, nie przez to czuję się tak podle – rzekła na koniec. – Przecież nie spodziewałam się, że wszystko rzuci i ucieknie ze mną, czy coś takiego. Chodzi o niego: miałam o nim lepsze wyobrażenie. Zawsze myślałam, że zostanie bohaterem. Głupio to brzmi, wiem, ale wyglądał mi na takiego, co ma zadatki na bohatera. Wyglądał na lepszego od innych. Ale to wszystko była lipa, pozory.

– Nie wiesz o wszystkim, co mu się przydarzyło – stwierdziła filozoficznie Lorna. Nie знаła, co prawda, Homera Wellsa, ale wszelkie skomplikowane układy męsko-damskie budziły w niej sympatię.

Jej aktualny układ męsko-damski, nicpoń imieniem Bob, zaczął się niecierpliwie długim czekaniem przy barze i podszedł w końcu do stolika, przy którym Lorna i Melony trzymały się za ręce.

– Problem z Homerem polega na tym, że on jest chłopem – podsumowała Melony. – Spotkałam w życiu tylko jednego gościa – miała na myśli doktora Larcha – którym nie rządził kutas. Ale ten był za to narkomanem; zażywał eter.

– No jak? Dalej jesteś ze mną czy wracasz do niej? – pytanie skierowane było wyraźnie do Lorny, ale Bob patrzył na Melony.

– Nic nie robimy, gadamy tylko, jak stare kumpelki – powiedziała Melony.

– Myślałem, że jesteś na wakacjach – skrzywił się Bob. – Pojechałabyś gdzieś, gdzie żyją kanibale.

– Idź spuść się w kubel – poradziła mu Melony. – Zesraj się i wyliz do czysta.

Wtedy Bob złamał jej rękę, bo trochę za mocno ją wykręcił. Zanim paru robotników zdołało go odciągnąć od Melony, złamał jej jeszcze nos o laminowany blat stołu.

Lorna zaprowadziła Melony do szpitala, gdzie założyli jej gips na rękę i nastawili nos (prawie prosto), a później poszły razem do żeńskiego hotelu



robotniczego, wyznając sobie po drodze, że tam właśnie jest ich wspólne miejsce. Lorna po trochu znosiła z powrotem swoje rzeczy, a Melony leczyła kontuzje. Obrzęk twarzy ustąpił po kilku dniach, a kręgi pod oczami w tydzień zmieniły barwę dwukrotnie: z czarnosinej na fioletowozieloną, a potem na żółtą – w końcu także zniknęły.

Melony leżała z poobijaną twarzą opartą na brzuchu Lorny. Lorna głaskała ją po głowie.

– Jak był mały – mówiła – miał w sobie jakąś taką niesamowitą odwagę; to się rzadko spotyka; nigdy nic by nie zrobił tylko dlatego, że ludzie tak robią. A teraz? Nie ten sam człowiek: dyma żonę kaleki, okłamuje dziecko.

– To obrzydliwe – przyznała Lorna. – Czemu nie machniesz na to wszystko ręką? – Ponieważ Melony milczała, Lorna zadała następne pytanie: – Dlaczego właściwie nie chcesz podać Boba do sądu?

– A jakby wyszło?

– Co proszę? – nie zrozumiała Lorna.

– Jakby go skazali i wywieźli do pierdła, nie wiadomo gdzie? To skąd bym wiedziała, gdzie go szukać, jak się wyliżę?

– No tak – powiedziała Lorna.

Homer Wells nie poznał głosu, który do niego przemówił zza porażającego blasku reflektorów.

– Co tam masz w tej torbie, Homer? – spytał Pan Rose. Po długiej jeździe przez oba stany Karolina stary samochód Pana Rose nie przestawał zgrzytać i krztusić się z przegrzania. – Miło widzieć, że nawet w nocy szykujesz dla mnie mieszkanie.

Nawet gdy Pan Rose wysunął się przed reflektory, Homer nie od razu wiedział, kto zacz: poznał go dopiero po ruchach – powolnych, lecz zdradzających potencjał niesamowitej szybkości.

– Pan Rose!

– Pan Wells – odpowiedział z uśmiechem Pan Rose. Podali sobie ręce. Serce Homera z wolna się uspokajało. Candy nadal chowała się w domu, ale Pan Rose wyczuł, że Homer nie jest sam. Zapuścił żurawia do wnętrza oświetlonej kuchni, i dalej, do ciemnej sypialni – ale w tej samej chwili Candy weszła w krąg światła z miną winowajczynie.

– Pani Worthington! – zawołał Pan Rose.

– Witam, Panie Rose – Candy z uśmiechem podała mu rękę. – No, to zdążyliśmy – zwróciła się do Homera, szturchając go pod żebro. – Przed chwilą wyłożyliśmy ostatnie koce i pościel.

Ale Pan Rose zauważył, że są bez samochodu – czyli że przyszedli do tłoczni na piechotę. Nieśli te wszystkie koce i bieliznę?

– Porozkładaliśmy je na pryzkach – uściśliła Candy, domyślając się jego wątpliwości.

Homer Wells pomyślał, że Pan Rose mógł, przejeżdżając obok kantorka, dostrzec światło w środku, więc na wszelki wypadek dodał:

– Byliśmy do późna zajęci w biurze i nagle przypomniało nam się, że tutaj cała pościel leży zwalona na kupę.

Pan Rose pokiwał ze zrozumieniem głową i uśmiechnął się. Nagle zapłakało dziecko. Candy aż podskoczyła.

– Pisałem do Wally’ego, że przywiozę córkę – rzekł Pan Rose, kiedy w blask reflektorów wkroczyła bardzo młoda kobieta – może w wieku Angela – z niemowlęciem w ramionach.

– Sama byłaś niewiele większa, kiedy cię ostatni raz widziałem – uśmiechnął się Homer do dziewczyny, która spojrzała na niego półprzytomnie: widocznie długa podróż z małym dzieckiem mocno dała jej się we znaki.

Pan Rose dokonał prezentacji:

– Moja córka. I jej córka. Pani Worthington. Homer Wells.

– Candy – powiedziała Candy, potrząsając dłonią córki Pana Rose.

– Homer – poszedł Homer za jej przykładem. Nie pamiętał, jak nazywa się dziewczyna, więc spytał. Córka Pana Rose, zdziwiona i skonsternowana, spojrzała na ojca, jakby go prosiła o pomoc.

– Rose – powiedział Pan Rose.

Wszyscy się roześmiali, również dziewczyna, a niemowlę przestało płakać i jęło wodzić zdumionymi oczkami po roześmianych twarzach.

– Ale ja pytałem o imię! – wyjaśnił Homer Wells.

– Rose. Mówię przecież – wzruszył ramionami Pan Rose.

– Rose Rose? – upewniła się Candy. Córka Pana Rose odpowiedziała jej dość niepewnym uśmiechem.

– Rose Rose! – potwierdził z dumą Pan Rose.

Znów roześmiali się chórem. Maleństwu poprawił się humor. Candy bawiła się paluszkami niemowlęcia.

– A ona, jak ma na imię? – spytała Candy.

Tym razem Rose Rose sama udzieliła odpowiedzi.

– Ona jeszcze nie ma imienia.

– Jeszcze się zastanawiamy – dodał Pan Rose.

– To bardzo mądrze – pochwalił Homer Wells, który wiedział, jak wiele jest na świecie imion przypadkowych, prowizorycznych albo – przykładami John Wilbur i Wilbur Larch – nadawanych bez fantazji, na jedno kopyto.

– W tłoczni nie ma odpowiednich warunków dla niemowlęcia – zwróciła się Candy do Rose Rose. – Wprowadź się lepiej do nas, do domu. Mam po małym sporo rzeczy, może coś sobie wybierzesz. Nawet kojec chyba jeszcze jest na strychu, co, Homer?

– Dziękujemy uprzejmie, nic nam nie trzeba – skłonił się z uśmiechem Pan Rose. – Może odwiedzi was innym razem.

– Chyba prześpię cały dzień do wieczora – oznajmiła wdzięcznie Rose Rose.

– Jeżeli chcesz, mogę zająć się małą – zaproponowała Candy. – Żebyś mogła odespać zaległości.

– Dziękujemy, nie trzeba – powtórzył Pan Rose. – Może innym razem. – Uśmiechnął się.

– Pomóc wam się rozpakować? – spytał Homer.

– Może nie dzisiaj – rzekł grzecznie Pan Rose. – Co tam masz w torbie, Homer? – zaciekawiał się ponownie, kiedy już powiedzieli sobie dobranoc i Candy z Homerem zbierali się do odejścia.

– Jabłka – powiedział Homer.

– E tam, nie wierzę – przekrzywił głowę Pan Rose.

Homer otworzył torbę i pokazał mu jabłka.

– Zostałeś specjalistą chorób jabłecznych? – spytał Pan Rose.

Homer Wells omal nie odpowiedział „Jasne!”

– On wie – rzekł Homer do Candy w drodze do kantorka.

– Oczywiście – odparła spokojnie. – Ale co z tego? Przecież to był ostatni raz.

– Pewnie nic – przyznał Homer.

– Skoro i tak chcesz powiedzieć prawdę Wally’emu i Angelowi, to można im równie dobrze powiedzieć całą prawdę.

– Po zbiorach – uzupełnił Homer. Wziął Candy za rękę, ale w pobliżu targowiska z oświetlonym kantorkiem rozdzielili się i każde wróciło do domu swoją drogą.

– Na co ta torba? – spytała Candy, zanim go pocałowała na dobranoc.

– Dostałem ją – rzekł Homer. – Myślę, że to dla mnie.

Zasnął, zastanawiając się nad ogromem władzy, jaką Pan Rose zdawał się sprawować nad swoim światem: rządził nawet terminem nadania imienia córce swojej córki (nie mówiąc, zapewne, o samym imieniu!). Homer obudził się o pierwszym brzasku. Z szufladki nocnego stolika wyjął pióro wieczne i, z patosem żaloby towarzyszącej rzeczom ostatecznym, pociągnął atramentem ostatnią liczbę wypisaną ołówkiem na odwrocie zdjęcia „Okazji” wraz z załogą. Pokrywał ciemnym atramentem linię ołówka i znajdował w nieodwracalności tego zabiegu swoiste pokrzepienie, które czerpiemy z jednoznacznych sytuacji: umowa spisana piórem zawsze wydaje się bardziej wiążąca niż spisana ołówkiem. Skąd mógł Homer wiedzieć, że Candy też nie śpi? Dokuczał jej żołądek, poszła więc do łazienki małżeńskiej poszukać jakiegoś lekarstwa. Skoro już tam była, również i ona pomyślała, że trzeba coś zrobić z rejestrem dwustu siedemdziesięciu intymnych spotkań z Homerem, licząc od powrotu Wally’ego z wojny. Candy potraktowała sprawę znacznie mniej ceremonialnie niż Homer: zamiast potwierdzić przeszłość piórem, wzięła gumkę i wymazała dowody winy z odwrotnej strony fotografii przedstawiającej ją samą uczącą Homera pływać. Ledwie skończyła, żołądek przestał jej dokuczać, wróciła do sypialni i zasnęła bez kłopotu, nieco zdziwiona, że z takim spokojem myśli o końcu zbiorów, który będzie zarazem końcem jej dotychczasowego życia.

Homer Wells nawet nie próbował z powrotem usnąć: znał się za dobrze, żeby wiedzieć, że z bezsennością nie wygra. Sięgnął więc po „The New England Journal of Medicine” i przeczytał artykuł o stosowaniu antybiotyków w leczeniu. Sam od lat używał penicyliny i streptomycyny, ale o wspomnianych w artykule aureomycynie i terramycynie wiedział bardzo niewiele. Lektura przekonała go, że nie jest to trudny temat. Z zainteresowaniem dowiedział się o ograniczonym zastosowaniu neomycyny i odnotował w pamięci, że achromycyna to to samo co tetracyklina. Nazwę erytromycyny wypisał kilkakrotnie na marginesie artykułu, za każdym razem sprawdzając pisownię z tekstem. Tej metody osvajania się z nowymi terminami nauczył go doktor Larch.

„E-R-Y-T-H-R-O-M-Y-C-I-N” – wykaligrafował po raz kolejny Homer Wells, nazwany przez Pana Rose specjalistą chorób jablecznych. To też zapisał na marginesie. „Specjalista chorób jablecznych.” Zanim odłożył pismo i wstał z łóżka, dopisał jeszcze na tym samym marginesie: „Beduin z odzysku”.

Rankiem Candy posłała Angela do tłoczni z pytaniem, czy Rose Rose nie potrzebuje czegoś dla dziecka, i właśnie wtedy Angel się zakochał. Na ogół wstydził się dziewczynek w swoim wieku; co do chłopców, to rówieśnicy i starsi wyśmiewali się często z jego imienia. Był chyba jedynym Anielem w Maine. Właściwie jego największą przeszkodą w kontaktach z dziewczętami było to, że z góry peszył się na myśl o chwili, w której wymówi głośno swoje imię. Co ładniejsze i pewniejsze siebie dziewczyny z klasy, tak jak większość panien z Heart's Rock i Heart's Haven, oglądały się za starszymi chłopakami i na Angela nie zwracały uwagi. Podobał się na ogół brzydkim smutaskom, stale szepczącym coś po kątach z takimi samymi jak one brzydkimi smutaskami: plotkowały o sobie i o tym, co który chłopak powiedział do drugiego. Ile razy Angel odezwał się do takiej dziewczyny, mógł mieć pewność, że każde jego słowo rozniesie się drogą telefoniczną do wszystkich lekceważonych przez chłopaków koleżanek z klasy. Na drugi dzień wszystkie demonstracyjnie dąsały się na niego, jakby do każdej z osobna powiedział „coś głupiego”. Więc przestał się do nich odzywać. Ukradkiem obserwował koleżanki ze starszych klas: imponowały mu te, które najmniej rozmawiały z innymi dziewczynami. Wydawały mu się bardziej dojrzałe – przez co rozumiał, że pewnie robią rzeczy, o których się nie gada na przerwie z koleżankami.

W roku 195- dziewczyny w wieku Angela marzyły o romantycznych randkach; chłopców natomiast – jak w każdej epoce – obchodziły konkretne działania.

Córka Pana Rose zachwyciła Angela nie tylko egzotyczną urodą, ale także tym, że miała dziecko – a więc musiała już to robić.

W tłoczni win z rana zawsze panował chłód i wilgoć. Angel trafił na kąpiel Baby Rose: Rose Rose myła córeczkę w wiadrze wystawionym na dwór, na słońce. Malutka chlapała radośnie, Rose Rose mówiła coś do niej i nie zauważyła zbliżającego się Angela. Możliwe, że Angel – wychowany bardziej przez ojca niż przez matkę – miał instynktowną słabość do „syndromu Madonny”. Rose Rose była niewiele od niego starsza – może dwa, trzy lata; wydawała się zdecydowanie za młoda na matkę. Ale przy dziecku jej gesty, miny, a nawet ruchy i pozy, stawały się nagle dojrzałe jak u matrony. Była trochę wyższa od Angela. Twarz miała okrągłą, chłopięcą.

– Dzień dobry – odezwał się Angel, czym przestraszył Baby Rose. Rose Rose owinęła córeczkę w ręcznik i wstała.

– Ty pewnie jesteś Angel – rzekła z lekkim zawstydzeniem. Cieniutka blizna przecinała jej nozdrze i górną wargę – a także dziąsło, co Angel stwierdził, gdy Rose Rose uchyliła usta. Z czasem miał się dowiedzieć, że ostrze zatrzymało się na zębie

górną szczękę, trójce, którą Rose Rose przez to straciła i od tamtego czasu uśmiechała się półgębkiem. Od skaleczenia – wyjaśniła mu później Rose Rose – obumarł korzeń zęba i ząb po pewnym czasie sam wypadł. Ale przy pierwszym spotkaniu Rose Rose wywarła na Angelu tak oszałamiające wrażenie, że nawet blizna – jedyna widoczna skaza na jej urodzie – wydała mu się piękna.

– Przyszedłem spytać, czy nie potrzeba ci czegoś dla dziecka – rzekł Angel.

– Chyba ząbkuje – powiedziała Rose Rose. – Trochę dzisiaj marudzi.

Z baraku tłoczni wyszedł Pan Rose. Widząc Angela, pomachał ręką i uśmiechnął się, a podszedłszy bliżej, objął chłopca za ramię.

– Jak się masz? – zagadnął. – Rośniesz i rośniesz. Nosilem go kiedyś na barana – zwrócił się do córki. – Zrywał mi jabłka, których sam nie mogłem dosięgnąć.

Wymierzył Angelowi przyjacielskiego kuksańca w ramię.

– Liczę na to, że jeszcze trochę urosnę – powiedział Angel, bo bardzo nie chciał, żeby Rose Rose pomyślała, że przestał rosnać. Zapewniał ją tym niejako, że będzie kiedyś wyższy od niej.

Żałował, że przyszedł bez koszuli – nie wstydził się swego torsu, był nieźle umięśniony, uważał jednak, że koszula dodaje mężczyźnie powagi. Zaraz jednak pomyślał, że Rose Rose może spodobać się jego opalenizna, więc problem koszuli przestał go nurtować. Wsadził ręce w kieszenie dżinsów i pożałował tylko, że nie ma na głowie czapki baseballowej z napisem Boston Red Sox. Codziennie walczył o nią z Candy: jeżeli nie udało mu się złapać czapki z samego rana, Candy nosiła ją przez cały dzień. Od dawna obiecywali sobie kupić drugą taką czapkę na lato. Właściwie to Candy była ją winna Angelowi, gdyż przyznała się, że to ona rozdarła jedną dziurkę wentylacyjną, przeciskając przez nią ołówkę.

Podczas zbiorów Candy sprawowała rolę ekonoma i nie rozstawiała się z ołówkiem. Tego roku ekonomem był również Angel, już po raz drugi z rzędu; po raz drugi też wywoził traktorem z sadu uzbierane jabłka.

Dowiedziawszy się od Angela, że córeczka Rose Rose ząbkuje, Homer natychmiast znalazł na to radę. Wysłał Angela (z Wallym) do miasta po zapas smoczków i butelkę burbona. Wally od czasu do czasu lubił wypić odrobinę whisky; odlali ile trzeba z napełnionej w trzech czwartych butelki i Homer wytłumaczył Angelowi, jak należy zwilżać alkoholem dziąsła małej.

– To znieczuli dziąsła – pouczył Angel Rose Rose. Zanurzył palec w whisky i wsunął delikatny opuszek w małe usta Baby Rose. W pierwszej chwili, widząc, jak oczka małej otwierają się szeroko i zachodzą łzami, Angel zląkł się, że

dławi ją opar burbona – ale w tej samej chwili Baby Rose zaczęła z entuzjazmem cmoktać jego palec, a gdy go cofnęła, żeby powtórnie zanurzyć w alkoholu – dziecko rozplakało się żałośnie.

– Tylko mi jej nie upij – ostrzegła go Rose Rose.

– Nie ma obawy. Usypiam tylko jej dziąsła – zapewnił ją Angel.

Rose Rose obejrzała smoczki: były podobne do tych, które nakłada się na butelkę do karmienia, tylko z węższym ujściem, zakończonym plastikowym kółkiem, zbyt dużym, żeby dziecko mogło je połknąć. Smoczki z butelek – wytłumaczył jej Angel Wells – nie nadają się do tego celu, gdyż dziecko ssałoby przez nie powietrze, a połykanie powietrza powoduje czkawkę i kolki gazowe.

– Skąd ty się na tym znasz? – zdziwiła się Rose Rose. – Ile masz lat?

– Prawie szesnaście. A ty?

– Mniej więcej tyle samo.

Po południu Angel znów zajrzał do tłoczni, ciekaw, jak przebiega ząbkowanie Baby Rose. Okazało się, że nie tylko maleństwo polubiło smoczek. Na dachu tłoczni siedział Pan Rose i Angel z daleka zobaczył (bo błękitny krążek odcinał się wyraziście od każdego tła), że trzyma w ustach jeden ze smoczków Baby Rose.

– Ząbkujemy? – zawołał do niego z dołu Angel. Pan Rose, jak zwykle powolnym gestem, wyjął smoczek z ust i odpowiedział:

– Ograniczam palenie. Jak z tym chodzę, nie tęsknię za papierosem.

Już z powrotem ze smoczkiem w ustach uśmiechnął się szeroko do Angela.

W tłoczni Baby Rose usnęła ze smokiem w buzi, a Rose Rose, naga od pasa w górę, myła włosy nad kuchennym zlewem. Angel zaszedł ją chyłkiem. Była tak pochylona, że nie mógł zobaczyć jej piersi.

– To ty? – spytała nie odwracając się. Nie wpadła w panikę i nie zaczęła się zasłaniać. Trudno było odgadnąć, kogo miała na myśli zadając pytanie.

– Przepraszam, że nie zapukałem – Angel cofnął się na dwór. Dopiero wtedy Rose Rose skoczyła jak oparzona i błyskawicznie zasłoniła piersi. Głowę miała całą w pianie. Widocznie przedtem myślała, że to tylko ojciec.

– Przyszedłem sprawdzić, co z małą – tłumaczył się Angel.

– Wszystko w porządku. Dobry z ciebie doktor. Uratowałeś mi życie, na dzisiaj – Rose Rose podziękowała Homerowi swoim połowicznym uśmiechem.

Biała piana szamponu spływała po jej szyi, dekolcie i ramionach, którymi przyciskała ręcznik zasłaniający biust. Angel cofał się i cofał, aż wpadł na stary samochód Pana Rose, zaparkowany tak blisko baraku, że wyglądał na jego niezbędną

podporę. Usłyszał kamyk toczący się po dachu, raczej mały kamyk, kiedy jednak dostał nim w głowę, to chociaż udało mu się tego dnia zaanektować czapkę, którą nosił tyłem do przodu – zabolalo solidnie. Angel spojrzal w góre na Pana Rose, który tak precyzyjnie wymierzył atak.

– Mam cię! – uśmiechnął się Pan Rose.

Lecz tak naprawdę miała go Rose Rose. Angel szedł półprzytomny przez targowisko do „domu z falbankami”, jakby dostał nie małym kamykiem, a obuchem w głowę.

Kto jest ojcem jej dziecka? – myślał po drodze. Gdzie się podziewa? Dlaczego nie ma pani Rose? Czy Pan Rose i jego córka nie mają więcej rodziny?

Angel udał się do swojego pokoju i zaczął spisywać listę imion żeńskich. Wypisał te, które mu się podobały, ze słownika imion i uzupełnił spis z głowy. Pragnął zaimponować dziewczynie, która nie umiała wymyślić imienia dla własnego dziecka.

Jakże przydałby się taki Angel w St. Cloud's, gdzie z nadawaniem imion i nazwisk sierotom było coraz gorzej! Siostra Karolina wprowadziła, co prawda, pewien nowy styl – miał on jednak silne konotacje polityczne i nie bardzo przypadł do gustu reszcie personelu. Siostra Karolina lansowała bowiem imiona: Karl (na cześć Marksa), Eugene (na cześć Debsa) i Friedrich (na cześć Engelsa). Ponieważ na to ostatnie nikt nie chciał się zgodzić, skróciła je do Fred (co z kolei jej samej się nie podobało). Siostrze Angeli nie odpowiadało imię Norman (na cześć Thomasa) – zaliczała je do tego samego gatunku co Wilbur. Trudno jednak przewidzieć, czy znajdowanie imion nie przestałoby bawić Angela Wellsa, gdyby stało się jego codziennym obowiązkiem. Co prawda, bardzo serio potraktował misję zdobycia imienia dla córeczki Rose Rose – ale takie odruchy poświęcenia są typowe dla pierwszej wielkiej miłości młodego chłopca.

Abby? – próbował Angel Wells. Alberta? Aleksandra? Amanda? Amelia? Antonina? Audrey? Aurora?

– Aurora Rose – wyrzekł głośno, na próbę. – A fe!

Przeszedł do następnej litery alfabetu. Blizna na twarzy jego ukochanej była taka cieniutka, taka subtelna – wydawało się Angelowi, że zniknie od jednego pocałunku. Wertował imiona na B:

Betseba? Beatrycze? Berenika? Bianka? Bridget?



Z innym zgoła problemem borykał się doktor Larch. Kobieta, która zmarła, przybyła do szpitala bez jakiegokolwiek dokumentu tożsamości. Przyniosła tylko ostre zakażenie, smrodliwą wydzielinę, martwy płód, który nie dał się wygnąć z łona, i parę przedmiotów, które ktoś – a może jednak ona sama – wepchnął w nią w nadziei spowodowania aborcji. Poza tym drobiazgi: przebicie łóżyska, rekordową gorączkę i ostry stan zapalny otrzewnej. Zgłosiła się stanowczo za późno na skuteczną pomoc – a jednak Larch miał do siebie pretensje.

– Przyszła tu żywa – mówił do siostry Karoliny. – Co ze mnie za lekarz?

– Więc niech pan teraz pokaże, że jest lekarzem, i przestanie jojczyć – przywołała go po porządku siostra Karolina.

– Za stary jestem. Ktoś młodszy, sprawniejszy, mógłby jej uratować życie.

– Skoro tak pan mówi, to może faktycznie jest pan za stary: zaczyna pan dąć w ich trąbkę! – zirytowała się siostra Karolina.

– Dąć w ich trąbkę – powtórzył Wilbur Larch, zamykając za sobą drzwi pokoju zabiegowego. Zawsze bardzo źle znosił śmierć pacjentek. Tym razem jednak – siostra Karolina nie miała wątpliwości – przypadek był od początku beznadziejny.

– Jeśli obwinia się o coś takiego, to rzeczywiście jest za stary i trzeba go wymienić – powiedziała siostra Karolina do siostry Angeli.

Siostra Angela przyznała jej rację:

– Jest jeszcze całkiem w formie, ale jeżeli wmówi sobie, że utracił sprawność – to ją utraci.

Siostra Edna nie zabierała głosu w tej rozmowie. Stała pod zamkniętymi drzwiami gabinetu zabiegowego i powtarzała: „Nie jesteś za stary; nie jesteś za stary; nie jesteś za stary”. Wilbur Larch nie usłyszałby jej, nawet gdyby zaczęła krzyczeć: odbywał daleką podróż na falach eteru. Znajdował się w Birmie – oglądał egzotyczny kraj oczami Wally’ego (ale nawet z pomocą eteru nie umiał wyobrazić sobie tamtejszych potwornych upałów). Cięż pod drzewami tekowymi tylko łudził chłodem: o tej porze dnia – „gdy stopy milczą”, jak mawiają Birmańczycy – bezlitosny upał docierał wszędzie. Larch obserwował misjonarza-doktora Fuzzy’ego Stone’a przy codziennym obchodzie. Ofiarny młody doktor nawet w największym skwarze nie odstępował chorych na czerwonkę dzieci.

Wally umiałby wzbogacić wizję doktora Larcha niejednym szczegółem. Na przykład tym, jak piekielnie śliskie są liście bambusa pod stopami wspinającego się na wzgórze. Albo jak przesiąknięta potem jest zawsze mata do spania. Jak roi się tam od skorumpowanych przez Brytyjczyków lokalnych zarządców, z których część

bezkrytycznie naśladowe angielskich kolonizatorów, a część serdecznie ich nienawidzi. Birmańscy opiekunowie nieśli raz Wally'ego przez niewielki płaskowyż, na którym kiedyś mieścił się kort tenisowy, a teraz wśród świńskiego łajna kiełkowały chwasty. Z siatki zdjętej z kortu lokalny zarządca zrobił sobie hamak. Samo boisko, z uwagi na płot, który je swego czasu chronił przed dżunglą, okazało się wymarzoną wprost świńską zagrodą, w miarę bezpieczną przed lampartami. Zatrzymali się tam na popas. Wally pamiętał, że cewnikował go wtedy sam zarządca – sympatyczny, pyzaty człowieczek, który wykonał zabieg pewną ręką, za pomocą srebrnego mieszadła do koktajli – jeszcze jednej pamiętki po Brytyjczykach. Mimo że bardzo słabo mówił po angielsku, Wally zdołał mu wytłumaczyć, do czego jest naprawdę przeznaczona srebrna rurczka.

– Anglik kuku na muniu – pokiwał głową Birmańczyk. – Tak? – zwrócił się o potwierdzenie do Wally'ego.

– Chyba tak – powiedział Wally. Nie znał zbyt wielu Brytyjczyków, ale niektórzy rzeczywiście sprawiali wrażenie trochę „nie tego”, a poza tym – Wally nie widział powodu, żeby nie zgodzić się z rozmówcą w tak drobnej kwestii. Na ogół starał się mieć wspólne zdanie z każdym, kto miał akurat w rękę jego cewnik.

Trochę za sztywne na cewnik srebrne mieszadło zakończone było ornamentem z jakąś tarczą herbową, w centrum której widniało oblicze królowej Wiktorii (gdyby królowa Wiktoria wiedziała, do czego służy przedmiot z jej podobizną, pewnie by zemdląła).

– Tylko Anglik, duże kuku na muniu, robić rzecz do mieszanie picia! – chichotał zarządca, zwilżając śliną srebrny pręcik.

Wally usiłował wtórować mu śmiechem, chociaż lzy ciekły mu z oczu.

Mali pacjenci doktora Stone'a, chorzy na czerwonkę, też na pewno często cierpieli na zatrzymanie moczu i doktor Stone musiał opróżniać ich małe, przepełnione pęcherze. Używał jednak przyzwoitych cewników i właściwej techniki medycznej. W oczach Wilbura Larcha (spoglądających na Birnę) doktor Stone był ideałem: Fuzzy'emu Stone'owi żaden pacjent nie umarłby na stole.

Siostra Karolina, zdając sobie sprawę, jak złe wrażenie może wyrzucić na radzie śmierć bezimiennej pacjentki w kontekście niedawnego „donosu” popartego „dowodami”, postanowiła napisać do Homera Wellsa. Korzystając z tego, że doktor Larch zamknął się w gabinecie zabiegowym, stuknęła z furią na maszynie do pisania (która znajdowała się w biurze siostry Angeli):

„Nie bądź hipokrytą!” – zaczynał się list. „Pamiętasz, mam nadzieję, jak mnie namawiałeś na wyjazd z Cape Kenneth, tłumacząc, że tu mnie bardziej potrzebują? Rzeczywiście, miałeś rację. A czy myślisz, że Ciebie nie potrzebują? I to natychmiast? Boisz się, że jabłka bez Ciebie nie urosną? Kogo, jak myślisz, rada wsadzi na jego miejsce, jeżeli Ty się nie pospieszysz? Wiadomo doskonale: mydlaka, tchórza, który będzie robił tylko to, co mu każą, i nigdy nie złamie przepisów, NIC TU PO TAKIM!”

Poszła na stację nadać list i przy okazji poinformowała zawiadowcę, że w sierocińcu leżą zwłoki, do których trzeba będzie wezwać przedstawicieli kilku urzędów. Minęło sporo czasu, odkąd zawiadowca widział trupy w sierocińcu, lecz on świetnie pamiętał tamtejszych nieboszczyków (i rozkrojonego nożycami swego poprzednika), a zwłaszcza sekcję zwłok płodu z Wodospadu Trzy Mile.

– Trup? – upewnił się i przytrzymał oburącz blatu małego stolika, na którym stale włączony telewizor migał zamazanymi obrazami: każdy, nawet najpodlejszy obraz był dla zawiadowcy lepszy niż wspomnienie trupów z St. Cloud’s.

– Zwłoki pewnej osoby, która nie chciała mieć dziecka – uściśliła siostra Karolina. – Sama się załatwiła, próbując pozbyć się ciąży. Zgłosiła się do nas za późno, już nic nie mogliśmy dla niej zrobić.

Zawiadowca nie patrzył na nią. Ani drgnął, wczepiony w stolik jak w ołtarz i zapatrzone w swojego bożka – telewizor, na którego ekranie wciąż jakby padał śnieg, a wszystkie postacie i twarze wykrzywiały się zygzakami. Miał przynajmniej tę pewność, że w telewizji nigdy nie zobaczy tego, o czym mu opowiada siostra Karolina. Więc wołał patrzeć na telewizję niż na pielęgniarkę z sierocińca.

Carmen? Cecylia? Caritas? Claudia? Cookie? Cordelia?

Angel Wells przekręcił czapkę Red Sox daszkiem do przodu. Nie przejmował się chłodem poranka i nie włożył koszuli.

Dagmara? Daisy? Dolores? Dotty?

– Dokąd to, w mojej czapce? – zatrzymała go Candy, zbierająca ze stołu nakrycia po śniadaniu.

– W mojej czapce – przypomniał jej Angel i wyszedł na dwór.

– Miłość jest ślepa – zauważył Wally, odjeżdżając wózkiem od stołu.

Czy ma na myśli mnie, czy Angela? – zapytała sama siebie Candy. Homer i Wally byli zaniepokojeni dziecinną fascynacją Angela, ale dla Candy jego zauroczenie Rose Rose nie było niczym innym jak właśnie dziecinną fascynacją. Candy była

pewna, że Rose Rose, ze swoim doświadczeniem, nie da się Angelowi zagalopować. Nie w tym problem – przekonywał ją Homer. Candy podejrzewała, że Rose Rose ma więcej doświadczenia w małym palcu niż... – ale i Wally powtarzał jej, że nie o to chodzi.

– Więc pewnie chodzi wam o to, że dziewczyna jest kolorowa – zniecierpliwiła się Candy.

– Chodzi nam o Pana Rose – rzekł na to Wally. Słowo „Jasne!” wyświetliło się prawie na zaciśniętych ustach Homera. Mężczyźni zawsze chcą wszystkim rządzić – pomyślała Candy.

Homer Wells był akurat w kantorku na targowisku. W poczcie czekał na niego list od doktora Larcha, lecz Homer nie przeglądał poczty – ten obowiązek należał do Wally’ego. Homer miał inne sprawy na głowie: przybyli sezonowi i trzeba było zadbać o ostatnie szczegóły organizacyjne przed początkiem zbiorów. Homer wyjrzał przez okno: jego syn, bez koszuli, rozmawiał z Big Dot Taft. Homer uchylił drzwi kantorka i huknął:

– Hej tam! Zimno jest, wkładaj koszulę!

Angel najspokojniej w świecie skierował się w stronę stodół za targowiskiem.

– Idę rozgrzać traktor – rzucił ojcu w przelocie.

– Siebie najpierw rozgrzej! – zdenerwował się Homer, lecz Angelowi tego ranka w żadnym razie nie było zimno.

Edyta? – szukał dalej. Ernestyna? Esmeralda? Ewa!

Wpadł z rozpędu na Vernona Lyncha. Lynch, który niósł filiżankę gorącej kawy, warknął wściekły:

– Patrz, gdzie leziesz!

– Felicja! – odpowiedział mu Angel. – Franczeska! Fryderyka!

– Dupek żołądny! – wykrzywił się Lynch.

– Nie on, ale ty – zwróciła mu uwagę Big Dot Taft. – Sam jesteś dupek żołądny, Vernon.

– Kocham sezon zbiorów! – Wally jeździł na wózku dookoła stołu. Dotrzymywał towarzystwa Candy, która zmywała naczynia. – To moja ulubiona pora roku.

– Moja też – uśmiechnęła się Candy, myśląc przy tym: Zostało mi sześć tygodni życia.

Kucharz Czarna Patelnia i w tym roku przyjechał z brygadą. Candy spieszyła się ze zmywaniem, gdyż obiecała zawieźć go po zakupy. Przyjechał też niejaki

Brzoskwinia, którego Candy nie widziała kilka lat. Nazywali go Brzoskwinia, bo broda mu nie rośla. Tak zwany Brudas też zjawił się z powrotem po dobrych paru latach. Za poprzedniej swojej bytności w Sadach Z Widokiem Na Ocean Brudas zdrowo oberwał nożem pewnej nocy w baraku tłoczni win. Homer zawiózł go do szpitala w Cape Kenneth, gdzie założono rannemu sto dwadzieścia trzy szwy. W opatrunkach wyglądał jak eksperymentalna makro-kielbasa.

Człowiek, który tak załatwił Brudasę, więcej się w brygadzie nie pokazał – zgodnie z zasadą Pana Rose, którą Homer przywykł uważać za punkt pierwszy rzeczywistego regulaminu życia w tłoczni win. Nie powodować znacznych obrażeń ciała. Wolno kogoś pochłastać na postrach albo dla nauczania go, kto tu rządzi, ale nie wolno posyłać ludzi do szpitala, bo wtedy do akcji wkracza prawo i wszyscy w tłoczni robią się – o: tacy malutcy. Ten, który porznął Brudasę zachował się aspołecznie.

– Człowieku! On mi chyba chciał oberznąć dupę! – wspominał, z pewnym nawet zdziwieniem, Brudas w rozmowie z Panem Rose.

– Nędzny amator – skrzywił się Pan Rose. – Już go zresztą od dawna z nami nie ma.

Cała brygada, z wyjątkiem córki pana Rose, bywała już w Sadach Z Widokiem.

Pan Rose relacjonował Homerowi plan dnia, który obmyślił dla Rose Rose i jej córeczki:

– Pojeździ z tobą i trochę ci pomoże. Zmieści się na zderzaku albo za twoim oparciem. Albo na przyczepie, póki pusta.

– Świetnie! – ucieszył się Angel.

– Jak będzie musiała zanieść dzieciaka do domu, niech idzie na piechotę – dodał pan Rose. – Nie ma tu dla niej specjalnych przywilejów.

– Tak – bąknął Angel. Nie mieściło mu się w głowie, że Pan Rose mówi w ten sposób o rodzonej córce, która w dodatku stoi obok niego i wyraźnie się wstydzi. Baby Rose, ze smoczkiem w buzi, siedziała okrakiem na biodrze matki.

– Czarna Patelnia może od czasu do czasu przypilnować dzieciaka – dorzucił Pan Rose. Rose Rose kiwnęła głową.

– Candy też mówiła, że chętnie się zajmie – wtrącił Angel.

– Nie będziemy robić kłopotu pani Worthington – powiedział Pan Rose, a Rose Rose pokręciła głową.

Angel zawsze jeździł traktorem na stojąco, bo kiedy siedział bez poduszki (a poduszkę uważał za rekwizyt dla dziadków z hemoroidami), nie widział pokrywy chłodnicy i obawiał się, że mógłby nie zauważyć, że woda gotuje się od przegrzanego

silnika. Przede wszystkim jednak kierowanie ciągnikiem na stojąco wydawało mu się o wiele bardziej stylowe niż jazda na siedząco.

Cieszył się, że jeździ na maszynie marki International Harvester, której fotel Ray Kendall przerobił swego czasu na obrotowy. Dzięki temu mógł posadzić Rose Rose (z dzieckiem na kolanach lub bez) na obrotowym siedzeniu, a sam bez trudu mieścił się obok, mając swobodny dostęp do deski rozdzielczej, pedałów sprzęgła i hamulca. Hamulec ręczny znalazł się tuż przy biodrze Rose Rose, a dźwignia zmiany biegów – przy jej kolanie.

– Po co nosisz tę głupią czapkę? – zagadnęła Rose Rose. – Takie masz ładne oczy, a je chowasz. I włosy masz ładne. A czoło całkiem białe, bo nigdy go nie wystawiasz na słońce. Jakbyś nie nosił tej głupiej czapki, miałbyś twarz taką samą brązową jak resztę ciała.

Angel tak to sobie zinterpretował: Rose Rose podoba się jego opalony tors, nie podoba jej się jego blade czoło, ale mimo to (i mimo czapki) zdążyła zauważyć jego oczy i włosy (o których wyraziła się pochlebnie).

Załadowawszy pierwszą przyczepę, Angel napił się wody z dzbanka (dzbanki z wodą dla zbieraczy stały po całym sadzie) i przy okazji przekręcił czapkę daszkiem do tyłu. Nie poprawił jej potem, tylko chodził tak jak chwytający na meczu baseballowym albo jak Candy, która zawsze opuszczała daszek czapki na włosy i kark. Candy było z tym do twarzy; Angelowi chyba znacznie mniej, bo kiedy Rose Rose go tak zobaczyła, powiedziała:

– Teraz dopiero głupio wyglądasz! Jakbyś miał piłkę zamiast głowy. Na drugi dzień Angel zostawił czapkę do dyspozycji Candy.

Baby Rose ssła smoczek jak pompa o napędzie trzech koni mechanicznych. Rose Rose uśmiechnęła się do Angela.

– A gdzie czapeczka?

– Zgubiłem – skłamał Angel.

– Szkoda; ładna była.

– Myślałem, że ci się nie podoba.

– Na tobie mi się nie podobała – powiedziała Rose Rose.

Na trzeci dzień Angel przyniósł czapkę i ledwie wsiedli na traktor, włożył ją Rose Rose. Rose Rose była wyraźnie zadowolona: spuściła daszek nisko na oczy, tak jak go nosił Angel. Baby Rose spojrzała zezem na nieznane zjawisko.

– Widzę, że zguba się znalazła? – powiedziała Rose Rose.

– Tak – odparł Angel.

– Ty lepiej uważaj; lepiej się do mnie za bardzo nie przyzwyczajaj – poradziła mu Rose Rose.

Ale Angel nie słuchał, zachwycony i zachęcony tym, że w ogóle dostrzegła jego zainteresowanie, którego tak nie umiał wyrazić.

– Przyznaj się, ile masz lat? – spytał ją później tego samego dnia, niby to mimochodem.

– Mniej więcej tyle, co ty, Angel – odpowiedziała jak przy pierwszej rozmowie. Baby Rose opierała na piersi matki małą główkę w białym marynarskim kapelusiku z opuszczonym rondkiem, który ją chronił od słońca. Szkliste spojrzenie świadczyło o tym, jak męczącą pracą jest ssanie smoczka przez kilka godzin dziennie.

– Na pewno już nie ząbkujesz – powiedziała Rose Rose do córeczki i wyjęła jej smoczek z buzi, pociągając za niebieskie kółko: zrobił pop!, jak korek wyskakujący z butelki wina. Baby Rose wzdrygnęła się. – Wpadasz w nałóg – skarciła ją matka. Kiedy jednak malutka uderzyła w płacz, Rose Rose oddała jej smoczek.

– Podoba ci się imię Gabriela? – spytał Angel.

– Pierwszy raz je słyszę – powiedziała Rose Rose.

– A Ginger?

– To coś do jedzenia, nie?

– Gloria? – próbował Angel dalej.

– Ładne! Kto się tak nazywa?

– Twoja córeczka! – obwieścił triumfalnie Angel. – Szukałem dla niej imienia.

Rose Rose uniosła znad oczu daszek czapki Boston Red Sox i bacznie przyjrzała się Angelowi.

– A po co? – spytała podejrzliwie.

– Żeby coś dla ciebie zrobić. Chciałem ci pomóc w podjęciu decyzji – bąknął Angel.

– Decyzji? – powtórzyła Rose Rose.

– Wyboru imienia – dodał Angel.

Pracownik imieniem Brzoskwinia zbierał prawie tak szybko jak Pan Rose. Przyszedł właśnie przesypać jabłka z worka do buszlowej skrzynki i przerwał rozmowę Rose Rose z Anielem.

– Ty mnie liczysz, Angel? – spytał chłopca.

– Tak, mam cię na liście – odparł Angel. Czasami, kiedy nie znał pracownika, a tempo pracy wydawało mu się podejrzanie szybkie, sprawdzał, czy owoce nie są uszkodzone, a jeśli były – odliczał punkty rekordziście. Ale Brzoskwinię znał dobrze,

więc po prostu odnotował liczbę kilogramów przy jego nazwisku, nie schodząc nawet z traktora.

– Kto sprawdza? – spytał Brzoskwinia.

– Ciebie ja; mówiłem, że mam cię na liście – powiedział Angel.

– I nie chcesz sprawdzić, co wsypałem? Może zbieram gruszki albo co? – wyszczerzył się Brzoskwinia od ucha do ucha.

Angel zszedł z traktora dla świętego spokoju, a gdy oglądał jabłka, Brzoskwinia szepnął mu konfidencko do ucha:

– Nie pchaj się lepiej pod nóż Panu Rose.

I odszedł, z pustym workiem i drabiną pod pachą, nie czekając, co Angel ma do powiedzenia o jego zbiorze – który, notabene, był bez zarzutu.

Angel wrócił na traktor w nastroju bojowym.

– Czy ojciec dziecka jest nadal twoim mężem? – spytał prosto z mostu.

– Ja nigdy nie miałam męża – odparła Rose Rose.

– No to, czy jesteście nadal razem, ty i ojciec dziecka?

– Dziecko nie ma ojca. Nigdy nie byliśmy razem – powiedziała Rose Rose.

– Mnie się podoba Hazel i Heather – zmienił po chwili temat Angel Wells. – To nazwy roślin, dobrze pasują do Rose.

– Ale ja nie mam rośliny, tylko córkę – uśmiechnęła się Rose Rose.

– Podoba mi się także Hope.

– Hope to nie imię, tylko zwyczajne słowo: „nadzieja” – skrytykowała Rose Rose.

– Iris – nie poddawał się Angel – brzmi ładnie, tylko też jest nazwą kwiatu; dwa kwiaty razem, to przesada. A Izadora?

– Uau! – zdumiała się Rose Rose. – Ale ludzie mają imiona!

– No to może nieśmiertelna Jane? – proponował dalej Angel Wells, z coraz mniejszym entuzjazmem. – Jennifer? Jessica? Jewel? Jill? Joyce? Julia? Justyna?

Rose Rose dotknęła go. Oparła tylko lekko dłoń na jego biodrze, to jednak wystarczyło, żeby Angel szarpnął i omal nie wywrócił przyczepy z ładunkiem.

– Mów dalej – poprosiła Rose Rose. – Nie wiedziałam, że na świecie jest tyle imion. No, wymień jeszcze jakieś – ponagliła go dotykiem; zwyczajnym lekkim kuksańcem, i zaraz cofnęła dłoń na kolana, do Baby Rose, która trwała tam nieruchomo, jak zahipnotyzowana wibracją i odgłosem traktora.

– Katarzyna? Kathleen? Kirsten? Kitty? – podjął litanie Angel Wells.



– Dalej, dalej! – namawiała go Rose Rose. Znów przesunęła dłonią po jego biodrze.

– Laura? Laurie? Laverne? Lawinia? Lia? Lia znaczy „zmęczona” – dodał. – Leslie? Libby? Loretta? Lucy? Mabel? Mabel znaczy „urocza”. Malwina? To znaczy „gładki śnieg”.

– Nigdy nie mieszkałam tam, gdzie jest śnieg – powiedziała Rose Rose.

– Maria? – kontynuował Angel. – Margerita? To znowu kwiat. Mavis? To z kolei drozd, taki ptak.

– Nie mów, co znaczą – przerwała mu Rose Rose.

– Melisa? Mercedes?

– To nie samochód? – upewniła się Rose Rose.

– Samochód. Ale jaki! Niemieckiej produkcji, bardzo drogi – uświadomił ją Angel.

– Chyba kiedyś widziałam. Ma taki śmieszny znaczek na przodzie – powiedziała Rose Rose.

– Emblemat – poprawił machinalnie Angel.

– Co? – zdziwiła się Rose Rose.

– Znaczek.

– Powiedz jeszcze raz tę nazwę – poprosiła.

– Mercedes.

– Znaczy „samochód dla bogaczy”, tak? – upewniła się Rose Rose.

– Chodzi ci o to, czy tylko bogaci nim jeżdżą?

– Nie, o nazwę! – odpowiedziała, jakby to było oczywiste.

– To jest bardzo drogi samochód, ale jego nazwa nie znaczy „samochód dla bogaczy”; znaczy tyle co „Matka Boska Łaskawa” – wyjaśnił jej Angel.

– Chrzanię taką nazwę – prychnęła Rose Rose. – Już ci mówiłam, że nie interesuje mnie, co które imię znaczy – nadąsała się.

– Przepraszam – zmieształ się Angel.

– Co ty tak zawsze chodzisz bez koszuli? Nie zimno ci? – zmieniła temat Rose Rose.

Angel wzruszył ramionami.

– Możesz dalej szukać imion; to śmieszne – powiedziała Rose Rose.

Pod koniec pierwszego tygodnia zbiorów wiatr zmienił kierunek i zaczął silnie dąć od Atlantyku. Zwłaszcza ranki zrobiły się chłodne. Angel chodził w podkoszulku i barchanowej bluzie. Któregoś ranka zimno tak dokuczało, że Rose Rose zostawiła

Baby Rose pod opieką Candy i sama towarzyszyła Angelowi na traktorze. Widząc, że drży, Angel pożyczył jej bluzę. Nie zdejmowała jej przez cały dzień. Nawet wieczorem, gdy Angel przyszedł pomóc w tłoczeniu jabłecznika, Rose Rose miała na sobie jego bluzę. Tak ubrana, spędziła z nim chwilę na dachu, w towarzystwie Czarnej Patelni: opowiadał im o obiekcie wojskowym, który swego czasu można było podziwiać z dachu tłoczni.

– To była sekretna broń – mówił Czarna Patelnia. – Twój tata – zwrócił się do Angela – wymyślił dla niej nazwę. Mało się nie posraliśmy ze strachu, jak nam powiedział. Coś z młynem, nie pamiętam dokładnie, do wysyłania ludzi na księżyc, zdaje się.

– Diabelski młyn – rozległ się w mroku głos Pana Rose. – Zwyczajny diabelski młyn.

– O! Właśnie! – ucieszył się Czarna Patelnia. – Raz widziałem taki z bliska!

– Ale tam było jeszcze coś – mówił niespiesznie, jakby sennie, Pan Rose. – I to się przydało w wojnie.

– Pamiętam – potwierdził jego słowa Czarna Patelnia. – Pamiętam, jak to wystrzelili.

Rose Rose, zapatrzona w odległe światła na wybrzeżu, oświadczyła nagle:

– Przeprowadzam się do miasta.

– Jak podrośniesz, proszę bardzo – powiedział Pan Rose.

– Może do Atlanty. Byłam już w Atlancie – wyjaśniła Rose Rose Angelowi. – I to w nocy.

– To było Charleston – poprawił ją Pan Rose. – Do Atlanty musiałś skoczyć, jak ja się odwróciłem.

– Przecież mówiłeś, że jesteśmy w Atlancie! – oburzyła się Rose Rose.

– Zazartować nie wolno? Może i mówiłem, ale to było Charleston. Czarna Patelnia parsknął śmiechem.

Rose Rose zapomniała oddać Angelowi bluzę. Oddała mu ją dopiero nazajutrz, kiedy (ranek znów był chłodny) przyszła do pracy ubrana w stary sweter Pana Rose.

– Dzisiaj mam swoje ciuchy – powiedziała spod daszka czapki, zsuniętego niżej niż zwykle na oczy. Baby Rose została w tłoczni pod opieką Czarnej Patelni. Angel nie od razu zauważył podbite oko Rose Rose – taka kontuzja na twarzy Murzyna nie rzuca się białemu w oczy – ale w końcu zobaczył: sądząc po śladach, oberwała solidnie.

– Powiedział, że mogę nosić twoją czapkę, ale koszulę to masz sobie nosić sam – powiedziała Rose Rose. – Uprzedzałam cię. Ty się lepiej do mnie nie przystawiaj.

Kiedy skończyli pracę, Angel poszedł do tłoczni, pogadać z Panem Rose. Wy tłumaczył mu, że nie miał nic złego na myśli pożyczając bluzę Rose Rose; że bardzo lubi Rose Rose. Mówiąc to, emocjonował się coraz bardziej. Pan Rose tymczasem pozostał obojętny i spokojny jak skała. Angel (jak wszyscy) widział, jak Pan Rose w trzy, cztery sekundy obiera jabłko i usuwa z niego ogryzek. Zdaniem ludzi, na załatwienie człowieka potrzebował pół minuty. W pół minuty potrafił zrobić z powierzchni ludzkiego ciała misterną siekaninę: ofiara wyglądała, jakby się od stóp do głów goliła tępą żyłką.

– Kto ci naopowiadał, że biłem córkę? – zagadnął Angela grzecznie Pan Rose. Powiedziała mu to, rzecz jasna, Rose Rose, ale Angel w porę dostrzegł pułapkę: wyznając prawdę, napytałby dziewczynie jeszcze większej biedy. A z nim samym – był tego pewien – Pan Rose nie zechce zadzierać. Pan Rose respektował rzeczywisty regulamin tłoczni win – regulamin najemnych zbieraczy.

– Nikt mi nie mówił, tak jakoś pomyślałem – cofnął się Angel o krok.

– Pomyliłeś się – odparł spokojnie Pan Rose.

Przed odstawieniem traktora, Angel odbył jeszcze rozmowę z Rose Rose. Zapewnił ją, że jeśli boi się wracać do tłoczni, może zamieszkać u niego w pokoju, gdzie jest drugie łóżko; zaoferował się nawet odstąpić jej i dziecku cały swój pokój jako pokój gościnny.

– Pokój gościnny? – roześmiała się Rose Rose i dodała, że jeszcze nigdy nie spotkała takiego miłego chłopaka jak Angel. Rose Rose poruszała się z mięką, senną ociężałością; wyglądała jak ktoś, kto bez trudu potrafi zasnąć na stojąco; jej rozluźnione kończyny przypominały ręce i nogi pływaka pod wodą. Mimo to Angel wyczuwał w tym leniwym ciele ten sam potencjał błyskawicznej akcji, który u ojca Rose Rose był niemal namacalny jak mocny zapach. Bliskość Rose Rose przeszywała Angela dreszczem.

– Jak układają się twoje stosunki z Panem Rose? – zagadnął go ojciec przy kolacji.

– Mnie bardziej ciekawi, jak ci się wiedzie z Rose Rose – powiedziała Candy.

– To prywatna sprawa Angela – upomniał ją Wally.

– Jasne – poparł go Homer. Wally puścił zakazane słowo bez komentarza.

– Za to twoje stosunki z Panem Rose są naszą sprawą, Angelu – oświadczył poważnie Wally.

– Ponieważ cię kochamy – dodał Homer.

– Pan Rose nic mi nie zrobi – powiedział Angel.

- Oczywiście, że nie! – zawołała zdumiona Candy.
  - Pan Rose robi to, co chce – oświadczył spokojnie Wally.
  - Rządzi się własnymi prawami – dorzucił Homer Wells.
  - Biję córkę – powiedział Angel. – A przynajmniej raz ją zbił.
  - Pamiętaj, że to nie jest twoja sprawa – poradził mu Wally.
  - Właśnie – przytaknął Homer.
  - To moja sprawa! – oburzyła się Candy. – Jeśli to prawda, że bije córkę, będzie miał ze mną do czynienia.
  - Nie będzie – zgasił ją Wally.
  - Lepiej nie – dodał Homer.
  - Nie pouczajcie mnie, co mam robić – skarciła ich Candy. Obaj wiedzieli, że na jej upór nie ma lekarstwa.
  - Jesteś tego pewien, Angel? – spytała chłopca.
  - Prawie – odparł Angel. – Na dziewięćdziesiąt dziewięć procent.
  - Musisz wiedzieć na sto procent, zanim oskarżysz człowieka. Najpierw dobrze sprawdź – pouczył go ojciec.
  - Jasne. – Angel wstał od stołu i pozmywał po sobie.
  - Całe szczęście, że udało się wyciągnąć szydło z worka – stwierdził Wally, w obecności Angela. – Całe szczęście, że wszyscy tak wysoko cenimy sobie prawdę – dodał w chwili, gdy Candy wstała i zabierała się do sprzątanania ze stołu. Homer Wells ani drgnął.
- Następnego dnia Angel dowiedział się, że Rose Rose jeszcze nigdy nie kąpała się w morzu. Zbierała cytrusy na Florydzie i brzoskwinie w Georgii, przejechała całą drogę do Maine szosą wzdłuż wybrzeża – i nigdy nawet czubka palca nie zanurzyła w Atlantyku ani nie postawiła stopy na piasku plaży.
- Tak nie może być! – zaprotestował Angel. – W którąś niedzielę musimy się wybrać na plażę.
  - Po co? – uśmiechnęła się krzywo Rose Rose. – Uważasz, że z opalenizną będzie mi do twarzy? Na co mi plaża?
  - Żeby popływać! W oceanie! W słonej wodzie! – entuzjazmował się Angel.
  - Nie umiem pływać – zgasiła jego entuzjazm Rose Rose.
  - O! – stropił się Angel, ale zaraz odzyskał humor: – Nic nie szkodzi, wcale nie trzeba umieć pływać, żeby się cieszyć morzem. Można brodzić po płytkim i skakać przez fale.
  - Nie mam kostiumu.

– O! – stropił się Angel ponownie. – To nic, znajdę ci kostium. Candy ma dużo, na pewno któryś będzie pasował.

Rose Rose nie okazała przesadnego zdziwienia, chociaż z góry można było przewidzieć, że każdy kostium Candy będzie na nią za ciasny.

W czasie przerwy obiadowej Rose Rose skoczyła do tłoczni sprawdzić, jak się miewa Baby Rose pod okiem Czarnej Patelni, a potem Angel zawiózł ją do młodego sadu niedaleko Kurkowego Wzgórza. W młodych sadach nie zbiera się owoców, więc nie zastali tam żywej duszy. Z wysokości traktora widać było dziwnie spłaszczoną linię horyzontu i ledwo dostrzegalną różnicę odcieni – niebieskiego i zielonego – tam gdzie niebo wpadało do morza. Na Rose Rose widok ten nie wywarł większego wrażenia.

– Nie wygłupiaj się! Musisz tam ze mną pojechać! – Angel potrząsnął dziewczynę za ramię, wcale nie mocno, jak to między przyjaciółmi – i zdziwił się, kiedy głośno krzyknęła i odskoczyła od niego. Angel mimo woli przesunął dłonią po krzyżu Rose Rose. Spojrzał na własną rękę i zobaczył krew.

– Mam okres – powiedziała.

Nawet piętnastolatek wie, że śladów krwawienia miesięczkowego nie znajduje się na plecach kobiety.

Całowali się przez chwilę. Potem Rose Rose pokazała Homerowi niektóre rany – oprócz tych na udach i na siedzeniu (musiał uwierzyć jej na słowo, że tam są). Pokazała mu tylko finezyjne, cienkie jak niteczka cięcia na plecach, jakby po żyletce. Widać było, że zostały zadane starannie i z rozmysłem, i że za dzień, dwa nie będzie po nich śladu. Nieco głębsze od typowych zadrapań, nie były jednak dość głębokie, żeby zostawić blizny.

– Mówiłam ci – szeptała Rose Rose, nie przestając całować Angela. – Nie przystawiaj się do mnie. Nie jestem do wzięcia.

Angel obiecał jej, że nie będzie rozmawiał o skaleczeniach z Panem Rose. Sam wiedział (Pan Rose przekonał go o tym), że mogłoby to tylko pogorszyć sprawę. Jeśli natomiast Angel nadal miał ochotę zabrać Rose Rose na plażę – kiedyś, w którąś niedzielę – to musieli oboje starać się zaskarbić sobie łaski Pana Rose.

Technikę Pana Rose najlepiej podsumował kiedyś Brudas – ten sam, któremu zakładali w szpitalu sto dwadzieścia trzy szwy:

– Jakby to Rose mnie pochłastał, obeszloby się bez jednego szwu: krew by się sączyła pomalutku, może szklanka na godzinę, albo i to nie, a jakby w końcu przyschło, wyglądałbym jak po szorowaniu twardą szczotką do zębów.

W sobotę, gdy Angel odstawił traktor, zagadał do niego już nie Brzoskwinia, a właśnie Brudas.

– Nie narażaj się lepiej Panu Rose. Nie wiesz, co to nóż, Angel – objął chłopca serdecznie za ramię. Brudas miał słabość do Angela: nigdy nie zapomniał, jak ojciec Angela wioził go krwawiącego do szpitala w Cape Kenneth i dowiózł na czas.

Kiedy przyszła kolejna noc tłoczenia jabłeczniaka, Angel usiadł z Rose Rose na dachu tłoczni. Opowiadał jej o oceanie: o wielkim zmęczeniu, którym tchnie sam skraj fali, o ciężkim powietrzu, o kroplicznej mgiele w środku upalnego dnia, i o tym, jak fala pozbawia kantów wszystkie przedmioty. Mówił jej to, co zawsze mówią zakochani: że można pokochać coś tylko dlatego, że jest cenne dla kochanej osoby; i jak bardzo chce się, żeby kochana osoba zachwyciła się tym, co dla nas jest drogie.

Angel nie potrafił jednak utrzymać w tajemnicy haniebnej – jak o niej myślał – niegodziwości Pana Rose. Opowiedział wszystko ojcu, Candy i Wally’emu.

– Pokaleczył ją? – zdumiał się Wally. – Specjalnie ją pokaleczył?

– Tak, wiem o tym. Na sto procent! – zapewnił go Angel.

– Jak można zrobić coś takiego własnemu dziecku? Nie rozumiem – zmarszczył brwi Homer Wells.

– A tak się zawsze dziwiłiśmy: jak Pan Rose to robi, że wszystkim rządzi? – przypomniała im Candy z goryczą. Przeszedł ją dreszcz. – Trzeba działać. Koniecznie.

– Kto ma działać? My? – spytał Wally.

– A kto inny? Nie możemy przecież siedzieć z założonymi rękami!

– Inni siedzą – zauważył Wally.

– Jeśli zwrócicie mu uwagę, zrobi jej jeszcze większą krzywdę – odezwał się Angel. – A poza tym, ona się wtedy dowie, że wam powiedziałem. Proszę was tylko o radę; nie o to, żebyście coś zrobili.

– Nie miałam zamiaru zwracać mu uwagi – wzruszyła ramionami Candy. – Myślałam o wezwaniu policji. To niedopuszczalne, żeby człowiek kaleczył nożem własne dziecko!

– Pomyśl: czy to jej coś da, kiedy on będzie miał kłopoty? – postawił problem Homer.

– Popieram pytanie – rzekł Wally. – Wzywaniem policji nie pomożemy dziewczynie.

– Gadaniem z nim też nie – dodał Angel.

– Zawsze można poczekać, co czas pokaże – zauważył Homer Wells. Po piętnastu latach Candy nauczyła się puszczać tę aluzję mimo uszu.

– Mógłbym zaprosić ją do nas, do domu – powiedział Angel. – Byłaby wtedy z dala od niego. Przecież mogłaby tu zamieszkać i zostać, nawet po zbiorach.

– A co ona by tu robiła? – spytała Candy.

– Po zbiorach w sadach nie ma nic do roboty – poparł ją Homer Wells.

– Kiedy przyjeżdżają na zbiory, to co innego. – Wally bardzo starannie dobierał słowa. – Póki trwają zbiory, wszyscy akceptują ich obecność. Ale to migranci, koczownicy, oni muszą przenosić się z miejsca na miejsce. Nie sądzę, aby kolorowa kobieta z nieślubnym dzieckiem mogła liczyć na ciepłe przyjęcie ze strony ludności Maine – gdyby miała tu zostać na dłużej po zbiorach.

– Przeżyłam tu wiele lat, Wally – obruszyła się Candy – a jeszcze nigdy w mojej obecności nie nazwano tych ludzi czarnuchami ani innym obraźliwym epitetem. Nie jesteśmy na Południu! – dodała z dumą.

– Różnimy się od Południa tylko tym, że oni tu nie mieszkają na stałe. Niech ta dziewczyna chwilę z nami pomieszka, a sama zobaczysz, jak będą o niej mówić – odparł Wally.

– Nie wierzę ci – powiedziała Candy.

– To jesteś głupia – palnął Wally. – Prawda, stary? – zwrócił się do Homera.

Ale Homer Wells obserwował Angela.

– Zakochałeś się w Rose Rose, Angelu? – spytał syna.

– Tak – wyznał Angel. – I ona też mnie lubi, przynajmniej trochę.

Pozmywał po sobie i poszedł na górę, do swojego pokoju.

– Zakochał się w tej dziewczynie – oznajmił Homer Candy i Wally'emu.

– To od dawna wiadomo. Gdzie ty masz oczy, stary? – rzekł na to Wally. Po czym wyjechał wózkami przez taras i parokrotnie okrążył basen.

– I co ty na to? Angel zakochany! – Homer spojrzał na Candy.

– Mam nadzieję, że to mu pozwoli lepiej nas zrozumieć. Tylko o tym myślę – odparła Candy.

Homer Wells myślał tymczasem o Panu Rose. Jak daleko Pan Rose się posunie? I jakie właściwie wyznaje zasady?

Wally przyjechał z powrotem do domu, aby powiadomić Homera, że w kantorku od paru dni leżą listy dla niego.

– Już parę razy chciałem ci je przynieść, ale ciągle zapominam – tłumaczył się Wally.

– To zapominaj dalej – uśmiechnął się Homer. – Do końca zbiorów i tak nie znajdę czasu, żeby odpisać, więc po co mam w ogóle czytać jakieś listy.

Listów było trzy; od doktora Larcha, od siostry Karoliny i od Melony.

Melony odesłała Homerowi ankietę. Nie wypełniła jej. Była tylko ciekawa, co to jest, i chciała spokojnie przyjrzeć się z bliska pytaniom. Przeczytała je kilka razy i doszła do wniosku, że rada nadzorcza jest bandą pospolitych dupków. „Faceci w garniturkach” – mówiła o nich z pogardą.

– Też nie cierpisz facetów w garniturkach? – spytała Lornę.

– Daj spokój – powiedziała Lorna. – Ja w ogóle nie cierpię facetów. Wszystkich bez wyjątku.

– Ale najgorsi są ci w garniturkach – upierała się Melony.

W poprzek ankiety, która nigdy nie miała zostać wypełniona, Melony wykaligrafowała krótki list do Homera Wellsa:

SŁONECZKO!

MYŚLAŁAM, ŻE ZOSTANIESZ BOHATEREM.

POMYLIŁAM SIĘ. PRZEPRASZAM ZA KŁOPOT.

CAŁUJĘ – MELONY

Homer Wells przeczytał te słowa w środku nocy, kiedy nie mogąc zasnąć (jak zwykle), postanowił wstać i zajrzeć do poczty. Przeczytał też listy od doktora Larcha i siostry Karoliny. Tuż przed świtem rozwiały się jego ostatnie wątpliwości w związku z torbą lekarską ozdobioną monogramem FS.

Homer nie zamierzał odesłać Larchowi i siostrze Karolinie pustego kwestionariusza, który zwróciła mu pocztą Melony. Uznał, że zakrawałoby to na szyderstwo. Po co mają staruszkowie wiedzieć, że sami na siebie wydali wyrok, chociaż mogli siedzieć cicho i działać przez następne kilka lat? W zamian posłał im obojgu zwięzłą i kategoryczną wiadomość:

1. NIE JESTEM LEKARZEM.

2. WIERZĘ, ŻE PŁÓD LUDZKI MA DUSZĘ.

3. PRZEPRASZAM.

- Przepraszam? – powtórzył Wilbur Larch, gdy siostra Karolina odczytała mu list Homera. – On nas przeprasza?



– To fakt, że nie jest lekarzem – zauważyła siostra Angela. – Stale by się denerwował, że czegoś nie wie i może popełnić amatorski błąd.

– I właśnie dlatego byłby dobrym lekarzem – stwierdził doktor Larch. – Najwięcej amatorskich błędów popełniają ci lekarze, którym się wydaje, że zjedli wszystkie rozumy. Dobry lekarz musi mieć wątpliwości; musi stale brać pod uwagę, że czegoś nie wie i może spowodować śmierć pacjenta.

– No to już po nas – podsumowała siostra Edna.

– Wierzy, że płód ma duszę, tak? – zacytował Larch słowa Homera. – Doskonale. Więc jego zdaniem istota wiodąca żywot ryby posiada duszę. W takim razie, jak wygląda w jego pojęciu dusza kogoś takiego jak my, kto stąpa po ziemi? Powinien wierzyć przede wszystkim w to, co widzi! Jeżeli chce odgrywać Boga i pouczać nas, kto ma duszę, a kto nie, to powinien szczególnie dbać o te dusze, które mu mogą powiedzieć, co o nim myślą!

Larch szalał.

– Zostało nam tylko czekać, co czas pokaże – westchnęła siostra Angela.

– O nie! – zaprotestował Wilbur Larch. – Czekać to sobie może Homer, ja nie mam czasu!

Zasiadł przy maszynie do pisania w gabinecie siostry Angeli i odpowiedział na list Homera notą równie zwięzłą i kategoryczną:

1. WIESZ I UMIESZ WSZYSTKO TO CO JA, PLUS TO, CZEGO SAM SIĘ NAUCZYŁEŚ. JESTEŚ LEPSZYM LEKARZEM ODE MNIE I WIESZ O TYM.

2. UWAŻASZ, ŻE JA ZGRYWAM BOGA, A SAMEMU CI SIĘ WYDAJE, ŻE WIESZ, CZEGO BÓG CHCE. CZY TO NIE JEST ZGRYWANIE BOGA?

3. NIE PRZEPRASZAM I NIE ŻAŁUJĘ NICZEGO (POZA JEDNĄ ABORCJĄ, KTÓREJ NIE WYKONAŁEM). NIE ŻAŁUJĘ NAWET TEGO, ŻE CIĘ KOCHAM.

Larch udał się następnie na stację i poczekał na pociąg, chciał być bowiem absolutnie pewny, że jego list odjechał we właściwym kierunku. Zawiadowca, którego Larch zazwyczaj ignorował, przyznał się później, że był szczerze zdziwiony, gdy doktor zagadał do niego po odjeździe pociągu: w pierwszej chwili myślał, że Larch kieruje swe słowa do ostatniego wagonu.

– Do widzenia – powiedział doktor Larch. I oddalił się drogą pod górkę do sierocińca. Pani Grogan chciała mu zrobić herbaty, ale podziękował mówiąc, że jest zmęczony i musi się położyć.

Siostra Karolina i siostra Edna zbierały jabłka w sadzie. Larch wspiał się jeszcze do nich na górę.

– Za stara jesteś na zbieranie jabłek, Edno – powiedział. – To robota dla Karoliny i dla dzieci. – We dwójkę z siostrą Karoliną odbyli następnie krótki spacer do sierocińca.

– Gdybym musiał się zdecydować na jakąś ideologię – zwierzył jej się po drodze Larch – to pewnie zostałbym socjalistą. Ale wolę nie mieć ideologii.

Poszedł do gabinetu zabiegowego i zamknął drzwi. Mimo zmiennej pogody, było nadal ciepło i w dzień okno gabinetu pozostawało otwarte. Larch zamknął je. Napoczął nową puszkę eteru. Możliwe, że zrobił w niej przebijakiem dziurkę większą niż zwykle. Albo po prostu, zniecierpliwiony i zmęczony, mocniej niż zazwyczaj potrząsnął puszką, z której eter nazbyt obficie pociekł na maskę. Larch nie miał dość, chociaż ręka przytrzymująca maskę na twarzy już mu mdlała: obrócił głowę do ściany i podparł maskę o skraj parapetu. Pozwolił palcom rozluźnić się, bo wiedział, że teraz stożek maski i tak utrzyma się na jego twarzy.

Tym razem odbył podróż do Paryża. W dniach tuż po zakończeniu pierwszej wojny światowej Paryż tętnił życiem. Co chwila jakiś tubylec rzucał się na szyję młodemu lekarzowi. Larch przypomniał sobie, jak siedział w jakiejś knajpce z amerykańskim żołnierzem bez nogi i wszyscy goście stawiali im koniak. Żołnierz zgasił papierosa w koniaku, którego nie mógł dopić, bo obie ręce były mu potrzebne do podtrzymywania kul – a właśnie wychodzili. Wilbur Larch wciągnął niezwykle zapach głęboko w nozdrza: tak właśnie pachniał Paryż – koniakiem i popiołem.

I perfumami. Larch prowadził żołnierza na kwaterę – już wtedy, w tamtych warunkach, był dobrym lekarzem. Posłużył kalece za trzecią kulę; za brakującą nogę. I nagle zaczepiła ich ta kobieta. Bez wątpienia prostytutka; młoda, w zaawansowanej ciąży. Larch, który słabo znał francuski, zrozumiał, że chodzi jej o aborcję. Próbował jej tłumaczyć, że na to za późno, że musi donosić i urodzić dziecko – wtem jednak pojął, że kobieta mówi do nich to, co każda ladacznica.

– *Plaisir d'amouf?*. – proponowała. Żołnierz bez nogi mdlał w objęciach Larcha: oferta „rozkoszy miłości” dotyczyła więc wyłącznie doktora.

– *Non, merci* – bąknął Wilbur Larch. Wtedy żołnierz zemdlał. Larch musiał poprosić ciężarną prostytutkę o pomoc w dźwiganiu nieprzytomnego. Gdy umieścili

go w pokoju, kobieta ponowiła propozycję. Wilbur Larch odsuwał ją siłą na odległość ramienia, lecz ona uparcie prześlizgiwała się przez barierę jego ręki i atakowała twardym brzuchem.

– *Plaisir d’amour!* – powtarzała raz po raz.

– *Non, non!* – bronił się Larch, wymachując ramionami.

I teraz machał ręką opuszczoną za łóżko. W pewnej chwili trącił i przewrócił puszkę z eterem, zbyt luźno zatkaną przebijakiem. Na linoleum pod łóżkiem zaczęła wolno rosnać kałuża: opary eteru ogarnęły całe pomieszczenie. Taki mocny zapach – paryska prostytutka też mocno pachniała, perfumami, a jeszcze bardziej wyziewami swojej profesji. Zanim Larch zdołał odsunąć twarz od parapetu i strącić maskę, już się dławił.

– Księżęta Maine! – chciał krzyknąć, wołać ich, ale nie mógł wydobyć głosu. – Królowie Nowej Anglii!

Wydawało mu się, że ich wzywa, lecz nikt go nie słyszał. Tylko francuska prostytutka leżała obok, bodąc go ciężkim brzuchem. Ścisnęła go tak mocno, że nie mógł złapać tchu, a od jej dusznego, zawiesistego zapachu lzy ciekły Larchowi po twarzy. Zdawało mu się, że wymiotuje – i tak było.

– *Plaisir d’amour* – szepnęła prostytutka.

– *Oui, merci* – odpowiedział i spełnił jej życzenie. – *Oui, merci*.

Jako oficjalną przyczynę śmierci Wilbura Larcha podano niewydolność systemu oddechowego w wyniku zachłyśnięcia się torsjami, prowadzącą do ustania akcji serca. Rada nadzorcza – w świetle otrzymanych niedawno zeznań i dowodów – podejrzewała samobójstwo w obawie przed kompromitacją. Ale osoby, które dobrze znały doktora i jego nałóg, twierdziły, że podobny wypadek mógł spotkać każdego przemęczonego człowieka. I pani Grogan, i siostra Angela, i siostra Edna, i siostra Karolina wiedziały przecież doskonale, że doktor Larch nie obawiał się „kompromitacji”, tylko tego, że straci sprawność w pełnieniu swojej służby. A służbę pacjentom uważał zawsze za jedyny cel i sens swego istnienia.

Ciało znalazła siostra Edna, która zaniemówiła potem na pewien czas. Drzwi gabinetu nie były całkiem szczelne. Siostra Edna w pewnej chwili stwierdziła, że zapach eteru jest wyjątkowo silny, a doktor Larch dłużej niż zwykle nie daje znaku życia.

Pani Grogan, która miała nadzieję, że Larch odszedł do lepszego świata, drżącym, ptasim głosem odczytała dziewczynkom tego wieczoru fragment *Jane Eyre*.

Sierota kocha rutynę. Sierota pragnie rutyny – powtarzały sobie wszystkie cztery kobiety.

Siostra Karolina, twarda sztuka – chociaż gardziła Dickensem jako sentymentalnym nudziarzem – uporała się bez trudu z zawłościami stylu i z uczuciem odczytała chłopcom na dobranoc kolejny odcinek *Dawida Copperfielda*. Załamała się dopiero, gdy przyszło do błogosławieństwa.

W formułce wyręczyła ją siostra Angela.

– Cieszymy się razem z doktorem Larchem – zaapelowała do słuchających uważnie dzieci. – Doktor Larch znalazł rodzinę. Dobranoc, doktorze Larch!

– Dobranoc, doktorze Larch! – odpowiedział chór chłopięcych głosów.

– Dobranoc, Wilburze – wykrztusiła z trudem siostra Edna. Siostra Angela zebrała resztki sił na tradycyjne błogosławieństwo, a siostra Karolina – w nadziei, że wieczorny wiatr osuszy jej łzy – pomaszerowała w dolinę, na stację, żeby po raz kolejny przestraszyć nieszczęsnego zawiadowcę wieścią o trupie w St. Cloud's.

W Sadach Z Widokiem Na Ocean była niedziela babiego lata. Homer Wells polował. Nie na dzikiego zwierza, tylko na prawdę o Panu Rose i jego córce. Siedzieli we dwóch z Panem Rose na dachu tłoczni. Mówili bardzo niewiele. Homer miał przecucie, że receptą na udane polowanie z Panem Rose jest małomówność.

Na dole Angel uczył Rose Rose jazdy na rowerze, Homer proponował, że zawiezie ich dwoje na plażę (a potem, o umówionej godzinie, przyjedzie zabrać ich z powrotem do domu), ale Angelowi zależało na okazaniu pełnej samodzielności – a wiadomo, że rodzice wożą na plażę tylko osoby za młode na uzyskanie prawa jazdy. Piechotą było za daleko; na autostop Homer synowi nie pozwalał; ale siedem czy osiem kilometrów rowerem, przeważnie po płaskim, brzmiało sensownie.

Pan Rose bez emocji obserwował przebieg lekcji, za to Homer modlił się w duchu, żeby Rose Rose okazała się zdolną uczennicą: wiedział, ile wysiłku włożył Angel w przygotowanie eskapady, jak cackał się z rowerami, swoim i Candy, jak z pomocą Candy wybierał najodpowiedniejszy kostium kąpielowy dla Rose Rose. Wybrali szmaragdowy z pojedynczym, różowym wężykiem z jednej strony. Candy przypuszczała, że kostium będzie leżał o wiele lepiej na Rose Rose niż na niej, bo zawsze był trochę za luźny w biuście i biodrach.

– Jazda rowerem należy chyba do tych umiejętności, które trzeba opanować w dzieciństwie, bo potem jest o wiele trudniej – skomentował Homer wysiłki Rose Rose.

Angel biegł przy chwiejącym się jednoślądzie, który Rose Rose desperacko starała się ujeździć. Rozpędziwszy rower, puszczał siodełko i wtedy Rose Rose albo przestawała pedałowac i, leżąc prawie na kierownicy, jechała siłą rozpędu, aż rower wytracił szybkość i runął na ziemię, albo przeciwnie: pedałowala z furia, bez śladu rytmu i koordynacji ruchów. Wyglądało na to, że nie jest w stanie jednocześnie pedałowac i utrzymywac równowagi – a co dopiero sterowac pojazdem. Ręce trzymała sztywno, jakby wrosła dłońmi w kierownicę.

– A pan umie? – zawołała w górę, do Homera.

– Nigdy nie próbowałem; chyba bym nie potrafił – odparł Homer Wells, niezbyt szczerze, bo sztuka wydała mu się raczej prosta. W sierocińcu nie było rowerów, żeby któremuś z dzieci nie przyszła ochota odjechać w siną dal. Jedyne rower w St. Cloud's (też rzadko używany) należał do zawiadowcy stacji.

– Ja też nigdy nie próbowałem – przyznał się Pan Rose, obserwując wysiłki córki: Rose Rose najechała na mały wzgórek, wrzasnęła przeraźliwie, rower stanął dęba i runął na ziemię. Angel Wells podbiegł i pomógł dziewczynie wstać.

Pod ścianą tłoczni, oparci o nią plecami, siedzieli szeregiem pracownicy: jedni pili kawę, inni piwo, a wszyscy razem śledzili lekcję jazdy na rowerze. Część kibicowała Rose Rose jak na meczu, pozostali zachowywali milczący dystans, jak Pan Rose.

Im dłużej trwała lekcja, tym mniej entuzjastyczne i coraz rzadsze stawały się oklaski i wiwaty widowni.

– Nie poddawaj się – zaklinał Angel Rose Rose.

– Wcale się nie poddam – burknęła Rose Rose. – Mówiłam, że się poddam?

– Pamiętasz, jak rozmawialiśmy kiedyś o zasadach? – zagadnął Homer Pana Rose.

– O jakich zasadach?

– Coś się zgadało o regulaminie, który co rok wywieszam w tłoczni, i wspomniałeś, że wy rządzą się własnymi zasadami, pamiętasz? – przypomniał mu Homer.

– Aa, coś pamiętam – mruknął Pan Rose bez większego zainteresowania.

– Mówiłeś wtedy, że zasadą numer jeden jest nie robić sobie nawzajem krzywdy – ciągnął Homer. – Zrozumiałem to jako zalecenie ostrożności. Ostrożność jest i moją zasadą w postępowaniu z ludźmi.

– O co chodzi, Homer? – zniecierpliwził się Pan Rose.

– Czy nikomu z ludzi nie dzieje się krzywda? – spytał Homer. – Nie ma w tym roku nieporozumień, zamieszek?

Rose Rose siedziała na rowerze. Minę miała tragiczną. Lepiła się od potu – tak samo jak Angel. Homer odniósł wrażenie, że Rose Rose z niepotrzebnym impetem opada na twarde siodełko – jakby celowo zadawała sobie ból albo silnymi bodźcami chciała obudzić w sobie zdolność opanowania pojazdu. Przetoczyła się nagle chwiejnie na drugą stronę pogórka, między jabłonie. Angel puścił się za nią pędem.

– Nie lepiej, żeby poszli pieszo? – odezwał się spod ściany Brzoskwinia. – Już by dawno byli na miejscu!

– Czemu ich ktoś nie podwiezie? – zdziwił się inny pracownik.

– Oni chcą po swojemu – powiedział Brudas, wzniesając salwę rehotliwego śmiechu.

– Z szacunkiem, proszę – rzekł Pan Rose, nie podnosząc głosu.

Homer był przekonany, że Pan Rose mówi do niego, on jednak zwracał się do brygady. Śmiech zamilkł momentalnie, jak nożem uciął. – Ten rower się zaraz rozleci – powiedział Pan Rose do Homera.

Rose Rose miała na sobie dzinsy, robocze buciory i biały podkoszulek, spod którego, ponieważ się spociła, przebijał szmaragdowy kostium z różowym wężykiem.

– Wyobraź ją sobie, jak się będzie uczyła pływać – powiedział Pan Rose wypranym z emocji głosem.

Homerowi żal się zrobiło Angela, lecz bardziej go nurtował inny problem.

– Porozmawiajmy jeszcze chwilę o bezpieczeństwie ludzi – poprosił Pana Rose. – I o zasadach.

Pan Rose sięgnął do kieszeni, jak zwykle powoli; Homer spodziewał się zobaczyć słynny nóż, lecz przedmiot, który Pan Rose umieścił delikatnie w dłoni Homera, nie był nożem. Był to ogarek świecy. Tej świecy, którą Candy przyniosła na miłosne spotkanie z Homerem w tłoczni win i o której zapomniała ze strachu, że to Wally przyłapał ich na gorącym uczynku.

Homer zacisnął ogarek w garści, a Pan Rose poklepał go po wierzchu dłoni i powiedział:

– Regulamin zabrania, co?

Czarna Patelnia piekł chleb kukurydziany. Cudna woń świeżego chleba ogarnęła cały barak, aż po dach, nagrzewający się przyjemnie od popołudniowego słońca – na razie przyjemnie, bo blacha błyskawicznie chłonie żar i wtedy nie da się na niej wysiedzieć.

- Chleb jeszcze niegotowy? – huknął Brzoskwinia w okno kuchni.
- Jeszcze nie – odpowiedział mu z wnętrza Czarna Patelnia. – Przymknij się, bo dziecko obudzisz.
- Gówno – burknął Brzoskwinia, wsparty nonszalancko o ścianę baraku. Czarna Patelnia wyszedł z baraku i kopnął Brzoskwinie znienacka, nie bardzo mocno.
- Jak chleb się upiecze, też powiesz na niego „gówno”, co? – spytał bojowo.
- Nie mówiłem o chlebie, tak sobie powiedziałem „gówno” – obruszył się Brzoskwinia.
- Lepiej spuść z tonu – poradził mu Czarna Patelnia. Poobserwował chwilę lekcję jazdy na rowerze. – Jak im idzie? – spytał kolegów.
- Robią, co mogą – odpowiedział Brudas.
- Wynaleźli nową dyscyplinę sportu – dodał Brzoskwinia, i wszyscy zarechotali.
- Z szacunkiem, proszę – odezwał się z dachu Pan Rose i zrobiło się cicho. Czarna Patelnia wrócił do baraku.
- Zakład, że spalił chleb? – odezwał się Brzoskwinia, ale szeptem.
- Przez ciebie, bo musiał wyjść, żeby cię kopnąć w dupę – powiedział Brudas.
- Rower nie wytrzymał lekcji: tylne koło skrzywiło się i albo nie chciało się obracać, albo łapało łańcuch w szprychy.
- Jest drugi rower – powiedział Angel do Rose Rose. – Spróbuj na nim, a ja naprawię ten. – Rose Rose przesiadła się więc z „damki” na rower męski. Było jeszcze gorzej: nie dość, że dalej miała te same problemy z utrzymaniem równowagi, to jeszcze spadła okrakiem na ramię, uderzając się boleśnie w krocze. Homer przestraszył się, czy nie zrobiła sobie krzywdy.
- Głupstwo, nic nie boli! – odkrzyknęła Rose Rose w odpowiedzi na jego pytanie. Ale stała zgięta wpół, dopóki Angel nie uruchomił z powrotem roweru Candy.
- Moim zdaniem, beznadziejna sprawa – ocenił jej szanse Homer.
- No, co z tymi zasadami? – zagadnął go niewinnie Pan Rose. Homer schował ogarek do kieszeni. Wymienili spojrzenia – a raczej przez chwilę mocowali się spojrzeniami.
- Niepokoję się o twoją córkę – oświadczył po chwili Homer Wells. Rose Rose po raz nie wiadomo który spadła z roweru.
- Nie martw się o nią – powiedział Pan Rose.
- Chwilami wydaje mi się nieszczęśliwa.
- Nie jest nieszczęśliwa – zapewnił go Pan Rose.

– Ty się o nią nie martwisz?

– Jak człowiek chce się martwić, to powód zawsze znajdzie, nie? – odpowiedział Pan Rose.

Widząc, że Rose Rose po każdym upadku stoi dłuższą chwilę z opuszczoną głową, zgięta w pół i podparta dłońmi o własne kolana, jak przy skurczach żołądka, Homer pomyślał, że kontuzja po ramie roweru jeszcze daje o sobie znać.

Homer i Pan Rose przegapili moment kapitulacji Rose Rose: zobaczyli tylko, jak ucieka w stronę sadu zwanego Patelnią, a Angel pędzi za nią, porzuciwszy w trawie obydwie rowery.

– Szkoda; nie pojedą na plażę – zmartwił się Homer. – Spróbuję ich namówić, żeby dali się jednak podwieźć samochodem!

– Daj im spokój – ostudził jego zapał Pan Rose, i zabrzmiało to raczej jak rozkaz niż jak prośba. – Nie potrzebują jechać na żadną plażę

– dodał łagodniejszym tonem. – Młodzi są, sami jeszcze nie wiedzą, co im się chce. Na plaży, pomyśl tylko, mogłoby się któreś utopić. Albo mogłoby się ludziom nie spodobać, że biały chłopak chodzi z czarną dziewczyną – i to jeszcze ona w kostiumie kąpielowym, on w slipach. Lepiej niech nigdzie nie jeżdżą – zamknął temat Pan Rose. Po chwili przerwy spytał zniecierpliwiony: – Jesteś szczęśliwy, Homer?

– Ja? Czy jestem szczęśliwy? – zdumiał się Homer.

– Czemu ty zawsze powtarzasz, co się do ciebie mówi?

– Nie wiem – zastanowił się Homer. – Nieraz jestem szczęśliwy – dodał ostrożnie.

– To pięknie – pochwalił Pan Rose. – A państwo Worthingtonowie – też są szczęśliwi?

– Przypuszczam, że raczej tak.

– To pięknie – powtórzył Pan Rose.

Brzoskwinia, po paru piwach, podszedł ostrożnie do roweru Angela, jakby piekielna machina nawet leżąc w trawie groziła śmiercią lub kalectwem.

– Uważaj, bo cię ugryzie! – ostrzegł go Brudas. Ale Brzoskwinia odważnie postawił rower, przysiadł na siodełku i triumfalnie wyszczerzył się do kolegów.

– Jak się zaczyna? – spytał. Odpowiedziała mu salwa śmiechu.

Brudas oderwał się od ściany i podniósł drugi rower, „damkę” Candy.

– Ścigamy się? – zaproponował Brzoskwinia.

– Dobry pomysł – odezwał się od drzwi kucharz Czarna Patelnia.

– Zobaczymy, kto pierwszy będzie leżał.



– Mój nie ma środka – wypowiedział się Brudas o rowerze Candy.

– Przez to jest szybszy – zapewnił go Brzoskwinia, odpychając się na przemian stopami od ziemi.

– Ty na nim nie jedziesz, ty go dymiesz! – stwierdził ktoś spod ściany. Galeria gruchnęła śmiechem. Czarna Patelnia podbiegł i zaczął pchać Brzoskwinie na rowerze. Coraz szybciej.

– Przestań, kurde! – wrzasnął Brzoskwinia, ale Czarna Patelnia nie mógł tego zrobić, bo już nie doganiał rozpędzonego roweru.

– Jak ma być wyścig, to niech i mnie ktoś popchnie – upomniał się Brudas. Dwaj koledzy bardzo chętnie spełnili jego prośbę. Jeszcze szybciej niż Brzoskwinia przejechał Brudas przez pagórek w sąsiedni kwartał sadu, skąd zaraz usłyszeli jego dziki wrzask.

– O kurde! – sapał Brudas, kiedy znów się pokazał. Pedałował tak szybko, że przednie koło roweru uniosło się nad ziemię – a zaraz potem cały rower wyjechał najspokojniej spod tyłka Brudasa. Ludzie pokładali się i kwiczeli ze śmiechu. Czarna Patelnia podniósł leżący na ziemi rower po Brudasie; też chciał spróbować.

– A ty nie spróbujesz? – spytał Pan Rose Homera Wellsa. Homer od dawna miał na to ochotę, pod warunkiem, że Candy i Angel nie będą go widzieli.

– Jasne! – odparł. – Zamawiam następną rundę! – krzyknął do Czarnej Patelni, który próbował utrzymać równowagę na rowerze, ale stopy ześlizgiwały mu się z pedałów i runął w końcu na ziemię, zanim zdążył ruszyć z miejsca.

– To się nie liczy! Jeszcze raz! – wołał, podnosząc siebie i rower.

– A ty, nie spróbujesz? – zagadnął Homer Pana Rose.

– Nie, dziękuję – powiedział Pan Rose.

– Dziecko płacze – powiedział ktoś spod ściany.

– Przynieś ją tutaj – poradził ktoś inny.

– Nie trzeba. Ja się zajmę dzieckiem – oświadczył głośno Pan Rose. – Wy się bawcie.

Na szczycie pogórka ukazał się Brzoskwinia. Kulejąc, prowadził rower.

– Wpadłem na drzewo – poskarżył się kolegom. – Z całym rozpędem, prosto w pień: lup! – jak w najgorszego wroga!

– Nie miałeś kierownicy? – skrytykował go Brudas.

– Sam jechał! Nie słuchał się żadnej kierownicy! – pomstował dalej Brzoskwinia.

Homer pomógł Czarnej Patelni wgramolić się po raz drugi na rower Candy.

– No to jazda! – Czarna Patelnia wydał bojowy okrzyk, ale dalej jednym ramieniem trzymał za szyję Homera i nie pedałował.

– Naciskaj pedały, inaczej nie ruszysz – pouczył go Homer.

– Lepiej mnie pchnij – poprosił Czarna Patelnia.

– Coś się pali! – krzyknął głos spod ściany.

– Jasny gwint! Mój chleb! – jęknął Czarna Patelnia i gibnął się na jedną stronę, pociągając za sobą Homera: we dwóch przygnetli rower.

– A nie mówiłem, że sfajczy ten chleb! – triumfował Brzoskwinia przed Brudasem.

– Daj, spróbuję na tym – Brudas wyciągnął rękę po rower Angela, który wywiózł Brzoskwinie na drzewo.

Dwóch ludzi pchało na „damce” Homera Wellsa.

– Już! już! – krzyknął Homer, więc go puścili. Okazało się jednak, że to żadne „Już”: rower wykonał gwałtowny zwrot w jedną stronę, natychmiast potem w drugą (prosto w widownię, która rzuciła się do ucieczki), wreszcie stanął dęba i rozstał się z jeźdźcem – poleciał w jedną stronę, a Homer w drugą.

Widzowie pokładali się ze śmiechu. Brzoskwinia spojrział z góry na leżącego Homera i powiedział:

– Czasami i białemu się nie uda!

Znów gruchnął śmiech.

– Przeważnie białemu się udaje – rozległ się za ich plecami głos Pana Rose.

Pan Rose stał w progu tłoczni win. W tle za nim kłębił się dym ze spalonego chleba. Pan Rose trzymał na ręku córkę swojej córki, z nieodłącznym niebieskim smoczkiem w buzi. Pan Rose powiedział, co miał do powiedzenia, i sobie też wsadził smoczek w usta.

Na samym dnie niecki sadu zwanego Patelnią, gdzie ocean nie dawał znać o sobie nawet najlżejszą bryzą, jakby się nagle cofnął o tysiąc kilometrów, Rose Rose leżała wyciągnięta w ciemnej zieleni traw pod drzewem północnego szpiega, z którego jeszcze nie zerwano jabłek. Obok niej leżał Angel Wells. Rose Rose opierała lekko ramię na jego talii, on zaś głaskał ją delikatnie po twarzy, śledząc palcem linijkę blizny od nosa do ust. Rose Rose przytrzymała i pocałowała palec Angela.

Zdjęła z siebie robocze buty i dżinsy; została w podkoszulku narzuconym na kostium kąpielowy Candy.

– Na plaży i tak bym nie miała co robić – powiedziała.

– Pojedziemy innym razem – obiecał jej Angel.

– Nigdzie nie pojedziemy – oświadczyła kategorycznie. Potem chwilę się całowali. – Opowiedz mi jeszcze raz – poprosiła Rose Rose, lecz kiedy Angel zaczął mówić o oceanie, przerwała mu: – Nie, nie o tym; gwizdź na ocean. Opowiedz mi, jak moglibyśmy mieszkać razem w jednym domu: ty, ja, moje dziecko, twój ojciec i pan i pani Worthington. To przynajmniej rozumiem.

Więc Angel powtórzył to, co już kiedyś jej mówił; że to całkiem możliwe, że ani jego ojciec, ani Wally, ani Candy na pewno się nie sprzeciwią.

– Wszyscy jesteście stuknięci – podsumowała Rose Rose. – Ale mów dalej.

Angel zapewnił ją, że w domu jest mnóstwo miejsca.

– I nikomu nie będzie przeszkadzało dziecko? – Rose Rose przymknęła oczy, bo wtedy lepiej umiała wyobrazić sobie to, co jej opowiadał Angel.

I wtedy właśnie Angel Wells – nie wiedząc jeszcze o tym – został pisarzem. Wtedy po raz pierwszy świat wyobraźni nabrał dla niego większej wagi i wiarygodności niż rzeczywistość. Nauczył się tworzyć obrazy, które nigdy nie ożyją – ale które dla obudzenia wiary odbiorcy (nawet w słoneczny dzień babiego lata) twórca musi uczynić realnymi, nawet nadrealnymi, nadać im choćby pozór prawdopodobieństwa. Angel mówił i mówił cały dzień, a przed zapadnięciem nocy stał się pisarzem. W jego opowieści Rose Rose i wszyscy inni bohaterowie wiedli żywot królewski. Nikt nikomu niczego nie miał za złe. Wszystko – jak mawiają w Maine – działało jak w zegarku.

W niektórych momentach Rose Rose popłakiwała; częściej jednak pieczętowali kolejne rozdziały pocałunkiem. Tylko parę razy Rose Rose przerwała Angelowi opowieść, prosząc o powtórzenie fragmentu, który wydał jej się szczególnie mało wiarygodny.

– Chwileczkę – mówiła wtedy. – Powiedz to jeszcze raz, tylko wolniej, bo nie nadążam.

Im bliżej było wieczoru, tym bardziej dokuczały komary. Angel wyobraził sobie, jak siedzą wszyscy razem w domu przy kominku i Wally, na prośbę Rose Rose, opowiada o azjatyckich komarach nad polem ryżowym.

„Komary w naszych sadach to pestka w porównaniu z japońskim B” – mówiłby Wally. Ale tego już Angel nie zdążył opowiedzieć Rose Rose. Dziewczyna chciała wstać, gdy nagle skurcz – być może skutek uderzenia o ramę roweru – powalił ją z

powrotem na kolana. Padła, jakby ktoś podciął jej nogi. Angel przytrzymał ją za ramiona.

– Zrobiłaś sobie krzywdę na rowerze, tak? Powiedz – prosił.

– Staralam się – powiedziała Rose Rose.

– Co ty mówisz? – nie zrozumiał Angel.

– Staralam się zrobić sobie krzywdę. Ale chyba nic z tego nie wyszło – odparła Rose Rose.

– Ale dlaczego? Po co?

– Żeby poronić.

– Jesteś w ciąży?

– Tak. Znowu. Tak mi się zdaje. Widocznie komuś bardzo na tym zależy, żebym w kółko rodziła dzieci.

– Ale komu? – zdumiał się Angel.

– Nieważne.

– Nie ma go tu na miejscu?

– Jest, jest – westchnęła Rose Rose. – No, nieważne.

– Ojciec twojego dziecka jest tutaj?

– Ojciec tego jest, owszem – poklepała się po płaskim brzuchu.

– Który to? – spytał Angel.

– Nieważne. Opowiedz mi jeszcze raz to, co przedtem. Tylko teraz z dwojgiem dzieci. Ty, ja, cała reszta, i dwoje dzieci. Fajnie będzie, co?

Angel popatrzył na nią, jakby mu dała w twarz. Rose Rose pocałowała go, objęła i zmieniła ton.

– No widzisz? – szepnęła przytulona. – Wcale by nie było fajnie na plaży.

– Chcesz mieć to dziecko? – spytał Angel.

– Już mam dziecko – odpowiedziała. – Tego nie chcę! – Mówiąc „tego”, walnęła się z całej siły pięścią w brzuch, aż zaparło jej dech i znów zgięła się wpół. Angel mimo woli pomyślał, że Rose Rose leży na trawie w pozycji embrionalnej.

– Co chcesz: kochać się ze mną, czy mi pomóc? – spytała Rose Rose po chwili.

– Jedno i drugie.

– Jedno i drugie się nie da. Jak nie jesteś głupi, to będziesz wolał mi tylko pomóc. Lepiej będzie dla ciebie.

– Możesz zamieszkać ze mną – powiedział Angel.

– Nie wspominaj mi o tym nigdy więcej! – rozłościła się Rose Rose. – I nie wymyślaj mi imion dla dziecka. Tylko mi pomóż.

– Ale jak? – spytał Angel bezradnie. – Wyszystko dla ciebie zrobię!

– Załatw mi skrobankę – odparła Rose Rose bez namysłu. – Nie jestem stąd; nikogo tu nie znam i nie mam forsy.

Angel miał nadzieję, że suma, którą zaoszczędził na swój pierwszy własny samochód – około pięciuset dolarów – wystarczy na opłacenie aborcji. Kłopot polegał jednak na tym, że pieniądze ulokowane były w banku, a rachunkiem dysponowały dwie osoby: ojciec Angela i Candy. Bez ich podpisu Angel nie mógł podjąć ani grosza. Co gorsza, o ewentualnym wykonawcy zabiegu, Herb Fowler, którego Angel odwiedził w domu, wypowiadał się nader mętnie.

– Jest taki jeden pierdoła, Hood się nazywa. Emerytowany doktor z Cape Kenneth. Ale on przyjmuje aż nad Wodą Pitną, w domku kempingowym. Całe szczęście, że jeszcze mamy lato. Chociaż on podobno i w zimie tam urzęduje.

– A ile to może kosztować? – spytał Angel.

– Kupę forsy! – powiedział Herb. – Ale i tak mniej niż utrzymanie dzieciaka.

– Dzięki, Herb.

– Gratulacje – rzekł mu na pożegnanie Herb Fowler. – Nie przypuszczałem, że już ci tak urósł.

– Owszem, nie skarzę się – zadarł głowę Angel.

Wertując książkę telefoniczną stwierdził jednak, że w spisie abonentów z tej części stanu Maine nie figuruje ani jeden doktor Hood, a imienia doktora Herb nie znał. Telefonowanie do wszystkich Hoodów po kolei z pytaniem, czy pan wykonuje aborcje, absolutnie nie wchodziło w rachubę. Angel uznał, że skoro i tak będzie musiał powiedzieć coś ojcu i Candy, żeby mu pozwolili podjąć pieniądze, to woli powiedzieć im prawdę, i to od razu.

Wally był zbudowany jego odwagą.

– Złoty chłopak z tego Angela! – powiedział. – Nigdy niczego nie ukrywa; nie boi się prawdy.

– Zdradziła ci, kto jest ojcem dziecka? – spytał Angela Homer Wells.

– Nie, nie chciała powiedzieć – odparł Angel.

– Może Brudas? – zasugerował Wally.

– Raczej Brzoskwinia – powiedziała Candy.

– Skoro dziewczyna i tak nie chce się przyznać, to nieważne. Ważne, że nie chce tego dziecka – orzekł Homer Wells. – Czyli trzeba jej umożliwić aborcję.

Wally i Candy milczeli: w tej sprawie Homer był dla nich wyrocznią.

– Tylko do którego Hooda zadzwonimy, skoro w książce telefonicznej żaden nie jest doktorem? – zmartwił się Angel.

– Ja znam tego Hooda – powiedział Homer. – To nie jest lekarz.

– Herb mówił, że lekarz, emerytowany – rzekł Angel.

– Emerytowany, owszem, ale nauczyciel biologii – wyjaśnił mu Homer Wells, który nie miał wątpliwości, o jakim Hoodzie mowa. Pamiętał, jak ten specjalista pomylił macicę królika z owczą. Ciekaw był tylko, ile macic, zdaniem Hooda, ma kobieta. I czy Hood wykonuje zabiegi ostrożnie, jeżeli wie, że tylko jedną.

– Nauczyciel biologii? – zdumiał się Angel.

– I to kiepski – uzupełnił obraz Homer.

– Herb Fowler też powiada, że gość gównem wie – wtrącił Wally.

Myśl o bezmiarze ignorancji pana Hooda przeszła Homera dreszczem.

– Nie ma mowy o oddaniu jej w łapy tego rzeźnika – postanowił. – Zawieziesz ją do St. Cloud's – zwrócił się do syna.

– Ale mnie się wydaje, że ona nie chce urodzić tego dziecka – zaproponował Angel. – A gdyby jednak urodziła, to go raczej nie zostawi w sierocińcu.

– W St. Cloud's, Angelu, nie musi go koniecznie urodzić. Może tam mieć aborcję – oświadczył synowi Homer Wells.

Wally wykonał nerwowy manewr wózkami, w przód i w tył.

– Ja tam kiedyś miałam aborcję, Angelu – odezwała się Candy.

– Ty? – zdziwił się Angel.

– Jeszcze przed wypadkiem Wally'ego, przed wojną... – Candy chciała mówić dalej, ale Angel jej przerwał.

– Doktor Larch, tak? – zwrócił się do ojca.

– Jasne – powiedział Homer Wells.

Myślał jednocześnie, że wobec groźby „dowodów” pozostających od niedawna w rękach rady nadzorczej, trzeba jak najprędzej wysłać Angela i Rose Rose do St. Cloud's, najlepiej pierwszym pociągiem. Kto wie, jak długo jeszcze pozwolą doktorowi Larchowi kontynuować praktykę.

– Zaraz zadzwonię do doktora Larcha – postanowił. – Pojedziecie z Rose Rose najbliższym pociągiem.

– Albo odwiozę ich cadillakiem – zaofiarował się Wally.

– Nie, Wally, to za daleka jazda dla ciebie – rzekł Homer.

– Baby Rose może zostać u mnie – powiedziała Candy.

Uznali, że najlepiej będzie posłać Candy do tłoczni po Rose Rose i jej córeczkę. Pojawienie się tam Angela o tak późnej godzinie, i z misją co najmniej dziwną, tylko sprowokowałyby Pana Rose do awantury.

– Ze mną nie będzie się kłócił – rzekła Candy. – Powiem mu, że wygrzebałam masę starych dziecięcych ubranek i chcemy razem z Rose poprzymierzać je małej.

– Tak nagle? W nocy? Na litość boską, Pan Rose nie jest idiotą! – skrytykował plan Wally.

– Nie musi mi wierzyć, nie dbam o to – odparła Candy. – Ważne, żeby wyciągnąć stamtąd dziewczynę i dziecko.

– Zgoda. Ale czy konieczny jest aż taki pośpiech? – spytał Wally.

– Obawiam się, że tak – odpowiedział mu Homer Wells. Nie mówił Candy i Wally’emu o tym, że doktor Larch szykuje sobie następcę, ani o wyssanych z palca rewelacjach, które dotarły ostatnio do rady nadzorczej. Sierota umie trzymać język za zębami. Sierota jest skryty. Długo się waha, zanim coś wyjawia światu.

W St. Cloud’s telefon odebrała siostra Karolina. Wstrząśnięte, pogrążone w żałobie kobiety uznały zgodnie, że głos siostry Karoliny brzmi przez telefon najbardziej dziarsko. Wszystkie cztery zapoznawały się na gwałt z napoczętymi planami doktora Larcha, a także z jego opasłą *Krótką historią St. Cloud’s*. Ile razy zadzwonił telefon, truchlały ze strachu, że to rada nadzorcza.

– Karolina? – upewnił się Homer Wells. – Mówi Homer. Chciałbym rozmawiać ze starym.

Siostra Angela, siostra Edna i pani Grogan kochały Homera Wellsa bezwarunkowo, nawet po ostatniej kategorycznej odmowie, ale siostra Karolina była od nich znacznie młodsza i jej uczucie do Homera nie osłaniał welon czułości, jaką odczuwamy wobec ludzi znanych nam od niemowlęctwa. Zdaniem siostry Karoliny Homer Wells zdradził Larcha i nie mógł sobie wybrać gorszego momentu na telefon do „starego”. Bezpośrednio po śmierci Larcha żadna z trzech starszych kobiet nie czuła się na siłach zadzwonić do Homera z przykrą wiadomością, a siostra Karolina nie chciała tego zrobić.

– W jakiej sprawie? – spytała lodowatym tonem. – Namyśliłeś się?

– Mam problem – powiedział Homer Wells. – Koleżanka mojego syna, która pracuje u nas sezonowo, ma nieślubne dziecko i jest w ciąży z następnym.

– No to będzie miała dwoje nieślubnych dzieci – zawyrokowała siostra Karolina.

– Nie zgrywaj się, Karolino! Muszę pogadać ze starym.

– Ja też bym chętnie z nim pogadała – odparła siostra Karolina łamiącym się głosem. – Larch umarł.

– Nie zgrywaj się – szepnął Homer Wells i serce mu zatrzepotało.

– Przesadził z eterem. Koniec z Bożym dziełem w St. Cloud's. Będziesz musiał sam się wziąć do roboty.

Siostra Karolina odłożyła – właściwie rzuciła – słuchawkę. Homerowi aż zadzwoniło w uszach: usłyszał szorowanie napierających na siebie kłód w spienionej wodzie, która porwała małżeństwo Winkle'ów. Oczy go piekły tak jak kiedyś, nocą, w kotłowni u Draperów w Waterville, gdzie ubierał się przed ucieczką. W gardle czuł ten sam ból, schodzący na płuca, który poznał, bezskutecznie próbując zmusić uspięne lasy Maine do powtórzenia okrzyku „Fuzzy Stone!”

Snowy Meadows znalazł szczęście w stolarskiej rodzinie Marshów – miał fart, pomyślał Homer. Nie znał innych sierot, które przemysł stolarski mógłby uszczęśliwić. Jego samego uszczęśliwiała, przynajmniej niekiedy, praca w sadzie. Wiedział jednak doskonale, co by mu na to odpowiedział Larch: szczęście nie jest najważniejsze; o wiele ważniejszą rzeczą jest być użytecznym niż szczęśliwym.

Homer zamknął oczy i wyobraził sobie kobiety wysiadające z pociągu na stacji St. Cloud's. Stawały na peronie i nie wiedziały, co dalej. Homer pamiętał twarze z oświetlonych gazową lampą sań: obraz rozjaśniał się, ilekroć płoza skrzesła skry o łąkę nagiej ziemi z przenikliwym zgrzytem, od którego pasażerki krzywiły się mimo woli. Potem, na krótko, władze miasteczka spojrzały na St. Cloud's łaskawszym okiem i do szpitala kursował autobus: niewyraźne twarze po drugiej stronie zachuchanych szyb szczelnie zamkniętego pojazdu zdawały się należeć do obcego świata – Homer Wells widział je tak, jak one same postrzegały otoczenie w ostatniej fazie przytomności pod eterem.

Odkąd autobus przestał jeździć, pacjentki przychodziły ze stacji pieszo. Homer Wells widział je oto okiem wyobraźni: było ich więcej niż pamiętał, znacznie więcej – cała armia. Maszerowały równym krokiem, w milczeniu, wszystkie po to samo.

Siostra Karolina nie da sobie zrobić krzywdy – pomyślał. Ale gdzie się podzieją siostra Edna, siostra Angela i pani Grogan? Ujrzał nagle pełne nienawiści i pogardy oczy Melony. Jej bym pomógł, gdyby zaszła w nie chcianą ciążę – pomyślał. I w tej samej chwili zrozumiał, że trochę, odrobinę, chciałby zabawić się w Pana Boga.

Wilbur Larch zaraz by mu powiedział, że Pana Boga nie da się odgrywać tylko trochę; że kto się na to decyduje – musi grać na całego.



Myśli kłębiły się w głowie Homera. Nagle sięgnął do kieszeni i trafił na ogarek świecy, którą Pan Rose oddał mu z ironicznym komentarzem: „Regulamin zabrania, co?”

Na nocnej szafce Homera, między lampką a telefonem, leżał stary egzemplarz *Dawida Copperfielda*. Homer nie musiał go nawet otwierać – dobrze wiedział, jak się zaczyna: „Czy okażę się bohaterem własnego życia, czy też rolę tę odegra ktoś inny – dowiodą stronicie tej książki” – wyrecytował z pamięci.

Pamięć miał doskonałą: zachował w niej nawet dokładne rozmiary stożkowatych masek do eteru, które doktor Larch zawsze upierał się sporządzać własnoręcznie. Przyjął najprostszy model: stożek z ligniny usztywnionej pergaminem. W otwartym czubku stożka tkwił chłonący eter wacik. Larch robił taką maskę w trzy minuty. Rozmiary były różne, w zależności od twarzy usypianej osoby.

Homer wolał gotowe maski firmy Yankauer – konstrukcje oparte na metalowych siateczkach w kształcie łyżki wazowej, obudowanych kilkoma warstwami gazy. W takiej właśnie maseczce Yankauera zdeponował ogarek świecy z tłoczni. Na ogół trzymał tam drobne, czasami zegarek. Tym razem na dnie maski znalazł starą gumę do żucia w spłóciwym zielonym papierku i szylkretowy guzik od tweedowej marynarki. Okrywająca maskę gaza pożółkła i obrosła kurzem – ale wystarczyło ją zmienić, żeby maska nadawała się do użytku. Homer Wells postanowił zostać bohaterem własnego życiorysu.

Zszedł na dół. Angel pchał Wally’ego na wózku dookoła kuchni: bawili się tak w chwilach zdenerwowania lub nudy. Angel stał na tylnej platformie wózka, jak na hulajnodze, i dawał napęd (Wally sam nie umiał aż tak się rozpędzić), a Wally tylko sterował i nagłymi zwrotami starał się omijać sprzęty. Chociaż jako pilot miał w tym znaczną wprawę, zawsze w końcu Angel przekroczył prędkość i wpadali na coś z wielkim trzaskiem i hukiem. Candy złościła się, ale nic to nie dawało: Angel z Wallym nie rezygnowali z zabawy (szczególnie pod nieobecność Candy w domu). „Bawimy się w samolot?” – rzucał hasło Wally, a Angel nie dawał się dwa razy prosić. Głównie gdy nie wiedzieli, co z sobą robić. Teraz też tak było: Candy poszła do tłoczni po Rose Rose i niemowlę, a Angel z Wallym bawili się w samolot.

Na widok Homera stanęli jak wryci.

– Co jest, stary? – spytał Wally.

Homer ukląkł przy wózku, oparł głowę na kolanach Wally’ego i powiedział:

– Doktor Larch umarł.

Wally objął płaczącego przyjaciela. Homer płakał tylko chwilę. Płacz sieroty trwa krótko. Jedynym znanym Homerowi wyjątkiem od tej reguły był Curly Day. Otarłszy łzy, Homer zwrócił się do Angela:

– Coś ci opowiem. I poproszę cię o pomoc.

Poszli razem do szopy na narzędzia ogrodnicze. Tam Homer przebił zatyczką jedną ze stugramowych puszek eteru. Natychmiast załzawiły mu się oczy: nigdy nie rozumiał, jak Larch może lubić to świństwo.

– Sam wpadł w nałóg – powiedział Homer synowi – ale był mistrzem w znieczulaniu minimalnymi dawkami. Umiał tak precyzyjnie wymierzyć dawkę, że pacjentka rozmawiała z nim całkiem przytomnie, a samego zabiegu w ogóle nie czuła. Nieraz byłem tego świadkiem.

Zabrali eter na górę, do sypialni Angela. Homer polecił Angelowi posłać drugie, nie używane łóżko i rozłożyć pod czystym prześcieradłem ceratkę, którą kładło się tam w czasach, gdy malec siusiał w pieluchy.

– Dla Baby Rose? – spytał Angel.

– Nie, nie dla Baby Rose. – Homer rozpakował narzędzia chirurgiczne. Angel, siedząc na swoim łóżku, obserwował każdy ruch ojca.

– Woda się gotuje! – zawołał z dołu Wally.

– Mówiłem ci, że nieraz pomagałem doktorowi Larchowi, pamiętasz? – spytał Homer syna.

– Jasne – rzekł Angel Wells.

– Wiele się przy tym nauczyłem – ciągnął Homer. – Bardzo wiele. Nie jestem amatorem. Właśnie to ci chciałem powiedzieć.

Ułożone wzorowo narzędzia tchnęły ponadczasowością i perfekcją.

– Mów dalej – poprosił Angel. – Powiedz mi więcej.

W ciszy domu słychać było tylko hurgot wózka inwalidzkiego, którym Wally jeździł – latał – z pokoju do pokoju.

Homer Wells zmieniał gazę na masce Yankauera i opowiadał synowi wszystko od początku, poczynając od dzieła Bożego i Szatańskiego, które dla Wilbura Larcha były jednym i tym samym dziełem Bożym.

Candy aż się wzdrygnęła, gdy światła jeepa wyłowiły z ciemności dach tłoczni, a na nim szereg sztywnych, nieruchomych sylwetek, usadowionych wzdłuż krokwi na podobieństwo wielkich, żalobnych ptaków. Wszyscy siedzą na dachu – pomyślała Candy, ale myliła się: Pan Rose i jego córka byli w baraku, a reszta ludzi czekała tam, gdzie im kazano czekać.

Candy wysiadła z jeepa. Nikt się do niej nie odezwał. W baraku nie paliło się światło. Gdyby reflektory nie wytropiły ludzi na dachu, pomyślałaby pewnie, że wszyscy śpią.

– Hej tam! – zawołała. – Któregoś dnia ten dach się zawali, zobaczycie!

Milczenie czarnych ludzi przeraziło ją nagle. Oni tymczasem bali się jeszcze bardziej: nie wiedzieli, co jej powiedzieć. Wiedzieli tylko, że Pan Rose źle się zabawia ze swoją córką, a im strach nie pozwala zaprotestować.

– Brudas? – odezwała się Candy po chwili.

– Jestem, pani Worthington! – zameldował się Brudas.

Candy podeszła do rogu baraku, gdzie dach opadał najniżej: tam wszyscy się wspinali po starej drabinie z sadu. Ale nikt nie kwapił się przytrzymać górnego końca drabiny dla Candy.

– Brzoskwinia?

– Słucham, proszpani – odezwał się Brzoskwinia.

– Niech mi ktoś potrzyma drabinę – poprosiła Candy.

Uczynili to Brudas z Brzoskwinią, a Czarna Patelnia podał Candy rękę, gdy przechodziła z drabiny na dach. Mężczyźni rozsunęli się. Candy usiadła między nimi.

Nie widziała twarzy zbyt dokładnie, ale bez wątpienia rozpoznałaby wśród nich Rose Rose; a Pan Rose – gdyby tam był – z pewnością by się do niej odezwał.

Pierwszy odgłos, który ją dobiegł z tłoczni – dokładnie spod miejsca, gdzie siedziała – wzięła Candy za kwilenie dziecka.

– Tam – Czarna Patelnia wskazał wzrokiem migoczące światłami wybrzeże – było całkiem inaczej, jak Wally był mały. Inny kraj.

Odgłos z dołu zaczął się nasilać.

– Piękna noc, prawda, proszę pani? – zagadnął Brzoskwinia.

Noc wcale nie była piękna. Była wyjątkowo pochmurna. Candy pojęła nagle, co słyszy spod dachu. Zemdlilo ją.

– Niech pani lepiej nie staje, pani Worthington – ostrzegł ją Brudas. Candy wstała jednak i tupnęła z impetem w blaszany dach, a potem uklękła i jęła bębnić w niego pięściami.

– To bardzo stary dach, pani Worthington – zafrasował się Czarna Patelnia. – Trzeba uważać, żeby nie przebić dziury i nie wlecieć do środka.

– Chcę zejść, pomóżcie mi!

Brudas z Brzoskwinią podali jej ręce, a Czarna Patelnia posuwał się przed nimi w stronę drabiny. Candy, nie bacząc na stromiznę dachu, próbowała dalej tupać.

W połowie drabiny zawołała głośno:

– Rose! – Nie umiała się zdobyć na komiczny okrzyk „Rose Rose”, a „Panie Rose” nie przeszłoby jej chwilowo przez usta. – Rose! – krzyknęła raz jeszcze, sama za bardzo nie wiedząc, które z nich właściwie wzywa. W drzwiach tłoczni stanął Pan Rose. Kończył się ubierać: upychał właśnie koszulę w nie dopięte spodnie. Wydał się Candy mizerniejszy i starszy niż za dnia. Uśmiechnął się, co prawda, ale nie spojrzał jej w oczy z właściwą sobie uprzejmą obojętnością.

– Nie chcę słyszeć ani słowa! – ostrzegła go Candy, chociaż Pan Rose bynajmniej nie wydawał się skory do mówienia. – Twoja córka zabiera dziecko i idzie ze mną.

Candy minęła w przejściu Pana Rose i weszła do baraku. Szukając po omacku kontaktu, natrafiła na wystrzępiony regulamin tłoczni.

Rose Rose siedziała na łóżku. Zdążyła wciągnąć dżinsy i podkoszulek, ale szmaragdowy kostium z różowym wężykiem trzymała na kolanach, nie umiała go bowiem włożyć w pośpiechu. W rękę trzymała but roboczy – jedyny, który udało jej się znaleźć po ciemku. Drugi but stał głęboko pod łóżkiem. Candy wyciągnęła go stamtąd i nasunęła na właściwą stopę dziewczyny; Rose Rose nie nosiła skarpetek. Candy ściągnęła i zawiązała sznurówkę. Rose Rose siedziała jak kukła. Candy ubrała ją w drugi but, który także zasznurowała.

– Idziesz ze mną. Dziecko też – oświadczyła krótko.

– Tak, proszpani – powiedziała Rose Rose.

Candy otarła jej łzy szmaragdowym kostiumem z wężykiem.

– Już wszystko dobrze, już dobrze – zapewniała. – Dojdiesz do siebie. U nas nikt nie zrobi ci krzywdy.

Baby Rose spała jak aniołek. Candy jak najostrożniej wzięła ją na ręce i podała matce. Rose Rose szła niepewnie. Candy otoczyła ją ramieniem i tak wyszły z baraku.

– Wszystko będzie dobrze – Candy ucałowała dziewczynę w spocony kark, a Rose Rose wsparła się mocniej na jej ramieniu.

Pan Rose stał w mroku między jeepem a barakiem. Reszta mężczyzn siedziała dalej na dachu.

– Wracasz – rozkazał córce Pan Rose. Nie było to pytanie.

– Proszę się do mnie nie odzywać, już mówiłam! – upomniała go Candy, pomagając Rose Rose z niemowlęciem wsiąść do jeepa.

– Mówiłem do córki – oświadczył z godnością Pan Rose.

Rose Rose nie odezwała się do ojca. Siedziała sztywno, jak posąg matki z dzieckiem na ręku. Candy zawróciła jeepa i odjechała spod tloczni. Dopiero wtedy Rose Rose nachyliła się ku niej i powiedziała:

– Nic na to nie mogłam poradzić.

– Oczywiście! Wiem o tym – zapewniła ją Candy.

– On nienawidzi ojca tej małej. Od tamtego czasu nie dawał mi spokoju.

– Teraz już nikt cię nie skrzywdzi – obiecała jej Candy, zanim weszły do domu.

Przez okna widać było, jak Wally lata z pokoju do pokoju.

– Znam ojca, pani Worthington – szepnęła Rose Rose. – Będzie mnie chciał z powrotem.

– Ale nie dostanie. Nie zmusi cię przecież.

– On sam ustala prawa – powiedziała Rose Rose.

– A gdzie jest ojciec twojej ślicznej córeczki? – spytała Candy, przytrzymując drzwi wejściowe przed Rose z niemowlęciem na ręku.

– Ojciec go porzwał, więc poszedł sobie. Już dawno. Już się nie chce ze mną zadawać – odparła Rose Rose.

– A twoja matka? Były już w domu.

– Umarła – powiedziała Rose Rose.

Zaraz potem Wally poinformował Candy o śmierci doktora Larcha. Gdyby nie to, po zachowaniu Homera nie poznałaby, że coś się stało. Przywitał ją jakby nigdy nic. Sierota umie się opanować.

– Jak się czujesz? – spytała go Candy, korzystając z tego, że Wally obwozi Baby Rose po pokojach na parterze, a Angel zabrał Rose Rose na górę, gdzie miejsce było już dla niej przygotowane.

– Trochę się denerwuję – wyznał Homer. – Nie samym zabiegiem. Mam wszystko, co potrzebne, i wiem, że umiem to zrobić. Tylko że dla mnie to jest żywa ludzka istota. Tego się nie da wytłumaczyć – dotykasz łyżką żywej tkanki, a ta tkanka reaguje, odpowiada... jakoś tak.

Candy przerwała mu pośpiesznie.

– Może będzie ci lżej, kiedy się dowiesz, kto jest ojcem. Pan Rose. Jej ojciec jest ojcem dziecka. Mam nadzieję, że to ułatwi ci działanie.

Na widok nieskazitelnie posłanego łóżka w pokoju dzieciennym Angela i połyskliwych narzędzi ułożonych wzorowo na sąsiednim łóżku, Rose Rose wpadła w lekki popłoch, objawiający się wzmożoną gadatliwością.

– Widzę, że to nie żarty – powiedziała, wciskając obie pięści w podolek. – To pierwsze wyciągali górą, nie tak, jak normalnie się rodzi.

Homer Wells stwierdził, że istotnie miała cesarskie cięcie: zapewne z uwagi na wiek i szerokość miednicy. Nie zdołał przekonać jej do końca, że tym razem wszystko pójdzie znacznie łatwiej i niczego nie będzie trzeba „wyciągać górą”.

– Zejdź na dół do Wally’ego, Angelu – poleciła chłopcu Candy.

– Powoźcie razem Baby Rose. Możecie porozwalać wszystkie meble – uśmiechnęła się, całując go na pożegnanie.

– Tak, ty lepiej wyjdź – poparła ją Rose Rose.

– Nie bój się. Homer wie, co robi – zapewniła ją Candy. – Jesteś w dobrych rękach.

Gdy Candy dezynfekowała miejsce zabiegu merkurochromem, Homer demonstrował dziewczynie narzędzia.

– To jest wziernik. Będzie zimny w dotyku, ale nie sprawi ci bólu. Nic nie poczujesz. Tak wygląda rozszerzadło.

Rose Rose nie chciała patrzeć; zamknęła oczy.

– Pan już to kiedyś robił, tak? – upewniła się.

Homer podał jej eter.

– Oddychaj normalnie – polecił. Po pierwszym wdechu Rose Rose otworzyła szeroko oczy i odwróciła twarz od maski. Candy ujęła jej głowę za skronie i delikatnie przywróciła do poprzedniej pozycji. – Zapach jest tylko w pierwszej chwili nieprzyjemny – powiedział Homer.

– Niech pan powie: robił pan to kiedyś? – ponowiła pytanie Rose Rose. Maską działała jak tłumik.

– Jestem dobrym lekarzem. Naprawdę – zapewnił ją Homer Wells. – Rozluźnij mięśnie i oddychaj normalnie. – Nie bój się – te słowa Candy były ostatnimi, które dotarły do Rose Rose, zanim eter wyzwolił ją z kleszczy świadomości.

– Umieć jeździć. – Miała na myśli rower. Homer obserwował jej ruchy. Kiwała energicznie palcami stóp. Po raz pierwszy w życiu stanęła na plaży; piasek był bardzo ciepły. Szedł przyływ. Woda obmyła kostki stóp Rose Rose. – Nic takiego – wymamrotała dziewczyna. Miała na myśli ocean.

Homer Wells regulował wziernik aż do uzyskania pełnej ostrości obrazu szyjki macicy. Wprowadził do środka pierwsze rozszerzadło. Zasklepiiony tunel rozwarł się i spojrział na Homera jak przebudzone oko. Miękką, nieco powiększoną szyjkę macicy spowijał zdrowy, przezroczysty śluz: niepowtarzalny odcień różowego wnętrza zaparł

dech w piersi zachwyconego Homera. Z dołu przez cały czas dobiegał hurgot wózka i nieustanny śmiech Baby Rose.

– Powiedz im, że nadmiar emocji może dziecku zaszkodzić – zwrócił się Homer do Candy, nie odrywając oka od wziernika. Powiedział to takim tonem, jakby Candy była od lat pracującą z nim pielęgniarką, nawykłą do wzorowego spełniania poleceń doktora, który z kolei przywykł je wydawać. Ani hałasy z dołu, ani odgłosy podjętej przez Candy próby pacyfikacji rozbrykanej trójki, nie zdołały rozproszyć uwagi Homera, bacznie śledzącego rozszerzanie się szyjki macicy aż do pożądanego rozwarcia. Za drugim razem na pewno pójdzie łatwiej – powiedział sobie Homer Wells. Rozumiał już bowiem, że nie wolno mu grać roli Boga w najokrutniejszej wersji; że skoro operuje Rose Rose, to nie będzie mógł w przyszłości odmówić zabiegu obcej kobiecie. Bo i na jakiej podstawie? Jedynie bogom wolno w takiej sytuacji mówić „Nie!” Będę stosował się do woli pacjentek – myślał Homer. Sierota albo aborcja.

Homer Wells oddychał wolno i regularnie: sam się zdumiał pewnością własnej ręki. Ani mrugnął, kiedy skrobaczka dotknęła celu. I nie odwrócił oka od cudu, który mu się ukazał.

Candy spędziła tę noc na wolnym łóżku w pokoju Angela; chciała być pod ręką, gdyby Rose Rose czegoś potrzebowała. Ale Rose Rose spała jak kamień, z uchylonymi ustami, poświstując z cicha przez szczelinę po brakującym zębie. Nie był to odgłos niemiły ani dokuczliwy, więc i Candy zapadła w zdrowy sen.

Angel przeniósł się na dół, do Wally'ego. Gadali w łóżu małżeńskim do późnej nocy. Wally opowiedział Angelowi, jak zakochał się w Candy. Angel znał już, co prawda, tę historię, ale teraz, gdy sam był zakochany (tak mu się przynajmniej zdawało) w Rose Rose, słuchał jej z nowym zaciekawieniem. Wally mówił też o Homerze: radził Angelowi pamiętać o ciemnej stronie świata, w którym dorastał jego ojciec.

– To prawda stara jak świat – wywodził. – Możesz wyrwać Homera z St. Cloud's, ale nie wyrwiesz St. Cloud's z Homera. A co do miłości, to pamiętaj, że ukochanej osoby do niczego nie wolno zmuszać. Naturalne dla każdego z nas jest pragnienie, żeby kochany człowiek chciał tego, czego my chcemy; tak jak naturalne jest przekonanie, że wiemy, co jest dla niego dobre – ale trzeba hamować te naturalne odruchy, trzeba pozwolić ukochanej osobie żyć własnym życiem. Nie mamy większych

praw wobec ludzi, których kochamy, niż wobec obcych. Trudno się z tym pogodzić. Bardzo często mamy chęć interweniować w ich życie, sterować nim...

– Najgorzej jest, kiedy chce się kogoś chronić, a nie można – wtrącił Angel.

– Nie jesteśmy w stanie ochronić innych, kolego. Możemy ich najwyżej kochać – powiedział Wally.

Gdy zasnął, przyśnił mu się spływ tratwą po rzece Irawadi. Któryś z birmańskich wybawców proponował mu cewnikowanie. Opłukał bambusowy pęd w brunatnej wodzie rzeki, wytarł jedną z jedwabnych szmat omotanych wokół wiklinowego kapelusza, i jeszcze popluł na niego dla pewności.

– Tera siki? – spytał uprzejmie.

– Nie, dziękuję. Teraz nie siki.

Zasypiający właśnie Angel uśmiechnął się, bo Wally powiedział to na głos przez sen.

Na górze, w sypialni małżeńskiej poprzednich państwa, Homer Wells spędzał noc bezsennie. Zaofiarował się wziąć pod opiekę Baby Rose – „bo tak czy owak nie będę spał”, powiedział. Przez kilkanaście lat zdążył zapomnieć, jak to przyjemnie zajmować się niemowlęciem. Czuł pewne pokrewieństwo z niemowlętami: tak samo jak on, zawsze czegoś chciały akurat w środku nocy. Baby Rose dostała swoją butlę i zaraz usnęła. Homer Wells znów został sam. Ale miło mu było chociaż patrzeć na śpiącą dziewczuszkę. Czarna buzia na poduszce obok niego nie była większa od dłoni Homera. Małe łapki od czasu do czasu wyciągały się w górę, a paluszki próbowały chwycić coś, co Baby Rose widziała we śnie. Oddech drugiej osoby nocą w uśpionym domu przypomniał Homerowi sypialnię w St. Cloud's. Z trudem odtworzył słynną formułę:

– Cieszymy się razem z doktorem Larchem – wymamrotał cicho. – Doktor Larch znalazł rodzinę. Dobranoc, doktorze Larch.

Doszedł do wniosku, że tylko siostra Angela mogła wygłosić te słowa, toteż list swój zaadresował do niej.

Śmierć doktora Larcha odebrała pani Goodhall sporą część przyjemności związanej z usuwaniem „starego pedała” ze stanowiska, jednak pewną pociechę napawała ją myśl o oddaniu St. Cloud's w ręce młodego misjonarza, który w ostatnich latach tak zajadle polemizował z Larchem. Doktor Gingrich również dostrzegał pewien przejaw wyższej sprawiedliwości w tym, że miejsce Larcha zajmie ktoś, kto doprowadzał starego doktora do szewskiej pasji, ale doktora Gingricha znacznie mniej interesował rozwój sytuacji w St. Cloud's, aniżeli analiza osobowości pani



Goodhall, będącej nadzwyczajnie zawilim splotem ślepej wiary we własną słusność i fanatycznej nienawiści.

Jak cała rada nadzorcza, tak i doktor Gingrich z niecierpliwością oczekiwał spotkania z młodym doktorem Stone'em – przede wszystkim dlatego, że pragnął obserwować zachowanie się pani Goodhall na tym spotkaniu. Pani Goodhall miała pewien tik: na wszystkie większe radości i przykrości reagowała skurczami prawego policzka. Doktor Gingrich spodziewał się, że konfrontacja z młodym doktorem-misjonarzem wprawi twarz pani Goodhall w rodzaj przejściowego paraliżu – i właśnie tego nie mógł się doczekać.

„Proszę, niech Siostra opóźnia, jak może, działania rady. Proszę ich powiadomić, że chwilowo nie może się Siostra skontaktować z doktorem Stone'em, gdyż jest on w trakcie przenoszenia się z jednego misyjnego szpitala w Indiach do drugiego. Powiedzmy, z Assamu do New Delhi. Proszę zaznaczyć, że skontaktuje się Siostra z nim nie wcześniej niż za tydzień i że jeśli doktora Stone'a zainteresuje propozycja objęcia kierownictwa St. Cloud's, to wolny będzie najwcześniej w listopadzie.”

Do listopada Homer miał nadzieję wyjawić Angelowi prawdę o jego pochodzeniu i dopilnować do końca zbiorów w sadzie.

„Siostry ze swej strony muszą przekonać radę, że są nie tylko doświadczonymi pielęgniarkami, ale i akuszerkami, zdolnymi odróżnić prosty poród od takiego, który wymaga interwencji lekarza” – pisał dalej Homer. „Proszę mi wybaczyć długą zwłokę, ale kto wie, czy rada nadzorcza nie nabierze do mnie większego zaufania właśnie dlatego, że każę na siebie czekać. Z Azji nie wraca się przecież z dnia na dzień.”

W tym samym liście Homer prosił siostrę Angelę o przysłanie mu wszystkich zapisków Larcha dotyczących kariery Fuzzy'ego Stone'a i uzupełnionych o to, co Larch mógł przeoczyć (choć Homer nie bardzo wierzył w możliwość takiego przeoczenia). Na koniec jak najkrócej zapewnił siostrę Angelę, że kochał Larcha, jak ojca” i że „nie należy się niczego obawiać ze strony Melony”.

Przeciwnie nieszczęsny Bob, który złamał jej nos i rękę: ten powinien był drzeć przed zemstą Melony. Niestety, nie był dość inteligentny, żeby się jej bać. Gdy Melony zdjęto gips z ręki, a jej nos mniej więcej wrócił do normy, Melony z Lorną zaczęły po staremu nawiedzać ulubione miejsca, a wśród nich pizzerię w Bath. Zastały tam Boba,

który miał nieostrożność po raz drugi zdrzeć z Melony. Zwiódł go jej wstydlivy uśmiech (z pokorną demonstracją marnego użębienia). Gdy Bob nieostrożnie ruszył w końskie zaloty do Lorny, Melony najspokojniej w świecie ucięła mu pół ucha. Posłużyła się nożycami do przewodów – nieodzownym i niezawodnym narzędziem każdego elektryka. Następnie złamała mu kilka żeber oraz nos i złoila go do nieprzytomności krzesłem. Melony mogła mieć miękkie serce dla St. Cloud's, ale poza tym wyznawała zasadę oko za oko, ząb za ząb.

– Jesteś bohaterką! – pochwaliła ją Lorna, lejąc miód na serce Melony, której słowo „bohater” kojarzyło się z dawnym obrazem Homera Wellsa.

Homer i dziś był bohaterem, tyle że nie dla Melony, a dla Rose Rose, która cały następny dzień po skrobance przeleżała w łóżku. Candy co pewien czas przynosiła jej małą, a Angel zaglądał do rekonwalescentki, ilekroć znalazł okazję.

– Polubisz ten pokój, zobaczysz – przekonywał ją Angel.

– Zwariowałeś – uśmiechnęła się Rose Rose. – Ale ja go już lubię – dodała zaraz.

Nie był to dobry dzień dla zbiorów: Pan Rose strajkował, a połowa brygady nie mogła się ruszyć, obolała po lekcji jazdy na rowerze. Nawet Homer (który do końca życia nie miał opanować tej sztuki) cierpiał z powodu spuchniętego kolana i siniaka średnicy melona na plecach, między łopatkami. Brzoskwinia odmówił wspinania się na drabinę: do końca dnia tylko ładował skrzynki na przyczepę i zbierał spady. Brudas chodził i jęczał. Ale on jeden z całej szkoły nauczył się jeździć. Czarna Patelnia ogłosił dzień postu dla całej brygady.

Pan Rose i tak pościł, z własnej woli. Jak stary Indianin siedział przed barakiem w mizernym słońku, owinięty w koc z łóżka, i do nikogo się nie odzywał.

– Strajkuje – szepnął Brzoskwinia na ucho Brudasowi, a Brudas, przekazując wiadomość Homerowi, dodał, że jego zdaniem Pan Rose nie tylko wstrzymał się od pracy, ale odbywa też strajk głodowy „i wszystkie inne strajki, jakie są”.

– No to musimy sobie radzić bez niego – orzekł Homer. Mężczyźni na paluszkach omijali Pana Rose, który rozsiadł się przed wejściem do tłoczni jak na tronie i ani drgnął.

– Jeszcze tam wrośnie i korzenie zapuści – dowcipkował po cichu Brzoskwinia.

Czarna Patelnia przyniósł strajkującemu filiżankę kawy i pajdę świeżego chleba z kukurydzianej mąki, ale Pan Rose nie tknął jadła ni napoju. Chwilami tylko wyglądał, jakby ssał smoczek. Dzień był chłodny. Kiedy blade słońeczko chowało się

za chmurę, Pan Rose naciągał koc na głowę i w ten sposób do końca odcinał się od reszty świata.

– Jak Indianin. Nie chce żadnych układów – powiedział Brzoskwinia.

– Chce widzieć córkę – poinformował Homera Brudas, gdy dzień chylił się ku wieczorowi. – Tyle do mnie powiedział, więcej nic. Chce ją widzieć. Mówi, że jej nie tknie.

– Powiedz mu, że może przyjść do domu i tam ją zobaczyć – odrzekł Brudasowi Homer Wells.

W porze kolacji Brudas przyszedł pod dom – sam. Candy zaprosiła go do środka, na kolację – Rose Rose też siedziała przy stole – ale Brudas się wstydził.

– Mówi, że tutaj nie przyjdzie – przekazał Homerowi wiadomość od Pana Rose. – Mówi, żeby ona przyszła do tłoczni. Kazał powiedzieć, że oni mają swoje prawa, i ty, Homer, te prawa łamiesz.

Rose Rose zamieniła się w słuch: przerwała żucie w pół kęsa, żeby przypadkiem nie uronić ani słówka z tego, co mówił Brudas. Angel chciał wziąć ją za rękę (zdziwił się, że taka zimna), ale Rose Rose cofnęła dłoń i obie ręce, okręcone serwetką ze stołu, wcisnęła między kolana.

– Słuchaj, Brudas – włączył się do rozmowy Wally. – Powiedz mu, że Rose Rose jest teraz w moim domu, a w moim domu obowiązują moje zasady. Jak chce, niech przyjdzie; drzwi stoją otworem.

– Nie przyjdzie – powiedział Brudas.

– Muszę do niego iść – odezwała się Rose Rose.

– Wcale nie musisz – sprzeciwiła się Candy. – Powiedz mu, Brudas, że albo tu się z nią zobaczy, albo nigdzie.

– Tak powiem, proszpani – obiecał potulnie Brudas, po czym zwrócił się do Angela: – Przyprowadziłem rowery. Podreperowaliśmy, ile się dało.

Angel wyszedł z nim obejrzeć rowery i wtedy Brudas wsunął mu w rękę nóż.

– Nie dla ciebie, Angel; daj go Rose Rose – poprosił. – Powiedz, że to ode mnie. Na wszelki wypadek.

Angel obejrzał nóż Brudasas: duży, składany, z kościaną rękojeścią (oblupaną w jednym miejscu) i z blokadą ostrza, uniemożliwiającą jego samoczynne zamknięcie się – a więc chroniącą palce trzymającego. Taki nóż, z ostrzem blisko piętnastocentymetrowej długości, trudno ukryć w kieszeni. Cienkie jak brzytwa ostrze zdradzało bliską i wieloletnią zażyłość z kamieniem szlifierskim.

– A tobie, Brudas, on niepotrzebny? – spytał Angel.

– Nie umiem się z nim obchodzić – wyznał Brudas. – Co go wyjmę, pakuję się w kłopoty.

– Dobrze; dam jej ten nóż – obiecał Angel.

– Powiedz jej jeszcze, że ojciec kazał powiedzieć, że ją kocha i tylko chce ją zobaczyć. Tylko zobaczyć – powtórzył Brudas.

Angel zastanowił się chwilę.

– Widzisz, Brudas – powiedział w końcu – ja kocham Rose Rose.

– Jasna rzecz – wzruszył ramionami Brudas. – Ja tak samo. Wszyscy się w niej kochają. To właśnie jej problem.

– Skoro Pan Rose chce ją tylko zobaczyć, to po co posyłasz jej nóż? – spytał nagle Angel.

– Żeby miała.

Angel przekazał nóż Rose Rose, gdy po kolacji siedzieli we dwoje w jego pokoju.

– Od Brudasa – powiedział.

– Widzę – odparła Rose Rose. – Wiem, kto jaki ma nóż. Każdy poznam. – Nóż Brudasa nie był sprężynowcem, a mimo to Angel aż podskoczył, gdy Rose Rose błyskawicznie otworzyła go jedną ręką. – Patrz, co ten Brudas zrobił – roześmiała się. – Ostrzył i ostrzył, aż zestrugał do połowy.

Zamknęła nóż o biodro. Tak szybko i zwinnie obracała go w swoich długich palcach, że Angel nagle stracił nóż z oczu – nie zauważył, gdzie Rose Rose go schowała.

– Skąd znasz się tak dobrze na nożach? – spytał.

– Od ojca. On mnie wszystkiego nauczył.

Angel przesiadł się na łóżko obok niej, ale Rose Rose zmierzyła go obojętnym wzrokiem.

– Już ci mówiłam – odezwała się jak do dziecka. – Lepiej się do mnie nie przystawiaj. I tak ci nic o sobie nie powiem, nie mogę. Lepiej dla ciebie, żebyś nie wiedział.

– Ale ja cię kocham – wyznał Angel.

Pocałowali się i Rose Rose nie oponowała, kiedy Angel dotykał jej piersi. Ale zaraz potem powiedziała:

– Czasami to, że ktoś kogoś kocha, Angel, niczego nie zmienia.

Baby Rose zapłakała i Rose Rose musiała się nią zająć.

– Już mam dla niej imię. Wiesz jakie? – odwróciła się do Angela. – Candy. Ona jest właśnie Candy – moim cukiereczkiem.

Pod koniec zbiorów wszyscy w domu wstawali wcześniej z rana, ale Rose Rose okazała się pierwsza. Angel, któremu się zdawało, że czuwał nad bezpieczeństwem domu przez całą noc, stwierdził, że Rose Rose i jej córka zniknęły bez śladu. Jeszcze przed śniadaniem Angel i Homer pojechali jeepem do tłoczni, tam jednak stwierdzili, że nie ma chyba tego ranka takiego miejsca, gdzie Rose Rose nie dotarłaby przed nimi. Mężczyźni, wszyscy już na nogach, zdradzali zdenerwowanie. Pan Rose siedział jak posąg na trawie przed barakiem, szczelnie owinięty kocem; tylko twarz miał odkrytą.

– Spóźniliście się. Wyjechała. Już dawno – powiedział.

Angel obiegił barak, nie znajdując ani śladu Rose Rose i dziecka.

– Powiedziała, że jedzie na palec. – Pan Rose na sekundę wystawił spod koca gołą rękę, z kciukiem uniesionym w geście autostopowicza. Natychmiast schował ją z powrotem.

– Nic jej nie zrobiłem. Nie tknąłem jej, Homer. Ja ją tylko kocham. Tylko chciałem ją zobaczyć – jeszcze raz.

– Współczuję ci – powiedział Homer Wells. Angel pobiegł szukać Brudasa.

– Kazała ci powiedzieć, że jesteś najfajniejszy – przekazał mu Brudas wiadomość od Rose Rose. – Że twój tata to bohater, a ty jesteś najfajniejszy.

– Mówiła, dokąd wyjeżdża?

– Sama nie wiedziała – odparł Brudas. – Wiedziała tylko tyle, że musi jechać.

– Przecież mogła zostać z nami! Ze mną! – rozszalał się Angel.

– Wiem, myślała nad tym – powiedział Brudas. – Ty też lepiej pomyśl.

– Już myślałem, i to długo! Bez przerwy o tym myślę! – rozszalał się Angel.

– A mnie się widzi, że ty jeszcze jesteś za młody na takie myślenie – uśmiechnął się Brudas życzliwie.

– Kocham ją!

– Wiedziała o tym. Ale ona dobrze wie, kim jest, i wie, że ty jeszcze nie wiesz, kim jesteś.

Angel poznał sam siebie nieco lepiej, szukając Rose Rose i wspominając wszystko, co się zdarzyło. We dwoje z Candy pojechali szosą wzdłuż wybrzeża najpierw na południe, na odległość godziny od domu, stamtąd zaś na północ – dwie godziny. Byli pewni, że nawet Rose Rose wie dość o stanie Maine, żeby nie zapuszczać się w głąb lądu. Nie mieli też wątpliwości, że młoda Murzynka z niemowlęciem na ręku zwraca uwagę miejscowych jako nietypowa autostopowiczka. Kierowcy na

pewno zabierali ją z szosy chętniej niż Melony – a przecież nawet Melony zawsze się trafił ktoś usłużny.

Pan Rose trwał w pozycji medytującego buddysty aż do popołudnia. Zignorował obiad. Po południu jednak poprosił Czarną Patelnię o szklankę wody, a gdy mężczyźni pod wieczór wrócili z sadu, przywołał do siebie Brudasa. Brudas bardzo się bał, ale przyszedł i stanął o jakieś dwa metry od siedzącego na trawie Pana Rose.

– Gdzie masz nóż, Brudas? Zgubiłeś? – zaczął przesłuchanie Pan Rose.

– Nie zgubiłem. Tylko nie mogę znaleźć – bąknął Brudas.

– Znaczą się, gdzieś tu leży, tak? Tylko nie wiesz gdzie?

– No, nie wiem.

– I tak ci się na nic nie przydał, co? – pytał dalej Pan Rose.

– Nie za bardzo.

Popołudnie było zimne i pochmurne, ale Brudas pocił się jak ruda mysz; stał przed Panem Rose z rękami zwieszonymi bezwładnie jak cepy.

– Skąd miała nóż, Brudas? – zmienił ton Pan Rose.

– Jaki nóż?

– Podobny do twojego, z tego co widziałem.

– Dałem jej – przyznał się Brudas.

– Dziękuję ci, Brudas – powiedział Pan Rose. – Jak ma jechać na palec, to dobrze, że wzięła nóż.

– Brzoskwinia! – rozdarł się Brudas. – Leć po Homera! – Brzoskwinia wyszedł z baraku i spojrzał na Pana Rose. Pan Rose ani drgnął; nawet nie spojrzał na Brzoskwinie. – Czarna Patelnia! – wrzasnął Brudas, gdy Brzoskwinia puścił się biegiem po Homera Wellsa. Czarna Patelnia ukazał się w drzwiach tłoczni, a potem podszedł do Brudasa. We dwóch uklękli i przyglądali się pilnie Panu Rose.

– Nic nie róbcie – poradził im Pan Rose. – Spóźniliście się. Już jej nikt nie złapie. Miała cały dzień, związała daleko – dodał z dumą.

– Gdzie cię załatwiła? – spytał Brudas, ale ani on, ani Czarna Patelnia nie mieli śmiałości zajrzeć pod koc. Wpatrywali się tylko w oczy i spierzchnięte usta Pana Rose.

– Ona wie lepiej od ciebie, do czego służy nóż! – powiedział Pan Rose do Brudasa.

– Wiem o tym – przyznał Brudas.

– Lepiej od was wszystkich albo prawie – dodał Pan Rose. – A kto ją nauczył?

– Ty – odpowiedzieli razem Brudas i Czarna Patelnia.

– Właśnie. Dlatego jest prawie tak dobra jak ja. – Powoli, bardzo powoli, nie odsłaniając ani kawałeczka ciała oprócz twarzy, Pan Rose przechylił się na bok, leżał w trawie i podciągnął kolana pod brodę. – Zmęczyłem się tym siedzeniem. Spać mi się chce – oznajmił Brudasowi i Czarnej Patelni.

– Gdzie cię załatwiła? – powtórzył pytanie Brudas.

– Nie myślałem, że to tak długo potrwa – powiedział Pan Rose. – Cały dzień, kto by pomyślał, zdawało mi się, że raz dwa i będzie po krzyku.

Kiedy Homer i Wally nadjechali jeepem, cała brygada w komplecie otaczała kręgiem Pana Rose. Pan Rose nie miał już wiele do powiedzenia Homerowi.

– Ty też łamiesz reguły, Homer – wyszeptał. – Powiedz, że rozumiesz, co ja czuję.

– Rozumiem, co czujesz – powiedział Homer Wells.

– Jasne – uśmiechnął się Pan Rose od ucha do ucha.

Nóż wszedł po prawej stronie ciała, tuż pod żebra. Homer wiedział, że ostrze wbite w tym miejscu ku górze musiało przebić wątrobę, powodując niezbyt gwałtowne, za to wielogodzinne krwawienie. Powolny krwotok mógł co pewien czas na krótko ustawać. Uszkodzona wątroba w większości przypadków wykrwawia się bardzo powoli.

Pan Rose skonał na rękach Homera, zanim Candy z Angelem wrócili z bezskutecznej pogoni za Rose Rose, ale i tak umierał w przekonaniu, że jego córka miała dość czasu, żeby uciec na bezpieczną odległość. Przed śmiercią zagłębił w krwawiącej ranie własny nóż i w ostatnim słowie zobowiązał Homera do świadczenia wobec władz, że sam się zadźgał. Nie mogło to być dalekie od prawdy, bo gdyby nie planował samobójstwa, to jakże taki mistrz sprzęzynowca jak on pozwoliby sobie zadać śmiertelny cios?

– Córka ode mnie uciekła – przedstawił Pan Rose swoim ludziom oficjalną wersję zdarzeń – a ja się zadźgałem z żalości. No, lepiej to powtórzcie! Niech usłyszę!

– Tak było – bąknął pierwszy Brudas.

– Zadźgałeś się własnymi rękami – dodał Brzoskwinia.

– Tak było – potwierdził Czarna Patelnia.

– Słyszałeś, Homer, co ludzie mówią? – spytał Pan Rose.

Taką też wersję przedstawił Homer w oficjalnym zeznaniu o śmierci Pana Rose – wersję zgodną z wolą zmarłego i z regulaminem tłoczni win. Nie ulegało wątpliwości, że Rose Rose złamała ten regulamin, ale wszyscy w Sadach Z Widokiem Na Ocean wiedzieli, jak Pan Rose łamał regulamin wobec niej.

Było po zbiorach. W szary, pochmurny poranek obłądny wichur dął od oceanu. Żarówka pod sufitem kuchni tłoczni błysnęła raz, drugi, i przepaliła się. Pacyny wytłoków oblepiające ścianę przy prasie i maszynie do rozdrabniania jabłek wyglądały w cieniu jak zgniłe, czarne liście, które wichur przygnał pod dach z jesiennego sadu.

Ludzie zbierali swój skromny dobytek. Homer Wells przyszedł rozdzielić premię. Towarzyszył mu Angel, który chciał pożegnać się z Brudasem, Brzoskwinia, Czarną Patelnią i pozostałymi. Wally już wcześniej umówił się z Czarną Patelnią, że za rok on zorganizuje sezonową brygadę. Wally miał rację: Pan Rose był w tej grupie jedynym, który umiał jako tako czytać i pisać. Brudas przyznał się Angelowi, że zawsze uważał kartkę przy drzwiach kuchennych za opis systemu elektrycznego baraku.

– Wisi koło kontaktu, no to myślałem, że tam pisze jak zapalać światło – wyjaśnił logicznie.

Resztę brygady stanowili kompletni analfabeci, którzy w ogóle nie zauważyli kartki na ścianie.

– Jakbyś ją spotkał, Brudas... – powiedział Angel, kiedy się żegnali.

– Na pewno jej nie spotkam – przerwał mu Brudas. – Wyjechała daleko.

A potem wszyscy wyjechali daleko. Angel już nigdy więcej nie miał spotkać Brudasa ani Brzoskwini, ani ich kolegów z tamtego roku. Tylko Czarna Patelnia powrócił po roku. Okazało się jednak, że żaden z niego brygadzysta: Czarna Patelnia był kucharzem, nie zbieraczem – a dobry szef musi pracować razem z ludźmi w sadzie. Brygadę przywiózł niezłą, ale słabo nad nią panował. Już nigdy nikt nie umiał rządzić sezonowymi tak jak Pan Rose. Wally próbował przez pewien czas najmować ludzi z francuskiej części Kanady, położonej bliżej Maine niż Północna i Południowa Karolina. Ale Kanadyjczycy awanturowali się i strasznie pili; Wally musiał bez przerwy to tego, to owego wyciągać z aresztu.

Raz zdecydował się na eksperyment najęcia komuny. Przyjechała grupa z tłumem małych dzieciaków. Strach było patrzeć, jak ciężarne kobiety łążą po drabinach. I bez przerwy coś gotowali; raz nawet wznieśli pożar w kuchni, na szczęście niegroźny. A mężczyźni pracujący przy prasie pozwalali dzieciarni pluskać się w kadzi z jabłecznikiem.

W końcu Wally znalazł naprawdę świetnych pracowników – z Jamajki; sympatycznych, łagodnych i sumiennych. Jamajczycy przywozili z sobą ciekawą muzykę i wielką namiętność do piwa (i marihuany w małych ilościach), którą jednak w razie potrzeby umieli temperować. Z owocami obchodzili się delikatnie; sobie nawzajem też nigdy nie wyrządzali krzywdy.



Od ostatniego lata Pana Rose w Sadach Z Widokiem pracownicy nie siadywali już na dachu tłoczni. Żadnej innej brygadzie nie przyszło do głowy wspinać się na dach. Regulamin też już nigdy więcej nie pojawił się przy kontakcie w kuchni.

Jedynie Angel Wells przychodził czasem posiedzieć na dachu, skąd lubił patrzeć na ocean i wspominać listopadowy dzień roku 195-, tuż po odjeździe Brudasa i reszty, kiedy zostali z ojcem sami w opustoszałym baraku.

– Wiesz co? Chodźmy na dach; pogadamy – zaproponował mu ojciec znienacka. – Przyszedł czas, żebyś się o wszystkim dowiedział.

– Opowiesz mi coś fajnego? – spytał Angel.

– Opowiem ci wszystko – rzekł Homer Wells.

Choć dzień był zimny, bo listopadowy, a wiatr od morza przeszywał wilgotnym chłodem, ojciec i syn nieprędko zeszli z dachu. Opowieść Homera była długa, a Angel miał sporo pytań.

Candy, mijając przejazdem tłocznię win i widząc ich na dachu, zmartwiła się, że zmarzną, ale postanowiła nie przeszkadzać i pojechała dalej. Miała nadzieję, że prawda ich rozgrzeje. Podjechała pod stodołę najbliższą targowiska, gdzie Everett Taft pomógł jej zamontować na jeepie brezentowy dach. Candy udała się następnie do kantorka, po Wally'ego.

– Dokąd się wybieramy? – uśmiechnął się Wally, patrząc, z jak wielką pieczołowitością Candy opatula kocem jego nogi. – Chyba za krąg polarny – zażartował, nie doczekawszy się odpowiedzi.

– Na przystań ojca – rzekła krótko Candy. Wally pamiętał, że przystań Raya, razem z całym gospodarstwem, wyleciała w powietrze, ale nic nie powiedział. Paskudna przydrożna knajpka Bucky Beana była już zamknięta na zimę. Candy i Wally nie spotkali nikogo. Candy przecięła jeepem pusty parking i wjechała na kamienny wał falochronu, strzegącego port Heart's Haven przed oceanem. Zatrzymała się dopiero tam, gdzie dalszą jazdę uznała za niebezpieczną – w pobliżu szczątków pomostu, na którym w dawnych czasach przesiadeli we dwójkę z Wallym tyle wieczorów.

Nie był to teren dla wózków inwalidzkich. Candy wzięła Wally'ego na rękę i przeniosła go przez piasek i kamienie na dość gładką i równą półkę skalną urwistego brzegu. Tam szczelnie owinęła nogi Wally'ego kocem, a sama usiadła tuż za nim, obejmując go ramionami i nogami – w ten sposób obojgu było cieplej. Zwróćeni w stronę Europy, wyglądali jak para saneczkarzy na zawodach tuż przed startem.

– To mi się podoba – powiedział Wally. Candy oparła podbródek na jego ramieniu i przytuliła policzek do jego policzka. Ramionami z całej siły otuliła jego męzny tors; nogami ścisnęła suche, wynędzniałe biodra.

– Bardzo cię kocham, Wally. – Tak zaczęła Candy swoją opowieść.

Pod koniec listopada, w sezonie walki z myszami, rada nadzorcza zaaprobowwała kandydaturę doktora F. Stone'a na stanowisko etatowego położnika i nowego dyrektora sierocińca. Decyzję poprzedziło spotkanie rady z doktorem F. Stone'em w siedzibie rady w Portland – rodzinnym mieście nieboszczyka Wilbura Larcha. Doktor Stone – który wydawał się nieco osłabiony długą podróżą z Azji do Ameryki, oraz niedyspozycją, którą sam zdiagnozował jako „lekki objaw dyzenterii” – wywarł na radzie jak najkorzystniejsze wrażenie. Spodobała się jego powaga i krótko, niemal po wojskowemu, przystrzyżona szpakowata czupryna („to wina hinduskiego cyrulika, państwo wybaczą” – mitygował się stając przed radą; autorką fryzury była Candy). Homer Wells (alias dr F. Stone) ogolony był bez przesadnej staranności; podobną cechę nosił jego strój – czysty, lecz nieco wymięty. Jego swoboda połączona z lekkim zniecierpliwieniem wobec obcych pasowała radzie do jej własnej wizji człowieka stale zajętego, który w związku z tym nie ma czasu ani na konwenanse, ani na przesadną dbałość o własny wygląd. Za chwalebne uznała rada również medyczne i wyznaniowe referencje doktora Stone'a: zwłaszcza co do tych ostatnich, pani Goodhall wyraziła nadzieję, że doktor Stone jako nowy dyrektor zdoła „zrównoważyć” niedostatki, jakie w tym względzie pozostawił po sobie doktor Larch.

Doktor Gingrich był zachwycony: przez całą konferencję z doktorem Stone'em (który nie pamiętał duetu Gingrich-Goodhall z przelotnego spotkania w hotelu Ogunquit) na twarzy pani Goodhall utrzymywał się spazm. Twarz młodego doktora-misjonarza wydała się Gingrichowi znajoma, lecz nie skojarzył jej z żałośnie nostalgicznym obliczem kochanka z hoteliku. Pani Goodhall też nie poznała Homera: albo tik pogorszył jej wzrok, albo też nigdy nie pomieściłoby jej się w głowie, że człowiek tak ofiarny, bez reszty oddany dzieciom, może wieść czynne życie seksualne.

Homer nie miał powodu pamiętać pani Goodhall i doktora Gingricha: świat roi się od takich jak oni, wiecznie skrzywionych malkontentów. Z kolei sam Homer zmieniał się nie do poznania w obecności Candy.

Doktor Stone zdumiał radę nadzorczą swoimi poglądami na sprawę aborcji: twierdził, że aborcja powinna zostać zalegalizowana, i zapowiadał energiczne działanie w tej sprawie. Jednocześnie deklarował niezłomny posłuch wobec obowiązującego prawa – dopóki ono obowiązuje. Przedstawił się jako bezwzględny

legalista. Rada z uznaniem patrzyła na zmarszczki wokół ciemnych oczu doktora Stone'a, świadczące w jej mniemaniu, o trudach i poświęceniu misjonarskiego życia. Sympatię rady obudziły też spalone azjatyckim słońcem policzki i nos ofiarnego opiekuna dzieci chorych na czerwonkę. (Homer nie na darmo nasiedział się więc pod kwarcówką Candy.) Rozwijając wątek religijny – na tym gruncie rada, a zwłaszcza pani Goodhall, czuła się znacznie pewniej niż na gruncie prawa – doktor Stone oświadczył, że nawet gdyby aborcja została zalegalizowana, on sam nie zamierza jej praktykować.

– Nie mógłbym – skłamał beczelnie, dodając, że w takiej sytuacji skierowałby nieszczęsną ciężarną do „któregoś z kolegów zdolnych i chętnych do wykonania zabiegu”. Ton jego głosu niedwuznacznie wskazywał na wielce krytyczny stosunek doktora Stone'a do „kolegów zdolnych i chętnych”; można się było domyślać, że działalność doktora Larcha (któremu winien był względy lojalności) jawiła mu się jako zdecydowanie sprzeczna z nakazem natury.

Jedynie nakaz „chrześcijańskiej tolerancji” pozwolił młodemu misjonarzowi utrzymywać z doktorem Larchem poprawne stosunki, pomimo dzielącej ich zasadniczej różnicy zdań. Większości członków rady zabrakło, widać, chrześcijańskiej tolerancji.

– Modliłem się za niego codziennie. I nadal się modłę – rzekł doktor Stone, a oczy dziwnie mu się zaszklily. Rada złożyła tę oznakę wzruszenia na karb „lekkiego objawu dyzenterii” i sama też się wzruszyła. Mięsień w policzku pani Goodhall wprost szalał.

Co do siostry Karoliny i jej socjalistycznych przekonań, doktor Stone sugerował, że jest to typowy przypadek niewłaściwego wykorzystania głębokiej wewnętrznej potrzeby czynienia dobra. Otoczenie źle pokierowało siostrą Karoliną w młodości i oto skutki. Doktor Stone nie miał wątpliwości, że kilka przykładów działalności komunistycznej partyzantki w Birmie (które zamierzał przedstawić zbłąkanej owieczce) odniesie właściwy skutek terapeutyczny. Zdołał też przekonać radę o tym, że obie starsze pielęgniarki i panią Grogan stać jeszcze na co najmniej parę lat pożytecznej pracy.

– Najważniejsze to odpowiednio pokierować ludźmi – stwierdził, ku głębokiej radości doktora Gingricha, entuzjasty idei „kierowania ludźmi”.

Doktor Stone rozłożył ręce. Pani Goodhall, widząc, jakie są twarde, szorstkie i spracowane, pomyślała z rozczuleniem, że szlachetny uzdrowiciel dzieciaków nieraz pewnie musiał pomagać w budowie chat, zakładaniu ogrodów i innych ciężkich

pracach miejscowej ludności. Wymawiając słowo „pokierować”, Homer Wells wyciągnął otwarte dłonie jak pastor witający w progu kościoła swoich wiernych albo jak dobrotliwy położnik, gotów przyjąć na świat największy skarb – główkę nowo narodzonego; tak odebrała gest Homera rada nadzorcza sierocińca.

Efektownym dopełnieniem świetnego wrażenia były kwieciste błogosławieństwa i *salamy*, których doktor Stone nie szczędził radzie na odchodnym.

– *Nga sak kin* – życzył im solennie misjonarz.

Koniecznie chcieli wiedzieć, co to znaczy. Wally nauczył Homera prawidłowej wymowy tych paru słów, które sam poznał w Birmie, ale mu ich nie przetłumaczył, bo sam nie wiedział jak. Przypuszczał, że trzy sylaby, którymi teraz doktor Stone zachwycił radę, były imieniem jego znajomego Birmańczyka. Homer zdecydował się na własną interpretację.

– Słowa te znaczą: „Niechaj Bóg czuwa nad twoją duszą, której nie sięgnie zniewaga”.

Po sali przebiegł szmer podziwu.

– I daje się to powiedzieć w trzech słowach? – wyraziła zdumienie ogółu pani Goodhall.

– To nadzwyczajny język – rozmarzył się na wspomnienie Azji doktor Stone i ponowił egzotyczne błogosławieństwo: – *Nga sak kin*.

Rada, jak w transie, powtórzyła je za nim chórem. Homer już cieszył się w duchu na myśl o tym, jak będą odtąd z czcią pozdrawiać się wzajemnie bzdurnym zawołaniem. Cieszyłby się na pewno jeszcze bardziej, gdyby wiedział, co znaczy „nga sak kin”, i gdyby wyobraził sobie, jak panie i panowie z rady z największym uszanowaniem życzą sobie nazwajem „klopsików rybnych w sosie curry”.

– Chyba się udało – oznajmił Homer Wally’emu, Candy i Angelowi przy wspólnej późnej kolacji w Sadach z Widokiem.

– Nic dziwnego – spojrzał na przyjaciela Wally. – Tobie nie takie rzeczy się udają; mam na to dowody.

Po kolacji Angel poszedł z ojcem na górę i przyglądał się, jak Homer pakuje starą czarną torbę lekarską i inne bagaże.

– Nie bój się, tato. Na pewno sobie poradzisz – powiedział Angel.

– Ty też na pewno sobie poradzisz, jestem pewien – odparł synowi Homer Wells. – O to jedno się nie martwię.

Z parteru dobiegł ich hurgot wózka: Candy wozila Wally’ego biegiem z pokoju do pokoju. Zwykle to Angel bawił się tak z Wallym – w „latanie”.

- Co tak wolno! Angel szybciej biega! – protestował Wally.
- Szybciej nie umiem! – zaśmiewała się Candy.
- Proszę cię, nie myśl o meblach! – zawołał Wally.
- Proszę, opiekuj się Wallym – poprosił Homer Angela. – I uważaj na matkę.
- Jasne – obiecał ojcu Angel Wells.

Przy zmiennej pogodzie Maine – szczególnie w dni pochmurne – w Heart's Rock wyraźnie dawało się odczuć niezmiennie ponurą obecność St. Cloud's. Aura St. Cloud's wisiała w nieruchomej ciszy nad Jeziorem Wody Pitnej jak długonogi owad (jakich tam pełno) kroczący po tafli wody. A nawet w mgłę toczącej się jak wielki kłęb waty po soczystych trawnikach najbogatszych domów w Heart's Haven czaiła się, jak przed burzą, nieuchwytna, ołowiana rozpacz, która przenikała wszystkie kąty St. Cloud's.

Candy, Wally i Angel spędzali w St. Cloud's wszystkie Boże Narodzenia i wakacje, a odkąd Angel miał prawo jazdy, mógł odwiedzać ojca tak często, jak chciał – czyli bardzo często.

Homer Wells nie odjechał do St. Cloud's samochodem – chociaż Wally chciał mu dać samochód – lecz pociągiem. Wiedział, że w St. Cloud's samochód na nic mu się nie przyda, ale przede wszystkim chciał od początku wczuć się w atmosferę. Postanowił przejść pieszo drogę pod górę ze stacji do sierocińca, jak to czyniły prawie wszystkie pacjentki.

Pociąg kierował się na północ, w głąb łądu. Na polach leżało coraz więcej śniegu – kończył się listopad. W okolicy St. Cloud's sinawy od mrozu śnieg grubo spowijał ziemię i przyginał do ziemi gałęzie drzew. Gdy pociąg zajechał na stację, zawiadowca, wściekły, że musiał odejść od telewizora, odgarniał śnieg z peronu. Przybysz wydał mu się podobny do Homera Wellsa; na szczęście budząca respekt czarna torba lekarska i świeżo wyhodowana broda doktora Stone'a przekonały go, że jest w błędzie. Homer zapuścił brodę, bo golenie po nadużyciu lampy kwarcowej stało się bolesne – a skoro ją już zapuścił, uznał, że to całkiem niegłupi pomysł. Doktor Stone z brodą – jak kamień obrosły mchem...

– Doktor Stone – przedstawił się zawiadowcy stacji. – Fuzzy Stone. Wychowałem się w tutejszym sierocińcu. Przyjeżdżam objąć obowiązki lekarza.

– Tak mi się wydawało, że skądś pana znam! – uradował się zawiadowca i z ukłonem potrząsnął ręką Homera.

Oprócz Homera Wellsa z pociągu wysiadła jeszcze tylko jedna pasażerka. Homer bez trudu domyślił się celu jej podróży. Chuda, młoda, w długim futrze z piżmowców, szaliku i narciarskiej czapce naciągniętej na oczy, czekała w pewnym oddaleniu, aż Homer rozstanie się z zawiadowcą stacji. Homer zatrudnił paru dworcowych obiboków, którzy jak zwykle czekali na taką okazję, do dźwigania bagaży, a sam z torbą lekarską udał się pod górkę ich śladem. Młoda kobieta podreptała za nim – a raczej za czarną torbą, która budziła w niej określone nadzieje.

W takim orydyku (kobieta celowo ociągała się z tyłu) dotarli prawie pod budynek dziewcząt. Homer przystanął nagle i poczekał na idącą za nim kobietę.

– Dobrze idę do sierocińca? – zapytała go.

– Jasne – uśmiechnął się Homer Wells. Odkąd zapuścił brodę, uśmiechał się szeroko, czasem aż za szeroko, gdyż niepokoił się, że ludzie nie widzą wyrazu jego ust.

– Pan jest lekarzem? – zadała następne pytanie, patrząc na śnieg oblepiający buty ich obojga i na czarną torbę lekarską.

– Tak. Jestem doktor Stone. – Wziął dziewczynę pod rękę i poprowadził do szpitalnego wejścia budynku chłopców. – Mogę pani w czymś pomóc?

Tym sposobem – jak to później skomentowała siostra Edna – Homer wrócił i przyprowadził z sobą (dosłownie) Boże dzieło. Siostra Angela zarzuciła mu rękę na szyję i wyszeptała prosto w ucho:

– Och, Homerze! Wiedziałam, że wrócisz!

– Mów do mnie „Fuzzy!” – poinstruował ją szeptem. Homer Wells przepadł bez śladu, jak Rose Rose.

Siostra Karolina przez pierwsze dni odnosiła się do niego nieufnie, ale kilkoma zabiegami i porodami łatwo przekonał ją, że nie jest szarlatanem. Nawet z nazwiska, doktor Stone – „kamień”, był godnym następcą doktora Larcha – „modrzewia”. Silny, twardy, przyziemny kamień – Stone – czyż to nie odpowiednie nazwisko dla lekarza?

Pani Grogan wyznała mu na powitanie, że lektura na dobranoc przestała ją cieszyć, odkąd przestał ją czytać Homer Wells (kiedy to było?). Nawet wada serca Homera Wellsa przydała się: Fuzzy Stone nie pozbył się do końca pozostałości przebytej w dzieciństwie astmy.

Candy i Wally Worthingtonowie rozwinęli działalność sadowniczą na wielką skalę. Wally przez dwie kadencje prezesował Towarzystwu Ogrodniczemu Maine, a Candy przez jedną kadencję dyrektorowała Instytutowi Jabłka na obszarze stanu Nowy Jork i Nowej Anglii. Angel Wells, który dzięki Rose Rose trafił do świata miłości i wyobraźni, miał pewnego dnia zostać pisarzem.

– On ma pisanie we krwi – mówił Wally do Homera Wellsa.

Candy zaś twierdziła, że niedaleko pada jabłko od jabłoni, bo pisarz to też ktoś, kto udaje lekarza, będąc jednocześnie naprawdę dobrym lekarzem.

Homer nie tęsknił za dawnym imieniem i nazwiskiem. I tak nigdy nie były prawdziwe. Równie łatwo wystąpił przed światem jako Fuzzy, dawniej jako Homer. A nazwisko Stone przyłgnęło doń jak kamień do procy.

W chwilach gdy dokuczało mu zmęczenie lub bezsenność, Homer tęsknił za Angelem albo myślał o Candy. Czasem żałował, że nie może wziąć Wally'ego na ręce i przenieść go za pierwsze fale, na głęboką wodę; albo „polatać” z nim na wózku po domu. Bywały noce, że bał się zdemaskowania „dzieła Bożego”, albo martwił się, co pocnie, gdy siostra Angela i siostra Edna będą za stare, żeby mu pomagać. I kto zastąpi panią Grogan? A kiedy był naprawdę bardzo zmęczony, śniło mu się, że aborcja jest legalna i on, Homer, może przestać wykonywać zabiegi, bo wykonują je za niego inni – ale tak bardzo zmęczony bywał niezmiernie rzadko.

Po jakimś czasie napisał w liście do Candy, że został socjalistą – a przynajmniej zaczął sympatyzować z tą ideologią. Candy zrozumiała, że Homer sypia z siostrą Karoliną, co, zdaniem Candy, mogło tylko posłużyć im obojgu – nie mówiąc o tym, jak bardzo było na rękę samej Candy.

Homer Wells codziennie czytał dzieciom na dobranoc *Jane Eyre*, *Dawida Copperfielda* i *Wielkie nadzieje*: z każdą lekturą odkrywał w tych powieściach nowe, nie znane przedtem perełki myśli i skojarzeń. Śmieszyło go, że kiedyś uważał Dickensa za „lepszego niż” Bronte. Jak można porównywać dwoje autorów tej klasy? Skąd się w ogóle bierze w ludziach ta infantylna skłonność do porównywania wszystkiego ze wszystkim? Gdy nie czytał Dickensa lub Bronte, uczył się z ciągle nie wyczerpanego źródła *Anatomii* Graya.

Tylko jednej rzeczy początkowo mu brakowało: właśnie miał ją zamówić, kiedy pojawiła się sama. „Palec Boży!” – orzekła pani Grogan.

Zawiadowca przysłał pilną wiadomość: na stacji jest do odebrania ciało. Adresat: doktor Stone. Ciało nadesłał szpital w Bath – stały dostawca doktora Larcha z czasów, gdy doktor Larch osobiście zamawiał materiał do sekcji zwłok. Homer Wells, przekonany, że zaszła pomyłka, udał się mimo to na stację, nie chcąc niepokoić nad miarę strachliwego zawiadowcy.

Homer tak długo wpatrywał się w zwłoki, zabalsamowane bez zarzutu, że nieszczęsny zawiadowca jednak nabrał podejrzeń.

– Niech pan to albo zabiera na górę, albo zaraz odsyła z powrotem – poganiał nerwowo „doktora Stone’a”, ale Homer Wells odprawił go machnięciem ręki. Chciał w spokoju postać chwilę nad zwłokami Melony.

Melony w ten właśnie sposób zadysponowała swoim ciałem i Lorna przekazała jej wolę patologowi szpitala w Bath. Melony przeczytała w lokalnej gazecie artykuł o nowym dyrektorze St. Cloud’s, z fotografią doktora Stone’a. Tego samego dnia zobowiązała Lornę do odesłania jej ciała w razie śmierci (zginęła przy pracy, porażona prądem) do doktora Stone’a w St. Cloud’s. „Może mu się w końcu na coś przydam” – powiedziała przyjaciółce. Homer dobrze pamiętał zazdrość Melony o Klarę.

Napisał do Lorny; korespondowali z sobą przez pewien czas. Lorna zapewniła Homera w liście, że w chwili wypadku Melony „była kobietą stosunkowo zadowoloną z życia”. Możliwe (tak sugerowała Lorna), że zadowolenie z życia osłabiło czujność Melony i niejako z tego powodu uległa porażeniu prądem. „Była marzycielką” – pisała Lorna. Homer nie zdziwił się wcale: wszystkie sieroty są marzycielami. „W końcu jednak zostałeś dla niej bohaterem” – poinformowała go Lorna.

Bliższe oględziny przekonały Homera, że ciało Melony nie nadaje się do powtórki z anatomii i chirurgii i że będzie musiał posłać do szpitala w Bath zamówienie na innego trupa. Z ciałem Melony los obszedł się zbyt okrutnie.

– Odesłać, panie doktorze? – szepnął wystraszony zawiadowca.

– Nie, zabiorę ją, tu jest jej miejsce – odparł Homer Wells i kazał wnieść Melony na górę. Trzeba było bardzo uważać, żeby pani Grogan nie ujrzała zmaltretowanych zwłok ulubienicy. Homer powiedział jej i siostrze, że Melony życzyła sobie być pochowana w St. Cloud’s. Pochowali ją w sadzie, pod jabłonią. Z powodu rozkrzewionych gęsto korzeni bardzo trudno było wykopać odpowiedni dół. Gdy wreszcie się to udało, siostra Karolina, prostując obolałe plecy, powiedziała:

– Nie znałam jej, ale to trudna sztuka.

(Wilbur Larch pisał niegdyś: „U nas w St. Cloud’s kocha się to, co trudne”.)

Pani Grogan zmówiła nad mogiłą Melony modlitwę kardynała Newmana, a Homer w (duchu) – swoją własną modlitwę za Melony. Zawsze wiele się od niej spodziewał, ale otrzymał jeszcze więcej: Melony była jego nauczycielką życia, pokazała mu światło. Homer nawet nie przypuszczał, jak bardzo jest Słoneczkiem.

(„Cieszymy się razem z Melony” – wyrecytował w duchu. „Melony znalazła rodzinę.”)

*Krótką historią St. Cloud’s, przez którą Homer przedzierał się mozolnie, słowo po słowie, okazała się bezcennym źródłem wiedzy i informacji. W pielgrzymce przez*



dzieło doktora Larcha towarzyszyły Homerowi niezmordowanie siostra Angela, siostra Edna, pani Grogan i siostra Karolina, które w ten sposób podtrzymywały Wilbura Larcha przy życiu.

Nie wszystko w *Krótkiej historii...* było dla Homera jasne: ostatnie wpisy roily się od stenograficznych impresji, notowanych bez wątpienia pod wpływem eteru. Na przykład: „do rymu z no to ryms” – co to mogło znaczyć? Albo inna notatka, zaskakująco – jak na Larcha – wulgarna: „To ja wsadziłem jej w usta penis kuca! To moja wina!” Jak coś podobnego mogło mu w ogóle przyjść do głowy? Homer dziwił się temu, gdyż nie miał pojęcia, jak dobrze doktor Larch znał swego czasu córkę pani Eames.

Z wiekiem Homer Wells (alias Fuzzy Stone) czerpał coraz większą przyjemność z niejasnych rewelacji, które znajdował w zapiskach Wilbura Larcha.

„Proszę powiadomić doktora Stone’a – tak zaczynała się ostatnia notatka sporządzona ręką doktora Larcha – że Homer Wells nie ma i nigdy nie miał wady serca”. To samo mógłby powiedzieć Homer Wells o sercu Wilbura Larcha – gdyby nie eter.

Dla siostry Edny (przez całe życie beznadziejnie zakochanej) i dla siostry Angeli (która, co prawda, nie była zakochana, ale w mądrości swojej nadała malcom imiona „Homer Wells” i „Fuzzy Stone”), serce żadnego z nich nie miało wad. Dla nich, jeśli gdziekolwiek na świecie istnieli Książęta Maine, Królowie Nowej Anglii – to byli nimi doktor Stone i doktor Larch.

## Od Autora

(str. 46-47) Anthony Trollope, który odwiedził Portland w stanie Maine w roku 1861, pomylił się co do przeznaczenia „Great Eastern” identycznie jak ojciec Wilbura Larcha, czemu dał wyraz w powieści *North America*.

(str. 51) Memu dziadkowi, dr. Frederickowi C. Irvingowi, zawdzięczać informację o dr. Ernście i jego technice gry w baseball, a także znajomość żargonu medycznego, którym posługuję się w tym rozdziale. Mój dziadek jest autorem m.in. *Poradnika przyszłej matki*, *Podręcznika położnictwa* oraz *Bezpiecznego porodu*. Prace dr. Ernsta nad infekcjami bakteryjnymi zainteresowały niejakiego dr. Richardsona z Bostońskiego Szpitala Położniczego, gdzie Wilbur Larch odbywał staż internistyczny, a potem pracował na etacie. Bardzo prawdopodobne, że artykuł dr. Richardsona pt. „Zastosowanie antyseptyki w położnictwie” zainteresowałyby Wilbura Larcha, który nie tylko pilnie studiował bakteriologię, ale i sam cierpiał na rzeżączkę.

Położnicy zajęli się antyseptyką poszukując środka, który by zapobiegał najgroźniejszej podówczas infekcji kobiet rodzących – gorączce połogowej. W latach 1880-tych, w niektórych szpitalach położniczych umierała na nią co ósma pacjentka. W latach 1890-tych, kiedy Wilbur Larch pracował jeszcze w Bostońskim Szpitalu Położniczym, statystyka wyraźnie się poprawiła dzięki temu, że zarówno lekarzy, jak i pacjentki dezynfekowano przed zabiegiem roztworem dwuchloru rtęci. W tymże szpitalu Larch obserwował ewolucję antyseptyki i narodziny aseptyki (której nazwa oznacza „wolność od bakterii”): sterylizacji prześcieradeł i materiałów opatrunkowych (przez wyjaławianie) i narzędzi chirurgicznych (przez gotowanie).

(str. 51-52) Co do stosowania eteru: większość historyków anestezjologii łączy, za dr. Sherwinem B. Nulandem, początek ery anestezji z pierwszym skutecznym użyciem eteru przy operacji przez Williama Mortona, w szpitalu w Massachusetts, 16 października 1846. „Wszystkie wcześniejsze eksperymenty stanowiły prolog do tego zdarzenia; wszelkie usprawnienia metody stanowiły li tylko działania uboczne; wszystko, co czyni się od tamtego czasu, jest tylko doskonaleniem pierwotnej metody” – twierdzi dr Nuland.

Jego zdaniem eter, odpowiednio dozowany, należy do najbezpieczniejszych środków do inhalacji. W stężeniu 1-2 procentowym, eter ma postać pary o przyjemnym smaku. Jeszcze w latach 1960-tych stosowano go (w lekkich stężeniach)

przy setkach operacji serca: tak znieczulony pacjent pozostawał przez cały czas zabiegu częściowo przytomny; mógł nawet rozmawiać z zespołem operacyjnym.

Współcześni Larchowi lekarze przedkładali często podtlenek azotu lub chloroform nad eter, który Larch nauczył się cenić, sprawdziwszy jego efekt na sobie samym. Tylko szalenie zaaplikowałby sam sobie chloroform: jest to środek dwadzieścia pięć razy bardziej niż eter toksyczny dla mięśnia sercowego i wystarczy minimalne przedawkowanie chloroformu, aby wywołać arytmie, a nawet śmierć pacjenta.

Podtlenek azotu z kolei znieczula dopiero przy bardzo wysokim (co najmniej 80-procentowym) stężeniu; jego działaniu zawsze towarzyszy duszność wywołana niedoborem tlenu. Podawanie go pacjentowi wymaga zatem największej ostrożności, a także wyjątkowo nieporęcznej aparatury. Pacjent pod działaniem podtlenku azotu może doznawać halucynacji i ataków śmiechu. Środek ten działa bardzo szybko.

Eter to idealny narkotyk dla konserwatystów.

(str. 53) Ten wątek również zawdzięczam dziadkowi – absolwentowi Harwardzkiej Akademii Medycznej, rocznik 1910. Dziadek był szefem personelu w Bostońskim Szpitalu Położniczym, a także, przez wiele lat, wykładowcą położnictwa w harwardzkim kolegium Williama Lamberta Richardsona. Wspominam go jako świetnego gawędziarza; lubił też „rozstawiać rodzinę po kątach”. W początkowych latach swojej praktyki lekarskiej dziadek przyjął wiele porodów w ubogich domach bostońskich imigrantów. Gdy się czyta jego wspomnienia, widać, że oprócz doświadczenia zawodowego i talentu, dziadkowi nie brakowało uprzedzeń i przesądów.

(str. 54-55) Syntezy eteru dokonał w roku 1540 dwudziestopięcioletni botanik z Prus. Niemal natychmiast zaczęto oszalać się nim dla przyjemności jako „gazem śmiechu”; w późniejszych epokach zażywano go nawet grupowo na spotkaniach towarzyskich. W roku 1819 John Dalton opublikował rozprawę naukową o fizycznych i chemicznych właściwościach eteru. [Poeta romantyczny Samuel Taylor] Coleridge był nałogowym „wączaczem gazu śmiechu”: regularnie bywał na przyjęciach, gdzie zażywano eter; poddawał się też chętnie doświadczeniom z podtlenkiem azotu, prowadzonym przez Humphreya Davy’ego. Szkoda, że ostatecznie przerzucił się na opium.

(str. 55-56) Cesarskie cięcie jest dziś zabiegiem stosunkowo prostym, wymagającym niezbyt wielkiego nacięcia podbrzucha, skoro macicę otwiera się wewnątrz jamy brzusznej. Inna metoda panowała w ostatnich dwu dekadach XIX

wieku, kiedy dr Larch praktykował w Bostońskim Szpitalu Położniczym: wykonywało się wówczas nacięcie podbrzusza długości około trzydziestu centymetrów, przez które wyjmowano macicę na zewnątrz jamy brzusznej. Następnie chirurg przecinał skalpelem „ogromny, śliwkowej barwy organ, powodując – jak zanotował mój dziadek – dramatyczny wytrysk wód płodowych i krwi”. Po wyjęciu płodu, macicę, zaszytą jedwabiem, umieszczano na powrót w jamie brzusznej; również jedwabną nicią zaszywano podbrzusze. Łatwo wyobrazić sobie, o ile przykrzejsze dla pacjentki były skutki cesarskiego cięcia dawniej niż dziś. Za czasów Larcha sam zabieg (jeśli nie wystąpiły komplikacje) trwał godzinę.

(str. 58-59) Opis śmierci spowodowanej szkorbutem zaczerpnąłem z relacji dziadka o autentycznym przypadku, zatytułowanej „Niezwykły przypadek Ellen Bean”. Bohaterką była „trzydziestopięcioletnia stara panna z nowoangielskiej rodziny”. Jej przypadłość, wedle opisu dziadka, przypisałem mojej nieszczęsnej pani Eames. „Cięża – pisał mój dziadek – nie w każdej kobiecie budzi radosną nadzieję, tradycyjnie kojarzoną z tym stanem; spotyka się niewiasty, które z kwaśną miną, ponurym okiem spoglądają w przyszłość. Przekonuje nas o tym przypadek Ellen Bean.”

(str. 58-59) W Maine, ukochanym rodzinnym stanie Wilbura Larcha, za wykonanie aborcji groził rok więzienia, z zamianą na grzywnę w wysokości tysiąca dolarów (zdarzało się, że sąd łączył obie kary); lekarzowi groziła dodatkowo utrata prawa praktyki. Ustawa Eastmana-Everetta z roku 1840 stanowiła, że aborcja jest zbrodnią „bez względu na to, czy dziecko w łonie matki wykonuje samodzielne ruchy, czy jeszcze nie”, a także bez względu na zastosowaną metodę zabiegu.

(str. 60) Zamiast merkurochromu, doktor Larch mógł stosować roztwór Dakina, jakkolwiek mało jest prawdopodobne, aby podczas krótkiej bytności we Francji w okresie I wojny światowej zdążył zapoznać się wnikliwie z właściwościami nowego środka dezynfekcyjnego. Właśnie podczas I wojny, we Francji, dziadek mój poznał liczne zastosowania roztworu Dakina; tamże nauczył się stosować *debride* – technikę chirurgiczną polegającą na usuwaniu martwej tkanki z okolic bezpośrednio otaczających ranę. Twierdził, że Francuzi doskonale tego uczyli.

(str. 63-70) Aby w latach 1890-tych usłyszeć w wymarzonym „pałacu aborcji” muzykę przypominającą *Kindertotenlieder* Mahlera, dr Larch musiałby być jasnowidzem: Mahler skomponował ten cykl pieśni dopiero w roku 1902. Podkreśla ten fakt zdanie: „Na pewno nie śpiewali *Trenów dziecięcych* Mahlera, ale Wilbur Larch te właśnie pieśni usłyszał w ich śpiewie”.

(str. 70) Jest to opis, autorstwa mojego dziadka, autentycznej pacjentki, Edith Fletcher, u której wykonano cesarskie cięcie (Bostoński Szpital Położniczy; 13 lipca 1894). Miednica tak małych rozmiarów jest rzadkością.

(str. 72) Poradnik pani Maxwell pt. *Lekarka radzi kobietom Stanów Zjednoczonych: Przystępny i praktyczny traktat o sprawach najważniejszych dla kobiety (Opracowany do użytku domowego)* ukazał się drukiem w Nowym Jorku w roku 1860. Pani Maxwell zajęła się w tej książeczce „przypadłościami typowymi dla płci niewieściej, jakoż i zawinionymi przez rozwiązyłych i niewiernych mężów, lubo w inny sposób nabytymi” (mowa, rzecz jasna, o chorobach wenerycznych). Informowała przy okazji czytelniczki, że służy radą i pomocą „dla niewiast... zmuszonych wadami organów rodných, lubo inną przyczyną, uciec się do przedwczesnego porodu” (krótko mówiąc: wykonywała aborcje).

(str. 111) Nowoangielskie Schronisko dla Nieletnich nazywało się pierwotnie Przytułkiem Baldwina dla Małych Włóczęgów. W roku 1865 kongres stanowy Massachusetts przyznał mu prawo do działalności. Nazwę zmieniono na obowiązującą do dziś – Nowoangielskie Schronisko dla Nieletnich – w roku 1889, blisko dziesięć lat przed założeniem sierocińca w St. Cloud’s przez Wilbura Larcha.

(str. 122) W roku 1928 podręcznik ginekologii Howarda Kelly’ego (uchodzący wówczas za typowy) podawał określenie „D i C” (oryg. *dilatation and curettage* – „rozszerzanie i łyżeczkowanie”). Można więc przypuszczać, że eufemistyczny termin „D i C” był w latach 1920-tych w dość powszechnym użyciu.

(str. 123) Dziadek mawiał, że *Anatomia Graya* była jego mapą nawigacyjną w czasie I wojny we Francji.

(str. 132) Jest to dokładny opis zabiegu rozszerzania i łyżeczkowania, zapożyczony od dr. Richarda Seltzera (Yale School of Medicine), chirurga i pisarza (m.in. *Śmiertelne nauki: Zapiski o sztuce chirurgii i Rytuały w chirurgii*). Dziękuję dr. Seltzerowi, że zechciał łaskawie przejrzeć tę powieść przed publikacją i udzielić mi cennych pouczeń; wdzięczny mu jestem zwłaszcza za skontaktowanie mnie z dr. Nulandem – weryfikatorem wątku medycznego tej książki.

(str. 141) Informacje o fizycznych i umysłowych objawach choroby Alzheimer’a zaczerpnąłem z „The Journal of the History of Medicine and Allied Sciences” (vol XXXIV, No 3, lipiec 1979), z artykułu dr. Sherwina B. Nulanda pt. „Tajemnica Semmelweisa – próba interpretacji”. Dr Nuland wypowiedział się na ten temat po raz pierwszy w wykładzie dla Akademii Medycznej Yale (zapis w rocznikach „History of Surgery Series”), stawiając hipotezę, że Ignacy Semmelweis – odkrywca przyczyny

gorączki połogowej – sam padł ofiarą nie, jak powszechnie sądzono, neurosyfilisu, lecz właśnie choroby Alzheimera. Co więcej, zdaniem dr. Nulanda bezpośrednią przyczyną zgonu Sammelweisa były obrażenia cielesne zadane mu przez personel domu dla obłąkanych, w którym był przetrzymywany (krótko mówiąc: pielęgniarze zatłukli go na śmierć). Raporty ze słynnego domu dla obłąkanych Bedlam, i pokrewnych mu instytucji, potwierdzają nagminne stosowanie siły wobec pacjentów jeszcze na początku naszego stulecia.

(str. 146-147) Opis pierwszego przypadku eklampsji, z którym miał do czynienia Homer Wells, zaczerpnąłem z książki mojego dziadka, *Bezpieczny poród*, a konkretnie z rozdziału o konwulsjach porodowych. Dziadek omawia tam przypadek Lucy Nickerson, która w roku 1880 zmarła na skutek eklampsji spotęgowanej próbą przyspieszenia porodu – bowiem w czasach nieszczęsnej pani Nickerson lekarze uważali przyspieszony poród za jedyny środek na uśmierzenie konwulsji.

(str. 147-148) Opis tej metody zaczerpnąłem również od dziadka, dr. Fredericka C. Irvinga (zwanego Fritzem). Dziadek chwali metodę zastosowaną w roku 1937 wobec p. Mary O'Toole, jako prawidłową i skuteczną.

(str. 153) Dane z roku 1942 pochodzą ze statystyk mego dziadka. Syfilis – chociaż ówczesne władze resortu zdrowia robiły wokół niego taki szum – wykryto raptem u 2 procent pacjentek szpitala w Bostonie. O wiele więcej było przypadków eklampsji: aż osiem procent wszystkich rodzących w skali kraju.

(str. 173) Wiosna to zbyt wczesna pora na woskowanie kłap prasy: pierwsze tłoczenie przypada na ogół we wrześniu, kiedy wyciska się jablecznik z wczesnych mekintoszy i grapsztynów. Kłapy prasy są to drewniane blaty okręcone płótnem. Jest ich siedem, jedna nad drugą; podczas pracy maszyny kłapy uderzają o siebie z wielką mocą i gdyby nie solidne wzmocnienie woskiem – nie wytrzymałyby wielu sezonów. Prasa tłoczy masę (pulpę) jableczną z siłą około tysiąca kilogramów. Wyciśnięcie tysiąca galonów (ok. czterech i pół tysiąca litrów) jablecznika trwa osiem godzin; z buszla jabłek wyciska się średnio trzy galony (ok. czternastu litrów).

Prasę woskuje się przed pierwszym tłoczeniem, żeby już nie tracić na to czasu, gdy zaczną się zbiory. Tłoczenie odbywa się najczęściej co drugą noc, a w ciągu dnia tylko wtedy, gdy pada deszcz i nie można zbierać jabłek. W latach 1940-tych i 50-tych tłocznie w sadach pracowały do stycznia.

Moim przyjaciółm, Benowi i Peterowi Wagnerom, oraz ich matce, Jean, dziękuję za powyższą i wszystkie inne informacje dotyczące sadownictwa. Sady Wagnerów, zwane Applecrest Farm Orchards, leżą w Hampton Falls, w stanie New

Hampshire; pracowałem tam jako chłopiec. Jean i Bill, jej zmarły mąż, dali mi pierwszą pracę.

(str. 175) Każdy sad ma swoją nazwę; farmerzy często nadają imiona nawet budynkom gospodarskim i maszynom. Jest to bardzo praktyczny zwyczaj, pozwalający porozumiewać się skrótami, na przykład: „Kicia złapała gumę, stoi na Patelni; trzeba wymienić koło”, albo: „Zostawiłem Dodge’a pod Trójką, bo Wally pryska Sanborn i musi później czymś wrócić”. W sadzie, w którym ja pracowałem, był budynek zwany Dwójką, chociaż nie pamiętam ani Trójki, ani Jedyńki. Wiele sadów nosiło nazwiska pierwszych osadników na danym terenie (Brown, Eaton, Coburn, Curtis – te zapamiętałem). Był sad, który nazywał się Dwadzieścia Akarów, i była Dziewiętnastka; były też sady o nazwach prozaicznych, jak Pole; była Fontanna, było Źródło, a jeden nazywał się Stary-Nowy, bo połowa drzew w nim była stara, a połowę posadzono niedawno. Na Patelnię jedni mówią „The Frying Pan”, a drudzy tylko „Frying Pan”.

(str. 183) Każdy, kto jak ja, wychował się nad oceanem, poczuje w Iowa zapach bryzy (gdy tylko wieje).

(str. 246-247) Autorstwo ulubionej modlitwy pani Grogan przypisuje się Johnowi Henry’emu (kardynałowi) Newmanowi. Być może jednak, że kardynał Newman (1801-90), angielski teolog i pisarz, wplótł ją tylko – jak twierdzą niektórzy – w jedno ze swych kazań. U mnie w domu ta właśnie modlitwa była modlitwą rodzinną, ją też odmówiono nad grobem mojej babki ze strony matki (była to jej ukochana modlitwa). Babcia nazywała się Helen Bates Winslow. Zmarła miesiąc przed setnymi urodzinami. Gdyby dożyła setki, pewnie i tak wykończyłyby ją zaplanowane przez rodzinę huczne uroczystości. Modlitwa kardynała Newmana musi być, jak widać, bardzo skuteczna – tak zawsze powtarzała babcia, która była do tej modlitwy bardzo przywiązana. Ja byłem bardzo przywiązany do babci.

(str. 266-267) W roku 1907 Alzheimer nazwał opisaną przez siebie chorobę „demencją niestarczą”. „Zaburzeniom w rozpoznawaniu”, występującym we wczesnym stadium tej choroby, towarzyszy znaczna utrata pamięci bliskiej i niemożność uczenia się nowych rzeczy. Dr Nuland z Yale wyodrębnia dwie grupy pacjentów: u jednych najpierw obserwuje się zmiany osobowości, u drugich – spadek sprawności intelektualnej. Dalszy postęp choroby przejawia się u obu tych grup obniżeniem progu frustracji. Dr Nuland wymienia także kłopoty chorego z wykonywaniem prostych codziennych czynności i pojmowaniem złożonych myśli (przy całkowitej niezdolności do przekazywania ich otoczeniu). Choroba Alzheimera

powoduje szybką degradację wszystkich funkcji organizmu: od momentu postawienia diagnozy do nieuchronnej śmierci mija przeciętnie siedem lat, jednak zdarzają się pacjenci, którzy żyją znacznie dłużej, i tacy, którzy umierają po kilku miesiącach. W ostatnich latach dowiedziono, że choroba Alzheimera dotyka z niewiadomych przyczyn nie tylko osoby w średnim wieku, ale także, i to dość często, powoduje umysłową i fizyczną degenerację u osób starszych, u których brano ją do niedawna za efekt zwykłego zwapnienia naczyń krwionośnych, czyli sklerozę (*arteriosclerosis*).

(str. 320) Słynne wydanie paryskie z roku 1957 obejmuje siedemset limeryków. Podgatunek limeryku zwany „genitalnym” (oryg. *organ limerick*) pojawił się w druku po raz pierwszy w roku 1939; wcześniej mógł krążyć w przekazach ustnych. W latach 1940-tych, gdy Senior z Wallym wymieniali się cytatami, „limeryk genitalny” był jeszcze nowością dla szerszej publiki.

(str. 339) *Praktyczna anatomia królika* Benjamina Arthura Bensleya to autentyczny podręcznik, opublikowany przez University of Toronto Press w roku 1918. Bensley trzeźwo i precyzyjnie wyklada kawę na ławę; książka ta, którą sam nazywa „podręcznikiem laboratoryjnym do nauki anatomii ssaków dla początkujących”, przedstawia anatomię królika jako wstęp do analizy anatomii człowieka. Podręcznik Bensleya to nie Gray, ale trudno zaprzeczyć zaletom *Praktycznej anatomii królika*. Ja sam, jako „początkujący” student anatomii, nauczyłem się wiele z Bensleya, dzięki czemu łatwiej mi przyszło późniejsze studiowanie Graya.

(str. 351) Gatunek jabłek mekintosh (Mcintosh) wyhodowano w Ontario, gdzie klimat przypomina klimat Nowej Anglii, a także w dolinach Hudson i Champlain stanu Nowy Jork (tam zwłaszcza zbiory mekintoszy bywają obfite).

(str. 371-372) Bensley w *Praktycznej anatomii królika* opisuje jajniki i jajowody samicy królika oraz porównuje je z analogicznymi narządami u innych ssaków.

(str. 402-403) Limeryk ten [w oryginale występuje w nim nazwa miasta Exeter – przyp. tłum.] datuje się między 1927 a 1941. Miasto Exeter występuje w wielu limerykach, ponieważ dobrze się rymuje (np. ze słynną ostatnią linijką *It was then that Jones pointed his sex at her!*). Znam masę limeryków o Exeter, ponieważ urodziłem się i wychowałem w Exeter, New Hampshire.

Drugi limeryk (1941) jest klasycznym „limerykiem genitalnym”, gdyż dotyczy żeńskich i męskich organów rozrodczych. Podobnie jak ten, z którego pochodzi fragment:



*There was a young fellow named Cribbs  
Whose cock was so big it had ribs.*

(1944-51)

A oto laureat konkursu na Limeryk Roku 1938 (wybierali studenci ostatniego roku z Princeton):

*There once was a Queen of Bulgaria  
Whose bush had grown hairer and hairer,  
Till a Prince from Peru  
Who came up for a screw  
Had to hunt for her cunt with a terrier.*

[Cesarzowej Bułgarii (zwłaszcza latem)]

Pewne miejsce się robiło tak włochate,  
Że jej mąż, Księżę Peru,  
Z pomocą terrierów  
Tropił je przez krzaczastą kuciapę.]

Trzeci limeryk powstał ok. 1941.

(str. 424) Bardzo stary limeryk – ok. 1879.

(str. 440) Doktor Larch zdziwiłby się zapewne widząc, że jego dane o dzieciach nie chcianych są w zasadzie nadal aktualne w roku 1965. Dr Charles F. Westoff z Princeton Office of Population Research, oraz jeden z szefów programu badań nad płodnością (National Fertility Research Study 1965) obliczyli, że 750 tysięcy do miliona urodzonych w latach 1960-65 dzieci par małżeńskich było dziećmi nie chcianymi. Są to dane zaniżone. Wielu rodziców nawet w anonimowej ankiecie wstydzili się przyznać, że nie chce swoich dzieci. Badania nie objęły poza tym matek niezamężnych i porzuconych. Więcej informacji na ten temat dostarczyć może książka Jamesa Tragera, *The Bellybook* (1972).

Benjamin] Franklin był piętnastym z siedemnaściorga dzieci i popierał swobodną prokreację, czemu dał wyraz w „Uwagach dotyczących przyrostu liczby ludzkości” („Observations Concerning the Increase of Mankind”, 1755).

(str. 459) Opis tego porodu oparłem na rozdziale XV pt. „Conduct of Normal Labor” (Przebieg typowego porodu) podręcznika Henricusa J. Standera *Williams Obstetrics*, wydanego około roku 1936. Skorzystałem ze źródła tak mało

współczesnego – u mnie rzecz dzieje się w roku 1943 – ponieważ chciałem podkreślić, że Homer posługuje się wyuczoną od doktora Larcha techniką położniczą, która, jakkolwiek przestarzała, jest ze wszech miar prawidłowa.

(str. 468-469) „Urodziłem się w czepku, który później w gazetach ogłoszono na sprzedaż, za niską cenę piętnastu gwinej” [przekł. z roku 1937, Wydawnictwo J. Przeworskiego, Warszawa]. Oto cytat z pierwszego rozdziału *Dawida Copperfielda*, „Przychodzę na świat”. Czepka z cytatu to nic innego jak błona, która zazwyczaj ulega przebiciu, gdy poród wkracza w fazę bólów partych. Zdarza się jednak – jakkolwiek rzadko – że błona nie pęknie i dziecko rodzi się w jej otocze. W czasach Dickensa uważano to za prognozę szczęścia w życiu – a zwłaszcza za znak wykluczający śmierć przez utonięcie. W powieści *Dawid Copperfield* bohater unika dzięki temu losu biednego Steerfortha (który tonie).

Homer Wells, znając świetnie *Dawida Copperfielda*, kojarzy sobie kroplę potu, która chrzci główkę nie do końca jeszcze narodzonego maleństwa, ze szczęśliwą wróżbą w powieści, i przypisuje jej cechy Dickensowskiego „czepka”. Syn Homera będzie miał szczęście w życiu. Angel nie utonie.

(str. 481) Pierwsze wydanie *Office Gynecology* Greenhilla ukazało się w roku 1939. Osiemnaste wydanie *Diseases of Women* (Roquista, Claytona i Lewisa) opublikowano w roku 1949.

Co do prasy medycznej, Larch czytywałby zapewne nie tylko „The New England Journal of Medicine”, lecz także: „The Journal of American Medical Association” (przez lekarzy zwany JAMA), „The American Journal of Obstetrics and Gynecology” (najżywiej ilustrowany), „The Lancet” (pismo brytyjskie) oraz „Surgery, Gynecology and Obstetrics” (wśród lekarzy znane jako „S, G and O”. W latach 1940-tych większość chirurgów zajmowała się również położnictwem.